

jean-marie  
blas  
de roblès

# gdzie żyją tygrysy

Z języka francuskiego przełożyła



WYDAWNICTWO SONIA DRAGA  
Bożena Sęk

Tytuł oryginału:  
LA OU LES TIGRES SONT CHEZEUX

*Niechaj przyjmą Laurence,  
- Virgile, FÉLIX I HIPPOLYTE*

*Pamięci Philippe'a Hédana*

*Nikt nie wędruje bezkarnie pod palmami,  
na pewno zmienia się usposobienie człowieka  
w kraju, gdzie żyją słonie i tygrysy.*

JOHANN WOLFGANG VON GOETHE, POWINOWACTWA Z WYBORU

## PROLOG

**ALCÂNTARA**  
*Plac Pręgierza*

**P**oety piczka czochra na ziemi! Chrrraak! Poety piczka czochra na ziemi! - oznajmił przenikliwy,

nosowy i jakby przepity głos Heideggera.

Zirytowany naraz Eleazard von Wogau oderwał wzrok od lektury, wykonał półobrót na krześle, chwycił pierwszą lepszą książkę i z całych sił cisnął nią w ptaka. Na drugim końcu pokoju z imponującym łopotem barwnych skrzydeł papuga uniosła się nad żerdką akurat na tyle, by uniknąć ciosu. „Studia Kircheriana” ojca Reilly'ego z hukiem wylądowały nieco dalej na stole, przewracając butelkę z kaszasa, w której była jeszcze połowa zawartości. Flaszka oczywiście się roztrzaskała, zalewając nadwerżoną księgę.

- A niech cię!... - mruknął rozeźlony Eleazard.

Wahał się chwilę, czy wstać i ratować księgę przed zniszczeniem, skrzyżował wzrok z zadzierzystym spojrzeniem ary, która z łebkiem niewiarygodnie wykręconym udawała, że na grzbiecie szuka sobie czegoś w piórkach, po czym zdecydował się na powrót zagłębić w tekście Caspara Schotta.

Na dobrą sprawę dość niezwykle było, że jeszcze trafiały się takie znaleziska: rękopis nigdy nieopublikowany, wykopany podczas ostatniej inwentaryzacji w Bibliotece Narodowej w Palermo. Obecny kustosz uznał jego treść za godną jedynie wzmianki w kwartalnym biuletynie biblioteki oraz noty przesłanej dyrektorowi tamtejszego Instytutu Goethego. Potrzebny był zatem niewiarygodny wręcz zbieg okoliczności, by fotokopia manu

skryptu - napisanego po francusku przez nieznanego niemieckiego jezuitę, który relacjonował życie innego równie nieznanego jezuitę - dotarła do Brazylii na biurko Eleazarda. W porywie gorliwości bowiem dyrektor Instytutu Goethego powiadomił o znalezisku Wernera Küntzela, berlińczyka, który od kilku lat trudził się nad opracowaniem w dziedzinie informatyki teorii mającej wykazać, że zerojedynkowy język komputerów wyrasta ze scholastyki Rajmunda Lullusa i jej późniejszych odmian, szczególnie Atanazego Kirchera. Nader skłonny do entuzjazmu Werner Küntzel natychmiast zaproponował publikację manuskryptu wydawnictwu Thomasa Sesslerera. Nie mając ochoty ponosić kosztów przekładu, wydawca zgodził się jedynie na druk oryginału w ograniczonym nakładzie i za radą samego Wernera powierzył Eleazardowi ustalenie tekstu i opatrzenie go komentarzem.

Cholerny Werner! pomyślał Eleazard, uśmiechając się mimo woli. Naprawdę nie zdaje sobie sprawy...

Nie widział go od czasów doprawdy osnutych mgłą zapomnienia, gdy spotkali się w Heidelbergu, doskonale jednak pamiętał jego lisią twarz i nerwowy tik, który wywoływał na policzku iście obsceniczne drżenie mięśnia. Świadczyło to o hamowanym napięciu mogącym się w każdej chwili gwałtownie objawić, przez co Eleazard zapominał niekiedy, co chciał powiedzieć, to zaś powodowało, że rozmówca mniej lub bardziej świadomie zachowywał się podobnie. Od czasu do czasu wymieniali korespondencję, aczkolwiek dość zdawkową ze strony Eleazarda, tak że Werner otrzymywał zwykle pocztówkę, czasem dwie w odpowiedzi na swoje epistoły, w których detalicznie opowiadał o swoim życiu i sukcesach. Nie, Werner naprawdę nie zdawał sobie sprawy, jak bardzo zmieniło się jego, Eleazarda, życie i do jakich rezerw przychodzi mu sięgnąć, aby wrócić do starej miłości. Bez wątpienia znał dzieło Kirchera lepiej niż ktokolwiek - piętnaście lat obcowania ze znamienitym, choć nikomu nieznanym człowiekiem na ogół rodzi ów całkowicie zbędny przywilej - lecz Werner ani się domyślał, jak bardzo z czasem Eleazard oddalił się od ambicji pielęgnowanych w młodzieńczych latach. Dawno już posłał do lamusa doktorat, nad którym pracował w Heidelbergu, choć nadal przemyślał nad nim poniekąd obsesyjnie, co go samego zawsze dziwiło. Musiał się jednak pogodzić z oczywistością: niektórzy kolekcjonują butelki po whisky czy pudełka po papierosach, rzuciwszy picie bądź palenie, on natomiast maniakalnie gromadził wszystko, co w jakimkolwiek stopniu wiązało się z tym dziwnym jezuitą. Oryginalne wydania jego prac, opracowania naukowe lub artykuły prasowe, rozproszone cytaty - zbierał je, aby zappełnić pustkę, którą spowodowała niegdysiejsza rezygnacja z kariery uniwersyteckiej. W taki właśnie sposób okazywał wierność, ba! nawet cześć, choćby i szyderczo, żądzy wiedzy, której przed laty okazał się niegodzien.

- Soledade! - krzyknął, nie odwracając się.

Po chwili w drzwiach stanęła młoda Mulatka z ciekawością wypisaną na twarzy okraszonej szerokim jak u błazna uśmiechem.

- Tak, *senhor*? - powiedziała przeciągle i znacząco.

- Możesz mi przygotować kajpirinię, z łaski swojej?

- *Pode preparar me urna caipirinha, por favor?* - powtórzyła Soledade, przedrzeźniając jego akcent i błędy składniowe.

Eleazard pytająco uniósł brwi, ona zaś pogroziła mu palcem, jakby mówiła: „Jesteś niepoprawny!”.

- Tak, *senhor*... - odparła, a przed odejściem zrobiła minę, pokazując mu czubek różowego języka.

Była mieszanicem, pół Murzynką, pół Indianką, *cabocla*, jak tutaj mówiono, a urodziła się w wiosce położonej w *sertão*. Miała raptem osiemnaście lat, ledwie bowiem podrosła, wyprawiono ją do miasta, aby pomagała w wykarmieniu licznych braci i siostr. Od pięciu lat susza nękała tereny w głębi kraju; wieśniacy żywili się kaktusami i węzami, lecz nie potrafili porzucić swoich poletek, wysyłali zatem dzieci na wybrzeże, do wielkich miast, gdzie można było przynajmniej coś wyżebrać.

Soledade miała więcej szczęścia niż inni: dzięki protekcji kuzyna ojca znalazła pracę jako służąca w brazylijskiej rodzinie. Tam bezwstydnie ją wykorzystywano, okładano pięściami, ilekroć nie dość dokładnie wykonała polecenia państwa, z radością więc zgodziła się pracować u pewnego Francuza, który zauważył ją podczas poczęstunku feijoada u kolegów z pracy. Denisa Raffenela bardziej uwiódł jej uśmiech, czarna jedwabista skóra i wspaniale zbudowane młode ciało niż umiejętności gospodarskie; traktował ją jednak uprzejmie, z szacunkiem nawet, jej zaś się zdało, że sięgnęła szczytu szczęścia, otrzymawszy dwa razy wyższą gażę za minimum pracy, której mimo wszystko od niej oczekiwano. Przed trzema miesiącami rozwód Eleazarda zbiegł się szczęśliwie z wyjazdem zesłanego przez opatrność Francuza. Po części pragnąc zrobić Raffenelowi uprzejmość, acz

przede wszystkim dlatego, że został sam, Eleazard zaproponował, aby Soledade pracowała u niego. Ponieważ go znała z kilku wizyt u Raffenela, ponieważ również był Francuzem, a ona prędzej by umarła, niż znowu podjęła pracę u Brazylijczyków, natychmiast się zgodziła w zamian za tę samą płacę - nędzną, prawdę powiedziawszy - i kolorowy telewizor. Eleazard przystał na to żądanie i pewnego pięknego poranka Soledade wprowadziła się do niego.

Zajmowała się bielizną, zakupami i kuchnią, sprzątała dom, kiedy jej pasowało, czyli rzadko, najwięcej zaś czasu spędzała przed telewizorem, oglądając seriale w państwowej TV Globo. Co się tyczy usług „specjalnych”, które świadczyła dodatkowo poprzedniemu pryncypałowi, Eleazard nigdy ich od niej wymagał. Ani razu nie zaszedł nawet do pokoiku, który sobie wybrała; traktował ją raczej obojętnie, nie darzył specjalną uwagą, za co Soledade wydawała się wdzięczna.

Patrzył na nią teraz, gdy weszła, jak zawsze podziwiając jej nonszalanckie ruchy, iście afrykański sposób ślizgania się nad ziemią z irytującym plaskaniem stóp. Postawiła szklanekę na biurku, obdarzyła Eleazarda kolejną miną i wyszła.

Siorbiąc napój - Soledade perfekcyjnie dozowała kaszase i limonkę - Eleazard zapatrzył się przez duże okno, które miał naprzeciwko.

Wychodziło wprost na dżunglę, a właściwie na *mata*, gęstwinę potężnych drzew, powykęcanych lian i krzewów, która na powrót obejmowała w posiadanie miasto, czemu nikt nie mógł zapobiec. Patrząc z okna na piętrze, Eleazard miał uczucie, że zanurza wzrok w samym łonie natury, po trosze niczym chirurg, który z góry spogląda na trzewia otwarte tylko dla jego oczu. Kiedy postanowił opuścić São Luís i kupić dom w Alcântarze, miał naprawdę kłopot z wyborem. Stare barokowe miasto, perła osiemnastowiecznej brazylijskiej architektury, popadało w ruinę. Zapomniane przez historię od upadku markiza de Pombala, opanowywane przez las, insekty i wilgoć, liczyło już naprawdę niewielu mieszkańców, głównie rybaków, tak biednych, że gnieździł się w chatkach z blachy, gliny i bidonów albo w walących się ruderach. Zjawiał się tam czasem oszołomiony wieśniak, wychynawszy raptownie z

mroku wielkiego lasu, by sprzedać zbiór owoców mango albo papai pośrednikom kursującym między São Luís a Alcântarą. Tam właśnie Eleazard nabył ogromny zapuszczony dom, jeden z *sobrados*, które stanowiły ongiś o pięknie miasta. Kupił go za bezcen w swoim mniemaniu, w mniemaniu zaś większości Brazylijczyków za pokaźną kwotę. Front domu wychodził na plac Pelourinho, Pręgierza, gdzie po lewej stał opuszczony kościół Świętego Mateusza, po prawej zaś równie świecąca pustkami Casa de Câmara e Cadeia, czyli ratusz i więzienie. Między tymi dwiema ruinami, teraz złożonymi już tylko z murów i dachu, na samym środku placu wznosił się *pelourinho*, kamienny słup ze żłobieniami, przy którym chłostano niegdyś krnąbrnych niewolników. Pręgierz, tragiczny symbol ucisku świeckiego i religijnego, zaślepienia, które sprawiło, że ludzie w dobrej wierze katowali tysiące swoich bliźnich, jako jedyny zabytek w mieście pozostał nietknięty. I chociaż pozwalano wieprzkom swobodnie biegać po kościele i ratuszu, nikt spośród mieszkających tam *caboclos* nie zniósłby, gdyby w jakikolwiek sposób zbezczeszczonego świadka wieków cierpienia, niesprawiedliwości i głupoty. Nic się bowiem nie zmieniło i nic nigdy nie zdoła naruszyć tych trzech osobliwych filarów ludzkiej natury, dlatego też w słupie, który stawił czoło czasowi, *caboclos* widzieli symbol swojej biedy i upodlenia.

Elaine - tylko w Brazylii potrafią wymyślać takie imiona - jego żona, Elaine, nigdy nie lubiła tego miejsca, gdzie niczym stygmaty na wszystkim wykwitwały oznaki upadku, i bez wątpienia ta jej niechęć po części była powodem rozstania. Elementem dodatkowym pośród mnogości przewin, które jednym tchem wyliczyła mu pewnego wrześnieowego wieczoru. Kiedy mówiła, jemu przez cały czas stał przed oczami oklepany obraz zjedanego przez termity domu, który wali się nagle, choć wcześniej żadne znaki nie zapowiadały katastrofy. Nawet do głowy mu nie przyszło, żeby się usprawiedliwiać, tak jak oczywiście nie szuka wytłumaczeń ten, kogo znienacka doświadcza los: bo czy można sobie wyobrazić, że ktoś tłumaczy się z trzęsienia ziemi albo wybuchu pocisku? Kiedy więc żona, kobieta raptem zupełnie obca, zażądała rozwodu, Eleazard potulnie podpisywał, co mu podsuwano, godząc się na wszystkie roszczenia adwokatów i zachowując się jak człowiek, którego przewożą z jednego obozu dla uchodźców do drugiego. Z ich córką, Moemą, nie było żadnych problemów, ponieważ była dorosła i wiodła własne życie - jeśli tak można nazwać uciekanie dzień po dniu przed wyzwaniem tegoż życia.

Eleazard postanowił zostać w Alcântarze i od niedawna dopiero, pół roku po wyjeździe Elaine do Brasílii, zaczął przetrząsać ruiny swej miłości, szukając nie tyle tego, co mógłby jeszcze uratować, ile przyczyn pobojuwiska.

Po głębszym zastanowieniu musiał przyznać, że propozycja Wenera była strzałem w dziesiątkę. Grzebanie się w manuskrypcie Caspara Schotta stało się dlań niejako terapią zajęciową, zmuszając go do zbawiennej koncentracji i ucieczki w pracę. I choć nie łudził się, że teraz czy w przyszłości przyniesie mu zapomnienie, łagodziło przynajmniej trochę zgubne napady żalu za przeszłością.

Raz jeszcze przekartkował pierwszy rozdział „Życia Atanazego Kirchera”, podczytując w przelocie swoje notatki i fragmenty tekstu. Boże, początek koszmaru!... Strasznie irytujący jest ten nadęty ton, w sumie właściwy wszystkim hagiografiom, tutaj sięgający jednak szczytów banału. Każda strona woniała zbyt mocno sutanną i kadzidłem. I na dodatek ta nieznośna maniera doszukiwania się w dzieciństwie zwiastunów „przeznaczenia”! Po fakcie wszystko oczywiście się sprawdzało. „Sranie, sranie i jeszcze raz sranie”, jak mawiała Moema o wszystkim, co mniej lub bardziej ograniczało to, co nazywała swoją wolnością, a w gruncie rzeczy było irracjonalnym chorobliwym egoizmem. Tylko Friedrich von Spee wydawał mu się sympatyczny mimo miłośności jego wierszy.

- Poety piczka czochra na ziemi! Chrrraak! Chrrraaaaaak! - wrzasnęła znowu papuga, jakby czekała na chwilę, kiedy jej głos wyrze największe wrażenia.

Jaka ładna, taka głupia, pomyślał Eleazard, z niechęcią spoglądając na ptaka. Dość powszechny paradoks, niestety, i to nie tylko wśród wielkich ar z Amazonii.

Dopił kajpirinię. Drugą - a może trzecią? - z przyjemnością by powitał, lecz niechęcią napawała go

myśl, że miałby znów zawracać głowę Soledade. W końcu „soledade” znaczy po portugalsku „samotność”. Mieszkam sam z Samotnością, zauważył w duchu. Zdarzają się pleonazmy, które zawierają jakby nadmiar prawdy. Zupełnie jak w „Powieści o Róży”: „Rozwaga, słysząc to, odchodzi, ja zaś trwam w myślach niewesołych”.

## ROZDZIAŁ I

*Gdzie mowa jest o narodzinach & młodych latach  
Atanazego Kirchera, bohatera niniejszej opowieści*

Dnia owego, któremu patronuje święta Genowefa, trzeciego w roku 1690, ja, Caspar Schott, zasiadłszy niczym sztubak za stołem biblioteki będącej pod mą pieczę, zabieram się do spisania opowieści o życiu ze wszech miar modelowym Wielebnego Ojca Atanazego Kirchera. Człek ów, którego dzieła pouczające odcisnęły na historii naszej pieczęć mądrości, skromnie się skrywał za swymi księgami. I duszą całą mniemam, iż na wdzięczność bliźnich sobie zasłużę, gdy zasłonę z lekka uchylę & światelko niejakię rzucę na żywot już nieśmiertelnym uczyniony.

Stając u progu trudu tak wielkiego, zawierzam się Maryi, Matce naszej, której Atanazy nigdy nie przyzywał nadaremno, & pióro w dłoń ujmuję, iżby ożywić męża tego, co mistrzem mi był przez pół wieku & zaszczyt ten mi uczynił, śmiem rzec, że przyjaźnią swą szczerą mnie obdarzył.

Na świat Atanazy Kircher przyszedł o trzeciej godzinie z rana w drugim dniu maja, dniu świętego Atanazego, roku 1602. Rodziciele jego, Jan Kircher z Anną Gansekin, katolikami byli żarliwymi a szczodrobliwymi. Mieszkali wówczas w Geisie, miasteczku położonym o trzy godziny drogi od Fuldy.

Ujrzał Atanazy Kircher świat w początkach czasów zaiste spokojnych, w rodzinie pobożnej & miłującej się, gdzie otoczenie studiom & skupieniu się oddawało, co przyczyniło się niechybnie do jego przyszłego powołania. Tym bardziej że Jan Kircher bibliotekę posiadał zasobną & dziecięciem będąc, Atanazy zawsze obcował z księgami. Z niezmiennym wzruszeniem & wdzięcznością wylizwał mi potem tytuły dzieł oglądanych w Geisie, a osobliwie „De Laudibus Sanctae Crucis” Hrabana Maura, z której to księgi litery poznawał & czytać się uczył.

Wybrankiem Natury będąc, w szkolnych latach za igraszkę miał najmozolniejsze materie, a w pobieraniu nauk tak się przykładał, że prześcigiwał we wszystkim towarzyszy swoich. Dnia nie było, iżby ze szkoły nie wrócił z jakimś nowym laurem do odzienia przypiętym ku zaiste słusznemu ukontentowaniu rodziciela. Prymusem klasy swej będąc, sekundował nauczycielowi, katechizm Kanizjusza tłumacząc początkującym, diakonów zaś odpytywał z lekcji. Jedenaście lat licząc, ewangelie biegle czytał & Plutarcha. W dwunastym roku życia wszystkie dysputy publiczne wygrywał bez trudu, jak nikt deklamować potrafił & zdumiewająco doprawdy układał prozę albo & poezję.

Jako że tragedie mocno go pociągały, we wiosnie trzynastej, w nagrodę za szczególnie błyskotliwe z hebrajskiego tłumaczenie, od ojca pozwolenstwo dostał, iżby do Aschaffenburga pojechać mógł, a tam z towarzyszami swymi *theatrum* oglądając: wędrowną trupą „Flawiusza Maurycjusza, cesarza Wschodu” przedstawiała. Jan Kircher powierzył młodzianków opiece wieśniaka, który wozem do wioski - o dwa dni drogi od Geisy odległej - się udawał, po czym przywieźć ich miał z powrotem po przedstawieniu.

Atanazego zachwylił talent aktorów & magiczna zgoła umiejętność powołania do życia postaci, którą zawsze podziwiał. Na deskach sceny przed oczyma olśnionej publiczności dzielny sukcesor Tyberiusza na nowo rozprawiał się z Persami pośród bitewnego zgiełku & szczękania oręża; przemawiał do swych wojsk, przeganiał Słowian & Awarów za Dunaj, przywracał wreszcie wielkość cesarstwu. W ostatnim zaś

akcie, kiedy zdrajca Fokas zadawał męczeńską śmierć wzorowemu chrześcijaninowi, nie oszczędzając jego żony ni synów, niewiele brakowało, a tłum by rozszarpał nieszczęsnego komedianta, który grał rolę podstępного centuriona.

W porywie młodzieńczego zapału Atanazy naśladować zapragnął Maurycjusza, przeto gdy nadeszła pora wracać do Geisy, opętany myślą jedną odmówił przebyć drogę na wozie. Wieśniak, który młodzianków miał pod swą pieczę, nadaremnie przytrzymać go próbował: żądny chwalebnej śmierci & płonący chęcią dorównania cnotą swemu wzorowi Atanazy Kircher postanowił sam, niby antyczny heros, stawić czoło lasom spessartańskim, cieszącym się smutną sławą z racji rabusiów, a & z dzikiego zwierza słynącym.

Lasami & dwóch godzin nawet nie wędrował, gdy zgubił drogę. Błąkał się dzień cały, próbując rozpoznać trakt, którym w drugą stronę jechał, knieje wszakże wciąż gęstniały, aż ze strachem ujrzał, że zapada noc. Chimierami imaginacja jego zapełniała ciemności, toteż w końcu przerażony, przeklinając własną pychę będącą sprawcą tej przygody, wspiał się na drzewo, iżby uchronić się przynajmniej od dzikiego zwierza. Noc przepędził na gałęzi, modląc się całym sercem do Pana Boga, dygocząc ze strachu & wyrzutów sumienia. O świecie wygłodzony, półżywy ze zmęczenia & przerażony powędrował dalej przez bory. Dziewięć godzin znów błądził, noga za nogą wlokąc się pośród drzew, aż tu las zaczął rzednąć & w końcu pokazała się rozległa łąka. Uradowany Kircher zagadnął pracujących tam żeńców, gdzie właściwie się znajduje: cel jego wędrowki był jeszcze o dwa dni marszu! Pokazano mu dobrą drogę, zaopatrzone w nieco jadła & nareszcie w pięć dni po wyruszeniu z Aschaffenburga dotarł do Geisy ku wielkiej uldze rodzicieli, którzy mieli go już za straconego.

A że ich cierpliwość się wyczerpała, ojciec postanowił, że Atanazy dalszą naukę pobierał będzie w kolegium jezuickim w Fuldzie.

Dyscyplina była tam, ma się rozumieć, surowsza niż w szkółce w Geisie, ale & magistrowie uczeńsi, tak że potrafili zaspokajać nienasyconą ciekawość młodego Kirchera. Było nadto miasto ze swą bogatą historią & architekturą, był kościół pod wezwaniem Świętego Michała z niesymetrycznymi wieżami, zwłaszcza zaś biblioteka - założona ongi przez Hrabana Maura, który oddał jej własny zbiór ksiąg - gdzie Atanazy spędzał większość wolnego czasu. Poza dziełami Maura, w szczególności oryginalnymi egzemplarzami „De Universo” oraz „O sławieniu Krzyża świętego”, zawierała wszelkiego rodzaju rzadkie manuskrypty, takie jak „Pieśń Hildebranda”, „Codex Ragyndrudis”, „Panarion” Epifaniusza, „Summa” Wilhelma Ockhama łącznie z egzemplarzem „Młota na czarownicy”, który Atanazy zawsze otwierał z drżeniem.

O księdze owej mówił mi często, ilekroć mianowicie wspominał swego przyjaciela z tamtych lat, Friedricha von Spee Langenfelda. Młody ów profesor nauczał w seminarium w Fuldzie, a dojrzawszy w Kircherze cechy, które go zawsze wyróżniały pośród rówieśników niebawem zapalał doń afektem. Dzięki niemu właśnie Atanazy poznał tę część biblioteki, gdzie trzymano księgi zakazane: Marcjalisa, Terencjusza, Petroniusza... Von Spee udostępnił mu wszystkich tych autorów, których czytania zakazuje niewiniątkom skromność; & choć owe wątpliwe doświadczenia umocniły tylko studenta w dążeniu do cnoty, nauczyciel w tym względzie winny pozostaje, albowiem „zepsucie jest jako smoła, ledwie jej dotkniesz, lepi się do palców”. Niemniej wybaczymy mu ujmę dla obyczajności, ponieważ miał także na Kirchera wpływ iście zbawienny: czyż co niedziela nie chadzali razem na Frauenberg - Górę Matki Bożej - aby się skupić w opuszczonym klasztorze & gwarzyć o świecie, podziwiając okoliczne góry & widniejące w dole miasto?

Co się tyczy „Młota na czarownicy”, Atanazy pamiętał doskonale, jaki gniew ogarniał jego mentora na okrucieństwo & bezprawie wobec rzekomo opętanych, których Inkwizycja zgarnęła w swoje sieci.

- Jakże się nie przyznać do zabicia ojca & matki albo do cielesnego obcowania z demonem - powiadał - kiedy zamykają ci nogi w stalowym bucie albo kłują po całym ciele długimi igłami, szukając miejsca niewrażliwego na ból, które zdaniem tych katów dowodzi zbratania się z diabłem?

I wówczas uczeń musiał uspokajać rozgorączkowanego mistrza, namawiając go do większej ostrożności w słowach. Von Spee zaczynał wtedy szeptać w górskim otoczeniu, cytując Ponzinibia, Weinerja bądź Corneliusa Loosa na poparcie swojej opinii. Nie jest pierwszym, upierał się, który krytykuje nieludzkie postępowanie inkwizytorów, już bowiem w roku 1584 Johann Ervich potępiał próbę wody, Jordaneus próbę igieł. Mówiąc to, von Spee od nowa się zapalał, podnosił głos, budząc strach w Atanazym, który tym bardziej go podziwiał za tę zgoła nierozsądną odwagę.

- Rozumiesz, przyjacielu - wołał von Spee z błyskiem w oku - na jedną prawdziwą czarownicę... choć skłonny wątpić nawet, czy w ogóle kiedykolwiek taka istniała... Na jedną zatem czarownicę przypada trzy tysiące słabych na umyśle, trzy tysiące pomyłków, których czyny bardziej do badania przez medyków się nadają niż przez inkwizytorów! Mądrzą się ci okrutnicy pod pretekstem dbałości o wiarę w Boga & religię, a obnażają jedynie własną potworną ciemnotę, składając bowiem takie wydarzenia na karb sił nieczystych, dowodzą, że nie znają naturalnych przyczyn, które rządzą wszystkim!

Przez całe życie Kircher mi powtarzał, jak urzekł go ów człek & jaki wpływ wywarł na ukształtowanie jego charakteru. Młody magister czytywał mu niekiedy wspaniałe swe poematy, po jego śmierci zebrane w tom „Zawzięty skowronek” oraz „Złota księga cnoty”. Kilka z nich Atanazy znał na wrywki & bywało, że wieczorami w Rzymie, gdy dopadło go przygnębienie, recytował je półgłosem, jakby odmawiał modlitwę. Szczególnie upodobał sobie „Bałwochwalcę”, którego egipskie zabarwienie nad wyraz lubił. Dziś jeszcze zdaje mi się, jakoby głos jego słyszał mówiący z powagą & umiarem:

*Nigdy nie byłem godzien w twych marzyć ramionach,  
Słodycz twoją, bogini, wielbię. Skoroś znużona  
Pytaniami moimi, ta męka wybawi ducha.*

*Litościwie daj, zanim zdołasz nareszcie słuchać,  
w swej łaskawości skąpej, zimnej, acz dobrotliwej,  
żebym pijany szczęściem czyli bólem rozdarty*

*Poznał war chwili tej. Gdy u Zbawcy czyn właściwej  
niedosiężności nabiera & gromadzi pogan wartych  
sumy, tobiem winien cześć: ścieżką swoją wędrując,  
szansy drugiej błagam, Jezu!*

Kończył z oczyma zamkniętymi & trwał w milczeniu, przejęty pięknem wersów bądź pogrążony we wspomnieniu przywołanym przez nie. Odchodziłem wtedy cicho pewien, że dnia następnego zastanę go we właściwym mu doskonałym nastroju.

W roku 1616 von Spee został przeniesiony do kolegium jezuickiego w Paderbornie, gdzie dokończyć miał nowicjat, Atanazy zaś, naraz zniechęcony do Fuldy, postanowił udać się do Moguncji, iżby tam oddać się studiom filozoficznym.

Zima roku 1617 nadzwyczaj była sroga. Moguncja tonęła w śniegu, wszelkie okoliczne rzeki & strumienie skuł lód. Atanazego pochłonęły studia filozoficzne, osobliwie zaś filozofia Arystotelesa, rozmiłował się w niej bowiem & przyswajał ją nad wyraz żwawo. Że jednak sparzył się w Fuldzie na towarzyszach studiów swoich, których grubiaństwa doświadczył w odpowiedzi na głębię swego umysłu, teraz pracował w sekrecie & nie obnosił się z nabytą wiedzą. Udając skromność, a wręcz ograniczoność, uchodził zatem za studenta pracowitego, acz niezbyt pojętnego.

Kilka miesięcy po przybyciu do Moguncji Kircher wyraził pragnienie wstąpienia do Towarzystwa Jezusowego. Jako że na pozór nie był zanadto uzdolniony, trzeba było interwencji ojca jego u Johanna

Coppera, prowincjała reńskiego, aby przyjęto jego kandydaturę. Dzień rozpoczęcia nowicjatu w Paderbornie przesunięto na jesień roku 1618, na czas po ostatnich egzaminach z filozofii. Atanazy nowinę przyjął z radością, w czym niemały udział z pewnością miała perspektywa spotkania przyjaciela, Friedricha von Spee Langenfelda.

Tej zimy w dobrym tonie była umiejętność ślizgania na lodzie, w której to sztuce Atanazy wykazywał taką biegłość, że grzesznego zadowolenia doświadczał, popisując się przed towarzyszami swymi. Pysnił się zwinnością & chyżością, pewnego dnia zaś, gdy ścigał się z jednym z młodzianków, stwierdził naraz, że zatrzymać się nie może na lodzie, aż nogi mu się rozjechały & grzmotnął na tafłę. Po bolesnym owym upadku, słuszną karą będącym za butę, została Kircherowi paskudna ruptura, na nogach zaś rany, które - spowodowane tą samą pychą - utrzymał w sekrecie.

W lutym rzezony rany jęły się zaogniać. Nijak nieopatrywane brzydło w końcu zaropiały, po czym w dni kilka nieszczęśnikowi nogi tak opuchły, że z najwyższym trudem chodził. Zima znów zaatakowała, Atanazy studia swe kontynuował w trudnych zatem warunkach, w chłodzie & trapieniu dolegliwościami, o których słówkiem nikomu nie pisał w obawie, że cofnięta będzie zgoda na przyjęcie do kolegium tak niechętnie wydana. On milczał, a stan nóg jego coraz się pogarszał, aż nadszedł dzień, gdy miał wyruszyć do Paderbornu.

Wędrował pieszo przez Hesję & była to istna droga przez mękę. Przez cały czas, w dzień & w nocy, miał Atanazy w pamięci rozmowy z Friedrichem von Spee na temat tortur zadawanych czarownicom przez inkwizytorów: tak właśnie teraz cierpiał & jedynie wiara w Jezusa & świadomość, że niebawem spotka przyjaciela, pozwalały mu znosić jako tako udręki ciała. Potwornie kulejąc, dowlókl się 2 października 1618 roku do kolegium jezuickiego w Paderbornie. Po pierwszych powitaniach von Spee, który miał

pomóc mu się rozgościć, zmusił go do wyjawienia sekretu. Wezwany pilnie chirurg, przerażony stanem jego kończyn, stwierdził gangrenę & oznajmił, że Kircher może się zżegnać z życiem. Sądząc, że owa śmiertelna dolegliwość już sama wystarczy, Atanazy przemilczał rapture. Johann Copper, przełożony kolegium, delikatnie go uprzedził, że będzie musiał wracać do domu, jeśli mu się nie polepszy w ciągu czterech niedziel. Za jego namową wszakże wszyscy odbywający nowicjat jęli zanosić modły do Pana Boga w intencji ulżenia nieszczęsnemu neoficie.

Po kilku dniach, kiedy to cierpienia Atanazego tylko się wzmagaly, von Spee poradził mu, aby odwołał się do Tej, która zawsze nad nim czuwała. W paderborneńskim kościele znajdował się bardzo stary posąg Matki Bożej mający, jak powiadano, cudowną moc & cieszący się ogromną sławą pośród okolicznego ludu. Kircher poprosił, by zanieść go do kościoła, gdzie przez noc całą błagał Maryję Panne, aby łaskawie wejrzała na strapienie chorego dziecięcia swojego. Około północy sprawdził na ciele, jak też wysłuchiwane są jego modły, & przepełniła go niewysłowiona radość. Nie wątpiąc dłużej, że ozdrowieje, modlił się do samego rana.

Przebudziwszy się kilka godzin później z głębokiego snu bez marzeń, stwierdził, że obydwie nogi ma wyleczone, a ruptura zniknęła!

Chirurg nadaremno wypatrywał ran przez szkła, aż musiał uznać, że nastąpił cud: ku swemu niebotycznemu zdumieniu znalazł tylko szramy & ani śladu zakażenia, które powinno było zabić pacjenta... I tak oto zrozumiałe stało się, dlaczego Atanazy przez całe życie szczególną czcią darzył Bożą Rodzicielkę - ani chybi wspomogła go przecie w takich okolicznościach na dowód, że Kircherowi pisana była służba Boża w łonie Towarzystwa Jezusowego.

**W DRODZE DO CORUMBY**

*„Pociąg śmierci”*



Siedząc na niewygodnej twardej ławce przedziału, Elaine patrzyła na krajobraz przesuwany się za oknem. Była piękną trzydziestopięcioletnią kobietą, szatynką o długich kręconych włosach spiętych w luźny, artystycznie niedbały kok. Odziana w lekki żakiet z krótkim rękawem z beżowego płótna i spódnicę do kompletu, założyła wysoko nogę na nogę, nie spostrzegłszy, a może nie przywiązując do tego wagi, że odsłania w ten sposób nieco bardziej, niżby wypadało, opaloną skórę lewego uda. Palila długą cygaretkę o smaku mentolowym, zaciągając się nieco afektownie, co dowodziło braku doświadczenia w tej materii. Na drugiej ławce prawie na wprost Elaine rozsiadł się wygodnie Mauro: nogi wyciągnął aż pod siedzenie naprzeciwko, ręce założył na kark, w słuchawkach na uszach słuchał kasety Caetana Velosa, kiwając głową w rytm muzyki.

Korzystając z tego, że Elaine głowę zwróciła do okna, z przyjemnością patrzył na jej uda. Nie co dzień można było podziwiać skryte zazwyczaj części ciała pani profesor von Wogau i niejedynemu studentowi uniwersytetu w Brazylii chciałoby być na jego miejscu! Tyle że jego wybrała, aby jej towarzyszył do Pantanal, ponieważ śpiewając obronił doktorat z geologii - ocena *ótimo*, proszę ja kogo! - miał urodziwą buźkę niepoprawnego uwodziciela i może także dlatego - choć to w zasadzie w jego mniemaniu się nie liczyło - że jego ojciec był gubernatorem stanu Maranhão.

„*Cavaleiro de Jorge, seu chapéu azul, cruzeiro do sul nopeito...*”. Mauro pogłośnił odtwarzacz jak zawsze, gdy zaczynał się jego ulubiony kawałek. Melodia go wciągnęła, zaczął podśpiewywać słowa, przeciągając końcowe „ou” tak samo jak Caetano. Uda Elaine wibrowały lekko, ilekroć pociąg podskakiwał; Mauro nie posiadał się z uciechy.

Elaine, wyrwana z zadumy przez nieumiarkowane zawodzenia towarzysza podróży, obróciła naraz głowę i przychwyciła jego spojrzenie na swoich udach.

- Lepiej zainteresowałby się pan widokiem okolic, przez które przejeżdżamy - powiedziała, układając inaczej nogi i obciągając spódnicę.

Mauro wyłączył walkmana i zdjął słuchawki.

- Przepraszam, nie dosłyszałem. Co pani mówiła?

- Nieważne... - odparła z uśmiechem ujęta naraz zaniepokojeniem na twarzy Maura. Miałki był z tymi rozczochranymi włosami i mieszanym chłopca, który coś przeskrobał. - Niech pan patrzy - dodała, wskazując na okno. - Z całego świata przyjeżdżają tu geolodzy, żeby to zobaczyć.

Mauro zerknął na istic księżycową równinę niespiesznie przesuwaną się za oknem; czerwone piaskowce o ciekawych kształtach wyglądały, jakby bez ładu i składu rozrzuciła je tam ręka olbrzyma.

- Mocno zerodowana prekambryjska rzeźba terenu - wyrecytował, lekko marszcząc brwi.

- Nieźle... Ale mógł pan dodać coś w stylu: „Wspaniałe widoki, których dzięki piękno uzmysławia człowiekowi, jak krucha jest jego obecność na Ziemi”. Niestety, takich rzeczy nawet w innej formie nie podają w podręcznikach geologii.

- Znowu pani sobie ze mnie żartuje - westchnął Mauro. - Wie pani przecież, że jestem czuły na tym punkcie, inaczej wybrałbym historię albo matematykę. A właściwie zaczynam czuć zmęczenie.

- Ja też. Ta podróż trwa i trwa... Możemy się tylko pocieszać, że wrócimy do Brazylii samolotem. Wydział nie ma zbyt wielkich funduszy, trzeba było pójść na kompromis. Ale w sumie nawet jestem zadowolona, że jedziemy tym pociągiem. Już dawno mi się to marzyło. Tak jak marzy mi się, że kiedyś pojedę koleją transsyberyjską.

- Pociąg śmierci! - wygłosił Mauro ponurym głosem. - Jedyne na świecie pociąg, z którym nigdy nie wiadomo: dotrze do celu czy nie?...

- Och, niech pan da spokój! - zaśmiała się Elaine. - Jeszcze pan zapeszy...

„Pociąg śmierci” - nazywany tak, ponieważ regularnie dochodziło w nim do jakichś wypadków albo atakowany był przez uzbrojone grupy - łączył Campo Grande z Santa Cruz w Boliwii. Tuż przed granicą stawał w miasteczku Corumbá, gdzie Elaine i Mauro mieli dołączyć do reszty ekipy: profesora Dietleva

H. G. Waldego, paleozoologa z uniwersytetu w Brasilii, i profesora Milтона Tavaresa Juniora, kierownika katedry i dziekana wydziału geologii. Aby oszczędzić na kosztach wyprawy, Elaine i Mauro przyjechali furgonetką do Campo Grande, ostatniego przed Mato Grosso miasta, gdzie dochodziła szosa. Samochód zostawili na przechowanie w miejscowym warsztacie - Dietlev i Milton, którzy w tę stronę lecieli samolotem, odbiorą go, by wrócić - po czym do świtu czekali na dworcu. Pociąg był jeżdżącym muzealnym zabytkiem: lokomotywa parowa zupełnie jak ongiś na Dzikim Zachodzie, wagony obłożone deskami w zgaszonych barwach i ostrołukowe okna. Przedziały przypominały kajuty na statku, a to dlatego, że były wyłożone politurowanym mahoniem i zaopatrzone w łazieneczkę z malutką umywalką z różowego marmuru. W jednym z kątów znajdował się nawet niklowany wentylator umocowany na przegubie, co

swego czasu musiało stanowić szczyt luksusu. W tej chwili kran z wielkim trudem kojarzył się z wodą, tak bardzo rdza go odkształciła, u okna klamka z zębatką obracała się wokoło, przewody wentylatora wydawały się powyrywane od niepamiętnych czasów, wszędzie zaś było tak brudno, na obiciach ławek widniało tyle plam, że naprawdę trudno było sobie wyobrazić, w jak odległych czasach całe to wyposażenie mogło oznaczać komfort i nowoczesność.

Upał zaczynał się dawać we znaki. Elaine otarła czoło i odkorkowała manierkę. Pod dobrotliwym spojrzeniem Maura usiłowała zapanować nad podskakiwaniem wagonu, kiedy w korytarzu rozległy się krzyki. Ponad zgrzyt kół na szynach wybił się kobiecy głos, jakby chciał cały świat wprawić w poruszenie. Kilka osób pobiegło w kierunku końca wagonu, za nimi w rozmątlanym odzieniu gruby konduktor, który dysząc, przystanął na chwilę w otwartych drzwiach przedziału. Krzyki nie milkły, w końcu dwukrotnie rozległ się głuchy łomot w ściankę działową, aż zadrzała szyba w oknie i zadzwonił wentylator, i wtedy ucichły jak nożem uciął.

- Zobaczę, co się tam dzieje - rzekł Mauro, podnosząc się z ławki.

Przecisnął się między bagażami zastawiającymi korytarz i dotarł do grupki otaczającej konduktora, który uzbrojony w toporek strażacki, zabierał się właśnie do rozbijania wagonu, a zaczynał od drzwi toalety.

- Co tu się stało? - zapytał Mauro jednego z wieśniaków, którzy flegmatycznie obserwowali zajście.

- Nic. Jakiś *desgraçado* obrobił kobietę. Zamknął się tam i nie chce wyjść.

Przez dziesięć minut konduktor szarpał się z zamkniętymi drzwiami. Brał zamach, walił toporkiem, aż podrygiwał mu tłusty podbródek, odsapnął sekundę i powtarzał to samo. Maura zdumiewał głęboki spokój w połączeniu z przemocą, a jeszcze bardziej towarzysząca temu aprobata, którą widownia wyrażała kiwaniem głowami.

Wreszcie drzwi ustąpiły i ujrzano za nimi pijacznę śpiącego na sedesie z portfelem na kolanach. Konduktor sprawdził zawartość skradzionego portfela, wsunął go do kieszeni, po czym wziął się za wyprowadzanie pijaczka z toalety. Przy pomocy jednego z pasażerów wytargał go na platformę, zaczekał kilka sekund i wypchnął przez drzwi. Z zapartym tchem

Mauro patrzył, jak mężczyzna spada na nasyp niczym worek piasku. Sturlał się na dół, przewrócił na bok, jakby mościł się wygodniej, położył rękę na policzku i spał dalej.

- Niech ja dopadnę łobuza, który mi zwędził klucz! - burczał konduktor, wieszając toporek na swoim miejscu. I biorąc Maura na świadka, dodał: - Takie porządne, solidne drzwi... Teraz już takich nie robią.

**FORTALEZA**

*Avenida Tibúrcio Cavalcante*

*Tatku kochany!*

*Nie martw się, nic złego się nie stało. Przeciwnie. Ale potrzebowałabym w tym miesiącu*

*drobnego zastrzyku w wysokości jakichś dwóch tysięcy dolarów. (Wypisz czek, jak wiesz, załatwiam wszystko na czarno dzięki mojemu Grekowi z Rio...) Już wyjaśniam dlaczego: wpadłyśmy z kumpelą na pomysł, żeby otworzyć fajną knajpkę w starym mieście, niedaleko brzegu morza. Taką dla młodych, z muzyką ao vivo co wieczór (Thais zna wszystkie kapele w mieście!) i atmosferą, żeby przyciągała studentów i artystów. Myślimy nawet, jeśli pójdzie, jak przewidujemy, o wieczorkach poetyckich i wystawach malarskich. Genialne, nie?*

*Żeby urządzić lokal, który znalazłam, trzeba nam właśnie tyle, o ile Cię proszę. Połowa będzie na czynsz za pierwszy miesiąc, reszta na stoliki, krzesła, napoje itd. Komu o tym mówiłam, każdy wyrażał się z entuzjazmem o naszym pomysle, więc knajpa bez problemu będzie funkcjonowała. Poza tym kazałam sobie trzy razy postawić tarota i trzy razy pod rząd Rydwan wyszedł na końcu. Pomyśl tylko!*

*Ale już widzę, jak burczysz o moje studia... Nie martw się, kończę drugi rok etnologii, a ponieważ będziemy się z Thais zmieniać w barze, na pewno będę miała czas chodzić na zajęcia w nowym roku.*

*Mama mi pisała, że jedzie do Pantanal szukać jakiejś skamieliny. Piekielnie jej zazdroszczę!*

*Mam nadzieję, że u Ciebie lepiej i jakoś się trzymasz, to znaczy... no, rozumiesz... Postaram się niedługo wpaść do Ciebie, obiecuję.*

*A jak tam Heidegger?*

*Ściskam Cię, bejjo, bejjo, bejjo!*

*Moema.*

Noc w kolorze błękitu pruskiego wypełniała całą przestrzeń widoczną przez szklane drzwi salonu; mocno pachniało jodem i jaśminem. Moema, siedząc nago na wielkiej słomianej macie, która przykrywała podłogę, raz jeszcze przeczytała list. Zęby jej szczykały, po ciele raz po raz przebiegał dreszcz, pocila się obficie. Trzeba szybko coś z tym zrobić. Wsunęła list do koperty, nakleiła znaczek i zaadresowała do ojca, starając się zapanować nad drżeniem. Później poszła do sypialni. Przystanęła na moment w progu, by popatrzeć na Thais leżącą nago na białej pościeli. Oczy miała zamknięte; przez jej podniecające bujne ciało również przebiegały chwilami zimne dreszcze. Wpadające przez żaluzje światło księżycza znaczyło jej skórę kojącymi pasami.

Moema usiadła na skraju łóżka, wsunęła palce w gęste włosy dziewczyny.

- Skończyłaś? - zapytała Thais, otwierając oczy.
- Tak, załatwione. Na pewno przyśle kasę. Niczego mi przecież nigdy nie odmawia.
- Wiesz, mam trochę głoda...
- Ja też. Zaraz to załatwimy.

Moema obróciła się do stolika nocnego i otworzyła hebanową kasetkę, w której trzymała kokę. Kartonową tulejką nabrała szczyptę proszku i wysypała na łyżkę; na tę łyżkę, czyli łyżkę z trzonkiem tak wygiętym, że trzymała idealnie poziom. Stwierdziwszy, że proszku jest za dużo, odsypała odrobinę do kasetki, do reszty zaś kroplomierzem nakapała wody.

- Uważasz, prawda? - szepnęła obserwująca ją Thais.
- Nic się nie bój. Nie mam chęci umierać, a tym bardziej zabijać ciebie - odparła Moema, zapalniczką ogrzewając łyżkę. - Nie taka ze mnie wariatka, jak by się wydawało.

Cieniutką strzykawką, której używały cztery godziny wcześniej, nabrała roztwór, postukała w nią, trzymając ją igłą do góry, delikatnie przesunęła tłoczek, by dokładnie usunąć pęcherzyki powietrza, po czym podniosła z podłogi cienki pasek od szlafroka.

- No to chodź, ślicznotko!

Thais usiadła i przysunęła krągłe przedramię do Moemy, która dwukrotnie owinęła jej pasek nad łokciem i zacisnęła, aż żyła wyszła na wierzch.

- Zaciśnij pięść - poleciła, zostawiając Thais trzymanie paska.

Nasączyła wacik perfumami i przetarła skórę w zgięciu łokcia. Wstrzymując oddech, aby zapanować nad własnym drżeniem, ostrożnie przysunęła igłę do żyły.

- Ale z ciebie szczęściara, że masz takie grube żyły!... Ze mną zawsze są korowody...

Thais zamknęła oczy. Nie znosiła widoku ostatniego etapu przygotowań, chwili, kiedy Moema odrobinę cofała tłoczek: w strzykawce pojawiał się wtedy cienki strumyk ciemnej krwi, jakby życie, uciekając z jej ciała, rozplątywało się w roztworze delikatnymi obłoczkami. Za pierwszym razem, dwa miesiące wcześniej, omal nie zemdląła.

- No, teraz. Popuszczaj wolniutko... - powiedziała Moema, zaczynając wstrzykiwanie.

Kiedy opróżniła strzykawkę do połowy, wysunęła igłę, przyłożyła tampon i zgięła ramię Thais.

- O Boże!... Szajs... Jezu, co za szajs!... - szeptała dziewczyna, osuwając się jak kłoda na plecy.

- Thais?!... Co z tobą?... Odpowiedz! Thais!...

- Och, nic... Jest okej... Dołącz do mnie szybko - wybełkotała z trudem.

Uspokojona Moema obwiązała sobie lewe ramię paskiem, który przytrzymała zębami. Nie mogła teraz zapanować nad drżeniem rąk. Zaciskając pięść z całych sił, kłuła się kilka razy, lecz nie mogła znaleźć żyły wśród siennej siatki naczyń krwionośnych widocznych pod skórą. Straciła w końcu cierpliwość i wbiła igłę w wypukłość żyły w nadgarstku.

Zanim skończyła wstrzykiwanie, już poczuła w ustach wyraźny smak eteru i perfum; a kiedy stopniowo zawęzał się wokół niej świat, czuła, że

zostaje oddzielona od żywych, rzucona w mroki własnego jestestwa. Metaliczny dźwięk wypełnił naraz jej głowę, rozchodząc się nieprzerwanym przytłumionym echem podobnym do tego, jakie słyszy się pod wodą, uderzywszy butlą z tlenem o przerdzewiały kadłub statku. A wraz z kwileniem wraku przyszedł strach. Potworny strach przed śmiercią, strach, że nie będzie odwrotu. Jednakże na samym dnie strachu tkwiło także kompletne lekceważenie śmierci, jakby wyzwanie niemal świadome i pełne rozpacz.

W poczuciu, że przybliżyła się do tajemnicy istnienia, Moema uczestniczyła teraz w stopniowym znikaniu wszystkiego, co nie było ciałem, jej ciałem i jej pragnieniem, aby zlać się w jedno z drugim ciałem zlaknionym rozkoszy, z wszystkimi ciałami obecnymi we wszechświecie.

Poczuła na piersi rękę Thais, która ciągnęła ją do tyłu. Położyła się, raptem skupiona całkowicie na tym cudownie upojnym dotyku.

Thais przygryzła jej wargę, pieszcząc dłonią jej kobiecość i swoją ocierając się o udo Moemy. Życie eksplodowało całym swoim na powrót widocznym pięknem; przyjemnie pachniało perfumami Givenchy.

**FAWELA PIRAMBÚ**

*Aleijadinho*

Z powodu niefortunnej gry słów - *ahijado* znaczy „ułomny”, a *alijado* „łżejszy” - nazywano go „Nelson Łżejszy”, a najczęściej po prostu „Łżejszy”. Był piętnastoletnim, może nieco starszym chłopcem, który wydawał się wszechobecny. Gdziekolwiek człowiek zdążał ulicami Fortalezy, zawsze w końcu dojrzał go na jezdni wśród samochodów zebrzącego o kilka cruzeirów. Do bioder niczego mu nie brakowało, całkiem ładny nawet był z niego chłopak - dłuższe włosy, duże czarne oczy, sypiący się wąsik. „Łżejsze” miał dopiero kończyny dolne: od urodzenia żył na kolanach, bo udo każdej nogi miał zrosnięte z golenią i zakończone kikutem stopy, tak że chodził jak zwierzątko, podpierając się na rękach. Odziany zawsze w te same łachmany, raczej w nieforemny zawój na biodrach niż spodenki oraz pasiastą koszulkę, którą podwijał powyżej piersi na modłę mieszkańców Nordeste, pętał się po całym mieście, zupełnie zręcznie

poruszając się w kurzu ulic. Z powodu ułomności zmuszony do mało urodziwych akrobacji, z daleka przypominał kraba, a ściślej mówiąc, kraba palmowego. Ponieważ ze względu na skwar panujący w mieście wszystkie samochody jeździły z opuszczonymi szybami, chłopak ustawiał się na dużych skrzyżowaniach, wyczekiwał, aż światła zmienią się na czerwone, i wtedy przypuszczał atak na kierowców. Dwie pokryte odciskami dłonie czepiały się naraz okna, potem pojawiała się głowa i błędny wzrok, a makabrycznie zdeformowane kończyny dolne kopały w przednią szybę albo na pozór próbowały się dostać do środka wozu. „Zmiłowania proszę, w imię Boga, litości!” - błagał *aleijadinho* groźnym tonem, aż ciarki latały po plecach. Pojawienie się takiego widziadła, które jakby wychyńło z czeluści ziemi, prawie zawsze wywierało zamierzony efekt: kierowcy natychmiast łapali się za portfele albo nerwowo grzebali w schowkach, żeby jak najszybciej pozbyć się sprzed oczu tego koszmaru. A że Nelson ręce miał zajęte, kazał sobie wkładać do ust wyfluszczone banknoty wydobyte nie wiadomo skąd. Opadał następnie na jezdnię i wsuwał pieniądze w spodnie, zerknawszy na nie szybko.

- Bóg zapłać! - cedził przez zęby, gdy samochód miał ruszać; a kierowca słyszał: „Idź do diabła!”, tyle pogardy wkładał w te słowa.

Był postrachem kobiet za kierownicą. Kto jednak znał go z widzenia i wręczył mu jakiś datek, zanim Nelson się o niego upomniał, dzięki czemu nie musiał się wspinać do samochodu, ten w podziękę otrzymywał uśmiech wart wszelkich błogosławieństw. W złe dni wołał coś zwęździć, niż na wysypisku miejskim walczyć ze ścierwnikami o nadgniły owoc albo kość do ogryzienia. Kradł zazwyczaj tylko jedzenie, a i to wyłącznie wtedy, gdy nie miał innego wyjścia, tak bardzo bał się okrucieństwa policjantów. Kiedy ostatnio dał się przyłapać na kradzieży trzech bananów, użyli sobie na nim do syta, traktując go jak śmiecia; pod pretekstem rewizji kazali mu się rozebrać do naga i dalejże szydzić z jego niedorozwiniętych genitaliów, dalejże powtarzać do znudzenia, że trzeba oczyścić Brazylię z takich wybryków natury. Potem na całą noc zamknęli go w celi z grzechotnikiem, jednym z najjadowitszych węży w regionie, aby doszło do „godnego ubolewania wypadku”... Cudem jakimś wąż zostawił go w spokoju, lecz Nelson godzinami płakał i rzygał ze strachu, aż w końcu zemdłał. Dotąd zresztą grzechotnik śnił mu się po nocach. Na szczęście z rana zjawił się Zé, „ciężarówiarz”, wpłacił kaucję i w ten sposób chłopak uniknął najgorszego.

Nelson darzył bezgranicznym podziwem i wdzięcznością tego dziwnego, zawsze pogodnego człowieka, który obdarował go przyjaźnią i od czasu do czasu odwiedzał nawet w faweli. Zawsze miał jakąś historyjkę do opowiedzenia, ba! czasem pozwalał nawet, by *aleijadinho* wsiadł do ciężarówki i zabierał go na przejażdżkę brzegiem morza. Nie dość, że był duży i silny, nie dość, że przemierzał świat wielką pstrokatą ciężarówką, to jeszcze Zé, wujek Zé, jak z serca go ochrzcił, miał w mniemaniu Nelsona istny skarb: samochód siostrzeńca słynnego Lampião! Białego willysa, którego kiedyś z dumą mu pokazał. Samochód nie był na chodzie, lecz Zé dbał o niego niczym o relikwię. Nelson w życiu nie czuł się szczęśliwszy niż w dniu, gdy pozwolił mu wsiąść do środka. Do okrytej sławą zdobyczy wojennej! Virgulino Ferreira da Silva *alias* Lampião, legendarny bandyta, który aż do roku 1938 wystawiał policję na pośmiewisko, zabrał willysa Antoniowi Gurgelowi, bogaczowi, kiedy ten nieopatrznie zapuścił się na teren Sertão. Wraz ze swoją bandą zaatakował Gurgela konno, jak zwyczajny dyliżans, uwięził go i zwrócił mu wolność w zamian za znaczny okup. Nelson wiedział wszystko o *cangaço* i o ludziach zwanych *cangaçeiros*, ponieważ nosili strzelby na karku, jak zaprzężone woły noszą jarzmo, czyli *cangalho*. *Cangaçeiros* nie chcieli dźwigać jarzma ucisku, wybrali wolność w Sertão i chociaż nieraz winchestery ciążyły im na ramionach, mieli przynajmniej świadomość, że to w słusznej sprawie - sprawiedliwości. Nelson, jak wszystkie dzieci z Nordeste zafascynowany postacią Lampião, gromadził, co się dało, na temat tego Robin Hooda plądrującego brazylijskie latyfundia. W norze, którą zajmował w faweli Pirambú, ściany z blachy i sklejki wytapetował mnóstwem zdjęć powycinanych z „Manchete” albo „Veja”. Widniał na nich Lampião w ujęciach ze wszystkich stron i na każdym etapie

życia i kariery, ale także Maria Bonita, jego kobieta, oraz główni towarzysze: Chico Pereira, Antônio Porcino, José Saturnino, Jararaca... Nelson na pamięć znał wyczyny każdego z nich, świętych męczenników, których często prosił o opiekę.

Ponieważ Zé obiecał mu, że wpadnie wieczorem, Nelson wrócił wcześniej do faweli. W Terra e mar zaopatrzył się w litr kaszasy, napełnił naftą dwie lampki zrobione z puszek po konserwach. Wybierał też pety i sporym nakładem sił mniej więcej wyrównał piasek, którym wysypana była izdebka. Teraz czekał na wujka Zé, patrząc na błyszczącego w półmroku ojca. Och, w żadnym razie nie można powiedzieć, że go zaniedbywał: stalowa sztaba wypolerowana była jak srebrny lichtarz; codziennie oliwiona i przecierana, odbijała płomyk palącej się przed nią wiecznej lampki.

Jak wielu mieszkańców Nordeste ojciec Nelsona pracował niegdyś w stalowni w Minas Gerais. Co wieczór opowiadał o piekle wielkich pieców, o niebezpieczeństwach grożących robotnikom z powodu pazerności pułkownika Joségo Moreiry da Rocha, właściciela stalowni. Aż kiedyś nie wrócił. Ciemno już było, gdy w nędznej lepiance, jaką w swej wspaniałomyślności patron przydzielał każdemu robotnikowi, zjawił się niezdarny grubas w garniturze i dwaj majstrowie. Powiedzieli, że był wypadek, że szczegółami opisali, jak ojciec, jego ojciec wpadł do kadzi z roztopionym metalem. I dodali, że nic z niego nie zostało prócz tej symbolicznej szyny, którą właśnie Nelsonowi przynieśli. Na pewno, zarzekali się, jest w niej kilka atomów jego ojca. Sztaba ważyła sześćdziesiąt pięć kilogramów, akurat tyle co zmarły, można zatem było urządzić mu kościelny pochówek. A ponieważ Nelson z żadnego tytułu nie miał już prawa mieszkać w chacie, dla równowagi poproszono, aby ją opuścił.

Miał wtedy dziesięć lat. Matka umarła przy jego narodzinach, reszta rodziny też od dawna nie żyła, on zaś z dnia na dzień znalazł się na ulicy. Różnie mu się wiodło od tej pory, ale zawsze miał ze sobą tę sztabę, o którą dbał jak o największy skarb.

Ten pułkownik to ostatni zgniłek, skurwysyn jeden i niech go szlag jasny trafi!

- Nic się nie martw, ojczulku - szepnął Nelson do stalowej sztaby. - Dopadnę go, możesz być pewien. Wcześniej czy później ten gnój pozna, co znaczy zemsta *cangaço*.

## ROZDZIAŁ II

*O wojnie straszliwej, co lat trzydzieści trwała & wstrząsnęła królestwami Europy. Gdzie Atanazy daje dowód rzadkiej odwagi wobec zdarzenia, które źle bardzo zakończyć się mogło...*

Atanazy dopiero co rozpoczął fizyki studiowanie, kiedy wojna do Paderbornu dotarła. Szóstego stycznia roku 1622, gdy Johann Copper nakazał swojej trzódce uciekać, było już nieomal za późno: żołdactwo otaczało bowiem budynki. Przełożony kolegium, jeno w swą odwagę & wiarę w Naszego Pana uzbrojony, sam wyszedł naprzeciwko najemnikom, aby ich nakłaniać do miłosierdzia. Płonącą pochodnią ciśnięto weń, zdołał się przed nią uchylić, jednakowoż luterzańskie diabły rzuciły się na świętego męża, poturbowały go dotkliwie, znieważając & upokarzając, po czym jak zwierza związały & powlokły do lochu. W takiej opresji się znalazłszy, szczęście miał, że od razu nie skończył na szafocie, jak się tyłu katolikom równie jak on niczemu niewinnym przydarzało.

Tymczasem, zgodnie z nakazem przełożonego, osiemdziesięciu uczniów jezuickich - oprócz pięciu kapłanów, którzy postanowili zostać - zbiegło z kolegium grupkami w przebraniu mieszczańskim. Piętnastu zostało pojmanych & wrzuconych do lochu, gdzie już przebywał prowincjał. Atanazy &

Friedrich z jednym jeszcze studentem zdołali opuścić miasto bez przeszkód.

Siódmego dnia lutego 1622 roku dotarli do Renu nieopodal Dusseldorfu. Rzeka od niedawna dopiero skuta była lodem, wszelako miejscowi wieśniacy wskazali trzem wędrowcom przejście, gdzie lód grubszy nieco pozwalał jakoby przedostać się na drugi brzeg: co kłamstwem było bezwstydnym, dyktowanym jeno nadzieją zysku! Praktykowano bowiem w tamtej okolicy, iż jakiś biedak każdego roku za opłatą przeprowadzał się przez rzekę, sprawdzając, czy lód dość już jest gruby. Trzej obcy byli zatem dla wieśniaków nie lada gratką, a nicponie ci oszukali ich bezlitośnie, pragnąc jedynie grosza nieco oszczędzić. W tamtych czasach nędzy & upadku obyczajów życie ludzi, *a fortiori* zaś nieznanym, którzy zdawali się podłymi dezerterami, mniej było warte niżli główka kapusty. Chciwi chłopcy pokazali im zatem drogę, którą jako powiadali, wszyscy chadzają suchą nogą na drugi brzeg. Ufni jezuici uwierzyli gadaniu & ruszyli naprzód.

W swej młodzieńczej zapalczywości Kircher, nawykły nadto dojazdy po lodzie, wysforował się na czele, o dobre dwadzieścia kroków poprzedzając towarzyszy, aby przynajmniej oni byli bezpieczni. Pogoda tymczasem szybko się pogarszała. Od północy nacierały gęste tumany mgły, strasząc zasłonięciem brzegu, toteż Atanazy przyspieszył kroku. Prawie na środek rzeki doszedłszy, z przerażeniem spostrzegł, że nurt jeszcze nieskuty tam lodem. Zawrócił czym prędzej, iżby dołączyć do reszty kompanii & ostrzec o niebezpieczeństwie, aż tu ze złowrogim trzaskiem lód pękł pomiędzy nim a towarzyszami & ta część, na której się znajdował, jęła dryfować ku środkowi. Wrzeszcząc ile sił w płucach, Atanazy zniknął pośród mgły na niesionej z prądem krze.

Lękając się o swe życie, młodzian jął modlić się żarliwie. Jego lodowa tratwa czas jakiś płynęła w dół rzeki, na koniec szczęśliwie przybliżyła się do części zamrożonej nurtu, na którą Kircher zręcznie przeskoczył. Bezwłocznie ruszył naprzód, aby jak najszybciej dojść do lądu. Był od niego ze dwadzieścia łokci raptem & dziękował właśnie Panu Bogu, że pozwolił mu zaiste łatwo wyjść z tak groźnej na pozór opresji, gdy lód znowu się przed nim rozstał. Siny z zimna, mocno przy upadkach potłuczony, Atanazy nie wahał się ani sekundy: skoczył do lodowatej wody & kilkoma ruchami rąk, w które włożył całe swe umiejętności pływaka, zdołał dotrzeć do brzegu & półżywy wspiąć się na niego.

Przemoczony do suchej nitki, dzwoniąc zębami, kierował się do miasta Neuss, gdzie znajdowało się kolegium jezuickie. Po trzech godzinach marszu, istnej drogi krzyżowej, zadzwonił do bramy kolegium & osunął się bez zmysłów w ramiona furtiana. Kiedy przytomność mu wróciła, z radością ujrzał swych towarzyszy wędrowni, którzy także w innym miejscu zdołali się przedostać na drugi brzeg Renu, a że mieli go już za zmarłego, płakali teraz ze szczęścia, widząc go całym & zdrowym.

Po trzech dniach zasłużonego odpoczynku bez popasania dotarli do Kolonii.

W tym właśnie mieście von Spee otrzymał święcenia kapłańskie. Za jego światłą radą Atanazy zdecydował się porzucić pozorną pokorę: nawet gdyby jego wiedza & umiejętność refleksji niektórym miały być cierniem w oku, zbyt były ważne, aby je ukrywać. W parę miesięcy Atanazy w Kolonii celująco zakończył studia filozoficzne, oddając się jednocześnie samodzielnym studiom fizycznym, językowym & matematycznym. Grono profesorskie, będące doprawdy pod wrażeniem jego niepoślednich zdolności, postanowiło posłać go do Bawarii, do kolegium w Ingolstadcie, aby pogłębił wiedzę w zakresie nauk humanistycznych & uczył tam starożytnej greki. Posłuszny nakazom położonych Atanazy w końcu roku 1622 opuścił Kolonię, wyjeżdżał wszakże z ciężkim sercem: zostawiał tam Friedricha von Spee, a wraz z nim radość życia & używania młodości. Nigdy więcej się nie zobaczyli.

Przez trzy lata Kircher doskonalił się w nieprzeliczonych dyscyplinach. Pod przewodnictwem Christopha Scheinera, o którego reputacji nie trzeba nikogo przekonywać, uprawiał bez wytchnienia astronomię oraz nauki matematyczne & wkrótce dorównał wiedzą swemu mistrzowi. Podobnie było z fizjologią, alchemią & wieloma innymi dziedzinami, równocześnie pogłębiał znajomość języków. W

wieku dwudziestu trzech lat Kircher bez trudu przyćmiewał wszystkich kolegów, którzy zgodnie przyznawali, że ma niewiarygodną pamięć, a ponadto geniusz wynalazczy & niepoślednie zdolności mechaniczne.

Ingolstadt podlegał wówczas jurysdykcji Johanna Schweickharta, arcybiskupa mogunckiego & elektora Świętego Cesarstwa Rzymskiego Narodu Niemieckiego. I oto na początek marca zapowiedziano przybycie delegacji z rozkazu owej osobistości. A jako że takie wizyty nie zdarzały się często, miasto postanowiło przyjąć deputację z wielką pompą.

Jezuici, a w szczególności Kircher, wnieśli swój wkład w organizację uroczystości. Atanazy ułożył kilka widowisk własnego pomysłu: pokazał w nich pewne niewidziane dotąd osobliwości, które wysłannicy arcybiskupa ocenili jako zgoła cudowne. Przed oniemiałą widownią wytworzył na wolnym powietrzu złudzenia optyczne, ukazując na parkowych drzewach & na chmurach fantastyczne kształty, takie jak chimery, sfinksy & smoki; zademonstrował krzywe zwierciadła pokazujące odbicie do góry nogami albo postarzone czy też odmłodzone; na koniec odbył się pokaz fajerwerków, które wybuchając, przybierały kształty cesarskich orłów, a także innych zwierząt heraldycznych. A że kilka nieoświeconych bądź zawistnych duszyczek wysunęło oskarżenie o czarną magię, Kircher musiał pokazać instrumenty mezoptyczne, katoptryczne & parastatyczne, którymi się posłużył w widowisku, & objaśnić legatom ich działanie. Wszystko to były instrumenty przezeń wymyślone & opisane później szczegółowo w jego „Mundus Subterraneus” oraz „Ars Magna Lucis et Umbrae”. Ambasadorów zaś swoim *spectaculum* wprowadził w zachwyt taki, że aż do odjazdu nie pozwolili, by młodzieniec odstąpił od nich choćby na krok.

Opowieści wysłanników tak olśniły Jego Eminencję, że wezwał Kirchera, ażeby bezzwłocznie stawiał się przed nim.

Atanazy przybył zatem do starca do Aschaffenburga & wywarł na nim doskonałe wrażenie. Natychmiast Johann Schweickhart umieścił go na swym dworze, gdzie większość czasu Kircher poświęcał na wymyślanie & konstruowanie osobliwych machin, by zabawiać arcybiskupa w chwilach wytchnienia. Zbudował tedy statwę, która ruszała się & mówiła jak żywa, a między innymi cudami objaśnił także cudowne właściwości kamienia magnetycznego, szczegółowo pokazując, jak można go wykorzystywać dla leczenia chorób nerwowych albo przekazywania myśli na odległość. Na prośbę Johanna Schweickharta zaczął zresztą spisywać swoje refleksje dotyczące się magnetyzmu, które lat kilka później przyoblekły się w kształt dzieła jego pierwszego: „Ars Magnesia”.

Kirchera obarczył także arcybiskup zadaniem wykonania pomiarów topograficznych niektórych ziem księstwa. Atanazy uwinął się z tym w trzy miesiące & szykował się, by szerzej kontynuować owe prace, gdy niespodzianie jego protektora Pan Bóg wezwał przed swoje oblicze.

Z końcem roku 1625 Kircher wrócił do Moguncji, gdzie poświęcił się teologii scholastycznej. Święte teksty zgłębiał gorliwie, nie zaprzestając przy tym prac swoich naukowych. Nabywszy jedną z pierwszych lunet do obserwacji nieba, większą część każdej nocy spędzał na oglądaniu gwiazd. Pewnego pogodnego poranka zamknął się w swej celi, by oddać się obserwacji Słońca. Idąc za wskazówkami Scheinera & Galileusza, przystawił

lunetę do otworu wyciętego w okiennicy, a pod soczewką wklęsłą umieścił arkusz białego welinu, tak by na rzeczonym arkuszu wyraźnie było widać Słońce. I kiedy oglądał skłębione morze ognia na papierze, spostrzegł liczne plamy, które obraz zanieczyszczały, wyłaniając się, po czym znikając. Tak widok ów go zadziwił, że odtąd astronomię zaliczał do dziedzin, którym szczególnie się poświęcał.

Pewnego poranka w maju 1628 roku, błądząc pośród półek kolegijskiej biblioteki, odkrył dzieło Mercatiego poświęcone obeliskom ustawionym w Rzymie staraniem papieża Sykstusa V. Natychmiast obudziło to ciekawość Atanazego, jął zatem spekulować na temat znaczenia licznych hieroglifów przedstawionych na ilustracjach owej księgi. Zrazu wziął je za ozdoby niedawno uczynione, lektura



działa wszakże wkrótce mu uświadomiła, że te figury czy też inskrypcje widnieją na egipskich obeliskach od niepamiętnych czasów & że nikt jeszcze dotąd nie zdołał ich odczytać. Zesłana przez Bożą Opatrzność tajemnica ta kosztować będzie Kirchera dwadzieścia lat nieprzerwanej pracy, którą zwieńczy szczęśliwe zakończenie.

Z końcem ostatniego roku studiów, w grudniu 1629, Kirchera posłano do Würzburga, aby wykładał tam nauki matematyczne, moralność & języki biblijne. W tym to kolegium, gdzie właśnie zaczynał nowicjat, po raz pierwszy go spotkałem.

Siedząc w sali lekcyjnej, czekaliśmy na nowego nauczyciela matematyki, niejakiego ojca Kirchera, o którym wiele dobrego nam powiedziano, lecz naigrawaliśmy się już z niego, uprzedziwszy się doń z powodu owej doskonałej reputacji. Pamiętam, że nie był ostatni w szydzeniu, daleko się posuwając w kpinach na temat tego „kościelnego papy”, którego Niebiosa nam zsyłały wraz z jego widowiskami. Wszelako kiedy się zjawił & wszedł na katedrę, nie musiał odzywać się ani słowem, aby cisza zapadła. Ojciec Atanazy miał dwadzieścia siedem lat & na obliczu harmonię, jakiej nigdy dotąd nie widział, harmonię skupiającą uwagę jakby przez powinowactwo duchowe jakoweś albo magnetyczne przyciąganie: szerokie szlachetne czoło dowodzące inteligencji, prosty nos, jaki ma Dawid Michała Anioła, usta mocno zarysowane, o cienkich czerwonych wargach ledwie ocienionych krótkim zarostem - przez całe życie tak właśnie przycinanym - a pod gęstymi, prawie poziomymi brwiami duże czarne przepastne oczy, w których ustawicznie jarzyło się porywające odbicie umysłu ciekawego, zawsze gotowego do ciętej riposty albo polemiki.

Przedstawił się nam po łacinie w formie godnej Cycerona & zaczął lekcję, której każde słowo wryło się w mojej pamięci. Owego dnia roztrząsaliśmy problem, z ilu też Ziemia składa się ziaren piasku, przyjąwszy, że z niego jest zbudowana. Kircher wszedł między nasze ławy, każdemu wręczając szczyptę piasku dobywanego z kieszeni w sutannie, skończywszy zaś, polecił, aby wykreślić w kajecie prostą długości jednej linii. Następnie na owej prostej kazał ułożyć jedno obok drugiego tyle ziarenek piasku, ile się zmieści. Oniemieliśmy ze zdumienia, gdy się okazało, że kreska długa na jedną linię zawsze mieści dokładnie 30 ziaren piasku! W oparciu o to doświadczenie, które jak zapewnił, z identycznym wynikiem powtarzać można ze wszystkimi ziarnami piasku z całego świata, zaczął swój wywód.

Wyobraźmy sobie kulę o średnicy jednej linii - taka kula pomieści 27 000 ziaren piasku. Kula o średnicy cała pomieści 46 656 000 ziaren, stopy - 80 621 568 000, mili - 272 097 792 000 000 000 000, a idąc dalej, gdyby Ziemia składała się z ziaren piasku, byłoby ich 3 271 512 503 499 876 784 372 652 141 247 182 & 0,56, ponieważ jej średnica wynosi 2 290 mil, zawiera zatem 12 023 296 769 & 0,3 kuli o średnicy jednej mili...

Nietrudno wyobrazić sobie nasze zdumienie takim ogromem wiedzy, a szczególnie łatwością, z jaką się nią z nami dzielił. Od tego dnia darzyłem ojca Kirchera admiracją & szacunkiem, których dotąd nie udało się nadważyć. Szukałem jego towarzystwa o każdej porze, on zaś łaskawie zaszczycił mnie jeśli nie przyjaźnią, to przynajmniej życzliwą protekcją. Za fawor ów płaciłem znośnięciem zazdrości kolegów & szykan rozmaitego autoramentu, o czym nie miejsce tu mówić, wszystkim jednak wybaczył chętnie, zważywszy na niewyobrażalny honor, jakiegom dostąpił.

Tak upłynęły dwa szczęśliwe zaiste lata. Kircher chwalił sobie Würzburg & nieprzerwanie prace własne kontynuował, nauczycielskich obowiązków nie zaniedbując. Korespondencję utrzymując z najznamienitszymi osobistościami swoich czasów oraz z misjonarzami Towarzystwa Jezusowego rozproszonymi po całym globie, dowiadywał się nowinek wszelakich naukowych. A żeśmy żyli w księstwie głęboko katolickim, okrutna wojna, którą toczyli ze sobą zwolennicy reformy & jej przeciwnicy, wydawała nam się nader odległa, nawet jeżeli jej najstraszliwsze echa regularnie do nas docierały.

I wydawało się, że czas nadal płynął będzie w spokoju wypełniony studiami, gdy oto Atanazego Kirchera doświadczenie spotkało osobliwe: pewnej burzliwej nocy, wyrwany ze snu dźwiękiem

jakowymś niespotykanym, ujrzał za oknem światłość purpurową. Czym prędzej z łóżka wyskoczył & otworzył lukarnę, aby sprawdzić, co też to jest. Ku swemu niebotycznemu zdumieniu spostrzegł, że dziedziniec kolegium zapełniają uzbrojeni mężowie ustawieni w szyku wojskowym! Zdjęty przerażeniem pospieszył do sąsiedniej celi, jednakowoż jej mieszkaniec pogrążony był we śnie tak głębokim, że niepodobna go było obudzić, także inni bracia, których próbował ostrzec. Przestraszywszy się, że cierpi na halucynacje, odszukał mnie & poprowadził w miejsce, skąd widać było dziedziniec. Żołnierze zniknęli!

W ciągu następnych dwóch tygodni Gustaw Adolf, król Szwecji, opowiedział się w wojnie po stronie reformatorów. Sprawa katolicka w nieszczęśliwym położeniu się znalazła, gdy po bitwie pod Breitenfeldem & zwycięstwie nad hrabią Tillym armia szwedzka wkroczyła do Frankonii. Doszły nas wówczas wieści, że te diabły maszerują na Würzburg! Spełniały się oto najgorsze obawy Kirchera... Czasu-śmy mieli ledwie tyle, by zebrać najniezbędniejsze rzeczy & wziąć nogi za pas. Würzburg nie miał załogi do obrony, nie miał zapasów ani żadnego wsparcia, kolegium zatem opustoszało w dwadzieścia cztery godziny. Wróg zbliżał się do miasta, a powiadano, że Szwedzi nijakiej litości nie mają dla jezuitów. Nas tedy również ogarnął ów nieopisany wojenny chaos: trzeba nam było ratunku szukać w Moguncji - & tak oto 14 października 1631 roku uciekliśmy z Würzburga niczym nędzarze. Mistrz mój zostawić musiał manuskrypt „Institutiones Mathematicae”, dzieła będącego owocem wielu lat studiów, & tej straty przez kilka miesięcy nie mógł odżałować.

## ALCÂNTARA

*Inteligentny tyleczek, tyleczek  
bardzo inteligentny...*

Ilekoć Eleazard miał stanowczo dosyć tkwienia przed komputerem, przelączał go w stan czuwania, przez chwilę obserwował setki gwiazdek mrugających na czarnym ekranie monitora, po czym zasiadał przed wielkim

lustrem w salonie. I ćwiczył sprawność manualną piłeczkami pingpongowymi, które nosił po kieszeniach. Nic nie oczyszczało mu tak umysłu jak powtarzanie ruchów sprawiających, że przedmiot znikał albo się ukazywał. Patrzył, jak w palcach pojawia się piłeczka, potem druga i kolejne, korygował ułożenie dłoni, starając się o coraz większy automatyzm w palcach. Tę zabawę uprawiał dopiero od kilku miesięcy, od dnia, kiedy na jednej z uliczek São Luís podziwiał niesamowitą zręczność kuglarza: brudny wychudzony *matuto*, zupełnie bezzębny, wsuwał sobie do nosa niewiarygodną liczbę długich gwoździ ciesielskich. Nie tyle sam wyczyn zachwycił Eleazarda, ile perfekcyjne panowanie nad ciałem oraz iście matematyczna elegancja ruchów tego człowieka. Natychmiast zapragnął natychmiast wyćwiczyć się w takich sztuczkach, przetrząsnął zatem wszystkie księgarnie w mieście w poszukiwaniu jakichś podręczników dla początkujących. I bardzo się rozczarował ubóstwem zdobyczy.

Większość książek na temat prestidigitatorstwa ujawniała tylko nędzne sztuczki mogące co najwyżej zwiść dziecko. On natomiast chciał się dowiedzieć, jak z kapelusza wypuścić gołębia albo z ucha obcego człowieka wyciągać kilometry chustek - chciał poznać numery graniczące po prostu z cudem. Wyczerpawszy własne możliwości, napisał do Francji z prośbą o przysłanie książki, która by zaspokoila jego potrzeby.

W odpowiedzi Malbois przysłał mu piękne wydanie jedynej książki napisanej przez Roberta-Houdina oraz „Podstawy techniki dla prestidigitatorów” przypominające podręcznik języka migowego, tyle tam było zdjęć palców i wnętrza dłoni. Obaj autorzy zgodnie stwierdzali: tylko długie ćwiczenia giętkości palców i absolutne panowanie nad ruchami mogą zapewnić osiągnięcie prawdziwej maestrii. Eleazard trenował więc wedle tej zasady, sumiennie powtarzając wszystkie ćwiczenia, jego zdaniem w szczegółach

podobne do sztuki walki.

List od Moemy dość go zaniepokoił. Nie z przyczyn finansowych, stać go było, na siebie bowiem niewiele wydawał, nie pochwalał jednak bez troski córki. Przebolewał jakoś, że napisała do niego, ponieważ miała interes - ostatecznie taka już jest rola ojców: powinni wspierać dzieci, które egoistycznie powołali na ten świat. Ale że wymyśliła sobie knajpę!... I to ona, osoba niezdolna zapanować nad własnym studenckim budżetem! Wolałby, żeby Moema wyciągała od niego pieniądze na podróże albo nowe kiecki, to należy do porządku rzeczy i jest przywilejem jej wieku, lecz ona za każdym razem wpadała na nowy pomysł, co jeden, to bardziej pokrecony. Najgorsze, że zdawała się wierzyć w ten pomysł z barem, podobnie jak dwa miesiące wcześniej zapaliła się do kariery modelki, „która się przed nią otwierała”, chociaż on słowa więcej na ten temat nie usłyszał. Trzy tysiące dolarów na portfolio i nieprzewidziane wydatki... Co za dziecko! pomyślał z uśmiechem, wzruszony naraz niewinnością Moemy. A może to ja znalazłem się właśnie na granicy? Kiedy człowiek zaczyna zauważać wybryki młodych, kiedy oburza się nimi czy nawet zwyczajnie je wybacza, znaczy to, że po prostu się zestarzał. Cierpliwości zatem. Rano wysłał jej czek i dalej będzie spełniał kaprysy córki, dopóki Moema nie znajdzie swojej drogi. To jedyne wyjście, żeby nigdy nie miała poczucia, że coś jej się nie powiodło przez innych albo z powodu pieniędzy, żeby kiedyś wzięła pełną odpowiedzialność za bieg swojego życia. Czy nie tak właśnie człowiek staje się dorosły?

Przy tej dość melancholijnej refleksji poczuł głód. I zapragnął zobaczyć ludzi, porozmawiać z kimś. Postanowił zjeść kolację w mieście.

Soledade zirytowała się na tę wieść. Przygotowała już wieczorny posiłek, toteż zaraz się nabzdyczyła. Eleazard bezskutecznie próbował ją ugłaskać - skrzywiła się tylko pogardliwie, po czym uciekła z kuchni.

Zerknął na piec i ujrzał pływający w tłuszczu omlet: cieszyła się widać, że przyrządziła jedną z potraw, których gotowania starał się ją nauczyć Raffeneł. Marny z niego nauczyciel, pomyślał Eleazard, chyba że ona nie ma za grosz talentu. Wzruszył ramionami z niechęcią.

Nad Alcântarą zapadał wieczór, miasto ogarniała niepokojąca szarość, gęstsza i ciemniejsza niż chmury, które popołudniem zasnuwały niebo. Zanosilo się na deszcz. Eleazard przyspieszył kroku, uważając, by nie wdepnąć w odchody zebu czyhające gdzieś na źle wybrukowanych uliczkach. Za kościołem Świętego Mateusza skręcił w lewo i niebawem znalazł się na *rua da amargura*, ulicy goryczy, nazywanej tak, ponieważ wicehrabia Antonio de Albuquerque, dawny właściciel pałacu, wzdłuż którego Eleazard teraz szedł, rozkazywał niewolnikom kłaść się w błocie, aby jego małżonka i córki mogły suchą nogą przejść na niedzielne nabożeństwo. Jakieś łachmany wisiały w szerokich oknach, z których odpadały kamienie wykruszone korzeniami chwastów. Już tylko spękane resztki zostały ze zdobionych na biało i niebiesko ślicznych *azulejos* zdobiących najpiękniejszy niegdyś pałac w mieście. Niech trąd czasu dopełni swojego

dzieła, pomyślał Eleazard, niech obróci wniwecz to wstrętne świadectwo ludzkiego barbarzyństwa.

Doszedłszy do ulicy Silva Maia, popatrzył na kościół Różańca Świętego. Jego biel i zieleń odcinała się od ołowianego nieba. Postawiony na pięknym tarasie wydartym dżungli - zarośniętym jednak zielskiem, ponieważ nie położono tam bruku - zdawał się ciągnąć całą wilgoć z ziemi, czego dowodziły wielkie zacieki koloru ochry sięgające do połowy wysokości fasady. Z pozamykanymi okiennicami, frontonem zabitym, świątynia tchnęła strachem i opuszczeniem. Za nią gęstwa drzew mangowych poruszała się ociężale, ogarnięta szeleszczącym drzeniem, które przebiegało korony z jednego końca na drugi.

Eleazard pchnął drzwi hotelu Caravela - „Czysto i wygodnie. Siedem ładnie umeblowanych pokoiów” - trącając bambusowe tuby, które zwisały u sufitu. Na spotkanie wyszła mu młoda Kreolka, wyciągając ramiona, z twarzą rozjaśnioną szerokim uśmiechem zadowolenia.

- Lazardinho! Co za miła niespodzianka... *Tudo bem?*
- *Tudo bom.*

Eleazard naprawdę się cieszył, wymawiając słowa rytualnego powitania; po nich życie, jakby ukojone ich magią, wydawało się naraz znacznie miłsze.

- I co powiesz? - zagadnął Alfredo, obdarzywszy go szczerym uściskiem dłoni. - Jeśli chcesz coś zjeść, mamy świeżutkie gamby. Osobiście je kupowałem prosto z kutra.

- Niech będą gamby...

- Rozgość się, a ja powiem Socorrze.

Eleazard poszedł na wewnętrzny dziedziniec. Kilka stolików rozmieszczonych pod rozległym zadaszeniem werandy stanowiło restaurację. Trzy ogromne bananowce i jakiś nieznyany mu krzew zasłaniały częściowo schody prowadzące do pokoi na piętrze. Goła żarówka okrywała już żółtym światłem nagą przestrzeń.

Usiadłszy, Eleazard zjrzał do wypisanego na maszynie krótkiego menu, które leżało na stole. Niezmieniane od miesięcy informowało lakonicznie:

*Filé de pescada, Camarão empanado,  
Peixadas, Tortas, Saladas.  
Preço p/pessoa: O melhor possível...  
FAVOR FAZER RESERVA*

Cały urok Alfreda polegał na tym jadłospisowym minimum. Trzy dania z ryb i krewetek, tarty i sałatki. A jeszcze liczba mnoga była, delikatnie mówiąc, mocno na wyrost, ponieważ z wyjątkiem sytuacji szczególnych - **PROSZĘ DOKONYWAĆ REZERWACJI!** - zamówić można było wyłącznie danie dnia, to znaczy to, co jedli Alfredo i jego młoda żona. Ceny natomiast - „Najlepsze, możliwie niskie” - w pełni zależały od kaprysów inflacji (300% rocznie) i od głowy klienta.

Otrzymawszy w spadku ten wiekowy dom, Alfredo i Eunice postanowili przekształcić go w hotel. Nie tyle z myślą o zrobieniu majątku - aczkolwiek hołubili takie złudzenia w pierwszych dniach euforii - ile z upodobania do życia prostego i pragnienia, by tchnąć życie w Alcântarę. Będąc zwolennikami rozwiązania *alternatywnego*, które to słowo często padało z ich ust jako panaceum na „burżuazyjne zamknięcie” i „opanowanie planety przez imperializm amerykański”, żyli sobie jako tako w swojej ostoji spokoju i humanizmu. W sezonie zawsze jacyś turyści, miłośnicy architektury kolonialnej, zapomnieli się i nie zdążyli na ostatni statek, lądowali zatem w ich hotelu, jedynym w Alcântarze, dzięki czemu Eunice i Alfredo skromnie mogli wraz z restauracją przetrwać resztę roku. Z dobroci serca raczej niż z potrzeby owo sympatyczne stadło zatrudniało starą Socorrę w charakterze kucharki i do pomocy przy sprzątanii pokoi.

Alfredo wrócił z dwiema szklankami i dwiema dużymi butelkami piwa.

- Idiotycznie schłodzone! Takie jak lubisz - powiedział, siadając przy stoliku Eleazarda. Ostrożnie nalał do szklanek i podniósł swoją: - *Saúde!*

- Zdrowie! - zawtórował Eleazard, trącając się z Alfredem.

- Ha! ale nowiny pewno nie słyszałeś? Wynajęliśmy pokój!

W pełni pory deszczowej było to wydarzenie wystarczająco niezwykle, by Eleazard się zdziwił.

- Naprawdę, przysięgam! - zaklinał się Alfredo. - Włoszka. Jest dziennikarką jak ty i...

- Nie jestem dziennikarzem - sprostował Eleazard. - Korespondent prasowy to nie to samo. -

Przynajmniej on tak uważał, niemniej stwierdził

teraz, że przesadził z tą mimowolną kokieterią, i dodał: - Chociaż w sumie to ludek porównywalny do sępów...

- Za surowy jesteś i dla siebie - przerwał mu Alfredo lekko zniecierpliwiony - i dla tego zawodu. Gdyby nie ty, gdyby nie dziennikarze, czy ktoś by wiedział, co tu się dzieje?... No, a ona ma na imię

Loredana i wierz mi, naprawdę kawał laseczki! Gdybym nie był żonaty... ajajaj!... - Do słów dołączył znaczące mrugnięcie i serię pstryknięć.

- Musisz mnie kiedyś nauczyć, jak to robisz.

- Trzeba tylko wziąć dobry zamach - tłumaczył Alfredo. - Patrz: najważniejsze, żeby ręka była wiotka. Wstrząsasz nią, jakbyś chciał się jej pozbyć, palce wtedy uderzają o siebie i wydają dźwięk jak kastaniety.

Na oczach rozbawionego Alfreda Eleazard bez sukcesu próbował wykonać tę sztuczkę. Podał się, gdy pojawiła się Eunice z tacą.

- Witaj, Lazardinho! - powiedziała, kładąc na stole talerz panierowanych krewetek. Nachyliła się i poufale cmoknęła go w policzki. - Całe wieki się nie pokazywałeś, łobuzie!

- Raptem dwa tygodnie - bronił się Eleazard. - A właściwie dwanaście dni.

- Kto kocha, nie liczy czasu. Ale wybaczymy. Spróbuj tylko tych ślicznotek - zachęciła, wskazując gamby.

- Jak zwykle pycha! - pochwalił Eleazard z pełnymi ustami.

- No to smaczno. Zostawiam cię.

- Ja też - rzekł Alfredo, podnosząc się na dyskretny znak żony.

- Nie, nie, zostań. No już, zrób mi tę przyjemność. Eunice, bardzo proszę, przynieś nam jeszcze talerz krewetek i butelkę białego wina.

Alfred usiadł na powrót z wyraźnie zadowoloną miną, nie kazał się prosić, kiedy gość zaproponował, by dzielił jego posiłek. Krewetki obrane z pancerzyków i opanierowane tak, że spod panierki wystawał koniec ogonka, należało jeść ręką maczane w bardzo pikantnym czerwonym sosie. Były przepyszne.

Alfredo tak kierował rozmową, że wkrótce zeszła na temat rządowego planu rozmieszczenia wyrzutni rakiet w pobliskich lasach. Dysponowano na razie szczątkowymi informacjami, z trudem gromadzonymi przez „Obronę Maranhão”, komunistyczne piśmiennictwo wydawane w São Luís, wyglądało jednak na to, że Brazylia zamierza poświęcić półwysep Alcântara „w imię wyższego interesu narodowego”, jak napisano we wstępnym artykule gazety,

bez opamiętania wykorzystując cudzość.

- Zdajesz sobie sprawę? - mówił zde gustowany Alfredo. - Rakiety!... Ludzie mrą z głodu na ulicach, zadłużenie tak nas obciąża, że pracujemy tylko na tych lichwiarzy z MFW, a oni chcą strzelać rakietami! To kolejna sprawa Amerykanów. Ale będziemy walczyć, bez dwóch zdań! Inaczej to będzie koniec Alcântary...

Eleazard lubił buntowniczą stronę natury Alfreda. Cenił ją nawet u własnej córki, chociaż skrycie i znacznie subtelniej, przy czym nie potrafił odnaleźć w sobie choćby krzty niewinności, która pozwoliłaby mu podzielać ich optymizm. Podzielał natomiast poczucie absurdu, w tej chwili przyprawiające o drżenie głos Brazylijczyka, zgadzał się z jego gniewem i postanowieniem, lecz ani przez chwilę nie wierzył, że w taki czy inny sposób można wpłynąć na zmianę biegu wydarzeń. Nie żeby stał się fatalista, przynajmniej we własnym mniemaniu, albo reakcjonistą czy konserwatystą: po prostu wypaliła się w nim do cna nadzieja, która pozwala góry przenosić, a w każdym razie dążyć do tego. Ta pozorna rezygnacja, nawet jeśli tak tego nie odczuwał, bardzo go smuciła. Tylko jak się pozbyć przeraźliwej jasności umysłu, kiedy człowieka dopadnie? Ludzie, uważał, z natury są słabi; jeśli jakiś nieszczęśnik takiej jasności raz doświadczył, nie może nic zrobić wobec nieprzeliczonej masy tych, w których ona dopiero dojrzewa. Alfredo nie był jego przyjacielem i nigdy pewno nie będzie, toteż Eleazard nie zwierzał mu się ze swej zaraźliwej niebotycznej rozpacz, do której nie należy, ba! nie wolno się nawet przyznawać osobom spoza wąskiego kręgu życzliwych przyjaciół.

A wracając do „rakiet”: Alfredo nie wiedział, czy w grę wchodzi pociski strategiczne czy też po prostu ma to być baza cywilna posyłająca satelity na orbitę. To było mało ważne, ponieważ tak czy owak las

zostanie wycięty, mieszkańcy wysiedleni z domów, a ekosystem zagrożony. Mglisty projekt rządowy skupił całą jego niechęć, jakby nieuchronnie zagrażał światu, co w swojej przesadzie było wspaniałe.

Żarówka na werandzie zaczęła naraz mrugać i skwierczeć.

- Zaraz będzie burza - powiedział Alfredo. - Pójdę po świece.

Leżąc na łóżku w samych majtkach i staniku, Loredana obserwowała niepokojące migotanie światła elektrycznego na reliefowych rozetach sufitu.

Fascynowała ją ta agonia powolna, bez ustanku odsuwana w czasie. W parnej duchocie pokoju skóra głowy kropla po kropli oddawała wodę z jej ciała. Loredana zastanowiła się, ile czasu minie, zanim rozpuści się zupełnie i w świetle dogorywającej żarówki zostanie tylko ciemna plama na pościeli.

Ponieważ coraz bardziej dokuczało jej pieczenie w kroczu, podniosła się z łóżka i rozebrała. Przesiąknięta potem bielizna spadając na podłogę, omal nie przygniotła dorodnego miodowej barwy karalucha, który schował się za listwą przy ścianie. Teraz skóra w okolicach odbytu mocno już szczypała. Oparłszy nogę na umywalce, Loredana delikatnie, krzywiąc się z bólu, podmyła się rękawicą kąpielową, po czym nałożyła krem na skórę otartą do żywego ciała. Stojąc przed lustrem, długo obmacywała sobie piersi w oczekiwaniu, aż zniknie pieczenie, które zmuszało ją do tej mało wygodnej pozycji. Bóg wie, ile czasu będzie musiała tutaj gnić... Gnić, to właściwe słowo, roztrząsała, mając na myśli paskudne początki grzybicy. Czy może zaufać pośrednikowi? Niekoniecznie. Facet od razu wydał jej się dziwny z tym swoim kosym spojrzeniem, które nie opuszczało go przez cały czas, kiedy się targowała. To, że chciał zapłatę z góry, mogła zrozumieć; lecz z trudem godziła się z tym, że tak mało szczegółów jej zdradził na temat biegu sprawy i tylko kazał czekać w tym hotelu. Dwa, trzy tygodnie, powiedział, może ciut dłużej, ale pod koniec miesiąca będzie po wszystkim. Cóż, dość myślenia o tym. Lepiej dla poprawy nastroju pójdzie coś zjeść. W walizce na próżno szukała czystej bielizny, w końcu więc prychnęła ze złością i na gołą skórę naciągnęła spódnicę i T-shirt.

Kiedy weszła na werandę, jakby zrodziły ją ciemności, Alfredo urwał w pół słowa.

- Patrz, to ona - szepnął. - No to na razie...

Eleazard patrzył za nim, gdy szybkim krokiem szedł ku Włoszce, która potrafiła wyrzucić na Brazylijczyku takie wrażenie. Miała jakieś trzydzieści pięć, czterdzieści lat, sądząc po pewnych znakach, które nie pozwalały dawać jej mniej, lecz nie było widać po niej fizycznego uszczerbku właściwego dla tego wieku. Eleazard wprawnym okiem odnotował pod bluzką jędrne piersi bez biustonosza, długie smukłe nogi, szczupłą wytworną sylwetkę. W sumie jednak Włoszka wcale nie była taka piękna, jak by można domniemywać na podstawie słów tego cholernika Alfreda. Zdaniem Eleazarda oczy w kształcie migdałów i usta miała nieco za duże w stosunku do bardzo drobnej twarzy, a tę dysproporcję podkreślał jeszcze nos, zbyt długi i spiczasty.

Kiedy przechodziła obok z Alfredem prowadzącym ją do sąsiedniego stolika, Eleazard uśmiechnął się do niej życzliwie; odpowiedziała tylko nieznacznym skinieniem głową. Nie zważając na to, na jej korzyść zapisał także rozkosznie krągłutkie pośladki. „Inteligentny tyłeczek”, odnotował wbrew sobie lekko zirytowany jej obojętnością. „Tyłeczek b a r d z o inteligentny...”.

Loredana wcale nie była tak obojętna, jak mu się wydawało. Prawdę powiedziawszy, nie mogła nie zauważyć obcego w miejscu, gdzie nie było ludzi. Jeszcze zanim ją zobaczył, ona przez kilka sekund obserwowała jego i uznała, że jest pociągający, czyli niebezpieczny. Stąd nieufność i powściągliwość, kiedy uśmiechnął się na powitanie. Fizycznie co prawda nie był aż tak atrakcyjny - pod tym względem Alfredo wygrywał w przedbiegach - Loredana dostrzegła w nim jednak, w jego spojrzeniu i ruchach, niepowszednią „głębłą pola”; tak określała komplet cech, które sprawiały, że ktoś był mniej lub bardziej godzien zainteresowania. Fizyczne piękno ludzi, zarówno mężczyzn, jak i kobiet, choć zawsze ją nieco rajcowało, zostawało daleko w tyle za wyraźną bądź tylko domniemywaną szlachetnością ducha, którą

potrafiła rozpoznać na pierwszy rzut oka.

Siedząc dwa stoliki od Eleazarda tak, że widziała go z profilu, przypatrywała mu się do woli: dobrze po czterdziestce, czarne włosy odrobinę przyprószone srebrem na skroniach, aczkolwiek wysokie czoło wieściło przykre niespodzianki w przyszłości; najbardziej jednak uderzał nos: orli, w zasadzie nawet niebrzydki, ale tylko raz podobny widziała w Wenecji u kondotiera pędzla Verrocchia. Nieznajomy aparycji nie miał delikatnej, niemniej prócz nosa nie było w nim nic wojowniczego. Wydawał się po prostu pewny siebie i zgnębiony surową groźną inteligencją. Dante widziany oczami Dorégo, gdyby miała się uciec do porównań artystycznych. Niewykluczone zresztą, że był Włochem. Choć Loredana słabo znała portugalski, zdołała wychwycić wyraźny obcy akcent, kiedy rozmawiał z Alfredem.

Czując widocznie na sobie uporeczywy wzrok, Eleazard obrócił się do Loredany. Wzniósł do niej toast bez słów, po czym upił z kieliszka białego

wina. Tym razem nie pohamowała uśmiechu - przepraszającego, że tak się w niego wgapiła.

Ledwie Alfredo zdążył podać potrawy, zgasło światło, toteż zapalił kilka świeczek, po czym na powrót dosiadł się do Eleazarda, by odkorkować drugą butelkę. Tę właśnie chwilę wybrały komary, aby zaznaczyć swoje istnienie: jakby przerwa w dostawie prądu warunkowała ich pojawienie się, opanowały werandę niewidocznymi chmarami i przypuściły atak na biesiadujących. Dla Eleazarda, bardzo wrażliwego na ukąszenia, była to istna udreka.

- *Pernilongos* - rzekł Alfredo, widząc, jak Eleazard rozgniała owada na szyi. - Mnie nie przeszkadzają, ale zaraz zorganizuję coś, co powinno je odstraszyc.

Eleazard podziękował mu za troskę, a kiedy Alfredo wchodził do hotelu, zerknął w stronę stolika Loredany. Była bardziej niż on przewidująca, wyciągnęła bowiem skądś buteleczkę środka przeciwko komarom i starannie nacierała płynem ręce i łydki. Napotkawszy spojrzenie Eleazarda, zaproponowała, że się specyfikiem podzieli, i nawet zaraz go przyniosła.

- Przywieziony z Włoch - powiedziała. - Skuteczny, ale potwornie śmierdzi.

- Może pani mówić po włosku - rzekł Eleazard, starając się mówić z jak najlepszym akcentem. - Tym językiem władam lepiej niż portugalskim. I bardzo dziękuję, te bestie gotowe wypić ze mnie całą krew.

- Zna pan włoski? - zdziwiła się. - Tego się nie spodziewałam. W dodatku jest pan Francuzem...

- Skąd pani wie?

- Kiedy cudzoziemiec mówi po włosku, nawet tak dobrze jak pan, zwykle udaje mi się poznać, skąd pochodzi. Gdzie pan się nauczył?

- W Rzymie. Mieszkałem tam jakiś czas. Ale proszę usiąść. - Podniósł się, aby odsunąć jej krzesło. - Będzie wygodniej rozmawiać.

- Czemu nie?... - odparła po sekundzie wahania. - Momencik, przyniosę tylko kieliszek i talerz.

Nim zdążyła usiąść przy stoliku Eleazarda, wrócił Alfredo ze spiralą na komary. Zapalił ją od świeczki, po czym rozsiadł się z nimi. Eleazard zauważył, jaki jest zadowolony, że Włoszka przeniosła się do jego stolika. Ona przeciwnie - wydawała się niezbyt rada, że hotelarz będzie świadkiem pierwszych chwil rozmowy. Przez moment Eleazard podzielał tę niechęć: Alfredo stał się oto intruzem. Jakież ludzkie jest, pomyślał, tego typu zaparcie. Wystarczyło, że zamienił parę słów z zupełnie obcą kobietą, a natrętem stał się człowiek, do którego przecież przyszedł, szukając jego towarzystwa.

- Pani pozwoli, że się przedstawię: Eleazard von Wogau - odezwał się po portugalsku. - Chyba powinniśmy używać tego języka, bo wszyscy troje nim władamy.

- Ależ oczywiście - zgodziła się. - Tylko bardzo proszę o wyrozumiałość!... Ja jestem Loredana. Loredana... Rizzuto - dodała, krzywiąc się z niesmakiem. - Zawsze trochę mi wstyd, kiedy wypowiadam swoje nazwisko. Jest takie śmieszne...

- Skądże znowu! - ogień zaprotestował Alfredo. - Moim zdaniem jest piękne i bardzo... włoskie! Wolałbym tak się nazywać niż pospolicie „Portela”. Alfredo Rizzuto!... Boże, jak to brzmi!...

- Alfredo Rizzuto? - rozległ się naraz kpiący głos Eunice. - Coś ty znowu wymyślił, żeby wzbudzić zainteresowanie? - Stała za mężem z tacą, na której leżał kawałek tarty i kilka owoców mango. - Proszę mu wybaczyć - mówiła do Loredany - ale jak tylko zobaczy ładną dziewczynę, nie może się powstrzymać, A teraz, *senhor* Rizzuto, kończ picie i chodź mi pomóc. Nie ma wody, pewnie znowu wysiadła pompa.

- No proszę - westchnął Alfredo zrezygnowany. - Ale nie martwcie się, nie zejdzie mi długo.

Ledwie zniknął, Eleazard i Loredana wybuchnęli śmiechem: kiedy żona go strofowała, minę miał naprawdę komiczną.

- Śmieszny facet - powiedziała Loredana, przechodząc na język ojczysty. - Sympatyczny, chociaż trochę... natrętny, nie?

- To zależy od dnia. Nieczęsto może pogadać z cudzoziemcami, więc wykorzystuje każdą okazję. A dzisiaj chyba go pani onieśmieliła. Z tym że wie pani, to niegłupi gość. Przyjaciółmi nie jesteśmy, ale lubię go... Pozwoli się pani poczęstować? - spytał, podnosząc butelkę. - Jest odrobinę cierpkie, bardzo przypomina chianti.

- Chętnie - odparła Loredana, podstawiając kieliszek. - Ach, chianti... Jeszcze chwila, a dopadnie mnie tęsknota. Ale zaraz, zacznijmy od początku, bo zaczyna mi się mieszać: jakim cudem Francuz nosi takie nazwisko?

- Ojciec był Niemcem, a matka Francuzką. Mam podwójne obywatelstwo, ale urodziłem się w Paryżu, tam odbyłem sporą część studiów, tak że niemieckie korzenie niewiele znaczą.

- A można wiedzieć, co pan robi w tej dziurze? Jest pan na urlopie?

- Niezupełnie - uśmiechnął się Eleazard - chociaż moja praca nie jest zbyt czasochłonna. Jestem korespondentem prasowym, wystarczy, że od czasu do czasu wyślę jakiś kawałek do swojej agencji. Ponieważ Brazylia nikogo nie obchodzi, wszystko idzie do kosza, a ja pensję i tak dostaję. W Alcântarze mieszkam dwa lata. Alfredo mówił, że pani też jest dziennikarką...

Loredana zmieszana się i zarumieniła po uszy.

- Tak... to znaczy nie... Okłamałam go. Powiedzmy, że przyjechałam w interesach. Tylko proszę, niech pan nie obwieszcza tego wszystkim dokoła! Gdyby się o tym dowiedziano... gdyby Brazylijczycy się dowiedzieli, mogłoby mnie to drogo kosztować.

Była wściekła na siebie. Co ją ugryzło?! Szemrany prawnik z São Luís (tylko tak nazywała tego typu wyglądającego na oszusta) kazał jej obiecać, że będzie absolutnie dyskretna, a ona omal się nie wygadała pierwszemu lepszemu! W ostatniej chwili się pohamowała, lecz jeśli zacznie ją ciągnąć za język, niedługo wytrwa przy kolejnym kłamstwie. Idiotka, kompletna kretynka! złościła się na siebie, czerwieniejąc coraz mocniej.

Z rumieńcem wyglądała jak dziewczynka. Eleazard omal nie obdarzył jej komplementem w tym guście, powstrzymał się jednak: niezbyt to przyjemne w podobnej sytuacji.

- Cóż to za interesy? - zapytał więc ze szczyptą ironii. - Oczywiście jeśli to nie tajemnica.

- Złoto, kamienie szlachetne... - Przestań! dudniło jej w głowie. Zwariowałaś chyba! Przecież nie wykaraskasz się z tego! - Choć wolałabym o tym nie mówić. To operacja, że tak powiem, na granicy legalności... Rozumie pan, mam nadzieję.

- Bez obaw, nie będę drażył. Tylko proszę na siebie uważać, brazylijska policja to nie chór kościelny, przykro by mi było, gdyby panią dopadła.

Znowu napełnił jej kieliszek, po czym nalał sobie. I sam nie wiedząc dlaczego, dorzucił:

- Proszę się nie martwić. Źle robię, ale taki już jestem: gdybym miał wybierać, trzymałbym raczej z przemytnikami niż z policją.

- Coś takiego! - zaśmiała się Loredana. - Teraz więc jestem przemytniczką... - Po czym zmieniając ton, dodała, chociaż trudno powiedzieć, czy ta jej uwaga nawiązywała do wcześniejszej: - Widzę, że nie żałuje pan sobie wina...



Eleazard skrzywił się niechętnie.

- Może ciut za dużo popijam. To pani chciała powiedzieć? Tylko że wie pani, w Brazylii woda jest groźniejsza niż wino, a ponieważ nie cierpię coli... Żarty na bok. Proszę absolutnie unikać wody z kranu. Nawet filtrowana jest groźna. Nie ma dnia, żeby nie było przypadków żółtaczeki.

- Wiem, przestrzegano mnie.

Podskoczyła, gdy naraz błyskawica przecięła niebo i huknął nadzwyczaj głośny grzmot. Jego echo rozchodziło się jeszcze w oddali, kiedy na patio lunął deszcz. Deszcz ciężki, rześisty, łomoczący o liście bananowców. Nieoczekiwana ulewa wytworzyła między Eleazardem i Loredaną swego rodzaju intymność, ostoję spokoju i porozumienia, w której z przyjemnością się schronili. Ze świeczki skapywały przejrzyste perełki, co rusz skwierczał w niej komar, ożywiając na moment ciepły blask bijący od płomyka. Z silnym zapachem idącym od ziemi mieszała się woń kadzidła i drzewa sandałowego, którą wydzielala dymiąca spirala przeciwko komarom.

- Może przejdziemy na ty? - zaproponowała Loredana po kilku minutach, w czasie których w milczeniu rozkoszowali się deszczem. - Mam dość oficjalnych form.

- Właśnie chciałem to zaproponować - wyznał Eleazard z uśmiechem. Niemal fizycznie poczuł odrzucenie formy „pan, pani”, które raptem ich zbliżyło. - Ten twój specyfik jest naprawdę skuteczny - dodał, wyjmując z kieliszka komara. - Teraz żaden mnie nie ukąsił. Ale to prawda, że cuchnie potwornie! Głowę dają, że nawet policję by odstraszył.

Loredana wybuchnęła śmiechem, aczkolwiek lekko wymuszonym. Czula się winna, że wywiodła w pole Eleazarda tą idiotyczną historyjką o przemycie. Zaczynało jej szumieć w głowie od wina.

- A co porabiasz poza tym, że pisujesz korespondencje, którymi zdaje się, nie bardzo się zajmujesz?

- Żyję, marzę... piszę. Ostatnio sporo czasu spędzam przed komputerem.

- No to co piszesz?

- Och, nic porywającego. Powierzono mi przygotowanie do wydania manuskryptu z siedemnastego wieku. To biografia jezuita, którym zajmuję się od paru lat. A praca polega bardziej na szukaniu niż na pisaniu.

- Jesteś wierzący? - zdziwiła się.

- Skądże - uspokoił ją Eleazard. - Po prostu o tym gościu już nikt nie pamięta, a to taka ciekawa postać. Swego rodzaju polihistor, który pisał absolutnie o wszystkim, w dodatku zawsze twierdził, że przekazuje całą wiedzę na dany temat. W tamtej epoce było to dość powszechne, ale mnie fascynuje w nim to, że facet, który znał Leibniza, Galileusza, Huygensa i był znacznie sławniejszy niż oni, pomylił się absolutnie we wszystkim. Wyobrażał sobie nawet, że odczytał hieroglify egipskie, i cały świat wierzył w to aż do czasów Champolliona!

- Nie mówisz chyba o Atanazym Kircherze? - wpadła mu w słowo wyraźnie zaciekawiona Loredana.

Eleazardowi włosy aż się zjeżyły.

- Nie... to niemożliwe... n i e m o ż l i w e ...- powtarzał, patrząc na nią zdumiony. - Skąd wiesz?

- Cóż, nie opowiedziałam ci o sobie wszystkiego - odparła tajemniczo, wykorzystując zyskaną przewagę. - Mam jeszcze to i owo w zanadru.

- Błagam, powiedz... - prosił Eleazard z miną zbitego psa.

- Po prostu jestem sinologiem. To znaczy, powiedzmy, że swego czasu studiowałam chiński i czytałam książki, w których wymieniano Kirchera z racji jego prac na temat Chin. *Cazzo!* - zawołała nagle. - *Putta merda!*

- Co się stało? - spytał Eleazard zaskoczony jej bluzganiem.

- Nic - odparła, rumieniąc się znowu. - Komar mnie ukąsił...

- Tak... Dobrze... Chcę wszystkie, co do jednej... To ma kapitalne znaczenie, chyba rozumie pan?... Kto taki?... Sekundę, już sprawdzam...

Przytrzymując telefon między ramieniem a prawym uchem tak, że w policzek wciśniętą miał słuchawkę, pułkownik José Moreira da Rocha nieco bardziej rozwinął szeroki plan katastralny rozłożony na biurku.

- Jak pan mówił?... 367... N. P... B? N. B... 40... Tak, już mam... Czemu nie chce sprzedać? To same lasy i bagna! Boże, co za banda półgłówków! ... Proszę zaproponować dwa razy tyle i niech się wiesz gdzie indziej! Wszystko powinno być załatwione w dwa tygodnie... Nie... Powiedziałem: nie, Wagner! Żadnych takich, zwłaszcza w tej chwili. A poza tym jak pan wie, nie przepadam za takimi metodami... Z czego on żyje?... Dobrze, zajmę się tym. Zobacz pan, pójdzie jeszcze szybciej. Ale do rzeczy: przyspieszyli spotkanie, jutro o trzeciej... Nie chcę tego wiedzieć! Ma pan tam być, liczę na pana... No właśnie... Właśnie... Dobra, proszę dzwonić w razie jakichkolwiek problemów.

Odłożywszy słuchawkę, pułkownik nachylił się do interkomu:

- Anita, podaj mi, proszę, *frutas do Maranhão*. A potem napiłbym się kawy.
- Tak, oczywiście... Mam z kimś połączyć?
- Z prezesem Bernardem Carvalhą.

Pułkownik rozparł się w fotelu i zapalił długie cygaro. Pierwsze kłęby dymu wypuszczał z wyraźną przyjemnością. Za nim okno w stylu kolonialnym, do połowy wysokości ozdobione żółto-zielonymi witrażami, przepuszczało landrynkowe światło na meble w kolorze skorupki jajka. Twarz gubernatora Moreiry da Rocha - odsłonięte szerokie czoło, falujące nad uszami czarne włosy zaczesane à la Franz Liszt - była jak wyjęta z ulotki politycznej sprzed wieku. Wrażenie to pogłębiały - a może właśnie rodziły je? - bujne siwe faworyty, które biegły przez policzki aż do kącików ust i zgoła obscenicznie podkreślały wydatny podbródek z dołeczkiem pośrodku. Dzięki temu obramowaniu wzrok przyciągały usta: sądząc jedynie po mięsistych wargach i wzgardliwie zmysłowym grymasie, można by je wziąć za młodzieńcze. Ale spojrzawszy pułkownikowi w oczy, niczym ołowiane kule osadzone między gadzimi powiekami, zauważało się głębokie cienie, ziarniste worki ciemne od nadmiaru cynizmu, i niepodobna było ocenić, czy ma się do czynienia z nieźle zakonserwowanym starcem czy też z mężczyzną przedwcześnie postarzałym z powodu nieumiarkowania. Moreira miał świadomość, jak mieszane uczucia budzi ta teatralna maska; potrafił zrećcznie nią grać, czasem nawet okrutnie.

W interkomie zachrypiało.

- Przepraszam, jest połączenie z panem Bernardem Carvalhem. Na trzeciej linii.

Pułkownik wcisnął właściwy klawisz i na powrót rozparł się w fotelu.

- Halo, Nando?... W porządku, a co u ciebie?... Nie gadaj, stary!... Tak... Cha, cha, cha! Uważaj, w twoim wieku takie szaleństwa mogą cię drogo kosztować. Musisz mi ją przedstawić, to pokażę jej, jak się żyje naprawdę!... No, dość żartów. Słuchaj, jest taki jeden facet, ma kawałek ziemi i stwarza problemy. Niejaki Nicanor Carneiro. Znasz go?... Nie, to nic wielkiego, ale chciałbym dać mu szkołę, nauczyć go, co znaczą dobre maniery. Jak będziesz kupował, zapomnij na trochę, że on istnieje... Na tyle, żeby mu te cholerne mango zgniły... No właśnie, właśnie tak... I załatw to tak, żeby nie opchnął ich nikomu innemu, dobrze?... Świetnie, *amigo*, na pewno się odwdzięczę. I liczę na ciebie na przyjętku, nie zapomnij! To na razie... No tak... właśnie... Cześć, Nando, muszę kończyć, mam telefon na drugiej linii... Cześć...

Podpalał cygaro, kiedy weszła sekretarka ze srebrną tacą. Biodrem zamknęła za sobą drzwi i szła ostrożnie w jego kierunku, uważając, by niczego nie wylać na karmazynowa wykładzinę.

*Garsonka z prześwitującego linonu, korale z bukszpanu na śniadej skórze, włosy gładko upięte,*

wysokie obcasy. *Laseczka taka, że zwiodłaby na pokuszenie wszystkich świętych z Bahía! To jednak zupełnie co innego niż te dziewczątka z Nordeste...*

- Kawa, panie gubernatorze - powiedziała niepewnie, naraz zmieszana pod rozbierającym ją wzrokiem pułkownika.

Moreira odsunął papiery, które miał przed sobą.

- Postaw tutaj.

Anita musiała obejść biurko, aby znaleźć się po prawej stronie gubernatora i postawić kawę we wskazanym miejscu. Pułkownik poczuł, gdy otarła się ciałem o jego ramię. Kiedy zdejmowała z tacy kawę, wsunął jej rękę pod spódnice.

- Nie... panie gubernatorze... proszę... - broniła się, próbując się oswojzić. - Proszę... nie...

Mocno trzymając ją za udo, nieruchomy niczym treser ujarzmiający zwierzę, nie zwalniał uchwytu, rozkoszując się zeszywnieniem dziewczyny i drżeniem strachu przebiegającym przez jej skórę.

Dzwonek telefonu zaskoczył ich w tym zneruchomieniu. Nie puszczając Anity, pułkownik wolną ręką podniósł słuchawkę.

- Tak?... Nie, kochanie... Nie wiem jeszcze, kiedy będę wolny. Ale wyślę do ciebie kierowcę, jeśli chcesz... - *Ściśnięcie za krocze, wargi nabrzmiałe, miękki owoc mango...* - Och, nie bądź głuptaskiem... Oczywiście, że cię kocham, co ci znowu przychodzi do głowy... - *Wilgoć leśnej gleby, dżungla kobiecej intymności uginająca się miękko pod palcami, które ją miętoszą...* - Ależ tak, skarbie, obiecuję... Zrób się na bóstwo, będzie dużo gości... No słucham cię, słucham... Przecież mówię, że słucham, więc proszę, bądź rozsądna!

Z oczami pełnymi łez, pochylona naprzód jak podczas rewizji przeprowadzonej przez policję, Anita z rozpaczą wpatrywała się w popiersie ustawione na wprost. *Antonio Francisco Lisboa... Antonio Francisco Lisboa...* W absurdalnym poczuciu, że musi to pilnie robić, odczytywała raz po raz inskrypcję na gipsie, upajała się, jakby to było zaklęcie mogące ją oczyścić.

### ROZDZIAŁ III

*O tym, jak szczęśliwym zbiegiem okoliczności  
Kircher trafia do Prowansji; kogo tam spotyka  
& jak odnosi pierwsze sukcesy*

**L**edwieśmy się znaleźli bezpieczni w kolegium jezuickim w Moguncji, przełożeni zakonni zdecydowali posłać Atanazego daleko od wojny & księstw niemieckich. Łaskę ową zawdzięczał swej renomie, już niemałej przecie zarówno w łonie Towarzystwa Jezusowego, jak & pośród naukowych gremiów na całym świecie. Otrzymał listy polecające do kolegium w Awinionie, mnie zaś uczyniono tę łaskę, że zezwolono towarzyszyć mu w charakterze osobistego sekretarza.

W Paryżu, dokądeśmy dotarli bez przeszkód, z otwartymi ramionami przyjęli nas jezuici z kolegium przy place Royale. Kircher miał się tam spotkać z kilkoma uczonymi, z którymi prowadził korespondencję od kilku już lat: z Henrym Oldenburgiem, pierwszym sekretarzem Towarzystwa Królewskiego w Londynie, bawiącym przejazdem w Paryżu, z panem La Mothe'em Le Vayerem oraz z bratem franciszkaninem, Marinem Mersenne'em. Z tym ostatnim wiódł długie dysputy, roztrząsając kwestie najrozmaitsze, których wówczas nie byłem w stanie pojąć. Poznał także pana Pascala - ów matematykiem wydał mu się niepoślednim, lecz człkiem nad wyraz smutnym & choć katolikiem, to przecie o wierze mocno tracącej siarką. I pana Kartezjusza, apostoła Nowej Filozofii, który umiarkowane wywarł na nim wrażenie.

Poznał również pana Thévenota de Melquisedeq, który odbył podróż do Chin & wrócił bezgranicznie rozmiłowany w filozofach Wschodu. Zafascynowany wiedzą Kirchera w tej nieprostej dziedzinie, zaprosił go na dni

kilka do Désert de Retz, posiadłości położonej w okolicach Paryża. Towarzyszyć mu szczęścia nie miałem, tak iż upoważnienia nie mam, aby pisać o tym, szczególnie że Atanazy w tej materii zawsze wielką dyskrecję wykazywał. Wszelako pod pretekstem religijnym albo innej jakiejś chińszczyzny mój mistrz niechybnie był tam świadkiem scen, o których obyczajność nie pozwala mówić, ilekroć bowiem później napomynał o ludzkiej rozwiązłości albo o wybrykach, do jakich przywieść może bałwochwalstwo bądź ignorancja, zawsze wymieniał Désert de Retz jako główne źródło swojej wiedzy.

Po kilku zaledwie tygodniach paryskiego życia dotarliśmy w końcu do kolegium w Awinionie, gdzie ojciec Kircher miał wykładać matematykę & języki biblijne.

Jako człowieka północy & germańskich mgieł Atanazego natychmiast oczarowało światło południa. Jakby świat na nowo się przed nim otwierał, jakby naraz zobaczył jego boską jasność. Słoneczny dysk na niebie przestał być tylko gwiazdą obserwowaną przez teleskop - jawił się teraz jako Boże oko, jako zwiastun & obecność Stwórcy pośród ludzi.

Odkrywszy na równinach arleszańskich niewiarygodną dyspozycję kwiatu słonecznika do śledzenia biegu Słońca, mistrz mój bezzwłocznie wymyślił & zbudował zegar napędzany w myśl tej osobliwej zasady. W okrągłej kadzi napełnionej wodą umieścił tacę również okrągłą, acz nieco mniejszą, na niej zaś ów kwiat przesadzony do donicy. Ponieważ słonecznika nie hamowały teraz unieruchomione w ziemi korzenie, mógł dowolnie zwracać się ku gwieździe dziennej. Zamocowana pośrodku korony igła wskazywała godziny na nieruchomym pierścieniu wieńczącym owo szczególne urządzenie.

- Jednakże ta machina - zaznaczył Kircher, prezentując zegar władzom kolegium - a raczej ten motor biologiczny, w którym sztuka & natura tak doskonale ze sobą współgrają, pokazuje przede wszystkim, jak dusza nasza, przyciągana powinowactwem ducha albo magnetyzmem analogicznym w sferze rozumu, zwraca się ku boskiej światłości, kiedy udaje nam się wyzwolić spod władzy próżnych namiętności, które dla tej naturalnej skłonności są przeszkodą.

Heliotropiczny zegar ojca Kirchera znano wkrótce w całej Prowansji, a wynalazek ów znacznie powiększył renomę Atanazego. Ponadto mistrz mój profit cenny odniósł z tego taki, że mógł zamieszkać w bliskości portu marsylskiego.

Tam miał szczęście spotkać Davida Magy'ego, kupca hurtowego w Marsylii, Michela Bégona, skarbnika floty lewantyńskiej w Tulonie, & Nicolasa Arnoula, intendenta galer, któremu polecono popłynąć do Egiptu & przywieźć stamtąd przedmioty rozmaite dla wzbogacenia zbiorów króla Francji. U ludzi owych, skupujących każdą osobliwość, jaką tylko zdołali przywieźć Żydzi & Arabowie, Kircher widział niezliczone małe krokodyle & jaszczurki, żmije & węże, ususzone skorpiony & kameleony, kamienie o rzadko spotykanych barwach naznaczone wyrytymi antycznymi figurami & hieroglifami, a także wszelakiego rodzaju egipskie posążki ze szklawionej gliny. Obejrzał również sarkofagi & kilka mumii u pana de Fouqueta, bogów & stele, a ilekroć natknął się na inskrypcję, błagał, by pozwolono mu zrobić jej odcisk. Atanazy niestrudzenie przemierzał okolice, by odwiedzić każdego z tych ludzi & obejrzeć ich zbiory. Kupował, wymieniał się lub kopiował wszystko to, co bezpośrednio wiązało się z jego badaniami, osobliwie zaś księgi & manuskrypty wschodnie, które trafiły na prowansalską ziemię.

Tak oto ogromnie uszczęśliwiony zamienił dnia pewnego starą lunetę astronomiczną na niezwykle rzadki egzemplarz perskiej kopii ewangelii świętego Mateusza.

Domniemywając, że koptyjski używany wciąż jeszcze w Egipcie jest jakby uproszczonym językiem starożytnych Egipcjan & że będzie mu przydatny w zgłębianiu tajemnicy hieroglifów, Kircher niezwłocznie podjął stosowne studia & w niewiele miesięcy poczynił znaczne postępy.

Mistrz mój jakby puścił w niepamięć Niemcy & wszystko, co łączyło go z Fulda. Nie ustawał ani w

zdobywaniu nowej wiedzy, ani w urzeczywistnianiu swych zadziwiających doprawdy pomysłów. I tak niedługo po przybyciu do Awinionu za cel postawił sobie zilustrowanie swej wiedzy w dziedzinie katoptryki, budując niezwykle urządzenie. Dzień & noc pracując, w wieży kolegium La Motte osobiście stworzył konstrukcję zdolną ukazać całe niebo. W umówiony dzień w osłupienie wprawił zebranych, na sklepieniu nad paradnymi schodami przedstawiając całą mechanikę nieba. Księżyc, Słońce & konstelacje poruszały się wedle praw ustalonych przez Tychona Brahego, jakby napędzane własnym ruchem, a dzięki pewnej sztuczce mógł szybko przedstawić wygląd nieba w określonym dniu w przeszłości. Na prośbę profesorów & studentów zaprezentował horoskopy Pana Jezusa, Pyrrusa, Arystotelesa & Aleksandra.

Przy tej okazji, jak Pierre Gassendi zrelacjonował później w swoich pamiętnikach, do Nicolasa Fabriego de Peiresec, urodzonego w Beaugensier radcy parlamentu w Aix, dotarła wieść o badaniach Kirchera. Dowiedziawszy się, że mistrz mój już cieszy się renomą jako znawca hieroglifów, jął nalegać na spotkanie.

Osobliwy był człek z tego prowansalskiego hreczkosieja: rozmiłowany w nauce, przyjaciel najszacowniejszych uczonych, a przy tym namiętnie ciekawy starożytności egipskich oraz enigmatycznego pisma tego ludu. Majątek zapłacić potrafił, byle wejść w posiadanie wszystkiego, co tylko się w tej dziedzinie liczyło. Nie tak dawno ojciec Minutáis, misjonarz w Egipcie & Lewancie, podarował mu księgę zapisaną hieroglifami, odnalezioną w sarkofagu u stóp mumii. Fabri de Peiresec wielkie pokładał nadzieje w Kircherze, licząc, że potrafi przełożyć ten tekst, przysłał mu więc list z zaproszeniem do Aix, a wraz z nim w upominku kilka rzadkich ksiąg oraz kopię tablicy Izydy, zwanej także Table Bembine. W postscriptum upraszał, aby Atanazy zabrał ze sobą słynny manuskrypt Barachiasa Abenephiusa, wiedział bowiem, że Atanazy został jego szczęśliwym posiadaczem.

Kirchera polechtało takie naleganie, toteż pewnego dnia we wrześniu roku 1633 odbyliśmy wspólnie podróż do Aix, w bagażach wioząc rzeczony manuskrypt, a także rozmaite okazy pism w językach hebrajskim, chaldejskim, arabskim & samarytańskim.

Pan Fabri de Peiresec przyjął nas z rzadko spotykaną uprzejmością & zadowoleniem. Splendoru dodawało mu poznanie mojego mistrza, nadszakał mu też nieustannie. Na Kircherze natomiast wielkie wrażenie wywarły zbiory, które gospodarz pokazywał nam stopniowo, dawując efekty & radując się naszym szczerym olśnieniem. Dom jego zapełniała wszelakiego rodzaju zwierzyna wypchana bądź ususzona, ale także mnogość egipskich przedmiotów & pism. Po raz pierwszy ujrzeliśmy u niego phoenicopterusa, węża Kleopatry, żmiję rogatą, lotos, a także mnóstwo kocic, ususzonych & spowitych w bandażę. W ogrodzie swoim pokazał nam kilka oleandrów wyhodowanych z pędów od kardynała Barberiniego, a także staw obrosnięty wdzięcznymi papirusami, z których sposobem starożytnych Egipcjan z upodobaniem sporządzał arkusze do pisania. Podziwialiśmy również rodzaj malutkiego królika wielkości myszy, który chodził na tylnych łapkach, a w przednie, krótsze, brał niczym małpa jedzenie; kota angorskiego, wabiącego się Ozyrys, którego ojciec Gilles de Loche przywiózł mu z Kairu, oraz przeróżne manuskrypty wielkim kosztem wydobyte z koptyjskich klasztorów w Wadi el-Natrun.

Kircher tak ujął naszego gospodarza, że imć Fabri de Peiresec pochwalił się w końcu dwiema ludzkimi mumiami: jedna z nich, wyróżniająca się wielkością & doskonale zachowana, musiała być ciałem jakiegoś księcia, czego dowodziło bogactwo zdobień. U stóp owej właśnie mumii spoczywała zapisana hieroglifami księga, o której Peiresec wspominał w liście do Atanazego. Na księgę składały się papirusowe karty pokryte znakami nader podobnymi do tych z obelisków. Widniały tam byki & inne zwierzęta, a nawet postacie ludzi otoczone innymi, mniejszymi znakami, jak na tablicy Izydy, liter greckich wszakże nie było.

Kircherowi oczy podnieceniem zapłonęły. Nigdy jeszcze nie trzymał w rękach oryginalnego

egzemplarza napisanego w tym tajemniczym języku, toteż nie mógł się powstrzymać, by od razu go nie przejrzeć. Peiresc jak o łaskę prosił, aby na głos wyrażał, co myśli, Kircher zaś bez mrugnięcia spełnił jego prośbę. Tak oto po raz kolejny mogłem się przekonać, jak niezwykłym umysłem & znakomitą wiedzą obdarzony został mistrz mój umiłowany.

W tym samym czasie, we wrześniu roku 1633, dotarła do nas wieść, że Galileo Galilei został skazany przez Święte Oficjum. Peiresc, przyjaciel astronoma, otrzymawszy w pełni miarodajne informacje od swych zauszników w Rzymie, poprosił Kirchera o przyjazd do Aix, aby omówić tę sprawę. Udaliśmy się tam natychmiast, zupełnie wszakże nie wiedział, co mój mistrz o tym myśli, milczący był bowiem niezwykle & zdawał się zasepiony.

Peiresc nie posiadał się ze zdumienia; rozsierdzony był niemożebnie & zlorzeczył na potworną ignorancję inkwizytorów. W sporze, który się wywiązał, Atanazy użył całej swej zdolności przekonywania, występując w obronie wyroku Świętego Oficjum & głosząc ślepe posłuszeństwo wobec jego autorytetu, szczególnie w tych jakże bolesnych czasach schizmy & zamętu w sferze duchowej.

Spostrzegłszy jednak widoczne rozczarowanie Peiresca & wzięwszy pod uwagę dowody przedstawione na poparcie tezy o ruchu Ziemi, Kircher przyznał w końcu, że jego zdaniem prawdziwe są twierdzenia Kopernika & Galileusza & że takie samo zdanie mają ojcowie Malapert, Clavius & Scheiner, oskarżyciele Galileusza, tyle że pod wpływem nacisków musieli się opowiedzieć za powszechnie znanymi hipotezami Arystotelesa, stosując się do instrukcji Kościoła wyłącznie z przymusu & obojętności.

Słowa te usłyszawszy, Peiresc uściskał mojego mistrza rad niepomiernie, że ów z całą pewnością kroczy prostą drogą Rozumu. Co się mnie tyczy, kształconego dotąd w absolutnym poszanowaniu Arystotelesa, nie skrywałem swego potępienia, tak że obaj za punkt honoru postawili sobie wykazać mi, w czym nieomylny filozof popełnił błąd. Z łatwością mnie przekonali - młodość bez trudu poddaje się wpływowi - lecz po owym wyrzeczeniu się dotychczasowych przekonań zachowałem przykre uczucie, że należę odtąd do bractwa jakowegoś sekretnego, które bliskie jest herezji. W drodze powrotnej siedziałem jak na rozżarzonych węglach, takem święcie był przekonany, że kto na mnie spojrzy, pozna moje wywrotowe poglądy & wyda mnie w ręce inkwizytorów. Kirchera bawiło moje zestrachanie, umniejszył je wszakże nieco, sugerując, abym otwarcie się opowiadał - tak jak on zresztą czyni - za systemem Tychona Brahego, przez Kościół uznawanym, a & rozumem satysfakcjonującym jako zręczny kompromis pomiędzy „nieruchomym rajem” Arystotelesa & powszechnym ruchem Italczyka.

Kilka dni później do kolegium awiniońskiego dotarł posłaniec, przywożąc pismo z bezzwłocznym wezwaniem do Wiednia, tak że musieliśmy przyspieszyć przygotowania do wyjazdu.

## CORUMBÁ

*Płotka, drobna płotka...*

Pociąg wjechał na stację w Corumbie, gdzie czekali na nich Dietlev i Milton. Elaine z przyjemnością ujrzała poczciwą gębę niemieckiego kolegi. Był niewysoki, okrągłutki, ze sztywną szpakowatą brodą kompensującą jakby rzadki wianuszek włosów, które pozostały mu jeszcze na głowie. Słyszał z dobroćliwości, apetytu oraz upodobania do kalamburów i bardzo rzadko tracił zaraźliwy dobry humor. Śmiał się z byle czego, toteż Elaine

nie mogła go sobie wyobrazić inaczej niż błyskającego zębami w gąszczu zarostu. Jego mocno przypieczona słońcem czaszka, teraz ceglastej barwy, dowodziła, że nie tracił czasu, czekając na ich przyjazd. Milton, znacznie sztywniejszy niż Dietlev i przez to o wiele mniej przystępny, budził respekt legendarną surowością. Choć nie miał doświadczenia w pracy w terenie - czy może właśnie dlatego - bardzo się starał podchodzić do wszystkiego z rezerwą i drobiazgowym formalizmem. Układy polityczne,

a także poparcie, jakim się cieszył wśród najwyższych władz uniwersytetu, pozwalały mu liczyć na objęcie stanowiska rektora w następnym roku akademickim. Ogromnie starając się pokazać, że zasługuje na tę godność, już teraz budował wizerunek człowieka pretensjonalnie chłodnego. Krótko mówiąc, był raczej irytujący i Dietlev bez trudu obyłby się bez niego, gdyby nie musiał się liczyć z jego prerogatywami jako dziekana oraz wpływami w komisji rozdzielającej budżet na badania.

Podczas jazdy taksówką Milton iście po ojcowsku odnosił się do Maura. Natarczywie wypytywał go o podróż, aż Mauro musiał ze szczegółami opowiedzieć epizod ze złodziejem portfela - co uczynił dowcipnie i z wdziękiem.

Dietlev zostawił przybyłych w hotelu Beira Rio, żeby się rozgościli, przedtem jednak umówił się z nimi na tarasie w porze lunchu.

Elaine przede wszystkim wzięła prysznic. Jazda pociągiem porządnie ją zmęczyła, czuła się brudna od stóp do głowy. Nigdy nie przypuszczała, że w jej kraju nadal jeżdżą lokomotywy parowe, a tym bardziej że ich dym jest taki tłusty! Odjeżdżając z Campo Grande, miała na sobie nowiuteńkie ubrania, które teraz nadawały się wyłącznie do gruntownego czyszczenia w pralni.

Wychodziła spod prysznica, kiedy rozległo się pukanie do drzwi. Przyszedł Dietlev. Ponieważ byli w zażyłości, Elaine mogła sobie pozwolić na to, aby owinąć się ręcznikiem i wpuścić go do pokoju. Minę miał mocno przejętą.

- Nie wstyd ci wpuszczać do pokoju faceta, skoro jesteś pólnaga? - zażartował mimo wszystko.

- Nie, jeśli to stary przyjaciel - roześmiała się - który w dodatku nieraz widział mnie goluteńką, jeśli dobrze pamiętam.

- Robisz błąd, kochanieńka. Pamiętaj, że diabeł, który we mnie drzemie, może się kiedyś obudzić! Zwłaszcza w obliczu takich walorów...

- Co cię sprowadza, misiu?

- Chciałem pogadać z tobą sam na sam. To znaczy bez Milтона. Wiesz, że umiera ze strachu, ilekroć musi opuścić swój gabinet. Przyjechał tu z nami wyłącznie po to, żeby zgarnąć laury za moje odkrycie i podliznąć się ojcu Maura, zajmując się osobiście jego synem. Gdyby się dowiedział o tym, co zaraz ci powiem, gotów by wszystko natychmiast odwołać.

- Coś się stało?

- Och, banalna sprawa: gość, z którym się dogadałem, że nas zawiezie w górę rzeki... no... hm... zmienił zdanie. W ogóle nie chce słyszeć o wynajęciu nam statku. A wiesz dlaczego? Idę o zakład, że nie zgadniesz!... Podobno jacyś wariaci blokują szlak powyżej Cuiaby. Nawet policja tam się nie zapuszcza, bo strzelają z karabinów maszynowych do wszystkiego, co się rusza...

- Żartujesz chyba!

- Zdaje się, że chodzi o handel krokodylimi skórami. Jakaś szajka z Paragwaju. Mają nawet małe lotnisko w lasach! A że to dosyć lukratywny interes, zrobią wszystko, żeby im nie przeszkadzano.

- Wierzysz w to?

- Sam nie wiem... W tych stronach wszystko jest możliwe.

- Do cholery, a co policja na to?

- Pewnie dostaje swój kawałek tortu.

- I nie ma sposobu, żeby jakoś ich obejść? Nie no, w głowie się nie mieści!

- Nijakiego. Już w zeszłym roku przestudiowałem mapy z Ayrtonem, tym rybakim, co to mi przywiózł skamieniałość: odnoga rzeki, nad którą jest złoże, zaczyna się dwadzieścia kilometrów wyżej i nie prowadzi tam żadna droga. Można tylko zejść na ląd i dżunglą przebyć jakieś sześćdziesiąt, siedemdziesiąt kilometrów... A to przecież wykluczone.

Elaine siedziała zgnębiona. Znając Milтона, mogła być pewna, że na sto procent oznacza to powrót do Brasillii najbliższym samolotem.

- No to co robimy? - spytała smętnie.
- Na razie nic. Ale trzymaj buzię na kłódkę. Żebyś słowem nie pisnęła o tym Miltonowi. Maurowi zresztą też. Nigdy nic nie wiadomo... Nawiązałem inne kontakty i odpowiedź będę miał po południu. Zrozumiano?
- Zrozumiano... - mruknęła zawiedziona Elaine.
- No już, ubieraj się. Za dziesięć minut widzimy się na tarasie.

Wsparty łokciami o parapet swojego pokoju Mauro pożerał wzrokiem niezwyklej krajobraz oglądany po raz pierwszy. Hotel Beira Rio stał nad rzeką w krótkim ciągu starych budynków, które w tym miejscu rozłożyły się na brzegu. Ze swojego miejsca student widział mokradła Pantanal ciągnące się aż po horyzont. Stada niesamowitych ptaków z wrzaskiem przemykały pod bezchmurnym, choć przymglonym niebem. Mętne, idealnie gładkie wody rzeki Paragwaj wyglądały jak pożółkłe lustro poplamione miejscami rdzą czy jakimś podejrzanym nalotem. Trudno było uwierzyć, że ta zatoczka o stojących wodach należy do potężnej rzeki, którą drwale spławiają ogromne tratwy z pni aż do Buenos Aires czy Montevideo. Do drzew albo nadpróchniałych pali wbitych w brzeg przycumowano bez ładu ni składu kilka łodzi, starą dwupokładową kanonierkę i kuter policji rzecznej, cudem jakimś kołyszące się na wodzie. Długie aluminiowe barki, odwrócone dnem do góry na trawie pośród piróg i olinowań, oślepiająco błyszcząły w słońcu.

Mauro jak każdy student geologii uczestniczył w wielu wyjazdach w teren, lecz po raz pierwszy był członkiem prawdziwej wyprawy poszukiwawczej, w dodatku w towarzystwie elity uniwersyteckiej. Dietlev Walde zasłynął dwa lata wcześniej, gdy wraz z profesorem Leonardosem i innymi niemieckimi geologami niespodziewanie w kamieniołomach Corumby odkrył skamieniałość: polipa porównywalnego do *Stephanoscyphusa* zidentyfikowanego już w kilku miejscach na świecie, odznaczającego się jednak istotnymi różnicami w budowie, mianowicie obecnością polipów z pokoleń potomnych. Różni specjaliści - w tym Elaine von Wogau - zbadali próbki przywiezione do Brazylii i na tej podstawie datowano odkrycie na pochodzące sprzed 600 milionów lat, dowiedziono także, iż skamieniałość należała do prymitywnej gałęzi w ewolucji krążkopławów: nie tylko była to pierwsza skamieniałość prekambryjska znaleziona w Ameryce Południowej, ale także jedna z najstarszych w ogóle.

Ochrzczona mianem *Corumbella Wernerii, Hahn, Hahn, Leonardos & Walde*, zapewniła Dietlewowi i jego ekipie natychmiastową sławę.

Przed rokiem Dietlev wrócił do Mato Grosso, aby pobrać nowe próbki. Ponieważ rozeszła się wieść, że lekko stuknięty Niemiec szuka odcisków na kamieniach i dobrze za nie płaci, pewien rybak przyniósł mu kamień znaleziony gdzieś wysoko, na północy Pantanal. Okazało się, że mają do czynienia ze skamieniałością prekambryjską starszą niż korumbela, co więcej - z przedstawicielem szkarłupni, organizmów nigdy jeszcze nie znalezionych, nawet w przebogatych złożach Ediacary w Australii! Stąd pomysł zorganizowania wyprawy, która bardzo obiecująco się zapowiadała.

Chociaż perspektywa nazwania swoim nazwiskiem jakiegoś organizmu zwierzęcego podnieca większość naukowców, Miltona przeobraziła w istną bestię: opętany myślą o awansie dotąd intrygował, aż zajął miejsce Othona Leonardosa w ekspedycji. Mauro, podobnie jak Dietlev i Elaine, gardził nim za ten czyn niegodny prawdziwego badacza. Milton miał jednak takie wpływy, że należało albo się z tym pogodzić, albo zrezygnować ze wszystkiego, łącznie z pracą na uniwersytecie.

Ostatecznie naprawdę liczyło się tylko pogłębienie wiedzy o naszym świecie. A skamieniałość pochodząca wprost z „pierwotnej fauny” dawała nadzieję na fantastyczny postęp w zrozumieniu początków życia, toteż Mauro również wprost się palił - i nie było się czego wstydzic - do uczestnictwa w takim wiekopomnym wydarzeniu.



Nie mówiąc już o tym, że w ten sposób zamknie dziób ojcu. I to definitywnie. Taką przynajmniej miał nadzieję.

O umówionej godzinie spotkali się na tarasie na ostatnim piętrze hotelu. Dietlev zwięźle omówił ich cele i rolę każdego w wyprawie. Z logistycznego punktu widzenia wszystko szło zgodnie z planem, wyjąwszy problemy z zaopatrzeniem statku w paliwo. Udało mu się zdobyć dopiero połowę potrzebnej ilości, lecz jest w trakcie załatwiania reszty, aczkolwiek nieco drożej. Milton przypomniał, że mają wystarczające środki, aby wykupić cały zapas paliwa w Corumbie, po czym spokojnie zajęli się posiłkiem.

Koło trzeciej Dietlev zaprowadził ich do kamieniołomu, by zapoznali się z warstwami geologicznymi, z których pochodziła *Corumbella Wernerii*, i ewentualnie zebrali kolejne próbki. Pokazał im cienką warstwę szarzielonych iłów, na której należało skupić badania, po czym zostawił ich, mówiąc, że będzie na nich czekał w Esterze pod wieczór.

Zanim wsiadł do taksówki, obejrzał się: Elaine i Mauro na czworakach ryli w zboczcu wzgórza. Milton z rękami w kieszeniach, w panamie zsuniętej na bakier, patrzył, jak uwijają się w tumanach białego pyłu. Kiedy Dietlev

wszedł do Estery, kawiarni-restauracji, gdzie umówił się ze swoją ostatnią nadzieją na wynajęcie statku, szef odłożył pędzel, aby powitać go wylewnie.

- Witaj, *amigo!* - zawołał, biorąc go w ramiona. - Miło cię widzieć. Co się z tobą działo przez ten czas?

- Cześć, Herman - rzekł Dietlev, nie odpowiadając na pytanie, na które nie oczekiwano odpowiedzi. - Nadal malujesz?

- A tak, próbuję ozdobić te stare mury. Tym razem będzie portret. Patrz, co wyniuchałem - powiedział, biorąc ze stołu starą pocztówkę.

- Otto Eduard Leopold von Bismarck! Nieźle, co? Właśnie go kopiuję. Będzie ogromny!

- No... imponujące... - przyznał geolog, zajrzawszy do dużej wnęki, gdzie Herman zaczął wypełniać kolorami naiwny szkic portretu.

Czuł się nieswojo: jak zwykle w pewnej chwili ten człowiek naraz stawał się dlań odpychający. Herman Petersen mówił po niemiecku, zachowywał się jak Niemiec, lecz był... Boliwijczykiem. Kogo to dziwiło, ten na potwierdzenie mógł zajrzeć do wystrzępionego paszportu, który Herman chętnie pokazywał. Żonaty z tłustą, strasznie oszpeconą śladami po ospie Mulatką (naprawdę trzeba było hartu ducha, aby bez wstrętu pogodzić się z tym, że spłodził z nią troje dzieci!), chełpił się, że ma również obywatelstwo brazylijskie. Kiedy dymiło mu się z czuba, czyli co dzień o stałej wieczornej porze, stawał się gadatliwy i pozwalał sobie na wyrażanie tęsknoty za porządkiem Wielkiej Rzeszy, a nawet sympatii dla niej. „Zgadza się, pod koniec przesadził - powiadał, nie wymawiając nigdy nazwiska Hitlera - ale mimo wszystko! Idee zostają, a nie wszystkie były złe, co to, to nie, naprawdę!”. Za swoich dwóch wcześniejszych bytności w Corumbie Dietlev wyciągnął z niego jedną tylko informację: Petersen przybył do Boliwii w roku 1945, po kapitulacji... „Ale byłem prostym żołnierzem - dodał z niejakim naciskiem - płótką, drobną płótką!”.

- I jak? - podjął Herman. - Co ci mogę postawić, żeby uczcić twój powrót? Mam nowe piwo beczkowe, po prostu boskie!

- Za chwilę - rzekł Dietlev, widząc, że do baru wchodzi człowiek, na którego czekał. - Muszę tylko coś pilnie załatwić z tym gościem.

- Nie ma sprawy, *amigo*. Czuj się jak u siebie.

Brazylijczyk podszedł do Dietleva z fałszywie uniżoną miną, która nie wróżyła nic dobrego.

- *Senhor* Walde - zaczął, unikając jego spojrzenia - nie mogę, naprawdę nie mogę. Chciałbym, ale nie mogę ryzykować, że stracę statek, chyba pan rozumie? Tamtędy nie da się przepłynąć, strzelają jak do

królików. Niech pan nie liczy, że ktokolwiek tam pana zabierze.

Dietlev poczuł, że twarz oblewa mu fala gniewu i rozczarowania.

- Podwajam zapłatę! Zastanów się: dwieście tysięcy cruzeirów!

Brazylijczyk zwinął się w miejscu, jakby do szpiku przeszyla go wysokość kwoty, po czym jego wzrok naraz znieruchomiał na czymś za plecami Dietleva, który obejrzał się instynktownie: Petersen spokojnie wycierał kufel, nie odrywając oczu od ścierki.

- To jak będzie? - podjął Dietlev.

- Przykro mi, niech mnie!... naprawdę mi przykro. Ale to zbyt niebezpieczne, nie mogę. Może w przyszłym roku...

- Nie będzie przyszłego roku! - ześlił się Dietlev. - Teraz albo nigdy. Mam budżet, który nie przechodzi na następny rok, rozumiesz?

- Proszę się nie denerwować, *senhor*, nie zmienię przez to decyzji. Widziałem się z Ayrtonem...

- Z Ayrtonem? Tym rybakiem?

- Rano pojechał do Campo Grande. Kazał panu powiedzieć, że nie może panu towarzyszyć. Widzi pan, jego matka zachorowała...

- Jeszcze tego brakowało! - westchnął Dietlev, zaciskając pięści. - *Scheisse!*... Słyszałeś, Herman?

- Co miałem słyszeć?

- Tego faceta! - odparł, obracając się, by teatralnym gestem wskazać rozmówcę.

Ale Brazylijczyk skorzystał z tej chwili i wymknął się po cichu, tak że Dietlev zobaczył go, jak znika za wiszącą w wejściu zasłoną z koralików. Zniechęcony Dietlev oparł się łokciami o kontuar.

- Teraz możesz nalać nam piwa. W tej sytuacji pozostaje mi tylko zalać się w trupa!

- Zobacz - rzeki Herman, pokazując wielki kufel ustawiony pod kurkiem. - Pochodzi z Monachium, od Schellinga. Wyjąłem go specjalnie na twoją cześć... Czyli wygląda na to, że masz kłopot, co?

- I to jaki! Nawet sobie nie wyobrażasz!

Z łokciem wspartym na kontuarze i brodą na dłoni Herman słuchał Dietleva, który opowiedział mu pokrótce, w jakiej jest sytuacji. Petersen musiał

mieć kiedyś przystojną nordycką twarz, typową dla wyobrażeń w krajach latynoskich: niebieskie oczy, jasne włosy, rumiane policzki. Alkohol z biegiem lat przemodelował mu rysy: szorstka skóra, twarz obwisła, miejscami podpuchnięta, oczy tak blade, że zdawały się zasłonięte bielmem. Związane z tyłu siwe włosy wyglądały jak namaszczone mieszaniną tłuszczu i nikotyny, tandetne sztuczne użębienie sprawiało, że uśmiech pasował do Muzeum Grevina, a ciało tonęło w szerokich szortach i koszuli z krótkim rękawem. Jedynie brzuch prezentował się okazale, wydęty jak u głodującego dziecka.

- Ta skamieniałość, o której mówisz - zapytał - co to właściwie jest?

- Ta, której szukam? No, powiedzmy, że rodzaj jeżowca, tylko bez kolców.

- I dla jeżowca tak się miotasz? Odbiło ci, *amigo*.

- Nic nie rozumiesz, Herman. Czegóż takiego nikt nigdy jeszcze nie widział. Niektóre instytuty albo kolekcjonerzy gotowi by zapłacić fortunę za taki okaz!

- Fortunę, powiadasz?... Na przykład ile?

- Nie mam pojęcia. To jest bezcenne. Jak kamień przywieziony z Księżyca. Kilka takich skamieniałości pozwoliłoby finansować nasze badania przez parę lat...

- A ta, którą ty masz?

- Niewarta złamanego grosza. Póki się nie zidentyfikuje złoza, z którego pochodzi, można tylko snuć domysły. Jak przy każdej skale eratycznej.

- Eratycznej?

- No, tak się nazywa coś, co przywędrowało skądinąd. Jeśli na przykład otwierasz grobowiec faraona i w sarkofagu znajdujesz ziarna zboża, możesz uznać, że to zboże jest co najmniej w wieku mumii, że ma

znaczenie symboliczne w kulcie zmarłych, ponieważ odwołuje się do odrodzenia, i tak dalej. Jeśli te same ziarna znajdziesz na pustyni albo jeśli ktoś ci je przyniesie, nie uzyskasz żadnej informacji ani o nich, ani o niczym. Po prostu nic nie będą znaczyły.

- Rozumiem... A jesteś pewien, że to twoje złoże istnieje?

- Na sto procent! I to jest najgorsze. Wypytałem Ayrtona na wszystkie strony, pokazywałem mu mapy satelitarne, które udało mi się zdobyć:

wszystko pasuje. To wzgórze położone w rozwidleniu rio Bento Gomes i Jauni, nieco poniżej Descalvado.

- Znam.

- Jak to: znasz? Byłeś tam?

Herman z namysłem na twarzy zignorował pytanie.

- I myślisz, że mógłbyś znaleźć to miejsce nawet bez Ayrtona?

- Jestem przekonany! Jak już będę na miejscu, gwarantuję, że sobie poradzę, mam praktykę. Dzięki Ayrtonowi oszczędziłbym po prostu trochę czasu...

Herman spojrzał Dietlevowi prosto w oczy, jakby znowu ważył wszystkie za i przeciw.

- Hm... - chrząknął po chwili zastanowienia. - Chyba postawię ci jeszcze jedno piwo.

- Nie, dzięki. Już mi poszło do głowy.

Stary Niemiec mimo to wziął obydwie puste kufle i nachylił się do kurka.

- Nie, Herman, dziękuję. Nie mam...

- Mogę załatwić statek... - rzekł Petersen, nie odrywając oczu od strzyki piwa, które spływało do kufła.

- Co powiedziałeś?

- Dobrze słyszałeś. Powiedziałem, że mogę załatwić statek, pilota i wszystko, co ci potrzebne. Ale kosztowało będzie raczej drogo. Decyzja należy do ciebie.

Dietlev myślał szybko. Wystarczyło jedno słowo, by odrodziła się w nim nadzieja, i to większa niż dotąd. Milton gwizdze na kasę, zapłaci każdą cenę, byle wyprawa się odbyła. A Herman nie wyglądał na takiego, co zmyśla.

- Z kim mam negocjować? - spytał Dietlev ochoczo i zaraz pożałował, że tak się pospieszył.

- Ze mną - odparł Herman, stawiając przed nim napełniony kufel. - To dobry statek. Kupiłem go od państwa dziesięć lat temu. Dwadzieścia osiem metrów, stalowy kadłub, silnik trzystukonny. A kapitan stoi przed tobą.

- Żartujesz chyba? A na cóż ci taka łajba?

Herman jakby się lekko zirytował.

- Wiesz, nie jestem głupszy od innych! Bar przynosi tyle, że w życiu bym nie wyżywił żony i trojga dzieci. A tutaj mnóstwo rzeczy można robić, jak się ma statek: w sezonie można wozić turystów na ryby; można przewozić towary z jednej fazendy na drugą; można też oddać się na usługi... na przykład geologów...

- Dobrze już, dobrze, wybacz. Zaskoczyłeś mnie po prostu... Ale powiedz, ta historia z łowcami krokodyli to bujda, prawda?

- Nie, nie okłamano cię.

- A ty się nie boisz?

- Ja to co innego. Bo widzisz, robię z nimi interesy. Od czasu do czasu wożę im zaopatrzenie. Są nieszkodliwi, jeśli zostawić ich w spokoju. Ale pamiętaj, to moje sprawy. Masz nic nie widzieć, nic nie słyszeć, a wszystko będzie dobrze.

- Ile chcesz?

- Ha, ha, ha! No właśnie - roześmiał się Herman szeroko, pokazując wszystkie sztuczne zęby, a poważniejąc, rzekł: - Chcę czterysta tysięcy cruzeirów i... trzydzieści procent ze sprzedaży pierwszych

skamieniałości.

Dietlev oniemiał na takie wymagania. Nie tyle z powodu wysokości kwoty - tu zawsze można się jakoś dogadać - ile z racji kompletnie szalonego żądania tantiem.

- Chyba niedokładnie zrozumiałeś, Herman - podjął, starając się zachować spokój. - Nie będę przecież szukał złotych samorodków! Jeśli znajdę te cholerne skamieniałości, co nastąpi pod warunkiem, że moja hipoteza nie jest błędna, i jeśli zainteresują się nimi zagraniczni badacze, będzie można pomyśleć o sprzedaży. A wtedy zajmie się tym mój wydział, wydział geologii, a cała kasa pójdzie na konto uniwersytetu. U-ni-wer-sy-te-tu! Ja nie dostanę dosłownie nic, ani jednego cruzeira!

- Zawsze można sobie jakoś poradzić, nie? Na pewno jest gdzieś jakiś *jeitinho*, nie w mówisz mi, że...
- Herman, mówię ci, to niemożliwe. Nawet nie do pomyślenia!
- No to nie, *amigo*. Znajdź sobie inny statek.

- Nie możesz mi tego zrobić, Herman! Zastanów się... Mogę się zgodzić na czterysta tysięcy, to i tak świetny interes, nie? A skamieniałości? Przecież nie wiadomo nawet, czy istnieją! Targujesz się o to, co palcem na wodzie pisane. Ale jeśli wszystko pójdzie dobrze, tylko ty będziesz wiedział, gdzie one są. I kto ci przeszkodzi, żebyś tam wrócił i wykorzystał je?

Jedynie co ci mogę obiecać, to że przyślę do ciebie kolekcjonerów...

Herman z nieobecny wyrazem twarzy popijał piwo małymi łykami. Miał odpowiedzieć, kiedy do baru weszła Elaine, a za nią Mauro i Milton.

Dietlev dokonał prezentacji, gdy przybyli rozsiadali się przy barze. Uśmiech wrócił na twarz Hermana, którego oczarowała Elaine. Zdażyła wpaść do hotelu, wziąć prysznic i przebrać się. W prostej bawełnianej sukience pistacjowego koloru, z wilgotnymi jeszcze włosami, zachwycała świeżością.

- Czego się napijecie? - spytał Dietlev.
- Nie lubię piwa - odparła Elaine, widząc puste kufle. - Mogę dostać wina?
- Ależ oczywiście, szanowna pani! U Hermana Petersena znajdzie się wszystko, zwłaszcza dla takiej pięknej kobiety! Niech pani tego spróbuje - mówił, wyciągając spod kontuaru butelkę. - Czerwony valderrobes. Boliwijskie. I między nami mówiąc, żadne brazylijskie się do niego nie umywa.

Mauro także zdecydował się na wino, wobec tego Milton oświadczył, że dołącza do nich.

- Jak poszło? - zwrócił się Dietlev do Elaine.

- Całkiem, całkiem... Znaleźliśmy z Maurem trzy piękne okazy korumbeli. Odcisk jest bardzo wyraźny, da się zrobić piękne odlewy.

- Ale najpiękniejszy znalazł Mauro - wtrącił Milton słodziutkim głosem. - Zdolny chłopak!

Obróciwszy się tyłem do Milona, Mauro wznosił oczy do nieba, dając do zrozumienia Dietlevowi, jak go krępuje ta służalczą troska.

- Taki początek dobrze wróży całej wyprawie - dodał Milton, zacierając ręce. - To jak, Dietlev? Kiedy wyruszamy?

Elaine zauważyła popłoch w oczach geologa. Dietlev popatrzył na Petersena, który kończył nalewać wino. Herman odstawił butelkę i z uśmiechem spojrzał na Elaine.

- Ależ kiedy tylko państwo zechcą - rzekł powoli, jakby odpowiadał na jej pytanie. - Jestem do usług. Dietlev z wyraźną ulgą wyciągnął rękę, aby podziękować mu za podjętą decyzję.
- Pojutrze może być?

- Jesteśmy umówieni, *amigo* - powiedział Herman, wylewnie ściskając mu dłoń nad kontuarem. Jego wymowne spojrzenie mówiło: „Warunki uzgodnione, tak?”. Kiedy Dietlev nieznacznym mrugnięciem przytaknął, dodał: - Chyba teraz twoja kolej postawić mi piwo.

- N a m ! Postawić n a m piwo! - poprawił go Dietlev. - Trzeba to uczcić!
- Nareszcie! - zawołał Milton. - Chciałbym jak najszybciej zająć się poważnymi sprawami...

Słowem nawet nie wspominając o targach ani o łowcach krokodyli, Dietlev mianował Hermana

członkiem ekipy. Następny dzień poświęć na zaopatrzenie statku i ostatnie przygotowania.

- Jakim statkiem popłyniemy? - zapytał Mauro.

- Najpiękniejszym w całym Pantanal! Możecie go zobaczyć, stoi na kotwicy naprzeciwko - rzekł Herman, idąc w stronę wejścia. - Patrzcie tam, to „Mensajeiro da Fé”. Stoi koło kutra straży granicznej.

- Ten? - zdumiał się Mauro, rozpoznając starą kanonierkę, którą zauważył z okna swojego pokoju.

- Ten, ten - potwierdził Petersen, nie zauważywszy nic uwłaczającego w jego tonie. - Może i nie wygląda zachęcająco, ale to naprawdę cud nie łąjba. Na nim ze mną za sterem nic wam grozi, możecie mi wierzyć.

- „Posłaniec Wiary”... Ładna nazwa - powiedziała Elaine z uśmiechem.

- Chciałem go nazwać „Siegfried”, ale żona nie pozwoliła... A właśnie, muszę ją uprzedzić, bo pewnie będziecie chcieli coś zjeść, prawda? Piranie przyrządza jak nikt!

Dietlev potwierdził tę opinię, wrócili zatem do baru i na powrót zajęli miejsca przy kontuarze, Herman zaś ile sił w płucach zaczął przyzywać Teresę.

*Z notatnika Eleazarda*

WITTGENSTEIN: „Filozof zajmuje się problemem tak, jakby zajmował się chorobą”. Co oznacza, że w pierwszym rzędzie należy szukać objawów, które pozwolą postawić diagnozę. Wykorzystać ten wątek dla „kwestii” Kirchera?

MOŻNA BY O JEGO PRACACH powiedzieć to, co Rivarol pisał o „Le Monde primitif Courta de Gébelin: „To dzieło, którego długość jest nieproporcjonalna do długości ludzkiego życia, toteż od pierwszej strony aż się prosi o skrót”.

LIST OD MOEMY. Wspaniała arogancja młodości, piękno swobodne, beztrioskie i jeszcze nieustabilizowane tych, którzy wciąż mają przyszłość przed sobą. Oczywiście każą starszym schodzić z drogi, na której niby przez nieuwagę odmawia się im miejsca.

O SKAMIENIAŁYCH ŚLADACH STÓP wchodzących jedno w drugie, znalezionych na równinie Eyasi w Tanzanii: świadczą, że jakieś trzy miliony lat temu, w pliocenie, młoda kobieta zabawiła się stawianiem stóp dokładnie w miejsce stóp osobnika płci męskiej, który szedł przed nią. Elaine widziała w tym krzepiący dowód na to, że już w tej odległej epoce hominidzi byli bardzo do nas podobni. I strasznie ją chyba denerwowało, że ja przeciwnie, widziałem w tym dowód na rozpaczliwą wręcz niezmiennosc naszego gatunku.

CHYBA NIGDY przełom wieków nie był tak ponury, nie obnosił tak posepnie samouwielbienia.

LOREDANA... Kiedy mówi, słyhać miłe poszeptywanie jak skwierczenie cebuli na patelni.

PRAWDA nie jest ani drogą na przełaj, ani nawet polaną, na której światło miesza się z mrokiem. Jest samą dżunglą i jej niepokojącą gęstwiną, jej niezgłębionością. W moim wypadku już dawno nie chodzi o znalezienie wyjścia z lasu, lecz o zagubienie się w jego ostępach.

NIE JEST ŚWIĘTE nic, co choćby raz posiadało nietolerancję.

NAPISAC ZDANIE posłodzoną wodą na białej kartce i położyć ją w pobliżu mrowiska; sfilmować narodziny słów, zmiany formy i może również znaczenia pod wpływem owadów.

PIRANIA, dosłownie: brama lechtaczki. W Amazonii robi się nożyczki z jej zębów. Dziadek Freud niewątpliwie doszukiwałby się w tym nie wiadomo czego, mnie jednak trudno choćby na sekundę uwierzyć, żeby „lęk przed kastracją” tłumaczył takie skojarzenia. Wolę myśleć, że w chwili gdy trzeba było rybę jakoś nazwać, mężczyźni instynktownie wybrali określenie dla nich najdziwniejsze, najbardziej poetyckie.

W MOICH WYOBRAŻENIACH Kircher przypomina postać o tym samym nazwisku z powieści Heimita von Doderera „Ein Umweg”: mędrca będącego więźniem niedokładnie przesianej erudycji, nadętego kompilatora przejętego swymi prerogatywami, człowieka wierzącego ciągle w istnienie smoków... Krótko mówiąc, swego rodzaju dinozaura, którego uczniem nie chce zostać - i słusznie - młody bohater powieści.

KIRCHER MNIE FASCYNUJE, ponieważ to ekscentryk, artysta niepowodzenia i pozorów. Jego ciekawość jest modelowa, lecz przywodzi go na skraj oszustwa... Jak Peiresc mógł nadal mu ufać? (Napisać do Malbois: weryfikacja w związku z Mersenne'em itd.).

AUGUSTIAŃSKI WIR: „...żadnego lęku nie budzą we mnie dowody akademików, którzy pytają: A cóż, jeśli się mylisz? - Bo jeśli się myślę, to jestem. Przecież ten, kto nie istnieje, w żaden sposób nie może się też mylić. Jeśli więc myślę się, oznacza to, że jestem. A ponieważ jestem, jeśli się myślę, to jakże mogę się mylić co do tego, że jestem, skoro istnienie me jest pewne, jeżeli się myślę?” (Św. Augustyn, „O państwie Bożym”). Równie skomplikowane, powiedziałyby Soledade, jak uprawianie miłości na stojąco w hamaku...

## ROZDZIAŁ IV

*Gdzie jest opowiedziane, jak Kircher poznał Italczyka,  
który zwłoki swej żony woził cztery lata...*

**J**ako że Niemcy zbyt niebezpieczne były dla braci z Towarzystwa Jezusowego, ustalono, że drogę do Austrii przebędziemy przez północną Italię. Wyruszyliśmy zatem do Marsylii, gdzieśmy wsiedli na lichy stateczek kabotażowy zmierzający do Genui. Nasz plan zniweczyły wszakże sztormy, tak żeśmy dotarli raptem do Civita Vecchia. Mdłości nas opadały na samą myśl, iż znów mielibyśmy się znaleźć na morzu, pieszko tedy pokonaliśmy sześćdziesiąt mil, które dzieliły nas od Rzymu.

A tam na Kirchera czekała potężna niespodzianka... Kiedyśmy stanęli w Collegium Romanum, zgoła przecież przypadkowo, albowiem obecność nasza w tym mieście wzięła się z kaprysu wiatrów, przełożonych ani trochę nie zdziwiło przybycie Atanazego; przeciwnie, powitali go, jakby był niecierpliwie oczekiwany. Okazało się otóż, że podczas naszej niepozabawionej przygód podróży starania Pieresca wydały w końcu owoce & Kirchera powołano na katedrę matematyki w kolegium w miejsce Christopha Scheinera, który już wyruszył był do Wiednia, gdzie miał zastąpić Keplera. Oprócz wykładania matematyki, jak sprecyzowano, Atanazy miał się poświęcić także badaniu hieroglifów - w tej klauzuli łatwo dawało się rozpoznać rękę życzliwego mu Prowansalczyka.

Trudno mi opisać ukontentowanie Kirchera, kiedy się o tym dowiedział: w wieku trzydziestu lat obejmował prestiżową katedrę w najslawniejszym kolegium jezuickim & jak równy z równym mógł przestawać z najznamienitszymi uczonymi swoich czasów, z ludźmi, których podziwem wielkim darzył od zarania swoich studiów.

W listopadzie roku 1633, kiedyśmy dotarli do Rzymu, Galileusz został właśnie po raz pierwszy na rok

osadzony w więzieniu; mój mistrz za obowiązek sobie poczytywał odwiedzanie go, ilekroć tylko zajęcia mu pozwoliły.

Atanazy, którego ulokowano w izbie na ostatnim piętrze Collegium Romanum, widok miał niepowtarzalny na miasto. W dole widział mrowiący się rzymski lud - jak szacowano, w owym czasie miasto liczyło ponad sto dwadzieścia tysięcy dusz! - widział wieże & kopuły najpiękniejszych budowli, jakie kiedykolwiek wzniesiono, a przede wszystkim mógł oglądać parę potężnych obelisków, które właśnie zaczęto odnawiać z polecenia papieża Sykstusa V.

Za radą Peiresca nawiązał kontakt z Piętro delia Valle, sławnym posiadaczem słownika koptyjsko-arabskiego, który tłumaczył Saumaise. Ten urodzony podróżnik przemierzył w latach 1611-1626 całe Indie & Lewant. Z poszukiwań w grobowcach faraonów przywiózł niezliczone mumie, przedmioty & manuskrypty nieosiągalne gdzie indziej, nie wspominając o cennych informacjach, które światły podróżnik może zgromadzić podczas wędrówki. Słynął jako znawca Egiptu & Orientu, przede wszystkim zaś jako odkrywca ruin wieży Babel. Przywiózł stamtąd piękny granitowy kamień & później podarował go Atanazemu.

Ojciec Giovanni Battista Riccioli, towarzyszący mu w drodze powrotnej z Indii, niestrudzenie opowiadał nam o ich wspaniałościach.

- Trzeba wam wiedzieć - mówił - że w roku 1623 delia Valle poślubił w Bagdadzie Persyjkę, chrześcijankę obrządku wschodniego. Sitti Maani Gioreida, tak się bowiem nazywała, skupiała w sobie całe kobiece piękno & urok Wschodu, lecz zaledwie kilka miesięcy po ślubie dokonała żywota, przedwcześnie wydając na świat potomka. Do rozpaczki spowodowanej odejściem ukochanej dochodziła jeszcze świadomość, że miałby ją pochować w niepoświęconej ziemi, toteż Piętro delia Valle postanowił jej ciało zabalsamować sprawdzonymi metodami & przywieźć do Rzymu. Przez cztery lata podróżował potem w towarzystwie mumii małżonki. Niezwłocznie po powrocie do ojczyzny wyprawił jej wspaniały pogrzeb. Może nieco zbyt wspaniały jak na prostą Persyjkę, ale godzien miłości, jaką ją darzył. Na karawanie, ciągnionym przez dwadzieścia cztery białe konie, ustawiono katafalk, na którym na czterech postumentach stały wyobrażenia

Miłości Wzajemnej, Zgody, Wspaniałomyślności & Cierpliwości. Posągi jedną ręką wskazywały szklaną trumnę, w której spoczywała Sitti Maani, w drugiej zaś trzymały cyprys, do którego umocowano poematy napisane na tę okoliczność przez rzymskich akademików.

Atanazego człek ów doprawdy olśnił. Już przy pierwszym spotkaniu bez obaw zwierzył mu się ze swych pomysłów & planów, opisał widowiska, jakie zorganizował w Ingolstadtzie, & szybko przekonał Pietra delia Valle o swej przewadze w dziedzinie hieroglifów. Della Valle nie pozostał mu dłużny - wielkie na nim wywarła wrażenie wiedza człowieka, który podróżował tylko po Europie, zachwycił się jego geniuszem & zgodził się powierzyć mu ów słownik tak pożądanym przez wszystkich erudyty. Dokładne przejrzenie go upewniło mistrza mojego, że język koptyjski jest ogniwem niezbędnym dla odczytania hieroglifów, tak że w roku 1635, po śmierci Tomasza z Novary, Piętro delia Valle przy poparciu kardynała Barberiniego powierzył Kircherowi obowiązek przygotowania publikacji tego dzieła.

W następnym miesiącu wieść smutna do nas dotarła - o odejściu Friedricha von Spee, który został w Niemczech & tam z uporem nadal występował przeciwko fanatyzmowi inkwizytorów. Zabrała go dżuma w Trewirze, gdzie po zajęciu miasta przez cesarskich pielęgnował rannych zarażonych tą straszną chorobą. Mistrz mój ciężko przeżył przedwczesną śmierć Friedricha & od tej pory czasami oszukiwał smutek, opisując mi szczęśliwe zdarzenia związane ze wspomnieniem przyjaciela.

W roku 1636, po dwóch latach wytężonej pracy, Kircher opublikował w niewielkim in-quarto, liczącym 330 stron, „Prodromus Copticus Sive Aegyptiacus”, gdzie wykladał swój pogląd na tajemniczy język Egipcjan & metodę, którą zamierzał wykorzystywać w przyszłych swych badaniach. Ustaliwszy związki koptyjskiego z greką, udowadniał, że bezwzględnie trzeba przestudiować pierwszy, aby mieć

nadzieję na odczytanie pewnego dnia hieroglifów. Wreszcie po raz pierwszy ogłaszał ze wszech miar prawdziwe spostrzeżenie, które miało go przywieść do wiadomego sukcesu - że mianowicie hieroglify nie są jakąś tam formą zapisu, lecz symbolicznym systemem zdolnym wyrazić wszelkie subtelności myśli teologicznej kapłanów starożytnego Egiptu.

„Prodromus” odniósł niebywały sukces; Kircher został zasypany pełnymi zachwyty listami od wszystkich światłych osób swoich czasów, otrzymał także gorące powinszowania od Pieresca, który wszem wobec opowiadał, jak to poniekąd przyłożył ręki do odkryć dokonanych przez mistrza mojego.

Koniec owego roku naznaczyły zdarzenia dramatyczne: astrologa Centiniego & niewielką grupkę jego uczniów oskarżono o spisek mający na celu zrazu zamordowanie papieża Urbana VIII podczas czarnej mszy, której szczegółowej natury wstyd nie pozwala mi przedstawiać, a gdy to się nie powiodło, o próbę otrucia go. Kircherowi powierzono zbadanie trucizn znalezionych w domu Centiniego & w pożywieniu przeznaczonym dla Ojca Świętego. Tym sposobem nadarzyła mu się okazja poznać pewne śmiertelne jady o nader silnych właściwościach; doświadczenia owe zawarł później w jednej ze swych prac temu tematowi poświęconych. Centiniego & jego akolitów na śmierć skazano & powieszono na szubienicy postawionej na placu Świętego Piotra ludowi ku przestrodze. Od zmysłów omal-em nie odszedł, ujrawszy owych nieboraków, gdy zawisli na sznurze, konwulsyjnie rzucając nogami, lecz Kircher, który bez ustanku czynił zapiski, ostro mnie zbeształ.

- A ty co? - zawołał. - Drżysz na widok czegoś, co jest zgoła naturalne? Ci ludzie knuli, by pozbawić życia bliźniego, zostali zatem ukarani tak, jak zgrzeszyli. Im bardziej cierpią, umierając, tym łaskawiej Pan Bóg przyjmie ich modlitwy, zwłaszcza że wyznali swoje winy, przez co zasługują na całe miłosierdzie należne skruszonym. Zamiast lamentować nad tym, co jest tylko szybkim przejściem do lepszego życia, lepiej byś obserwował, w jaki sposób dochodzi do uduszenia & jakie są tego oznaki...

Tak napomniany znalazłem w sobie odwagę, by do końca obejrzeć egzekucję tych nieszczęśników, w pamięci-m wszakże zdołał zachować jedynie straszny grymas wykrzywiający twarz & zwisający posiniały język, podobny do pęcherza ryby zbyt szybko wyciągniętej z dużej głębokości.

Kilka chwil po śmierci Centiniego, gdy tłum już się rozchodził, Kircher zbliżył się do wisielców. Jako że pełniona funkcja mu na to zezwalała, obmacał każdego po kolei na wysokości przyrodzenia. Z wielkim ukontentowaniem zwrócił mi uwagę, że każdy trup w tym miejscu odzienie ma zamoczone, & obiecał, że wyjaśni mi kiedyś, w jaki sposób ta obserwacja potwierdza wyniki niektórych jego najsekretniejszych badań.

O ile wszakże rok 1636 skończył się dość tragicznie, o tyle następny, 1637, zaczął się ważną niezwykle nowiną: mianowicie Fryderyk Heski, landgraf Hesji-Darmstadt, wrócił na łono Kościoła katolickiego.

Kirchera wieść owa ogromnie uradowała: Fulda leżała w księstwie heskim, nawrócenie landgrafa zapowiadało zatem pokój w stronach tak bliskich jego sercu, a ciężko doświadczonych, niestety, zawieruchą wojenną & niedostatkiem.

Fryderyk Heski zjechał zatem do Rzymu, gdzie z wszelkimi honorami przyjął go Najwyższy Kapłan oraz kardynał Barberini. Ponieważ książę postanowił odbyć podróż po Italii & dalej, aż do Sycylii & na Malte, Kirchera z urzędu wyznaczono jako jego spowiednika & towarzysza wyprawy. I tym razem mistrz mój postarał się, abym wraz z nim pojechał.

Kilka tygodni później, kiedyśmy czynili ostatnie przygotowania do podróży, do Atanazego dotarła wieść o śmierci Peiresca, otrzymał też adresowany do siebie list wraz z kopią jego testamentu. Stary prowansalski erudyta zapisał Kircherowi całość swoich zbiorów, które skatalogowane & właściwie zapakowane już jechały do Rzymu.

Z niesłychanym wzruszeniem mistrz mój odpieczętował ostatnie przesłanie swego przyjaciela & protektora. Wiedząc o rychłej podróży Atanazego na południe, Peiresc zobowiązywał go, aby dokonał tam



pomiarów wysokości bieguna, obserwacji góry Etna oraz przywiózł mu listę ksiąg zgromadzonych w głównych bibliotekach Sycylii, a zwłaszcza wykaz manuskryptów z opactwa w Katanii. Atanazy & bez tych podpowiedzi miał przygotowany nader obszerny program badań, wszelako pośmiertne zachęty Peiresca były miodem na jego serce, postanowił zatem przeprowadzić stosowne obserwacje nie tyle w myśl realizacji własnych planów, ile w odpowiedzi na życzenia drogiego zmarłego.

Co się tyczy zbiorów, które miały dotrzeć do Rzymu już po naszym wyjeździe na Sycylię, Kircher nie posiadał się ze szczęścia. Zdecydował, że stworzy własną *Wunderkammer*, & z łaski kardynała Barberiniego otrzymał na ten cel kilka sal w Collegium Romanum. Poleciał, aby złożono tam skrzynie, które miały czekać, aż urządzone zostanie to, co w późniejszym czasie stanie się Museum Kircherianum, czyli najsztywniejszym, jaki kiedykolwiek istniał, gabinetem osobliwości.

## FORTALEZA

„Indianin to nie zwierzę”...

W ciemnych okularach, skórzanych spodniach rurkach i T-shircie z długimi rękawami, aby ukryć ślady ukłuć na przedramieniu - agencja Banco do Brasil, gdzie założyła sobie konto, mieściła się w miasteczku uniwersyteckim - Moema czekała na swoją kolej. Kiedy otrzymała czek od ojca, natychmiast przesała go do niejakiego Aleksandra Constantinopouloza, Greka z Rio, którego numer skrytki pocztowej dostała od kolegi i który podejmował się podwoić każdą kwotę przekazaną mu w walucie obcej. Zatelefonowano do niej z banku, że na jej konto faksem dokonano przelewu. Dosłownie czary! Jak ruletka, w której za każdym razem się wygrywa. Lekkie poczucie winy wzbudził w niej liścik dołączony do czeku: „Martwię się... Pewnie za bardzo. Ale jesteś moją córeczką i nic na to nie poradzę. Uważaj na siebie, skarbie, i pamiętaj, że kocham Cię nad życie”. Choć bardzo się starała trzymać te łby pod wodą, strzępy zdań bez przerwy wynurzały się na powierzchnię, czarne i napęczniałe jak topielcy. Ojciec słówkiem nie napomknął ani o pieniądzech, ani o pomysłach otwarcia baru, lecz właśnie ta dyskrecja bardzo ją wzburzyła. Ma w nosie, co robię, myślała. Parę miłych słów, forsa i hop! załatwione. Stary zgred z niego! Taki pewny siebie, szczególnie jak udaje, że w coś nie wierzy. Nigdy nic nie zrozumie... „Kocham Cię nad życie...”. Też coś! Jak mu się udało w ogóle wymyślić coś takiego?

Jednakże fala żalu, która w niej wezbrała, nie potrafiła zdusić poczucia winy. „Heidegger ma się na tyle dobrze, na ile dobrze może się mieć głupia podstarzała papuga. Wciąż powtarza swoje ulubione zdanie i pedantycznie niszczy wszystko, co wpadnie mu pod dziób, jakby dla kosmosu najważniejsze było, żeby na rzeczach nie został nawet ślad jakiegokolwiek powłoki. Szczerze mówiąc zresztą, zaczynam się do niego upodabniać...”. Przeczytawszy to kwieciste wyznanie, Moemaomal nie wskoczyła do pociągu, by jechać do ojca z pocieszeniem. Ale dzisiaj, w tej kolejce, która w ogóle się nie posuwała, tupnęła niecierpliwie, by przyspieszyć nawrót urazy. Palant! Czy on kiedyś powie coś normalnie, przestanie się wstydliwie chować za takimi literackimi wyrażansami? Czemu nie napisał: „Moema, kocham Cię, tęsknię, lecz wyślę Ci kasę, jak pokażesz, że radzisz sobie w życiu beze mnie...”. I zaraz zdała sobie sprawę, że to bez sensu: gdyby tak było, nie prosiłaby przecież o pieniądze, *porra!* No to może tak: „Skończ z głupimi rojeniami! Stań się wreszcie kobietą, Moemo, jeśli mnie kochasz!”. Nie, to też nie trzymało się kupy. Wcale nie miała chęci stać się kobietą, upodobnić do matki i innych kobiet dorosłych, które drobiły na obcasikach całe w pretensjach i pewności siebie. Jezu, gdyby ojciec wiedział!... pomyślała z miłym strachem. Lesbijka i narkomanka! Wyobraziła sobie, jak by to było: jest w pokoju z Thais, gdzieś poniewiera się strzykawka i reszta kłopotów... i niespodziewanie wchodzi ojciec. Bez słowa siada koło niej na łóżku i przytula ją. Głaszcze ją po włosach, długo, długo, i nuci z zamkniętymi ustami, samym gardłem, przez co klatka piersiowa wibruje mu jak bęben. A jej robi się tak strasznie dobrze, kiedy słucha kołysanki, ogarniają radość, która otwiera wszystkie drzwi, spełnia

wszelkie nadzieje. Wreszcie w chwili, gdy najpełniej łączy ich porozumienie, ojciec mówi:

- Proszę pani, inni też czekają...

Rozmarzonej Moemie zawróciło się w głowie przed okienkiem.

- Co pani jest? Źle się pani czuje?

- Nie, nie... przepraszam - odparła, zmuszając się do uśmiechu. - Zamyśliłam się tylko. Chciałabym podjąć gotówkę z konta.

Kiedy wychodziła z banku, usłyszała znajomy głos.

- *Tudo bem?* - zagadnął Roetgen, chwytając ją za rękę.

- *Tudo bom...*

- Nie pokazujesz się ostatnio. Obraziłaś się na moje zajęcia?

- Nie, gdzie tam!... A gdybym miała się obrażać na kogoś z wykładowców, to na pewno nie na pana.

- To co się dzieje?

- Och, nic takiego... Miałam ostatnio drobne problemy osobiste. No i rok się zaraz kończy, nie?

Pewnie w ogóle mało kto się zjawia.

- Nie da się ukryć - przyznał Roetgen ze śmiechem. - Ale to nie powód, żeby mnie porzucała najlepsza studentka... - Przeszkadzało mu, że nie widzi oczu Moemy, toteż zdjął jej naraz okulary. - Wiesz, że niegrzecznie jest rozmawiać w czymś takim, zwłaszcza z własnym nauczycielem?

Powiedział to żartobliwie i żeby się podroczyć, lecz zaskoczyła go, cofając się gwałtownie. Przez moment miał wrażenie, że ją obnażył, tak bardzo

się zmieszała. Wielkie niebieskie oczy Moemy wydały mu się jeszcze dziwniejsze niż zwykle - niczym oczy nocnego ptaka wypuszczonego naraz na pełne słońce znieruchomiały i pojawiła się w nich zatrważająca pustka i strach.

- Co pana napadło? - burknęła. - Z tego co wiem, nie spaliśmy razem.

Roetgen porumieniał aż po nasadę włosów.

- Przepraszam - powiedział niezręcznie. - Nie wiem, czemu to zrobiłem. Ale szkoda chować takie śliczne oczy.

- Ach, ci Francuzi... - Moemę rozbawiło jego zmieszanie. - Wszyscy tacy sami!

- Nie bądź tego taka pewna, bo mogą cię spotkać przykre niespodzianki! - Zerknął na zegar na banku.

- O la, la! Spóźnię się! Muszę lecieć. A, słuchaj, wieczorem jest impreza w Domu Kultury Niemieckiej, może być przyszła? Pogadalibyśmy...

- Wkurzają mnie takie zorganizowane spędy. Sprowadza się to do bicia piany i atrakcji sponsorów.

- To będzie co innego. Nie znasz Andreasa, on naprawdę chce, żeby coś drgnęło. Ale jak studenci się nie włączą, wszystko pójdzie na marne.

- Dobra, zobaczę.

- Świetnie. To do wieczora, mam nadzieję...

Roetgen był *professor visitante*, jak mówi się w Brazylii, czyli wykładowcą zatrudnionym na czas określony w ramach wymiany międzyuniwersyteckiej z zagranicą. Świeżo po dyplomie - był niewiele starszy od swoich studentów - rozkochany w etnologii regionu Nordeste, przyjechał do Fortalezy w trakcie roku akademickiego z cyklem seminariów poświęconych „metodologii obserwacji w środowisku wiejskim”. Raczej nieśmiały i powściągliwy, zaprzyjaźnił się z Andreasem Haeknerem, kierownikiem w Domu Kultury Niemieckiej. A ponieważ ciągle widywano ich razem, poszła plotka, jakoby darzyli się „grzesznymi uczuciami”. Moema wraz z innymi śmiała się z aluzji, które padały czasami, gdy przechodził, niemniej nie zauważała u niego żadnych oznak świadczących o skłonnościach homoseksualnych. Nie należał „do rodziny”, jak mówiła, a jeśli myliła się jakimś cudem, to naprawdę ze szkodą dla Brazylijek.

Wysiadłszy z autobusu nad brzegiem morza, dokładnie na wprost przecznicy, przy której mieszkała Thais, Moema przystanęła na chwilę. Widziany przez ciemne szkła ocean wyglądał jak jezioro wrzącego złota otoczone palmami kokosowymi ze skóry i białej blachy.

- Ludzie powinni obowiązkowo nosić ciemne okulary! - powiedziała, odchylając kurtynę ze sznurków u wejścia, które prowadziło prosto do dużego pokoju. - Może by im to pomogło wyobrazić sobie...

Jej tyradę przerwały oklaski Virgilia, Pabla i Thais rozwalonych na materacu i poduszkach. Kiedy mościła się między nimi, Thais zerknęła na nią pytająco, lecz uspokoiła ją nieznacznym mrugnięciem: kasę dostała.

- *Maconheiros!* Czuję marychę - sarknęła Moema, ostentacyjnie węsząc dokoła. - Paliliście, dranie!

- *P a l i m y* - poprawił Pablo z przebiegłą miną i pokazał jej ukrytego w prawej dłoni do połowy wypalonego dżointa, którego trzymał w dwóch palcach. - Chcesz, ślicznotko?

- Tego się nie odmawia - odparła Moema, ostrożnie biorąc od niego papierosa.

Kiedy zaciągnęła się, osłaniając dżointa stulonymi dłońmi, Virgilio pokazał jej pierwszy numer pisemka, o którym przynudzał od kilku tygodni. Jego tytuł, zainspirowany Szekspirem - „Tupi or not Tupi” - nawiązywał do Tupi, rdzennej ludności „niezdolnej do pracy”, którą konkwistadorzy masakrowali metodycznie, po czym zastąpili ją niewolnikami przywiezionymi z Afryki. Gazetka nie imponowała objętością, została jednak wydrukowana na offsecie i zawierała wiele czarno-białych ilustracji. W artykule wstępnym zatytułowanym „O indio não é bicho”, „Indianin to nie zwierzę”, Virgilio obwieszczał, jaki cel przyświecał będzie zgromadzonej wokół niego grupce: chronić przed eksterminacją Indian brazylijskich, zarówno tych z Amazonii, jak i z Mato Grosso; bronić ich kultury, zwyczajów i terenów przed żarłoczną industrializacją; odwoływać się do ich historii jako najlepszej dla Brazylijczyków ochrony przed zagarnianiem kraju przez bogate państwa. Ambitny ów program obejmował wszystkie odmiany kultury ludowej Interioru będącej, zdaniem Virgilia, spadkobierczynią kultur rdzennych mieszkańców tych terenów, łącznie z czynną obroną języków i tradycji ustnych Brazylii.

- I co o tym sądzisz? - spytał Virgilio z lekkim niepokojem.

Chuda pryszczata twarz raczej mu nie pomagała, miał natomiast oczy łani za okrągłymi okularkami w złotych oprawkach. Moema bardzo go szanowała.

- Fantastyczne!... Nie myślałam, że ci się uda. Genialnie, Virgilio. Możesz być z siebie dumny.

- Musisz coś napisać do następnego numeru. Mam już dziesięciu prenumeratorów, nieźle jak na jeden dzień, co?

- Ze mną jedenastu! Powiesz, ile ci jestem winna. - Kartkując pisemko, dodała: - Ekstra, tekst o tatuażach Xingu... Co to za koleś ten Sanchez Labrador?

- Ja - odparł Virgilio przepraszająco. - Tak samo jak Ignacio Valladolid, Angel Perralta i reszta. Wszystko sam zrobiłem, nawet rysunki. Sama wiesz, jak to jest: najpierw naobiecywali artykułów od cholery, a jak przyszło co do czego, wszyscy się wypięli. A teraz, jak pierwszy numer wyszedł, zasypują mnie propozycjami. Wykończy mnie to! Ludzie są naprawdę nieodpowiedzialni.

- Racja! - zgodziła się Thais, parząc sobie palce malutkim niedopałkiem, którym próbowała jeszcze się zaciągnąć.

- Jak chcesz - podjęła Moema - mogę coś napisać o Kadiwéu. Braliśmy o nich na kursie w tym roku, kiedyśmy studiowali pojęcie obciążenia. Wiedziałaś, że czują się odpowiedzialni za wszystko, nawet za wschód słońca?

- Ożeż kurwa, ale zjeby! - ryknął śmiechem Pablo. - Nie zazdroszczę... - Ujrawszy wściekłą minę Moemy, zmitygował się: - Oj, no dobra... Co, zażartować nie można? Ja tam nic nie kumam z tych waszych historii!

- A powinienes się postarać coś pokumać. Przecież chodzi o naszą terażniejszość. Kiedy ścinają

drzewo, umiera Indianin, a kiedy umiera Indianin, w Brazylii wzrasta poziom ciemnoty, czyli kraj amerykanizuje się coraz bardziej... A wszystko dlatego, że są tysiące takich jak ty, ludzi, którzy gwizdzą na to albo naśmiewają się po cichu.

- Mówiłem przecież, że żartowałem...

- Ja też - ucięła sucho Moema.

- Zawsze złościsz się i wydziwiasz, jak tylko jest mowa o Indianach. Jesteś męcząca, kotku, mówię ci!

- Dobra już, dajcie spokój - wtrącił się Virgilio pojednawczo. - Te wasze sprzeczki są o dupę roztrząść. Wy tu się przekomarzacie, a kochany pan

prezydent właśnie sprzedał kompanii górniczej z Teksasu kawałek Amazonii wielkości Kraju Basków...

- Jaki duży ten Kraj Basków? - spytała Thais odrobinę bełkotliwie, ponieważ wypalony dżoint rzucił jej się na język.

- Mniej więcej jak Ceará.

- Kompania górnicza? - oburzyła się Moema i aż wstrząsnęło nią ze złości.

- Słyszałem rano w radiu. Ale to nieoficjalna wiadomość.

Po tych słowach zapadła głęboka cisza. Moema poczuła potworną bezsilność. Zrobiło jej się niedobrze.

- Hm, no tak... - bąknął w końcu Pablo. - Pozostaje tylko zebrać siły do walki... Thais, mogę to wziąć?

Nie czekając na odpowiedź, zdjął ze ściany nieduży oszklony obrazek przedstawiający świętego Sebastiana przy palu egzekucyjnym, naszpikowanego strzałami i prezentującego błogą minę.

- Co robisz? - zaniepokoiła się Thais.

Nie była wprawdzie wierząca, nie lubiła jednak żartów z religii. Święte obrazki można było kupić w Brazylii na każdym straganie z dewocjonaliami, lecz ona lubiła tego właśnie Sebastiana z powodu smutnego uśmiechu i pięknej androgynicznej twarzy. Nie przyznawała się, że czerwone krople krwi wypływające z ran świętego w skrytości ją podniecają, tak że w stosownej chwili miłosnych igraszek zawsze sobie obrazek wyobrażała.

- Nic się nie bój, ślicznotko - rzekł Pablo, ostrożnie odmykając pudełko po kliszy fotograficznej i coś z niego wysypując na szybkę obrazka. - Firma stawia!

- Ła! - wykrzyknęła Thais na widok sporych grudek pozlepianej kokainy, które potoczyły się po szkle. - Gwiazdkę mamy, *Mãe de Deus*!

- Coś takiego... - zawtórowała jej Moema, również zachwycona niespodziewanym widokiem. - Skąd tyś wystraszała tę ślicznotkę?

- Dopiero co dostałem. Jak jest taka w grudkach, znaczy, że nie została przemielona. Ekstraczysta, słoneczka wy moje!

Pod badawczym spojrzeniem dziewczyn Pablo ostrzem do golarki zaczął rozgniatać grudki na puder. Kiedy skończył, podzielił wszystko na cztery równe części i każdą zręcznie uformował w pasek.

- Ja pasuję... - rzekł naraz Virgilio, podnosząc się. - Wybaczcie, ale muszę iść.

Moema spojrzała na niego z miną mówiącą: „Trudno...”.

- Widzimy się na tej imprezie w Casa de Cultura Alema?

- Jeśli dasz radę przyjść.

- Dam radę, nic się nie martw.

- No to na razie. Ale uważajcie, to straszne świństwo.

Zanim wyszedł, Pablo rozparcelował jego część na trzy działki.

- Ten dziennikarzyna nie wie, co traci. Czego on się boi?

- Daj spokój - rzekła chłodno Moema. - Gostek jest w porządku.

- OK, nic nie mówiłem... No to zaczynaj.

Podał jej obrazek i banknot zwinięty w rulonik. Pochyliwszy się nad świętym Sebastianem, Moema wsunęła rulonik do dziurki od nosa, drugą zatykając palcem wskazującym. Wciągnęła połowę kreski pewnie i równo, to samo zrobiła drugą dziurką. Odetchnęła głęboko, po czym palcem przejechała po szkle, zbierając ostatnie kryształki kokainy, które wtarła sobie w dziąsła.

- *Que bom!*- powiedziała, zamykając oczy.

Ciepło rozchodziło się po niej potężniejącymi falami; dziwny smak, odrobinę gorzki, wypełniał usta.

- I jak? - zapytał Pablo, gdy Thais pieczołowicie dopełniała rytuału.

- Miałeś rację. Jest dobra, bardzo dobra.

- Jeśli bierzesz, mów zaraz, bo szybko się rozejdzie.

- Ile?

- Dla ciebie tyle samo co ostatnio: dziesięć tysięcy za gram.

W przyptywie wyrzutów sumienia, które ją nieco ocuciły, Moema omal nie odrzuciła propozycji, co mocno ją zirytowało. Odnosiła wrażenie, że jest pilnowana, że z góry oceniają ojcowski trybunał. Kiedyż w końcu zdecyduje się odpowiadać za swoje czyny? Po wymianie miała dość pieniędzy, aby uzupełnić zapas koki - poprzedniej nocy wyczerpała go niemal zupełnie - i pokryć wstępne koszty urządzenia baru. Obliczyła, że dwa gramy wystarczą jej do końca miesiąca. I tak dobrze się teraz czuła, miała pewność, że panuje nad sobą i nad swoim życiem...

- Podzielcie się moją działką - rzekł z uśmiechem Pablo. - Dzisiaj już dość się nawdychałem.

Thais natychmiast zajęła się swoją częścią, jakby się bała, że Pablo zmieni zdanie.

- Trzy gramy, dobrze? - odezwała się Moema z obojętną miną.

- Jasne - odparł Pablo z porozumiewawczym mrugnięciem. - Może być u ciebie o czwartej?

- OK.

- No to leć. Akurat zdążę do skrytki i do domu, żeby zważyć.

- Do skrytki? - zdumiała się Thais.

- Nie myślisz chyba, że trzymam cały zapas u starych? Mam skrytkę w banku, mniej ryzykuję. Nawet jak mnie złapią z jedną czy dwiema działkami, w życiu mnie nie oskarżą o handel. Każdy orze, jak może, kotku... Tylko to pozwala przetrwać!

Kiedy poszedł, Moema zajęła się koką, którą zostawiła Thais. Przez to, że obrazek krążył z rąk do rąk, reszta drobinek przyproszyła środek postaci świętego Sebastiana. Dziewczyna niespiesznie wciągała proszek, odsłaniała z wolna najpierw uda, potem wypukłe podbrzusze świętego, jakby włókno po włóknie zrywała szatę zakrywającą nagość.

Po transakcji z Pablem przyjaciółki „przetestowały” nową kokę i wylądowały w łóżku. Wstały dopiero około siódmej, aby po prysznicu wyskoczyć na kolację - królewską, ponieważ Moema zaprosiła Thais do Trapiche, najlepszej restauracji w mieście.

Podniecone perspektywą zaszokowania konformistycznej klienteli lokalu, przez ponad godzinę malowały się i stroiły. Thais polakierowała paznokcie na prawie czarny fiolet, usta pociągnęła jaskrawoczerwoną szminką i włożyła ulubioną sukienkę: szeroką, z niemal przezroczystego różowego muślinu, usianą plastikowymi niebieskimi gwiazdkami połyskującymi metalicznie. Moema ograniczyła się do męskiego garnituru i białej koszuli, za to włosy zaczesła gładko w mocno ściągnięty kok, na koniec zaś kredką do oczu wyrysowała sobie wąsik à la Errol Flynn.

Jeszcze szczypta koki „dla kurażu” i pomaszerowały przez zatłoczoną gwarną, wręcz hałaśliwą Beira Mar. Młodzi ściągali tu po zmroku, obsiadali tarasy barów lub zwykłe bufety ciągnące się kilometrami wzdłuż morza, gromadzili się wokół zaparkowanych samochodów z pootwieranymi drzwiami i muzyką grającą na cały regulator, podrygiwali, tańczyli w miejscu, śmiali się, czasami wymyślali sobie ze szklanką albo butelką w ręce.

Pokątni handlarze oferowali wszelkiego rodzaju rękodzieło: naszyjniki, wisiorki „ręcznie robione”, skórę i koronki z Nordeste, rozchylone szczęki rekinów, muszle najeżone kolcami, smażone kraby, *acarajé*... Nad wszystkim górował przyprawiający o zawrót głowy smród rozgrzanego oleju kokosowego. Thais i Moema bez wahania zanurzyły się w tę stłoczoną ludzką ciżbę. Choć tutaj wszyscy przywykli do karnawału - a może właśnie dlatego - oglądano się za nimi z rozbawieniem, rozlegały się gwizdy uznania czy wręcz głosy podziwu. Udając absolutną obojętność, dziewczyny szły powoli, dbając o naturalność ruchów i od czasu do czasu, pod pretekstem obejrzenia jakiegoś kramu, jedna zatrzymywała drugą, aby z uczuciem pocałować ją w szyję.

Kiedy dostojnie niczym pchany pełnym wiatrem żaglowiec weszły do restauracji, maître d'hôtel, który wyszedł im na spotkanie, zawahał się na moment. Wytrzymując jego spojrzenie, Moema poprosiła o stół dla dwóch osób i wyszukany językiem zapytała, czy langusty są świeże.

Niewątpliwie jej pewność siebie zrobiła odpowiednie wrażenie, poprowadził je bowiem do jednego z nielicznych już wolnych stolików w głębi tętnącego przepychem klimatyzowanego półmroku, wizytówki drogich lokali. Thais to wszystko przytłoczyło. Onieśmiona otoczeniem, które widziała po raz pierwszy, wystraszona nieustanną krzątaniną kelnerów, doszła do siebie dopiero po drugim aperitifie. Alkohol w połączeniu z kokainą pozwolił jej szybko zapomnieć o lękach prowincjuszki i za namową Moemy skupiła uwagę na klientach restauracji. Zaczęły wymyślać gorszące historie skrywane pod pozorami przyzwoitości, a to naśmiewając się z czyjeś miny, a to małpując czyjeś zmanierowane zachowanie z taką fantazją, że co rusz wybuchały niepohamowanym śmiechem. Kelnerzy podzielali ich wesołość, uśmiechając się do dziewczyn szeroko, aczkolwiek baczyl, by nie zauważył tego szef sali: jego ponury wzrok i naburmuszony wyraz twarzy wyraźnie dowodziły, że żałuje, iż wpuścił te zbyt swobodne klientki.

Jeden z gości, brzuchaty i puciołowaty, zniecierpliwiony komentarzami, których był przedmiotem, skrócił posiłek. Wyraźnie rozeźlony wstał od stołu, a za nim żona i dzieci. Rozbawione Thais i Moema widziały, że wziął na stronę szefa sali i skarży się na nie, wygrażając palcem i żołądkując się. Maître d'hôtel rozkładał ręce i składał, raz po raz giął się w ukłonach, lecz na próżno prosił i błagał: urażony gość wylał nań cały swój gniew człowieka majątnego, po czym wyszedł.

Dziewczyny zamówiły potrawkę z ogonów langusty podaną na półowce ananasa, polaną gęstym sosem przyprawionym imbirem i kardamonem. A ponieważ Thais bała się, że nie poradzi sobie ze sztuccami do ryb, Moema przysła jej z pomocą - zaczęła jeść palcami. Obrzucane pełnymi dezaprobaty spojrzeniami kelnerów, bo naraz przestały im się podobać, skoro bezcześciły specjalność restauracji, nieelegancko dokończyły danie, płamiąc kieliszki i serwetki tłustymi palcami, popijając na przemian piwem - zażądała go Thais wyłącznie po to, by zobaczyć minę someliera - i doskonałym chablis, które na początku im zaproponowano.

Przy deserze kompletnie pijana Thais ubzdurała sobie, że napisze wiersz na obrusie. Długo grzebała w torbie, wreszcie wydobyla grube pióro, którym pochwaliła się Moemie. Okazało się jednak, że pióro się zbiesiło i nie pisze, zaczęła więc psioczyć na nie, potem je odkręciła, nacisnęła pompkę i stalówka rzygnęła atramentem na sukienkę na wysokości ud. Thais poderwała się na nogi, lecz szkodzie nie dało się zapobiec: cienki muślin chłonał atrament jak gąbka, na sukience rosła czarna plama. Wybuchnęły zgodnym śmiechem, po czym zamówiły butelkę szampana, by zażegnać zły los.

- Poproszę też o nożyczki - zawołała Thais za oddalającym się kelnerem, który potwierdził przyjęcie zamówienia i ze znudzoną miną zapewnił, że zrobi co w jego mocy.

Przyniósł i szampana, i nożyczki. Kiedy odkorkowywał butelkę, Thais nagle wskoczyła na krzesło.

- Do roboty! - rozkazała Moemie, wręczając jej nożyczki.

Moema wstała i przesuwając się dokoła krzesła ze stojącą na nim Thais, obcinała tkaninę nad plamą atramentu, tak że z sukienki midi zrobiła się mini. Goście kątem oka albo otwarcie, obróciwszy się w ich stronę, śledzili te poczynania w ciężkiej ciszy przerywanej tylko dzwonieniem sztuców i

poszeptywaniem. Thais w takiej pozycji oferowała doskonały widok na swoje majtki zdumionemu kelnerowi, który obserwował scenę z dłoń znieruchomiałą na szyjce otwieranej butelki. Czar przysł, gdy nagle huknął korek szampana...

Rozradowane swoim wyczynem, stwierdziwszy, że w skróconej sukience Thais lepiej wygląda, usiadły z Moemą na powrót i wypily szampana do ostatniej kropelki.

Kiedy nadeszła chwila rozliczenia, maître d'hôtel postawił przed nimi szkatułkę zawierającą rachunek, nie kryjąc zadowolenia człowieka, który najgorszemu wrogowi podkłada bombę skuteczną w stu procentach: kwota dorównywała wysokością ich ekstrawagancji, toteż całym swym sercem sługusa liczył, że lesby nie będą w stanie zapłacić. Zerknąwszy na rachunek, Moema odliczyła właściwą kwotę na kolanach, aby Thais nie zobaczyła, ile płaci, po czym bez mrugnięcia wrzuciła banknoty do szkatułki.

- Cygarami chyba tu częstujecie, prawda? - zagadnęła z wyniosłym uśmiechem, niedbale rzucając na stół sowity napiwek.

Maître d'hôtel przelknął niechęć i wydał stosowne dyspozycje. W kłębach dymu hawany wstały od stolika i krokiem książęcej pary podążyły do wyjścia, lekkim skinieniem głowy odpowiadając na pożegnania i niechętnie podziękowania obsługi.

Pomysł z barem trzeba odłożyć na później, pomyślała Moema, dokonując obliczeń. Ale ten wieczór z Thais wart był takiego poświęcenia.

Przemierzyły przyciemnione wnętrza Trapiche jak dwie bezimienne komety rzucone na krańce świata. Ich drogę znaczyły rozsypane niebieskie metaliczne gwiazdki.

- Thais, co byś powiedziała na parę dni w Canoi? - spytała naraz Moema. - Wystarczy mi kasy, żeby ci opłacić podróż.

- Super! Jesteś naprawdę genialna! - ucieszyła się Thais. - Od wieków marzę, żeby znów tam pojechać.

- Jutro?

- Nie ma sprawy, jestem gotowa. Zajebisty pomysł!

Znowu znalazły się pośród rojnego tłumu na wybrzeżu, śmiejąc się, że mają kłopot, by iść prosto, lecz jako tako dotarły do Avenida Tibúrcio Cavalcante. Dopiero szukając kluczy do mieszkania, Moema przypomniała sobie o umówionym spotkaniu na imprezie w Domu Kultury Niemieckiej. Była już godzina jedenasta.

- O w mordę!... Zupełnie zapomniałam!

- Ja też - parsknęła śmiechem Thais.

- Muszę tam iść, obiecałam Virgiliowi.

- Zostaw, i tak już za późno. A ja w tym stanie nie zrobię ani kroku więcej...

- To zaczekaj tu. Zajrzę tam tylko i zaraz wracam.

- Och, nie... Nie chcę być sama... - mizdrzyła się Thais.

- Naprawdę nie będę długo, słowo. Umówiłam się, muszę tam iść.

Thais przywarła do niej, obdarzając ją długim pocałunkiem w usta. Stała z uniesioną jedną nogą, ocierając się kroczeniem o udo Moemy.

- Patrz tylko, jak płacze, że cię nie będzie... - szepnęła, prowadząc jej rękę pod swoją spódnicę.

- Nie martw się, kochanie, pocieszę ją po powrocie. No, masz tu klucze, a ja niedługo wracam.

- Słowo?

- Na mur! Nie pozwolę, żebyś wywachała całą kokę...

**FAWELA PIRAMBÚ**

*Życie to hamak, którym kołysze los...*

Niebiesko-czerwona w świetle zachodzącego słońca ciężarówka wujka Zé pojawiła się naraz na horyzoncie usianym garbami wydm. Rozpędzona, powykrzywiana w wibrującym od skwaru powietrzu, przypominała zbrojnego rycerza przypuszczającego ostateczny atak na smoka. Chromowane części rzucały więcej błysków niż słońce i niczym tarcza świętego Jerzego rodziły niewysłowioną nadzieję.

Z donośnym finalnym ryknięciem silnika i kilkanaście szarpnięciami, które wzbily chmurę piasku i kurzu, zatrzymała się w samym środku dzielnicy nędzarzy niedaleko budy Nelsona. Zé Pinto zręcznie wysunął się z kabiny, kiedy jednak ruszył niezbyt pewnym krokiem, Nelson zrozumiał, że złe wieści wiszą w powietrzu. Przygarbione ramiona, cień smutku w uśmiechu - tak przywykł odczytywać rozpacz na twarzach ludzi, że sam nie bardzo wiedział, co mu teraz mówi, iż ten dzień nie skończy się bez nowej rany. Choć Zé twarz miał ogorzałą, teraz wyraźnie poszarzała, a cienie pod oczami szklistymi ze zmęczenia świadczyły lepiej niż licznik o liczbie kilometrów, które przejechał w ciągu ostatnich trzech dni.

- Cześć, synek! - rzucił tonem sztucznie wesołym. - Jak leci?
- *Tudo bom*, dzięki Bogu - odparł Nelson, wyciągając rękę.

Zé klepnął chłopca w dłoń, potem chwycili się kciukami, resztą palców obejmując nawzajem swoje nadgarstki, po czym kolejno każdy wsunął pięść w dłoń drugiego, a rytualne powitanie zakończyło się spleceniem czterech rąk potwierdzającym przyjaźń.

Weszli do budy. Chyląc głowę, by nie uderzyć w sufit, Zé rozwiesił drugi hamak nad samą ziemią, tuż koło hamaka Nelsona, po czym zaczął opróżniać plastikową torbę, którą przyniósł ze sobą.

- Takie tam drobiazgi... - powiedział. - Mnie na nic.

Postawił na ziemi butlę oliwy z oliwek, trzy głowy rapadury - ciemnego cukru trzcinowego, na który *aleijadinho* był bardzo łasy - wielki owoc mango i jajka. Kupił to specjalnie dla niego, lecz Nelson podziękował mu półgębkiem, aby zachować pozory. Byli sobie nawzajem wdzięczni za tę surową powściągliwość, która nie pozwalała na wylewne uczucia.

- Skąd jedziesz? - zapytał Nelson, nalewając kaszasy do szklanek.

Zé pokręcił głową z naganą. Bóg wie, ile mu każą płacić za butelkę, pomyślał ze smutkiem.

- Nie powinieneś tego pić - zauważył. - Dobrze wiesz, że ci szkodzi...

- Skąd jedziesz? - powtórzył Nelson, patrząc mu w oczy.

- Z Juazeiro. Zawiozłem tam dwadzieścia ton cementu do jednej firmy. W drodze powrotnej zajechałem do Canindé. Ludzie umierają tam z głodu. Słyszałem, że było czterdzieści przypadków ospy.

- Ospy?!

- Czarnej ospy. Szpital chciał zamknąć miasto, ale burmistrzowi zależy, żeby to się nie rozeszło z racji wyborów. Zawsze to samo! „Biedacy nie tyją, oni puchną”... Przeczytałem to na naczepie mercedesa, *pau de arara*, który wracał z plantacji.

W całej Brazylii ludzie szos wymyślali sobie „złote myśli” i malowali je na ozdobnej drewnianej płycie mocowanej z przodu albo z tyłu samochodu. Niektóre maksymy były dowcipne, inne krytycznie wyrażały się o kobietach, większość zaś odnosiła się do jednego tematu, wałkowanego na wszystkie strony: trudów życia. Zé posiadał swoją filozofię właśnie na drogach usianych ręcznie wypisanymi aforyzmami. Przez pięćdziesiąt lat - choć wyglądał na więcej, jak większość prostych ludzi z Nordeste - zgromadził w

pamięci setki najrozmaitszych sentencji. Ilekroć na swojej trasie doganiał ciężarówkę, czytał napis na jej tyle i starał się zapamiętać sformułowaną przez kogoś myśl wyrażającą ironię, mistycyzm albo cierpienie. Potem godzinami albo i dniami rozważał ją sobie, najcelniejsze zaś uznawał za swoje i często nimi rzucał w rozmowie. Dla Nelsona był uosobieniem mądrości. Zwłaszcza że na jego ciężarówce widniał napis, który otwierał przed nim otchłań niepewności: „*A vida é uma rede que o destino balança*”, życie to hamak, którym kołysze los.



- Ach, byłbym zapomniał - rzekł Zé, sięgając do tylnej kieszeni spodni. - Jeszcze to mam dla ciebie. Znalazłem w Petrolinie.

Dał Nelsonowi dwie broszurki zawierające *cordel*, długą pieśń ludową, krążącą po całym Sertão. Wędrowni gitarzyści, *violeiros*, pisali je, ilustrowali i sami drukowali na marnej jakości papierze, a potem śpiewali na targach, ulicach czy w jadłodajniach. Wystawiając broszurki na sprzedaż, *violeiros* przypinali je jak ścierkę klamerką do sznurka przeciągniętego między drzewami. I stąd właśnie wzięła się ich nazwa - *literatura de cordel*, „literatura sznurkowa”.

Nelson umiał przeczytać pojedyncze słowa, ale zupełnie sobie nie radził z normalnym czytaniem.

- Jest tu „Krowa, która zaczęła rozprawiać o obecnym kryzysie” i „João Peitudo, syn Lampião i Marii Bonity” - ciągnął Zé. - Jak chcesz, to pośpiewamy sobie potem.

Nelsonowi nic nie sprawiało większej przyjemności: nauczył się wygrywać na gitarze monotony rytm, który pozwalał śpiewnie recytować te poematy, a wystarczyło, że usłyszał tekst raz czy dwa, by zapamiętał go w całości.

- Możemy zaraz - podchwycił, wyginając się, by dosięgnąć instrumentu. - Zaczniemy od „Syna Lampião”, co?

- Najpierw muszę ci coś powiedzieć. Wiesz - zaczął, wpatrując się w swoje duże piegowate dłonie - parę lat temu kto miał ciężarówkę, ten był gość, teraz byle gość ma ciężarówkę... Coraz trudniej znaleźć ładunek, no i tak się poskładało, że nie dawałem rady spłacać rat za berlieta... Więc musiałem... tylko się nie bój... musiałem... willysa, rozumiesz? Sprzedałem willysa...

Niedaleko od budy Nelsona zaczął pracować dźwig, który zrzucał na wysypisko zawartość kontenera z odpadkami.

## ROZDZIAŁ V

*Podróż do Italii: o czarodziejce Morganie,  
Atlantydzie & humorach góry Etna*

O dzień drogi byliśmy od Cieśniny Mesyńskiej, powoli jadąc konno w dusznym skwarze Kalabrii, kiedy Atanazy wydobył pismo jakoweś z zielonymi pieczęciami, com je pierwszy raz widział. Znaczącym uśmiechem & lekkim gestem dłoni przykuł uwagę moją, po czym na głos odczytał ów list, z roztargnieniem od czasu do czasu ocierając pot perłący mu się na czole:

*Rankiem w dzień Wniebowzięcia Matki Bożej, sam będąc około okna, ujrzałem rzeczy nowe w tak wielkiej obfitości, że nie przestał odtąd o nich myśleć, albowiem Najświętsza Paniienka ukazała mi w latarni morskiej, gdzie przebywał, widok rajy, do którego ongi tego właśnie dnia wstąpiła. I jeśli patrzące z góry oko posiada pełniące rolę rozumu zwierciadło, w którym co chce, ogląda, to com zobaczył, nazwać mogę odbiciem owego zwierciadła! Otóż w jednej chwili morze oblewające Sycylię wezbrało & na odcinku blisko dziesięciu mil stało się niby stromizna czarnej góry. Pojawił się naonczas kryształ jasny bardzo & przezroczysty: przypominał zwierciadło, którego szczyt wspierał się o ową wodną górę, dół zaś o wybrzeże Kalabrii. W zwierciadle pokazał się naraz szereg przeszło dziesięciu tysięcy pilastrów równej wysokości & w równej odległości jeden od drugiego rozstawionych; & także jasnością mocną & cieniem podobne były fundamenty między pilastrami. Chwilę później rzezione pilastry wygięły się na kształt łuków, jak w rzymskich akweduktach albo budowlach Salomona; a reszta*

wody pozostała jako zwykle lustro aż do górzystych wód Sycylii. Jednakowoż w krótkim czasie nad lukami potężny jakby gzyms się uformował, na nim zaś pojawiły się niezliczone zamki, wszystkie stojące na tej olbrzymiej tafli & wszystkie tego samego kształtu & roboty. Potem wieże przemieniły się w teatr na kolumnach; potem teatr rozdzielił się na dwie części; potem szereg kolumn stał się długą fasadą z dziesięcioma rzędami okien; fasada przekształciła się w jednakowej wysokości lasy sosnowe & cyprysowe, a potem drzewa się zmieniały... Za czym wszystko znikło, a morze, ledwie odrobinę tylko bardziej marszczone falami, stało się takie jak przedtem.

Com widział, sprawiła osławiona Fata Morgana, chociażem ją za nieprawdziwą miał przez dwadzieścia sześć lat, piękniejszą mi się pokazała & prawdziwszą niż to, co powiadano. Od tamtej pory za rzeczywistą ją uznaję, wierzę, że w taki sposób pojawiać się mogą rozmaite ulotne barwy, piękniejsze & żywsze, niżli przedstawić może artysta albo wieczna natura. Kto jest architektem tego albo budowniczym, jaka sztuka & jaka materia pozwoliła mu wznieść wspaniałości tak odmiennie & w liczbie takiej, pragnąłbym od Waszej Wielebności usłyszeć, skoro obcuje z rzymskimi wspaniałościami & z bliska oglądacie boskie prawdy.

W oczekiwaniu Waszej laskawej odpowiedzi, modłę się o wspomnienie Boże, siebie polecając Jego laskawości.

ojciec Ignazio Angeluci z Reggio, SJ.

List ów, noszący datę 22 sierpnia 1633 roku, powierzył Atanazemu ojciec Riccioli, który przyznał, że nic a nic z tego nie pojmuje. Obawiając się o władze umysłowe ojca Angelucciego & wiedząc, że do miasta Reggio z całą pewnością zawitamy, zobowiązał mojego mistrza, aby wyjaśnił tę tajemnicę.

- I cóż, Casparze? - zagadnął Kircher, podając mi list. - Co o tym sądzisz? Szaleństwo?... Mistyczne widzenie?... Cud?... Czy nasz Ignazio jest

słabym na umyśle poczciwiną czy też świętym, na którego spłynęła łaska Boża?

- „Błogosławieni ubodzy w duchu” - odparłem bez wahania. - Wybrańcy Boga często w oczach bliźnich uchodzili za głupców albo słabych na umyśle. Jednakowoż to co tak szczerze opisuje ojciec Angelucci, zdaje mi się do tego stopnia wykraczać poza zdolność pojmowania, że wierzę, iż był szczęśliwym świadkiem prawdziwego cudu.

- Odpowiedź poprawna - rzekł na to Atanazy - lecz fałszywa. Poprawna, ponieważ logiczna, nieprawdziwa za to. Albowiem autor tego listu nie jest ani szaleńcem, ani wybrańcem: padł po prostu ofiarą własnej ignorancji, zupełnie jak ty, Casparze, tak odpowiadając. To czego ojciec Angelucci był świadkiem, osławiona *Fata Morgana*, czarodziejka Morgana, której tyle kart zapisanych poświęcono, to żadne widzenie, a p r z y w i d z e n i e, miraż! Kolumny, które nasz brat z Reggio widział, niewątpliwie były kolumnami świątyn greckich w Agrygencie albo Selinuncie, zwielokrotnionymi w nieskończoność & zabawnie zdeformowanymi za sprawą stopniowego przesuwania się pary wodnej. Niemniej - dodał z uśmiechem - wiele bym dał, aby być świadkiem podobnej fantasmagorii głównie po to... by osobiście zweryfikować tezę, którą tu wysuwam.

Raz jeszcze osuszył czoło & zaraz na powrót zagłębił się w swoich zapiskach, nijak nie wykorzystując mego pogněbienia, za com był mu wdzięczny: znowu w słowach niewielu rozwiązał tajemnicę, przed którą od początku czasów cofali się najuczeńsi z ludzi, mnie zaś poprzez porównanie uzmysłowił niezmierną ignorancję moją.

Zaraz po przybyciu do Reggio udaliśmy się z ojcem Angeluccim do latarni, z której oglądał Fata Morgana. Słowo w słowo potwierdził wszystko, co w liście było zawarte, na nas zrobił zaś wrażenie człeka na umyśle zdrowego, aczkolwiek dosyć prostego. Kircher wyłożył mu, jakie zasady rządziły widokiem, który wówczas obejrzał, & choć braciszek z uprzejmości udawał, że je akceptuje, wyraźnieśmy

widzieli, iż w ani jedno słowo nie uwierzył, preferując sprawstwo nadnaturalne od fizycznego.

Tydzień spędziliśmy w tym mieście, co dnia chodząc do okna latarni, wszelako nie dane nam było ujrzeć owego mirażu. Prawdę powiedziawszy, dość niesprawiedliwym by było, gdyby przywilej, na który nasz

gospodarz czekał dwadzieścia sześć lat, nam tak łatwo przypadł w udziale. A że widok na morze rozpościerający się z owej lukarny był doprawdy uroczy, okoliczność ta dawała przynajmniej pretekst do arcymyłych pogawędek.

Z Reggio drogą morską dotarliśmy jednym etapem do portu w Valetcie, opłynawszy Sycylię. Ulokowano nas wraz z Fryderykiem Heskim w pałacu kawalerów Zakonu Maltańskiego. Obecność piratów turkomańskich na Morzu Tyrreńskim mocno niepokoiła władze wyspy, toteż panowało tam spore poruszenie. Nie zważając na to, Kircher ustawicznie zabiegał, by objechać wyspę dokoła & przeprowadzić wszelkie zaplanowane obserwacje. Oddawał się studiowaniu tamtejszych roślin & zwierząt, znosił także z wypraw nieprzeliczone okazy geologiczne. Za poduszczeniem jednego z kawalerów maltańskich udaliśmy się również na wschodni brzeg wyspy, by zobaczyć falezę, której natura nadała kształt gigantycznego ludzkiego oblicza.

Była to twarz niewieścia, która obu nas zachwyciła urodą. Że natura jest zdolna wytwarzać podobne cuda, wiedziałem z definicji, czym innym wszakże było podziwiać *de visu* wytwór tej wspaniałej sztuki. Kircher z podkasaną sutanną, aby łatwiej się wspinać na skały, biegał na wszystkie strony, chcąc pod różnymi kątami obejrzeć ów okaz. Zwrócił mi uwagę, że oblicze jest widoczne ze ściśle określonego miejsca, jeśli natomiast patrzeć pod zmienionym nieco kątem, znika, zlewając się z bezkształtną materią. Mówił do siebie, pokrzykiwał, śmiał się serdecznie, ogarnięty uniesieniem, w jakie popadał, ilekroć odkrywał coś nowego.

- Jezusie Maryjo! O kilka mil od Afryki, od Egiptu! To dowód... Wszyscy faraonowie & ich małżonki w tym symbolicznym obliczu! *Natura Pictrix*, Casparze, *Natura Pictrix*! Jestem na dobrej drodze, nie ma cienia wątpliwości. Naturalna anamorfoza jest po prostu jedną z form powszechnej analogii! Nigdy nie był tak blisko celu...

Zbyt często widywałem Atanazego w takim stanie bliskim egzaltacji, aby martwić się ponad miarę, niemniej dziwnie było oglądać człeka zazwyczaj umiarkowanego, gdy dawał się tak bardzo ponieść uczuciom. Kiedy dosyć już się nabiegał & naskakał, usiadł mistrz mój w cieniu rzeczonyj skały & jął pisać. Cierpliwie & bez słowa przycinałem mu tylko kolejne pióra, wiedząc, że wcześniej czy później podzieli się ze mną wynikami przemyśleń.

W życiu swym Kircher nie znalazł się jeszcze tak blisko Egiptu, toteż wielce ubolewał, iż wielki książę nie zapragnął odwiedzić również tego kraju, w jego mniemaniu tak istotnego dla zrozumienia wszechświata. W Valetcie, siedząc na brzegu morza ze wzrokiem skierowanym na południowy zachód, ku Nilowi, Atanazy często na długie godziny zapadał w zadumę, w myśli zwiedzając owe miasta niemal równie stare jak świat. Całe poranki spędzał w porcie, gdzie zaczynał żeglarzy wracających z Afryki & chciwie gromadził wszelkie informacje lub osobliwości, w których posiadaniu mogli być. Nadszedł wszakże czas, że trzeba nam było pożegnać Maltę & ruszyć w drogę powrotną, tyle jeszcze cudów obiecującą.

Rejs upłynął nam spokojnie & przybiliśmy do portu w Palermo, gdzie gościny udzieliło nam miejscowe kolegium jezuickie.

Fryderyk Heski miał wiele oficjalnych obowiązków, toteż przez kilka niedziel cieszyliśmy się swobodą. Zanim wszakże wybraliśmy się w zaplanowaną po Sycylii wędrowkę, Kircher, którego & tutaj wyprzedziła reputacja, musiał dowieść swoich talentów profesorom kolegium & miejscowym znakomitościom. Przez kilka dni w pomieszczeniach biblioteki, gdzie w tej chwili się znajduję, Atanazy ze swadą odpowiadał na pytania swych kolegów wykładawców, omawiając poszczególne problemy, w

miarę jak się pojawiały. Pamięcią dysponował doprawdy niezwykle, mógł zatem, nie posiłkując się żadnymi notatkami, cytować *in extenso* większość swoich źródeł albo dokonywać nadzwyczaj skomplikowanych obliczeń. Jego wykłady odnosiły taki sukces, że w całym mieście stało się o nich głośno & niebawem zaczęło na nie przychodzić wiele wysoko postawionych osobistości wabionych sławą człowieka, którego erudycja tak bardzo kontrastowała z młodym wiekiem & ujmującym obliczem. Księżę Palagonii, uważający się za znawcę nauk ścisłych & astrologii, uczestniczył w kilku wykładach, a na koniec zaprosił nas na wypoczynek do swojego pałacu nieopodal miasta. Kircher przyjął owo uprzejme zaproszenie, przesuając je wszakże na koniec naszego pobytu, tak spieszo mu było rozpocząć badania na sycylijskiej ziemi.

Księżę przystał na ten termin.

Nadeszła wreszcie chwila, kiedyśmy we dwóch wyruszyli w kierunku góry Etna, tam bowiem Atanazy w pierwszym rzędzie chciał się udać głównie przez wzgląd na pamięć Peiresca, ale & jego mocno ciągnęło.

Mimo że m się mocno obawiał sycylijskich rzeźmieszków, którzy grasowali na drogach, bez przeszkód dotarliśmy do opactwa w Katanii.

W bibliotece opactwa wzięliśmy się we dwóch za inwentaryzowanie manuskryptów. Mieliśmy szczęście znaleźć tam kilka dzieł nadzwyczaj rzadkich, jak „Hieroglyphica” Horapollona, „Poimandres”, „Asclepius” czy „Księga słowa doskonałego”, „Picatrix” po arabsku traktujący o talizmanach & magii sympatycznej, tudzież wiele papirusów, które Kircher polecił mi skopiować. Żniwo zebraliśmy nadspodziewanie obfite, z lekkim zatem sercem kilka dni później wybraliśmy się na Etnę.

U kresu długiego dnia marszu, gdy wieczór już zapadał, doszliśmy do nędznej gospody, która takim jak my wędrowcom służyła za miejsce popasu. Znaleźliśmy tam schronienie na noc, a także przewodnika do ostatniego etapu wyprawy.

Po wieczerzy, skromnej, acz zapijanej przednim czerwonym winem z Selinuntu, tłoczonym z winorośli uprawianej na tych samych zboczach, na których swe winnice mieli starożytni Grecy, zasiedliśmy przy kominku & Kircher, rozgrzany nieco napitkiem, łaskawie zgodził się wyłożyć mi swe poglądy na geologię. Podobnie jak imć Kartezjusz dopuszczał, że w samym środku kuli ziemskiej płonie wewnętrzny ogień, albowiem górnicy zaświadczaali, że im głębiej schodzą pod ziemię, tym temperatura robi się wyższa.

Do późnej nocy gawędziliśmy tak sobie. Nagabywany przeze mnie Kircher rozwodził się nad największymi problemami, jakie stwarza budowa Ziemi, na koniec zaś wyjawiał, że odsłania oto przede mną treść dzieła, które przygotowuje w sekrecie - oficjalnie wszak miał za zadanie poświęcić się egiptologii - & które bez wątpienia nosić będzie tytuł „Świat podziemny”. Kiedyśmy pomyśleli, że należałoby zażyć nieco wypoczynku, godzina już była czwarta nad ranem, a żeśmy wstać mieli z pierwszym brzaskiem, by podążyć dalej na sam szczyt, postanowiliśmy czuwać do świtu. Rozmowa znowu zesłała na wulkany. Atanazy niestrudzenie opowiadał, jakich to wstrząsających zmian dokonać może „ogień centralny”, gdy znajduje ujście przez owe kominy.

- Wedle moich wyliczeń Atlantyda leżała między Nowym Światem a północą Afryki. Kiedy najwyższe góry zaczęły pluć ogniem, kiedy ziemia jęła drzeć & zapadać się, budząc przerażenie & niosąc śmierć, ocean przykrył cały ląd. Dotarłszy wszakże do szczytów wulkanów, woda zdołała ugasić ogień & w konsekwencji powstrzymała zapadanie się ziemi. Kilka ocalałych wierzchołków dziś jest wyspami, któreśmy nazwali Kanary & Azory. A taka była moc owych wulkanów, ani chybi największych kominów „ognia centralnego”, że do dzisiaj przetrwała niejaka ich aktywność: wszystkie te wysepki śmierdzą siarką & jak mi powiadano, ujrzeć tam można mnóstwo drobnych ognisk, czyli gejzerów, z których tryska gorąca woda. Nie da się zatem wykluczyć, że pewnego dnia ten sam fenomen, który unicestwił cały ląd, zmienacka wyniesie go na powierzchnię wraz ze wszystkimi miastami &

milionami ludzkich szczątków...

Wizja ta, choć tylko wymyślona, zmroziła mi krew w żyłach. Kircher umilkł, ogień zamierał w kominku, ja zaś przymknąłem oczy, w myślach śledząc wynurzenie się z odmętów przerażającego cmentarzyska z zamierzchłych czasów. Widziałem, jak z morskich otchłani wyłaniają się wolno alabastrowe pałace, ścięte wieże, zwalone na bok strzaskane kolosy pozbawione głowy, & zdawało mi się, że słyszę ponure trzeszczenie towarzyszące temu zaiste koszmarnemu widowisku. Hałas zniemacka wzmógł się ponad miarę, stał się tak rzeczywisty, że się ze wszystkich sił przymusił & chcąc uciec od dręczącego snu, oczy-m otworzył dokładnie w chwili, gdy potężny wybuch wstrząsnął ścianami gospody & izbę, gdzieśmy siedzieli, oświetlił czerwonym blaskiem.

- Wstawaj, Casparze, wstawaj! Szybko! - krzyknął Kircher odmieniony nie do poznania. - Wulkan się przebudził!... Ogień centralny!... Szybko!

Na równym nogi skoczył przerażony & ujrzałem, jak Atanazy rzuca się ku naszym sakwom, nie zważając na kolejne wybuchy.

- Instrumenty! - wołał. - Instrumenty!

Rozumiejąc przez to, że wzywa mnie do pomocy w ratowaniu cennych przyrządów, nim rzuci się do ucieczki, na uginających się nogach pomagałem mu, na ile było mnie stać, w pakowaniu rzeczy. Gospodarz, który miał nam służyć za przewodnika, wraz z żoną o dobytku nawet nie myśleli: co sił w nogach uciekli, wołając na odchodnym, abyśmy czym prędzej dołączyli do nich u stóp góry.

Niebawem wyszliśmy na zewnątrz; choć była noc, niebo płonęło jasnym blaskiem & wszystko widać było jak w dzień. Ochłonałem nieco, stwierdziwszy, że ścieżka, którąśmy tu dotarli, nie ucierpiała od wybuchu. Jakaż

mnie jednak zdjęła zgroza, kiedym ujrzał, że mistrz mój rusza w kierunku przeciwnym - ku szczytowi buchającemu żywym ogniem!

- Tędy! Tędy! - wrzasnąłem do Kirchera, sądząc, że w swym poruszeniu pomylił drogę.

- Ty ośle! - usłyszałem w odpowiedzi. - To niespodziewana okazja, dar niebios! Pośpiesz się! Dzisiaj dowiemy się więcej, niż gdybyśmy przeczytali wszystko, co na ten temat napisano.

- A przewodnik?! - zawołałem. - Nie mamy przewodnika! To pewna śmierć!

- Mamy takiego przewodnika, że o lepszego trudno - odparł Kircher, wskazując niebios. - Jesteśmy w Jego rękach. Jeśli się boisz, schodź na dół & znajdź sobie innego mistrza! Albo idź za mną, a jeśli przyjdzie nam zginąć, trudno. Przynajmniej zobaczymy z bliska!

- Boże, bądź miłościw mnie grzesznemu! - wyszeptalem, czyniąc znak krzyża, & ruszyłem biegiem, aby dogonić Kirchera, który już wspinał się ścieżką na szczyt.

## ALCÂNTARA

*Ptak wzbija się w powietrze, krzyk zostaje za nim,...*

- I co sądzisz o Kircherze z sinologicznego punktu widzenia? - zapytał Eleazard. - Myślisz, że z tego czy innego tytułu można go uznać za prekursora?

- Nie wiem - odparła Loredana - bo to dziwne. I wszystko zależy od tego, co się rozumie przez „prekursora”. Czy był pierwszym, który wskazał pewne elementy kultury chińskiej na tyle zrozumiale, że otworzył drogę do dzisiejszej wiedzy? Na pewno nie. Pod tym względem jego dzieło jest tylko inteligentną, często nieuczciwą kompilacją prac Ricciego i innych misjonarzy. A ilekroć bierze się za interpretowanie danych, myli się równie mocno jak w przypadku egipskich hieroglifów. Jego teorie o zaludnianiu Azji czy o wpływie Egiptu na rozwój religii chińskich są kompletnie wysane z palca. To samo dotyczy wywodów na temat powstania ideogramów... Za to jego książka była fantastycznym narzędziem, pierwszym tego rodzaju, dla poznania świata chińskiego na Zachodzie: nigdy nie formuluje

ocen, z wyjątkiem oczywiście kwestii religijnych, i w sumie przekazuje dość obiektywny obraz świata, który wtedy w ogóle jeszcze nie istniał w świadomości Europejczyków. A to mimo wszystko całkiem spora zaleta.

- Też tak uważam - przyznał Eleazard - chociaż moim zdaniem zasługi ma większe. Na swój sposób zrobił to samo co Antoine Galland dla kultury arabskiej, gdy przełożył na francuski „Baśnie z tysiąca i jednej nocy”: sfabrykował mit Chin tajemniczych, niezwykłych, zaludnionych bogatymi estetami i erudytami, stworzył barokową egzotykę, z której Baudelaire czy nawet Segalen będą czerpali w swoich marzeniach o Wschodzie.

- Trudno by tego dowieść - rzekła Loredana z namysłem - ale idea jest interesująca. Kircher jako mimowolny prekursor romantyzmu... Zakrawa na herezję, prawda?

- Mówienie o romantyzmie to przesada, naprawdę jednak uważam, że przedstawiając po raz pierwszy całościowy obraz Chin, a nie zwykłą relację z podróży, Kircher utrwalił całą serię przesądów i błędów, które dotąd ciążyą nad tym krajem...

- Biedny Kircher! Wygląda na to, że faktycznie masz do niego żal - uśmiechnęła się Loredana.

Eleazarda zaskoczyła ta uwaga. Nigdy nie rozpatrywał swojego stosunku do Kirchera pod takim kątem. I kiedy formułował myśl, aby zaprzeczyć, zorientował się, że ten sposób stawiania problemu otwiera niepokojące perspektywy. Jeśli bowiem bliżej się temu przyjrzeć, istotnie sporo było resentymetu w jego bezustannym oczernianiu jezuitę. Przypominało to poniekąd nienawistną reakcję odrzuconego kochanka albo ucznia niezdolnego ogarnąć wielkość swego mistrza.

- W zasadzie nie wiem - przyznał poważnie. - Dałaś mi do myślenia... Muszę się nad tym zastanowić.

Deszcz ciągle zalewał patio. Zadumany Eleazard wpatrywał się w płomień świeczki, jakby spodziewał się uzyskać od jej blasku odpowiedzi na swe pytania. Rozbawiona jego zachowaniem, niezwykłą wagą, jaką zdawał się przywiązywać do znaczenia jej słów, Loredana poczuła, że znów trochę maleją jej uprzedzenia wobec niego. Może był to wpływ wina, uważała jednak, że chyba przesadziła z niedawną reakcją obronną, gdy zirytowała się, że na chwilę przestała mieć się na baczności. Temu człowiekowi można zawierzyć, nie obawiając się jego litości albo prawienia kazań. Dobrze to wiedzieć.

- Chyba mam mu za złe, że był chrześcijaninem - odezwał się zniecierpliwiona Eleazard, nie zauważając, jak dziwnego w sumie charakteru nabrały jego słowa przez te kilka minut milczenia. - Że zdradził... właściwie jeszcze nie wiem co, to tylko takie ogólne wrażenie mimo sympatii, jaką go darzę. Jego dzieło to jeden wielki groch z kapustą!

- A kto w jego czasach był ateistą? Naprawdę sądzisz, że byłoby to możliwe? Że komukolwiek, nawet osobie świeckiej, przeszłoby to choćby przez myśl? Nawet nie tyle ze strachu przed Inkwizycją, ile z racji poziomu umysłowego, intelektualnej niemożności wyobrażenia sobie świata bez Boga. Nie zapominaj, że minie jeszcze blisko trzysta lat, zanim Nietzsche ogłosi, że Boga nie ma.

- Jasne - przyznał Eleazard, wzruszając ramionami - ale przecież nie zaprzeczysz, że już Kartezjusz, Leibniz czy nawet Spinoza pozbyli się Boga i jeśli posługiwali się tym pojęciem, oznaczało tylko matematyczną pustkę. W porównaniu z nimi Kircher prezentuje się jak diplodok!

- To też wcale nie jest takie oczywiste - zauważyła Loredana, krzywiąc się z powątpiewaniem. - W każdym razie chętnie bym się przyjrzała tej biografii, gdybyś mija pożyczyl.

- Czytasz po francusku?

- Chyba wystarczająco biegle...

- No to nie ma sprawy. Mam kopię egzemplarza roboczego. Ale przypisów nie dostaniesz, są jeszcze w brudnopisie. Wpadnij do mnie, na przykład jutro przed południem. To niedaleko, pod trójką przy placu Pelourinho.

- Chętnie... Boże, ależ leje!... W życiu nie widziałam takiej ulewy! Cała się lepię od wilgoci, co jest mało przyjemne. Mam nadzieję, że Alfredowi się udało i woda leci z kranów, bo wprost marzę o

prysznicu!

- Nie wiem, czemu tyle mu schodzi, ale widać ma jakiś problem. Z pompą albo z żoną.
- Och, nie opowiadaj! - powiedziała z uśmiechem. - Wolałabym nie ponosić winy za małżeńskie sceny...

Coś w kącikach uśmiechniętych ust, a może tylko iskierka ironii, która błysnęła w oku, powiedziało Eleazardowi, że pochlebia jej, iż mimo woli obudziła w Eunice zazdrość. Ta kokieteria sprawiła, że nagle jej zapragnął. Wpatrzony w oczy Loredany, przyłapał się na tym, że wyobraża ją sobie w swoich ramionach, a potem zaczął rozważać różne strategie, które by do tego doprowadziły: zaproponuje, żeby jeszcze tego wieczoru przysłała po biografię Kirchera; bez słowa ujmie jej rękę; po prostu wyzna, że jej pragnie... Każdy z tych pomysłów przywoływał na myśl jakiś szczytkowy scenariusz, mglisty, rozszczepiający się w nieskończoność i sprowadzający się ostatecznie do zwykłego stwierdzenia, że pożąda tej kobiety, do wyobrażenia sobie, jak ich ciała się przybliżają; i ogarniało go przemożne pierwotne pragnienie, by dotknąć jej skóry, poczuć zapach włosów...

- Nie... - szepnęła Loredana z odrobiną smutku w głosie. - Przykro mi.
- O czym mówisz? - zapytał Eleazard, uświadamiając sobie równocześnie, że jak w otwartej księdze czytała w jego myślach.

Odwróciła głowę, by popatrzeć na deszcz. Na pozór spokojnie toczyła w palcach kuleczki z ciepłego wosku i kładła je na stole ze szklanym wzrokiem, z naburmuszoną miną dziewczynki urażonej, że niesłusznie ją skarcono.

- A można wiedzieć dlaczego? - nalegał Eleazard pojednawczym tonem człowieka, który wie, że poniósł porażkę.
- Proszę, nie pytaj więcej... Niemożliwe i już.
- Przepraszam cię bardzo - rzekł poruszony szczerością w jej głosie. - Wiesz... nie zdarza mi się to co dzień... To znaczy... Chcę powiedzieć, że myślałem poważnie.

Kiedy tak się jąkał zażenowany, Loredana była o krok od wyznania mu prawdy. Jakże przyjemnie było dojrzeć w jego oczach pożądanie! Dwa lata wcześniej już by go zaciągnęła do swojego pokoju i kochaliby się przy dźwiękach deszczu. Tyle że jej szczerość nie wiedzieć czemu raczej odstręczała ludzi, niż przyciągała, a ona nie chciała więcej tego doświadczać.

Nieoczekiwanie przeraziła ją myśl, że znajdzie się sama w łóżku. Za nic w świecie nie chciałyby, żeby się nią znudził, żeby przestał mówić, udowodniać jej swoją obecnością, że nadal jest żywa.

- Za szybko - powiedziała, dając sobie ostatnią szansę. - Potrzebuję więcej czasu.
- Potrafię czekać - rzekł Eleazard z uśmiechem. - Właściwie to jedna z niewielu moich zalet poza... - ze zdziwieniem na twarzy wyjął z ust piłeczkę pingpongową, obejrzał i włożył do kieszeni - ...niejaką znajomością imię Atanazego Kirchera... - wyjął z ust kolejną piłeczkę - ...odrobiną inteligencji... - wyjął trzecią piłeczkę, lecz wolniej, wybaluszając oczy i udając odruch wymiotny - ...oraz wrodzoną skromnością...

Loredana już przy pierwszej piłeczce wybuchnęła śmiechem.

- *Meraviglioso!* - zawołała, klaszcząc. - Jak to robisz?
- Tajemnica... - szepnął Eleazard, kładąc palec na ustach.
- Ależ jestem głupia!... Przecież to ta sama piłka, prawda?
- Jak to: ta sama? - oburzył się. - Możesz sama policzyć, proszę. - Wyciągnął z kieszeni trzy piłeczki, które nosił ze sobą, aby trenować w wolnych chwilach.

Loredana oniemiała.

- No, teraz mnie zatkało! U Papuasów po czymś takim obwołałby cię królem!

Teraz Eleazard wybuchnął śmiechem. Z tym dziecięcym zachwytem wydała mu się jeszcze bardziej pociągająca.

- Jeśli zdradzisz, jak to robisz, ja ci przepowiem przyszłość - zaproponowała tajemniczo.
- Z ręki?
- Skądże znowu, caro... To bzdury. Ja wróżę z *yijing*, to chyba różnica, nie?
- Kwestia dyskusyjna. Ale zgoda - odparł Eleazard zadowolony, że udało mu się przywrócić jej

dobry humor.

- No więc?
- Z czym?
- Ze sztuczką!... Umówiliśmy się: ty mówisz, jak to robisz...

Kiedy się dowiedziała, na czym polega hokus-pokus z piłeczkami - w sumie rozczarowujący, ponieważ prymitywnie prosty - wyjęła z torby notesik i trzy dziwne krążki z pomarańczowej porcelany.

- Patyczki są zbyt kłopotliwe, dlatego posługuję się tym...
- A co to jest? - spytał Eleazard, biorąc w palce jeden z krążków.
- „Oko świętej Łucji”, część muszli, ale nie wiem, jak się żyjątko nazywa. Widzisz tę spiralę?

Wygląda prawie jak znak tao... No dobrze. Musisz mi zadać pytanie.

- Dokładne?
- Ty decydujesz: dokładne pytanie, dokładna odpowiedź, mętne pytanie, mętna odpowiedź. Taka jest zasada. Ale podejdz do tego poważnie, inaczej nie warto zwracać sobie głowy.

Eleazard upił łyk wina. Natychmiast przyszła mu na myśl Elaine. nPragnienie, by o nią zapytać. Nic dziwnego, zważywszy na okoliczności. Tyle że pytań nasunęło mu się wiele i tak sprzecznych, że musiał się zastanowić. Czy jest jakakolwiek szansa, że Elaine wróci i wszystko będzie jak dawniej? A jeżeli wróci, czy będę zdolny nadal ją kochać? Czy zaznam miłości z inną kobietą? Czy kiedy coś się kończy, coś innego się zaczyna, czy jest to tylko złudzenie mające zapewnić przetrwanie gatunku? I ze smutkiem spostrzegł, że wszystkie te pytania sprowadzają się do jednego: kiedy się od niej uwolnię?

- No?... To takie trudne? - zniecierpliwiła się Loredana.
- My... - powiedział Eleazard, podnosząc na nią wzrok.
- Jak to: my?
- My. Ty i ja. Jaki będzie ciąg dalszy naszej znajomości?
- Sprytnie - uśmiechnęła się Loredana. - Ale to może utrudnić odpowiedź. Zaczynamy?... Dobra.

Musisz sześć razy rzucić krążki, koncentrując się na pytaniu. Charakter linii zależy od tego, co wypadnie, orzeł czy reszka, ale o tym pewnie wiesz.

Próbował się skupić na pytaniu, lecz ciągle przed oczami stała mu wykrzywiona twarz Elaine. Rzucił jednak krążki na stół. Po każdym rzucie Loredana notowała wyniki, mamrotała jakieś liczby i ustalała kształt heksagramu, posługując się zapałkami - całymi lub przełamanymi, jeśli było trzeba.

- To pierwszy heksagram złożony z dwóch trygramów - wyjaśniła, kiedy figura była ułożona. - Reprezentuje aktualne możliwości twojego pytania. Na jego podstawie ustalę drugi, który da ci częściową odpowiedź na pytanie o przyszłość. Wiesz, są linie „stare” i „młode”. Linia „stara” jest niezmienna, za to linia „młoda” podlega przemianom w linię „starą”. Młode *yin* przemienia się więc w stare *yang*, a młode *yang* w stare *yin*...

- Ha, dosyć to skomplikowane! - zauważył żartobliwie Eleazard rozbawiony powagą Loredany, gdy tłumaczyła mu zawiłości wróżby.

- Owszem, i to bardziej, niż ci się wydaje. Posłuchaj dalej... Twój heksagram ma trzy linie „młode”, przemieniam je w przeciwieństwo, co nam daje... - Otworzyła notes, szukając właściwej figury. - O, jest! Heksagram „Spotkanie”. Trygram górny: wiatr. Dolny: niebo. „W spotkaniu kobieta jest silna. Nie poślubiaj kobiety”.

- Coś podobnego! - szczerze zdziwił się Eleazard.
- Niczego nie zmyślam, możesz sam przeczytać. A mówiąc po ludzku, znaczy to, że znowu



spotykasz coś, co wyrzuciłeś z głowy. Stąd duże zaskoczenie... - Czytała przez chwilę w skupieniu, w końcu zawołała: - Niesamowite! Słuchaj: „Spotkanie to walka, uległy z zaskoczenia bierze stanowczego. «Nie poślubiaj kobiety» oznacza, że długotrwały związek nie ma szans”...

- Raczej mało optymistyczne - stwierdził zawiedziony Eleazard.

- Poczekaj, to ogólny sens heksagramu. Teraz trzeba dokonać przemiany linii i sprawdzić, jakie każda ma znaczenie. Dopiero potem można uzyskać odpowiedź. Pierwsza mówi... zaraz... Tak: „W obecności ryby w więcierzu obowiązek, jaki ta obecność nakłada, nie obejmuje gości”.

- Ja jestem rybą?

- Poczekaj, mówię ci... Druga linia: „Melon ukryty w gałęziach wierzby płaczącej. Zawiera świetlistość, która odsłania zejście wpływów niebiańskich do poziomu ziemskiego...”.

- Ha! To ty! Anioł, który zstąpił z niebios...

- A trzecia - ciągnęła Loredana jakby w odpowiedzi na złośliwy komentarz Eleazarda - powiada: „Spotkanie rogu - oto upokorzenie.. Ale nic w tym nagannego”.

- Jeśli chcesz powiedzieć, że natrafiłem na kość, to daruj sobie, już się zorientowałem.

Wyraźnie dotknięta Loredana pokręciła głową.

- Mogę przestać, jeśli masz dosyć. Bo naprawdę mam wrażenie, że tracę tylko czas.

- Mów dalej, bardzo proszę. Obiecuję, że więcej nie będę się wygłupiał.

Kartkowała przez chwilę notes, aż znalazła drugi heksagram.

- Jest. To Xiao Guo, Przewaga Małego. „Górny trygram: wzgórze, dolny: piorun. Ptak wzbija się w powietrze, krzyk zostaje za nim. Nie powinien lecieć wyżej. Powinien opaść. Wtedy, i tylko wtedy, dostąpi szczęścia”.

- Krzyk zostaje za nim... - powtórzył Eleazard zachwycony nieoczekiwaną poetyckością wyrażenia.

- Co oznacza, że masz skłonność do przesady nawet w sprawach błahych. „Jeśli ptak wzbija się coraz wyżej, jego krzyk rozplywa się wśród chmur, aż ucichnie. Gdyby ptak opadł, inni by go usłyszeli. Słyszenie krzyku ptaka symbolizuje, że do człowieka docierają echa własnego nieumiarkowania, że uświadamia je sobie i może się szybko poprawić...”.

Dalej Loredana czytała w milczeniu. Ludzie z wyższych sfer, mówił tekst, są przesadnie głacy w zachowaniu i przesadnie smutni w żałobie. Równie ciekawa, równie jednoznaczna wróżba nigdy jeszcze jej nie wyszła. Stało się tak niewątpliwie dlatego, że pytanie dotyczyło jej. Loredana doskonale wiedziała, dlaczego znajomość z Eleazardem nie może przekroczyć pewnych granic, które wytyczał jej lęk, choćby nawet był przesadzony. A wróżba jakoś musiała się do niego także odnosić.

Naraz postanowiła przyprzeć go do muru.

- Kogo albo co oplakujesz? - zapytała zniecierpliwiona świadoma, że wstrząśnie nim jej niespodziewane pytanie.

Eleazardowi włos się zjeżył. Próbował właśnie przypasować usłyszaną metaforę do swojej relacji z Elaine, przymierzał ją na chybił trafił do rozmaitych twarzy, jakie przybierała jego rozpacz, a ta obca kobieta jednym pytaniem, kilkoma słowami trafiła w samo sedno.

- Jesteś niesamowita! - rzekł ze szczerym podziwem. Oplakuję swoją miłość, pomyślał, oplakuję młodość, niesprawiedliwy świat. Płacę dla samego płaczu, dla mgły, która wtedy zasnuwa wzrok, i dla kojącego ciepła łez... Powiedział jednak: - Oplakuję to, co nie zdołało się narodzić, to, co z niewyjaśnionych przyczyn skrupulatnie niszczymy, ilekroć kiełkuje. Jak by to powiedzieć... Nie mogę zrozumieć, dlaczego zawsze postrzegamy piękno jako zagrożenie, szczęście jako poniżenie...

Deszcz ustał, ciszę przerywał tylko plusk rozbryzgujących się kropeł i ściekających skądś strumyczków wody.

- No to mamy twarde orzech do zgryzienia - powiedziała Loredana, mrużąc oczy.

Eleazard wstał koło ósmej, nieco później niż zwykle. W kuchni znalazł gorącą kawę i grzanekę na stole obok kubka i soku z marakui. Soledade nigdy nie zjawiała się przed dziesiątą. Przez większą część nocy oglądała telewizję, dlatego wstawiała, by przygotować mu śniadanie, po czym wracała do łóżka. Eleazarda ćmiła głowa po wczorajszym pijaństwie, wyjął zatem dwie tabletki musującej aspiryny. Dziwna dziewczyna, myślał, patrząc, jak tabletki obracają się w szklance z wodą. Ale omotała mnie strasznie. Do ostatniej chwili liczył, że resztę tej nocy spędzi z nią, i na dobrą sprawę niewiele chyba brakowało: był pewien, że kiedy skończyła zabawę we wróżby, przez moment rozważała tę możliwość, tyle że zjawiał się ten korniszon Alfredo, z triumfem oznajmiając, iż wygrał walkę z pompą. Loredana w lot wykorzystwała sposobność - oznajmiła, że marzy o porządnym prysznicu, i pożegnała się. Uciekła, mówił sobie Eleazard, choć nie mógł ani pojąć, dlaczego to zrobiła, ani poradzić sobie w pełni z przeżytym zawodem. Nieco później, z wydatną pomocą aspiryny, obwinił siebie, że okazał się tak podatny na zew alkoholu. Ośmieszył się, bez dwóch zdań, toteż postanowił wyrzucić ten wieczór z pamięci. Głupi był pomysł z kolacją poza domem!

Nim zasiadł przy biurku, nasypał słonecznika do miski papugi. Heidegger miał wyraźnie dobry nastrój: przestępując z łapki na łapkę, stroszył i kładł piórka, tak że wyglądał jak pierzasty wąż. Eleazard wziął w palce ziarno słonecznika i podstawił je ptakowi, mówiąc pieszczotliwie:

- Heidegger, Heidi... Co, ptaszku? Jak tam dzisiaj? Dalej nie będziesz mówił normalnie? No chodź, weź sobie ziarenko, przystojniaku... - Papuga przesunęła się bliżej niego po żerdce, po czym zawisła na niej ogonem do góry jak nietoperz. - I co sądzisz o dzisiejszym świecie? Naprawdę myślisz, że jest jakaś nadzieja? - Eleazard przysuwał dłoń coraz bliżej. Naraz ptak błyskawicznym ruchem dosięgnął wielkim dziobem jego ręki, raniąc go w kciuk do krwi. - Aj!... Złośliwa bestia! - wrzasnął Eleazard. - Kompletnie ci odbiło, kompletnie! Wylądujesz w końcu w garnku, rozumiesz?

Trzymając do góry zraniony palec, szedł do łazienki. Po drodze natknął się na Soledade.

- *Que passa?*

- A to się dzieje, że ten wariat znowu mnie udziobał! Patrz tylko, mało mi palca nie uciał! Wypuszczę go do lasu, niech zobaczy, jak tam dobrze...

- Jeśli to zrobisz, ja też odejdę - ostrzegła poważnie Soledade. - To twoja wina, nie wiesz, jak się z nim obchodzić. Mnie nigdy nie dziobnął.

- Ach, tak! Więc może mi zdradzisz, co należy robić, żeby się nastawiał przyjaźnie? Mam klękać? Czołgać się przed nim, żeby się raczył poczęstować ziarenkiem? Mam naprawdę dosyć tego zwierza!

- Papuga nie jest zwyczajnym zwierzęciem. Xangó świeci jak słońce, płonie w nim ogień. Jeśli nie będziesz go szanował, spali cię. To proste.

- Z ciebie taka sama wariatka - burknął Eleazard rozbrojony jej rozumowaniem. - Czemu uparcie nazywasz go Xangó?

- Bo to jego prawdziwe imię, powiedział mi - odparła z nadąsaną miną. - To, którym go nazywasz, wcale mu się nie podoba... Chodź, zabandażuj palec. Nie można zaniedbać rany, sam wiesz.

Eleazard poddał się pokonany wzruszającą naiwnością dziewczyny. Brazylia to naprawdę inny świat.

- Późno wczoraj wróciłeś - zauważyła Soledade, przykładając do rany wacik nasączony spirytusem.

- Boli!... Nie można delikatniej?

- Delikatnie nic nie da - odparła, patrząc nań osobliwym wzrokiem, w którym mieszała się rozkosz zemsty i ironia. - Trzeba głęboko zdezynfekować. Jak ona się nazywa?

Zaskoczony jej przenikliwością po chwili dopiero odpowiedział:

- Loredana... Jest Włoszką. Ale skąd wiedziałaś?

- Ptaszki na drzewie wyćwierkały... Ładna?

- Niezła. Całkiem zgrabna. A jaką ma dupcię!... - dodał, żeby się z nią podroczyć.

- Wszyscyście tacy sami! - stwierdziła Soledade, oklejając mu palec plastrem. - Ale kto nocą łowi,

łapie same węgorki.

- A cóż to ma znaczyć?
- Ja wiem, ty nie musisz... No, gotowe. Idę zaraz na zakupy.
- Kup więcej, bo może będziemy mieli gości.

Pokiwała głową zupełnie jak papuga, obrzucając go złym spojrzeniem.

- *Si, senhor...* - powiedziała z udawaną usłużnością. - Ale uprzedzam, do stołu ani myślę podawać. *O meu computador não fala, computa!*

Bóg wie, gdzie ona to usłyszała! pomyślał Eleazard, wracając do gabinetu. Wypowiedziane pogardliwie te słowa, w zależności od tego, jak zaakcentowane zostało ostatnie, można było różnie rozumieć: „Mój komputer nie rozmawia, tylko liczy” albo: „Mój komputer nie rozmawia z dziwkami”. Eleazard był zdania, że Soledade zanadto sobie pozwala, kalambur jednak dosyć mu się spodobał, tak że próbował go nawet zgrabnie przetłumaczyć, by oddać dowcip, choć bez sukcesu.

Zagłębił się potem w manuskrypcie Caspara Schotta. Czytając na monitorze swoje przypisy do tekstu, stwierdził, że są zbyt lakoniczne i dość stronicze. Problem polegał na tym, do kogo należy je adresować: naukowiec biegły w kwestiach dotyczących XVII wieku z pewnością uznałby je za wystarczające, natomiast dla zwykłego czytelnika zbyt mało było w nich treści, aby zaspokoiły jego ciekawość. W jakim kierunku powinien zatem pójść? Był w stanie swymi przypisami podwoić, a nawet potroić objętość tekstu Schotta, tak wiele mógł powiedzieć na temat czasów Kirchera, w jego mniemaniu najbardziej godnych uwagi od starożytności. Co się tyczy jego niechęci do samego Kirchera, było to coś nowego, co uświadomił sobie dopiero w czasie rozmowy z Loredaną. Należało znaleźć złoty środek między bezwarunkowymi słowami pochwały a regularną wrogością, zachować równowagę, w której uprzedzenia wobec Kirchera trzymałby na wodzy.

Pogoda, ciągle burzowa, gromadziła nad Alcântara cały smutek świata. Eleazard zastanawiał się, czy Loredana odwiedzi go przed południem zgodnie z obietnicą. Dziewczyna z niej jedyna w swoim rodzaju.

Wspominał teraz noc spędzoną w Caraveli jako chwile intensywnych emocji i poetyckie, takie, które chętnie przeżyłby ponownie. Jeżeli dzisiaj przyjdzie, raz jeszcze ją przeprosi i powie, jak bardzo pragnie jej przyjaźni. Ze zdziwieniem spostrzegł, że wyobraża sobie, jak Loredana idzie ulicą prowadzącą do jego domu. Niecierpliwie, wręcz z niepokojem wyczekiwał jej przyjścia niczym nastolatek pory pierwszej randki.

Dzieciuch ze mnie, pomyślał z uśmiechem, i to stary. Rację ma Moema. No, do roboty! Wreszcie udało mu się znaleźć w stosach papierzyk - trzeba to wszystko w końcu uporządkować! - artykuł François Secreta. Bardzo mu go brakowało, kiedy opracowywał przypisy do trzeciego rozdziału. Secret. Cóż za nazwisko dla człowieka, który poświęcił się hermeneutyce! I jak tu nie wierzyć, że czasami nazwisko wytycza życiową ścieżkę noszącego je człowieka?... Ale artykuł, „Zapomniany epizod z życia Peireski: magiczny miecz Gustawa Adolfa”, wcale Kircherowi nie pomógł, ponieważ na podstawie dysertacji George'a Wallina wykazano w nim, że omawiany miecz był fałszywy. Na dokładkę Wallin cytował „De orbibus tribus aureis” strasburczyka Johanna Scheffera, pracę, w której dowodzono totalnej ignorancji Kirchera w zakresie przekładu, skoro mówił o magicznych znakach, kiedy złośliwie podsuwano mu jakieś wyimki zapisane w języku duńskim! Wallin i Scheffer, zagorzali antypapiści, próbowali oczywiście oczyścić Gustawa Adolfa, a poprzez niego cały protestantyzm. Ponieważ jednak ich oskarżenia dokładały się do wielu podobnych, podawały w wątpliwość kompetencje jezuitę. Zwłaszcza że bezsprzecznie jego próba odczytania hieroglifów zakończyła się zupełną klęską.

Eleazard zastanawiał się, jak możliwe było aż takie zaślepienie. Nie potrafiłby powiedzieć dlaczego, żywił jednak głębokie przekonanie, że Atanazy Kircher nie dopuścił się oszustwa świadomie. Chociaż można go było oskarżać o to, że z pobożności kłamstwem pragnął wesprzeć sprawę kontrreformacji, ten

czynnik odpadał całkowicie, gdy szło o egipskie hieroglify. Człowiek ten musiał się więc naprawdę oszukiwać - za sprawą autosugestii? szaleństwa? - co do swoich umiejętności albo swój makiawelizm i umiłowanie sławy rozdał do monstualnych wręcz rozmiarów.

Eleazard napisał notę do „magicznego” miecza, po czym opracowywał ciąg dalszy manuskryptu. Od czasu do czasu jednak nie mógł się powstrzymać i pod pretekstem, że musi zapalić, wyglądał przez okno.

Około dziesiątej wróciła Soledade z zakupami oraz z gazetami i pocztą, które odebrała z pierwszego statku. W dziennikach nie było nic ciekawego. Takie same jak zwykle opisy morderstw albo napadów w wielkich miastach w otoczeniu licznych tekstów poświęconych futbolowi, babranie się w życiu prywatnym gwiazd piosenki, opisy światowych przyjęć, ministerialne fanfaronady... Katastrofa samolotu VASP-u w górach niedaleko Fortalezy była w prasie tematem numer jeden. „*Nada restou!*”, „Nic nie zostało” - nadzwyczaj wymownie informował na pierwszej stronie wielki tytuł. „Sto trzydzieści pięć ofiar plus dwoje niemowląt!” - ogłaszano w innej gazecie z niezamierzonym cynizmem, jakby to, że niemowlęta uniknęły cierpień ludzi dorosłych, nie dawało im prawa do zaliczania się do ofiar. Dalej następowały kolejno zdjęcia mające zaspokoić upodobanie czytelników do widoku hemoglobiny, opis grabieży poprzedzający przybycie ekip ratowniczych oraz pośmiertny pean na cześć załogi.

Splądrowanie samolotu przyciągnęło uwagę Eleazarda: kolejny symptom na długiej już liście, którą pieczołowicie uzupełniał na bieżąco. Dwa miesiące wcześniej kilkuset młodych nędzarzy z faweli w Rio opanowało słynną plażę Copacabana. Tak ją wyczyścili, zostawiając opalających się turystów niemal nagich, że ochrzczono ich mianem *grilos*, szarańczy. W całym kraju powstawały bandy, które napadały na banki, supermarkety, hotele, a nawet restauracje. W przepelnionych brudnych więzieniach skazani tak licznie wznecali bunty, że policja strzelała już na oślep, a każda jej interwencja kończyła się śmiercią kilkudziesięciu osób. Wśród najwyższych władz panowała korupcja i podczas gdy większość ubożała z dnia na dzień, alarmująco dziesiątkowana trądem, cholera i dżumą, niewielka liczba parweniuszy patrzyła, jak puchną im konta w bankach Miami. Brazylia, niczym biały karzeł, zapadała się w sobie i nikt nie potrafił przewidzieć, jaka czarna dziura z tego powstanie.

Eleazard regularnie przysyłał swojej agencji tę ponurą diagnozę, lecz Stary Świat był zbyt zajęty oznakami własnego rozpadu, aby pochylać się nad nieszczęściami ludu, którego ani media, ani środki transportu nie zdołały do niego przybliżyć. I choć Eleazard z natury nie był pesymistą, zaczynał powoli wątpić w przyszłość. Kolejne wybuchy dokonały tak wielkich wyłomów w Europie, że coraz bardziej przypominała spływający krwią kontynent z czasów wojny trzydziestoletniej. Ba, gorzej nawet było, ponieważ w tamtej epoce właśnie religijne stawały naprzeciw siebie tylko katolików i protestantów. A chociaż obecne niepokoje należało interpretować jako zapowiedź radykalnej przemiany Zachodu, widoczne skutki wcale nie napawały entuzjazmem.

Eleazarda ogarnęła melancholia. Zapalił papierosa i przymierzał się do przejrzenia poczty, gdy raptem podskoczył na dźwięk głosu.

- Eleazard?... - usłyszał. Loredana przyszła! - Wybacz, ale drzwi były szeroko otwarte. Nikt nie reagował na moje pukanie, więc pozwoliłam sobie wejść.

- Dobrze zrobiłaś - odparł zmieszany jej wtargnięciem. - Wiesz... nabrałem tu brazylijskich nawyków. Jak ktoś przychodzi, klaszcze, żeby się zapowiedzieć. To skuteczniejsze niż pukanie do drzwi, zwłaszcza otwartych na oścież. Ale usiądź, proszę.

- Jaka ładna! - powiedziała, zauważywszy papugę. - Jak się nazywa?

- Heidegger.

- Heidegger? - roześmiała się. - No, no, masz pomysły!... Cześć, Heidegger! *Wie geht's dir, schräger Vogel?*

Reagując na imię, ptak wstrząsnął piórkami i nastroszył je na piersi, po czym wygłosił jedyne zdanie,

które znał.

- Co powiedział?

- Świństwa. To prezent od przyjaciela, Niemca z Fortalezy, który próbował go nauczyć wersu z Hölderlina: „Poetycko mieszka człowiek na tej ziemi” czy coś w tym guście, ale się nie udało. Ten głupi ptak z uporem maniaka powtarza: „Poety piczka czochra na ziemi” i nie ma jak go poprawić.

- A czemu chciałbyś poprawiać? - zdziwiła się z błyskiem ironii w oku. - Mówi przecież sensownie. Prawda, Heidegger?

Mówiąc, podeszła do ptaka i zaczęła go delikatnie, pieścizotliwie drapać po łebku, co Eleazardowi w ciągu pięciu lat wspólnego mieszkania nie udało się ani razu. Ten isticie bohaterski czyn ujął go bardziej niż cokolwiek innego.

## SÃO LUÍS, FAZENDA DO BOI

*Nic prócz chwili obecnej...*

Kiedy limuzyna pułkownika dojechała do posiadłości, umundurowany strażnik zaszalutował pochylem głowy i spiesznie zamknął za samochodem ciężką bramę z kutego żelaza. Następnie zadzwonił do ochmistrza, informując o rychłym przybyciu pana domu.

Czarny buick sunął cicho po świeżo wyasfaltowanej drodze, która wiodła do oddalonej o pięć kilometrów prywatnej rezydencji gubernatora. Za przyciemnionymi szybami wozu Moreira widział przesuujące się masy zieleni pól trzciny cukrowej, błyszczącej i pociemniałej w zapadającym zmierzchu. Wysokie łodygi dzięki opadom jeszcze bardziej urosły - dwa razy wyższe niż człowiek, pomyślał z dumą - tak że zapowiadał się obfity zbiór, aczkolwiek dla pułkownika nie było to podstawowe, lecz dodatkowe źródło przychodów. Wciąż jeszcze uprawiał trzcinę cukrową z sentymentu, gwoli zachowania pamięci o czasach, kiedy jego rodzina zdobyła majątek i renomę, i co roku cieszył się na myśl o zbiorach. Trzcina wyrastała nawet na pięć metrów, ilekroć zaś patrzył na pola, widział gęstwą gigantycznej fasoli, jak wyobrażał to sobie w dzieciństwie. Ale minęły już czasy bajek i rolnictwa. On, Moreira, wolał zainwestować w kopalnie i połów krewetek, poświęcając się równocześnie karierze politycznej, do której skłaniały go ambicje. Na odziedziczonych po ojcu rozległych gruntach ornych łaskawie pozwalał, aby niewielkie działki dzierżawili od niego ciemni *matutos* hołdujący przestarzałym obyczajom, a robił to nie tyle dla dochodu - ci wieśniacy byli przebieglejsi od lisów, okradali go z rzadko spotykaną zuchwałością! - ile po to, aby podczas przejazdów konnych oglądać na ojcowskich polach ich wiecznie pochylone grzbiety. Resztę gruntów zostawiał odłogiem lub przeznaczał na pastwiska. Albowiem podobnie jak jego przodkowie, wielcy właściciele ziemscy, szczycił się tym, że nie jada niczego, co nie urosło w jego posiadłości.

Gubernator zamknął oczy. Widok należącej do niego ziemi działał nań jak środek przeciwbólowy - w miarę jak dojeżdżał do fazendy, ulatywało gdzieś zmęczenie całym dniem. Osiągnąłby stan błogości doskonałej, gdyby nie perspektywa ujrzenia nadaśanej twarzy żony i znoszenia jej ataków hysterii, które regularnie wywoływał alkohol. To już nie ta sama kobieta, odkąd Mauro wyjechał studiować w Brasilii. A może odkąd w „Mánchete” opublikowano zdjęcie „gubernatora Moreiry”, na którym mocno wstawiony, w rozchełstanej koszuli gryzł pierś podrzędnej tancerczki? Karnawałowa gorączka, koktajle na przyjęciu w rektoracie i jeszcze to idiotyczne wyzwanie, które rzucił mu Silvio Romero, minister infrastruktury - no przecież wytłumaczył żonie, dlaczego tak się zachował. Zrazu wyglądało na to, że zrozumiała, że wybaczyła mu ten skok w bok i wynikły z niego upokarzający skandal. Tyle że tego samego wieczoru połknęła zawartość całego opakowania gardenalu i popiła whisky. Ledwie ją uratowano. „Zaburzenia w związku z menopauzą, to częstsze, niż nam się wydaje. Proszę być wobec niej cierpliwym, gubernatorze, to kwestia kilku miesięcy...”. Jak zwykle doktor Euclides wykazał nadmierny optymizm. Ta zabawa

trwała bowiem już od trzech lat, w dodatku objawy irytująco się nasilały. Ostatnio Euclides da Cunha ubzdurał sobie, żeby ich namówić na terapię małżeńską u psychoanalityka! Oczywiście ona uznała to za niezły pomysł, ale na co to jemu?! Starzeje się nasz doktorek... Trzeba pewnie będzie poradzić się kogoś innego. Rzecz jasna bardzo dyskretnie.

Buick zatrzymał się przed schodami fazendy. Szofer w liberii obszedł samochód i otworzył jego drzwi, lecz pułkownik jeszcze przez kilka chwil nie ruszał się, z rozmarzeniem kontemplując białą fasadę rodzinnego domu. Wzniesiony został w stylu neoklasycyzyzm - Moreira utrzymywał, nie mając na to żadnych dowodów, że według projektu Francuza Louisa Logera Vauthiera - i przypominał pałacyk. Po bokach były dwa symetryczne skrzydła połączone krytą galerią, budynek główny był piętrowy, ozdobiony balustradkami i trójkątnym frontonem. Schody kończyły się podestem z imponującym trzyarkadowym portykiem, który podkreślał wielkopański charakter siedziby. Wydłużone w zachodzącym słońcu ukośnie padające cienie wielkich palm królewskich kładły się na bladoporóżowym tynku murów, tworząc pospołu z pełnymi łukami okien harmonijnie geometryczną siatkę.

Na rozległych trawnikach, poznaczonych eleganckimi krzakami hibiskusów, akantów i wawrzynów, zaczęły naraz staccato pracować zraszacze, rozpylając wokół migotliwą mgiełkę. Pułkownik spojrzął na zegarek: punktualnie dziewiętnasta trzydzieści. Porządek i nowoczesność! Pięknie się prezentuje fazenda do Boi. Oto świadectwo możliwości, jakie oferuje Brazylia, symbol sukcesu, który - jak w Ameryce Północnej - mogą osiągnąć najskromniejsi nawet obywatele tego kraju pod warunkiem, że będą wierzyli w ojczyznę bardziej niż w swoich bogów i włożą odrobinę wysiłku w pokonanie nieodłącznej w naturze skłonności do nieporządku. Tak właśnie czynił jego ojciec, a wcześniej ojciec jego ojca, a teraz on, choć na swój sposób, bardziej się jeszcze przykładając niż jego przodkowie.

- Powiedz ogrodnikowi, żeby przyszydził trawniki - rzekł naraz do szofera, który z czapką w garści stał bez ruchu przy drzwiach samochodu. - Chcę tu mieć prawdziwą murawę, a nie łąkę!

Nie czekając na odpowiedź, wysiadł z auta i wszedł po stopniach z białego kamienia prowadzących do wejścia frontowego.

Ediwaldo, ochmistrz, już czekał w westybulu.

- Dobry wieczór, proszę pana - powitał go. - Jak panu minął dzień?

- Był męczący, Ediwaldo, bardzo męczący. Gdybyś wiedział, z iloma problemami muszę się zmierzyć w tym stanie, ilu durniów robi co może, żeby komplikować sprawy, jak tylko zanoszą się na to, że będą zbyt proste!...

- Wyobrażam sobie, proszę pana.

- Gdzie pani?

- W kaplicy, proszę pana. Chciała się pomodlić przed kolacją.

Gubernator skrzywił się niezadowolony. Cholerna kaplica! Jeszcze jeden sposób, żeby mnie unikać... Wcześniej nigdy nawet tam nie zaglądała... Pieprzony Bóg, kurwa mać! Ona też pieprzona!...

- Piła?

- Trochę za dużo, proszę pana, jeśli wolno mi zauważyć.

Ediwaldo ujrzał, że gubernator zacisnął zęby. Zaraz też przypalił mu zapalką papierosa, którego pryncypał wziął do ust.

- Dziękuję. Powiedz jej, że czekam na nią w salonie. I proszę o whisky, skoro mówimy o alkoholu...

- Jak zwykle cutty sark?

- Tak, Ediwaldo, jak zwykle.

Pułkownik wolno szedł schodami, które prowadziły na reprezentacyjne piętro domu. Na podeście odwrócił wzrok od własnego odbicia w wielkim barokowym lustrze, które odbijało perspektywę złocen i purpurowych pluszów w salonach. Z pomrukiwaniem i postękiwaniem jak płonące suche drewno biegł

mu na spotkanie jaguar.

- Jurupari, moja śliczna!... Juruparinha... - powiedział z czułością w głosie, pozwalając, aby zwierzę dokładnie wylizało mu dłoń. - Chodź, *querida*, chodź, moja piękna...

Moreira opadł na bogato zdobioną kanapę - drewno żakarandy, podłokietniki rzeźbione w passiflory i kule usiane gwiazdkami - za niebotyczną cenę nabytą u antykwariusza w Recife. Jaguar oparł mu przednie łapy na kolanach i mrużąc ślepia, drżąc z rozkoszy, pozwalał się gładzić po karku.

- Tak, *carinha*, tak... jesteś najpiękniejsza... najsilniejsza...

Nic nie budziło w nim większego wzruszenia niż mięśnie napięte pod tą płową sierścią i wpatrzone weń hipnotyzujące, usiane plamkami ślepia. „W jego świecie nie ma ani nazwisk, ani przeszłości, ani przyszłości, nie ma nic prócz chwili obecnej”. I pomyśleć, że trzeba było Argentyńczyka, aby to napisać, aby wreszcie wyrazić prawdę o dzikich kotach... Czuł pod palcami nagrzane złoto obroży ukrytej w futrze zwierzęcia i pomyślawszy o ponętnych udach Anity, o jej zasłoniętym futerku, podniósł rękę do nosa, próbując przywołać wspomnienie.

Jaguar naraz się sprężył, położył uszy płasko i poderwał łeb, żółte ślepia wbił w jedno z drzwi salonu.

- Spokojnie, Jurupari! Spokojnie, malutka... - rzekł Moreira, mocno przytrzymując obrozę. - Idzie mój aperitif.

- Tak, proszę pana... Nie, proszę pana... Czy to wszystko, proszę pana? - usłyszał bełkotliwy głos małżonki.

- Ach, to ty... - powiedział, odwracając do niej głowę. - Ale co...

W mocno nieświeżym szlafroku - jej ulubionym jakby na przekór jemu, ponieważ nie mógł go znieść - z pikowanego nylonu barwy dziecięcego różu, rozchylającym się przy każdym kroku i odsłaniającym tłuste uda, żona szła w kierunku kanapy ze szklaną whisky w każdej ręce.

- Spotkałam Imeldę na schodach. Pomyślałam, że mogę ci przecież sama usłużyć.

- I przy okazji nałałaś sobie... Za dużo pijesz, Carlotta, chociaż lekarz wyraźnie mówił, że to ci szkodzi. Powinnas zadbać o siebie, zatroszczyć się o swoje zdrowie!

Carlotta postawiła szklanke męża na niskim stoliku i usiadła na drugim końcu kanapy, wylewając na siebie część whisky. W ogóle się tym jednak nie przejęła - wyjęła z rękawa chusteczkę i wytarła się niedbale, odkrywając zwiędnięte, zasuszone, żałośnie obwisłe piersi.

- Już ci mówiłem, żebyś nie chodziła tak ubrana - zdenerwował się Moreira. - To... to nieprzyzwoite! Jeśli nie chcesz zrobić tego dla mnie, postaraj się chociaż dla służby. Co ci ludzie myślą o tobie? Że nie wspomnę o kaplicy! Skoro zrobiłaś się taka pobożna, nie sądzisz, że nie uchodzi modlić się w takim stroju?

Carlotta jednym haustem wychyliła swoją whisky.

- Wkurzam cię - stwierdziła spokojnie. - Hrabina Carlotta Souza wkurza cię, gubernatorze!

Pułkownik z niesmakiem wruszył ramionami.

- Moja droga, spójrz tylko na siebie, jak ty wyglądasz? Nawet nie wiesz, co mówisz!

- Chciałaś ze mną rozmawiać - odparła napastliwie - więc słucham. Możesz się teraz wygadać.

- To chyba niezbyt odpowiednia chwila. Wątpię, żeby cokolwiek do ciebie dotarło.

- Gadaj, mówię, albo... zacznę krzyczeć!

Wystraszony podniesionym głosem jaguar wydał cichy pomruk, próbując się wyrwać pułkownikowi.

- Spokój! Spokój, malutka! - rozkazał Moreira i rzekł ciszej do żony: - Chybaś całkiem zwariowała! Chcesz, żeby cię zeżarła czy co?

- Uprzedzałam cię!... - ostrzegła, pozornie nie zważając na rosnące podniecenie jaguara.

Gubernator poddał się.

- Za dwa tygodnie wydaję przyjęcie - oświadczył. - Na pięćdziesiąt osób. Ma wypaść idealnie, to bardzo ważne dla moich interesów. Liczę, że zajmiesz się zorganizowaniem wszystkiego. Zostawię

Ediwaldowi listę gości i... o szczegółach pomówimy jutro, jak wytrzeźwiejesz. Teraz idę pod prysznic, jeśli pozwolisz. Tobie radzę zrobić to samo, żebyś na kolacji wyglądała po ludzku. Teraz przypominasz... starego kurwiszona, *querida*, starego kurwiszona! - Przysunął się do niej tak, że czuła jego oddech. - Rozumiesz?... Rozumiesz, że zaczynam mieć dosyć twoich wybryków? Mam ich powyżej uszu, *caralho*!

Carlotta patrzyła za nim, gdy wychodził z salonu z tym swoim przebrzydłym jaguarem. Chciała docić jego whisky, lecz wstrząsnął nią nie: pohamowany szloch, aż zgięła się wpół na kanapie.

## ROZDZIAŁ VI

*Gag dalszy podróży po Italii: gdzie Kircher bada ogień centralny & rywalizuje z Archimedesem*

Żwawym krokiem podążaliśmy ku przerażającym fajerwerkom, któreśmy mieli przed sobą. Po półgodzinie marszu roślinność, dotąd dość rzadka, znikła zupełnie, a otoczenie zrobiło się zgoła pustynne, same czarne & bure skały porowate niczym pumeks. Skwar był niemożliwy; zlewaliśmy się potem pod odzieniem, z rzadka tylko owiewał nas podmuch wiatru przynoszącego cuchnące fumarole. Bezustanne pomruki wulkanu uniemożliwiały rozmowę, tak że aby się porozumieć, trzeba było płuć sobie zdzierając; w powietrzu wisiały popioły & woń siarki. Bez chwili przerwy modliłem się do Boga, by Atanazy zdecydował się zawrócić, on jednak niewzruszenie kroczył naprzód, we wspinaczkę po ciepłych skałach pomagając sobie rękami, niby kozica skacząc z głazu na głaz, nie zważając na ciężar sakwy. W godzinie gdy należało spodziewać się świtu, nadal panowała ciemność jak w nocy, & to taka, jaką ujrzeć można wyłącznie podczas najpełniejszych zaćmień!

Za kolejnym zakrętem ścieżki oczom naszym ukazał się najpotworniejszy widok, jakim kiedykolwiek oglądał: na prawo w odległości trzystu kroków, powyżej miejsca, gdzieśmy stali, wypływał szeroki strumień magmy, która pożerała ziemię na swej drodze, zdawała się topić, co tylko napotkała. Źródło owej ognistej rzeki zwieńczone było gigantycznymi płomieniami, iście piekielnymi, & buchało pióropuszem dymu, który jak okiem sięgnąć rozpościerał się na niebie. Błagałem Kirchera, abyśmy się wycofali, kiedy gwałtowniejszy wybuch wstrząsnął całą górą: ujrzelśmy chmurę kamieni wylatujących w górę, bardzo, bardzo wysoko, & na kształt deszczu spadających. Jako żeśmy dość daleko byli od owego diabelskiego paleniska, dosięgły nas tylko najdrobniejsze, obsypały nas też żarzące się jeszcze popioły. Juzem myślał, że kres dni moich nastał, przetom padł na kolana, błagając Boga o litość, Kircher wszakże poderwał mnie na nogi jedną ręką, drugą tłukąc po całym ciele, aby ugasić płonący mój habit. Następnie pociągnął mnie wyżej jeszcze, pod skalny występ, gdzieśmy nareszcie byli nieco osłonięci. Znalazłszy się tam, zajął się także swoją sutanną, która tliła się miejscami, nie odrywając wszakże wzroku od cudownego widowiska, jakie się przed oczyma naszymi rozpościerało. Po czym wydobyl chronometr, aby mierzyć odstęp między erupcjami, & spokojnie dyktował mi liczby oraz komentarze do nich.

Gorąc stawał się coraz trudniejszy do zniesienia, z trudem mogliśmy oddychać, gdy naraz nasze schronienie opanowały setki stworzonek: węży, jaszczurek, skorpionów & wszelkiej maści pajaków, przemykając nam między nogami przez kilka chwil, które wydały mi się wiecznością... Oslupiawszy całkowicie, nie pomyśleliśmy nawet, aby do badań zebrać okazy tej fauny. Kircher, który zamieszanie ze zwykłą uwagą obserwował, czym prędzej porobił tylko w notatniku szkice co ciekawszych stworzeń.

- Widzisz, Casparze? - rzekł, kończąc. - Nie przyszliśmy tu na darmo: przekonaliśmy się naocznie, że niektóre zwierzęta rodzą się z ognia, tak jak muchy rozmnażają się w odchodach, a robaki w gnijącym



mięsie. Te tutaj zrodziły się praktycznie na naszych oczach, tak że będziemy mogli... a przynajmniej ty będziesz mógł zaświadczyć o tym wszem wobec, ja bowiem postanowiłem z bliska zbadać ten sposób powoływania do życia. Zapisuj dokładnie wszystko, co będę mówił, a gdyby nieszczęście mi się przydarzyło, zjedź na dół, by przekazać światu pośmiertny owoc mego poświęcenia...

Błagałem Kirchera, by nie popełniał tego szaleństwa, on wszakże okrył się peleryną podróżną, wylał na siebie cały zapas wody, po czym dźwigając swą sakwę & instrumenty, ruszył dalej akurat w chwili, gdy Etną wstrząsnął kolejny wybuch.

- Idę w twe ślady, Empedoklesie! A ty, Casparze, słuchaj, o synu mądrego Anchitesa! - zawołał, rzucając się ku rzece lawy.

Pośród ognistego deszczu widziałem, jak się przybliżyła do wulkanicznej magmy, gestykułując & podskakując niczym rozbrykane chłopię; rzekłbyś, opętany, którego wzięto na męki piekielne - & tum się kilkakrotnie przeżegnał, aby zakląć tę niedobrą wróżbę. Z miejsca, gdzie się znajdował, mistrz mój wydawał się otoczony płonącymi węglami & dymem, biała para waliła z jego odzienia. Krzyknąłem, przyzywając go...

Bóg w końcu spełnił moje błagania: Kircher zawrócił. Takimi wszakże sadił susami, aż spadł mu biret & potoczył się po ziemi, tak że mistrz dotarł do mnie z gołą głową, lecz cały & zdrowy. Poprzepalana sutanna wisiała na nim w strzępach, podeszwy butów skwierczały, co po części tłumaczyło, dlaczego tak podskakiwał, biegnąc, musiałem też połą własnego habitu ugasić mu włosy na głowie powypalane miejscami.

Atanazy w podzięcie poklepał mnie przyjacielsko po ramieniu, po czym pożyczył ode mnie czasomierz, by kontynuować obserwacje. Kiedy stwierdził, że coraz dłuższe odcinki czasu dzielą od siebie kolejne erupcje, postanowił nareszcie opuścić to pandemonium.

Bez nadmiernych trudności wróciliśmy do miasta, gdzieśmy zostawili większość bagaży. Kircher, który na stopach, dłoniach & twarzy miał szpetne oparzenia, w stanie był doprawdy ubolewania godnym, w związku z czym uznaliśmy, że należy nam się kilka dni wypoczynku. Czas ten mistrz mój wykorzystał na przepisanie notatek.

Ledwie Atanazemu zagoiły się rany, wyruszyliśmy do Syrakuz. W planach uprzednio ułożonych mieliśmy zbadać starożytnych budowli w mieście oraz wizytę w bibliotekach dominikanów w Noto & w Ragusie. Tymczasem Kircher, słowem mi o tym nie wspominając, umyślił sobie coś zgoła innego: wszak Syrakuzy to rodzinne miasto Archimedesesa, powinienem być odgadnąć, że mistrz mój nie przepuści takiej okazji & zechce zmierzyć swój geniusz z geniuszem słynnego matematyka.

Przez kilka godzin chodziliśmy po górujących nad morzem obwarowaniach Ortygii, niczemu wszakże nie zajmował z pomiarów, jakich w tym czasie dokonywał Atanazy za pomocą astrolabium, ani z odręcznych szkiców, które robił. Potem na dwie doby zamknął się w swej izbie, poleciwszy, aby pod żadnym pozorem mu nie przeszkadzano. Kiedy ją opuścił promieniejący radością, natychmiast odwiedził rozmaitych rzemieślników, poruczając im rozmaite ściśle określone zadania, z którymi się mieli niezwłocznie sprawić. W ciągu następnych dwóch niedziel objechaliśmy okoliczne biblioteki, jak było zaplanowane.

W Ragusie mistrz mój nabył od Żyda Samuela Cohena hebrajskie księgi traktujące o Kabale, a od muzyka Masudiego Jusufa manuskrypt z pierwszą odą pytyjską Pindara wraz z systemem zapisu, który pozwalał odtworzyć oryginalną melodię! Kircher ją przestudiował, po czym bezcenne to dzieło ofiarował klasztorowi San Salvatore w Mesynie.

Lecz nadszedł oto dzień, gdy wszystkie zamówione u rzemieślników materiały dostarczono Atanazemu & wówczas mistrz raczył mi nareszcie wyjaśnić powód owych tajemniczych przygotowań.

Podczas oblężenia Syrakuz przez konsula Marcellusa, w 214 roku przed narodzinami Pana Jezusa, wynalazki Archimedesesa długo nie pozwalały Rzymianom zwyciężyć. Jak relacjonują Antiochos z

Askalonu & Diodor Sycylijski, ów niepośledni mędrzec zdołał nawet podpalić nieprzyjacielskie okręty, celując w nie promieniem słonecznym odbitym od zwierciadła. W większości myśliciele & uczeni naszych czasów, utrzymując, że fizycznym niepodobieństwem jest zbudować tak potężne lustro, uważała tę historię za legendę. I oto wbrew wszystkim Kircher umyślił sobie, że dowiedzie prawdziwości działań Archimedesesa właśnie w miejscu, gdzie ongiś wykazał się niezrównaną siłą swego geniuszu.

- Widzisz, Casparze - powiedział mi - wszyscy ci ignoranci, od pana Kartezjusza poczynając, że tylko jego wymięnię, wszystkie te osły mają słuszość, kiedy mówią, że zwierciadłami nie można rozpalić ognia z takiej odległości: płaskie zwierciadło nie skupia dość światła słonecznego, ponieważ odbija je prostopadle od swojej powierzchni. Co się tyczy zwierciadeł kulistych & parabolicznych, to owszem, mogą wzniecić ogień na przedmiotach palnych, tyle że jedynie z niewielkiej odległości, to znaczy w punkcie skupienia promieni. W obliczu tego problemu w pierwszym rzędzie należało zatem bardzo dokładnie ustalić, gdzie stały okręty Marcellusa. Zważywszy na konfigurację obwarowań miasta, głębokość wody w ich pobliżu & odległość, w jakiej okręty musiały się znajdować, aby skutecznie oblegać miasto, cośmy w dwóch liczyli w ostatnich dniach, galery rzymskie ani chybi manewrowały jakieś trzydzieści do czterdziestu kroków od murów. W tej sytuacji zwierciadło paraboliczne, żeby było skuteczne, musiałyby mieć średnicę mili, co w rzeczy samej jest nieosiągalne nawet dzisiaj. Jednakże pomysłowość ludzka nie zna granic, z łaski Niebios wpadłem tedy na pomysł zwierciadła eliptycznego, które z całą pewnością spełni

swoje zadanie tam, gdzie inne zawsze okazywały się nieprzydatne. Jego wysokość księżę heski przybędzie tu za trzy dni. Uprzedziłem go o swoich zamiarach, a on sprosił na tę okazję najznacześniejsze osobistości Sycylii. Zgromadzeni jako pierwsi ujrzą ów nowy *speculum ustorum*, który wspólnie skonstruujemy, drogi Casparze, jeśli zechcesz służyć mi pomocą...

Nie zwlekając, przystąpiliśmy do pracy & po dwóch dniach, kiedyśmy nieprzerwanie kleili, zbijali & dybłowali niezliczone drewniane elementy, przyjechał zamówiony wóz, aby przewieźć naszą maszynę na wyznaczone miejsce w porcie, gdzie miał się odbyć pokaz. Znalazłszy się tam, ustawiliśmy swoje dzieło & nakryliśmy je flagą w barwach wielkiego księcia oraz wicekróla Sycylii, po czym czekaliśmy na umówioną porę.

Kiedy się zgromadzili wszyscy zaproszeni, Atanazy Kircher - dotąd nerwowo krążący po murach, targał nim bowiem niepokój o wynik, który mógł zniszczyć całą jego renomę - przypomniał znane z historii fakty, długo objaśniał swoją teorię, obszernie rozwodził się nad możliwym wykorzystaniem swojego urządzenia, jeśli w ogóle zadziała; w co zdawał się powątpiewać, zważywszy na skromne środki, którymi dysponował, a także na starzenie się Słońca, które wypaliwszy się w ciągu 1848 lat od wyczynu Archimedesesa, nieuchronnie straciło dużo ze swej mocy. O godzinie ustalonej przez Kirchera, czyli o jedenastej przed południem, duża łódź rybacka, zakupiona dzięki Fryderykowi Heskemu, rzuciła kotwicę w odległości czterdziestu kroków od miejsca, gdzieśmy się znajdowali. Na jej rufowce widniała wymalowana rzymska wilczyca mająca pełnić rolę celu. Marynarze ustawili na pokładzie kilka kukieł legionistów, z dala wyglądających jak żywi ludzie, po czym opuścili łódź. Kircher odsłonił wtedy swoją maszynę, a wśród zgromadzonych przetoczył się pomruk zdziwienia.

Był to dość szeroki stożek ścięty, otwarty po obu stronach, którego wewnątrz wyłożone zostało lustrami; dosyć prosty system kół & przekładni pozwalał ustawiać go dokładnie w żądanym kierunku. Poruszając kolejno kilkoma dźwigniami, Atanazy ustawił zwierciadło tak, że promień światła padał wprost na cel. I teraz należało poczekać. Zapadła kompletna cisza, słychać było jedynie chlupot wody uderzającej w dole o mury. Upłynął kwadrans & nic. Goście zaczęli coś szeptać między sobą. Kircher sphywał potem, bez wytchnienia ustawiając promień, aby zawsze padał na wizerunek

rzymskiej wilczycy. Zwabiony niecodziennym widowiskiem lud cisnął się za kordonem straży & na głos komentował oglądane widoki, śmiejąc się & natrząsając, jak zwykle robią południowcy w obliczu tego, co

przerasta ich zdolność pojmwania. Minęło pół godziny bez żadnego efektu, tak że nawet zaproszeni zaczęli tracić cierpliwość, kiedy przelatująca mewa, niewątpliwie przyciągnięta lśnieniem zwierciadeł, upuściła łańco, które rozchlastało się o machinę, o włos mijając mojego mistrza. Nie trzeba było więcej, aby wzbudzić powszechną wesołość. Ze wszech stron posypały się żarty pod adresem Atanazego, usłyszałem, jak pewien sycylijski szlachcic z głęboką pogardą komentuje to zdarzenie:

- *La merda tira la merda!* Gówno przyciąga gówno!

Kircher, jakom zauważył, spurpurowiał na tę zniewagę, lecz nadal jakby nigdy nic krzątał się około swego urzędzenia. Zacząłem się modlić, aby jak najszybciej w taki czy inny sposób wszystko się skończyło, albowiem widziałem już oznaki zniecierpliwienia na twarzy wielkiego księcia, gdy naraż okrzyk mistrza mojego wstrząsnął wszystkimi obecnymi.

- Eureka! - zawołał. - Patrzcie! Patrzcie, niedowiarkowie!

Stojąc bez ruchu w teatralnej pozie, wskazywał swój cel oskarżycielsko wyciągniętym palcem: z rufówki na łodzi wprost ku błękitowi nieba wzbijała się smuzka czarnego dymu!

Szmer podziwu przebiegł wśród wszystkich zgromadzonych. Niemal w jednej chwili cała wilczyca stanęła w trzaskającym ogniu, równocześnie płomienie, jakby szły po loncie, buchnęły na łodzi w kilku innych miejscach. Zaskoczony takimi skutkami popatrzyłem na Kirchera, ów wszakże mrugnął do mnie porozumiewawczo, zrozumiałem zatem, że zadbał o to, aby łódź została odpowiednio przygotowana. Ufając w zdolności mistrza mojego w tej dziedzinie, przygotowałem się zatem na nowe niespodzianki. Nie trzeba było długo na nie czekać: kiedy całą łódź ogarnął ogień, z luków zaczęły strzelać fajerwerki, wybuchając w powietrzu z ogromnym hukiem; ognie bengalskie przeobrażały się w płomienne fontanny, z których wytryskiwały jakby płatki wielobarwnych kwiatów dokoła kadłuba, a na koniec ponad te cudeńka katapulty wyrzuciły płonące kukły legionistów. Ognie greckie jeszcze nie pogasły, a już nowe race z przenikliwym świstem wzbily się wysoko w niebo & wybuchając, wyrysowały trzynogi herb Sycylii,

literę „S” od nazwy Syrakuzy oraz cztery hebrajskie litery oznaczające słowo „Jahwe”. Na zakończenie rozległa się nieprzerwana kanonada, podczas gdy łódź pośród gęstego dymu szła na dno.

Gorące brawa uczciły udany pokaz Kirchera, towarzyszyły im wiwaty & radosne pokrzykiwania ludu syrakuzkańskiego. Czym prędzej uściskałem Atanazego, który dobrotliwie wymownym gestem uczynił mnie współtwórcą swego sukcesu. Książę heski przyszedł doń z powinszowaniami, natychmiast też przyznał mu okazałą sumkę w dukatach na sfinansowanie przyszłej publikacji jego prac. Następnie przed Kircherem predefilowali kolejno wszyscy zaproszeni, aby mu pogratulować & z bliska obejrzeć ognistą machinę. Sycylijski szlachcic, który kilka minut wcześniej pozwolił sobie na tak obraźliwą uwagę, także musiał przejść przez to jarzmo kaudyńskie. Kiedy tłusty dowcipniś, strojąc śmieszne doprawdy miny, znalazł się przed Kircherem, ów ozwał się doń po włosku takimi oto kwiecistymi słowy:

- Panie, raczyliście rzecz w czasie nieodległym, że ekskrement zawsze & wszędzie przyciąga ekskrement, upraszam was przeto jak najuprzejmiej, abyście bardziej niż inni mieli się na bacności...

Tym razem Sycyljczyk spiekł raka jak się patrzy. Burknął coś niezrozumiale, ręką sięgając do szpady, & gdyby nie książę heski, w którego obecności zakazane były rękoczyny, bez wątpienia źle by się to skończyło dla mistrza mojego, szczególnie że był człowiekiem zdolnym się bronić & wyjątkowo krępkim jak na osobę jego stanu. Mnie zaś tak rozzuchwaliło zachowanie Kirchera, że mi udało, iż wachluję się dłonią, jakbym rozganiał przykry zapach, co doprowadziło do białej gorączki tego śmiesznego nadętego prowincjusza - zrobił w tył zwrot, przedtem jednak gestem & miną uczynił pod moim adresem jakiś znak, którego znaczenie doprawdy mi umknęło. Po raz pierwszy w życiu przepełniało mnie niecodzienne uczucie rozkoszy, jaka wzbiera w piersiach po nieoczekiwanym zwycięstwie. „Radość ze spóźnionego tryumfu” - tak Atanazy ochrzcił tę kategorię uczuć, kiedyśmy po wieczery poruszyli ową kwestię. Winny się czułem ociupinę, że mi się nie wykazał wielkodusznością wobec tego sycylijskiego

nieboraka, lecz mistrz uspokoił mnie, zapewniając, że gdybyśmy inaczej postąpili, dowiedlibyśmy swojej obłudy, a grzech to cięższy od lekkiego w sumie grzechu udzielenia nauczki słusznej & nie czyniącej nikomu szkody.

## CORUMBÁ

*Podwójny chrapliwy ryk kajmanów...*

Połową mocy silnika „Posłaniec Wiary” płynął w górę rzeki z warkotem i zawziętością czołgu, który niestrudzenie prze na oślep, na nic nie zważając. Cała ekipa bladym świtem zabrała się za ładowanie na statek skrzyń przybyłych z Brazylii, podczas gdy Petersen i jego pomocnik zajęli się zaopatrzeniem w żywność oraz silnikiem. Na koniec w Beira Rio zasiedli razem do ostatniego posiłku, mocno zakrapianego ku pomyślności wyprawy, po czym cichutko weszli na pokład i zlizowali cumy. Zostawiwszy u steru Yurupiga, Indianina, który mieszkał na statku jako równocześnie mechanik, stróż i kucharz, Herman Petersen zwałił się na jednej z ławek mesy, gdzie od kilku już godzin chrapał jak traktor. Milton to samo robił w swojej kajucie, Dietlev natomiast i Mauro, oparci o reling, dyskutowali pewien problem paleontologiczny, co stanowczo wykluczało jakiegokolwiek inne zajęcie.

Na ciepłym dachu nadbudówki kanonierki wyciągnięta na brzuchu Elaine, oczarowana rzeką i jakby zahipnotyzowana nieogarnionym labiryntem jej ramion i kanałów, uciniała sobie przyjemną drzemkę. Ukojona spokojem Pantanal - aczkolwiek poprzedniego wieczoru Petersen zapewniał, że przy wezbranych wodach wiatr może wzbudzać potężne fale na równinie - zabawiała się wypatrywaniem, jak przez obiektyw aparatu, widoków pośród bujnej roślinności dziewiczego lasu: krwistoczerwona plama leżącej pary papug; odrobinę spóźnione wzbicie się w powietrze białej czapli, która przysiadła na szczycie drzewa; bezzębny uśmiech gołego dziecka, które przycupnęło za ojcem na czólnie sunącym wzdłuż brzegu; wir, który pojawił się z niewiadomego powodu; nieruchomy lej żółtego błota na samym środku rzeki... I za każdym razem Elaine naśladowała językiem cichy trzask wyzwalacza, ciesząc się, że nie zabrała aparatu. Ponieważ sekundę później z przeraźliwym wrzaskiem wlatywała chmara papużek wystraszonych przelotem dużych papug; czapla rozkładała naraz skrzydła niczym łopoczące żagle i z szyją wyciągniętą ku słońcu wydawała przeciągły krzyk; nikł uśmiech dziecka; ujrawszy Elaine, jego ojciec z płonącym okiem zastygał z wiosłem w pół gestu; wycięta w wodzie bruzda za statkiem uwalniała przyniesione z górnego biegu najeżone szczątki, które dotąd nie mogły płynąć dale na południe... Te pojedyncze obrazy ujrane na rzece Paragwaj nawet kamera zupełnie by przeobraziła, odzierając je z elementów towarzyszących i całej otoczki przeżyć, których Elaine w danej chwili doświadczała. Eleazard by temu przyklasnął, pomyślała. On za punkt honoru stawiał sobie uwiecznianie wszystkiego na kliszy czy taśmie.

Elaine zamknęła oczy ukołysana miarowymi drganiami przenoszonymi od silnika. Ogarnęło ją naraz takie samo przeogromne znużenie, jakie pewnego dnia oddaliło ją od Eleazarda. Nie miała konkretnego powodu, by odejść od niego, po prostu zapłonęła w niej resztką instynktu przetrwania, zmuszając ją do ucieczki od człowieka, którego powoli zabijał cynizm. Eleazard spalał się, ponieważ zbyt przenikliwie patrzył na ludzi i rzeczy i nie miał złudzeń. Zarzucała mu, że w nic już nie wierzy, nawet we własne zdolności. Rozprawę na temat Kirchera kompletnie zarzucił, dawno już wygasło w nim pragnienie, by napisać coś innego prócz suchych depesz agencyjnych, a zainteresowanie światem przejawiał o tyle, o ile pozwalało mu obnażać jego ułomności. Ileż to razy szydził z jej pragnienia, aby poznać świat, zdefiniować rządzące nim prawa?

W uszach dotąd brzmiały jej słowa: „Nauka to jeszcze jedna ideologia, ani mniej, ani bardziej skuteczna od wszystkich innych, tyle że działa na innych polach. Ale margines prawdy ma równie szeroki jak religia czy polityka. Czy pošlesz misjonarza, żeby nawracał Chińczyków, czy kosmonautę na Księżyc,

wychodzi na jedno: punktem wyjścia jest identyczne pragnienie, aby włączyć światem, aby zamknąć go w granicach wiedzy doktrynerskiej i zawsze uchodzącej za ostateczną. Wyobraź sobie taką nieprawdopodobną wręcz sytuację: Franciszek Ksawery przybywa do Azji i faktycznie nawraca tysiące Chińczyków; Amerykanin Armstrong... nawiasem mówiąc, żołnierz, wiesz pewnie, co mam na myśli... depcze stary mit lunarny, ale co te działania nam dają prócz tego, że mają jakiś tam swój przebieg? Nie wnoszą zupełnie nic nowego, jedynie potwierdzają to, co już wiemy, mianowicie że Chińczyków można nawrócić, a Księżyc podeptać... Obydwa są tylko taką samą oznaką samozadowolenia człowieka w danym momencie jego historii”.

I pewnego dnia Elaine stwierdziła, że dłużej nie zniesie pęknięć w ślepym murze pewników. W Alcântarze ujrzała nagle wierne odbicie Eleazarda: kupa skażonych gruzów, od których trzeba uciec jak najdalej. Niezdrowe

zainteresowanie, jakim jej mąż darzył Atanazego Kirchera, żalosego nieudacznika, uznała za nadzwyczaj groźne dla siebie. I od niego właśnie uciekła, od tego posępnego osierocenia. Z rozwodem niewątpliwie przesadziła, lecz musiała przez to przejść, by definitywnie zniszczyć czar, który ją więził, by w samotności, w zgodzie ze sobą po prostu cieszyć się radością życia.

Warkot silnika raptem ustał. Kiedy statek, płynął jeszcze siłą rozpędu, Elaine usłyszała wielogłosowy gwar wypełniający dżunglę. Ze swojego punktu obserwacyjnego zobaczyła, że Yurupig idzie na dziób i jednym ruchem uwalnia łańcuch kotwiczny. Jego zgrzyt na chwilę zagłuszył pogaduszki niewidocznych małp na przybrzeżnych drzewach.

Na mostek wyszedł Herman Petersen, niosąc wiadro i koszyk.

- Co się dzieje? - zapytał Dietlev z niepokojem na twarzy. - Coś z silnikiem?
- Nie ma co się martwić, *amigo*. Zwyczajnie, noc zapada szybko, a tutaj po ciemku lepiej nie pętać się po wodzie. Można by jeszcze z godzinkę płynąć, ale po pierwsze, nie wiadomo, czy dałoby się gdzieś zakotwiczyć, a po drugie, na całej długości rzeki nie ma lepszego miejsca na *dourados*.
- A co to jest *dourados*?
- *Salminus brevidens* - wyręczył Hermana Dietlev, jakby to się rozumiało samo przez się. - Rodzaj łososia, który może osiągać wagę nawet dwudziestu kilo. Jadłem w zeszłym roku, pycha.
- No to do roboty! - polecił Herman, wyciągając z kosza kilka wędek. - Jeśli macie ochotę na taką kolację, czas pokazać, co potraficie.
- Mogę spróbować? - odezwała się Elaine ze swojego daszku.
- Oczywiście, *senhora*. Zastanawiałem się, gdzie się pani podziała.
- Ale uprzedzam - zastrzegła, dołączając do nich na pokładzie - nigdy nie łowiłam!
- Och, to żaden powód do dumy! - wtrącił Dietlev złośliwie. - Nikt nie jest doskonały na tym padole.
- Kiedyś trzeba zacząć - załagodził Herman z uśmiechem. - Pokażę pani, to nic trudnego. Przynęty mamy tutaj - dodał, wskazując na wiadro. - *Piramboias*, one są najlepsze.

Elaine zajrzała do wiadra i cofnęła się o krok: roilo się w nim od krótkich tłustych stworzeń.

- Węże?! - spytała z odrazą.
- Prawie. Ale lepiej nie wkładać między nie ręki - ostrzegł, owijając sobie dłoń szmatą, by złapać węgorza.

Jednym ruchem noża przeciął go na pół i drgający jeszcze kawałek nabił na haczyk. Zarzucił wędkę na kilka metrów od statku, po czym wręczył wędzisko Elaine.

- Proszę. Teraz trzeba się uzbroić w cierpliwość. Jak poczuje pani, że coś ciągnie, trzeba zebrać żyłkę i już.

- A to tam... - wskazała brodą krwawą plamę na wodzie i wciąż ruszający się kawałek ogona - ...długo będzie żyło?

- Nawet parę godzin. Nie do zderzenia, dlatego się nadają. Żadna ryba się nie oprze temu ogonkowi.

Zwłaszcza samice... - powiedział frywolnym tonem, nie odrywając zażawionych mętnych oczu od jej biustu.

Udała, że tego nie słyszy, i skierowała wzrok na rzekę.

- A ty, Mauro? Nie spróbujesz?
- Czemu nie?... Nie chcę umrzeć głupi.
- Słusznie, chłopcze! Ja tam wolę być głupi i nie umierać... Chodź, trzymaj wędkę.

Dietlev podziękował za taką atrakcję, Petersen zatem stanął z wędką z pozostałymi.

Nie czekali długo, raptem kilka minut. Wędką Elaine naraz mocno szarpnęło, lecz kiedy wybrała linkę, okazało się, że została przecięta tuż nad haczykiem. Niemal równocześnie to samo spotkało Hermana i Maura.

- Szlag by to trafił!... - zawołał zawiedziony Petersen. - Piranie. No to mamy z głowy, kochani. Przy nich niczego się nie złowi, za bardzo są żarłoczne, bestie... Ale już ja wam pokażę, zmory jedne! Skoro wy tak, to zrobię z was zupeł! Zaraz założę stalowe linki i zobaczymy, co wy na to...

Pierwsza wędkę dostała Elaine i już chwilę potem miała zdobycz. Naprężona do granicy wytrzymałości linka miotła się, tnąc żółtą wodę rzeki we wszystkich kierunkach.

- Wybieraj!... - wrzasnął Herman, który także wyciągał złowioną rybę. - Nie bój się, wybieraj, do licha! Uważaj, jak będzie na pokładzie. Yurupig zrobi co trzeba, bo ta zaraza jak nic może odgryźć palce!

W niepokojąco mętnych wodach rzeki kotłowały się złote błyski. Natężając wszystkie siły, Elaine szeroko poderwała wędkę i na pokład spadła

lśniąca pirania. Rzucił się do niej Indianin: dwa potężne uderzenia pałką i ustały rybie skoki, przed którymi Elaine niezręcznie się cofała.

- Proszę spojrzeć, *belleza!*. - rzekł Herman.

Wciągnął na pokład piranię i lewą ręką chwyciwszy ją żywą, demonstrował obecnym, tak że Elaine nie wiedziała w końcu, czy jego śmiałe słowa odnosiły się do niej czy do ryby. Zobaczyła, że Petersen przysuwa do wystającej rybiej szczęki czubek noża, i dwa rzędy trójkątnych zębów - właściwie monstrialnych kłów - zamknęły się nagle na klindze, i jeszcze raz, i jeszcze, jak ogromny zszywacz: ze strasznym trzaskiem kości i przy wydatnej pomocy Hermana, który manipulował nożem, pirania wylamywała sobie na metalu ząb po zębie...

- Teraz dentysta nie będzie jej potrzebny! - zarechotał Herman dumny z przedstawienia. - A wyobraźcie sobie, co mogą zrobić w wodzie... W stadzie potrafią się w mgnieniu oka rozprawić z wołu! A wiecie, co znaczy *piranha* w tupi-guarani? Ryba-nożyczki... Dobre, co?

Choć pirania wyglądała wstrętnie, Elaine oburzyła się na niepotrzebną torturę, której poddał rybę Petersen. I zaraz poprawiła się w duchu: tortura była głupia, obrzydliwa czy jakimkolwiek obdarzyć ją epitetem z zakresu ludzkiej bezmyślności, z pewnością jednak nie „niepotrzebna” - to określenie wskazywałoby bowiem, że bywają tortury uzasadnione. Już miała powiedzieć Hermanowi, by zakończył okrutną zabawę, gdy podszedł do niego Yurupig.

- Zostaw ją - rzekł spokojnie, lecz głosem, w którym pobrzmiwała groźba. - Natychmiast!

Mierzyli się przez moment wzrokiem, w końcu Herman zdecydował się uśmiechnąć, jakby nic się nie stało.

- Nie tylko dam jej spokój - powiedział do Elaine - ale nawet daruję życie. Dla pięknych oczu pani... - I teatralnym gestem cisnął do rzeki krwawiącą piranię.

Yurupig stanął twarzą do koncentrycznych kręgów, które rozchodziły się po wodzie, i wyciągnawszy dłonie zwrócone wnętrzem do nieba, wymamrotał kilka niezrozumiałych zdań, po czym zniknął pod pokładem.

- Mam!... Mam!... - rozległ się naraz okrzyk Maura, który w ogóle tej sceny nie zauważył.

Herman skorzystał z okazji i zajął się nim. Kiedy pirania wylądowała na pokładzie, ogłuszył ją już bez

popisów.

- Bardzo dobrze! - cieszył się. - Jeszcze ze dwie, trzy i będziemy mieli zupeł.

Kiedy szykował znowu wędki, podeszła do niego Elaine.

- Co on powiedział? - zapytała.

- Kto taki?

- Yurupig oczywiście! Niech pan nie zgrywa głupka.

- Takie tam indiańskie zabobony... Nieważne.

- Modlił się za rybę - rozległ się nagle poważny głos Dietleva. - Nie wszystko rozumiałem, ale przywoływał sprawiedliwość rzeki i prosił, żeby mu wybaczone śmierć tego biednego stworzenia.

- Przecież ryba żyła! - zawołała Elaine. - Widziałam, jak odpływała.

- I to właśnie jest najgorsze. Żyła, ale zranił ją haczyk wędki i nie będzie mogła polować przez tego... przez tego człowieka. Można tylko mieć nadzieję, że pobratymcy szybko ją pożrą, w przeciwnym razie będzie zdychała przez wiele dni.

Elaine z pogardą spojrzała na Hermana; oczy błyszczały jej z gniewu.

- Wiedział pan o tym, prawda?

- I co z tego? Co to zmienia?... Nie będziecie mi tu prawić morałów z powodu jednej pierdolonej piranii! Lepiej weźcie wszyscy na wstrzymanie albo...

- Albo co? - podchwycił Dietlev, nie odrywając od niego wzroku. - Przypominam, że zapłatę już dostałeś. Dlatego raczej ty weźmiesz na wstrzymanie, i to szybko!

Hermanowi oczy tylko zabłysły. Nic nie powiedział i wzruszywszy ramionami, odwrócił się i odszedł. Drzwi mesy zamknęły się za nim z trzaskiem.

- Nie wiedziałam, że znasz tupi - powiedziała Elaine do Dietleva tuż po tej wymianie zdań. - Gdzie się nauczyłeś?

- W zasadzie nie znam - sprostował Dietlev. - Tylko trochę, ale dość, żeby się porozumieć z Indianami. Chodziłem na kurs na uczelni w Brasilii. Przydatny język, często łatwiej było mi zlokalizować złoże albo zebrać skamieniałości w jakiejś zapadłej dziurze. Też się powinnaś nauczyć.

- Słusznie. Zaraz po powrocie...

Zachowanie Yurupiga wywarło na niej wrażenie. Dopiero teraz zdała sobie sprawę, że po raz pierwszy usłyszała jego głos. Wspomniała widok jego profilu, kiedy mierzył się wzrokiem z Petersenem: miedziana skóra, podłużne lekko skośne oczy pod ciężkimi powiekami; nos spłaszczony, bez widocznej chrząstki, że aż chciałoby się go wymodelować, i mięsiste wargi, którymi ledwie poruszał, mówiąc. Chodził w spodniach ogrodniczkach sztywnych od brudu i smaru, w noszonej daszkiem do tyłu nieodłącznej bejsbolówce, spod której wyrywała się kępka włosów wyglądająca jak dopięty pęk czarnych piór nad czołem.

Elaine wydał się doskonale piękny, zwłaszcza po wzruszającej modlitwie za piranię.

- Co się stało? - spytał Mauro zaintrygowany nagłym odejściem Hermana i nietęgą miną naukowców.

Elaine w kilku słowach opowiedziała mu wszystko.

- No, nieźle się zaczyna, prawda? - skomentował, drapiąc się w głowę. - Należałoby tego wieprza wrzucić do wody i płynąć dalej bez niego.

- Nie ufam mu... - rzekła Elaine jakby do siebie. - A w dodatku wiesz co? - zwróciła się do Dietleva. - Wyraźnie mnie podrywa. Co pięć minut muszę wysłuchiwać jego grubiańskich aluzji!

- Coś podobnego! - obruszył się Mauro nagle rozgorączkowany. - Ten opój! Ten... ten wredny faszysta!

- Uważaj, co mówisz! - stanowczo skarcił go Dietlev. - To tylko plotka. Powinienem był trzymać język za zębami. W każdym razie nie zapominaj, że nasza misja zależy od niego i jego statku. To samo

dotyczy ciebie, kochanieńka. Musimy z nim spędzić jeszcze dwa, trzy tygodnie, trzeba więc naprawdę powściągać emocje. Dotyczy to wszystkich. Nie wiem, co jest między nim a tym Indianinem, ale nie powinno nas to obchodzić.

- Widziałeś, jak go upokorzył? - oburzyła się Elaine.

- Widziałem i zgadzam się, że to żaden powód do dumy. Ale na razie poszło tylko o piranię wrzuconą do wody, więc proszę, bez przesady.

- Przecież to szczyt wszystkiego! - protestował Mauro, zaciskając pięści.

- Dosyć! Nie chcę więcej o tym słyszeć. I ani słowa Miltonowi, rozumiano?

- Proszę, proszę... Widzę, że coś tu się przede mną ukrywa! - rozległ się za nimi głos Milтона. - A jak wiecie, niezbyt to lubię.

Na sekundę czy dwie zapadło pełne konsternacji milczenie, gdy Dietlev rozpaczliwie szukał wyjścia z sytuacji. Z pomocą przysłała mu Elaine.

- O rany! - powiedziała, przybierając zmartwioną minę. - Nie wyszła nam niespodzianka. Ale pech, że pan usłyszał...

- Jaka niespodzianka? - Stłumił ziewnięcie. - Przepraszam, spałem jak zabiły. Za dużo wypilem do lunchu, wino mi nie służy. No więc, młodzieży? Czego to nie wolno mówić staremu Miltonowi?

- Że na kolację będzie zupa z piranii... - zaczęła Elaine, nie mając pojęcia, jak z tego wybrnie ostatecznie.

- ...?

- No tak - ciągnęła w coraz większym strachu, że nie zdoła wymyślić nic przekonywującego. - Chcieliśmy... to znaczy Petersen twierdzi, że zupa z piranii ma właściwości... hm... afrodyzjaku...

- I chcieliśmy to sprawdzić doświadczalnie... bez wiedzy badanego, jak to się mówi... - podchwycił Mauro z zażenowaniem na twarzy.

- Taki sztubacki kawał. Mój pomysł. Mieliśmy panu jutro powiedzieć o wszystkim...

- Widzę, że dobrze się bawicie moim kosztem - prychnął Milton. - Ale dzięki Bogu mogę was zapewnić, że na razie mi to niepotrzebne. Mimo wieku pod tym względem bardzo dobrze sobie radzę.

Chwilę później, gdy Milton odszedł w towarzystwie Dietleva, Elaine podziękowała Maurovi za pomoc.

- Już nie wiedziałam, jak się wyplątać z tego kłamstwa - rzekła ze śmiechem. - Naprawdę jestem panu bardzo wdzięczna.

- Drobiazg - odparł Mauro, czując, że się rumieni. - Sam byłem zaskoczony, bo zwykle nie błyszcę pod tym względem. Ale zachodzę w głowę, jak on mógł kupić tę historię?

- Genialne było, że wziął pan wszystko na siebie. Zdaje się, że on by panu wszystko wybaczył.

Mauro zastanawiał się przez chwilę, jak powinien zrozumieć tę uwagę. Uznał w końcu, że jej znaczenie jest oczywiste.

- Wie pani, nie przepadam za nim.

- Ja też, może pan być spokojny! - powiedziała konfidencjonalnie. - W sumie gość nie jest zły, tyle że wszystko podporządkował karierze, a ja uważam, że to niegodne naukowca.

Mauro zapatrzył się na rzekę. Niewidoczne już słońce wciąż płomiennie barwiło horyzont. Potężne drzewa kładły się cieniem na niebie, wykrawając niegroźne chmurki rozżarzone na obrzeżach. Coraz głośniejsze granie owadów zagłuszało z wolna ostatnie nawoływania zabląkanych ptaków, które krzykiem ogłaszały swój lęk przed nocą. Na brzegu, odległym od statku o kilka metrów, w krzakach co rusz trzaskała gałązka, to znów coś szeleściło, bez ustanku przyciągając uwagę.

Ogarnęło go naraz jakieś uniesienie, a wraz z nim pojawił się niepojęty smutek, który rozwiązał mu język.

- Za to panią lubię - powiedział do Elaine, nie śmiać na nią spojrzeć. - To znaczy... no, bardzo lubię...



Rozczulona wyznaniem Elaine pieszczotliwie zmierzwiła mu włosy. Tak samo zrobiłaby Moemie w podobnej sytuacji. W chwili gdy Mauro poczuł jej rękę na swoich włosach, uszczęśliwiony i zarazem zakłopotany zaskakującą reakcją, rozległ się po raz pierwszy podwójny chrapliwy ryk kajmanów.

Pótleżąc na koi, plecami oparty o metalową ściankę kabiny, Herman Petersen próbował wziąć butelkę kaszasy, którą od blisko dwóch godzin starał się opróżnić. Nieopatrznie wykonany gest wprowadził całe otoczenie w obrót, a kiedy na dokładkę lampa sztormowa bez powodu zaczęła krążyć wokół niego, Herman pogodził się z tym, że jest pijany. Z ogromnym trudem zwalczywszy w sobie przemożne pragnienie, by pociągnąć jeszcze łyk, zamknął oczy w mglistej nadziei, że zawrót głowy ustanie. Natychmiast jednak opadły go obrazy.

Pięc zaczął z Dietlevem i Miltonem niedługo przed kolacją, gdy geologowie dołączyli do niego w mesie. Uśmiechnięty wyluzowany Dietlev z drinkiem w rękę zapytał, czy na kolację będzie w końcu zupa z piranii. Herman przyjął rękę wyciągniętą do zgody. Nie okazując ani świeżej ciągle urazy, ani zadowolenia, że tak łatwo ich sobie podporządkował, polecił temu indiańskiemu półgłówkowi, by sprawił skromny popołudniowy połów, po czym bawił się setnie, wyłuszczając Miltonowi rzekome zalety zupy. Elaine, która przysłała z Maurem, bardzo miło poprosiła, by przyrządził jej kajpirinię, sygnalizując tym samym, że postanowiła puścić w niepamięć niedawną scysję. Przy kolacji zgodziła się nawet skosztować rzeczonyj zupy, po czym nie mogła się nachwalić jej smaku. Niemal by go udobruchały te oznaki naprawdę dobrej woli, gdyby nie podchwycił współczującego spojrzenia Maura: ten gówniarz żałował jej, że musiała wziąć do ust takie paskudztwo! *Comedia, comediante!* Wszyscy z niego szydzili!... Tak go to wkurzyło, że zaczął obmyślać, jak by się tu najpaskudniej na każdym zemścić.

Yurupigowi wepchnie ją do gardła i rzuci go na pożarcie piraniom, skoro tak je kocha. Z Elaine zabawa potrwa dłużej, będzie bardziej wymyślna... Coś jak to, co kiedyś zrobili tej choleryjnej aktywistce w starych dobrych czasach dyktatury. Gliniarze wyciągnęli ją z furgonetki i zawlekli do świniami braci Tavarez przy wyjeździe z miasta. Z nich to byli patrioci jak mało kto, prawdziwi *varones*, faceci z jajami! Gdyby więcej było takich jak oni, Brazylia nie stałaby się krajem żebraków i pedałów! Byłaby taka jak Chile. Tam to dopiero wszystko chodzi jak w zegarku. Szwajcaria Ameryki Południowej! Każdy robi swoje, morda w kubeł i szafa gra. Nawet zwykły sikacz mają super... A ta dziewczyna wchodząc, wymyślała im od najgorszych. Zamknęli drzwi na klucz i wywalili fujary na wierzch.

- Ściągaj łachy, kurwo! Na początek zerżniemy cię w dupę, żebyś się nauczyła grzeczności, a później obciągniesz każdemu po kolei. Zobaczysz, opijesz się jak bąk! Może potem najpierw pomyślisz, zanim zaczniesz pieprzyć głodne kawałki!

Dziewucha się rozbeczała, cykora miała jak jasna cholera, błagała chłopaków, żeby odpuścili, głupia cipa, ale przystawili jej pistolet do głowy i musiała zrobić wszystko, czego chcieli. Wszystko co do joty, zgodnie z zapowiedzią! Nie było przepros. Darła się, ryczała, ale co tam - rżnęli ją w każdą możliwą dziurę, kaszasa lała się strumieniami, póki nie mieli dość. Naprawdę dawno się tak odjazdowo nie ubawili!

Herman mocno zaciskał powieki skupiony na strasznych obrazach, które kłębiły mu się w głowie. Nigdy nie zapomni twarzy tamtej dziewczyny, lecz teraz co rusz mgliście nakładała się na nią twarz Elaine, powiększająca się czasem, aż przysłaniała wszystko. Widział ją, jak cała drży tak samo jak tamta, jak utyłana błaga na klęczkach, widział jej ciało poznaczone śladami buciorów i oparzeniami od papierosów. Patrzył, co z nią robią, on tylko wyzywał ją od najgorszych i wymyślał, jak by jej tu jeszcze dopiec, swobodnie puściwszy wodze marzeniom płynącym z najczarniejszych czeluści ludzkiej natury. Już on jej pokaże! Słono każe tej lasce jak z telewizora zapłacić za takie podpuszczanie faceta, za to, że kręciła dupką i rzucała cyckami, rozprawiając jakby nigdy nic o tych pieprzonych skamieniałościach! Z tamtą pindą było podobnie: gębę miała pełną tych pierdolonych

demokratycznych frazesów, ale pozwalała się dosiadać wypierdkom swojego pokroju. Identycznym jak ten Mauro... Długie kłaki, w portkach ze świecą czegoś szukać, ale przyprowadza taką, ścierwo jedno, przed prawdziwego mężczyzną! Taki bubek nic by nie stracił, gdyby poczekał z tymi swoimi minami cioty i pieprzonym walkmanem, który bez przerwy nadaje... Dzyń, bum, bum... dzyń, bum, bum... Pierdolca można dostać!

Kiedy Waldemar przyprowadził psa, nie robiła już takich ceremonii. A doberman napalony był jeszcze bardziej niż chłopaki! Fujarę miał wielką, czerwoną, zupełnie jakby go do tego wytresowali! Gliniarze przywiązali dziewczuchę w chlewie tak sprytnie, że stała na czworakach z rękami na plecach, rozsuniętymi nogami, a w oczach miała coś takiego jak świnia, zanim poderżnie się jej gardło. I błagała, żeby ją wykończyli... Zawsze przychodziła taka chwila, że lepsza była śmierć od wszystkiego innego, nawet od nadziei, że może się jej uniknie; wtedy właśnie zaczynało się najciekawsze. I kiedy pies sobie na niej używał, a ona z twarzą w świńskim gnoju krztusiła się gównem, jeszcze raz spuścili się na nią. Potem, jak już mieli dosyć wpychania jej do pizdy, co komu wpadło pod rękę, szczania na nią i chłostania drutem kolczastym, przystanęli, by zapalić.

- Wiesz, jak się zabija jaguara, żeby nie uszkodzić skóry? Wiesz, krowo?... - powiedział jeden z braci Tavarez, ten jednooki, ten, który złapał syfa w burdelu w Recife. - Łapie się żywcem i wtyka mu w dupę pręt rozgrzany do białości. A potem syk, skwierczenie i smród *churrasco*! Coś pięknego!

Lampą lutowniczą zaczął na jej oczach podgrzewać lufę karabinu, którym polował. Springfielda z podwójnym spustem! Musiał być naprawdę nawalony, że to robił... A potem wetknął rozpaloną lufę do socjalistycznej dupy, pchając ile sił. Na koniec wypalił dwa razy z grubego śrutu.

I rozeszli się odpocząć. Ale on, Herman, miał jeszcze dość pary, żeby do wieczora rznąć swoją Murzynkę.

Towarzyszka wylądowała w dole z wapnem braci Tavarez. Nikt o nią nie pytał, jakby w ogóle nie istniała. Z Elaine będzie tak samo, identycznie... Reszta... Cóż, na myśl o reszcie w ogóle mu nie stawał. Więc kulka w łeb, Mauro dostanie dwie i *auf Wiedersehen*, Johnny...

Herman zadrzał. Mokra od potu koszula kleiła się do ścianki kajuty. Zawładnęły nim naraz śnieżne krajobrazy i bitewne sceny... Ucieczka z obozu w Mauthausen tuż przed nadejściem Rosjan, odwrót, poczerniałe trupy zamrożonych na drodze... I miesiące niewoli w Warszawie, strach ściskający brzuch, blaszane baraki, które na mrozie trzeszczały jak stare kadłuby U-Bootów... Szloch złapał go za gardło, aż zabolalo w karku. Obrazy raptem się zamgliły i po gorącu na policzkach, po nieznośnym poczuciu winy i żalu nad sobą poznał, że wróci twarz Estery, aby go dręczyć, i że ani alkohol, ani nienawiść nie uchronią go tej nocy przed znajomym koszmarem.

*Z notatnika Eleazarda*

KIRCHER Z WIARĄ odnosi się do istnienia olbrzymów wyłącznie dlatego, że nie chce być w sprzeczności ze świętym Augustynem: nie można podać w wątpliwość słów Ojca Kościoła, nie podając w wątpliwość samego Kościoła itd. To ślepa wiara, kłamstwo z premedytacją, porównywalne w każdym punkcie z kłamstwami Marra czy Łysenki w innych dziedzinach. Ten właśnie rodzaj terroryzmu, do którego prowadzą religie albo ideologie, zniesmacza mnie jak mało co. Podyskutować o tym z Loredaną...

POWTÓRZYĆ TO, CO JEST OCZYWISTE: że religia to opium dla ludu, twardy narkotyk, który od sześciu tysięcy lat nie pozwala na bunt przeciwko niebu; że Jezus, człowiek z gwoździemi - „przestępca z zachodniego królestwa z czasów dynastii Han”, jak w XVII wieku mawiali chińscy erudyci, oburzając się na wyniesienie do roli boga takiego drania - założył nam okowy na wieki wieków; że nasza cywilizacja umiera, ponieważ nauczyła się uskarżać, wynosić do rangi cnoty porażkę i jej ofiary; że trzeba

wrócić do źródeł poświęcenia, do postrzegania właściwej chwili i do całkowitej zgody ze światem, na nowo odkryć najbardziej frustrujące pogaństwo, odrzucić *defixio*, które mocuje naszego penisa do ołowianych cmentarnych tabliczek; że religia bazująca na zwłokach ukrzyżowanego nieuchronnie przywołuje robaczywą wizję świata.

O KOMPLEKSIE GOLIATA: olbrzym z Pisma Świętego istnieje tylko w połączeniu z Dawidem, jest silny i potężny wyłącznie po to, aby zginąć z ręki słabszego i mniejszego. Nazwanie goliatem jakiegoś stworzenia czy przedmiotu prowadzi do powołania na świat Dawida, który nieuchronnie z nim skończy. „Titanicowi” z racji samej nazwy przeznaczone było pójść na dno.

O HOŁDZIE DLA JOËLA SCHERKA: „Jakże piękna teoria mogłaby być fałszywa?”. Niebezpieczeństwa symetrii, prostoty jako *arbiter elegantiarum*. Ponieważ coś jest piękne, musi być prawdziwe: teoria wszystkiego czy metafizyczny wór na wszystko? Skoro piękno zasadza się na oszczędnym stosowaniu pojęć, dlaczego asymetria czy złożoność nie miałyby być do tego zdolne? Z tego, że oszczędność środków bardziej satysfakcjonuje nasz umysł aniżeli ich obfitość, wcale nie wynika większa wartość prawdy.

ZE WSZYSTKICH OBSERWACJI ASTRONOMICZNYCH KIRCHERA do dziś przetrwał wyłącznie krater noszący jego imię. Bruzda na powierzchni Księżycy...

LOREDANA MÓWIĄCA DO HEIDEGGERA: „Jak się masz, śmieszny ptaku?”. Jej oczy, jej uśmiech jak z obrazu Khnopffa. Moje kuglarskie sztuczki chyba działają...

U ZARANIA XIX WIEKU, w chwili gdy Egipt stanie się obiektem podboju, uczeni Bonapartego przypomną sobie o fantastycznych przypuszczeniach Kirchera. „Wszedłem po raz pierwszy w życiu do archiwum nauki i sztuki”, napisał Vivant Denon po odkryciu świątyni w Denderze. Z perspektywy czasu patrząc, wszystko działo się tak, jakby wyprawa do Egiptu miała służyć jedynie wykopaniu kamienia z Rosetty, a wraz z nim domniemanych mądrości chrześcijaństwa zachodniego.

„POŚRÓD PIERWSZYCH OKULTYSTÓW - pisze doktor Papus - szczególne miejsce należy jest Atanazemu Kircherowi, jezuitcie, który wykazał się taką zręcznością, że Watykan opublikował jego dzieła; Kircher pod pretekstem oskarżania okultyzmu dokonuje pełnej jego prezentacji”. Dywagacja, lecz jakże symptomatyczna: szarlatan zawsze rozpozna szarlatana. Przeszarżały hermetyzm Kirchera, jego stwierdzenia na temat inicjacyjnego znaczenia hieroglifów, jego upodobanie do tajemniczości, elementy niezwykłości i cudowności budują ezoteryzm na długo przed Courtem de Gébelin czy Eliphalem Lévim.

ŁATWOWIerność. Astrologia, spirytyzm i inne takie sprzeczne z wiarą dyrdymały, odmiany głupoty, w których z upodobaniem grzęzną umysły naszych współczesnych.

WYROK NA FRANÇOIS DE SUS. „Skazany na odcięcie ręki, potem na odcięcie głowy za to, że ze złośliwości dwa albo trzy razy wbił sztylet w papierowy krucyfiks... *Idem* dla Żyda za to, że przez okno opróżnił nocnik na krzyż, który chrześcijanin niósł w procesji”.

WYROK NA ESTIENNE'A ROCHETE'A. „Skazany na powieszenie i uduszenie, następnie na spalenie ciała i rozsypanie popiołów przed rzeczonym kościołem za to, że odłamał ręce dwóm albo trzem posągom Świętych w kościele pod wezwaniem Świętego Juliana w Pommiers-en-Forêt”.

JEŚLI JAKIŚ WYZNAWCA CZUJE SIĘ URAŻONY, że naśmiewano się z wizerunku jego boga, w najlepszym razie znaczy to, że wciąż wątpi w istnienie tego boga, w najgorszym - że jest dość głupi, aby się z nim identyfikować. Kiedy jednak pragnąc zemsty, jako broń stosuje prawa regulujące życie społeczne albo je odrzuca, przeobraża się w zaprzysięgłego wroga, w dziką bestię, którą należy zamknąć w klatce.

KIRCHER TO PERWERSYJNY POLIHISTOR... Chce ogarnąć całą wiedzę. Próba obliczenia wszechświata. Sztuka analogiczna: wszystko zawarte jest w każdej części, jak w hologramach.

WYPAD DO QUIXADY. Noc w klasztorze Świętego Stefana, pokój, w którym prezydent Castelo Branco spędził ostatnią noc, zanim katastrofa lotnicza definitywnie wyeliminowała go z powierzchni Ziemi. Śliczna siostrzyczka pokazuje mi z szacunkiem przechowywane przedmioty: sandały, świeczkę, mydło, krzesło, na którym ostatni raz siedział, ostatnio używaną pościel itd. Wszystko okryte przezroczystą folią. Nawet przez myśl jej nie przeszło, że na jedno tylko miałem ochotę: zadrzeć jej habit tam, pod portretem świętego Ignacego.

SPALLANZANI. Nałożył zabom majtki i dowiódł, że muszą kopulować ze sobą, żeby się rozmnażać...

ESPRIT DE L'ESCALIER. Powinienem był odpowiedzieć Loredanie: „Liu Ling często przesadzał z winem. Kiedy był po nim rozluźniony, spontanicznie rozbierał się i chodził nago po domu. Jeśli ktoś go wtedy odwiedził i czynił mu wyrzuty, odpowiadał: Uważam niebo i ziemię za dom. Co ci więc przyszło do głowy, żeby zaglądać mi do spodni?”.

## ROZDZIAŁ VII

*W którym Kircher oswaja mieczniki  
& o wzburzeniu z tego wynikłym...*

Wróciliśmy nareszcie do Palermo, gdzie Kirchera powitano z najwyższymi honorami. Jego syrakuzański wyczyn był na ustach wszystkich, tak że miejscowe akademie spierały się o to, która będzie go gościć. Mistrz mój wrócił do wykładów na uniwersytecie, podejmując wszelkie tematy, w miarę jak się domagano, aby je omawiał. W szczególności dowiódł, ile człowiek może mieć włosów na głowie - nie więcej niż 186 624 u najszczodrzej przez naturę wyposażonych, mniej niż połowę tego u większości - & że choć łatwo wyobrazić sobie nieskończoną ich liczbę za pomocą dodawania, znacznie trudniej otrzymać taką liczbę za pomocą dzielenia; albowiem jeżeli przyjmujemy, że włos może się dzielić w nieskończoność, należy zarazem przyjąć, że całość jest mniejsza od sumy tych części.

Jako że pewien stary sycylijski medyk zarzucał Kircherowi upodobanie do liczenia włosów & do dzielenia ich na czworo, mistrz mój zamknął mu usta, przypominając, że dobry chrześcijanin nie powinien się obawiać naśladowania Opatrzności Bożej & że ani na świecie, ani w niebiesiach nie ma nic tak cienkiego albo bezwartościowego, co by nie zasługiwało na dokładne obliczenie. I że jeśli ów jegomość zechce przyjechać do Rzymu, on, Kircher, pokaże mu za pomocą niewielkiej lunety własnego pomysłu, jak można powiększyć włos, aż przybierze kształt drzewa, z gałęziami & korzeniami, & że zrozumienie tylko tego prostego fenomenu zasługuje na opisanie w księgach. Kircher tym podbił resztę słuchaczy, a staremu doktorowi zamknął usta.

Mistrz mój odniósł się także do twierdzeń ojca Pétau & kilku innych badaczy, według których Pan Bóg

zaczął stworzenie 27 października roku 3488 przed naszą erą, o godzinie ósmej czterdzieści siedem sekund po północy, bez trudu udowadniając na podstawie teorii radykalnie odmiennych, jeśli chodzi o dzień & rok, że zuchwalstwem jest rozstrzygać o tej dacie; a w konsekwencji także o dacie Apokalipsy.

Książę Palagonii przybył znowu do Palermo, aby uczestniczyć w wykładach mojego mistrza w towarzystwie księcia heskiego & miejscowych wielmożów. Rozmaite plotki krążyły na jego temat, a kąśliwe języki zadbały już o to, abyśmy szybko poznali wszystkie jego grzechy & grzeszki. Utrzymywano otóż, że ów książę, z natury wielki zazdrośnik, więzi małżonkę swoją, jego pałac zaś bardziej przypomina zamek nawiedzany przez duchy niżli domostwo prawdziwego chrześcijanina. Doniesiono nam również o rozmaitych jego szalonych pomysłach, przez które uchodził za poszkodowanego na umyśle, lecz nie daliśmy temu wiary. Albowiem książę w uprzejmości rywalizował z mistrzem moim & wydawał się znacznie inteligentniejszy & lepiej wyedukowany od większości swych rodaków. Z przyjemnością zatem Atanazy zgodził się wybrać do niego, kiedy książę ponowił zaproszenie na Święta Bożego Narodzenia roku 1637.

Jeszcze kilka dni pozostało do terminu ustalonego z księciem Palagonii, gdy mistrz mój, którego ciekawość doprawdy była nienasycona, postanowił popłynąć do Mesyny. Jako że rektor uniwersytetu powiedział mu, iż tamtejsi rybacy wykorzystują pewną pieśń, aby czarować mieczniki & tym sposobem wabić je w sieci, Kircher koniecznie chciał osobiście ujrzeć ten cud. Moje obiekcje, dyktowane obawami przed chorobą morską oraz przed piratami turkomańskimi, nie zdały się na nic - musiałem ulec jego zachciance.

Pomijam tu szczegóły żeglugi, przechodząc od razu do chwili, gdyśmy dotarli do strefy połowów oznaczonej pławami kilkoma. Kiedy statek rzucił kotwicę, przesiadliśmy się do jednej z sześciu barek, któreśmy dotąd za sobą ciągnęli, mianowicie do barki kapitana zwanego tam *raīs*. Jak niebawem się okazało, jedynie ów człowiek był upoważniony do wymawiania magicznych słów przyciągających ryby. Marynarze wzięli się do wiosła & przebyliśmy niespełna ćwierć mili, gdy *raīs* zaczął śpiewać. Była to nieprzerwana monotonna melodia, rzewna & przejmująca, której rytm nadawało poskrzypywanie wiosła & sponsoria wioślarzy. Ledwie śpiew się rozległ, Kircher wychylił się przez burłę, by obserwować morskie głębiny, & niebawem znacząco ścisnął mnie za ramię, zmuszając, abym spojrzał: pod wodą, jasną & przejrzystą niby kryształ, ujrzałem mnóstwo dużych srebrnych ryb, które niespiesznie płynęły, towarzysząc barce. Widok ów był wspaniały, oczu-mnie mógł od niego oderwać... Mistrz mój tymczasem gorączkowo jał zapisywać tę cudowną melodię. Po jakimś czasie naraz zapadła cisza. Podnieśliśmy głowy - Kircher znad swoich zapisków, ja znad wody - ze zdumieniem stwierdzając, że wszystkie barki ustawiły się w szerokim kręgu. Marynarze odłożyli wiosła; teraz miarowo ciągnęli wielką sieć, wybierając ją łokieć po łokciu. Kapitan zaintonował nową pieśń, aby zachęcić rybaków do wysiłku, ja zaś przyjrawszy się dokładniej sieci, zrozumiałem, że to jakby potężny wór, w którym ryby zostały uwięzione.

Dolna część saka legła niebawem poziomo tuż pod powierzchnią wody: tuńczyki & mieczniki, częściowo wyjęte ze swego żywiołu, rzucały się bezładnie, wzbijając na morzu fale. Zastanowiło mnie, jak też rybacy wciągną je na pokład, tymczasem oni zebrali liny, by unieruchomić sieć, po czym ujęli w dłonie grube drągi zakończone żelaznym hakiem. *Raīs* zaintonował trzecią pieśń, której przejmująca powaga, patos zbliżony do „*Dies irae*” w pełni pasowały do tego, co teraz nastąpiło.

Między uderzeniem jednym a drugim bacznie obserwował Kirchera. Z wybałuszonymi oczyma, rozwianym włosom, opryskiwany krwią zmieszaną z wodą, patrzył wstrząśnięty na tę jatkę. Wyczuwałem, że wszystkie nerwy w nim się burzą, a spojrzawszy na jego dłonie kurczowo wczepione w burłę, zobaczyłem ich pobielale knykcie.

- Módl się za mnie, Casparze! - wyszeptał naraz. - I powstrzymaj mnie, jeśli dorwę któryś z tych drągów!

W przekonaniu, że mistrz mój doświadcza pokusy, aby ukarać tych ludzi za okrucieństwo, zebrawszy wszystkie siły, jałem błagać Pana o wspomnienie & dzięki Niebiosom, a może & moim modlitwom, Kircher nie poddał się gniewowi. I całe szczęście, albowiem z wrazenia odstąpiły mnie siły, nie zdołałbym zatem go powstrzymać & ustrzec przed wiecznym potępieniem.

Kiedy ryby co do jednej znalazły się na barkach, wróciliśmy na statek & pożeglowali z powrotem do Mesyny, skąd niezwłocznie znowuśmy wypłynęli w morze & dopiero na widok pięknych skał górujących nad Palermo mistrz mój zdołał rozewrzeć zęby.

- Casparze, przyjacielu - rzekł wtedy - widziałeś mnie w okolicznościach nader delikatnych & po powrocie do Rzymu zaraz się ze wszystkiego swoim przełożonym wypowiadam, przedtem wszakże chciałem ci wytłumaczyć, co się stało. Być może to mi pozwoli rozwiązać mroki, które zasnuwają mi umysł...

### **CANOA QUEBRADA**

*Marzenie astronoma śniącego  
o spustoszonej obcej planecie...*

Ilekczo Roetgen czuł, że sytuacja go przerasta, wprowadzał się, jak sam powiadał, w „stan katalepsji”. Jeśli się mocno skoncentrował, bez większego problemu potrafił unieruchomić w umyśle zdolność oceniania i utrzymywać się na pograniczu ataraksji. Narzucał sobie wówczas taką postawę, że wszystko mogło się zdarzyć, on zaś niczym się nie przejmował, nic nie było w stanie go poruszyć. Największe zmartwienia spływały po niewidocznej ścianie pozornego spokoju. Choćby się znalazł wtedy w spadającym boeingu albo przed szaleńcem ściskającym pistolet w garści, nawet by okiem nie mrugnął; w skrajnych okolicznościach umarłby równie jak leming flegmatycznie.

Roetgen stał w przejściu bliżej tyłu autobusu, skrzyżowanymi ramionami mocno obejmując drążek z matowej stali, ze wszystkich stron napierali nań inni pasażerowie, potrącali go i popychali, on jednak, choć otumaniony skwarem i hałasem, trwał niewzruszony niczym sternik żaglowca miotanego burzą. Kierowca co rusz musiał hamować i gwałtownie skręcać, by nie przejechać zwierząt, dzieci i różnych przedmiotów, które nagle przed nim wyrastały jak na ekranie gry wideo, i za każdym razem na Roetgena wpadało z pięćdziesiąt spoconych osób. Od czasu do czasu mignął mu za tą ciżbą przygnębiająco pustynny krajobraz Sertão.

Poczuł, że ktoś lekko ciągnie go za koszulę.

- Wytrzyma pan? - usłyszał głos Moemy, która wykręcała sobie głowę, by na niego spojrzeć. - Może siądzie pan na chwilę na moim miejscu?

- Nie, dzięki - odparł z rezygnacją na twarzy. - Jeszcze jakieś pięć minut wytrzymam, dopiero potem padnę.

- Już niedaleko - pocieszyła go z miłym uśmiechem. - Za jakieś pół godziny dojedziemy...

Kiedy Moema zjawiała się w Domu Kultury Niemieckiej, mocno się zdziwiła, ujrawszy Roetgena, który wraz z kilkoma innymi profesorami pomagał Andreasowi składać krzesła.

- Która to godzina? - spytała Roetgena, gdy do niej podszedł.

- Pierwsza. Nie sądziłem, że jeszcze przyjdiesz. Zresztą niejaki Virgilio też nie. Poszedł jakieś dziesięć minut temu.

- Kurczę! Jestem beznadziejna, słowo daję! Straciłam poczucie czasu.

Wyglądała teraz dziwniej niż przed bankiem. Czuć było od niej alkohol.

- Strzelisz sobie kielicha? Andreas zawsze ma butelkę whisky w gabinecie.

- Nie, dziękuję, nie mogę - odparła po chwili wahania. I wskazując wzrokiem grupkę pracowników dydaktycznych, które krzątały się pod mangowcem, dodała: - Narobiłyby rabanu i ucierpiałyby na tym

pana reputacja. W Brazylii profesorowie nie chodzą na kielicha ze studentami, a tym bardziej ze studentkami.

- Mam gdzie swoją reputację, i to od dawna. Dobrze o tym wiesz. Więc jeśli tylko o to chodzi...

- Nie, nie, mimo wszystko dzięki. Nie mogę. Ale może... hm... Co pan porabia w weekendy? To znaczy, tak ogólnie...

Roetgen pohamował uśmiech, spostrzegłszy wyraźne zażenowanie dziewczyny: przestraszyła się w ostatniej chwili propozycji już obmyślonej czy na gorąco zdecydowała się złamać konwenanse? Od dawna pociągała go zauważalna dzikość jej natury, błysk buntu i ironii, gdy mrużyła oczy, krzyżując z nim spojrzenie na zajęciach - wszystko to, co sprawia, że ktoś się wyróżnia tak bardzo, iż opanowuje myśli i sny drugiego człowieka, naznacza je swoją tajemniczą obecnością. Jej niezręczna próba szalenie go teraz ucieszyła.

- W weekendy? Nic specjalnego. Czytam, gram w szachy... Spotykam się z Andreasem, którego znasz. Często wyskakujemy gdzieś z jego dziećmi.

- Gdzie?

- A gdzie wypadnie w Interiorze, jak tu mówicie. Najczęściej do Porto das Dunas. Napijemy się wina, podyskutujemy, pobyczymy się... Jak widzisz, nic oryginalnego.

- Zna pan Canoe Quebradę?

- W życiu tej nazwy nie słyszałem.

- To maleńka wioska rybacka trzysta kilometrów stąd, kompletnie odizolowana wśród wydm. Zajebiste miejsce... dosłownie skansen. Bez hoteli, bez turystów, nawet elektryczności tam nie ma! Moim zdaniem najpiękniejszy zakątek Nordeste. Jadę tam jutro z koleżanką. Może by się pan z nami wybrał?

Skwapliwie skorzystał z zaproszenia. Moema powiedziała mu, o której i gdzie ma się stawić, koniecznie z własnym hamakiem, po czym zniknęła wśród wonnych ciemności okrywających campus.

Wczesnym rankiem Roetgen spotkał się z dziewczynami na Rodoviária, wielkim dworcu autobusowym przy ulicy Oswalda Studarta. Thais zatroszczyła się o bilety, tak że pozostało im tylko wsiąść do autobusu linii Fortaleza-Mossoró, który stał już na stanowisku z włączonym silnikiem. Zanim wyjechali z miasta, autobus wypełnił się hałaśliwym pstrokatym tłumem podróżnych zawzięcie komentujących katastrofę samolotu opisaną na pierwszych stronach gazet. Kwadrans po odjeździe Roetgen ustąpił miejsca starszej kobiecie - dawał jej jak nic sześćdziesiątkę, dopiero Moema mu uświadomiła, że jest ciężarna! - i w ten sposób od blisko trzech godzin na własnej skórze doświadczał skutków uprzejmości.

Iguape, Caponga, Cascavel, Beberibe, Sucatinga, Parajuru... Moema widocznie uprzedziła kierowcę, gdzie chcą wysiąść, ponieważ kawałek za Aracati autobus przystanął w szerym polu, na skrzyżowaniu z wyboistą, lecz wytęzoną prosto dróżką, która lekko wznosiła się ku widocznym na horyzoncie nieodległym rachitycznym krzewom i kopernicjom.

- No!... - odetchnęła Moema, kiedy autobus odjechał w chmurze pyłu. - Jeszcze godzina piechotką i będziemy na miejscu.

- Godzina piechotką?... - z niedowierzaniem powtórzył Roetgen. - O tym nic nie mówiłaś...

- Bałam się, że się pan zniechęci - wyjaśniła Moema, nakładając okulary przeciwsłoneczne. I z rozbijającym uśmiechem dodała: - Uprzedzałam, że to miejsce na końcu świata. Na raj trzeba sobie zapracować!

- No to chodźmy do tego raj... Mam nadzieję, że będzie się tam można przynajmniej wykapać.

- Och, jasne! To najpiękniejsza plaża w całym Nordeste, zobaczy pan. Ale przed drogą trzeba się wzmocnić. Przeciwno dzoincikowi coś masz... ma pan?... Kurczę, sorki, ale mam dość tego „panowania”. Mogę ci mówić „ty”? Jesteśmy na moim terenie, a jeśli się co do ciebie pomyliłam, trudno.

- *Vixe Maria!* - zawołała Thais zdumiona tupetem przyjaciółki. - Kompletnie ci odwaliło, jak mamę...

- Nic nie szkodzi - zapewnił Roetgen, choć i jego Moema zaskoczyła. - Potrafię oddzielić uczelnię od reszty. Najlepszy dowód, że przyjechałem tu z wami, nie?

- Gdybym miała wątpliwości, nigdy bym ci nie zaproponowała - powiedziała Moema, nie odrywając oczu od papierosa, którego bibułkę ostrożnie rozerwała i wysypała tytoń na wierzch plecaka.

Roetgen patrzył, jak przygotowuje dzointa. Wbrew temu co mówił, i mimo nonszalanckiej pozy czuł się na tyle zakłopotany, że aż nie na miejscu. Zrobiło mu się naprawdę nieswojo - raptem raz czy dwa razy w życiu dał się namówić na skręta, przyjemności nie miał z tego żadnej i zupełnie nie pojmował, jak w jego pokoleniu mogło aż tak wybujać upodobanie do mdłości - z obawą zatem oczekiwał chwili, kiedy albo będzie musiał się zdobyć na stanowczy krok, albo się ośmieszyć. Lepiej teraz zaczynał rozumieć nieobecności dziewczyny na zajęciach, noszenie ciemnych okularów, a nawet szczególny sposób przeskakiwania z tematu na temat albo parskania śmiechem ni z tego, ni z owego. Sądząc, że zgłębił powody swojego zainteresowania nią, poczuł naraz coś na kształt zawodu.

- Ty pierwszy - powiedziała Moema, podając mu luźno zwiniętego papierosa, wilgotnego jeszcze od jej śliny.

Roetgen zapalił, starając się jak najstabilniej zaciągnąć. Już sobie wyobrażał, jak ogarnia go zawrót głowy, żołądek podchodzi mu do gardła, po czym ciało odmawia posłuszeństwa i pada przy drodze w charakterze wraku upodlonego człowieka. A równocześnie drżał, by któraś z dziewczyn nie zarzuciła mu, że udaje albo że z powodu braku doświadczenia trwoni cenny dym.

Uratował jednak swój honor - albo dlatego, że niczego nie zauważyły, albo dlatego, że były na tyle mądre, by nie wytykać mu udawania.

- No to naprzód! - zakomenderowała Moema, gdy papieros wrócił do niej. - Najtrudniejsze przed nami.

Kiedy ruszyli w słońcu, które jeszcze płaszczyło ich cienie, Roetgen spróbował nawiązać znajomość z Thais. Dziewczyna okazała się niezbyt rozmowna, w końcu więc zniechęcony lakonicznymi odpowiedziami on także umilkł. Dziesięć minut później spływał potem.

- Ależ skwar! - stwierdził, ocierając twarz chustką.

- Trzeba było włożyć sandały - zauważyła Moema, zerknąwszy na jego buty. - Pierwszy raz widzę, że ktoś wybiera się na plażę w skarpetkach i półbutach...

- Ale numer! - odezwała się Thais rozweselona taką herezją. - Nie zwróciłam uwagi. *Meu Deus*, grzeją pewnie, co?

- Jeszcze jak! - odparł Roetgen ze śmiechem. - Bardzo proszę jednak o szacunek wobec moich stóp. W końcu to stopy profesorskie!

- Stopy profesorskie, a pan profesor popała trawkę ze studentkami... Ale by było, gdyby się to rozeszło! - powiedziała Moema lekkim tonem.

Roetgen uświadomił sobie własną bez troskę. Moema oczywiście żartowała, wystarczyłoby jednak, żeby z jakiegoś powodu postanowiła komuś o tym opowiedzieć, a mógłby się pożegnać z posadą na uniwersytecie. Na moment w jego oczach pojawił się strach.

- Nie martw się - uspokoiła go, poważniejąc. - Nigdy tego nie zrobię, cokolwiek się stanie. Poza tym zawsze mógłbyś zaprzeczyć i nas oskarżyliby o kłamstwo, nie ciebie.

- Mam nadzieję - rzekł bez cienia uśmiechu, po czym zmienił temat: - Niezbyt ruchliwa ta droga. Idziemy pół godziny, a nawet kot tędy nie przebiegł.

- Poczekaj, aż wejdziemy na samą górę, to zaraz zrozumiesz dlaczego.

Kiedy dotarli na szczyt domniemanego płaskowyżu, zdumiony Roetgen ujrzał zupełnie odmienny widok: wciąż prosta droga opadała wzdłuż łagodnego zbocza ku wysokiej barierze z wydm, gdzie po prostu się kończyła.

- Tu była szosa do Majorlandii - wyjaśniła Moema. - Trzy lata temu wydmy ją przykryły. Tutaj



bardzo wędrują. Nikt z niej dawno nie korzystał i my też nie skorzystamy, bo nie tędy pójdziemy.

- Niesamowite! - westchnął Roetgen. - Jakbyśmy byli w samym środku Sahary... Jesteś pewna, że gdzieś tam jest morze?

- Nie bój nie!...

Szli aż do miejsca, gdzie droga się skończyła. Z bliska widok jeszcze bardziej oszołamiał - jakby ktoś specjalnie przywiózł tutaj góry piachu.

- I co teraz? - spytał Roetgen stropiony, że znaleźli się w ślepym zaułku.

- Dalej prosto - odparła Moema, wskazując wydmnę. I ze szczyptą ironii w głosie upewniła się: - Dasz radę?

- Chyba muszę, prawda?

Dziewczyny ruszyły pierwsze. Przez chwilę tuż przed oczami miał kołyszące się w rytm kroków ich pośladki okryte luźnymi szortami, potem zaczęły się oddalać. Pomagając sobie rękami, Thais i Moema wspinały się z zadziwiającą prędkością. Spod ich nóg obsypywały się strumyki sypkiego piasku, docierając aż do jego stóp. Roetgenowi przeszkadzała torba podróżna, której ucho zsuwało się z ramienia, oślepiał go pot zalewający oczy, lecz parł naprzód, grzęznąąc chwilami, zsuwając się czasami o parę metrów. Na szczyt wydmy dotarł długo po nich - ubawiły się, czekając na niego, tak komicznie wyglądał, kiedy się wspinał.

To co zobaczył, oczyściło ich śmiech z wszelkiej kpiny, widok bowiem współgrał z nim, był radosną pochwałą piękna świata. Stał przed nimi ocean - turkusowoniebieski, lśniący niczym mozarabski fajans. Na wygiętym w kształt półksiężyca wybrzeżu daleko jak okiem sięgnąć ciągnęły się wydmy zawijające ku brzegowi, na którym białął szeroki pas przetaczających się fal. Nie było ani jednego drzewa, ani jednego owada czy ptaka, niczego, co by świadczyło o ludzkiej obecności: marzenie astronoma śniącego o spustoszonej obcej planecie, na zawsze znieruchomiałej pod palącymi promieniami słońca.

Roetgen gwizdnął cicho z podziwu.

- Niezłe, co? - zagadnęła Moema. W jej głosie brzmiała duma. - Byłam pewna, że ci się spodoba... Patrz, wioska jest w dole.

We wskazanym przez nią miejscu widać było tylko jakby rumowisko, które brunatną barwą odróżniało się nieco od płowego otoczenia. Przyjrawszy się dokładniej, Roetgen dostrzegł pięć czy sześć żagli jangad zlewających się ze spienionymi falami. Przyspieszywszy kroku, wyraźnie zobaczyli po chwili kilka domostw dotąd skrytych w cieniu wydmy. Wychudzony pies udał, że wybiega im naprzeciw. Szczeknął słabo, jakby dla spokoju sumienia, potem minęli osia objuczonego głowami lodu. Prowadziła go dziewczynka, każdy jego krok znaczył ciemny łańcuszek kropel wody.

Dochodzili do Canoi Quebrady.

Złożona z kilkunastu prymitywnych chat wioska ulokowała się na wydmie. Chaty stały na zboczu naprzeciw siebie, tworząc uliczkę, która prowadziła do oceanu. W większości ulepione z gliny wymieszanej ze słomą, z grubsza pobielone i podparte wyblakłymi cienkimi żerdziami, powykrzywianymi i sękatymi jak cała uboga roślinność Sertão, zaopatrzone były w byle jak sklecone okapy z gałęzi i ususzonych liści palmowych. Najskromniejsze były zresztą zwykłymi szafasami udającymi z kształtu domy - prosto z bezmiaru piasku wchodziło się do jedyne w nich pomieszczenia, pomniejszonego jeszcze przez koślawe sploty wiązań. Żadne nie miały szyb ani futryn w oknach. Najwyraźniej mieszkańcom wystarczało, że mogą przysłonić otwory niedopasowanymi okiennicami. Wzdłuż ulicy biegł środkiem rząd jakichś dziesięciu przechylonych próchniejących słupów, między którymi wciąż były rozciągnięte nieliczne przewody i żarówki z blaszanymi osłonami; generator od tak dawna nie działał, że nikt się już nie łudził, iż zostanie kiedyś naprawiony. Gdzieniedzie pojedyncze karłowate palmy bądź

tamaryszki, odporniejsze chyba na słone wiatry, szumiały poruszane bryzą. W stertach śmieci za chatami grzebały kury i czarne świnię, szukając pożywienia.

Jedna tylko studnia zaopatrywała w słonawą wodę mieszkańców rybackiej wioski, którzy przetrwali w tym zagubionym zakątku i żyli w odosobnieniu, odcięci od reszty świata niczym zdziesiątkowane plemię.

Moema w pierwszej kolejności skierowała się do Neosinhi, do chaty, w której mieszkała na końcu ulicy, w miejscu gdzie zaczynała się pochyłość wiodąca na plażę. W zamian za kilka cruzeirów mogli zawiesić hamaki w jednym z dwóch szałasów, które jej syn zbudował w pobliżu wyłącznie na użytek przyjezdnych.

- Mało kto tu zagłada - wyjaśniła Roetgenowi - ale przyjeżdżają ludzie z Aracati albo z dalsza, żeby się spokojnie wykąpać. Jak my na przykład. Neosinha zarabia w ten sposób parę cruzeirów. Sposób dobry jak każdy inny. Jak jestem sama, zatrzymuję się u João, zaprzyjaźnionego rybaka. We trójkę u niego nie da rady. Wpadniemy do niego potem, zobaczysz, gościu jest super! W życiu nie spotkałam kogoś tak fajnego.

- To jak? - odezwała się Thais. - Zostawiamy bambetle w szałasie i idziemy się kąpać, co?

- Bambetle zostawiamy, ale najpierw chcę zajrzeć do João. To zajmie z pięć minut.

- Idź, jak chcesz - dość nerwowo odpowiedziała Thais. - Ja już nie mogę, zaczekam na was w wodzie.

W szałasie rzucili rzeczy na piasek. Thais zaczęła się przebierać, a Roetgen z Moemą poszli z powrotem w górę ulicy.

- Co ją napadło? - spytał Roetgen.

- Przejdzie jej. Jest tylko troszkę zazdrosna.

- Zazdrosna?... Nie żartuj! O kogo?

- Kurczę, o ciebie. Jest strasznie zaborcza, a ciebie przecież program nie przewidywał.

Sprawił mu przyjemność ten komplement na opak, popatrzył jednak na nią, unosząc ze zdziwieniem brwi. Przez usta przemknął mu uśmiech, który miał mówić: „Głupia!... Zazdrosna o mnie, chociaż nic między nami nie było!”, lecz zdradził zadowolenie Roetgena i niewypowiedziane pragnienie, aby utwierdzić Thais w podejrzeniach.

- Zejdź na ziemię, przestań śnić! - oschle przywołała go do porządku Moema. - Zaprosiłam cię wczoraj, bo patrzyłeś wzrokiem zagubionego psa i zrobiło mi się żal. Wyglądałeś strasznie dziwnie między tymi wszystkimi dupkami z profesorskim tytułem. Byłeś taki smutny... Uczelnia to nie miejsce dla ciebie. Dziwi mnie tylko, że dotąd nikt tego nie zauważył! Chciałam cię na trochę wyciągnąć stamtąd, pokazać ci coś innego, prawdziwą Brazylię. Żywych ludzi po prostu.

Roetgen zajął jej w oczy, jakby szukał prawdziwego powodu tego wyznania. I na sekundę pożałował, że przyjechał do Canoi.

Stanęli przed szałasem podobnym do tego, w którym zostawili rzeczy, chociaż starszym, jakby bardziej spłowiałym. Na daszku malutkiej dobudówki suszyły się płetwy rekina, wydzielając silną woń. W cieniu siedział mężczyzna i w skupieniu uważnie rozplątywał sieć rybacką, wykonując zręczne gesty szwaczki. Zauważył ich, dopiero gdy Moema jasnym głosem zawołała:

- *Tudo bem, João?*

Zastygł na moment w pozycji skryby, po czym jego oblicze rozjaśnił szczerbawy uśmiech, rozczulający jak uśmiech dziecka, którego nie szpeci niepełne uzębienie.

- Moema! - powiedział, podnosząc się, aby ją uścisnąć. - Jaka miła niespodzianka! *Tudo bom*, dziecko, *tudo bom*, dzięki Bogu.

- Poznaj... - urwała i zwróciła się do Roetgena: - Jak ty właściwie masz na imię?

- Nieważne - uciął dziwnym tonem. - Jestem po prostu Roetgen. Tak wolę, jeśli można.

- Mnie nic do tego - odparła Moema. - No więc poznaj Roetgena, po prostu Roetgena...

Przyjaciel z Francji, jest profesorem w Fortalezie.

João próbował wymówić dziwne nazwisko, za każdym razem inaczej je przekręcając.

- Nie, nie potrafię, *Francês*, za trudne - rzekł w końcu przepraszająco. - Ale witaj!

Moema podała mu plastikową torbę, którą zabrała ze sobą z szałas.

- Proszę, przywiozłam ci parę rzeczy, których nie potrzebuję. A poza tym aspirynę i antybiotyki.

João zajrzał do środka, kręcąc głową z zatroskaną miną.

- Niech Bóg cię błogosławi, skarbie... Połowy są marne, nie to co kiedyś. Nie starcza na jedzenie dla dzieci. A Maria czeka na kolejne.

- Mają już ośmioro - wyjaśniła Moema z mieszaniną irytacji i współczucia. - Powariowali, nie?

- Zaraz dam banana Josému - zapowiedział João. - Po tym wypadku potrzebne mu witaminy.

- Jak on się czuje? - spytała Moema, gdy wchodzili do chaty.

- Nie najgorzej. Prawie się zagoiło, ale jeszcze trochę ropyje. Neosinha robi mu okłady z krowiego łajna. Mówi, że to zapobiega zakażeniom.

- Obiecuj, że więcej na to nie pozwolisz. Masz mu dawać lekarstwa, które przywiozłam. Każdego po dwie tabletki rano i wieczór. Rozumiesz?

- Obiecuję. Nie martw się.

Przepierzenie z powiązanych liści palmowych oddzielało kuchnię od reszty chaty. Roetgen zdążył tylko zauważyć siedziska ustawione wokół paleniska - ułożone w krąg kamienie - ze trzy poczerwiałe od dymu rondle,

płaty suszonej ryby zawieszono pod dachem, ustawioną na ziemi etażerkę ze skromną zawartością w postaci butli z olejem i paru metalowych puszek.

Drugie pomieszczenie usłane było matami i obwieszono hamakami umocowanymi na żerdziach szkieletu chaty. João ostrożnie przechylił jeden z nich i zajrzał do środka.

- Śpi - szepnął. - To dobrze.

Usmarkane chude roczne albo dwuletnie dziecko, goluteńkie, leżało na wznak w poprzek hamaka. Lewą rękę na wysokości łokcia miało owiniętą szmatami przesiąkniętymi ropą i osoczem.

- Trzeba mu to zmienić, João. Tak nie można...

- Wiem. Maria poszła prac, przyniesie czyste bandaż.

- Co mu się stało? - spytał Roetgen cicho.

- Świnia - wyjaśnił krótko João, lekko kołyszając hamakiem.

- Wszystkie dzieci bawią się na śmietnikach - dodała Moema - łącznie z najmłodszymi. Świnia go ugryzła. Dziczej tu z głodu, już nieraz kogoś pogryzły.

Roetgena zemdlilo, w gardle zrobiła mu się gula jak po przełknięciu mięsa, które po fakcie rozpoznał jako zaśmiardłe.

- Potworność! - rzekł po francusku. - A co ze świnia? Czy ją... to znaczy, co z nią zrobili?

- A co ty byś zrobił na ich miejscu? - spytała surowo. - Zastanów się, zanim coś powiesz. Naprawdę myślisz, że oni mogą sobie pozwolić na sentymenty? Zjeść albo zostać zjedzonym, nie ma innej możliwości.

Chwilę później ruszyli z powrotem do swojego szałas, aby się przebrać. Roetgen się nie odzywał, jego milczenie miało potępiającą wymowę; z chmurną twarzą, nie odrywając wzroku od morza widocznego na końcu ulicy, rozmyślał posępnie.

- Przepraszam - odezwała się naraz Moema, nie patrząc na niego. - Poniosło mnie. Ale niektóre rzeczy wyprowadzają mnie z równowagi. Rozumiesz to, prawda?

- Niby co mam rozumieć? - mruknął Roetgen wciąż zawstydzony, że tak głupio się zachował.

- No, przestań się boczyć... Dobrze wiesz, co mam na myśli. Nie chodziło mi o ciebie. Do szału mnie

doprowadza, że coś takiego się dzieje i nikt nic nie robi, świat kręci się dalej... Poza tym zła jestem na João, że tak potulnie godzi się ze wszystkim, co go spotyka. Kompletnie bez sensu!

- Jak słusznie powiedziałeś: on nie ma wyboru. Samemu nic się nie działo. To banał, ale nikt nie chce o tym pamiętać i robi się wszystko, żeby ludzie mieli to za przebrzmiałe hasło. To samo jest z walką klas, ruchem oporu, syndykalizmem... Wraz z sowieckim komunizmem wylano dziecko z kąpielą. Może to było potrzebne, żeby zacząć budować na zdrowszych fundamentach, ale na razie zewsząd idzie smród... wielki smród!

Kiedy stanęli przed szafą, Moema, zapraszając go do środka, położyła mu rękę na ramieniu. Zaciśnęła mocniej palce, dopóki w oczach Roetgena nie wyczytała, że odebrał ten gest jako porozumienie.

- Musimy później o tym pogadać. Na razie strzelimy sobie na plaży kajpirinię. Będzie się lepiej myślało, prawda?

Ruchem głowy przrzuciła wszystkie włosy na jedno ramię i zaczęła grzebać w swoich rzeczach.

- No to teraz lepiej się odwróć - powiedziała, wyciągając opalacz. - To nie jest widok dla profesora.

- Tego nie byłbym taki pewny - zauważył z humorem Roetgen - ale skoro tak, to ty też się odwróć i przeberzemy się oboje.

- Okej.

Rozebrali się, stojąc tyłem do siebie. Roetgen wcale nie był tak pewny siebie, jak by wskazywała jego gadanina, toteż spieszył się w obawie, że Moema coś podejrzzy. Ale gdy zrzucił ubranie, zamarł na chwilę, specjalnie przedłużając zmysłową świadomość własnej nagości za plecami dziewczyny również nagiej. Złożona w domyśle obietnica, że się nie odwróci, poszła w niepamięć w obliczu wyczuwalnego obrzmienia drgającej nie w porę męskości; przekręciwszy nieco tylko głowę, zerknął przez ramię i przyłapał spojrzenie Moemy - lustrzane odbicie tego, co on robił. Oderwała kpiący wzrok od jego oczu i wolno opuściła go niżej, po czym zatrzymała.

- Nieźle jak na profesora - stwierdziła. - A ja?

Zebrała oburącz włosy z tyłu głowy, odkrywając kark. W tej pozycji odsłoniła drobną białą pierś - bladość skóry zbyt długo zasłanianej, pomyślał - która przez kontrast z resztą opalonego ciała była bardziej podniecająca. Jej

drobne skrzepowane ciało - można by powiedzieć, że niedojrzałe - miało kanciaste nieco krzywizny Ewy van der Goesa.

- Ujdziesz - odparł, ze wszystkich sił starając się utrzymać w stanie względnie przyzwoitym. - Jak na studentkę oczywiście.

Włożenie kąpielówek zajęło im tylko chwilę.

- Nie wzięłaś sandałów? - zmartwiła się Moema, kiedy byli gotowi do wyjścia.

- Nie, lubię chodzić boso.

- Moja wina, powinnam była ci powiedzieć. Tutaj lepiej nie chodzić na bosaka z powodu świństw, których wszędzie pełno. Poza tym ze względu na *bicho-do-pé*...

- A cóż to znowu? - zdumiał się Roetgen.

- Robaczek. Ściśle mówiąc, pasożyt. Samica wchodzi przez pory skóry na stopach, draży sobie korytarzyk i posuwa się coraz dalej. Jeśli nie zauważysz jej od razu, trudno potem ją usunąć. Zwłaszcza że znosi jaja i...

- Przestań! - skrzywił się z niesmakiem. - A to boli?

- Czasami troszkę swędzi. Tyle że mogą przenosić masę chorób. - Widząc wahanie na twarzy Roetgena, uspokoiła go czym prędzej: - Nie bój się, ja za każdym razem je łapię, a jeszcze nigdy nie chorowałam. Ważne, żeby je jak najwcześniej usunąć, a w tym jestem naprawdę specem! Staraj się nie

wchodzić w nieczystości i wszystko będzie dobrze...

- Mam zamiar w o g ó l e nie stawać na nieczystościach!
- Ho, ho! Powiesz potem, jak to robisz, dobrze? No to idziemy...

Z ręcznikiem na ramieniu wyszli na słońce. Czując skwar, przyspieszyli kroku, by jak najszybciej się znaleźć na piaszczystej stromiźnie, która schodziła na brzeg. Ledwie minęli tę granicę, Roetgen wrzasnął i zaczął podskakiwać w miejscu.

- Auuu!... Parzy!... - Rzucił ręcznik na piasek i stanął na nim. Odetchnął z ulgą. - Jezu, w życiu czegoś takiego nie widziałem! Ten piach jest taki gorący, że pewnie jajko by się dało usmażyć!

- Jajkom się to zdarza! - zaśmiała się Moema.

Śmiesznie wyglądał, stojąc na frotowym ręczniku - rozbitek na wysepce pośród morza piasku.

W ich polu widzenia pojawił się rybak z drągiem na ramieniu. Na obu końcach drąga zwiślała wiązka mieniących się tuńczyków.

- I co teraz, profesorze?

- Nie mam wyboru. - Podniósł brwi. - Każdy musi kiedyś przejść przez pustynię... Spotkamy się w wodzie, jeśli wcześniej się nie usmażę. Weźmiesz mój ręcznik?

Nie czekając na odpowiedź, runął w stronę morza z łokciami blisko ciała, wysoko wyrzucając nogi. Moema śledziła go wzrokiem. W pierwszych chwilach miał ładną postawę biegacza, zaraz jednak bieg zmienił się w bezładną ucieczkę: Roetgen z wrzaskiem sadził wielkimi susami.

Zakręcony, kompletnie zakręcony!

Śmiała się.

## **FAWELA PIRAMBÚ**

*Twarz poraniona, szeroko  
rozwarłe usta pełne krwi...*

Nelson sprzedaż willysa postrzegał jako kradzież. Jakby po raz drugi ktoś zabił jego bohatera, jakby niesprawiedliwość zatriumfowała na całym świecie.

- Odezwij się, psiakrew - rzekł Zé po długiej chwili. - Powiedz, że nie masz żalu.

- To nie twoja wina - odparł Nelson. - Wiem, że wolałbyś go zatrzymać... Chcę tylko wiedzieć, komu go sprzedałeś.

- Kolekcjonerowi z São Luís. Podobno ma już z tuzin starych aut. Jaguary, bentleye... Gość z warsztatu nie chciał powiedzieć, jak się nazywa.

- Ja się dowiem. Daję ci słowo, że się dowiem... To był wóz Lampião, rozumiesz? Nasz wóz... On nie miał prawa!

- Przestań... Dobrze wiesz, że jak się jest bogatym, ma się do wszystkiego prawo. A ja dzięki temu mogę zatrzymać ciężarówkę. Kiedyś odkupię willysa i podaruję tobie. Przysięgam na głowę ojca Cicera!

- Ile za niego wzięłeś?

- Trzysta tysięcy. Cieniutko...

- Właśnie. A jak już kiedyś będziesz mógł go odkupić, gościu zażąda trzy miliony albo i więcej...

Ech, żeby ich wszystkich diabli wzięli! Chciałbym, żeby szczyli raz na zawsze!

- Nie gadaj takich rzeczy, kurde. Może się to obrócić przeciw tobie. No, wypijmy. Za willysa!

- Za willysa - powtórzył Nelson ze smutkiem.

Wychyliłi kaszasa duszkiem, ostatnim łykiem splunęli na ziemię.

- Za świętych - powiedział Zé.

- Za ś n i ę t y c h - rzekł Nelson, nalewając znowu.

- Nie drwij! Wiesz, że tego nie lubię. Święci nic do tego nie mają.

- Czyżby?... - spytał Nelson z kłującą ironią. - A co oni robią prócz picia kaszasy? Mnie to się wydaje, że od wieków nie trzeźwieją. Święci mają nas gdzieś! W ogóle ich nie obchodzimy.

Zé ze smutkiem pokiwał głową, nie znajdując odpowiedzi na przepelnione goryczą słowa chłopaka.

- Kiedy walczą morze i piach, zawsze obrywa krab - rzekł w końcu cicho.

Te słowa same mu się nasunęły - stanął mu naraz przed oczami super convair DC-6, który miał je namalowane żółtymi literami i jechał pośród kurzu Piaui - mówiły bowiem częściowo to, co on wolałby jaśniej wyrazić. Patrząc na ułomne nogi Nelsona, na długie zdeformowane ręce, które wysunął z hamaka, by sięgnąć po szklanke, pomyślał naraz, że chłopak mógł się poczuć dotknięty słowem „krab”.

- Ale nie o ciebie mi szło... Krab to ja, my wszyscy. Wszyscy ludzie są jak krab w ręce Boga. Rozumiesz?

Nelson nie odpowiedział. Pili dalej w milczeniu. Późną nocą na prośbę chłopca, który jednak nie chciał mu akompaniować na gitarze, Zé zaczął skandować tekst „João Peitudo, syn Lampião i Marii Bonity”:

*Ziemia w przestrzeni kręci się,  
Na ziemię słońce zsyla żar,  
Ktoś ginie, bo pokochał źle,  
Innego zabił forsą czar.  
Biedak czy bogacz, każdemu los  
zawsze przeznaczy jakiś cios.*

*Dzisiaj historię przynoszę wam,  
nad którą każdy wylewa łzy,  
w całym Nordeste burząc sny,  
opowiem i wnet zapłaczę sam,  
historię smutną, zroszoną krwią  
o ukochanym naszym Lampião.*

Było tego pięćdziesiąt zwrotek... „Nikt nie zmieni swego losu”, stwierdzał na zakończenie autor tragicznej opowieści, „i nie zaznasz szczęścia w Sertão, kiedyś jest synem Lampião”.

Drzemiąc, Nelson wspominał. Jak co wieczór przed zaśnięciem widział fazendę w Angicos, gdzie wojsku udało się w końcu otoczyć Lampião i jego drużynę. Padli tam jeden po drugim, a gdy strzelanina się skończyła, żołnierze pozowali do zdjęć na tle zmasakrowanych trupów. Na jednej z pożółkłych ze starości fotografii - wciąż jeszcze pokazywano je na targach razem z innymi równie ponurymi atrakcjami - zobaczył kiedyś okaleczone nagie ciało Marii Bonity. Spomiędzy jej rozłożonych nóg wystawał gruby pal, który żołnierze wbili jej w kobiecość. Obok ustawiona na kamieniu, żeby z najlepszego miejsca oglądała wszystko, widniała głowa Lampião: twarz poraniona, szeroko rozwarłe usta pełne krwi ze strzaskanej żuchwy. Zdawało się, że wykrzykuje swoją nienawiść, która przetrwa wieki.

## ROZDZIAŁ VIII

*Ciąg dalszy wyznań Atanazego Kirchera.  
Gdzie opisuje się następnie pałac księcia Patagonii,  
jego tajemnice & osobliwych właścicieli*

**W**idok tych ludzi, przyznaje - ciągnął Kircher - & zakrwawionych tuńczyków sprawił, że stracił

zupełnie głowę. Miałem wrażenie, że uczestniczę w pogańskim obrzędzie, & myślałem o tym, jak nierealny to obraz, gdy omal sam nie dałem się ponieść temu, com potępiał. Wspomnij, Casparze, że była tam ryba, symbol naszego Pana, była krew ofiarna, miłość & śmierć splątane w niepohamowanej radości, cała magiczna powaga uświęconej ceremonii. Zacząłem nagle pojmować ekstatyczne transe menad, o których mówią starożytne teksty, & to, w jaki sposób utożsamiały się z najmroczniejszymi siłami naszego jestestwa. Zmysłowe upojenie graniczące z szaleństwem, Casparze, zapomnienie o wszystkim, co nie jest ciałem & tylko ciałem! Przez chwilę cała reszta wydawała mi się zbędna. W człowieku, który śpiewał, zobaczyłem jedyną istotę zasługującą na miano kapłana, a w zapamiętałości rybaków jedyny religijny sposób przynależności do świata. Nasz Kościół zbłądził, straciwszy bezpośredni zmysłowy kontakt z rzeczami, zbliżenie do boskości osiągnąć można wyłącznie w rzeczywistym pogwałceniu życia, nie zaś w dziecięcej tego namiastce. Ten, któregośmy zwalczali, bóg szalony, „dwakroć zrodzony”, tylko on zasługuje na uwielbienie mimo naszych czczych wysiłków, aby go ośmieszyć. Dionizosa, tak, Dionizosa powinniśmy czcić, jak przed nami czynili nasi przodkowie, a ja powinienem był chwycić ten drag & poczuć jednię z tą masą ciał, zapamiętania zaznać w strugach tryskającej krwi, aż ofiara w całości zostanie złożona...

Wyznanie Atanazego do głębi mną wstrząsnęło. Mistrz mój zawsze wykazywał się wielką pewnością siebie w kwestiach religijnych; tymczasem wątpliwości, którymi się ze mną podzielił, aczkolwiek wynikały jedynie ze zbyt bujnej wyobraźni, świadczyły, że podlega takim samym słabościom jak ogół śmiertelników. Uczucie, jakim dotąd-em go darzył, jedynie wzmocniło się przez to, że uległ czysto ludzkiej słabości.

Trzy dni po naszym powrocie do Palermo przybył do kolegium jezuitów powóz mający nas zawieźć na zaproszenie księcia Palagonii.

Wierny swej reputacji ekscentryka książę mieszkał za miastem, w pobliżu wioski Bagheria, gdzie stały tylko chłopskie chaty. Kiedyśmy po kilkugodzinnej jeździe ujrzeli jego siedzibę, zdumienie nas ogarnęło niewysłowione. Owa willa, jak mówiono o posiadłości w Palermo, była pałacykiem w stylu palladiańskim, jakich wiele wzniesiono w okolicach Rzymu. W gruncie rzeczy wszakże nie to zwróciło naszą uwagę: przede wszystkim uderzyła nas wysokość otaczających pałacyk murów oraz monstualny wygląd form wieńczących je na całej długości. Rzekłbyś, budowla obłożona przez wszystkich diabłów przybyłych prosto z czeluści piekieł. Im bardziej zbliżaliśmy się do posiadłości, tym wyraźniej widoczne były wyrzeźbione w tufie szpetne sylwetki, jakby żywcem wyjęte z chorych snów szaleńca. Przeżegnałem się, przyzywając Matkę Bożą, Atanazy tymczasem wyglądał na mocno poruszonego. A już nasze zdumienie sięgnęło szczytu, kiedyśmy zobaczyli dwa gnomy po obu stronach bramy. Szczególnie ten z prawej zwracał uwagę swoją iście barbarzyńską aparycją: na ile pozwalała zgadywać nieprzystojna wypukłość stercząca u jego podbrzusza, był to siedzący Priap, lecz powykrzywiany & wynaturzony. Niczym u owych bezgłowych Libijczyków, o których wspomina Herodot, tors jego pełnił funkcję głowy; głowy nieproporcjonalnie wielkiej, absurdalnie przedłużonej długą brodą jak u faraona! I podczas gdy oczy w kształcie migdałów wydawały się dwiema szczelinami otwartymi na ciemności, w zamian wieńczącą go tiarę zdobiły cztery ułożone w trójkąt źrenice, których złowrogie spojrzenie krew mi w żyłach zmroziło... Wyraźnie dostrzegalne były egipskie wpływy w wyobrażeniu tego strasznego bożka, który mnie przeraził, podczas gdy nie zdołały tego uczynić ani mumie z sarkofagów, ani egipskie figurki widziane w Aix-en-Provence u świętej pamięci Peiresca. Nieprzyjemne uczucie wzmógł znacznie pośpiech, z jakim służba zarygłowała za nami szerokie skrzydła bramy, przez którąśmy przejechali. Wszystko to źle wróżyło naszemu tu pobytowi, tak żem się złapał na tym, iż ubolewam nad beztróską, z jaką mistrz mój zgodził się przybyć w to niegościnne miejsce.

- No, Casparze, weźże się w garść, na Boga - powiedział Kircher. - Dnia jeszcze sporo zostało, a jeśli przeczucia mnie nie mylą, będziesz potrzebował wszystkich sił, aby stawić czoło temu, co nas tutaj czeka.

Mówiąc to, uśmiechnął się lekko z rozbawieniem, co przeraziło mnie bardziej niż cała reszta.

Objechawszy budynek, powóz zatrzymał się przed pięknymi dwubiegowymi schodami. Wysiedliśmy. Lokaj poprowadził nas do domu, podczas gdy inny zajął się naszymi bagażami. Znaleźliśmy się w antyszambrze dość mrocznym, za to bogato zdobionym.

- Powiadomię jego wysokość o przybyciu waszych wielmożności - rzekł sługa. - Uprzejmie proszę się rozgościć.

Wyszedł, zamykając za sobą drzwi, które tak doskonale wtapiały się w marmurową ścianę, że musiałbym się naprawdę natrudzić, aby wyjść z tego pomieszczenia, gdyby mi kazano.

- Cokolwiek będzie się działo, nie odzywaj się słowem! - szepnął mi nieoczekiwanie Kircher.

Kiwnąłem potakująco głową, hamując pragnienie, aby podzielić się z nim swoimi obawami.

Atanazy jął krążyć po sali. Wszystkie ściany pokrywały malowane *al fresco* wymuskane kartusze przedstawiające niezliczone symbole, dewizy albo nader osobliwe zagadki; było tego tyle, że kilku dni by trzeba, aby chociaż przeczytać wszystkie.

- No, Casparze, co powiesz na to: *Morir per no morir?* Nic?... Umrzeć, aby nie umrzeć... Naprawdę nie masz skojarzeń żadnych?... Czy zapomniałeś więc o ptaku Feniksie, który musi spłonąć w ogniu, aby mieć nadzieję na odrodzenie z popiołów?... Cóż, mało to wyszukane. Spodziewałem się po księciu większego wyrafinowania... Idźmy jednak dalej: *Si me mira, me miran...* Jeśli na mnie patrzy, wszyscy mnie widzą. To zaledwie odrobinę trudniejsze z powodu dwuznaczności. Albowiem tę sentencję astronom mógłby powiedzieć o naszej gwiazdzie, ale też dworzanin o swoim władcy. Ach, tutaj coś trudniejszego, a zarazem zabawniejszego! „Warzywo, umysł, majątek, koniec waśni, zgody początek”. No, przyjacielu, rusz głową!

Nic innego od dłuższej chwili nie robiłem, lecz jedynym rezultatem tego był rosnący ból rzeczonyj głowy, tak że ostatecznie znowum się musiał poddać.

- Porozumienie, Casparze, por-rozum-mienie. Pojmujesz? - rzekł mój mistrz. A widząc moje oszołomienie, oczy wzniosł do nieba. - A może to spróbujesz odgadnąć? Napisane w naszym rodzimym języku - ciągnął, nie dając mi odetchnąć. - *Ein Neger mit Gazelle zagt im Regen nie...* I co?

Chyba z pięć minut łamałem sobie głowę, nijak nie pojmując, jak Murzyn & gazela mogą cokolwiek innego oznaczać!

- I masz słuszość tym razem - uradował mnie Atanazy - bo w tym zdaniu istotnie nie ma żadnego ukrytego znaczenia. To przedni palindrom, czyli zdanie ma to samo znaczenie czytane od przodu & od tyłu. Tego rodzaju zabawy uprawiano w Rzymie w schyłkowym okresie świetności & bardzo bym pragnął, aby egipskie napisy było równie łatwo rozszyfrować jak te mierne szarady... „Jakie słowo nawet największy mędrzec wypowie błędnie?” - podjął. - Jak ci się zdaje, Casparze? Rusz głową, to nie takie trudne...

Mistrz mój już przystępował do rozwiązywania kolejnej zagadki, gdy wrócił lokaj z prośbą o jeszcze odrobinę cierpliwości: jego wysokość niebawem nadejdzie, tymczasem zaprasza, abyśmy spoczęli. To mówiąc, sługa wskazał kilka foteli ustawionych przed obrazem przedstawiającym księcia w stroju myśliwskim.

Ledwiem usiadł, dojmujący ból przeszył mi zadek: poduszka fotela najeżona była szpileczkami, które wbiły się w ciało, nieznośnie je torturując. Natychmiast, choć ruchem jak najbardziej naturalnym, podniosłem się bez słowa, aby spełnić polecenie mistrza. Ów bowiem, jak mi się zdaje, pojął zrazu, w czym rzecz.

- Och, wybacz, Casparze - powiedział, również podnosząc się - zapomniałem o twojej rupturze, która nie pozwala ci siedzieć w zbyt wygodnym fotelu. Zajmij mój, w nim będzie ci znacznie lepiej.

Co rzekłszy, zajął fotel, który właśnie opuściłem, na pozór zupełnie niczego nie odczuwając. Podziwiałem siłę charakteru pozwalającą mu znosić torturę, której jam nie wytrzymał ani pięciu sekund. Kiedym zasiadł w drugim fotelu, stwierdziłem, że wcale nie jest pozbawiony niejakej niewygody:



mianowicie obie przednie nogi miał znacznie krótsze, tak że aby się nie zsunąć z niego, mocno-m się musiał zapierać stopami w podłogę. Ponadto oparcie, pochylone do przodu, jeszcze zwiększało niedogodność pozycji, jednakże w porównaniu z pierwszym fotelem ten był puchowym łóżem, wdzięcznym był zatem Kircherowi, że zaproponował tak niesprawiedliwą zamianę.

- Wróćmy jednak do szarad - podjął mój mistrz. - Co my tu mamy? *Legendo metulas imitabere caneros...* Ho, ho! Łacina, & to najlepsza! No, Casparze...

W tejże chwili lokaj pojawił się za nami jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Zaanonsował księcia Palagonii. Rad byłem, że mogę nareszcie wstać z fotela tortur. A księżę już się zbliżał swym utykającym krokiem. Człek to był niewysoki, chudy bardzo, w wieku pewnie około pięćdziesiątki, tyle że szpakowata nieuczesa peruka & zepsute zęby czyniły zeń człowieka stojącego nad grobem. Odziany był w dość prosty & niezbyt czysty strój z zielonego jedwabiu, co jasno dowodziło, że niezbyt przejmuje się swoim wyglądem.

- No, no, jakże mnie ucieszyć! Mój próg skromny dumny z taki gość - powitał Kirchera w fatalnej niemczyźnie, którą czuł się w obowiązku posługiwać aż do końca naszego pobytu.

Mistrz mój skłonił się tylko, nie odwzajemniając uprzejmych słów gospodarza.

- Dobrze, dobrze, bardzo dobrze. Lubi człowieki, co nie udają skromne, zwłaszcza jak nie mieć powoda. Ale proszę, proszę, trzeba wybaczyć mnie & widzieć lepiej niż mówić...

Mówiąc to, wyprowadził nas z pomieszczenia przez ukryte drzwi. Przemierzywszy kilka korytarzy, znaleźliśmy się w bibliotece - bogatej, jak mi się zdało - której drzwi zamknął na klucz za nami. Podszedł do regałów & sięgnął do „Złotego osła” Apulejusza - pamiętam, bom nie pojmował, czemuż to nagle mielibyśmy rozmawiać o tym autorze - lecz tym gestem uruchomił mechanizm, który otworzył okienko między książkami & odsłonił tył jakiegoś obrazu. Księżę zachęcił Kirchera, aby przystawił oko do niewielkiego otworu. Mistrz mój zrobił, czego po nim oczekiwano, & po kilku chwilach ustąpił mnie miejsce.

- Zabawne, ale niezbyt wymyślne - skomentował. Nie drgnął mu ani jeden mięsień w twarzy, która wyrażała wyłącznie zupełną obojętność.

- Wy rozumieć - ciągnął księżę - że pokazywać to ze szczerość & żeby udowodnić, jak bardzo cenić wasza wiedza. Znowu ja przeprosić mocno, że tak egzaminował. Przez to ja poznawać uczciwość człowieków & wy pierwszy udany. Zapewniam, ja wierzyć w waszą umiejętność, ale musieć być w ufności & prosić, żeby nie zdradzić moja sekret.

Kircher zapewnił go, że nigdy nikomu nie wyjawimy, jak podgląda swoich gości, dodając, że podejrzliwość księcia znajduje pełne uzasadnienie: ludzka obłuda nie zna granic, toteż zamiast tracić czas z każdym, kto przyjdzie, lepiej ostrożnie dobierać tych, z którymi chce się mieć do czynienia.

- Dobrze, dobrze, bardzo dobrze... - przytaknął księżę, kiwając głową. - Pozwolić gratulować, że rozwiązanie zagadków dekoracyjnych znaleźć. To dużo wiedzieć, nigdy nie spotkać taka człowiek. Ale później rozmawiać. Teraz ja proszę, iść do swoich pokojów & odetchnąć po ciężkości drogi. Widzimy się na obiad. Odpowiadać?

Atanazy przytaknął & sługa poprowadził nas do przeznaczonych nam pokojów. Były obszerne & wygodne. Znaleźliśmy tam swoje bagaże, pięknie ułożone kwiaty w wazonach oraz butelkę wina malvoisie & kryształowe kieliszki. W otwartej szkatułce ujrzeliśmy chirurgiczną, apteczkę, niewątpliwie mającą pomóc opatrzyć rany spowodowane czekaniem na księcia. Zachęcałem mego mistrza, aby z niej skorzystał, tak długo wszak skazany był na fotelową torturę, on jednak lekceważąco odmówił. Oniemiałem na tak wielki stoicyzm, lecz Kircher zadarł tylną część habitu, coś tam porozwiązywał, po czym wyciągnął kawałek grubej skóry, którą miał do zadka tak przymocowaną, że z zewnątrz niczego nie było widać.

- Cóż, mój drogi - rzekł, przyjacielskim gestem biorąc mnie pod ramię - zaniepokoiły mnie plotki

krążące na temat księcia, zasięgnąłem więc języka &... przedsięwzięłem pewne środki ostrożności. Wybacz, że cię trzymałem w niewiedzy co do tych przygotowań, ale chodziło o to, by naprawdę uwierzone w nasze dobre intencje. Domyślałem się, że będziemy obserwowani, a ty nam obu się przysłużyła swoją jak zwykle wielką niewinnością & odwagą. Miałem w zamierzeniu usadowić cię na koślawym fotelu, lecz za szybko wybrałaś najgorsze miejsce... Musisz wiedzieć, że szczerze cię podziwiam za to, jak zareagowałaś.

- No a te zagadki, obrazy?...

- Tak, tak, Casparze, tę lekcję także odrobiłem, aby nie zaprzepaścić wszystkiego, będąc tak blisko celu. Na razie jednak dość pytań, za wcześnie, abym wszystko ci wytłumaczył. Proszę o odrobinę cierpliwości, a zobaczysz, że owa tajemniczość jest w pełni uzasadniona.

Zapewniłem Atanazego, że będę mu bezwarunkowo posłuszny, po czym zacząłem układać swoje rzeczy. Nietrudno sobie wyobrazić, że byłem oszołomiony sprytem mistrza mojego & zręcznością, z jaką wszystko potrafił obrócić na swój pożytek. Niechybnie przedsięwziął coś nader ważnego, toteż poprzysiągłem sobie, że będę go wspierał ze wszystkich sił. Zniknęły moje obawy co do księcia & jego posiadłości, teraz-em płażał pragnieniem, by uczestniczyć w tej awanturze zgoła niespodziewanej. Mistrz mój spoczywał na swym łożu z nastroszoną brodą, zamkniętymi oczyma, imponująco dostojny niczym posąg z marmuru. Niewiele brakowało, a byłbym padł przed nim na kolana, tak wielki mój podziw budziła jego siła ducha & nadludzka wręcz inteligencja.

W południe lokaj poprowadził nas do jadalni. Księżę wraz z małżonką czekali na nas przy stole nadzwyczaj gustownie nakrytym. Księżna Aleksandra, której przedstawił nas jej małżonek, była tak młoda & tak zachwycającej urody, aż klóciło się to z mocno przywidłym wyglądem księcia. Jasne włosy miała upięte w misterną fryzurę, oczy błękitne, drobne usta czerwone; w pięknej sukni z jedwabiu & organdy przypominała boginię przybyłą prosto z Olimpu. W przeciwieństwie do męża mówiła po niemiecku nienagannie, a to za sprawą - o czym dowiedziliśmy się później - swych bawarskich korzeni. Była dystygowana w każdym calu, każdy gest, każdy krok wykonywała tak wolno, jakby jeden gwałtowniejszy jej ruch mógł pałac obrócić w ruinę. Owa niespotykana powolność przydawała jej wszakże wdzięku, a jam się tylko czerwienił, niezdolny przemówić, ilekroć skierowała wzrok na moją osobę.

- Dobrze, dobrze, bardzo dobrze... - zagaił księżę, kiedy służba krzątała się około nas, zastawiając stół wykwintnymi daniami. - Uczynią zaszczyt na ten cienki posiłek, proszę.

Nie zważając na te słowa, Kircher podniósł się, by odmówić *Benedicite*, & jakby mu tej impertynencji było mało, długo & rozwlekle poświęcał chleb. Spozstrzegłem, że nasz gospodarz najwyraźniej nie nawykł do takich ceremonii & że nieco się krzywi na swobodę, z jaką poczynął sobie mój mistrz.

- Skoro chleb przed sobą jest - podjął perfidnie - mówić, wielebny ojciec, czy jego ciężar jest bardziej lekki wyjęty z pieca, kiedy ciepły jest czy zimny?

- Ależ z łatwością można to wykazać - odparł Atanazy, zabierając się do jedzenia - jeśli samemu uczyniło się stosowne doświadczenie. Chleb waży więcej zaraz po wyjęciu z pieca, gdy jest ciepły, niż po wystygnięciu. Pół funta ciasta po wyrośnięciu & upieczeniu jest od surowego lżejsze o dwie uncje & ćwierć, a jeszcze mniej waży po wystygnięciu. Co dowodzi, że fałszywe jest twierdzenie tych, którzy utrzymują, że ciasto surowe jest lżejsze od upieczonego. Należałoby bowiem we wszelakich opisach opierać się wyłącznie na doświadczeniach prawdziwych, szczególnie kiedy tak łatwo je przeprowadzić jak niniejsze. Nawet Arystoteles nie unikał czasami błędów: w piątym problemie dwudziestej pierwszej sekcji swojej fizyki oświadcza, że zimny solony chleb jest lżejszy niż gorący, a niesolony jest cięższy. Proste doświadczenie udowodniło mi tymczasem, że zimny albo gorący chleby solony & niesolony zawsze ma taką samą wagę.

- Niezwykle, mój drogi, niezwykle! - rzekł księżę, ogryzając udko kurczaka. - Na takie liczyć od

ciebie...

Księżna Aleksandra zwróciła się do mnie, do słów dołączając czyn:

- Ci panowie są dla mnie zbyt uczeni. Chleb cięższy czy lżejszy, przyznam, że zupełnie mi to obojętne. Wiem jedno: że lubię go jeść z masłem.

- I słusznie czynicie, wasza wysokość - zgodził się z nią mistrz mój, również się częstując.

Jeśli o mnie chodzi, nos wetknąłem w swój talerz.

Dalej posiłek upływał w podobnym żartobliwym nastroju. Bez ustanku donoszono nowe wina & potrawy, których Atanazy nie żałował sobie ku wielkiemu zadowoleniu gospodarzy. Kiedy na stole znalazły się grube filety miecznika z rusztu, mistrz mój poprosił, abym opowiedział naszą mesyńską przygodę. Mimo że czułem się onieśmielony, zdołałem zrelacjonować szczegółowo naszą wyprawę na połów, pomijając rzecz jasną przykry epizod, z którego Kircher mi się spowiadał. Doszedłszy do rzezi ryb, rozemocjonowałem się tak bardzo na okrutne to wspomnienie, że księżę jął się śmiać z mojej wrażliwości. Jego małżonka wszakże mocno pobladła... Bez słowa dotknęła mojej ręki, przez co zrozumiał, że podziela moje wzburzenie. Księżę

zauważył ów gest, choć trwał ledwie mgnienie, & znieruchomiał naraz.

Na dobre trawienie poczęstowano nas bardzo gorzkim likierem, jak powiedział księżę, robionym na górskich ziołach. Nasz gospodarz wydawał się nad wyraz podekscytowany, ustawicznie zasypywał pytaniami mego mistrza. W końcu z niejakim wahaniem coś szepnął Atanazemu na ucho, po czym przenieśli się na drugi koniec salonu, gdzie kontynuowali rozmowę ściszym głosem.

Kiedym sam został z księżną, nie wiedziałem, jak się zachować, taką tkliwość we mnie budziła jej uroda. Zadałem jej kilka pytań na temat Boga & natury duszy, odpowiedzi usłyszałem światłe & roztropne. A że materia owa, jak mi się zdało, zanadto jej nie interesowała, sprowadziłem pogawędkę na temat posągów maszkar, któreśmy przez okna widzieli, prosząc, aby jej wysokość objaśniła mi, co też one znaczą. Księżna pobladła & z niejakim ociąganiem odezwała się w te słowa:

- Wydajecie mi się, bracie, godnym zaufania młodzieńcem, toteż chętnie opowiem wam historię, z powodu której rumienić się nie muszę, niemniej ona to przyczyniła się do powstania tych monstrów & do mojego nieszczęścia... Zauważyliście być może, kiedyśmy biesiadowali, że małżonek mój jest z natury bardzo zazdrosny. Lat temu kilka, niedługo po naszych godach, nieumyślnie dałam mu okazję, aby dowiódł tej cechy swego charakteru. Otóż pewien mój krewniak, Oeden von Horvath, przybył tu do mnie w odwiedziny. Celował w komponowaniu melodii na lutnię & szpinet, a temu bezcennemu talentowi dorównywała jedynie jego uroda. Jako żeśmy w wieku podobnym & bardziej mnie zaprzętało to co jego niż to, czym zajmuje się mój małżonek, bardzom się cieszyła jego obecnością, tak że całymi dniami grywaliśmy & rozmawiali na wszelkie tematy. Sprawiało mi przyjemność, gdy opowiadał o moim kraju ojczystym & o bliskich mi osobach, które tam zostały. Niestety, młodość, samotność serca sprawiły, że obdarzył mnie uczuciem tak gorącym & wyznał je w słowach tak szczerych & delikatnych, iż poruszył mnie tym do głębi. Co prawda żywiłam do niego miłość jedynie siostrzaną, lecz muszę wyznać, że w skrytości ducha czułam się mile polechtana jego zaangażowaniem & być może jego zaloty w końcu by zaowocowały. Przypadek czy też Opatrzność, jak wolicie, zapobiegły zdradzie, aczkolwiek nie oszczędziły mi wstydu. Kiedyś po

wieczery, gdy księżę rzekomo udał się na spoczynek, tłumacząc się zbyt obfitym zakrapianiem posiłku, krewniak mój, winem rozgrzany ponad miarę, pozwolił sobie na porywy, które zazwyczaj potrafił powściągać. Błagał mnie o pocałunek, ponieważ zaś odmawiałam, groził, że natychmiast odbierze sobie życie. A był człowiekiem zdolnym do takiego szaleństwa, zwłaszcza w takim stanie, toteż mocnym się przeraziła. I broniałam się już nie tak stanowczo... Obląpił mnie & skradł mi pocałunek, którego tak bardzo pragnął. I na tym naszedł nas mój małżonek. Słowa jednego nie powiedział, lecz chłód & okrucieństwo, którym wyczytała w jego oczach, zmroziły mi krew w żyłach bardziej, niż gdyby uniósł się gniewem.

Wezwał służbę, kazał krewniaka mego wyprowadzić, a mnie zamknął w moich pokojach, nie dając mi czasu, abym się wytłumaczyła.

- Od tamtego fatalnego wieczoru - ciągnęła księżna Aleksandra - jestem zamknięta w tej posiadłości, którą mój małżonek przekształcił w więzienie. Co się tyczy mego krewniaka, nie miałam potem od niego żadnych wieści, wiem jednak, że do Bawarii nie wrócił, & nie mogę się powstrzymać od snucia najgorszych przypuszczeń co do jego losu.. Trzy miesiące później robotnicy zaczęli podwyższać mury otaczające park & ustawiać na nich te diabelskie posągi, które mają mi bez ustanku przypominać potworność mojego domniemanego grzechu. Nie byłoby to jeszcze takie straszne, gdyby ksiązę nie dołożył dodatkowego okrucieństwa: jeśli przyjrzyście się z bliska posągom, zobaczycie, że większość przedstawia muzyków. Wszystko jest w nich groteskowe, zdeformowane, potworne... wszystko z wyjątkiem twarzy, zawsze tej samej, zawsze anielsko spokojnej & jakby zdziwionej, że znajduje się w takiej kompanii. Ta twarz... - Księżna szybko otarła łzę toczącą się po policzku. - Ta twarz jest twarzą krewniaka mego...

W głębi ducha stawałem po stronie nieszczęsnej niewiasty & tak bardzom jej współczułem, że westchnieniami dawałem upust uczuciom. Nie miałem słów na perwersję jej małżonka. Toteż drżąc całym, ująłem dłoń księżny & ścisnąłem mocno, tylko w ten sposób mogąc nieco ją pocieszyć.

- Proszę o wybaczenie, bracie - powiedziała, dziękując mi bladym uśmiechem & wolno cofając rękę - ale muszę teraz odpocząć.

Podawała mi ramię, abym odprowadził ją do drzwi. Ponieważ poruszała się jeszcze ostrożniej niżli dotychczas, przestraszyłem się, że ogarnie ją może słabość, & spytałem, czy aby na pewno czuje się na siłach iść sama.

- Nie martwcie się, bracie - szepnęła z niewinnym uśmiechem - to tylko ten kryształowy klawesyn, który wibruje w moim brzuchu mocniej niż zwykle. Gdybym wykonywała szybsze ruchy, mógłby się rozbić, a wtedy cała wiedza ojca Kirchera nie uratowałaby mnie przed straszną śmiercią...

Z tymi słowy odeszła, zostawiając mnie w stanie granicznym z osłupieniem.

## ALCÂNTARA

*Euclides przy pianinie regulujący  
spowolnienie gwiazd...*

Minęło kilka dni w całości poświęconych pracy nad tekstem Caspara Schotta, przerywanej krótkimi, lecz regularnymi odwiedzinami Loredany. Soledade, choć początkowo była do niej wrogo nastawiona, błyskawicznie ją zaakceptowała, a raczej, zdaniem Eleazarda, dała się jak i on uwieść naturalnemu sposobowi bycia Włoszki, a zwłaszcza bezprzykładowemu zainteresowaniu, jakim obdarzała wszystko i wszystkich bez różnicy. Podziękowała za propozycję gościny - „Większość pokoiów stoi pusta”, powiedział bez żadnego podtekstu, „więc odpadłby ci koszt hotelu, sama zdecyduj...” - dosłownie natomiast rozumiała zaproszenie, by zachodziła do jego domu, kiedy tylko zapragnie skorzystać z biblioteki albo prysznic, który działał w miarę dobrze. Spotykał ją więc co rusz, gdy krążył po domu, pogrążoną w lekturze na leżaku na werandzie, najczęściej zaś siedzącą w kuchni w towarzystwie Soledade. Jej dyskretna, nieprzewidywalna obecność sprawiała mu mnóstwo przyjemności, czuł się bowiem tak, jakby Włoszka zawsze u niego mieszkała. Połączyła ich pobudzająca subtelna zażyłość, która niepostrzeżenie zapanowała nad trybem życia obojga.

Loredana wyraźnie była wdzięczna, że oprowadził ją po mieście: operował nazwiskami i sypał anegdotami przy każdym zniszczonym domu, zamaszystymi gestami rekonstruował na tle szarego nieba każdy budynek

w ruinie, posługując się fachową terminologią. W swej gorliwości przewodnika pokazał jej także

wzruszający kościółek - jeden z pierwszych wzniesionych w Brazylii przez misjonarzy - ukryty na opuszczonej wysepce w zatoce São Marcos. Gnieździła się tam nieprawdopodobna masa węży, które jakby w iście diabolicznym akcie zemsty znaczyły swoim dotykiem każdy centymetr kwadratowy ciężko doświadczonych murów. Jeśli chodzi o „wyspę krótkowidzów” i „wyspę albinosów”, postanowił jej tam nie prowadzić, tak bardzo Loredana wydawała się przestraszona modelową, aczkolwiek w sumie dosyć banalną ilustracją skutków dziedziczności.

Loredana nie chciała się rozwodzić nad własnym życiem i powodem przyjazdu do Alcântary - Eleazarda zaś nie obchodziło nic ponad to, co z własnej woli powiedziała - niestrudzenie za to rozmawiała o wszystkim, co wiązało się z Chinami, a wiedzę na ich temat miała szeroką i rzetelną. Jako osoba sumienna, przystąpiła do lektury manuskryptu Caspara Schotta; po kawałku i jak Eleazard się domyślił, raczej pragnąc zaspokoić ciekawość dotyczącą jego niż osoby Atanazego Kirchera. Dzieliła się z nim refleksjami, zaznaczała miejsca, które sprawiły jej trudność w trakcie czytania, to zaś pozwalało Eleazardowi dopracować przypisy czy wręcz zmuszało go, by skomentować fragmenty, których dotąd objaśnieniami nie opatrzył. Na przykład gdyby nie ona nigdy by nie pomyślał, że trzeba wytłumaczyć współczesnemu czytelnikowi, jaką naprawdę plagą była wojna trzydziestoletnia albo na czym polegała egzotyka zwykłego odkrywania siedemnastowiecznej Italii. Doszło do tego, że redagował przypisy tak, jakby adresowane były wyłącznie do niej, a każdy uważał za skończony wtedy dopiero, gdy zapoznał się z jej krytycznymi uwagami.

Chociaż łącząca ich nić porozumienia zakrawała na cud, Eleazard miał świadomość, że na sto procent jest tymczasowa. Nie chciał jednak podchodzić do tego w taki sposób; czerpał zatem chwile szczęścia pełnymi garściami, jakby miało trwać wiecznie. Później miał do siebie żal, że nie posmakował do syta tej znajomości, która - o czym od początku przecież wiedział - była przelotna.

Tyle jej naopowiadał o Euclidesie, swym jedynym przyjaciolem w okolicy, że zgodziła się, aby kiedyś ich ze sobą poznał. Tymczasem w dniu, gdy chciał zabrać Loredanę na lunch do doktora, ani Alfredo, ani Soledade nie potrafili powiedzieć, gdzie się podziała. Eleazard wsiadł więc na prom do São Luís mocno zirytowany. Irytacja mu przeszła, gdy po zastanowieniu uznał, że jest równie absurdalna jak uwłaczająca.

- To naprawdę bardzo uprzejmy człowiek. Może troszkę prostacki. I oczywiście pozbawiony gustu. Tyle że to akurat najbardziej różni ludzi, nie słyszałem natomiast o tym, żeby ktoś dowiódł własnego dobrego gustu, nie dowodząc tym samym jeszcze paskudniejszej próżności.

Eleazard wydał usta z powątpiewaniem.

- Tak, wiem, wiem - podjął z uśmiechem doktor Euclides da Cunha - nie jest lewicowcem w pełnym znaczeniu słowa. To pana odstręcza, prawda?

- Doktorze, to już nie eufemizm, tylko sarkazm! - rzekł Eleazard również z uśmiechem. - Zresztą pewnie ma pan słusność: zupełnie się nie widzę u takiego człowieka. Coja bym u niego robił? Mógłbym chyba tylko nawymyślać mu przy gościach...

- No, no, jest pan zbyt dobrze wychowany, żeby na coś takiego sobie pozwolić. I proszę też wziąć pod uwagę, że czułbym się zaszczycony, gdyby się pan zgodził. Posmakuje pan po prostu etnologii w terenie, ot co. Proszę zaufać mojemu doświadczeniu: na pewno pan nie pożałuje. Pobyt w tym środowisku jest nadzwyczaj kształcący, zwłaszcza dla dziennikarza. A jeżeli nie wystarczy panu moja obecność, proszę przyjechać z tą swoją Włoszką, będę przynajmniej miał sposobność ją poznać...

Eleazard patrzył, jak lekarz zdejmuje okulary i skrupulatnie przeciera je niepokalaną chusteczką. Jego oczy barwy zielonych migdałów teraz, bez szkieł, które niewyobraźalnie, wręcz groteskowo je powiększały niczym służąca do zabawy atrapa, odzyskały naraz ludzki wyraz. Były roześmiane, nic nie świadczyło, że dotyka je *amaurosis* - *Amoroso*, czyli zakochany po włosku... Taka ładna nazwa na

określenie zaniku nerwu wzrokowego!” - choroba, która sprawi, że wkrótce zgasną. Euclides cesał się wyłącznie ręką; ścięte dość krótko na jeża szpakowate włosy, gęste i nieposłuszne, sterczały mu na wszystkie strony, jakby wiecznie rozwiewała je niewidzialna zawierucha. Idealnie prosty nos kontrastował z krzaczastym wąsem i kozią bródką pozółkłymi od dymu egipskich papierosów; zarost zasłaniał mu usta i kiedy doktor mówił, podrygiwał jak czupryna na głowie marionetki. Tęgi, lecz nie otyły, zawsze nosił ciemne garnitury szyte na miarę, wykrochmaloną białą koszulę i muszkę wiązaną na podwójną kokardkę - Eleazard zachodził w głowę, gdzie udaje mu się zdobyć tak niemodną ozdobę. Jedyna fantazja, na jaką pozwalał sobie przy doborze garderoby, to kamizelki: luksusowe, o przodzie bogato zdobionym nitką jedwabną albo złotą, zapinane na guziki z macicy perłowej, markasytu, a nawet na emaliowane misterne miniaturki. Miał ich imponującą kolekcję. Poza tym był chodzącą poczciwością w rodzaju Flauberta - przynajmniej tak jak sobie wyobrażają pisarza jego wielbiciele - człowiekiem wielkiego spokoju i uprzejmości, których nigdy się nie wyzbywał. Fascynował encyklopedyczną erudycją połączoną z przenikliwością umysłu.

- Będzie pan moimi oczami - nalegał, osadzając na powrót okulary w zaczerwienionym zagłębieniu, które wyryły na nosie. - Młodymi oczami starzejącego się Miliona, by mógł oglądać upadanie tego świata. „Utrata wzroku jest gorsza niż kajdany, bezdomność albo starość” - powiedział nieskazitelną angielszczyzną. - „Życie martwe i pogrzebane, sam sobie jestem grobowcem...”. Tak jakoś to brzmiało, prawda?... Pewnie uważa pan, że dowodzę wielkiej pretensjonalności, porównując się z tak wielkim poetą, ale łączy nas przynajmniej ta sama choroba, a to już coś, przyzna pan.

- No właśnie - uśmiechnął się Eleazard na tę kokieterię - a jak tam pański wzrok?

- Całkiem dobrze, proszę się nie martwić. Mogę jeszcze w miarę swobodnie czytać, a tylko to się liczy. Widzi pan, nie boję się tego, że ogarnie mnie ciemność... - Umilkł na chwilę, siedząc w skupieniu z zamkniętymi oczami, po czym wskazał półki okrywające dwie wielkie ściany pokoju, w którym się znajdowali, i dodał: - Boję się milczenia... ich milczenia... Tego bym nie zniósł. - Zduł cichy śmiech. - Całe szczęście, że już dawno straciłem wiarę, inaczej uznałbym chyba, że to kara starego brodacza za to, co zrobiłem... Wyobraża pan sobie? Przecież to by było istne piekło!

Eleazardowi nie mogło pomieścić się w głowie, że doktor da Cunha kiedyś, w młodości, był jezuitą, tak mało człowiek, który śmiał się teraz przed nim, przypominał osobę duchowną z powszechnych wyobrażeń. Dysponował oczywiście rzadko spotykaną wśród świeckich biegłą znajomością greki i łaciny, Biblii i pism teologicznych, to jednak nie odróżniało go zanadto od dobrego filologa klasycznego.

- Musi mi pan kiedyś szczerze wytłumaczyć - rzekł Eleazard - dlaczego porzucił pan tę profesję... - urwał i chciał się poprawić zakłopotany, że użył niestosownego słowa: - To znaczy, chodzi mi...

- Ależ bardzo tramie pan to nazwał - przerwał mu Euclides. - „Profesja”... Trudno by znaleźć lepsze słowo. Ono przecież obejmuje po pierwsze wiarę, taką jak pewnego sabaudzkiego wikarego, rozumie pan bez wątplenia, co mam na myśli... i po drugie samo zajęcie, które przecież bardzo często sprowadza się do sprawowania rzeczywistego zawodu, a nie jest tylko stanem. - Zapalił papierosa, którego ostrożnie wyłuskał z pudełka. - Czy faktycznie ją porzuciłem? - rzekł jakby do siebie ze szczerością w głosie. - Do dzisiaj sam się zastanawiam... Wie pan, jakiego słowa używają jezuiti na określenie swojego człowieka, który zrzucił habit? Mówią, że „wyleciał na orbitę”, co ma oznaczać, że wbrew sobie pozostaje w sferze wpływów Towarzystwa Jezusowego, krąży po orbicie, na której siły odpychania równoważy nieprzeparate przyciąganie. Z Towarzystwa się nie występuje, można się tylko od niego mniej lub bardziej oddalić, nie przestając w gruncie rzeczy do niego należeć. I muszę przyznać, że jest szczypta prawdy w tym poglądzie. Można się wyrwać z niewoli i zapomnieć, choć przychodzi to z trudem, ale nie da się zapomnieć kilku lat osławiania i tresury. Bo właśnie z tym mamy do czynienia, ze zorganizowaną tresurą ciała i umysłu w

jednym tylko celu: zmuszenia do posłuszeństwa. Toteż „nieposłuszeństwo”, wie pan... W tych okolicznościach samo to słowo w ogóle nic nie znaczy. Wyraża jedynie czasowe odrzucenie prawa, postawienie się poza nawiasem, co jest oczywiście godne potępienia, ale daje się odwrócić w ramach samego posłuszeństwa. A jeśli się pan zastanowi, przyzna pan, że to samo dotyczy wszystkich... Pogwałcenie jednej zasady czy wszystkich zawsze oznacza, że człowiek wybiera sobie coś w zamian, a zatem znów się przypina do kołowrotu posłuszeństwa. Wydaje mu się, że się wyzwolił, że dogłębnie się zmienił, tymczasem zmienił po prostu pana. Cóż, wąż, który zjada własny ogon...

- Niektórzy panowie są mniej wymagający niż inni, prawda?

- Ma pan słuszość, przyjacielu, i ani przez sekundę nie żałowałem decyzji, którą podjąłem na pewnym etapie życia. Zapewniam, że wyszło mi

to na dobre pod każdym względem. Co prawda łatwiej jest dochowywać posłuszeństwa prawom, które dobrowolnie się wybrało... przy czym sama możliwość takiego wyboru wcale nie jest tak oczywista, jak by się wydawało!... niemniej zawsze wymagają one podporządkowania się, uległości tym groźniejszej, że wydaje się nie tak bardzo przymusowa. Chyba La Boétie, tak mi się zdaje... tak, na pewno on - poprawił się, puszczając oko do Eleazarda - mówił o „dobrowolnej niewoli”, piętnując uśpienie ludu poddanego tyranii jednostki. Ale w swojej obronie wolności czynił rozróżnienie między „służbą” a „posłuszeństwem”, czyli w swoim mniemaniu między godną potępienia służalczą poddańczością wobec pana a posłuszeństwem człowieka wolnego wobec sprawiedliwej władzy. Ja z takim rozróżnieniem zupełnie się nie zgadzam, mimo że darzę sympatią tego młodego człowieka... Nawet jeżeli z własnej woli godzimy się na posłuszeństwo, szczególnie że daje ono tę iluzję wolności, każdy jego rodzaj uważam za poddańczy, upokarzający i co moim zdaniem najważniejsze: jałowy. Tak, jałowy... Im jestem starszy, tym mocniejsze żywię przekonanie, że tylko bunt jest wyrazem wolności, a w związku z tym także poezji. Świat idzie do przodu wyłącznie dzięki nieposłuszeństwu, ponieważ ono, wyłącznie ono stwarza poetów, twórców, wszystkich tych niegrzecznych chłopców, którzy nie chcą się podporządkować kodeksom, państwu, ideologii, technice... wszystkiemu temu, co pewnego dnia prezentuje się jako koniec końca, bezsporny i nieuchronny schyłek pewnej epoki.

Euclides zaciągnął się głęboko papierosem, po czym otoczony chmurą dymu, którego z żadnym innym niepodobna pomylić ze względu na miodowo-goździkowy zapach, kontynuował:

- Jeśli istnieje pojęcie, które należało dogłębniej przeanalizować, zanim pozbyliśmy się go w pośpiechu i z ulgą, to jest nim „permanentna rewolucja”. Aczkolwiek ja wolałbym mówić o permanentnej „krytyce” albo „rebelii”, żeby uniknąć skojarzeń z funkcjonującym w powszechnym obiegu znaczeniem tego pojęcia.

Eleazard najbardziej lubił sytuacje, kiedy ze starego doktora wylewał się powierzchowny anarchizm. Dostrzegał w tym niewinność, humanizm i młodość ducha, które u każdego byłyby wzorcowe, tym bardziej więc u człowieka w tym wieku.

- Nie wiedziałem, że ma pan sympatie maoistowskie - zauważył żartobliwym tonem. Poważniejąc, dodał: - Często sam się nad tym zastanawiałem, ale dziwnie podejrzana wydaje mi się idea, która się przyczyniła do śmierci milionów ludzi...

- I tu pan się myli - zauważył Euclides, po omacku szukając na stole popielniczki. - Idee nie zabijają. Zabijają ludzie, pewni ludzie, gdy manipulują innymi w imię ideałów, które zdradzają zwykle świadomie, ale czasami bezwiednie. Każda idea staje się zbrodnicza, jeśli jej wyznawca nabierze przekonania, że to prawda absolutna, i za punkt honoru postawi sobie doprowadzić do tego, by podzielali ją wszyscy. Weźmy choćby chrześcijaństwo: czy istnieje bardziej nieszkodliwa idea niż miłość bliźniego? A tymczasem samo chrześcijaństwo przyczyniło się do śmierci większej liczby ludzi niż wiele poglądów uznawanych początkowo za znacznie bardziej podejrzane. Ale winę za to ponoszą wyłącznie chrześcijanie, nie chrześcijaństwo! Ci, którzy w sekciarską doktrynę zmienili to, co powinno było

pozostać porywem serca... Nie, mój drogi, idea nigdy nikomu nie zrobiła nic złego. Tylko prawda zabija! A najbardziej zabójcza jest niewątpliwie ta prawda, która pretenduje do matematycznej ścisłości. Dość wrzucić metafizykę i politykę do jednego worka, a zaraz mamy scjentystyczne credo albo zblazowaną rozpacz, która syci się sobą i legitymizuje dzisiaj najgorsze odstępstwa od normy...

Ilekróć Eleazard z nim dyskutował, przychodziła chwila, gdy starszy pan dosłownie rozkładał go na łopatki. Nie tyle siłą argumentacji, ile zapalczywością, z jaką mówił. Nie dzieląc jego poglądów na świat, zawsze ulegał ich magnetycznej sile, zimnej i niewzruszonej.

- No i niech pan patrzy, jaki ze mnie stary ramol! - podjął Euclides, z trudem podnosząc się z fotela. - Nie wpadłem na to, żeby zaproponować po koniaczku! Pan wybacz, jedna chwila i naprawię to zaniechanie.

Na próżno Eleazard protestował - doktor pospieszył po kieliszki i alkohol do pokoju, w którym wcześniej spożyli lunch. Pod jego nieobecność biblioteka nabrała jakiegoś nowego oblicza, niepokojącego, jakby wszystkie zgromadzone w niej przedmioty, poukładane poręcznie, aczkolwiek staromodnie, koniecznie chciały dać do zrozumienia gościowi, że jest intruzem. Panujący tu półmrok dzięki umyślnie pozamykanym okiennicom, tak chłodny, tak przyjemny, kiedy niespiesznie poruszał się w nim Euclides, wydał się teraz Eleazardowi napastliwy, przykry - zły jak pies łańcuchowy, który ma strzec samotni swego pana.

Dom Euclidesa da Cunhy, położony niedaleko kościoła Różańca Świętego na przedmieściu São Luís, niczym się nie różnił od innych wyblakłych, tchnących nudą i piwnicznymi zapachami budynków, których styl kolonialny nadawał całej ulicy do Egipto staroświecki urok. W tym domu Eleazard znał tylko westybul, bardzo długie pomieszczenie przypominające poczekalnię z powodu niebywalej liczby krzesel równiutko ustawionych pod ścianami, każde z szydełkową serwetką na oparciu; bibliotekę, jeszcze większą, choć optycznie pomniejszał ją ciemny brokat położony na ścianach, fotele na biegunach z czarnego drewna, ciężkie neogotyckie szafy zwieńczone lustrami fasetkowymi, gerydony, bogato zdobione wazony, bujne rośliny, które jakby za sprawą mimetyzmu upodobniły się do reszty rokokowego wyposażenia, zakurzone wachlarze i dagerotypy pyzatyh niemowląt albo starców ze zdziwieniem wpatrzonych w obiektyw; oraz jadalnię, mniejszą, ale także przytłaczającą nagromadzeniem przedmiotów, które naśladowały elegancki wystrój mieszczańskiego domu sprzed stu lat.

„Niech pan nie zwraca uwagi na te potworności” - powiedział mu Euclides, gdy gościł u niego pierwszy raz. - „To bardziej świat mojej matki niż mój. Wymusiła na mnie obietnicę, że nic tu nie zmienię aż do jej śmierci, a jak sam pan widział, kochana mateczka ma się świetnie. Od mojego dzieciństwa nic tu się nie zmieniło, przez co paradoksalnie mogłem świadomie postrzegać własną ewolucję: jako dziecko rozkochany byłem w tym wystroju, wyidealizowałem go do tego stopnia, że stał się dla mnie najwyższą miarą estetyczną; dorastając, zacząłem zauważać smutną rzeczywistość, zniecierliłem te wnętrza jako symbol kompletnego bezguścia... Przeklinałem oczywiście tylko to, że wydorostałem... W końcu przestałem to wszystko osądzać, tak że ta brzydota stała się dla mnie swojska, cenna, a dziś, kiedy zasnuwa ją mgła tak samo jak resztę świata, jest mi nieodzowna...”

Matka doktora da Cunhy była niewysoką staruszką, przygarbioną, wysuszoną i sękatą jak drzewa rosnące w Sertão. Zawsze ona witała Eleazarda, sadzała go w westybulu, miło zagadując, i częstowała sokiem z tamaryndowca, bez tego bowiem uchybiłaby zasadom gościnności. Prowadziła go następnie do biblioteki, po czym znikwała w mrocznym korytarzu. Z tego co wiedział Eleazard, sama zajmowała się całym domem, czuwając nad synem troskliwie niczym zakonnica przydzielona do usług świętego męża.

Słyszając niepewne pobrzękiwanie szkła w sąsiednim pomieszczeniu, Eleazard podniósł się, aby pomóc gospodarzowi.

- Bardzo pan miły, dziękuję - rzekł Euclides, pozwalając, by Eleazard wziął od niego tacę. - Zeszło mi trochę dłużej, ponieważ mama koniecznie chciała, żeby pan skosztował jej „anielskie westchnienie”.



Rozumie pan, nie każdego tym częściej, nawet ja nie zawsze mogę się doprosić!

Usiedli znowu.

- Wie pan co? - podjął Euclides. - Pan się zajmie szkłem, a ja tymczasem zagram coś. Nuty dostałem kilka dni temu. Jeżeli rozpozna pan autora...

- Jeżeli rozpoznam autora? - zdziwił się Eleazard, podczas gdy doktor wolnym krokiem szedł już do pianina.

- Raczej na pewno pan nie rozpozna - roześmiał się. - Ale jeżeli pan rozpozna, dam panu ciekawy trop. Tak, naprawdę bardzo ciekawy...

Nie zwlekając, podniósł pokrywę starego kriegelsteina i zaczął grać.

Eleazarda od pierwszej chwili zaskoczył dziwny, urywany powtarzający się rytm, który wychodził spod lewej dłoni w dolnych rejestrach. Kiedy do tych osobliwych basów dołączyła melodia, zaraz rozpoznał charakterystyczne dla tanga rozkołysanie, lecz to tango było jakieś inne, rozwleczone, brzmiało jak parodia ze względu na wydłużanie pauzy, na przesadę w synkopowym rytmie muzyki. „Raz, dwa, trzy, tonięcie wspaniałe, trzy, cztery, droga na tam-ten świat...”. Słowa wypływały na jego usta i pękały niczym bańki mydlane. „Rozdarło serce, a smutek przygniata je...”. Euclides przy pianinie regulujący spowolnienie gwiazd, zmniejszający je, porządkujący dla innych potrzeb.

Nie będąc wirtuozem, Euclides grał trochę lepiej niż większość muzyków amatorów - Eleazard słyszał kilka razy jego naprawdę przyzwoite wykonanie najtrudniejszych kawałków z „Das Wohltemperierte Klavier” albo sonat Hectora Villi-Lobosa, które w niczym Bachowi nie ustępowały, po raz pierwszy jednak wykazywał się taką umiejętnością burzenia tajemnego porządku rzeczy. Świat znikł oto w mrokach obszaru wytyczonego przez przerażający nawias. Gdy utwór skończył się suchym, zaraz wyciszonym akordem, Eleazarda ogarnęło nagle uczucie obcości, jakiego doświadczamy niekiedy, budząc się po pierwszej nocy spędzonej w hotelu.

- I jak? - zagadnął Euclides, siadając obok niego na kanapie.

- Zgodnie z przewidywaniami poddaję się, nie wiem. Ale świetny utwór, naprawdę piękny...

- Opus dwudzieste szóste Strawińskiego... Jest trochę drobnych utworów tego rodzaju, które nie dają się nijak zaklasyfikować, jak wszystkie prawdziwe arcydzieła, ani ogarnąć ludzkim rozumem. Kiedyś dam panu posłuchać, co udało się z tym zrobić Albénizowi albo Ginasterze w tej samej tonacji... Proszę bardzo, niechże pan skosztuje tych cudeniów - rzekł, podsuwając Eleazardowi przyniesiony talerz z ciasteczkami. - Są naprawdę wyjątkowe, to coś jakby beżowa hostia, tyle że o smaku kwiatu pomarańczy. I są prawie równie smakowite, jak ładna jest ich nazwa... - Po czym tym samym tonem, choć na zupełnie inny temat mówił dalej: - Wprawdzie zupełnie się pan nie popisał na egzaminie, ale ponieważ jestem łaskawym księciem, uprzedzę pana mimo wszystko, że gubernator Moreira coś szykuje... Dokładnie nie wiem co, na pewno jednak coś niezbyt zbożnego...

- To znaczy?

- Ktoś wykupuje cały półwysep Alcântara, nawet ziemie nie nadające się pod uprawy i posiadłości, które nie przynoszą żadnego dochodu. Mam powody przypuszczać, że za pośrednikami, którzy przeprowadzają tę operację, stoi sam Moreira.

- Ależ po co miałyby coś takiego robić? - zdumiał się Eleazard mocno zaintrygowany.

- Ha! mój drogi, tego właśnie pan powinien się dowiedzieć. - Oczy zabłysły mu złośliwie, kiedy dodał: - Bardzo by panu pomogło na przykład, gdyby towarzyszył mi pan do fazendy do Boi.

## **FAZENDA DO BOI**

*Alcântara International Resort...*

- Dobrze, powtarzam: „Pan gubernator José Moreira da Rocha z małżonką zapraszają Państwa...”, tutaj

puste miejsce i bardzo proszę go nie żałować. Nie ma nic bardziej denerwującego niż konieczność ścieśniania pisma... I dalej: „...by zaszczyli swoją obecnością przyjęcie, które zostanie wydane 28 kwietnia o godzinie 19. Fazenda do Boi” i dalej adres jak zwykle... Tak, sto sztuk. Ktoś odbierze je jutro po południu. Dziękuję... Żegnam pana.

Carlotta z westchnieniem ulgi odłożyła słuchawkę. Wyciągnęła ręce nad telefonem i z nieznacznym wzgardliwym uśmiechem przyglądała się chwilę ich drżeniu. Za dużo pijesz, dziewczyno... Co ci to da? Nie wystarczy ci, że się starzejesz? I natychmiast opanowało ją nieodparte pragnienie, by nalać sobie drinka, pierwszego tego dnia, tyle jedynie, by poczuć się lepiej, by uciec przed dojmującym strachem, który w charakterze odpowiedzi mnożył tylko pytania bez końca. Otwierała się przed nią otchłań, powodowała chaotyczne walenie serca, powiększała nieznośny zamęt panujący teraz nad całym jej jestestwem. Carlotta poszła na kompromis z chwalebnyymi postanowieniami, które podjęła rankiem, i łyknęła ćwierć tabletki lexiomilu, po czym opadła na fotel naprzeciwko wielkiego obrazu zdobiącego jej sypialnię. Przedstawiał ścięcie Jana Chrzciciela i mimo pewnych zalet w podejściu do światła był zbyt akademicki, by zwracać uwagę czymś więcej niż sygnaturą autora, Vitora Meirelesa, brazylijskiego malarza, który całe swoje dzieło poświęcił gloryfikacji cesarstwa i jako pierwszy wykorzystywał w sztuce pewne indiańskie tematy, choć bardzo dyskretnie i nie podając w wątpliwość zasadności pozyskiwania dusz dla wiary chrześcijańskiej. Spośród wszystkich płócien odziedziczonych po przodkach to Carlotta lubiła najbardziej - jej prababka, hrabina Isabella de Algezul, pozowała malarzowi w roku 1880 do postaci Salomei. W młodości podobieństwo Carlotty do sportretowanej przodkini było tak uderzające, wywoływało tyle pełnych zachwyty komentarzy, że dziewczyna czesała się jak żydowska księżniczka z obrazu, naśladowała jej postawę i z takim samym pełnym odrazy smutkiem spuszczała wzrok na talerz z przekąską, gdy częstowała gości zaproszonych przez rodziców. Tak, była do niej podobna fizycznie i psychicznie, aż niektórzy powątpiewali w autentyczność obrazu, inni zaś znaleźli się u progu szaleństwa... Triumfująca wiktoriańska Salomeą, nimfa Echo z ciężkim węzłem rudych włosów jakby wyjęta ze snu, powleczone wilgotną błonką, z widmową twarzą, na którą emocje wypływały chorobliwymi plamami: przez długi czas Carlotta takim właśnie alergicznym rumieńcem reagowała na brutalny kontakt z głupotą.

Niewiele pozostało z jej oryginalnej urody. Póki nie przekroczyła pięćdziesiątki, dzięki kosmetykom i dietom udawało jej się nie odbiegać zanadto od wyglądu z młodych lat. Robiła to dla syna, robiła to, by

ujrzeć w jego oczach dumę, kiedy opowiadał, jakie namiętności jego matka wzbudza u kolegów z klasy... Potem Mauro wyjechał, a równocześnie jej mąż udowodnił, jak bardzo lekceważy ją poza domem. Prawdę powiedziawszy, zdjęcie opublikowane w „Mánchete” nie tyle szokowało ją treścią, jak wmawiał sobie José, ile tym, że odsłaniało dramat, który rozgrywał się daleko w tle tej żalosalnej sceny. Wbrew swoim rodzicom Carlotta z miłości wyszła za Moreirę da Rocha w czasach, gdy on był uwodzicielskim niebieskim ptakiem, ona zaś była tak zaślepiona, że nie zauważała jego braku ogłady, żądzy pieniędzy i władzy. Kiedy wpatrzona w tamto zdjęcie, na którym tak brzydko wyszła, znalazła się sama w fazendzie, zrozumiała, że już go nie kocha i prawdopodobnie nigdy nie kochała. Trudno było się z tym pogodzić. Trzydzieści pięć lat życia z człowiekiem, którym - z czego dopiero teraz zdała sobie sprawę - zawsze gardziła... Ponieważ szczylił się, że w gazetach czyta wyłącznie kolumny poświęcone gospodarce, ponieważ nigdy nie otworzywszy choćby jednej książki Marcela Prousta, nazywał go „cholernym pedziem”.

Odkryta późno, spotęgowana rozgoryczeniem prawda owa zmiotła wszystko na swej drodze, niszcząc także odbicie Carlotty w lustrze. Żadne podkłady ani szminki nigdy nie ukryją zniszczenia ciała: dopóki istnieje miłość w jakiegokolwiek formie, potrafią upiększyć i chronić urodę, która nie podlega wtedy ograniczeniom wieku. Są częścią gry o bardzo sztywnych zasadach, gry uczuć, w której jak wiadomo, nie można wygrać nic prócz przyjemności, jaką jest jej kontynuowanie. Dla dzieci i ludzi niecywilizowanych,

a więc osób jeszcze nie zepsutych podejrzliwością, rzeczywistość nie jest podkolorowana, ponieważ w nich trwa bezgraniczna ufność. Ale wystarczy, że uzmysłowią sobie, jak bardzo byli naiwni, a magia świata wypacza się, przeradza w iluzję, która jest innym mianem niemożności wiary. Carlotta miała mglistą świadomość, że nie należy pod szminką ukrywać niełaski, która jest skutkiem utraty wiary.

Z pustką w głowie przesuwała dłońmi po swoim znużonym ciele, macała zwiotczale mięśnie, wałki tłuszczu przewalające się pod rozciągniętą skórą. Nie do wiary, że ciało potrafi tyle tłuszczu wyprodukować, jeśli tylko nie jest wystarczająco zadbane! Jakby zapamiętywało nasze najdrobniejsze zaniechania wobec życia i w słusznej trosce o zadośćuczynienie dostarczało bogatsze pożywienie temu, co po śmierci ciała będzie kontynuowało cykl.

Znieczulona lexiomilem uśmiechała się dość głupio do tego nowego pomysłu: przyspieszyć proces, obżerać się, pić coraz więcej nie po to, żeby z a p o m n i e ć - nic ani nikt nie może złagodzić poczucia życiowej porażki - lecz po to, żeby przytyć, utuczyć się maksymalnie przed śmiercią i złożyć w ten sposób ostatnią ofiarę siłom życia.

Podniosła się, by wziąć notes z adresami, i wybrała numer La Bohème, najlepszej restauracji w São Luís.

- Halo?... Mówi hrabina Carlotta de Algezul. Chciałabym mówić z panem Isaakiem Martinsem.

Spostrzegłszy na komodzie butelkę whisky, której nie zdołała dopić poprzedniego wieczoru, przeciągnęła kabel telefonu, żeby jej dosięgnąć.

- Halo?... Tak, witam pana, Isaac. Co słychać?... Och, u mnie jak zwykle w porządku, chociaż żona gubernatora nie zawsze ma wesoło. I właśnie dlatego dzwonię dzisiaj: za dwa tygodnie mąż wydaje przyjęcie w fazendzie. Czy mogę liczyć, że zajmie się pan menu?... Sto osób, może trochę więcej, wie pan, jak to jest: ludzie czują się obowiązani przyjść z osobą towarzyszącą, często zresztą zupełnie nieodpowiednią... Chodziłoby mi o pełny obiad, ma być wystawny: langusty, owoce morza, mięsa pieczone... pełny wybór... Faszerowane kraby?... Czemu nie?... Proszę włączyć do menu, co panu przyjdzie do głowy, w pełni na panu polegamy. I oczywiście proszę nie liczyć się z kosztami ani z ilością. Trzeba przewidzieć trzy, może nawet cztery identyczne bufety, niech pan zaangażuje tylu ludzi, ilu uzna pan za konieczne, nie chcę tylko, żeby ktokolwiek skarżył się potem, że czekał, aby go obsłużono... Może wpadłby pan jutro do fazendy, żeby ustalić wszystkie szczegóły?... Raczej przed południem... Świetnie. No to do jutra...

Odłożyła słuchawkę i wypila pierwszy tego dnia łyk whisky. Wszystko powinno niezłe wypaść. José słusznie nadal powierzał jej te sprawy; mało która pani domu potrafiła tak jak ona zorganizować przyjęcie tej rangi, i to w ogóle nie wpadając w panikę. Carlotta nie robiła tego dla męża, lecz z dbałości o honor Algezulów, wiedziała bowiem, że najdrobniejsze choćby niedociągnięcie przypisane będzie wyłącznie jej, nawet gdyby mąż zupełnie zdjął z niej ten obowiązek. José dość często wydawał takie przyjęcia, szczególnie podczas kampanii wyborczej, zwykle jednak odbywały się w pałacu gubernatorskim, do fazendy zaś zapraszał tylko nieliczne osoby uprzywilejowane. Do diabła, jakże ten ochmistrz powiedział, że gdzie zostawi listę gości?

Z drinkiem w rękę Carlotta wyszła z sypialni i skierowała się do gabinetu, w którym Moreira spędzał większość wieczorów. Bez trudu znalazła trzy pokryte pismem maszynowym kartki leżące na podkładce z zielonej skóry. Siadając przy biurku w fotelu „pana”, uświadomiła sobie, że od lat tu nie przychodziła - najpierw nie chcąc przeszkadzać mężowi, kiedy zamykał się z papierami, a potem z braku zainteresowania jego sprawami. „Nie chce mi się opowiadać o tym, kochanie, strasznie musiałbym się nagadać, a i tak niewiele byś zrozumiała...”. W gabinecie nic się nie zmieniło, odkąd sama go urządziła, pojawiła się tylko wielka mapa półwyspu Alcântara - jej krzykliwe barwy klóciły się z osiemnastowiecznymi grawiurami, które z takim trudem przed laty zdobyła. Popijając whisky, przebiegła wzrokiem listę gości. Doktor Euclides da Cunha jest, na szczęście nie zapomniano o nim... dwaj

ministrowie, ambasador, paru notabli... I wcięty słupek nazwisk jakby dla podkreślenia znaczenia noszących je osób:

Yukihiro Kawaguchi  
Susumu Kikuta - Bank Sugiyama

Jason Wang Hsiao - Everblue Corporation

Matthews Campbell Junior  
Henry McDouglas - Pentagon

Peter McMillan  
William Jefferson -Forban Guaranty Trust Co, of New York.

Przywykła, że mąż służbowo utrzymuje kontakty z różnymi ludźmi, toteż pośród tych nieznanym nazwisk jej uwagę zwrócili tylko ludzie z Pentagonu, budząc irracjonalny niepokój. Postanowiła, że zapyta o nich Joségo, i rozejrzała się za piórem, by zaznaczyć to na liście. Wysunąwszy szeroką szufladę biurka, zauważyła teczkę opisaną następująco:

CONFIDENTIAL  
INFORMATION MEMORANDUM

*Alcântara International Resort*

1. Project Description
  - 1.1. Overview
  - 1.2. Infrastructure
  - 1.3. Marketing
2. Financial Plan
  - 2.1. Structure
  - 2.2. Term Sheet
3. Economic Analysis
  - 3.1. Assumptions
  - 3.2. Base Case
  - 3.3. Conservative Case
4. Co-Agents
  - 4.1. Sugiyama Bank
  - 4.2. Forban Limited
  - 4.3. Countess. C. de Algezul.

Zdziwiona, że jej nazwisko widnieje w takim spisie, Carlotta zajrzała w odpowiednie miejsce dokumentu. I na kilka sekund serce jej stanęło z oburzenia: figurowała w tym projekcie jako właścicielka wszystkich terenów przeznaczonych pod zabudowę na półwyspie Alcântara!

## ROZDZIAŁ IX

*Noc Bożego Narodzenia & tajemnice  
ciemnej komnaty...*

**N**a myśl mi przyszło, że nie tylko księżę szwankuje na umyśle, ale także jego małżonka, toteż zdołałem sobie przetłumaczyć, że jej wysokość powołała się na obecność klawesynu w swoich trzewiach wyłącznie w imię pamięci o krewniaku & tym sposobem niejako metaforycznie opisała cierpienie, jakie było jej udziałem...

Kircher & księżę Palagonii dołączyli do mnie z zadowoleniem na twarzy, jakie obnoszą ludzie, którzy przedsięwzięli wielkie zamysły. Gospodarz pożegnał się z nami, my zaś oddaliśmy się, by uciąć sobie popołudniową drzemkę.

- Wszystko przebiega zgodnie z przewidywaniami, Casparze - rzeki Atanazy, kiedyśmy się znaleźli w miejscu pewnym, jakim był jego pokój. - Rozumiemy się z księciem wprost doskonale. Doniosłości skutków tego porozumienia nawet sobie nie wyobrażasz.

- A ja tymczasem - odparłem - usłyszałem zwierzenia, które doprawdy przemawiają za tym, aby uważać go za szaleńca, & wyznam szczerze: nie pojmuję, jak można znajdować go miłym człowiekiem.

Uznałem, że mam prawo opowiedzieć mu o wszystkim, com usłyszał chwilę przedtem od księżnej. Kirchera ani trochę to nie zdziwiło, a kiedym skończył, z uśmiechem wyrzekł kilka uspokajających słów.

Po czym kładąc mi rękę na ramieniu, dodał:

- Myślę, że dobrze byś zrobił, gdybyś poczytał swojego Ignacego...

Posłuszny tej radzie na godzin kilka zagłębiłem się w lekturze „Ćwiczeń”. Pozwoliło mi to z większą wyrozumiałością odnosić się do księcia, aczkolwiek nie zdołałem całkowicie wyzbyć się niejkiej wobec niego wrogości. Rozzłoszczony na siebie owinąłem się w pasie włosienicą; nieustający ból, powściągając apetyty mego ciała, wreszcie rozjaśnił mi umysł; zdołałem się pomodlić & podziękować Niebiosom za łaski, którymi mnie obdarzyły.

Wieczorem 18 grudnia roku 1637 zasiedliśmy w tej samej jadalni do wieczerzy. Mistrz mój, który nadal wiódł prym w rozmowie, brylował jak nigdy dotąd. Wyzbywszy się właściwej mu pokory, zdawał się znajdować przyjemność w okazywaniu swej wiedzy & zaskakiwaniu gospodarzy niezliczonymi ciekawostkami czy smakowitymi anegdotami, które nasuwały mu się w trakcie rozmowy.

Zapewniał, że osobiście powołał do życia zaby z odrobiny pyłu zebranego w rowie, a także skorpiony, gdy sproszkowane to stworzenie rozpuścił w wywarze z bazylii. Powołując się na Paracelsusa, twierdził, że można ożywić roślinę z jej własnych popiołów, aczkolwiek z pewnych względów trudniejsze to zadanie. Tu rozmowa zesłała na najosobliwsze istoty, jakie zdołała stworzyć natura, mianowicie na smoki, progéniture orła & lwicy. Atanazy mówił o małym okazie pokazywanym w muzeum Aldrovandiego w Rzymie, a także o smoku, którego zauważono w roku 1619, gdy wylatywał z jaskini na górze Pilatus niedaleko Lucerny, oraz o wszelakich niewyobraźalnie dziwnych zwierzętach dowodzących nieskończonych możliwości boskiego Stworzenia. Wymienił zatem jedną z osobliwości Ogrodów Boboli we Florencji, mianowicie koguta z węzowym ogonem & czubem, owoc przypadkowego zmieszania nasienia; strusia, czyli „strontocamelusa”, którego nazwa & wygląd świadczą, że pochodzi ze skrzyżowania wielbłąda z jakimś ptakiem; rhinobatosą, potomką płaszczy & anioła morskiego, którego wymienia Arystoteles; wiele rozmaitych zwierząt egzotycznych, których szczegółowe opisy przysyłali mu korespondenci z Indii oraz obu Ameryk.

Następnie księżę, nad wyraz rozmiłowany w naukach ścisłych, skierował rozmowę na temat astronomii & wypytywał Kirchera o teorie ścierające się wówczas tak, że szło dosłownie na noże. Kiedym

spozstrzegł, że księżnę niespecjalnie ciekawią owe gorące zagadnienia, postanowiłem zabawić ją pogawędką o czym innym. Wiedząc - wszak sama mi o tym powiedziała - że ma upodobanie do muzyki, jałem rozprawić o muzykach w Rzymie święcących triumfy, szczególnie o Girolamie Frescobaldim, którego regularnie z mistrzem moim chadzaliśmy słuchać w Arcybazylice Najświętszego Zbawiciela na Lateranie. Księżna owszem, nie gardziła ich muzyką, niemniej, rzekła, woli znacznie wznioślejsze utwory Monteverdiego, Williama Byrda, a zwłaszcza Gesualda, które to nazwisko wyszeptwała, znacząco wzrokiem wskazując małżonka. Pokiwałem głową, dając do zrozumienia, że pojmuję, w czym rzecz, & przyznałem, że w pełni podzielam jej gusta. Zdawało się, że jest uszczęśliwiona tą wspólnotą upodobań, & z pokraśniałym liczkami, z okiem błyszczącym spijała moje słowa; ażem musiał mocniej przycisnąć łądźwie do oparcia krzesła, by do większej skuteczności zmusić wlosiennicę & przywołać swoje ciało do porządku. I zarazem postanowiłem zmienić temat rozmowy na stosowniejszy dla mojego stanu duchownego.

- Jakże wyobrażacie sobie Pana Boga, pani? - wypaliłem prosto z mostu.

Uśmiechnęła się miło, nie okazując zdziwienia nieoczekiwanym pytaniem, jakby w pełni świadoma była motywów, które mną kierowały.

- Nie potrafię Go sobie wyobrazić - odparła bez zastanowienia - to znaczy, nie potrafię przedstawić Go sobie jako podobnego do człowieka ani do niczego ludzkiego. Uznaję, że Pan Bóg istnieje, ponieważ nie mieści mi się w głowie, że ja & wszystko, co mnie otacza, wzięłoby się na świecie za sprawą przypadku albo jakiejś istoty. Podobnie bieg moich spraw nie jest skutkiem mojej przezorności & rzadko pomyślnie okazują się ścieżki, które wybieram, toteż wnioskuje z tego, że musi wszystkim rządzić Opatrzność...

Rad byłem, słysząc tę odpowiedź, a zwłaszcza spodobało mi się, że nie usłyszałem, jak od większości niewiast, że księżna wyobraża sobie Pana Boga jako czcigodnego starca.

- A skoro okazuje się, że rozmawiam z wami, bracie, jak jeszcze z nikim dotąd, mogę wam wyznać, że gdyby nie święte więzy, którymi jestem połączona z małżonkiem, z radością poświęciłabym swe życie służbie Jezusowi Chrystusowi. Nie w klasztorze, gdzie trzeba dźwigać zbyt lekki w moim mniemaniu krzyż, ale w szpitalu, gdzie przyjmuje się chorych najrozmaitszej proveniencji, z jakiego bądź kraju pochodzą & jakakolwiek wiarę wyznają, aby służyć im wszystkim bez różnicy & idąc za przykładem jedynego małżonka, który godzien jest tego miana, pielęgnować każdego w trapiących go przypadłościach. Czuję, że zdolna bym znosić bez ustanku najgorsze choćby widoki, słuchać złorzeczeń & krzyków chorych, wachać wszelkie przykre wonie bijące od zakażonego ludzkiego ciała. Nosiłabym tym nieszczęśnikom Pana Jezusa od łóżka do łóżka, dodawałabym im otuchy, lecz nie czczymi słowami, tylko dając przykład cierpliwością & miłosierdziem, aż sprawiłabym, że sam Pan Bóg ulitowałby się nad nimi...

Oczy księżnej zwilgotniały, gdy mówiła o swym sekretnym pragnieniu. Piękna jak obrazek, postać miała wybitnie szlachetną, nosiła się z majestatyczną swobodą, szczerłość widniała na jej obliczu, a mówiła łagodnym melodyjnym głosem świętej! Wszystko w tej młodej niewieście zachwycało, jej małżonek natomiast był najwstrętniejszym z...

- Nadzwyczajne! - zawołał naraz książe, zwracając się do mnie. - Caspar, ja wam zazdrościć: wasz mistrz być najuczeńszy uczony! My wspólnie razem niedługo robić wielką rzecz...

Poczerwieniałem, kiedy mnie zagadnął, jakbym został przyłapany na gorącym uczynku & jakby książe potrafił czytać w moich myślach.

- Wasza wysokość przesadza - rzekł na to Kircher. - Tylko wiedza jest wspaniała & ona to zasługuje na wasze komplementy. Raczcie mi jednak wybaczyć, pani, że tak długo swoją osobą zajmował waszego małżonka. Zapomniałem, jak mi się zdaje, że rozmowa na te tematy nie budzi w was większego zainteresowania.

- Nie macie za co przepraszać, ojczyste. Gawędziliśmy sobie z bratem Casparem na tematy religijne & to ja zapomniałam o swoich obowiązkach pani domu. Przyznaję, że jednego nawet słowa nie słyszałam z tego, coście mówili z moim małżonkiem, & mocnym o to zła na siebie, chociaż bez wątplenia niewiele bym z tego pojęła.

Kircher uprzejmie sprzeciwił się na te słowa, po czym jakby wiedziony natchnieniem zaoferował się, że dostarczy uciechy towarzystwu.

- Skorośmy spożyli przednią wieczerzę, chwila wydaje mi się jak najwłaściwsza, abyśmy ją zakończyli ucielnym doświadczeniem. Jakże się moim współbiednikom wydaje: człowiek jest lżejszy przed posiłkiem czy po nim?

- Dobrze, dobrze, bardzo dobrze... - ozwał się książę, zacierając ręce z ukontentowania. - Ja brać wyzwanie! Metoda, zawsze metoda, jak mówi pan Kartezjusz... Po jedzeniu ja czuć lżej, chociaż zjeść przynajmniej cztery funty. Tak jasno widzi mój *intellectus*, więc musieć być prawda: wewnętrzna siła ciała zamieniać kureczak, ryba & inna potrawa w ciepło; ciepło wytwarzać intymne opary, a opary lekkość... Zjeść za dużo, to ulecieć, nie? - dodał ze śmiechem.

Książę niecierpliwie zadzwonił na służbę & polecił, by z oficyn przyniesiono wagę. Kilka minut upłynęło, nim kilkoro sług przywlokło do jadalni ciężkie urządzenie.

- Ile zazwyczaj ważycie, wasza wysokość? - zapytał Kircher.

- Sto dwadzieścia dwa funty - odparł książę. - Nie zmienić ciężar od dawna młodość.

- Doskonale. Skoroście, panie, zjedli na wieczerzę cztery funty, ja wam powiadam, że będziecie teraz ważyli około stu dwudziestu sześciu funtów.

- A jakże! - rzekł książę, zdecydowanie wstępując na platformę wagi.

Kircher wyrównał ciężarki, aby wyważyć urządzenie, po czym na głos odczytał wskazanie:

- Sto dwadzieścia siedem funtów, trzy marki & dwie uncje! Zjedliście dziś więcej, niż wam się wydawało, wasza książęca mość...

- Niesłychane! - zawołał książę rozweselony.

Sprawdziwszy osobiście wskazanie wagi, zażądał, abyśmy wszyscy także wzięli udział w doświadczeniu. Kircher stanął na wadze: okazało się, że zjadł około siedmiu funtów, z czego się tłumaczył, twierdząc, że normalna jego waga pewnie jest wyższa, niż się przyznał, ponieważ nie kontrolował jej od wyjazdu z Rzymu. Ja ważyłem ledwie funt więcej, co nie zdziwiło mnie wcale, jako że podczas wieczerzy niewiele myślałem o jedzeniu. Księżna natomiast stanowczo odmówiła uczestnictwa w eksperymencie, który raniłby właściwą jej płci kokieterię, bez protestów wszakże zaakceptowano jej sprzeciw. Niedługo zresztą pożegnała się, a & ja zrobiłem to samo, kiedy książę wyraził chęć omówienia z moim mistrzem pewnych delikatnych spraw.

Znalazłszy się w swoim pokoju, wejrzałem w siebie & oceniłem, jak bardzo księżna mnie oczarowała. Jej cnota & czystość wydawały mi się modelowe, z ogromną też przyjemnością przywoływałem na myśli jej oblicze. Długom się potem modliłem & do późnej nocy czytałem „Ćwiczenia duchowne”. Wreszcie, zgodnie ze wskazaniami świętego Ignacego, który powiada, że grzechem jest skracać stosowną długość snu, zdjąłem włosienicę, która okrutnie mi przeszkadzała, & ułożyłem się na spoczynek.

Przebudziwszy się nazajutrz, ujrzałem, że *lintea pollueram*,<sup>1</sup> a kiedy sobie uzmysłowiłem, iżem nocą uległ Demonowi, chociażem nic z tego nie pamiętał, ogarnęło mnie przerażenie. Na powrót przywdziałem włosienicę, mocno ją ściągając, a dzień zacząłem od pogłębionego rachunku sumienia.

<sup>1</sup> Splamiłem pościel.

Tego dnia, a także w dniach następnych, aż do Bożego Narodzenia, z rzadka tylko widywałem Kirchera & księcia. Przesiadali zamknięci w bibliotece, gdzie oddawali się jakowymś tajemniczym

zajęciom. Kilkakroć robotnicy wezwani z zewnątrz pracowali wraz z nimi, co pozwoliło mi wysnuć przypuszczenie, iż chodzi o budowę jakiejś nowej maszyny. Zostawiony samemu sobie, miałem zatem przyjemność do woli spędzać czas z damą moich myśli. Gawędziliśmy na najrozmaitsze tematy, wspólnie czytaliśmy nowe książki, które jej przysyłano, a także muzykowaliśmy trochę. I wydawało się, że księżna tak wielkie upodobanie znajduje w tych niewinnych zajęciach, że w żadnej mierze nie czuł się winny, iż w ten sposób służy jej niejaką pociechą. Co dzień mocniej utwierdzała się w swej decyzji, by przywdziać welon siostry miłosierdzia, jeśli tylko z łaski Opatrzności nadarzy się sposobność, ja zaś całą siłą swej wiary wspierałem ją w tym postanowieniu.

Jużeśmy nie biesiadowali tak długo jak w dniu naszego przybycia, ponieważ księżę & Kircher posilali się szybko - jeśli w ogóle raczyli wyjść z biblioteki - by jak najrychlej wrócić do swoich zajęć. O ile jednak księżę wydawał mi się wesolutki jak skowronek, o tyle Kircher chodził podenerwowany & skupiony. W przededniu Wigilii przyszedł do mego pokoju nieco po dziesiątej wieczorem. Na obliczu powagę miał jeszcze większą niż zazwyczaj.

- Kości zostały rzucone, Casparze - powiedział - & lękam się konsekwencji swoich czynów. Przeciwnik tak różne formy potrafi przybierać... Chociaż nawykłem wykrywać jego podstępny, nie mam pewności, czy & tym razem mi się uda. Ale dość tych tchórzliwych żalów! Musisz wiedzieć, że księżę zaprosił kilka osób na jutrzejszą wieczerzę po pasterce, którą odprawi proboszcz Begherii w tutejszej kaplicy. Znasz pokrętny umysł

księcia, toteż muszę powtórzyć radę, której ci udzieliłem, kiedyś tu przybyli: bądź ostrożny. Wystrzegaj się osądzania tego, co zobaczysz, & wzbudzania czyjegokolwiek gniewu niewczesnymi poczynaniami, a cokolwiek będzie się działo, powtarzaj sobie, że twoje grzechy biorę na siebie. Robię to dla dobra Kościoła. Jeśli się pomylił, sam poniosę karę.

Przerażony tymi słowami zapewniłem mistrza, że może mi zaufać & że prędzej umrę, niżli cokolwiek uczynię wbrew jego zaleceniom.

- Pocziwy z ciebie człowiek - rzekł Kircher, gładząc mnie po włosach - & wart jesteś więcej niż ja. Ale przygotuj się na najgorsze, chłopcze, & nie zapominaj: gra idzie o ratowanie Kościoła.

Po czym uklęknął & modliliśmy się przez dwie godziny bez przerwy.

Ranek 24 grudnia był szary & zimny, tak że w całym domu rozpalono w kominkach. Kucharze przystąpili do pracy, słudzy bez ustanku krążyli między domem a bramą posiadłości, skąd wracali objuczeni wiktuałami, cały pałac zdawał się ogarnięty gorączką przygotowań do świąt. Przez cały dzień nie widziałem księżnej Aleksandry, zajętej widać doglądaniem wszystkiego. Kircher gwarzył z księciem w bibliotece. Ja natomiast oddałem się medytacjom o Narodzeniu, szykując się, by jak najlepiej uczcić nadejście Pana.

Zdołałem osiągnąć wewnętrzny spokój, kiedy późnym popołudniem mistrz przyszedł po mnie.

Goście już przybywali. Niektórzy zbierali się grupkami w różnych salonach pałacu. Ponieważ salę balową już otworzono, zajrzałem tam & widok wstrząsnął mną do głębi: otóż wyobraź sobie, Czytelniku, okazała rotundę, której sufit w kształcie kopuły pokryto setkami zwierciadeł umocowanych jedne do drugich tak, że tworzyły powierzchnię wklęsłą. Zwisało pod nią pięć wielkich kryształowych żyrandoli z mnóstwem świec. Ściany wyłożone były kompozycją marmurów prawdziwych oraz ich doskonałej imitacji, a w niszach ustawiono pokryte polichromią popiersia najsłynniejszych filozofów starożytności. Nad wejściem, we wnęce okazalszej niż pozostałe, księżę kazał umieścić popiersie własne & swej małżonki, a także dewizę następującej treści: „Odbity w osobliwej wspaniałości kryształów, podziwiajcie, o śmiertelni, obraz ludzkiej niedoskonałości!”. Zobaczyłem także liczne freski w kształcie blazonów, a w nich rozmaite maksymy w rodzaju

tych, które odgadywał Kircher tuż po naszym przybyciu tutaj. Podłoga, wykonana techniką markieterii z mahoniu & drewna różanego, błyszczała niewiarygodnie. Wszystko to jednak było w nie najlepszym



guście: za dużo w tym było ostentacji, a za mało prawdziwego piękna. Jednakże zwierciadła, odbijające w nieskończoność barwy, światła & ruch, stwarzały atmosferę iście magiczną. Cichutko przygrywała nieduża orkiestra, której członkowie przebrani byli za postacie z tragedii rzymskiej.

Kiedy księżę nas spostrzegł, drobnym kroczkiem czym prędzej przydreptał do nas & poprosił o ciszę, przedstawił Kirchera zgromadzonym: to nowy Archimedes, chwala swoich czasów, on zaś ma zaszczyt gościć go & mienić się jego przyjacielem. Rozległy się tu & ówdzie dyskretne oklaski, po czym goście wrócili do przerwanych rozmów. Usiedliśmy na jednej z ławek ustawionych w sali & księżę zaczął opowiadać o gościach na ten wieczór zaproszonych.

Był tam więc imię La Mothe Le Vayer słynący ze swoich dialogów wzorowanych na starożytnych; hrabia Manuel Cuendias de Teruel y de Casa-Pavôn; Denys Sanguin de Saint-Pavin, którego poprzedzała reputacja człeka rozwiązłego; Jean-Jacques Bouchard, zatwardziały libertyn; a także kilku poetów & uczonych oraz mrowie dam & drobnej szlachty, których tytuły rodowe bez wątpienia zmogłyby najodporniejszego mistrza ceremonii. Wszystkie te osoby na tyle były księciu bliskie, że darował im swe zwyczajowe szykany.

Kiedy noc już na dobre zapadła, księżę naraz polecił zgasić świece & pozamykać drzwi sali lustrzanej, gdzie nie mówiąc słowa, z palcem na ustach, przedtem nas zgromadził. Ledwie zapadła absolutna ciemność, ukazała nam się Maryja Panna naturalnej wielkości, spowita światłem, jakby płynąca po ścianie. Doskonale widać było błękit jej welonu & karnację twarzy - wyglądała jak żywa! Zewsząd rozległ się pomruk zdumienia. Przerazona księżna złapała mnie za rękę & ścisnęła mocno. O zakład iść mogłem, że mistrz mój maczał palce w owym cudzie, kiedy rozbrzmiał jego głos, spotęgowany niewiarygodnie za pomocą jakiejś nieznannej mi sztuczki & rozchodzący się pod kopułą na wszystkie strony:

- Nie lękajcie się, którzy mnie słyszycie: w tej zjawie nie ma nic, czego nie dałoby się wytłumaczyć prawami natury. Jego wysokość księżę Palagonii, nasz gospodarz, postanowił nas wszystkich przygotować do

świętowania Narodzenia Pańskiego, toteż wdzięczni mu bądźmy za tę wspaniałomyślność...

I zaraz kolejny obraz się pojawił: Maryja & Józef w drodze do Galilei.

Po Narodzeniu & hołdzie Trzech Królów ujrzelśmy w skrócie życie Jezusa. A potem rozległa się unisono muzyka tak przejmująca, że wizerunek Pana Jezusa oddającego ducha na krzyżu wycisnął mi łzy z oczu, jak zresztą większości obecnych. Po wniebowstąpieniu Chrystusa ciemność zapadła na nowo. Muzycy jęli przygrywać jakąś przerażającą melodię, która potężniała, a kiedy osiągnęła szczyt, kiedy instrumenty dęte & bębny zagrzmiały najpotężniej, objawił się Diabeł otoczony ruchomymi płomieniami, rogaty, szpetnie wykrzywiony, aż człowiek truchlał na jego widok!

- Przeciwnik! - ryknął Kircher swym stentorowym głosem, zagłuszając krzyki przerażenia zgromadzonych. - Kusiciel! Upadły Anioł! Niegodziwiec! Okażcie skruchę, grzesznicy, abyście uniknęli jego szponów & mąk, jakie szykuje wam w piekle armia jego demonów! Oto nadchodzą Beydelus, Anamelech, Furfur & Eurynome! Baalberith, sekretarz archiwów zła! Abaddon, anioł zatracenia! Thobema, kuchta Szatana! Philotanus, którego samo imię okrywa sromotą! I dalej Lilith, Nergal & Walefor! Moloch, Murmur, Scox, Empuza & Focalor! Sidragasum, który zmusza do tańca bezwstydnego białogłowy! Belial, rozpustny uwodziciel, Zepar, Szezbet, Nysrogh & Haborym! Precz stąd, Asmodeuszu! A ty, Zafanie, wracaj do swych kotłów! Zjawy & strzygi, czarodziejki, dusze błądzące & wodniki, zejździecie nam z oczu!

Wizerunki wszystkich tych diabłów defilowały przed nami, w miarę jak mistrz mój wymieniał ich imiona, powiększając przerażenie dookoła. Czułem, jak księżna drży u mego boku. Potem ujrzelśmy Piekło przedstawione zaskakująco realistycznie. Nieprzeliczeni nadzy potępieńcy poddawani byli najokrutniejszym torturom & cierpieli męki zadawane tym częściom ciała, którymi zgrzeszyli. Pokazano

tam stosowne kary za wszelkiej maści występki, nie skrywając niczego z udręk czekających grzeszników w zaświatach. O ile jednak wyobrażenia diabłów wywarły wrażenie na widzach, o tyle obrazy występków & kar zdawały się ich zwyczajnie ekscytować. Oburzony parsaniem & śmiechami, którem słyszał wokół, wszędzie widział tylko uśmiechnięte oblicza, a ten & ów pozwolił nawet rękom...

Wkrótce wszakże, gdy muzycy znakomitym akordem podkreślili ostatni obraz mąk piekielnych, Atanazy poprosił zgromadzonych, by odmówili wraz z nim „Anima Christi”. Tekst tej pięknej modlitwy pojawił się natychmiast na ścianie, przełożony zdanie po zdaniu na siedem języków.

*Duszo Chrystusowa, poświęć mię,  
Ciało Chrystusowe, zbaw mię,  
Krwi Chrystusowa, napój mię,  
Wodo Boku Chrystusowego, obmyj mię,  
Męko Chrystusowa, umocnij mię,  
O dobry Jezu, wysłuchaj mię,  
W ranach Twoich zachowaj mię...  
Nie dopuszczaj mię odłączyć się od Ciebie,  
Od nieprzyjaciela złośliwego broń mię,  
W godzinę śmierci zawołaj mię,  
A rozkaż mi przyjść do siebie,  
Bym Cię wiecznie chwalił w niebie,  
A ja z całej duszy mojej  
Będę wielbić Imię Twoje,  
Z Świętymi Twojemi na wieki wieków.  
Amen.*

Żarliwość, z jaką obecni odmówili w całości modlitwę, emocje, które tłumili głosy rozbrzmiewające pod zwierciadlaną kopułą, z całą pewnością były dla Atanazego najpiękniejszą nagrodą.

## **NA RZECE PARAGWAJ**

*Z dziką rozkoszą między brzegami  
najeżonymi soczyście zieloną dżunglą...*

Kilka rozrzuconych na stole w mesie książek z dziedziny mikropaleontologii, pięć czy sześć egzemplarzy korumbeli, lupa hafciarska i przybory rysunkowe bez trudu stworzyły znajomą atmosferę pracy. Mauro po raz enty czytał komunikat Dietleva dla Brazylijskiej Akademii Nauk.

- A pan ciągle pracuje? - usłyszał za plecami głos Elaine.

Pokręcił głową z uśmiechem.

- Niezupełnie... Tak się zamyśliłem. Dopiero tydzień jesteśmy na statku, a mnie się zdaje, jakbym mieszkał tu zawsze. Czuję się trochę tak, jakbyśmy płynęli donikąd i mieli nigdy nie wrócić.

- Ja widać jestem mniej romantyczna - rzekła odrobinę kpiąco - bo chcę jak najszybciej dotrzeć do celu. Bóg wie, co tam zastaniemy. Skamieniałość, którą Dietlev miał w rękach, jest na oko dużo starsza od korumbeli. Jeśli znajdziemy złożę, prawie na pewno odkryjemy inne okazy równie stare. A to będzie oznaczało rewolucję w paleontologii!

- Wiem, ale to nie przeszkadza cieszyć się chwilą obecną, prawda?

- No tak... carpe diem... Aczkolwiek to dość trudne, jeśli z prysznicą leci stęchła woda i trzy razy dziennie trzeba jeść piranie pod każdą postacią. Poza tym... - zerknęła za siebie. - Poza tym nie podoba mi

się ten Petersen. Jest obrzydliwy, nawet kiedy stara się być miły. Nie mogę go już znieść.

- W tym się zgadzam. Niewiele spotkałem równie antypatycznych ludzi. Doskonale bym się obszedł bez...

Mauro umilkł, rozległ się bowiem stłumiony trzask, po nim kilka kolejnych, aż zadźwięczały metalowe ścianki statku.

- Co to było? - zapytała Elaine czysto odruchowo.

Mauro nie odpowiedział, lecz po jego oczach odgadła, że on także rozpoznał ten dźwięk: strzały z karabinu maszynowego. Poderwali się bez słowa i wybiegli na pokład. Prerażone ptaki wciąż jeszcze wypryskiwały z dżungli niby pierze z rozprutej poduszki.

- Padnij! - krzyknął do nich Milton rozplaszczony na brzuchu przy relingu. - Strzelają!

- Bez paniki, *senhor professor* - rozległ się spokojny głos Petersena wychodzącego ze sterówki. - Nie strzelali do nas, tylko przed nas. To znak od przyjaciół z Paragwaju. No już, niechże pan wstanie... Zaraz z nimi pogadam i wszystko będzie dobrze, zobaczycie. To kwestia jakiejś godzinki... Nie martwcie się - dodał jeszcze, mijając Elaine i Maura - jesteście pod moją opieką. Zachowajcie spokój, a nic wam się nie stanie. Biorę łódź, to nie potrwa długo.

- Mam z tobą popłynąć? - zagadnął naraz poważnie Dietlev.

Herman odwrócił się z takim zniecierpliwieniem na twarzy, jakby w życiu nie usłyszał głupszego pytania.

- A pewnie, zapraszam na herbatkę, ucieszą się, że mogą cię poznać... Trochę powagi, z łaski swojej. Pomóżcie lepiej temu indiańskiemu ciemniakowi utrzymać kanonierkę w nurcie. Tutaj nie można rzucić kotwicy, dno jest zbyt muliste.

Nie zwlekając dłużej, Petersen poszedł na rufę. Śledzili go wzrokiem, gdy okraczał reling, by wejść na pokład łodzi, potem usłyszeli warkot uruchomionego silnika. Łódź pneumatyczna wychynęła po chwili na ich wysokości, z dużą prędkością płynąc w górę rzeki, ku niewielkiej ławicy skrytej pod płataniną namorzynów. Petersen przybił do brzegu, niedbale przycumował łódź i znikł nagle jak pochłonięty przez gęstwinę poszycia.

- Gdzie byłeś? - spytała Elaine Dietleva.

- W sterówce z Hermanem i Yurupigiem.

- Czy ktoś może mi wytłumaczyć, co tu się dzieje? - wtrącił zirytowany Milton, wciąż jeszcze poblady ze strachu.

- Takie tam... p o ł u d n i o w o a m e r y k a ń s k i e sprawy, naprawdę - odparł Dietlev lekkim tonem.

- W okolicy są myśliwi, Paragwajczycy, którzy przemycają skóry krokodyli. Wiem, że dorabiają też w kokainie. Nasz kochany kapitan załatwia z nimi teraz własne interesy, i dopóki nie będą kolidowały z naszymi, nic nam do tego.

- Skóry krokodyli! - oburzył się Mauro. - A to gnoje!... I nikt nic nie robi, żeby to ukrócić?

- W zasadzie nie. To zawodowcy: jakieś dwa, trzy lata temu zrzucono ich tu na spadochronach. Wykarczowali kawałek lasu, żeby zbudować lądowisko dla swoich piperów, i wzięli się do roboty. Polują z kałasznikowów, skoro chcecie już wszystko wiedzieć. A odkąd kilka statków, w tym kuter straży granicznej, zdrowo oberwało z cekaemów, nikt się w te strony nie zapuszcza. W każdym razie nikt uczciwy. A ponieważ umieją hojnie posmarować lokalnym władzom, nieprędko się to zmieni.

- Nie do wiary! W głowie się nie mieści!... - jęknął Milton. - I pan nas tutaj przywiózł? A w ogóle skąd pan wie to wszystko?

Dietlev zawahał się, nim odpowiedział. Króciutko, wystarczyło jednak, by Mauro zauważył, że nie mówi całej prawdy.

- Oczywiście od Petersena. Wiedział tylko, że wkroczyliśmy na teren, który tamci kontrolują. Tutaj krajobraz błyskawicznie się zmienia, tak że

praktycznie po tygodniu konkretny punkt jest nie do poznania. Kiedy ustalałem warunki z Petersenem, zaznaczył, że w tej okolicy będzie miał do zabrania parę paczek...

- Ale chyba mógł nas pan przynajmniej o tym uprzedzić, nie?

- Nie sądziłem, że gospodarze tego terenu objawią się tak... hałaśliwie. A nie było ostatecznie powodów do obaw. I nadal nie ma i nie będzie. Kiedy Petersen wróci, popłyniemy dalej. Nie mamy przecież obowiązku bawić się w policję, prawda? Dlatego teraz spokojnie sobie poczekamy, nie narzekając po próżnicy. - I z miłym uśmiechem zaproponował: - Może przygotujecie drinki dla wszystkich? Ja zajrzę do Yurupiga, jak sobie radzi...

- Momencik - odezwała się Elaine dziwnym głosem. - A może mi ktoś powiedzieć, co to jest?

Wszystkie spojrzenia skupiły się na miejscu, które wskazywała: w odległości około stu metrów za statkiem, tam gdzie koryto rzeki mocno się zwężało, z jednego brzegu na drugi przerzucono pień drzewa.

Leżał w poprzek rzeki zupełnie bez sensu, wyrażając milczącą groźbę - i uniemożliwiał wycofanie się w dół Paragwaju.

Ponieważ Yurupig nie potrzebował pomocy w sterówce, zebrali się w mesie, aby ogarnąć sytuację. Dietlev na satelitarnych mapach, które ze sobą zabrał, pokazał im, gdzie dokładnie się znajdują.

- Znaczyłem regularnie nasze położenie - wyjaśnił. - Tutaj jest przewężenie koryta, a tu, trochę na północny wschód, ta biała plama... to prawdopodobnie lądowisko dla samolotów. W zasadzie jesteśmy o jakieś trzy dni drogi od naszego celu... Podsumujmy więc: Petersen odpłynął ponad godzinę temu, a zawrócić się nie da, co jest raczej niepokojące, przyznaję, nawet jeśli chodzi wyłącznie o zwykły środek zapobiegawczy...

- Zwykły środek zapobiegawczy? - powtórzył Milton będący u progu hysterii. - Też coś! Jesteśmy w pułapce, a pan będzie nam tu opowiadał o „zwykłym środku zapobiegawczym”?!?

Dietlev z widocznym wysiłkiem starał się zachować spokój.

- Ależ Milton, niechże pan się zastanowi! Tamci identyfikują statek Petersena, nie wiedzą jednak, kto jest na pokładzie. Na pewno znają swojego kumpla i wiedzą, czego się po nim spodziewać. Mógłby ich przecież

sprzedać i przywieźć tutaj policję czy nawet wojsko. Co by pan w tej sytuacji zrobił na ich miejscu? Oni są dobrze zorganizowani, przecież od tego zależy ich życie.

- A jeżeli Herman nie wróci? - spytała beznamietnie Elaine.

- Wróci! W najgorszym razie tamci się tu zjawią. Tak czy owak nic nie możemy zrobić, więc tym bardziej nie warto straszyć się nawzajem. Jutro będziemy się z tego śmiali...

- Jesteśmy na ich łasce - upierał się Milton - a pan co?... Pan to lekceważy! Za to ja nie! To wszystko pańska wina, Dietlev! Uroczycie obiecuję, że po powrocie załatwię pana na cacy! Wyleci pan z uczelni!

- Całe szczęście! Skoro dopuszcza pan myśl o powrocie, znaczy, że nie jest pan taki kompletnie głupi... A co do zmiany uczelni, nie czekałem, aż pan o tym za mnie pomyśli: proponują mi objęcie katedry w Tybindze i w Harvardzie. Tak że mam kłopot z wyborem... I gotów jestem na wszystko, byle nie oglądać dłużej pańskiej gęby starego szympansa!

- Dietlev, proszę! - wtrąciła się Elaine przerażona, że rozmowa przybrała taki obrót.

- Wiem, wiem... - zgodził się niechętnie. - Ale naprawdę mam go już po dziurki w nosie.

- Wszystko powtórzę komu trzeba, obiecuję! Znam rektora i szczycę się...

- Czym?! - wybuchnął Dietlev, łapiąc go za gardło. - Czym się pan szczyć? Powiedz pan jeszcze choćby słowo, a jak trzasnę...

Milton aż się spocił ze strachu i okulary zaszły mu mgłą. Bełkotliwie powtarzał tylko: „No nie, no nie...”. Dietlev ze wzgardą pchnął go na ławkę.

- Idę zaczerpnąć świeżego powietrza - rzekł do Elaine i uspokajająco mrugnął. - Nie przejmuj się

mną. Dawno już miałem ochotę wygarnąć temu kretynowi, co mi leży na wątrobie.

- Idę z tobą. Tutaj faktycznie zalatuje stęchlizną.

- Widział pan?... Widział pan? - powiedział Milton do Maura. - Będzie pan świadkiem, prawda? Ten cham podniósł na mnie rękę, obraził mnie!

Mauro bez pośpiechu nałożył na uszy słuchawki walkmana.

- Widziałem, że zdołał... muszę przyznać, bardzo taktownie i skutecznie... uspokoić profesora uniwersytetu, który dostał ataku nerwowego niegodnego człowieka na tym stanowisku. Ale niewiele słyszałem prócz pogrózek, którymi go pan obrzucił. Wie pan, walkman...

- Pan też... pan jest po ich stronie! Pan pozwoli, młodzieńcze, zwrócić sobie uwagę, że nie...

Elaine wsunęła głowę przez wąskie drzwi.

- Jeśli pan ciekaw - zwróciła się do Milтона - Petersen właśnie wsiada na zodiak. Niech pan więc zostawi chłopaka w spokoju i przyjdzie pogodzić się z Dietlevem. Jak mi się zdaje, winien mu pan jest przeprosiny...

Kiedy Milton wyszedł na pokład, Herman wciąż był jeszcze na brzegu w towarzystwie trzech mężczyzn. Dietlev obserwował ich przez lornetkę.

- Wygląda mi na to, że jest jakiś problem - rzekł, nie odwracając oczu od sceny na brzegu. - Wszyscy są wyraźnie podenerwowani...

Elaine знаła go dobrze - nigdy by nie okazywał takiej obojętności, gdyby nie był naprawdę przejęty. Ogarnął ją naraz strach. Po raz pierwszy od wyjazdu z Corumby.

- Problem!... Jaki problem?... - dziamotał już Milton. - Wiedziałem... wiedziałem, że to się źle skończy...

- Ucisz się pan, do cholery! - rozkazał Dietlev, nadal nie odrywając oczu od lornetki. - No, wsiada na łódź... to znaczy, w s i a d a j ą ... Petersen nie jest sam, płynie z nim jeden z tych ludzi... - Odwrócił się do Milтона. - Uzbrojony - dodał sucho, patrząc mu prosto w oczy. - Wszyscy mają zachować spokój. Żeby nikt nie zrobił jakiegoś głupstwa, bo chwila zupełnie nieodpowiednia.

- Dajcie mi dwie minutki, potem wszystko wam wytłumaczę - poprosił Herman, ledwie wszedł na pokład.

- Wszystko gra, nic się nie bójcie. Tak się tylko pechowo złożyło...

Pocił się i był wyraźnie zmartwiony mimo alkoholu, który ewidentnie w siebie wlał.

Towarzyszący mu mężczyzna miał wygląd oprycha, jakich widuje się czasem na amerykańskich motocyklach: wąsaty, nieogolony, przetłuszczone włosy przewiązane opaską, która zasłaniała czoło, zupełnie swobodny w obszarpanym drelichu. Przez pierś miał przewieszony skórzany pas z przegródkami. Trzymając na wysokości brzucha karabin maszynowy, z zadowoloną miną oglądał każdego z pasażerów z osobna, jakby sprawdzał, czy

nie został oszukany. Na Elaine zatrzymał wzrok dłużej i uśmiechnął się ze znanstwem, odsłaniając nieskazitelne uzębienie drapieży.

- *Put a madre!* - rzekł ochrypłym głosem, odruchowo sięgając ręką do przyrodzenia.

Upokorzona Elaine odwróciła oczy na rękę.

Nikt nie potrafiłby powiedzieć, jak długo trwała „inspekcja”, wszystkich bowiem zmroziło aroganckie zachowanie tego indywiduum. Elaine pamiętała później tylko bijącą od niego silną woń dzikiego kota.

- A Indianin? - spytał po hiszpańsku.

- Przy sterze - odparł Herman, wyraźnie starając się uspokoić mężczyznę. - Nie bój się, *amigo*, nikogo więcej tu nie ma.

- No dobra, idź przodem - polecił, zaciskając ręce na kałasznikowie. - Zrobimy sobie obchód.

Poprzedzany przez Hermana wszedł pod pokład ze wzgardliwą wręcz pewnością siebie.

Milton był załamany. Stał z wytrzeszczonymi oczami, czyhając na choćby jedno słowo otuchy czy pocieszające spojrzenie. Dietlev myślał gorączkowo, choć bez szczególnych efektów. Próbował przeanalizować sytuację, zrozumieć jej uwikłania, jakby to był problem natury naukowej, nie potrafił jednak wyrzucić z głowy jakichś zupełnie idiotycznych obrazów, które mąciły mu myśli; najbardziej natargiwie trzymał się go widok kufla, do którego nalano zbyt dużo piwa i piana bez ustanku spływa na kontuar... Elaine natomiast czuła nieprzepartą potrzebę odwiedzenia toalety, lecz paraliżowała ją z jednej strony niechęć do przyznania się do tej słabości, z drugiej zaś obawa, że nie wytrzyma, koncentrowała się zatem na swoim pęcherzu, nie zważając już na nic innego.

Po części z brawury, po części z beztroski Mauro włączył walkmana i oparty plecami o reling, ze wzrokiem utkwionym w Milтона, podśpiewywał zapamiętałe.

Wreszcie na pokładzie zjawił się Petersen i szybkim krokiem podszedł do Dietlewa.

- To nie moja wina - zapewnił - naprawdę. Samolot im się zepsuł i nie mogą go naprawić. Chcą, żebyśmy zawieźli mechanika do Cáceres, bo musi kupić części do wymiany. Tam jest lotnisko.

- Do Cáceres?... - wykrzyknął Dietlev. I natychmiast wyobraził sobie górny bieg rzeki rozwidlającej się w odległości kilkunastu mil. - Ale przecież to nie po drodze! Właściwie w zupełnie innym kierunku!

- Wiem - przyznał Herman z zakłopotaniem. - Proszę, nie komplikuj. Przysięgam, że wszystkiego próbowałem. Proponowałem nawet, że najpierw was dowiozę w umówione miejsce, zostawię tam i w drodze powrotnej z Cáceres zabiorę, ale w ogóle nie chcieli o tym słyszeć. Im się spieszy. B a r d z o im się spieszy, rozumiesz - dodał znacząco.

Dietlev miał świadomość, że trzeba będzie z powrotem przywieźć tutaj mechanika. Ta nieoczekiwana perspektywa sprawiła, że runęły jego ostatnie nadzieje na pomyślnie odbycie wyprawy. W najlepszym razie, i to licząc jedynie trzy dni w Cáceres na zakupienie potrzebnych części, co było absolutnym minimum, tutaj znajdują się na powrót w terminie, kiedy w ogóle powinien się kończyć ich pobyt w Mato Grosso.

- To czyste piractwo! - mruknął. - Zdajesz sobie sprawę, co to oznacza? Rok przygotowań diabli biorą przez tych pieprzonych drani...

- Nie mogłem tego przewidzieć, *amigo*, przysięgam!

- I nic nie da się zrobić? Sam nie wiem... Może zaproponować, że im zapłacimy, byle zgodzili się najpierw nas odstawić...

- Chcesz im płacić? - szczerze zdumiał się Petersen. - Ocipiałeś!... Przecież oni są tysiąc razy bogatsi od ciebie, dosłownie śpią na forsie! Nie rozumiesz, Dietlev, jakie to szczęście, żeśmy w ogóle uszli dotąd z życiem? Oni mają gdzieś was, wyprawę i te wasze pierdolone skamieliny!

- Trzeba zrobić, co każą, koniec, kropka! - oświadczył do cna przerażony Milton. - Mam dość... tego wszystkiego! Odwołuję wyprawę, słyszycie?! W Cáceres kupimy bilety na samolot... Odwołuję wszystko!

- Samolot?... Jaki samolot? - rozległ się szydery głos Paragwajczyka. Postawił na pokładzie przed sobą karton wypełniony konserwami i butelkami. - A paniusia gotowa? Pewnieś jej jeszcze nic nie powiedział, co? Ech, ty cykorze... No już, zwijaj się, trza przywieźć mechanika.

- Zlituj się, Hernando!... - prosił Petersen płaczącym tonem. - To naprawdę niepotrzebne, dałem przecież słowo. Przywiozę ci chłopaka, choćby nie wiem co. W końcu i tak muszę tędy płynąć...

- Herman?!... - zagrzmiał Dietlev i powtórzył ciszej, jakby się domyślił, co mu odpowie stary Niemiec. - Herman?...

- Chcą mieć panią profesor, póki nie wrócimy. Jako gwarancję...

- Nie ma mowy! - zawołał Dietlev bez zastanowienia. I dodał, zwracając się do Paragwajczyka: - Zawieziemy waszego człowieka do Cáceres, a nawet do Cuiaby, jeśli będzie trzeba, ale ona zostaje z nami, rozumiesz?

- Dość tego - oświadczył Hernando, celując z broni do Dietlewa. - Herman, ładuj zapasy na łódź. A

ty, *guapa*, pospiesz się z wsiadaniem. I nie bój się, nie będzie ci źle z nami... - W jego oczach pojawił się pożądlivy błysk, który jasno mówił, jak to „dobrze” będzie jej na brzegu.

Elaine osunęła się i usiadła na pokładzie ze ściśniętymi nogami, kręcąc głową z prawa na lewo, niezdolna inaczej wyrazić, że za nic w świecie nie chce z nim jechać.

Mauro odważnie stanął przed Paragwajczykiem.

- Ona nie jedzie - oświadczył drżącym głosem. - *No venga, non viene!* W jakim języku mam ci to powiedzieć? Zabierz mnie, skoro potrzebujesz zakładnika!

- A to kogucik! I to z jajami!... - rzekł Hernando z uśmiechem. - Podobasz mi się...

I zniecka wymierzył mu potężny cios kolbą broni. Mauro osunął się jak szmaciana lalka.

Dietlev poderwał się z zaciśniętymi pięściami.

- No przecież ten pan mówi, że nic jej nie zrobią! - pisnął Milton, przytrzymując go za rękę. - Elaine zostanie u nich, prawda, Elaine? Niech mu pani powie, że zostanie... Widzieliście, że on nie żartuje!

- Ty szuj! - Dietlev plunął Miltonowi w twarz.

Hernando przystawił mu lufę kałasznikowa do szyi.

- Nie stawiaj się, waźniaku! No już, paniusiu! Wsiadać albo odstrzelę mu łeb!

Chociaż Elaine bardzo się starała, nie potrafiła stanąć na nogi. Ruszyła w ich kierunku na czworakach i wtedy naraz silnik ryknął na maksymalnych obrotach, a kanonierka skoczyła do przodu.

Hernando straciwszy na moment równowagę, natychmiast pojął, co Yurupig chce zrobić.

- Zabije nas ten skurwiel! - wrzasnął i runął w kierunku sterówki.

W tej samej chwili Dietlev zorientował się, że statek ukosem zmierza ku brzegowi rzeki. Nie przejmując się innymi, on również popędził do sterówki.

Był już niemal u szczytu trapu, gdy kanonierka zmieniła kierunek, znów płynąc ku głównemu nurtowi rzeki. Kątem oka dostrzegł wtedy pomarańczowy błysk i równocześnie na ryk silnika nałożył się łoskot jakby gromu, w którym z wrzawą wojenną mieszał się zgiełk podniesiony przez małpy. Dietlev padł na pokład, osłaniając głowę rękami. Poczul, że jego noga dziwnie jakoś przywiera do metalu, dosłownie zlewa się z nim. Instynktownie spróbował ją ułożyć w bardziej naturalnej pozycji i zdziwiony, że w ogóle go nie słucha, stracił świadomość.

Petersen zdumiony tym, co zrobił Yurupig, pognał na mostek, gdy tylko się zorientował, że statek płynie dalej i mimo interwencji Hernanda zaraz przekroczy niewidzialną granicę wytyczoną przez myśliwych. W oszołomieniu, ogarnięty przemożnym uczuciem, że już to kiedyś widział, oglądał sceny jak z najgorszego koszmaru: Milton wymachuje rękami, pokrzykuje błagalnie, aby przerwano ogień, i podskakuje w miejscu, próbując uniknąć wystrzeliwanych seriami pocisków; czerwone plamy na jego garniturze z linonu; Elaine na czworakach, z zamkniętymi oczami, traci kontrolę nad pęcherzem, ma wyraz twarzy świętej, która doznała objawienia.

Pod ostrzałem z karabinów maszynowych „Posłaniec Wiary” mknął niewzruszenie po rzece, tnąc jej wodę z dziką rozkoszą między brzegami najeżonymi soczyście zieloną dżunglą.

*Z notatnika Eleazarda*

METAFIZYCZY Z TLÖNU: Kircher jest jak oni, nie szuka prawdy ani nawet prawdopodobieństwa, szuka zadziwienia. Nigdy nie przyszło mu na myśl, że metafizyka jest gałęzią literatury fantastycznej, lecz całe jego dzieło należy do fikcji, a zatem również do Jorge Luisa Borgesa.

FUNDAMENTALNA BLISKOŚĆ śmierci, natychmiastowe rozpoznanie piekła rzemieślnika, w którym się miotam.

SMOKI: Skoro Bóg jest doskonałością, dlaczego zatem, zastanawia się Kircher, stworzył te hybrydowe istoty, które zdają się stawiać pod znakiem zapytania naturalny porządek rzeczy? Jakie jest znaczenie tych odstępstw, odchyłeń od normy? Bóg w ten sposób manifestuje swoją wszechmoc: cokolwiek stworzył, może to zniszczyć; cokolwiek uporządkował, może porządek zakłócić. Chociaż od tak dawna doświadczenie nas uczy, że kamień wyrzucony do góry spada na ziemię, nie ma gwarancji, że pewnego dnia nie zniknie w chmurach, taki bowiem będzie kaprys Boga, kiedy zechce nam przypomnieć, że to On stanowi o wszystkim.

Samo to pozbawia Kirchera wszelkich pretensji do wiedzy: on wybrał wiarę w niewiarygodne, wierzy systemowo, ponieważ to jest absurdalne, a tak właśnie powinien wierzyć człowiek prawdziwie wierzący.

WIARA W ŚWIAT wykreowany ku uciesze ludzi i uciechy nie tylko chwilami. Kircher ma wrodzony zmysł dramaturgii, umiejętność „quasi-borrominiańską oszałamiających asymetrii”. Elastyczną wizję rozsądku, skłonność do malowniczości, do reminiscencji, porywy wyobraźni, upodobanie do surowych form życia, do machinerii scenicznej, iluzji: Kircher jest barokowy, po prostu barokowy (*Barocchus tridentinus, sive romanus, sive jesuiticus...*).

SERTÃO to zniekształcone *deserto*: pustynia. Nazywają go też Interiorem. *Sertanejo*: ten kto zamieszkuje pustynię, kto sam jest pustym...

DODACЬ OBJAŚNIENIE do „machiny anemicznej” (*machina anémica*) wymyślonej przez Kirchera. Machiny nieskutecznej, lecz łaskawej. Nieskutecznej w swojej łaskawości? W każdym razie czyni Kirchera bardziej ludzkim.

NIEZBĘDNE URZĄDZENIA:

- do szczotkowania małą
- do lizania mydła
- do odzyskiwania energii ze stosunku płciowego
- do szybszego starzenia
- do opóźnienia tysiąclecia
- do pociemniania albinosów
- do studzenia herbaty
- do degradowania wojskowych.

UWAGA. Skoro już się mylić, to przynajmniej precyzyjnie! Kircher i jego współcześni szczerze dają naszemu światu 4000 lat; równocześnie potomkowie Majów liczą jego wiek w milionach lat, a Indusi kolejne cykle stworzenia po zsumowaniu kalkulują na 8,64 miliarda lat...

## ROZDZIAŁ X

*Gdzie słowo w słowo przytoczone są gorszące  
konwersacje gości księcia & rozmaite  
sprośności, które wystawiły Caspara Schotta  
na groźbę potępienia...*

**K**iedyś wrócili do sali balowej, ujrzeliśmy wielki stół nakryty pod naszą nieobecność. Kirchera



poproszono, aby zajął miejsce honorowe, na wprost księcia, ja zaś rad byłem, siadając po lewicy jego małżonki. I zaczęliśmy biesiadować. Opisanie wszystkich potraw, którymi nas uruczono, przerasta skromne możliwości mojej pamięci. Zwłaszcza żem przede wszystkim baczył na to, co mówił mistrz mój & księżna. Pamiętam wszakże, że podano mnóstwo owoców morza, langusty & małże, a także kilka rodzajów drobiu & dziczyzny, z czym biesiadnicy uporali się bez trudu. Jako żem nie tykał niczego na swoim talerzu, by nie ulec grzechowi łakomstwa, mistrz napomniiał mnie łagodnie, mówiąc, że mamy święto & że nic złego nie ma w tym, abyśmy radowali się & ciałem, & duchem z narodzin Pana. Wyznam, żem skwapliwie skorzystał z tego zalecenia & nie wzgardził tego wieczora poczęstunkiem. Ledwie w kielichach pokazywało się dno, słudzy niezwłocznie napełniali je znowu, migotały kryształy, cały stół rozbrzmiewał śmiechem & słowami, którymi się przerzucano; księżna z wdziękiem rozprawiała żartobliwie, ja zaś nigdy nie przypuszczał, przybywając do tej posiadłości, że taki szczęśliwy będę.

Rozmawiano o błahostkach & za każdym razem zwracano się do Kirchera, by albo usłyszeć odeń ostatnie słowo w danej kwestii, albo przynajmniej uzyskać miarodajną opinię człeka światłego. Wywiązała się swego

rodzaju gra między biesiadnikami: wygrywał ten, kto bronił opinii, którą mistrz mój następnie potwierdził - & to był powód do największej chwały... Jako że obfitość potraw do tego skłaniała, porównywano rozmaite zalety poszczególnych pokarmów oraz osobliwe zwyczaje ludów dawnych & egzotycznych. La Mothe Le Vayer przypomniał, że mięsiwa wystrzegali się pitagorejczycy, nie jadają go też brahmani ze Wschodu, którzy nie tykają nawet trawki, jeśli nie uschła, a to z tego powodu, że duszę ma wszystko, co jest zielone; podobnie Rhizofagowie, Spermatofagowie, Hylofagowie & afrykańscy liściożercy, którzy żywią się wyłącznie korzonkami, nasionami, liśćmi albo czubkami roślin & potrafią skakać z gałęzi na gałąź zręcznie niczym wiewiórki. Można przeczytać u Mendesa Pinta, ozwał się ktoś, że mięso osłów, psów, tygrysów & lwów sprzedawane jest w jatkach w Chinach & w Tartarii. A Pliniusz, rzekł kto inny, powiada, że Makrobowie zawdzięczają swą długowieczność temu, iż żywią się wyłącznie żmijami, co poniekąd naśladują niektórzy europejscy wielmoże, każąc żmijami karmić drób trafiający następnie na ich stół. A cóż powiedzą waszmościowie, podchwycił Kircher, o Kynamolgach żywiących się tylko mlekiem suk, które ssają? O Struthofagach Diodora Sycylijskiego, którzy raczą się strusiami, o Akridofagach & ich szarańczy czy też o wspomnianych przez Strabona azjatyckich Ftejrofagach - będących być może tym samym co Budynowie u Herodota - którzy ze smakiem zjadają własne wszy?

Panie z odrazą pokrzykiwały, słuchając o takich obyczajach, lecz najgorsze przyszło, gdy La Mothe Le Vayer zaczął rozprawiać o androfagach...

Ludzie ci, którzy mienili się filozofami, wykazywali się dobrą znajomością klasyków. Ze wszech stron powoływano się na autorów starożytnych, a & damy nie zostawały w tyle, ze znanstwem broniąc swojej płci. Jedyne księżna milczała. Spozstrzegalem jej rumieniec, ilekroć w mowie przybliżano się do granic przyzwoitości, toteż przyciskałem nogę do jej nogi, aby dać jej do zrozumienia, że podzielam jej zakłopotanie & równie jak ona to potępiam.

Stwierdziwszy, że miłość jest namiętnością, a namiętność ową zaspokoić można bądź samodzielnie, bądź z czyjąś pomocą, imć Jean-Jacques Bouchard wdał się w analizę dygotania nerwów zwanego „masturbacją”, która jest czynem karygodnym, niemniej bronią jej słynne przykłady. Na odsiecz przywołano oczywiście Diogenesa, Zenona & Sekstusa Empiryka, którzy z mocą utrzymywali, iż jedynie owa praktyka gwarantuje niezależność od bliźnich, ale także podawano przykład całego ludu lydyjskiego dopuszczającego się owych niegodnych czynów w biały dzień.

Hrabia Manuel Cuendias, młody Hiszpan o twarzy naznaczonej dziobami po ospie, potępił takie nieuporządkowanie, po to wszelako, aby wychwalać zaraz miłość mężczyzny do mężczyzny. Na poparcie swojej opinii powołał się na całą rzeszę znanych postaci świata greckiego & łacińskiego, które ongi

gloryfikowały to, co dzisiaj uważa się za nieprawość. Olimp zamieszkiwali sami ganimedesi & antinousi, dla Herkulesa liczył się jedynie Hylas albo Tarost, dla Achillesa Patroklos; najwięksi, najbardziej szanowani filozofowie świata nie widzieli poza swoimi miłośnikami: Platon gotów był każdy kaprys wybaczyć Aleksjosowi, Fajdrosowi czy Agatonowi, Ksenofont Kleiniaszowi; Arystoteles wszystko by zrobił dla Hermiasa, Empedokles dla Pauzanasza; Epikur zalecał się do Pytoklesa, Arystyp na kolana padał przed Eurychidesem...

Obecne przy stole panie oburzyły się na takie obyczaje, zauważając, że ludzkość przecie szybko by wymarła, gdyby takie bezceństwa nadmiernie się upowszechniły; miłość najpełniejszą znaleźć można tylko w różnicy płci, nie zaś w androgynii tak wychwalanej przez tego niegodziwca Platona, któremu szło jedynie o usprawiedliwienie swoich występków.

- Gdyby za słuszne przyjąć, co mówicie, panie - podjął książe w ojczystym języku - to prawdziwą miłość znajduje się jedynie ze zwierzętami, gdyż nad waszą płcią mają tę przewagę, że są do was zupełnie niepodobne & nigdy nie filozofują...

Książe powiedział to takim tonem, że trudno było ocenić, czy dworuje sobie czy też mówi poważnie. Jako że jednak na jego twarzy pojawił się uśmiech, biesiadnicy uznali te słowa za żart & dookoła gruchnął śmiech, tymczasem księżna ze łzami w oczach wbijała paznokcie pod stołem w swoją dłoń.

- A & tutaj - ciągnął jej małżonek - mitologia grecka dostarcza nam licznych przykładów zoofilii, że wspomnę tylko Pazyfae & jej byka, Ledę z łabędziem & Apulejuszową matronę z osłem. Przy czym to nic w porównaniu z rzeczywistością. Pierwszy lepszy z naszych pastuchów woli kozy od obcowania z płcią piękną, a w egipskim mieście Mendes, gdzie czczono bożka Pana, kozły powszechnie łączyły się z niewiastami. To praktyka tak

pospolita w Moskwie, że Cyryl Nowogrodzki zapytany, czy można pić mleko & spożywać mięso krowy, którą posiadał człowiek, odpowiedział, że wolno to każdemu z wyjątkiem tego, kto tak zwierzę wykorzystał. W Indiach Wschodnich Portugalczycy jak kobiet używają manatów, z tą rybą także Murzyni z Mozambiku lubią sobie ulżyć, obcując nawet z martwą. Na dodatek o podobnym współżyciu nie można powiedzieć, że to wyłącznie skutek ludzkiego zdeprawowania, ponieważ innymi stworzeniami kierują takie same uczucia & widywano to w naturze. Dość wspomnieć, co powiada Pliniusz o gąsiątku z Argos, które zapłonęło afektem do grającej na kitarze Glauke adorowanej równocześnie przez tryka. Odnotowano także przykre w skutkach zaloty słonia do kwiaciarki w Antiochii oraz wielkiej małpy z Borneo do hiszpańskiego duchownego. Co się tyczy lwów, których miłosne zapały przypadają na początek zimy & wtedy zwierzęta owe są najgroźniejsze, to każdy wie, że zawsze darują niewieście, jeśli podkasze spódnice & pokaże im swoje przyrodzenie...

Znowu rozległy się śmiechy. Zainicjowana przez księcia pogawędka obracała się około uczonych nieprzyzwoitości. Mówiono na przemian o kazirodztwie & miłości zakazanej, przez długą chwilę rozprawiano wyłącznie o występkach Kaliguli, Nerona & Chryzypa, któremu obojętne było, czy miał do czynienia z matką, siostrą czy też córką. Cytowano Strabona, który podaje, że perscy magowie & Egipcjanie czynili tak samo w świątyniach; Ameriga Vespuciego, który utrzymuje, że w całych Indiach Wschodnich pokrewieństwo nie ma znaczenia w fizycznym obcowaniu; cesarza Klaudiusza, który poślubiwszy swą bratanicę Agrypinę, wymógł na senacie zalegalizowanie kazirodztwa... Następnie zaczęto brukać miłość dozwoloną & obyczajność, wymysły, jak powiadano, ludów starych & utrudzonych, ponieważ w ogóle nie występują w Nowym Świecie ani na Dalekiej Północy - tam bowiem chętnie wypożyczają się żonę albo córki gościowi & kopuluje się publicznie, podobnie jak ongiś cynik Krates wyprowadzał swoją Hipparchię na sam środek agory...

Słuchając tego steku bezceństw, które wywoływały u mnie taki sam jak u księżnej rumieniec, bez ustanku błagalnie spoglądałem na mistrza mojego, nie pojmując, jak może zachowywać równie olimpijski spokój. Na twarzy nie drgnął mu ani jeden mięsień; uśmiechał się tylko dobrotliwie, jakby się

przysłuchiwał zwyczajnej pogawędce o błahostkach. Miejscowy proboszcz tej części przyjęcia nie doczekał, już dawno się wymówiwszy podeszłym wiekiem & późną porą. W końcu, kiedym już stracił nadzieję, że Kircher zabierze głos, sprzeciwiając się wygadywaniu takich plugastw, mistrz mój niespodzianie się odezwał:

- Wszystko to, na co się tutaj powoływano, osobiście czytałem & chylę czoło przed wiedzą waszych miłości, ubolewam wszakże, że ani jeden głos się nie podniósł, aby umieścić na należnym miejscu owe występki, których co prawda z dawien dawna się dopuszczano & wciąż jeszcze się szerzą, lecz przecie godne są potępienia. O wszystkich tu obecnych doniosłbym do Świętej Inkwizycji, co jest moim obowiązkiem, gdybym... - Urwał na moment, zimnym wzrokiem omiatając biesiadników. Błękit jego oczu przybladł & ujrzałem, jak kilka osób spośród tych, co z największym uniesieniem dopiero co rozprawiły, ociera czoło złane potem pod wpływem nieprzepartego przerażenia. - Gdybym choć przez chwilę sądził, że istotnie takie jest waszmościów mniemanie. Może jednak nie od rzeczy będzie uściślić kilka kwestii. Otóż im bardziej poszerzam swoją wiedzę, tym słuszniejsze wydaje mi się to, co u Eklezjasty rzekł był najmędrzy ze śmiertelników: „Nic nowego pod słońcem”. Cóż bowiem było? To samo, co znowu będzie. Uporczywe trzymanie się zła, czyli Demona, jest przyczyną wszystkich występków, ponieważ celem Demona jest wyłącznie napełnianie tego świata swoimi bezeceństwami. Wyklęty Budowniczy zawsze wznosi dom ze starożytnego zepsucia. Wykorzystuje wszelkie ścieżki, kusi wszystkich & w każdym wieku. Aby zwieść dusze na pokuszenie & zawładnąć nimi, od wiek wieków wykorzystywał ich ciekawość, po czym za pomocą swoich diabelskich sztuczek & lubieżności doprowadzał je do ruiny. Możemy uznać, że Demon opanował tyłu ludzi, ponieważ zawsze, od zarania czasów, posługiwał się tymi samymi metodami: mam na myśli magię & czary. Doświadczalnie stwierdzamy, że wszyscy bogowie czczeni przez Egipcjan & ich potomków wciąż są bóstwami wielbionymi przez współczesnych barbarzyńców. Zauważamy oznaki przemiany Ozyrysa & Izydy w Słońce & Księżyc, znajdujemy ponadto Bachusa, Herkulesa & Eskulapa, Serapisa & Anubisa, & monstra podobne do egipskich, chociaż adorowane pod innymi imionami. Nawet w Chinach obserwujemy dzieci palone żywcem w imię Molocha, krew przelewana w odrażających ofiarach, otaczanie osobliwą czcią nieprzyzwoitej części ciała, na którą

Grecy mówili φολσς.<sup>1</sup> Barbarzyńcy na Wschodzie adorują niektóre zwierzęta, jakby były bogami, a przykład idący od Egipcjan tak wielki wywarł wpływ na umysły tamtych ludów, że zapełnili swe okolice idolami przypominającymi egipskie. Wszystkie przykłady, które waszmościowie roztrząsali tutaj, to owoc bałwochwalstwa, przerażający wytwór Przeciwnika ludzkiej natury. Demon jest Bożą małpą, jego węzowy ogon ciągnie się, gdziekolwiek objawia się jego duch diabelskiego zepsucia. I choć nie należy zamykać oczu na zniekształcone odbicia, które te zwierciadła ustawicznie nam ukazują, wystrzegajmy się brania ich za rzeczywiste & ujawniajmy występki, który wiedzie wprost do wiecznego potępienia.

<sup>1</sup> Fallus.

Raz jeszcze podziw mnie zdjął, że mistrz mój z taką prostotą & spokojem występuje w obronie naszej wiary & jej świętych zasad. Z rozpaczą myślałem, że nigdy nie osiągnę takiej siły ducha, którą obdarzeni zostają jedynie wybrańcy Boga...

Głowy rozpalone winem, na chwilę powstrzymane przemową Kirchera, na nowo popuściły cugli. Ponieważ jednak wieczerzać skończyliśmy już dawno, księżę poprosił biesiadników, by wstali od stołu, & grupkami rozeszliśmy się po salonach, podczas gdy służba zajęła się uprzątnięciem.

Księżna Aleksandra poprowadziła mnie ku kanapie ustawionej nieco na uboczu. Wymieniliśmy poglądy na temat rozmów słyszanych wcześniej przy stole, wyraziliśmy na głos dezaprobatę, którą jużesmy przedtem podzielili się gestami, po czym pogawędka zesła znowu na muzykę & piękno. Jako człek nienawykły do używania wina w takich ilościach jak owego wieczoru, umysł miałem nieco zmacony & niewiele z tego zapamiętał, jedynie miłe uczucie rozkosznej wspólnoty & idealnie zgodnych

opinii. Później, kiedyśmy raz jeszcze porównywali zalety Williama Byrda & Gesualda, księżna oświadczyła, że chciałaby mi pokazać partyturę motetu, którego nie znał & którego niepodobna czytać, stwierdziła, nie słuchając najwspanialszej na świecie muzyki. Skwapliwie zatem udałem się za nią do oddalonej nieco alkowy, gdzie trzymała nuty. Ledwieśmy weszli, księżna zamknęła drzwi na klucz, dwakroć go przekręcając, aby nikt nam nie przeszkodził. Przyklasnałem tej idei mile polecthany, że pani tego domu takie upodobanie znajduje w moim towarzystwie. Bez trudu znalazła rzeczony zapis nutowy & usiedliśmy obok siebie.

Partytura istotnie urody była nadzwyczajnej, tak że nuciłem melodię cicho, urzeczony nią do samej głębi. Po kilku chwilach jakbym ogień poczuł na policzku od strony księżnej. Podniosłem na nią wzrok & dźwięki zamarły mi w gardle: skórę paliło mi jej spojrzenie, nieruchome, gorące niczym żagiew. Wciąż jednak przerażająco wpatrzona we mnie, podniosła wolno rękę, przysunęła do mojej twarzy & drżącymi palcami pogładziła mnie po wargach.

- Casparze... - szepnęła. - Casparze...

Oddech miała teraz urywany, nozdrza jej się rozdymały, usta rozchyliły, jakby w ten sposób pragnęła zwilżyć wyschnięte gardło. Sądząc, że zaraz osunie się bez zmysłów, uniosłem się lekko, aby przyjść jej z pomocą.

Gestem dała znak, że brakuje jej powietrza, ponaglając, abym ją rozsznurował. Jako że wyglądało na to, że się dusi, czym prędzej rzuciłem się, by rozwiązać jej suknię, z irytacją szarpiąc się z tymi wszystkimi wstążkami & tasiemkami, z którymi nigdy nie miał do czynienia. Ledwie nieco poluźnił jej gorset, sama dokończyła go rozsznurowywać. Nie poprzestała wszakże tam, gdzie skromność & wymogi zasłabnięcia by nakazywały, lecz dalej z jakimś wściekłym zapamiętaniem rozchylała kolejne części garderoby, aż zupełnie obnażyła przede mną pierś! Skamieniałem na ten widok. Niewieście piersi oglądałem tylko u zwłok, na których z moim mistrzem dokonywaliśmy sekcji, a teraz mi się zdało, że nigdy w życiu nie widział nic równie pięknego. Tymczasem ku memu ogromnemu przerażeniu księżna *molliter incepit pectus suum permulcere. Papillae horruere, et ego sub tunica turgescere mentulam sensi.*<sup>1</sup> Przeciwnik! Tę niewiastę opętał Demon, ja zaś byłem o krok od otchłani, w którą mnie wciągała. Przeżegnałem się, wymawiając słowa egzorcyzmu, ale księżna, nie do poznania odmieniona, *divaricata stolam adeo collegit ut madida feminum caro adspici posset.*<sup>2</sup> Ogromne pomieszanie ogarnęło głowę moją & zmysły. Z jednej strony wielkim strachem napawało mnie nagle przeobrażenie tej niewiasty, której przypisywałem dotąd cechy & skromność świętej, z drugiej zaś czułem do niej pociąg jeszcze bardziej przemożny niż dotąd. W ostatnim porywie świadomości cofnąłem się & drżący, chwając się na nogach, błagałem, aby oprzytomniała.

<sup>1</sup> Zaczęła namiętnie pieścić sobie pierś. Sutki jej zeszywniały, a ja poczułem, że pod habitem nabrzmiewa moje przyrodzenie.

<sup>2</sup> Rozsunęła nogi & zadarła suknie, ażem ujrzał wilgotną skórę między jej udami.

- Przestańcie, pani, na litość! - rzekłem z taką mocą, na jaką było mnie w owej chwili stać. - Skazujecie mnie na potępienie!... Na wieczne potępienie!...

To jednak jakby ją bardziej podnieciło, albowiem lubieżnie przesunęła językiem po wargach. Uświadomiwszy sobie, że drzwi zamknięte są na klucz, rzuciłem się do taśmy dzwonka, aby wezwać służbę.

## CANOA QUEBRADA

*Niczym zapora przed szaleństwem świata...*

Po długiej kąpieli Moema, Thais i Roetgen skryli się w cieniu postawionego na plaży szałas, gdzie *seu* Juju, rybak, który porzucił łowienie, serwował faszzerowane kraby i kaszasę z limonką tak ciepłą, że

trudno było ją przełknąć. Nikt nie potrafił mu powiedzieć, dlaczego młodzi miastowi zaczęli przyjeżdżać do tej zapadłej dziury, ale z istic filozoficznym spokojem w pełni z takiej okazji korzystał, skoro pozwalała mu zarabiać na życie bez specjalnej fatygi. Oparci plecami o okrągłaki z drzewa palmowego siedzieli trzej młodzi mężczyźni ubrani tylko w kąpielówki. Przekomarzali się wesoło, co rusz wybuchając śmiechem. Wyglądali jak wypoczywający zapaśnicy z ciałami błyszczącymi od olejku do opalania, nieobeschłymi z wody, gdy obsypywali się piaskiem, by zatrzeć łśnienie skóry. Roetgen skrzyżował spojrzenie ze wzrokiem najgadatliwszego z nich, Metysa o przepięknych zębach, który z wdziękiem dotykał to karku, to ramienia kolegów i śmiał się przeraźliwie.

- *Eita, mulherzinha!* - zawołał i skoczył na nogi, by uściskać Moemę. Cofnął się potem o krok, jakby chciał dokładniej obejrzeć Roetgena, i spytał: - Skąd wytrzasnęłaś takiego ładnego chłoptasia? Już cały jestem mokry...

- Przestań, nie bądź wulgarny - przywołała go do porządku lekko zażenowana Moema. - To mój nauczyciel, więc zachowuj się.

- Ale przedstawić byś mnie chyba mogła, nie? Przecież go nie zjem, zwłaszcza że...

- No dobra... Roetgen, przedstawiam ci Marlene - rzekła Moema z uśmiechem. - Nie zwracaj na niego uwagi, inaczej nie da ci spokoju!

- Nie słuchaj jej - powiedział chłopak, dłużej niż trzeba przytrzymując dłoń Roetgena. - Jestem łagodna i posłuszna jak owieczka, prawda, dziewczyny?

Dwaj chłopcy, do których to powiedział, obrzucili go tylko mrocznym wzrokiem.

- To Anaís i Doralice - przedstawił ich z lodowatym uśmiechem. - Są zazdrosne, dlatego tak nieładnie się zachowują. Za mało hormonów, jak zawsze zresztą...

Po raz pierwszy w życiu Roetgen usłyszał, jak mężczyzna mówi o sobie i swoich kolegach w rodzaju żeńskim. Chociaż umysł miał otwarty, odebrał to jako prowokację i nie wiedział, czy powinien włączyć się do zabawy czy też udawać, że ją ignoruje. Mimo wszystko poczuł coś na kształt podziwu dla człowieka tak otwarcie przyznającego się do swoich preferencji seksualnych. Jednakże w głupim odruchu, w którym paniczny strach klócił się o pierwszeństwo z wrodzoną męską dumą, poczuł potrzebę zaznaczenia swoich upodobań.

- Może jestem trochę dziwny - rzekł tym samym żartobliwym tonem - ale wolę dziewczyny... Nic nie stoi jednak na przeszkodzie, żebyśmy się razem napili.

Ugryzł się zaraz w język wścickły na siebie, że tak łatwo uległ pozornej wspaniałomyślności, niewątpliwie bardziej obraźliwej niż rzeczywista zniewaga.

- Szkoda... Nie wiesz, co dobre - zauważył Marlene z lekką wzgardą w głosie. - Gdyby ci się kiedyś odmieniło, wal jak w dym najpierw do mnie. Odślonię przed tobą kosmos... No, dziewczynki, jazda do wody! Kto dobiegnie ostatni, znaczy, że obraca laski!

Wszyscy trzej jak wystrzeleni z procy pognali w stronę morza.

- Nie chciałem go urazić - powiedział Roetgen zmartwiony.

- Dobrze zrobięś - uspokoiła go Moema. - Gdybyś mu zostawił choćby cień nadziei, byłby nie do zniesienia... Przejdzie mu. On i tak zawsze jest gotowy na drinka zapoznawczego... A w łasnie, Juju, przygotujesz nam po maluchu?

Po jednym drinku całej trójce mocno zaszumiało w głowach.

Lekko zaróówiona w oddali plaża po obu stronach w ich polu widzenia niknęła w oślepiającym świetle. Po bładoniebieskim Atlantyku z łoskotem

grzmotu wolno przetaczały się długie fale. Kilka jangad wyciągniętych wysoko na brzeg, tu i ówdzie nieliczni plażowicze - nic nie mąciło wrażenia, że znajdują się gdzieś na końcu świata, w innym

wymiarze, gdzieś na uboczu, gdzie umysł zaznaje cudu zapomnienia i ukojenia, dochodząc ze sobą do ładu.

- Wiesz? - odezwała się Moema. - Mogłabym całe życie tak przesiedzieć. Przez całe to kurewskie życie mogłabym patrzeć na fale ze szklanką w ręce...

Thais poweselała. Leżąc z głową opartą na brzuchu Moemy, opowiadała Roetgenowi o ich pomysły na bar literacki, dając wyraz oburzeniu na ignorancję tych czasów i lekceważący stosunek brazylijskiego mieszczaństwa do poezji. Wpadała w uniesienie, docierała na skraj otchłani, w której cały świat łądował na wieczne potępienie - *O que é isso, companheiro?* Nie mów, żeś nigdy nie słyszał o Fernandezie Gabeirze! - potem znów układała głowę pod ręką Moemy, która gładziła ją po włosach, nuciła cicho bossa novy João Gilberta i Viniciusa, poddając się przemożnej melancholii strof. *Tristeza não tem fim, felicidade sim...* Czy Roetgen czytał, nie tylko słuchał, ale też czytał naprawdę, ze zrozumieniem, wiersze Viniciusa de Moraes, Chica Buarque, Caetana Velosa? Trzeba się ciut postarać! A Marii de Andrade też nie zna? A Guimarães Rosy? Nigdy nie zrozumie ich świata, jeśli nie przeczyta „Grande Sertão: Veredas”...

Roetgen notował w myśli tytuły i nazwiska, chociaż instynktowny opór budziła w nim obecność śpiewaków na tej liście.

Marlene wrócił z przyjaciółmi i paroma innymi osobami. Nie był obraźliwy, toteż upomniał się o obiecane go drinka, rzucił paroma dowcipami i nieprzyzwoitymi insynuacjami, po czym wyjawiał Roetgenowi, że jakieś trzysta, czterysta metrów dalej jest zakątek plaży, gdzie prawdziwi kochankowie z Canoi zbierają się, aby poopalać się nago, pograć na gitarze, zapalić skręta... Tam jest ziemia prawdziwej wolności! Może mu zresztą załatwić marychę, jeśli tylko chce. Przyzwoitą, żaden problem... Popijając drinka za drinkiem, wskoczył w końcu na jedyny stół w szałasie i przystrojony w kilka ręczników kąpielowych odegrał udawany striptiz, który do łez rozśmieszył publiczność zaimprovizowanego przedstawienia.

Późnym popołudniem, kiedy Roetgen obudził się w swoim hamaku leżącym na ziemi w chacie, stwierdził, że po tej właśnie scenie urwał mu się film. Mętnie przypominał sobie, że chyba kochał się z Moemą, chociaż głowy by za to nie dał. Całą resztę pochłonęła czarna dziura niepamięci, z której dobywały się tylko pojedyncze mgliste obrazy oraz niepojęta uraza do dziewczyny. Dziwiąc się, że leży w hamaku na ziemi, równocześnie zauważył osobliwą ukośną gałąź, która opadała od dachu aż do splecionych linek na jego stopach.

- Jak tam, Dionizosie? Dobrze spałeś? - usłyszał nad sobą.

Rozbawiona twarz Thais wychyliła się z hamaka, zaraz za nią pojawiła się głowa Moemy. Czule przytulona do przyjaciółki, wydawała się równie rozweselona.

- Jak już postanowiliśmy uciąć sobie drzemkę, wszedłeś na wydmę jak robot, ani razu się nie zachwiałeś ani nie przyspieszyłeś kroku. A piasek był dwa razy gorętszy niż rano! Bez ceregieli zająłeś mój hamak i zacząłeś gadać o Dionizosie. Wszystko przerobiłeś: Nietzschego, mit i kult, „świętą przemoc”... Nikomu nie dałeś dojść do słowa!

- Było przynajmniej ciekawie? - zagadnął Roetgen z powątpiewającą miną.

- Super! - zapewniła Thais. - Naprawdę. I mówiłeś po portugalsku jak nigdy, bez żadnego akcentu i w ogóle. Niesamowite, nie?

- W głowie się nie mieści - przyznała Moema. - Byłeś jak w transie.

- A potem?

- Potem zapaliliśmy dzointa i... Nie, no! Nie powiesz chyba, że tego też nie pamiętasz?!

- Nie pamiętam. Słowo - skłamał Roetgen. - Film mi się urwał po striptizie, który zrobił Marlene...

- Thais coś tam ci opowiadała, a ty się dobrałeś do mnie...

- Zrobiłem to?!

- Ano! - burknęła Thais, choć ze śmiechem. - A najgorsze, że chyba jej się podobało.
- Ale wstyd!... Jezu!... - jęknął Roetgen szczerze zawstydzony. - Nigdy bym nie pomyślał, że jestem zdolny do czegoś takiego. Nawet po pijaku...
- Nie przejmuj się - pocieszyła go Thais ciepło. - Już widywałam ją z innymi... Aleście fikali, w pale się nie mieści! Próbowałam się zdrzemnąć, ale nie dało rady. Cała chata aż chodziła od tej waszej gimnastyki, istne trzęsienie ziemi! W końcu przeniosłam się do was i wtedy ta żerdka pękła...
- Zlecieliśmy na ziemię, a ty z miejsca zasnęłaś. Myślałyśmy nawet, że zemdlełaś, ale zaczęłaś chrapać. Pękałyśmy ze śmiechu!
- Zostawiłyśmy cię na ziemi i przeniosłyśmy się do mojego hamaka.
- Trzeba uważać z kaszasa, profesorze - żartobliwie przestrzegła Moema. - Zwłaszcza tutaj, na słońcu...
- Powinienem był najpierw coś zjeść - tłumaczył Roetgen. - Wszystko dlatego, że na pusty żołądek, wcale tak dużo nie wypilem.
- Czternaście kajpirini...
- Ile?!
- Czternaście. *Seu Juju* nigdy się nie myli. Czasami stawia kolejki, ale to co sam zamawiasz, pamięta dokładnie.

Z ciuchami pod pachą poszli później do Neosinhi, która za opłatą udostępniała studnię i chatę przeznaczoną do ablucji. W mniemaniu Roetgena klóciło się to z „wrodzoną gościnnością” rybaków, tak zachwalaną przez Moemę, na dodatek trzeba było postać w kolejce w towarzystwie około dziesięciorga innych młodych ludzi. Zupełnie jak na obozie, pomyślał, ba! jak na kempingu. Widząc jednak, że Moemie i Thais w ogóle to nie przeszkadza, nie podzielił się z nimi swoimi refleksjami.

Aby zyskać na czasie, myli się razem, kolejno nabierając wody puszką po konserwie z dużego metalowego wiadra, które przyniósł im jeden z synów Neosinhi. Roetgen, wciąż jeszcze lekko podchmielony, bez żenady zaczął robić wygłupy, które nieoczekiwanie zbliżyły ich nagich, muskających się, jakby to było coś zupełnie naturalnego.

Długie nogi, jędrne pośladki, Moema szczupła, dzika z chłopięcym ciałem i złotawymi włosami łonowymi; Thais o ciężkich piersiach, dość pulchna, ale również pociągająca z bujnym czarnym trójkątem, który podkreślał mleczną barwę skóry podbrzusza...

Przekomarzali się jak dzieci w kąpeli, Roetgen zaś nigdy się nie dowiedział, czy tylko on dostrzegł subtelność tego perwersję.

Moema zaproponowała, żeby na kolację wprosilili się do João, kupili więc kilka ryb, wodę sodową i podpłomyki, po czym ruszyli z powrotem przez wioskę. Niebo już ciemniało. Wiatr od morza zaczynał wzbijać tumany piasku na drodze. Po obu stronach ulicy migotały światełka w ciemnych oknach chat.

- Kurczę!... - zawołała nagle Thais. - Zapomnieliśmy kupić lampadinhę.

Zawrócili więc i zaopatrzyli się w litr nafty oraz w lampę z blachy cynkowanej ozdobioną czerwono-złotym logo marki masła.

- Robią te lampy z puszek po konserwach - wyjaśniła Moema. - Każda jest inna. W Interiorze można trafić na naprawę piękne egzemplarze.

Kiedy dotarli do chaty João, on i jego żona kołysali się leniwie każde w swoim hamaku; gromadka dzieci bawiła się na ziemi. Maria wylewnie powitała gości. Zaraz zerwała się z hamaka i roznieciła ogień w piecu. Usadowili się przy ogniu, a po chwili dołączył do nich João. Minę miał markotną, ponieważ jeden z czterech żeglarzy załogi jangady zachorował, tak że nie mogli wypłynąć na połów nazajutrz, jak

planowali.

Roetgen mocno się zdziwił. A cóż to za przeszkoda?

- We trzech nie da rady - odparł rybak. - Chodzi o równowagę statku, bo mógłby się przewrócić.

- Nikt go nie może zastąpić?

- Młodzi nie chcą wypływać na połów, a inni są zajęci, albo na łodzi, albo na morzu. Tak to już jest i nic się na to nie poradzi. Tak że na razie dalej będziemy przymierać głodem.

Maria z zaciętą twarzą zaczęła układać ryby, żeby się piekły wprost na węglach.

- Mogę popłynąć zamiast niego, jeśli chcecie...

Powodowany wyłącznie pragnieniem, by przyjść tej rodzinie z pomocą, Roetgen powiedział to bez zastanowienia. Widząc niedowierzanie na twarzy João, zaczął go przekonywać, wskazując na wieloletnie doświadczenie w regatach i połowach morskich.

- To moje najulubieńsze zajęcie - oświadczył na zakończenie, jakby to zapewnienie stanowiło dodatkowy argument.

- Wypływamy na dwa dni i noc, *Francês*, to nie jest wycieczka dla przyjemności...

- Dla mnie to nie pierwszozna. Zabierz mnie, sam zobaczysz. W najgorszym razie przydam się dla przeciwwagi, skoro z tym macie problem.

- Możesz mu zaufać - wtrąciła Moema. - Znam go. Jeśli proponuje, że z wami popłynie, znaczy, że czuje się na siłach.

- Dobra, spróbujemy... - zgodził się João, szybkim ruchem wyciągając do niego rękę nad ogniem. - Muszę uprzedzić załogę, zajmie to chwilę.

Kiedy niedługo potem wrócił, twarz promieniała mu zadowoleniem.

- Załatwione - oświadczył, siadając na swoim miejscu. - Spotykamy się tutaj o piątej rano...

Jedli rybę palcami z powykrzywianych aluminiowych misek. Przez cały ten czas João opowiadał, co się ostatnio działo w wiosce, ilekroć zaś Roetgen zahaczył wzrokiem o spojrzenie Moemy, czytał w jej oczach pełen podziwu szacunek, który wzbudziła jego propozycja.

- Tego też nie pamiętasz? - zdumiała się Moema, gdy wychodzili od João. - Jesteś naprawdę niesamowity! Proponowałeś mi nawet, że nauczysz go tańczyć! Głowę daję, że wyobraża sobie teraz nie wiadomo co...

Wymordowany po pijaństwie za dnia Roetgen najchętniej już poszedłby spać, lecz dowiadywał się oto od dziewczyn, że obiecał Marlene i reszcie towarzystwa, że dołączy do nich na *fórró* za barem Alcidesa.

- Ależ głupot nawygadywałem! - narzekał wściekły na siebie.

Perspektywa spotkania z Marlene napawała go nieprzeparłym wstrętem.

- Nie bój nic - pocieszyła go Thais, zauważywszy jego zły humor. - On też musiał wytrzeźwieć...

- A jeśli będziesz tańczył z nami, nikt nie będzie ci zawracał głowy. Zobaczysz, to odjazdowe miejsce!

Idąc ciemną uliczką za Moemą, która prowadziła niespiesznie, mijali milczących ludzi lub rozgadane grupki i każdego pozdrawiali. Wiatr sypał piaskiem na ich odsłoniętą skórę, aż tutaj przynosząc zapach wodorostów i palonych śmieci. Chwilami dolatywały już do nich dźwięki żywej muzyki.

- *Fórró* - wyjaśniała Moema - to rodzaj zabawy ludowej, właściwie wiejskiej. Istnieje tylko w Sertão. Nawiasem mówiąc, można by zrobić ciekawe studium na ten temat. Ale słowo oznacza również sam taniec. Dlatego trochę ci się pomieszało: w Nordeste mówi się zarówno „iść na *fórró*”, jak i „tańczyć” czy nawet „grać *fórró*”.

- *Fórró, forrobodó, arrasta-pé, bate-chinela, gafieira...* - wyliczała wyraźnie zadowolona Thais. - To wszystko oznacza to samo. A zobaczysz, jaką minę zrobią twoi koledzy, jak im powiesz, że byłeś w takim zakazanym miejscu. To szczyt prostactwa, zagrożenia i w ogóle! Oni by za żadne skarby świata nie zaszli na *fórró*.



Kiedy weszli do ciasnego baru Alcidesa, upłynęła chwila, zanim oczy im przywykły do światła: po głębokich ciemnościach panujących w wiosce kilka rozstawionych w pomieszczeniu lamp naftowych nadawało mu wygląd rześkie oświetlonej sali wystawowej. *Seu Alcides*, stary brzuchaty Metys w okularach pozbawionych zauszników i trzymających się na gumce, tkwił dumnie przed dwoma rzędami półek, w zależności od potrzeby przeobrażając się w barmana lub sklepikarza. Na półkach po lewej stała zaskakująco jednorodna kolekcja butelek - Alcides z zasady serwował tylko kaszase - półki po prawej zaś wypełniały produkty pierwszej potrzeby: butelki oleju sojowego, masło w puszkach, *feijão*, proszek do prania, rapadura, wszystkie towary mieniły się za jego plecami jak pociągnięte złotem.

Przy kontuarze z surowej ziemi siedziało ze sześciu *caboclos*, którzy metodycznie się upijali, wychylając szklanki do dna i strykając długimi nitkami śliny między nogi w japonkach. Przy niedużym stole bilardowym, który wyglądał, jakby długi czas spędził w wodzie, trzech miejscowych chłopaków hałaśliwie rozgrywało partię *sinuca*, lokalnej odmiany snookera. Na ściankach z glinianych cegieł suszonych w słońcu ich zniekształcone cienie tańczyły, gdy wiatr poruszał płomieniem lamp.

Klienci przesunęli się, by zrobić im miejsce przy kontuarze.

- Trzy razy meladina - zamówiła Moema, kiedy przywitała się z Alcidesem.
- Na pewno? - zapytał Alcides, unosząc brwi. - Wiem, że ty i Thais jesteście przyzwyczajone, ale on - z powątpiewaniem zerknął na Roetgena - da radę? Jest mocna, więc kiedy człowiek nienawykły...
- Musi się nauczyć. W Fortalezie tego się nie napije.
- A moja jest najlepsza w całym Sertão - chwalił się Alcides, nalewając na palec do szklanek czerwonawej gęstej cieczy. - Czysty miód jandairy, mój krewniak go robi.
- Jandaira to rodzaj pszczoły - szepnęła Thais na ucho Roetgenowi, gdy *seu Alcides* lał do szklanek dobrą setkę kaszasy.
- Nie żałuje pan gorzały! - zauważył Roetgen z obawą.
- Męska porcja - odparł Alcides, mieszając w szklankach ostrzem noża. - Tutaj tak pijemy... Ale zobaczysz, młody, że dobrze robi na to, z czym są kłopoty!

Sąsiedzi ryknęli rechotliwym śmiechem, dołączając albo pieprzny komentarz, albo obsceniczny gest.

Wiecznie ten sam nacisk na męskość, pomyślał Roetgen. Jakby ignorancję i biedę rekompensowała tylko obsesyjna myśl o wielkości penisa.

Naśladując dziewczyny, jednym haustem wychylił drinka, lecz nie zdecydował się później splunąć, choć one to zrobiły ze swobodą, która mu zaimponowała. Alkohol był słodki, niezbyt smaczny, i tak jednak lepszy niż czysta kaszasa. Nim zdążył się odwrócić do kontuaru, szklanki znowu były napełnione.

Odrobinę tylko przytłumiona przez wiatr grzmiąca muzyka *forró* nikomu, jak się zdaje, nie przeszkadzała. Akordeonowi, trianglowi i tamburynom towarzyszyły ochryple, zdarte głosy, które łagodziła przeciągła wymowa z Nordeste.

- Podłączają do akumulatora samochodowego - wyjaśniła Moema, odpowiadając na pytanie Roetgena.

Grały z Thais w „kto pierwszy zgadnie nazwę grupy i tytuł zaczynającej się piosenki”. Dominguinho: „Pode morrer nessa janela”... Oswaldo Bezerra: „Encontró fatal”, „Destino cruel”, „Falso juramento”... Trio Siridó: „Vibrando na asa branca”, „Até o dia amansa”... Podobnie jak większość pijących podchwytywały później słowa, nie zdając sobie nawet z tego sprawy, wyprzedzały refren, tańczyły w miejscu. A Roetgena, niezdolnego zaśpiewać w całości choćby jednej francuskiej piosenki, poruszyło do głębi nadzwyczajne ciepło, które wydzielala ta fuzja wszystkich z muzyką; jedność, która płynęła nie z folkloru, lecz z tajemnej energii ludu pionierów.

Ludzie przewalali się teraz przez bar. Upoceni młodzi, którzy wyszli z *forró da Zefa*, przychodzili strzelić sobie kielicha, po czym wracali na zabawę. Rozgrzane tańcem, zarumienione po samo czoło, z mokruteńkimi włosami dziewczyny, które defilowały przez bar, wyglądały jak nieobecne

duchem madonny. Można by powiedzieć, że wszystkie, piękne i szpetne, tuż przed wejściem tutaj skończyły uprawiać miłość. Roetgen ze zdumieniem uświadomił sobie, że każdej pożąda.

Gdy zmieniano płytę, na chwilę zapadła cisza. I tym większą uwagę zwrócił niezwykle człowiek, który się wtedy pojawił. Mniej więcej dwudziestoletni Indianin mocno by się wyróżniał już samym uczesaniem utrzymanym w tradycji plemienia Xingu: czarne włosy równo przycięte nad brwiami, nad uszami na okrągło, z tyłu długie, opadające na plecy. W szerokich białych spodniach zawiązanych w pasie i mocno wyciętym z przodu białym podkoszulku - na bezwłosym torsie ceglastego koloru widniały biegnące od brody delikatnie wytatuowane symetryczne sznury - obnosił swoją rasę i urodę niczym sztandar.

Pragnąc się podzielić z kimś zdziwieniem, Roetgen obrócił się do Moemy - wlepiając oczy w przybysza, zdawała się chłonąć jego obraz. Przechwyciwszy jej spojrzenie i jakby nim przyciągany, Indianin precyzyjnie przesunął się na miejsce koło dziewczyny. Na ręce miał niebieskim tuszem przybitą pieczętkę, którą *dona Zefa* przystawiała każdemu, kto na chwilę chciał wyjść z zabawy. Bez słowa wypił jedną kaszasę. Muzyka znów zaczęła grać...

- Alcéu Valença! - zawołała podniecona Thais, gdy rozległy się pierwsze takty. - *Morena tropicana...*  
- zaczęła śpiewać.

- *Eu quero teu sabor* - podchwycił Indianin, patrząc Moemie w oczy.

Potem uśmiechnął się lekko i wyszedł z baru.

- Dziwny facet, nie? - zagadnął Alcides, który niczego nie przeoczył z tej sceny.

- Kto to? - zapytała Moema, lecz takim tonem, jakby odpowiedź właściwie jej nie interesowała.

- Nazywa się Aynoré. Ze dwa tygodnie temu pojawił się w okolicy. - Splunął na ziemię dla podkreślenia pogardy. - Ćpun, z tego co wiem, marycha...

- Chodźmy potańczyć... - błagalnie odezwała się Thais, ani na chwilę nie przestając podrygiwać w rytm piosenki.

Na ulicy zaraz za barem skręcili w lewo i stanęli przed *forró da Zefa*. Była to spora hala zbudowana z cegieł z gliny i nakryta blaszanym dachem, co świadczyło o względnej zamożności właścicielki. Nieduże okienka - bez

szyb, jak wszędzie w Canoi Quebradzie - rozmieszczone były na całej długości fasady, więcej z nich jednak wydobywało się gwaru niż światła. Przy jedynych drzwiach budynku czuwała *dona Zefa* we własnej osobie, stara Mulatka cuchnąca alkoholem i papierosami. Uczepiła się natychmiast Roetgena, monotonnym głosem mamrocąc jakiś stek ewidentnych świństw. Dała mu spokój, dopiero gdy wygrzebał z kieszeni kilka cruzeirów jako zapłatę za wstęp. Za nią, w sali długości jakich trzydziestu metrów, której nie były w stanie oświetlić dwie lampy gazowe zawieszzone u sufitu, ani na moment nie zamierał tłum tancerzy na klepisku. Pośród nieustającego gwaru pary w upojeniu miarowo poruszały szybko biodrami, partnerzy mocno przywierali do siebie, nie odrywając stóp od ziemi, jakby je więził słyszalny magnetyzm. Powaga na twarzach, jednorodność gestów idealnie trafiających w rytm muzyki zaskoczyły Roetgena bardziej niż wszystko, co dotąd zobaczył. Ludowy festyn w katakumbach, ostatnia przed godziną policyjną obmacywanka w pełnej świadomości ciała i nieuchronności bliskiej wojny. W tle gwaru ludzkich głosów i instrumentów słychać było szuranie sandałów po ziemi, bezustanne pulsowanie groźne jak pierwotne milczenie.

Naraz stanął przed nimi Marlene.

- *Que bom!* Witajcie w trzewiach nocy! - powiedział z emfazą. - Gorąco tu, nie? To jak? Kto ze mną zatańczy?

- Ja - wyrwała się Thais, zerkając na Roetgena porozumiewawczo.

- No to i my zatańczmy - powiedziała Moema, kiedy tamtych wchłonął rytm ruchów na parkiecie, na pozór chaotyczny, a przecież uporządkowany jak ruch cząsteczek w zawieszynie. - Dwa w prawo, dwa w lewo. Staraj się robić to coja...

Przywarła do niego i wciągnęła go w rój rozedrganych ciał.

Roetgen nieźle sobie radził, tak przynajmniej twierdziła jego partnerka. Starał się, jak mógł, aby się nie ośmieszyć, lecz docierała do niego stopniowo rzecz oczywista: w ciemnej masie tańczących, którzy unikali zderzenia ze sobą ze zręcznością cząstek elementarnych, dostrzegał tylko wynędzniałe bezzębne twarze, wychudzone ciała. I prawie wszystkich przewyższał o dobrą głowę. A ilekroć jego spojrzenie przyciągnęła sylwetka wyższa niż inne, prawie na pewno chodziło o jednego z przyjezdnych, miastowych, którzy ściągnęli do Canoi, aby „wrócić do źródeł”. Oni tchnęli zdrowiem, w uśmiechu odsłaniali białe zęby i bawili się jak w klubie nocnym.

Oglądał tu dwa różne rodzaje - gorzej! - dwa oddalone w czasie stadia istnienia tej samej ludzkości. Nie czując przynależności ani do jednych, ani do drugich, lecz wbrew swej woli postawiony na pozycji silnych, Roetgen poczuł się winny, choć zarazem równie absurdalnie komiczny i nie na miejscu jak papuga w samym środku stada wron.

- To jeszcze nie to - powiedziała ze śmiechem Moema - bo depcesz mi po palcach. Musisz nabrać wprawy, jeśli chcesz coś poderwać na *forró*...

- Już mam dość. Padam na pysk.

- Dobra. To idziemy się napić.

Zmierzali ku wyjściu, klucząc w rytm kroków i kołysania się tańczących, kiedy stanął przed nimi Indianin.

- Zatańczysz? - chłodno spytał Moemę, choć nie wyglądał na takiego, który przez moment wątpiłby w to, jaka będzie odpowiedź.

- Czemu nie? - odparła odrobinę wyzywająco.

Była to jednak udawana kokieteria, tak łatwo i szybko wtuliła się w jego ramiona.

Roetgen stropiony, że został na lodzie, obserwował ich chwilę, gdy kołysali się na obrzeżach tańczącego tłumu, gotowi się z nim zjednoczyć. Tuż przed tym, zanim zniknęli, ujrzał, jak Aynoré brutalnie obscenicznym gestem łapie Moemę za pośladek, aż nogawka szortów na udzie podjechała jej do góry, i jak ona wbija paznokcie w tatuaże na jego plecach.

Wtedy Roetgena w tym samym miejscu zabolęła skóra. Nie miał prawa być zazdrosny, lecz pozwolił sobie na pogardę, którą objął wszystkie kobiety na świecie. Mieląc w głowie na wszelkie sposoby swą zranioną miłość własną, wyszedł z sali - *dona* Zefa opieczętowała go po drodze jak należy - i wrócił do baru Alcidesa.

Władające nim uczucia przeniósł również na pijących, którzy wydali mu się gromadą degeneratów. Na stole bilardowym zaległ jakiś facet, który zrywał się co trzy minuty i częstował nie wiadomo kogo papierosami; inny na życzenie robił *pipoca* - nadymał potężnie policzki i wypuszczał powietrze, naśladując dźwięk strzelającego popcornu, z uporem się poniżając, jakby jedynym uzasadnieniem jego istnienia było to właśnie żalosne małpowanie; nawet *seu* Alcides wydawał się zbyt tłusty, żeby można wierzyć w jego uczciwość, zwłaszcza w porównaniu z chudzielcami, którzy tłoczyli się przy kontuarze.

Na siłę przełknął jedną meladinię. Za sprawą prostego związku przyczynowo-skutkowego alkohol wywołał w jego wątpiach taką rewolucję, że Roetgen zastygł odrętwiały, półprzytomny. Wpadłszy w panikę na myśl, że nie zdoła zapanować nad niespodziewanie zbuntowanymi jelitami, opuścił bar i pospieszył na wydmy. Przetrzęsając kieszenie w poszukiwaniu czegoś, co mogłoby zastąpić papier toaletowy, uciekał w mrok nocy schorowany, zniechęcony do wszystkiego.

W pewnej chwili zyskał pewność, że w życiu nie dotrze w porę do skraju wody, zboczył w prawo i maszerował przed siebie, byle się jak najbardziej oddalić od domów. Oświetlony bladym światłem gwiazd rozciągał się przed nim *no man's land* usiany odpadkami, jedno wielkie śmietnisko biegnące wzdłuż ulicy wioski na całej jej długości. Gdy Roetgen wszedł między nieczystości, najpierw uderzyły nań zimne poty, a potem dostał takich skurczów, aż osunął się na kolana i oparł czoło na ziemi. I tam w samotności,

obojętny na otoczenie, wstrząsany spazmami, które miotają całym jego ciałem, myślał już, że umrze i nazajutrz wieprzek go tu znajdzie ze spuszczoneymi spodniami, między parującymi odpadkami wioski, nieczystość pośród nieczystości. Ostatnie banknoty ledwie starczyły do podtarcia, lecz uleczyły go z tego strachu.

Kiedy był w stanie podnieść się na nogi, wytarł ufajdane ręce w piasek i wrócił na uliczkę, kierując się ku światłu, które migotało mniej więcej tam, dokąd zmierzał. Doprowadziło go do okienka i tam na chwilę przystanął: w złotym blasku lampy siedziała stara Murzynka i niespiesznie haftowała tkaninę rozpiętą na dużej ramie z ciemnego drewna. Spostrzegłszy Roetgena, posłała mu nieśmiały uśmiech i na moment zastygła bez ruchu. W tym przelotnym obrazie, jak wyjętym z płótna jakiegoś mistrza flamandzkiego, była nieskończenie wielka matczyzna słodycz, a wraz z nią jedyna ochrona przed szaleństwem świata.

## SERRA DE ARATANHA

*Samolot linii VASP...*

Kiedy Zé zaproponował, że zawiezie go do swojej siostry, która mieszkała w małym domku w górach niedaleko Fortalezy, Nelson był pijany w sztok, tak że nie pamiętał ani jak przyjaciel niósł go do ciężarówki, ani nawet jazdy nocą. Toteż przebudziwszy się w samym sercu gaju bananowców, myślał, że to sen - jeden z najpiękniejszych i najpogodniejszych, jakie mu się przyśniły. Ponieważ było mu ciut chłodno, naciągnął na siebie skraj hamaka i na powrót usnął.

- Dość tego dobrego! Wstawaj, leniuchu! - usłyszał godzinę później. - Nie przyjeżdża się w góry, żeby tylko spać.

Wygrzebując się z hamaka niczym poczwarka z kokona, Nelson ujrzał uśmiechniętego wujka Zé.

- Zobacz, jaki tu raj! - mówił Zé, wskazując okno. - Całkiem inaczej niż w Fortalezie, nie?

Przez szybę widział bananowce, o których śnił, i czyste niebo, słyszał miarowe rechotanie ropuch kururu.

- Gdzie jesteśmy? - spytał Nelson, przecierając oczy.

- A gdzież by, kurczę? U mojej siostry! W Serra da Aratanha. Ładnieś się wczoraj zaprawił!

- Chyba tak. Mam łeb jak sklep...

- Górskie powietrze raz-dwa to załatwi, zobaczysz. No wstawaj, Firmina przygotowała śniadanie, jakie jada prawdziwy *matuto*!

Po *mingau* z tapioki - gęstej papce z posłodzonego mleka i mąki - sporej porcji słodkich ziemniaków smażonych z jajkiem i dwóch kubkach kawy Nelson poczuł się znacznie lepiej. Zé załadował go sobie później na barana i poszli wędkować w dużym stawie położonym nieco niżej. Mimo braku doświadczenia *aleijadinho* okazał się zręczniejszym wędkarzem i złapał dwa sumy, które wydały mu się monstrualnie wielkie.

Kiedy około pierwszej wrócili do domu na drugie śniadanie, niebo się zasnęło, wieszcząc ulewę na popołudnie. Zanim skończyli jeść, rozpętała się burza, która na resztę dnia uwięziła ich w domu. Ucieli więc sobie drzemkę, a potem wylegiwali się w hamakach na werandzie, patrząc na padający deszcz. Później Zé zaintonował z pamięci pieśń o przygodach księcia Roldão, które poznał z ostatniego cordelu João Martinsa de Athayde. Historia ta, dość naiwna mieszanka wątków „Iliady” i „Orlanda szalonego”, opowiadała, jak bratanek Karola Wielkiego zdołał uwolnić swoją Angelikę ze szponów Abderrahmana, króla Turcji, zaprzysięgłego poganina, kryjąc się wraz z bronią w złotym lwie odlanym przez Ryszarda z Normandii...

O zachodzie słońca deszcz ustał wreszcie, podniosła się za to strzępiasta mgła. Wieczorna wilgoć

przegoniła Zé i Nelsona z werandy. Zasiedli zatem w środku przy butelce kaszasy, tymczasem stara Firmina szykowała do smażenia ryby, które złowili rankiem.

Posilali się w najlepsze, zdecydowanie zbyt głośno się śmiejąc - co później Firmina wspomniała i uznała za okoliczność brzemienną w skutki - kiedy naraz rozległ się potężny ryk silników, aż szkło zabrzęczało na stole, i rósł, zmuszając ich do wtulenia głowy w ramiona, po czym urwał się wraz z wybuchem, od którego wyleciały wszystkie szyby w oknach: boeing 727 VASP-U, lecący z Congonhas, roztrzaskał się w Serra da Aratanha.

Zé poderwał się i wybiegł na zewnątrz. Na zboczu nieco powyżej domu, w świetle drzew zamienionych w pochodnie z ogromnej wyrwy w lesie wzbijał się wielki pióropusz dymu.

- *Meu Deus!* - przeżegnał się, gdy zrozumiał, co się stało. - O mało nie spadł na nas... - Po czym powiedział do siostry i Nelsona, którzy dołączyli do niego na werandzie: - Zostańcie tu, pójde zobaczyć, czy można tam coś zrobić...

I pobiegł w kierunku miejsca katastrofy.

Mimo przenikliwego pokrzykiwania Firminy Nelson bez zastanowienia pokuśtykał za nim. Kiedy ślizgając się, dotarł na miejsce, zmordowany, utyłany od stóp po głowę z powodu wielu upadków w rozmokłe czerwone błoto, skamieniał na widok tego, co zwykło się nazywać „obrazem apokaliptycznym”. Potworność tego, co się tu stało, uświadomił sobie na widok korpusu kobiety przypiętego pasami do fotela i jakby usadowionego na stercie własnych wnętrzności. Dookoła rozrzucone w sporym promieniu leżały dymiące szczątki maszyny naznaczone fluorescencyjną żółcią kamizelek ratunkowych, wybebeszone walizki, stopy przedmiotów nie do rozpoznania. I szczegóły doprawdy fascynujące: okrutnie okaleczone ciała, szczątki zawieszane na drzewach niczym tybetańskie modlitwy, kończyny lub organy wewnętrzne rozsiane po ziemi, obsceniczne w swym osobliwym osamotnieniu. Istna rzeźnia wydana na pastwę żarłocznych mieszkańców lasu. Zupełnie jakby spadł deszcz krwi, steków i podrobów, pomyślał Nelson.

Przebudzone wybuchem ścierwinki już fruwały nad tą manną. Tu pokosztowały z otwartego brzucha, tam dziobnęły czyjeś otwarte oko, wyklócając się o co smakowitsze kąski. Nelsona wcale nie zdziwiło, że widzi

tyle postaci - niektóre były zaopatrzone w latarki - krzątających się już po tym cmentarzysku: klepiący biedę górale, niezbyt skłonni do litości wobec tych, których śmierć uwolniła od wszelkiej potrzeby, metodycznie przetrząsali szczątki, bez wstępu zabierając wszystko, co przedstawiało jakąkolwiek wartość: pieniądze, obrączki, biżuterię, ale także uwalane we krwi ubrania, buty bez pary, a nawet fragmenty samolotu, choć nikt nie potrafiłby powiedzieć, na co komu mogą się przydać.

Perspektywa natrafienia na pełny portfel nęciła przez chwilę Nelsona, w końcu jednak nie dołączył do reszty grabieżców. Rozglądając się za wujkiem Zé, kuśtykał pośród szczątków. Ziemia była obrzydliwa, pokryta mazią z wylanych wnętrzności i jakimiś ochłapami. Okrążywszy kępę krzewów, stanął naraz przed kadłubem policjanta: pozbawione głowy umundurowane ciało przy pasie miało kaburę na pistolet.

- No, no, teraz nie wyglądasz tak chujowo jak zwykle! - syknął Nelson przez zęby. - Zajebię cię, skurwysynu!

I jakby otrzymując opatrnościową odpowiedź na swoje bluźnienie, poczuł na ramionach dwie ręce. Obrócił się z wrzaskiem.

- Co ty tu robisz, do cholery?! Co tu robisz? - zagrział ze zgrozą w głosie wujek Zé. - Czyś ty się widział, na Boga? Ty... ty... Myślałem, że to ktoś ocalał...

- Szedłem za tobą... - wyjąkał Nelson, wciąż jeszcze drżąc.

- No przecież widzę, żeś szedł za mną. Kazałem ci zostać!

- Są jacyś ranni?

Zé pokręcił głową ze smutkiem.

- Wszyscy zginęli. Przy takim uderzeniu nie ma siły, żeby ktoś się uratował. Będę dalej szukał,

zanim przyjedzie pomoc, a ty wracasz do domu, zrozumiano? Przyjdę, jak tylko będę mógł.

Nelson jeszcze kilka chwil stał przy zwłokach policjanta sam zdumiony, jak doskonały plan wykiełkował mu w głowie. Tak się stanie, nie inaczej. Nie może być inaczej...

Wrócił do domu i kiedy Firmina przerażona jego wyglądem grzała wodę, aby go umyć, Nelson wyjął spod koszuli pistolet i schował go w swojej torbie.

Nieco później, gdy siedział w balii, a Firmina szorowała mu plecy, mamrocząc modlitwy za ofiary katastrofy, Nelson dostał niewiarygodnej erekcji. Po raz pierwszy od śmierci ojca.

## ROZDZIAŁ XI

*W którym ostatecznie się kończy,  
ad majorem Dei gloriam, opowieść  
o wydarzeniach w patagońskim pałacu*

**Z**rób to, bracie, a będzie po tobie - rzekła ze spokojem nowa Putyfarowa połowica. - Powiem, żeś próbował mnie zniewolić, & zapewniam, na własnej skórze poczujesz, co znaczy gniew mojego małżonka.

Stałem oniemiały, uświadomiwszy sobie, że to wszystko prawda. Mimo to omal nie pociągnąłem za taśmę dzwonka, albowiem lepszy już wydał mi się skandal, hańba, śmierć nawet od tego nieprzyzwoitego kuszenia; wspomniawszy *in extremis* obietnicę złożoną Kircherowi, klęknąłem twarzą do ściany, błagając Boga, aby przyszedł mi z pomocą.

- Nie bądźże głupi, bracie. Jeszcześ nie złożył ślubów ostatecznych, więc nie zgrzeszysz, ulegając pod przymusem...

To mówiąc, pchnęła mnie na dywan. Wzrok mi się zamglił, ściśnięte serce zniweczyło wszelkie próby oporu & jak szalenciec powtarzając imię Jezusa, przywarłem ciałem do niej.

Nawet dzisiaj, gdy wspominam nasze zmagania, krew napływa mi do twarzy. Chcę wszakże do dna wychylić czarę & w pełni wyznać grzech, któregoś być może jeszcze nie odpokutował swoim późniejszym postępowaniem. Nie dość bowiem, żeś się oddał rozwiązłości z księżną, to jeszcze nie sprzeciwiłem się nieprzyzwoitym igraszkom, których mnie owej nocy nauczyła... *Lingua mea in nobilissimae os adacta, spiculum usque ad cor illipenetravit. Membra nostra humoribus rorabant, atque concinebant quasi sugentia. Modo intus macerabam, modo cito retrahebam lubricum caulem. Scrotum meum ultro citroque iactabatur. Nobilis mulier cum crura tremientia attoh leret, suavissime olebat. Novenis ictibus alte penetrantibus singultus breves inserui.*<sup>1</sup> Misterna koafiura księżnej rozsypała się, długie kosmyki włosów przysłaniały jej oblicze z wypisanym na nim błaganiem. *Pectoribus anhelantibus ambo gemebamus.*<sup>2</sup> Robiłem co w mej mocy & w końcu *semen meum ad imam vaginam penetravit.*<sup>3</sup> Księżna wszakże była nienasycona, wkrótce zatem znowum się musiał wziąć do dzieła. *Tum pedes eius sublevandi ac sustinendifierunt humeris meis. Pene ad posticum admoto, in recónditas ac férvidas latebras intimas impetumfeci. Deinde cuniculum illius diu linxi, dum irrumo. Mingere autem volui: „O Caspar mi, voluptas mea, inquit, quantumcumque meies, tantum ore accipiam”.*<sup>4</sup> Co też uczyniła, gdy *liquore meo faciem eius perfundi.*<sup>5</sup>

<sup>1</sup> Wsunąłem język do ust księżnej & grot mój zagłębił się w jej płeć. Nasze członki spływały sokami, rozlegało się klaskanie skóry o skórę. Chwilami bez ruchu trzymałem w wilgoci mój śliski oręż, tom znów poruszał nim szybko. Moje klejnoty kołysały się tam & z powrotem. Księżna podniosła do góry drżące nogi, rozchodził się mdły zapach. Oddzielałem krótkimi pchnięciami litanie pchnięć głęboko sięgających.

<sup>2</sup> Dyszeliśmy ciężko, pojękując.

<sup>3</sup> nasienie moje wytrysnęło w głąb pochwy.

<sup>4</sup> Musiałem podnieść jej nogi & oprzeć na swoich ramionach, po czym przystawiłem penisa do jej odbytu & pchnięciem wszedłem w głąb tej gorącej kryjówki. Potem długo drażniłem ją ręką, podczas gdy ona wzięła w usta moje przyrodzenie. Poczulem parcie na pęcherz. „Och, Casparze - powiedziała - choćbyś szczał najobficiej, moje usta przyjmą wszystko!”.

<sup>5</sup> zalałem jej twarz płynem swoim.

Pokazała mi inne jeszcze zdrożności, wszystkie równie wstrętne; oddawałem się im z przyjemnością, ani przez chwilę nie myśląc, że popełniamy oto grzech śmiertelny. Mimo że księżna zaznawała rozkoszy od czynów tak nieprzyzwoitych, żem w najgorszych koszmarach nawet ich nie widział, często mnie napominała, abym zważał & nie musnął choćby jej pępka ani brzucha, obawiała się bowiem, że rozbiję jej szklany klawesyn, który sobie wymyśliła. Życzeniu temu z niejakim trudem sprostalem, zważywszy na szaleństwo, które mnie ogarnęło.

Kiedyśmy się sobą nasycili, co nastąpiło dopiero po dwóch godzinach opętanego rozpasania, pokazała mi ukryte przejście, którym niepostrzeżenie wróciłem do swego pokoju. Zasnąłem natychmiast upojony winem & rozkoszą. Świtał poranek 25 grudnia 1637 roku.

Przebudziłem się z zamętem w głowie, ociężały po rozpuście & zaraz dopadły mnie najokrutniejsze tortury nieczystego sumienia. Nagrzeszywszy tak bardzo, nie mogłem liczyć na odpuszczenie win & już żywcem skwarzyłem się w ogniu piekielnym równie straszliwym jak prawdziwy. Tak wielkie mnie przepelniało cierpienie & odraza do siebie, tak dojmujący czułem wstyd, żem tylko marzył o tym, aby się wyświadczyć z grzechów mojemu mistrzowi & potem zaszyć się na zawsze gdzieś na pustyni. Kiedym tak się trafił, zjawił się lokaj, prosząc, bym udał się do biblioteki, gdzie oczekuje mnie Kircher. Szedłem tam jak na ścięcie...

Atanazy sam siedział pośród książek, a gdy mnie ujrzał, na jego twarz wypłynęło współczucie. Padłem mu do stóp niezdolny wymówić słowo, pośród szlochów wykrztusiłem jedynie, że pragnę się wyświadczyć.

- Nie ma potrzeby, Casparze - rzekł, podnosząc mnie na nogi - cokolwiek uczyniłeś, twoje winy już są odpuszczone. Popatrz...

Zdjął z półki ciężki tom in folio & otworzył go pośrodku na dwóch czystych stronach. Otwartą księgę położył na wysokim pulpicie naprzeciwko miejsca, gdzie stała na półce, po czym poprosił, abym zgasił dwa świeczniki, które oświetlały to pozbawione okien pomieszczenie.

- Zbierz odwagę, Casparze, & patrz...

Podszedłem do niego & ze zdumieniem stwierdziłem, że w księdze widnieje teraz świetlisty barwny obraz, równie wyraźny jak rzeczywiste odbicie w lustrze. Jednakże zdziwienie wywołane tymi czarami było niczym w porównaniu z zaskoczeniem, jakie mnie ogarnęło, kiedym rozpoznał alkwę, w której ostatniej nocy skazałem się na potępienie! Krzyknąwszy, padłem bez zmysłów...

Niedługo doszedłem do siebie, Kircher podsunął mi bowiem pod nos sole trzeźwiące, które zawsze nosił przy sobie. Tymczasem zdążył na powrót zapalić świece & zobaczyłem, że strony w księdze znowu są czyste.

- Usiądź - polecił - & słuchaj, o nic nie pytając. Ja mam więcej niż ty grzechów do wyznania. Przede wszystkim musisz wiedzieć, że w tym, coś ujrzał, nie ma żadnych czarów. To tylko *camera obscura*, jeden z moich wynalazków, który wolałbym ci zademonstrować w znacznie bardziej sprzyjających okolicznościach. Bóg wszakże, bo tylko Jego działaniem

mogę to tłumaczyć, postanowił inaczej. Byłem tutaj wraz z księciem, kiedyś w nocy wszedł z jego małżonką do tej alkwy. Podglądałem was, pókim nie nabrał pewności, że zastosujesz się do moich poleceń. Nie wiem, coś robił z tą diabolicą, & nie chcę wiedzieć: taką cenę należało zapłacić za

przedsięwzięcie, w którym obaj byliśmy jedynie ślepyimi narzędziami. Twoja uległość wobec moich rozkazów wcale cię nie skazała na wieczne potępienie, przeciwnie, dzięki temu w pełni zasłużyłeś na miejsce w raju. Albowiem przez swój grzeszny postępek, Casparze, po prostu uratowałeś Kościół!

- Wiedziałem o istnieniu tego wolumenu - ciągnął, biorąc do ręki gruby zwój pergaminowy - zanim przyjechaliśmy tutaj, lecz jego lektura wzbudziła we mnie większe przerażenie niż wszystko, com o nim słyszał.

W niespokojnych czasach, w których przyszło nam żyć, katastrofalne było samo istnienie owego dzieła, jako że dawało nieskończone możliwości wrogom chrześcijańskiej sprawy...

- Tę księgę, która mogłaby się stać tak groźną bronią w rękach naszych przeciwników, księżę podarował mi dziś rano zgodnie z paktem, którym z nim zawarł. Bez żalu ją spalę, Casparze. Niechaj wraz z nią spłoną twoje & moje grzechy!

Z tymi słowami Kircher cisnął zwój do kominka & kiedy pergamin zwił się w płomieniach, mistrz mój udzielił mi rozgrzeszenia. Przegarniał ogień pogrzebaczem, póki manuskrypt Józefa Flawiusza całkowicie nie obrócił się w popiół, potem spojrział mi prosto w oczy. Nigdy go nie widział tak poważnego & przejętego.

- Chodźmy stąd - rzekł łagodnym głosem - opuśćmy jak najszybciej to siedlisko Demona. Dokonałiśmy tu wszystkiego, co było naszą powinnością.

Bez pożegnania wyjechaliśmy z posiadłości księcia, dzięki czemu choć taką miałem pociechę, zem nie musiał znowu oglądać tej, która zawiodła mnie tak daleko w labirynt rozpusty.

W wynajętej kolasce wiozącej nas do Palermo Atanazy opowiedział mi dokładniej o zdarzeniu, którego ofiarą nieświadomie zgodziłem się zostać. Otóż nasi gospodarze byli skończonymi libertynami, tak zawziętymi w występku, że tylko nadzwyczajne wyuzdanie potrafiło ich jeszcze poruszyć. Księżę był prawie pozbawiony w lędźwiach siły z powodu nadużywania kantarydy, a księżna na poły oszalała po poronieniu, w którym

straciła upragnione od dawna dziecko. Stąd jej obsesja szklanego klawesynu, który w swoim mniemaniu nosiła w łonie. Chętnie się poddawała lubieżnym pomysłom małżonka & doskonale wiedziała, że księżę nas podglądał, kiedyśmy się znaleźli w alkwie. Choć obydwójce byli inteligentni & starannie wykształceni, stanowili modelowy przykład upadku obyczajów, do którego wiedzie sceptycyzm. Pozbawieni wsparcia wiary, z każdym dniem głębiej w bezeceństwie grzęzli, nie martwiąc się, jak zostaną osądzone ich czyny. Miłosierdzie Boże nie zna granic, szczerą skrucza zatem mogłaby ich uratować od potępienia, niestety mało było prawdopodobne, aby ją wyrazili. Przyjęliśmy zaproszenie do pałagońskiego pałacu jedynie ze względu na manuskrypt Józefa Flawiusza. Miał go ongi w ręku pewien rycerz maltański podczas audiencji u księcia, poinformował o nim Kirchera & dostarczył mu wszelkich użytecznych szczegółów na temat zwyczajów księżęcej pary.

Mistrz mój wciąż mnie przekonywał, zem zapracowałem na odpust zupełny, nieświadomie broniąc świętej sprawy. Bez ustanku mi powtarzał, że jeśli nie jestem męczennikiem, to przynajmniej bohaterem Kościoła. Niemniej pamięć o rozkosznych uczuciach, jakich doświadczałem podczas zmagania z księżną, o nieklamanej przyjemności, z jaką nurzałem się w grzechu, nie pozwalała mi zaakceptować tego usprawiedliwienia. Co więcej, zraniona została moja miłość własna & cierpiałem nie tyle z powodu utraconej cnoty, ile z powodu świadomości, że wykorzystano mnie jako zabawkę w niecnym knowaniu tej pary rozpustników. Dla Atanazego wszakże to wszystko już należało do przeszłości...

Po powrocie do Palermo w pracowitej atmosferze spokoju kolegium jezuickiego najpierw pomagałem mistrzowi uporządkować zapiski & materiały, po czym przystąpiliśmy do budowy dla księcia heskiego maszyny wykorzystującej zasadę owej *camera obscura*, której pierwszy model nieświadomie sam w działaniu weryfikowałem. Była to sześcienne drewniana skrzynia zaopatrzona w ramiona jak u lektyki, dość duża, aby pomieścić dwie osoby. W każdej ścianie wycięliśmy otworek, do którego następnie



dopasowano soczewkę. W tej całkowicie nieprzejrystej skrzyni umieściliśmy drugą, mniejszą, lecz zbudowaną z półprzejrystego papieru. Wszystko zostało tak obliczone, żeby ów ekran był oddalony od soczewek na tyle, aby z zewnątrz padał na niego wyraźny obraz. Otwór umieszczony w dnie urządzenia pozwalał się wśliznąć do środka komory & oglądać wizerunki rzeczy lub istot znajdujących się na zewnątrz.

Kiedy machina była gotowa, kazaliśmy czterem sługom nosić się w niej po mieście & okolicach. Oglądaliśmy krajobrazy miejskie & wiejskie, ludzi, przedmioty, sceny myśliwskie & fantastyczne rozmaitości przedstawione z mistrzostwem tak doskonałym, że nieporównywalnym z najlepszymi nawet dziełami sztuki malarskiej. Wszystko pokazywało się na ściankach skrzyni: ptaki w locie, gesty, miny, ruchy ust, słowa nawet, a tak żywe się zdawało & naturalne, że nie pamiętam, abym kiedykolwiek w życiu oglądał coś tak cudownego.

Książę Fryderyk Heski, który ujrzał przenośną komorę kilka dni później, wpadł w zachwyty. Płacząc z własnej kiesy, zażądał, aby zbudować mu jeszcze jedną, dużo większą, albowiem życzył sobie zabierać w niej przyjaciół. Nająwszy kilku robotników, Kircher przystąpił do pracy, inauguracja zaś nowego modelu nastąpiła i lutego 1638 roku. Komora miała kształt galeonu osadzonego na kołach karety & prezentowała się równie imponująco jak prawdziwy statek. Wspaniale ozdobiona pozłacanymi stiukowymi nereidami, wewnątrz oferowała wszelkie wygody wytwornego salonu. Przez liczne soczewki umieszczone na burtach padały na ścianki z białego jedwabiu istic bajkowe widoki. Ciągnięty przez tuzin srokatek wałachów wspaniały ów statek całymi dniami krążył ulicami Palermo, a książę & ci, którzy zabiegali o to, by zaszczylił ich swoim zaproszeniem, nie mieli dość widoków. Sądząc, że to jakaś procesja w nowym stylu, miejski lud towarzyszył statkowi, radośnie pokrzykując. Kircher zaś odtąd cieszył się bezgraniczną łaskawością księcia.

Jako że nieubłaganie zbliżała się data naszego wyjazdu, skupiliśmy wysiłki na należywym przygotowaniu do podróży nowych osobliwości, które władze wyspy ofiarowały mistrzowi mojemu w zamian za jego usługi.

Kiedyśmy z początkiem marca 1638 roku wyruszyli w drogę, orszak wielkiego księcia powiększył się o pięć wozów załadowanych wyłącznie znaleziskami & różnymi próbkami zgromadzonymi na Malcie & Sycylii.

Dotarłszy do Mesyny, musieliśmy trzy dni czekać na poprawę pogody, sztorm bowiem szalał tak potężny, że żaden kapitan nie zgadzał się przewieźć nas do Kalabrii. Gdy podniesiono kotwicę, tak jeszcze wiało & morze

tak było wzburzone, że nawet marynarzy ogarniało przerażenie. Na prośbę Kirchera podążyliśmy okreśną nieco drogą, w pobliżu skał Scylli & Charybdy, pragnął bowiem zbadać, z jakiej przyczyny są tak niebezpieczne, kapitan wszakże nie zgodził się podpłynąć dostatecznie blisko. W zamian mistrza mojego uszczęśliwił widok góry Stromboli, która w zachmurzone niebo wypluwała strumienie żużli & dymu.

Ruszyliśmy potem w dalszą drogę na północ & po kilku dniach forsownej jazdy dogoniliśmy ekwipaż księcia heskiego w miasteczku Tropea na brzegu Morza Tyrreńskiego.

## SÃO LUÍS

*Wszędzie błyszczwały podkrążone tępe oczka...*

- Wiele w życiu widziałam, ale coś takiego... Rzygać się chce! Wstyd!

W takim stanie nigdy Loredany nie oglądał. Zaciskając z gniewu usta, dawała upust oburzeniu:

- Amerykańskie małżeństwo z siedemnastoletnią córką... Zjawili się w hotelu z rana, przyplłynęli pierwszym statkiem. Akurat jadłam na dole śniadanie z Socorra. Trzy potwory, słowo daję! Thuste jak

wieprze, źle wychowane, mina zdobywcy. Karykatura wszystkiego co najgorsze! Żadnego „dzień dobry”, bez cienia uśmiechu i ani krzty wysiłku, żeby powiedzieć choćby dwa słowa po portugalsku. Biedna Socorra była przerażona. Musiałam jej przetłumaczyć, czego sobie życzą: „Dwa pokoje i piwo”... Obracała parę razy, żeby wnieść ich bagaże, a żadne nawet palcem nie kiwnęło. I zaraz zaczęli chlać wszyscy troje, ojciec, matka i córka. Wyobrazasz to sobie? Kiedy wychodziłam, każde było już po trzech kuflach. Niech sobie będą głupi, brzydki, nieuprzejmi i opoje, trudno. Ale Socorra opowiedziała mi, co się potem działo... Przez całe przedpołudnie lali w siebie piwko i szczali. Po lunchu panie wróciły do pokoju, a facet zażądał, żeby mu rozłożyć leżak na werandzie, i nie uwierzysz: kazał Socorrze, żeby go podczas drzemki wachlowała!

Eleazard coraz szerzej otwierał oczy.

- Ale chyba się nie zgodziła? - zapytał.

- Jasne, że nie, przynajmniej nie od razu... Bo facet najpierw zaproponował jej za to dziesięć dolarów, potem dwadzieścia, a ponieważ Socorra ma w São Luís w internacie wnuka, którego sama utrzymuje, więc...

- Nie do wiary! A Alfredo? Nic nie zrobił? Nie można przecież pozwalać na coś takiego!

- Pojechał z żoną do São Luís na cały dzień. Nie powiem, jak się wkurzył, kiedy się o wszystkim dowiedział. Chciał ich natychmiast jedno po drugim wykopać. Ale Socorra go uprosiła, żeby się nie awantuował i pozwolił jej zarobić w tym miesiącu trochę więcej niż zwykle. Pikanterii sprawie dodaje to, że facet jest uzbrojony, nosi rewolwer wetknięty za pasek spodni. Socorra widziała, kiedy rozpiął koszulę... Alfredo zdumiał się niebotycznie. I zaraz ochłódł w swoim zapale, zwłaszcza że te gnoje dobrze płacą!

- To niedopuszczalne! - zimno oświadczył Eleazard. - Muszę pomówić z Socorra. Zapłacę jej tyle, ile by zarobiła na wachlowaniu, jeśli będzie trzeba, ale na coś takiego nie można pozwolić.

- Gdybyś ją widział!... Ledwie może ruszyć rękami.

- Jutro z nią pogadam - obiecał Eleazard. - A teraz musimy się pospieszyć, inaczej spóźnimy się na statek.

Siedząc na tylnej kanapie wozu - starego forda kabrioletu, który nie jeździł od niepamiętnych czasów, lecz wyglądał, jakby dopiero co opuścił fabrykę - Loredana rozkoszowała się urokami zmierzającego dnia. Kierowany ze swobodą przez Eleazarda samochód zdawał się zdążyć naprzeciw czerwieniom zachodu, jakby chciał się z nimi złączyć w jarmarcznej apoteozie. Doktor Euclides da Cunha z rozwianym włosami co rusz obracał się do Loredany, gawędząc o tym i o owym lub zniechęcał rzucając jakąś uwagę na temat krajobrazu, choć - za co przeproszał - już go nie widział. Atencje te, dyktowane staromodnymi zasadami uprzejmości, pełne były uroku i naturalności płynących z wieloletniego praktykowania kurtuazji.

- Zobacz pani - rzekł, kiedy dojeżdżali do fazendy - hrabina Carlotta jest bardzo subtelną i kulturalną osobą. Zupełne przeciwieństwo jej nieokrzesanego męża. Dotąd się zastanawiam, co mogło ją pociągać w tym człowieku. Bóg jeden wie, jaka chemia sprawuje rządę nad powinowactwem uczuć, zwłaszcza w ich wypadku! Czytała pani niewielką książeczkę Goethego „Powinowactwa z wyboru”?... Nie?... A warto zadać sobie ten trud, zapewniam...

Euclides zdjął okulary. Machinalnie je przecierając, jeszcze bardziej obrócił się do Loredany.

- *Es wandelt niemand ungestraft unter Palmen* - wyrecytował miękko - *und die Gesinnungen ändern sich gewiss in einem Lande, wo Elefanten und Tiger zu Hause sind!* Co się tłumaczy: „Nikt nie wędruje bezkarnie pod palmami, na pewno zmienia się usposobienie człowieka w kraju, gdzie żyją słonie i tygrysy”. Niewątpliwie zgodzi się pani ze mną, że mamy tutaj sporo samców, u których gruba skóra występuje w połączeniu z okrucieństwem drapieżcy...

- Jak zwykle wyolbrzymia pan, doktorze - wtrącił się Eleazard. Umilkł na kilka chwil, koncentrując

się na drodze. - Powiedziałbym nawet, że pan przeinacza! Jeśli pamięć mnie nie myli, biedna Otylia pisze to wyłącznie po to, aby zachęcić ludzi do troski o otaczający ich świat. Jej zależy na tym, aby potępić niezdrowy pociąg do egzotyki, a nie piętnować męską dominację na jakimkolwiek polu. Nie mam racji?

- Nigdy nie przestanie mnie pan zadziwiać, przyjacielu! - rzekł doktor, podnosząc głos, aby go słyszano. - Powiniennem być się domyślić, że ma pan Goethego w małym palcu... Oczywiście tak sobie tylko zażartowałem, ani słowa jednak nie wycofuję. Nikt nigdy mi nie zabroni przypisywać jakimś słowom znaczenia szerszego, niż mają na pierwszy rzut oka. I skoro przy tym jesteśmy: proszę sobie przypomnieć cały fragment, o którym mówimy, a zobaczy pan, że nie tylko go nie przeinaczam, ale jestem mu absolutnie wierny. Punktem wyjścia jest bowiem refleksja na temat stosunku człowieka do przyrody: wyłącznie istoty żywe, które są nam bliskie, powinniśmy poznawać albo uczyć się ich poznawania. Otaczanie się małpami czy papugami w kraju, gdzie stanowią kuriozum, powoduje, że przestajemy dostrzegać naszych prawdziwych z i o m k ó w : znajome drzewa, zwierzęta czy osoby, które się przyczyniły do tego, że jesteśmy tacy, jacy jesteśmy. Drzewo, że tak powiem, zaczyna przysłaniać las... i objawy poważnych zaburzeń. Obce stworzenia wyrwane z naturalnego środowiska przynoszą lęk, przynoszą rozpacz, która przechodzi na nas niczym zaraza i odmienia nas do głębi. „Musielibyśmy prowadzić barwny, szumny tryb życia”, powiada Goethe, „żeby móc znieść dokoła siebie małpy, papugi i Murzynów”.

- Naprawdę mówi „Murzynów”? - wpadła mu w słowo Loredana.

- Tak, ale nie ma w tym podtekstu rasistowskiego, z tego co wiem. Proszę pamiętać, że w tamtych czasach powszechnie posiadano czarnych niewolników jako służbę domową. Goethe mówi na ten temat podobnie jak Rousseau, jeśli rozumie pani, co chcę przez to powiedzieć.

Loredana uśmiechała się ciepło; doktor Euclides da Cunha podbił ją od pierwszej chwili, gdy dwie godziny wcześniej powitał ją w swoim domu. Z rozwianą pędem jazdy brodą i włosami wyglądał jak gryfon chwytający wiatr w nozdrza...

- Przeciwnieństwo jest równie prawdziwe! Takie właśnie jest znaczenie fragmentu, który przytoczyłem. Człowiek zabrany z kraju ojczystego i dobrowolnie albo nie rzucony na obcą ziemię zmienia się... Nic nie pomoże, że na co dzień styka się z papugami, małpami i... powiedzmy, autochtonami w ich rodzimym otoczeniu. Taki człowiek na zawsze pozostanie wykorzeniony i jedynym dla niego wyjściem będzie albo rozpacz wynikająca z braku punktów odniesienia, albo pełna integracja z nowym światem. W obu wypadkach sam staje się rzeczonym Murzynem: nieszczęśliwym niezdolnym zaaklimatyzować się w świecie, którego w ogóle nie pojmuje. I zaraz potem kaleką niepotrafiącym odnowić więzów z ojczyzną, a w najlepszym razie zdrajcą: przez całe życie małpował będzie kulturę, której nawet jego dzieci w pełni sobie nie przyswoją..

- Zgoda, proszę bardzo - rzekł Eleazard tonem, który stał w sprzeczności ze słowami. - Tyle że takie poglądy wychodzą raczej z ust zagorzałych patriotów albo faszystów, którzy straszą mieszaniami krwi i z zasady są temu przeciwni. Czasy się zmieniły, dzisiaj szybciej przejeżdżamy z jednego krańca ziemi na drugi niż z Weimaru do Lipska w epoce Goethego. Można z tego powodu ubolewać albo się cieszyć, nie da się jednak zaprzeczyć, że różnice kulturowe maleją, a w końcu znikną, powstanie natomiast amalgamat niespotykany w historii ludzkości... A jaki ma to związek z Moreirą?

- Nie ma żadnego, mój drogi, żadnego - odparł Euclides, chichocząc z cicha. - A niby dlaczego miałyby mieć? Ostatecznie - znowu odwrócił się do Loredany - nie ja mieszkam z papugą...

- Punkt dla pana - przyznała Loredana, również chichocząc.

- Ma pan szczęście, że jesteśmy na miejscu - rzekł Eleazard, skręcając w główną alejkę fazendy - inaczej pokazałbym panu!

Uśmiechał się mile do starszego pana, lecz Loredana ujrzała, że na kark wypełzła mu czerwień, której kilka sekund wcześniej tam nie było.

- Zapraszam - powiedziała hrabina Carlotta, kiedy doktor da Cunha przedstawił ich pani domu. - Proszę za mną, spróbuję znaleźć Joségo. Później dam państwu spokój.

Wzięła Euclidesa pod ramię i zdecydowanie ruszyła między grupkami gości okupujących nawet schody.

- Sześć do czterech, sześć do zera! Nie wziął ani jednej lewy. I w ten sposób trafiłem do ćwierćfinału turnieju! Przyznam, że nie mogłem w to uwierzyć... A gdybyś widział jego minę! Nie mieściło mu się w głowie, że pokonał go weteran...

Szelest jedwabiu, wymachujące ręce z papierosem, niechętnie opieszale usuwanie się, aby zrobić przejście.

- Carlotta, kochanie, langusta jest przepyszna! Koniecznie musisz mi powiedzieć, gdzie ją zamawiasz, to adres wart majątek!

- ...zaraz go rozpoznałam: Vasco Prado, wyobraź sobie, pośród takiego śmiecia! A ten kretyń nie miał pojęcia, co ma... Pozwoliłam sobie nawet potargować się! Oczywiście to żadne arcydzieło, ale pierwsze wydanie i ma w sobie...

- ...to łądak, trzeba sobie otwarcie powiedzieć. Unoszę się, to prawda, ale nie mogę ścierpieć kłamstwa! Słowo to słowo, trzeba go dotrzymywać...

Odkryte kobiece ramiona, nieskazitelne męskie kołnierzyki, z których spocone szyje próbują się wyswobodzić, wzdychanie z gorącą, lśniącą skórą, zapach od Diora albo Guerlaina bijący spod pachy sinawej od golarki. Czarnoskórzy służący w białych smokingach poruszają się sztywno, magowie z czcią składający swoim bogom ofiary z kwarcu i kanapek z łososiem.

- O, jest! - powiedziała Carlotta, idąc w kierunku wielkiego lustra, gdzie paradował jej mąż z kieliszkiem szampana w jednej ręce, drugą poufale położywszy na ramieniu skrzywionego starca, z którym rozmawiał cicho. - José, pozwól...

Gubernator odruchowo odwrócił głowę z irytacją na twarzy. Ale na widok Loredany rozpoznał się.

- Witam, doktorze, co słyhać? Miło, że pan wpadł.

- Dziękuję, u mnie wszystko w porządku. Proszę sobie nie przeszkadzać, chcę tylko przedstawić przyjaciół, o których wspominałem: Loredana Rizzuto, Włoszka goszcząca chwilowo w naszych stronach...

- Bardzo mi miło - rzekł gubernator, z ukłonem ujmując dłoń Loredany.

- I Eleazard von Wogau, korespondent Agencji Reutera...

- Cieszę się, że mogę pana poznać. Ciągle słyszę o panu!

- Mam nadzieję, że w superlatywach - powiedział Eleazard, ściskając mu rękę.

- Och, bez obaw! Nasz kochany Euclides jest nie tylko wyjątkowym lekarzem, ale również doskonałym adwokatem. Poza tym regularnie czytuję pańskie artykuły i w razie potrzeby już to by wystarczyło, żeby przemówić na pańską korzyść...

- Doprawdy? - zdziwił się Eleazard z lekką ironią, której nie potrafił pohamować.

Od roku nie ukazał się żaden tekst podpisany jego nazwiskiem. Albo więc ten człowiek jest hipokrytą, albo głupcem. A najpewniej jednym i drugim.

- W każdym razie ilekroć wpadnie mi w ręce. Praca niestety nie pozwala mi oddawać się zbyt często lekturze dobrych tekstów. Pozwoli pan jednak - spojrzeniem wskazał starca, który otwarcie okazywał zniecierpliwienie - że później wrócimy do rozmowy. Zaprowadź państwa do bufetu, moja droga, pewnie są spragnieni przy takim upale... - Z tacy kelnera, który akurat przechodził obok, wziął kieliszek szampana i podał Loredanie. - Na razie - powiedział tylko do niej z takim uśmiechem, że poczuła się nieswojo.

Uśmiech człowieka, pomyślała, który zostawia majątek u dentysty.

- To był Alvarez Neto, minister przemysłu - szepnął Euclides na ucho Eleazardowi, kiedy odchodzili.

- Ten stary grzyb?... Jak pan go rozpoznał?

- Nie uwierzy pan, jeśli powiem.
- Proszę spróbować.
- Po zapachu, przyjacielu. Od tego jegomościa czuć forszę jak od innych smród ekskrementów.

Idąc za Carlottą, prześlizgiwali się między gośćmi w smokingach i sukniach wieczorowych, których w to miejsce jakby wabiły złocenia piętra - a może tylko obecność gubernatora? Na widok Loredany kobiece spojrzenia rozpylały toksyczną mgiełkę wzgardliwej rywalizacji; męskie, nieszczerze obojętne, miały uchodzić za przekonujące. Ubrana w obcisłe dzinsy i portfelowy top robiony na szydełku, z włosami luźno spiętymi w kok, szła tanecznym krokiem, nie racząc zauważać, jakie spustoszenia czyni jej przejście.

- Porywam doktora na chwilę - odezwała się hrabina. - Niech państwo spróbują coś przekąsić, zanim te żarłoki ogołocą bufet. Drugi jest w ogrodzie, tam będzie państwu przyjemniej niż tutaj. Zawsze to samo - zwierzyła się Euclidesowi, patrząc na tłum, który z uporem zmierzał ku jednemu kąтови salonu. - Obserwując ich, można by przysiąc, że nie jedli od tygodni.

Eleazard z Loredaną zeszli na dół, pragnąc jak najszybciej znaleźć się na powietrzu. Kelner doprowadził ich do przeszklonych drzwi wychodzących na patio: znajdował się tam rozległy ogród wysadzany drzewami i kwiatnikami, zamknięty murami kaplicy, fazendy i przyległych budynków. Liczne lampy ogrodowe rzucały na niebo poświatę i rodziły tańczące cienie pod masywami datur i migdałowców zasadzonych w nieładzie oszczędnie wyrozumowanym.

- Możesz mi powiedzieć, co my tu robimy? - zagadnęła Loredana z dezaprobatą.
- Stado błaznów! - sapnął Eleazard, ocierając szyję chusteczką. - W głowie się nie mieści! Gdyby to zależało ode mnie, zaraz bym się stąd zabrał.
- A co stoi na przeszkodzie?
- Obiecałem Euclidesowi, że postaramy się wytrzymać... Tak czy owak samochód jest jego i musimy zaczekać, żeby odwieźć go do domu.

Loredana ze zmarszczonymi brwiami wyraźnie się wahała.

- Proszę... - rzekł Eleazard przymilnie, jakby już słyszał jej pełne buntu cierpkie słowa.

Zajrzała mu w oczy i w końcu się uśmiechnęła, zabawnie krzywiąc usta, aby pokazać, jak bardzo się zmusza.

- No dobrze. Ale uprzedzam: będę potrzebowała szampana, dużo szampana!

Eleazard spodziewał się czegoś gorszego.

- Nie ma sprawy! - powiedział z ulgą. - Zaraz się tym zajmę.

Posadził ją przy jednym z ratanowych stolików rozrzuconych pod drzewami i zdecydowanie pomaszerował do bufetu.

Zmrużonymi oczami obserwowała go, gdy szedł na drugi koniec ogrodu: za duży na niego lniany garnitur, krok odrobinę za miękki, za nonszalancki... Ten zabawny facet mile raził w tym otoczeniu. Wśród pryszczatych goryli, niesamowitych bab ze sflaczałymi rękami i dekoltami usianymi rudymi starczymi plamami; wśród nurków u kresu tchu wyłaniających się po to tylko, by wyłącznie z konieczności fizjologicznej zaczerpnąć haust świeżego powietrza, i wyraźnie starających się jak najszybciej wrócić do jasnych czeluści fazendy; wśród strupieszalnych ministrantów i mumii w sukienkach do chrztu; wśród spowitego jedwabiami koszmaru rodem z Francisca Goi... Normalnie niesamowite, że znalazła się tutaj, w sercu Sertão, pośród krzykliwego staromodnego luksusu tego groteskowego domu pełnego żywych trupów! A wszystko dlatego, że pewien dość przystojny Francuz wziął ją pod swoje skrzydła, ona zaś godziła się na wszystko raczej z braku zajęcia niż ze słabości. Od prawnika nadal nie miała żadnych wieści. Poprzedniego ranka jego sekretarka zaklinała się przez telefon, że mecenas aktywnie działa w „jej sprawie”, Loredaną zaczynały jednak dręczyć wątpliwości, zastanawiała się, czy słusznie robi, odgadywała bowiem, że może to być kolejny sposób, by uciec, by zostawić za sobą strach,

który pozbawił ją tchu w pełni słonecznego dnia w Rzymie, kilka metrów od bramy szpitala.

Zjawił się Eleazard z dwoma kieliszkami i butelką szampana w rękach. Towarzyszył mu ucieszony kelner, który niósł na tacy dość różności, by zaspokoili głód.

- Ach, oto i „piękna Włoszka umierająca z pragnienia”! - powiedział i zaczął rozkładać nakrycia na stoliku. - Bez obaw, proszę pani, znajdzie się wszystko co trzeba. - Mrugnięciem wskazał butelkę. - Zachomikowałem jeszcze trzy, w razie gdyby...

- Jeszcze raz dzięki, *rapaz*... I nie daj się! - rzekł Eleazard, wsuwając chłopakowi banknot do kieszeni. - Oni są biali, ale to hołota!

- Aleś pan numerant! - parsknął śmiechem kelner. - W życiu kogoś takiego nie widziałem!

Z konspiracyjną miną gestem pokazał, że będzie milczał jak grób, jeszcze raz puścił do nich oko i wrócił do bufetu.

- Znasz go? - spytała Loredana zaskoczona i rozbawiona sceną.

- Od dziesięciu minut. Poznaliśmy się w bufecie.

- A coś mu nagadał, że zrobił, co chciałeś?

- Och, nic takiego. Dużo dobrego o tobie i kupę potworności o tych starych pierdzielach, których tu pełno wokoło. Ale wiele nie ryzykowałem: i on, i jego kumple już cię zauważyli. Ich zdaniem „zajebista z ciebie laska”, jeśli chcesz wiedzieć, wyróżniasz się wśród tych tutaj i nie ma w tobie świętoszkowatości za grosz...

- Zmyślasz.

- Gdzie tam! Wiesz, oni też mają oczy. Obserwują, a co widzą? Kwestia wprawy. Takich jak oni, chłopców z cateringu, kelnerów z kawiarni, barmanki, należałoby poprosić o przeprowadzenie ekspertyzy psychologicznej naszego świata... Oni więcej wiedzą na ten temat niż ktokolwiek inny!

- Do listy możesz dopisać kasjerki z marketów, fryzjerów, sklepikarzy, lekarzy, księży... W sumie sporo tych „ekspertów”, prawda? Nie za dużo?

- Skądże! - zaprotestował Eleazard z uśmiechem. - Zgadzam się co do lekarzy. Mają nawet przewagę nad barmanami, ponieważ nie wystarcza im, że odkrywają sekrety swoich pacjentów, oni je całkiem obnażają. Zapytaj Euclidesa, sama zobaczysz! Nagość wywiera ten sam skutek co alkohol, rodzi swoiste upojenie, które sprzyja wyznaniom, bezwstydnosci w myśli i w mowie analogicznej do nieprzyzwoitości cielesnej. Księża zawalili sprawę. Gdyby nakłonili swoje owieczki, żeby do konfesjonałów wchodziły pijane i nagie, nie znaleźliby się na uboczu. Najmniej gramotny kelner czy wiejski lekarz więcej wie o swoich krajanach i o ludziach w ogóle niż najbardziej charyzmatyczny spowiednik... Psychoanalicy zrozumieli, o co w tym biega, ale zatrzymali się w pół drogi: każą pacjentom kłaść się na kozetce, żeby łatwiej im było mówić, a tymczasem powinni kazać im się rozbierać do gołego!

- No otwórz tę butelkę, zamiast wygadywać takie głupoty - przerwała mu Loredana.

- To nie są głupoty - obruszył się Eleazard, posłusznie odkorkowując szampana. - Zastanów się tylko, a zobaczysz, że mam słusność.

- Nie twierdzę, że jesteś w błędzie. Po prostu uważam, że nikt nic nie wie o nikim. Umysł ludzki jest nieobliczalny. Nie można tu mówić o prawdzie albo fałszu, są tylko maski i kostiumy arlekina. Aktorem jest ten, kto patrzy, sądząc w dobrej lub złej wierze, że nie podlega manipulacji; aktorem jest ten, kto pozwala na siebie patrzeć. Błędne koło...

- Widzę, że jesteś pesymistką. - Nalał szampana, starannie dopełniając kieliszki, gdy piana osiadała. - Tak czy owak rozstrzygnąć się tego nie da. Ale przynajmniej jednego się o tobie dowiedziałem: w świetle tych lamp jesteś jeszcze piękniejsza.

I jakby nie chciał dopuścić, by coś odpowiedziała, wspiął się na palce, przyciągnął zwisającą nad głową gałąź, poszeleścił ją chwilę, po czym położył przed Loredaną gałązkę z trzema podłużnymi krwistoczerwonymi kwiatami.

Omali jej się nie wyrwało, że to bardzo pospolity gest, uznała jednak, że ma do czynienia z komplementem raczej naiwnym, wzruszyła zatem tylko ramionami z miną, która mówiła: „Kolejny bzdet!”, i trąciła się z nim kieliszkiem.

- Za Brazylię! - powiedziała bez przekonania. Popatrzyła mu w oczy. - I za ojca Kirchera!
- Za Brazylię! - powtórzył Eleazard i spojrzenie zasnuł mu cień.

Chociaż nie bardzo wiedział dlaczego - aczkolwiek dostrzegał absurdalny charakter swojego uporu - twardo odmawiał uhonorowania biednego jezuitę.

Loredana nie uczyniła na ten temat żadnej uwagi i za tę delikatność był jej wdzięczny. Elaine natychmiast zaczęłaby drażnić tę kwestię, interpretować ją na wszelkie sposoby i dręczyłaby go, aż w końcu powiedziałaby cokolwiek, byle ją zbyć, byle przestała się dopytywać, dlaczego tak uparcie nie chce mówić o Kircherze.

Równocześnie podnieśli kieliszki do ust i ponieważ wyglądało na to, że Loredana wychyli szampana duszkiem, Eleazard po króciutkim wahaniu zrobił to samo.

- *Ancóra!* - powiedziała, ocierając usta wierzchem palca. - To było na zaspokojenie pragnienia.

Przez następną godzinę tylko popijali i natrzęsali się z tego, na co patrzyli. Potem wrócili do tematu Socorry i jej korowodów ze zmierzłą amerykańską rodziną, która wprowadziła się do hotelu, zastanawiając się, jak byłoby najlepiej skończyć z tą skandaliczną sytuacją. Przyjemnie im się siedziało na powietrzu, wino z wolna uderzało do głowy.

Druga butelka szampana była prawie pusta, kiedy Loredana podniosła gałązkę z kwiatkami i popatrzyła na nie pod światło.

- Wiesz, co to jest? - spytała z roztargnieniem.
- Nie - przyznał się Eleazard. - Ale z całą pewnością można powiedzieć, że zapach nie jest ich mocną stroną...

- *Brugmansia sanguinea*, tropikalna odmiana datury. To roślina halucynogenna, w większych dawkach śmiertelnie trująca. Niektórzy Indianie dotąd ją wykorzystują, żeby nawiązać kontakt z przodkami. Kiedyś używali jej także, aby oszołomić kobiety, które miały zostać spalone żywcem wraz ze zmarłym mężem.

- No tak, chcesz przez to powiedzieć, że ofiarowałem ci truciznę... - zażartował Eleazard, udając zawiedzionego. - A można zapytać, skąd wiesz takie rzeczy?

- Wreszcie jestem! - usłyszeli za plecami głos hrabiny, która przerwała im rozmowę. - Przepraszam, że na tak długo zabrałam Euclidesa. Czeka na państwa w garażu... - Skrzywiła się niechętnie i wznosząc oczy ku niebu, dodała: - Mój mąż bezwzględnie musi zaprezentować swoją kolekcję samochodów tym, którzy jeszcze jej nie widzieli. Nudy potworne, ale robi to za każdym razem. Zaprowadzę was tam, jeśli państwo pozwolą...

Kiedy wstawali z miejsc, Carlotta obrzuciła wzrokiem butelkę po szampanie i uśmiechnęła się do Eleazarda.

- Pan, zdaje się, jest Francuzem...

Gdy Eleazard gratulował sobie w duchu, że pierwszą opróżnioną butelkę ukrył w krzakach, strasznie zaswędziało go skóra głowy.

- Proszę się nie obawiać - uspokoiła go, biorąc pod ramię - przecież szampan po to jest. Miło mi, że dobrze go państwo wykorzystali...

W jej oddechu mocno czuć było alkohol, co świadczyło, że podobnie jak oni piła ponad rozsądną miarę.

- Proszę mi powiedzieć, panie von... Wogau... Nie przekręcam przypadkiem nazwiska? - I kiedy Eleazard zapewnił ją, że w żadnym razie, ciągnęła: - Nie jest pan aby krewnym profesora Elaine von

Wogau z Brasilii?

Eleazardowi serce szybciej zabiło. Do ust napłynęła gorycz. Biorąc się w garść, aby zapanować nad głosem, odpowiedział swobodnie:

- Jesteśmy w trakcie rozwodu. Owszem, byliśmy rodziną, ale teraz trudno nas tak nazwać...

Przechwycił rozbawione spojrzenie Loredany.

- Och, przepraszam bardzo - sumitowała się wyraźnie zakłopotana hrabina. - Bo... to znaczy, myślałam... Boże, naprawdę ogromnie mi przykro...

- Ależ nic się nie stało, zapewniam - oświadczył, uśmiechając się na widok jej konsternacji, jakby był nią zdziwiony. - To już stara historia... no, powiedzmy, że sprawy są w toku... Zna ją pani?

- Osobiście nie. Syn opowiadał nam o niej. Pracuje z nią na uniwersytecie w Brasilii. Ale naprawdę gdybym wiedziała...

- Niechże się pani tak nie przejmuje. Proszę mi wierzyć, to już nie ma dla mnie znaczenia. Syn państwa jest więc geologiem?

- Tak, i to podobno uzdolnionym. Martwię się trochę o niego, bo miał jechać na wyprawę do Mato Grosso z pańską... to znaczy, z panią profesor... O Boże, ależ mi wstyd!... W każdym razie odkąd wyjechali, nie mamy żadnych wieści. Wiem, że nie ma się czego obawiać, ale sam pan rozumie, jak to jest: człowiek nie może się powstrzymać i zaczyna się martwić...

- Nic nie wiedziałem o wyprawie. Córka nie rozmawia ze mną o matce, pewnie uważa, że tak jest dyplomatycznie. W każdym razie tak to sobie tłumaczę... Proszę się jednak nie martwić niepotrzebnie. Moja żona... bo nadal jest moją żoną - dodał żartobliwie. - Moja żona jest bardzo kompetentną i odpowiedzialną osobą, przy niej państwa synowi nic nie grozi...

Loredana obserwowała ich, jakby oglądała scenę na ulicy. Idąc za Eleazardem i hrabiną, korzystała z przejścia, które otwierało się przed nimi pośród gości. Atmosfera była teraz dość swobodna: rozweselone trunkami pingwiny i pingwinice - doskonale pamiętała, jak się wygłupiały za zamgloną szybą zoo w Mediolanie - wyglądały teraz na mniej nadęte. Każdy zdobył już sobie namiastkę własnego terenu, toteż z dumnie wypiętą pierśią kłapał dziobem na potęgę, pysznił się po swojemu.

Rozbrzmiewały zduszone śmiechy, aż trzęsły się brzuchy i na twarze wypływał rumieniec, rozprawiano pierś w pierś. Na oczach niewzruszonych kelnerów wyznawano sobie cichym głosem ważne pingwinie tajemnice

z rozkosznym uczuciem, w którym świadomość własnej wyższości walczyła o palmę pierwszeństwa z przyjemnością wpędzenia rozmówcy na smutne niziny wdzięczności. Damy gawędziły o gniazdach, młodych i wysiadywaniu jaj, porozumiewawczo wygładzając piórka. Zrzucony przez nieuwagę kieliszek otwierał w tłumie pośród przenikliwych pokrzykiwań polankę, która natychmiast zarastała, pęczniejąc niczym lepki pęcherz na powierzchni magmy. Dyskutowano o strategii w kwestii pływających ławic lodowych, z obawą mówiąc o bliskości niewidocznych orek, straszono się lękami niezmiernymi jak dziura ozonowa, gorącymi jak efekt cieplarniany, nieuchwytnymi jak ocieplanie się klimatu planety... Jedni buntowali się przeciwko polityce odnoszącej się do niedźwiedzi, inni efektownie pomstowali na niedorzeczne żądania ryb albo po ojcowsku użalali się nad rozczulającą skądinąd karykaturą gatunku, jaką stanowią pingwiny. Wszyscy natomiast zgodnie i bez zastrzeżeń podziwiali wspaniałe umiejętności latania mew, podkreślając wszakże, że nieco ładu, przyzwoitości i powagi w pracy niewątpliwie pozwoliłoby społeczności nietotów znacznie się rozwinąć... Wszędzie błyszczały podkrążone tępe oczka.

Poszli przez hol i boczne drzwi wyprowadziły ich pod arkady galerijki tonącej w bujnym różowym kwieciu bugenwilli. Służba domowa broniła wstępu do tej części fazendy - było tu pusto i prawie ciemno, tak że wyraźnie widniał na firmamencie Krzyż Południa osamotniony pośród miliardów gwiazd nie tak jasno świecących. Hrabina przystanęła na moment, by popatrzeć w niebo.

- Niedobrze mi się robi przy tych ludziach - powiedziała do Loredany. Głęboko wciągnęła do płuc



nocne powietrze, jakby oczyszczała umysł i ciało z miazmatów przyjęcia. - Wypiłabym kieliszek szampana... Nie spieszy się chyba państwu do oglądania tych przeklętych samochodów, prawda?

Eleazard zaproponował, że pójdzie po szampana, panie zaś usiadły na murku biegnącym między kolumnkami.

- Miły człowiek - zauważyła hrabina, kiedy zostały same. - Zła jestem na siebie, że taką gafę popełniłam.

- Ależ proszę się nie przejmować! Nie sędzę, żeby go pani uraziła. Niemniej słowem się nie odzywa na temat swojego małżeństwa i rozvodu, co oznacza, że dosyć go to jeszcze boli.

- Jesteście razem?

Zaskoczona tak bezpośrednim pytaniem Loredana przechyliła lekko głowę w bok.

- No, muszę przyznać, że nie owija pani w bawełnę... - uśmiechnęła się, marszcząc brwi. Na kilka chwil popadła w zamyślenie, po czym rzekła: - Nie, przynajmniej jeszcze nie... Ale jeśli chce pani znać prawdę, podoba mi się wystarczająco, żebym taką możliwość dopuszczała.

Kiedy to powiedziała, aż ją zatkało, na głos wyraziła bowiem wobec osoby prawie nieznanym pragnienie, którego tak otwarcie nawet w duchu jeszcze nie sformułowała. Owszem, musiała przyznać, że Eleazard faktycznie ją pociąga, wyrzucała sobie jednak, że zapomniała, choćby tylko na moment, że związać się z nim nie wchodzi w grę.

- Najwyraźniej jestem bardziej pijana, niż mi się wydaje, skoro mówię takie rzeczy - wyznała, śmiejąc się z zażenowaniem.

- Mniej niż ja, niech się pani nie martwi - powiedziała hrabina, ujmując jej rękę. - To jedna z zalet szampana: rozwiązuje języki, a raczej oswobadza je z pęt narzuconych przez konwenanse... Podobacie mi się, tworzylibyście piękną parę.

Niemal zupełnie ukryta pośród bugenwilli gubernatorowa wyglądała jak pogańska boginka, jak spokojna, pełna zadumy pytia, której słowa nabierają mocy wyroczni. Musiała być kiedyś pięknocią, pomyślała Loredana, badawczo wpatrując się w jej rysy.

- Gdyby pani wiedziała, jak jestem zmęczona, zniesmaczona tym wszystkim! - rzekła naraz hrabina z wyraźną paniką w głosie. - Dopiero co panią poznałam, ale o takich sprawach człowiek mówi w chwilach, kiedy działa czar upojenia alkoholem w połączeniu z cudem spotkania właściwej osoby... Mąż przestał mnie kochać, a właściwie nie kocha mnie na tyle, żeby uczucie zapobiegło mojej nienawiści, syn jest daleko, a ja się starzeję... - skrzywiła się z niezadowoleniem - ...jak porcelanowa waza wsunięta w kąt.

Kiedy odgadujemy rozpacz drugiego człowieka, prawie zawsze czujemy się poruszeni, nawet jeżeli nie prowadzi to do niczego ponad czyste współczucie; kiedy ów człowiek odsłania się bezwstydnie, powoduje w nas nieopanowaną irytację. Cóż za tchórzostwo! pomyślała Loredana. Ileż w tym próżności! Czymże jest rozgoryczenie wielkiej pani wobec zagrożenia,

które nade mną wisi od miesięcy? Czy trzeba być pozbawionym wolności, znaleźć się w sytuacji bez wyjścia, by wreszcie docenić jej rozmiary i odkryć, jaką ma wartość sam fakt, że żyjemy, wciąż istniejemy?

Speszona zapaliła nerwowo papierosa, starając się przedłużyć raczej zapadłą ciszę, niż wznowić rozmowę, która przestała ją interesować.

Jednakże oczy Carlotty zmusiły ją w końcu, aby w nie spojrzeć.

- Bardzo proszę, niech pani przypadkiem nie sądzi, że szukam litości albo współczucia - zastrzegła miłym tonem. - Gdyby pani coś takiego powiedziała, choćby jedno słowo, byłby to koniec naszej znajomości. Każdy powinien radzić sobie sam, jestem tego w pełni świadoma.

- Czego więc pani oczekuje? - spytała Loredana dość oschle.

- Powiedzmy, że lekcji włoskiego... Interesowałoby to panią?

Na dnie jej oczu wszakże widniały inne słowa: „Lekcji niewinności, szczerości i braku pokory. Lekcji

młodości, moje dziecko...”.

## ROZDZIAŁ XII

*W którym jest mowa o Museum Kircherianum  
& o wyroczni magnetycznej*

**K**ircher oddawał się pracy naukowej, przerywając ją tylko, aby przyjąć tych, którzy znosili mu osobliwości w postaci minerałów, roślin bądź zwierząt, wiedziano bowiem, że je gromadzi. W ten oto sposób znacznie powiększył swoje zbiory skał anamorficznych; dostarczono mu kamienie albo odłamki minerałów, na których sama natura wyrzeźbiła rozliczne łatwo rozpoznawalne kształty: psów, kotów, koni, baranów, mew, łabędzi & węzów, ale także mężczyzn & niewiasty dawało się dostrzec, czasem nawet miasta całe z wszystkimi budowlami, kopułami & charakterystycznymi dzwonicami. Podobnie na konarach bądź pniach drzew widniały wspaniałe wyryte, & to nie ręką człowieka, godła, portrety, znalazły się też sceny ilustrujące dokładnie wszystkie bajki Ezopa. Najcenniejszym, zdaniem Kirchera, znaleziskiem była seria dwudziestu jeden krzemieni, na których wyraźnie widać było utworzone przez wewnętrzną strukturę kamieni wszystkie litery alfabetu hebrajskiego!

- Wyjątkowy język - mówił Kircher - wspomnienie uniwersalnego języka, który Pan Bóg dał Adamowi, z jego cudowną potęgą deskryptywną & tysiąc & jednym sekretem struktury numerologicznej... Oto widzisz, Casparze, co nam ofiarowują najpodlejsze kamienie leżące na drodze! W swej boskiej dobroci Stwórca w samych rzeczach zostawił nam sposób dotarcia do Niego. Natura bowiem niestrudzenie kreśli na nasz użytek tę symboliczną nić Ariadny, która ma nam pozwolić odnaleźć drogę w labiryncie świata.

Wtedy sobie dzięki Kircherowi uświadomił, że powstanie kosmosu odbyło się w każdym szczególe przez analogię do najwyższego praobrazu. Od samiusieńkiego szczytu po najmniejsze ze stworzeń odnajduje się proporcje absolutne & wzajemne powiązania, a zatem, jak zaświadcza święty Paweł, rzeczy niewidzialne mogą być postrzegane przez umysł za pośrednictwem rzeczy materialnych... Od tego dnia jeszcze więcej serca wkładał w pracę & w poszukiwanie owych symbolicznych liter, które miały nam pomóc cofnąć się w czasie aż do prapoczątków wszystkiego.

- Szukanie - mawiał Kircher - to zbieranie! Gromadzenie jak największej liczby nieodgadzionych cudów, aby odtworzyć doskonałość wiedzy początkowej. To odtworzenie arki z taką samą dbałością o pełne przedstawicielstwo świata & w sytuacji wyjątkowej, jaką okazał Noe. I to święte zadanie, Casparze, wypełnię. Z twoją & Bożą pomocą...

Mistrz mój coraz bardziej się przede mną otwierał, dając dowód zaufania, którego w każdej chwili starałem się być godzien. Gotowym zaświadczyć, że od tego właśnie czasu, gdy dobiegał zaledwie lat trzydziestu sześciu, jego poglądy na świat osiągnęły stan pełnej jasności & złożoności, tak że później je tylko rozwijał. *Omnia in omnibus*, „we wszystkim jest wszystko”, było odtąd jego dewizą; co oznaczało, że w naturze nie ma takiej rzeczy, która by nie pasowała do innych wedle pewnych proporcji & analogii.

Do Rzymu wróciliśmy z końcem lata roku 1638 bez żadnych zdarzeń godnych odnotowania z wyjątkiem tego, że przy wyjeździe z Kalabrii przekonaaliśmy się o zgubnych skutkach ukąszenia tarantuli & przy tej okazji zbadaliśmy właściwą na nie odtrutkę. W ciągu tych miesięcy, kiedyśmy podróżowali, Kircher zdobył niezwykłą wiedzę & doświadczenie. Wiózł do Collegium Romanum fenomenalną wręcz liczbę wyjątkowych materiałów & spieszno mu było do jednego: zasiąść do studiów nad nimi. W drodze powrotnej opowiadał mi o dwóch pracach, które kielkowały mu w głowie & których plan niestrudzenie mi przedstawiał: „Świat podziemny” poświęcony geologii & hydrologii oraz „Sztuka światła & cienia”, która

w dziedzinie optyki miała przyćmić „Paralipomena” Keplera, a nawet opublikowaną ubiegłego roku „Dioptrykę”, w której pan Kartezjusz ośmielał się wyklądać tyle aroganckich bzdur...

Wszelako papieżowi Urbanowi VIII zależało na tym, aby w pierwszym rzędzie oddał swój geniusz na potrzeby badania Egiptu & odczytania hieroglifów. Atanazy musiał zatem kilka lat poczekać, nim zdołał napisać dzieła, w których wykorzystał nasze poszukiwania.

W czasie gdyśmy przebywali na południu, zbiory świętej pamięci Peiresca dotarły wreszcie do Rzymu. Kilka miesięcy nam zeszło, zanimesmy uporządkowali je & poustawiali na piętrze kolegium, które do dyspozycji Kirchera oddał ojciec generał Towarzystwa Jezusowego. Wraz z tym, co mistrz mój zgromadził w trakcie ostatnich podróży, zrobiła się z tego całkiem spora kolekcja wszelakiego rodzaju osobliwości. Na dodatek wzbogacali ją bracia jezuici przebywający na misjach, dość regularnie dosyłając eksponaty z Indii Wschodnich bądź Zachodnich.

Kircher pragnął, aby jego muzeum było najpiękniejsze & posiadało zbiory najbogatsze na świecie. Nie chciał gabinetu osobliwości większego niż ten, który stworzył Paracelsus, Agrypa, Peiresc & tylu innych, lecz prawdziwej encyklopedii, teatru pamięci oferującego każdemu zwiedzającemu możliwość pełnego przeglądu wiedzy ludzkiej od samych jej początków. Wykorzystywana do tego celu galeria pyszniła się cennymi marmurami; Atanazy dodał do tego kolumny greckie & rzymskie, przekształcając to miejsce w portyk, w którym na modłę stoików filozofowano, chodząc. Kilka sal wykładowych po bokach przeznaczono na dokumentowanie sztuk pięknych & nauk ścisłych.

Na sklepieniu westybulu mistrz mój kazał namalować freski: pięć owalnych *panneau*. Na pierwszym, który witał zwiedzającego u wejścia do muzeum, widniała salamandra w ogniu.

- Salamandra to ja - wyznał mi Kircher, kiedyś go zapytał o znaczenie tej alegorii. - Przez to zachęcam zwiedzających, aby stawili czoło ogniewi trudnych studiów...

W moim mniemaniu nader to było stosowne, zwłaszcza po tym, jakem oglądał mistrza pośród żużli Etny czy Wezuwiusza, gdzie był w swoim żywiole.

Cały rok 1639 zeszedł nam na otwieraniu skrzyń & układaniu ich zawartości w galerii tak upiększonej. Z Chin przyłynął statek aż po burty wyładowany skarbami przeznaczonymi dla Kirchera, wyeksponowanymi przez ojca Giovanniego Filippa de Marini, misjonarza w Japonii & Chinach. Rogi nosorożca, haftowane złotem paradne stroje, pasy zdobione rubinami, próbki papieru, wizerunki bóstw, świętych, mandarynów, mieszkańców tych krajów; kwiaty, ptaki, drzewa malowane na jedwabiu, rozmaite zioła nieznane naszym przyrodnikom, a osobliwie jedno, zwane „lac tygridis”, poza tym przeróżne księgi, manuskrypty, gramatyki etc. Wszystkie te bogactwa posypały się na Collegium Romanum, wzbogacając zasoby muzeum. Ponadto były liczne listy adresowane do Atanazego od jego przebywających w takim oddaleniu wiernych korespondentów.

Manuel Diaz, wiceprowincjał zakonu w Chinach, donosił między innymi o niedawnym odkryciu steli o kapitalnym, jak się miało niebawem okazać, znaczeniu. Na kamieniu tym, odkopanym przypadkowo w roku 1623 podczas robót ziemnych w pobliżu miasta Sian-fu, widniał tekst w dwóch językach, syryjskim & chińskim. Zdaniem Diaza była to inskrypcja wyryta w roku 781 po śmierci Pana Jezusa, dowodząca przybycia nestorian do Chin w tym właśnie czasie. W najwyższym stopniu zainteresowało Kirchera, że chrześcijanie, choćby & syryjscy, tak wcześnie trafili do samego serca cesarstwa chińskiego. Nie uznał za stosowne wyjaśnić mi, dlaczego ów fakt wydaje mu się tak doniosły, niemniej anim przez moment nie wątpił, że list Diaza pozwolił znowu posunąć mu się o krok w budowie teorii, którą cyzelował dzień po dniu.

Oprócz listu od Manuela Diaza w poczcie znalazły się również pisma od Johanna Adama Schalla von Bella, odpowiedzialnego za zreformowanie kalendarza na dworze cesarza Czung-szena, od malarza Johanna Gruebera, od Michała Piotra Boyma oraz od innych równie znamienitych misjonarzy: wszystkie

obfitowały w niezwykle informacje na temat tego kraju. Wszyscy rozpisywali się o magicznych bądź metamorficznych górach zdolnych się przeobrażać albo nawet przenosić, o morskich smokach & niezwykle rzadkich zwierzętach, o demonicznych bóstwach, o posągach & nieprzebytych murach. Misjonarze kładli także nacisk na potęgę & starożytność cesarstwa chińskiego. Zdawali się zafascynowani ludem tak odmiennym od nas, a przecie w wielu dziedzinach tak postępowym, chociaż ciągle jeszcze tkwiącym w najwstrętniejszym bałwochwalstwie. Ojciec, który towarzyszył ładunkowi na statku, zdołał żywą roślinę, na którą mówił „ananas”, dowieźć aż do Rzymu, zraszając ją w drodze wodą z własnej racji. Owoc tej rośliny Kircher uznał za przepyszny. Miąższ ukryty pod skórą ma odrobinę włóknisty, w ustach wszakże po prostu się rozplywa. Smak jego zaś jest tak szczególny, a przy tym jedyny w swoim rodzaju, że kto chciał dokładnie go opisać, ten nie mogąc uczynić tego za pomocą jednego porównania, używał pojęć odnoszących się do tego co najlepsze w oberżynie, moreli, truskawce, muszkacie & renecie, po czym stwierdzał, że & tak jeszcze pozostaje w nim jakiś smak nienazwany, właściwy tylko jemu.

Wszystko to w połączeniu z bezustannymi prześladowaniami, których ofiarą padali misjonarze jezuicki w swym dziele szerzenia wiary, skłoniło mistrza mojego do podjęcia ważkiej decyzji: postanowił mianowicie do nich dołączyć. Z początkiem roku 1640 zwrócił się zatem do ojca generała Towarzystwa z prośbą o zgodę na wyjazd na Wschód, gdzie mógłby się poświęcić nawracaniu Chińczyków. Byłem równie jak Atanazy podekscytowany myślą, że ofiaruję życie Panu Bogu & Kościołowi, Opatrzność zadecydowała wszakże inaczej: na wyraźne życzenie papieża, który za nic w świecie nie chciał stracić człowieka tej miary co Kircher, jego prośbę odrzucono. Chociaż Atanazy, jak mi wyznał, mocno był zawiedziony, podporządkował się bez sprzeciwu poleceniom superiorów & odtąd jeszcze bardziej interesował się wszystkim, co mogło doń dotrzeć z tych odległych stron.

W wieku lat trzydziestu ośmiu mistrz mój zdawał się być u szczytu swoich możliwości. Pracował nad kilkoma dziełami równocześnie, poruszając wszelkie tematy, objaśniając wszystkie dziedziny ludzkiej wiedzy, nie wzbierał się przy tym przed nauczaniem matematyki & języków wschodnich, stale też przemyślał nad praktycznym wykorzystaniem odkryć swoich. Zarazem wykładowca, astronom, fizyk, geolog & geograf, specjalista od języków, archeolog, egiptolog, teolog etc. stał się obowiązkowym interlokutorem wszystkich mędrców swoich czasów, tak że ktokolwiek przybywał do Rzymu, prosił go o spotkanie.

Brat furtian stale zatem biegał po schodach do gabinetu Kirchera z informacją, że zjawił się taki to a taki gość. Jako że furtian był już posuniętym w latach staruszkim, pragnąc mu oszczędzić wysiłków nieestosownych dla sędziwego wieku, Atanazy wymyślił pewne ułatwienie. Kazał otóż zamocować miedzianą rurę, która wychodziła od stróżówki & sześć piętér wyżej kończyła się na jego stole. Na obu jej końcach znajdował się miedziany lejek mający potęgować głos. Wewnątrz rury przeciągnięto sznurek, za który furtian szarpał w potrzebie, uruchamiając jawajski gong umieszczony w pobliżu miejsca pracy mojego mistrza & dając w ten sposób znać, że chce z nim mówić. Wynalazek ten działał znakomicie, tak że brat furtian

po tyśiąckroć dziękował Atanazemu za łaskawość. Kilkakrotnie wszakże przyszło mu zwrócić uwagę, albowiem taką przyjemność sprawiało staruszkowi używanie tego urządzenia, że z błahych powodów przeszkadzał czasem Kircherowi w pracy.

W roku 1641 ukazała się drukiem „Magnes, sive de Arte Magnética”, księga licząca dziewięćset szesnaście stron, na których Kircher podejmował kwestie poruszone w „Ars Magnesia”, opublikowanej w Würzburgu w roku 1631, oraz wiele innych, dokonując ich pełnej rekapitulacji. Przyciąganie, tak widoczne pośród istot żywych & rzeczy & tak przypominające tajemniczą siłę obecną w kamieniu magnetycznym, przypisywał magnetyzmowi uniwersalnemu. Analogia raz jeszcze okazała się nader cenna; siła sympatyczna działająca na północy na igłę magnezową jest jedynie ilustracją siły znacznie

potężniejszej, która łączy mikrokosmos z makrokosmosem, jak w odległych już czasach wykazał Hermes Egipcjanin. Nieodparte przyciąganie bądź odpychanie, jakie występuje niekiedy między mężem a niewiastą, siła kierująca pszczołą do kwiatu albo obracająca słonecznik ku Słońcu są tym samym fenomenem działającym zarówno na ziemi, jak & w niebiesiech: potęgą Boga, magnesu absolutnego obecnego w całym wszechświecie.

- Świat chronią sekretne więzy - powiadał mistrz mój - a jednym z nich jest uniwersalny magnetyzm, który rządzi stosunkami zarówno między ludźmi, jak & między roślinami, zwierzętami, Słońcem & Księżycem. Nawet minerały podlegają temu tajemnemu działaniu...

W księdze swej Kircher opisał także „wyrocznię magnetyczną”, którą wymyślił dla Najwyższego Kapłana & zbudował zawczasu, tak aby móc jednocześnie ofiarować mu urządzenie & jego opis. Uczestniczyłem przy pierwszym uruchomieniu owej osobliwej maszyny w obecności kardynała Barberiniego, którego mistrz mój poprosił o ocenę, czy taki podarunek będzie stosowny.

Wyobraźmy sobie oto sześciokątny stół z ustawioną pośrodku kopią obelisku egipskiego zawierającego bardzo duży kamień magnetyczny. Wokół obelisku, na wprost każdego boku stołu, umieszczono sześć dużych kul kryształowych, a w każdej wisiał na sznurku wyrzeźbiony w wosku aniołek. Pomiędzy dużymi kulami znajdowało się dwanaście mniejszych, zbudowanych podobnie, lecz zawierających figurki zwierząt mitycznych. We

wszystkich osiemnastu figurkach także ukryto magnesy, a to, jak figurki utrzymywały między sobą równowagę, zależało od kamienia centralnego. Wreszcie wokół każdej z dużych kul wymalowane były różne systemy, jak alfabet łaciński, zodiak, żywioły, wiatry & ich kierunki. Suwak umieszczony na froncie stołu pozwalał mniej lub bardziej obracać kamień w obelisku, co naruszało równowagę figurek & wprowadzało je w ruch, dopóki przyciąganie nie ustawiło ich w nowej pozycji względem innych. Wyciągnięte rączki *putti*, czyli aniołków, wskazywały wówczas taką to a taką konstelację czy taką to a taką literę alfabetu, odpowiadając w ten sposób na pytania stawiane przez manipulującego urządzeniem.

- To tylko zabawka - rzekł Kircher kardynałowi - utrzymuję jednak, że człowiek pozostający w prawdziwej harmonii z naturą, to znaczy w sympatii z siłami magnetycznymi, które nią rządzą, mógłby naprawdę wiele się dowiedzieć od tego niewielkiego urządzenia & uzyskać przepowiednie w pełni wiarygodne.

- Nie musicie mnie o tym przekonywać, ojciec - odparł kardynał Barberini, którego błyszczący wzrok świadczył o zainteresowaniu, jakie wzbudził w nim wynalazek mistrza mojego - ale to niebezpieczna stawka dla tego, kto taką grę przedsięwzięmie. Niechaj machina niedorzecznie odpowie na postawione pytanie, a już ten, kto je zadał, trafi pośród ignorantów, żeby nie powiedzieć: osłów...

- I owszem - przyznał Kircher z uśmiechem - nieszczęśnikowi jednak zawsze będzie przysługiwało prawo do obwinienia maszyny, jej wynalazca zaś dumny będzie, mogąc bronić urządzenia, które powstało wyłącznie ku uciechu, albowiem jeden Pan Bóg zna zamiary Opatrzności.

- W rzeczy samej - zgodził się kardynał również z uśmiechem - niemniej z samej tylko ciekawości chętnie bym się przyjrzał próbie działania maszyny.

- Eminencjo, wasza prośba jest dla mnie rozkazem. Hmm, jakie by tu pytanie zadać tej szklanej pytii?... - Kircher w skupieniu się zastanawiał, wreszcie twarz mu pojaśniała. - Czy ta zabawka, stworzona z mojej wyobraźni dla zilustrowania sekretnych sił natury, jest w stanie dojść do prawdy? Tak brzmi moje pytanie. Zapytam więc kulę alfabetyczną, aby uzyskać odpowiedź pisemną. Casparze, bądź tak dobry, każ przynieść opaskę na oczy, pióro & papier.

Czym prędzej wezwałem sługę & poleciłem, by przyniósł to, czego żądał mistrz. Następnie zawiązałem Kircherowi oczy, kardynał sprawdził, czy aby na pewno nic nie widzi spod opaski, po czym usadowiliśmy go przed suwakiem. Atanazy przesunął go po raz pierwszy. Wszystkie figurki zaczęły się obracać, podskakując na sznurkach. Kiedy znalazły równowagę, kardynał na głos wypowiedział literę

„N”. Skwapliwie ją zapisałem, mistrz zaś poruszył suwakiem po raz drugi.

Po półgodzinie tych ćwiczeń Kircher, zmęczony koniecznym skupieniem, jakiego wymagały, oświadczył, że kończy na tym, & zdjął z oczu opaskę. Kardynał Barberini wziął wówczas ode mnie kartkę & na poły z rozbawieniem, na poły szyderczo przeczytał, co następuje, z iście kapłańskim namaszczeniem: „natu ranatu ragau deth”.

- I proszę - rzekł, podając kartkę Atanazemu - macie tu, ojcze, doskonałą ilustrację tego, com mówił. Obawiam się, że raczej nie jesteście w idealnej harmonii z Uniwersalnym Magnezem.

Kircher zmarszczył brew, ja zaś zacząłem się rumienić za niego - nie tyle z powodu porażki, w gruncie rzeczy była bowiem do przewidzenia, ile z powodu uszczypliwych słów kardynała.

Mistrz mój w milczeniu wpatrywał się w sybilliński tekst powstały dzięki machinie, w końcu, nadal bez słowa, po czterokroć spokojnie skreślił coś na kartce & podał ją kardynałowi.

Jeśli wszakże pragniesz, Czytelniku, poznać zaskakujący ciąg dalszy tego zdarzenia, musisz uzbroić się w cierpliwość & doczekać do następnego rozdziału...

## NA RZECIE PARAGWAJ

*Przez chwilę wydawało jej się, że las ją przyzywa...*

Kiedy kanonierka minęła gniazdo karabinów maszynowych, ostrzał najpierw stał się mniej celny, a w końcu zupełnie ustał: myśliwi tak byli pewni siebie, że pilnowali rzeki tylko w dole, natomiast skręcająca niemal prostopadle odnoga, która ciągnęła się wzdłuż ich obozowiska, wyginała się powyżej i zamykała pole ostrzału.

Petersen już po kilku chwilach się zorientował, że pomylił warkot silnika z łoskotem strzałów z broni automatycznej. Otrząsnął się z zaskoczenia i podniósł ostrożnie. Statek był teraz poza zasięgiem broni, lecz na rufie pojawił się gęsty czarny dym... Gaśnica! Runął ku trapowi i potknął się na Dietlevie, który leżał na pokładzie z wykrzywioną twarzą i jęcząc, obiema rękami ze wszystkich sił przyciskał nogę zamienioną w krwawą miazgę...

Herman zaklął pod nosem, po czym przechylił się przez reling.

- Hej, wy tam! - krzyknął do Maura i Elaine. - Dietlev jest ranny, trzeba go opatrzyć! Ruszcie dupy, na Boga!

I pognał dalej. Metalowa konstrukcja kanonierki wibrowała tak mocno, jakby zaraz miała się rozlecieć.

- Zwolnij, kretynie! - wrzasnęła, wpadając do sterówki. - Wyłącz silnik!

A ponieważ Yurupig ani drgnął, nadal kurczowo ściskając ster, sam przesunął manetkę prędkości.

Kanonierka płynęła siłą rozpędu.

- Gdzie Hernando? - zapytał Petersen, zdejmując z uchwytu gaśnicę.

W tym momencie zobaczył Paragwajczyka: leżał na plecach nieco z boku, w cieniu, oczy miał szeroko otwarte, jakby zachwycone pustką tamtej strony, gardło poderżnięte.

- No nie... - wyjąkał Petersen, któremu zrobiło się niedobrze. - Co cię napadło, do kurwy nędzy?! Co cię napadło?!

Yurupig obrócił do niego głowę i parę sekund patrzył tylko na niego z miną opętanego kaznodziei, szaleńca ogarniętego transem.

- Pogadamy później - rzekł Petersen z tym większą złością, że był przerażony. - Na razie nie ruszaj się stąd. Masz płynąć powoli, zrozumiano?

Wrócił na rufę, owinał sobie rękę szmatą, po czym podniósł klapę wjazdu prowadzącego pod pokład. Pod napływem powietrza tłący się tam ogień buchnął gwałtownie, lecz Petersen odbił gaśnicę i zdołał go stłumić. Całe szczęście, że ten grat w ogóle zadziałał, pomyślał.

- No, chociaż tyle - mruknął do siebie. Trzeba będzie sprawdzić ładownię, jak tylko dym się

rozproszy, a tymczasem należy się zająć Dietlevem. W stanie jest raczej nieciekawym, gdyby ktoś pytał go o zdanie.

Wspomniiał ciało Milтона posiekane kulami. W swoim życiu widział dosyć trupów, by z całą pewnością rozpoznać, że nienaturalna pozycja, jaką przyjęło, świadczy o śmierci. Dupek był z niego, ale mógł się nie wyrywać...

- Herman! - usłyszał krzyk Maura, który biegł mu naprzeciw.

W jego głosie brzmiała panika.

- Co znowu?

- Woda!... Szybko!

Petersen pospieszył za nim do wejścia pod pokład. Jednym rzutem oka ocenił rozległość szkód: woda dochodziła do wysokości stołu w mesie.

- Skurwiele!... Cholerni skurwiele! Jeszcze tego brakowało...

- Rusz się, człowieku! - pogonił go Mauro. - Gdzie pompy?

- Za późno, nie zdążymy... Trzeba się stąd zwijać, i to szybko!

- Gdzie kapoki? - zapytał jeszcze Mauro, przytrzymując Hermana za rękę.

- Nie ma! Powiedz tamtym, ja się zajmę resztą, OK?

Wróciwszy do sterówki, Petersen przejął ster od Yurupiga i zaczął przepatrywać rzekę przed sobą: w tej części biegu Paragwaju prawy brzeg był jednym wielkim trzęsawiskiem, nieprzebytym obszarem porośłym kolcolistami i roślinnością wodną; natomiast przy drugim brzegu, odległym najwyżej o jakieś sto metrów, białawy kolor wody wskazywał na mieliznę przy dochodzącym do wody lesie. Kombinując, jak najlepiej by tam przybić, Herman obrócił ster i zwiększył moc silnika, aby statek, już zbyt ciężki do manewrowania, skierować dziobem w tamtą stronę. Kanonierka tak wolno reagowała, że przesunął manetkę gazu do oporu i sterował prosto na piaszczystą płyciznę.

Kiedy Petersen wezwał ich na pomoc, Elaine wciąż jeszcze była w stanie szoku; wtulona w ramiona Maura, błędziła myślami oszołomiona strumieniem oderwanych obrazów, a docierała do niej jedynie świadomość, że spódnicę w okolicy krocza ma zmoczoną. Słowa „opaska uciskowa” w połączeniu z imieniem przyjaciela podziałały na nią otężeńczo jak policzek. Zerwała się na nogi i pobiegła do trapu, działając instynktownie, lecz zdecydowana stawić wszystkiemu czoło.

- Przynies apteczkę! - poleciła Maurowi, kiedy zbadala zranioną nogę Dietleva. - W skrzyni numer sześć, tej z mapami... Pospiesz się, błagam!

I nie zwracając już na niego uwagi, szybko rozpięła bluzkę, zsunęła jeden rękaw, po czym sposobem znanym tylko kobietom zdjęła biustonosz. Przewięzała nim udo Dietleva wysoko pod szortami i zaciskała węzeł dopóty,

dopóki nie zahamowała tryskającej krwi, która rozlewała się coraz większą kałużą wokół rannego.

- Będzie dobrze - powiedziała, ujmując Dietleva za rękę.

Z twarzą wykrzywioną z bólu i zaciśniętymi zębami geolog uśmiechnął się blado.

- Źle to wygląda?

- Robi wrażenie, to wszystko. Nie ma powodu, żeby się za bardzo przejmować.

Elaine niecierpliwie wypatrywała Maura, który wreszcie się zjawiał z apteczką pierwszej pomocy.

- Koniec świata na dole! - oznajmił, wskazując swoje zamoczone spodnie. - Woda dochodzi do koi. Muszę powiedzieć Petersenowi.

- Leć! - powiedziała Elaine, otwierając torbę przygotowaną przez Dietleva w Brasilii.

I pomyśleć tylko, że naśmiewała się z niego, kiedy z maniacką drobiazgowością dobierał i układał jej zawartość! Szykujesz istną puszkę Pandory! Jeśli spotka nas choćby jedna setna nieszczęść, które przewidziałeś, ładnie będziemy wyglądali po powrocie” - kpiała. „Natrzęsaj się, natrzęsaj - odparł wtedy ze

śmiechem. - Bóg jest wielki, jak mówią w Brazylii, ale las jest większy! Zobaczysz, jeszcze ci przypomnę, co mówiłaś. I będziesz wtedy szczęśliwa, że znajdziesz tu co trzeba, choćby tylko na zadrapania...”.

Wiedziała mniej więcej, co należy zrobić. Może nareszcie przydadzą się na coś te wszystkie broszury na temat pierwszej pomocy, które czytała. Rozerwała nerwowo kilka opakowań sterylnej gazy opatrunkowej, zwilżyła ją środkiem odkażającym i nachyliła się nad raną. Oczyścić, znaleźć arterię, podwiązać, nie dotykać nerwów - powtórzyła sobie w myśli. Przy pierwszym dotyku Dietlev krzyknął. Cofnęła rękę i spojrzała na niego z niepokojem.

- Rób dalej... - zdołał wykrztusić. - Nie zwracaj uwagi...

Elaine wzięła się za oczyszczanie rany, zwłaszcza najmocniej zakrwawionej części kolana. Staw był strzaskany, dosłownie zamieniony w miąższę. *Meu Deus!* W życiu tego nie poskładają, pomyślała. Ze zdenerwowania klęła pod nosem.

- Weź zacisk... - wydusił z siebie Dietlev. - Szczypce podobne do nożyczek... Tak, te... Teraz poluzuj opaskę, zobaczysz lepiej...

Z rany krótkimi bryzgami zaczęła znowu tryskać krew.

- Wygląda, jakby płynęła skądś z tyłu... - mówiła Elaine, ocierając krew. - Nie... O, jest!

Dojrzała wylot żłobkowanej jak przelyk kurczenia różowej tętnicy, z której miarowo tryskała krew. W skupieniu wsunęła pod tętnicę jedno ramię zacisku, upewniła się, że nie chwyta niczego, co przypominałoby nerw, po czym ścisnęła szczypce, aż wpasowały się karby na obu ramionach. Krwawienie ustało.

Mauro wrócił do nich akurat w chwili, gdy statek znów zaczął nabierać prędkości.

- Rozbijemy się zaraz! - ostrzegł.

- Pomóż trzymać nogę w górze - poleciała, zauważając dość wyraźne oszołomienie w oczach studenta.

- Elaine... - odezwał się Dietlev słabym głosem. Nachyliła się nad nim, aby lepiej słyszeć. - Mówiłem ci już, że masz piękne piersi?

Zarumieniła się po same uszy i niezręcznie zaczęła zbierać ręką połę bluzki. Mauro ze wzrokiem wlepionym w jej pierś uśmiechał się z rozanieloną miną niczym dziecko, które zobaczyło Świętego Mikołaja.

Petersen wyczekał do ostatniej chwili i wtedy dopiero wrzucił na luz. Kanonierka siłą rozpędu wpłynęła ze trzy, cztery metry na mieliznę, przechyliła się lekko na prawą burtę, po czym znieruchomiła.

- To się nazywa robota! - rzekł stary Niemiec dumny z wykonanego manewru. Wyłączył silnik i uruchomił pompy elektryczne. - Idź na dziób - poleciał Yurupigowi - i znajdź te cholerne dziury w kadłubie!

Kiedy znalazł się z powrotem na pokładzie, Elaine kończyła podwiązywać Dietlevowi tętnicę.

- Jak tam? - zapytał.

- Przeżył - odparła zimno - ale niewiele brakowało...

Wyjęła z opakowania strzykawkę, wbiła igłę w kauczukowy korek niedużej fiolki i zaczęła nabierać jej zawartość. Dietlev tak jasno opisał na etykietach wszystkie leki, ich zastosowanie i sposób użycia, że bez trudu znalazła to, czego szukała.

- Co z Miltonem? - spytał Dietlev, gdy Elaine robiła mu w rękę zastrzyk z morfiny.

- Nie żyje - sucho odparł Petersen. - Sprawdziłem.

Elaine zastygła na ułamek sekundy. Zapadła cisza. Milczeli wszyscy ogarnięci poczuciem winy, że zapomnieli o Miltonie, i bolesną świadomością, że odszedł tak tragicznie.

- Mauro, mógłbyś mi zagotować wody? Muszę to oczyścić do końca. Później trzeba będzie go przenieść i ułożyć gdzieś wygodniej.

- No tak... - powiedział Herman, patrząc za odchodzącym młodym człowiekiem. - To ja pójde



zerknąć na szkody, zanim zrobi się ciemno.

- Moment! - zatrzymała go Elaine. - A ten... ten człowiek?... No, ten Paragwajczyk... gdzie... Jednym nadzwyczaj wymownym gestem Petersen wyjaśnił jej wszystko, dodając tylko:
- Yurupig... Nie dał mu szansy.

Idąc za Indianinem, Herman obszedł wszystkie pomieszczenia pod pokładem, przyświecając sobie latarką. Wynurzył się stamtąd blady jak ściana: pociski z karabinu maszynowego podziurawiły jak sito kadłub poniżej linii zanurzenia. O załataniu tego nie było co nawet marzyć. Cud w ogóle, że tak długo utrzymali się na wodzie. Nawet gdyby miał spawarkę, trzeba by dobrych kilku dni, zanim statek nadawałby się do żeglugi... Herman pospieszył na rufę, lecz ujrzawszy, co zostało z łodzi pneumatycznej - bezkształtny przedmiot w trzech czwartych zatopiony - zdał sobie naraz w pełni sprawę z ich położenia.

- Pomóż mi! - polecił Yurupigowi. - Wciągniemy ją na pokład.

Łódź także była kompletnie podziurawiona, nie do naprawienia. A jeśli chodzi o jej silnik, to nie dość, że spędził trochę czasu pod wodą, to jeszcze otrzymał serię z broni. Yurupig pokręcił głową.

- Nic się nie da zrobić. Głowica rozwalona.

- Pięknieś nas urządził! - wybuchnął Petersen. - Ty skurwysyński gnoju!... I co teraz, he? Możesz mi powiedzieć?

- Skończ z tym cyrkiem, Petersen - rozległ się za jego plecami głos Maura - i przyjdź nam pomóc. Potrzebna jakaś deska albo coś sztywnego, żeby unieruchomić mu nogę...

- Ja się tym zajmę - zaofiarował się Yurupig. - A wy zaczniście wyciągać materace, żeby przeszły. Hamaki też.

- I co jeszcze? - zeżył się Herman. - Chyba ja dowodzę na tym statku, nie?

- Na Boga, przestań! - powiedział Mauro, ciągnąc go za rękę. - On ma rację. A z dowodzeniem to już przeszłość. Dowiodłeś chyba swoich umiejętności.

Speszony jego stanowczością Petersen poszedł za nim pod pokład.

W mesie niewiele już zostało wody, wszystko jednak było przewracane do góry nogami: książki i papiery nasiąknięte wodą prezentowały się wręcz odstręczająco, wszędzie walały się odłamki szkła, mokre poduszki, w miejscach zgoła nieoczekiwanych znajdowały się najrozmaitsze przedmioty porwane falą. Kabiny także były zalane, znaleźli jednak na najwyższych kojach trzy prawie suche materace z pianki oraz kilka koców. Resztę porozwieszali na relingu.

Yurupig przyniósł dwie deski oderwane z pokrywy skrzyni oraz płócienną taśmę, którą dla wzmocnienia obwiązane były skrzynie. Elaine, mając wreszcie upragnione łubki, zakrzętała się około rannego. Pod wpływem morfiny Dietlev zapadł w głęboki sen, bez większego zatem problemu unieruchomiła mu nogę jak należy. Następnie Yurupig podjął się przenieść go: podłożył płócienną taśmę Dietlevowi pod pośladki, zawiązał, a na każdym końcu zrobił sporą pętlę; wyciągnął się później między jego nogami, pętle założył sobie na ramiona, jakby zadawał sobie plecak, i wykonał pół obrotu wokół własnej osi. Przykłęknął potem na jedno kolano, całe ciało dźwigając na barkach, i z trudem podniósł się na nogi. Chwilę później podobnie zrobił, aby położyć Dietleva na prowizorycznym pośłaniu na rufie statku.

Elaine ciężko przysiadła koło geologa. Ogarnęło ją takie drzenie, aż myślała, że serce wyskoczy jej z gardła. Przez chwilę wydawało jej się, że las ją przyzywa.

Pod gorejącym niebem wieczorna bryza zaczynała podnosić krótkie fale na rzece.

- Musimy pogadać - oświadczył Herman ponuro. - Uszkodzenia statku są takie, że nie damy rady ich naprawić, to samo z zodiakiem. Powiem otwarcie: wdepnęliśmy w gówno. Czekać tutaj nie ma po co, bo nikt się nie zjawi... Można by zbudować tratwę, żeby z nurtem popłynąć do Corumby, ale

sami wiecie, co nas czeka kawałek stąd w dół rzeki. Wystrzelają nas jak króliki, bez dwóch zdań. Pozostaje droga przez las, ale to prawie tak samo niebezpieczne... Tyle że to jedyna nadzieja na wydostanie się stąd.

- A czemu by nie popłynąć dalej na tratwie? - zapytał Mauro.

Petersen wzgardliwie wzruszył ramionami.

- Za silny prąd. Nawet gdybyśmy zbudowali tratwę, którą dałoby się jakoś tam sterować, pod prąd nie popłyniemy.

- Ale przecież w końcu zaczną się o nas niepokoić - obstawał przy swoim Mauro. - Przyślą do nas kogoś z północy, z Cáceres na przykład albo nawet z Cuiaby, nie?

- „Oni”, czyli kto? Tutaj każdy sobie rzepkę skrobie. A moja żona nie będzie się martwić, bywa, że wypływam nawet na kilka tygodni... Do tego czasu wszyscy tu zdechniemy.

- Mamy spore zapasy, na jakiś czas jedzenia nam wystarczy - wtrąciła Elaine - a później jakoś sobie poradzimy. Można przecież łowić ryby czy coś upolować...

- Och, żarcie to żaden problem, droga pani. Nie o to się martwię, tylko o wodę... Część zbiorników podziurawiły kule, a resztę szybko opróżnimy i wtedy pozostanie nam pić wodę z rzeki. I staniemy przed wyborem: umrzeć z pragnienia albo na dyzenterię. I załatwione.

Elaine wystarczająco się naczytała o chorobach tropikalnych, aby nie przyznać mu słuszności.

- A lasem jakie mamy szanse?

- Pani żadnej. Za ciężka droga, pani nienawykła. On zresztą też - dodał, spoglądając na Maura. - A o Dietlevie w ogóle szkoda gadać! Dlatego mam taką propozycję: zaczekacie tutaj we trójkę, a my z Yurupigiem pójdziemy po pomoc. Rozgałęzienie rzeki nie jest daleko, trzy, cztery dni marszu, może trochę mniej. A tam nie ma siły, na pewno znajdę kogoś, kto po was przyjdzie... W najgorszym razie pójdziemy aż do Aterrado.

Tarapatów, w jakie wpadli, Elaine nie rozważała jeszcze pod tym kątem, lecz argumenty Petersena trafiły jej do przekonania. Ogromnie jej ulżyło, że nie będzie musiała przedzierać się przez dżunglę, i już miała się zgodzić na propozycję, gdy naraz jej wzrok napotkał spojrzenie Yurupiga, który stał z boku, nieco za Petersenem. Ani jeden mięsień nie drgnął mu na twarzy, lecz pokręcił szybko głową, dając jej znak, że nie powinna się zgadzać.

- A ty się do tego nie mieszaj! - ostrzegł w tej chwili Petersen, odwracając się do Indianina. - I jak? - zapytał Elaine. - Co pani o tym sądzi?

- Nie mogę sama decydować. Muszę porozmawiać z Dietlevem, jak się obudzi. Mauro też ma tu coś do powiedzenia.

- Jak pani chce - powiedział Petersen z podejrzliwością wypisaną na twarzy. - Ale tu nie ma co się zastanawiać, naprawdę. Ja w każdym razie wynoszę się stąd z rana.

- Zrobi pan to, czego zażądamy, koniec, kropka - oświadczyła Elaine spokojnie. - Otrzymał pan zapłatę, i to sowitą, jeśli dobrze zrozumiałam.

Petersenowi oczy zabłysły gniewem, pohamował się jednak i tylko zaśmiał się bezgłośnie, jakby dojrzał jakieś zabawne następstwa tej rozmowy.

- Przetnąć coś i iść spać - oznajmił już opanowany. - Pani powinna zrobić to samo, *senhora*... Aha, jeszcze jedno: rzeczy Milтона włożyłem do pani skrzyni.

- Jakie rzeczy?

- Wszystko co miał na sobie i przy sobie. On i ten drugi poszli za burtę. Z przyczyn higienicznych, rozumie pani...

Zwłoki, trupi odór, kajmany i piranie szarpiące nagie ciało... Po plecach przebiegł jej dreszcz.

- Jak pan mógł!... - oburzyła się. - Kto panu pozwolił?

- Ależ nikt, *senhora* - rzekł Petersen łagodnie, jakby zwracał się do osoby niespełna rozumu. -

Naprawdę nikt...

*Z notatnika Eleazarda*

KIRCHER to ordynarny manipulator. Frymarczy faktami, żeby je uzasadnić. Jego poczucie czystego sumienia jest niewybaczalne. Szerzenie wiary, propaganda, naginanie historii itd.: wszystko to dobrze już znamy. Pewność, że jest się w swoim prawie, to zawsze oznaka skrywanych ciągłot do faszyzmu.

ZAPYTAŁEM SOLEDADE, czy byłaby tak dobra i przetała ścierką półki w bibliotece: kategoryczna odmowa. Nawet martwy ptasznik, którego przywiozłem z Quixady, napawają przerażeniem.

OPOWIEDZIANE PRZEZ LOREDANĘ. Młody Włoch spędza wakacje w Londynie, znajomi odwożą go po solidnie zakrapianym wieczorze. Jest lato, opuścił szybę i wysunął rękę tak, że może bębnić palcami o dach samochodu. Poślizg, dachowanie. Po wypadku stwierdza, że nic mu nie jest, tylko rękawy ma troszkę poplamione krwią, nigdzie nie czuje bólu. Koledzy też wyszli z tego bez szwanku. Uszczęśliwiony Włoch wykonuje ręką zamaszty gest człowieka, który się cieszy, że mu się udało, i jego palce rozsypują się na asfalcie.

GABINET KIRCHERA jako anamorfoza samego Kirchera. To nie tyle muzeum, ile graciarnia przypominająca magazyny anatomicznych eksponatów doktora Auzoux. Ten człowiek był dziwakiem, takim gawędziarzem-pieczeniarem, który się wprasza i szuka strawy i słuchaczy, albo jak ten listonosz, Cheval, który przez 33 lata budował idealny pałac.

LIST DO MALBOIS: dodać prośbę o weryfikację La Mothe'a Le Vayera.

HISTORYK, twierdzą historycy, jest przynajmniej w stanie uchwycić styl epoki, to co mogło się zdarzyć tylko w określonym czasie i miejscu. Lecz nawet to jest złudne: historyk może uchwycić jedynie odstępstwo od odbicia własnej epoki. Pokazuje przeszłości lusterko z brązu i stara się dostrzec zniekształcenia.

SPÓŁKOWANIE ze zwierzętami, jak pisze Albert Camus, pozbawia sumienia drugiego człowieka. Ono jest „wolnością”. Dlatego właśnie tylu ludzi to pociągało, z Balzakiem łącznie.

KOŃCÓWKA XVI WIEKU: „Po rozpatrzeniu sprawy, dowodów obciążających i dochodzenia, zeznań świadków i oskarżonego, konfrontacji ze świadkami, wniosków właściwego prokuratora, który wszystkiego wysłuchał: wyjaśnień i zeznań oskarżonego w obecności sądu, i wszystkiego, co nam przedłożono, sąd uznał oskarżenie za słuszne i orzeka, iż rzeczony Legaigneux winny jest odbycia cielesnego stosunku z oślicą należącą do takiego to a takiego. Aby niniejsza zbrodnia została ukarana, skazujemy winnego na publiczne powieszenie i uduszenie, które wykona kat sądowy na szubienicy wzniesionej w takim a takim miejscu. A przed wspomnianą egzekucją rzeczona oślica zostanie ogłuszona i zabita przez rzeczony kata w rzeczonym miejscu w obecności oskarżonego”.

Skoro karane jest zwierzę, znaczy to, że dzieli z człowiekiem odpowiedzialność za czyn: winny głupoty zniżył się do poziomu zwierząt, za to oślica dopuściła się niewybaczalnej zbrodni, tej mianowicie, że wspięła się do rangi istot myślących. Obydwoje uznano zatem za postępujących „wbrew naturze”. Zdradzając zasady obowiązujące ich gatunek, oboje jednakowo narażają na szwank porządek świata.

KOŃCÓWKA XX WIEKU: „Alan Cooper, 38 lat, oskarżony o próbę gwałtu delfina imieniem Freddie,

tłumaczy się, że masturbował jedynie zwierzę, aby wkupić się w jego łaski. Adwokaci linię obrony opierają na tym, że delfiny są niepoprawnymi rozpusztnikami i należą do nielicznych gatunków zwierząt, które uprawiają między sobą seks dla przyjemności. Alanowi Cooperowi grozi dziesięć lat więzienia, jeżeli zostanie udowodniony «oczywisty zamiar penetracji doodbytniczej albo pochwowej», i dożywocie, jeżeli sodomia zostanie «dowodzona na podstawie niezbitych poszlak», (Newcastle upon Tyne, Anglia).

Kara, choć równie absurdalna, tym razem dotyka tylko jednej strony. Zwierzęta są niewinne z założenia, ponieważ nie dopuszcza się, że są czymś więcej niż tym, czym są. Rezerwując tylko dla siebie całą wolność przyrody ożywionej, człowiek w pełni staje się za nią także odpowiedzialny. Jeden odpowiedzialny, jeden winny. Sam.

DLACZEGO SCHOTT używa łaciny w zbereźnych ustępach, skoro ten język rozumie większość ówczesnych czytelników? Ten fałszywy wstyd jest bezwstydnym.

ZWYCZAJOWO PROBLEM labiryntu stawiany jest w pokrętnych słowach: kiedy się do niego wejdzie, należy znaleźć z niego wyjście. Labirynt narysowany przez Kirchera zdaje się odwracać problem, skoro to droga donikąd. Jego centrum jest niedostępne. Bezżyteczność nici Ariadny: prawdziwy labirynt należy ogarniać od środka, to przestrzeń całkowicie zamknięta od zewnątrz. Alegoria mózgu, jego zwojów i niezgłębionej samotności. Trzeba być Dedalem, aby wylecieć z labiryntu, ale trzeba też być Dedalem, aby zabić w nim Minotaura.

ATLANTYDA: platońska legenda jest nie tyle mitem o zawsze możliwym unicestwieniu cywilizacji, ile mitem powrotu, zachętą do anamnezy. Oznacza bardziej początek niż koniec.

STELA Z XI'AN: dla Kirchera to absolutny i namacalny dowód, że Chiny były chrześcijańskie, zanim stały się buddyjskie czy konfucjańskie. Pozostałości Atlantydy prawdziwej wiary wyłaniają się nagle na powierzchni ziemi, wystarczy teraz pokazać je palcem, aby bałwochwalcy przypomnieli sobie Raj utracony. Utopia miasta idealnego nie lokuje się w przyszłości, jak chcieli Morus czy Campanella, lecz w najodleglejszej przeszłości.

POWOŁAĆ DO ISTNIENIA NIEWIDZIALNE: Euclides proszący, abym sobie wyobraził między nami bezdenną otchłań, i pokonujący ją w końcu jednym krokiem, by znaleźć się przy mnie. „Nigdy nic nie wiadomo, prawda?...”.

## ROZDZIAŁ XIII

*W którym jest pokazane, jak Kircher przewyższył  
Leonarda da Vinci & zmusił koci rodzaj  
do wykonania najwspanialszego koncertu*

Natu ra/natu ra/gau det/h/, *natura natura gaudet!* - przeczytał kardynał zdumiony niepomiarne. - Natura raduje się naturą... Nie do wiary! I zechciejcie mi wybaczyć ironię, ojcze, na jaką pozwoliłem sobie przed chwilą. Koniecznie jak najszybciej trzeba dostarczyć to urządzenie Najwyższemu Kapłanowi, ręczę, że będzie zachwycony. A ja... cóż, upraszam was, abyście zbudowali takie samo dla mnie. Bądźcie pewni, że nie okażę się niewdzięcznikiem...

Atanazy obiecał kardynałowi, że zrobi co w jego mocy, & wydał mi się nader rad z tego spotkania. Jego znaczenie wciąż rosło wśród najwyższych sfer, gwarantując mu swobodę działania & dopływ środków niezbędnych dla kontynuowania prac. Mistrz mój coraz bardziej mnie do nich angażował, tak że przez dwa następne lata każdego dnia asystowałem mu w badaniach nad znaczeniem hieroglifów; z wyjątkiem roku 1642, kiedy to ku mojej chwale, acz nie bez niejakich następstw, mistrz zapalił się nagle do aerognozji...

Źródłem owej przygody była rozmowa, którą pewnego wieczora Atanazy odbył z panem Nicolasem Poussinem, w towarzystwie mistrza mojego doskonalącym umiejętności w zakresie trudnej sztuki perspektywy. Kartkując jeden z kodeksów Leonarda da Vinci, który łaskawie wypożyczył mi imię Raphael Trichet du Fresne, bibliotekarz królowej Krystyny Szwedzkiej, Kircher zatrzymał się na latającej maszynie wymyślonej przez Florentyńczyka.

- Mimo całego mojego podziwu dla Leonarda - rzekł Poussin - muszę przyznać, że czasami lekce sobie ważył podstawowe prawa fizyki. To marzyciel, utalentowany co prawda, lecz tylko marzyciel: przecie to oczywiste, że powietrze jest zbyt rzadkie & zbyt słabe, aby unieść ludzkie ciało, choćby zaopatrzone w największe skrzydła.

Kircher pokręcił głową przecząco.

- Ależ nie, mój panie, wcale nie! Zważcie, w jaki sposób machają skrzydłami gęsi & inne duże ptaki, kiedy chcą wzbic się do lotu, & ile ważą kawałki papieru & drewna, które na sznurku wypuszcza się w powietrze, a zmienicie być może zdanie. Jestem przekonany, że człowiek może się wznieść w powietrze, pod warunkiem że będzie miał skrzydła wystarczająco rozłożyste & mocne oraz dość zręczności, aby właściwie bić nimi powietrze. Z tym ostatnim można sobie poradzić przez zastosowanie odpowiednich sprężyn, które będą poruszały skrzydłami tak szybko & tak mocno, jak będzie trzeba.

- Interesująca hipoteza, wielobny ojcze, pozwólcie jednak, że jak niewierny Tomasz powiem: póki na własne oczy nie ujrzę człowieka unoszącego się w powietrze...

- Ależ służę uprzejmie - odparł mistrz mój. - Przyjmuję wyzwanie & spotykamy się od dzisiaj za trzy miesiące, potrzebuję bowiem tyle czasu na doświadczenia wstępne. Powtarzam jednak: z pewnością nie jest trudniej latać, niż pływać. Pływanie, nawet jeśli zrazu wydaje się niemożliwe, po nauczaniu okazuje się dziecinnie proste, & tak samo sztukę latania będzie się uważało za zupełnie naturalną, kiedy się jej popróbuje.

Pan Poussin odszedł tego wieczoru mocno olśniony pewnością siebie Atanazego, niemniej raczej nieprzekonany. Ja natomiast taką ufność pokładałem w mistrzu moim, że ani przez chwilę nie wątpił, iż dopnie swego. A taka mnie ekscytacja ogarnęła na myśl, iż mógłbym się wzbic do niebios, że dotąd męczyłem Kirchera, aż zgodził się spełnić moje pragnienie & obiecał, że będę pierwszym człowiekiem, który dokona tego wyczynu.

Kilka następnych tygodni zaliczam do najmilszych w życiu moim. Poniechaliśmy chwilowo pracy naukowej, a poświęciliśmy się wyłącznie realizacji tego zamierzenia.

Kardynał Barberini oraz imię Manfredo Settala mocno się zainteresowali przedsięwzięciem mistrza mojego; wyłożyli potrzebne fundusze & robotnicy przystąpili do pracy. Wystarczyły trzy tygodnie na zbudowanie urządzenia tak osobliwego, że chyba ludzkie oko podobnego nie widziało: wyglądało jak ogromny nietoperz pozbawiony korpusu, rozpiętość miało osiemnastu stóp, a na rusztowaniu z trzciny zamocowane pokrycie z jedwabiu & piór. Mocowało się do ramion za pomocą specjalnej uprząży & kiedy znalazło się na moim grzbiecie, stwierdziłem, że bez większego trudu mogę poruszać skrzydłami, aczkolwiek wolno.

- Tak czynią wielkie orły z Tatarstanu - uspokoił mnie Kircher - które wzbijają się w powietrze powoli, z godnością, wykorzystując siłę wiatru. Nie obawiaj się, Casparze, ta maszyna jest tak pomyślana, że sama od ziemi się nie oderwie, ale kiedy już znajdzie się w powietrzu, pozwoli przemierzać przestworza.

Tydzień później byliśmy w pełni gotowi. Kircher zaprosił Poussina, kardynała Barberiniego oraz imię Settale na sam szczyt zamku Świętego Anioła, zdecydował bowiem, że stamtąd rozpoczną lot. Był piękny czerwcowy dzień, łagodny wietrzyk ledwie poruszał liśćmi. Mocno byłem przejęty, że pierwszy zrealizuję nareszcie odwieczne marzenie człowieka.

- Wybrałem to miejsce - wyjaśniał Atanazy gościom - aby mój dzielny asystent, ojciec Schott, mógł wylądować w razie potrzeby na wodach Tybru, co jest mało prawdopodobne, aczkolwiek niczego nie można wykluczyć, bo zawsze przecie może stanąć na przeszkodzie coś, co zmusi go do przerwania lotu. A ponieważ ojciec Schott nie potrafi pływać, zadbałem o przygotowanie nadmuchanych pęcherzy, które bez trudu utrzymają go na powierzchni wody.

To powiedziawszy, kazał przynieść dwa przejrzyste worki - ze świńskich żołądków, jak mi się zdało - & przywiązał mi je w pasie. Następnie nałożono mi uprzęż & musiałem kilkakrotnie poruszyć skrzydłami, których działanie mistrz mój bacznie obserwował. A trzech goście wpadli w zachwyt wobec pomysłowej budowy urządzenia.

Po raz pierwszy zdałem sobie sprawę z powagi sytuacji, w jakiej postawiła mnie własna beztroška: pode mną rozpościerała się przerażająca otchłań, a Tyber w dole zdawał mi się taki malutki... Osaczyły mnie tłumem wspomnienia wcześniejszego upadku, którego doświadczył przy pierwszej próbie. Obląłem się potem, w rękach czułem słabość, nogi się gięły pode mną. Byłem przerażony...

- Naprzód, Casparze! - zawołał naraz mistrz mój z emfazą. - I niechaj twoja sława przyćmi sławę Ikarą!

Zawahałem się na ułamek sekundy, albowiem wspomnienie tego nieszczęśnika wydało mi się raczej złą wróżbą, ponieważ jednak zachęcającym słowom Atanazego towarzyszyło przyjazne, acz silne klepięcie w łydki, straciłem równowagę & zamiast powoli & łagodnie spadać, skoczyłem w przepaść.

Było to najniezwyklejsze przeżycie: szybowałem wyzwolony z ograniczeń ciała, zupełnie jak mewa albo krogulec krążący nad ofiarą. Przyjemność ta nie trwała wszakże długo, bom zaraz spostrzegłem, że szybko tracę wysokość & zamiast unosić się w powietrzu, jak było zaplanowane, po prostu spadam, chociaż wolniej, niż gdybym nie miał przyprawionych skrzydeł. Wody Tybru przybliżyły się z zastraszającą prędkością, toteż przerażony próbowałem machać skrzydłami z siłą spotęgowaną rozpaczą. Lęk opanował mnie taki, że udało mi się parę razy z rzędu nimi poruszyć, lecz wzbicie się wyżej nie poradziłem. Jedynym tego efektem, Bogu dzięki, było to, że przyhamowałem nieco spадanie. Nie na tyle wszakże, aby uniknąć pogrążenia się w Tybrze - a wołałbym, żeby to się stało w sposób znacznie miłszy dla mnie & dla oka innych. Ostatnią swoją myślą poleciłem duszę Bogu, po czym zdało mi się, że się roztrzaskuję o powierzchnię twardą niby marmur...

Kiedym kilka godzin później otworzył oczy, leżałem w swoim łóżku w Collegium Romanum z nogami połamanymi w kilku miejscach & licznymi potłuczeniami. Zmartwiona twarz Kirchera uświadomiła mi, że moje ocknięcie należałoby raczej nazwać zmartwychwstaniem niżli zwyczajnym oprzytomnieniem.

Odzyskawszy w pełni zmysły, najpierw z obawą zapytałem o reakcję kardynała & prosiłem Kirchera o wybaczenie tej porażki kładącej cień na jego reputację: przyczyną nie była machina, lecz moja licha konstytucja oraz paniczny strach, który mnie sparaliżował, obracając wniwecz nadzieje pokładane w tej próbie; czułem się niegodzien zaufania, jakim obdarzył mnie mistrz mój, & nie mogłem sobie wybaczyć próżności, która mnie popchnęła do tego, abym wziął na siebie obowiązek tak oczywiście przerastający moje skromne możliwości; & żeby już wszystko powiedzieć, lepiej byłoby, gdybym się na śmierć roztrzaskał w upadku, ponosząc słuszną karę za grzech pychy...

Kircher nie pozwolił mi mówić dalej: całkiem, ale to całkiem się mylę, ponieważ przedsięwzięcie nasze wcale nie było porażką, jego wyniki bowiem przeszły wszelkie oczekiwania. Wyraziwszy naturalnie niepokój co do mojego losu, obserwatorzy oklaskami uhonorowali mój wyczyn. Człowiek zrzucony ze szczytu zamku Świętego Anioła niechybnie roztrzaskałby się w fosie, tymczasem dorobione

skrzydła pozwoliły mi przebyć w powietrzu taką odległość, że dotarł do Tybru. A zatem leciałem! Dowiedziono tym samym, że człowiek pod tym względem może współzawodniczyć z orłem, wystarczy tylko dokonać pewnych udoskonaleń w budowie maszyny & odpowiednio wyuczyć przyszłych lotników. Problem teraz nie był już fizyczny, a czysto techniczny, umysł ludzki zaś wykazywał zawsze umiejętność pokonywania przeszkód tego rodzaju. Co doświadczenie owo zapoczątkowało, w przyszłości zostanie doprowadzone do perfekcji: pewnego dnia latać będziemy równie daleko, wysoko & szybko jak największe drapieżne ptaki. A gwarancją tego ja, poprzez swoją odwagę & wiarę, dostarczyłem naszym czasom. Zresztą kardynał Barberini czym prędzej przysłał do mnie swego osobistego chirurga, łącząc zaś miłosierdzie z hojnością, proponuje, aby na jego koszt kontynuować próby latania ze skazanymi na śmierć, dzięki czemu nieszczęśnicy otrzymywać będą nieoczekiwaną szansę uratowania życia.

Te pocieszające słowa dodały mi siłę & cierpliwości na czas, gdy leżałem przykutym do łóżka. Kilkakrotnie odwiedził mnie pan Poussin, przynosząc teczki ze szkicami albo z rycinami, & godzinami miło gawędziliśmy sobie na temat malarstwa. Raz nawet kardynał zaszczylił mnie swoją obecnością. Powtórzył słowo w słowo to, co mówił Kircher, & raz jeszcze powińszował mi odwagi & poświęcenia. Co się tyczy mistrza mojego, to odwiedzał mnie, jak tylko pozwalały mu rozliczne obowiązki. Ze wszystkich sił starał się wtedy umilać mi życie: czytał mi na głos, snuł opowieści o Chinach albo Indianach z Maraniana, informował o postępach w odczytywaniu hieroglifów. W swoich staraniach posunął się nawet do tego, że wymyślił niezwykle instrument muzyczny wyłącznie po to, abym miał niejaką uciechę.

Otóż pewnego pięknego poranka, kiedy już prawie ozdrowiałem, przeniesiono mnie z mojej izby do Wielkiego Audytorium kolegium, gdzie zgromadzili się wszyscy bracia & uczniowie. Powitano mnie owacjami godnymi osoby doprawdy zasłużonej. Dopiero gdy wygodnie spocząłem na sofie, spostrzegłem wielkie organy, które tu ustawiono. O dziwo, nigdzie nie było widać piszczałek wystających z obudowy, artystycznie ozdobionej sielankowymi scenami. Kircher zasiadł do instrumentu & zagrał wdzięczną melodię naszego starego przyjaciela, Girolama Frescobaldiego: organy brzmienie miały klawesynu, zastanawiałem się zatem, po co tak ogromna skrzynia dla mechanizmu w sumie nie tak znowu wielkiego, gdy mistrz mój z zadowoleniem na twarzy donośnie obwieścił:

- A teraz ta sama kompozycja, lecz z pedałem bioharmonicznym.

Zaczął przydeptywać pedały instrumentu & ku powszechnej uciechu rozbrzmiało osobliwe miauczenie, jakiego nikt nigdy nie słyszał. Co lepsze jednak, aranżacja zwierzęcych dźwięków odtwarzała wdzięczną melodię, którąśmy dopiero co słyszeli. Podobnie jak wszyscy obecni w sali byłem w siódmym niebie!

Kiedy Atanazy skończył, niejeden pragnął wypróbować ów instrument, owoc niewyczerpanego geniuszu mistrza mojego. Każda wykonywana melodia dawała nowy efekt komiczny, a najucieszniesze było granie na wysokich tonach. Następnie Kircher wyjął nuty melodii swojego autorstwa & poprosił Johanna Jacoba Frobergera, najlepszego spośród nas muzyka, aby je wykonał na klawesynie.

Nawet robiąc coś dla zabawy, jak tym razem, mistrz mój wykorzystywał całą swoją wiedzę. Otóż po otwarciu szafy organów stwierdziliśmy, że mieści się w niej nader złożony mechanizm. Naciśnięcie jednego z pedałów uruchamiało bowiem specjalny młoteczek, który uderzał w ogon kota zamkniętego w ciasnej drewnianej skrzyneczce. Wszystkie kocury użyte w tym dwuoktawowym klawesynie Atanazy długo & starannie dobierał pod kątem właściwego tonu miauczenia. Zamknięte były w skrzyneczkach, z których wystawały tylko ogony, & chociaż niespecjalnie im odpowiadało takie traktowanie, w roli swojej doskonale się spisywały.

Gdybym już nie był prawie zdrow, taki koncert niechybnie postawiłby mnie na nogi, jak mniemam, równie skutecznie jak tarantela!

Z zapalem wróciłem nareszcie do pracy, a pod koniec roku 1643 Kircher wydał drukiem „Lingua Aegyptiaca Restituta”. Ta licząca sześćset siedemdziesiąt dwie stronicę księga zawierała - oprócz słownika arabsko-koptyjskiego już kiedyś przytaczanego przez Pietra delia Valle - wyczerpującą

gramatykę tego języka oraz potwierdzenie tezy wysuniętej kilka lat wcześniej w pracy „Prodromus Copticus”: hieroglify to symboliczny sposób zapisu mądrości egipskiej, ponieważ kapłani nie chcieli się posługiwać językiem używanym powszechnie, koptyjskim mianowicie, dla wyrażania tego co najświętsze.

Teraz Kircher już nie wątpił, że zdołał osiąść sztukę odczytywania hieroglifów. W dziele owym jeszcze nie podawał do nich klucza, wyznawał jednak, że w pracach swoich mocno się posunął dzięki pomocy tajemniczego korespondenta, któremu dedykował księgę, podobnie zresztą jak wszystkim arabskim & egipskim uczonym, jedynym dziedziom znajomości starożytnego języka.

Rok 1644 okazał się przełomowy. Pan Bóg wezwał do siebie papieża Urbana VIII & na tron Piotrowy wstąpił kardynał Pamphili, przybrawszy imię Innocentego X. Dla uczczenia swego wyboru ów godny syn znamienitej rodziny - której pałac od XV wieku mieścił się na Forum Agonale, dawnym stadionie Domicjana - postanowił dokończyć restaurację tego miejsca & uczynić z niego pomnik upamiętniający jego ród & nazwisko. W tym celu zlecił słynnemu Lorenzowi Berniniemu zaprojektowanie fontanny, której centrum stanowiłby wielki obelisk spoczywający od niepamiętnych czasów przy Drodze Appijskiej. Generał naszego zakonu, ojciec Vincenzo Caraffa, doniósł papieżowi o wielkiej wiedzy Kirchera, toteż ma się rozumieć, do niego Najwyższy Kapłan zwrócił się z prośbą o obmyślenie projektu.

- Ojciec - rzekł mu papież podczas audiencji - postanowiliśmy postawić obelisk wielkich rozmiarów & twoim zadaniem będzie zbadanie hieroglifów na nim wrytych. Życzylibyśmy sobie, abyś ty, którego Pan Bóg tak hojnie obdarzył talentami, oddał się ciałem & duszą temu zadaniu, czyniąc co w twej mocy, aby ludzie zadziwieni ogromem tego zamierzenia poznali za twoim pośrednictwem sekretne znaczenie inskrypcji. Ponadto pokierujesz architektem Berninim w wyborze symboli, które będą się składać na ową fontannę, dbając, aby dzieło to zyskało należyty wymiar duchowy. Niechaj Bóg cię błogosławi...

## CANOA QUEBRADA

*Za jedyne narzędzie mając ogień i krzemień...*

Kiedy zadzwonił budzik w zegarku na rękę, Roetgen najpierw popatrzył na hamak Moemy: wisiał sflaczały i pusty jak skóra zrzucona przez liniejące zwierzę. Z drugiego hamaka wyłoniła się natomiast obrzęknięta, umorusana rozmazanym tuszem do rzesz twarz Thais, która z przerażeniem w oczach wystawiła głowę i zaczęła wymiotować na piasek, wstrząsana torsjami jak kot.

Na zewnątrz świat kąpał się już w posrebrzonym świetle, które zostawia wycofującą się noc. Ślad po ślimaku, pomyślał Roetgen, patrząc na morze. Wiatr był niewyczuwalny, odpychał ciemność, wymiatał ją szerokimi zamachami daleko, na horyzont. Zapiał kogut i w samym środku vibrato umilkł, jakby zdusiło go skandaliczne brzmienie własnego głosu.

Roetgen pospieszył do chaty João, zastanawiając się, gdzie też Moema mogła spędzić noc. Uliczka usiana przeróżnym śmieciem - było na niej nawet coś, co wyglądało jak zawinięta w damskie figi podpaska higieniczna - przypominała mokrą plażę, po której przeszło podstępne tornado. Mijając bar Alcidesa, Roetgen poczuł ukłucie w sercu i odwrócił głowę.

João kucał pod wiatą, sprawdzając swój sprzęt rybacki. Wydał się mile zaskoczony.

- *Bom dia, Francês...* Bałem się, że nie przyjdiesz - przywitał go z uśmiechem. - Paskudnie wyglądasz.

- Źle spałem... Morskie powietrze postawi mnie na nogi.

- No to idziemy. Przygotowałem twoje rzeczy. Masz - powiedział, podając mu kulę z czerwonego plastiku, taką samą jak ta, którą sam miał na pasku przerzuconym przez ramię. - Włóż tam wszystko, co masz w kieszeniach: fajki, zapalniczkę... no, wszystko, co może się zamoczyć.



Patrząc z bliska, Roetgen stwierdził, że to stara boja kotwiczna, prawdopodobnie wyrzucona przez morze; w górnej części miała wycięty szeroki okrągły otwór zamykany dopasowaną korkową zatyczką. Umocowany u góry i u dołu sznurek przeobrażał pławę w nieprzemakalny pojemnik.

Ruszyli ulicą w dół, aż doszli do niebieskiego domku, do którego bezceremonialnie wmaszerowali.

- Cześć! - rzucił João do człowieka drzemiącego za kontuarem. - Pospiesz się, wiatr niedługo się zmieni.

Nie racząc odpowiedzieć, mężczyzna podniósł się z gderaniem. Gestami leniwymi jak ruchy iguany położył przed sobą główkę rapadury, kawałek

świeczki, pudełko zapalek i tutkę z farinha, mąką z korzeni manioku.

- Co za jeden? - spytał, wskazując Roetgena brodą.
- Zamiast Luisa - niecierpliwie wyjaśnił João. - Daj mu jego część.
- Na pewno?
- Nie próbuj zrozumieć. Mówię ci, że to ustalone z Luisem... No migiem, spieszymy się!

Iguana wznowiła ruch z podejrzliwą miną i położyła na kontuarze taki sam zestaw jak poprzednio.

- Wsadź to do pławy, *rapaz*, i zbieramy się - rzekł João do Roetgena.

Wyszli, nie płacąc, na ulicy zaś rybak wszystko wyjaśnił: „kooperatywa” należy do właściciela jangad, faceta z Aracati; ilekroć wychodzą w morze, każdy rybak otrzymuje za darmo to skromne zaopatrzenie, po powrocie przypadająca na niego część połowu zostaje wymieniona na kredyt w tym samym sklepie. System działał więc bezgotówkowo, podkreślając poddaństwo rybaków i korzyści osiągane przez właściciela.

Zdjęty niesmakiem Roetgen zaczął wypytywać o armatora. I zderzył się z fatalizmem João: tak jest na całym wybrzeżu, nic się nie da zrobić, wypada tylko dziękować Bogu i temu gościowi, że daje im szansę na przeżycie.

Kiedy znaleźli się na wydmie, poszli wzdłuż jej grzbietu aż do miejsca, gdzie rosły rzadkie krzaki. João zaczął maczetą wycinać suche gałęzie.

- To do kosza żarowego - powiedział, kładąc Roetgenowi w ramiona pierwszą partię chrustu. - Na pokładzie trochę tego jest, ale lepiej mieć zapas. Nigdy nic nie wiadomo...

Przechodzili od krzaka do krzaka, gdy naraz João wskazał Francuzowi długi kręty ślad na piasku, który mógłby zostawić przeciągnięty po ziemi szlauch.

- *Cobra de veado*... - mruknął, śledząc wzrokiem wijący się ślad.

Po czym ruszył prosto do ciernistych zarośli i ostrożnie rozchylił gałęzie: zwinięty w kłębek boa najwyraźniej trawił to, co upolował nocą. Nim zdążył się obudzić, João odciął mu łeb...

- *Matei o bicho!* Zabiłem zwierza! - wykrzyknął z jakąś dziecięcą dumą.

Oszołomiony zarówno obecnością takiego węża pośród wydmi, jak i reakcją rybaka Roetgen zobaczył, jak João chwytając wciąż jeszcze niemożliwie pozwijane ciało gada, z uśmiechem na ustach wywija nim jak procą, po czym ciska jak najdalej od siebie.

*Święty Jerzy zabijający smoka, bardziej dumny z tego, że pokonał własny strach, niż że zatriumfował na chwilę nad złem... A może to raczej ofiara, ofiara prześlągalna, która przybywa z mroku czasów, aby prześladować zapatrzoną w siebie naszą epokę?*

Z miejsca, w którym wydma spłynęła krwią, zeszli już prosto na plażę.

Pozostali dwaj rybacy kończyli właśnie wpychać kłodę palmy kokosowej pod płaski dziób jangady. Dość młodzi, szczerbaci - ilekroć później Roetgen wspominał Brazylię, zawsze widział usta pozbawione częściowo lub zupełnie zębów, co jest skutkiem niedożywienia - wydali mu się mało komunikatywni: Paulino umięśniony, o wełnistych, zrudziałych od soli włosach; Isaac drobniejszy, z zapadniętą klatką piersiową zniekształconą z powodu wrodzonej wady fizycznej mostka.

João umieścił drwa w koszu, sprawdził ułożenie okrągłaka, po czym we czterech napaarli na łódź,

pchając, aż stanęła w równowadze na kłodzie; wtedy Paulino umieścił drugi okrągłak pod dziobem i wrócił do pozostałych, aby znów kawałek przepchnąć jangadę. Ilekroć pod rufą zwalniał się okrągłak, prznosił go pod dziób, dopóki łódź nie znalazła się na wodzie. Wtedy Isaac przeciągnął ciężkie kłody na piasek, na tyle daleko, by nie zabrał ich przyływ, pozostali zaś, stojąc po pas w wodzie, utrzymywali jangadę na fali. Kiedy do nich dołączył, wszyscy równocześnie, jednym podrzutem ciała, wskoczyli na pokład. Chwyciwszy za wiosło sterowe, João naciągnął szoty grota. Jangada zaczęła się ślizgać po morzu z wdziękiem i swobodą łodzi regatowej.

Za nimi wydmy z wolna różowiały; inne jangady z postawionymi żaglami zdawały się ich ścigać, kolebiąc się na fali niczym zmięte motyle.

Pchana bocznym wiatrem jangada płynęła na pełne morze z owym szczególnym chlupotem wody o burtę i łagodnym przechylem, który zmusza ciało do bezustannego szukania równowagi. Stojąc na dziobie, pośladkami wsparty o wąską ławeczkę, João w skupieniu manewrował wiosłem sterowym, oburącz trzymając jego uchwyt. Roetgen wraz z Isaakiem i Paulinem siedział na burcie przeciwnej do tej, która się przechylała; pogryzał swoją rapadurę nie tyle z głodu, ile naśladując towarzyszy. Rad, że znalazł się na morzu, rozglądał się po łodzi z łapczywą ciekawością miłośnika żeglarstwa.

Jangada, którą płynął, miała około siedmiu metrów długości i około dwóch szerokości i pod względem technicznym prezentowała się naprawdę z klasą. Kadłub, wyprofilowany jak wyposażonej w pokład barki, bez odbojnicy i sterówki, zwężał się na końcach, przez co łódź bardziej przypominała deskę z żaglem niż jakąkolwiek jednostkę płaskodenną. Z wyjątkiem stanowiska sternika na rufie - i jakby kobyłki tuż przed nim, służącej do zbierania szotów albo do utrzymania się w pozycji stojącej - jedynym wystającym na pokładzie elementem była rama z masywnego drewna, do której umocowano długą przenośną reję niepodtrzymywaną wantami, giętką i cienką jak nerw roślinny.

Na usianym dziurami i łatami ciemnobrązowym żaglu widniała wypisana wielkimi czarnymi literami reklama: *Industria de Extração de Aracati*.

Niemniej Roetgena najbardziej dziwiła bezprzykładna nieobecność na pokładzie jakiegokolwiek metalu. Nie widział żadnej obojmy, ani jednego wbitego gwoźdźdź. Wszystko spojone było kołkami, na wpust albo przywiązane; nawet reja i bom - każde złożone z kilku części połączonych po prostu rybacką żyłką.

*Posunięta do granic pochwała tego, co pochodzi od roślin, przestarzały hymn na cześć złotego wieku, który poprzedzał miecz, arkebuz, hełm i zbroję. Był taki czas, gdy Indianie na tym wybrzeżu błagali drzewo o przebaczenie, zanim je ścięli, za jedyne narzędzie mając ogień i krzemień.*

Jak wyjaśnił mu później João, cała konstrukcja była oczywiście dość niepewna, za to każde uszkodzenie można było naprawić od ręki przy użyciu tego, co było dostępne na pokładzie. A ponieważ uszkodzenia pojawiały się zawsze w miejscach słabszych z powodu łączeń, lina bowiem jest mniej wytrzymała od drewna, wystarczyło tak samo powiązać zerwane miejsca i statek był jak nowy. To samo z kadłubem, którego proste kształty pozwalały go reperować bez pomocy szkutnika. Pogarda dla metalu była tu totalna: nie użyto go nawet w kotwicy, *tauacu*, zrobionej z kamienia

zamkniętego w uprząży z gałęzi utwardzonych w ogniu! Cztery gałęzie złączone jednym końcem, dwie inne skrzyżowane, aby przytwierdzić do nich kosz i aby wczepiły się w wodorosty lub piasek. Zawsze ta sama zasada - czy naprawdę z przyczyn tylko ekonomicznych czy też chodziło o coś nie tak widocznego, a jednak decydującego? - przyświecała wszelkim konstrukcjom: trzy gałęzie by nie wystarczyły, żeby utrzymać kamień kotwiczny, pięć byłoby o jedną za dużo... Teoremat, który wyjaśniał, dlaczego główne sekcje konstrukcji drewnianych od tysiącleci budowane są tak samo. Willa rzymska czy dom w Prowansji, zamek katarski czy weneckie *palazzo* - w porównywalnych budowlach stosowano listwy, belki, krokwie o tych samych wymiarach; drewno zbyt cienkie łamie się; zastosowanie zbyt grubego jest rozrzutnością.

Zasady budowniczych owszem, opierały się na matematycznych wyliczeniach wytrzymałości materiałów, przede wszystkim jednak na złotym środku, który wypracowano na podstawie określonej liczby zatopionych statków i zawalonych dachów.

Nagły ruch wyrwał Roetgena z zamyślenia. Na polecenie João, który natychmiast zrzucił szot grotzągła, dwa rybacy roztaklowali fok i bom, po czym rzucili się zebrać żagiel, owijając topenant wokół masztu. Potem João pomógł im wyjąć z jarzma reję i położyć wraz z bomem wzdłuż pokładu. Z podciętymi skrzydłami jangada znieruchomiła na zielonej wodzie. Teraz była jedynie kruchą tratwą obciążoną drewnem, łupinką niezdolną stawić czoło groźnemu oceanowi. Rzucili kotwicę. Wstawał dzień; nigdzie wokoło nie było widać lądu.

Paulino i Isaac ulokowali się po jednej stronie pokładu, siedząc z nogami zwieszonymi na zewnątrz, Roetgen instynktownie usiadł po drugiej stronie, w odległości dwóch metrów od João. Ciekaw był, jakiej użyją przynęty, tymczasem rybak zaczął wyrzucać taklę, nie zwracając sobie głowy zakładaniem przynęty na haczyki. Wędka szybko dotknęła dna - było tam pewno nie więcej jak dwadzieścia metrów głębokości - a João złapał za linkę i zaczął ją szerokimi ruchami podnosić i opuszczać jak przy połowie wędką z ciężarkiem.

- Nie masz nic, żeby zanęcić? - zdziwił się Roetgen.

João wydawał się zaskoczony pytaniem. Zawsze tak łowili, nikt nie robił inaczej. Zwabione poruszającymi się haczykami i ich połyskiwaniem w końcu jakieś stworzenie się łąpało; wciągali je na pokład i sposobili przynętę na grubszą rybę.

Mijały godziny, ciche i senne, w czasie których czterej mężczyźni robili wciąż to samo pod palącym słońcem. Zupełnie jakbym czytał streszczenie awangardowej sztuki teatralnej, pomyślał Roetgen, uświadamiając sobie absurdalność tej sytuacji: zdani tylko na siebie czterej rozbitkowie moczą w Atlantyku nagie haczyki.

Płaskie morze, ogień na karku, poskrzypywanie drewna, nierzeczywiste marionetkowe gesty, czasem gwałtowne jak skurcz miotający śpiącym...

Koło południa zaczęli pokutować za to, że tak szybko zużyli zapas cukru. Wzorując się na swoich towarzyszach, Roetgen pojadł po odrobinie maniok, w sam raz tyle, aby oszukać głód i wzbudzić chęć napicia się po raz kolejny z kanistra. W miarę upływu czasu na twarzach pojawiał się niepokój, ruchy stawały się nerwowe, gwałtowne, jakby chciały obudzić nadzieję spoczywającą gdzieś na tej głębini. Rybacy coraz częściej zmieniali rękę, którą pociągali za wędkę, ponieważ mięśnie sztywniały od powtarzanego w nieskończoność identycznego ruchu.

*Skręcani głodem czterej rozbitkowie daremnie zanoszą błagania do boga mórz... Wstrząsani tikami czterej schizofrenicy próbują zwabić muchy octem... Unieruchomieni czterej żeglarze bluźnią Bogu, morzu i rybom, po czym decydują się jeść wodorosty...*

- Przykryj tym głowę - rzekł już wcześniej João, podając mu zmoczony kawałek worka - bo dostaniesz udaru.

Dopiero wtedy Roetgen zauważył, że wszyscy trzej mają na głowach słomkowe kapelusze.

Około trzeciej po południu João zaklął siarczyście i szybko zaczął wybierać taklę. Nareszcie udało mu się coś złapać - na haczyk nadziała się ogonem nieduża rybka, troszkę tylko większa od szprotki. Osiem godzin! Osiem godzin czekali, aż złapie się taka malizna! Na pokładzie natychmiast zapanowała zadziwiająca krzątanina: João ciął swoją zdobycz na cienkie paski, uważając, aby nie skaleczyć się ością, a Paulino i Isaac zaczęli rozpalać ogień w dużej blaszance, którą ustawili na podwietrznej. Kiedy drewno zapłonęło, w starym kociołku nastavili do grzania wodę morską. Wyglądało to tak, jakby czynili przygotowania do uczyty, na którą miała być podana zupa z jednej nędznej rybki! Roetgen zjadłby ją nawet na surowo,

tak bardzo zgłodniał. João rozdał jednak naszykowane paski i każdy nadział przynętę na haczyki swojej takli.

Nie minęło pięć minut, a Roetgen poczuł silne szarpnięcie. Zaczął wybierać linkę, truchlejąc na myśl, że mógłby wykonać jakiś fałszywy ruch i zdobycz by uciekła. João przypadł do niego, doradzając, co robić, gotów przejąć wędkę od niego. Dotknięty takim brakiem zaufania Roetgen omal nie podporządkował się milczącemu nakazowi rybaka, przeważył jednak instynkt - zaczął przemawiać do ryby po francusku, obsypując ją na przemian złośczeniami i ciepłymi słowami, popuszczał lekko linkę i zbierał po kawałku, zapomniawszy o wszystkim, co nie było życiem, które czuł pod palcami.

- *Cávala* - powiedział João, dojrzawszy miotającą się zygzakiem błyskawicę, która przybliżała się do powierzchni. - I to piękna!

Jeszcze jedno szarpnięcie, po czym ryba podobna do długiego tuńczyka z płasnięciem spadła na pokład. Znalazłszy się naraz w innym świecie, na moment znieruchomiała z otwartym pyskiem, po czym zaczęła się rzucać. Jeżeli piekło istnieje, tak właśnie muszą się miotać zmarli przybywający w jego koszarne rejony... João wypatroszył żywą rybę, wyrzucił wnętrzności za burtę i pociął ją na szerokie, drgające jeszcze, platy. Kilka porcji odłożył na przynętę, resztę zaś wrzucił do kociołka.

Kucharzyli wspólnie. Kiedy się ugotowała, Paulino patykami wyłowił kawałki i ułożył przed sobą. Trzej rybacy rzucili się na jedzenie: parzyli sobie palce, obtaczając kawałki w swoich tytkach z mąką maniokową, ości wypluwali do morza, nie kryjąc radości i bez ustanku gratulując Francuzowi tak pięknej pierwszej zdobyczy. Roetgen jadł jak oni, smakował każdy kęs święcie przekonany, że w życiu nie jadł nic tak pysznego.

Kiedy zaspokoili głód, mogli się wreszcie wziąć za połów. Była czwarta po południu.

Pagrusy, tuńczyki, płaszczyki, żarłaczki, dorady... rytmicznie wyciągali rybę za rybą. Czasami trzeba było czekać pięć czy dziesięć minut, zawsze jednak coś było na wędce. Roetgen odkrywał świat zupełnie odmienny od tego, który znał: tutaj nie szukano przyjemności w akcie łowienia, wyciągano ostroboka, jak w kopalni wydobywa się minerały, nie rozwodząc się nad tym i nie tracąc czasu po próżnicy. Oczywiście niekiedy okrzykami

witano wyjątkowo piękny okaz, lecz była to reakcja górników odkrywających złożę, którego się nie spodziewali, bogatsze, łatwiejsze w eksploatacji. Ogłuszano rybę i wrzucano do wspólnego kosza, a kiedy był pełny, jeden z rybaków związał wędkę i brał się do solenia. Skrobał łuski, patroszył, odcinał głowę, wycinał filety i układał je w skrzyni na dziobie, każdą warstwę posypywał grubą solą... Roetgen bacznie obserwował, co i jak robią, tak że niebawem mógł stanąć na wysokości zadania, gdy przyszła jego kolej. Musieli na bieżąco sprawiać zdobycz, każdemu schodziło na tym jakieś pół godziny - człowiek wychodził z tego połamany, z podrapanymi rękami piekącymi od soli, ale zadowolony z siebie i z wykonanej pracy.

Uważając na każdy swój ruch, starając się nie stracić w oczach rybaków, Roetgen za punkt honoru postawił sobie dotrzymać im kroku. Skupienie na pracy bez chwili wytchnienia sprawiło, że przestał nawet myśleć, ogarnęło go odrętwienie podobne do tego, którego doświadczył w autobusie w drodze do Canoi. Moema, Thais, Brazylia... wszystko zniknęło: w głowie miał pustkę, umysł „sklarowany”, jak mówi się o uporządkowanym, gotowym do manewrów olinowaniu, płał się w wysiłku fizycznym i zapomnieniu.

O zachodzie ryba gorzej brała. Podniosła się bryza od pełnego morza, z wolna piętrząc wokół jangady dość mocną, groźnie wyglądającą falę. Widoczna bardzo nisko na horyzoncie linia ołowianych chmur zdawała się z wielką prędkością sunąć prosto na nich. Nie wróżyło to nic dobrego, rybacy jednak nie przejmowali się ponad miarę. W ostatnich chwilach zmierzchającego dnia Paulino i João przymocowali najdrobniejsze nawet przedmioty na pokładzie, Isaac tymczasem przyrządzał tuńczyka zostawionego specjalnie do zjedzenia. Odstawił go potem, aby wystygł, i każdy zwinął swoją taklę, zastępując ją wędką

mocniejszą i lepiej uzbrojoną.

- W nocy łapia się tylko duże sztuki - wyjaśnił João swemu podopiecznemu. - Rekiny, pałasze i takie tam... Tak że łowimy po dwóch, żeby się nie narobiło zamętu.

Paulino i Isaac zjedli, po czym wsunęli się do ładowni, aby się zdrzemnąć. Widząc rękę, która wsuwała zwinięty gałgan między ogranicznik a pokrywę - niewątpliwie po to, aby dochodziło tam powietrze - Roetgen zastanowił się, jak dwaj mężczyźni zdołali się tam wcisnąć: na oko wysokość luku pod pokładem wynosiła około pół metra! Na znak João wsparł się na rufie o kobyłkę cumowniczą, za jego przykładem obwiązał się w pasie sznurem, sprawdził węzeł, po czym znów rzucił wędkę.

Morze coraz mocniej się kołysało, aż czasami przetaczały się przez nich długie fale. Roetgen widział w ciemnościach nocy, jak fosforyzujące grzbiety bałwanów gnają, spiętrzają się wysoko nad nimi, góry spienionej wody, na które jangada w końcu się jednak wspinała, gdy już się zdawało, że ją pochłona. Kołysząc się bez chwili przerwy na uwięzi - jako doświadczony żeglarz João nie zapomniał dwukrotnie zwiększyć długości liny kotwicznej - chyląc się na burtę albo nieruchomiejąc naraz dziobem do wiatru, gdy szarpnięciem hamowała ją lina, z rufą na poły zanurzoną, było nie było stawiała czoło nawałnicy. Kiedy większa fala zalewała pokład, stali w spienionej wodzie jak w wannie z pianą - gdyby nie to, że byli przywiązani, morze niewątpliwie by ich zmyło z pokładu - po czym męcząca zabawa zaczynała się od nowa. Przemoczony do suchej nitki, z piekącymi oczami, oślepiany przez rozbryzgi, Roetgen przeżywał najtrudniejszą wachtę w swoim życiu. Nieznacznie tylko otuchy dodawała mu gderliwa niewzruszoność João, starał się więc nadal łowić ryby, choć bez przerwy panował nad nim zwierzęcy, ponizający strach. Ogłuszony wiatrem i hukiem oceanu, przemarznięty, wszędzie dokoła widział potwory.

Okolo pierwszej w nocy, kiedy Paulino i Isaac przyszli ich zmienić, w koszu nie było wiele ryb: trzy pałasze Roetgena, dwa João, plus rekin młot ważący około trzydziestu funtów. Morze nadal było wzburzone, lecz wiatr zaczął przycichać.

- Wiatr się zmienia - rzekł João do Paulina. - Powinny brać trochę lepiej. Nie zapomnij skracać kotwicy.

Na czworakach podpełzł do luku i przytrzymał podniesioną pokrywę.

- Śmiało, miejsca jest dosyć - zachęcił Roetgen, zauważywszy, że ten się waha.

Kiedy Francuz znikł, wsunął się za nim do luku i opuścił klapę, pilnując, aby jej nie domykać. Znalazłszy się w ciemnościach w tej trumnie kołyszącej się na morzu, Roetgen przez kilka sekund musiał się powstrzymać, by nie wyskoczyć na pokład.

João potarł zapalną, którą przysunął do ogarka świeczki wciśniętej między dwa worki z solą, po czym przez moment mościł się, szukając wygodnej pozycji.

- *Puxa!* - mruknął. - Co za parszywa pogoda!

Leżąc na boku po obu stronach komory, znajdowali się twarzą w twarz tak blisko siebie jak nigdy na powietrzu. Twarz João wyglądała jak wyrzeźbiona w starym drewnie, każda zmarszczka rysowała się wyraźnie. W luku mocno zalatywało rybą i solanką.

- Często tak bywa? - zapytał Roetgen.

- Czasami, zależy od księżyca. Najgorsze, że rekiny tego nie lubią.

- Dobrze się sprzedają?

- Tak samo jak inne, tyle że ważą więcej. No i jest premia za wątrobę i płetwy.

- Co z tego robią?

- Wątroba jest dla laboratoriów. Nie wiem dokładnie, zdaje się, że dodają do jakichś leków, maści...

A płetwy kupują Chińczycy. Podobno strasznie im smakuje. W twoich stronach też są?

- Rekiny czy Chińczycy?

- Rekiny.

- Mniej niż tutaj. I żyją na głębszych wodach, dalej od wybrzeży.
- A pagrusy?
- Niewiele ich zostało. Za dużo ich odławiano. Podobnie jest z innymi gatunkami, niektóre nawet zupełnie zniknęły.

- Naprawdę? Jak to możliwe? - zdumiał się João przerażony taką perspektywą.
- Jak mówię: połowy na skalę przemysłową, zanieczyszczenie wód... Katastrofa!

Rybak cmoknął kilka razy, wyrażając dezaprobatę.

- Boże kochany, coś takiego!... A daleko są te twoje strony?
- Chodzi ci o Francję?
- Bo ja wiem? No, o twoje strony...
- Jakies pięć tysięcy kilometrów stąd.

João zmarszczył brwi.

- Ile to godzin autobusem?

Poważna mina rybaka nie budziła wątpliwości - nie miał zielonego pojęcia, gdzie leży Francja, i nie potrafił wyobrazić sobie odległości inaczej

niż przeliczając ją na jedyne miary, jakie znał: dni marszu dla miejsc położonych bliżej albo godziny jazdy autobusem dla odleglejszych. Zaskoczony Roetgen nieopatrznie podał mu liczbę godzin lotu samolotem, lecz brak reakcji rybaka uzmysłowił mu, że popełnił błąd. Przeliczył więc w przybliżeniu odległość, jaką w ciągu dnia mogła pokonać jangada, podzielił i podał wynik: dwa miesiące żeglowania w kierunku wschodnim przy założeniu, że przez cały czas będzie wiał stały sprzyjający wiatr.

- Dwa miesiące?! - powtórzył João wyraźnie pod wrażeniem. Zamyślony milczał chwilę, po czym wrócił do tematu: - A macie tam u siebie jaguary w lasach?

- Nie.

- A pancerniki?

- Też nie.

- A boa, mrówkowce, papugi?

- Nie, João. U nas żyją inne zwierzęta, ale z nimi jest tak samo jak z rybami: niewiele ich zostało.

- Aha... - mruknął rybak rozczarowany krajem tak pozbawionym tego co najważniejsze. - Nawet kajmanów nie ma? A mangowce? Chyba rosną u was przynajmniej mangowce?

*Mamy superszybkie pociągi, airbusy i rakiety, João, mamy komputery, które liczą szybciej niż ludzki mózg i zawierają całe encyklopedie. Mamy wspaniałą przeszłość literacką i artystyczną, największych producentów perfum, genialnych projektantów szyjących cudowną bieliznę, do której jedna koroneczka kosztuje więcej, niż ty przez trzy swoje życia mógłbyś zarobić. Mamy instalacje jądrowe, z których odpady będą śmiertelnie groźne jeszcze przez dziesięć tysięcy lat, a może i dłużej, bo tego nie wiemy na pewno... Wyobrażasz sobie, João? Dziesięć tysięcy lat! To jakby pierwsze istoty z gatunku Homo sapiens zostawiły nam śmietniska tak zanieczyszczone, że trują wszystko dookoła aż do dzisiaj! Mamy także niesamowite bomby, istny cud techniki, bomby, które mogłyby na zawsze zmieść z powierzchni Brazylii twoje mangowce, kajmany, jaguary i papugi, definitywnie rozprawić się z twoim ludem, João, a nawet ze wszystkimi ludźmi! Ale dzięki Bogu, mamy też o sobie bardzo wysokie mniemanie.*

Roetgen zrozumiał, że nigdy nie zdoła opisać mu rzeczywistości, która - z czego naraz zdał sobie sprawę z goryczą i poczuciem, że czegoś został

pozbawiony - zasługuje na uwagę wyłącznie z powodu swojej pychy. Stanął oto przed zadaniem objaśnienia cywilizacji zachodniej, i zaraz wytłumaczenia się za jej pośrednictwem, lecz nie potrafił wymienić ani jednego jej elementu mogącego zainteresować tego człowieka. Człowieka, dla którego bogactwa naturalne ziemi, nasłonecznienie, wpływ Księżyca na takie zwierzę czy taką roślinę miały jeszcze wartość i znaczenie; istotę inteligentną, wrażliwą, żyjącą jednak w świecie, gdzie słowo „kultura”

pojmowane jest w najdawniejszym znaczeniu jako uprawianie, jako praca na ziemi i z ziemią.

Zawstydzony i speszony czuł się przed João jak winowajca stojący przed sędzią, wymyślił zatem takie otoczenie naturalne, które mogłoby rywalizować z jego środowiskiem. Mieszając zapamiętane w dzieciństwie bajki z elementami historii średniowiecza, opowiadał więc o wilkach napadających na wioski w zimowe noce, w ciemnej ładowni jangady wył, jak pewnie one wyły w śniegach pokrywających francuskie doliny; zachęcony nieustającą uwagą rybaka, rozwodził się nad ich ognistymi ślepiami, wielkimi kłami, a w końcu przytoczył nawet opowieść o Piotrusiu i wilku, obszernie, jakby była prawdziwa.

- Dostał to, na co zasłużył - rzekł João, zastanowiwszy się chwilę nad tragicznym końcem bohatera. - Smutne, ale prawdziwe. Jak się kłamie, w końcu kłamstwo zamienia się w prawdę... Tak jak mój zięć: przez dwa lata opowiadał dokoła, że żona go zdradza, bo chciał zwrócić na siebie uwagę. I pewnego dnia faktycznie przyprawiła mu rogi!... Ale powiedz, *Frances*, gdzie mieszka twoja rodzina? W wiosce?

- Nie, w mieście. W Paryżu. Słyszałeś o Paryżu?

- Chyba tak... Wiesz, nigdy nie chodziłem do szkół. To niedaleko Nowego Jorku, co?

- Niezupełnie - odparł Roetgen zafascynowany istnieniem świata, w którym geografia ma tak niewielkie znaczenie. - Wytłumaczę ci...

Na próżno jednak się starał: nie pomogła ani rysowana palcem na desce mapa świata, ani próba pokazania schematycznego położenia kontynentów - rybak nie potrafił sobie wyobrazić kuli ziemskiej. João nigdzie nie wyjeżdżał, bywał tylko u armatora w Aracati - trzy godziny marszu - i raz, jeszcze w dzieciństwie, był z pielgrzymką w sanktuarium w Canindé, by podziękować świętemu Franciszkowi za uchronienie jego matki od ospy. Osiem godzin jazdy autobusem! Zachował o tej podróży wspomnienie mgliste, lecz cudowne. Nie umiał czytać ani pisać, włączony telewizor widział tylko przez kilka chwil w witrynie sklepu w mieście, a całą wiedzę o świecie czerpał albo z własnych doświadczeń, albo od *cantadores*, którzy trafiali nawet do barów w Canoi, gdzie wykonywali swoje pieśni. W głowie mu się nie mieściło, że Ziemia jest okrągła i że ludzie byli na Księżycu, aczkolwiek zaakceptował te nowe dlań fakty bez większego oporu. Znał tylko swoją wioskę i swój fach, coś tam jeszcze widział w Brazylii - całą resztę spowijała gęsta mgła, w której miejsca i rzeczy łączyły się na chybił trafił, a zasłyszane gdzieś nazwy zlewały się i mieszały. São Paulo, Nowy Jork, Paryż... dla niego to był Inny Świat; świat zupełnie abstrakcyjny, kraina, w której siebie nie widział, nieodgadniona, niewyobrażalnie obca rzeczywistość.

## **SERRA DA ARATANHA**

*Ludzki tłuszcz, żeby chronić  
promy kosmiczne przed promieniowaniem...*

- No mówię ci przecież, że niemożliwe, żeby po takim wybuchu ktoś ocalał! No Firmina, zastanów się: nawet z wołu, nawet ze słonia zostałyby tylko siekane mięso!

- To ty mówisz, a ja ci mówię, że to mulica bez głowy spowodowała tę masakrę. I dobrze wiem, wyobraź sobie, kto za tym stoi, możesz mi wierzyć...

Była czwarta rano. Wujek Zé wrócił godzinę wcześniej i Nelson z Firminą zaczęli go wypytywać o katastrofę. Gdy na miejsce dotarły ekipy ratownicze, okradający trupy zniknęli jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Dzięki liście pasażerów wiadano, że na pokładzie był ktoś ważny, poeta, którego nazwiska Zé nie zapamiętał i którego ciało ratownicy za wszelką cenę chcieli zidentyfikować. Kiedy Firmina wyciągnęła z brata pewne ponure raczej szczegóły, ze strachem na twarzy przeżegnała się: to *mula-sem-cabeça*, rozpoznała jej diabelski znak. Tylko ta demoniczna istota mogła poharatać ludzi w ten sposób, a w ogóle ani chybi było ich kilka!

- Mulica bez głowy? - powtórzył Nelson. - A co to takiego?

- Jak to? - zdziwiła się Firmina. - Nigdyś nie słyszał? No więc jak dziewczyna robi to przed ślubem albo jak mężatka sypia ze swoim ojcem, przemienia się w mulicę bez głowy... Pojawia się w piątkowe wieczory i zaczyna się włóczyć po lasach. Jak kogo żywego spotka, wydłubuje mu oczy, wrywa paznokcie i zęby. Nieżywych albo chorych rozrywa na kawałki, które rozrzuca na swojej drodze. Skutek jest zawsze taki sam: nikt z tego nie wychodzi cało!

- Ale jak ona to robi, skoro nie ma głowy? - dopytywał się Nelson wyraźnie pod wrażeniem.

- Tego nie wiadomo, i to właśnie najstraszniejsze... Pamiętaj, żebyś nigdy o północy nie przebiegł przed krzyżem, bo zaraz ją sprowadzisz! A jak ją spotkasz w dzień... niech Bóg cię strzeże przed takim nieszczęściem... zwiń się w kłębek, zamknij oczy i usta i schowaj paznokcie między udami, a zostawi cię w spokoju.

- Nie słuchaj, co ona plecie - rzekł wujek Zé ze znużeniem w głosie. - Stara jest, sama nie wie, co gada.

- Nie wiem? Nie wiem? - oburzyła się Firmina. - Bo może Conceição nie sypia ze swoim ojcem, co? Wszyscy tutaj o tym wiedzą, jak ma w czubie, sam o tym opowiada każdemu, kto tylko chce słuchać.

- Może i tak jest, ale to żaden dowód...

- Ci wszyscy poharatani biedacy to żaden dowód? Zobaczysz, znajdą takich bez oczu, paznokci albo zębów. I stwierdzą, że jeszcze żyli, kiedy przyszła po nich mulica bez głowy.

Ustępując przed starczym zacietrzewieniem siostry, Zé opróżnił duszkiem szklanekę kaszasy i splunął na ziemię. Te jej bajania zupełnie nie miały sensu, ale jak jej przemówić do rozsądku? Stara zawsze miała odpowiedź na wszystko, on zaś nie znajdował sposobu, aby ją przekonać, że się myli.

- To tak jak *sacaolhos* - powiedział Nelson w zamyśleniu. - Przychodzą do faweli nawet w biały dzień i wydłubują oczy dzieciom.

- Niech Bóg broni! - rzekła *dona* Firmina, żegnając się. - Coś takiego!

- A cóż ty znowu zmyślasz? - burknął wujek Zé.

- To prawda... Widziałem kiedyś w Pirambú dziewczynkę bez oczu, a jej matka, taka jedna Peruwianka, powiedziała mi, że oni jej zabrali oczy. To *gringos*, którzy zawsze są we troje, dwóch facetów i kobieta, wszyscy w białych bluzach jak lekarze. Jeżdżą wolno przez fawelę nissanem patrolom z przyciemnionymi szybami i jak widzą same dzieci, proponują im lemoniadę albo guaranę i zabierają je gdzieś na odludzie. I tam wyjmują im oczy albo wysysają tłuszcz z ciała! A czasem jedno i drugie...

- Tłuszcz? - upewnił się z niesmakiem wujek Zé, który raptem stracił część swego sceptycyzmu. - A po cóż im tłuszcz, na Boga?

- Do robienia kosmetyków dla Amerykanów i ich przyjaciół. Olej z *caboclos* bardzo dobrze robi białym na skórę, która staje się młodsza, gładsza, no wiesz... Ale też smarują nim precyzyjne maszyny i wykorzystują do ochrony statków kosmicznych przed promieniowaniem. Potrzebują tego całe tony... NASA potrzebuje, a płacą drożej jak za złoto! No i nasz rząd pozwala im robić, co chcą, żeby spłacić dług zagraniczny. Tak jest w całej Ameryce Południowej. Wcześniej chudych nie brali, ale teraz już nie przebiegają.

- A oczy?

- Do przeszczepów... Córka tej mojej znajomej miała szczęście, nie wyskali z niej tłuszczu. Wtedy byłoby po niej. Jak ją znaleźli, miała bandaż na twarzy, pełno waty zamiast oczu, a w majtkach pięćdziesiąt dolarów.

- Dobry Boże! - zawołała Firmina bliska łez. - Pięćdziesiąt dolarów za oczy!...

- Słyszałem też, że niektórym zabierają serce albo nerki. I że w São Paulo są luksusowe restauracje, gdzie serwują policjantom i żołnierzom ludzkie mięso.



- No to już koniec świata! - rzekł wujek Zé z chmurną miną. - Wierzyć się nie chce... Ale jeśli tak jest, to już nie ma nadziei... nawet cienia...

- Nie martw się, Zé! Ja wypatruję te nissany patrole. I jak zobaczę którego... kurwa, puszcze z dymem! Razem z tymi chujami w środku!

Kiedy umilkł, straszny grymas, który wykrzywił mu twarz, utrzymywał się jeszcze chwilę. *Dona Firmina* znowu się przeżegnała, aby szybciej zniknął.

## ROZDZIAŁ XIV

*Fontanna Czterech Rzek: jak Kircher zmusił potwarców, aby się poddali. W którym mówi się także o symbolice cienia & światła*

**B**ernini był człkiem żwawym, bystrym & układnym mimo porywczego charakteru, którego wielki talent nie usprawiedliwiał, pozwalał wszakże wiele wybaczyć. Niewysoki, przysadzisty, zawsze z prostotą odziany niezależnie od okoliczności, niewiele mówił & uchodził za dziwaka w oczach ludzi, którym nie było dane mienić się jednym z jego nielicznych przyjaciół. Tymczasem kiedy udało mu się pokonać wrodzoną nieśmiałość, wypowiadał się bez trudności & stawał się tak miło gadatliwy, że zachwycał otoczenie fantazją & dowcipem. Oczarowała go wiedza Kirchera, tak jak Kirchera oczarowało mistrzostwo jego sztuki. Szybko zaczęli się wzajem darzyć przyjaźnią, co nad wyraz sprzyjało przygotowaniu planów fontanny.

Po kilku tygodniach pracy Kircher pokazał Berniniemu & papieżowi pierwszy projekt sporządzony na podstawie szkiców Francesca Borrominiego. Przedstawiał cztery części świata, każdą zaś symbolizowała największa znana rzeka, nawiązując zarazem subtelnie do czterech rzek, jakie płynęły w ziemskim raju. Ganges, Dunaj, Nil & La Plata miały być symbolicznie wyobrażone pod postacią kolosów z marmuru z towarzyszącymi im emblematycznymi zwierzętami. Obelisk natomiast, ustawiony pośrodku pomnika, sam jeden miał być rekapitulacją całej świętej teologii & wiedzy człowieka. Kircher proponował także, by doprowadzić do tego miejsca wodę z Acqua Vergine, najlepszego źródła wody w Rzymie, przypisując tym sposobem fontannie oczywiste właściwości oczyszczające.

Ostra dysputa się odbyła nad owymi wstępnymi szkicami & mistrz mój musiał bronić swoich pomysłów jednego po drugim. Ostatecznie projekt przyjęto bez zmian & Bernini z kolei przystąpił do pracy - miał zaproponować kompozycję godną jego dłuta & marmuru. Pozostawał wszakże do rozwiązania konkretny problem: odrestaurowanie obelisku, przewiezienie go na Forum Agonale, ustawienie & odczytanie pokrywających go hieroglifów. Obelisk, odnaleziony w Circus Maximus, był w bardzo złym stanie. Od wieków narażony na wszelkie kaprysy pogody, doznał znacznych uszkodzeń. Całymi dniami błakaliśmy się w pobliżu kamiennej iglicy, szukając brakujących kawałków. Nie odnaleźliśmy ich, niestety, wystarczająco wielu, aby należycie uzupełnić inskrypcję, która nas interesowała. Ponadto niektóre napisy zamazał czas, nasuwało się zatem pytanie, czy należy je odtwarzać na drodze domysłów czy też zostawić szpetne ubytki. Atanazemu pierwsze rozwiązanie wydało się nie dość, że niezbyt możliwe, to jeszcze nader zuchwale.

Odwołaliśmy się zatem do miejscowych handlarzy starożytnościami, zamierzając z funduszy, które wykladał Innocenty X, odkupić pokryte napisami fragmenty obelisku, jeżeli się znajdą. Kircher zdobył w ten sposób pewną ich liczbę, znalazło się wszakże paru kolekcjonerów na tyle chytrych, że nie zgodzili się ich odprzedać ani nawet dostarczyć mojemu mistrzowi kopii. Przez niedyskrecję imć Manfreda Settali

dowiedziałem się, że odmowa nie jest dyktowana chęcią zysku, lecz złośliwością tych, którzy powątpiewając w umiejętności mistrza mojego, podejrzewają oszustwo skrywane pod płaszczykiem odzyskiwania brakujących hieroglifów. Twierdzili mianowicie, że zdemaskują jego rzekomą w tej materii wiedzę przez porównanie znaków odtworzonych z zatrzymanymi u siebie.

Powiadomiłem Kirchera & Berniniego o tej intrydze. Rzeźbiarz natychmiast uniósł się gniewem, pomstując na tych, którzy mają czelność okazywać nieposłuszeństwo papieżowi & tak niecnie obmyślać knowania. Kircher natomiast popadł w zadumę.

- Być może - rzekł w końcu, kiedyśmy zaczęli go dopytywać - być może lepiej by było zostawić puste miejsca, tam gdzie brakuje części napisu... Nie żebym się obawiał wyzwania rzuconego przez tych mędrców z bożej łaski, jednakże od tłumaczenia tekstu do jego rekonstrukcji droga daleka. Podobnie jak w każdym innym języku pewne znaki mogą wyrażać

prawie to samo: a wyobraźcie sobie, że odrobinę się pomylę, & skandal nie dość, że mnie okryje hańbą, to jeszcze dotknie całego Kościoła & nadwątlili łaski, jakimi papież obdarza nasz zakon...

Wzburzony nad wyraz Bernini nalegał, aby mistrz mój wytrącił oręż z dłoni potwarców, a czynił to tak przyjaźnie & z taką ufnością w umiejętności Atanazego, że zdołał go przekonać. Kircher zabrał tedy kopie znaków widniejących na obelisku & na odnalezionych ułamkach, po czym zamknął się w gabinecie. Bernini natomiast, umieściwszy obelisk na urządzeniu pozwalającym obracać go poziomo wokół własnej osi, przystąpił do wypełniania ubytków. Aby niczego w jego wyglądzie nie zmienić, zrezygnował z użycia cementu, a nawet z żelaznych sworzni, & w kamieniu identycznym jak ten, z którego powstał egipski monument, tak przemyślnie rzeźbił brakujące fragmenty, że wpasowywały się perfekcyjnie we właściwe miejsca.

Poproszony o ocenę efektu jego wysiłków Kircher wpadł w zachwyt nad umiejętnościami Berniniego. Jak świat światem nie widziano tak precyzyjnie wykonanej pracy! Pozostawało zatem jedynie wyrzucie brakujących hieroglifów: po pierwsze, skopiowanych z odłamków, któreśmy odzyskali, lecz nie nadawały się do wykorzystania, ponieważ oszpeciłyby całość, & po drugie tych - wszelako nie tak wielu - które Atanazy zobowiązał się odtworzyć. Zadanie owo powierzono rzeźbiarzowi nazwiskiem Marco Antonino Canino, który uporał się z nim w roku 1645; nieprzychylni Kircherowi potwarcy przegrali z kretesem, albowiem wyrysowane przezeń symbole odpowiadały dokładnie oryginalnym, których nie zgodzili się udostępnić! Musieli zatem pogodzić się z faktami & chyląc czoło, przyznać, że mój mistrz, kierowany przez Ducha Świętego, istotnie do głębi przeniknął ów tajemniczy język.

Rok 1646 ujrzał publikację „Ars Magna Lucis et Umbrae”. Gruby tom in folio, liczący dziewięćset trzydzieści pięć stron, zadedykowany został mecenasowi Atanazego, Johannowi Friedrichowi hrabiemu Wallensteinu, arcybiskupowi praskiemu.

Najpierw Kircher opisywał Słońce jako główne źródło światła, nie pomijając kwestii plam, które niekiedy można zaobserwować na jego powierzchni, oraz ich szkodliwego wpływu. Na dowód przytaczał najazd wojsk szwedzkich w roku 1625, ponadto śmierć cesarza z dynastii Ming, śmierć Ludwika XIII, a także rozliczne nieszczęścia, które dotykały ludzkość wraz z niepojętym pojawianiem się plam.

Dalej mistrz mój omawiał Księżyc, drugie źródło światła na Ziemi, będące wszakże jedynie odbiciem Słońca. Na kolejnych stronach przedstawiał ciała niebieskie, pokazywał po raz pierwszy wizerunek planety Jowisz, pierścieni Saturna, następnie zajmował się kwestią barw: przechodząc przez pryzmat albo przez mgiełkę kropel deszczowych, pisał, czyste światło zostaje skalane & powstają kolory żółty, czerwony & fioletowy, które są degradacją bieli będącej barwą światła, tak jak czerń jest barwą jego braku.

Przy tej okazji mistrz mój wysnuł długi wywód na temat kameleona & jego umiejętności przybierania barw upodabniających go do rzeczy w jego otoczeniu. Uzupełniał to uwagami dotyczącymi ośmiornic & innych stworzeń morskich mających podobną zdolność, dalej rozprawiał o nader ciekawym drewnie

meksykańskim, które przysłał mu ojciec Alejandro Fabian. Idąc za jego radą, Kircher kazał wyciąć miseczkę z owego drewna zwanego „tlapazatli”, po czym w mojej obecności nalał do niej czystej wody. Wkrótce z przyczyn zupełnie niepojętych - bo włókna drewna były czyste & jasne jak dzikiej wiśni - woda zaczęła stopniowo zmieniać barwę, aż przybrała wspaniały kolor purpury. Sproszkowane drewno owo nadal tak samo działało, chociaż z czasem ta jego właściwość słabła. Kircher podarował miseczkę cesarzowi Ferdynandowi III Habsburgowi, dla którego była jednym z najcenniejszych jego skarbów.

Od drewna tlapazatli księga przechodziła do wewnętrznej budowy oka & wzroku ludzkiego, przy czym Atanazy zaznaczał, że działa on na podobieństwo owej *camera obscura*, którą na moje nieszczęście wypróbował na Sycylii. Aby się o tym przekonać, pisał, wystarczy wziąć oko krowy - albo & ludzkie, jeśli nadarzy się okazja - pozbawić je krystalicznego płynu & *ad hoc* umieścić w otworze zamiast sztucznej soczewki. Wszystko co jest na zewnątrz, pojawi się wtedy w ciemnym pokoju wyraźne jak na precyzyjnie wykonanym obrazie.

Omawiając anamorfozę, Kircher uczył, jak matematycznie zdeformować rysunek, tak że na pierwszy rzut oka będzie wyglądał potwornie, nienagannie za to jako odbicie w zwierciadle cylindrycznym. Rozpatrywał także rozmaite sposoby rozmieszczenia drzew, krzewów, winorośli, pawilonów & ogrodów, aby oglądane z określonego miejsca obserwacji pokazywały wizerunek człowieka albo smoka, widziane natomiast skądinąd nie pozwalały się tego nawet domyślać.

Po rozdziale, gdzie Atanazy podawał kompletne tablice lunacji pod postacią „smoka o skrętach lunarnych”, dzięki któremu można było przewidzieć wszystkie eklipsy, ukazywał wizerunek człowieka skiaterycznego z zodiakalnymi korespondencjami łączącymi każdą część ciała & każdą jego chorobę z ziołami albo z lekami sympatycznymi mogącymi je leczyć.

Na koniec mistrz mój dołączył znakomity rozdział na temat metafizycznej symboliki światła, wieńcząc swoje dzieło nową filozofią & przypominając niezniszczalne prawdy naszej wiary.

Ma się rozumieć, zadałem sobie trud przywołania tutaj treści owej „Wielkiej sztuki światła & cienia” nie dla czytelników oświeconych, którzy księgę tę znają doskonale, lecz aby dać przykład młodszemu, nienawykłemu do obcowania z dziełem Kirchera, nieświadomemu jego niezwyklej wszechwiedzy & nieznającemu właściwego mu szczególnego sposobu wykładania jasno & przyjemnie najtrudniejszych nawet tematów. Mistrz mój nigdy nie usuwał na bok żadnej części świata & czy się interesował światłem, Egiptem czy też innym jakowymś osobliwym zagadnieniem, za każdym razem musiał ogarnąć wszechświat cały, po czym wracał do Stwórcy, aby Go sławić za tyle ofiarowanych nam cudów.

Księga w krótkim czasie odniosła niebywały sukces. Żadna pochwała nie wyrażała wystarczająco podziwu uczonych, którzy delectowali się lekturą niczym rzadkim smakołykiem. Egzemplarze dzieła rozesłano do wszystkich misji jezuickich rozsianych po świecie.

Zaintrygowany frontispisem księgi, któremu nie wszystkie subtelności potrafił ogarnąć, zaszedłem kiedyś do gabinetu Kirchera. Powitał mnie jak zwykle życzliwie, po czym oderwał się od pracy, aby wyłożyć mi tę cudowną alegorię, którą Burgundczyk Pierre Miotte wyrzył na jego prośbę.

Wyznałem Atanazemu, że choć pojmuję większość symboli owych, kłopot mam z połączeniem ich w jedno, a w związku z tym umyka mi ukryte znaczenie obrazka.

- Usiądź, Casparze - rzekł mistrz mój życzliwie. - Nie ma w tym nic nazbyt tajemniczego & gdybyś nieco bardziej się przyłożył, niechybnie wszystko byś sam rozwikłał. Najpierw jednak nalej nam po odrobinie burgunda, którego przysłał mi poczciwy ojciec Mersenne. Może rozjaśni ci umysł, chyba że podziała odwrotnie & zaciemni go do reszty...

**FAZENDA DO BOI**

*Fura podrywacza...*

- Proszę, to tutaj - powiedziała hrabina, usuwając się na bok przed wejściem dużego pawilonu oddalonego mniej więcej o sto metrów od głównego budynku. - Zostawiam państwa w szponach mojego męża. Nie pozwólcie się wciągnąć do jego gry - poradziła z uśmiechem - bo będzie po was. Mam nadzieję, że później jeszcze się zobaczymy.

Wymieniwszy porozumiewawcze spojrzenie z Loredaną, odwróciła się i odeszła.

- I jak ci się podoba hrabina? - zapytał Eleazard. - Sympatyczna, prawda?

- Powiedziałabym raczej, że dziwna - odparła Loredana, która wciąż nie wiedziała, co myśleć o niej.

- W każdym razie tankować potrafi... Mało brakowało, a wyznałaby mi miłość! Całe szczęście, że akurat przyszedłeś z szampanem, bo już nie wiedziałam, jak sobie poradzić.

Zdziwiony Eleazard uniósł brwi pytająco, ona zaś poczuła złość, że tak odważnie podsumowała stosunek hrabiny do siebie. Ech, ta mania, żeby zawsze być górą, żeby odstręczać jakimś niedopuszczającym sprzeciwu stwierdzeniem wyłącznie dlatego, że wywołali w nas poruszenie i nie wiemy, jakie znaczenie przypisać odczuwanemu niepokojowi! Zaraz się więc pokajała:

- Nie, bzdury gadam... Polubiłam ją. Nawet bardzo... Poprosiła, żebym jej dawała lekcje włoskiego, i chyba się podejmę. A ty jak uważasz?

- Czemu nie? - rzekł Eleazard, zaglądając do pawilonu. - Możecie nawet umawiać się u mnie, gdyby cię to urządziło... Wchodzimy?

- Wchodzimy - zgodziła się z roztargnieniem.

Weszli do pawilonu, w którym skupiała się aktywność robotników fazendy w czasach, gdy ojciec Joségo Moreiry tłoczył jeszcze na swych ziemiach cukier z trzciny cukrowej: rozległego okrągłego budynku, gdzie dwie pary wołów chodziły w kieracie, napędzając młyn walcowy pionowy. Pułkownik nie pozwolił go rozebrać - „To pomnik ku czci silników o dużej pojemności skokowej”, rzucał żartobliwym tonem, udając, że szuka właściwych słów, ilekroć ktoś po raz pierwszy podziwiał to urządzenie. Młyn zajmował sam środek pawilonu, a wokół niego gwiazdziście ustawiono około dwudziestu starych samochodów, które mieniły się w iście muzealnym świetle lamp halogenowych. Między pojazdami rozłożono czerwone chodniki. Grupka osób, wśród których kilka miało wyraźnie azjatyckie rysy twarzy, otaczała wysoką postać pułkownika.

- Proszę bliżej! - zawołał Moreira, zauważywszy Eleazarda i jego towarzyszkę. - A cóż tak długo państwo tu szli?

Stał przy wspaniałym coupé w barwach kremowo-brązowych, które przywodziły na myśl niezbyt gustowne dwukolorowe buty.

- To powinno pana zaciekawić, panie von Wogau. Właśnie opowiadam o jednym z najpiękniejszych okazów mojej niewielkiej kolekcji: wóz Panharda-Levassora z trzydziestego szóstego roku... - Zabawnie wymawiał nazwę, przy czym coś w jego głosie świadczyło o głębokim przekonaniu, że wymawia ją z francuska. - Model dynamic z wolnym kołem! Cztery biegi, automatyczne wysprzęglanie, zawieszenie na wahaczach... Trzy wycieraczki równoległe, reflektory wbudowane w osłonę chłodnicy i... kierownica pośrodku, proszę państwa! Tylko w pana kraju robiono coś takiego!

- Jaka prędkość? - spytał ktoś nosowym głosem.

- Sto cztery na godzinę, *eighty-seven miles an hour* - odparł gubernator takim tonem, jakby oznajmiał wysokość zysku z operacji giełdowej. - I osiemnaście litrów na sto - wyznał Loredanie z miną winowajcy, aczkolwiek na ustach błąkał mu się uśmiezek dowodzący, że z tak wysokiego poziomu spalania jest równie dumny jak z prędkości osiągananej przez samochód.

- Pan wybaczy - powiedziała Loredana - ale takie rzeczy niespecjalnie wywierają na mnie wrażenie. W ostateczności strona estetyczna. Nie mam nawet prawa jazdy, więc pan rozumie, motoryzacja...

Gubernatora na moment zatkało.

- Proszę sobie wyobrazić - rzekł w końcu, biorąc na świadków gości obecnych w pawilonie - że ta

pani nie ma prawa jazdy! A jest Włoszką!

Młody człowiek o wyglądzie mormońskiego kaznodziei przetłumaczył na angielski słowa gubernatora, prowokując uprzejme rozweselenie części gości, Azjaci zaś z niejakim opóźnieniem nie wiedzieć czemu stanęli na baczność.

Eleazard drgnął, gdy poczuł czyjaś dłoń na ramieniu. Obejrzał się i zobaczył rozpromienioną twarz starego Euclidesa.

- Do dzieła, przyjacielu - szepnął lekarz, udając, że ciekawi go rozmowa. - Jest w kim wybierać... Mówi panu coś nazwa Pentagon? - I wzrokiem wskazał dwóch jegomościów o szpakowatych skroniach, dwóch przystojniaków, którzy mogliby grać w reklamie taniego płynu po goleniu.

Eleazarda ogarnęła naraz nieprzeparta chęć na papierosa. Oczywiście nie czuł się onieśmielony władzą, jaką skrycie dysponowali ci mężczyźni, czy podekscytowany szansą zdobycia jakichś wybuchowych rewelacji - właśnie w tej odmianie współczesnego dziennikarstwa tkwiło to, co zniechęcało go do tego zawodu - dźgnęło go jednak nagle ukłucie szpili kłamstwa. Przewidywanie, że dane nam oto będzie poznać prawdę, najsilniejsze jest wtedy, gdy przeczuwamy fałsz, bliskość zyskania dowodu, który obala to, co uchodziło za autentyczne: system, teorię, ale również klasę czy wizerunek człowieka uczciwego i tego, co mówi. Dlatego też Eleazarda opanowało podniecenie, jakiego doświadcza detektyw, gdy nareszcie ma możliwość konfrontacji z podejrzanym, którego zawsze uważał za winnego.

Natężywszy wszystkie zmysły, słuchał gubernatora, który wyszukanyimi słowami zabawiał obecnych. Posługując się retoryką zapalonego kolekcjonera, niepozabawioną niejakiej błyskotliwości, Moreira wychwalał idealne kształty panharda, lakier, linie „nie powiem: kobiece, ponieważ byłoby to znieważaniem pań”, ale zwierzęce, zmysłowe, wzięte z natury... Piękne samochody to coś znacznie więcej niż środek transportu, to obiekty kultu, magiczne skarabeusze, talizmany pierwszej wody przeznaczone dla tych, których pragnienie postępu, mocy i panowania nad materią pcha nieodparcie ku przyszłości...

- Skoro mowa o pragnieniu - wpadła mu w słowo Loredana - czy nie znalazłoby się coś do picia?

Roześmiał się z jej bezpośredniości i przepraszając, że zaniedbał się w swoich obowiązkach gospodarza, przywołał gestem jednego z dwudziestu Mulatów w roboczych kombinezonach, których zatrudniał do utrzymania samochodów.

- Zostajemy przy szampanie, prawda? Dzisiaj święto!

- A co takiego pan świętuje? - spytała Loredana z czystej ciekawości.

Moreira przybrał minę przekorną i prowokującą.

- Ależ przyjemność poznania pani. Ten jeden powód całkowicie by wystarczył, żebyśmy opróżnili moją piwniczkę.

Na ten hołd Loredana skrzywiła się zawiedziona. Naraz zaszumiało jej w głowie od alkoholu. I zdenerwowała się niespodzianie, że Eleazard tak ją zostawił na pastwę Moreiry. W odwecie nie zareagowała, gdy gubernator wziął ją pod rękę i poprowadził na tył samochodu.

Sprowadzeni przez mechanika dwaj kelnerzy częstowali wszystkich szampanem.

- Dlaczego mówią na pana „pułkownik”? - spytała Loredana, opróżniwszy swój kieliszek trzema łykami. - Był pan wojskowym?

- Ależ nie - nonszalanckim tonem odparł gubernator, dając znak kelnerowi, aby znowu obsłużył Włoszkę. - To poniekąd bezprawne... - Machinalnie pogładził się po faworycie. - Tak się u nas ciągle tytułuje przywódców politycznych i fazendeiros, wielkich właścicieli ziemskich. To tradycja wywodząca się jeszcze z czasów cesarskich: aby walczyć z podżegaczami, dom Pedro Pierwszy zorganizował regionalne oddziały milicji, a dowodzenie nimi powierzył ludziom z wyższych sfer w stopniu pułkownika. Milicja zniknęła, a stopień nadal mamy. No, ale może darujemy sobie tę ceremonialność? Byłbym zaszczycony, gdyby mówiła mi pani po prostu José.

Żachnęła się z rozmysłem, głos jednak miała już odrobinę bełkotliwy, kiedy powiedziała:

- Ależ pan szybki, pułkowniku!

Z wyjątkiem Japończyków, którzy o czymś rozprawiali we własnym gronie, z wielkim szacunkiem oglądając panharda, goście otaczali gubernatora. Na pozór niewinnie podsycali jego gadaninę pytaniami bądź uwagami wystarczająco banalnymi, aby świadczyły o tym, że mają już dosyć zwiedzania.

Eleazard i doktor Euclides, stojący z niewzruszoną twarzą i rękami w kieszeniach, zdawali się pogrążeni każdy we własnych myślach.

- Zgadzam się z panem, Williamie - perorował gubernator, patrząc na Loredanę, jakby szukał jej aprobaty - nędza to naprawdę wielki problem. Pomyśleć, że w kraju takim jak nasz wciąż szaleje dżuma i cholera, że nie wspomnę o trędowatych żebrakach, których spotyka się na każdym kroku... To coś więcej niż tragedia, to czyste marnotrawstwo! Oczywiście najłatwiej

zrzucić całą winę za to na nieudolnych polityków, korupcję czy nawet na przepaść, która dzieli fazendeira i wieśniaka. Ale to jedna strona medalu. A co widzimy z drugiej strony? Mamy jeden z największych długów zewnętrznych na świecie, tak że jesteśmy skazani na pożyczanie, pożyczanie, pożyczanie w nieskończoność wyłącznie po to, aby spłacać odsetki! Dopóki nie otrzymamy odpowiedniego moratorium, nie wygrzebiemy się z długów, to pewne... A Brazylia mimo wszystko jest największym na świecie producentem cyny, drugim stali, trzecim manganu, nie mówiąc o drewnie i uzbrojeniu... I komu to zawdzięczamy państwa zdaniem? Partii Pracujących? Komunistom? Wszystkim tym pseudorewolucjonistom, którzy wiecznie tylko krytykują, zupełnie nie rozumiejąc ekonomicznych uwarunkowań kraju? A może tym chłopom, którzy przestają uprawiać pola, jak tylko zbiorą dość kukurydzy, żeby spać spokojnie? Nie ma co się czarować: Brazylijczycy jeszcze nie dorośli. Gdybyśmy nie próbowali tego zmienić, my, przedsiębiorcy, ludzie, którzy marzą o innej Brazylii, takiej na miarę naszych ambicji, kto by to zrobił, pytam? Nędza to tylko jeden z wielu przejawów naszej niedojrzałości... Smutne, żalosalne, dramatyczne... nazywajcie to, jak chcecie, ale za wszelką cenę trzeba edukować lud, żeby wreszcie wziął się do pracy, żeby dorósł, stał się odpowiedzialny... Panie von Wogau - zwrócił się do Eleazarda - jest pan dziennikarzem. Proszę powiedzieć, czy nie mam racji?

Eleazard bez słowa zmierzył go wzrokiem. Z każdego poru jego skóry biła pogarda. Złapać tego człowieka za kołnierz, zwymyślać od najgorszych, rzucić mu w twarz, jakim łajdactwem jest jego cynizm! Słowa bezładnie kłębiły mu się w głowie, lecz nie potrafił z nich złożyć jednego sensownego zdania; miał świadomość, że nie obejdzie się bez skandalu, nie mogąc się jednak zdecydować na czysto konwencjonalne przytaknięcie, trwał w niepewnym milczeniu, bardziej spętany gniewem niż dobrym obyczajem.

Słowa Loredany jak huk pękającego żagla zakłóciły martwą ciszę:

- W dniu kiedy żebracy będą mieli widelce, w ramach pomocy dostaną zupełne...

Gubernator na chwilę oniemiał, po czym zdecydował się roześmiać, wtórując doktorowi Euclidesowi, który cichutko nawet zaklaskał.

- Nieźle - skwitował Moreira, krzywiąc się brzydko. - Całkiem nieźle! A to pani zna? Co mówi ślepy żebrak, kiedy obmacuje samochód bogacza?

- ...?

- O Boże! - rzekł nosowym głosem, przedrzeźniając jęklivy sposób mówienia mieszkańców Nordeste. - Jaki mały ten autobus!

Eleazard zacisnął zęby, całkowicie koncentrując się na tym, aby targających nim uczuć nie można wyczytać z twarzy. Parę osób uprzejmie się uśmiechnęło, lecz wyraźnie wyczuwalne zażenowanie sprawiało, że uciekano wzrokiem na boki. Wściekły na Eleazarda i Loredanę gubernator rozpaczliwie szukał jakiegoś dowcipu, który by rozluźnił atmosferę, kiedy głos zabrała Włoszka:

- Przewiezie mnie pan? - poprosiła z uśmiechem. I dodała, gładząc błotnik panharda: - Marzę o tym,

żeby go wypróbować...

José Moreira popatrzył na nią, jakby pytał, czy mówi poważnie. Połechtany tym, co zobaczył w jej oczach, otworzył drzwi samochodu.

- W takim razie zapraszam. Proszę wybaczyć, że opuszczam państwa - zwrócił się do reszty gości - ale prośba kobiety jest rozkazem. Wrócimy za jakiś kwadrans, tymczasem proszę się miło bawić.

Panhard odpalił od razu, na wstecznym przejechał kilka metrów, po czym z cichutkim pomrukiem silnika potoczył się ku bramie pawilonu. Rozbłysły światła reflektorów, radośnie ozwał się klakson i wóz znikł w ciemności.

Po odjeździe gubernatora i jego kapryśnej pasażerki przez parę minut wśród pozostawionych w pawilonie gości panowała niepewność. Japończycy, wyraźnie urażeni brakiem uprzejmości gospodarza, postanowili odejść. Ich totumfacki przełożył całą litanię kwiecistych pożegnań, po czym z zaciśniętymi ustami sztywno wymaszerował za nimi. Ignorując Euclidesa i Eleazarda, Amerykanie naradzali się półgłosem.

- Proszę jej nie osądzać surowo - szepnął lekarz, kładąc dłoń na ramieniu przyjaciela. - Zazdrość, podobnie zresztą jak rozpacz, nawiasem mówiąc, jest miłym uczuciem, którego człowiek powinien umieć się wyrzec. Zwłaszcza że nasza Loredana wydawała się w pełni świadoma tego, co robi. A ten stary piernik jeszcze dostanie za swoje, jeśli chce pan znać moje zdanie...

Eleazard melancholijnie kontemplował własne buty. Pełne ironii triumfujące spojrzenie, jakim obrzucił go Moreira, wrzucając wsteczny bieg, dokładało zniewagę do goryczy upokorzenia. Przyłapał się na tym, że na coś liczy, o coś prosi w głębi swego strapionego jestestwa, i zaraz się przywołał do porządku. Przecież ona nic mu nie jest winna. Jeśli chce się przespać z tym typem, ma do tego prawo... Ależ z niej małpa! Pinda ostatnia, która nic a nic nie rozumie! Zdzira, uliczna dziwka! Kiedy ją poniewierał tak nienawistnie, zorientował się, że przy okazji sam siebie poniża i że stary Euclides miał słuszość.

- No cóż, my też już pójdziemy - rzekł jeden z Amerykanów, ten, którego niewinna uwaga sprowokowała gubernatora do wygłoszenia spiczu.

Skinął głową każdemu z obecnych - przynajmniej osobom, których nie uważał za służbę - to samo uczynił jego towarzysz, po czym obaj odeszli.

Pozostali tylko dwaj przystojniacy, których Euclides wskazał wcześniej Eleazardowi jako związanych z Pentagonem.

- Henry McDouglas - przedstawił się jeden, wyciągając rękę (Matthews Campbell Junior, jak echo rzekł drugi). - Uciekali, jakby ich kto gonił, he? Zmyli się wszyscy.

- Na to wygląda - przyznał Euclides, odwzajemniając uśmiech. - Zostaliśmy sami na pokładzie.

McDouglas powiódł naokoło wzrokiem, wskazując samochody.

- Imponująca kolekcja.

- Podobno. Ale dzięki Bogu wzrok oszczędza mi przykrej konieczności oceniania tego. No, powiedzmy, że wiąże się to również z osobą. Pokazywał panom także jaguara, prawda?

- Do licha, jasnowidz z pana! - zawołał McDouglas, szczerząc w szerokim uśmiechu wszystkie nieskazitelnie białe zęby. - Tłumaczył nawet, że ze względu na to biedne zwierzę nie ma samochodu, który nosi jego imię... Pewnie dzieli się tą refleksją z każdym nowym gościem, co?

- A jakże! - przyznał Euclides. - Widzi pan, każdy ma jakąś manię, a jego manie nie są groźne.

- Jeśli dobrze zrozumiałem, jest pan dziennikarzem, tak? - zagadnął Campbell Eleazarda. - Od dawna jest pan w tych stronach?

- Sześć lat. Dwa lata w Recife i cztery tutaj.

- Ho, ho, szmat czasu! Pewnie Brazylia nie ma już dla pana tajemnic.

- No, to za dużo powiedziane. Ale lubię ten kraj i staram się go jak najlepiej poznać. Również te ciemniejsze strony.

- A co pan sądzi o sytuacji politycznej? Chodzi mi o Maranhão. Wygląda na to, że partie lewicowe złapały wiatr w żagle, prawda?

- Niech pan uważa! - ostrzegł Euclides Eleazarda żartobliwym tonem. - Ci panowie są z Pentagonu. Cokolwiek pan powie, może zostać wykorzystane przeciwko panu...

Eleazard cofnął się o krok, udając przerażenie.

- Z Pentagonu? *Meu Deus!* - Uśmiechnął się. - A poważnie mówiąc, to bardzo ciekawe. Czym konkretnie panowie się zajmują? Oczywiście jeśli to nie tajemnica...

- Nic z tych rzeczy, o których zdaje się, pan myśli. Powierzono nam misję w Ameryce Łacińskiej. Misję cywilną, zaznaczam. Jeździmy po świecie, żeby przygotowywać albo weryfikować pewne dokumenty, załatwiać gwarancje z naszymi partnerami, wybadać teren... Przecież pan wie, że Pentagon to po prostu przedsiębiorstwo, największe w Stanach, owszem, ale jednak przedsiębiorstwo. Takich jak my jest parę tysięcy. Zajmujemy się banalnymi problemami związanymi z zarządzaniem.

- Niemniej bardzo to tajemnicze - zażartował Euclides z miną mówiącą, że on swoje wie.

- Właściwie - rzekł McDouglas półgłosem, podejrzliwie tocząc wokoło wzrokiem - mamy za zadanie zgładzić gubernatora stanu Maranhão! To uzurpator, na dokładkę groźny terrorysta. I potrzebujemy waszej pomocy, panowie!

Kiedy plół te androny, wydawał się prawie sympatyczny. Euclides przeprosił, że tak ich ciągnął za język, rozumie przecież doskonale, że zobowiązani są zachować powściągliwość w okolicznościach wymagających dyskrecji...

- Jaką powściągliwość? - zawołał McDouglas, jakby to był żart. - Zbyt duże znaczenie nam pan przypisuje. - Spoważniał i ze znużeniem przedmiotu mówił dalej: - Jak panowie wiedzą, Brazylia wydobywa mangan, o czym pułkownik przed chwilą przypomniał, ale nie są może panowie świadomi, że ten metal wchodzi w skład pewnych stopów używanych w armii amerykańskiej. Dotąd dostarczano nam rudę taką, jaką wydobyto, ale

wygląda na to, że rząd brazylijski będzie się starał przerabiać ją na miejscu. Co bardzo by nam odpowiadało, nie kryję. Oczywiście mocno to upraszczam, ale jesteśmy tutaj po to, żeby ustalić z nimi normy, których powinni przestrzegać, jeśli się na to zdecydują. Nic „ściśle tajnego” nie ma w tym zadaniu, jak panowie widzą... Przywłókł nas tutaj Alvarez Neto, minister przemysłu, na pewno go panowie zauważyli. To okazja, żeby spotkać przedsiębiorców, bankierów, polityków... i zobaczyć to i owo. Znają panowie Brazylię, można tam umrzeć z nudów!

Wyrażał się swobodnie, włosy ostrzyżone najeża, twarz opalona, roztaczał wokół siebie aurę zaraźliwej serdeczności i szczerości, tak że każdemu oprócz Eleazarda upór Euclidesa wydałby się zupełnie nie na miejscu.

- No to uspokoił mnie pan - oświadczył na pozór beztrąsko - bo już myślałem, że przyjechali tu panowie w sprawie tej bazy wojskowej na półwyspie.

Przez oczy Amerykanina w ułamku sekundy przemknął ledwie zauważalny cień, poza tym jednak nic nie pozwalało wątpić w szczerość jego reakcji.

- Bazy wojskowej? - zdumiał się. - Nic o tym nie wiem. Sam pan widzi, że wy orientujecie się dużo lepiej niż ja... A tobie obilo się coś o uszy, Mat?

- Pierwsze słyszę - odparł Campbell, kręcąc głową. - Ciekawe... A można wiedzieć, o co dokładnie chodzi?

- To tylko pogłoska - odparł Eleazard. - Mglisty jeszcze projekt, do którego mają się jakoby włączyć Stany. Czytałem o tym na ulotkach rozdawanych przez kandydata PP. Jedni mówią o bazie pocisków strategicznych, inni o fabryce broni, ale nikt nie ma żadnych dowodów. Pewnie takie tam gadanie przedwyborcze...

- Jak zwykle propaganda antyamerykańska - podchwycił Douglas z uśmiechem. - Pomaga zewrzeć



szeregi. Ale wie pan, to staje się trudne do zniesienia. Te błazny igrają z ogniem: gdyby nasza gospodarka padła, nie dałbym złamanego centa za Brazylię, Amerykę Południową ani nawet za świat zachodni! Myślą panowie, że socjaliści mają szanse w tych wyborach?

- Ależ ma pan ciąć myślowy - żartem zauważył Eleazard. - A odpowiadając na pańskie pytanie: nie, praktycznie nie mają żadnych szans. Może zdobędą ze dwa miejsca w parlamencie federalnym, a i to nie wiadomo. Moreira znowu zostanie wybrany na fotel gubernatora Maranhão i wszystko będzie jak dotąd.

- Tak mi się widzi, jakby pan nad tym ubolewał...

- Za to pan ani trochę - odparł Eleazard lekko napastliwie. - Mam tę wadę, że wciąż wierzę w pewne przestarzałe wartości. Jestem na przykład przekonany, że korupcja, nepotyzm czy bogacenie się nielicznym kosztem całej reszty nie są normalne, nawet jeżeli mają za sobą dziesięć tysięcy lat historii. Wierzę, że nędza nie wynika ze zrzędzenia losu, ale jest zjawiskiem podtrzymywanym, racjonalnie zarządzanym, podłością nieodzowną wyłącznie po to, aby powodzeniem cieszyła się grupka ludzi bez skrupułów... Zapomina się często, bo tak jest wygodnie, że zawsze jednostka wywiera wpływ na bieg rzeczy. Decyzją podejmowaną na tak albo na nie w danej chwili. Na tym właśnie polega władza, gdyby nie to, nie interesowałaby nikogo, dobrze pan wie. I tych ludzi, to znaczy ludzi władzy, uważam za odpowiedzialnych za to, co się dzieje.

- No tak! - kpiąco zawołał Amerykanin. - Zaczynam rozumieć, dlaczego gubernator nie przepada za panem.

- Ze wzajemnością, zapewniam pana.

- Naprawdę pan uważa, że kto inny na miejscu Moreiry mógłby działać lepiej?

- Pan nie rozumie. Ludzie są różni, nie ma dwóch takich samych osób na świecie! Dość, żeby się pojawił zwykły człowiek dobrej woli, ktoś, kto nie jest technokratą, żaden wyrachowany kombinator ani święty czy jakikolwiek guru, a ten człowiek sam jeden zdziała więcej niż całe pokolenia zawodowych polityków. Może uzna pan to za naiwny idealizm, są jednak ludzie sprawiedliwi... albo wariaci, jak pan woli... ludzie po prostu uczciwi do szpiku kości, którzy nie chcą się dostosowywać do rzeczywistości. Oni postępują tak, żeby to rzeczywistość dostosowywała się do ich szaleństwa...

Urwał, spostrzegłszy, że mechanicy pospiesznie wracają na swoje miejsca. Kilka sekund później, dokładnie w chwili, gdy dobiegło do nich mruczenie silnika, panhard wjechał do pawilonu i ustawił się idealnie na tym samym miejscu co wcześniej.

Moreira wysiadł z nieprzyjemną miną człowieka ledwie hamującego gniew i natychmiast wyładował się na nieszczęśniku, który na widok zachłapanej przedniej szyby podbiegł ze szmatą w rękę: wóz ściga trochę na lewo, słychać dziwny świst przy prędkości powyżej dziewięćdziesięciu; trzeba to usunąć, i to szybko, bo on, Moreira, nie płaci mu za siedzenie z założonymi rękami, a w ogóle ma już dość gamoniowatych Mulatów...

- I jak było? - zapytał McDouglas Włoszkę nie tyle z faktycznej ciekawości, ile chcąc pokryć swe zakłopotanie grubiaństwem gubernatora.

- Nieźle - odparła z zimnym uśmiechem. - Ale samochód ścigał trochę na lewo i słychać było dziwny świst, jak tylko jechaliśmy szybciej.

Moreira obrzucił ją morderczym spojrzeniem, Loredana jednak ściągawszy usta, z udawanym zdziwieniem popatrzyła mu w oczy, jakby nie rozumiała, o co mu chodzi.

Euclides skorzystał z okazji i oświadczył, że chce już wracać do domu. Ponieważ dzień zaczyna o świcie, o tak późnej porze czuje się już zmęczony.

Amerykanie pożegnali się z doktorem, Loredaną i Eleazardem nadzwyczaj uprzejmie w przeciwieństwie do pułkownika, który w najmniejszym bodaj stopniu nie starał się ukryć złego humoru.

- Rany boskie, co cię napadło? - wybuchnął Eleazard, kiedy szli w kierunku forda.

Loredana spojrziała nań wyniośle i z wyrzutem za tę napastliwość, po czym obojętnym tonem, jakim informuje się, że problem został rozwiązany i nie zasługuje już, aby się nad nim rozwodzić, oświadczyła:

- Chciałam mieć okazję, żeby dać w mordę temu typowi. Okazja się nadarzyła. Koniec, kropka.

I podczas gdy Eleazard oniemiały ze zdziwienia stanął jak wryty, doktor Euclides zaniósł się pełną pierśią serdecznym śmiechem, w którym wyrażała się cała radość, jaką wzbudzała w nim kobieca przemyślność.

Kilka godzin później, gdy ostatni goście się pożegnali, a służba jeszcze się krzątała, sprząając dom, gubernator zamknął się w gabinecie, aby wypalić ostatnie przed snem cygaro. Czuł się przyjemnie wstawiony, oczy miał podkrążone ze zmęczenia, lecz mógł nareszcie do woli oglądać makietę, którą mu dostarczono po południu. W najdrobniejszych szczegółach przedstawiała w skali 1:1000 pomysły z dużym rozmachem projekt ośrodka, nad którym Moreira pracował od miesięcy. Jak dziecko, którego nie sposób oderwać od bożonarodzeniowej wystawy sklepu, nie mógł się napatrzeć wymarzonemu przedsięwzięciu, podziwiał jego rozmach, sycił oczy bajkową perspektywą. Na południowym krańcu półwyspu pośród gaju palm kokosowych stał frontem do oceanu osiemnastopiętrowy budynek w kształcie półksiężyca; ponadto baseny z wodą słodką i morską, kort tenisowy, pole golfowe, przystań dla katamaranów, lądowisko dla śmigłowców - o niczym nie zapomniano, aby ten kawałek dżungli przeobrazić w najwyższej klasy kompleks wypoczynkowy. W budynku oprócz pięciu restauracji i luksusowych sklepów na parterze będzie także salon piękności, salon odnowy biologicznej oraz supernowoczesne centrum talasoterapii. Kalifornijski architekt, któremu zlecił tę pracę, spisał się nad podziw, spełniając z nadstatkiem jego życzenia - wycinał las tropikalny, zostawiając tylko uregulowane wysepki zieleni, między którymi harmonijnie rozmieścił bungalowy i tereny sportowe. Samo pole golfowe w pełni uzasadniało niebotyczne zaliczki wypłacone artyście: będzie to jeden z najpiękniejszych ośrodków wypoczynkowych dla zagranicznych turystów, a z pewnością najbardziej egzotyczny na świecie! Pójdzie na to oczywiście fortuna - najmarniej dwadzieścia pięć milionów dolarów! - ale pierwszy etap miał już za sobą. Tuż przed dzisiejszym przyjęciem właśnie tutaj, wokół tego trójwymiarowego marzenia, banki zobowiązały się pokryć w trzech czwartych koszt inwestycji, tak że karczowanie będzie można zacząć już za dwa tygodnie, jak tylko kredyt zostanie uruchomiony.

Nieposiadający się z radości Moreira marzył o szczęśliwym jutrze. W regionie dokona się modelowa odnowa: kilkaset nowych miejsc pracy od zaraz, nie mówiąc o korzyściach dodatkowych, o wszystkich tych bogatych turystach, którzy będą się prosili, aby zasypać Sertão deszczem dolarów działającym skuteczniej niż najdłuższa nawet ulewa... Ta manna pozwoli mu wreszcie odrestaurować stare barokowe dzielnice São Luís, przekształcić Alcântarę w klejnot architektury kolonialnej, przyciągnąć jeszcze więcej ludzi do tego zapadłego zakątka świata. Tak, teraz będzie miał nieograniczone możliwości, a wszystko dzięki swej twórczej wyobraźni! Oczywiście nie obejdzie się bez zgrzytów z powodu bazy raketowej, sfrustrowani

ekolodzy będą protestować i okupować plac przed pałacem gubernatorskim, ale w końcu wszyscy uzmysłowią sobie rzecz oczywistą: te dwa projekty, jego i Amerykanów, ofiarowują Maranhão rzadką sposobność, jedyną, która może regionowi pomóc w wyzwoleniu się z odwiecznych pęt nędzy.

A że przy okazji on się wzbogaci, to czysta sprawiedliwość; sam przyjazd inżynierów i żołnierzy amerykańskich nie wystarczyłby, żeby wywołać elektrowstrząs, którego ten region Brazylii potrzebuje. Maranhão zawdzięczać będzie odrodzenie wyłącznie przytomności umysłu swego gubernatora, jego umiejętnościom zarządzania i przedsiębiorczości. W życiu człowieka zdarzają się zbiegi okoliczności, które należy bezwzględnie wykorzystać, w przeciwnym razie byłby to policzek wymierzony losowi; kiedy z ust Alvareza Neta, pod warunkiem zachowania absolutnej tajemnicy, dowiedział się o rozmowach z

Pentagonem, wszystko ujrzał nagle w oślepiającym świetle. Zaraz po spotkaniu z ministrem, jeszcze tego samego wieczoru, zaczął skupować ziemie, na których Amerykanie będą chcieli rozmieścić swoje eksperymentalne pociski, a także wszystkie działki w ich bezpośrednim otoczeniu, by w stosownej chwili je odprzedać po odpowiedniej cenie; celem, tej spekulacji była nie tylko gra na fantastyczną zwyżkę wartości ziemi, ale też zyskanie wystarczających gwarancji dla jego projektu budowy kompleksu wypoczynkowego. Znalezienie architekta, spotkanie się z nim w Palo Alto, dopięcie kosztorysu, wszystko to wymagało sporo zachodu! Drobni właściciele drożyli się, żeby jak najwięcej wyciągnąć za te nędzne splechетки gruntu, architekt spóźniał się z przysłaniem mu planów, bankowa klika też dorzuciła swoje trzy grosze, krytykując szacunkową wartość inwestycji, domagając się dodatkowych zabezpieczeń, aż w końcu musiał się zgodzić na obciążenie hipoteki fazendy i kolekcji samochodów, jedynych dóbr, które do niego należały. Cała reszta była własnością Carlotty: stalownia w Minas Gerais, nieruchomości nad samym morzem w Bahii, 35 procent Brasil Petroleum... fortuna, którą w jej imieniu zarządzał i którą kiedyś przejmie ich syn. Dziedzictwo Algezulów! Wolne żarty!... Ilekroć pomyślał o Maurze, ogarniała go bezsilna złość przemieszana z zawodem, jakby spłodził beznogiego albo bezmózgiego kalekę. Intelktualista rozmiłowany w książkach i idealistycznych poglądach na świat, Algezul czystej wody, niezdolny odróżnić bilans od kosztów

zarządzania... Kaleka, tak, kaleka, dla którego rzeczywistością są jałowe skamieliny z czasów, gdy człowieka jeszcze nie było na świecie, gdy jego, ojca Maura, nie było na świecie... Paleontolog! A ponieważ w tym słowie zawierało się całego jego ojcowskie rozczarowanie i nieszczęście, gdy je wymawiał, brzmiało jak zniewaga. Tyle pieniędzy, których nie można ruszyć!... I dla kogo to? Dla kogo?... Gdybyż mógł puścić w ruch ten kapitał! Już samo to do głębi zmieniłoby świat... Jego syn, jego żona, wszyscy ci, którzy usta mieli pełne pięknych słów, lecz nie pobrudzili sobie nigdy rąk, byli darmozjadami, niczego nie tworzyli - pluli tylko w wodę i patrzyli, jak rozchodzą się na niej kręgi! Ale Ziemia i bez nich się obraca, i zapomni o nich w trakcie swych powolnych przeobrażeń.

Moreira z całą świadomością bez większego wysiłku uciszył swe skrupuły i wykorzystywał część tych zasobów na zakup upragnionych gruntów. Ostatecznie na tytułach własności widniało nazwisko jego żony i była to znacznie rentowniejsza lokata aniżeli w pospolite ruchomości. A że przy okazji dzięki temu zabiegowi jego nazwisko nie pojawiała się nigdzie w łańcuszku prowadzącym do Alcântara International Resort, to i bardzo dobrze się złożyło.

W swym podnieceniu spychał dotąd głęboko w cień wspomnienie Loredany, które teraz wróciło. Przed oczyma przebiegła mu przejażdżka z nią w postaci oderwanych sekwencji, jak na filmie, który bezsensownie pocięto w montażu.

Jej bezwstydną zachętą upoiła go, wprawiła w euforię nie tyle ze względu na ewentualną przygodę z dziewczyną, ile ze szczęścia, że sprzątnie ją sprzed nosa temu pismakowi, i to na jego oczach. Jechał więc z gazem wciśniętym do dechy długą prostą drogą wiodącą przez pola trzciny cukrowej. Dzięki siatce ochronnej - nowość w tamtych czasach! - reflektory panharda oświetlały tylko niezbędne minimum, tak że wydawało się, iż noc coraz głębiej wsysa samochód. Jednym z plusów modelu dynamie - „Fura podrywacza, mawiał często. Wyobrażacie sobie kierowcę z dziewczyną po każdej stronie? *Mãe de Deus!*” - była kierownica umieszczona pośrodku, tak że prowadzący i pasażerowie na przedniej kanapie siedzieli bliżej siebie, łatwiej było zatem o kontakt fizyczny. Nie musiał kombinować ze skręcaniem, żeby poczuć dotyk ramienia Loredany... Postanowił, że nie będzie podejmował żadnej inicjatywy, i smakował każdą sekundę tej

zmysłowej bliskości, z drżeniem lgnąc do ciała, które - był pewien! - za chwilę posiadzie.

W stosownej chwili skręcił w wiejską drogę, wolno przejechał jakieś sto metrów, podskakując na wadłach, po czym wyhamował przed samotną kapliczką. Reflektory wydobywały z ciemności piękny portal zwieńczony barokowymi zdobieniami, w których dominowały wizerunki aniołów i trupich czaszek.

„Chciałem pokazać pani ten klejnocik - powiedział z uczuciem w głosie. - Koniec siedemnastego wieku”. To zagranie zawsze się sprawdzało w odniesieniu do dziewczyn. Loredana wydawała się zachwycona, podziwiała płaskorzeźby, wypytywała: czy ten teren także do niego należy? A więc kapliczka także jest jego? Owszem, jest jego, podobnie jak osada, którą minęli, jadąc tutaj, jak szyby albo o, tamto wzgórze, jak prawie cały półwysep Alcântara! Głównie pragnąc jej zaimponować, ale też z podniecenia ze zdziwieniem złapał się na tym, że zwierza jej się ze swoich planów wobec Maranhão, opowiada o kompleksie wypoczynkowym, o zaangażowanych kwotach... i wtedy gestem zupełnie naturalnym, jakby chciał ją włączyć do swojej wizji przyszłości i mocniej z nią powiązać, położył Loredanie rękę na udzie... Policzek do tej pory go piekł.

A pierdolić ją!... Ją i tego pieprzonego Francuzika! I Euclidesa też za to, że przywłókł do niego takich popaprańców. Żadnej innej czegoś takiego by nie darował, ale ta dziewczyna popatrzyła później na niego z takim spokojem i wstrętem - miała minę, jakby odruchowo utłukła natrętną muchę - że bez słowa uruchomił silnik i zawrócił.

Kiedy zapalał wygasłe cygaro, ze zdziwieniem stwierdził, że nawet wspomnienie tej porażki nie zdołało przyćmić jego radości.

## ROZDZIAŁ XV

*Który jest ciągiem dalszym poprzedniego  
& w którym Kircher sprawia Casparowi Schottowi  
zaskakującą niespodziankę pedagogiczną*

**W**yobraź sobie, Casparze, jak łatwo bałwochwalcy przyznają się do błędów, kiedy im dowiedziemy, że mówimy tym samym językiem. Słońce jest dla nas, tak samo jak dla nich, źródłem powszechnego światła, jest dziełem „Najwyższego”, siedzibą Boga. Świat natomiast jest jedynie cieniem boskości, jej wykrzywionym wizerunkiem. „Daj mi punkt podparcia poza światem - rzeki Archimedes do Hierona z Syrakuz - a poruszę Ziemię!”, ja zaś powiadam: „Daj mi właściwe zwierciadło, a pokażę ci w nim oblicze Chrystusa w całości wiernie odtworzone!”. Zwierciadło owo, które niweczy pozorne deformacje & w czyste piękno przeobraża potworność kształtów, mam w swoich rękach, Casparze: to analogia... Postaraj się odbić w niej wszystkie światy, a tak samo jak ja ujrzysz promieniejące jasnością pośród ciemności jedyne oblicze Boga!

Atanazy umilkł & na chwilę pogрузzył się w myślach. Mógłbym go tak słuchać godzinami, zwłaszcza że opary burgunda już robiły swoje, lepiej zatem niż kiedykolwiek, jak mi się zdawało, pojmowałem wagę jego misji.

- Nic nie zastąpi doświadczenia - podjął zdecydowanym tonem. - Chodź, uczniu mój, pokażę ci to, co niewielu ma okazję zobaczyć. Ale pod warunkiem, że w stosownej chwili pozwolisz się poprowadzić bez oporu...

Z radością się zgodziłem zachęcony zastrzeżeniem, którym usłyszał.

Wyszliśmy z budynku kolegium & pieszo ruszyli przez miasto. Było parno, przytłaczający żar lał się z nieba, na którym wisiły miedziane chmurki zapowiadające burzę. Gawędziliśmy, idąc. Kircher niestrudzenie opowiadał mi o budowlach starożytnego Rzymu, któreśmy po drodze mijali. Kiedyśmy mieli skręcić w ulicę Świętego Jana na Lateranie, zostawiając za sobą Koloseum, Kircher przystanął.

- Casparze, tutaj właśnie musisz dopełnić tej drobnej formalności niezbędnej dla mojego

doświadczenia. Proszę, żebyś przez kilka minut szedł ze mną, niczego nie widząc. Nie dlatego, że czegoś nie wolno ci zobaczyć, bo nic tu nie ma zakazanego, lecz aby moja demonstracja wypadła jak najlepiej. Zamknij więc oczy & otwórz je, dopiero kiedy ci powiem.

Posłuchałem go bez sprzeciwu & mistrz poprowadził mnie za rękę jak ślepego. Pokonawszy około pięćdziesięciu kroków, weszliśmy w ciemną uliczkę - co poznałem po tym, że słońce przestało prażyć mnie w kark - & skręciliśmy ze trzy, cztery razy. Potem zaczęliśmy zstępować po stopniach schodów bez końca. O dziwo, żadnego dźwięku nie słyszałem. Ta zupełna cisza była wprost przerażająca, tak że zacząłem drżeć zarówno z chłodu, jak & ze strachu. Od czasu do czasu robiliśmy kilka kroków po równym, skręcając ciągle niczym w labiryncie. Wreszcie po trzydziestu krokach na drodze tak wąskiej, żeśmy z trudem mogli iść obok siebie, Kircher się zatrzymał.

- Jesteśmy na miejscu - oświadczył z powagą. - Zeszliśmy pod ziemię najwyżej jakieś dwadzieścia kroków, ale czyniąc to, przebyliśmy wieki! Wysłil teraz wyobraźnię, Casparze: niedaleko stąd gladiatorzy Publiusza Grakcha ćwiczą się w umieraniu; Tertulian wiezie beztróskie życie na obrzeżach Kartaginy; Marek Aureliusz kona na brzegu odległego Dunaju, a Rzym jest już zaledwie gnuśną stolicą chylącego się ku upadkowi imperium. Jesteśmy w roku sto osiemdziesiątym po narodzeniu Pana Jezusa w pałacu bałwochwalcy dość zamożnego, aby we własnym domu urządzić świątynię bóstwu, które czci. Otwórz oczy, Casparze, & spójrz na boga Mitrę, księcia cienia & światła!

Zrobiłem, co kazał? & odruchowo cofnąłem się na widok tego, co zobaczyłem. Znajdowaliśmy się w niewielkiej grocie wykutej w skale; dwie lampki oliwne rzucały mdłe światło na stelę grubo ciosaną, lecz po jednej stronie ozdobioną nader subtelną płaskorzeźbą. Widać na niej było boga Mitrę pod postacią efebą w czapce frygijskiej zabijającego ogromnego byka. Plamy zaschniętej krwi widniały na powierzchni kamienia, tak samo

jak na ścianach grot, w której byliśmy. Przeżegnałem się, przyzywając imię Pana Jezusa.

- Nie obawiaj się, Casparze - powiedział Kircher ze spokojem. - Jedyne co nam tutaj grozi, to przeziębienie. Pomóż mi pozapalać pochodnie. Zrobi się jaśniej & ogrzeje się nieco to niezdrowe powietrze.

W miarę jak się zapalali pochodnie, zorientowałem się, że to sanktuarium jest największym pomieszczeniem podziemnego domostwa, które w sumie liczyło sześć czy siedem izb. W pozostałych salach na podłodze widniało grubo ciosane *opus sectile*, a na ścianach duże kawały pozostałości prymitywnych zdobień. W salce, która pewnie była kiedyś kuchnią, strumyk krystalicznej wody wciąż spływał do granitowego koryta.

Wróciliśmy przed ołtarz Mitry & usiedliśmy na jednej z kamiennych ławeczek, które biegły przez całą długość świątyni.

- Wyznawcy tego boga - ciągnął mistrz mój - siadali tutaj, tak jak my teraz, umieściwszy na stole przyniesione ofiary. Następnie pogrążali się w modłach, a tymczasem kapłan, bez wątplenia gospodarz tego domostwa, recytował rytualne pieśni. Wtedy jego pomocnicy zarzynali byka w pomieszczeniu położonym powyżej. Krew ściekała przez otwory, które widać w sklepieniu, lepki ciepły deszcz, pod który wierni wystawiali ręce & pokorne twarze...

- Czy to...? - wyjąkałem, wskazując brunatne plamy na kamieniu.

- Nie, nie - odparł Kircher rozbawiony - to resztki farby. Wszystko tu było pokryte malowidłami, ściany & płaskorzeźby, a purpura z rozkolca najlepiej znosi próbę czasu.

Ucieszyło mnie to wyjaśnienie, aczkolwiek nadal odczuwałem niejaki niesmak na widok tych dwuznacznych plam.

- Kiedy ustal rytualny oczyszczający deszcz, mężczyźni & kobiety w zakrwawionych sukniach, z lepkiemi skrzepami we włosach, zaczęli jeść & pić ku chwale boga. Nieokiełznana orgia stanowiła przerażającą fermentę tej „liturgii” godnej największych barbarzyńców.

Na te słowa Atanazego odżyły we mnie wyrzuty sumienia z powodu tego, co to Czytelnik wie, łatwo zatem zrozumieć, jak potężnie wstrząsnęła mną ta opowieść... Na szczęście Kircher już przeszedł do objaśniania symboliki steli, którąśmy mieli przed oczami:

- Widzimy tu *tauroctonium*, rytualną ofiarę z byka. Ta scena przedstawia światło & mrok, czyli Ormuzda & Arymana walczących ze sobą bez ustanku. Ci dwaj wrodzy sobie bracia z kosmologii perskiej pozabijaliby się nawzajem, gdyby nie harmonizujące działania Mitry. Godząc ciepłe & zimne, mokre & suche, dobro & zło, odradzanie się & rozkład, świt & zmierzch, Mitra zapewnia podstawową harmonię, tak jak akord siedmiodźwiękowy łągodzi tony niskie wysokimi, wysokie średnimi, średnie najniższymi, a te ostatnie znowu wysokimi. Doktrynę tę znakomicie streszcza jajo Zoroastra, jakem zdołał je odtworzyć na podstawie dzieł Jamblicha & Plutarcha z Cheronei...

Znalazłszy ostry kamyk, Kircher wyrysował na reszcie tynku elipsę wypełnioną długimi trójkątami na przemian czarnymi & białymi otaczającymi Słońce, a naokoło konstelacje północne & południowe.

- A ów Zoroaster właściwie kim był? - zapytałem.

- Zoroaster to nie człowiek, lecz tytuł nadawany temu, kto zajmował się nauką o arkanach & magią. Słynny Zoroaster, wynalazca magii, to nie kto inny jak Cham, syn Noego. Drugim Zoroastrem był Kusz, syn Chama, wierny wyraziciel nauk swego ojca. Kusz z kolei był ojcem Nimroda, budowniczego wieży Babel. Niewykluczone, co mógł-, bym z łatwością udowodnić, że Cham posiadał od Henocha nie tylko wiedzę o aniołach & tajemnicach natury, ale także szkodliwe umiejętności odnoszące się do ezoterycznych & osobliwych argumentów potomków Kaina. Mieszając sztuki dozwolone & niedozwolone, ustanowił prawo we wszystkim wypaczające prawo swego ojca. W późniejszym czasie Trismegistos, potomek kanaanejskiej gałęzi Chama, syn owego Misraima, który Egipt wybrał sobie na ojczyznę, oddzieliwszy dozwolone od niedozwolonego, ustanowił prawo będące w większej zgodzie z nauczaniem Bożym. I działał jako pogański filozof wspierany jedynie światłością natury pośród panującego w świecie zepsucia. I po prawdzie on jest jedynym Zoroastrem, Hermes Trismegistos sławiony przez tylu pisarzy starożytności. Ale idźmy dalej, pora przejść do drugiej przesłanki mojego kamiennego sylogizmu. Nie koniec jeszcze niespodzianek...

I niezwłocznie, nie czekając na mnie, ujął w dłoń pochodnię & ruszył przodem wąskimi korytarzami tego podziemnego domostwa. Oświetlany czerwonym płomieniem łuczywa wyglądał niczym Wergiliusz wiodący przez piekło Dantego, *si parva licet componere magnis*.<sup>1</sup> Niebawem ujrzelśmy wiodące w górę stopnie wąskich schodów wyciętych w skale.

<sup>1</sup> Jeśli wolno przyrównać rzeczy małe do wielkich.

Przebyliśmy je ostrożnie & znaleźliśmy się w rozległej podziemnej sali wspartej na licznych osobliwych kolumnach.

- Przeżegnaj się - rzekł Atanazy, dając mi przykład - jesteście bowiem w bazylice. Ten kościół pochodzi z czwartego wieku po narodzinach Pana Jezusa. Zbudowali go pierwsi chrześcijanie z materiałów zebranych w wielkim Rzymie, który wówczas w ruinę popadał. Nigdy wiara & miłość nie sięgnęły takich wyżyn jak w tym miejscu. Zaczynała się wtedy nowa epoka, epoka wznoszona na szczątkach & zwątpieniu cywilizacji, która się zawałiła. Nie ma tu bogatych ozdób ani frywolnych ornamentów: jedynie prostota pasuje do ludzkiego ubóstwa wobec Bożej wielkości.

Szliśmy wolno między kolumnami, podczas gdy mistrz mój mówił, aż znaleźliśmy się przed skromnym chrześcijańskim ołtarzem: prostą kamienną skrzynią, która ozdobiona była jedynie chryzmonem wyciętym na każdym boku. Znowum się przeżegnał przepelnięty niezmiernym wzruszeniem, postrzegając wszystkimi zmysłami obecność Boga. Choć ukryta pod ziemią & od tak dawna porzucona przez ludzi, świątynia ta była zamieszкана...

- Pomóż mi - poprosił Kircher, ujmując marmurową płytę, która nakrywała ołtarz. - Coś ci pokażę.

Odłożyliśmy pokrywę na ziemię & Atanazy polecił, abym zajrzał do wnętrza skrzyni. Niebotyczne zdumienie mnie ogarnęło, kiedym stwierdził, że nie ma w niej dna & w środku ziele czarna jak studnia przepaść.

- Nad tą właśnie czarną studnią spoczywał święty kielich, promienne naczynie, w którym dokonuje się wzniosłe przemienienie. Tutaj, na granicy światła & ciemności, w składanej wciąż od nowa ofierze wino znowu stawało się krwią, a chleb ciałem. Dzień & noc łączyły się w osobie Chrystusa, aby zapewnić równowagę kosmosu... Tutaj, Casparze, właśnie tutaj!

Spotężniał głos Kirchera, który wypowiadając ostatnie słowa, cisnął pochodnię do nieprzeniknionej czeluści otwierającej się pod ołtarzem. Po krótkim locie legła w snopie iskier kilka stóp od nas na ukos & paliła się

dalej, chociaż nieco słabiej. Wtedy serce mi stanęło, zmroziło mnie całego do szpiku kości: dokładnie pod ołtarzem w blasku dopalającego się łuczywa bóg Mitra zdawał się wolno poruszać.

- Czy to nie jest nadzwyczajne? - szepnął Kircher z uczuciem. - Zoroaster, Hermes, Orfeusz & filozofowie greccy godni tego miana, czyli posiadacze mądrości egipskiej, wszyscy wierzyli w boga jedyne. Tego, którego liczne przymioty & cnoty egipscy kapłani przedstawiali za pośrednictwem Ozyrysa, Izydy & Harpokratesa w sposób dla nas zgoła niepojęty.

- Trójca Święta? - odważyłem się spytać z drżeniem.

- Tak, Casparze. Ozyrys, najwyższa mądrość, praobraz wszystkich istot & rzeczy. Izyda, jego opiekunka & miłość. Z cnót tych dwojga zrodził się Harpokrates, ich dziecko, to znaczy świat zmysłów & owa cudowna harmonia, doskonała zgodność kosmosu, którą co dzień naokoło siebie potwierdzamy. Oczywiście zatem, że najświętsza & po trzykroć błogosławiona Trójca Święta, największa & najwznioślejsza tajemnica wiary chrześcijańskiej, była zgłębiana w dawnych czasach pod zasłoną misterium ezoterycznych. Albowiem natura boska lubi pozostawać w ukryciu, chowa się przed zmysłami prostaczków & profanów za porównaniami & parabolami. Z tej właśnie racji Hermes Trismegistos wprowadził do użycia hieroglify, stając się przez to księciem & ojcem całej egipskiej teologii & filozofii. Był pierwszym & najdawniejszym Egipcjaninem, pierwszym, który prawidłowo myślał o tym co boskie & na wieczność odcisnął swe poglądy na cyklopowych nieśmiertelnych kamieniach. Za jego sprawą Orfeusz, Muzajos, Linus, Pitagoras, Platon, Eudoksjusz, Parmenides, Plotyn, Melissos, Homer, Eurypides & tylu innych posiadało słuszną wiedzę o Bogu & sprawach boskich. Właśnie on pierwszy w swoim „Pimandrze” & w „Asklepiuszu” stwierdził, że Bóg jest Jeden & jest Dobrocią. Inni filozofowie tylko go naśladowali, zazwyczaj mniej szczęśliwie...

W głowie mi się mąciło, wyznam szczerze, wobec konsekwencji takiej wizji świata. Kircher dotknął sedna: nigdy ani pogaństwo nie istniało, ani politeizm, lecz jedna jedyna religia, religia Biblii & Ewangelii, mniej lub bardziej przeobrażana przez ignorancję & przebiegłość tych, którzy zawsze ciągnęli z niej korzyści. Nie miało zatem sensu przekonywanie niewiernych o wyższości chrześcijaństwa nad ich wiarą, przeciwnie bowiem, wystarczyło dowieść niezauważanej dotąd identyczności jednego z drugim; a do tego

dość było logiki podpartej najstarszymi tekstami & znajomości hieroglifów. Rozum & historia nareszcie ruszały w sukurs światłu ewangelii, aby wesprzeć niestrudzony zapal naszych misjonarzy...

- Cudowne! - wykrzyknąłem olśniony wywodem mistrza & jakby zarażony boską łaską, której dobrodziejstw on doświadczał.

- Ja jestem tylko narzędziem - odparł - a podziękować należałoby Stwórcy narzędzia. Chodź jednak, chcę skończyć, com zaczął.

Schodami, którymiśmy tam przyszli, opuściliśmy bazylikę & szybko znaleźliśmy się w budowlu dostatecznie jasnej, aby pochodnie stały się zbędne. Jeszcze kawałek krętymi korytarzami & weszliśmy prosto do transeptu kościoła, którym natychmiast rozpoznał.

- Tak, tak - potwierdził Atanazy - to Święty Klemens... Właśnie pod tą tak niewinną na pozór świątynią znajdują się tajemnice, w którym cię wprowadził. I jak się niechybnie domyślasz, ołtarz tego trzeciego już sanktuarium mieści się dokładnie nad dwoma poprzednimi. A zatem ten sam bóg był tutaj bez przerwy czczony przez piętnaście wieków...

Kiedyśmy wyszli z bazyliki Świętego Klemensa, światło dnia oślepiło mnie na chwilę - choć nie tak mocno jak jasność, która ogarnęła mą duszę: byłem w siódmym niebie, ukojony, jakbym otrzymał błogosławieństwo. Odtąd już nigdy nie żywił wątpliwości, że w osobie Kirchera mam do czynienia z prawdziwym świętym!

## NA RZECZE PARAGWAJ

*Nagły plusk, chlupotanie, leniwe mlaskanie błota...*

- Ten facet jest chory! - powiedziała Elaine, siadając koło Maura. - Masz pojęcie, co on zrobił? Nie ma teraz żadnego dowodu, że Milton został zamordowany...

Wciąż mówiła mu „ty”, nawet sobie tego nie uświadamiając. Mógłby powiedzieć, w którym dokładnie momencie zaczęła: w ferworze działania, kiedy wydawała polecenia, wspaniała, z odsłoniętą piersią niczym posąg na dziobie statku.

- Niech się pani uspokoi - rzekł, biorąc ją za rękę. Ekscytujące było zwracać się do niej wciąż „pani”, podtrzymywać ten sztuczny w sumie dystans. - Przecież to i tak nie da.

Ogromne zmęczenie w następstwie emocji przeżytych tego dnia dusiło im słowa w gardłach.

- A ty jak myślisz? - spytała Elaine, nie chcąc dopuścić, by z oczu popłynęły jej łzy. - Powinniśmy tu zaczekać?

- Wydaje mi się to najsensowniejsze. Nie bardzo sobie wyobrażam, żebyśmy dali radę przez kilka dni nieść Dietleva przez dżunglę.

- A jeśli Petersen nie wróci?

- Wróci, bez obaw. Choćby po to, żeby odzyskać statek. No i jest przecież Yurupig, on nas tak nie zostawi.

- Nie widziałeś tego, ale jak rozmawiałam przed chwilą z tym szkopem, Yurupig dał mi znak, żebym się nie zgodziła, jakby nie chciał, żebyśmy zostali na statku. Dlatego nie dałam konkretnej odpowiedzi. Chciałam zyskać na czasie.

- Pewnie źle go pani zrozumiała. Pogadamy z nim później, jak Petersen spuści go z oka... A jak tam Dietlev? - zagadnął, patrząc na czerwone od krwi bandażę. - Nie wygląda mi to dobrze...

- Powinien jak najszybciej trafić do szpitala. Zrobiłam, co mogłam, ale z kolana ma kompletną miazgę.

- Och, stanęła pani na wysokości zadania. Ja bym w życiu tyle nie zrobił, nawet gdybym wiedział, jak postępować. Ma pani dyplom pielęgniarki czy co?

Elaine udało się przywołać na usta uśmiech.

- Chciałabym mieć... Gdyby mi Dietlev nie pomógł, chyba dotąd szukałabym tętnicy. W zasadzie mgliście pamiętam tylko to, co czytałam, jak byłam w ciąży. Wpadałam w panikę na samą myśl, że poród mógłby się zacząć w czasie jakiejś choroby albo że miałabym na przykład wypadek. Przez te miesiące przeżyłam piekło, wyobrażając sobie najgorsze scenariusze. Nauczyłam się nawet robić zastrzyki... A kiedy córka się urodziła, obsesja zniknęła jak ręką odjął. Dziwne, prawda?

- Ile ma lat?

- Moema? Osiemnaście. Studiuje etnologię w Fortalezie. Jak pomyśle, że zazdrościła mi tej wyprawy!...

Mauro poczuł ukłucie w sercu: był zakochany w kobiecie, która mogłaby być jego matką. Kiedy sobie



to uświadomił, wszystkie zmory młodości zabolaly go bardziej, niż gdyby dostał kosza.

- Aż w Fortalezie! - zdziwił się wbrew sobie. - Czemu tak daleko?

- To dość... skomplikowane - odparła Elaine po chwili wahania. - Jak by to powiedzieć... Myślę, że wybrała Fortalezę w odwecie. Pogubiła się trochę, kiedy odeszłam od męża, a nie chciała mieszkać ani ze mną, ani z ojcem.

- Jest pani rozwiedziona?

- Jeszcze nie - rzekła w zamyśleniu. - Sprawa jest w toku.

Zmierzchające światło dnia zamazywało rysy jej twarzy.

- No dobra - powiedział Mauro - poszukam jakiejś lampy i otworzę konserwy. Po tym wszystkim porządnie już zgłodniałem.

- Zostań tu, ja się tym zajmę. Przy okazji ogarnę się trochę.

- Jak pani chce. Zawołam panią, jeśli Dietlev się obudzi.

- Dziękuję - powiedziała, przyklękając, aby wstać na nogi. - Dziękuję za to, że stanąłeś w mojej obronie. Odwagą się nie popisałam...

- Nie ma o czym mówić. Gdyby nie Yurupig, na wiele by się to nie zdało.

Machinalnie musnęła koniuszkami palców jego opuchniętą twarz.

- Obejrzę to, jak przyniosę światło. Spróbuj teraz trochę odpocząć.

Pokładowe akumulatory dawały marne światło. Rozblyskujące i przygasające jasnożółto żarówki jeszcze podkreślały spustoszenia w mesie, jakiś niezmierny smutek szedł od wymieszanych bez ładu ni składu przedmiotów. W wejściu do kambuza Elaine zderzyła się z Yurupigiem.

- Nie wolno tu zostawać - szepnął Indianin, dając jej znak, aby zachowywała się cicho. - Musicie iść z nami, do lasu.

- Ale dlaczego? - zapytała również szeptem.

- To zły człowiek. Wie, że nie macie żadnej szansy. Będziecie czekać i czekać, ale on nie wróci po was. - A widząc, że Elaine wciąż się waha, dodał: - Woda... Widziałem, co zrobił: to on podziurawił zbiorniki!

Po namiastce kąpieli Elaine włożyła czyste, choć wilgotne dzinsy i bluzkę, po czym wróciła na pokład. Niosła lampę naftową i menażkę z czarną fasolą, którą przygotował dla nich Yurupig. Dietlev właśnie się przebudził.

- Zaczynam rozumieć ćpunów - powiedział z szerokim uśmiechem. - Ależ miałem sny! Zabronione poniżej lat osiemnastu!

- Nie pozwolił, żebym panią zawołał - wyjaśnił Mauro w odpowiedzi na pytające spojrzenie Elaine.

- Jak się czujesz? - zapytała, siadając obok Dietleva.

- Jako tako, trudno się spodziewać cudów... Jakbym wypił pół litra gorzały. Mam tylko nadzieję, że nie będę miał kaca jak po gorzale.

- Musisz zażyć środki przeciwzapalne. Zaraz ci podam.

- Spokojnie, to już załatwione. Łyknąłem jakąś garstkę zaraz po przebudzeniu.

- Proszę. - Elaine podała Maurovi menażkę - jedz pierwszy. Yurupig przyszykował. Muszę wam przekazać najświeższe wieści. Nie uwierzycie własnym uszom!

Krótko zrelacjonowała Dietlevowi, co zaszło, kiedy on spał, po czym przekazała, co powiedział jej Indianin. Mauro usłyszawszy to, nie zdołał powstrzymać cisnących się na usta przekleństw pod adresem Petersena.

Twarz Dietleva spochmurniała.

- To zupełnie zmienia postać rzeczy - rzekł po chwili zastanowienia. - Trzeba będzie tak

kombinować, żeby zrobić na odwrót, niż on by chciał. Yurupig jest po naszej stronie, więc nie powinno nam to sprawić większego problemu. Ale trzeba uważać, ten facet jest zdolny do wszystkiego... Mauro, musisz koniecznie odszukać mapy satelitarne. Zdaje się, że przydadzą nam się bardziej, niż sądziłem.

Mauro pokręcił głową, przelitykając szybko to, co miał w ustach.

- Na nich można postawić krzyżyk - oznajmił. - Wszystko jak zgryzione i wyplute!
- Jesteś pewien?

- Na sto procent. Jak zszedłem na dół, szukałem przede wszystkim map.

- Poszukaj w takim razie czegoś do pisania. Zapamiętałem to i owo z topografii tych okolic, trzeba to zanotować, zanim wyleci mi z głowy.

Kiedy Mauro odszedł, Dietlev ujął Elaine za dłoń.

- A ty jak się masz?

- Jakoś się trzymam. Martwię się o twoją nogę. Wszystko przeze mnie... Ale chyba skoczyłabym raczej do rzeki, niż poszła z tym typem.

- Nie opowiadaj głupstw... Mauro ubiegł mnie o kilka sekund. Ja też bym cię nie zostawił. Chłopak naprawdę porządnie się zachował. A moja noga chyba wytrzyma, póki nie znajdziemy gdzieś szpitala, prawda?

Elaine tylko nań popatrzyła. Nie znalazła pocieszających słów.

- A jak nie wytrzyma - ciągnął wobec tego z uśmiechem - trzeba ją będzie uciąć i więcej o niej nie wspominać. Zawsze chciałem mieć drewnianą protezę jak John Silver z „Wyspy skarbów”. Alez będzie ze mnie amant!

- Przestań! Nawet nie chcę o tym myśleć.
- Tylko to znalazłem - powiedział Mauro, wchodząc w krąg światła.

Podał Dietlevowi okładkę jakiejś książki i ołówek.

- Wystarczy. Pomóżcie mi podnieść się trochę... A więc tak - mówił, rysując. - Rzeka, tu rozgałęzienie, a tutaj byliśmy, kiedy ostatni raz patrzyłem na mapę, niedługo przed dotarciem do obozowiska myśliwych. Zbyt daleko z tym nie zajdziecie - stwierdził, krytycznie przyglądając się rysunkowi - ale powinno wystarczyć, żeby uniknąć najpoważniejszych błędów. Jeśli okrążyć mokradła, powinno się dojść do rzeki w ciągu dwóch, trzech dni. Pewnie zajmie to dwa razy więcej czasu, bo droga będzie trudna. Sporządzą listę sprzętu, który powinniście ze sobą zabrać.

- Który powinniśmy ze sobą zabrać - poprawiła go Elaine.
- Nie. Ja zostaję tutaj. I grzecznie będę czekał, podczas gdy was będą zjadały komary...
- Nie ma mowy! Zabieramy cię ze sobą, czy tego chcesz czy nie!
- Racja! - włączył się Mauro. - To wykluczone.
- Dajcie spokój - rzekł Dietlev ze spokojem. - Wszystko już obmyśliłem. Zobaczycie, że doskonale poradzę sobie sam.

- Nie zgadzamy się! - obstawała przy swoim Elaine. - Przecież to kompletne szaleństwo!

- Pogadamy jutro rano - uciął Dietlev. - A na razie spakujcie się oboje zgodnie z moimi wskazówkami. I zakaz dorzucania czegokolwiek, rozumiano?

Kiedy Elaine i Mauro spakowali się zgodnie z zaleceniami Dietleva, wrócili na pokład. Elaine zrobiła Dietlevowi kolejny zastrzyk z morfiny, dzięki czemu mogła przemyć mu ranę i zmienić opatrunek. Potem zmusiła się, by coś zjeść. Ponieważ po pierwszym kęsie zbuntował się jej żołądek, uprzedziła Maura, że chce się przespać, i położyła się koło Dietleva.

Przez pół godziny, które niemiłosiernie się jej dłużyło, leżała bez ruchu najpierw opanowana przemożnym przecuciem, że nie zdoła zasnąć, potem w pełni o tym przekonana, ostatecznie zaś wybił ją

ze snu nocny zgiełk idący z lasu: takie same jak zwykle, mniej lub bardziej oddalone gardłowe dźwięki, takie same podniecone chóry ropuch, takie same niezrozumiałe nawoływania, których podobieństwo do znajomych odgłosów - kastanietów, kapiącej wody czy fujarki - sprawiało, że były tym dokuczliwsze. A gdy na moment wszystko cichło, rozlegało się ciężkie dyszenie Dietleva i równy oddech Maura.

Przeszedł ją dreszcz, gdy usłyszała beczenie jakiegoś konającego zwierzęcia. Jutro, pomyślała, trzeba będzie wejść między tych niewidocznych mieszkańców lasu i wędrować wśród nich z kompasem jako jedyną pomocą. W głębi ducha miała cichą nadzieję, że Petersen zmusi ich jednak, by pozostali na statku. Dietlev rzucił się we śnie, jęcząc jak dziecko w gorączce.

- Elaine, nie śpi pani? - szepnął Mauro.

- Nie, nie mogę.

- Coś panią martwi?

- Dobrze sobie! - ironizowała. - Strzelają do nas z karabinów maszynowych, jeden z nas ginie, Dietlev jest ciężko ranny, lądujemy w samym sercu Pantanalu z łajdakiem, który robi wszystko, żebyśmy tu pozdychali, a ty pytasz, co mnie martwi?

- Wiem, że chodzi o coś innego. Proszę powiedzieć prawdę.

Aż ją zatkało, gdy to usłyszała. Ma chłopak wycucie! Za każdym razem udawało mu się przyprzeć ją do muru. Prawda... Nowe życie bardzo było odległe od tego, na co liczyła. Inni mężczyźni - mgliście wspominała niewyraźne sylwetki - nie dorastali do pięt Eleazardowi. Nawet Dietlev, tak rozczulająco zabawny, taki błyskotliwy, nie zdołał wymazać z jej pamięci mężczyzny, od którego uciekła w panice w ostatnim porywie potrzeby wolności. I na Boga, cóż tym osiągnęła? Tylko tyle, że bez ustanku dręczyło ją poczucie, iż zawsze już będzie musiała współistnieć z cieniem, z cichą niechęcią do siebie.

- Prawda... - rzekła naraz cichym głosem. - Prawda jest taka, że się boję. Panicznie się boję tego, co przyniesie jutro... A ty się nie boisz?

Mauro nie odpowiedział. Elaine z uśmiechem zamknęła oczy. Dostosowała swój oddech do jego oddechu i w końcu ona również zdołała zasnąć.

O świcie na rzece podniosła się mgła - pełzająca podstępnie, chciwa, złąkniona każdego wystającego skrawka, jakby w ten sposób chciała zaznaczyć swoje ulotne istnienie. Nocni łowcy i ofiary wreszcie ucichli w swoich leżach, stworzenia rządzące za dnia jeszcze spały. Nastąpiła krótka pora równowagi, w czasie której jedynie dźwięki rzeki - nagły plusk, stłumione chlupotanie, chłepnięcie, leniwe mlaskanie błota - zakłócały spokój poranka.

Z wysiłkiem podniósłszy się na posłaniu, Herman uświadomił sobie, jakiego ma kaca. Przede wszystkim rozejrzał się za Yurupigiem, chcąc mu polecić, by zaparzył kawy. Zobaczywszy go na dziobie, gdzie przycupnął ze wzrokiem utkwionym w las, w ogóle się nie zdziwił, przywykł już bowiem do jego bezustannego, wręcz nieludzkiego czuwania. Mógłby przysiąc, że Yurupig sypia na stojąco jak konie lub jak niektóre kolonie zmuszone do wiecznej wędrówki, ponieważ dzień i noc muszą wentylować swoje delikatne organy.

Petersen wspiął się do sterówki, aby zabrać przyrządy niezbędne podczas przeprawy przez las: kompas, lornetkę, dwie race sygnalizacyjne, które marnowały się dotąd w szufladzie... Złożył to wszystko obok kałasznikowa, gratulując sobie w duchu, że nie wyrzucił go do rzeki razem z trupem Hernanda. Zadowolony z przygotowań zszedł na dolny pokład i skierował się do kambuza. Yurupiga już tam nie było. Tej małpy nigdy nie ma, kiedy jest potrzebny! pomyślał. Ale chyba nie myśli, że ja będę pakował plecaki. Jeszcze dzień się dobrze nie zaczął, a ten już zdołał mnie wkurwić!... No nic, miał pilniejsze sprawy na głowie. Zauważywszy butelkę kaszasy, pociągnął łyk z szyjki, skrzywił się i pomaszerował do swojej kajuty. W suficie znajdowała się skrytka. Wyciągnął z niej osobliwy pas, który powierzył mu Hernando, i zapiął go sobie na biodrach. Zrobił parę kroków, żeby sprawdzić rozmieszczenie ciężaru,

poprzesuwał trochę woreczki i wreszcie wydał się zadowolony: idealnie nie było, ale da się wytrzymać.

Znalazłszy się z powrotem na pokładzie, Herman usłyszał szmer głosów. Obudzili się jego pasażerowie.

- Dzień dobry, moi mili - przywitał ich pojednawczym tonem.

Spostrzegłszy Yurupiga, który w towarzystwie Elaine i Dietleva pił jego kawę, obrzucił go morderczym wzrokiem. - I jak tam się miewa dzisiaj nasz ranny? - zapytał uprzejmie.

- Nie najgorzej - odparł zagadnięty. - Możemy ruszać, jak tylko Yurupig zrobi mi nosze.

Niemiec zastygł.

- Jaja sobie robisz, *amigo*... W tym stanie nie wytrzymasz nawet dwóch dni! Mówiłem już pani profesor, że lepiej tu poczekać, aż sprowadzę pomoc.

- Problem w tym, że wody mamy może raptem na tydzień... zresztą dzięki tobie... i że z nieznanego mi jeszcze powodu postanowiłeś tu nie wracać.

- Oszalałeś? - obruszył się Petersen. - Co ci przyszło do głowy?

- Niech pan z łaski swojej skończy z tą komedią - powiedziała Elaine z pogardą. - Widziano, jak dziurawił pan zbiorniki.

Domyśliwszy się, skąd pochodzi ta informacja, Petersen odwrócił się do Yurupiga z twarzą wykrzywioną gniewem.

- Obedrę cię ze skóry, masz to jak w banku!

A ponieważ Indianin patrzył nań wyzywająco, obrócił się na pięcie, by przynieść kałasznikowa i skończyć z kablowaniem. I stanął jak wryty: twarzą w twarz z Maurem, który trzymał karabin w rękach.

- Po to chciałeś iść? - usłyszał wypowiedziane beznamiętnie pytanie. - Nie jestem miłośnikiem broni, ale umiem się nią posługiwać. - Na potwierdzenie swych słów Mauro oddał krótką serię w powietrze, po czym przystawił lufę Niemcowi do policzka. - Pierwszy raz w życiu na coś mi się przyda odbyta służba wojskowa - dodał obojętnie.

- Kompletnie wam odpierdoliło czy co? - krzyknął Petersen z poszarzałą twarzą.

- Przejmujemy po prostu inicjatywę - rzekł stanowczo Dietlev.

- Nie rób żadnych numerów, a nic ci się nie stanie. Wyruszymy wszyscy razem, ale najpierw musisz nam to i owo wyjaśnić... Na przykład to, dlaczego przedziurawiłeś zbiorniki z wodą...

- Rany boskie, jakie znowu zbiorniki? Nie wierzycie chyba temu dzikusowi? Plecie, co mu ślina na język przyniesie! To krętacz i wszystkich was robi na cacy!

- Chwilowo ty mówisz swoje, a on swoje, i przyznam, że twoje protesty jakoś nie przechylają szali, zwłaszcza po tym, co nas spotkało. Ale jak wolisz, wytłumaczysz się na policji i już. A na razie oddaj ten pas.

- To rzeczy osobiste - powiedział Herman, błędąc. - Nie macie prawa!...

- Pas! - groźnie zażądał Mauro.

- Proszę bardzo, strzelaj! Nie mam nic do stracenia...

- Koka - rzekł krótko Yurupig. - On zawsze przewozi dostawy.

- Aaaa, takie buty!... - rzekł Dietlev, podnosząc brwi. - To wyjaśnia wszystko. Zaczynam teraz rozumieć, dlaczego kochany Herman nie chciał, żebyśmy z nim poszli. - Spostrzegł zdumienie Elaine, wyjaśnił zatem: - Na oko jest tego jakieś pięć, sześć kilo warte minimum pięćdziesiąt tysięcy dolarów. I nasz przyjaciel najwyraźniej zamierzał z tym majątkiem zniknąć bez śladu. A ponieważ czegoś takiego Paragwajczycy w życiu by nie puścili płazem, nie planował w przyszłości nawet stopy postawić w tej okolicy. A gdyby zabrał nas ze sobą, wszedłby w paszczę lwa, bo wcześniej czy później miałby do czynienia z władzami...

- Nie pięćdziesiąt, tylko pięćset tysięcy dolarów, ciemniaku! - warknął Herman, odzyskując tupet. - I połowa będzie dla was, jeśli w odpowiedniej chwili pozwolicie mi z tym zwiać. Zastanówcie się, to

więcej, niż uda wam się zarobić przez całe życie!...

Dietlev z niesmakiem pokręcił głową.

- Tylko tego nauczyli was w tej Waffen-SS? Nic dziwnego, że Niemcy przerznęli ostatnią wojnę.

- Wyrzucę to świństwo do wody i więcej nie będziemy o tym mówić - oświadczyła zdecydowanie Elaine.

- Ani się waż! - sprzeciwił się Dietlev. - To jedyny dowód jego współudziału. Będzie to niósł, zawsze to mniej dźwigania dla was. Pilnujcie go, póki Yurupig nie zrobi noszy. Ruszamy za pół godziny.

*Z notatnika Eleazarda*

KIRCHER NALEŻY JESZCZE do świata Arcimbolda: ceni sobie anamorfozy, ponieważ pokazują rzeczywistość „taką, jaka nie jest”. Aby zaistnieć naprawdę, pejzaże, zwierzęta, owoce i warzywa czy przedmioty użytku codziennego muszą przetwarzać oblicze człowieka, boskiego stworzenia, któremu Ziemia jest przeznaczona. Wraz ze zwierciadłami zniekształcającymi albo przeciwnie, takimi, które pokazują starannie wyliczone zniekształcenia optyczne, chrześcijaństwo doby kontrreformacji zapisuje na swoje konto platoński mit jaskini i przeobraża go w pouczające widowisko: w ciągu życia możemy dostrzec jedynie cienie boskiej prawdy. Ta piękna kobieca twarz zachęca do rozpusty, toteż skazana jest na piekło, pouczają zwierciadła, które okrutnie ją wykrzywiają; ta mieszanina krwawych barw nabierze kiedyś znaczenia, obiecują cylindryczne lustra, które przywracają jej właściwe kształty i przeobrażają ją w wizerunek Raju.

„TERAZ WIDZIMY jakby w zwierciadle, niejasno; wtedy zaś [zobaczymy] twarzą w twarz. Teraz poznaję po części, wtedy zaś poznam tak, jak i zostałem poznany”. Ręce opadają, to wina świętego Pawła; i żyję rojeniami, to wina... Wiadomo czyja.

O UWADZE EUCLIDESA na temat Goethego i jego „Powinowactw, z wyboru”. Pan doktor, jak mi się zdaje, mówi do mnie metaforycznie, lecz jakoś nie mogę zrozumieć, o co mu chodzi. W każdym razie wkurza mnie ta cholerna papuga. Muszę się jej pozbyć.

W ŚWIECIE TARTARINA: „Ojciec Juan de Jesus Maria, karmelita, odłączywszy się na czas jakiś od tych, którzy odbywali z nim podróż, spostrzegł, że wprost na niego kroczy potworny krokodyl z rozwartą paszczą gotowy go pożreć, a równocześnie z szuwarów wylazł rozwścieczony tygrys z zamiarem dopadnięcia go tak samo jak krokodyl. I gdzież ma uciekać nieszczęśnik, któremu śmierć z każdej strony grozi? Jakimże fortem mógłby się posłużyć, aby uniknąć zjadłości dwóch najokrutniejszych stworzeń na świecie? Nie widział żadnego sposobu. W śmiertelnym tedy zagrożeniu, znikąd nie widząc ludzkiej pomocy, błagał Niebiosa o wspomóżenie, modląc się a to do Najświętszej Panienki, a to do świętych rozmaitych, byle zasłużyć na jaką bądź odsiecz. I kiedy tak zanosił prośby do Opatrzności, tygrys skokiem jednym runął na człowieka, ów zaś przypadł nisko do ziemi, aby uniknąć zębów zwierzęcia, które przeleciało nad nim i

nadziało się na krokodyla, a jako że ten z paszczką czekał otwartą, zwarł na tygrysim łbie zębiska tak mocno, że ukatrupił drapieżcę na miejscu. A nasz biedaczyna niezwłocznie z okazji skorzystał i uciekł co sił w nogach” (A. Kircher, „China Monumentis Illustrata”).

SŁABE STRONY KIRCHERA: woli retorykę od ścisłości dedukcyjnej, komentarz od źródeł, apokryf od prawdy, ekspresywność niby-artystyczną od chłodnego realizmu geometry.

OD LOREDANY. Zhuangzi ocenia Moreirę: „Kiedy król Cin jest chory, wzywa lekarza. Chirurgowi,

który przecina mu wrzód albo czyrak, darowuje wóz. Pięć wozów ofiarowuje temu, kto liże jego hemoroidy. Im gorsza usługa, tym hojniej ją opłaca. Przypuszczam, że pan leczył mu hemoroidy: dlaczego bowiem dał panu tyle wozów?”.

JESTEM PRZEKONANY, że ludzka zdolność osądu jest wnikliwsza, bliższa tego, jacy naprawdę jesteśmy, w odniesieniu do tego co negatywne - to znaczy w sprawowaniu krytyki, we wszystkim, co każdym nerwem odrzucamy, zanim umysł świadomie wywrze jakikolwiek wpływ. Łatwiej rozpoznać marnego sikacza albo skwaśniałe wino niż specyficzne cechy wina typu *grand cru*.

KIRCHER to mistyczny fałszerz.

„ŻYŁA DLA ROZKOSZY milczenia”. Ładne. Jakby ułożone specjalnie dla Loredany. Ale powinno się to pociągnąć dalej... (Porównać z „Tractatus”: „Czego nie można powiedzieć” itd.).

## ROZDZIAŁ XVI

*W którym zaczyna się opowieść o fanie  
Benedykcie Sinibaldusie & żalonym  
alchemiku Salomonie Blauensteinie*

**W** roku 1647 liczący czterdzieści pięć lat wielebny ojciec Atanazy Kircher powierzchowność nadal znakomitą prezentował. Zarost miejscami mu oczywiście posiwiał, tak samo włosy, nic innego wszakże w wyglądzie nie wskazywało na taką dojrzałość. Zdrowiem cieszył się wyśmienitym, znacznie lepszym niż ja, chociażem tyle od niego młodszy, a jedynie odrobinę dokuczaly mu niekiedy hemoroidy, które sam leczył maścią własnej produkcji.

Tak latem, jak zimą wstawał nieco przed wschodem słońca & asystował we mszy w naszej kaplicy, potem spożywał skromne śniadanie złożone z kawałka czarnego chleba & zupy, które przynoszono mu do izby na polecenie ojca zarządcy. Jadał u siebie nie dlatego, że nie chciał jadać wraz z nami w refektarzu, lecz dlatego, że rozliczne zajęcia nie pozwalały mu tracić cennego czasu na posiłki. Śniadając przy stole, przy którym pracował, mógł jednocześnie czytać bądź pisać & nad wyraz radował się tym, czego nikt z nas w żadnym razie nie uznałby za przywilej.

Od godziny siódmej zatem aż do południa czas spędzał w gabinecie, oddając się pisaniu książek, przy czym nad kilkoma pracował równocześnie. Moim zadaniem było pomagać mu w tym, jakem najlepiej potrafił.

Zazwyczaj schodziliśmy do refektarza na południowy posiłek, lecz w ciągu tych lat intensywnej pracy nieraz zdarzyło nam się, że zapomniawszy o upływie czasu, zapomnieliśmy też o jedzeniu, nawet tego nie zauważając.

„No nic, wieczorem będziemy jedli z większym apetytem”, mawiał Kircher z uśmiechem, po czym jednak przez rurę akustyczną wzywał brata furtiana & prosił o przyniesienie słodkości jakichś albo filiżanki naparu z kawy, który wtedy był w modzie.

Zwykliśmy także ucinąć sobie drzemkę, z godzinkę czy dwie po drugim śniadaniu; mistrz mój nie unikał tej chwili wytchnienia, nigdy się jednak nie kładł, mając obciążony skórą fotel, którego oparcie zaopatrzone w sprężynę dawało się odchylić. Resztę popołudnia Kircher poświęcał na rozmaite działania natury praktycznej. Nadzorował mianowicie składanie machin, które bez ustanku wymyślał ku uciesze papieża & cesarza, a pracowało przy tych jego wynalazkach kilku braci w warsztatach kolegialnych oraz

rzemieślnicy spoza kolegium.

Długie godziny poświęcaliśmy także chemii, sztuce, którą Atanazy z pasją uprawiał w laboratorium zainstalowanym w piwnicach pod apteką. Przygotowywał tam driakwie & proszki sympatyczne mające leczyć choroby, na które cierpieli wielcy tego świata, a w zasadzie nasi bracia w kolegium. Musiał także przyjmować & oprowadzać uczonych, którzy specjalnie do Rzymu zjeżdżali, aby się z nim spotkać & obejrzyć jego zbiory. Ponadto regularnie przeprowadzał najróżniejsze doświadczenia fizyczne, pragnąc skonfrontować teorie swoje bądź innych z rzeczywistością.

O szóstej po południu uczestniczył w niesporach, potem wieczeraliśmy. Wieczory poświęcone były studiom, lekturze, rozmowom & jeśli tylko powietrze było dość przejrzyste, obserwacji gwiazd - przy tym zajęciu mistrz mój stanowczo się upierał, a oddawaliśmy się mu na niewielkim tarasie przysposobionym na dachu kolegium.

Około jedenastej wieczorem udawaliśmy się na zasłużony odpoczynek, nierzadko wszakże w gabinecie Kirchera światło paliło się aż do późnej nocy.

Ten właśnie rok, rok 1647, naznaczyło wydarzenie w sumie dość nawet ucieszne, aczkolwiek dwadzieścia dwa lata później nieoczekiwanie mocno dopiekło Kircherowi.

Mieszkał otóż w Rzymie francuski medyk, niejaki Jan Baptysta Sinibaldus, z którym mistrz mój pozostawał w dobrych stosunkach z racji zainteresowań. Człek ów, którego majątek osobisty był dość okazały, gorliwie praktykował alchemię & ku wielkiemu niezadowoleniu swej małżonki sporo wydawał na zakup materiałów niezbędnych w tej sztuce.

Pewnego popołudnia wiosną roku 1647 imię Sinibaldus zjawił się w kolegium & poprosił o pilną rozmowę z Kircherem. Mistrz mój - akurat pracowaliśmy nad machiną, o której głośno się później zrobiło - zachnął się zrazu, że natręt ów mu przeszkadza, niemniej przyjął go jak zwykle uprzejmie.

- Nie do wiary!... Jakżem rad!... I jakim szczęśliwy!... - wykrzyknął Sinibaldus na widok Kirchera. - Widziałem salmiak soficzny! Na własnym oczy widział! Niewiarygodne... Ten człowiek to geniusz nad geniusze, umysł najwyższej miary.

- Spokojnie, spokojnie... - rzekł Atanazy z rozbawieniem, nie mogąc pohamować nieznaczonej ironii. - Zapanujcie nad sobą, mój panie, & zaczynajcie od początku: kimże jest ów szczęśliwiec, który zasłużył na tyle pochwał z waszych ust?

- No tak, słusznie, wybaczcie to rozgorączkowanie, wielbny ojczu - odparł Sinibaldus, z roztargnieniem poprawiając perukę na głowie - ale gdy się dowiecie, z czym przychodzę, niechybnie pojmiecie moje poruszenie. Człek ów nazywa się Salomon Blauenstein & całe miasto tylko o nim mówi, potrafi bowiem produkować złoto z antymonu z łatwością, która najlepiej świadczy o rozległości jego wiedzy... - Przyciszył naraz głos & zerknąwszy za siebie, dodał szeptem: - Powiada, że jest w stanie otrzymać kamień filozoficzny, to tylko kwestia czasu & odpowiedniej metody. I muszę mu wierzyć, zważywszy na to, com widział... Tchnie od niego świętością. To prawdziwy mędrzec. Oczywiście, że nie dba o złoto ani chwałę: dopiero po kilku dniach modłów zgodził się pokazać mi swoje umiejętności, a & to z oporami, jakby się zniżał do praktyk niegodnych jego talentu.

- Hm... Znacie, panie, moje zdanie na ten temat. Pozwolicie zatem, że wyrażę niejaki wątpliwości co do prawdziwych możliwości tego waszego... jakże mu tam?

Jakieśmy się dużo później dowiedzieli, imię Sinibaldus poczuł się dotknięty postawą Kirchera. Nie pojmował, jak można być takim niedowiarkiem & zaprzeczać czemuś, nie zadawszy sobie trudu, by pierwaj sprawdzić fakty. Toteż zanim jeszcze pożegnał się z moim mistrzem, poprzysiął sobie, że dowiedzie mu, jak bardzo jest zaślepiiony. W tym celu czym prędzej pospieszył do rzeczzonego Salomona Blauensteina & namówił go - nie bez trudu, albowiem trzeba go było doprawdy błagać - by zamieszkał u niego. Oddawał do jego dyspozycji cały swój majątek & pracownię, byle pokazał mu, jak produkować ów kamień albo proszek do przemiany, z którym zetknięcie, co sam stwierdził *de visu*, zamienia w złoto

każdą najpodlejszą materię. Blauenstein miał za małżonkę młodą Chinę imieniem Mei-li, której tajemnicza uroda & wschodnia milkliwość jeszcze zwiększały przypisywane alchemikowi nadprzyrodzone moce. Mei-li, jak utrzymywał Blauenstein - nadzwyczaj dyskretny, gdy idzie o to, jak ją spotkał podczas swej podróży do Chin - była siostrą „cesarskiego Wielkiego Medyka przy komnacie leków”, człeka biegłego w sztuce alchemicznej, który podzielił się z Salomonem licznymi sekretami wydobytymi ze starożytnych grimoire'ów. Kto wystarczająco mocno polechtał jego próżność, temu Blauenstein łaskawie, aczkolwiek krygując się & zachowując środki ostrożności, pokazywał stos kajetów zapisanych chińskimi znakami, twierdząc - & niezbyt ryzykując, że ktokolwiek temu zaprzeczy - iż zawierają całą wiedzę alchemiczną.

Osobliwe to stadło przeniosło się zatem ze wszystkimi manatkami do luksusowych komnat, które imć Sinibaldus oddał do ich dyspozycji we własnym domu. Już następnego dnia sporządzić trzeba było nowy atanor do pracowni, stary bowiem był nieodpowiedni, & zamówić liczne nader rzadkie & kosztowne ingrediencje, aby rozpocząć długi proces, który miało zwieńczyć Wielkie Dzieło.

Jako że Sinibaldus wyznał, iż nie zna się na potrzebnych składnikach & nie wie, jak się w nie zaopatrzyć, Blauenstein zobowiązał się, że osobiście tym się zajmie, & to za niższą cenę, wyłącznie z przyjaźni do gospodarza. Mieszczkańska sakiewka mocno chudła, gdy alchemik - mimo protestów ofiary, że w pełni mu ufa - przedstawiał wszystkie rachunki potwierdzające wydatki. Pięćdziesiąt tysięcy dukatów za funt perskiego zingaru & dziesięć uncji sproszkowanej skolopendry; osiemdziesiąt pięć tysięcy dukatów za realgar, aurypigment & indygo, tyleż samo za nieduży bezoar lamaicki; sto tysięcy dukatów za żywicę z drzewa *tacamahaca*, sól z Turkiestanu & zielony ałun oraz wiele innych składników znacznie powszechniejszych, lecz niewiele tańszych, jak cynober, proszek z mumii oraz z rogu nosorożca, świeże łajno krogulca czy jądra wilka... Fortuna Sinibaldusa, choć całkiem okazała, niebezpiecznie zmalała; & jakby za sprawą Bożej Opatrzności, fortuna alchemika proporcjonalnie wzrosła.

Podczas gdy Blauenstein zniknął z rozmysłem, rzekomo udając się na poszukiwanie owych bezcennych substancji, w rzeczywistości zaś w bezpiecznej kryjówce składając dukaty oszczędzone na zakupach, Mei-li & Sinibaldus byli zobowiązani podtrzymywać ogień w atanorze & czuwać nad powolną sublimacją siarki & merkuriusza. Pod pretekstem ciepła panującego w pracowni piękna Chinka zjawiała się tam w jedwabnym dezabilu, który przy każdym ruchu się rozchyłał, mimochodem niby odsłaniając rozkołysane powaby umyślnie pozostawione na swobodzie. We włosy, misternie uczesane & spięte z tyłu, wplecione miała perły, a głowę jej ozdobił podbity jedwabiem bambusowy czepek, spod którego zwieszała się kita czerwonego włosia. W takim negliżu na klęczkach, mocno operując zadkiem, biła pokłony do ziemi przed własnoręcznie ustawionym ołtarzykiem, na którym z Chrystusem sąsiadowały wstretne bożki z jej kraju; & bez ustanku, aby niebiosą z zyczliwością odniosły się do Wielkiego Dzieła, odprawiała bezwstydnie zmysłowe tańce...

Niewiele czasu było trzeba, by nieszczęsny Sinibaldus uległ wdziękom rzekomej świętoszki. Ledwie trzy miesiące po tym, jak wpuścił diabła do własnego domu, na poły zrujnowany, rozkochany do szaleństwa, ze zmysłami pobudzonymi przez sztuczki godne kurtyzany, za jeden pocałunek poszedłby do piekła. Podsycając wszakże jego namiętność tysiącem nowych wyuzdanych zabiegów, szelma odmawiała do siebie przystępu: to jej wdzięczenie się było z natury swojej obliczone na to, aby pokazać, jak bardzo można wzbudzić pożądanie w człowieku rozwiązłym, kiedy wyrachowanie & skąpstwo je wspierają.

Knowania owe trwały poty, póki nie uznano, że owoc już dojrzał & można go zerwać. W wieczór świętojański zatem Blauenstein oświadczył, że Wielkie Dzieło wkracza w ostateczną fazę. Starannie odważono, przesiano, oczyszczono niezbędne składniki, po czym dodano je do polewki z siarki, merkuriusza & antymonu, która na wolnym ogniu od tak dawna bulgotała w tyglu.

- Za dwa tygodnie co do dnia, co do godziny - rzekł alchemik - mieszanina osiągnie stan najwyższej doskonałości, jak głoszą starożytni. Wówczas pozostanie tylko wrzucić do cieczy bezoar, a na waszych



oczach, panie, narodzi się sławetny Zielony Lew, ów cud, który zapewnia & bogactwo, & nieśmiertelność! Jednakże proces alchemiczny nie polega na samym oczyszczeniu materii biernej: aby prawidłowo się zakończył, wymaga

także oczyszczenia ciała & umysłu, bez czego nie nastąpi ostateczny cud. W tym właśnie celu zamknę się w klasztorze z bezoarem & bez chwili przerwy przez dwa tygodnie modlił się będę. Małżonka moja, którą jej brat wprowadził w najskrytsze boskie tajemnice, sama będzie się zajmować alchemicznym tygłem. Wy zaś, drogi mój przyjacielu & dobroczyńco, zamkniecie się w swoich komnatach, aby także się modlić, & tylko dwa razy dziennie będziecie przynosili strawę mojej Mei-li. Zasady owe są proste, lecz naruszenie ich choćby w niewielkim stopniu na zawsze pogrzebie wszelkie nasze nadzieje...

Mocno poruszony tą przemową Sinibaldus przysiągł, że zrobi, jak alchemik każe, & że nie szczędził będzie umartwień ani modłów, aby oczyścić swą duszę.

Resztę nocy Blauenstein poświęcił na „rektyfikację” pracowni: podczas gdy jego małżonka & Sinibaldus klęczeli, on wykreślał na ścianach wszelkiej maści magiczne pentakle, aby do pomieszczenia nie miały dostępu demony, recytował niezliczone formuły z kabały chińskiej & oddawał palenisko pod pieczę przynajmniej trzech tuzinów „duchów sefirotycznych”. Gestykulujący & zdzierający sobie płuca w gęstych oparach kadzidła, które płonęło tam bez ustanku, alchemik wydał się Sinibaldusowi wcieleniem samego Trismegistosa.

O świcie Blauenstein zamknął małżonkę swoją w pracowni, uroczyście wręczył klucze gospodarzowi, raz jeszcze powtórzył swe zalecenia, po czym odszedł. Wyczerpany nocą bez snu Sinibaldus udał się do sypialni, gdzie niebawem zasnął niebotycznie szczęśliwy, kołysany nadziejami & złudzeniami.

Wstał około pierwszej po południu, niezwłocznie kazał przygotować posiłek & osobiście zaniósł go pięknej Mei-li. Posłuszny rozkazom alchemika oczy trzymał spuszczone & na powrót zamknął drzwi, ledwie postawił tacę na ziemi. Następnie w sypialni długą chwilę chłostał swe ciało, po czym aż do wieczora trwał pogrążony w modlitwie.

W porze wieczery, kiedy znów udał się do pracowni ze świeżym posiłkiem, stwierdził, że poranna taca zjadłem stoi nietknięta, co tak go zadziwiło, że odważył się rozejrzeć po pomieszczeniu: ledwie widoczna w czerwonym świetle witrażowej latarenki Mei-li leżała u stóp ołtarzyka. Przeraził się. Może jest chora? Może umierająca?... Zaryglował za sobą drzwi & podbiegł do Chinki...

Nie zdążył jej nawet dotknąć, gdy otworzyła oczy pełne łez. Rzuciwszy mu się na szyję, rozsłochała się w jego ramionach. Sinibaldusem, nieco spokojniejszym co do jej zdrowia, strumienie łez potężnie wstrząsnęły. Przez chwilę myślał, że dopuściła się jakiegoś nieodwracalnego w skutkach zaniedbania, strzegąc powstawania Wielkiego Dzieła, toteż skierował wzrok na atanor: ogień płonął jak należy, nie widział, żeby cokolwiek było nie tak. Uwolniony od obaw w tej materii zaczął pocieszać cudowną istotę, która na jego ramieniu tak strasznie rozpaczała. Po wielu kojących słowach & niewinnych pieszczotach zdołał osuszyć łzy Mei-li & wydobyć z niej kilka słów tłumaczących przyczynę desperacji.

- Ach, panie!... - wyjąkała głosem przerywanym jeszcze łkaniem. - Jakże wam to wyznać & nie narazić się na waszą wzgardę? Taki z was poczciwy człek, takim obdarzyliście nas zaufaniem... Och, raczej bym umrzeć wołała!... Ach, czemuż taki wstyd & nieszczęście spadają na mnie?

Włoskim posługiwała się biegle, lecz z akcentem, który jeszcze dodawał jej uroku. Sinibaldus bez wytchnienia zachęcał ją, aby mówiła, zapewniając, że cokolwiek powie, ma z góry jego przebaczenie. Oto ta młoda niewiasta, którą skrycie miłował od tylu dni, z rozkoszną ufnością tuliła się do jego piersi. Poły jej wschodniej szaty rozchyliły się, odsłaniając ciepły jędrny biust, którego drzenie czuł na skórze. Jej ciężkie kruczoczarne włosy wydzielaly upajający zapach; ułożone w niemym błaganiu usta zdawały się żebrać o pocałunek, a luno na twarzy dowodziły raczej porywu miłości aniżeli rozpaczy. Rozmiłowany do szaleństwa Sinibaldus w tej chwili na jedno słowo Mei-li własnoręcznie cisnąłby w chaszcze Wielkie Dzieło...

Spostrzegłszy jego roznamiętnienie, przebiegła Chinka zgodziła się wreszcie wyłożyć powód swej rozpaczki: Salomon Blauenstein to święty człowiek, małżonek czuły & uważający, alchemik biegły w swej sztuce & ogromnie doświadczony, niemniej nigdy nie zdołał wytworzyć eliksiru życia, ponieważ nie spełnił wymogu, który tylko ona zna. Dotąd nie znalazła w sobie dość odwagi, aby mu o tym powiedzieć, była bowiem pewna, że małżonek raczej zaniechałby poszukiwań, niżli na to przystał. Otóż aby dokonać prawdziwej transmutacji, lecz nie w złoto, które bez trudu można uzyskać, a w napój młodości, trzeba czegoś więcej niż tylko materii biernej...

- Jakże coś, w czym nie ma życia - mówiła uwodzicielsko - mogłoby wydać z siebie nieśmiertelność? Rozumiecie, panie, że to niemożliwe, & z tego właśnie powodu żadnemu alchemikowi dotąd się nie udało. Żadnemu z wyjątkiem kilku mistrzów z mojego kraju, którzy znali prawdę & wykorzystali tę wiedzę z największym dla siebie pożytkiem.

- Cóż to za składnik, pani? Mówcie, zaklinam was!

- Ta sekretna ingrediencja, panie, prawdziwa *materia prima*, bez której żadna transmutacja się nie powiedzie, to ludzkie nasienie, metafizyczne skupisko boskiej mocy pozwalające życie zasiewać & odnawiać. Przy czym samo nasienie nie wystarczy, musi bowiem być także miłość, uczucie, ponieważ jedynie jego zar nierozdzielnie łączy nasienie męskie & niewieście & sprawia, że Kamień krzepnie w ostatnim stadium Wielkiego Dzieła. I to jest właśnie przyczyna mojej rozpaczki...

Mei-li znowu tak się rozekłała, że Sinibaldus ledwie zdołał wydobyć z niej między szlochami te oto słowa:

- Szanuję małżonka mojego, darzę go przyjaźnią, jestem mu nieskończenie wdzięczna, ale... nie miłuję go. Ten płomień nieodzowny, pociąg, którego dotąd nie zaznałam... budzicie we mnie wy, panie... Na nieszczęście moje, wasze & mojego małżonka widzę, że niestety, nie podzielacie tego uczucia, a w takim razie nic już nie uratuje naszego wspólnego przedsięwzięcia. Nad wami więc płakałam, ilekroć na myśl mi przyszło, jak bardzo będziecie zawiedzeni, gdy tyle nadziei & marzeń legnie w gruzach. Albowiem ja takiego nieszczęścia przeżyć bym nie zdołała...

Z dotychczasowego nieśmiałego miłośnika imię Sinibaldus przeobraził się w kochanka dosłownie zapamiętałego. Wyznanie Chinki nie dość, że nieoczekiwanie przeogromnie go uszczęśliwiło, to jeszcze dawało gwarancję, że Wielkie Dzieło zostanie zwieńczone powodzeniem. Zupełnie postradawszy rozum, zapomniawszy o małżonce & progeniturze, jął obsypywać Mei-li pocałunkami, płacząc & śmiejąc się równocześnie, ekstrawaganckimi słowami wyjawiając swoją namiętność skrywaną od tyłu tygodni. Nikogo prócz niej nigdy nie miłował, a teraz miał uczucie, jakby bogini Izolda nareszcie odnalazła swego Ozyrysa, & nie wolno ani chwili dłużej powątpiewać, że Bóg im nie pobłogosławi.

Szelma Chinka udała najpierw zdumienie, potem okazała nieokielznaną namiętność, tak że zaraz, wprost na posadzce pracowni, oddali się bezwstydnym igraszkom Kiprydy.

Przez całe dwa tygodnie, które spędzili zamknięci w pracowni, plugawe soki ich rozpusty tryskały strumieniami. Tę wstrętną mieszaninę Mei-li skrupulatnie zbierała do porcelanowej wazy, po czym przelewała do środka woskowych figurek, które sami robili, mających wyobrażać rozmaite bóstwa chińskie, ale także Chrystusa & apostołów. Owe bluźniercze idole trafiały następnie do tygła z towarzyszącym temu ceremoniałem & orgia zaczynała się od nowa. Zaślepiiony namiętnością & pychą Sinibaldus posłuszny był Chince we wszystkim, ani przez chwilę nie zauważając otchłani, w której coraz bardziej się pograżał.

W ustalonym dniu Salomon Blauenstein zjawił się, zakończywszy czas rzekomego odosobnienia. Sinibaldus, który wrócił na swoje pokoje nieco wcześniej, aby zmienić odzienie, zszedł, aby go powitać. Zaskoczyła go bladość alchemika & liczne ślady umartwień wypisane na jego obliczu. Blauenstein natomiast (który cały ten czas spędził w lupanarze na Zatybrzu!) dostrzegł takie same ślady zmęczenia na twarzy gospodarza, aczkolwiek nie miał złudzeń co do ich prawdziwego pochodzenia; & odtąd już nie

wątpił w powodzenie swojej intrygi. Obaj złożyli sobie nawzajem powinszowania & kiedy alchemik udał, że się uspokaja co do należytego wypełnienia swoich poleceń, udali się do pracowni.

## CANOA QUEBRADA

*Każda rzecz wyrwana ze swojego otoczenia,  
napelniona nowym znaczeniem...*

*Na początku świat nie istniał. Nie było ani ciemności, ani światła, ani nic, co mogłoby być w zamian. Ale było sześć rzeczy niewidzialnych: laweczki, stojaki pod garnki, tykwy, maniok, liście ipadu, które zsyłają marzenia, kiedy sieje żuje, i zwinięte prymki tytoniu. Z tych rzeczy, które unosiły się w nieistnieniu, sama z siebie powstała kobieta i pojawiła się pięknie przystrojona we wspaniałości swego kamiennego domostwa. Yebá Beló brzmiało jej imię, pramatka, ta, która nie została zrodzona... Po czasie potrzebnym, by powiedzieć: „Puff!”, zaczęła wymyślać świat taki, jaki powinien być. I kiedy tak myślała, żuła ipadu i paliła magiczne cygaro...*

Kiedy Indianin wyciągnął ją z *forró da Zefa*, Moema nie miała złudzeń co do tego, co czeka ją tej nocy. Zmartwiona, że straciła z oczu Roetgena, rozglądała się nawet za nim przez chwilę. Nie dlatego, że czuła się zobowiązana tłumaczyć przed nim, lecz namówiła go, aby tu przyjechał, i teraz głupio jej było zostawić go bez słowa w otoczeniu, którego jeszcze dobrze nie poznał. Jeśli chodzi o Thais, sprawa była co prawda prostsza, ale też delikatniejsza: ponieważ w ich związku panowała całkowita swoboda seksualna, Moema nie miała wobec dziewczyny żadnych zobowiązań. Miłość, jaką się darzyły - ten temat nieodmiennie powracał, ilekroć jedna cierpiała z powodu eskapad drugiej - zdecydowanie była, jak uważały, ponad zdradą cielesną. Niezależność ta nie dość, że nie nadwątlała ich związku, to jeszcze go „użyźniała”, dodawała mu wielkości... Ponieważ jednak naiwna wielkoduszność nie umniejszała zazdrości ani smutku z powodu chwilowego porzucenia, przy okazji przygód w pojedynkę maksymalnie przestrzegały dyskrecji. Moema chciała zatem wyjść jak najszybciej, aby uniknąć spotkania z przyjaciółką, kiedy zauważyła ją tańczącą z Marlene. Została przyłapana, odpowiedziała więc na spojrzenie Thais, wachlując się ręką, co miało znaczyć, że jest jej za gorąco i wychodzi zaczerpnąć świeżego powietrza. W odpowiedzi Thais przesłała jej uśmiech smutny i niedowierzający, zirytowana Moema odwróciła więc głowę.

Wyszli na zewnątrz i ruszyli ciemną ulicą w stronę szałasu, Moema chciała bowiem zabrać na plażę zapas trawki.

Nad samą wodą jeszcze bardziej czuć było gwałtowność wiatru, który przesypywał wydmy. Aynoré milczał; od czasu do czasu muskał dłonią rękę Moemy, kiedy pod podmuchem wichru zataczali się i oddalali od siebie. Kilkaset metrów dalej przycupnęli, pólżąc na piasku pod osłoną jangady wyciągniętej na brzeg. Moema skręciła dżointa. Pośród ogłuszającego huku fal coś pierwotnego, jakiś niepojęty przerażający zgiełk z czasów, gdy świat dopiero powstał, sprawił, że przytulili się do siebie. Moema pierwsza zaciągnęła się dymem z grubego papierosa, którego zdołała skręcić mimo wichury, Aynoré pociągnął po niej, po czym zaczął mówić cichym głosem: świat tak samo się zaczął - dzięki kobiecie powstałej z własnych ciemności i magicznemu papierosowi...

*Jej myśli objawiły się pod postacią sferycznej chmury zwieńczonej wieżą, schronieniem wypukłym jak wystający węzeł pępka na brzuchu noworodka. Formując się, owa dymna bańka wchłonęła całą ciemność, która została w niej uwięziona. To uczyniwszy, Yebá Beló nazwała swój sen „Brzuchem świata”, a brzuch ten przypominał wyludnioną dużą wieś. Zapragnęła wtedy ludzi tam, gdzie nie było niczego, toteż znowu zaczęła żuć ipadu i palić magiczne cygaro...*

Ojciec Aynorégo był szamanem w swojej wiosce położonej gdzieś w lasach amazońskich, u zbiegu

Amazonki i Rio Madeira. Był słynnym czarownikiem, przywódcą religijnym i politycznym wioski, leczył ludzi sokiem tytoniowym i wywarami z roślin, których tajemnicy strzegł zazdrośnie. Niestrudzenie sławił dzieje swojego ludu i stąd właśnie pochodziła ta długa wielowątkowa opowieść, pasożytnicza kosmogonia, która zdawała się samoistnie wypływać z ust młodego Indianina, żywić się jego pamięcią, i toczyła się, mnożąc na podobieństwo wirusa, jak czyniła od wieków. Aynorému przeznaczone było zająć miejsce ojca, toteż ów przekazał mu całą wiedzę przodków, która czyni z człowieka prawdziwego *paje*: znał mity założycielskie ludu Mururucu, jego obrzędy, tańce i tradycyjne pieśni, potrafił przyzywać duchy zamknięte pod postacią kamyków w grzechotce z tykwy i odczytywać ich przesłanie z warkotu czuryngi; potrafił także rozmawiać ze zwierzętami, strzelać niewidzialnymi trującymi grotami i wprawiać innych w oczyszczający trans. W wieku sześciu lat wyruszył na poszukiwanie swojej duszy, która weszła w jego ciało pod postacią anakondy. Podobnie jak jego ojciec byłby się stał zdolny pożyczyć skrzydła od ptaka zwanego kumalak, by wzlecieć ponad szczyty gór, gdyby nie drwale, którzy zmienili bieg jego życia.

Z drwałami bowiem przybył człowiek z FUNAI - „Narodowej Fundacji na rzecz Indian! Masz pojęcie? Co byś powiedziała na Narodową Fundację na rzecz Białego Człowieka, he? Tylko sobie to wyobraź...” - wraz z nim wojsko, a z wojskiem koniec wszystkiego: trzeba było ewakuować wioskę, dołączyć do plemion, które już się gnieździły w rezerwacie w Xingu... Jego ojciec na czele kilkunastu ludzi próbował stawiać opór, lecz podczas polowania na człowieka w lasach wszyscy zginęli wystrzelani jak zwykle makaki.

Aynoré miał raptem dwanaście lat, lecz nie chciał iść ze swoimi do rezerwatu w Xingu; człowiek z FUNAI czym prędzej oddał go zatem do sierocińca dominikanów w Manaus. Nauczył się tam czytać i pisać, nigdy

jednak nie stał się wyznawcą wiary, której cherlawy bóg dał się ukrzyżować w kraju pozbawionym dżungli i ar. Potem trafił do internatu, również prowadzonego przez dominikanów, w Belém. Odczekał trochę, aż ich sobie urobił, po czym zniknął wraz z kasą zarządu. Ponieważ dłonie ma zręczne, jakoś tam sobie odtąd radził, wyrabiając naszyjniki i kolczyki z piór, które sprzedawał na czarno.

Aynoré gładził dziewczynę po włosach. Pod wpływem upojenia jego głos pobrzmiwał uroczystymi akcentami, załamywał się czasem w dialogach, wręcz stawał się nie do poznania, piskliwy i zniekształcony jak głos brzuchomówcy. Moema słuchała go z nabożeństwem, przebiegały ją dreszcze, w głowie kłębiły się obrazy. Bardziej niż poetyckość wprawiała ją w uniesienie prastary charakter jego opowieści. Fascynacja doprawiona niechęcią do Białych i ich żenujących praktyk niewolniczych. W głowie się nie mieści! Ze zgrozą uczyła się o tym na uczelni, toteż na pamięć znała liczby świadczące o podłości: dwa miliony Indian żyło w czasach konkwistadorów hiszpańskich i portugalskich; dzisiaj jest ich niecałe sto tysięcy... „Indianie byli nieprzeliczeni - przeczytała we wspomnieniach jakiegoś szesnastowiecznego podróżnika - tak że kiedy wypuszczało się strzałę w powietrze, częściej spadała na głowę Indianina niż na ziemię!”. Ów autor pisał o ludzie Várzea, plemieniu, które zniknęło w niespełna wiek po pierwszej próbie „spisu ludności”.

Tupi, Anumaniá, Arupatí, Maritsawá, Iarumá, Aualúta, Tsúva, Naruvot, Nafuquá, Kutenábu i wiele innych zostało zdziesiątkowanych... Ponad dziewięćdziesiąt plemion amazońskich wymarło tylko w ciągu naszego wieku. Jakich nieodgadnionych losów pozbawiliśmy się w ten sposób na zawsze? Jakich możliwych światów, jakiego zbawczego rozwoju?...

„Ziemia bez ludzi dla ludzi bez ziemi”. W myśl tego śmiałego sloganu rząd Brazylii postanowił wybudować Transamazonikę: 5 tysięcy kilometrów dróg, aby białym pionierom podarować nowe przestrzenie rozwoju. Co dziesięć kilometrów po obu stronach drogi sto hektarów dziewiczej ziemi do wykarczowania, zbudowana już chata, półroczna pensja i nieoprocentowane pożyczki na dwadzieścia lat. Mnóstwo przymierających głodem mieszkańców Nordeste połknęło haczyk. Tyle że te „ziemie bez ludzi” zamieszkiwali Indianie, którymi przejmowano się podobnie jak fauną i florą poświęcanymi w imię tego

programu. Tak samo jak przejmowano się nimi w czasach gorączki kauczukowej, gdy wirusami ospy i innych śmiertelnych chorób zarażano ubrania ofiarowywane z przyjaznym uśmiechem tym bezwstydnym dzikusom.

Nikt jednak nie przewidział, że gleba wydarta dżungli definitywnie wyjałowuje po dwóch pierwszych zbiorach i że dzisiaj hodowcy bydła za bezcen skupywać będą nieurodzajne ziemie od zadłużonych osadników, nieszczęśników, którzy woleliby klepać biedę w suchym Sertão, niż mordować się na tej wilgotnej pustyni. Kwoty przeznaczone na położenie nawierzchni rozplynęły się gdzieś, tak że Droga Transamazonska w porze deszczowej przekształcała się w nieprzebytą rzekę błota, co dzień po kawałku na powrót pochłaniana przez zazdrosną dżunglę. Wskutek nalegań Amerykanów, którzy chcieli kupić kilka milionów kilometrów kwadratowych w regionie Carajás, odkryto tam przebogate złoża żelaza, niklu, manganu, a nawet złota w Serra Pelada. Szyby i odkrywki dokańczyły patroszenie dziewiczego raję, wszystko szło z dymem: las, Indianie, marzenia o reformie rolnej. Ten niewiarygodnie groteskowy przekręt przydał się tylko na to, że niezniszczalna klasa łajdaków jeszcze bardziej się wzbogaciła. Poczucie przytłaczającej niesprawiedliwości zaczęło ją naraz dusić jak nocny atak astmy.

*Człowiek grom zstąpił wtedy na rzekę mleka. Przeobraził się tam w monstrualnego węża, którego leb przypominał łódź. Była to piroga przeobrażająca ludzkości. Dwoje bohaterów wspięło się na węzowy leb i lewym brzegiem rzeki ruszyło w jej górę. Ilekroć się zatrzymywali, wznosili dom i dzięki swoim magicznym mocom zapelniali go ludźmi, którzy mieli w nim mieszkać. I tak przyszła ludzkość powstawała stopniowo dom po domu. A ponieważ łódź płynęła pod wodą, domy też pod nią były zanurzone, tak że pierwsi ludzie pojawili się pod postacią ludzi ryb, które zamieszkały w podwodnych domostwach.*

Jakże piękna była ta barwna opowieść! Pokazywała świat przepojony niewinnością i spokojem wolności, codzienność, której każda sekunda była świętem, magiczną zabawę istotami i przedmiotami. Tajemnica szczęścia spoczywała tam, w tych ocalałych od pokoleń słowach. Wyruszyć z Aynorém na poszukiwanie jego ludu, razem z nim odnaleźć pierwotną więź z rzeką, ptakami, żywiołami - Moema czuła, że jest gotowa na ten powrót do ziemi rodzicielki. Niejako etnolog, lecz jako Indianka z serca i przekonania. Jako żarliwa miłośniczka samych rzeczy. Tylko to mogło być życiem, reszta się nie liczyła.

*I tak ludzkość dorastała, niepostrzeżenie pokonując kolejne stopnie od dzieciństwa po wiek młodzieńczy. A kiedy byli przy trzydziestym domu, to znaczy w połowie drogi, bliźniacy postanowili, że pora, aby ludzie przemówili. Tego dnia odprawili pewien obrzęd z małżonkami: jedna kobieta paliła cygaro, a druga żuła ipadu. Kobieta paląca cygaro zrodziła święte caapi, które jest jeszcze potężniejsze niż ipadu; ta zaś, która żuła ipadu, wydała na świat papugi, tukany i inne ptaki, które mają barwne pióra. I za sprawą tych kobiet ludzie poznali trzęsienie ziemi, strach, zimno, ogień i cierpienie, wszystko to, czego one zaznały, rodząc.*

*A moc zrodzonego caapi była tak potężna, że cała ludzkość miała fantastyczne wizje. Nikt już niczego nie rozumiał, a każdy dom zaczął mówić innym językiem. Tak oto powstały języki desana, tukano, piratapuaia, barasana, banwa, kubewa, tuyuka, wanana, siriana, maku, a na koniec także język Białych.*

- Caapi - mówił Aynoré - to rodzaj liany. Z jej kory robi się napój, który wywołuje wizje. Jest tysiąc razy silniejszy niż wszystko, czego dotąd próbowałaś. U nas kobiety nie mają prawa go zażywać. To święta roślina, liana bogów, ziele duszy...

Zażywał ją często w chacie mężczyzn i to był kompletny odlot: spotykał Pana Zwierząt, oglądał niewiarygodne walki wężów i jaguarów, za złudzeniem normalnego życia odkrywał prawdziwe niewidzialne moce.

- Nie miałem już własnej woli - opowiadał Aynoré - nie miałem władzy w członkach. Nie jadłem, nie spałem, nie myślałem; nie byłem już w swoim ciecie. Byłem oczyszczony, wznosiłem się w górę, byłem bańką drobinek rozproszonych w przestrzeni. I zaśpiewałem dźwięk, który sprawia, że rzeczy się

rozpadają, i taki, który unicestwia chaos, i byłem zalany krwią. Przebywałem wśród zmarłych, zapuściłem się w labirynt...

Istnieje bowiem świat poza naszym światem, świat zarazem bliski i bardzo odległy, świat, gdzie wszystko już się stało, gdzie wszystko jest już znane. I ten świat przemawiał, miał własny język, subtelną mowę szmerów i kolorów. Wizje niebieskie, fioletowe albo szare jak dym tytoniowy, wizje, które się posługiwały tonami nieznanymi umysłowi; wizje krwistoczerwone, podobne do czerwieni łona kobiety, do jej płodności; wizje żółte albo pienieście białe, przypominające spermę, słońce, wizje, dzięki którym spełniało się mistyczne połączenie z prapoczątkiem. I w nieopisanej jasności każda rzecz ukazywała się jakby wyrwana ze swojego otoczenia, napełniona nowym znaczeniem, zupełnie nową wartością. Po ceremonii, przebudziwszy się z ciężkiego snu pełnego marzeń, każdy rysował albo malował to, co zobaczył. Wszelkie ozdoby, wszelkie tatuaże wywodziły się z tych podróży do świata halucynacji! A na świecie istnieje tyle różnych języków, żeby dało się to wszystko opowiedzieć, żeby wyrażać wciąż od nowa to, czego nie chce się zostawiać wieloznacznym niemym obrazem...

- O tym, kto wypił *caapi*, mówi się, że tonie, jakby wracał do rzeki, z której wyszedł, jakby na powrót pogrążał się w niepodzielonym świecie... O człowieku, który zaznaje rozkoszy z kobietą, też mówi się, że tonie, ale to oznacza, że jest w stanie podobnym do tego, jaki wywołuje *caapi*.

*Ósmym i ostatnim przodkiem był kapłan. Wyszedł z wody z księgą w ręku, a był jałowy jak wytrzebiony wieprz. Wtedy Stworzyciel nakazał mu zostać z Białymi i dlatego właśnie nie wiedzieliśmy o istnieniu kapłanów, póki nie pojawili się z nimi na wschodzie. Przy pięćdziesiątym siódmym domu ludzie byli dorośli i można było zacząć skracanie obrzędów. Bliźniacy nadal zaludniali rzeki aż do sześćdziesiątego siódmego domu, daleko, gdzieś w Peru, potem wrócili do pięćdziesiątego szóstego, tego, w którym ludzie po raz pierwszy pojawili się na ziemi.*

- Wy, Biali - powiedział jeszcze Aynoré - wchodźcie do swoich kościołów i mówcie o swoim cholernym Bogu przez godzinę. My, Indianie, idziemy do dżungli i tam z bogiem, ze wszystkimi naszymi bogami całymi dniami rozmawiamy...

*Dopełniwszy ceremonialnych obrzędów, każdy dom otrzymał swoją funkcję i każdy mógł nareszcie zamieszkać w świecie, jak pancernik wypełnia swój pancierz. Tak powiadali nasi przodkowie. Ale dzieło Stworzyciela nie przetrwało, ponieważ trzykrotnie doszło do wielkiej katastrofy: były dwa pożary i jeden potop. I za każdym razem Ngnoaman musiał zaczynać wszystko od nowa. Po potopie po raz czwarty powołał do istnienia ludzkość, tę, której my jesteśmy częścią, i oświadczył: „Za dużo mam roboty, za każdym razem zaczynając wszystko od nowa. Odtąd zostawiam ludzi w spokoju, już wystarczająco dorośli, żeby samodzielnie wymierzać sobie karę...”. Oto historia wielkiego początku, dzieje pierwszych kroków.*

Moema nie mogła już myśleć, tak bardzo barwy iluminowały noc. Raj naprawdę kiedyś istniał, gdzieś między zwrotnikiem a równikiem. „Jesteś kobietą wirującą w wirach, jesteś kobietą, która grzmi, kobietą, która dzwoni, jesteś pajakiem, tukanem i kolibrem...”. Nie wiedziała, czy Aynoré powiedział to czy tylko pomyślał, lecz kiedy się kochali na pokładzie jangady, pośród woni solanki i ryb, ze skórą oblepioną piaskiem, i kiedy skupiła się na sprężystym centrum ich złączonych przyrodzeń, wydało jej się, że słyszy wszystkie słowa tego perlistego języka, nieustanny szept, który nareszcie jedną ją z ludźmi: „*Nitio oatarara, irara. Mamoaupe, jandaia, sacipeirerê?*”. Mamy czas, miodojadko... Skąd przybywasz, żółta papużko, nocny duszku?

W tej samej chwili kawałek dalej, w szalasię rozświetlanym niebieskawym blaskiem nocy, Thais wymiotowała, przechyliwszy głowę przez brzeg hamaka.

## **FORTALEZA**

*Nie jestem wężem, ale pełno we mnie jadu...*

Zé przywiózł go do faweli bardzo wcześnie, tuż przed swoim wyjazdem na trzy dni z kolejnym transportem. O siódmej Nelson już był na posterunku na skrzyżowaniu alej Duque de Caxias oraz Luciana Carneira. Nie przeszkadzały mu mdlące wyziewy z rur wydechowych - przeciwnie, używane przez większość samochodów paliwo z domieszką alkoholu z trzciny cukrowej zostawiało w nosie przyjemny aromat jak po przepiciu, po trosze jakby wszyscy mieszkańcy byli poprzedniego dnia na gigantycznej popijawie i rankiem kaszasa parowała z nich każdym porą skóry - głuchy był na kakofonię klaksonów i warkot silników. Nelson żebrał z zuchwałą pewnością prawdziwego specja. Około dziewiątej, kiedy falę udających się do pracy zastąpiły taksówki i furgonetki, powędrował na Beira Mar, aby się zająć turystami, którzy zaczęli wytykać nos z hotelu. Ich obdarzał mieszaniną pogardy i litości: pogardy za arogancję letników troszczących się tylko o to, aby wydać szmal na bezsensowne zakupy, i litości, którą odczuwał, gdy patrzył na ich białą skórę do czerwoności przypieczoną przez słońce, tak że przypominali poparzonych w pożarze ogłupiałych po zdjęciu bandażu. W przeciwieństwie do trędowatych, do których mało kto się zbliżał

z obrzydzenia i ze strachu przed zarażeniem, a także do beznogich i ślepców mających większe niż on problemy z poruszaniem, jemu kalectwo służyło: pozwalało mu podchodzić do samochodów, lecz również do wejść do luksusowych hoteli i nawet jeśli musiał kombinować, by nie przegonili go odźwierni - niektórzy zresztą chętnie przymykali oko w zamian za część jego zysków - rzadko się zdarzało, żeby wychodzący z Imperial Othon Palace albo z Coloniała turysta nie rzucił w pośpiechu jakiejś jałmużny tej krępującej zawadzie, która burzyła program złożony z samych przyjemności.

Było prawie południe, kiedy Nelson postanowił wsiąść do autobusu do Aldeoty, sztywnej dzielnicy miasta. Nie żeby liczył, iż wpadnie mu tam choćby *cruzeiro* - bogacze barykadowali się w swoich willach jak w twierdzach, roilo się też od ochroniarzy, często groźniejszych niż gliny - ale Zé podał mu w końcu adres gościa, który kupił od niego *willysa*. I Nelson chciał tam ponuchać...

Przed salonem Joségo de Alencara kręcił się pracownik, który niespiesznie polerował osłonę chłodnicy. Korzystając z jego nieuwagi, Nelson wśliznął się pod jeden z samochodów zaparkowanych w środku. Jako autoryzowany przedstawiciel firmy Mercedes Benz, Alencar specjalizował się w handlu starymi samochodami. Nelson zauważył wspaniały wóz z napędem na przednie koła - wypucowane chromowane części wydały mu się piękne niby monstrancja. Zręcznie jak Indianin czołgając się pod samochodami, bez trudu dotarł aż do tego miejsca i leżąc na plecach, z nosem blisko tylnego mostu napędowego, zamknął oczy, aby lepiej się rozkoszować zapachami oleju i kauczuku.

Nie potrafiłyby powiedzieć, ile czasu minęło, gdy z rozmarzenia wyrwało go donośne klaśnięcie.

- Hej! Jest tu kto? - usłyszał głęboki, pewny siebie głos.
- *Sim senhor!* Już idę - odpowiedział pracownik.
- Jestem Jefferson Vasconcelos, deputowany... Sprowadź tu szefa, chcę obejrzeć stare samochody.
- Już idę, proszę pana! Proszę oglądać, szef zaraz przyjdzie.

Nelson usłyszał najpierw, jak mechanik biegnie, a chwilę później nadchodzącego pospieszonym krokiem właściciela.

- Floriano Duarte, do usług. Miło pana poznać, *senhor deputado*.

- I wzajemnie, i wzajemnie... - niecierpliwie odparł deputowany. - Będę się streszczał, bo nie mam czasu: obiecałem synowi samochód na osiemnastkę. Zamierzałem dać mu golfa, ale on sobie wbił do głowy, że chce jakiś stary model, i nie mogę mu tego wyperswadować.

- No tak, znam to, *senhor deputado*. Taka moda i nic się na to nie poradzi. Młodzi wariują na punkcie tych wozów i za pozwoleniem szanownego pana, uważam, że mają słuszość! I mówię tak nie dlatego, że sprzedaję stare auta, bo proszę zauważyć, że mercedesy też sprzedaję. Dzisiejsze samochody są jak czopki, za przeproszeniem, a właściwie jak mydełka: lazienkowy design, ani krzty inwencji, zero urody... Tak jakby wszyscy projektanci i producenci się umówili! A dawniej wóz ozdabiano jak karecę, jak ołtarz

w katedrze. I nie mówię tylko o takich markach, jak Hispano-suiza, Delahay czy Bugatti, proszę zauważyć... Pan będzie łaskaw spojrzeć na plymouthy, hotchkissy, chryslery! Właściciele chuchają na nie, wystawiają je w muzeach jak dzieła sztuki, mimo że nadal jeszcze jeżdżą, i to często gęsto lepiej niż wiele innych. Na przykład ten model... proszę, szanowny pan raczy zerknąć.

Dwie pary nóg przybliżyły się do samochodu, pod którym ukrył się Nelson. Po spodniach idealnej długości i lakierowanych półbutach rozpoznał deputowanego. Gdyby wyciągnął rękę, mógłby go dotknąć.

- Citroen z napędem przednim, rocznik tysiąc dziewięćset pięćdziesiąt trzy! Istny klejnocik, pan tylko popatrzy! Sześć cylindrów, piętnaście CV, pływający silnik chłodzony cieczą, sto trzydzieści kilometrów w dwadzieścia siedem sekund! I co pan na to? Proszę bliżej, bez obaw... I musi pan przyznać: co za linia, jaka prezencja! Jakże harmonijny kształt błotników, a zderzaki!... Nie ma porównania z żadnym volkswagenem. To coś więcej niż samochód, to symbol, sztuka życia...

- Tak, tak, niewątpliwie - ozwał się deputowany, którego nerwowe postukiwanie butem zdradzało irytację - ale nie przyszedłem tu kupować symbol. Potrzebuję samochodu, który jeździ, nie psując się co dziesięć kilometrów. Rozumie pan, prawda?

- A wie pan, *senhor deputado*, jak nazywano ten model? - zapytał sprzedawca z urazą w głosie. - „Król szos”! Nie wiem, czy pan pojmuje, co mówię. W czasie ostatniej wojny Niemcy wszystkie zarekwirowali. Przejeżdżały dziesiątki tysięcy kilometrów bez najdrobniejszej awarii, daję słowo! Pozwolę sobie przypomnieć, że podobne silniki miały pojazdy, które brały udział w słynnych rajdach przez Azję czy przez Afrykę!

- No właśnie, panie... Jakże nazwisko?

- Duarte, Floriano Duarte.

- Właśnie, panie Duarte... Te wszystkie silniki natrzaskały kilometrów, że ho, ho! A to pańskie cudo ile ma na liczniku?

- Zero! - odparł Duarte z dumą.

- Jak to: zero? Nabija się pan ze mnie?

- Ależ skąd, *senhor deputado*, gdzieżbym śmiał! Cały silnik zrobiłem od początku z oryginalnych nowych części. Ten samochód jest co prawda zabytkowy, ale nowy, nowusieńki, jakby dopiero co wyjechał z fabryki. Pański syn może nim objechać do Belém i z powrotem, jeśli zapragnie. Gwarantuję, że nie będzie miał żadnych problemów. O komforcie nie wspomnę - dodał, otwierając drzwi. - Aksamitne obicia, zawieszenie po kapitalce, duży bagażnik... To bombonierka, *senhor deputado*! Proszę usiąść, sam pan zobaczy.

Nelson zdał sobie naraz sprawę, że gdyby ktoś wsiadł do auta, mogłoby mu przygnieść nogi, toteż przekręcił się tak, żeby w razie czego w ostatniej chwili uciec.

- Nie mam czasu - rzekł deputowany. - Pomówmy lepiej o drażliwych sprawach: ile toto kosztuje?

- Tyle co golf, *senhor deputado*. Akurat tyle, ile zamierzał pan wydać na zakup samochodu dla syna.

- Tyle co golf? Za tego grata miałbym zapłacić jak za nowego golfa?! Za kogo pan mnie ma?

- Za kogoś, kto chce kupić wóz synowi i może zrobić świetny interes: daję panu na tego citroena trzyletnią gwarancję, która obejmuje części i robociznę, a gdyby kiedyś postanowił pan go sprzedać, zobowiązuję się znaleźć kupca, który zapłaci panu tę samą cenę. Jak pan wie doskonale, nowy samochód co dzień traci na wartości. Ze starymi samochodami dobrej jakości jest przeciwnie. Nie wyda pan pieniędzy dla kaprysu, tylko dobrze ulokuje, *senhor deputado*, bardzo dobrze ulokuje... I proszę zauważyć, że udzielenie gwarancji to bonus: prawdziwi kolekcjonerzy tyle nie wymagają, naprawdę! O, na przykład w zeszłym tygodniu sprzedałem willysa z tysiąc dziewięćset trzydziestego roku, a kupującego na oczy nie widziałem. Kosztował dwa razy tyle co ten citroen! Kupił go pułkownik José Moreira da Rocha, którego na pewno pan zna.

- Gubernator Maranhão?



- We własnej osobie, *senhor deputado*. A zgodzi się pan chyba ze mną, że w takich sprawach nie pozwoliliby sobie nadmuchać w kaszę...

Nelson o mało nie krzyknął. Nazwisko to tak znieawidzone, tylekroć przeżuwane, aż nie potrafiło mu przejść przez gardło, w połączeniu z willysem wywarło na nim porażający efekt. Trysnęły mu naraz łzy z oczu i po stężałej twarzy popłynęły strumieniem - łzy absurdalne, których normalnie by się wstydził. Nienawiść tak w nim wezbrała, że przysłoniła cały świat atramentowoczarną mgłą i zupełnie go oślepiła. Przez moment widział siebie jako ośmiornicę, jako mięczaka wbitego w muszlę z czarnego metalu, nieforemną bestię wysuwającą znieacka swe macki ku nogom sprzedawcy, wciągającą go w chaos zrodzony z urazy i miażdżącą do cna pod samochodem. Kończyny zadrgały mu konwulsyjnie, nieco piany pojawiło się w kącikach ust. Kiedy kilka chwil później oprzytomniał, pamiętał tylko jedno: padło nazwisko, jakby otrzymał znak, ostatnią przesłankę do wymierzenia kary.

W pobliżu Citroëna nie było nikogo, tak że Nelson bez problemu opuścił kryjówkę. Odważył się zerknąć ponad dachem auta: za przeszklonymi drzwiami biura ujrzał zawzięcie dyskutującą sprzedawcę i deputowanego. Uspokojony przeszedł do przyległego do salonu warsztatu, pogrzebał w skrzynce z narzędziami stojącej koło naprawianego samochodu i zanim się stamtąd zabrał, doprowadził pilnik.

Bez przeszkód dotarł na ulicę, gdzie poczuł pod palcami kojącą miękkość rozgrzanego asfaltu.

Tam ujrzała go jakaś wypacykowana emerytka, która stanęła przed nim jak wryta. Miniaturowy piesek, którego prowadziła na smyczy, ze zjeżoną sierścią zaczął ujadać, szczerząc zęby. Nelson trzepnął go pięścią w nos i histeryczne naszczekiwanie zamieniło się w przeraźliwy skowyt.

- *Não sou cobra, mas ando todo envenenado!* - zagroził leciwej jejmości, wyzywająco unosząc podbródek.

Kiedy uciekała z pieskiem na rękach, wybuchnął gromkim śmiechem, po czym długo, obficie obsikiwał rozświetloną ulicę.

## ROZDZIAŁ XVII

*O tym, jak Kircher obnażył szalbierstwa Blauensteina*

Piękna Mei-li powitała małżonka, składając głęboki ukłon na modłę chińską, lecz alchemik w ogóle nie zwrócił na nią uwagi: ledwie znalazł się w pracowni, ze zmarszczoną brwią & skupieniem na obliczu jął chodzić od pentakla do pentakla. Kiedy chciał przejść koło ołtarzyka, jakby go zatrzymała jakaś niewidzialna siła - zdało się, że wyczuwa, iż w miejscu tym dopuszczono się czynów niegodnych... Obrócił się wolno do swej małżonki & Sinibaldusa.

- Gdybym nie miał do was tak wielkiego zaufania - rzekł z powagą - gotów bym pomyśleć, żeście nie przestrzegali moich rozkazów. Czuję w tym pomieszczeniu złowrogie fluidy, które każą mi przewidywać niepowodzenie naszego przedsięwzięcia. Czyście aby na pewno nie zaniedbali żadnego z moich poleceń? Byłby to dramat, gdyby wszystko spełzło na niczym, kiedyśmy już tak blisko celu...

Sinibaldus zbladł. Przeraził się straszliwie w obliczu tak nadzwyczajnej mocy alchemika, aż zachwiał się na nogach & oblał potem. Zwłaszcza że Mei-li, obnosząca zwykle niewzruszoną twarz, teraz wyglądała niczym potępieniec, tak niespotykane była pomieszana. Sinibaldus jął uspokajać alchemika, kłamał wszakże tak nieudolnie, że sam się połapał w nieścistościach & w końcu zamilkł.

- Cóż, panie, nie chcę was znieważać - podjął Blauenstein z wyraźnym niedowierzaniem w głosie - & twierdzić, że jest inaczej, mogę się wszak mylić... Ale zaraz wszystko sprawdzimy: starczy jeden ruch, abym naocznie się przekonał.

Dobyl z kieszeni bezoar & zblizył się do pieca, a za nim małżonka jego & Sinibaldus. Trzymając kamień nad atanorem, wygłosił:

- Na Keter, Chochmę, Binę, Chesed, Gewurę, Tiferet, Necach, Hod, Jesot, Malchut! Na siedemdziesiąt dwa tajemne imiona Boga, którego przyzywam w tej chwili, niechaj ten ostateczny dowód czystości naszych ciał & dusz ofiaruje nam eliksir nieśmiertelności!

I wrzucił bezoar do bulgoczącego tygła. Odpowiednio przyszykowana jego zawartość w jednej chwili huknęła, sypnęło iskrami & buchnął dym, który nieprzeniknioną zasłoną otoczył piec. Kiedy niebotycznie wylękniony Sinibaldus, na głos zanosząc modły do Boga, biegł ku oknom, aby przewietrzyć pomieszczenie, alchemik wykorzystał tę chwilę & uruchomił przemyślny mechanizm.

Minęło nieco czasu, nim w pracowni dało się coś zobaczyć, a wtedy trzech okryci sadzą kaszlący wspólnicy przypadli do tygła. Blauenstein zaraz od niego odskoczył z okrzykiem przerażenia. Sinibaldus natomiast, zajrzawszy do środka, omal nie padł trupem na miejscu; serce przestało mu bić, członki zmroził śmiertelny chłód: w atanorze znajdowała się żywa żmija!

- Zdrada! Zdrada! - wrzeszczał alchemik z twarzą wykrzywioną wściekłością.

Zanim Sinibaldus oprzytomniał, Mei-li przypadła do kolan małżonka, błagając o przebaczenie & ze szczegółami wyjawiając wszelkie bezeceństwa, jakim się oddawała pod jego nieobecność. Struchlały Sinibaldus, zupełnie oszołomiony przebiegłością tej pary, najchętniej zapadłby się pod ziemię: własnym uszom nie dowierzał, gdy oto niewiasta, która w chwilach najśrodszych uniesień zaklinała się, że dozgonnie go miłuje, obwiniała go teraz o całe zło & bezwstydnie przeinaczała wszystko. Zgadł też zaraz, że nijak nie zdoła się wytłumaczyć... Aż go zatkało na takie lajdactwo. Słabością zdjęty nagłą, opadł na fotel przytłoczony rozmiarami swej klęski.

- Pół biedy, że wszystkie nasze wysiłki poszły na marne - oświadczył rozgniewany alchemik - bo to wasze pieniądze, panie, ulatują właśnie z dymem, ale żeby chędożyć moją niewiastę, oddawać się z nią, & to wbrew jej woli, najwstrętniejszym czarom!... Odwołam się do Świętej Inkwizycji, panie, zobaczycie, że taki występek to nie żarty! Ratunku! Na pomoc! Wołajcie strażę!

Zaalarmowana tumultem & zaniepokojona o Sinibaldusa małżonka jego narobiła hałasu, dobijając się do drzwi. A Sinibaldus, uniósłszy naraz głowę, przyuważył porozumiewawczy uśmiech, jaki wymienili Blauenstein & ta diaboliczna Chinka. Olśniło go w jednej chwili & pojął, że dał się wystrychnąć na dudka. I że żadne modlitwy nie uratują go z ich szponów.

- Wszystko co mam, panie... - zdołał wyszeptać. - Cały majątek oddam, jeśli się uciszycie...

Skutek tych słów był natychmiastowy.

Sinibaldus czym prędzej uspokoił małżonkę przez drzwi, następnie wrócił do Blauensteina, aby do dna wychylić czarę goryczy, która przypadła mu w udziale. Pod wzgardliwym spojrzeniem tej, którą naiwnie brał za wcielenie Izydy, przystał na wszelkie żądania alchemika. Dostał tydzień, aby spieniężyć cały swój majątek & otrzymaną kwotę przekazać tym nędznikom; potem może liczyć na ich milczenie. W przeciwnym wypadku nieuchronnie na niego doniosą, z czego będzie skandal, a za nim ani chybi stos.

Nazajutrz Sinibaldus po raz pierwszy od wielu tygodni zjawił się w kolegium. Kirchera dziwiło nieco, że nie pokazywał się tak długo, trapiło go nawet przypuszczenie, że być może zbyt obcesowo zachował się podczas ostatniego spotkania. Ucieszył się zatem z jego przybycia, ale też zdziwił niepomiernie, oto bowiem ujrzał człowieka postarzałego o lat piętnaście, przybitego zgryzotą & skruszonego, który prosił, by go wypowiedać...

- Niestety, ojczy - mówił Sinibaldus, kiedy opuścili kaplicę & dołączyli do mnie - ten potwór tak zręcznie utkał swoją sieć, że nie mam innego wyjścia: muszę dać się do cna oskubać.

- Ależ przyjacielu, nie można tak szybko załamywać rąk. Zdaje mi się, że jest sposób, który...

- Och! wielobny ojczy! - zawołał Sinibaldus, chwytając go za ramię. - Jeśli widzicie jakiś sposób, powiedzcie, co mam robić! Będę we wszystkim posłuszny, a moja wdzięczność, zapewniam...

- Dajcie spokój z wdzięcznością, przynajmniej na razie, & róbcie, co wam powiem. Nikt nie będzie mówił, mam nadzieję, że Kościół kapituluje wobec wysłanników Diabła. Wróćcie do domu & namówicie tego przeklętego alchemika, żeby tutaj przyszedł wyprodukować złoto. Musicie dalej grać rolę naiwnej ofiary, uspijcie jego ewentualne podejrzenia, prosząc, aby wam wybaczył cudzołóstwo, któregoście się dopuścili, głaskajcie go z włosiem... A na koniec mu powiedzcie, że doszły mnie słuchy o jego nadzwyczajnym talencie & chciałbym to na własne oczy zobaczyć. A nade wszystko nie zapomnijcie jakoś sprytnie odmalować mu moją łatwowierność w tym względzie & olśnić go korzyściami, jakie odniesie, jeśli mnie zachwyci. Pewnie jest wam wiadomo, że sam cesarz interesuje się alchemią & że czyni mi tę łaskę, iż obdarza mnie swoją przyjaźnią & dobrodziejstwami.

Natchniony nadzieją, którą mistrz mój zdołał w nim obudzić, Sinibaldus czym prędzej jął wcielać w życie zamysły Kirchera. Udało mu się nad podziw. Zaślepiiony poczuciem wyższości Blauenstein wpadł w pułapkę zastawioną przez Atanazego & nie minęły dwa dni, a przez rurę akustyczną powiadomiono nas, że on & Sinibaldus stawili się w progach kolegium.

Kircher powitał gościa nadzwyczaj uprzejmie & zaraz poprowadził do laboratorium, gdzieśmy się zamknęli. Udając człeka prostodusznego, mistrz mój z zachwytem rozprawiał o rzekomych wyczynach Blauensteina, którymi ów bezwstydnie się przechwalał, aczkolwiek z obojętnością na obliczu mędrca, które tak zwiodło Sinibaldusa.

- No tak, złoto... - mówił alchemik ze wzgardą w głosie. - Słowo to na wielu tak działa, że rozum tracą. Uwierzycie, ojczy, że dla mnie to najpodlejszy metal? Osobliwy paradoks, nieprawdaż? Lecz aby produkować złoto, trzeba pierwiej zrozumieć próżność bogactwa na tym świecie. A w chwili kiedy się odkrywa sekret transmutacji, człowiek uczy się także, że złoto jest zbędne w życiu doczesnym.

- A jakże, panie. Zdaje mi się jednak, że wasze niepoślednie umiejętności w tej materii mogłyby wyjaśnić wiele tajników działania natury, a znam pewnego wysoko postawionego szacownego człowieka... jego imienia tymczasem nie będę wymieniał... który byłby szczęśliwy, mogąc skorzystać z waszej światłej wiedzy. Tyle że jeśli pozwolicie, tytułem zabezpieczenia tego, co tutaj przedsięwzięję w jego imieniu - ostatnie słowa Kircher wymówił z naciskiem, by alchemik wyraźnie odczuł oficjalny charakter jego mandatu - musielibyście się zgodzić na powtórzenie w mojej obecności doświadczenia, o którym mój przyjaciel, imię Sinibaldus, z takim podziwem mi opowiadał.

- Ależ proszę uprzejmie - odparł Blauenstein, wyraźnie kontent, że wreszcie przechodzi się do rzeczy. - Ta prośba wcale mi nie uwłacza, z największą zatem przyjemnością, na znak szacunku dla... tej osoby zgadzam się udowodnić swoją skromną wiedzę.

- Nasze laboratorium, jak sądzę, jest zaopatrzone we wszystko, czego wam trzeba - stwierdził Kircher, a kiedy alchemik obrócił się w stronę ogromnego, najeżonego retortami żeliwnego kotła, który bulgotał na środku pomieszczenia, dodał: - Ten piec mojego pomysłu ma siedemdziesiąt oddzielnych tygli, ale jak widzicie, w każdym odbywa się destylacja wywarów leczniczych. Skorzystajcie zatem z tego, który służy mi do doświadczeń chemicznych. Jeśli chodzi o składniki, wymieńcie je tylko, a mój sekretarz z radością je wam dostarczy.

Blauenstein się nadał. Czuł się jak ryba w wodzie w tych okolicznościach. Wziął się za rozpalanie pieca, wyliczając produkty, których potrzebował:

- Realgaru pięć uncji. Cynobru pięć uncji. Siarki półtorej uncji, tyle samo saletry & soli z Turkiestanu, dwakroć tyle merkurysza & aury pigmentu...

Atanazy & Sinibaldus nie odrywali oczu od alchemika, gdy wrzucał do tygla te substancje, w miarę, jak mu je donosiłem, odpowiednio odważone & przygotowane wedle otrzymanych wskazówek. Kiedy wszystkie składniki zostały wymieszane & zaczęły wrzeć, Blauenstein otworzył kuferek, który przyniósł

ze sobą. Wyjął z niego długą łyżkę z nefrytu oraz fiolkę przezrystego płynu.

- W tym flakoniku mam resztkę eliksiru, którym uzyskał ongiś w Chinach. Ma taką moc, że jedna kropla wlana do odpowiednio przygotowanej mikstury wywołuje natychmiastową transmutację.

- A cóż to za piękny przedmiot? - zapytał mistrz mój, spoglądając na nefrytową łyżkę.

- Nie ma żadnego wpływu na przebieg procesu - wyjaśnił alchemik, podając łyżkę Kircherowi. - To prezent od cesarskiego Wielkiego Medyka, mojego szwagra świętej pamięci. Używam jej przez pamięć o nim & pragnąc wykorzystać jej wewnętrzne zalety.

- W takim razie - rzekł Atanazy, od niechcienia gładząc nefrytową powierzchnię - nie będzie wam przeszkadzało, mam nadzieję, jeśli użyjecie jednej z moich łyżek. O, na przykład tę ozdobił... człowiek, o którym tu wspominałem, & zapewniam, że będzie mile polechtany, kiedy się dowie, że choć odrobinę przyczynił się do dopełnienia Wielkiego Dzieła...

Nigdy nie widział, by czyjaś fizjonomia tak raptownie się zmieniła: w jednej sekundzie z twarzy Blauensteina znikła nieodłączna dotąd uprzejmość & pewność siebie. Bez słowa wpatrywał się w Kirchera ze złością & podejrzliwością szczura schwytanego w pułapkę, podczas gdy mistrz mój oczu nie odrywał od narzędzia, na którym alchemikowi wyraźnie tak zależało.

- Raczycie, ojcze, wytłumaczyć mnie przed tą osobą - powiedział w końcu ze źle skrywaną przebiegłością - ale bardzo mi zależy, żeby używać tej właśnie łyżki. Z powodu... z powodu przywiązania, że tak powiem. Transmutacja nie jest zwykłym doświadczeniem chemicznym, potrzebne jest również niejaki wycucie, właściwe ruchy, w czym decydującą rolę odgrywa przyzwyczajenie do pewnych przedmiotów, uczucie, jakim sieje niekiedy darzy...

- Dość, mój panie! - przerwał mu Kircher, wolno podnosząc nań wzrok. Po udawanej dotąd prostoduszności na obliczu mistrza mojego nie pozostał nawet ślad: nagle przed Blauensteinem stał inkwizytor, mrozący krew w żyłach duchowny, który całym sobą groził straszną karą. - „Właściwe ruchy” potrzebne są tylko akuszerkom & kuglarzom waszego pokroju! A & to kuglarze nie mają w sobie tyle obłudy co wy. Szalbierz z was, mój panie, ordynarny złodziejasek, & jeśliście wyprodukowali kiedy złoto, to ani chybi wyciągając je z mieszka łatwowiernych, do których ja się nie zaliczam...

- Jak śmiecie, wielbny ojcze! - oburzył się alchemik, walcząc resztką sił.

- Zakało & wyrzutku seminarium! Mam po kolei obnażyć wasze sztuczki? - ciągnął Kircher, łapiąc go za kołnierz. - Mam powiedzieć, czemuż to tak bardzo zależy wam na tej łyżce? Na kolana, niedoszły mnichu, na kolana! Kaci Inkwizycji mają szczególne poważanie dla kanalii waszego pokroju!

Gdyby imię Sinibaldus nie wierzył jeszcze, jakiego to oszustwa padł ofiarą, ciąg dalszy niechybnie otworzyłby mu oczy: nie mając żadnej szansy obrony wobec ataków & pogroźek Kirchera, Blauenstein przestał się hamować & wyznał wszelkie sztuczki, które zdołał wymyślić. Wielce ucieszny zaiste był widok tego nadętego dotąd człeka, który na wszystkie świętości błagalnym głosem zaklinał mistrza swojego, by okazał miłosierdzie.

Kiedy Atanazy uznał, że dość już nim napominał, udał, iż łaskawość dochodzi w nim do głosu.

- Nie wymagam, żebyście mi cokolwiek obiecywali, bo & któż mający choć trochę oleju w głowie dałby wiarę waszemu słowu? Ale rozkazuję, abyście natychmiast opuścili miasto wraz z tą waszą żółtą nierządnicą & nigdy więcej tu nie wracali! I macie poniechać alchemii. Pieniądze, któreście tak niegodnie zdobyli, potraktujcie jako jałmużnę od imię Sinibaldusa w pokucie za grzechy. Wykorzystajcie je, by polepszyć sobie życie, imając się uczciwego zajęcia, & ratujcie swą duszę szczerą skruchą za przeszłe grzechy. Niech raz jeszcze usłyszę o waszych szalbierstwach, a bez wahania wydam was w ręce trybunału kościelnego!

Blauenstein, jak łatwo zgadnąć, nie kazał sobie tego dwakroć powtarzać. Obiecał wszystko, czego żądano, wylewnie podziękował, nisko się kłaniając, po czym wziął nogi za pas.

Sinibaldus własnemu szczęściu nie wierzył: w ciągu kilku minut Kircher przywrócił mu & honor, &

znaczną część majątku. Lejąc łyżę wzruszenia, z oczyma błyszczącymi wdzięcznością, przykląkł na ziemi, aby podziękować Panu Bogu. Atanazy podszedł do niego, raz jeszcze zganił go delikatnie & wreszcie udzielił mu rozgrzeszenia.

Ja natomiast powinszowałem mistrzowi, że tak wzorowo zdemaskował niebezpiecznego oszusta, a przy okazji zagadnąłem o kilka spraw, których nie zdołałem pojąć. Jak mianowicie Blauenstein otrzymałby złoto, gdyby w ostatniej chwili nie został powstrzymany? Jakim cudem Kircher poznał, kim wcześniej był alchemik? Oto dręczące mnie pytania, na które Atanazy odpowiedział z uśmiechem.

- Jak otrzymać złoto? Ależ nic prostszego z tym przyrządem.

Podszedł do ognia, na którym w szklanym naczyniu bulgotała woda. Zanurzył w niej nefrytową łyżkę & zaczął wolno mieszać. Ku naszemu niebotycznemu zdumieniu w przejrzystej wodzie ujrzeliśmy po chwili deszcz złotych drobinek.

- Sztuczka stara jak świat - podjął Kircher - ale ciągle wywiera zamierzony efekt. Zobaczcie sami: w trzonku łyżki jest wydrążony kanałik. Wystarczy go napelnić złotym proszkiem, a otwór zatkać odrobiną wosku. W stosownej chwili każda gorąca ciecz sprawi, że wosk się rozpuści, a w tyglu pokaże się prawdziwe złoto. To złoto tutaj należało ani chybi do was, drogi Sinibaldusie... A co się tyczy tego, że nasz sztukmistrz był kiedyś

zakonnikiem, przyznam, że strzelałem w ciemno. Mierzę więcej niżli Blauenstein & kiedy on mówił, dokładnie się przyjrzał jego włosom. Moją uwagę zwróciła pewna anomalia: otóż na czubku głowy były dużo sztywniejsze, co można z łatwością wytłumaczyć tonsurą utrzymywaną przez kilka lat. Potem w trakcie rozmowy zastawiłem na niego pułapkę, wspominając o jego umiejętnościach w posłudze religijnej. Nie zdołał ukryć niejakiego zmieszania, co mnie utwierdziło w podejrzeniach. Jak zatem widać, wszystko było dziecinnie proste... No, dość tego gadania! Cała sprawa mocno zaostrzyła mi apetyt. Co byście powiedzieli, waszmościowie, gdybyśmy pokosztowali parę sztuk drobiu u naszego przyjaciela Carlina dwa kroki stąd?

Z przyjemnością wyraziliśmy zgodę, przy czym Sinibaldus nalegał, aby koszt uczy spadł na niego.

Kiedy kilka godzin później wrócił do domu, po alchemiku & jego niewieście nie został nawet ślad. Imć Sinibaldus po tej przygodzie darzył mego mistrza dozgonną wdzięcznością, czego wszakże nie można powiedzieć o Blauensteinie. Pokonany przez Kirchera & upokorzony, znenawidził go do cna, co okazało się kilka lat później, jak zobaczymy w dalszym ciągu niniejszej opowieści.

## ALCÂNTARA

*Pamięci Jima Bowiego i Davy'ego Crocketta...*

- Trzeba by zdobyć przynajmniej kopię tych planów - powiedział Eleazard ze zmarszczoną brwią. - Inaczej nic nie mogę zrobić. Rozumiesz, nie można pisać, nie mając dowodów, zwłaszcza kiedy się kogoś demaskuje.

Alfredo kręcił głową, ze złością nalewając do kieliszków *vinho verde*. On zupełnie inaczej na to patrzył, bez dwóch zdań.

- A jego żona? Nie można by jej w to wciągnąć?

- Nie w tej chwili - odparła Loredana. - Doktor Euclides mówi, że dla niej to sprawa osobista. Jej pieniądze, i ma sposoby, żeby interweniować.

- Chciała, zdaje się, żebyś udzielała jej lekcji włoskiego, prawda? - wtrącił Eleazard. - I co? Rozeszło się po kościach?

- Skądże! Ma w tych dniach zadzwonić do mnie na twój numer. Będzie okazja, żeby ją wy badać.

- No tak... - rzekł Alfredo z naburmuszoną miną. - Podsumowując: mamy amerykańską bazę, którą cichcem instaluje się na półwyspie, łajdaka gubernatora, który wykorzystuje tę informację, żeby spokojnie

spekulować, i troje kmiotów, którzy siedzą z założonymi rękami, czekając, aż będzie po ptakach.

- Wyluzuj, stary - uspokajał go Eleazard. - Daję słowo, że tak łatwo to nie przejdzie, tyle że za wcześnie, żeby coś robić. Jeśli zaczniemy mieszać, nie mając pewności, że robimy to skutecznie, tak wszystko zakręca, że dopiero wtedy będzie po ptakach.

- Eleazard ma rację - przyznała Loredana. - Zaufaj nam.

- „Zaufaj nam”... - przedrzeźniał Alfredo kojący głos Włoszki. - Bardzo was lubię, ale to mój kraj, mój stan. Dlatego nikomu nie ufam i obiecuję, że... - urwał, rozproszyło go bowiem pojawienie się przed hotelem trójki Amerykanów. - Już nie mogę ich znieść! - podjął, gdy przeszli koło nich, jakby stolik, przy którym siedzieli, był niewidzialny. - Z pokoju wychodzą tylko po to, żeby wkurzać Socorrę albo włączyć się po barach. Gdybyście widzieli, w jakim stanie wszyscy troje wracają!

Kiedy rankiem Eleazard przyszedł do Alfreda, próbował pomówić ze starą służącą: nie chciała przyjąć pieniędzy, które nie były zapłatą za pracę. Każde zajęcie jest w jakimś stopniu niewdzięczne, tak zdecydował Pan Bóg. Ona woli znosić upokorzenia przy wachlowaniu, niż zniżyć się do żebrania... Podziękowała mu, że interesuje się jej losem, grzecznie poprosiła jednak, by nie wtykał nosa w jej sprawy.

- Biedny Alfredo! - rzekł Eleazard, kiedy wraz z Loredaną wrócili do niego do domu. - Strasznie się tym przejmuję.

- A ty może nie? - zagadnęła Loredana lekko napastliwie.

- Jasne, że tak - przyznał zaraz. - Tyle że naprawdę nie wiem, co by można zrobić w tej chwili. A i później też, jak się dobrze zastanowić. Mimo naszych rad Alfredo wygada wszystko swoim kumplom komunistom, ta ich gazetka opublikuje oskarżenie na modłę Zoli i co? Moreira uśmieje się po pachy, po czym zakrzętnie się, żeby ich uciszyć. I wierz mi, każe im słono zapłacić, że ośmielili się wyrazić oburzenie... A ja? Cóż... Powiedzmy, że droga Carlotta przeobrazi się naraz w córę rewolucji, chociaż daruj, w to akurat szczerze wątpię, i dostarczy mi co trzeba, żebym mógł o tym napisać. Sądysz, że to wystarczy, aby przeważać szalę? Po jednej stronie miliony dolarów i Pentagon, a po drugiej niejaki Eleazard von Wogau,

dwadzieścia lat temu notowany w Niemczech jako sympatyk wszelkiej maści grup i grupiek, którym wечно coś się nie podoba... No nie... Wyobrażasz to sobie?

Włoszka zajrzała mu w oczy, pragnąc, by dotarło do niego w pełni to, co zamierzała powiedzieć:

- Trzeba przeczesywać trawę, by wypłoszyć węża... Jak skończysz z tym swoim pesymizmem, powiem ci coś o „Trzydziestu sześciu chytrych sztuczkach”, zgoda?

Teraz z kolei Eleazard zmierzył ją dziwnie.

- Czemu nie? - zgodził się tonem świadczącym o niewielkim zainteresowaniu.

- Stajesz się podobny do tej swojej papugi, jak robisz taką minę - oświadczyła, włączając komputer. - Wiesz, co mówią w moich stronach? *Chi non s'avventura non ha ventura!* Kto nie ryzykuje, nie zyskuje. Zostawiam cię, żebyś mógł p o p r a c o w a ć ...

Naprawdę dziwna z niej dziewczyna, pomyślał, kiedy Loredana poszła do pokoju Soledade. Jej nonkonformizm, ustawiczna mieszanina serdeczności i bezbłędnej celności spostrzeżeń tak bardzo go ujmowały - do czego przyznawał się przed sobą bez owijania w bawełnę - że przyćmiewały nawet wizerunek Elaine, którą z uporem wciąż stawiał na piedestale. Nadal nie posiadał się ze zdumienia, że tak się zachowała na przyjęciu u gubernatora. Uwodzicielskie zachęcanie wyłącznie po to, aby go spoliczkować! Wielka sztuka, aczkolwiek uczucia miał mieszane - widział bowiem, jak zręcznie Loredana manipuluje ludźmi, nieodparcie zatem nasuwała mu się myśl, że sam jest zagrożony. Czy aby z nim Włoszka nie postępuje tak samo? Nawet Euclides był pod jej urokiem. A równocześnie potrafiła zmierzyć Amerykanów w hotelu wzrokiem tak niechętnym, aż jemu ciarki przebiegły po plecach. W odniesieniu do niej Eleazard jednego tylko był pewny: że jest zdolna do wszystkiego.

Loredana zastukała do drzwi Soledade. Weszła, nie czekając na zaproszenie. Mulatka, rozwalona na rozkopanym łóżku z pudełkiem ciastek u boku, oglądała w telewizji mecz piłkarski.

- Brazylia-ZSRR - powiedziała, ani na sekundę nie odrywając wzroku od ekranu. - Jeden do jednego, zaraz koniec... Szybko, siadaj!

Loredana już miała usiąść, lecz zastygła: na białych ścianach widoczne jeszcze były wielkie wilgotne litery. Obracając się wokół własnej osi, czytała jedno zdanie, które powtarzało się na całym obwodzie pokoju aż do stojącego na toalecie środka owadobójczego w aerozolu: „*Eleazard, te quero*”...

- Coś takiego! - rzekła z uśmiechem. - Zakochałaś się w nim?

Soledade podniosła głowę, oczy zrobiły jej się jak spodki. Na widok wyznania, które przecież zmasała, lecz wciąż było widoczne, zrobiła śmiesznego zęza i nakryła głowę prześcieradłem, aby się ukryć przed wzrokiem Włoszki.

Loredana usiadła obok niej.

- Nie bój się, głuptasku - burknęła życzliwie. - Nie pisnę słówka. To nie moja sprawa.

Udało jej się odchylić prześcieradło, pod którym kuliła się Soledade.

- Naprawdę nic nie powiesz? Słowo?

- Słowo! - potwierdziła Loredana, przyciągając ją. - Ale powiedz, spaliście ze sobą?

- Nie - odparła dziewczyna wyraźnie zażenowana tak bezpośrednim pytaniem. - To znaczy... prawie... Tylko raz zaprowadził mnie do swojego łóżka, ale był tak naprany, że usnął, zanim w ogóle mnie dotknął. Pewnie nawet tego nie pamięta - dodała z nutką zawodu w głosie. - Nie jesteś zazdrosna?

- Jasne, że jestem - zażartowała Loredana. - Mnie nigdy nawet nie próbował pocałować.

- Ale cię kocha... Znam go dobrze, widzę, jak na ciebie patrzy.

- Wiem... - przyznała Loredana, patrząc nieobecny wzrokiem. - Ja też go lubię. Ale nie martw się, między nami nigdy do niczego nie dojdzie.

- Czemu?

- Temu... Sekret za sekret, dobrze? Nie powiesz mu, prawda?

Komentator telewizyjny zaczął naraz szybciej wyrzucać z siebie słowa, aby nadążyć za tempem akcji na boisku:

- Niebezpieczna sytuacja trzydzieści pięć metrów od bramki przeciwnika... Serginho się przymierza... Falcão strzela! Piłka trafia w mur, Junior główkuje... Słupek! Ale to nie koniec, Eder przejmuję piłkę. Pięknie drybluje, podanie, przejmuję Zico...

- Szybko, patrz! - zawołała Soledade. - Będzie gol!

W tejże chwili dziennikarz zawył przeraźliwie, przeciągle jak wilk, i wył, póki koledzy z drużyny nie zaczęli podrzucać strzelca w powietrze:

- Gooooooooool!... Ziiiiiiiico! Wiwat, Brazylia, *meu Deus*! Dwa do jednego!

Wpatrzona w powtórki puszczone w zwolnionym tempie, krzycząc i klaszcząc, Soledade dawała upust radości.

- Wspaniała akcja - mówił rozradowanym głosem komentator. - Strzał, który przejdzie do historii i wryje się w pamięć kibiców na zawsze zwłaszcza dlatego, że padł w ostatnich sekundach gry... Arbiter spogląda na zegarek... Niemożliwe! Nakazuje grać dalej! Rzut różny dla ZSRR... Cała drużyna skupiła się, żeby wykorzystać tę ostatnią szansę na wyrównanie... I... Koniec! Sędzia odgwizduje koniec meczu w dziewięćdziesiątej dziewiątej minucie! Dwa do jednego wygrywa Brazylia, zwycięskie gole zdobyli Socrates i Zico. Nasza drużyna awansuje tym samym do drugiej rundy mistrzostw świata. Niech żyje Brazylia!

- *Braziiuuuuuuuuu!* - zawtórowała mu uszczęśliwiona Soledade. - Zdobędziemy mistrzostwo, zdobędziemy!

- Niedługo umrę - powiedziała Loredana. Takim tonem, jakby stwierdzała, że niedługo spadnie

deszcz albo że zabrakło cukru.

Przez kilka następnych minut, gdy była sama z tymi straszącymi słowami, jej wyznanie bowiem nie przedarło się przez niewinną radość Soledade, wspomnienie podobnego zawieszenia przeniosło ją w odległą przeszłość, do czasów, gdy miała dwanaście lat. Było to w przeddzień jej Pierwszej Komunii, zapadał wieczór nad kwitnącymi drzewkami migdałowymi. Szła do spowiedzi u miejscowego proboszcza.

Trupio błada cera ojca Montefiascone, jego płaczliwy głos, gdy wyświetlał diapozytywy - poźółkłe obrazki pozbawione ducha i radości - odstręczyły ją od religii już na pierwszej katechezie. Od kilku tygodni, w najmniejszym stopniu nie czując się do winy, Loredana zamiast tej żalosalnej komedii przez dwie godziny w tygodniu fundowała sobie rozkoszne chwile marzeń na okolicznych polach. Sama myśl, że musi „przystąpić do komunii”, wydawała jej się śmieszna. Matka taką wagę przykładła do tego osobliwego wydarzenia, że Loredana pogodziła się z nim jako z czymś

nieuniknionym: wszyscy to robili, był to przymus, któremu należało się podporządkować, chociaż niezbyt rozumiała, czemu właściwie służy - jak przywdziewanie odświętnego stroju albo mówienie szeptem w kościele. Komunia!... Od wielu dni o niczym innym nie słyszała. Przyjadą ciotki, wujowie i kuzyni, świecę trzeba trzymać prosto, żeby się przypadkiem nie poparzyć woskiem, przygotowywanie kilogramów pasty i gnocchi na uroczysty rodzinny obiad po ceremonii, słynny tort, *torta a più piani*, zamówiony u cukiernika - wielki, złożony z kilku warstw i jak sobie wyobrażała Loredana, przechylony jak wieża w Pizie - lecz ciągle się upewniano, że zostanie dostarczony na czas, jakby losy świata uzależnione były od tej tajemniczej punktualności. A tego popołudnia, gdy po raz kolejny przymierzała białą albę - tę po grubej kuzynce Arianie, dlatego trzeba ją było zwięzić - matka zapytała, jak jej poszła spowiedź. Jaka spowiedź? - zdziwiła się beztrasko Loredana... Jak to? Nie byłeś u spowiedzi? - krzyknęła matka, omal nie połykając trzymany w ustach szpilek. I uniosła się wtedy kurtyna, odsłaniając najbardziej groteskowy melodramat. O nieszczęsna! Jakże chcesz przystąpić do komunii, skoro się nie wyświadała? Przecież chodziła na katechezy, prawda? *Madre de Dio!* Bolesne uderzenie w policzek, płacz, krzyki... Giuseppe! Ta smarkula... ta rozpuszczona smarkula opuściła wszystkie katechezy! No pewnie, że to poważne, ty ateisto! Komunisto! A ile razy mówiłam, żebyś nie palił w pokoju?! Atu rodzina przyjeżdża! I na przygotowania już wydaliśmy majątek! W sumie nie pozostało jej nic innego, jak spalić się ze wstydu.

Przez telefon proboszcz jeszcze dolał oliwy do ognia: Loredana Rizzuto? Przykro mi, nie znam takiego dziecka... Chociaż... Może chodzi o tę wariatkę, która zawsze zbaczała na wzgórze, zanim doszła do kościoła? Przykro mu to mówić, bo pewnie rodzice będą mieli mnóstwo kłopotu, ale niestety, w tej sytuacji nie może jutro przystąpić do komunii. Nie ma mowy, podanie temu dziecku Ciała Chrystusa byłoby grzechem śmiertelnym, powtarzał matce z naciskiem... Pocciwy ojciec Montefiascone! Długo kazał się prosić, zanim zgodził się przygarnąć do swojego stadka biedną zabląkaną owieczkę. Być może dałoby się to rozważyć raz jeszcze, ale natychmiast musi przyjść się wyświadać. Nie, nie do kościoła, lecz do jego mieszkania po drugiej stronie ulicy. Robi wyjątek i ma nadzieję, że pani Rizzuto ma tego świadomość, to akt czystego miłosierdzia... Panem

Bogiem nie można kupczyć, pani Rizzuto, ale ubodzy naszej parafii będą nieskończenie wdzięczni za nieoczekiwany datek...

Loredana kroczyła ku swemu przeznaczeniu, trzy kroki do przodu, jeden w tył, nie stawiać nóg w przerwy między kostkami bruku, lekko przeskakując kratki na studzienkach odpływowych, jakby wioska przeobraziła się w gigantyczne pole do gry w klasy. Im była bliżej, tym bardziej dręczył ją zasadniczy problem grzechu. Nigdy się nie spowiadała, ze słyszenia tylko wiedziała, że należy wyznaczyć swoje „grzechy”, najlepiej te najgorsze, i uzyskać ich odpuszczenie w zamian za odmówienie pewnej liczby modlitw. Daremnie łamała sobie głowę, nic sensownego nie potrafiła wymyślić. Bzdury typu „nie



słuchałam rodziców” albo „opuszczałam katechezy” wydawały jej się błahe i niegodne wyznawania na spowiedzi, na wszystkie strony obracała w myślach słowa, które znała jako grzeszne, aczkolwiek niespecjalnie miała pojęcie, jakich też grzechów dotyczą: posiąść, spać, gwałcić, macać, dotykać się...

Noc zapadała, kiedy wreszcie zadzwoniła do drzwi proboszcza. Otworzyła jej starszka mamrocząca coś o późnej porze i pchnęła ją na schody prowadzące na piętro. Loredana zapamiętała kolorowe ryciny przedstawiające wszystkie stacje drogi krzyżowej i dźwięki strzelaniny,, które towarzyszyły jej, gdy pokonywała stopnie. Wiedziona odgłosem strzałów, znalazła ojca Montefiascone siedzącego przed dużym telewizorem ze złotymi pokrętłami, w obudowie z laminatu. Na ekranie Davy Crockett, czyli John Wayne, organizował obronę obleganego fortu. Sutanna, serwetki, obrazki ze świętym Ignacym i Matką Boską... jakby zarażone przez telewizor rzeczywiste otoczenie także widziała w barwach czarno-białych. Poirytowany, że przeszkadza mu w oglądaniu filmu, ojciec Montefiascone ledwie ją przywitał. Nie wstając, kazał jej uklęknąć na dywanie twarzą do telewizora, tuż obok swego fotela, i powiedzieć *confiteor*. Loredana musiała się przyznać, że nie potrafi, po czym ścierpieć gromy, jakimi obsypał ją duchowny, a na koniec powtórzyć słowa, które z łaski jej podpowiadał.

Na ekranie zaczęła się finałowa walka, Davy Crockett zaczyna ustępować przed przeważającą liczbą napastników, towarzysze jeden po drugim padają wokół niego. W płonącym forcie ostatnią barykadę zdobywa kawaleria. „*Adelante!*”. Oddział huzarów ze skrzyżowanymi na piersi białymi pasami, z bagnetem na broni, maszeruje drobnym krokiem, rośnie na ekranie.

„Czy to znaczy to, co myślę?”, bełkocze człowiek, który osuwa się na rannego w futrzanej czapce. „A jakże...”, odpowiada tamten, patrząc prosto w oczy żołnierza, który zamierza się, aby ich dobić. Opuszczając umocnienie, na którym obsługiwał ostatnie działo, Davy Crockett zaczyna biec w kierunku prochowni z pochodnią w ręku. Nim wejdzie do środka, odwraca się jeszcze i wtedy bagnet przygwożdża go do drzwi. Oswobadza się jednak, chwilę chwije na nogach... Chociaż krzyczy, można by jeszcze sądzić, że stanie się cud, lecz na plecach ma dużą ciemniejącą plamę, taka sama widnieje na drzwiach w miejscu, gdzie weszło w nie ostrze i gdzie on jeszcze przed chwilą stał. Resztką sił ciska pochodnię między beczki z prochem i znika w magazynie. Wszystko wylatuje w powietrze, widz ma jednak świadomość, że John Wayne zginął na próżno.

Loredana nie była w stanie dostrzec komizmu sytuacji, zauważyła natomiast jej absurdalność: przypominało to koszmarny sen, jaki śni się czasem po zbyt obfitej kolacji albo po wywiadówce, z której nie można być dumnym. Posępny wrogi głos ojca Montefiascone zagłuszał tumult walki.

Jim Bowie leży na łóżku raniony w nogę w kaplicy, w której chronią się ranni. Czuwa przy nim stary Murzyn, niewolnik wyzwolony tuż przed atakiem, który aby bronić swej wolności, w pierwszych jej chwilach musiał zająrzeć śmierci w oczy. Hurmą wpadają Meksykanie. Obaj strzelają do nich ze wszystkiego, co mają: z karabinu, garłacza i pistoletów. Bagnety są tuż, zaraz dosięgną Bowiego... Ale nie! Stary niewolnik własnym ciałem osłania swego pana, ostrza wbijają się w tę żywą tarczę. Leżą jeden na drugim... Sztylet! Choć przygnieciony trupem sługi, Bowie znajduje sposób, aby ubić jeszcze jednego wroga. Zbliżenie na jego twarz: po obu stronach jego głowy w glinianą ścianę wbijają się bagnety. Widać te, które chybiły, słychać jednak, że inne pozbawiły go życia: krzyk zarzynanego prosięcia, charczenie, spazmy od trzewi, otwarte usta... Naga śmierć w swej obnażonej brzydocie.

Świat nie był przyjazny - był szary, niesprawiedliwy, cuchnący... Toczył go rozległy spisek, którego celem od samego początku była śmierć Davy'ego Crocketta i jego drużyny... We właściwej chwili Loredana wyznała kilka błahych grzeszków, po czym bezbarwnym głosem, w ciszy, w której rozlegał się tylko łopot sztandarów, dodała, że spała ze swoim ojcem.

Cała armia meksykańska stanęła w postawie na baczność, aby uhonorować dwie osoby, które przeżyły tę jatkę. Matka z córeczką jadą na mule jak Maria na drodze do Betlejem. Odjeżdżają z potarganymi włosami, z twarzami pobladłymi ze smutku i strachu, a idiotyczne trąbki grają na ich cześć. Kiedy

przejeżdżają przed generałem Santaną - mimo że nosi dwurożny kapelusz, to wykapany ojciec Montefiascone! - matka nie może się powstrzymać i obrzuca go wyzywającym spojrzeniem. Dziewczynka jest silniejsza, ignoruje go bowiem, jego i jego świat. Ona wzniosła się ponad nienawiść czy pogardę. Dojrzała do Czerwonych Brygad...

Z ojcem! - wykrzyknął człowiek w sutannie, po raz pierwszy zwracając się do niej twarzą. Tak, z ojcem. Byle tylko nie stchórzyć, z godnością wytrzymać przesłuchanie, choćby miała umrzeć jak John Wayne i Richard Widmark. Tak, w jego łóżku... Tej pamiętnej nocy, gdy piorun trafił w dom leśniczego. Tak, mama też była... Jesteś za duża, żeby spać w łóżku rodziców, rzekł ojciec Montefiascone udobruchany dobrowolnym wyolbrzymieniem grzechu. *Dominus, abracadabrum sanctus, te absolvo*, i już. Wolno „spać” z ojcem, a nawet z matką w szczególnych okolicznościach: trzy „Zdrowaś Mario” i załatwione, mogła odejść oczyszczona ze wszystkiego co najstraszniejsze, ani razu nie zerknąwszy na trupy Davy’ego Crocketta i Jima Bowiego.

Tego wieczoru Loredana się dowiedziała, że człowiek jest stworzeniem pozbawionym domu, niemogącym liczyć na sprawiedliwość, wydanym na pastwę cierpienia i skazanym na zgnicie. Ponieważ po raz pierwszy umarła w Alamo, ilekroć później widziała duchownego albo wojskowego, zawsze w duchu pluła mu w twarz.

- W s z y s c y umrzemy - odparła Soledade, wyłączając telewizor.

Choć Loredana obiecywała sobie, że nie da się ponieść emocjom, zraniły ją te na pozór chłodne słowa. Soledade najwyraźniej po czymś to poznała, łagodnym bowiem głosem ciągnęła: nie chodzi o to, żeby wiedzieć, kiedy ani jak umrzemy, lecz o to, aby żyć na tyle intensywnie, by w tej ostatniej chwili niczego nie żałować. Nie powiedziała tego z braku współczucia. Jeżeli Loredana mówiła poważnie, to co robi w Brazylii, z dala od rodziny i przyjaciół?

Od ich pierwszego spotkania, gdy nawiązały przyjaźń, gawędząc o tym i owym w kuchni, Loredanę ujął w dziewczynie absolutny brak romantyzmu, do którego ona z kolei miała nadmierną skłonność i musiała się wiecznie pilnować. To, że Soledade na ścianach wypisywała miłosne wyznania, wcale nie znaczyło, że pławi się w poczuciu opuszczenia, wynikało raczej z magii, z afrykańskich naleciałości, które sprawiały, że garściami jadła ziemię, kiedy się smuciła, albo odwracała przodem do ściany małą rui, którą Eleazard postawił na widocznym miejscu na półce w salonie.

- Och, sama już nie wiem... - wyznała w końcu ze ściśniętym gardłem, ledwie hamując łzy. - Boję się śmierci.

Soledade objęła ją.

- Wiem, czego ci trzeba - powiedziała, głaszcząc ją po włosach. - Pójdziemy do Mariazinhi... To „matka bogów”, tylko ona może ci pomóc. - I poufnym tonem dodała: - Widziałam, jak od samego jej patrzenia uschło drzewko cytrynowe!

## SÃO LUÍS

*Bankowa formalność i kwestia papierkowa...*

Od miesięcy pułkownik widywał Carlottę tylko w szlafroku i podchmieloną, co jeszcze podkreślało zaniedbanie w stroju, toteż był mile zdziwiony tego wieczoru, gdy zobaczył żonę z makijażem, w kostiumie od Chanel. Na moment ożywiła go nawet nadzieja odmiany. Kiedy sucho odmówiła drinka w jego towarzystwie i poinformowała, że muszą pomówić, natychmiast obudziła się w nim czujność.

- Znalazłam to niedawno... - oświadczyła, rzucając teczkę na niski stolik w salonie. - Oczekuję wyjaśnień.

Poznawszy błyszczącą okładkę planu inwestycji, Moreira zapatrzył się na moment na piegi na dłoniach Carlotty, na szpecące je brązowe plamy, których nie można było zrzucić na karb zbyt długiego opalania w słońcu, i przygotował się na najgorsze.

Dwie godziny później zamknął się w gabinecie na piętrze z ustami wyschłymi od daremnego przekonywania jej. Nalał sobie whisky i długo drapał strupek, który wymacał w brwi. Przez jedną nawet chwilę nie sądził, że „najgorsze” może przybrać aż takie rozmiary! Żona urządziła mu scenę o to, że wykorzystał jej majątek bez pisemnego upoważnienia- tego należało się spodziewać. Ale jeszcze tak się wkurzyła, aż domagała się, by anulować wszystkie umowy kupna działek na jej nazwisko - nie, to mu nawet w głowie nie postało. Krętacz, złodziej, oszust bez skrupułów... Posypały się na jego głowę zniewagi i oskarżenia. Jednakże nawet gdy groziła, że wniesie przeciwko niemu sprawę o nadużycie władzy, ani na moment nie traciła imponującego spokoju - odnajdywał dawną Carlottę, kobietę, którą nadal kochał mimo piekła, w jakie zamieniła jego życie od czasu tej historii ze zdjęciem. A on nawet nie przeleciał tej dziewczyny! Istna komedia.

Zapalił cygaro. Z uporem gmerając w faworytach, znalazł nowy wyprysk do drapania. Nie miał tymczasem pewności, czy po przespaniu nocy żona wróci do rozumu; równie dobrze mogła nadal trwać przy swoim. W każdym razie musiał podjąć kroki zaradcze i zabezpieczyć się raz na zawsze przed jej kapryсами. Własność tych terenów stanowiła podstawę całego przedsięwzięcia: bez nich nie będzie zysku z odprzedaży, nie będzie kompleksu wypoczynkowego, cała misterna budowla rozsypie się w pył... Najprostszy sposób to odkupić je. Tyle że musiałby powtórnie zastawić własne dobra, inaczej nie zdobędzie potrzebnej sumy.

Moreira otworzył nieduży sejf ukryty zarówno z rozsądku, jak i ze względów estetycznych w płaskorzeźbie Abrão Batisty. Wyjął plik dokumentów bankowych i zagłębił się w liczbach. Przez długie minuty w gabinecie słychać było tylko szelest nerwowo przerzucanych kartek. Wreszcie rozległo się skrzypnięcie, gdy gubernator z zadowolonym uśmiechem rozparł się w fotelu. Najprostszymi rozwiązań nigdy nie zauważa się od razu, nikną bowiem pod stosami nieistotnych drobiazgów. Raz jeszcze przeczytał faks, który załatwiał jego problem: „Szanowny Panie, w nawiązaniu do naszej rozmowy... i tak dalej... potwierdzamy, że kwota w wysokości 200 000 USD, stanowiąca zaliczkę na realizację Pańskiej inwestycji została, zatwierdzona. Przypominamy, że kredyt będzie uruchamiany i transzami przekazywany na Pańskie konto po potwierdzeniu poniesienia konkretnych kosztów...” i tak dalej.

Japończycy przyznali wczoraj pierwszą część kwoty, jaką zgodzili się wyłożyć. Te pieniądze miały pokryć przygotowanie terenu pod inwestycję, tak aby można przystąpić do budowy jak najszybciej, gdy tylko ze strony rządu brazylijskiego zapali się zielone światło. Wystarczy zatem, że jakimś sposobem zdoła wydebić od nich tę kasę, a będzie mógł zwrócić pieniądze

Carlocie. Ponieważ ma jej pełnomocnictwo, nie będzie nawet musiał pytać jej o zdanie, nazwisko na tytułach własności zostanie zmienione bez problemu. Nadwyżka pozyskana ze sprzedaży ziem przeznaczonych pod amerykańską bazę pozwoli mu później wyrównać to, co teraz uszczknie z kredytu. Wskutek całej tej operacji uszczerbku doznają tylko jego osobiste zyski, lecz z tym jakoś się pogodzi.

Skoro ustalił, na jakiej zasadzie dokonany zostanie ten transfer, reszta była już tylko bankową formalnością i kwestią papierkową...

Pułkownik wziął telefon i wybrał domowy numer swego prawnika.

- Pan gubernator? - usłyszał zaspany głos po drugiej stronie linii. - Która to godzina?  
- A jakie to ma znaczenie? - powiedział Moreira, patrząc na zegarek. - Druga rano. Pora, żebyś się obudził i uważnie słuchał.

- Jedna chwila, zmienię tylko aparat... Halo? Już jestem.

- No to słuchaj: masz być u Costy, jak tylko otworzy biura. Nie obchodzi mnie, jak to zrobisz, ale nie wyjdiesz od niego bez faktur za robociznę na kwotę w sumie stu tysięcy dolarów. Powiedz mu, żeby

fakturował karczowanie, niwelowanie... co chce. On się na tym zna, więc niech coś wymyśli, byle wyglądało naturalnie.

- Coś się stało?

- Nic ważnego, później ci powiem. Jak tylko dostaniesz te kwity, masz iść do Sugiyamy, żeby przelali na moje konto tę kwotę z kredytu, a potem na jednej nodze gnasz do mnie do biura z notariuszem i tytułami własności. Jutro rano wszystkie działki muszą zostać przepisane na moje nazwisko. Formalnie później to uregulujemy.

- Na pana nazwisko? Naprawdę?

- Obudź się, na Boga! Przecież mówię... Spróbuj jak zwykle choć trochę pozacierać ślady. Nie na wiele to się zda, ale z przyczyn politycznych lepiej, żebym za bardzo nie włąził w oczy w tej transakcji. Rozumiesz wszystko?

- Tak, zajmę się tym...

- No to wracaj do łóżka. Widzimy się rano.**ROZDZIAŁ XVIII**

*W którym jest mowa o odsłonięciu fontanny Pamphilich oraz o przyjemnej na ten temat rozmowie Atanazego z Berninim*

**R**ok 1650, który się rozpoczął tymi wydarzeniami, był także rokiem, w którym sława Kirchera jeszcze wzrosła, albowiem jedną po drugiej wydał wtedy drukiem dwie prace: „Musurgia Universalis” oraz „Obeliscus Pamphilus”. Sam podtytuł „Muzurgii” dowodził wagi & nowatorstwa owego dzieła: „Wielka księga brzmień zgodnych & niezgodnych na X ksiąg podzielona, w których w całości omówiona jest doktryna & filozofia dźwięku, a także teoria pospołu z praktyką muzyki we formach wszelakich; wyłożone są zarówno cudowne moce brzmień zgodnych & niezgodnych w całym wszechświecie wraz z mnogimi a osobliwymi przykładami, które są zastosowane do użytku praktycznego a wszechstronnego w każdej niemalże sytuacji, szczególnie wszakże w filologii, matematyce, fizyce, mechanice, medycynie, polityce, metafizyce & teologii”. Trzystu naszych braci misjonarzy, przybyłych na wybory nowego generała Towarzystwa Jezusowego, odjechało z egzemplarzem owego dzieła w głębokim przekonaniu, że będzie nader użyteczne w barbarzyńskich krajach, do których się udawali.

Co się tyczy „Obelisku Pamphilego”, to oprócz kroci objaśnień na temat symboliki egipskiej w pracy tej po raz pierwszy zamieszczony został wierny & pełny przekład tekstu napisanego hieroglifami! Niedługo po opublikowaniu obu ksiąg ze wszystkich stron świata zaczęły napływać listy z gratulacjami.

Szczytem związanego z tym poruszenia stało się pewne nieoczekiwane wydarzenie: otóż rzymski senator Alfonso Donnino, który właśnie oddał

Bogu ducha, zapisał Towarzystwu Jezusowemu, a Kircherowi zwłaszcza, cały swój gabinet osobliwości! Kolekcja ta, należąca wówczas do najwspanialszych, obejmowała posągi, maski, bóstwa, tablice, broń, stoły z marmuru & z innych cennych materiałów, wazy szklane & kryształowe, instrumenty muzyczne, zdobione naczynia oraz niezliczone fragmenty starożytnych kamieni. Należało zatem dokonać przebudowy drugiego piętra kolegium, aby powiększyć powierzchnię muzeum & pomieścić to bogate dziedzictwo.

Wiosną 1650 roku rodzina Pamphilich dokonała odsłonięcia Fontanny Czterech Rzek. Na Forum Agonale ściągnęły najmoźniejsze rzymskie rody, a wśród nich Kircher & Bernini, jedyni wykonawcy tego wspaniałego dzieła. Po długiej przemowie na temat cnót swego poprzednika Aleksander VII, nowy

Najwyższy Kapłan, uroczyście poświęcił fontannę, otworzono zawory & czysta woda z Acqua Vergine nareszcie popłynęła do rozległego zbiornika mającego ją przyjmować.

- Ta fontanna stanowczo zasługuje na pochwałę - rzekł papież, podchodząc do naszej grupki: do Kirchera, Berniniego & mnie. - Chylę czoło przed ludźmi, których nasz wiek uczyć winien tak, jak uczczono Michała Anioła & Marsilia Ficina w ich czasach.

Bernini nadał się odrobine, gdy mistrz mój z pokory podkreślił, że jego udział był raczej skromny.

- Czy prawdą jest, co powiadają - podjął papież, zwracając się do Berniniego - że ta przedziurawiona skała, lew & koń kosztowały was jedynie kilka tygodni pracy?

- Kilka miesięcy, Wasza Świątobliwość - sprostował lekko dotknięty Bernini. - Reszta dzieła nie przedstawiała większej trudności, a & tak zabrałaby mi więcej czasu, niż miałem.

- Wiem, wiem... - ciągnął papież łagodnym głosem, ostentacyjnie spoglądając na posąg, który symbolizował Nil. - Nikt jednak nie może twierdzić, że fontanna byłaby równie majestatyczna, gdybyście ją całą wyrzeźbili własnoręcznie.

Nie było tajemnicą dla nikogo, że istotnie, Bernini osobiście pracował tylko nad trzema posągami wymienionymi przez papieża, poza tym nadzorował jedynie najlepszych uczniów ze swojej pracowni, którzy wykonali pozostałe części fontanny. Nie tyle z przemyślenia, ile z konieczności, aby dotrzymać terminów narzuconych przez świętej pamięci Innocentego X.

I chociaż ironia Najwyższego Kapłana miała na celu jedynie ukłuć wyraźnie pysznącego się Berniniego, mnie się wydała mocno niesprawiedliwa. Zauważywszy błyski w oczach rzeźbiarza & znając jego porywczą naturę, Kircher przyszedł mu w sukurs.

- Oczywiście bywa, że uczeń przerasta mistrza - powiedział. - *Tristo è quel discepolo che non avanza U suo maestro,*<sup>1</sup> czyż nie? Rzadko się to zdarza, niemniej tym razem cała zasługa leży po stronie tego, który ich wszystkiego nauczył.

<sup>1</sup> Zły to uczeń, który nie przewyższa mistrza.

- A powiedzcie no, ojcze - rzekł papież, nie zwracając uwagi na komentarz Kirchera - czy nie jest antynomią umieszczanie kamiennego bożka w samym centrum pomnika poświęconego naszej wierze? Jeszczem nie zdążył przejrzeć waszego dzieła, podobno porywającego, ciekawym zatem dowiedzieć się, jakim cudem potraficie wytłumaczyć niewytłumaczalne...

Atanazy rzucił mi przelotne spojrzenie, w którym wyczytałem, jak bardzo jest zdumiony: oto papież miał mu za złe, że bronił przed nim Berniniego! Rzeźbiarz zresztą posłał mu porozumiewawczy grymas, jakby prosił o wybaczenie, że z jego powodu znalazł się w opałach.

- Nie trzeba się uciekać do magii - odparł Kircher- aby wyjaśnić obecność tego obelisku w samym sercu Wiecznego Miasta. Poprzednik Waszej Świątobliwości, świętej pamięci papież Innocenty X, nie bez kozery pragnął, aby nazwisko jego & jego przodków na zawsze łączyło się z tym dziełem. Chociaż obelisk stworzył jeden z najstarszych ludów, godnych wszelako mierzyć się z naszym, niemniej nadal jest to symbol pogański & z tego właśnie powodu wieńczy go gołąbek Ducha Świętego, wskazując na wyższość naszej wiary nad pogaństwem. Tym sposobem boska światłość, płynąca prosto z odwiecznych niebios zwyciężczyni wszelkich kultów bałwochwalczych, obdarza swą łaską cztery ziemskie kontynenty reprezentowane przez Nil, Ganges, Dunaj & La Platę, cztery wspaniałe rzeki, z których Afryka, Indie, Europa & Ameryki czerpią życiodajne soki. Nil ma oblicze przysłonięte, ponieważ nieznanne są jeszcze jego źródła, pozostałe natomiast przedstawione są z emblematami odpowiadającymi naturze każdego.

- Nadzwyczaj interesujące... - stwierdził Aleksander VII. - Krótko mówiąc, waszym zdaniem to pomnik ku chwale naszej wiary & zawdzięczamy go hojności Innocentego X oraz waszemu geniuszowi... Nie tak to

widziałem. Zwłaszcza po awanturze, jaką niedawno urządzili wam franciszkanie...

- Obstawaj przy swoim - upierał się Kircher, nie zważając na przycinek - & powtarzam: ta fontanna to

kamienny pomnik ku chwale Kościoła & wszystkich misjonarzy, który służą świętej sprawie, ale jest także czymś więcej & jeśli mi wolno...

- Na dziś wystarczy, mój ojciec. Wzywają mnie inne obowiązki, z przyjemnością zatem kiedy indziej posłucham waszych... bajeczek.

Wtedy po raz pierwszy & ostatni ujrzał, jak mój mistrz spurpurowiał... Drżałem, by nie rzucił na koniec jakiejś kąśliwej uwagi, w czym nie miał sobie równych, pohamował się wszakże & pokornie skłonił, aby ucałować pierścień, który Aleksander mu nadstawił. „*Vale! Miser nego causam*”,<sup>1</sup> rzekł przez zęby, jak nakazuje reguła naszego zakonu. Bernini & ja podobnieśmy pożegnali papieża, który bezceremonialnie odwrócił się do nas plecami.

<sup>1</sup> Żegnaj! Ja, nieszczęsny, mówię „nie” przyczynie.

Kiedy tylko Bernini stwierdził, że nie grozi mu, iż ktoś go zobaczy, wybuchnął gromkim zaraźliwym śmiechem.

- Oto jak płaci ten, kto staje po stronie kamieniarza! - powiedział, ujmując Kirchera pod ramię. - Witajcie wśród komedianckiej braci, ojciec, bo otoście wyniesieni do rangi bazarza.

- Jak on mógł? - oburzał się Kircher wciąż chmurny. - Lata pracy, żeby wreszcie rozgryźć tajemnicę hieroglifów, poznać poszukiwany od wieków klucz, który odsłania nam całą wiedzę & filozofię starożytnych! I wszystko zostaje odrzucone jednym niedbałym gestem, jakim odgania się natrętną muchę! Za cóż Pan Bóg tak mnie karze? Czy wciąż mam w sobie za wiele pychy?

- Ależ nie przejmujcie się tak - powiedział Bernini pocieszająco. - Jeszcze kilka dni temu ten papież był ledwie kardynałem Fabiem Chigim słynącym z... powiedzmy, z braku rozsądku & z patrycjuszowskiej próżności. Jeśli prawdą jest, że funkcja stwarza organ, w wypadku tego ptaszka z czasem jeszcze się to nasili...

Ta refleksja wywołała uśmiech na twarzy Kirchera, choć jednocześnie zmarszczył brew z udawaną dezaprobatą. Chętnie bym uściskał za to

Berniniego! Zwłaszcza że zaraz też zaprosił nas do siebie szczerze & serdecznie jak stary przyjaciel.

- *Carpe diem*, moi drodzy! Zapomnijmy o tym ośle & chodźmy opróżnić parę butelek francuskiego wina, które trzymam na tę okazję. Jeśli o mnie chodzi, wolę ten napitek od źródlanej wody, choćby nawet płynęła w raju!

Domostwo Berniniego położone było niezbyt daleko od miejsca, gdzieśmy przebywali. Zastaliśmy tam paru uczniów rzeźbiarza, którzy mieli swój udział w powstaniu fontanny & zaraz po odsłonięciu stawili się u mistrza. Było też parę nędznie wyglądających istot płci żeńskiej, które tam mieszkały, służąc za modele Berniniemu & jego uczniom, ale także usługując w domu & jakim się domyślił z poufałości, na jakie pozwalały tym jegomościom, w czym innym także... Poczciwe, nawiasem mówiąc, wesołe & nawet z niejaką oglądą niewiasty, które w naszej obecności potrafiły się zachować całkiem przystojnie.

Zasiedliśmy w pracowni przy wspólnym stole, pośród zaczętych gipsowych figur, bloków kamienia & rysunków, które zapełniały pomieszczenie. Przez rozciągnięte pod świetlikami w dachu pokaźne sztuki białej tkaniny wpadało stłumione światło; wino było w sam raz schłodzone w miedzianych kubkach, w głowach szybko zaszumiło & Kircher niebawem odzyskał dobry nastrój.

Bernini wciąż od nowa opowiadał o swojej wymianie zdań z papieżem & o tym, jak mój mistrz wziął jego stronę na własną szkodę. Wyśmienicie naśladował suchy wyniosły głos Aleksandra VII, wywołując powszechną wesołość. Obrazy w tym nie było nijakiej, toteż Atanazy śmiał się wraz z innymi z owych zjadliwych drwin, aczkolwiek sam nie zabierał głosu.

Po drugiej flaszy białego wina z Ay gospodarz polecił zabić kilka kur & zanieść je do upieczenia człowiekowi w sąsiedztwie, który chętnym zawsze na czas potrafił przyszykować jadło. I niebawem z ustami pełnymi doskonale przyrządzonego mięsiwa znów jeliśmy rozprawiać o fontannie. Jedna z niewiast siedzących przy stole zapytała, czy to prawda, że każde zwierzę wyryte na obelisku opowiada

jakaś historię.

- Jakżeby inaczej, ślicznotko! - zawołał Bernini, odrywając kurze udko. - Możesz wierzyć ojcu Kircherowi, który czyta te hieroglify, jakby sam je wyrysował... Nieprawdaż, wielbny ojcze? - dodał, puszczając oko do Atanazego.

- Ależ nie przesadzajcie, mistrzu - sprzeciwił się Kircher - to znacznie bardziej skomplikowane, niż się wydaje. Brat Caspar, który pomaga mi w pracy, może potwierdzić, ile trudu kosztuje każdy wiersz przekładu. Starożytni kapłani egipscy wedle uznania gmatwali swój tajemny język, aby ich wiedzy nie poznali profani. Czas pokazał, że to zamierzenie powiodło im się w pełni...

- A co opowiadają te obrazki? - zapytała niewiasta.

- Piękną historię, taką, że ani chybi przypadnie ci do gustu - włączył się Bernini. - Historię miłości Izydy & Ozyrysa... Nastaw ucha, moje dziecko, & pilnuj, żeby mi w gardle nie zaschło. Otóż niejaki Re z Egiptu, tamtejszy bóg Słońca, miał na swoje nieszczęście czworo dzieci: dwie córki, Izydę & Neftydę, oraz dwóch synów, Tyfona & Ozyrysa. Ci bracia & siostry poślubili się między sobą, taki bowiem zabawny obyczaj mieli tamtejsi wielmoże. Izyda została małżonką Ozyrysa, a Neftyda Tyfona. Ponieważ ojczulek nieco podupadł, rządy w królestwie powierzył Ozyrysowi, który jego zdaniem najbardziej się do tego nadawał. To były szczęśliwe czasy: przy pomocy małżonki Ozyrys nauczył swój lud uprawiać zboże & winorośl, dal mu religię, zbudował wielkie piękne miasta, w których wszystkim żyło się dostatnio. Lecz oto Tyfon, wiedziony zazdrością o władzę, jaką miał Ozyrys, & o sławę, jaką się cieszył, postanowił zawiązać spisek przeciwko bratu. Zwabił go w misternie przygotowaną zasadzkę, zamordował, pociął na kawałeczki & wrzucił do Nilu...

- Nieszczęsna Izyda - ciągnął Bernini swą opowieść - zrozpaczona, ale nadal kochająca, zaczęła szukać szczątków małżonka. Dzięki swej wytrwałości odnalazła je prawie wszystkie, ponieważ ryby żyjące w Nilu z respektu je oszczędziły. Prawdę powiedziawszy, brakowało tylko jednej części, wyśmienitego kawałka, na który polakomiła się ryba zwana tam oksyrynych... A tym kawałkiem, duszko ty moja, ulubionym kawałkiem Izydy jako prawdziwej niewiasty był Ozyrysowy kindybał, bindas, kuś, dzyndzel, wacek, pyta, rožen, dziobak, fajfus, bolec, węgorz, kolba, czub, drąg, grucha, rympał, korzeń, basałyk, pacholek, dyszel, krótko mówiąc, jego fujara! Tak, tak, kochaniutki, jego fujara!

Gruchnęły śmiechy & chichoty ze wszystkich stron, sam Kircher nawet powinszował Berniniemu bogactwa języka.

- A zatem - podjął rozweselony rzeźbiarz - dramat dla owdowiałej Izydy. Jej upór wszakże & wytrwałość nie znały granic, co jest, daję słowo, zupełnie zrozumiałe, tak że królowa przy pomocy swej siostry & Anubisa odtworzyła członek małżonka z mułu & śliny, przykleiła we właściwym miejscu, po czym dzięki niebiosom & różnym praktykom ożywiła Ozyrysa. Wygląda na to, że nowe narzędzie działało znacznie lepiej niż poprzednie, szybko się bowiem okazało, że Izyda jest brzemienna. Wydała na świat chłopca, któremu nadano imię Harpokrates. Objął potem rządy, podczas gdy Ozyrys, pierwszy śmiertelnik, którego przywrócono do życia, radował się wieczną szczęśliwością na polach Jaru, rajy Egipcjan.

Wszystkich obecnych nad wyraz zaciekawiła opowieść Berniniego, posypały się zatem pytania, osobliwie na temat jej prawdziwości.

- Kapłani egipscy - zaczął objaśniać mistrz mój - zgodnie z doktryną przekazaną przez starożytnych patriarchów, uważali, że Bóg jest po trosze wszędzie. Dokładali więc starań, aby odkrywać Jego manifestacje ukryte w naturze, po czym ukazywać je za pomocą symboli wziętych, ma się rozumieć, również z natury. Historia Ozyrysa jest bajką oczywiście, skromnie zaciągniętą zasłoną, poprzez którą mędrcy usiłowali wyrazić, wedle świadectwa Jamblicha, największe tajemnice boskości, świata, aniołów & demonów.

- Powoli, powoli, ojczulku! Takie bajanie zostawcie sobie dla innych! - zaśmiał się drwiąco Bernini.

- Bo jeszcze trochę, a wmówicie nam, że ci wasi faraonowie wierzyli w Boga jedyne & w Tróję Świętą!

- A żebyście wiedzieli...

- Czemu w takim razie cały świat nie jest chrześcijański? - zapytał Bernini tym razem poważniej.

- Diabelska przewrotność nie zna granic. Ponadto mocno ją wspomogło pomieszanie języków po zburzeniu wieży Babel, rozproszenie ludów & zniekształcenie obrzędów, które potem nastąpiło... Wszystkie bałwochwalcze religie są mniej lub bardziej wyraźnymi anamorfozami chrześcijaństwa. Egipcjanie, którzy dzięki Hermesowi byli w posiadaniu największych tajemnic wiedzy uniwersalnej, roznieśli je po całym świecie, aż do Chin & Ameryk, gdzie z wolna dokonało się ich przeobrażenie, wypłonienie niczym lisów, gdy tracą naturalne umaszczenie & w końcu przybierają barwę lodów albo pustyń, które zamieszkują. Jednakże Egipcjanie świadomi byli takiej oto prawdy: czymże jest poćwiartowanie Ozyrysa przez Tyfona & wytrwałe poszukiwania Izydy, jeśli nie odbiciem bałwochwalstwa,

nieszczęścia, któremu boska mądrość zaradza, gromadząc rozproszone części praobraza w jednym ciele mistycznym? Rozejrzyjcie się wokół: nic nie jest stałe, nic nie trwa, żadne prawa nie mają dość mocy, by zagwarantowały pokój & nie zostały złamane. Wojna toczy się wszędzie! I do nas, kapłanów & misjonarzy, należy poszukiwanie w cierpieniu & męczeństwie owej utraconej trwałości...

## **MATO GROSSO**

*Co w nocy dobją się do moskitiery...*

Trzeciego dnia marszu stało się oczywiste, że posuwają się przez dżunglę znacznie wolniej, niż przewidywali. Yurupig, Mauro i Petersen na zmianę nieśli nosze z Dietlevem, las jednak pozwalał im posuwać się w linii prostej najwyżej o dziesięć metrów, po czym drogę zagrażała gęstwa drzew zwieszających bujne gałęzie, płatanina mrocznych zarośli, dorodne, gęsto ulistnione rośliny. Idącemu na czele udawało się czasem wyciąć maczetą przejście, zaraz jednak trzeba było okrążyć jakąś przeszkodę, przelazić przez pień zwałonego drzewa zapadający się pod nogami, przeciskać się przez płataninę lian, a nawet czołgać, gdy dający nadzieję prześwit widać było za lukowato wygiętym potężnym korzeniem. Bez ustanku spychani z obranego kierunku, starali się wyszukiwać naturalne przejścia prowadzące mniej więcej na północny wschód ku północy wskazywany przez kompas. Kierunek jednak był taki wyłącznie w teorii, bywało bowiem, że się cofali, aby znaleźć inną drogę może wiodącą niekoniecznie w dobrą stronę, za to zdecydowanie dla nich dogodniejszą. Wydawało im się, że przemierzają jedną wielką zgnilizną zapadającą się pod ich nogami, zamieniającą w półpłynną masę. Grząski żyzny humus, z którego w miejsce martwych roślin natychmiast wyrastały kolejne - silniejsze, gęstsze, wzmocnione procesami rozkładu. Gigantyczne bromelie czy kauczukowce, wielkością nijak niemające się do roślin, które Elaine pod tą nazwą знаła z kwaciarni, strzeliste drzewa o kształtach gładkich albo skręconych tak, że wyglądały na niewiarygodne obiekty syntezy, korzenie jak szczudła, figowce dusiciele, rośliny pasożytnicze wszelkiej maści, kolejne piętra lasu pnące się w nieskończoność w samym sercu dżungli... Skądś z góry dolatywała wszechobejmująca

kakofonia nieokreślonych dźwięków, przenikliwy zgiełk najrozmaitszych głosów, wśród których tylko Yurupig i Petersen zdolni byli odróżnić krzyki kapucynek, postukiwanie dzioba tukana, histeryczny wrzask wielkiej ary... Wydawało się, że tajemnica życia skupiła się w tym pierwotnym tyglu, w którym roilo się od milionów komarów i innych owadów.

Już o piątej po południu zielony cień zaczynał gęstnieć, tak że należało wybrać miejsce na obozowisko na tyle wcześnie, by zdążyć z oczyszczeniem wybranego terenu, rozwiesić hamaki i nabierać chrustu. Elaine w życiu nie przypuszczała, że w sercu lasu tak trudno znaleźć coś, co da się spalić: drewno było



gąbczaste, obrośnięte mchem, pokryte sfermentowanymi sokami, mrowiskami, termitami, tętniło życiem, a spalało się tak łatwo jak namoczona szmata. Posykujące ognisko, przy którym zasiadali po zapadnięciu nocy, zawdzięczali staraniom jednego Yurupiga.

Ustalili, że pochodź zamykać będzie Elaine, aby jak najbardziej chronić ją przed przeszkodami stawianymi przez las; ich przejście płożyło z kryjówek krocie stworzeń, które pierzchały ledwie zauważone, ale ujrzawszy zmykającego jej dosłownie spod stóp małego węża koralowego, zrozumiała, że narażona jest tak samo jak wszyscy. Chociaż idąc, nie odrywała oczu od ziemi, każdy pień drzewa, każda na nim wypukłość stanowiła śmiertelne zagrożenie, przed którym należało mieć się na baczności. Niczym w pałacu strachów w lunaparku do twarzy naraz lepiły się ogromne sieci ptaszników strzępkami przypominającymi watę cukrową, rozbrzmiewający tuż przy uchu agresywny szelest przyprawiał o bicie serca, wszystko zdawało się sprzysięgać przeciwko intruzom, jednoczyć siły, aby ich pożreć.

Yurupig i Petersen dość swobodnie czuli się w tym otoczeniu. I jeden, i drugi znał tysiąc sposobów, aby zebrać wodę nadającą się do picia albo zmusić drzewa do „śpiewu”, nim rozwiesili na nich hamaki. Petersen bez ustanku dawał wyraz swemu obrzydzeniu, psiocząc na wszystko i wszystkich, Indianin natomiast szedł w milczeniu, czujny niemal jak ogar wietrzący trop. Niemiec boczył się przez pierwsze dwa dni, potem - choć nikt tak naprawdę nie pojął powodów tej nieoczekiwanej metamorfozy - odzyskał humor, a nawet wykazywał niejaką serdeczność wobec towarzyszy.

Wieczorem czwartego dnia, kiedy zasiedli wokół ogniska, zgasła wszelka nadzieja na to, że wkrótce dotrą do rozgałęzienia rzeki.

- Musimy jeszcze trochę ograniczyć racje żywnościowe - powiedział Mauro - bo przy takim tempie może nam nie wystarczyć.

- Jak myślisz, ileśmy dzisiaj przeszli? - spytała Elaine.

- Nie mam pojęcia... Pewnie raptem ze dwa kilometry. Ale jestem wykończony, jakbym przeszedł siedemdziesiąt.

Wetknął rękę pod koszulkę i podrapał się nerwowo po torsie, po czym obejrzał grudkę, którą zdrapał: w złuszczonej skórze wczepiony był opity krwią malutki pajaczek.

- No nie!... - rzekł z odrazą. - Cóż to znowu za paskudztwo?

- *Carrapato*... - powiedział Yurupig, nawet nie racząc spojrzeć.

- Kleszcz - wyjaśnił cicho Dietlev. - Wiesz poszycia leśnego... Nie martw się, wszyscy to mamy. I nie będzie łatwo się ich pozbyć, jak już uda nam się poważnie nimi zająć. To jedna z niespodzianek, o których wcześniej nie mówiłem...

Elaine aż otrząsnęła się ze wstrętem i natychmiast wydało jej się, że bardziej ją swędzą okolice krocza i pach.

- Bez takich niespodzianek chętnie bym się obeszła - zauważyła z bladym uśmiechem. - No dobra, bierzemy się za ziazi. Kto chce zacząć?

- Ja - podchwycił Mauro, podciągając nogawki spodni. - Piecze, cholerstwo...

Odsłonił kostki poznaczone czerwonymi pręgami, pokaleczone ostrymi trawami. Elaine wypędzlowała je jodyną, potem zajęła się szyją i przedramionami Maura. Yurupig poprosił, by zdezynfekowała mu brzydkie skaleczenie na policzku, Petersen zaś odmówił jakichkolwiek zabiegów, burcząc, że nie takie rany odnosił, a takie paćkanie i tak na nic się nie zda. Następnie Mauro zajął się Elaine.

- Nie ma co, pięknie wyglądamy - rzeki, kiedy skończył malować jej skaleczenia na czerwono. - Jeszcze trochę, a będziemy straszyć małpy.

- Mauro, czy mógłbyś... - odezwał się Dietlev.

Chłopak podniósł się natychmiast, to samo zrobił Yurupig. Podnieśli nosze i odeszli z nimi poza krąg światła padającego od ogniska.

Elaine w skupieniu przeglądała apteczkę, nie zwracając uwagi na plusk uryny spadającej na liście:

kilka dni wcześniej w takiej sytuacji czułaby się ogromnie zażenowana, lecz teraz nie pora była na takie uczucia. Kiedy

zdjęła Dietlevowi opatrunek, rana roiała się od robactwa. Wielkie muchy, które dręczyły wszystkich podczas marszu, zdołały znieść w niej jaja, mimo że Elaine bardzo starała się dobrze zabezpieczyć ranę. Noga szerniała, obrzmienie było bardzo wyraźne, skóra napięta do granic. Kończyna topielca. Gangrena postępowała nieubłaganie. Trzy ampułki morfiny, jeden blister sulfonamidów... Uświadomiła sobie naraz, że to nie wystarczy, aby powstrzymać zakażenie. Przemknęło jej przez głowę, że Dietlev może nie wrócić z nimi do Brasilii. Odrzuciła tę myśl natychmiast ze strachu, że mogłaby się okazać prorocza. Myślenie o najgorszym to jak trzymanie w ręku piorunochronu podczas burzy... Nie pamiętała już, kto to powiedział, lecz święcie wierzyła w tę przestrożę.

Kiedy Mauro z Yurupigiem postawili nosze przy ognisku, Dietlev aż drżał z bólu. Twarz miał zlaną potem.

- Zrobić ci zastrzyk? - zapytała Elaine, ocierając mu czoło.
- Jeszcze nie, zaraz przejdzie... Petersen! Możesz tu przyjść?
- Jestem, *amigo*. Czym mogę służyć?

Dietlev rozłożył papier, na którym wyrysował mapkę.

- Wedle moich szacunków jesteśmy gdzieś tutaj... - Wskazywał strefę na południowy zachód od bagien, mniej więcej w jednej czwartej drogi, która wiodła do rozgałęzienia rzeki. - Zgadza się?

- No - potwierdził Petersen, zerknąwszy na mapkę. - Na oko tak... Tak mi się zdaje. Niedługo powinniśmy dojść do mokradeł. Łatwiej będzie się orientować w terenie, ale marsz raczej nie będzie lżejszy.

- Tego się właśnie obawiałem - wyznał Dietlev, zwracając się do Elaine. - Zajmie nam to jeszcze dobre dziesięć dni. To o wiele dłużej, niż sądziłem. Przykro mi.

Petersen wzruszył ramionami i głośno, soczyście pociągnął nosem.

- Było poczekać na mnie na statku, jak mówiłem. Też coś! Wybierać się w dżunglę z kobietą, dzieciuchem i noszami... Kompletna gówniarzeria!

- Zamknij się! - warknął Mauro, patrząc nań wrogo. - Wszystko przez ciebie!
- On umrze - powiedział Petersen, znowu wzruszając ramionami. - On umrze i wy też... Wkurzacie mnie wszyscy po kolei!

Obrócił się na pięcie i wspiał się do swojego hamaka. Spod moskitiery dobiegł ich odgłos charknięcia.

- On częściowo ma rację - stwierdził Dietlev ze smutkiem. - Gdybyście mnie tam zostawili, posuwalibyście się dwa albo i trzy razy szybciej. Można by mnie odstawić z powrotem na statek, ale...

- ...ale nie ma o tym mowy - przerwał mu spokojnie Mauro. - Uda nam się i nikt nie umrze, rękę za to. Obiecałem matce, że przyjadę do Fortalezy na Boże Narodzenie, i przyjadę. To postanowione.

- Nie ma co strzepić sobie języka - powiedziała Elaine, posyłając Maurovi wdzięczny uśmiech. - Wszyscy spać, musimy odpocząć.

Mauro i Yurupig ułożyli Dietleva w hamaku przy pomocy Elaine, która podtrzymywała mu nogę. Choć bardzo się starali, aby jej nie urazić, geolog niemal popłakał się z bólu. Elaine poczekała kilka chwil, po czym na jego prośbę zrobiła mu zastrzyk z morfiny. Kiedy spłynęło nań ukojenie, musnęła wargami jego usta i zaciągnęła nad nim moskitierę.

Elaine padła jak kłoda i natychmiast zasnęła. W środku nocy przebudziła się nagle z przemożnym uczuciem, że z oszalałającą prędkością spadała i oto roztrzaskała się o ziemię. Niezupelnie jeszcze przytomna wyciągnęła rękę, szukając ramienia Eleazarda, jego ciepła, i przebudziła się zupełnie uwięziona w hamaku. Przez niewidzialną ścianę moskitiery docierał blask kilku żarzących się jeszcze węgli, które słabiutko się odcinały w nieprzeniknionych ciemnościach otoczenia. Cisza miała

niewytłumaczalną nieprzeniknioność czerni. Unosząc się na powierzchni nocy, Elaine naraz doświadczyła wizji i zobaczyła całe obozowisko: kilka delikatnych kokonów zawieszonych w próżni, malutkich, zdanych na ślepy marsz tłumu. Zdumiona niepomiernie usłyszała gwar nadciągającego pochodu, wykrzykiwane slogany, a potem wrzawę jak na stadionie w chwili, gdy cały tłum daje wyraz rozczarowaniu. Gwałtowny podmuch wiatru zakolysał dżunglą ze wszystkich stron i o zadaszenie hamaka zaszeleściły krople deszczu, do reszty rozwiewając przywidzenie. Elaine zmroziło. Skuliła się, pragnąc jak najszybciej zasnąć na powrót, by odegnąć obrazy śmierci, które dobijały się do niej pod moskitierę. Z całych sił zapragnęła, aby wstał już dzień.

O świcie, kiedy Yurupig zaklaskał na pobudkę, deszcz już nie padał. Zaspany Mauro zapomniał wstrząsnąć czaszą moskitiery przed rozsunięciem zamka błyskawicznego, tak że chlusnęły na niego litry wody zgromadzonej nad głową. Z kałasznikowem w rękę jak oparzony wyskoczył z hamaka. Nawet Indianin, niezbyt skory do okazywania uczuć, zaśmiał się pod nosem. Zdołał rozpaść ogień mimo nocnej ulewy, która przeszła nad lasem, Mauro mógł się więc ogrzać, przy okazji wycierając chusteczką broń.

- Jeśli go nie rozłożysz i nie oczyścisz - rzekł burkliwie Petersen - mechanizm zardzewieje i co najwyżej będziesz mógł rozłupywać orzechy.

- Moim zdaniem - odparł Mauro, nie patrząc na niego - woda nie zdążyła się wlać do środka. Możemy sprawdzić, jeżeli o to ci chodzi...

Odbezpieczył karabin i wycelował w starego Niemca.

- Przestań! - rozległ się głos Dietleva. - Nie chcę więcej widzieć, jak bawisz się tą bronią, słyszysz? Lepiej pomógłbyś mi się stąd wydostać, bo zupełnie skostniałem.

Elaine wyłoniła się zza drzewa; pomogła Maurowi i Yurupigowi przenieść Dietleva na nosze.

- Jak się czujesz? - spytała, gdy leżał już przy ogniu.

- Jak norweski omlet: z wierzchu gorący, w środku zmrożony... Ale nie boli mnie, po ostatnim odpłynięciu jeszcze nie całkiem wróciłem.

- Mocno polało w nocy - rzekł Yurupig, podając mu kubek z kawą. - Niedobrze dla nas.

- Ale przecież to nie pora deszczowa - zauważył Mauro, starając się mówić lekkim tonem.

- Nie, dopiero za jakiś miesiąc, półtora - przyznał Dietlev. - Pod tym względem nie ma co się bać. Na razie może nas najwyżej mocno polać od czasu do czasu nocą.

Szkoda, pomyślał Mauro. Zaczynała mu się podobać ta przygoda i chociaż niewątpliwie Dietlev dawał powody do zmartwienia, on czuł się coraz bardziej uskrzydłony.

Niedługo później, kiedy rozproszyły się poranne mgły, ruszyli w drogę.

Szli od dwóch godzin - Petersen i Yurupig przy noszach - gdy idący przodem Mauro zapadł się po kolana w lepkie błoto niewidoczne pod roślinnością. Zawołał Yurupiga, aby pomógł mu wydostać się z kleistej mazi, i wrócił do grupy.

- Dotarliśmy do bagien - oznajmił radośnie. - Chyba należy się nam chwilką wytchnienia, co, Dietlev? - Odwrócił się do niego i uśmiech nagle znikł mu z twarzy. - Dietlev?...

Elaine, która z tyłu grupy przysiadła na zwałonym pniu, rzuciła się do noszy: płonący gorączką, z półprzymkniętymi oczami, Dietlev oddychał z trudem. Nie odpowiadał, gdy niespokojnie doń przemawiała - był daleko, gdzie indziej, tam gdzie nie ma już ani cierpienia, ani słów.

- Yurupig, znajdź mi wody! - rozkazała.

Rozpuściła później silną dawkę aspiryny i wlała Dietlevowi do ust.

Podszedł Petersen, kiedy pospiesznie zdejmowała opatrunek. W ranie znowu roilo się od larw, choć było ich trochę mniej, noga jednak jeszcze bardziej spuchła, nawet na udzie były już ciemne plamy.

- Trzeba uciąć, i to jak najszybciej - odezwał się Petersen.

Elaine zachnęła się z oburzeniem, jakby powiedział coś obscenicznego, lecz wytrzymał jej wzrok na pozór bez emocji. Żrenice miał nienormalnie rozszerzone, oczy mu gorzały w wychudłej twarzy.

- Gangrena posuwa się coraz wyżej - mówił. - Jeśli nie utnie mu się nogi, będzie po nim, koniec, kropka. Sama zobacz, kobieto.

Musiała przyznać, że Niemiec ma słuszność, zanim jeszcze napotkała smutne spojrzenie Yurupiga. I łzy napłynęły jej wtedy do oczu - nie z powodu konieczności amputacji, z czego nagle zdała sobie sprawę, lecz dlatego, że wiedziała, iż ona nie będzie w stanie tego zrobić.

- Jak chcecie, mogę się tym zająć - zaproponował Petersen. - Robiłem to już kiedyś, na froncie.

- Ty?! - wykrzyknął zdumiony Mauro. - Niby z jakiej racji? - Ze złości aż ochrypl. - Po tym coś knuł, żeby nas zostawić na statku?!... Chcesz nam wmówić... Ty gnoju! Chcesz go zabić!

Petersen już miał odpowiedzieć, że bez problemu można zabić kogoś z zimną krwią, trudno natomiast patrzeć, jak ta sama osoba zdycha jak pies, uznał jednak, że to zbyt skomplikowane, by jakoś ubrać w słowa, odszedł więc po prostu na ubocze.

- Tę nogę trzeba amputować, rozumiesz? - powiedziała Elaine miękko. - Mauro, popatrz na mnie, proszę... Powiedz, czy ty byś to zrobił? - Obserwowała go bacznie, kiedy speszony szukał słów. - Nie martw się - dodała, obejmując go. - Gdyby chciał go skrzywdzić, wystarczyłoby, żeby trzymał język za zębami... Weź się w garść! Dietlev będzie nas potrzebował.

Podeszła do Petersena.

- Do roboty! - powiedziała. - Na moją odpowiedzialność.

- Ach, tak? Więc już nie jestem parszywym mordercą? Moglibyście się w końcu zdecydować...

Elaine patrzyła nań z błaganiem w oczach.

- No dobrze. Ale robię to dla pani, wyłącznie dla pani.

Cofnęli się nieco, aż znaleźli miejsce nieco bardziej odsłonięte. Na polecenie Petersena Yurupig rozpałił ognisko, aby zagotować wodę i wysterylizować narzędzia. Kiedy wszystko było przygotowane, Herman znikł gdzieś na kilka minut, po czym wrócił, pociągając nosem. Dietlev leżał na ziemi na poły świdom, co się z nim dzieje, po zastrzyku z morfiny, który Elaine mu zrobiła.

- Ty, gówniarzu - zwrócił się Niemiec do Maura - będziesz go przytrzymywał za ramiona. Yurupig, zajmiesz się zdrową nogą...

- A ja? - zapytała Elaine.

- Ty będziesz robiła, co powiem. Masz pilnować opaski uciskowej i podwiązywać tętnice, jeśli będą widoczne.

Kiedy Petersen piłką z apteczki zaczął piłować kość udową, Dietlev wydał tylko jeden krzyk - długi, przejmujący, z najdalszych głębin jestestwa. Kurczenie się mięśni wokół odsłoniętej kości, niepoohamowane drgania rannego, krew wypływająca z żył, tryskająca z tętnic... Ale nie to było dla Elaine najstraszniejsze. Najstraszniejszy był widok odciętej nogi, osobliwie nieprzyzwoitej, leżącej obok Dietlewa, gdy ona starała się powstrzymać krwawienie.

- I po robocie... - rzekł Herman, gdy skończył obmywać wrzątkiem ranę i jej okolice. - Trzeba zostawić kikut na powietrzu, żeby się zabił. Żadnego ciapania jodyną. Tylko woda i gaza dla osłony. Uciąłem wysoko, mam nadzieję, że wystarczająco.

Stali wokół okaleczonego Dietlewa pobladli, z twarzami ściągniętymi zmęczeniem i napięciem po tym pokazie prymitywnej chirurgii.

- Dziękuję - powiedziała Elaine, ujmując dłoń starego Niemca. - Nie wiem jeszcze jak, ale na pewno się odwdzięczę...

Petersen burknął coś, wyraźnie zażenowany jej gestem. Wyprostował się, zrobił kilka kroków, wsunął stopę pod amputowaną nogę i jednym rzutem posłał ją w krzaki.

- Połóżcie go na nosze - rozkazał, odwracając się. - Dość już zmarnowaliśmy czasu.

*Z notatnika Eleazarda*

NIE TYLKO muzyczna teoria w „Muzurgii”, ale całe dzieło Kirchera jest projektem „komunikatywnym”, a raczej: kolonizacyjnym.

OBSESJA HERMENEUTYKI... „Symbol - pisze Kircher - jest doniosłym znakiem tajemnicy głębiej ukrytej, co oznacza, że z natury swej wieść powinien nasz umysł, dzięki niejakiemu podobieństwu, ku zrozumieniu czegoś bardzo odmiennego od tego, co ofiarowują nam zmysły zewnętrzne; i czego właściwością jest zamknięcie albo ukrycie za zasłoną niejasnego wyrażenia” („Obeliscus Pamphilius”). Po raz kolejny, taniec siedmiu zasłon... Dlaczego jednak rzeczy miałyby być znakiem czegoś innego niż własna promienna nagość? Jakież perwersyjny erotyzm miałyby nas powstrzymywać przed odarciem ich ze skóry niczym króliki?

CZERWONY KAPTUREK: - A czemu tak dobrze się znasz na tkaniu moskitier, ojczyste?

Atanazy Kircher: - Żeby je lepiej podnosić, moje dziecko...

KIRCHER PRZEGAPIŁ NARODZINY ducha oświeceniowego. W zakresie wiedzy jego dzieło jest sterylne. A zważywszy, że taką masę książek poppełnił, dziwi nawet, że tak mało miał ciekawych przemyśleń. Nie dorósł do swoich czasów.

BARDZIEJ OD IDEI BOGA szkodliwy jest dogmat, tak jak systematyka w filozofii albo każda reguła oparta na przepisach nasmarowanych wazeliną Absolutu.

TRZEBA NAZYWAĆ rzeczy po imieniu i rozprawiać się z nimi bez emocji.

„IDEOLOGIA - napisał Roland Barthes - jest jak frytkownica: jakkolwiek ideę w niej zanurzysz, zawsze wyciągniesz frytkę”. Kircher zalatuje zjełczałym olejem kontrreformacji. Należałoby go spalić, ale nie na stosie, tylko naprawdę, dla przykładu „tym, którzy przeżyli, i tym, którzy uniknęli występku”... „Dlaczego tak łatwo pozwalamy potępiać nieżyjących? - pytał Pierre Ayrault. - Ponieważ nie można im już udzielić rozgrzeszenia ani złożyć powinszowań”. Aby mieć przyjemność odznaczenia żołnierza poległego na służbie, trzeba móc powiesić trupa tego, kto w ogniu okazał się tchórzem.

KARANIE PAMIĘCI: po zrównaniu z ziemią domu, zasypaniu rowów i stawów, upokorzeniu progenitury i wymazaniu imienia z rejestrów narodzin obcinano jeszcze lasy należące do winnego na wysokość człowieka.

CHIŃSKIE STANOWISKA URZĘDNICZE:

Pełnomocnik do spraw granic

Pełnomocnik do spraw insygniów z piór

Inspektor degustatorów leków

Komisarz do spraw ujarzmiania buntowników

Kierownik biura przyjęć ujarzmionych buntowników

Wielki Mistrz napomnień

Funkcjonariusz śladów

Pełnomocnik do spraw Wejścia i Wnętrza  
Wielki sekretarz tyłów Wielkiego Sekretariatu Tyłów  
Upiększacz przekładów  
Funkcjonariusz do spraw wchodzenia i obserwowania  
Obserwator przeciągów  
Wicedyrektor do spraw gminu  
Nadzorca żab  
Południowy skazaniec  
Przykładacz oka do dziurek w zamkach szaf  
Pełnomocnik do spraw ochrony i wyjaśniania  
Przypominacz cesarskich zapomnień  
Przewodnik ślepców  
Skrzydółkowy  
Minister zimy  
Ściskacz dłoni  
Opiekun skórzanych butów z cholewką  
Regulator żeńskich tonów  
Uczestnik narad na temat plusów i minusów  
Przeklinacz  
Przyspieszacz opóźnionych depesz  
Świecki dyżurny muzyk biorący krótki dyżur  
Wielki przeglądacz ryb  
Zbieracz łupin kasztanów  
Przyjaciel

SŁOWNIKI I ZESTAWIENIA: domena osób kompulsywnych. Indeks jako gatunek literacki?

KIRCHER MYŚLI tylko za pośrednictwem obrazów, co sprowadza się do tego, że nie myśli. To człowiek refleksyjny w takim sensie, jak pojmował to Walter Benjamin: pośród alegorii czuje się jak ryba w wodzie.

ULUBIONE RZECZY BOGA: liczba nieparzysta, samogłoski, cisza, śmiech.

BRAZYLIJSKI PORTUGALSKI to język miękkich wokaliz. Język czarnej magii, inwokacji. W swoim „Podręczniku harmonii” Nikomachos z Gerazy stwierdza, że spółgłoski stanowią materię dźwięku, samogłoski jego boską naturę. Te ostatnie są jak nuty muzyki sfer planetarnych.

KIEDY ARABOWIE opanowali Egipt, nazwali hieroglify „ptasim językiem” z powodu stosowanej w nich dużej liczby wizerunków ptaków.

ZAPISKI FLAUBERTA, październik 1859: „Ojciec Kircher, autor «Oedipus Aegyptiacus», twórca latarni magicznej, mechanizmu pozwalającego zbudować automat mówiący jak człowiek, palingenezy roślin oraz dwóch jeszcze urządzeń, jednego liczącego i drugiego do rozprawiania na wszystkie tematy, był badaczem Chin i języka koptyjskiego (pierwszy w Europie). Autor dzieła, którego tytuł zaczyna się tymi słowy: «Turris Babel sive Archontologia», urodzony w 1602”. Ponieważ ten wywód sąsiaduje z notką na temat Pierre’a Jurieu - „Pierre Jurieu dręczony kolkami przypisywał je walkom, jakie ustawicznie toczyło siedmiu kawalerów zamkniętych w jego trzewiach” - która będzie wykorzystana w

brulionie niedokończonych satyr „Bouvard et Pécuchet», łatwo się domyślić, jaką wartość Flaubert przypisywał dziełu Atanazego Kirchera...

LOREDANA. Doradza z serdecznością i łagodnością cekaemu. Co nie zmienia faktu, że niewątpliwie ma słuszość: jeśli zostaniemy, bestia nas pożre; jeśli uciekniemy, dogoni nas.

## ROZDZIAŁ XIX

*W którym dowiadujemy się o niespodziewanym  
nawróceniu królowej Krystyny*

Tego samego roku niewiarygodne zgoła wieści dotarły do Watykanu nader krętymi drogami: córka tego Gustawa Adolfa, który poprzysiągł ongiś, że rozprawi się ze wszystkimi papistami & jezuitami na świecie, oświecona, lecz wolnomyślna władczyni królestwa w całości zaprzędanego reformacji, królowa Krystyna Szwedzka potajemnie pragnie się nawrócić!

Gra szła o wysoką stawkę: oto pojawiła się wyjątkowa okazja, aby ukazać wielkość Kościoła rzymskiego & jego umiejętność sprowadzenia na swoje łono jednej z najwybitniejszych postaci reformacji. Należało zatem starannie dobrać tych, którzy obarczeni zostaną zadaniem przyspieszenia tego procesu. Raz jeszcze zasięgnięto rady Kirchera, ów zaś mądrze zaproponował swych superiorów & natychmiast dwaj dobrze mu znani jezuiti udali się do Szwecji w szlacheckim przebraniu.

Ewangelizacja Krystyny Szwedzkiej zaczęła się niezwłocznie, aczkolwiek nie bez trudu, ponieważ królowa, inteligentna & bieglejsza, niż ktokolwiek sądził, w kwestiach teologicznych, na każdy argument swych nauczycieli przedstawiała własny. Na dokładkę zaś powiedzieć trzeba, że podstawowa przeszkoda w owej konwersji miała charakter czysto doczesny: jako katoliczka królowa Krystyna nie mogłaby dłużej rządzić krajem protestanckim...

Przez dwa następne lata mistrz mój prawie nie opuszczał gabinetu, pochłonięty całkowicie pisaniem „Świata podziemnego”, który z dnia na dzień się rozrastał, oraz rewizjami & poprawkami koniecznymi przy publikacji pracy „Oedipus Aegyptiacus”.

Drugiego maja 1652 roku, w dzień swoich pięćdziesiątych urodzin, dostąpił nareszcie tej radości, że trzymał w ręku pierwszy tom owego wielkiego dzieła, któremu poświęcał każdą chwilę życia od momentu, kiedy hieroglify jakby mu się objawiły. Dwadzieścia lat nieustannych badań & poszukiwań, ponad trzystu autorów starożytnych przywołanych na poparcie & rozwinięcie jego tezy, dwa tysiące stron podzielonych na cztery tomy mające się ukazać w ciągu trzech lat! Liczne grawiury, wykonane pod jego kierunkiem przez tak utalentowanych malarzy, jak Bloemaert & Rosello, wspaniale ilustrowały tekst, do którego na życzenie mistrza mojego odlano mnóstwo nowych czcionek. Przedsięwzięcie było przeogromne & sukces odniosło proporcjonalny do rozmiarów.

Wydanie „Oedipus Aegyptiacus” odbiło się tak szerokim echem w całej Europie, że między rokiem 1652 a 1654 Kircher niejednokrotnie musiał stawiać czoło niedogodnościom wywoływanym przez entuzjazm swoich współczesnych. Do Rzymu na spotkanie z nim z całego świata licznie przybywali erudyci wysyłani przez największe akademie. Ze wszystkich stron zjeżdżano, aby zobaczyć człowieka, który zdołał odczytać język faraonów, hieroglify okryte nieprzeniknioną tajemnicą przez dwa tysiące czterysta lat... Sukces był taki, że nakład się wyczerpał, zanim jeszcze książki wyszły spod prasy drukarskiej. Nazwisko Kirchera było na wszystkich ustach, przez co w ciągu tych trzech lat musieliśmy odpowiedzieć na ponad tysiąc listów.

W Sztokholmie tymczasem legaci papiescy doczekali się nareszcie nagrody za swoje wysiłki: 11 lutego 1654 roku królowa Krystyna Szwedzka powiadomiła Radę, że postanowiła abdykować na rzecz swojego kuzyna Karola Gustawa. Nadaremnie członkowie Rady protestowali - zbiegiem okoliczności, którego tajemnice jeden los zna tylko, 2 maja 1654 roku, a zatem w dzień urodzin Kirchera, ustąpiła z tronu w obecności przedstawicieli wszystkich stanów swojego królestwa. Sama ceremonia abdykacji była już teraz czystą formalnością, tak że od 16 czerwca, kiedy to Krystyna Szwedzka złożyła insygnia królewskie & własnoręcznie zdjęła z głowy koronę, miała władzę jedynie nad własnymi czynami na tym padole.

Lat liczyła zaledwie dwadzieścia osiem, a dłużej panowała niżli niejeden monarcha o pobielających skroniach, teraz zaś natychmiast wyruszyła w drogę, by jak najszybciej opuścić królestwo, z którego wygnała się na własne życzenie. W towarzystwie kilku jedynie sług & wiernych dworzan, z obciętymi włosami & w męskim przebraniu, aby jej nie rozpoznano, bez żalu wyjechała z kraju, który afektem jej nie obdarzył.

Najpierw udała się do Innsbrucku, gdzie oficjalnie miała wyrzec się herezji. Nietrudno sobie wyobrazić, z jakim niepokojem władze kościelne obserwowały każdy jej krok. Abdykacja, choć czynem była ważnym, nic jeszcze nie znaczyła, Krystyna bowiem w każdej chwili mogła się cofnąć przed wyznaniem wiary, tak istotnym dla Kościoła. I nie tylko mistrz mój śledził królową za pośrednictwem pism, które watykańscy szpiedzy ślali na Kwiryna!

23 grudnia dotarła do Willebroeku, gdzie arcyksiążę Leopold, namiestnik Niderlandów, przybył na jej spotkanie. Po wystawnej kolacji wsiedli na fregatę, która przewiozła ich przez kanał aż do mostu w Laeken na przedmieściach Brukseli. Przez całą drogę arcyksiążę & Krystyna grali w szachy, nad nimi zaś niebo bez ustanku rozświetlały sztuczne ognie. Następnego wieczoru, w Wigilię, wraz z kilkoma szlachetnie urodzonymi osobami zgromadzili się w pałacu Leopolda, tym samym, w którym sto lat wcześniej abdykował Karol V, aby resztę życia poświęcić kontemplowaniu dzieł Naszego Pana.

Tej właśnie wigilijnej nocy, pod przewodem ojca Guemesa, dominikanina, Krystyna wyrzekła się przed Bogiem luteranckiej herezji...

Kircher mi wyjawiał, że na tę wieść wiele osób w pewnych kręgach odczuło ogromną ulgę. Wszelako raporty, które już nazajutrz po owym pamiętnym wydarzeniu zaczęły licznie spływać, dawały powody do niepokoju: Krystyna Szwedzka, ani myśląc okazywać pokory, jaka przystoi świeżej konwertytce, wiodła podobno w Brukseli życie nad wyraz ruchliwe. Z balu na bal biegała, z przyjęcia na przyjęcie, a plotkom nie było końca. Grała w bilard, z którym radziła sobie doskonale, w towarzystwie wyłącznie męskim, brała udział w szalonych wyścigach sań na wsi albo & na ulicach miasta, a nawet odgrywała nieprzystojne role w tych komediach śpiewanych, które Kościół uważa za naganne... Najważniejsze wszakże osiągnięto, a w opowieściach o jej nieobyčajnej konduicie z pewnością było wiele przesady. O nawróceniu Krystyny nikt nie został uprzedzony, świat dopatrywał się zatem jedynie materii do krytykowania zwyczajnych ekscesów religii reformowanej.

W czerwcu 1655 roku Krystyna wreszcie stanęła w Innsbrucku. I w miejscowej katedrze 3 listopada królowa, tym razem na oczach wszystkich, wyrzekła się swej wiary, otrzymała także absolucję & przystąpiła do komunii. Przy tej okazji wykazała się skupieniem & pokorą, które dobrze wróżyły na przyszłość.

Krystyna Szwedzka katoliczką! Wydarzenie to, szeroko upowszechniane przez Kościół, wywołało poruszenie w krajach protestanckich. W pierwszym rzędzie, ma się rozumieć, był to cios dla Szwecji. Znacznie dobitniej niżli traktat westfalski zwycięstwo owo kładło kres wojnie trzydziestoletniej & wieńczyło triumf rzymskiego Kościoła apostołskiego. Aleksander VII nie posiadał się z radości - nasza wiara wszak nigdy nie miała się tak dobrze jak pod jego egidą. A kiedy Krystyna Szwedzka, w kilka zaledwie dni po ceremonii innsbruckiej, wyraziła życzenie przyjazdu do Rzymu & zamieszkania tam,



papież skwapliwie udzielił jej na to zezwolenia. Zwołał naradę Kongregacji Rytów, na którą zaproszono wszystkich kardynałów, generała jezuitów oraz Kirchera, & ustalono, z jakim ceremoniałem szacowna konwertytka ma zostać powitana u bram Wiecznego Miasta. O niechęci do mistrza mojego Najwyższy Kapłan dawno już zapomniał, teraz zatem jemu osobiście zlecił przyszykowanie owego przyjęcia, tak aby miało należyty przepych & oprawę.

Krystyna Szwedzka wyruszyła w drogę 6 listopada z zaleceniem, by podróż jak najbardziej spowolnić, Watykan bowiem potrzebował odpowiednio dużo czasu na godne przygotowania. Niemniej należało się spieszyć. Jako że mistrz mój otrzymał we wszystkim *carre blanche*, zaprosił do pomocy Berniniego. I odtąd razem dzień & noc się trudzili, by najpierw wykoncytować, po czym zrealizować najrozmaitsze wspaniałości...

Podczas gdy w Rzymie trwały gorączkowe przygotowania, Krystyna niespiesznie podróżowała. Książę Mantui powitał ją ze względami należnymi głowom koronowanym: leżąc w lektyce niczym małżonka faraona, przebyła Piave w świetle tysięcy pochodni trzymanyh przez żołnierzy Karola III Gonzagi, który wyruszył jej na spotkanie.

Przebrana za amazonkę, przystrojona klejnotami, Krystyna odbyła triumfalny wjazd do Bolonii, Faenzy, Rimini, wreszcie do Ankony. Niczym rzeka coraz szerzej się rozlewająca, w miarę jak oddala się od źródeł, jej orszak osiągnął rozmiary niewyobrażalne. Szlachta wszelakich narodów, ale także prości dworacy przyciągnięci nadzwyczajną jej hojnością & wszelkiej maści niebieskie ptaki, za cały majątek mający tylko piękny wygląd, ścigali ku Krystynie, aby jej towarzyszyć w drodze do Rzymu. W Pesaro, tańcząc canarię, ów nowy taniec przybyły do nas z wysp, poznała hrabiów Monaldeschiego & Santinello, żalosnych jegomościów, którzy kilka lat później przyczynili się do niełaski, w jaką popadła, o czym ciągle pamiętamy. Tymczasem zaślepiona urokiem tych dwóch awanturników pozwoliła im dołączyć do swego orszaku & ruszyła w dalszą drogę.

W Loreto, już u bram Rzymu, Krystyna Szwedzka zapragnęła w symbolicznym geście złożyć swe berło & koronę na ołtarzu, ofiarowując je Najświętszej Paniencie. W nocy 19 grudnia tegoż roku nareszcie wjechała do miasta w zamkniętej karecie, która chroniła ją przed spojrzzeniami gapiów, & udała się prosto do Watykanu, gdzie papież oddał do jej dyspozycji apartamenty.

W ciągu tych dwóch miesięcy Kircher z Berninim pracowali bez opamiętania. Czerpiąc do woli z szeroko otwartej kiesy Aleksandra VII, wyszykowali przyjęcie niebywale. Oficjalny wjazd Krystyny miał się odbyć dopiero za trzy dni, kiedy królowa wypocznie po trudach podróży. I chociaż od tygodnia wszystko już było gotowe, należało doglądać właściwego rozmieszczenia & ustawienia wszelkich urządzeń. W całym kolegium zapanowała niejaka panika. Zamknięty w swoim gabinecie Kircher nie odstępował od rury akustycznej: wydawał polecenia, pokrzykiwał, sprawdzał tysiące rzeczy, podrywając do czynu swoje oddziały niczym wódz w przeddzień decydującej bitwy. Posłuszni mu aktorzy owego teatru niestrudzenie powtarzali swoje role, ja zaś nigdy się tyle nie nabiegał po ulicach Rzymu co wtedy.

W czwartkowy poranek 23 grudnia Krystyna Szwedzka niepostrzeżenie opuściła miasto, udając się do willi wzniesionej przez papieża Juliusza, skąd wczesnym popołudniem miała wyruszyć, aby odbyć uroczysty wjazd do stolicy. Niestety, zerwał się potężny północny wiatr, przyganiając nad rzymskie pola ciężkie deszczowe chmury. Spostrzegłszy to ze swojego okna w kolegium, Kircher struchlał - myśląc wyłącznie o tym, żeby uroczystość przebiegła jak należy, modlił się, by kaprys pogody nie zniweczył wszystkich jego starań. Ledwie minęła pora południowego posiłku, który Krystyna Szwedzka spożyła w towarzystwie wysłanników Aleksandra VII, rozpetęła się niesłychanie gwałtowna burza. Pioruny & błyskawice waliły tak gęsto, jakby wyrażały dezaprobatę dla pompy wyszykowanej dla zwykłej śmiertelniczki.

Na pałacowym dziedzińcu, pospiesznie nakrytym płóciennym dachem, monsignore Girolamo Farnese, majordomus Najwyższego Kapłana, ofiarował Krystynie podarunki od papieża: karetę zaprzęzoną w sześć

koni, dzieło Berniniego ozdobione cudnej urody jednoróżcami złożonymi piątkowo; lektykę & krzesło nadzwyczaj misternie wykonane; oraz nieskazitelnie białego angloaraba z rzędem ze złota & złożonego srebra godnym cesarza. Ponieważ deszcz nie ustawał, majordomus zaproponował Krystynie, by odwołać „uroczystą kawalkadę” & odbyć wjazd do Rzymu w karecie, lecz była władczyni kategorię odmówiła. W ulewnym deszczu zatem długi orszak wkroczył na via Flaminia.

Jakże piękny był ów przejazd przez miasto! Na wszystkich ulicach szerokie jedwabne wstęgi łopotały w oknach, bębny wybijały podniosły rytm, ze wszech stron bogato zdobione karety przyłączały się do orszaku. W powozach zaś pyszniły się damy z najszlachetniejszych rodów miasta strojne w nieprawdopodobnie bogate suknie & klejnoty. Ich małżonkowie, równie kosztownie odziani, jechali wierzchem obok karet pośród ogłuszającego stukotu kopyt & rżenia rumaków.

Na placu Świętego Piotra deszcz jeszcze się wzmógł, Krystyna wszakże, zapatrzona w katedrę, zdawała się na to obojętna. I cały orszak podobnie, tak że wiatr porywał kapelusze, ulewa moczyła cenne tkaniny, a nikt jakby tego nie zauważał.

Po wyjściu z katedry Świętego Piotra królowa Krystyna, nadal z towarzyszeniem całej świty, udała się do palazzo Farnese, który książę Parmy oddał do jej dyspozycji na cały czas pobytu w Rzymie. Zgodnie ze zwyczajem obowiązującym pośród możnych tego świata, całą oryginalną fasadę pałacu przykrywała nowa. Wykoncypował ją Kircher, a robiła ogromne wrażenie zarówno ze względu na wspaniałość, jak & na szczególną wymowę.

Architektoniczną inspirację Atanazy zaczerpnął ze „Świątyni Muzyki” pomysłu Roberta Fludda, zdobniczą zaś ze słynnego „teatru pamięci” Giulia Camilla, tak że fasada przedstawiała sumę ludzkiej wiedzy. Poruszane mechanizmem zegarowym duże drewniane koła, artystycznie ozdobione przez najlepszych rzymskich malarzy, wolno się obracały, odtwarzając bieg planet, Słońca & gwiazd. Siedem innych kół, równie wspaniale udekorowanych emblematami & alegoriami, w nierównych odstępach czasu zamieniało się miejscami: defilował zatem Prometeusz, Merkury, Pazyfae, Gorgony, jaskinia Platona, uczta wydana przez Okeanosa bogom olimpijskim, sefiry, a wewnątrz tych grup widniały liczne zaczerpnięte z mitologii symbole, które pozwalały stopniowo ogarnąć całą wiedzę.

Jako że królowa Krystyna, zachwycona widokiem, dopytywała o autora, kardynał Barberini ją wychwalał przed nią Kirchera & obiecał, że niebawem będzie miała okazję go poznać, ponieważ dawno już zaplanowano na następny dzień jej wizytę w Collegium Romanum. I od niechcenia dodał, jakby szydził z gawiedzi niemogącej się napatrzeć widowisku, że owa gipsowo-drewniana encyklopedia kosztowała ponad półtora tysiąca skudów. Pracowali przy niej malarze Claude Gelée zwany Lotaryńczykiem & Poussin; do elementów ruchomych zużyto sześć tysięcy sto hufnali, ponadto w czterech kotłach przez dwa tygodnie bez przerwy uwarzono pięćset litrów klajstru koniecznego do zamocowania szczegółów owej efemerycznej fasady...

Krystyna nie mogła wyjść z podziwu. Natychmiast pchnęła posłańca do Kirchera, któremu zaprzęgnęła podarować cenny medalik własnoręcznie odpięty od bransolety.

## **CANOA QUEBRADA**

*Popić sobie to żaden grzech...*

Przebudziwszy się u boku Aynorého w hamaku, który wynajmował pod dobudowanym zadaszeniem u Zefy, Moema pomyślała o Thais. Fragmentaryczne wspomnienia nocnych korowodów z Indianinem, wyraźne i budzące zakłopotanie jak zdjęcia pornograficzne, nakładały się na smutny oskarżycielski uśmiech. Zdenerwowało ją, że czuje się tak winna. Głowę jakby ścisnęła jej stalowa obręcz, wilgotna skóra wydzielala woń skwaśniałego wina, w ustach wyschło na wiór... Wszystko to wskazywało, że obecne wyrzuty sumienia może zrzucić na karb pijaństwa minionej nocy. Musi wytrzymać z godziny,

dwie, a oczyści umysł z tego niejasnego i bezprzedmiotowego wstydu, na którym zasadza się koszmarny trzeźwienia.

Aynoré - Guliwer zamknięty w delikatnej sieci tatuaży - spał jak kamień. Jego nagie miedziane ciało wzbudzało w niej nie tyle czułość, ile respekt, rodzaj szacunku graniczącego z czcią, jaką darzy się świętość. Ze

wszystkiego co jej powiedział nocą, zachowała wrażenie rozkwitania, coś jakby spowolnione wzbijanie się papugi, czerwono-złoty ślad raju utraconego.

- I co? Ty też padłaś? - usłyszała naraz nad sobą. Błada twarz Marlene wyrażała zdziwienie zabarwione lekką wzgardą. - Nie bój się, słowa nie pisnę, będę milczał jak grób! Ale mam nadzieję, że ci się nie odwyrtnęło...

- Odczep się, dobrze? - odparła Moema, przeciągając się, ani trochę nieskrępowana swoją nagością. - I możesz opowiadać, co ci ślina na język przyniesie, wyrosłam z ukrywania się. - Odgarnęła splecione włosy, jakby rozsuwała kurtynę. - Późno jest?

- Za godzinę południe, pora wstać i zająć. Nieszczerólnie wyglądasz, bidulko... Idziemy na plażę całą bandą. Przyłączycie się?

- Przyjdziemy zaraz - odezwał się Aynoré, nie otwierając oczu.

Marlene zauważył, że na dźwięk tego głosu po skórze Moemy przebiegł dreszcz, i zabawnie uniół brwi.

- No, staruszko - mruknął, odchodząc - jeszcze ci go mało! *Voce vai espumar como siri na lata...*

Przez kilka następnych chwil, gdy Moema leżała nadal w hamaku, wodząc palcami po gładkiej skórze kochanka, to co Marlene zasiał swoim niedopowiedzeniem, zdążyło nabrać kształtu. Chociaż powtarzała sobie, że uwagi tego przebiezańca podyktowane były tylko zazdrością, nie potrafiła odnaleźć szczęścia, którego doświadczyła minionej nocy. Do uczucia, że dopuściła się zdrady wobec Thais - wiedziała już, że jej uległość wobec Indianina nie jest przelotnym zauroczeniem, lecz nieodwołalnym zaangażowaniem, dobrowolnym i definitywnym pożegnaniem, z którego będzie musiała się wytłumaczyć przed przyjaciółką - dochodziły wątpliwości wywołane zgryźliwymi komentarzami Marlene. Jego „ty też” szczególnie ją zraniło. Do takiego przystojniaka jak Aynoré dziewczyny faktycznie musiały lgnąć jak muchy... I co z tego? To co nawzajem pchnęło ich w swoje ramiona, było wyjątkowe, i nikt nie miał prawa twierdzić inaczej - chyba że przez złośliwość. Aynoré obiecał, że wtajemniczy ją we wszystko, co współczesne społeczeństwo stara się wypłenić z człowieka, a ona wierzyła w jego słowo. Wilka nie da się oswoić, toteż nie próbowała tego zrobić: postanowiła, że sama stanie się lwicą godną zażywać świata na jego, Aynorého, modłę, godną dzikości, jaką w to wkładał.

Bywa, że człowiek czuje potrzebę, by uzasadnić jakoś marzenie, zwłaszcza gdy zaczyna się rozwiewać; Moema kureczowo czepiała się swojego, usiłując się w nim umocnić za pomocą jakiegoś sankcjonującego je czynu, ofiary potwierdzającej jego słusność. Roztrząsała ten mglisty zamiar, aż wpadła na pewien pomysł i na jej usta wypłynął triumfujący uśmiech. W jednej chwili opadły z niej wszelkie lęki i obawy. Ostrożnie wysunęła się z hamaka.

Kiedy kilka minut później podała Aynorému grzebień i nożyczki pożyczone od Zefy, Indianin bez problemu zgodził się spełnić jej życzenie. Z wyniosłym dystansem, który niemile zaskakiwał Moemę, zaczął przyszywać jej długie włosy tak, jak nosiły kobiety z jego plemienia: najpierw nad brwiami przyciął równo grzywkę, po czym na tej samej wysokości włosy po bokach, z tyłu zaś znowu prosto na karku. Boki głowy potem jej wygolił, a na koniec wpiął jej w uszy po pęczku niebieskich i czerwonych piór, które sprzedawał na ulicach miasta.

- Masz szczęście, że nie jestem z Janomamów - powiedział, podsuwając jej ułomek lusterka - bo miałabyś nad czołem włosy wygolone do połowy głowy.

Moema nawet nie próbowała się rozpoznać w dziwnym odbiciu: teraz gdy poświęciła włosy, jej

marzenie nabrało wreszcie kształtu, czuła się oczyszczona, wewnętrznie odmieniona, jakby dostąpiła tego, co wyobrażała sobie jako rytuał inicjacyjny. To odrodzenie dodało jej odwagi, zaczęła naśladować hardość Aynorégo. W milczeniu, oszczędna w ruchach - jak kapłanka, pomyślała, z dawnych czasów - skręciła dżointa, tajemniczo się uśmiechając. I nie paliła już tego ranka trawki, lecz święte ziele *caapi*, pośrednika między ludźmi a bogami...

Idąc z Aynorém na skapaną w południowym słońcu plażę, Moema czuła się piękna, w bojowym nastroju, mogła mordować ludzi, pożerać ciała; czuła się Amazonką. Po drodze wstąpili na kraby do szałasu Juju.

Thais odeszła w stronę morza, jak tylko ich ujrzała na szczycie wydmy.

Kiedy znaleźli się przy grupce Marlene, daleko na plaży, po drugiej stronie wału, który miłośników naturyzmu zasłaniał przed spojrzzeniami innych, Moema najchętniej poszłaby jeszcze dalej, lecz Aynoré zdjął spodniki i ułożył się między nimi, wcale jej nie pytając o zdanie.

- *Deus do céu!* - rzekł Marlene, łapiąc się za usta. - Coś ty zrobiła z włosami?

- Jak ci się nie podoba - odparła Moema, rozbierając się bez skrupowania - to nie patrz. - Spiorunowała wzrokiem jednego z chłopaków, który chichotał bez opamiętania. - Nie twój interes!

- Nie złość się - powiedział Marlene pojednawczo. - Zwyczajnie się zdziwiłam. Możesz się ogolić na zero, nic mi do tego. Ale pokaż całość, obróć się...

Moema zawahała się na moment, po czym odwróciła się do niego tyłem.

- Odjazdowe! Pasuje ci, słowo.

Aynoré umościł się na piasku. Leżał bez ruchu, z zamkniętymi oczami. Z niejakim zawstydeniem Moema zwróciła uwagę na wielkość jego penisa: miękko zawinięty na udzie, był dłuższy niż u Marlene i jego kumpli. Dumna z tego wyciągnęła się obok Indianina w pełni świadoma, że wszyscy na nich spozierają. Przyjemnie było mieć świadomość nagoci pod tymi spojrzzeniami. Leżąc tak obok siebie, przypominali pewnie najpierwszą parę, chętnie by się rozdwoiła, aby zobaczyć ten widok z zewnątrz. Wysiłkiem woli odsunęła od siebie wizerunek ojca, który naraz się nad nią wyłonił - zaciągał się papierosem, ze zmartwioną miną kręcąc głową. Matka może by zrozumiała, a może nie, w każdym razie na pewno jakoś by zareagowała, a nie patrzyłaby tylko tym wzrokiem łaszącego się psa... Moema przesunęła rękę, by dotknąć Aynorégo. Kiedy zamknął jej dłoń w swojej, poczuła się szczęśliwa, pogodzona ze światem i ze sobą.

Słońce miło przypiekało skórę. Przez skojarzenie wspomniała opowieść o pożarach i potopie, trzech katastrofach w micie założycielskim ludu Mururucu. Aynoré w końcu opowiedział o nich, zanim zasnął, lecz szczegóły rozmyły się jej w pamięci.

Płonęło nawet powietrze... Te słowa powtarzali nieliczni ocalali w Hiroszynie, nikt jednak nie wyciągnął nauki w kwestii ludzkiego szaleństwa, a Moemie nagle zrobiło się tak gorąco, że ani chwili dłużej nie mogła zostać na plaży. Poderwała się, zapowiadając, że idzie się wykapać, przez moment jeszcze stała, aż minął zawrót głowy, po czym pobiegła do morza.

Przez parę minut pluskała się na falach, potem wyciągnęła się na brzuchu nad samą wodą. Z głową zwróconą w stronę plaży, z rękami pod brodą, skoncentrowała się na rozbryzgach piany, które w regularnych odstępach czasu z szelestem spadały jej na kark. Na wprost, około trzydziestu metrów od niej, Aynoré przyłączył się do reszty chłopaków, którzy przy akompaniamencie pokrzykiwań nogami żonglowali piłką, wyczyniając akrobatyczne skoki. Daleko za nimi krótka falezka strzegąca tej części brzegu - falochron ze stwardniałego piasku, tego samego, którego kolejne warstwy sypano do buteleczek przeznaczonych dla turystów - stanowiła jakby mur obronny pocięty bładoróżowymi żyłkami.

Roetgen... Moema zdała sobie sprawę, że ani razu o nim nie pomyślała od tej odległej już chwili, gdy

wyszła z *forró* u Zefy. Był teraz gdzieś na pełnym morzu, a ona poczuła, że pilno jej, by wrócił, bo chciałaby mu opowiedzieć, jak pod jego nieobecność wywróciło się jej życie. Obiecała sobie, że wyjdzie mu na powitanie nazajutrz, gdy jangady będą wracać z połowu. Może będzie mogła napisać pracę dyplomową na temat mitologii plemienia Mururucu, a przynajmniej zgromadzi wystarczające materiały przed wyjazdem do Amazonii. W każdym razie nikomu nie powie o swojej decyzji, nawet rodzicom. Może kiedyś później, gdy będzie miała dzieci, gromadkę Metysiątek bawiących się nad rzeką... Wyobrażała sobie siebie, jak stoi bez ruchu na brzegu w pozie Iracemy, celując z łuku do cienia niewidocznej ryby, albo jak przy ognisku wygłasza przepowiednie, a przed jej wzrokiem rozsnuwają się wizje... Kobieta dola Indianki? Setki dowodów na to, że wiecznie jest usuwana na bok z powodu swojej „nieczystości”? Praktykowanie kuwady, tej tragikomedii, w której Indianin w swej męskiej zarozumiałości naśladuje cierpienia związane z porodem i jęcząc w hamaku, otrzymuje od wszystkich powinszowania, podczas gdy jego ciężarna kobieta na ostatnich nogach szykuje poczęstunek dla gości?... Świadomość tego rodzaju obyczajów, która zwykle studziła jej entuzjastyczne podejście do plemion indiańskich, gdzieś nagle zniknęła, tak jakby wyłączono w niej wszelkie instancje krytycyzmu. Jej miłość - po raz pierwszy nazwała po imieniu euforię, jakiej doświadczała na samą myśl o Aynorém - pokona wszelkie ograniczenia; a jeśli będzie trzeba, nagnie się nieco obyczajem...

Warkot silnika sprawił, że obróciła głowę w stronę cypla: samym skrajem brzegu, rosnąc w oczach, gnał rozpędzony buggy pośród fontann rozbryzgiwanej wody.

Pchana wiatrem od rufy jangada zmierzała od dwóch godzin w kierunku lądu, z łatwością ślizgając się po dość wysokich falach oceanu. Ćwiartowanie ogromnego żółwia morskiego, schwytanego pod koniec połowu, opóźniło wyruszenie w drogę powrotną, tak że słońce przypominało już czerwoną kulę ustawioną wprost na ciemnej linii wybrzeża. João wydał polecenia dotyczące przybicia do brzegu.

- A ty - powiedział Roetgenowi, nie patrząc na niego - stój koło mnie. Nie schodź z pokładu, póki nie powiem. Jeden fałszywy ruch i mamy wywrotkę.

Roetgen pojął znaczenie tych poleceń: rozstawieni symetrycznie po obu stronach kobyłki, której się przytrzymywali, musieli we czwórkę do samego końca równoważyć jangadę zmierzającą ku plaży. Około stu metrów od brzegu, gdzie fale zaczynały się przetaczać długimi przejrzystymi walkami, João mocno chwycił ster. Z napięciem na twarzy, wzrokiem bez ustanku śledząc przegłębienie łodzi i wysokość fal mogących zalać rufę, nerwowymi precyzyjnymi ruchami nieznacznie korygował kurs. Niechby jangada stanęła burtą do fali albo nieco zwolniła, a wzbierająca woda obróci ich jak kłodę. Ilekroć nadchodzący przybój zdawał się ich doganiać, João tak manewrował, aby się na niego wspiąć, jangada zaś przyspieszała. Obładowana, nie do opanowania na ostatnim odcinku skłębionych fal niosących ją do brzegu, łódź zaszurała naraz dnem, ze skrzypem przejechała jeszcze kawałek i wreszcie osiadła na piasku. Na rozkaz João wszyscy czterej zeskoczyli z pokładu i przytrzymali jangadę, by fala jej nie cofnęła, tymczasem inni rybacy, którzy wybiegli im na spotkanie, układali już belki pod rufą, pomagając przepchnąć łódź dalej na brzeg.

Podjechał do nich zaprzężony w muła wózek na dwóch kołach z oponami, by odebrać połów. Gdy João wdał się w pogawędkę z Bolinhą, woźnicą, Roetgen starał się złapać oddech. Był wyczerpany do cna, lecz było to miłe zmęczenie, które następuje po zakończeniu pracy, która zdawała się przerastać człowieka. Do dumy żeglarza dochodziła przyjemniejsza duma z tego, że rybacy uznali go za swojego, że stał się pełnoprawnym członkiem ich bractwa. W tej właśnie chwili zobaczył Moemę... Najpierw niemiłe uderzyła go jej nowa fryzura, tak śmiesznie znacząca, zaraz potem zobaczył, jak Indianin całuje ją w szyję, gdy szli w jego stronę. Idiotycznie błoga mina ciężarnej kobiety, brak Thais w okolicy... Zanim Moema zdążyła

się odezwać, Roetgen już przeżuwał gorycz urażonej miłości własnej.

W niczym jej nie uwłaczając, lecz z nieco wzgardliwą rezerwą człowieka, który nie ma ochoty gadać z próżniakami, ledwie odpowiedział na pytania dziewczyny. Przeprósiwszy ją, pomógł swojej załodze przenieść ryby na wózek. Kiedy przyszło do podziału zarobku, zobowiązał Bolinę, by przypadającą na niego część oddał rybakowi, którego zastąpił, i aby dopilnował, żeby normalnie dopisano mu kredyt w kooperatywie. Zmordowany João zdobył się na uśmiech i położył mu ciężką dłoń na ramieniu: pójdą na jedną albo dwie kaszasy, a może nawet na trzy, jeśli wcześniej nie zwał się z nóg. Skinąwszy Moemie, pozbiali swoje rzeczy i zataczając się ze zmęczenia, odeszli w stronę zachodzącego czerwonego słońca.

Moema przez kilka chwil patrzyła za nimi, gdy wspinali się na wydnię. Poczula się tak brzydka w oczach Roetgena, aż chciało jej się płakać.

*Trunkowym gościem, bracia, zostałem,*

*Violeiro* siedzący na skrzynce po piwie mówił głosem ochrypłym. Miał pękniętą gitarę i twarz haitańskiego szamana. Zakrecony facet...

*W dniu gdy rozpaczy się poddałem.*

José Costa Leite, prawdziwy, z przepitymi świńskimi oczkami, w lepkiej od brudu bejsbolówce...

*Nie uczcie mnie, choćbym i zdechl:*

Mnie też nie, pomyślał Roetgen, ani João, ani nikogo. Możesz mi to podać?

*Popić sobie to żaden grzech.*

A pewnie, że nie, co, João? Wszystko tylko nie grzech... Nawet obowiązek, moralne prawo! Kategorie imperatyw!

*Roboty nie ma, pusta kieszeń,  
Na haku próżny gar zawieszę...*

Boże, biedne chłopaki! Słuchać tego, podczas gdy miliony ludzi zwracają sobie głowę kolejną dietą cud i liposukcją!

*Co tam, zostaje mi jeszcze śmiech:  
Popić sobie to żaden grzech...*

Głos barda, głos sardyński, głos andaluzyjski, głos zdarty na bluesowych kawałkach...

*Gorzalka smutek mi rozwiewa,  
A jak wspomnienie zapiera dech,  
Pociechy ziarno wnet zasiewa:  
Popić sobie to żaden grzech...*

Msza mizeraków, i to pouczająca! Wersety wygłaszane szybko, bez przerw na oddech, ostatni wiersz opada, a finał refrenu kończy się drżącym głosem...

- Czyściec! - odezwał się nagle João, patrząc szklistym wzrokiem, z pobladłą twarzą. - Dalej, *cantador*, czyściec!

*Z gorzałki skończyć czy na raka?  
To samo czeka też niepijaka.*

Dwa akordy wyjątkowo zniekształcone, brzęczenie liry korbowej, akcenty shamisenu z psiej skóry...

*Ja swój czyściec wybrałem, ech:  
Popić sobie to żaden grzech...*

Pieśń murzyńska, pieśń nawiedzonego szamana. Skarga bez końca człowieka niemającego nadziei. Wolność! - mówi Roetgen i powtarza to samo, ponieważ odnosi wrażenie, że ma w ustach gorące kluski, lecz zaraz tego żałuje, słowo to bowiem wydaje mu się naraz równie obce, równie pozbawione znaczenia jak metoksypsoralen albo monoazotan retinolu. Dwa akordy i *contadero* improwizuje dalej:

*Czymże jest wolność? Krowa może  
Dreptać na miejscu w swej oborze...*

José Costa Leite patrzy w ścianę, śpiewa coraz bardziej zgrzytliwie, staje się krzykiem, odnajduje nowe środki wyrazu.

*Smakołyk porwać pies bogacza.  
A ciebie zewsząd sieć otacza:  
I tylko sercu pozwolą gnać,  
Gdy policyjna ściga cię brać...  
Nie martw się, chłopie, to tylko pech:  
Popić sobie to żaden grzech...*

Gwizdy w barze, pomrukiwania, aprobujące spluwanie... *Que bom!* Skąd on bierze takie pomysły? - dziwuje się barman. Kaszasa dla poety, i to po sam brzег! I wtem dwa anioły, dwie zjawy oblane światłem w ciemnym prostokącie wejścia... Słowo daję, na taki widok można uwierzyć w Boga! Rozwiane włosy, skrzydła i skrzący się złotem wieniec, jeden w różowej długiej jedwabnej sukni, drugi w błękitnej, dwa anioły szeroko otwierają niewinne oczęta, z rękami złożonymi na piersiach jak do modlitwy. Przystanąły tutaj, aby zajrzeć do piekła, tak właśnie by zrobiły z ciekawości dziewczynki w drodze do kościoła. Roetgen nigdy nie sądził, że aniołowie mają taką powagę na twarzy, minę entomologa zaintrygowanego nieoczekiwanym i niezrozumiałym poruszeniem w mrowisku. Podniósł rękę w zapraszającym geście, a ich już nie było: można by powiedzieć, że tchnienie oziępienia owiało bar swym ponurym spokojem. Costa Leite znów uderzył w struny gitary:

*Panowie zarząd z naszej fabryki  
Potrafią gadać ładne wierszyki.  
Za to robole żyłaki mają  
I robakami w przytułku srają.  
Dam diabłu duszę, do tegom chętny,  
Byle dziewczuskę ładną wybawił.  
Bogu zostawiam tych drani wstrętnych,  
On nic nie robi, ich nie zostawi.  
Druhem mi sracz, gdy pusty bebecz:*

*Popić sobie to żaden grzech...*

Jeszcze kaszasa i jeszcze, i jeszcze, dojść aż do kresu tej nocy. Trza go zrozumieć, mówi João ze wzrokiem wlepionym w paczkę orno, to nie jego wina. *A mulher e capaz de quase tudo, o homem do resto...* Już niemal padają z pijaństwa i zmęczenia, ale jeszcze czepiają się kontuaru, ramię przy ramieniu wspierają się nawzajem na skraju otchłani.

Kiedy późnym wieczorem Thais go znalazła, Roetgen spał na stole bilardowym z paskudną raną na czole i twarzą umazaną zaschniętą krwią. Barman wyjaśnił, że musiał mu przyłożyć butelką w łeb, ale to twardy facet i nic takiego się nie stało, ani jemu - tylko głowę ma ciut rozciętą, drobiazg - ani szkód żadnych nie ma. Chwilę wcześniej siłą wyprowadzono João, który złorzeczył swojej kobiecie.

## **FORTALEZA, FAWELA PIRAMBÚ**

*Angicos, rok 1938...*

Nelson od kilku godzin opiłowywał sztabę. Monotonne zajęcie nie zaprzętało mu głowy, toteż po raz kolejny przeżywał śmierć Lampião. W przebiegu wypadków coś mu nie pasowało, jakiś zbyt prozaiczny fatalizm, rozziw między rzeczywistością a przypisywaną jego bohaterowi przebiegłością i inteligencją. Angicos, rok 1938... Tragiczny koniec osławionego cangaçeira był doskonale znany: członkowie lotnej brygady porucznika João Bezerry, dumni ze swego wyczynu, zdali relację z najdrobniejszymi szczegółami.

Kiedy tamtego dnia, 28 lipca 1938 roku, nad tą częścią Brazylii wstawał świt, policjanci byli już tak blisko cangaçeirów, że słyszeli ich rozmowy i wyraźnie widzieli tych, którzy przeciągali się w progu chaty. Wszyscy nosili jedyny ubiór, na jaki pozwalały warunki panujące w katindze, toteż podobieństwo było łądzące: skórzany kaftan przytrzymywany na piersiach przez skrzyżowane taśmy z nabojami, getry, nakolanniki, szeroki dwurożny kapelusz z płowej skóry nabijanej gwiazdkami albo złożonymi rozetkami, zaopatrzony w taśmę pod brodę i opaskę na czoło z cekinów. Takie miedzianej barwy umundurowanie odporne było na ataki ciernistej roślinności, a zarazem upodabniało myśliwych i zwierzyne, czyniąc z nich lustrzane odbicie. Pośród szmeru deszczu padającego bez przerwy rozlegały się stłumione dźwięki: pobrzękiwanie żelaznych misek, parskanie koni, czasem czyjś suchy kaszel... Ogień miał zostać otwarty dopiero na rozkaz Bezerry, lecz strach tak mocno napinał porucznikowi mięśnie, że na policzku widać mu było pulsowanie; wcale nie szykował się do ataku, przeciwnie, jakby próbował zniknąć w kałuży, w której leżał. Nagły warkot maszyny do szycia sprawił, że ten tchórz wcisnął twarz w błoto. Czy ktoś przedwcześnie poruszył się w zaroślach? Gdzieś załśniła metalicznie lufa karabinu? Wokół obozowiska zapadła niezwyczajnie gęsta cisza... I raptem z niewiadomego powodu jeden z cangaçeirów wszczął alarm. Przez moment Maria Bonita myślała, że jej maszyna do szycia pluje pociskami.

Na krzyk towarzysza Lampião wybiegł z chaty i jako jeden z pierwszych padł pod ogniem karabinów maszynowych. Duża część cangaçeirów rozproszyła się po okolicznych wzgórzach, lecz Maria Bonita, Luis Pedro i paru najwierniejszych towarzyszy ukryli się w chatach. Atak trwał ledwie dwadzieścia minut, ale jeszcze długo po tym, jak umilkła ostatnia strzelba obrońców, karabiny maszynowe siekły chaty z gałęzi i płótna.

Tak oto bitwa przerodziła się w strzelanie do gołębi. Karabiny maszynowe nie dały żadnej szansy cangaçeirom. No bo jak inaczej wytłumaczyć taką klęskę? Dlaczego powszechnie znany z tchórzostwa Bezerra miałby nagle tego właśnie ranka odnieść zwycięstwo nad inteligencją i odwagą? Lampião i jego wierni druhowie poległi bez walki. Najzwyczajniej w świecie wykonano na nich egzekucję.



Poruszony tym wspomnieniem Nelson przyspieszył ruchy pilnika po sztabie. Nie, rozmyślał, Lampião nigdy by tak łatwo się nie poddał na polu walki, nawet gdyby został zaskoczony. Ta historia nijak nie trzyma się kupy... Istniała jednak inna, bardziej przekonująca wersja wydarzeń, wersja, którą zaraz po tragedii w Angicos zaczęto sobie podawać z ust do ust: wedle niej - uzupełniły ją rewelacje ojca Joségo Kehrliego i potwierdzili bracia João i David Jurubeba - Lampião i dziesięciu cangaçeirów poległych wraz z nim po prostu otruto.

## ROZDZIAŁ XX

*O tym, jak Kircher musiał opowiedzieć królowej Krystynie gorszącą historię, którą wolałby zachować wyłącznie dla siebie*

Nazajutrz, 24 grudnia 1655 roku, Krystyna Szwedzka zgodnie z planem zaszczyciła nas swoją obecnością.

W funkcji cicerone Kircher był nadzwyczaj biegły; nie przerywając rozmowy z władczynią, szybko mijał kolejne sekcje swego muzeum, a zatrzymywał się jedynie przy eksponatach naprawdę godnych królewskiej uwagi. Tutaj chińska szata haftowana złotem w smoki; tam egipskie intaglio z najpiękniejszego jaspisu albo abraksas rzeźbiony w nefrycie & wprawiony ażurowo w obrotowy pierścień; dalej cała seria krzywych zwierciadeł... Jedno z nich wywarło nadzwyczajne wrażenie na Krystynie Szwedzkiej: kiedy patrzyło się w nie wzdłuż, głowa stopniowo rozciągała się w stożek, po czym ukazywało się czworo, troje, pięcioro & ósmioro oczu; równocześnie usta zaczynały przypominać jaskinię z zębami sterczącymi niczym strome skały. Patrząc wszcz, widziało się najpierw swoje odbicie bez czoła, później pojawiały się ośle uszy, przy czym usta & nos pozostawały niezmienione! Brak mi doprawdy słów na opisanie wszystkich okropności, które zwierciadło owo pokazywało. Mistrz mój niestrudzenie objaśniał zasady katoptryczne rządzące tymi wynalazkami, a także tymi, z którymi jeszcze się nosił, czekając, aż znajdzie się mecenas chętny sfinansować w przyszłości ich realizację.

Po muzeum katoptrycznym, najwspanialszym & najbogatszym na świecie, Kircher pokazał Krystynie wielkiego pytona z Brazylii & słonia morskiego, gigantyczne stwory, których posiadanie zawdzięczał swej renomie. A kiedy już królowa dosyć się nazachwycała wielkością owych olbrzymów Stworzenia, mistrz pokazał jej pewną gawiurę, pytając, czy rozpoznaje zwierzę na niej przedstawione.

- A cóż to za osobliwe monstrum? - zawołała Krystyna ze śmiechem. - Wygląda jak dromader ustawiony na gałęzi...

- To pchła, wasza wysokość, a za żerdkę jej służy ludzki włos, który siłą mojego mikroskopu pozwala tak bardzo powiększyć gwoli nieprzyjemności wzroku &... ku uciechu umysłu. Spójrzcie sama, miłościwa pani...

Atanazy zaprezentował jej lunetę & kilka przedmiotów do oglądania specjalnie w tym celu przygotowanych. Krystyna Szwedzka pochylona nad okulem pokrzykiwała cicho ze zdziwienia na widok robaczek przeistoczonych w straszliwe potwory za sprawą soczewek, podczas gdy mistrz mój niewzruszenie rozprawiał na temat tego co bardzo małe & bardzo duże.

Stamtąd przeszliśmy do skrzydlatego smoka, z którym rozstał się kardynał Barberini ku chwale naszego muzeum, figury niesamowitej, stworzonej, aby wzbudzać w ludziach strach. Królowa Krystyna wszakże wykazała się wielkim hartem ducha, dowodząc przy okazji, że nie bez kozery cieszy się reputacją

niewiasty o bystrym umyśle.

- Niemieccy jezuita opowiadali mi kilka miesięcy temu - rzekła - że widzieli smoki *priapos suos immanes, in osfeminarum intromitientes, ibique urinamfidentes*.<sup>1</sup> Zrugalam ich mocno - dodała - że zezwolili na taką zuchwałość, lecz tylko się roześmiali!

<sup>1</sup> Wkładające swego penisa do niewieścich ust, aby oddać w nich mocz.

- Anim tego nie widział, anim o tym nie słyszał - odparł Kircher - niemniej jak najbardziej przystało zgromić owych mnichów za frywolność. Ja bym nie odszedł, póki bym nie zobaczył ich pojmanych albo... n a w r ó c o n y c h , jak wolicie, najjaśniejsza pani...

Po tej drobnej potyczce było dwugłowe jagnię, trzynogi ptak rajski, ludzka stopa o sześciu palcach & wypchany krokodyl, który udawał, że śpi pod drzewem palmowym.

- Krokodyl - wyjaśnił mój mistrz - jest symbolem boskiej wszechwiedzy, ponieważ wynurza z wody jedynie ślepią & chociaż widzi wszystko, pozostaje niewidzialny dla zmysłów śmiertelników. Krokodyl nie ma języka;

a boski rozum nie potrzebuje słów, aby zmanifestować swoją obecność. Ponadto, jak zauważa Plutarch, zwierzę ów znosi sześćdziesiąt jajek & tyłuż dni potrzebuje, aby je wysiedzieć. Najdłużej żyje sześćdziesiąt lat, a sześćdziesiąt jest pierwszą liczbą, której używają astronomowie w swoich obliczeniach. Nie bez powodu zatem starożytni kapłani egipscy jego imieniem nazwali miasto, Crocodilopolis, a mieszkańcy Nîmes do tej pory umieszczają jego godło na murach swojego miasta.

Przemierzając resztę egipskiej części muzeum, kierowaliśmy się ku osobliwości zazwyczaj kończącej zwiedzanie - mianowicie ku ważącemu ponad dziesięć uncji kamieniowi z pęcherza ojca Leona Sanctiusa, zmarłego niestety podczas operacji - kiedy królowa Krystyna zatrzymała się przed posązką, na którą nigdy nie zwracał uwagi: trzymająca się pod boki kucająca postać krągłych raczej kształtów, w kapeluszu w kształcie skarabeusza, którego tylne łapy sięgały poniżej karku, zwisając niczym wstążki.

- A to, wielbny ojczu? - zapytała Krystyna.

- Mało ważny bożek egipski... - odparł Kircher & chciał iść dalej.

- Mnie się wydaje dość osobliwy - zauważyła królowa, biorąc posążek do ręki. - Cóż to za dziwaczne bóstwo?

Mimikę Atanazego znałem doskonale, toteż zaraz zgadłem, że wolałby nie rozwodzić się na ten temat, co zaostriło także moją ciekawość.

- Obawiam się, miłościwa pani - powiedział mistrz mój z niejakim zażenowaniem - że nie przystoi o tym słuchać uszom delikatnym. I jeśli pozwolicie, prosiłbym, abyście powściągnęli ciekawość przez wzgląd na swoją rangę & płęć.

- A gdybym nie pozwoliła? - zagadnęła Krystyna z na pozór niewinnym uśmiechem. - Pamiętajcie, że przeciwnie, moja ranga zezwala na to, co innym niewiastom, a nawet większości mężczyzn, jest zabronione. Niechaj was nie mylą moje suknie. Nie płęć bowiem czyni króla bądź królową. Decydują o tym rządy.

- A wasze rządy, najjaśniejsza pani, były wielkie & podziwu godne pośród najwybitniejszych. Poddaję się zatem & proszę o wybaczenie niestosownej powściągliwości. Ta figurka to egipski deus Crepitus, czyli bożek Bździn, przedstawiony w osobliwej postawie świadczącej o jego funkcji...

Królowa Krystyna zachowała nieprzenikniony wyraz twarzy, dowodząc tym samym, że w pełni zasługuje na miano władczyni oświeconej, pragnącej nawet w dziedzinie tak nieprzystojnej raczej poszerzać wiedzę, zamiast natrzęsać się z niej po dziecinnemu. Kilka osób z jej świty pozwoliło sobie na parskanie śmiechem & ironiczne komentarze na temat cuchnących właściwości owego bóstwa, lecz królowa uciszyła wszystkich jednym spojrzeniem, które dobitnie świadczyło o władzy, jaką miała nad nimi.

- Bardzo proszę, ojczu, mówcie dalej. Jakże to się stało, że budowniczości piramid & Biblioteki

Aleksandryjskiej, twórcy hieroglifów & tylu innych cudów, mogli upaść tak nisko, by wyznawać ów bezwstydną kult? Przyznam, że nad wyraz pobudziło moją ciekawość coś, co na pierwszy rzut oka wydaje się bez ładu i składu.

- Chcecie zatem, miłościwa pani, abym wyłożył wam kult bǫdzin wyznawany w Egipcie... Czy jednak nie przyniesie to szkody, gdy wyjawię pozornie ucieszną stronę wierzeń starożytnych Egipcjan, których wiedzę & zdobycze takim darzymy podziwem?... Pośród ludów, które oddawały boską cześć temu, co poznawalne zmysłami, najmniej gotowym potępiać te, które wielbiły wiatry: są bowiem niewidzialne jak władca wszechświata, ich źródło jest nieznanne tak samo jak źródło boskości. Nie dziwny się zatem, że wiatry czciła większość ludów jako siły groźne & niezbadane, jako sprawców burz & spokoju w świecie, jako panów natury. Znacnie niechybnie stwierdzenie Petroniusza: *Primus in orbe Deos fecit timor...*<sup>1</sup>

<sup>1</sup> Bogów na świecie najpierw stworzył strach.

- Fenicjanie - ciągnął Kircher - jak donosi Euzebiusz, pisząc o wierzeniach tych ludów, mieli świątynię wiatrów. Persowie podobnie: „*Sacrificant persee* - powiada Herodot - *soli et lunae et telluri et igni et aquae et ventis*”.<sup>2</sup> Strabon także to potwierdza. Grecy szli za przykładem ludów, którym wymienił. Kiedy Kserkses zagroził Grecji, zasięgnięto porady wyroczni delfickiej, która odparła, że należy zapewnić sobie przychylność wiatrów, aby otrzymać od nich pomoc, złożono zatem ofiarę na ołtarzu wiatrom poświęconym, po czym flotę Kserksesa rozproszył potężny sztorm. Platon w swoim „Fajdrosie” stwierdza, że był swego czasu w Atenach ołtarz poświęcony Boreaszowi, Wiatrowi Północnemu. A od Pauzanasza dowiadujemy się, że również w Sikionie był ołtarz przeznaczony na ofiary, które składano, aby uśmierzyć gniew wiatrów.

<sup>2</sup> Persowie oddają cześć słońcu, księżycowi, ziemi, ogniovi, wodzie & wiatrom.

- Rzymianie trwali w takich samych złudzeniach - ciągnął. - Składali w ofierze czarną owcę północnym wiatrom & białą zefirom wedle Wergiliusza. A cesarz August, człowiek tak przecież świątły, znalazłszy się w Galii Narbońskiej, poznał potęgę wiatru zwanego Circius, dotąd w Narbonie nazywanego „vent de Cers”, który przewraca domy & największe drzewa, a przy tym cudownie odświeża powietrze, ślubował zbudować mu świątynię, & rzeczywiście to uczynił. Píše o tym Seneka w swoich „Zagadnieniach przyrodniczych”. Scytowie wreszcie, jak podaje Lukian, przysięgali na wiatr & swój miecz, uznając tym samym wiatr za bóstwo.

- Człowiek, którego zawsze pojmowano jako mikrokosmos, czyli miniaturowy świat, również ma wiatry, podobnie jak duży świat. Wiatry owe w trzech rejonach ciała, jak w trzech różnych klimatach, wywołują burze & nawałnice, kiedy są zbyt obfite & szybkie, natomiast odświeżają krew, zmysły & części twarde, przynosząc zdrowie całemu ciału, kiedy są łagodne & przepływają regularnie. Wystarczy jednak nadmiar wiatrów zamkniętych w organizmie, aby powstała nieuleczalna kolka albo puchlina brzuszna, albo skręt kiszek, które są chorobami śmiertelnymi. Egipcjanie oddawali zatem boską cześć wiatrom małego świata jako odpowiedzialnym za choroby bądź zdrowie ludzkiego ciała. A Hiob zdaje się to potwierdzać, gdy mówi: „Wspomnij, iż żywot mój wiatrem jest”. Przedkładali jednak pierdnięcie nad wszystkie inne wiatry małego świata może dlatego, że jest z nich najczystsze, albo dlatego, że wydaje słyszalny dźwięk, wyrывая się ze swego więzienia, dźwięk podobny do cichego gromu, dzięki czemu lud ów mógł go uważać za małego Jowisza Gromowładnego, który zasługiwał na cześć.

- Składajmy wszakże dzięki Panu - rzekł Kircher na zakończenie - że za sprawą światła wiary nie musimy dłużej błędzić, & choćbyśmy nawet przypisywali niejaka moc owym naturalnym czynnikom działającym na nas dobrze bądź źle, powinniśmy widzieć w nich jedynie stopnie tajemnej drabiny, po których wspinamy się ku adoracji Stwórcy, ów zaś nas pogębia bądź faworyzuje za pośrednictwem największych albo najmniejszych stworzeń zgodnie z nieprzeniknionymi wyrokami swojej opatrności.

Krystynę Szwedzką zachwycił ten wykład. Obiecała mistrzowi mojemu stałe wsparcie w utrzymaniu &

powiększaniu muzeum, po czym pożegnała się & odeszła z całą świtą. Kircher był wyczerpany, lecz rad, że tak dobrze zniósł nawałnicę; spał potem nieprzerwanie osiem godzin, co od dawna mu się nie zdarzyło.

Doskonale się wywiązał z powierzonego mu zadania, teraz zatem nie zwlekając, wrócił do swoich badań. Fala chwały wywołana opublikowaniem „Oedipus Aegyptiacus” rozchodziła się po świecie całym, toteż brakowało mu dnia, by udzielać odpowiedzi na pytania & zaszczyty, które zewsząd spływały. W tym właśnie czasie, jeśli mnie pamięć nie myli, od niejakiego Marcusa, rodem z Pragi, otrzymał w hołdzie manuskrypt nader rzadki, lecz nieczytelny zupełnie, ponieważ napisany w języku wymyślonym. Atanazy rozpoznał w nim brakującą część „Opus Tertium” filozofa Rogera Bacona & zaplanował sobie, że kiedyś tekst ów przetłumaczy, niestety, nigdy nie miał dość czasu, aby się za to zabrać.

Rok 1656 minął jak we śnie. Nic nie mąciło dobrego humoru mistrza mojego prócz coraz bardziej niepokojących pogłosek, które dobiegały z pałacu Farnese: nie zważając na przeczulenie rzymian, Krystyna Szwedzka wiodła tam wystawne życie, co dawało powód do plotek. Niezamężna, jedyna w dodatku niewiasta pośród setek mężczyzn tworzących jej dwór, nie знаła umiaru & robiła wszystko, co tylko podyktowała jej wyobraźnia. Na jej polecenie zdjęto listki winorośli zasłaniające nagość posągów ustawionych w pałacowych ogrodach, wypożyczone przez papieża obrazy - wszystkie o tematyce pobożnej bądź pouczającej - zastąpiono scenami mitologicznymi pasującymi raczej do lunaparku niżli do domostwa konwertytki, a jej dworzanie, ku rozpacz majordomusa Giandemarii, bez opamiętania grabili pałac nieszczęsnego księcia Parmy, zrywając nawet galony & brokatowe kotary, które sprzedawali potem mieszczanom. Doszło do tego, że kardynałowi Colonne polecono wyjechać do jego wiejskiej posiadłości, tak bardzo młoda Krystyna zawróciła mu w głowie, a także przeniesiono do innego klasztoru zakonnice, która tak zauroczyła królową, że chciała ją zabrać ze służby Panu Bogu!

W tym właśnie czasie mistrz mój dostał kataru żołądka - jego zdaniem dlatego, że zjadł za wiele owoców w czasie Wielkiego Postu. Bardzo nie w porę przyszła owa niedyspozycja. Krystyna Szwedzka zaprosiła nas bowiem, podobnie jak rozmaitych innych duchownych, na koncert, który wydawała na dowód żalu za grzechy. Od rana Kircher próbował wszelkich znanych medykamentów, nic wszakże nie skutkowało, zaczynał się zatem poddawać. Dzięki Bogu kiedy już zamierzał odmownie odpowiedzieć na tak zaszczytne zaproszenie, wspomniiał fiołkę otrzymaną jakiś czas wcześniej od ojca Yves'a d'Évreux, misjonarza w Brazylii. Fiołka owa, jak pisał ojczulek w liście, zawierała niezawodny środek na wszelkie dolegliwości, proszek pomagający niezwłocznie odzyskać sprawność intelektu nadwreżoną przez wyteżoną pracę, a jego działanie sprawdził niejednokrotnie zarówno na Indianach Topinambu, od których go otrzymał, jak & na sobie. Na ile zdołał się zorientować, lek - pozyskiwano z pnącza nazywanego przez Indian „guarana” & mieszano z mąką żytnią, służącą w tym wypadku wyłącznie do tego, aby dało się zrobić kulki łatwiejsze do połknięcia.

Doprowadzony do ostateczności, Kircher ani chwili się nie wahał: ściśle wedle instrukcji ojca d'Évreux połknął cztery czy pięć pastylek, które mu ukreśliłem z odrobiną wody święconej. I proszę - okazało się, że tam gdzie zawiodły wszelkie sposoby nowoczesnej medycyny, lek dzikusów odniósł cudowny skutek: w niecałą godzinę od połknięcia mistrz mój poczuł się lepiej. Boleści & biegunka ustały jak ręką odjął, na twarz wróciły mu kolory, zaczął nawet wesoło nucić coś pod nosem. Odnosił wrażenie, że nie tylko odzyskał zdrowie, ale także energię & sprawność umysłu z młodych lat. Zdziwiająca to była doprawdy metamorfoza, składaliśmy zatem dzięki Indianom, którzy z drugiego końca świata przyczynili się do owego opatrnościowego ozdrowienia.

Aż do przybycia do pałacu Farnese Kircher nie przestawał ze wszystkiego żartować. Jego dobry humor był tak zaraźliwy, że parę razy dosłownie za boki trzymaliśmy się ze śmiechu, & to z powodów doprawdy błahych, zupełnie na to niezastępujących.

Michèle Angelo Rossi, Laelius Chorista & Salvatore Mazelli, trzej muzycy, którzy tego wieczoru koncertowali u królowej Krystyny, grali Frescobaldiego jak zwykle bez zarzutu, wszelako nieoczekiwanie

ich muzyka nadzwyczaj osobliwie podziałała na mistrza mojego. Ledwie mianowicie grać zaczęli, zobaczyłem, że Atanazemu oczy się zamykają, po czym przez cały koncert jakby oddawał się marzeniom. Czasami wyrwały mu się radosne pokrzykiwania, co dowodziło, że bynajmniej nie spał, lecz pogrążony był w rozkosznej ekstazie...

Kiedy długą chwilę po tym, jak ucichły ostatnie nuty, Atanazy popatrzył na mnie, pomyślałem zrazu, że znowu jest chory, tak dziwnie nieruchomy miał wzrok. Jego wilgotne od łez oczy patrzyły wskroś mnie... Z kilku zdań bez ładu i składu, które zdołał wypowiedzieć, pojąć zdołałem, że mistrz mój pławi się w najdoskonalszej rozkoszy, jednakże słowa wychodziły z jego ust z najwyższym trudem, co napełniło mnie ogromnym niepokojem.

- *Abegescheidenheit!* - wyszeptał z osobliwym uśmiechem. - Jestem nagi, jestem ślepy & nie jestem sam... *Schau, Caspar, diese Welt vergeht. Was,? Sie vergeht auch nicht, es ist nur Finsternis, was Gott in ihr zerhricht!*<sup>1</sup> Tak, spał mnie! Spał swoją miłością!

<sup>1</sup> Odosobnienie! Patrz, Casparze, świat znika. Co? Jednak nie znika, to tylko Bóg kruszy w nim ciemności.

Mówiąc to, mimowolnie poruszał rękami & nogami, jakby dotykał nimi rozżarzonych węgli. Po tych znakach poznałem Bożą obecność & niezwykłą łaskę, jakiej dostąpił Kircher. Tak mocno wszakże opanowała nim ekstatyczna błogość, że widział, iż niezdolny będzie zachować się jak należy, toteż postanowiłem natychmiast odprowadzić go do kolegium.

Kiedy znalazł się w swojej izbie, gdzie musiał poprowadzić go jak dziecko, opadł na kolana na klęczniku: jego uniesienie wcale nie osłabło, przybrało natomiast obrót niezwykły & pod wieloma względami zgoła przerażający...

## ALCÂNTARA

*Coś straszego i mrocznego...*

Loredana nie żałowała, że pozwoliła sobie na zwierzenia przed Soledade, czuła się jednak mocno speszona, że po tym wyznaniu znów koncentruje się na sobie.

Kiedy dwa dni później Soledade ją uprzedziła, że są umówione tego wieczoru z Mariaziną, z trudem sobie uświadomiła, z czym jej się kojarzy to imię. Nie bardzo miała ochotę na spotkanie z kobietą mogącą jakoby uleczyć ją z wszelkich dolegliwości, zgodziła się jednak przez wzgląd na Soledade, która dołożyła starań, aby to załatwić, i wydawała się bardzo dumna ze swego pośrednictwa.

Dziewczyna przysłała po nią późnym popołudniem. Wyruszyły natychmiast niezauważone przez nikogo w hotelu. Po drodze Loredana uzyskiwała skąpo wydzielane odpowiedzi na nurtujące ją pytania: idą do *terreira Sakpata*, gdzie wieczorem odbędzie się zgromadzenie, *macumba*; z „matką bogów” zobaczą się przedtem, bo nie wiadomo, czy obca osoba może brać udział w ceremonii. Loredana daremnie próbowała się dowiedzieć, czym dokładnie jest *terreiro* i *macumba*, co to za obrzędy będą odprawiane, ponieważ Soledade w końcu oświadczyła, że takich szczegółów nie może ujawniać. A że na jej zwykle pogodnej, życzliwej twarzy pojawiło się zacięcie, Włoszka ostatecznie dała sobie spokój.

Szły główną ulicą do samego końca, potem minęły ostatnie murowane budynki i zagłębiały się w półwysep drogą, przy której od czasu do czasu stała lepianka otoczona palmami babassu. Chociaż w ostatnich dniach ani razu nie padało, czerwona ziemia lepiała się do butów, utrudniając marsz. Stojące bez ruchu zebu o zapadniętych bokach; wychudzony pies, zbyt słaby, aby je obszczeakać; wynędzniałe postacie okryte wypłowiałymi łachmanami, z obojętnością na twarzy, z szeroko otwartymi błyszczącymi oczami zapatrzonymi gdzieś w dal... Loredana jeszcze nigdy z tak bliska nie oglądała takiej nędzy. Nędzy przytłaczającej, burzy gotowej w każdej chwili wybuchnąć, dużo bardziej widocznej tutaj niż na ulicach Alcântary czy São Luís. Droga się zwęzłała, ciemność zaczynała osnuwać drżące szmaragdowozielone korony wysokich drzew: Loredanie przemknęło przez myśl, że oto, chcąc nie chcąc, zmierza na spotkanie

nocy.

Po trzech kwadransach marszu znalazły się pod ogromnym mangowcem, którego powybrzuszany pień, pogrubiony przez boczne konary, był poskręcany niczym Laokoon pośród węży. Pień jakby żywcem wyjęty z bajki, zielonkawy, błyszczący, wyciągający gałęzie we wszystkich kierunkach i wystarczająco wielki, aby znalazła przy nim schronienie cała gromada wiedźm.

- Już blisko - rzekła Soledade, wchodząc na ścieżkę ukrytą wśród korzeni.

Dom Mariazinha ukazał się między drzewami, w głębi polanki tak równej i wysprzątanej, że aż nierealnej po pobojuwisku, którym dotąd szły. Loredana zauważyła, że pierwotnie biała, a teraz pożółkła fasada nie ma okien, gdy zaś znalazły się bliżej, ujrzała resztki kamiennego krzyża nad drzwiami.

Ledwie przekroczyły próg, na spotkanie wyszła im dziewczynka. Zaprowadziła je do pomieszczenia, na którego widok Włoszkę przebiegł dreszcz, tak bardzo przypominało czerwono-złote wnętrze świątyni tybetańskiej. Oświetlone mnóstwem lampek oliwnych, zastawione malowanymi gipsowymi figurkami indiańskich wodzów, roześmianych diabełków, syren, psów wyjących do księżyca. Ściany pokrywały szpetne litografie, które świadczyły o niewiarygodnym zauroczeniu Allanem Kardekiem. U sufitu zwisały niezliczone czerwone kartki, wstążki modlitewne i banknoty. Sercem sanktuarium zdawał się ustrojony plastikowymi kwiatami duży wiklinowy fotel, nad którym górował posąg świętego Rocha - jego imię widniało wypisane na podstawie, aby każdy był tego świadom. W fotelu siedziała stara kobieta.

Mariazinha była niewysoka, okrągłutka i tak brzydka, że sędziwy wiek uczynił z tej przywary niemal zaletę. Miedziana cera ostro kontrastowała z burzą siwych kędzierzawych włosów zebranych w kok na czubku głowy; jej kozie oczy zdawały się wszystko przewiercać na wskroś; metaliczny ostry głos, grymas, który wskutek porażenia połowy twarzy wykrzywił jej usta, kiedy mówiła, cała jej powierzchowność budziła niezdrową fascynację, jaką wywiera czasami brzydota. Loredana, sceptycznie nastawiona do rzekomej mocy staruszki, z czystej uprzejmości przystała na tę grę. Mariazinha tylko na nią patrzyła, zaglądała jej prosto w oczy, mamrocząc coś niezrozumiale, wyrzucając z siebie potok słów niezależnych od spojrzenia, oderwanych, jakby pianista, doprowadziwszy do rozziwów między ręką lewą i prawą, łamał naturalną symetrię całego utworu. Badawczo wpatrywała się w cudzoziemkę, przenikała ją do głębi niczym rzeźbiarz studiujący niedoskonałości surowego kamienia, aż Loredana poczuła się w pewnej chwili pozbawiona powierzchowności.

- Jesteś chora, bardzo chora - rzekła w końcu stara, i jej wzrok złagodniał.

Też mi wiadomość! pomyślała Loredana zawiedziona wyraźną szarlatanerią. Bez dwóch zdań Soledade wszystko wygadała starej.

- Nic nie wiedziałam o twoim stanie - podjęła Mariazinha jakby w odpowiedzi na wyraźną nieufność Włoszki. - „Ona cię potrzebuje”. Tyle mi powiedziała dziewczyna. Omulu chce twojego dobra, uratuje cię, jeśli zdecydujesz się go przyjąć.

- Powinam wrócić do kraju? - spytała nagle wyzywająco Loredana, jak niedowiarek pyta czasem podczas stawiania kart albo horoskopu, by upewnić się w swej decyzji.

- Do kraju?... Wszyscy kiedyś wrócimy do punktu wyjścia. Nie to jest ważne, ważne jest wiedzieć, gdzie ten punkt jest. Jeżeli Omulu będzie mógł ci pomóc, zrobi to. To lekarz ubogich, pan ziemi i cmentarzy! *Eu sou caboclinha, eu só visto pena, eu só vim em terra prá beber jurema...* - Pociągnęła łyk z dużej butelki, którą potem wyciągnęła do Loredany. - Masz, ty też się napij. Niech duch juremy cię oczyści!

Pokonawszy obrzydzenie na widok lepkiej od brudu butelki i czerwonej gęstej cieczy, którą zawierała, Loredana zmusiła się, by przelknąć łyżeczek. Napój był cierpki, mocny, z nieokreślonym posmakiem zielonych liści i syropu na kaszel. Popijająca coś takiego Mariazinha musiała być kompletnie pijana.

W tejsze chwili gdzieś niedaleko ozwały się bębny grające w rytmie samby.

- Usiądźcie sobie - powiedziała Mariazinha, wyprowadzając je z pomieszczenia. - A ty - zwróciła się

do Loredany - staraj się robić to co wszyscy, nie sprzeciwiaj się niczemu, co postanowi noc...

- Chodź, to tędy - rzekła Soledade, kiedy zostały same. - Nie sądziłam, że pozwoli ci uczestniczyć w macumbie, ale to super! Zobaczysz, czegoś takiego nie macie we Włoszech.

Loredana poszła za nią do drzwi prowadzących na tyły domu. I stanęła z otwartymi ustami na widok tego, co zobaczyła: jakieś pięćdziesiąt osób, mężczyzn i kobiet, siedziało tam na ziemi lub na niskich ławeczkach po obu stronach rozległego prostokąta zamiecionej ziemi. W punkcie przecięcia przekątnych wkopany był stary słup telefoniczny; wybiegało od niego kilka kabli z żarówkami, tworząc świetlny baldachim nad zgromadzonymi. Stojący przy bębnach trzej młodzi mężczyźni zdawali się rozkoszować własną wirtuozerią.

Ku wielkiej uldze Loredany ludzie nie zwracali na nie szczególnej uwagi. Usunięto się, robiąc im miejsce na skraju. Tłum poszeptywał: zapomniane przez Boga, naznaczone niedostatkiem i losem fantomatyczne istoty, których śniada skóra błyszczała w świetle kolorowych żarówek. Niektóre starsze Mulatki odziane były w obszerne białe suknie, przez co przypominały wystrojone odświętnie Tahitanki. Po drugiej stronie placu Loredana

zauważyła Socorrę, która jednak nijak nie zareagowała, kiedy ich spojrzenia się spotkały. Włoszkę bardziej to zasmuciło, niż zdziwiło - widocznie starszka za niestosowną uznała obecność cudzoziemki w tym miejscu. Zmienił się także stosunek Soledade do niej. Wyczuwała jej rezerwę i chęć zachowania dystansu, chociaż dziewczyna służyła jej objaśnieniami.

- Królowa cisza - szepnęła jej na ucho i wskazała wyglądającą jak kocmołuch nastolatkę, która podała im tykwę napelnioną juremą.

Była to siostrzenica Mariazinhi, niemowa usługująca zgromadzonym. Z dużego wiadra czerpała napój blaszaną miarką tak przerdzewiając, że czerwona ciecz tryskała jej na ręce przez dziury. Na słupie równie milczące, a przy tym zrezygnowane, wisiały powieszzone za łapy czarne kury... Ludzie podawali sobie nabite mieszaniną ziół i tytoniu prymitywne fajki, za każdym pociągnięciem przyprawiające o zawrót głowy.

Wieczorna wilgoć sprawiała, że dym wisiał nisko nad ziemią jak mgła, rozsiewając woń eukaliptusa.

Grajkowie szybciej zaczęli uderzać w bębny, gdy mężczyźni na wolnym boku placu ustawiali wiklinowy tron Mariazinhi między dwoma stosami, tyłem do ciemności. Następnie wnieśli stolik, na którym królowa cisza rozłożyła biały obrus i postawiła jakiś okryty przedmiot napawający ją, nie wiedzieć czemu, strachem. Pojawiły się także miski napelnione prażoną kukurydzą i maniokiem, tradycyjne ofiary składane Omulú, a także cały zestaw jego atrybutów: rodzaj chałatu zakończony jakby ażurowym czepek oraz *xaxará*, pęk lasek trzciny spiętych obręczami z muszelek kauri - jak wyjaśniła Soledade, rodzaj berła wyposażonego w magiczną moc. Po obu stronach tronu rozpalono ogień, bębny ucichły i wszyscy skierowali oczy na dom.

Z butelką juremy w ręce Mariazinha wystąpiła na środek terreira. Szła dziwnie, drobnym kroczkiem, jakby niewidzialne kajdany pętały jej nogi. Stanęła przy słupie, nabrała w usta napoju i rozpyliła go na kury. Odstawiła następnie butelkę, spod słupa wzięła woreczek z popiołem, przedziurawiła go i zamaszystymi ruchami zaczęła znaczyć jakieś kształty na ziemi. Równocześnie donośnym głosem zaintonowała pieśń, którą tłum żarliwie podchwycił:

*São-Bento é ê, São-Bento é á!  
Omulú Jesus Maria,  
Eu venho de Aloanda.  
No caminho de Aloanda,  
Jesus São-Bento, Jesus São-Bento!*

Zostawiała za sobą figury geometryczne, gwiazdy i czarnogłowe węże.

Potem znowu się napiła i wzięła do ręki fajkę: paliła ją, posuwając się po obrzeżu placu i wydmuchując dym w twarze siedzących. Chwiała się teraz na nogach, lecz sztucznie, udając tylko niepewny krok człowieka pijanego. Znalazłszy się na powrót przed ołtarzem, niedaleko miejsca, gdzie siedziały Soledade z Loredaną, wyciągnęła z obawą drżącą dłoń ku nakrytemu przedmiotowi, który przyciągał spojrzenia. Jednym ruchem zerwała zeń nakrycie i cofnęła się jak odepchnięta. Znowu donośnie zawarczały bębny.

Loredana ujrzała posążek z polerowanego drewna, którego widok wywołał wśród zebranych szmer: jakby rogaty budda siedzący w swobodnej postawie - pod jego podwinętą nogą wyrzeźbiona płasko małpka zdawała się nadawać obły kształt penisowi większemu niż ona - z koźlim pyskiem, na którym osobiwie mieszała się łagodność i surowość. Zawieszony na szyi tego azjatyckiego belzebuba ludzki kciuk, częściowo zmumifikowany, przez kilka sekund się kołysał, po czym znieruchomiał. *Eidos, eidolon*, wizerunek, widmo czegoś... Idol! Loredana naraz z odrazą uświadomiła sobie, co mogło oznaczać to słowo dla całych generacji przerażonych hebrajczyków i chrześcijan, co teraz oznacza dla ludzi siedzących razem z nią. Coś strasznego i mrocznego używanego przez bóstwo jako druga skóra, jako jego wyobrażenie.

Przeciągły jęk przebiegł przez tłum. Mariazinha zaczęła drżeć na całym ciele, stojąc z rozłożonymi rękami przed bożkiem. Powieki jej trzepotały bardzo szybko, tak że migały tylko białka wywróconych oczu. Na usta staruszki wypłynęła piana, kiedy ze czcią przenoszono ją na fotel. Stężała w transie spoczęła na nim bez ruchu, w końcu sztywność ustąpiła i Mariazinha otworzyła dłonie. Uśmiechała się. Ale jak! Na jej twarz wypłynął pogodny spokój, jaki pokazują światu posągi Khmerów, najbardziej tajemnicze kurosy. Nowe wspomnienie nasunęło się Loredanie - oblicza widzianego przed kilku laty na filmie. Otóż realizator - nie pamiętała jego nazwiska - wymyślił, że sfilmuje jedno po drugim tysiące zdjęć

paszportowych mężczyzn i kobiet, przemieszanych, różnych ras, w różnym wieku i o różnych włosach. Kiedy puszczało się ten film z odpowiednim przyspieszeniem, działo się coś nieprawdopodobnego: z następujących po sobie tysiący twarzy wyłaniało się oblicze, jedno jedyne, spokojne, nierzeczywiste - powiedzielibyśmy dzisiaj: wirtualne - które nie było ani sumą, ani skrótem zdjęć tak zgromadzonych, lecz ich transcendencją, wspólnym źródłem, źródłem Ludzkości znajdującej w nim swe pierwotne wyobrażenie. Przed Loredaną jakby uchylono wrota tajemnicy albo wyświetlono któryś z jej snów. Pomyślała wtedy o Bogu... Kiedy prędkość filmu zaczęła maleć i ta wizja zniknęła, a pozostał jedynie zwykły efekt stroboskopowy, potem zaś zaczęła rozróżniać rysy poszczególnych twarzy, poczuła się niewiarygodnie przygnębiona. Tę epifanię pragnęłaby zachować przed oczami na zawsze, sycić się nią bez końca, zapomniawszy o całym świecie, tak bardzo spełniała nadzieje, wyzuwała ze znaczeń wszelkie pragnienia. I oto znowu ją ujrzała przylepioną na twarzy Mariazinha jak szklana maska... *Ialorixá!* Loredana, wzruszona do łez taką zbieżnością, wykrzyzczała swoją radość wraz z wszystkimi wyznawcami. Nie ona jedna rozpoznała Nienazywalnego siedzącego na wiklinowym tronie.

Mariazinha wyciągnęła ręce, aby pobłogosławić zebranych, i wtedy Włoszka zauważyła coś, co wzburzyło ją do głębi: kapłanka Omulu nie miała kciuka u lewej ręki... Lecz oto ktoś wybiegł na plac - Soledade przemieniona w wirującą marionetkę. Przez kilka chwil walczyła z jakimś niewidzialnym wrogiem, bijąc rękami powietrze, osłaniając sobie głowę, po czym znieruchomiała wstrząsana tylko spazmami. Mariazinha wyprostowała się w fotelu.

- Exú ją posiadł! - wykrzyknęła głosem ochryplym, zmienionym nie do poznania. – *Saravá!*
- *Saravá!* - podjął tłum, podczas gdy Soledade miotła się wstrząsana nieopanowanymi skurczami.
- Exú Caveira, pan siedmiu legionów! - kontynuowała Mariazinha.
- Exú trupia głowa! Niechaj zstąpi Omulu, władca wszystkich! Niechaj zstąpi! Niech przyjdzie do



nas!

Loredaną własnym oczom nie wierzyła. Podobnie jak pojęcie „idol”, termin „trans” był dla niej dotąd jedynie słowem w podręcznikach antropologii na oznaczenie wynikającego z histerii fenomenu, który dotyka

wyłącznie osoby słabe na umyśle albo podatne na pierwiastek irracjonalny. Oczywiście spodziewała się czegoś takiego, lecz bardziej niż sam trans zdumiało ją, że tak łatwo można temu ulec. Soledade wyglądała jak prawdziwie opętana: tańczyła, przewracała oczami, „mówiła językami”, odgrywała jakieś pierwotne sceny z pustym spojrzeniem, śliną na ustach, wijąc się w popiele figur wyrysowanych na ziemi, podnosząc się i od nowa wszystko zaczynając. Spłoszona gwałtownością tego ataku Loredana poczuła wobec dziewczyny swego rodzaju pogardę przemieszaną z litością i obawą.

Jej występ nikogo tutaj nie dziwił. Królowa cisza nadal roznosiła júreme i fajki nabite mieszanką, która wzmacniała efekt alkoholu; od czasu do czasu ktoś, kobieta albo mężczyzna, upuszczał swoją tykwę i wkraczał w krąg tajemnicy szarpany konwulsjami, powykrzywiany, opanowany przez jednego z duchów, którego imię Mariazinha natychmiast ogłaszała - Exú Brasa, Haristum; Exú Carangola, Sidragosum; Exú da Meia-Noite, Hael; Exú Pimienta, Trimasael; Exú Quirombô, Nel Biroth! - za każdym razem prosząc, aby przemówili za nią u Omulu, pana ich wszystkich. Wyzywano osoby szalejące na placu, komentowano ich gesty i miny. Loredana, którą przerosły wydarzenia, piła i paliła wszystko, co jej podstawiano. Oczy jej płonęły, spragniona była wody i światła, lecz z zachwytem chłoneła to, co Brazylia ofiarowywała jej tej nocy.

W końcu Soledade osunęła się jak szmaciana lalka. Pociągnięta przez sąsiadkę Loredana pomogła jej przenieść dziewczynę na obrzeże placu. Soledade złana była potem, głowa zwisała jej bezwładnie, oczy miała zamknięte, mięśnie zupełnie rozluźnione. Loredana klepała ją po policzkach przerażona utratą przytomności, aż wreszcie Soledade dała pierwsze oznaki życia. Ledwie odzyskała świadomość, zaczęła wypytywać ludzi w pobliżu...

- Exú Caveira! - powiedziała do Loredany z promiennym uśmiechem. - Posiadł mnie Exú Caveira! Masz pojęcie?

- Nie do końca - odparła Włoszka zbulwersowana spustoszeniami widocznymi na jej buzi.

Odnosiła wrażenie, że teraz sytuacja znacznie wykracza poza granice wyobraźni. Wierni jeden po drugim padali w pył pokrywający plac, powaleni nagłym powrotem duchów, które nimi zawładnęły. Słychać było krzyki,

rżenia, jęki rozkoszy. Loredana miotła się między pragnieniem powrotu do domu a pewnością, że nawet gdyby zdołała ustać na nogach, nigdy by nie odnalazła drogi.

Na znak Mariazinho stojącej przed tronem bębny zmieniły rytm. Ostatni opętani wyszli z transu niemal w jednej chwili i czym prędzej odprowadzono ich na miejsca na skraju placu.

- *Oxalá, meu pai* - zaczęła kapłanka - *tern pena de mim, tern dó! A volta do mundo é grande, seu poder ainda é maior!*

Rzucił się ku niej mężczyzna, ukląkł, szybko położył głowę na stopach starej i zaraz się podniósł, ujmując dłoń, którą mu podawała. Na krótko objęli się ramionami, przywarli do siebie z prawej, potem z lewej, po czym Mariazinha zakręciła wiernym jak w figurze tanecznej i puściła go. Mężczyzna odstał o kilka kroków i stanął bez ruchu z uśmiechem na ustach. Wszyscy zaczęli się teraz cisnąć, aby dopełnić takiego samego rytuału. Po nim niektórzy na nowo wpadali w trans albo czepiali się spódnicy kapłanki, płacząc ze szczęścia i wdzięczności.

Chociaż Loredana zaciekle się broniła, Soledade wyciągnęła ją przed ołtarz. Kiedy przed nim stanęły, „matka bogów” pokiwała głową, jakby spodobało jej się to, co zobaczyła w twarzy Włoszki. Lewą rękę położyła jej na karku, a kciuk prawej w miejsce między brwiami.

- Co powinnaś zrobić, przed tym nie uciekniesz - powiedziała. - Co powinnaś zrobić, dla mnie

zrobisz...

Tego samego rytuału dostąpili wszyscy obecni. A Loredana z otwartymi ustami stała pod żarówkami oświetlającymi terreiro, zdumiona gorącem, które paliło jej czoło.

I znów były tańce, transy, modły. Wydawało się, że ci ludzie nigdy nie nasycą się juremą, znaleźli się na granicy dwóch światów, w miejscu, gdzie równoważy się rzeczywistość i to co nierzeczywiste. A potem na ustach wszystkich pojawiło się imię: Axogum, i na środku placu znalazł się czarnoskóry mężczyzna. Posypał kury maniakiem, skropił olejem dende, spalił nad nimi zapalki, po czym z pochwy wyjął maczetę.

- Niech zatem umrą dzuma, trąd i róża - zaintonował przepitym głosem. - Arator, Lepidator, Tentador, Soniator, Ductor, Comestos, Devorator, Seductor! O stary panie! Nadeszła godzina, abyś wypełnił, co mi obiecałeś. Wyklinij mojego wroga, jak ja go wyklinam. Zgnieć go na pył, jak ja zgniatam na pył tego ususzonego kolibra! Na ogień nocy, na czerń martwych kur, na przecięte gardło, niechaj nasze modły będą wysłuchane!

Podciął gardło pierwszemu ptakowi. Jedna z kobiet rzuciła się, aby wypić pierwsze strugi krwi tryskającej z arterii. Wpadła w trans jakby pod wpływem jakiegoś narkotyku. Axogum kolejno składał ofiarę z kur, które przechodziły z rąk do rąk. Do tykw płynęła teraz mieszanina juremy i krwi. Zebranych znowu ogarniał trans, nad terreirem królowała teraz jakaś pełna powagi euforia podobna do tej, jaka zdarza się czasami na stypie.

Loredana od dawna już, w ogóle się nie zastanawiając, łykała, co jej podsuwano. Kiedy kura z podciętym gardłem, lepka i wstrząsana śmiertelnymi drgawkami, znalazła się w rękach Soledade, która miętosiła ją jak bukłak, aby wycisnąć z niej soki, Włoszka z uśmiechem podstawiła tykwę. Już nic się nie liczyło. Być posłuszną nocy - słowa Mariazinhi błąkały jej się po głowie - pozwolić, by nadeszło to co nieoczekiwane, przyjąć to, przyjąć wszystko, niczego nie nazywając... Posążek błyszczał w świetle ognia. Baal, Amon, Dionizos: bogowie pijani, bogowie ułomni, bóstwa wybielone wapnem cementarysk...

Zjadano właśnie trzewia złożonych w ofierze kur, gdy zrobiło się zbiegowisko. Na ziemi skręcał się mężczyzna z wszelkimi oznakami konwulsji. Tłum rozkrzyczał się przed Mariaziną - wносиła atrybuty z trzciny i muszli: chałat Omulú i xaxare. Mężczyzna przywdział chałat, berło ujął w dłoń. Bębny ucichły i w zapadłej ciszy ludzie wolno się odsunęli, zdjęci świętym strachem wobec koszmarnego stworzenia, które stało teraz na placu. Na wysokości oczu upleciona siatka tworzyła naokoło wizjer w strasznej masce, jakby istota w nią przyodziana mogła patrzeć na wszystkie strony. Spod chałatu wystawała jedna ręka dzierżąca berło, a upiorna zjawia obracała się wokół własnej osi, krążąc równocześnie naokoło słupa na środku placu niczym kula orbitująca wokół sztywnej osi kosmosu.

Pod przewodem Mariazinhi zgromadzenie pozdrowiło swojego boga:

*Wraca z Sudanu ten,  
Który szanuje tylko matkę...  
Kuleje, chwieje się z utrudzenia,  
Ten, który nawiedza cementarze...  
A toto Obaluae!  
A toto Obaluae!  
A toto Buba!  
A toto Alogiba!  
Omulú bajé, Jamboro!*

Był z nimi ów bóg tak upragniony, tańczył w zmiennym rytmie, na przemian podskakując ze złączonymi stopami i falując ciałem. Całe zgromadzenie trans ogarnął niczym mgła. Jedni biegli ku

Omulú, aby otrzymać jego błogosławieństwo - uderzenie w ramię xaxara - inni z krzykiem osuwali się na ziemię, jeszcze inni podrygiwali. Kobiety rozpuszczały włosy i wściekle rzucały głowami. Wszyscy tańczyli w rytm grających bębnów. Całe terreiro jakby ogarnęło epileptyczne rozpasanie.

Loredana wciąż jeszcze obserwowała całość tylko jako widz. Kołysała się w przód i w tył w rytm bębnów, kołysząc własną samotność niewidzialną pośród tego zgromadzenia ślepców. Nawet oszołomiona Soledade już jej nie widziała. Za niemal radosną odmianę uznała osobliwe zamieszanie - kotłowanie jak karaluchów na rozlanym tłuszczu - które zaczęło się rozszerzać: kobieta rzuciła się na mężczyznę, podniosła spódnice i posiadała go przy wszystkich; mężczyzna na kobiecie; mężczyzna na mężczyźnie... Przetaczająca się przez noc orgiastyczna fala zagarniała każdego. Nawet bóg przerywał taniec, wchodził w tłum, szybko kopulował, po czym wracał na plac tańczyć dalej. Żarówki już się nie świeciły, ktoś jednak musiał podsycać ognisko, ponieważ bachanalia odbywała się w złotym blasku buzujących płomieni. Jakiś człowiek dobrał się do Soledade. Kiedy zespolone ciała ocierały się o jej udo, Loredana zobaczyła ich twarze - zadziwiająco spokojne, zadziwiająco puste. Beznamiętnie odnotowała lubieżną podniosłość, uświadamiając sobie, że przekroczone zostały granice upojenia, że traci grunt pod nogami. Mimo że resztki rozsądku dzwoniły jej w głowie na alarm, wciąż zmuszała się do picia, aby się wreszcie wyzwolić od zahamowań, niecierpliwie pragnąc się włączyć w otaczające ją zewsząd namiętne szaleństwo. To kłębowisko ludzkich ciał przenikał jakiś pierwiastek fundamentalny, coś, co rozpaczliwie pragnęła przygarnąć, chociaż przejmowało ją mrocznym przerażeniem. Aż wszczęło się jakieś organiczne poruszenie,

ferment robaków i humusu - czyjaś obecność - i stanął przed nią Omulu, nieruchomy, przerażający, z przyrodzeniem sterczącym pomiędzy włókien rafii. Niczym witraż pod wpływem szalejącego ognia jej umysł rozpadł się na tysiące odłamków. Przez kilka chwil wytrzymała siły, by pozbierać jego kawałki, ponaglana instynktem każącym jej się spieszyć, ogarnięta zwierzęcą paniką. A potem leżała na poły na Soledade, na poły na kimś innym, nie dotykając nawet ziemi, ze wzrokiem utkwionym w niebie. Czyjeś ręce zerwały z niej spódnice, poczuła na sobie ciało szeleszczące suchą trawą. Bóg w nią wszedł, rozsiewając woń świecy i skopanej ziemi.

Odzyskała świadomość kilka minut później. Kiedy się podnosiła, pomiędzy jej nóg wyciekła lepka ciecz.

- Odejdzie... - powtarzała z rozpaczą Soledade. - Zaraz odejdzie... Chodź, chodź szybko!

Pociągnęła ją na plac, gdzie wierni otaczali wstrząsanego ostatnimi konwulsjami boga. Mariazinha zabrała mu xaxare i czyniła nad nim jakieś dziwne znaki:

*Odchodzi, skąd przybył,  
Do Luandy,  
Do Luandy,  
Niech zabierze kłos z naszymi prośbami,  
Niech je spełni, nim powróci!*

Opętany znieruchomiał wreszcie rozciągnięty na plecach, Chrystus bez krzyża, derwisz, którego odstąpiło wirowanie. Uniesiono jego ciało, aby „matka bogów” mogła zdjąć z niego chałat. Pod maską znajdowała się druga maska, twarz mężczyzny z rozwartymi ustami, niewidzącym wzrokiem. Twarz Alfreda.

**ALCÂNTARA**  
*U Nicanora Carneira*

Koło trzeciej nad ranem Gildę coś wyrwało ze snu. Nastawiła uszu, wsłuchując się w dźwięki domu. Wydało jej się, że niemowlę kwili. Odczekała chwilę w nadziei, że dziecko się utuli. Poderwała się na łóżku, gdy zabrzmiało

przeziągle spazmatyczne westchnienie, jakby ktoś nabierał powietrza po długim bezdechu.

- Co jest? - burknął Nicanor, nie otwierając oczu.
- Nic - rzekła Gilda ciepło. - Śpij, ja się tym zajmę.

Uspokojony odpowiedzią żony Nicanor Carneiro na powrót zasnął. Od miesięcy ciężko pracował i wciąż brakowało mu wypoczynku. Przyjście na świat ich pierwszego dziecka też robiło swoje.

Zupełnie rozbudzona Gilda obciągnęła koszulę nocną i z niepokojem podreptała do przyległego pokoju. Egon nigdy tak nie płakał, pewnie coś mu jest... Gdy zapalała światło, poczuła na ustach rękę, która stłumiła jej krzyk: przed nią, obok kołyski, stał mężczyzna w pończosze naciągniętej na głowę, trzymając pod pachą jej dziecko i brzytwę w prawej dłoni.

- Milcz, zdziro! - szepnął ten, który zakrywał jej usta. - Rób, co powiemy, a nic mu się nie stanie.

Rozpłakała się z bezsilności i strachu. Nogi się pod nią ugięły. Na szyi poczuła czubek noża.

- Zrozumiałaś? Zawołaj swojego chłopca! Powiedz tylko, żeby przyszedł, nic więcej!

Nie mogła wydobyć z gardła żadnego dźwięku. Posiniałe niemowlę dusiło się z przerażenia. Napastnik złapał ją za pierś. Ścisnął.

- No już, krowo, albo cię załatwię!

Carneiro przybiegł na drugi krzyk żony. Wydawał się jeszcze chudszy, kiedy stanął w drzwiach nagi, rozczochrany, z niedowierzaniem na twarzy.

- Pobudka, spieszmy się! - warknął człowiek w masce, który trzymał jego żonę. - Masz dziesięć sekund, żeby podpisać ten kwit... - wskazał wzrokiem kartkę i długopis leżące na stole. - Podpiszesz, to sobie pójdziemy, a jak nie, zaczniemy od twojego gówniarza. Proste.

- Zostawcie ich - powiedział Nicanor głosem drżącym z gniewu. - Podpiszę. - Czym prędzej nagryzmolił swoje nazwisko na umowie kupna-sprzedaży. - Puśćcie ich teraz, no już - rzekł, cofając się. - Natychmiast!

Tamten sprawdził podpis: Nicanor Carneiro. Poskładał dokument i wsunął do kieszeni.

- No widzisz? To nie było trudne - powiedział pojednawczo. - Masz tę swoją kwoczkę - dodał, popychając Gildę do męża. - Ależ ona ma cycki!

Pewnie się z nią nie nudzisz, draniu!... No, stary, kładź dzieciaka i zmywamy się.

Po tych słowach zapadła cisza jak makiem zasiał. Spojrzenia wszystkich skupiły się na kołysce. Człowiek z brzytwą niezdarnie potrząsał bezwładnym ciałkiem dziecka, jakby chciał je zmusić, aby na powrót zaczęło się poruszać.

## **SÃO LUÍS, FAZENDA DO BOI**

*Jutro będą o tym pisali w gazetach, pułkowniku...*

- Naprawdę, Carlotto - rzekł pułkownik, odkładając serwetkę na stół obok talerza - niepotrzebnie się martwisz.

Kończyli jeść śniadanie na tarasie w patiu. Słońce czerwieniało za wilgotnym jeszcze listowiem bugenwilli. Carlotta w nocy prawie nie spała, jej blada, wymiętoszona twarz była twarzą starej kobiety.

- Mauro jest dorosły - podjął Moreira - a pojechał przeciw z ludźmi obeznanymi w terenie, z tego co rozumiałem. Na pewno znaleźli to, czego szukali, i zapomnieli o bożym świecie. Wiesz, jacy oni są... Tak że moim zdaniem brak wiadomości, to dobra wiadomość. Gdyby coś im się stało, choć naprawdę nie umiem sobie wyobrazić, co by to mogło być, już byśmy wiedzieli.

Wylał resztkę kawy z dzbanka do swojej filiżanki.

- Może masz słuszość - przyznała Carlotta, pocierając skronie. - Bardzo bym chciała, żebyś miał słuszość. Ale nie mogę się uspokoić, to silniejsze ode mnie.

Poprzedniego dnia w godzinach popołudniowych zatelefonowano z uniwersytetu w Brasillii. Ponieważ nie było żadnych wieści o członkach wyprawy, sekretariat wydziału geologii zapytywał, czy Mauro przypadkiem nie kontaktował się z rodzicami w taki czy inny sposób. Zajęcia zaczynały się za trzy dni, dziekan zaczynał się więc denerwować przedłużającą się nieobecnością swoich głównych wykładowców. Kiedy Moreira wrócił do domu, uspokajał żonę jak mógł z tym większym przekonaniem, że wierzył w przysłowiowe roztargnienie naukowców. Carlotta zdawała się doceniać jego wysiłki. Przy tym zmiany na tytułach własności działek dokonały się gładko jak po maśle. Carlotta nawet mu podziękowała, że bezzwłocznie to wszystko uregulował.

- Przepraszam cię za tamtą scenę - dodała. - Ja osobiście mam gdzieś te pieniądze, ale chodzi mi o Maura, wyłącznie o niego, rozumiesz?

Jasne, że rozumiał! Pułkownik posłał chełpliwy uśmiech swojemu odbiciu w lustrze i oklepał sobie policzki wodą Yardleya. „Hrabina Carlotta de Algezul” złożyła mu przeprosiny, w dodatku dzisiaj mają mu przywieźć tego willysa! Stanowczo ten dzień zaczynał się tak, że lepiej nie można sobie życzyć.

Carlotta w swoim pokoju podskoczyła na dźwięk dzwonka telefonu. Mauro! Coś się stało Maurowi! Jej mąż zdążył jednak przed nią odebrać, toteż w milczeniu z niepokojem czekała, czy rzeczywiście nie chodzi aby o ich syna.

- Sprawa Carneira załatwiona, pułkowniku. Podpisał, trzymam w ręce umowę kupna-sprzedaży.

- Dobrze, doskonale! - pochwalił Moreira. - Wiedziałem, że mogę na panu polegać, Wagner.

Zawiedziona Carlotta już miała odłożyć słuchawkę, gdy głos rozmówcy jej męża załamał się:

- Pułkowniku... jakby to powiedzieć... nie wszystko poszło dobrze, pułkowniku... Był drobny wypadek.

- Co znów za wypadek? Wyduśże to z siebie, Wagner, mam spotkanie za pół godziny, a nie jestem jeszcze ubrany!

- Dziecko... to znaczy tak mi powiedziano... dziecko się uduśliło. Samo. Jak ojciec to zobaczył, rzucił się na jednego z moich ludzi i zerwał mu maskę... Chłopcy spanikowali... Jutro będą o tym pisali w gazetach, pułkowniku...

- Chcesz powiedzieć, że oni...

- Tak.

Na długą chwilę zapadła cisza, w czasie której Moreira bezmyślnie wgapił się w nocny stół, niezdolny zebrać myśli.

- Nikt ich nie widział, pułkowniku, może pan być spokojny. Zrobiłem, co trzeba: są bezpieczni w moim *sítio* na wsi. Absolutnie niemożliwe, żeby powiązać ich ze mną, a tym bardziej dotrzeć do pana... Pułkowniku? Halo, słyszy mnie pan?

- Zaraz u ciebie będę - rzekł Moreira lodowatym głosem.

Gdy nieco później zapukał do drzwi pokoju Carlotty, aby się pożegnać, zdziwiło go, że nie usłyszał odpowiedzi. Nie dobijał się, lecz odszedł - i nigdy się nie dowiedział, jaki w tej chwili uruchomił mechanizm, którego fatalnej w skutkach precyzji nic nie zdoła zatrzymać.

## ROZDZIAŁ XXI

*Mistyczna noc Kirchera: jak ojciec Atanazy podróżował po niebiesiech, nie opuszczając*

Opowiem teraz o wspaniałym przykładzie Bożej wszechmocy & pokażę, jak się ona objawia drogami niezbadanymi u ludzi najcnotliwszych. Kiedy mistrz mój opadł na klęcznik, zaczął głosem jęklwym & urywanym szeptać, jakby komuś odpowiadał & opisywał, choć mozolnie, obrazy przewijające się przez jego umysł. Podszedłem doń bliżej, aby go wesprzeć, lecz także aby słyszeć, co Pan Bóg postanowił mu przekazać, pragnąłem bowiem móc później o tym zaświadczać. Kircher gorączkowo złapał mnie za rękę; oczy miał szeroko otwarte, wilgotne & zamglone, jakie widuje się na obrazach przedstawiających świętych, niemniej wydawało się, że mnie rozpoznaje.

- Ach, Kosmielu! - zawołał w uniesieniu, drżąc na całym ciele. - Jakżem ci wdzięczny, żeś raczył zstąpić do mnie...

- Wypełniam tylko wolę Wszechmocnego - rozległ się głos z trzewi, głęboki, zniekształcony, metalicznie brzmiący.

Przeraziłem się nie do opisania, widziałem bowiem ongi opętanego, za którego pośrednictwem Belzebub podobnie przemawiał. Jednakże imię Kosmiela, którym zaraz wspomniał, uspokoiło mnie odrobinę: mojego mistrza opętali aniołowie, a ściślej najszlachetniejszy & najmądrzejszy dowódca zastępów niebieskich.

- Przygotuj się, Atanazy - podjął Kosmiel ustami Kirchera. - Zostałeś wybrany & musisz okazać się godzien tej łaski. O ile bowiem podróz, w której przewodnikiem był Wergiliusz, odbyła się wyłącznie w imaginacji Dantego, o tyle Bóg posiał mnie, aby głębiej ciebie wprowadzić w znajomość świata stworzonego z Jego woli. Naprzód! Pora wyruszyć ku niezmiernym przestrzeniom. Otwórz to okno, Atanazy, & przytrzymaj się czegoś, kiedy będę rozkładał skrzydła...

- Posłusznie czynię, coś rozkazał - odparł z powagą Kircher.

Stanął & chwiejnym krokiem skierował się ku oknu. Szedł, jakby ziemia usuwała mu się spod stóp. Przeraziłem się, że będzie chciał wyskoczyć - & gdyby to zrobił, wcale bym go nie zatrzymywał, takim był mocno przekonany, że jego wiara & obecność anioła nie pozwolą mu spaść, a uniosą go w powietrzu znacznie lepiej, niżli mnie ongi poniosły sztuczne skrzydła - on wszakże w milczeniu zapatrzył się w rozgwieżdżoną noc, jakby w kamień go obróciła wizja tego, co oglądał, wędrując w towarzystwie surowego Kosmiela.

Z nieustających jego pokrzykiwań pojąłem niebawem, że mistrz mój dotarł do Księżyca. Opisywał go w najdrobniejszych szczegółach, przelatując nad morzami & górami, dając wyraz zadziwieniu, ilekroć coś nowego zobaczył.

Następnie Kircher udał się na Merkurego, później na Wenus, wreszcie na Słońce, & już myślałem, że się udusi, tak bardzo zdawał mu się doskwierać panujący tam żar. Potem znalazł się na Marsie, o którym Kosmiel powiedział, że to planeta nader złośliwa, odpowiedzialna za dżumę & inne epidemie na Ziemi, dalej przybył na Jowisza z jego księżycami & na Saturna otoczonego tęczowej barwy pierścieniami.

Na każdej z siedmiu planet, które odwiedził, czego żaden człowiek przed nim nie dokonał, mistrza mojego witał anioł bądź archanioł nią władający. Dokładnie tak, jak w Piśmie Świętym zapisano, spotkał zatem Michała, Rafaela, Gabriela, Uriela, Raguela, Serakela & Remiela, którzy zwracali się doń bezpośrednio, pouczając go o sferze, w której się znajdował.

Kiedy Kircher dotarł do firmamentu, to znaczy do sfery gwiazd stałych, jego zdumienie sięgnęło szczytu. Oto bowiem ujrzał, że niezliczone gwiazdy wcale nie są przytwierdzone do niebieskiego kryształu, lecz poruszają się na podobieństwo planet: Arystoteles, książę filozofów, bardzo się pomylił co

do natury ósmego nieba.

- Owszem, mój Atanazy - potwierdził jego anioł stróż - każdą gwiazdą rządzi osobna inteligencja, która ma obowiązek pilnować prawidłowości jej ruchu po orbicie & w ten sposób stać na straży odwiecznych niewzruszonych praw. Jak wszystko stworzenie Boże, gwiazdy od początku świata rodzą się & umierają. A firmament, jak sam widzisz, nie jest ani niezniszczalny, ani stały, ani skończony...

Zadrzałem na myśl, że ktoś oprócz mnie mógłby usłyszeć te słowa. Była to bowiem bez ogródek wyłożona doktryna wielości światów & zniszczalności niebios, herezja, za którą nie tak dawno Giordano Bruno żywcem spłonął na stosie. Straszliwa kara, której ledwie uniknął stary Galileusz skazany z tych samych przyczyn, godząc się wyprzeć tego poglądu.

Przeciągle dreszcze przebiegły Kirchera, jeżąc mu nawet włosy w brodzie, nie wyglądał jednak na zdjętego strachem. Właściwie prawdę powiedziawszy, im dalej docierał w towarzystwie anioła, tym mocniej jego oblicze promieniało szczęśliwością.

- Patrz, Atanazy, patrz uważnie! Tam, w samym sercu tej niezbadanej otchłani, kryje się tajemnica boskości. Pojąć ją mogą wyłącznie dusze. Ciesz się zatem teraz ogromnym wyróżnieniem, które cię spotkało. Wielbij & wychwalaj Pana całym swoim sercem. Dzień już wstaje. Na mnie pora, trzeba mi wracać do pierwszego chóru w hierarchii niebieskiej. Do zobaczenia zatem. Nie zaniedbasz swojej misji, jako że jestem przy tobie...

Wtedy w Kirchera jakby piorun trząśł. Tracąc przytomność, osunął się na podłogę & legł bez zmysłów. Żwawo najpierw zamknąłem okno, po czym ułożyłem go w łóżku & wlałem mu w usta odrobinę gorzałki.

Kiedy przyszedł do siebie, wzięły go najpierw dreszcze, a potem wysoka gorączka. Złany potem majaczył przez wiele godzin, nic wszakże nie mógł pojąć z tego, co mówił. Nie śmiałem wołać pomocy ze strachu, że Atanazy mógłby znowu zacząć wygłaszać jakieś herezje znacznie groźniejsze dla jego zdrowia aniżeli owa osobliwa przypadłość.

Dzięki Bogu, po napadzie wzmożonego podniecenia Atanazy naraz się uspokoił. Zaczął normalnie oddychać, powieki mu opadły & złożywszy ręce na piersi, szeptem wygłosił apolog - jak mnie zapewniał, przetłumaczony z koptyjskiego - zatrzymując się po każdym zdaniu, jakby mówił kazanie:

- W egipskim klasztorze, gdy kurze opadły, ojciec Jan Colobos takimi odezwał się słowy, które samym brzmieniem swym o wielką troskę przyprawiły, mimo że z chęcią słucał, brata jego Gustawa: „Wybacz, bracie, teraz będziesz stale sam, odchodzę z pełnej walki doliny ciemności, by na łonie niebieskim odtąd wieść życie z Panem Bogiem w raju przy świetle Jego sprawiedliwości. Bracie, pamiętaj, nigdy nie smuć się losem mym, posłuchu nie dawaj nerwom: zagraj na fujarce & godnie podzielaj radość mą, albowiem kroczę jeno do piękna Niebios. Czarownym poddam duszę mocom, com sobie obiecał, osiągnę zenit, gdzie każdy anioł jako & ja miłuje Pana. Z cherubinami pospołu prosto & posłusznie służyć zamiaruję, stokrotnie odwzajemniać Pana Boga miłość, jej siłą umacniać się ustawicznie w wierze, nie pracując”. Podbechtany Uchem jakowymś zrzucił odzienie, odmówił cokolwiek brać jadła & poszedł strzeliste modły zanosić na Pustynię Libijską. Niedzielę później, kiedy wróciwszy, w drzwi zakolała, mocno jedynie utrudzony, słońcem spalony, lecz nieskruszony, Gustaw, starszy brat jego, chłodno rzekł: „Salve, cudzoziemcze. Nie naruszaj spokoju mego po próżnicy. Czego pragniesz?”. Pokornie nieszczęsny ojciec Colobos jęknął: „Litości, to ja, Jan”. Gustaw, za drzwiami wciąż stojąc, odparł łagodnie: „To niepodobna. Gadaj, gdzieś go spotkał. Jan ma inny głos. Miał życzenie iść za powołaniem, smak kontemplacji poznać pragnął... Do kaplicy idź, głowy nie zawracaj. Łuna bije niechybnie na pustyni, co świadectwem Janowego oddania się wraz z duszą Panu Bogu. Z serafinami on sobie teraz tam siedzi na wysokościach, radując tym duszę w chwale, smakując darowaną mądrość!”. Broniąc się przed łotrostwem & brata własnego nękać nie chcąc, Gustaw odryglował drzwi. „Ladacoś, przyjacielu. Jeśliś tchnieniem, nic dawać

ci nie trzeba. Człowiekiem mienisz się? Pracować ci przyjdzie, szarości życia kosztować, apetyty powściągać. Niczym cię nie wspomogę, ja, nędzarz, jeśliś aniołem, któregom pożegnał & oplakał. Bałbym się, że rozmodlonego cię urażę & na koniec, ofiarowując ci nędzną celę, szyderstwa doznam...”. Pokarany za pychę, wiedząc, że zgrzeszył, Jan rzekł: „Leniłem się, bracie, wybacź, bom blaskiem niebios mocno był olśniony...”. Leniłem się? - powtórzył Kircher spokojnie, acz tonem zdumionym, po czym zapadł w sen.

Z niepokojem w pełni zrozumiałym oczekiwałem na jego przebudzenie. Bardzo się lękał, że tak doniosłe wydarzenie odbiło się jakoś na mistrzu moim. Mimo że wizja, jakiej z łaski Boga dostąpił, była dlań ogromnym zaszczytem & jeszcze wyżej niż dotąd wynosiła go w oczach moich, nie przestawałem żywić obaw, iż teraz już zawsze będzie wiódł rozmowy z aniołami.

Kiedy przebudził się sześć godzin później, szczęśliwie nie spostrzegłem żadnych następstw ekstazy. Oczy miał nieco zapadnięte, co dowodziło zmęczenia fizycznego spowodowanego wyprawą, rozpoznał mnie jednak natychmiast & mówił jak najbardziej do rzeczy. Doskonale pamiętał noc spędzoną z aniołem, w każdym razie z grubsza, albowiem nie był w stanie przypomnieć sobie choć jednego zdania z tego, co usłyszał bądź powiedział. Powinszowałem sobie zatem doskonałej pamięci, a Kircher z zadowoleniem wysłuchał niewiarygodnej opowieści o swoich nocnych czynach.

W pełni potwierdził to, czegom się domyślał minionej nocy. Otóż gdy tylko zaczął się koncert u królowej Krystyny, muzyka zawładnęła Atanazym całkowicie - czuł się tak, jakby nie tylko przenikały go najdelikatniejsze nawet dźwięki, lecz odkrywał także ukryte znaczenia rytmu uniwersalnego. Szybko jednak dźwięki instrumentów ucichły, w głowie natomiast jęły mu rozbrzmiewać niezliczone polifonie stworzone przez jego imaginację. Policzył w myśli guziki swej sutanny & powstał z tego akord; obwiódł w duchu kontur jakiegoś sprzętu czy posągu & słyszał melodię, jakby wszystkie istoty & przedmioty na tym świecie potrafiły wytwarzać własną muzykę, przyjemną dla ucha lub fałszywie brzmiącą w zależności od tego, czy ich budowa zgodna była z regułą złotego podziału.

Kiedyśmy wracali do kolegium, po drodze mistrz mój w taki sam sposób postrzegał harmonię sfer niebieskich. I wkrótce potem pojawił się anioł Kosmiel. Kircher długo mi opisywał jego młody, uderzająco piękny wygląd. Przy nim bladła uroda najcudniejszego z aniołów namalowanych przez Leonarda.

Co się tyczy podróży do gwiazd, Atanazy wyznał mi, że w całym życiu swoim nie doświadczył czegoś tak zachwycającego. Miał głębokie przeświadczenie, że odbył ją równie realnie jak naszą sycylijską wyprawę, chociaż znacznie obfitsze było jej pokłosie w zakresie wiedzy. Zaraz też postanowił, że zrelacjonuje ją w budującej opowieści, czemu z całego serca przyklasnałem, nalegając, aby uczynił to czym prędzej.

Po jeszcze jednej nocy wypoczynku Kircher poniechał wszelkich rozpoczętych prac, a zajął się wyłącznie pisaniem „Iter Extaticum Coeleste”, w którym - jak mi powiedział - budowa wszechświata wytłumaczona będzie

zgodnie z nową wiedzą w formie dialogu między Kosmielem a Teodyktatem. I w owym pseudonimie, za którym ukrył się mój mistrz, raz jeszcze ujrzałem jego wrodzoną skromność.

Rok 1656 rozpoczął się, niestety, pod bardzo złymi auspicjami: przyszła mianowicie wieść, że przyniesiona z południa dżuma pustoszy Neapol. Choć odległa już była epidemia, która pozbawiła Rzym trzech czwartych mieszkańców, wszyscy o niej nadal pamiętali, taka wszakże jest słabość ludzkiej natury, że nikt naprawdę nie myślał, iż zaraza znowu dojdzie aż do nas. Mocno, rozumie się, ubolewano nad tym, że w Neapolu ludzie umierają, widać jednak strasznie nagrzeszyli, skoro Pan Bóg spuścił na nich taką karę... Rzymianie zatem w przekonaniu, iż chroni ich obecność papieża w mieście oraz własna cnotliwość, nadal wiedli beztróskie, pełne uciech życie.

Pierwsze przypadki wystąpiły w styczniu w ubogich dzielnicach, nie budząc w zasadzie niepokoju wśród ludu, który z racji swej bezwstydnego rozwiązłości nawykł do wszelkiej maści chorób będących



skutkiem gniewu Bożego. W marcu doniesiono o trzystu zmarłych... Z osób wysoko postawionych jedna królowa Krystyna przedsięwzięła kroki zaradcze: zaalarmowana liczbą zgonów, w czasie krótszym niż trzeba, aby to napisać, opuściła miasto, które tak wspaniale ją ugościło, & przeniosła się do Paryża, dokąd zapraszał ją kardynał Mazarini, wraz ze swymi haniebnymi obyczajami, w moim mniemaniu będącymi wyłączną przyczyną nieszczęść, które spadły na naszą piękną metropolię.

W lipcu ostatecznie przyszło nam się pogodzić z faktami: „czarna śmierć” była w Rzymie & zabijała, czyniąc spustoszenie większe niżli najstraszliwsza wojna. Ludzie marli dosłownie jak muchy, tak że grzebać ich trzeba było nocą, a zwłoki całymi wozami dostarczano do wspólnych mogił kopanych w pośpiechu na przedmieściach. Wykorzystując tak sprzyjający teren do ulubionych swoich czynów, Demon zawładnął najslabszymi duchem - & pojawiła się najohydniejsza herezja. Ludzie jeszcze zdrowi, wierzący wszakże, że ich także niebawem zabierze śmierć, nurzali się w rozpuszcie nawet na obrzeżach cmentarzy, bluźniąc Bogu & złorzecząc kostusze. Nigdy w tak krótkim czasie nie popełniono tylu zbrodni. Od lipca do listopada zaraza zabrała piętnaście tysięcy osób. Zaczynano wierzyć, że nadszedł oto koniec świata.

W ciągu tych czterech miesięcy, gdy zdawało się, że w szaleństwie & zawierusze musi nastąpić kres wszystkiego, Kircher nie szczędził trudu - mimo swego wieku & woli naszych superiorów, aby się niepotrzebnie nie narażał, zgłosił się do służby przy chorych, od samego początku angażując się u boku swego przyjaciela, doktora Jamesa Albana Gibbsa. Dlatego też większość czasu spędzaliśmy w szpitalu Chrystusa Pana przy via Triumphalis.

Ze wstydem wyznaję, iż nie byłem zachwycony decyzją, która poważnie wystawiała nasze życie na niebezpieczeństwo, lecz kiedym patrzył, jak pilnie mistrz mój przykłada się do pielęgnowania zadżumionych & poszukuje przyczyn tej nieuleczalnej choroby, kiedym widział, jak niestrudzenie służy wsparciem duchowym każdemu, kto tego potrzebował, kiedym uzmysłowił sobie, jak wielkiej odwagi daje przykład, szybko odzyskał prawdziwie chrześcijańskie uczucia. Wziąłem Kirchera za wzór & nigdy nie żałowałem.

Chociaż Atanazy przyznawał, że nieszczęście owo może czasami wynikać z Bożych zamierzeń, był zdania, że należy się w nim jednak dopatrywać przyczyn naturalnych jak w każdej innej chorobie. Toteż właśnie na rozpoznaniu przyczyn skupił cały swój wysiłek.

Fascynowała go szybkość, z jaką zarażenia przebiegały. Dżuma wdzierała się wszędzie, uderzała na oślepię, w bogatych & biednych, nie oszczędzając także tych, co liczyli, że się przed nią obronią, szczerze zamknawszy się w swoich domach.

- To zupełnie tak samo - rzekł mi pewnego dnia - jak mrówki, które przedostają się do dokładnie zamkniętego naczynia, choć niepodobna stwierdzić, jaką znalazły sobie drogę...

Kiedy kończył to mówić, spostrzegłem, jak oczy mu pojaśniały & zaraz rozbłyły.

- Niby czemu nie? - kontynuował. - Czemu nie miałyby chodzić o stworzonka jeszcze mniejsze od mrówek, tak drobne, że gołym okiem nie da się ich dojrzeć? Może to jakiś rodzaj pajęczka albo miniaturowego węża, którego jad powoduje śmierć równie nieuchronnie jak najjadowitszych żmij?... Szybko, Casparze, szybko! Idź natychmiast do kolegium & przynieś mikroskop. Muszę niezwłocznie zweryfikować tę hipotezę!

Czym prędzej wykonałem polecenie. Godzinę później mistrz mój już działał. Nadawszy najbardziej nabrzmiały guz, jaki udało mu się znaleźć -

był to jedyny sposób pozwalający nieco ulżyć nieszczęśnikom, którzy napływali do szpitala - ostrożnie zebrał krew wymieszaną z ropą. Następnie kilka kropeł posoki umieścił pod szkłem mikroskopu.

- Dzięki Bogu! - zawołał zaraz. - Miałem rację, Casparze! Jest tu mnóstwo robaczek tak małych, że ledwie widocznych, ale roją się jak mrówki w mrowisku. A jest ich tyle, że sam Linceusz nie zdołałby ich zliczyć... One żyją, Casparze! Sam zobacz & powiedz, czy wzrok mnie zwodzi.

Ku swemu zdumieniu w rzeczy samej potwierdziłem to, co z takim wzburzeniem mistrz mój mówił.

Kilkakrotnie powtórzyliśmy badanie, & to z humorami z różnych guzów - wynik był identyczny. Nie mogąc się nadziwić ich witalności, wykonaliśmy kilka rysunków tych żyjatek niewidocznych gołym okiem.

Później doktor Alban Gibbs, którego sprowadził, osobiście zapoznał się z odkryciem Kirchera.

- Te robaczki - powiedział mu mistrz mój - są roznosicielami dżumy. Są tak malutkie, tak cieniutkie, że nie widać ich inaczej jak pod mocnym mikroskopem. Można by je nazwać „atomami”, tak trudno je zobaczyć, ja wolę jednak słowo „wermiszelki”, które lepiej opisuje ich naturę & cechy. Bo niczym korniki, będące przy nich jednak niczym słoń, te karłowate robaki atakują w pewnym momencie ludzki kościec, wgryzają się w niego z prędkością proporcjonalną do ich liczby, a spustoszywszy wszystko, znajdują sobie nową ofiarę, roznosząc *Pestiferum virus* jak pleśń & rujnując arkę życia. Przenosi się przez oddech, schronienie znajduje w najodleglejszych zakamarkach tkanek... Nawet muchy go przenoszą: siadają na chorych & na trupach, swoimi ekskrementami zakażają żywność & ludziom, którzy ją zjadają, przekazują chorobę.

Gibbs ogromnie się podekscytował tym, co zobaczył & usłyszał. Zważywszy jednak, iż mikroskop ukazuje naszym oczom rzeczy oglądane tysiącrotnie powiększone, utrzymywał, że instrument ów powinien być używany wyłącznie przez osoby odpowiedzialne, jak na przykład Kircher, & że wiedzieć o tym mogą *solis principibus, et summis Viris, Amicisque*.<sup>1</sup>

<sup>1</sup> Wyłącznie książęta, wysoko postawieni & przyjaciele.

Chociaż nareszcie wiadomo było, że przyczyną zakażenia są wermiszele dżumy - powstające, ma się rozumieć, przez zepsucie powietrza spowodowane rozkładem zwłok & przenoszące się następnie za sprawą swoistego

magnetyzmu, podobnie jak magnes „zaraża” niejako stykające się z nim przedmioty metalowe - trudno było mówić o jakimkolwiek remedium, które pozwoliłoby wytepić te stworzenia. Nie pozostawało zatem nic innego, jak nadal stosować stare metody leczenia, o których wiadomo było jedno: że u części chorych się sprawdzają, u innych zaś nie, a to oznaczało po prostu, że są nieskuteczne. Pod kierunkiem Gibbsa & Kirchera zaczęliśmy używać jadu ropuchy - zgodnie z zasadą „podobne lecz podobnym” - a także soku z korzenia farbownika & świerzbnicy rozpuszczonego w dobrej odtrutce przeciw jadowi węża oraz wielu innych mikstur zalecanych przez Galena, Dioskuryda albo nowsze autorytety. Niestety, nic nie skutkowało, tak że nierazem widział, jak mistrz mój leje łzy zniechęcony.

Kiedy rozmiary epidemii osiągnęły szczyt, dołączył do nas doktor Sinibaldus. Pragnąc odkupić przeszłe grzechy, wykazywał się nadzwyczajnym poświęceniem w służbie chorym, Pan Bóg zaś był dla niego łaskaw, nie zabrał bowiem ani jego, ani nikogo z jego bliskich.

Nie wszyscy mieli tyle szczęścia. Dżuma jednego po drugim zabierała ludzi dobrej woli, tak że spośród medyków, którzy następowali po Gibbsie, trzy czwarte nie doczekało końca zarazy. Spośród tych zaś, co przeżyli, niejeden oplakiwał potem odejście drogich jego sercu osób. Przykładem niechaj będzie to, co spotkało hrabiego Karnickiego, medyka na dworze cara Rosji, którego okoliczności zmusiły do pozostania w Rzymie, a podróż, w założeniu odbywana dla przyjemności, zakończyła się rozpaczą & smutkiem.

Kiedy wydano dekret o zamknięciu miasta, ów znamienity człowiek oddał małżonkę & dziecko pod opiekę przyjaciół, sam zaś zaoferował swe usługi naszemu szpitalowi, gdzie dowiódł bezgranicznego poświęcenia.

Wieczorem 15 sierpnia sługa wysłany przez jego przyjaciół przyniósł mu wieść o śmierci żony. Choroba powaliła ją w kilka godzin, musi się zatem pospieszyć, jeśli chce po raz ostatni ujrzeć jej słodką twarz. Jako że akurat napłynęło mnóstwo chorych, a żywi ważniejsi byli od martwych, hrabia Karnicki, mimo rozpacz i wbrew naszym radom, zdecydował, że zostanie, póki będzie niezbędny. Dwie godziny później, gdy dotarł do domostwa przyjaciół, zwłok jego małżonki już nie było: została złożona do trumny - kupionej za niebotyczne pieniądze, trumien bowiem od dawna brakowało - & pochowana na

pobliskim cmentarzu. Hrabia tak rozpacział, że przykro było patrzeć. Bez wątpienia odebrałby sobie życie, gdyby nie dzieciątko, jedyna jego odtąd pociecha.

Ale to był dopiero początek nieszczęść hrabiego... Tejże nocy u jego ukochanego dziecięcia wystąpiły objawy zarażenia. Na skórze pojawiły się bąble podobne do ziaren prosa, a wkrótce potem w pachwinach & pod pachami wyszły czarne guzy powodujące straszny ból. Serce się ścisnęło patrzącemu na cierpienia dziecka kąsanego wermiszelami, które niszczyły jego ciało. Nad ranem zajęte zostały opony mózgowce; dziecko zaczęło majaczyć, na jego ciele pojawiły się rozległe brązowe plamy. O ósmej Pan Bóg się zlitował & otworzył przed nim bramy Raju...

Zabrakło pieniędzy na drugą trumnę. Oszalały z rozpaczy hrabia Karnicki nie chciał, by jego syn został pogrzebany we wspólnej mogile. Zważywszy na miłość matki do dziecka, postanowił, że nie rozdzieli ich po śmierci, wziął zatem drobne zwłoki w ramiona, aby je pogrzebać w tej samej trumnie, w której spoczęła jego małżonka.

Sam, przyjaciele bowiem obawiali się zarażenia, jego zaś uznali za niespełna rozumu, udał się na cmentarz, gdzie odszukał świeży grób ukochanej. Chwyciwszy łopatę, zaczął go rozkopywać, starając się wysiłkiem umniejszyć ból.

Kiedy żelazo uderzyło o deski, rękoma dokończył odrzucanie ziemi, pracując coraz szybciej, jakby odgrzebywał nie śmiertelną powłokę zmarłej, lecz osobę uwięzioną & pragnącą jak najszybciej odzyskać wolność. Ryjąc w tłustej ziemi, hrabia odkrył nareszcie wieko trumny.

I przeżył potworną chwilę, albowiem jego twarzy dotknęła dłoń zmarłej! W owym czasie, gdy wszystkim rządziło przerażenie & pośpiech, nieraz grzebano ludzi jeszcze żywych - & tak też się stało z małżonką hrabiego: zamknięto ją w trumnie żywą... Ocknąwszy się w ciemnościach grobu, nieszczęsna zdarła sobie paznokcie, drapiąc w drewno wieka, aby uciec przed śmiercią w męczarniach. Jej ciało straszliwie wygięte zeszytywniało niczym łuk ostatnim wysiłkiem napinający się ku światłu.

Hrabia Karnicki zdjęty przerażeniem rzucił się pędem do ucieczki.

Kiedy go odnaleziono, był obłąkany.

## **MATO GROSSO**

*Świadomie wybrać inną drogę...*

Dietlev odzyskał przytomność wieczorem. Elaine aż podskoczyła, gdy z położonych przy ognisku noszy ozwał się jego poważny głos:

- Państwo Zeblouse mają córkę. Jak jej na imię?
- Dietlev! - zawołała Elaine, przypadając do niego. - Takiego stracha mi napędziłeś, misiu...
- Odpowiedz. Jak jej na imię?
- Nie mam pojęcia, Dietlev, i właściwie mam to w nosie, wiesz?
- Agathe - powiedział z bladym uśmiechem.
- Przykro mi - zaczął się tłumaczyć Petersen. - Jak na mój gust trochę to pokomplikowane... Jak się masz, *amigo*?

Przez twarz geologa przemknął cień. Gorączka wyciskała mu jeszcze pot na czoło, oczy jednak miał otwarte i wydawało się, że odzyskał jasność myślenia.

- Jak John Silver... Radykalny sposób, żeby stracić na wadze. Pięć kilo, dziesięć? Ile waży noga?
- Musieliśmy - powiedziała Elaine, biorąc go za rękę. - Gangrena posuwała się coraz wyżej.
- Wiem, nie przejmuj się. Już wcześniej pogodziłem się z tą myślą. No, prawie się pogodziłem... Jak poszło? Czy to ty podjęłaś decyzję?

- Nie. Herman mi uświadomił, że trzeba działać szybko. Świetnie się spisał. To on cię uratował, on jeden...

Dietlev zakłopotał się na chwilę, jakby próbował zrozumieć, co Petersenem kierowało. W końcu rzekł tylko:

- *Danke*, Herman.

Użycie języka niemieckiego wyrażało więcej wdzięczności niż samo słowo podziękowania. Petersen nie pozostał na to obojętny.

- Nie ma za co - mruknął. - Zrobiłbyś to samo na moim miejscu.

- A gdzie Mauro?

- Tutaj - powiedział Mauro i przesunął się tak, aby znaleźć się w zasięgu jego wzroku. - No, nawet pan nie wie, jakiego mieliśmy boja!

- Mnie tak łatwo nie można się pozbyć. Moi studenci coś o tym wiedzą! Poza tym zamierzam wrócić w te okolice w przyszłym roku.

Nie wierzył w to, co powiedział, a nikt z obecnych nie miał sumienia ciągnąć tego wątku.

- Wyglądacie, jakbyście byli na ostatnich nogach - podjął Dietlev, obejrzawszy ich sobie dokładnie. - Musicie odpocząć, inaczej nie wytrzymacie.

- Mieliśmy ciężki dzień - wyjaśniła Elaine ze wzrokiem zapatrzonym w dal. - Posuwamy się skrajem mokradeł, nie jest łatwo. Ja to nic, mnie nie dopuszczają do noszy...

Mówiąc to, myślała jednak wyłącznie o udreće podczas amputacji, o niepokoju, który ścisnął jej wnętrzności.

- A więc dotarliśmy do bagien?

- Tak, *amigo* - odparł Petersen. - Ty akurat odplynąłeś i tam właśnie zorientowaliśmy się, w jakim jesteś stanie. - Jakby zawahał się na moment, po czym mówił dalej: - Wiesz, musimy poważnie pogadać. W życiu nie dojdziemy do rzeki w tych warunkach... to znaczy, z tobą na noszach, a poza tym...

- Ten znowu swoje - warknął Mauro zniecierpliwiony. - Dawno nie...

- Pozwól mu powiedzieć - poprosił Dietlev spokojnie. - Kontynuuj, Herman.

- Posłuchajcie: ja zostanę z wami, a Yurupig pójdzie przodem. On zna dobrze las, dotrze do rzeki trzy albo i cztery razy szybciej niż my. My w tym czasie będziemy szli za nim w swoim tempie. Yurupig oznaczy drogę, dzięki czemu ominie nas cofanie się i zbaczanie, równocześnie zyskamy na czasie i na dłużej starczy nam sił. Jeśli się uwinie szybko, poprowadzi potem pomoc na nasze spotkanie.

Logiczny wywód Niemca przemówił wszystkim do rozsądku. Nawet Mauro nie mógł nic zarzucić jego propozycji.

- A co ty na to, Yurupig? - zapytał Dietlev.

Indianin odwrócił się do Petersena i utkwiał w nim wzrok, przekrzywiając głowę, jakby to miało mu pomóc w ocenie.

- Ja się zgadzam, ale wy się strzeżcie: kiedy wąż proponuje pomoc szczerowi, znaczy to, że znalazł sposób, aby go szybciej pożreć...

- Niestłuchane rzeczy! Ty naprawdę nie możesz mnie strawić, he?

- No to załatwione - oświadczył Dietlev, wzrokiem porozumiewając się z Elaine i Maurem. - Weźmiesz kompas, nam nie będzie już potrzebny. Umiesz się nim posługiwać, prawda?

Yurupig potakująco przymknął oczy.

- Karby na drzewach wskazują drogę, krzyż oznacza zakaz. Myślisz, że dasz radę?

- W lesie decydują jaguary...

Nazajutrz o świtaniu Elaine i Mauro przygotowali plecak Yurupiga. Spakowali do niego przypadającą nań część zapasów żywności, kompas, zapalniczkę benzynową, butelkę alkoholu i dawkę surowicy przeciw jadowi żmij i węzów. Gdy przyszła chwila wymarszu, Indianin wziął w rękę jedną z trzech maczet i przystanął przed członkami wyprawy.

- Idźcie powoli - powiedział. - Wróć.

Na pożegnanie podniósł jeszcze dłoń, odwrócił się i ruszył drobnym truchtem. Ponieważ Dietlev uznał, że należy dać mu dwie godziny wyprzedzenia, długo po jego odejściu siedzieli przy śniadaniu.

Kiedy niewielka kolumna ruszyła w drogę, Elaine tym razem poszła pierwsza i zaczęła się zabawa w podchody. Co rusz białawy karb na pniu wskazywał świeżo wycięte przejście wśród roślinności - łatwo było iść tym śladem, Yurupig bowiem nie szczędził znaków. Już samo to, że nie musieli się zastanawiać, którądy najlepiej będzie przejść, było ogromnym ułatwieniem. Po dwóch godzinach Elaine zmieniła Petersena przy noszach. Dietlev wydawał się nieco silniejszy, tak że Mauro powierzył mu kałasznikowa, który przeszkadzał mu w marszu.

Dzień minął bez godnych odnotowania wydarzeń. Gdy wieczorem zasiedli przy ognisku, nadeszła pora podsumowania: na ile można było ocenić, przebyli dwa do trzech razy dłuższy dystans niż w poprzednich dniach, aczkolwiek ceną było znacznie większe zmęczenie. Zwłaszcza Elaine to odczuwała. Była cała obolała, mięśnie miała napięte od dźwigania noszy. Zmuszała się, aby coś przełknąć i wytrwać na siedząco z towarzyszami.

- Ostatnie baterie... - powiedział Mauro, zmieniając baterie w walkmanie. - Muzykę też muszę zacząć racjonować. - Rysy miał ściągnięte jak długodystansowiec po dobiegnięciu do mety, lecz nad podziw dobrze sobie radził. - Jak pomyślę - podjął - że za trzy dni początek roku akademickiego!... Ależ muszą być wściekli na uczelni!...

- Jeszcze jak! - podchwycił Dietlev. - Pięć lat temu wróciłem z wyprawy dwie godziny przed swoim pierwszym wykładem. Opóźnienie samolotu, awaria samochodu, kłopoty na granicy... słowem, fatum. Kiedy wszedłem do auli, Milton akurat informował studentów, że mnie nie ma. Myślałem, że dostanie apopleksji!

Wspomnienie nieżyjącego kolegi zgasiło jego uśmiech.

- Biedak - rzekł Mauro. - Nie lubiłem go, ale mimo wszystko... Był kimś...

- Kretynem, chcesz powiedzieć - wtrąciła Elaine ze znużeniem. - Gdybyś wiedział, ile on nam krwi napsuł! Jego śmierć faktów nie zmienia.

- To prawda - zgodził się Dietlev - ale gdyby zabić wszystkich ludzi niekompetentnych, głupich i skorumpowanych, mało kto zostałby na świecie.

- Słusznie powiedziane, *amigo!* - poparł go Petersen, przestając pogwizdywać.

- A pan nie wygląda na zbyt zmęczonego tą drogą przez dżunglę - zauważyła Elaine nieco zdziwiona wytrzymałością starego Niemca.

- Kwestia przyzwyczajenia - odparł, pociągnawszy głośno nosem.

- Ma pan katar? - spytała Elaine. - Pewnie mam coś w apteczce...

- Nie trzeba.

- Chciałem powiedzieć... - zaczął Mauro. - No, byłem trochę niesprawiedliwy wobec ciebie, źle cię oceniłem. Bardzo dobry był pomysł, żeby wysłać Yurupiga przodem.

Petersen gestem dał do zrozumienia, że na tym Mauro może zakończyć przeprosiny.

- Wbrew pozorom ufasz mu, prawda?

- Ani trochę. Zrobił to dla was, nie dla mnie. I dlatego wróci. Mnie pozwoliłby zdechnąć bez cienia wyrzutów. Ja też bym tak zrobił. Normalka.

- Jestem pewien, że wcale tak nie myślisz - wtrącił Dietlev z lekkim wyrzutem w głosie. - Nie można żyć bez innych, dobrze o tym wiesz.

- Życ?... Nie rozśmieszaj mnie! Trzeba p r z e t r w a ć, cała reszta jest niewarta funta kłaków. A jeśli chodzi o to, wolę być na swoim miejscu niż na waszym.

W zapadłej ciszy wilgotne powietrze otuliło ich niczym źle wyżęty koc. Komary szalały.

- Lepiej rozwiemy hamaki, zanim lunie - powiedział Mauro.

Nazajutrz zwlekli się z hamaków z uczuciem, że są jeszcze bardziej wykończeni niż poprzedniego wieczoru. Kiedy Petersen i Mauro próbowali rozpałcić ognisko, Elaine zakrzętała się około bagaży, aby przygotować śniadanie. Ponieważ nie mogła znaleźć plecaka, w którym był garnek, dała sobie spokój i powiedziała w końcu z powagą:

- Brakuje jednego plecaka.

- Jest pani pewna? - zapytał Mauro, omiatając wzrokiem miejsce, gdzie złożyli wszystkie bagaże. - To niemożliwe, musi gdzieś być... Może małpa go porwała - dodał, kiedy stwierdził, że faktycznie jednej sztuki nie ma.

- W nocy małpy robią to samo co my - zauważył Petersen. - Śpią albo usiłują spać... Co w nim było?

- Kawa, menażki, osetka do noży... - wymieniała Elaine, przypominając sobie zawartość plecaka. - Kilka konserw... To twój plecak. Mauro...

- Próbki skamieniałości - dodał Mauro - łyżki... Nie wiem co jeszcze. Trzeba rozejrzeć się w pobliżu.

- Jak chcesz, to się rozglądaj - powiedział Petersen niechętnie - ale nie ma szans, żeby cokolwiek się znalazło.

Mimo wszystko Mauro zbadał okolice obozowiska, podczas gdy Herman, klęcząc przy ognisku, rozdmuchiwał ostrożnie żar.

- W głowie się nie mieści! - oświadczył Mauro, wracając z niczym z poszukiwań. - Co za stworzenie mogło się połazczyć na nasze menażki?

- Jeśli w plecaku nie było jedzenia - powiedział Petersen, krzywiąc się z powodu dymu - na pewno nie zabrało go zwierzę.

- W takim razie kto? - zdziwił się Mauro, nie dowierzając. - Tylko my jesteśmy w tej cholernej dżungli.

- Zapominasz o Yurupigu, mały...

- Yurupig? Niemożliwe! - zawołała Elaine. - Ma co innego na głowie, nie wierzę, żeby chciało mu się wracać i okradać nas. Co niby miałby zrobić z plecakiem wypchanym menażkami?

- Nigdy nie wiadomo, co chodzi po głowie Indiańca - odparł Herman, wzruszając ramionami. - W każdym razie trzeba coś wymyślić, żeby zagotować wodę, jeśli chcemy się napić kawy.

- Och, wystarczy przecież otworzyć i opróżnić konserwę! - rozległ się poirytowany głos Dietleva. - Wyciągnijcie mnie stąd, przemokłem do suchej nitki.

Już na pierwszy rzut oka Elaine zauważyła, że jego stan się pogorszył. Dietlev znowu pocił się obficie i nie był w stanie uczynić najmniejszego ruchu, kiedy przenosili go na nosze. Śmierdział uryną.

- Zmienię ci opatrunek - rzekła Elaine. - Nie wyglądasz dzisiaj dobrze. Ale wierz mi, wszyscy mamy się gorzej... Słyszałeś o plecaku? I co o tym myślisz?

- A nic! Nie wierzę, żeby to zrobił Yurupig. Gdyby chciał narobić nam kłopotu, na pewno wymyśliłby coś lepszego. Tak czy owak musimy się obejść bez tego, co było w plecaku.

Popatrzył na swą nogę, gdy Elaine delikatnie przemywała kikut.

- Gangrena chyba się odnowiła... - zauważył.

- Skądże! - skłamała. - To normalna reakcja po tym, co przeszedłeś.

- Elaine... - rzekł półgłosem. - Jeżeli nie wrócę...

- Nie wygłupiaj się, bardzo proszę.

- Daj spokój, nie jestem dzieckiem... Jeżeli nie wrócę, musisz wiedzieć...

Zamknął oczy, aby lepiej się skoncentrować. Skoro tak niezręcznie zaczął, jakże ma wyrazić to, co czuje, by nie zabrzmiało to naiwnie bądź melodramatycznie? Słowa, które kłębiły mu się w głowie, oczywiście nijak nie zdołają wyrazić uwielbienia dla tej kobiety, tego, jak bardzo jej pragnął od chwili, gdy właściwie przez pomyłkę znalazła się w jego ramionach. Gdyby zbyt uroczyście wyznał jej swoje uczucie, usłyszałyby w jego słowach wyłącznie strach przed śmiercią. I niewątpliwie miałyby słusność...

- Dietlev?
- Za późno - rzekł z wymuszonym uśmiechem. - Jestem padnięty. Zapomnij o tym, dobrze?

Ruszyli dalej drogą oznaczoną przez Yurupiga. Elaine szła mechanicznie, przy każdym kroku z trudem wydobywając nogę z grząskiej gleby. Myślami błądziła daleko od dżungli i grupki, którą prowadziła. Niczym bezgranicznie utrudzony kierowca na coraz dłuższe chwile zapadała w marzenia, w których wszystko kręciło się wokół jej powrotu do Brasili. Wyobrażała sobie, jak odpowiada na pytania kolegów z uczelni i dziennikarzy. W pierwszym rzędzie musi zadzwonić do Moemy, żeby ją uspokoić, może również do Eleazarda, pod pretekstem zechce się dowiedzieć, co u niego słychać... Nie, on zatelefonuje do niej albo zostawi wiadomość na sekretarce. Powie, że martwi się o nią, da do zrozumienia, że mogliby wszystko zacząć od nowa... Nie wiedząc dlaczego, była przekonana, że nic już nie będzie takie jak wcześniej, że wszystko to - nie tylko to, co tutaj teraz przeżywała, ale i cała reszta, jej cierpienie, rozczarowania, rozwód - że wszystkie te jej poplątane sprawy mają jakiś ukryty sens, pozytywny ładunek, który wcześniej czy później objawi się z hukiem. Dlaczego nie ułożyła jej się z Eleazardem? Kiedy to się zaczęło? Gdzie jest źródło, punkt, w którym zaczęli się od siebie oddalać? Do tego miejsca, do tego rozdroża trzeba będzie wrócić, aby świadomie wybrać inną drogę, cofnąć film aż do początkowego szczęścia, zatrzymać go na stop-klatce, która wykazuje rozpad ich związku, zapobiegnie rozstaniu. Wspominała nieduży taras starego domu, w którym mieszkali jakieś piętnaście lat wcześniej podczas pobytu we Francji. Drewniany stół w altanie, osy krążące nad winem, cudowne odrętwienie w porze sjeisty w ciepłym cieniu platanu...

Upadek przywołał ją do rzeczywistości, choć myśli nie zdołał uporządkować. Coś ciężkiego na plecach przygwoździło ją do ziemi. Naprężone mięśnie bolały, aż chciało jej się krzyczeć.

Podskoczył do niej Mauro.

- Zrobiła sobie pani coś? - zapytał, zdejmując jej z ramion plecak, aby mogła usiąść.
- Nie, nic... Ale już nie mogę... Nie mogę...

Odgarnął jej włosy i wycierał błoto z twarzy.

- Niech pani odpocznie, zrobimy postój.

Wrócił do noszy, aby przenieść je wraz z Petersenem. Dietlev wciąż miał wysoką gorączkę mimo dużych dawek aspiryny. Zainteresował się zgnębioną miną Elaine.

- Nic ci nie jest? - zapytał. - Co się stało?

- To śmieszne - odparła Elaine, rumieniąc się - ale chyba zasnęłam, idąc... Zjem parę kostek cukru i będzie dobrze.

- Ach! Rozklejamy się - ironizował Petersen. - Po trzystu metrach cały cukier z pani wyparuje! A jak będziemy stawać co dziesięć minut, nigdy nie dojdziemy, mówię wam!

- Zasuwamy od dwóch godzin - zdenerwował się Mauro - więc przestań opowiadać głodne kawałki.

Po prostu nie możemy i już...

Dietlev spojrzał zmartwiony.

- Marnujecie siły bez żadnego pożytku. Robimy postój, bo ja jestem zmęczony, ja chcę się wysikać i dlatego, że te nosze przyprawiają mnie o chorobę lokomocyjną.

Petersen pogrzebał w kieszeni. Wyjął pudełko po kliszy fotograficznej i ostrożnie rzucił je Elaine.

- Proszę zażyć - powiedział. - To doda pani sił.
- Co to jest? - zapytała, chwytając pudełko.
- Kokaina. Lepsza niż cukier, gwarantuję.

Dopiero teraz Elaine zrozumiała, dlaczego Herman tak często pociąga nosem. A ona proponowała, że da mu coś na katar! Bez zastanowienia odrzuciła pudełko.

- Dziękuję, ale wolę cukier, jeśli pan pozwoli.

Maurowi przemknęło przez głowę, że nic nie ryzykuje, jeżeli spróbuje: Peruwiańczycy z wysoko położonych terenów często żuli liście koki, żeby znieść trudy... Pochwyił jednak pełne dezaprobaty spojrzenie Dietleva i tę myśl zachował dla siebie.

Z koszulą lepiącą się do skóry, włosami mokrymi od potu Elaine całą uwagę skupiała na dżungli. Zła na siebie za to, co jej się przytrafiło, z wyprzedzeniem szukała teraz znaków pozostawionych przez Yurupiga, tak by nie opóźnić marszu towarzyszy dźwigających nosze. Nie wiedziała już, jak długo przedzierają się przez ten trudny teren, gdy naraz znieruchomiała, zauważywszy poruszenie listowia: po raz pierwszy, odkąd przemierzali te leśne ostępy, nie była to oznaka ucieczki, lecz przybliżania się, tak że instynktownie mocniej zacisnęła palce na krótkiej rękojeści maczety. W tejże chwili stanął przed nią człowiek, Indianin, z czarną dziurą zamiast ust; ustrojona w pióra mumia, która w absolutnej ciszy mnożyła się.

- Stój! - usłyszała Petersena, gdy zaczęła się cofać oniemiała ze strachu. - Musisz stawić im czoło!

Na ich drodze znalazło się około dwudziestu Indian uzbrojonych w łuki i dmuchawki. Czekali niczym nieruchome bóstwa świadome swojej siły.

- Przyjaciele! - ozwała się Elaine, rozkładając ręce na znak, że nie ma złych zamiarów. - Zgubiliśmy się, rozumiecie? Zgubiliśmy się!

Wydawało się, że samo brzmienie jej głosu wprawiło ich w zmieszanie. Rozległy się pojedyncze okrzyki, którym towarzyszyły gesty groźne na pozór. Jeden z Indian zaczął dreptać w miejscu, wskazując na rękę Elaine.

- Karabin! - zdenerwował się Herman. - Rzuć mi karabin, szybko!

- Odłóż maczetę - polecił cicho Dietlev z noszy. - Przyjaciele! *Yaudé marangatù*, jesteśmy przyjaciółmi.

Indianie zareagowali tylko na odłożenie maczety. Ten, który wydawał się wodzem, powiedział kilka słów. Stojący obok niego skwapliwie podniósł maczetę leżącą u stóp Elaine, po czym postąpił krok do przodu, zwracając się do Dietleva.

- Co on mówi? - zapytał Mauro.

- Nie mam pojęcia - wyznał Dietlev, nie przestając się uśmiechać szeroko do rozmówcy. - Przypomina język guarani, którego się uczyłem, ale nie rozumiem z tego ani słowa. Może to jakaś odmiana... W każdym razie wygląda na to, że się uspokoili. *Ma-rupi?* - spróbował się porozumieć, wskazując drogę wyciętą przez Yurupiga. - Którędy do rzeki? Do białych ludzi?

Indianin przechylił głowę na bok, po czym podrapał się po udzie dla dodania sobie pewności. Ponieważ nic się nie działo, rzucił jakieś krótkie polecenie i dwaj jego ludzie dźwignęli nosze.

- Chyba zrozumieli - rzekł Mauro z ulgą.

- Cholerne dzikusy! - warknął Petersen. - Nie wiem, co zrozumieli, ale nie ma wyjścia: trzeba się ich trzymać.

*Z notatnika Eleazarda*

USŁYSZEĆ TYCH, którzy milczą, bo za dużo krzyczeli...

ZASŁYSZANE W BARZE: „Kobieta jest jak zapalka: jak tylko się zapali, traci głowę”. *Mulher é como fósforo: cuando esquenta, perde a cabeça.*

„DLACZEGO nie przewiduje się katastrof? - pyta Hervé Le Bras. - Dlaczego nie potrafimy dostrzec, że pewne skutki działalności człowieka



mogłyby go chronić, zamiast mu zagrażać?” Jeżeli prawdą jest, że grozi nam nowa potężna epoka lodowcowa, człowiek powinien skoncentrować wysiłki na tym, aby zwiększyć efekt cieplarniany, zamiast starać się go ograniczać.

WIEK XXI dokładnie zmierzy nasze rozczarowania, będzie wiekiem obskurantyzmu.

MOŻE SIĘ PRZYDAĆ... Kawałki sznurka, desek, plastiku albo kauczuku, śrubki i nakrętki, zepsute silniki, przedmioty bez pary: części rozproszonej całości, rozszarpanego Ozyrysa, które mogą służyć do naprawiania, wskrzeszania czegoś w świecie przedmiotów. Ale także może się z nich nieoczekiwanie zrodzić coś zupełnie nowego, co dzięki zmianie przeznaczenia elementów ożyje i napisze nową ich historię. Gromadzenie i odzyskiwanie jako fundament kreatywności. Gałganiarz jako demiurg świata możliwego; strych jako naturalna ostoja poezji. A jeżeli nawet te przedmioty nigdy do niczego się nie przydadzą, jak najczęściej bywa, liczy się „może”, akceptacja teoretycznej możliwości zaistnienia czegoś, a przynajmniej naprawienia tego, co się zepsuło.

W DNIU KIEDY MAMY DOŚĆ słuchania ulubionej bajki i przestajemy wymagać powtarzania jej słowo w słowo, jak robi większość dzieci, wkraczamy w wiek profanacji. Nasze zadziwienie wobec tajemnicy nie wynika odtąd z powtarzania bajki, lecz z wciąż ponawianego naruszenia rytuału.

„SPOŚRÓD SSAKÓW - pisze A. Villiers - psy wydają się największym przysmakiem krokodyli. Rose podaje przykład kajmana, którego żołądek oprócz damskiego pierścienia z diamentem zawierał 32 identyfikatory psów. Jeśli dodać do tego psy bez identyfikatora, robi się całkiem spora liczba”.

NAUKA ma tyle wspólnego z religią, że w większości produkuje jedynie wrażenie prawdziwości, za to sama jest w stanie urodzić to, co je objaśnia. Tam gdzie niczego nie można zafałszować, niczego nie da się również udowodnić.

ODURZONY LSD? Kircher prawdopodobnie zażył, nie wiedząc o tym, sporysz zawarty w mące żytniej (*Claviceps purpurea*). Jego ekstatyczna podróż byłaby więc po prostu niezłym odlotem. Tak twierdzi doktor Euclides po analizie jego reakcji na medykament, którą mu przysłał Yves d'Evreux. Ten pasożytujący na zbożach grzyb, bogaty w alkaloidy, wywoływał w przeszłości zbiorowe zatrucia, kiedy trafił do mąki. Nazywano to ongiś „świętym ogniem” albo „ogniem świętego Antoniego”. Euclides wysuwa bardzo przekonujące argumenty na poparcie tezy, że zażywanie sporyszu leżało u podłoża misteriiw eleuzyjskich.

„WIELKA SZTUKA ŚWIATŁA I CIENIA” zawiera cały rozdział na temat produkcji papieru marmurkowego. W swojej „Magii naturalnej” („Magia universalis naturae et artis, sive recóndita naturalium et artificialium rerum scientia”, Würzburg, 1657) Caspar Schott precyzuje, że nauczył się „malowania na papierze różnymi kolorami na modłę Turków”, patrząc, jak robi to Atanazy Kircher: „Rysował na papierze najrozmaitsze rzeczy: ludzi, zwierzęta, drzewa, miasta i pejzaże, czasem jako toczące się fale, czasem jako marmurkowe desenie, to znów jako upierzenie ptasie, i na wiele innych sposobów”. Specjaliści w tej dziedzinie, a zwłaszcza Eino Miura, uznają, że Kircher pierwszy wprowadził do Europy sztukę stosowania papieru marmurkowego.

CO JEST Z DATAMI u C. Schotta?

ATANAZY KIRCHER NIE BIERZE udziału w żadnej z kontrowersji teologicznych, które toczyły się w

jego czasach. Trzyma się na uboczu, co można zapisać mu na plus. Wydaje się, że podpisywał się pod tym, co w epoce wojny trzydziestoletniej powiedział Muzio Vitelleschi, generał Towarzystwa Jezusowego: „Nie mówmy: moja ojczyzna. Przestańmy się posługiwać barbarzyńskim językiem. Nie gloryfikujemy dnia, w którym modlitwa przybrała formę narodową”.

Z GOETHEGO, z jego „Farbenlehre” („Teorii kolorów”): „Dzięki Kircherowi nauki przyrodnicze przedstawiają nam się weselsze, radośniejsze niż u kogokolwiek z jego poprzedników. Zostają przeniesione z pracowni czy z wysokości katedry do klasztoru przyjemnie wyposażonego, pośród duchownych, którzy mają łączność ze światem i na cały świat wywierają wpływ, którzy uczą ludzi, lecz pragną także dostarczać im uciechy i bawić ich. Jeżeli nawet niewiele problemów rozstrzyga, wymienia je i omawia po swojemu. W swoich wywodach daje dowód inteligencji, ale też sprytną nonszalancję i pogodę ducha”.

JESZCZE Z GOETHEGO: „Każdy z nas skrywa coś w sobie, jakieś uczucie, wspomnienie, które gdyby było znane, sprawiłoby, że zostalibyśmy znienawidzeni”. Bez wątplenia ludzie najgorsi skrywają też w sobie coś, i to jeszcze głębiej, co mogłoby sprawić, że byliby kochani.

NIEŚWIADOMOŚĆ to tylko jedna z możliwych strategii złej woli.

## ROZDZIAŁ XXII

*W którym się opowiada o trumnach z rurą*

**A**tanazy nie mógł słuchać bez dreszczu historii hrabiego Karnickiego. Wyobrażenie przerażającego przebudzenia hrabiny w grobie tak silnie pobudziło jego genialny umysł, że w dwa dni za ledwie po owym strasznym zdarzeniu przedstawił mi rysunki „rewokatora dotykowego”, urządzenia mającego zapobiec tego rodzaju ponurym pomyłkom.

Była to zwykła metalowa rura, szeroka na dłoń, długa na sześć stóp, przy pochówku wsuwana do trumny przez okrągły otwór, który stolarze bez problemu powinni w przyszłości robić w każdym wieku. W górnej części, tej, która wystawała z ziemi, rura kończyła się szczelnie zamykaną skrzynką zawierającą mechanizm niezbędny do funkcjonowania urządzenia. Na rysunku przekrojowym mistrz mój szczegółowo wyłożył mi jego genialną prostotę. Umocowany do bardzo czulej sprężyny pręt schodził wzdłuż rury do samej skrzynki trumny, na jego końcu znajdował się mosiężny krążek tak umieszczony, że prawie dotykał piersi nieboszczyka. Jeśli ów wykonał najłżejszy ruch, jeśli choćby nabrał powietrza, nim jeszcze odzyskał świadomość, muśnięty krążek wszczynał zbawczą procedurę: skrzynka się otwierała, wpuszczając do trumny zbawczy strumień powietrza & światło; równocześnie rozwijał się proporzec & rozlegał donośny dźwięk dzwonka, a w niebo wlatywała raca, która z hukiem wybuchała, w oślepiającej jasności nad cmentarzem wieszcząc zmartwychwstanie.

Jeżeli skrzynka była zamknięta przez dwa tygodnie, przez czas zatem wystarczający, aby rozwiały się wcześniejsze nadzieje, należało jedynie wyjąć rurę z ziemi; specjalna klapka natychmiast zastawiała otwór w wieku

trumny, tak że grób stawał się całkowicie zamknięty. Po oczyszczeniu rewokatora, a przynajmniej tej jego części, która dotykała zwłok, urządzenie znów mogło być wykorzystane przy pochówku.

Nadzwyczaj mi się spodobał ów kolejny wynalazek Kirchera. Ponieważ koszt wykonania był

umiarkowany, a prostota urządzenia gwarantowała niezawodność, nietrudno byłoby wyposażyć w nie wszystkie cmentarze, aby się ustrzec od ryzyka zbyt pospiesznego pochówku.

Jakem już wcześniej wspominał, niepodobna było dostać w Rzymie jedną choćby trumnę, wszelako kardynał Barberini, powiadomiony o opatrnościowej machinie, oddał cztery swoje trumny, aby ją wypróbować. Pracując dzień & noc, w niecały tydzień sporządziliśmy cztery rewokatory. Działały cudownie & nie trzeba było, niestety, czekać, aby zrobić z nich użytek. Albowiem sześciu naszych braci jezuitów zaraza zabrała w czasie krótszym, niż potrzebny, aby ich oplakać. Dwóch, których ciało nie pozostawiało wątpliwości co do definitywnego zejścia, postanowiono pogrzebać we wspólnym grobie. Pozostałych pochowano na cmentarzu kolegialnym, a każdą mogiłę zaopatrzone w rewokator dotykowy.

Przez dwie pierwsze doby nic się nie działo. Trzeciej nocy zasnęliśmy spokojni co do losu czterech naszych nieszczęsnych braci. Wszelako około trzeciej nad ranem straszny wybuch poderwał nas na nogi. W jednej chwili pojawił się, co się stało, Atanazy w koszuli wypadł na schody, wzywając pomocy. Pobiegłem za nim, a wraz z nami jeszcze kilku braci.

Na cmentarzu znaleźliśmy się zaraz po nim, Kircher wszakże już był przy grobie oznaczonym proporcem, gorączkowo kopiąc & pokrzykując słowa otuchy skierowane do tego, którego powrót do życia wywołał owo zamieszanie. Połapaliśmy narzędzia, jakie kto znalazł, & wzięliśmy się do pracy, aby jak najszybciej odkopać nieszczęśnika. Machałem z zapalem łopata, nie szczędząc sił, kiedy rozbrzmiał donośny gwizd, po czym huknęło & błysnęło, aż omal nie padliśmy na apopleksję ze strachu. Kilka kroków od miejsca, w którym byliśmy, podniósł się drugi proporzec! Dzwonek dźwięczący w skrzynce zdawał się dobiegać z najdalszych głębin Hadesu... Ci, którzy dotąd tylko się przyglądali, czym prędzej przypadli do mogiły & jęli ją rozkopywać.

Ledwie zaczęli się trudzić, gruchnęło po raz trzeci & niemal równocześnie po raz czwarty, co wprawiło nas w skrajne poruszenie. Całe kolegium było już na nogach. Jedni modlili się na głos, inni krzyczeli o cudzie - żaden chyba cmentarz nigdy jeszcze nie rozbrzmiewał tyloma głosami wiary & nadziei. Ponieważ więcej było chętnych ramion niżli narzędzi, bracia zaczęli kopać gołymi rękoma; słowa zachęty mieszały się ze słowami wdzięczności, a pochodnie, zapalone w wielkiej liczbie przez brata furtiana, nadawały temu niezwykłemu widokowi wygląd zgoła fantastyczny.

Jako żeśmy zaczęli najwcześniej, skończyliśmy też pierwsi odkopywać trumnę & Kircher łomem podważył wieko. W świetle pochodni otoczyliśmy go kręgiem - to cośmy ujrzeli, gorsze było niż najstraszniejszy wyśniony koszmar. Ze wszystkich gardeł wyrwał się pomruk wstrętu raczej niż zawodu. Kilku braci odwróciło głowy, przyzywając Boga, jakiś nowicjusz pobladł zniecka & omal sam nie wpadł zemdlny do grobu.

Zwłoki ojca Le Pena pokrywało mrowie białych robaków, poczerniałe ciało tak wzduły gazy & ropa, że zdawało się, iż zaraz je rozsadzą. Właśnie brzuch naprężony jak bęben trącił krążek przy rurze, uruchamiając alarm... Ponieważ taka sama przyczyna wywołuje taki sam efekt, wkrótce na całym cmentarzu panował jeden wielki lament & przerażenie.

Kiedy minęło powszechne oszołomienie, pochowaliśmy na powrót czterech nieboszczyków, modląc się gorliwie o przebaczenie, żeśmy zakłócili ich spoczynek, po czym wróciliśmy do swoich izb. Wszelako mało kto spośród nas zdołał tej nocy jeszcze zasnąć.

Rewokatory umieszczone zostały w dziale mechanicznym muzeum & nigdy więcej z nich nie korzystano. Nawet gdy zaraza wygasła & rozkład zwłok wrócił do normalności, nikomu później, czy to z przesądu, czy to z nieufności, do głowy nawet nie przyszło, aby ich używać, tak bardzo pierwsza próba zapadła wszystkim w pamięć.

Pod koniec listopada *Draco Pestis*, owa hydra nienasycona, która napasła się tyloma ludzkimi żywotami, wreszcie poniechała swojego dzieła. Z dnia na dzień ustały w Rzymie zgony z powodu dżumy.

Spekulowano, że wywołali ją żydzi, aby się zemścić na chrześcijanach - jak bezpodstawnie utrzymywał kardynał Gastaldi, ponieważ w getcie umarło ośmuset wyznawców wiary Mojżeszowej - albo sam Pan Bóg, aby ukarać nas za grzechy, niemniej przyczyny zarazy mogły być także niewyjaśnione: Pan Bóg nie musi się tłumaczyć ze swoich czynów, ani kiedy karze, ani kiedy nagradza.

Jak już nadmieniałem, w Rzymie w ciągu czterech miesięcy zmarło piętnaście tysięcy osób. Choć to bardzo duża liczba, daleko jej do ogromu ofiar, które zaraza pochłonęła w Palermo, Mediolanie, a później także w wielkim Londynie. W sumie rzymianie powinni byli się cieszyć, że nie tak znowu dojmująco zostali doświadczeni.

W roku 1658 ukazało się drukiem „Scrutinium Pestis”. Na całych dwustu stronicach mistrz mój przedstawiał historię zarazy, jej możliwe przyczyny, rozmaite formy & objawy, nie pomijając żadnego ze sposobów leczenia, jakich próbowano. „Wszelako - konkludował - najlepszym remedium jest ucieczka, bardzo szybko & bardzo daleko, & pozostawanie w oddaleniu od źródeł zakażenia jak najdłużej. Jeżeli wszakże nie można tego zrobić, mieszkać należy w dużym, dobrze wietrzonym domu, położonym na szczycie wzgórza, z dala od ścieków & wód stojących. Winno się otwierać okna, by oczyszczać powietrze, a w domu trzymać aromatyczne zioła, palić siarkę & mirrę oraz spożywać dużo octu winnego dla oczyszczenia także wnętrza ciała...”. Cenne to były rady, które w późniejszym czasie uratowały życie znacznej liczbie osób.

## **FORTALEZA**

*Jak w Lourdes albo w Benaresie...*

Roetgen odbywał zajęcia ze wstydlwym poczuciem, że cudem uniknął komplikacji wszelkiej maści. Łamiąc niepisane zasady związane z jego stanowiskiem wykładowcy, narażał się na problemy zawodowe, których powagę dopiero teraz w pełni sobie uświadamiał.

Chociaż mocno ucierpiała jego miłość własna, chociaż obsesyjnie prześladował go widok Moemy, i tak aż dziw brał, że tak tanim kosztem się wyłgał.

- Odwaliło mi zupełnie! - mówił sobie. - Żeby tak dać się omotać tej dziewczynie! Naprawdę wyszedłem na głupka. Wystarczy, żeby opowiedziała połowę tego, co się działo na tej plaży, a mogę od razu pakować walizki.

Nie wstydząc się swoich czynów - należy ludzi i rzeczy brać takimi, jakie są, nie bać się rozwiążności umysłu, kiedy wspomaga etnografię - wyobrażał sobie, jak zajadle wypiera się wszystkiego, jak z urazą wypisaną na

twarży pokrzykuje, że na podstawie samych złośliwych pomówień studentów nie można podważać jego reputacji, że to byłoby zbyt wygodne... Jednakże rozmaite scenariusze, wedle których się bronił, wcale go nie uspokajały, tak że skupiał się w końcu wyłącznie na pozytywnym wspomnieniu swojej wyprawy na jangandzie, do tego tylko wyczynu sprowadzając swój pobyt nad morzem.

Spotkawszy w kampusie Andreasa, opowiedział mu o swoich przeżyciach.

- Pokrećło cię chyba! - z uśmiechem skomentował Andreas jego zwierzenia. - Chociaż ja też pewnie bym pękł... Ale mimo wszystko uważaj, oni bez plotek nie mogą żyć. I to wcale nie ze złośliwości, co najdziwniejsze, po prostu to lubią, sprawia im przyjemność... Obmawianie ludzi to tutaj prawie sztuka! Czasem człowiek odnosi wrażenie, że inaczej nie potrafią się komunikować. Muszę przyznać, że w sumie to dosyć zabawne: tajemnica w końcu zwiększa ciężar gatunkowy relacji międzyludzkich. Możesz być pewien, że jeśli o tobie mówią, przypisują ci tysiąc razy więcej, niż kiedykolwiek zrobiłeś... Tak że cokolwiek na twój temat nagadają, nie masz co się martwić, dopóki nie prześpisz się z żoną rektora. A i to musieliby cię przyłapać na gorącym uczynku! - Poufałym gestem położył mu rękę na ramieniu. - Powiedz, znam tę małą?

- Trudno jej nie zauważyć. Moema von coś tam... Nie pamiętam. Nazwisko brzmi z niemiecka.
- Moema von Wogau?
- Właśnie! - ze zdziwieniem rzekł Roetgen. - Znasz ją?

- Znam jej ojca. Stary kumpel z uczelni, jest dziennikarzem, korespondentem prasowym w Alcântarze. Wcisnąłem mu nawet swoją papugę! Zatrzymuje się u mnie, jak przyjeżdża w te strony z przyczyn zawodowych. Mówił mi, że córka będzie studiowała w Fortalezie, zależało mu, żebym z daleka miał na nią oko, ale przyznam, że zupełnie wyleciało mi to z głowy.

- Czemu nie poszła na studia w São Luís?

- Jej rodzice są w trakcie rozwodu. Niewykluczone nawet, że już się rozwiedli. Z tego co zrozumiałem, dziewczyna raczej źle to znosi. Jej matka jest Brazylijką, profesorem w Brasili. Coraz głośniejsze o niej wśród paleontologów. Wiecznie gdzieś ją nosi. To ona rzuciła jego. A tatusia lubię, chociaż trudno z nim wytrzymać. To typ, który przejmuje się światem i sobą, tyle że podejścia nie ma za grosz. Ale facet nawet błyskotliwy. Nigdy nie mogłem pojąć, dlaczego z takim uporem niszczy swoje życie. A z tego co słyszę, córeczka też ma porąbane...

- Raczej tak - przyznał Roetgen.

Wraz z tym werdyktem odnajdywał komfort pozycji dominującej i równocześnie zaczynał wybaczać Moemie jej pociąg do Indianina. To, że miała „problemy”, zmieniało postać rzeczy, z napalonej przemieniała się w dziecko, któremu należy pomóc.

Tego wieczoru po powrocie do mieszkanek, które wynajmował na poddaszu nowoczesnego budynku, Roetgen rozważył wszystkie za i przeciw, po czym zdecydował, że zajrzy do Thais. Dziewczyna dała mu swój adres, kiedy wracali autobusem.

Trzy dni minęły od ich powrotu z Canoi.

Długo stukał do wąskich drzwi przy ulicy Bolívara i już miał odejść, gdy Thais wystawiła głowę przez sznurkową zasłonę na oknie.

- A, to ty! - ucieszyła się. - Właż, za minutkę będę.

Roetgen zauważył ciemnoczerwone rumieńce na jej policzkach i nagą górę piersi. Widać przeszkodził jej w figlach z nową miłośnicą. Szybko znalazła pocieszenie, pomyślał ze szczyptą lekceważenia. Tym bardziej więc się zdziwił, kiedy przysłała w ekstrawaganckim kimonie w kolorowe kwiaty okrywającym jej pełne kształty, a za nią pojawił się chudy jak szczapa młody mężczyzna z obfitym jasnym wąsem, w ogóle nieskrępowany niekompletnym odzieniem - samymi bokserkami.

- To Xavier - przedstawiła go Thais, wymawiając „x” z portugalska, szeleszcząco. - Wczoraj tu wylądował. Będiesz mógł pogadać z nim po francusku. Zdaje się, że przyplłynął żaglowcem aż z Tulu. Pomieszka tu chyba parę dni...

Obydwoje uśmiechali się dość głupkowato. W pokoju śmierdziało trawką. Roetgen bez entuzjazmu przywitał się z rodakiem.

- Co słyszać? - spytała Thais, szykując sobie skręta.

- Wszystko po staremu: wykłady, zajęcia... normalka. - Popatrzył jej w oczy. - Masz wieści od Moemy?

Thais spochmurniała.

- Żadnych. Pewnie dalej siedzi w Canoi z tym swoim porąbanym Indianinem. W głowie się nie mieści, że taki numer nam wywinęła!

Roetgen był zaskoczony, ale i mile połączony, że włączyła go do swojego grona.

- Cóż, to się zdarza...
- Lubisz ją, co? No, chodzi mi o to, że poważnie cię obchodzi, dobrze zgadłam, nie?
- Trafiłaś w dziesiątkę - odparł Roetgen i przeraził się.

Gdy człowiek waha się między prawdą a kłamstwem, często usta za niego decydują. Roetgen nie wiedział jeszcze, czy oszukuje, aby wzbudzić współczucie i przypisać sobie ładną rolę w całej tej historii, czy też ta spontaniczna odpowiedź po prostu go demaskuje. Pobrzmiwała w niej egzaltacja, która w okolicznościach zachęcających do wyznań powoduje, że z rozmysłem wybieramy raczej patos niż banalne, wyzute z chwały cierpienie.

- To znaczy - podjął, zbierając na gwałt myśli - chyba... jak by to ująć? Brakuje mi jej.

- Wiedziałaś - rzekła Thais, podając mu dzointa. - Ze mną jest tak samo. Mamy zgryz, *cara*. Cholerny zgryz. W takim stanie nigdy jej nie widziałam. Jakby ją ten padalec zaczarował...

Xavier ani słowa nie rozumiał z tej rozmowy, co najwyraźniej było mu zupełnie obojętne. Leżał rozwalony na poduszkach, pogodny, wręcz promieniejący, i paląc skręta, rozglądał się po ścianach pokoiku.

- To nienormalne - ciągnął Roetgen. - Nie przestaję o niej myśleć, odkąd wróciłem do Fortalezy. O tobie zresztą też. Niesamowite było to, cośmy tam przeżyli.

Wbrew wszelkim oczekiwaniom Thais podniecała go teraz dużo bardziej niż w Canoi. Błysk w jej oczach - i może także to, że górna część kimona odsłaniała bardziej, niżby wypadało, krągłości jej piersi - upewnił go, że to pragnienie jest odwzajemniane.

Kiedy tak się zanęcali, rozchyliła się kotara na drzwiach i stanęła przed nimi Moema. Z napuchniętymi oczami, hamując łzy, bez słowa błagalnie patrzyła na przyjaciółkę. Thais poderwała się na nogi. Nie przejmując się Xavierem i Roetgenem, pociągnęła ją do sypialni.

- Ekstralaski są w tych stronach! - zauważył Xavier, kiedy za dziewczynami zamknęły się drzwi. Puścił oko do Roetgena. - Coś czuję, żeś ładny szmat czasu nie próbował francuskich specjałów, co? Mogę zaproponować

whisky: czarny Johnnie Walker. Żaden cymes, ale tylko taką mieli na Zielonym Przylądku.

Moemie strasznie trudno było wyłuszczyć wszystkie powody, które zmusiły ją do przyspieszonego powrotu. Jedna scena namolnie stawała jej przed oczami i niewyobrażalnie dręczyła: Aynoré kochający się z Josefą, dziewczyną, która jeździła na buggym... Gdy przebudziła się z popołudniowej drzemki, nakryła ich przypadkiem na plaży zaraz za wydmami. Ta zdzira skakała na nim, trzymając go za ramiona!

- Czego tu? - warknęła Josefa, odchylając głowę. - Nie widać, że jestem zajęta?

Moemę tak zatkało, że bez słowa błagalnie patrzyła tylko na Indianina. Gdyby wtedy do niej przyszedł, przebaczyłaby mu, tak bardzo ją omotał. On tymczasem jakby nigdy nic powiedział:

- Musisz być bardziej cool, kobieto... Daj dokończyć, dobrze?

Poczuła się tak, jakby cała Amazonia wyparowała jej sprzed oczu. Rozpłakała się, oniemiała stojąc bez ruchu przed swoim marzeniem, które legło w gruzach. Odchodząc, z wściekłością bluznęła słowami, których nie mogła sobie dotąd darować:

- Pierdol się, palancie!

I pędem pognęła na plażę. Wtedy dopadła ją odpowiedź:

- A co innego robię, dupciu?

I gruchnął śmiech. Śmiech, który wciąż miała w uszach.

Na plaży spotkała Marlene. Widząc, w jakim dziewczyna jest stanie, transwestyta pociągnął ją na piasek. Tulił ją i pocieszał, aż w końcu wyciągnął z niej, co się stało.

- Mówiłam ci, żebyś uważała. To niebezpieczny skubaniec. Założę się, że wcisnął ci gadkę, że jest szamanem!

Spojrzała nań pytająco, bojąc się tego, co usłyszy.

- To taki jego numer, żeby rwać laski. Znalazł kiedyś książkę, wszystko w niej było opisane:

indiańskie legendy, rytuały szamańskie, potop i takie tam... Indianinem jest przynajmniej w części, a szamanem takim jak ty czy ja. Jego matka była fordanserką w barze w Manaus, a o ojcu nie ma co gadać, bo sama nie wiedziała, kto nim był z tych wszystkich pijaków, z którymi sypiała.

- To nieprawda... - wyjąkała Moema, znów zalewając się łzami. - Ściemniasz!

- Nie chcesz, nie wierz, twoja broszka. Ale to szczerza prawda. Poczytaj sama tę książkę, mogę ci pożyczyć, jak chcesz: „Antes o mundo não existia”. Facet, na którego nazwisku język sobie można połamać, opowiada w niej mitologię swojego plemienia. Aynoré nie ma nic wspólnego z tymi Indianami, sam mi to powiedział. Nawija tak każdemu, byle wcisnąć to swoje badziewie turystom na plaży. To gnida, Moema, szmaciarz. Nie jest wart, żeby taka dziewczyna jak ty płakała przez niego.

Zapłakanej Moemie obeschły łzy, dopiero gdy uzyskała przebaczenie Thais i upewniła się co do swoich podejrzeń w kwestii szczerości Aynorégo. Książka, o której powiedział jej Marlene - pierwszy tekst w całości napisany przez Indianina brazylijskiego - ukazała się jakieś dwadzieścia lat wcześniej. Roetgen doskonale ją pamiętał, ponieważ dokładnie przestudiował jej treść, przygotowując się do wykładu: narodziny świata, pierwszy kataklizm za sprawą ognia, wszystko, łącznie z pewnymi szczegółami dotyczącymi szamanizmu, znajdowało się w książce, którą wykorzystał ten oszust.

Zrazu okrutnie zawiedziona, potem wściekła Moema wyrzuciła go z myśli, słowem o nim nie wspominała, a jeśli już, to okraszając jego imię odpowiednio obraźliwym określeniem: „Indiański bękart”, mówiła z odrazą, albo: „Wypierdek, jak pomyślę, ile kitu mi nawcisnął... Gnój niemyty!”. Tak było łatwiej, przynajmniej na początku.

Po kilku godzinach potrzebnych, aby rozgoryczenie dziewczyny zmalowało, Roetgen zgłosił propozycję, która rozwiała resztki złego nastroju. Pod koniec tygodnia rozpoczyna się dziesięciodniowa przerwa w zajęciach: co by powiedzieli na wspólny wyjazd z doroczną pielgrzymką do Juazeiro? Dla niego i Moemy byłaby to okazja, żeby zaobserwować z bliska miejscowe obrzędy ku czci ojca Cicero, którego kult był bardzo popularny wśród mieszkańców Nordeste; pozostałym - oczywiście Xavier z nimi jechał - gwarantował kapitalną przejażdżkę po Sertão. Wynajmie samochód, będą sypiali pod gołym niebem, a resztę załatwiać się będzie w zależności od potrzeb.

Pomysł wszystkim nadzwyczaj przypadł do gustu. Trzy dni później bez opamiętania wydzierali się w chevroletcie pożyczonym od Andreasa. Każdy miał ciemne okulary i chórem śpiewali refren piosenki Rolling Stonesów, przez otwarte okna obwieszczając światu, że nie są w stanie osiągnąć zadowolenia.

To były szalone, kompletnie odlotowe dni, które alkohol spowijał perwersyjnym mrokiem. Narkotyki, którymi się raczyli przy każdej okazji, oddalały ich także od realnego świata, przenosząc na obrzeża tego, co przeżywali. Dowodził Roetgen, niewiele starszy od reszty towarzystwa - dzielące go siedem lat od Moemy, najmłodszej z całej czwórki, ważyło bardziej, niż sobie uświadamiał. Tylko on siadał za kierownicą, tylko on miał pieniądze i umysł w miarę przytomny, a przynajmniej niejakić poczucie odpowiedzialności. Wciągnął co prawda ze dwa, trzy razy po kresce koki, wypalił parę skrętów, lecz głównie po to, aby się nie wyróżniać, ponadto niechęć do narkotyków utwierdzała go w przekonaniu, że te wyskoki to jedynie tropikalny epizod, niezbędne doświadczenie, które na pewno mu nie zaszkodzi. Dużo za to pił i chyba tylko własnemu szczęściu zawdzięczał, że obeszło się bez incydentów na drodze. Wierny temu, co nieoczekiwanie wyznał Thais, pielęgnował swoją „miłość” do Moemy. Uczucie osobliwe, którego nie próbował już analizować, chociaż regularnie z jego powodu cierpiał; ilekroć na przykład spała sama z Thais, starał się pomniejszyć upokorzenie, strojąc sobie żarty z Xavierem.

Mimo pozornej beztrioski Moema jeszcze się nie pozbierała po przygodzie z Aynorém. Nie kłamała, gdy zapewniała Thais, że nic już jej nie odciągnie od niej, albo Roetgena, że ani myśli go stracić, taka jest szczęśliwa w jego ramionach. Jednakże z czeluści nienawiści, którą darzyła teraz Indianina, wyłaziło

coraz wyraźniejsze poczucie, że związek z nim oznaczał coś innego. Im większe zaś ogarniało ją z tego powodu rozgoryczenie, tym bardziej się zbliżała do tych dwojga, jakby chciała się uchronić przed otchłanią, która otworzyła się przed nią w Canoi.

W przeciwieństwie do Roetgena, który nic a nic nie rozumiał, Thais nie wybaczyła przyjaciółce zdrady. Z przerażeniem jasno sobie uświadamiała, że wbrew wszelkim zapewnieniom coś między nimi pękło. I chociaż przyjemność sprawiało jej sypianie z Xavierem - aczkolwiek zdawała sobie sprawę, że to nie potrwa długo - robiła to głównie po to, aby dopiec Moemie. Nie przez złośliwość, nie z urazy, lecz z rozpaczy: z całej ich grupki chyba tylko ona rzeczywiście cierpiała, ponieważ ona jedna kochała, nie wypatrując niczego prócz miłości.

Co się tyczy Xaviera, „mikrusa z propelerem”, był tam trochę na uboczu, nikogo nie osądzając, nie mając nawet bladego pojęcia, czego ci troje doświadczyli. Ani na chwilę nie trzeźwiał, palił skręta za skrętem, dużo się śmiał. Był jak mewa, którą wabi horyzont, miał hople na punkcie tego co przemijające, unosił się gdzieś wysoko nad nimi. Był przelotnym ptakiem, rodzajem anioła cherlawego, lecz gotowego na wszystko, którego tamci troje hołubili świadomi, że niebawem odfrunie. Tak, był aniołem. Anielską zjawą. Wąsatym uśmiechem godnym najpiękniejszych snów Alicji Liddell.

Jakiegokolwiek były powody, wszyscy czworo, jeden w drugiego oszołomy, rzucili się do ucieczki naprzód - jak to się mówi, gdy nie wiadomo już, co powiedzieć, aby wyrazić przesadę w czymś - ucieczka ta zaś sprawiła, że popełniali jedno po drugim piramidalne głupstwa.

W Canindé, gdzie się zatrzymali, aby zwiedzić sanktuarium Świętego Franciszka, proboszcz zgodził się, aby wybrali sobie coś spośród setek darów wotywnych zgromadzonych za kratą. Pod cudownym posągami wierni składali tam wyobrażenia wszelkich części ciała, a było ich tyle, że sięgały figurze do pasa: piersi, nogi, głowy, organy wewnętrzne, narządy płciowe wykonane w drewnie albo wosku. Dolegliwości związane z przerostem gruczołu krokowego albo wrzodem, strach przed operacją albo przed nocą poślubną - wystarczyło przynieść tu wyrzeźbioną właściwą część, aby uzyskać od świętego Franciszka cudowne uzdrowienie.

- Muszę co miesiąc wszystko palić - wyznał im proboszcz, którego zaskoczyli w porze sjeisty - więc zamknijcie drzwi za sobą, weźcie, co wam się podoba, i oddajcie klucz, jak skończycie.

Najpierw się natrząsali z niezliczonych prymitywnych obrazków, którymi obwieszono były ściany kościoła i które świadczyły o cudach dokonanych przez niestrudzonego patrona Canindé - „Dziękuję, święty Franciszku, że moja wnuczka bez problemu wydała klucze od domu!” - po czym parami kochali się wśród darów wotywnych, ledwie widoczni spomiędzy grubo ciosanych głów, kończyn i organów wewnętrznych. Wyszli stamtąd lekko zde gustowani, ale też dumni ze swego wyczynu graniczącego ze świętokradztwem.

Surrealistyczne! Thais tylko to słowo znajdowała, aby wyrazić swoje zdziwienie tym wszystkim, co oglądali. Przez szparę w szklanej trumnie skrywającej posąg wynędzniałego bladziutkiego Chrystusa pielgrzymi w

charakterze ofiary wsuwali banknoty o niewielkich nominałach - przezroczyta skarbonka, w której pomiędzy banknotami pokrytymi zielonym nalotem pleśni ledwie był widoczny odrażający trup rozbitka. Wrzucili do niego karty do gry, prezerwatywę, zatłuszczone papierki i kilka kartek z notesu zapisanych bluźnierczymi świństwami.

Pijani na umór pozowali przed jednym z płócien przedstawiających świętego Franciszka, które przymierający głodem wędrowni malarze rozwieszali na dziedzińcu przed kościołem. Umówili się, że dokładnie w chwili gdy fotograf będzie naciskał wyzwalacz, każde bez słów wypowie jakiś swój sekret. Na czarno-białych zdjęciach, które przy nich wywołano, na dnie zaopatrzonej w uchwyty kuwety z blachy cynkowej ujrzeli z zachwytem, że nie mają warg.

Widok był jak w Lourdes albo w Benaresie, jak kto woli, tłumy mieszkańców regionu Sertão zalewały



miasto swoją nędzą. Trędowaci posuwający się w kurzu na kolanach, obłożnie chorzy poczerniali od odleżyn, inwalidzi, ludzie nieprawdopodobnie okaleczeni, niewyobrażalne monstra, mężczyźni i kobiety z oczami pełnymi łez - wszyscy ci nieszczęśnicy ustawiali się w kolejkach do konfesjonatów umieszczonych jak wiejskie wygodki pod murami na zewnątrz kościoła, walczyli ze sobą, aby się przepchnąć w poblizę gipsowego bóstwa, mdleli u jego stóp, z których łuszczyła się farba. W kramach sprzedawano przynoszące szczęście pęki kolorowych wstążek, święte obrazki w ramkach i bez ramek, całą tę odpustową tandetę, na którą mieszkańcy Nordeste wydawali ostatni grosz. Było w tym wszystkim takie afiszowanie się ze swoim nieszczęściem, że w końcu Moemę i pozostałych to zirykowało.

W ogrodzie zoologicznym w Canindé zobaczyli tylko parę przerażonych do szaleństwa pancerników i jednego pomalowanego na niebiesko barana. Przed wyjazdem kupili sobie skórzane kapelusze i długie noże pastuchów.

Samochód pełny był byle jak powrzuconych darów wotywnych wybranych ze względu na estetykę lub niezamierzony komizm: pobielone wapnem głowy z ziarnami w miejsce oczu albo z przyklejonymi kosmykami ludzkich włosów, okaleczone części korpusu, owrzodziałe pośladki na patykowatych nóżkach... Chevrolet przypominał prosektorium.

W drodze do Juazeiro zaskoczyła ich burza. Lunęło tak potężnie, że Roetgen musiał zatrzymać wóz na poboczu. Skądś wyłonił się naraz galopujący osioł i minął ich w strugach deszczu, rycząc ze strachu i ślizgając się na czerwonym błocie, które pokrywało asfalt. Wstrząśnięci tym isticie piekielnym widokiem, mając już dość obcowania z nędzą, skorzystali z pierwszego pretekstu, aby zrezygnować z ambitnych zamierzeń.

- A może by skoczyć do burdela w Recife? - powiedziała Moema.

Roetgen zawrócił i ruszył na południowy zachód, w kierunku Pernambuco.

## **FAWELA PIRAMBÚ**

*W nocy byłoby widać, jak leci wśród gwiazd...*

- Na co ci to, mały?

- Nie twoja broszka... Pożyczasz albo nie, ale o nic nie wypytyujesz, dobra?

Wujek Zé coś tam podłapał. Oczy mu się zrobiły takie śmiesznie puste... Dowód, że czegoś się domyślał. Tylko czego? Nie ma siły, nikt na to nie mógł wpaść, nawet wujek Zé. Nikt. Zupełnie jak z Lampião: czekali na niego w Bahii, a on się zjawiał w Sergipe; zastawiali pułapkę w Rio Grande do Norte, a on spokojnie siedział w domciu i dawał się obfotografowywać dziennikarzom z „Diario de Noticias”. Wszystkich robił w bambuko. On, Nelson, nie chciał tak robić staremu, lepiej jednak, żeby Zé o niczym nie wiedział. Na szczęście przyniósł to swoje tryko... Z nim szło szybciej i wychodziło lepiej. Ale i tak parę dni mu zajęło... Głównie z racji formy. Co on się nakombinował nad formą! W końcu poradził sobie i robota była już dawno skończona, kiedy stary znowu się zjawił, żeby go zabrać na lody. Nelson wziął o smaku mango i marakui... Ech, gdyby miał co do gadania, tylko lody by jadł, tak mu smakowały! Zé nawet słówka o tym nie pisał, bo ma na głowie przygotowania do święta Yemanjy: w tym roku organizuje wszystko dla Dady Cotinhi z terreira Mata Escura. Dada - jak żona Corisea, nie? Te gnoje erkaemem poharatały mu nogę. Sześćset kilometrów wieźli go na pace ciężarówce z nogą, która trzymała się tylko na ścięgnach... Skurwysyny! Musi o tym pamiętać. Nie zapomnieć o ani jednej śmierci, ani jednym upokorzeniu, bo licznik nie jest wyzerowany, co to, to nie! A wujek Zé miał kłopot. Nie taki znowu duży, właściwie to nic przy ciężarówce i całej reszcie: no bo nie mógł znaleźć dziewczyny, która by

zasiadła na tronie Yemanjy. Corta Braco, Beco de Chínelo, Amaralilha... Wszystkie terreira z okolicy już sobie zaklepały najładniejsze laski. Zostały tylko te starsze i jakieś kaszaloty. W pale się nie mieści,

mówił stary, ile kaszalotów łązi po tej ziemi! I wszystkie do mnie przyłożą, jedna po drugiej: weź mnie, Zé, w sukni i peruce nie będzie widać, że jestem trochę za tłusta... A jeszcze trza było słyszeć, co mu proponowały, byle tylko je wziął... Bez pojęcia! Po moim trupie, stary na to, nie widzisz, że straszysz dzieci? Jakbym cię wziął do procesji, wszyscy by uciekli na kilometr... Stary nie jest głupi! Zna się na rzeczy. Na rozum mi padło, żem się zgodził, powtarzał. Są stroje dla wszystkich, jest orkiestra, kaszasa... Ale jak nie znajdę zgrabnej kobitki, żeby była Yemanjá, co ludzie powiedzą, he? To jest w almanachu napisane, czekaj, zaraz ci pokażę... O, patrz. Daty niesprzyjające: 12 stycznia, 4 maja, 15 sierpnia! Możesz se go wziąć, nie chcę więcej patrzeć na tego zwiastuna nieszczęść... „Przepowiednia roczna dla Nordeste: horoskop dla wszystkich”. Gruby cordel na żółtym papierze, z tych po 200 cruzeirów! A co tam piszą!... Wcale nie same przepowiednie, jest kupa innych rzeczy, a wierszami wcale nie taki naszpikowany... „Kto nie ma Boga w sercu, nie będzie Go miał nigdzie”. Dobrze powiedziane, nie? Można próbować na wszystkie strony i guzik: Bóg w gardle, Bóg w płucach - od tego pewnie by się kaszlało na maksa! - Bóg za uchem, Bóg gdzieś w dupie... Nie ma rady, albo w sercu, albo nigdzie! „Człowiek jest inteligentny. Osoba inteligentna nie pali, nie pije, nie osądza i nie dyskutuje”. Z tym piciem i paleniem zgoda, chociaż nie może się powstrzymać. Ale nie osądzać? Jakże to: nie osądzać? Nie osądzać bogatych, debilów, Amerykańców, morderców? Nie osądzać bandziorów, co wydłubują innym oczy? Ciekawe, i co jeszcze? Z dyskutowaniem to samo. A przypadkiem człowiek inteligentny nie wymarł? Albo tylko ze mnie taki dureń? „Przodownicy głodowania. Pluskwa: przeżywa kilka miesięcy bez pożywienia. Pancernik: przetrwa prawie rok, nic nie jedząc. Wąż: ponad rok może się żywić tylko własnym jadem. Człowiek z Nordeste: całe życie karmi się tylko nadzieją”. To wymyślił gościu na pewno inteligentny, bez dwóch zdań. „Całe życie karmi się tylko nadzieją”... A niech mnie, zajebiste zdanie! I pełno takich w almanachu na dole każdej strony. „Bez jedzenia człowiek może przeżyć nawet trzy tygodnie; bez picia tydzień; bez powietrza zaledwie pięć, sześć minut. W ludzkim ciele jest 2016 porów - służą one do wydalania wody z organizmu i oczyszczania krwi, która przepływa przez serce przefiltrowana 120 razy przez nerki. Serce uderza 103 700 razy na dobę, a serce kobiety jeszcze więcej. Serce człowieka liczącego 70 lat zdążyło średnio uderzyć 3 miliardy razy. W ciągu 70 lat życia człowiek wydatkuje siłę, która by wystarczyła do wyrzucenia pociągu z dziesięcioma wagonami wyładowanymi łopatami na wysokość pięciuset metrów”. *Puxa!* No, to przynajmniej coś mówi... Więc on też, chociaż taki pokrzywiony... A jakby się wzięli wszyscy, ci z faweli, z całego Sertão, mogliby posłać w kosmos tysiące pociągów wyładowanych łopatami! Ale by się narobiło, nie? Po zbóju deszcz żelastwa, jakby to wszystko zaczęło spadać... Albo jeszcze lepiej, zebrać się kupą i wyrzucić jeden taki pieprzony pociąg, za to dużo wyżej. Posłać ten pieprzony pociąg na orbitę! To by dopiero było!... W nocy byłoby widać, jak leci wśród gwiazd. Ludzie by mówili: to pociąg z Pirambú... Na wagonach byłoby wielkimi literami jak na ciężarówkach wypisane: „Pierdolę bogatych! Podpisano: Nelson, *aleijadinho*”. Tak by napisał na swoim wagonie. Świecącą farbą, żeby dobrze było widać w nocy... „Wodnik (Mars). Jesteś idealistą. Lubisz swobodę i robisz wszystko, żeby nie ulegać innym. Kiedy ktoś ci się sprzeciwia, bardzo się denerwujesz i wystawiasz się na niebezpieczeństwo. Panicznie boisz się nędzy, lecz lubisz wspominać przeszłość. Uważaj na swoje poczucie niezależności. Cały ten rok będzie bardzo sprzyjał twoim zamierzeniom”... A niech mnie, jeśli to nie jest dobry horoskop! Czarno na białym napisane, trza tylko robić swoje...

Nelson położył almanach na piasku i zasnął ze spokojnym sercem.

## ROZDZIAŁ XXIII

*W którym jest mowa o uniwersalnym języku  
& o niezrozumiałej tajemnej wiadomości*

W roku 1662 mistrz mój, obchodzący wówczas sześćdziesiąte urodziny, zdwoił aktywność. Zachęcony swymi odkryciami w sferze symbolicznego systemu hieroglifów oraz porównaniami przeprowadzonymi ze znakami chińskimi, jał przemyśliwać o języku, za pomocą którego ludzie wszelkich narodów mogliby się porozumiewać ze sobą, nie musząc się posługiwać żadną inną mową prócz rodzimej.

- Widzisz, Casparze - tłumaczył mi pewnego pięknego poranka - o ile łatwo jest się porozumieć Niemcowi & Italczykowi po łacinie, ponieważ to język wszystkich wyedukowanych ludzi Zachodu, o tyle znacznie trudniej mają Niemiec & Syryjczyk, a tym bardziej Syryjczyk & Chińczyk. W tym ostatnim przypadku albo Syryjczyk musi nauczyć się chińskiego, albo Chińczyk syryjskiego, albo obydwaj jakiegoś trzeciego języka, który będzie dla nich wspólny. Przyznasz, że te trzy rozwiązania, ponieważ wymagają długich studiów w samotności bądź uczenia się nawzajem trudnej gramatyki & równie trudnego pisma, nijak nie usposabiają tych dwóch ludzi do porozumienia. Jak sam się przekonałem, studiując chiński z moim przyjacielem Boymem, nawet znajomość dwudziestu tysięcy znaków, która umożliwi mi czytanie niemal wszystkich tekstów chińskich, nie pozwala liczyć na to, że będę się posługiwał tym językiem w mowie & zdołam porozmawiać z jakimkolwiek rodowitym pekińczykiem: do tego potrzebna jest bowiem znajomość akcentów, a raczej tonów, co zniechęca nawet najbardziej oddanych naszych misjonarzy. Mając natomiast pióro & papier, mogę się doskonale porozumieć z każdym Chińczykiem. Podobnie pekińczyk & kantończyk, którzy władają przecież tym samym językiem chińskim, lecz tak różniącym się w wymowie, że nijak się nie dogadają, z łatwością się porozumiewają za pomocą pędzelka & odrobiny atramentu.

- Weźmy przykład mojego Indianina z Ameryki - ciągnął. - Narysowałem mu unoszącą się na wodzie gondolę z przewoźnikiem, wskazując w ten sposób, że idzie mi o rodzaj łodzi. W sumie to było proste. Co jednak, jeśli będzie mi chodziło o ideę albo gatunek, nie zaś o zwykły przedmiot? Co powinienem narysować, aby wyrazić „boskość”, „prawdę” czy pojęcie „zwierzęta”? Przyznasz, Casparze, że tutaj nasze sprawy odrobinę się komplikują. I to w chwili decydującej, gdy należałoby się rozumieć jak najdokładniej... Jakież jest pożytek z języka, jeśli możemy w nim nazywać wyłącznie rzeczy z wykluczeniem idei, które są w nas znakiem Bożej kreacji? Od prostego rysunku trzeba zatem przejść do symbolu! Powiedz, Casparze, jakbyś wytłumaczył takiemu Topinambu, że owa tajemnica, którą w swoim narzeczu zapisują „Tupang”, odpowiada temu, co my rozumiemy przez pojęcie „Bóg” albo „Ten, który jest”?

Skupiłem się na chwilę, przerzucając w myśli symbole, które mogłyby wyrażać boskość & oświecić naszego Indianina. W końcu zaproponowałem krzyż.

- Byłby odpowiedni dla Europejczyka - rzekł Kircher - lecz dla Chińczyka oznaczałby tylko liczbę dziesięć, a stojący przed tobą Topinambu niechybnie zrozumiałby coś zupełnie innego, & tak dalej w odniesieniu do wszystkich ludów, które tego symbolu wcale nie znają.

- Cóż zatem robić? Czy znowu będzie potrzebny jakiś słownik?

- Ależ tak, Casparze, właśnie słownik! Ale nie byle jaki. Jak zwykle pożywką dla skrajnej prostoty jest złożoność. Słownik, a raczej dwa w jednym, jak zaraz ci pokażę. Czy napiszę: „Byłbyś tak łaskaw, drogi przyjacielu, przysłać mi jedno ze stworzeń żyjących w Nilu, powszechnie zwanych krokodylami, abym mógł swobodnie przeprowadzić studia nad nim?” Czy też: „Ty przysłać krokodyl dla studia”, odbiorca wiadomości zrozumieją tak samo. Zgodnie z tą zasadą przetrzebiłem słownik, tak że zostały w nim tylko słowa niezbędne, dokładnie jest ich tysiąc dwieście osiemnaście. Pogrupowałem je w trzydzieści dwie kategorie, a każda zawiera trzydzieści osiem wyrazów. Te trzydzieści dwie kategorie ponumerowałem liczbami rzymskimi, a trzydzieści osiem wyrazów liczbami arabskimi.

Słowo „przyjaciel” na przykład jest piątym wyrazem kategorii drugiej nazw osób. Spójrz...

Mistrz mój pokazał mi plik kartek, na których odręcznie spisane było to wszystko, co właśnie mi

objaśniał. Dzieło owo, nad którym musiał spędzić niejedną noc, zawierało przede wszystkim niezwykle słownik. Dzięki nadzwyczaj prostemu układowi bez trudu znaleźć w nim można było dla ośmiu języków (łaciny, greki, hebrajskiego, arabskiego, hiszpańskiego, francuskiego, włoskiego & niemieckiego) numeryczne tłumaczenie 1218 słów niezbędnych, lecz w zupełności wystarczających do porozumienia się na każdy temat, nawet metafizyczny. Ów słownik dla języka pisanego, przeznaczony dla tego, kto myśli swoje chciał wyrazić w języku uniwersalnym, miał także swój odpowiednik w drugą stronę dla tego, kto chciałby na rodzimy język przełożyć tekst już zakodowany.

- To dopiero początek - ciągnął Kircher. - Rozumiesz jednak, jak łatwo będzie zbudować taki słownik dla każdej części Starego & Nowego Świata. A kiedy każdy kontynent, Azja, Afryka, Europa & obie Ameryki, będzie miał własne słowniki, przestaną istnieć bariery w porozumieniu. I wrócimy jakby do czystości języka czasów Adamowych, źródła wszystkich języków, które Pan Bóg stworzył, aby nas ukarać, wraz z upadkiem wieży Babel...

W oniemiało wprawił mnie ów nowy wynalazek Kirchera. Jego geniusz zdawał się niewyczerpany & nie było chyba dotąd człowieka, którego w tak nikłym stopniu dotknęłyby skutki starości czyniącej przecie w człowieku takie spustoszenia.

Odbierając być może moje milczenie jako rezerwę, Kircher odpowiedział na pytanie, które nawet mi jeszcze nie przyszło do głowy:

- Pewnie się zastanawiasz, jak można napisać cokolwiek zrozumiałego, nie stosując fleksji czy koniugacji. Wiedz zatem, że o tym także pomyślałem: do każdego słowa zapisanego numerycznie wystarczy dodać właściwy zaproponowany przeze mnie symbol, który w razie potrzeby ma wskazać liczbę, tryb albo czas czasownika. Zaraz pokażę ci na przykładzie.

Chwycił za pióro & pisząc, wyjaśniał:

- „Nasz przyjaciel przybywa” zapisujemy: XXX.21 II.5 XXIII.8, natomiast „Nasz przyjaciel przybył” zapiszemy nieco inaczej: XXX.21 II.5 XXIII.8. E, gdzie „E” oznacza czas przeszły... Zobacz tę tabelę, są w niej właśnie niezbędne indykatory.

Tak mnie rozplómił ów wspomniały język oraz perspektywy, jakie oferował prawdziwej wierze & upowszechnianiu jej na całym świecie, że natychmiast zaczął namawiać mistrza, by czym prędzej opublikował swoją pracę. Przystał na to pod warunkiem, że mu pomogę szczerą krytyką tego zarysu, aby mógł dopracować słownik rzeczywiście spełniający swoje zadanie. W tym celu wymyślił, że co wieczór będziemy wymieniali zakodowane wiadomości na wszelkie tematy, jakie nam tylko przyjdą do głowy, co pozwoli sprawdzić właściwe funkcjonowanie systemu. Wdzięcznym był niepomiernie Panu Bogu za tak wielki dowód zaufania & ze wszystkich sił starałem się okazać go godny.

W całym kolegium nic tylko szeptano o naszych tajemniczych epistołach - powszechne zaciekawienie przywoływało jedynie uśmiech na usta Kirchera, przez co tym bardziej zagęszczała się aura tajemniczości otaczająca naszą pracę - tymczasem niespodziewane wydarzenie raz jeszcze sprawiło, że wiedza & umiejętności mistrza mojego okazały się nad wyraz przydatne: otóż tak się złożyło, że 7 lipca 1662 roku szpiedzy watykańscy przejęli pismo adresowane do Ambasady Francuskiej w Rzymie. Napisane było po francusku, aczkolwiek niewątpliwie zaszyfrowane, & najbieglejsi w tej materii zupełnie sobie nie mogli z nim poradzić. Jako do ostatniej deski ratunku zwrócono się zatem do Kirchera, ostatniego człowieka, który jeszcze mógł pomóc.

Zaszyfrowany tekst brzmiał tak oto:

*Jade sur la prairie; sens à l'ombre-chevalier; échelle craquante; bière de paille; oui, le labyrinthe; horde de choucas, hein; l'ambre triste a entendu l'arum de France; le rayon de la colombe a taillé en pièces le pisteur; lardez son épave; l'aisance verse le viol, Henn; sel de loupe; destin de Rance, pourparlers, orphie, cheval de pont, singe dupe; Parme épluche le trou; badinerie rôde; rat, si,*

*vous; l'oeuf de lièvre anti-jet tue l'aura du dard; les beaux jours invertissent; taillez, dupes, l'âge récent du désordre; entrez le péché; germe de poule; baigner la fourmi; voir le moulin du doute; senteur marine; faire la sauce de la fin; signe jaune, vous, Eyck; sève délivrée, corde essentielle...*

Co się tłumaczy:

*Jaspis na łące; rozum palii; trzeszcząca drabina; słomiane piwo; tak, labirynt; promień gołębicy pociął na części tropiciela; pokłujcie jego szczątki; swoboda wylewa gwałt, Henryku; sól lupy; los Rancégo, rozmowy, belona, koń pokładowy, oszukana mała; Parma obiera dziurę; gadanie krąży; szczur, jeżeli, wy; zajęcze jajo przeciwzrut zabija aurę strzały; piękne dni się odwracają; przycinajcie, prostaczkowie, świeży wiek nieladu; pojmajcie grzech; kurze nasienie; kąpać mrówkę; zobaczyć młyn zwątpienia; woń morska; zrobić sos końca; znak żółty, wy, Eyck; sok uwolniony, sznur podstawowy...*

Kircher przez dwa tygodnie pracował nad tym dzień & noc, nie dochodząc do niczego, & już ze smutkiem się zastanawiał, czy nie należy się pogodzić z porażką, kiedy odwiedził go przyjaciel, doktor Alban Gibbs.

## SÃO LUÍS

*„Piec żarowy «Idéal», z kominem...*

- Ekspedycja powinna była wrócić dwa dni temu - powiedział doktor Euclides, przecierając okulary. - Hrabina Carlotta zaczyna się naprawdę martwić o syna. Nie miał pan przypadkiem wieści od Elaine?

- Żadnych - odparł Eleazard. - Myślę jednak, że nie ma co wszczynać alarmu. W naszych czasach nie znika się bez śladu.

Ponieważ kilka tygodni wcześniej życzył jej śmierci, przeraził się nagle, że jakiś zły duch mógłby spełnić to lekkomyślne pragnienie podyktowane dotkniętą do żywego miłością własną.

- A pewnie, pewnie, przyjacielu - zgodził się Euclides. - Chciałem pana tylko uprzedzić. A przy okazji, jak tam pańska córka? Wie pan? Bardzo mi jej brakuje. Z przyjemnością patrzyłem, jak dorastała.

- Prawdę powiedziawszy, nie mam pojęcia, co u niej słychać. Chyba jeszcze jej nie minął kryzys wieku dojrzewania. Mówi mi to, co chcę usłyszeć, a ja muszę w to wierzyć. Co nie przeszkadza, że się o nią martwię. Wybieram się do niej w tych dniach, żeby zobaczyć co i jak. Zaczynam sobie uzmysławiać, że chciała się ode mnie odsunąć, ale to paskudnie komplikuje rzeczy. Nie pozwoliła nawet, żebym jej zainstalował telefon.

- Myślę, że trzeba się uzbroić w cierpliwość. Zwłaszcza że trudno chyba ustalić, kiedy pobłażanie jest jedynym skutecznym sposobem interwencji, a kiedy staje się porzuceniem... Nie, to niedobre słowo, przepraszam... powiedzmy, rezygnacją.

- Proszę sobie wyobrazić, że bez przerwy zadaję sobie to pytanie. Dokładam wszelkich starań, ale największe błędy mają takie właśnie wytłumaczenie, co wcale mnie nie pociesza.

- No, proszę być dobrej myśli. Sprawy zawsze jakoś tam się układają. W gruncie rzeczy to wręcz warunek, żeby co innego się popsuło.

- Właśnie to u pana lubię: ten pański optymizm - zauważył Eleazard z lekką kpina.

- Wstałem dzisiaj lewą nogą. Jeśli przyjechał pan szukać u mnie pociechy, to obawiam się, że trafił pan do złych drzwi... Czym mogę pana poczęstować? Nie odmówi pan chyba? Muszę się napić dla rozjaśnienia myśli.

- Proszę nie wstawać, ja się tym zajmę - powiedział Eleazard, pod-nosząc się. - Cointreau? Koniak?

- To samo co pan - odparł Euclides, moszcząc się w fotelu.

Eleazard nalał koniaku do dwóch kieliszków i wrócił na swoje miejsce naprzeciw gospodarza.

- Za Moemę - wznosił toast stary lekarz. - Żeby za szybko nie dojrzała, bo to szkodzi zdrowiu.

- Za Moemę! - powtórzył Eleazard. - I za pana, doktorze...

- No dobrze, a można zapytać, czemu zawdzięczam pańską dzisiejszą wizytę?

- Biografii Kirchera, jakżeby inaczej! Mam nadzieję, że nie za bardzo pana tym męcę.

- Przeciwnie, o czym doskonale pan wie. Przepadam za takimi ćwiczeniami umysłowymi. Doskonale wpływają na moje ostatnie szare komórki. O stare mechanizmy trzeba bardziej dbać niż o nowe.

- Nie ma pan przypadkiem w swoich zbiorach czegoś Mersenne'a albo La Mothe'a Le Vayera? Jestem prawie pewien, że ojciec Kircher, a przynajmniej Caspar Schott popełnił plagiat tu i ówdzie.

- Z czego pan to wnioskuje?

- Odnoszę czasem wrażenie, że już to czytałem: libertyńskie elementy stylu, drobne anomalie, które nie przystają do tego, co pamiętam. Napisałem do przyjaciela w Paryżu, żeby pogrzebał pod tym kątem, pomyślałem jednak, że może dzięki panu zyskam na czasie.

Doktor Euclides zamknął oczy. Przez kilka sekund zastanawiał się w skupieniu, wreszcie powiedział:

- Nie, przykro mi. Nie mam nic żadnego z nich. Czytałem obu w seminarium, zwłaszcza Mersenne'a, jak łatwo się domyślić. Piękna umysłowość, nawiasem mówiąc, niesłusznie pozostająca w cieniu Kartezjusza, z którym Mersenne się przyjaźnił. Może coś pan znajdzie u Pintarda... „Libertyńscy erudyci XVII wieku”, chociaż tytułu nie jestem pewien. Ale na pewno stoi w dziale „historia”. Mam też ze dwie, trzy pozycje na temat racjonalizmu i Galileusza, wątpię jednak, żeby się panu przydały.

- Nie powinienem był podejmować się tej pracy - westchnął Eleazard, kręcąc głową. - Żeby studiować ten manuskrypt jak należy, wypadałoby być w Paryżu albo w Rzymie. Nie mam nawet jednej setnej potrzebnych narzędzi.

- Pewnie ma pan słuszość, mój drogi. Założmy, skoro wiele skłania pana do takiej konkluzji - Euclides nachylił się ku Eleazardowi, opierając łokcie na kolanach - założmy, że Schott czy nawet Kircher dopuścili się plagiatu z takiego czy innego autora... Założmy, że znalazłby pan dowód, którego pan szuka. I proszę szczerze powiedzieć: co by to zmieniło?

Stropiony pytaniem Eleazard skoncentrował się, starannie dobierając słowa.

- Dowiodłbym, że nie dość, że mylił się we wszystkim, co oczywiście jest wybacalne, to na dodatek był hipokrytą, człowiekiem, który z rozmysłem oszukiwał swoich współczesnych.

- I popełniłby pan błąd... o ile potwierdziłby pan to, czego jest pan już pewien, nie zbadawszy przedtem swojej hipotezy jako tego, czym powinna pozostać: mianowicie hipotezą. Chociaż nie bardzo ogarniam przyczynę, coś mi się zdaje, że niezbyt pan lubi tego biedaka. Ilekroć pan o nim mówi, wечно o coś ma pan do niego żal, a z grubsza o to, że nie był Newtonem, Mersenne'em czy Gassendim... Dlaczego chciałby pan, żeby był kimś innym niż sobą, Atanazym Kircherem? Proszę zwrócić uwagę na przykład na

La Mothe'a Le Vayera: wolnomyśliciel, sceptyk, jakich pan lubi. Takich jak on nazywam obrzydliwym typem! Dziesięć razy wypierał się swoich pięknych poglądów i ideałów z ambicji, z miłości do władzy i pieniędzy! Newton?... Kartezjusz?... Proszę dobrze poszukać, a zobaczy pan, że wcale nie są tacy czyści, jak chciałaby nam wmówić historia nauki, ta nowa „złota legenda”. Wystarczy czymś albo kimś się zainteresować, a zaraz osoba czy rzecz stają się interesujące. To truizm. Przeciwnie twierdzenie również jest prawdziwe: jeśli uzna pan kogoś za łajdaka, stanie się nim bez wątpienia w pańskich oczach, jak dwa a dwa jest cztery. To wszystko bierze się z sugestii, przyjacielu. Cała historia składa się z takiej autohipnozy wobec faktów... Jeśli przyszykuję drobną inscenizację i wmówię panu, że połknął pan nieświeżą ostrygę, na pewno pan się pochoruje. Fizycznie pochoruje. Nie mam pojęcia, na jakiej podstawie ubzdurał pan sobie, że Kircher jest godny pogardy. On taki się stał w pańskim mniemaniu i nie

zmieni pan zdania o nim, dopóki nie dojdzie pan do tego, czemu tak pan to „somatyzuje”.

- Przesadza pan, doktorze - rzekł Eleazard niezbyt pewnie. - Historią jest to, co rzeczywiście się wydarzyło. Kircherowi nie udało się odczytać hieroglifów, on tylko w to wierzył i wmawiał innym. Nikt nie może twierdzić inaczej, jeśli nie chce uchodzić za nawiedzonego. Większość współczesnych mu badaczy domyślała się tego, zanim jeszcze zostało to dowiedzione. A dzisiaj to już fakt.

- Tak, tak, mój drogi, zgadza się. Tylko czemu tak się pan tego uczepił? Podkreślanie tej porażki to woda na zupełnie inny młyn: chce pan wykazać, że ojciec Kircher był oszustem. I właśnie to świadczy o marzycielstwie: pański upór, by dowieść, że nie zasługiwał na swoją reputację. Powoływał się pan na Rankego, ja służę opiniami przeciwnymi. Proszę zajrzeć do DUBY'EGO: historyk, pisze, jest marzycielem zmuszonym...

- Zmuszonym przez fakty do odrzucenia marzeń mimo skłonności do nich.

- Nie, mój drogi, zmuszonym do marzeń wobec faktów, do uzupełniania ubytków, do doprawiania z głowy brakującej ręki posągowi, który w całości istnieje tylko w jego wyobraźni! Pan wymyśla Kirchera co najmniej w takim stopniu, w jakim on wymyślił siebie, w jakim wszyscy siebie wymyślamy, każdy na swój sposób.

- Być może - przyznał Eleazard, nerwowo napełniając kieliszki - ale kiedy mój wymarzony autor przepisuje najlepsze ustępy z Nobilego czy Boyma, nie powołując się na nich, jak w „China Illustrata”, nie zmienia to faktu, że zrzyna otwarcie i że wcale nie przynosi mu to zaszczytu. I co pan na to? Nie będzie pan chyba usprawiedliwiał regularnego złodziejstwa?

Euclides lknął koniaku, zanim odpowiedział:

- Nie godzi się popełniać plagiatu, przyznaję. W pierwszym odruchu reaguję na to tak samo jak pan. Mam jednak świadomość, że podporządkowuję się wtedy obowiązującym w naszych czasach szablonom. Tymczasem sedno problemu leży w samym akcie twórczym, w tym, że nie można go popełnić, nie uciekając się do naśladowstwa.

- Naśladowstwo nie jest i nigdy nie było dosłownym kopiowaniem tekstu, to...

- Błagam, niech pan pozwoli mi dokończyć myśl... Wolter i Musset bez żenady dopuszczali się plagiatów, a jeśli dobrze pamiętam, tego pierwszego darzy pan podziwem, prawda?

- Owszem - przytaknął Eleazard, nie domyślając się, do czego doktor zmierza.

- Wolter podawał za swoje całe wiersze Maynarda, a Musset... „Szkłanka, z której piję, nie jest duża, ale przynajmniej moja”, przypomina pan sobie? Przywłaszczył sobie całe sceny z Carmontelle'a! Caluteńkie, co do przecinka! Proszę porównać „Roztargnionego” z „Niepodobna o wszystkim myśleć”. Chętnie wysłucham pańskiej opinii na ten temat. Chce pan inne przykłady? Weźmy Aretina: cała jego „Historia Gotów” jest żywcem wzięta z Prokopa, przetłumaczona z manuskryptu, który jak sądził, tylko on miał. Machiavelli?... Ten sam scenariusz z „Życiem Castruccia”, gdzie w usta swojego bohatera wkłada „Apoftegmaty” Plutarcha. Ignacy Loyola?... Proszę zajrzeć do „Ćwiczeń duchownych” Garcii Cisnerosa, a zejdzie pan na ziemię...

- Ignacy Loyola? - zawołał Eleazard.

- Nie słowo w słowo, ale bardzo się nim i n s p i r o w a ł, co w końcu nie byłoby naganne, gdyby się przyznał, wobec kogo ma dług wdzięczności, podobnie jak na przykład La Fontaine wobec Ezopa.

- W tym wypadku chodziło o zabawę literacką. Zresztą forma, w jakiej ujął to La Fontaine, zdecydowanie przewyższa oryginał, przyzna pan...

- I tu pana mam! - podchwycił Euclides, żartobliwie grożąc mu palcem. - Czy się przywłaszcza tekst, czy idee, wychodzi na jedno. Cała historia sztuki, a nawet wiedzy zasadza się na czerpaniu w mniejszym lub większym stopniu z tego, co inni osiągnęli wcześniej. Nikomu nie udało się tego uniknąć, jak świat światem. I nic na to nie poradzimy, możemy tylko stwierdzić, że ludzka wyobraźnia jest ograniczona, o czym wiadomo od dawna, i że książki powstają dzięki innym książkom. Obrazy dzięki innym obrazom.

Od początku kręcimy się wokół tego samego talerza, tej samej wspólnej miski!

- No nie wiem... Ale jeśli nawet, to co stoi na przeszkodzie, żeby wszyscy po kolei zaznaczali cudzysłowem miejsca zaczerpnięte z prac innych? Chyba tylko pragnienie chwały, ambicja, aby uchodzić za kogoś, kim się nie jest.

- Niechże pan pomyśli! Kiedy Wergiliusz zapożycza wers od Enniusza, jakby wyszedł spod jego pióra, a zrobił to kilka razy, czy się to panu podoba, czy nie... Nie, przepraszam, wybrałem zły przykład. Weźmy zdanie z Rankego, które pan przed chwilą przytoczył: „Historią jest to, co rzeczywiście się wydarzyło”. Był pan uprzejmy zaznaczyć pauzą i intonacją, że to nie są pana słowa. Ja tak to zinterpretowałem, ponieważ znam pana od lat. Kto inny natomiast mógłby sądzić, że sam pan to wymyślił. A nie uważa się pan przecież za plagiatora.

- To nie fair, wiedziałem, że pan zna ten cytat...

- Niech panu będzie, ale nie w tym problem. Ileż razy ulegamy tej naturalnej skłonności? Choćby mój cytat z Duby'ego. Nie czytałem książki, z której pochodzi. Nie wiem nawet, czy spotkałem się z tym cytatem na piśmie, czy może go usłyszałem od kogoś, kto powoływał się na Duby'ego. Może to zdanie nigdy nie zostało zapisane, jak bywa z tego rodzaju maksymami, które wędrują z ust do ust i nikomu nie przychodzi do głowy sprawdzać, skąd się wywodzą. Ot, po prostu przekaz ustny...

Zdaje pan sobie sprawę, że niemożliwa byłaby najkrótsza rozmowa, gdyby trzeba podawać autora każdego słowa? „Historią jest to, co rzeczywiście się wydarzyło”... Może pan zaręczyć, że nikt przed Rankem nie napisał albo nie wygłosił tego banalnego stwierdzenia? Abyśmy mogli ułożyć jedno zdanie bez cudzysłowów, musielibyśmy mieć w pamięci wszystko, co od początku czasów zostało napisane i powiedziane! Poszukiwanie ojcostwa trwałoby w nieskończoność i doprowadziłoby po prostu do milczenia... A wracając do Kirchera: czy nie należałoby aby wątpić w oryginalność autorów, z których czerpał? Skąd pewność, że sam Mersenne nie wywłaszczył jakiego studenta z odkrycia? Gdzie można powiedzieć „stop” cudzysłowom? Jeśli piszę: Historią jest to, co rzeczywiście minęło, mam prawo uważać to zdanie za swoje czy też powinienem je zapisać: „Historią jest to, co rzeczywiście” minęło wraz z przypisem, by oddać Rankemu co jego? Trzeba w takim razie każde słowo w leksykonie ujmować w cudzysłów, każdą możliwą kombinację słów w tekście, ponieważ w chwili gdy wychodzą spod mojego pióra, nie mogę być pewien, czy już nie znalazły się w jednej z miliardów książek, których nigdy nie przeczytam... Rozumie pan, o co mi chodzi, Eleazardzie: liczy się wszechobecna szara masa, a nie jednostki, które trafiają do niej przypadkiem albo świadomie mienia się jej właścicielem.

- Coś podobnego! - zawołał Eleazard. - Jak na osobę nie w formie... Chyba jednak za daleko pan się posuwa, proszę przyznać. Nie chce mi się wierzyć, że tak pan lekceważy własność intelektualną czy artystyczną.

- I tu jest właśnie pies pogrzebany, mój drogi. Swego czasu ani książki, ani ogólnie wytwory umysłu nie przynosiły autorom żadnych korzyści. Procesy o naśladownictwo pojawiły się wraz z merkantylizmem przemysłowym! Nie sądzi pan, że to dziwne?

- A chwała, doktorze? Chwała Wergiliusza czy Cervantesa, chwała Kirchera, „człowieka stu sztuk”, „geniusza”, którego wszyscy darzyli czcią?

- „Rzym... dziś największa serca mojego odrazo, dla któregoś w kochanku mym skrwawił żelazo!”  
Wie pan może, kto to napisał?

- Oczywiście Corneille - odparł Eleazard niemal obrażony tak elementarnym pytaniem.

- Ależ nie, mój drogi! Wcale nie! To słowa Jeana Maireta, biedaka, który powinien podziękować Corneille'owi, że je sobie przywłaszczył.

Tylko dzięki temu jego nazwisko pojawia się jeszcze w nielicznych komentarzach erudytych. A gdyby nawet wniósł skargę przeciwko złodziejowi, w niczym nie zmieniłoby to smutnej rzeczywistości: jego tragedia była kiepska, a Corneille'a udana... Dwa czy trzy zapożyczenia nie wystarczą, by zapewnić



chwałę. Jest oczywiste, że pewne szaty są zbyt obszerne na pismaków, którzy próbują je do siebie dopasować... Ale poważnie mówiąc:

plagiat jest niezbędny! O, nawet ta myśl nie jest moja. To wzięte z Lautréamonta: „Ogląda się z bliska frazę jakiegoś autora, wykorzystuje jego sformułowania, usuwa fałszywe poglądy i zastępuje słusznymi”. Sam wcielał to w życie, bez żenady poprawiając maksymy Pascala czy Vauvenargues'a. „Poezję uprawiać winni wszyscy”, pisze nieco dalej. Nie liczą się bowiem same słowa, liczy się to, co zmieniają dokoła, co z nich kielkuje w umyśle, w którym zostały posiane. Podobnie jest z całą resztą, Eleazardzie. Beethoven zrzyna z Mozarta, zanim stanie się sobą, tak jak Mozart zrzynał z Glucka, a Gluck z Rameau i tak dalej. Inspiracja to ładne określenie dla imitacji, która jest jednym z synonimów słowa plagiat. A pierwotnie dla starożytnych to był „złodziej niewolników”... Ale też złodziej ognia, trampolina do gwiazd!

Powalony odwołaniem się do Lautréamonta Eleazard złożył broń. Euclides zaś przytaczał szereg przypadków z poletka sztuk pięknych, powoływał się na Arystotelesa i Winckelmanna: Poussin skopiował rzymski fresk, dziś już nieistniejący, robiąc go tłem dla swojego obrazu; Turner długo z uporem rywalizował z Poussinem; van Gogh kopiował z Gustave'a Dorégo; Delacroix i japońskie sztychy; Max Ernst, jak logika nakazywała, wycinał ryciny innych, aby komponować je po swojemu; Picasso, Duchamp... Nie było jednego choćby artysty, który przynajmniej w początkowym okresie twórczości nie karmiłby się innymi, stąd pastisze, parodie albo plagiaty...

Eleazard, niemal rozłożony na łopatki, spróbował rozpaczliwego uniku:

- Lawiruje pan, doktorze, i dobrze pan o tym wie. Rozumiem, co chce pan powiedzieć, nawet jeśli założymy, że jest istotna różnica między okazywanym podziwem jednego artysty dla drugiego a oszustwem, które polega na przywłaszczeniu sobie części czyjegoś utworu. Nie widzę nic złego w tym, że malarz usiłuje naśladować innego, aby nauczyć się zawodu. Co do tego obaj jesteśmy zgodni. Tyle że nie ma to nic wspólnego z plagiatem. Czy w ogóle w malarstwie plagiat jest możliwy? Naprawdę pan myśli, że można dziś namalować szklankę wody postawioną na parasolu i nie zostać oskarżonym o plagiat Magritte'a?

- Podoba się panu malarstwo Magritte'a?
- Bardzo.
- Tym gorzej dla pana...

Doktor Euclides podniósł się z pośpiechem, przez który przebijała irytacja. Eleazard śledził go wzrokiem, gdy gospodarz, coś mamrocząc, przeglądał półki swej biblioteki, wodząc nosem po książkach.

- Już - powiedział, wracając na swe miejsce ze stertą książek, które zostawił na kolanach. Na stole położył gruby katalog poświęcony belgijskiemu malarzowi. - Proszę znaleźć „Mężczyznę z gazetą”.

Eleazard znał tę pracę: przedstawia mężczyznę, który grzeje się przy piecu, czytając gazetę. Na pozostałych trzech częściach obrazu widać to samo, ten sam piec, okno i stół, nie ma jednak mężczyzny.

- Już - rzekł z nutą pobłażliwości w głosie.

Euclides podał mu wówczas inną książkę, oprawną w płótno.

- A tutaj proszę znaleźć artykuł „Piec żarowy «Idéal», i obejrzeć obrazek, który go przedstawia...

Uśmiechając się pod nosem z ekscentryczności starszego pana, Eleazard najpierw zerknął na tytuł - „Bilz. Leczenie naturalne” - potem na kolorową okładkę ozdobioną srebrem jak na starych książkach wydawnictwa Hetzel. Młoda kobieta rozsiewała na niej dobroczynne promienie na dwójkę dzieci siedzących na łonie natury. Eleazard zwrócił uwagę na secesyjne ornamenty, po czym zaczął przerzucać kartki, szukając właściwego hasła: Gołębie pieczone... Krwiomocz... Łzy są zdrowe... Miejsce łóżka w kierunku nieba... Mięsa, zdrowe przyrządzenie... Naprawianie zębów... Nogi, powinny być ciepłe... Piec żarowy...

I jego pełne rozbawienia zdziwienie przeobraziło się naraz w niebotyczne zdumienie. Nie czekając, aż cokolwiek powie, Euclides położył palec na ustach.

- Nie teraz, proszę - rzekł ze znużeniem. - Niech pan sobie weźmie to wszystko do domu i wrócimy do rozmowy następnym razem. Proszę wybaczyć, ale muszę się położyć na jakąś godzinę, dwie.

Mimo to uparł się, że odprowadzi Eleazarda do samych drzwi.

- Proszę pozdrowić ode mnie Kirchera! - powiedział półgębkiem i absolutnie poważnie, przez co ta sympatyczna w zamierzeniu kpina zabrzmiała niemal nieprzyjemnie.

Przebudziwszy się wczesnym popołudniem, Loredana miała problemy z przypomnieniem sobie wszystkiego. W bolącej głowie wciąż mgliście dźwięczały jej rytmy macumby. Co się stało pod koniec ceremonii? Jak

udało jej się wrócić do hotelu? Twarz Alfreda przesłaniała jej pamięć niczym żelazna maska. Rozproszone światło wciskające się przez okiennice zdawało się okrywać szarą pleśnią ubrania porzucane po całym pokoju. Całym swoim jestestwem chciała dojść do siebie, uciec od smutku tego przebudzenia i uczucia duszności, lecz senność nie odstępowała, wciąż odpychając ją z dala od rzeczywistości, ku drobnym skrawkom rozproszonych wspomnień.

Kiedy w końcu zdołała usiąść na łóżku, obrazy pozostałe po minionej nocy przybrały aspekt igrzysk groteskowy. Wydawało jej się, gdy tam szła, że niczego po tym doświadczeniu nie oczekuje, tymczasem zupełnie teraz rozbuchana rozpacz uświadomiła jej, że grubo się myliła. Chociaż na krótko straciła świadomość, co kładła na karb alkoholu i narkotyków, pociecha, na którą liczyła ze strony świata orixów, okazała się nieosiągalna. Przybiła ją ta kolejna już porażka. Pot perlił jej się na czole, spływał po plecach zimnymi strumykami. Już lepsza śmierć, mówiła sobie spłoszona, niż życie w wiecznej niepewności, w zawieszeniu podsycanym bez ustanku.

Nieco później zeszła na dół, aby coś zjeść. Ku swej wielkiej uldze nigdzie nie zauważyła Alfreda. Socorra poburczała najpierw, że to nie pora na śniadanie, zgodziła się jednak podać jej talerz feijoady, która bulgotała na piecu. Ledwie staruszka się odwróciła, Loredana wypluła na rękę pierwszy kęs. Na samą myśl, że miałyby coś przełknąć, robiło jej się niedobrze. Poczuli zapowiedź skurczu, obawiając się zatem najgorszego, podniosła się, by wrócić do pokoju, gdy Socorra podeszła i położyła na stoliku list. Loredana wiedziała, co zawiera, zanim go otworzyła.

- Nie smakuje? - spytała Socorra z nieprzeniknioną twarzą, wskazując talerz.

- Nie o to chodzi... - zdołała odpowiedzieć. - Jestem chora. Muszę się położyć... Proszę tego nie wyrzucać, potem... wieczorem zjem. Bardzo smaczne, naprawdę...

- A skąd pani wie? Nawet pani nie skosztowała.

- Wybacz, Socorro... Muszę do pokoju. Źle się czuję...

Zrobiło jej się słabo. Kurczowo przytrzymując się oparcia krzesła, walczyła, by nie zemdleć.

- Nie wolno igrzać z bogiem cmentarza - mruknęła staruszka, ujmując ją pod ramię. - Niedobrze tam chodzić... Alfredo! - krzyknęła. - Chodź tu, pani źle się czuje!

- Dam sobie radę, nie trzeba - prosiła Loredana, nie mogąc zrobić kroku. - Przejdzie mi...

Pozwoliła, aby ją zanieśli do pokoju. Alfredo miał ściągniętą twarz, lecz ani jego zachowanie, ani słowa w żaden sposób nie świadczyły, że na jej widok odczuwa skrępowanie. Przyniósł jej alka-seltzer i odnosił się do niej jak zwykle. Loredana utwierdziła się zatem w przekonaniu, że niczego nie pamięta.

Leżąc na łóżku, wciąż się wahała, czy otworzyć list: nie ulec wpływowi, raz jeszcze zważyć za i przeciw, aż nabierze absolutnej pewności, że nie powinna odkładać decyzji. Wracają do niej urywki rozmowy z Soledade, obrazy, na których powierzchnię jej śmierć rozlewała czarną plamę czystego strachu.

**ALCÂNTARA**

*Chcę, żeby sprawiedliwości stało*

*się zadość, panie von Wogau!*

- Pani hrabina? Jakże miło - rzekł Eleazard, podnosząc wzrok znad komputera i zrywając się na nogi.
- Proszę mówić mi Carlotta. Bardzo przepraszam, że tak tu wtargnęłam, ale ta mała uparła się, żeby mnie wprowadzić, nie uprzedzając pana.
- Eleazard podszedł, by uściśnąć jej wyciągniętą dłoń.
- Dobrze zrobiła. Czym mogę panią poczęstować? Sok owocowy, herbata, kawa?...
  - Nie, dziękuję bardzo...
- Przez krótką chwilę Eleazard sądził, że przyszła na spotkanie z Loredaną; lecz jej zgnębiona twarz, palce nerwowo zaciśnięte na torebce kopertówce kazały przypuszczać, że zupełnie co innego ma w głowie.
- Martwi się pani o syna, prawda? - zagadnął, gestem zapraszając, aby usiadła. - Euclides mi mówił, że nie ma żadnych wieści o wyprawie do Mato Grosso.
  - Martwię się? Och, szaleję z niepokoju! Uznano ich oficjalnie za zaginionych. Jutro rano śmigłowiec wojskowy zacznie poszukiwania.
  - Rozumiem panią, ale mam zaufanie do profesora Waldego. Miałem okazję kilka razy go spotkać. Sprawiał wrażenie człowieka, który nie rzuca się na oślep w takie przedsięwzięcie. Różne rzeczy można o nim mówić, ale na pewno nie jest awanturnikiem. Pewnie coś ich zatrzymało, na takim terenie byle co może stanąć na przeszkodzie. Walde będzie wściekły, jak się dowie, że tak szybko wszczęto poszukiwania.
  - Proszę Boga, żeby miał pan rację... Ale nie to jest powodem mojej wizyty. Mam... - Zagryzła wargi, zawahała się jakby. - Dziennikarze mają obowiązek dochować tajemnicy zawodowej, prawda?
  - Tak samo jak lekarze - odparł Eleazard, w którym obudziła się czujność. - Albo księża, jak kto woli.
  - Czytał pan poranne gazety?
  - Jeszcze nie, z rana pojechałem do São Luís, do doktora Euclidesa, a po powrocie zaraz zasiadłem do pracy.

Carlotta nerwowo rozłożyła gazetę, którą przyniosła, i wskazała tytuł na pierwszej stronie:

### **POTRÓJNE MORDERSTWO W ALCÂNTARZE**

Eleazard przeleciał artykuł i zwrócił wzrok na Carlottę.

- To mój mąż... - wyjaśniła ze Izami w oczach. - On za to odpowiada. Słyszałam, jak rozmawiał przez telefon z jednym ze swoich prawników.

Eleazard wysłuchał jej opowieści, zadał kilka pytań, po czym poprosił, aby jak najdokładniej przypomniała sobie słowa, które wtedy padły. Przestał wątpić, kiedy hrabina pokazała mu fotokopie dokumentów dotyczących zakupu działek przez gubernatora; znajdowało się tam nazwisko Carneira z pytajnikiem i odręcznym dopiskiem: „Załatwić pilnie!”. Przez moment miał wrażenie, że trzyma w rękach bombę zegarową... Zaczynał widzieć, jak krzyżują się nitki łączące projekt bazy wojskowej ze spekulacjami Moreiry.

- Czego pani ode mnie oczekuje? - zapytał po chwili zastanowienia.
- Już złożyłam pozew o rozwód - odparła, starając się przywrócić twarz do porządku. - Znam go dobrze, nie chciał tego, nie mógł chcieć... Ale przychodzi moment, kiedy trzeba za swoje czyny odpowiedzieć przed ludźmi, a może i przed Bogiem. Ta zbrodnia nie może ujść bezkarnie. Chcę, żeby sprawiedliwości stało się zadość, panie von Wogau. Dopuszczam każdy sposób, który uzna pan za konieczny, żeby do tego doprowadzić.

- Zadbam o to - obiecał Eleazard miękkim głosem. - To bardzo odważne z pani strony.
- To nie jest dobre słowo - zaprotestowała Carlotta, unosząc brwi. - Nie, nie sądzę, żeby było właściwe...

## ROZDZIAŁ XXIV

*O tym, jak nieoczekiwanie Kircher zdołał rozszyfrować sybillińskie pismo Francuzów. W którym przedstawia się Johanna Gruebera & Henry ego Rotha wracających z Chin oraz ich spór na temat stanu tego cesarstwa*

W prawnym okiem Alban Gibbs natychmiast spostrzegł zafrasowanie przyjaciela. Kircher ani myślał twierdzić, że jest inaczej; w sprawie z tajnym pismem w grę wchodziła jego reputacja, lecz co istotniejsze, groziło to dyskredytacją Towarzystwa Jezusowego, co skądinąd było znacznie ważniejsze. Wyłuszczając doktorowi, na czym polega problem, pokazał mu nawet tekst pisma, a że Alban Gibbs ni w ząb nie znał francuskiego, zaczął tłumaczyć:

- *Jade on lea sense at char ladder cracky* - mówił ponurym głosem - *chaff ale yea daw maze horde hey amber sad heard France arum...*

Zauważyłem, że Gibbs powściąga uśmiezek: mistrz mój doskonale władał angielskim, jednakże nigdy mu się nie udało - bo też wcale nie starał się o to - wyzbyć się wyraźnego akcentu germańskiego, z którego zwykle nie pozwalano sobie kpić. Nie zwracając uwagi na reakcję Gibbsa, Kircher skupił się na tłumaczeniu. I wcale się nie starał poprawiać swojej wymowy, przeciwnie, zdało mi się, że robi co może, aby jeszcze bardziej ją zniekształcić...

- *Dove ray have heck tout lard her wreck ease pour rape Harry lens salt fate of Raneé parley gar deck horse dupe ape...*

Umilkł & popadł w zadumę, jakby w myślach powtarzał sobie słowa, które przed chwilą wymówił. Po czym powtórzył: „*parley gar deck horse dupe ape*”, & twarz mu pojaśniała.

- *Danke, mein Gott!*<sup>1</sup> - wykrzyknął naraz & aż wykonał taneczny krok (czego nigdy u niego wcześniej nie widział). - *Parley gar deck horse dupe apel...* Ha! Wszystko rozumiem, przyjaciele, absolutnie wszystko! I to dzięki wam, Albanie...

<sup>1</sup> Dzięki ci, Boże!

Gibbs rzucił mi niespokojne spojrzenie, a mnie przebiegł dreszcz, kiedym pomyślał, że mojemu mistrzowi być może rozum zaczął odmawiać posłuszeństwa.

- *Parma pare hole* - ciągnął Kircher z rosnącym podnieceniem - *jape rove, rat if ye egg hare anti toss kill aura dace heyday invert hew dupe recent mess age!* To działa, moi drodzy! *Fetter sin germ hen, lave ant see doubt mil sea scent sauce end do...* A mamy już trzeci października! *Sign yellow ye Eyck rid sap rope main...* Ludwik Czternasty, mój Boże! Trzeba się spieszyć, dość już zmarnowaliśmy czasu!

Jakby się ocknął ze snu. Zauważył nasze zdumione oblicza, toteż ubierając się do wyjścia, wyjaśniał, co go tak mocno poruszyło:

- Wybaczcie pośpiech, ale to sprawa najwyższej wagi. Muszę natychmiast powiadomić Jego Świątobliwość o treści tego pisma.

- A co z szyfrem? - ośmieliłem się zapytać.

- Bardzo prosty, aczkolwiek pomysłowy. Posłuchaj tego, co powiem, jakbym mówił po francusku: „*parley gar deck horse dupe ape*”. Słyszysz, jak mniemam: „*par les gardes corses du Pape*”, przez

korsykańską gwardię papieża. Cała wiadomość tak jest zapisana, bez trudu ją zrozumiesz. Poczekajcie tutaj, na pewno niebawem wrócę.

Ledwie mistrz mój w pośpiechu wyszedł, złapałem w ręce pismo & odczytałem jego treść wedle otrzymanych wskazówek:

*Upoważniam Charles'a de Créqui, kawalera pod moimi rozkazami & ambasadora Francji w Rzymie, aby z całą żarliwością czynił co w jego mocy & wziął odwet za zniewagę uczynioną Francuzom przez korsykańską gwardię papieża. Swoim słowem akceptuję, potwierdzam & gwarantuję wszystko, co postanowione będzie w tym celu na podstawie niniejszego pisma. Spisano w Saint-Germain dnia 26 sierpnia 1662. Podpisał Ludwik, sporządziwszy własnoręcznie.*

Aleksander VII uradował się niebotycznie osiągnięciem Kirchera. Natychmiast kazał powiesić dwóch gwardzistów, którzy zaleźli za skórę diukowi, & wydał dyspozycje, aby objęto nadzorem Francuzów przebywających w Paryżu.

Epizod ów, w którym Atanazy widział jedynie pretekst do wykazania się sprawnością umysłu, w następnych dniach przybrał zgoła inne wymiary. Kircher pojął bowiem, że język sekretny jest równie użyteczny jak język uniwersalny & koresponduje z nim podobnie jak światło z cieniem. Tyle że mistrz mój ani przez chwilę nie pomyślał o tym, aby język uniwersalny służył władcom bądź innym osobom pragnącym ukryć cokolwiek - w jego zamierzeniu służyć miał wyłącznie prawdzie. O ile bowiem słusznie należy upowszechniać & szerzyć wiedzę, o tyle niekiedy bezwzględnie trzeba zachować pewne jej elementy do wiadomości wybranych uczonych zdolnych właściwie ją wykorzystać. Tym właśnie kierowali się kapłani starożytnego Egiptu, wymyślając hieroglify, ale podobny cel przyświecał także wielu innym ludom, jak Hebrajczykom z ich kabałą, Chaldecyjom czy nawet Inkom z Nowego Świata. W związku z tym mistrz mój postanowił wymyślić język naprawdę nie do odczytania przez niewtajemniczonych. I podczas gdy ja dopracowywałem jego „Polygraphia nova”, on całkowicie poświęcił się temu zamierzeniu.

Rok 1664 wyróżnił się tym, że do Rzymu wrócił ojciec Johann Grueber. Kiedy zakonnik ów miał wyjeżdżać przed ośmioma laty, obiecał Kircherowi (na jego gorącą prośbę), że będzie szeroko otwierał oczy & obserwował tamten świat w najdrobniejszych nawet szczegółach, aby po powrocie w pełni zaspokoić ciekawość Atanazego.

Liczący czterdzieści jeden lat Johann Grueber mimo przebytej właśnie pełnej trudów podróży wyglądał na dużo młodszego. Był to mąż krzepki, o dużej, lecz kształtnej głowie, wijącej się brodzie & dość długich czarnych włosach, które odrzucał do tyłu. Skórę miał ogorzałą od wiatru & słońca, ruchy niespieszne, wyważone. Szare oczy, jakby lekko skośne po pobycie w Chinach, patrzyły odrobinę nieśmiało, niemal z rozmarzeniem, & wydawało się, że wciąż jeszcze oglądają owe niezwykle krainy, które - jak przyznawał - z wielkim żalem opuścił. Jowialny z usposobienia, nadzwyczajnie grzeczny, o przyjemnej niemieckiej otwartości, w zachowaniu przejawiał taką uprzejmość, że nawet gdyby nie był jezuitą, bez wątplenia zasługiwałby na powszechny szacunek.

Ojciec Henry Roth natomiast stanowił uderzające przeciwieństwo Gruebera: niewysoki, wąty, o przeredzonych siwych włosach, tę pozorną słabość nadrabiał rygoryzmem moralnym & dogmatyzmem, które wszystkim imponowały.

Po wylewnych powitaniach & kilku dniach odpoczynku obaj podróżnicy jęli opowiadać Kircherowi wszystko, co widzieli w trakcie swego pielgrzymowania. Wiedząc, że mistrz mój pracuje nad obszernym dziełem o Chinach, skromnie uznali, że ich pisma na ten temat nie są godne publikacji. Nie chcąc jednak, aby mole zeżarły ich cenne obserwacje w jakimś osnutym pajęczyną zakątku biblioteki, ufnie zdali się na

Kirchera w kwestii wykorzystania swoich zapisków w jego pracy; co w istocie było najlepszym sposobem, aby zapoznały się z nimi szersze kręgi czytelników.

W pierwszym rządzie z ust Gruebera dowiedzieliśmy się o śmierci naszego drogiego Michała Boyma, co niewymownie zasmuciło mistrza mojego. Opuściwszy Lizbonę w początkach roku 1656, ojciec Boym rok później przybył do Goi. Z różnych przyczyn musiał się tam zatrzymać dłużej, potem przeżył oblężenie Holendrów, tak że dopiero w roku 1658 dotarł do królestwa Syjamu. Kiedy Boym, jako legat z pismami od papieża Aleksandra VII do chińskiej cesarzowej Heleny & do kanclerza eunucha Pang Achillesa, znalazł się w Makau, nie uzyskał zgody władz portugalskich na powrót do Chin, a to z obawy, że Portugalczycy mogłoby to narazić na represje ze strony Tatarów. Nie zważając na żadne niebezpieczeństwa, byle wypełnić swoją misję, ojciec Boym wsiadł na dżonkę w towarzystwie neofity Andreea Czenga & dotarł do Tonkinu, skąd planował potajemnie przedostać się do Chin. Znów zmitrężywszy trochę czasu na poszukiwanie przewodników, którzy by ich przeprowadzili przez granicę, zdołali wreszcie wkroczyć na terytorium Niebiańskiego Cesarstwa w prowincji Kwangsi. Niestety, wszystkie trakty blokowały tam wojska tatarskie. Nie mogąc się dalej przedostać, Boym zdecydował się zatem wrócić do Tonkinu & spróbować innej drogi, lecz władze nie wyraziły zgody na jego wjazd do kraju. Uwięziony w dżungli, gdzie krył się przed Tatarami, Boym zapadł na *vomito negro* & w okrutnych cierpieniach oddał ducha Bogu. Andreas Czeng, wiernie trwający przy mistrzu swoim aż do ostatniej chwili, pochował go na skraju drogi wraz z pismami, dla których nieszczęśnik oddał życie, mogiłę oznaczył krzyżem & uciekł w góry. Rok później dotarł do Kantonu & opowiedział o smutnym końcu tego wspaniałego człowieka Grueberowi, który akurat bawił tam przejazdem.

Kircher odprawił mszę w intencji przyjaciela; przy tej okazji wygłosił kazanie, przypominając liczne prace Boyma z dziedziny botaniki, a w szczególności przywołując cnoty owego człowieka, którego należało z całą pewnością uznać za męczennika za wiarę.

Przywołanie nieprzewidywanych trudności, na które natknął się Boym, wypełniając swoją misję, siłą rzeczy wymagało zdania sprawy z polityki prowadzonej przez Chiny. Ojciec Roth uwiął się z tym szybciotko, aczkolwiek w sposób, który nie pozostawiał wątpliwości co do jego wiedzy na ten temat. Aby oszczędzić Czytelnikowi zbędnych szczegółów, dość zauważyć, że dziedzic cesarzy z dynastii Ming, jego syn Konstantyn & wszyscy im wierni, w tym eunuch Pang Achilles, zostali zgładzeni przez wojska tatarskie Wu San-kueia, a stało się to w prowincji Junnan, gdzie się schronili. Od roku 1655 tatarski cesarz Szun-szi, założyciel dynastii Cing, z sukcesem umacniał swoją władzę w Chinach, które w całości zdołał podbić. Jako władca oświecony, protektor chińskiej sztuki & literatury, zdołał zaprowadzić pokój w cesarstwie & z rozważą rządził ludem, który wcale nie sprzyjał jego rasie. Ze zdobywcy Chin przeobraził się w ich obrońcę & - co dla Kościoła liczyło się najbardziej - jak żaden przed nim monarcha sprzyjał naszym misjonarzom jezuitom. Taka postawa pozwalała z ufnością liczyć na spore postępy w szerzeniu wiary chrześcijańskiej na tych odległych ziemiach.

Niemniej Grueber ostudził nieco nasze rozbudzone nadzieje.

- Kiedy na holenderskim statku płynąłem rzeką - powiedział - najbardziej mnie zmartwiło okrucieństwo, z jakim Tatarzy odnosili się do Chińczyków, którzy nas holowali, a to z powodu wrodzonej nienawiści obu ludów do siebie. Po prawdzie nienawiść jest zgubna, to czyste zło, którym rządzi bezdusznosc posunięta do granic. Owocem jej zawsze są jakieś węzowe jaja, z których wykluwają się rozliczne nieszczęścia, a ich trucicielska moc obejmuje nie tylko konkretne czasy & miejsca, lecz sięga najdalszych krańców świata & na wieki wieków. Co nas uczy, że niedobrze, gdy władcę się zmusza, by kochał poddanych, albowiem to tak jakby strzałami armatnimi zaprowadzać przyjaźń. I nie każcie mi słuchać o Neronie, Kaliguli, Tyberiuszu czy Scylli albo innych cesarzach rzymskich; nie mówcie mi o Scytach, Etruskach albo innych ludach, które popisywały się okrucieństwem! Zaprawdę powiadam, zem nie widział większych okrutników & przemieszczonych niż ci Tatarzy wobec swoich nieszczęsnych

jeńców. Patrzyłem, jak ci ludzie o sercu twardym jak stal uśmiechają się, słysząc potworne jęki, oglądając agonię & śmierć Chińczyków, nieboraków wynędzniałych, ciężko pobitych, gonionych do pracy jak woły robocze. Można by rzec, ojcze Atanazy, że to ludzie poskładani z narzędzi kaźni, a raczej demony, które przeniknęły do tego pięknego świata, aby z życia na ziemi innym uczynić gehennę. Oni trwają w przekonaniu, że o ich władzy świadczy to, iż kropla po kropli wysysają życie z tych nieszczęśników. A czyż nie lepiej by było & użyteczniej dla tych pysznych zdobywców, gdyby pomniejszyli niechęć pokonanych, postępując z nimi łagodniej, zażywając rozrywki bez takiego rozpasania, obnosząc przepych bez takiej ostentacji, dowodząc pobożności bez tyłu zbrodni & kar?...

Ojciec Roth obruszył się, oskarżając Gruebera o przesadę w kreśleniu takiego wizerunku tamtego świata, lecz Kircher się wtrącił, godząc obie strony.

- Niestety, zdarza się na tym świecie - powiedział - & miłość, & nienawiść, które trudno przyoblec w jednolite barwy. Gniew przechodzi szybciej, jest zwykle konkretnie ukierunkowany, gorętszy & łatwiej się go pozbyć, nienawiść za to jest trwalsza, potężniejsza, więcej smutku ze sobą niesie & trudniej jej zaradzić. Cechują ją dwie szczególne właściwości. Jedna zasadza się na odrazie & ucieczce, druga na prześladowaniu & okaleczaniu. Dwa te rodzaje nienawiści występują powszechnie w naturze, nawet wśród dzikich zwierząt, które od samego urodzenia toczą swoje wojny. Kurczątko ledwie wyklute z jaja ani trochę nie lęka się konia czy nawet słonia, choć wydawałoby się, że to takie straszne zwierzę dla każdego, kto nie zna jego cech, ale od samego początku lęka się krogulca & jeśli tylko go spostrzeże, kryje się pod skrzydłami matki. Lew drży, słysząc pianie koguta; orzeł tak nienawidzi gęsi, że jedno jego pióro pochłania całe jej upierzenie; jeleń prześladowuje zaskrońca, albowiem przy wlocie do jego nory tak mocno wciąga powietrze, że go wysysa & pożera. Trwa także odwieczna niechęć między orłem & łabędziem, krukiem & kanią, żółwiem & mewą, wilkiem & jagnięciem, panterą & hieną, skorpionem & tarantulą, nosorożcem & żmiją, mułem & łasicą, & między mnóstwem innych zwierząt, roślin, a nawet skał, które nie lubią jedne drugich. Tego typu animozje występują także, jak widzimy z tego, co powiadacie, pośród bałwochwalców, między Tatarami a Chińczykami, Pan Bóg jednak życzy sobie, żebyśmy w odróżnieniu od reszty świata przyrody pokonywali różnice & rozwiązywali niesnaski za pomocą miłosierdzia. I nie wolno nam wątpić, że postępy wiary chrześcijańskiej w odległym chińskim kraju wygaszą owe urazy równie dokładnie, jak wylana woda kończy odwieczną nienawiść między polanem a ogniem... Powiedzcie jednak - dodał z uśmiechem - nie przywieźliście z Chin jakichś osobliwości, dzięki którym zmalełaby moja ignorancja o tym królestwie & o tym, co tam się znajduje?

Ojciec Roth potakująco pokiwał głową, po czym wydobyl z sakwy garść ususzonych roślin.

- Chociaż to ziele, które nazywają *cia* albo *the*, występuje w różnych częściach Chin, w jednych jest lepsze niż w innych. Sporządza się z niego napój wypijany na gorąco, a jego zalety szeroko są znane, ponieważ nie tylko wszyscy mieszkańcy wielkiego cesarstwa chińskiego, ale także Indii, Tybetu, Mogoru & rozmaitych części świata wschodniego raczą się nim nawet dwa razy na dzień...

Kircher podniósł rękę, zamykając mu usta.

- Nie musicie nic więcej mówić - rzekł ciepło. - Znam już bowiem to wyborne ziele. Nigdy bym nie uwierzył, że tyle ma zalet, gdyby ongiś nasz nieodżałowany ojciec Boym nie zmusił mnie, abym naparu z niego spróbował. Ponieważ od tamtej pory używam go dość regularnie, mogę powiedzieć, że mając właściwości oczyszczające, wspaniale poszerza nerki & odchodzące od nich przewody, tak że swobodnie spływa nimi uryna, piasek & kamienie. Oczyszcza nawet mózg & zapobiega gromadzeniu się w nim czarnych humorów, więc nie ma chyba w przyrodzie remedium skuteczniejszego dla uczonych & tych, którzy z racji mnogości spraw często nie śpią nocami, pomaga im bowiem znosić trudy pracy & umniejsza zmęczenie, a że ziele owo nie tylko dodaje sił niezbędnych, by obejść się bez snu, ale jeszcze tyle przyjemności sprawia zmysłowi smaku, że jeśli już kto przywyknie do jego smaku cierpkiego &

niezbyt wyrazistego, trudno sobie odmówić używania go w jak największych ilościach. Możemy przy tym powiedzieć, że kawa Turków & czekolada Meksykańów, choć z pozoru działają podobnie, przecież różnią się od *cia*, a to dlatego, że *cia* jest zdecydowanie od nich łagodniejsza. Zauważamy bowiem, że czekolada nazbyt

rozgrzewa latem, kawa natomiast nadmiernie pobudza żółć, czego nie powoduje *cia*, tak że można ją popijać bez ustanku, & to z korzyścią, nawet sto razy dziennie.

Ojciec Roth nie zdołał ukryć rozczarowania, iż nie zaskoczył mistrza mojego. Niemniej powinszował mu wiedzy na ten temat & podarował *cia* przywiezioną z Indii, aby mógł porównać jej smak & zalety z zieleń chińskim. Podarunek niezmiernie ucieszył Kirchera.

- Ja także o was myślałem - odezwał się Grueber, spomiędzy fałdów sutanny dobywając niewielką paczuszkę. - Oto pasta z zieleń z prowincji Kaszgar. Chińczycy mówią na nią *quei*, czyli „zieleń rozpraszające smutek”, & jak nazwa wyraźnie wskazuje, ma właściwości pobudzające do śmiechu & zadowolenia tych, którzy jej używają. Co więcej, działa wzmacniająco & stymulująco na serce, com osobiście nieraz stwierdziłem, kiedy ją stosowałem podczas wspinaczki zboczami wysokich gór Tybetu.

- Śmiem twierdzić - rzekł na to Kircher - że u nas rośnie podobne zieleń, mianowicie *Apiorisus*, & skłonny byłbym uwierzyć bez trudu, gdyby znalezioną w tamtym kraju roślinę uznano za trującą. Skoro jednak mówicie, że należy do tych, które służą sercu & dodają zdrowia, nie potrafię tego pojąć & nie mógłbym jej polecać, sam pierwiej nie spróbowałem.

- Nic nie stoi na przeszkodzie, wielobny ojczu, ale należałoby zmieszać pastę z konfiturą albo miodem z powodu smaku mało przyjemnego dla podniebienia.

Na znak mistrza już miał się zabrać za naszykowanie wszystkiego, kiedy rozległ się dzwonek & przez rurę akustyczną brat furcian poinformował, że kawaler Bernini prosi o spotkanie. Kircher uradowany, że ujrzy starego przyjaciela, kazał go natychmiast wprowadzić.

- Do dzieła! Bierzemy się do dzieła! - zawołał Bernini już od progu biblioteki, w której przebywaliśmy. - Aleksander nas potrzebuje!

Kircher podszedł do niego, pierwiej przeprosiwszy obecnych za hałaśliwe wejście rzeźbiarza.

- A cóż was tak poruszyło, przyjacielu? Raczycie mi wytłumaczyć? - zagadnął.

- A jakże, wielobny ojczu, a jakże! Właśnie się dowiedziałem, & to z wiarygodnego źródła, że Najwyższy Kapłan, na wzór świętej pamięci Pamphilego, życzy sobie postawić obelisk na placu Minerwy & uznał za

stosowne wykorzystać nas ponownie w opracowaniu projektu. Czym prędzej zatem przybiegłem, aby was powiadomić, bo wiem, że ucieszycie się tak samo jak ja...

- Istotnie, bardzo z tego zadowolony, ale czyście tego aby zupełnie pewni?

Bernini podszedł do mistrza mojego & wyszeptał mu coś na ucho.

- W takim razie - oświadczył Kircher z rozradowaną miną - nie ma wątpliwości. Winszuję: wam szczęścia, a nam obydwu tego, że Ojciec Święty darzy nas takim zaufaniem. Ale pozwólcie, że wam przedstawię ojców Rotha & Gruebera. Właśnie wrócili z Chin & nie mogę się nasłuchać opowieściom o tym, co tam przeżyli...

**MATO GROSSO**

*Do martwych ust...*

Od dwóch godzin wleki się otoczeni przez Indian, którzy podążali drogą wytyczoną przez Yurupiga. Elaine starała się zagadywać Dietleva, czując bowiem, że jest podenerwowany z powodu utrzymującej się gorączki, chciała go uspokoić.

- Już prawie koniec. Na pewno znają ten las jak własną kieszeń, więc dużo szybciej dotrzemy na



miejsce, niż gdybyśmy radzili sobie sami. Może nawet gdzieś tu, w okolicy, jest misja...

Dietlev skrzywił się sceptycznie.

- Dałbym sobie rękę uciąć... - urwał uderzony nieoczekiwaną dwuznacznością swoich słów. - No, może niekoniecznie - podjął z przepraszającym uśmiechem. - Powiedzmy, przysiągłbym, że ci ludzie nigdy nie spotkali białych.

- No co ty? To niemożliwe, przynajmniej w tych stronach. Dlaczego tak uważasz?

- W rezerwatach, a nawet w dżungli zawsze znajdzie się paru takich, którzy pod wpływem misjonarzy noszą szorty. Ale przede wszystkim chodzi o to, jak się zachowują, jak na nas patrzą... Zwróciłaś uwagę, jakim wzrokiem patrzyli na maczetę?

To pytanie wyraźnie poruszyło Elaine.- Myślisz, że to oni ukradli plecak?

- Bardzo prawdopodobne - przyznał Dietlev. - Pewnie śledzili nas od jakiegoś czasu... Herman, kojarzysz, z jakiego mogą być plemienia?

Petersen pokręcił przecząco głową.

- Nie mam zielonego pojęcia, *amigo*. Nie pasują do niczego, co widziałem w tych stronach albo w Amazonii. Trudno powiedzieć, skąd się tu wzięli, a jeśli widzieli kiedyś białych, było to tak dawno, że już nikt tego nie pamięta.

- I pomyśleć, że niejeden etnolog dużo by dał, żeby się znaleźć na naszym miejscu! - wtrącił Mauro. - Z pani córką na czele, prawda?

- No pewnie! - przytaknęła Elaine, odwracając do niego głowę. - Ciekawa jestem, jakby zareagowała... Ależ mi napędzili strachu! Widziałeś, jaki kolor mają ich usta?

- Żują tytoń - wyjaśnił Petersen. - Nawet dzieci. To powszechne wśród Indian.

- W każdym razie - podjął Mauro - wygląda na to, że wiedzą, gdzie idą, a to już coś...

- Niekoniecznie - burknął Herman. - Już dobry kęs czasu nie widzę znaków Yurupiga.

Uszczęśliwiona, że ich problemy się skończyły, Elaine przestała zwracać uwagę na drogę. Teraz równocześnie z Maurem i Dietlevem uświadomiła sobie, że żadne z nich nie potrafiłoby powiedzieć, czy nadal zmierzają we właściwym kierunku.

- I nijak nie da się tu zorientować w stronach świata - stwierdził Dietlev zawiedziony.

- Trzeba było zostawić sobie kompas - rzekł Petersen z lekkim wyrzutem w głosie. - Gonią nas w kółko i tyle!

- Zawsze dostrzegasz same złe strony - zauważył Mauro. - Tak czy owak nie może być gorzej niż przed spotkaniem z nimi. Gdyby chcieli, już ze sto razy by nas wykończyli.

Taka myśl w ogóle nie przyszła Elaine do głowy, nawet w chwili gdy Indianie z nagłą przed nią stanęli. I podczas gdy Dietlev skłaniał się ku opinii Maura, zwracając uwagę, jak skwapliwie Indianie podjęli się dźwigania noszy, ją ogarnęła jakaś zrodzona w przeszłości obawa, której nie potrafiła się pozbyć.

Zupełnie nie zważając na ich rozmowę, Indianie szli dość szybkim krokiem, po drodze a to zrywając jakąś roślinę, a to zbierając garść gąsienic, którymi się pokrzepiali z głośnym mlaskaniem i cmokaniem.

Nikt się nie odzywał od blisko godziny, gdy wyszli na polanę, gdzie z kilkunastu szalaśców z gałęzi pokrytych liśćmi palmowymi ulatywał dym. Na widok obcych mężczyźni, kobiety i dzieci zastygli z szeroko otwartymi ustami, aż omal nie wypadły im prymki z tytoniu. Patrzyli, własnym oczom nie wierząc, na te osobliwe stworzenia, które myśliwi przywieźli z wyprawy do lasu. Rozległ się w końcu przeciągły pomruk i zaraz potem rozkazujące szczeknięcie, które wszystkie spojrzenia zważyło ku jednemu z szalaśców: w wejściu pojawił sędziwy wychudzony starzec. W prawej ręce trzymając ozdobioną piórami marakasę, z prymką wciśniętą między zęby a dolną wargę, dostojnym krokiem ruszył w stronę noszy, wojownicy zaś półkolem tuż za nim. Stanąwszy przy noszach, pociągnął Dietleva za brodę, jakby

się upewniał, że jest prawdziwa, po czym cofnął się wyraźnie zadowolony: zwiadowcy nie kłamali, przybył posłaniec Boży, jak obiecywał jego ojciec i jak ojciec jego ojca zawsze utrzymywał, i jak przepowiadano od zawsze. Czas wreszcie się dopełnił. Dlaczego jednak Posłaniec ma tylko jedną nogę? Dlaczego mówi niezrozumiale, zamiast używać języka bogów, słów odwiecznie znanych, które nucił swemu synowi, jak jego ojciec nucił jemu? Tego jeszcze nie potrafił ogarnąć umysłem. Ale na pewno jakiś powód tego jest.

Szaman potrząsnął grzechotką wypełnioną ziarnami, dmuchnął na Posłańca, by odegnać złe duchy, i wypowiedział słowa ognia:

- *Deusin adjutori mintende* - mówił, dotykając dłonią kolejno swego czoła, brzucha i ramion - *dominad juvando mefestine!*

- Mamy odpowiedź na nasze pytanie - rzekła Elaine, rozpoznając w jego gestach zniekształcony znak krzyża. - Biali misjonarze już tu byli.

- A pewnie! - przytaknął podniecony Mauro. - *Deus in adjutorium meum intende; Domine ad adjuvandum me festina.* „Boże, wejrzyj ku wspomżeniu memu, Panie, pospiesz ku ratunkowi memu”. Psalm sześćdziesiąty dziewiąty, napowtarzałem się go, że ho, ho, ho, kiedy byłem ministrantem. Ten gościu mówi po łacinie!

Usłyszawszy słowa Maura, szaman zaczął się obracać w kółko.

Uśmiechał się szeroko, a prymka w ustach wyglądała jak język papugi.

- Idziemy do rzeki - zaczął dukać Dietlev po łacinie, z trudem wydobywając z głębin pamięci poszczególne słowa. - Biali ludzie... miasto...

- *Gloria patri!* - zawtórował mu szaman uszczęśliwiony, że rozpoznaje dźwięki świętej mowy. - *Domine Qüyririche, Qüiriri-cherub!*

Nie posiadał się z radości: ojciec wreszcie przyszedł, milczący ojciec, królewski sokół! Teraz już nie przeszkodzi im odlecieć ku Ziemi bez Zła.

- *Qüiriri, qüiriri...* - burczał Petersen, przedrzeźniając starca. - Zaczynają mnie wkurzać te wszystkie dzikie miny. Ten małpizson ma nie po kolei we łbie. On w ogóle nie rozumie, co do niego mówicie. Jak tak dalej pójdzie, będziemy się mieli z pyszna, zobaczycie!

W tej właśnie chwili Elaine spostrzegła drugą maczetę w ręce jednego z wojowników. Mogła się oczywiście mylić, przysięgłaby jednak, że była jedną z maczet należących do nich, a ściślej mówiąc tą, którą zabrał ze sobą Yurupig. Petersen powędrował za jej wzrokiem.

- *Amigo* - rzekł przez zęby do Dietleva - daj mi lepiej tę pukawkę... Oni wcale nie są dobrze nastawieni. Dopadli Yurupiga...

- Nie ma mowy! - sprzeciwiła się Elaine bez zastanowienia. - Nie ma dowodu...

- To maczeta Yurupiga - oświadczył stanowczo Herman. - I co tu dużo kryć, popatrzcie tylko, jak on ją trzyma: ten facet pierwszy raz w życiu ma maczetę w ręce. Ani chybi załatwił Yurupiga, mogę się założyć.

- Skończcie wreszcie z tą paranoją! - zażądał Dietlev, ocierając czoło - Oboje! Przecież jasno widać, że nie chcą nas skrzywdzić. A broń możesz sobie wziąć, jeśli cię to bawi. Magazynek wyrzuciłem gdzieś po drodze.

- Dureń! Kompletny dureń!... Naprawdę to zrobiłeś?

- Jestem zmęczony, Herman... już nie mogę... Postaraj się więc raczej wymyślić coś, żeby się z nimi porozumieć. Ja nie wytrzymam długo...

Elaine chciało się płakać. Wszystko coraz bardziej się komplikowało. Mimo że niejakej otuchy dodały jej słowa Dietleva - który trzymał się dzielnie, choć przykro było nań patrzeć - była pewna, że Yurupigowi coś się stało.

- On na pewno będzie wiedział, jak pana leczyć - powiedział Mauro, choć bez wielkiego przekonania

w głosie. - Patrz - mówił do szamana - on jest chory, rozumiesz? - Wskazał na kikut Dietleva. - Trzeba go leczyć. Woda?... Pić?... - dodał, gestem ilustrując swoje słowa.

Szamanowi rozbłysły oczy. Ja, Raypoty, daleki potomek Guyraypoty'ego, pomyślał, poprowadzę mój lud ku Ziemi Wiecznej Młodości. Zyskał właśnie wyraźne potwierdzenie: Qüyririche, Posłaniec, Ten-który-ma-włosy-lonowe-na-twarzy, napoi ich wszystkich wodą młodości. Należy go zatem godnie powitać, uhonorować uczta, która uraduje jego i jego towarzyszy...

Wydał szybko kilka poleceń. Dwaj młodzi wojownicy podnieśli nosze, tłum rozstał się, otwierając im ścieżkę ku największej chacie. Kiedy Elaine weszła do niej za swymi towarzyszami, przez męską część plemienia przebiegł pomruk pełen dezaprobaty. Raypoty natychmiast uciszył niezadowolonych: ta kobieta to Nandesy, matka Stworzyciela, jego towarzyszka, córka, żona. Istota nieśmiertelna w przeciwieństwie do pozostałych przybyszów. Może bez obaw wejść do chaty mężczyzn i patrzeć na święte przedmioty, które sama przecież przekazała ludowi Apapokuwa.

Będą przed nią tańczyli, by była dla nich łaskawa i aby jej podziękować, że przybyła razem z Qüyririche. A potem wyruszą ku Ziemi bez Zła...

Chata mężczyzn była zwyczajnym dużym szałasem, w którym mężczy członkowie plemienia gromadzili się przy różnego rodzaju rytualnych okazjach. Niewiele w niej było: kilka mat, palenisko, tykwy rozmaitej wielkości, niskie ławeczki i kilka pióropuszy zawieszonych na głównym maszcie dźwigającym dach. Pokrycie z grubo splecionych liści palmowych przepuszczało szparami światło, tak że półmrok wewnątrz rozpraszały smugi promieni słonecznych. Duchota panowała tam nie do wytrzymania.

Kiedy tylko Indianie wyszli, Elaine zajęła się Dietlevem. Na dnie manierki rozpuściła dwie aspiryny i ostatnią tabletkę sulfonamidu, po czym zaczęła wlewać roztwór w usta Dietleva. Bardzo chciała doń przemówić, uspokoić go, nic jednak nie przychodziło jej do głowy, tak bardzo sama potrzebowała pocieszenia. Petersen patrzył na nią z wypisanym na twarzy powątpiewaniem. „I tak już po nim”, zdawała się mówić każda zmarszczka na jego obliczu.

- W głowie mi się nie mieści - rzekł Mauro cichym głosem. - Co teraz zrobimy?

Elaine z trudem odsunęła od siebie zniechęcenie, które ją ogarnęło. Zaczęła myśli ubierać w słowa.

- Musimy trochę poczekać, zanim wyruszymy dalej... - Wzrokiem wskazała Dietleva, który zasnął. Oddech miał ciężki, powieki mu drżały, zęby zaciskał mocno. - Trzeba im wytłumaczyć, o co nam chodzi.

- To może zająć trochę czasu - zaznaczył Mauro tonem, w którym przebiegał zawód.

- A masz inny pomysł? - powiedziała dość ostro, zaraz go jednak przeprosiła i dodała: - Nie zwracaj na mnie uwagi... Nerwy zaczynają mnie zawodzić.

- Może ktoś z nas... to znaczy, mam na myśli Petersena albo siebie - uściślił. - No więc może któryś z nas poszedłby dalej sam?

- Bez Yurupiga? Bez przewodnika? Nie macie szans.

Mauro spochmurniał.

- Myśli pani, że... że go...

- Mam nadzieję, że nie. I nie tylko ze względu na nas. To przyzwoity człowiek, nie chciałabym, żeby mu się coś stało. Ale na razie nie ma jak się dowiedzieć, co się z nim dzieje.

Mata, która zasłaniała wejście do chaty, uniosła się i do środka wśliznęli się dwaj Indianie. Jak zahipnotyzowani nie odrywali wzroku od Elaine, przed którą postawili misę pełną owoców, drugą z jakąś niezidentyfikowaną brunatną mazią i trzecią z wodą. Jeden coś szybko powiedział, wskazując przyniesione pożywienie, drugi tymczasem wraz z jeszcze jednym wniósł plecak, który im zabrali. Szarpnął za rękę towarzysza znieruchomiałego, gdy zobaczył obcych, i pociągnął go do wyjścia.

- Wygląda na to, że nas polubili - zauważył Petersen, którego wejście Indian wyrwało z drzemki.

- To oczywiście - odparła Elaine, pospiesznie rozpinając plecak i sprawdzając jego zawartość. -

Niczego nie zabrali z wyjątkiem skamieniałości... Naprawdę dziwne.

Mauro przykleknął u wejścia do chaty. Od dłuższej chwili zerkał na zewnątrz przez szpary w pleciance.

- Co robią? - spytała Elaine.

- Krzątają się. Jedni zamiatają, inni układają coś w rodzaju stosu... Kobiety coś tłuką i ucierają. Wygląda, jakby szykowali przyjęcie czy coś w tym stylu.

- A nie widzisz przypadkiem kotła, w którym nas ugotują? - zażartował Herman. Ponieważ zapadła pełna dezaprobaty cisza, przewrócił się na posłaniu, burcząc: - Gdybyście wiedzieli, jak mnie wkurzacie!... Wku-rza-cie!

Indianie malowali się, rysowali sobie nawzajem na twarzach różne rodzaje krwistoczerwonych znaków, które prawdopodobnie znali od niepamiętnych czasów. Miseczki z sokiem z urucu przechodziły z rąk do rąk. Dzieci, które kucały jedno za drugim, iskały sobie wszy, łapczywie zjadając przysmak znaleziony we włosach kolegi. Do ramion mocowano pióra ar albo tukanów, włosy nasmarowane błotem obsypywano białym puchem - każdy mężczyzna najwyraźniej starał się jak najszybciej przeobrazić w leśnego ptaka. Choć Mauro bacznie im się przyglądał, nie zauważył ani jednej oznaki, która by świadczyła o ich kontakcie z cywilizacją. Kobiety i dzieci były zupełnie nagie; starsi chłopcy i mężczyźni nosili tylko na biodrach przepaskę z kory, która za zawiązany napletek przytrzymała penisa na podbrzuszu. Z wyjątkiem dwóch maczet pochodzących z zasobów wyprawy geologów nigdzie nie zauważył niczego z metalu: kamienne siekiery, noże z zaostrego bambusa, tykwy albo proste naczynia ulepione ręcznie z gliny. Jakiś historyczny bądź geograficzny przypadek sprawił, że plemię to nigdy nie poznało otoczenia innego niż samotność lasu, co było równie wzruszające jak ujrzenie żywej latimerii. Mauro czuł się tak, jak musieli się czuć odkrywcy Nowego Świata, owi żołdacy zafascynowani Eldorado. A raczej jak pierwsi biali, którzy starali się zbliżyć do Indian w celu innym niż wymordowanie ich. Jak przybysze z Zachodu zdołali się porozumieć z tubylcami? Od czego zaczęli?

- Elaine - odezwał się poważnie - nie możemy tak siedzieć i czekać. Poszukam wodza tej wioski. Muszę jakoś mu wytłumaczyć, o co nam chodzi. A pani niech tu zostanie z Dietlevem.

I wyszedł z chaty, zanim Elaine zdążyła cokolwiek powiedzieć.

Na jego widok wszyscy znieruchomieli. Z czołem zroszonym potem Mauro poszedł w stronę chaty, z której godzinę wcześniej wychodził szaman. Kobiety i dzieci stały w miejscu, zastygłe jak słupy soli, mężczyźni

tymczasem przybliżali się do niego, niepostrzeżenie otaczając go coraz ciasniejszym kręgiem. Towarzysząca temu cisza niechybnie ostrzegła szamana, Mauro bowiem był jeszcze jakieś dwadzieścia metrów od jego chaty, gdy uchyliła się mata zasłaniająca wejście i Indianin wyszedł mu naprzeciw.

- Jestem Mauro - pokazał palcem na siebie. - A ty? - wskazał na niego.

- *Jetemaro. Ati?* - powtórzył starzec, unosząc brwi.

Mauro spróbował ponownie, instynktownie upraszczając do minimum.

- Mauro! - rzekł z naciskiem, pokazując na siebie. - Ty?

- *Maro-ti!* - zawołał szaman.

Mauro westchnął zniechęcony. Może należałoby zacząć jakoś prościej?

Poszukał wzrokiem czegoś o prostej nazwie i nagle wpadł na pomysł.

- Nos! - powiedział, kładąc na nim palec. - Nos!

- *Nosz!* - powtórzył szaman, starając się wymówić słowo wyraźnie.

I zastanowił się zaraz, dlaczego takie ważne jest, aby poczuć, jaki też znaczący zapach się rozejdzie.

Mauro znowu wskazał na nos, tym razem nic nie mówiąc.

- *Nosz?* - rzekł szaman, węsząc w powietrzu na wszystkie strony. - *Nosz, nosz, nosz?*

Rezultaty wcale nie napawały optymizmem... Rozczarowany Mauro wykrzywił usta. Spostrzegłszy matę obwieszoną nieznanymi mu owocami, ruszył ku niej, a za nim szaman i tłumek Indian, którzy asystowali przy rozmowie. Wziął jeden owoc i pokazał go szamanowi bez słowa.

- *Jamacaru Nde* - powiedział szaman z powagą. - Ten *jamacaru* jest twój...
- *Jamacaruende?* - powtórzył Mauro, starając się wymówić dokładnie takie głoski, jakie usłyszał.
- *Naàni! Jamacaru Nde! Nie, jamacaru* jest twój - z naciskiem powtórzył starzec.

Jeśli młody bóg chciał ten owoc, mógł go wziąć, był jego, podobnie jak wszystko, co należało do niego i ludzi jego plemienia.

- *Nani! Jamacaruende!* - odruchowo rzekł Mauro, stwierdzając przy tym, że w próbach porozumienia nie posunął się ani o krok.

Ten owoc nazywał się *jamacaruende* czy *nani*? Nie wspominając o tym, że równie dobrze słowa te mogły oznaczać „żółty”, „dojrzały”, „jeść” ... czy jakkolwiek czynność, która nawet nie przyszła mu do głowy.

Szaman pokręcił głową na taki upór. Stropiony wziął owoc, który podawał mu Mauro, zaraz jednak w zamian włożył mu trzy inne w ręce.

- Wybacz, stary, ale mam tego dość - oświadczył uprzejmie Mauro, godząc się z porażką. - Cześć! Chyba się teraz prześpię.

Obrócił się na pięcie i wtedy jego wzrok padł na stojącego tuż obok Indianina z maczetą. W chwili gdy przystanął, aby się upewnić, że to na pewno maczeta, która należała do nich, zauważył zawieszony na szyi tamtego błyszczący przedmiot: kompas! Kompas, który dali Yurupigowi, kiedy wyruszał...

- Gdzieś to znalazł! - zawołał do oniemiałego Indianina, biorąc do ręki kompas. - Niech to szlag!

W tłumie zapanowało poruszenie, rozległy się oburzone pomrukiwania, które szaman uciszył jednym słowem. Nambipaia źle postąpił, wyjaśnił. Nie powinien był zabierać tego przedmiotu. Młodemu bogowi nie spodobało się to! Trzeba to natychmiast zwrócić właścicielowi...

Popychając Indianina przed sobą, gestem zaprosił Maura, aby szedł z nimi. W kilka chwil dotarli do skraju wioski i znaleźli się przed oszczepem wbitym w ziemię. Na koniec oszczepu nadziana była głowa Yurupiga z otwartymi ustami, zamkniętymi oczami, jakby przystępował do komunii.

Na krótkie polecenie szamana Nambipaia zdjął kompas z szyi i wsunął go do martwych ust.

*Z notatnika Eleazarda*

ARABSKIE PRZYŚŁOWIE umieszczone przez Kirchera na egzerdze na początku jego „Polygraphia nova”: „Gdy jesteś w posiadaniu tajemnicy, to albo ją zataj, albo wyjaw”.

VILLIERS DE L'ISLE ADAM jak echo: „I żaden z nich nie może się naprzód wznieść do tej refleksji, że wszelka tajemnica, choćby najstraszliwsza, skoro jej się nigdy nie wyjaśni, jest nicością”.

ZA POŚREDNICTWEM MATEMATYKI Kircher szukał jakiejś normy, języka uniwersalnego, który mógłby zracjonalizować różnorodność i rozwiązać pozorne sprzeczności we wszechświecie. Marzył o powrocie do czystości człowieka sprzed wypędzenia z raju.

WEDŁUG MALONE'A spośród 6 043 wersów Szekspira 1 771 należy do jego poprzedników, 2 373 sam przerobił i tylko 1 899 można jemu przypisać - być może z powodu braku materiału porównawczego (Lalanne).

„SAŁ KSIĄŻKI - pisze Wolter - jak ogień w kominie: bierzesz ten ogień od sąsiada, rozpalasz go u siebie,

przekazujesz innym i należy do wszystkich” („Listy o Anglikach”).

URATOWANY PRZEZ UMBERTA? „[Kircher] Popęłnił zatem błąd, w pełni usprawiedliwiony ówczesnym stanem wiedzy, sądząc, iż wszystkie znaki hieroglificzne mają walor ideograficzny, w konsekwencji jego rekonstrukcja jest całkowicie błędna. Mimo to został ojcem egiptologii, podobnie jak Ptolemeusz, który został ojcem astronomii, choć jego hipoteza była błędna. Dążąc bowiem do uprawomocnienia owej błędnej hipotezy, Kircher gromadził materiał obserwacyjny, kopiował dokumenty, spowodował wreszcie w świecie ówczesnej nauki zainteresowanie problemem hieroglifów. [...] Champollion, który badał obelisk z rzymskiego Piazza Navona (wcześniej opisany przez Kirchera), nie mając możliwości prowadzenia bezpośrednich studiów, korzystał z rekonstrukcji Kirchera i chociaż skarżył się na brak precyzji w wielu reprodukcjach, to przecież osiągnął na ich podstawie interesujące i ściśle wyniki”. (U. Eco, „W poszukiwaniu języka uniwersalnego”).

DZIWNE, że nagle zaczynam znajdować cytaty przemawiające za Atanazym...

JESZCZE POD KONIEC XVIII WIEKU znajdują się wybitni badacze, którzy będą utrzymywali, że „piramidy egipskie to wielkie kryształy albo naturalne wyniesienia terenu z grubsza uformowane ludzką ręką”.

DROBNE FUNKCJE na dworze Ludwika XIV: inspektor kontrolujący świeżość masła; królewski doradca do spraw układania polan; skarbnik wojenny nadzwyczajny; stały biennialny kupiec nasion siewnych (pracuje co drugi rok); biennialny zastępca kupca nasion siewnych (pracuje w tym roku, w którym poprzedni nie pracuje); andegaweński badacz świńskich języków (każe okładać świnie, aż wystawi język, aby „zbadać, czy jest wągrowaty”)...

WIECZNY BABEL... W siedemnastowiecznych Niemczech mit o pierwotnym języku doprowadził dwóch przyzwoitych badaczy do tego, że porzucili dwójkę dzieci w lesie, aby obserwować, jakim językiem zaczną mówić, nie mając żadnego modelu lingwistycznego. Afazja, która była tego skutkiem, powinna była naprowadzić ich na trop...

DROBNE URZĘDY Kircherowskie: wskrzeszacz ostryg i lakiernik martwych homarów.

## ROZDZIAŁ XXV

*O piramidzie jawańskiej, zieleni  
quei & co z tego wynikło...*

Mistrz mój, mocno komplementując kawalera Berniniego, podprowadził go do pozostałych dwóch gości. Choć Grueber & rzeźbiarz powierzchownością mocno się różnili, wyraźnie od pierwszej chwili przypadli sobie nawzajem do gustu. Tak jak szewca interesuje wyłącznie obuwie noszone przez tubylców, a dekarza sposób, w jaki budują dachy, tak Bernini natychmiast sprowadził rozmowę na azjatyckie posągi & pomniki, pytając, czy są tam takie, które można by porównać do tego, co jest na Zachodzie czy w Egipcie. Henry Roth wdał się zatem w opis chińskich budowli, ze sporą znajomością rzeczy utrzymując, że Chińczycy, podobnie jak Rzymianie, celują w budowie murów, dróg & mostów, natomiast posągi, mimo że częstokroć monumentalne, nigdy finezją & pięknem nie dorównują temu, co powstało w naszej

części świata. Zwykle to ordynarne bożki albo potwory czy demony żałośnie groteskowe, a niekiedy nawet wulgarne, mające niewiele ze sztuką wspólnego, a jeśli już, to raczej o diabelskiej niżli ludzkiej proveniencji.

- Zgadzam się z tym, co brat Henry powiedział - zabrał głos Grueber - chociażem widział w Chinach posagi, które nie zasługują na takie potępienie, jest w nich bowiem widoczna szlachetność & pogoda ducha, które jak miemam, dościgają najpiękniejsze wytwory wielkiej sztuki. Wszelako nie w Chinach, a na Wyspach Sundajskich zobaczyłem rzeźbę piękną nie do opisania. I ręczę, mości Bernini, że gdybyście ją ujrzeli, bez cienia wątpliwości uznalibyście ją za skończony cud.

- A toście mi narobili apetytu, ojcze! Z przyjemnością bym posłuchał, gdybyście zechcieli o niej opowiedzieć.

- Bardzo chętnie. Pozwólcie jednak, że pierwej przybliżę okolice, w których się znajduje. Otóż w drodze do Chin wsiadłem w Tonkinie na statek płynący do Makau. Podczas rejsu sztorm zepchnął nas z kursu & musieliśmy zawinąć do portu w Batawii, czyli Dżakarcie, stolicy wyspy Jawa...

Widząc oszołomienie na obliczu Berniniego, Kircher pospieszył z pomocą - przysunął wielki globus, by Grueber mógł pokazywać kolejne miejsca, o których mówił.

- Tak wiele jest wysp w odnogach Morza Indyjskiego, że niepodobna ich zliczyć. Sumatra... o, tutaj... jest największa. Następnie Borneo.

A trzecia w kolejności to Jawa. Nazwano ją „miniaturą świata”, ponieważ jest niesłychanie żyzna, tak że urośnie tam wszystko, ponadto obfituje w bogactwa naturalne. Mamy stamtąd nie tylko pieprz, imbir, cynamon, goździki & inne przyprawy aromatyczne, ale także zwierzynę wszelkiego rodzaju, zarówno dziką, jak & oswojoną, wywożoną do różnych krajów. Są tam również bardzo bogate złoża złota & bezcennych zgoła kamieni szlachetnych. A jakie tkaniny jedwabne!... Krótko mówiąc, Jawa byłaby jedną z najbogatszych & najurokliwszych wysp Wschodu, gdyby tak często nie spadały na nią potężne burze, które jeszcze zanim przyjdą już wszędzie sięją rozpacz & przerażenie. Mieszkańcy Jawy powiadają, że są potomkami Chińczyków, którzy ongiś, mając dość wiecznych najazdów & napaści piratów, opuścili ojczystą ziemię & osiedli na tej wyspie, zakładając tam kolonie. Lud tamtejszy jest wzrostu średniego, okrągły z twarzy, w większości chodzi nago albo w bawelnianym fartuszkun zwisającym od pasa & sięgającym kolan. I moim zdaniem ludzie ci grzeczniejsi są & bardziej cywilizowani niż Indianie.

- Istny raj na ziemi! - wykrzyknął Bernini. - Że też nie jestem młodszy & zamożniejszy! Zaraz bym tam pojechał!

- Może & raj - burknął ojciec Roth - ale zaludniony demonami. Przekonałem się, że to łakomczuchy & darmozjady; są zuchwali, bezwstydni, pyszni & lżą na potęgę, byle zawaładnąć mieniem drugiego... Ci Indianie obnoszą harde miny, języki mają rozdwojone, palce jak szpony & lepkie ręce nawykłe do złodziejstwa. Pochlebiają ci, obiecują, zaklinają się, przyzywają na świadków Niebiosa, ziemię & Mahometa, aż zacznasz wierzyć

każdemu ich słowu. Ale jeśli godzinę później zagadniesz takiego, z kamienną twarzą wyprze się wszystkiego, co wcześniej mówił! Ludzki język, powiadają, nie ma kości. Co oznacza, że można go wyginać do woli & żadna przysięga nie sprawi, że stanie się sztywny.

Gruebera & Berniniego zdumiała ta gorzka przemowa. Rozgościło się między nami nieprzyjemne skrępowanie, młodszy jezuita ze spuszczoneym wzrokiem zagryzał usta, aby kąśliwie nie odpowiedzieć starszemu.

- A to dopiero! - odezwał się mistrz mój z udawaną beztróską.

- Nie wiedziałem, że wyście także byli na tej wyspie.

- Prawdę powiedziałwszy - odparł ojciec Roth odrobinę zmieszany - nigdy tam nie był, a wszystko, com powiedział, wiem od holenderskiego kupca, który dwadzieścia lat przeżył w Batawii & dużo mi naopowiadał o Jawajczykach.

Kircher utkwiał surowy wzrok w ojcu Henrym.

- Zapytajcie wilka, co sądzi o owcy, którą pożera albo więzi, a zawsze odpowie, że nieszczęsne to stworzenie zasługuje na swój los z racji rozlicznych wad, tak że nawet zbytkiem dobroci jest interesować się nim choćby w ten sposób. Z tej przyczyny raczej nie dam wiary opowieściom waszego kupca. W to, że Jawajczycy są bałwochwalcami & że trudno ich nawrócić na prawdziwą wiarę, łatwo uwierzę. Nie mogę się natomiast zgodzić z twierdzeniem, że to diabły zupełnie nieczułe na słowa rozsądku & Boże miłosierdzie. Niewątpliwie jesteście tego samego zdania, bracie mój...

Ojciec Roth z ociąganiem co prawda, niemniej wygłosił słowa ubolewania, po czym poprosił, aby pozwolono mu się pożegnać z racji jego wieku & trudów minionego dnia. Bernini nie skrywał zadowolenia, że ów zrzedliwy rozmówca nas zostawia, przez co naraził się na życzliwe przywołanie do porządku przez mistrza mojego.

- Mówcie dalej, ojczu - rzekł Kircher do Gruebera.

- Hm, tak... Kiedy zatem mój statek utknął w porcie w Batawii, niewiarygodnym usłyszał opowieści o cudownym starożytnym mieście, którym podobno zawładnęła dżungla, położonym kilka dni jazdy mułem od osady zwanej Jogyakarta. Pchała mnie zarówno ciekawość, jak & obietnica, którą wam złożyłem, wielbny ojczu, że zdam sprawozdanie ze wszystkich napotkanych tam osobliwości, tak że mi kazał się tam zawieźć. Pominę trudy & niedogodności podczas podróży, przed którą mnie przestrzegano jako przed zarówno ciężką, jak & niebezpieczną, a przejdę od razu do sedna: Borobudur, „zagubione miasto”... Najpierw, kiedy za ostatnim zakrętem przewodnicy drżącym palcem mi wskazali, ujrzałem niewielkie czarne wzgórze, które niczym stożek wulkanu wyrastało z bujnej zieleni. Ale im byłem bliżej, tym wyraźniej widziałem, że ani kawałek kamiennego wzgórza nie uniknął dłuta rzeźbiarzy. I niewiele się chyba pomylę, jeśli powiem, że ta piramida u podstawy ma dobre sto dwadzieścia kroków, a wysoka jest na jakieś czterdzieści!

Kircherowi naraz pojaśniało oblicze.

- Piramida, powiadacie? - spytał podekscytowany. - Mówicie, że przypomina to, co można oglądać w Egipcie?

- Niezupełnie. Jej kształt przywodzi raczej na myśl budowle dawnych Meksykanów, których rysunki przysyłali nasi bracia misjonarze. Wyobraźcie sobie cztery kondygnacje na planie czworokąta otoczone trzema biegnącymi naokoło kolistymi tarasami, a wszystko coraz bardziej zwęża się ku górze.

- Wybaczcie niecierpliwość, ojczu, aleście nic jeszcze nie powiedzieli o tych wspaniałych rzeźbach, których doskonałość takeście wychwalali.

- I słusznie przypominacie... Otóż wzdłuż galerii czy ścieżek wartowniczych, które wiodą na sam szczyt świątyni, widziałem pewnie z tysiąc pięćset płaskorzeźb, które gdyby je ułożyć w linii prostej, ciągnęłyby się ani chybi z pięć mil. Z tego com zrozumiał, rzeźby przedstawiają życie Pusy, czyli bożka Fo, jak je opowiadają legendy chińskie albo induskie, ale przysięglibyście, mości Bernini, że wykonali je najbardziej utalentowani rzeźbiarze greccy, tak doskonała jest ich kompozycja & tak wyrafinowane zdobienia. Jest tam ponad dwadzieścia pięć tysięcy figur, w ćwierci albo w połowie wypukło rzeźbionych, które jakby naturalnie ożywają przed oczyma oglądającego, tak że nigdy nie widział nic równie zachwycającego. Mężowie & niewiasty, zawsze o postawach pełnych wdzięku, chodzą, tańczą, jadą wierzchem albo modlą się w pozach doprawdy szlachetnych & nieskazitelnie pięknych. Muzykanci grają na fujarkach & bębenkach, całe załogi krzątają się na pokładach swoich dumnych statków, w każdym szczególe dopracowani wojownicy spoczywają z mieczem na ramieniu pomiędzy roślinami, wśród których bez trudu rozpoznać można wszystkie drzewa, owoce, kwiaty & trawy tych ziem, identyczne jak te, co na powrót

zawładnęły skałą & krzewią się pośród swoich wizerunków wyrytych w kamieniu. Słonie, konie, węże, ptaki & ryby wszelkiego rodzaju są przedstawione w pozycjach charakterystycznych dla swojego gatunku.



Krótko mówiąc, byłbym najszcześniejszym z ludzi, gdybym mógł już na zawsze zostać strażnikiem tej wspaniałości.

Grueber umilkł. Zdawało się, że wspomnienia przeniosły go do Borobuduru & z zachwytem wpatruje się w cuda, które nam właśnie opisał.

- Że też nie porobiliście odrysów tych niezwykłych rzeźb... - rzekł Bernini w zamyśleniu. - Kiedym was słuchał, aż ślinka mi do ust napływała, & dużo bym dał, żeby być tam z wami.

- Kilka kajetów zużyłem, rysując tuszem czarnym & czerwonym. Zamierzałem je przywieźć do Europy, Bóg wszakże chciał widać inaczej, skoro niewątpliwie z jego natchnienia młody cesarz Chin zapragnął je zatrzymać...

- Nic nie szkodzi - pocieszył go Kircher. - Wystarczy mi bowiem, żeście potwierdzili, iż w tej świątyni widoczny jest wyraźny wpływ starożytnego Egiptu. W całej Azji, tak jak na tej waszej Jawie, znajduwane są mistyczne piramidy & wspaniałe świątynie zbudowane na kształt & wzór tych, które Egipcjanie wznosili dla swoich bogów. Podsumowując, można powiedzieć, że Chiny to mierny naśladowca Egiptu, przejęły bowiem, co się dało, choć naiwnie to przeobraziły na swoją modłę...

Z nieodgadnionego powodu ojciec Grueber pobladł w tej chwili; zobaczyłem, że mu się napinają mięśnie twarzy, jakby stawiał opór potężnemu bólowi.

- Czyście cierpiący? - zatroskałem się żywo.

- Nie, to nic... Nie trzeba się przejmować... To tylko... pobudzenie nerwów, które mnie czasami dopada, kiedy wspominam swoje podróże.

- Casparze, bądź tak dobry - czym prędzej polecił mistrz mój - & przynieś raz-dwa butelkę ho bryana, którą sprezentował nam pan Samuel Pepys. Przynieś też konfitury, bo myślę, że pora skosztować to słynne ziele, co odgania smutek.

- Święte słowa, wielebny ojcze! - skwapliwie przytaknął Bernini, zacierając ręce. - Ale może zdradzicie, cóż to za ziele, którym mamy się raczyć? Bo jeśli prawdą jest, co powiadacie o jego właściwościach, zaraz zamówię całą belę na własny użytek!

Kircher powtórzył, co opowiedział nam ojciec Grueber tuż przed jego przyjściem, & dodał żartobliwie, że Berniniemu raczej nie potrzeba takiego remedium, jako że z natury swej jest pogodnego usposobienia. Zażyliśmy zatem owego ziele *quei*, popijając & miło gawędząc.

- Ta roślina - mówił Grueber, któremu wino najwyraźniej przywróciło na twarz kolory - bardzo przypomina nasze konopie & rośnie w obfitości w prowincji Sinkiang, ale nie wykorzystują jej tak jak my, ponieważ Chińczycy nie potrafią prząść jej włókien & sporządzać z nich sznurków.

Potem mistrz mój zagadnął go o sporządzanie chińskich lekarstw.

- Trzeba wam wiedzieć - ciągnął Grueber - że w zależności od barwy Chińczycy używają pięciu rodzajów kwarcu, ziemi & grzybów. My używamy miodu & much kantaryd, oni natomiast uważają, że takie ograniczenie oznaczałoby wyrzeczenie się cudownych właściwości samych pszczół, os, ich wosku, gniazd, jaj & kokonów, a także moli, świerszczy, komarów, pajaków, skorpionów & skolopender, mrówek, karaluchów, pcheł, wszy zwykłych & łonowych! Wszystkie te owady są odpowiednio przygotowywane & sprzedawane, jak u nas sprzedaje się rzewień czy mandragorę...

- Do diaska! - huknął Bernini ze śmiechem. - Że też w Rzymie nie ma takich aptekarzy! Bo nie mam wprawdzie całej kolekcji tych żyjatek, ale część by się znalazła, & to w takich ilościach, że mógłbym zostać bogaczem!

Zaśmialiśmy się do wtóru, gratulując Berniniemu dowcipu, po czym wesoło spełniliśmy toast za jego powodzenie.

- Śmiejecie się z tego, com wymienił - podjął Grueber nadzwyczaj rozradowany - a co byście rzekli na to? Otóż ci sami Chińczycy zbierają jad, który można wycisnąć z gruczołów nad ślepiami ropuchy, & robią z niego maleńkie pigułki znakomite podobno na krwotoki z dziąseł, ból zębów & zatok

przynosowych, przy czym w tym ostatnim wypadku należy pigułkę rozpuścić w niewieścim mleku & zakrapiać do nosa! Sok z najdłuższego tasiemca leczy choroby oczu & czyraki; glista ludzka rozpuszcza katarakte; jeśli jaszczurczą wątrobą zmieszaną z odrobiną świerszcza & alkoholem natrzeć pępek brzemienną niewiasty, spędzi to płód! Żółć pytona wyostrza widzenie, jego mięso leczy paraliż & reumatyzm, tłuszcz pomaga na głuchotę, a zęby chronią przed chorobami tego, kto je nosi. Smocze kości, powszechnie znajdujące na stepie, naprężają męskie przyrodzenie, rozpuszczają nocne poty, koją umysł, z opętanych wypędzają diabła, ale także leczą biegunki, gorączkę & nimfomanię...

Mocno rozweseleni nie ustawialiśmy w pokrzykiwaniu ze zdziwienia, tymczasem ojciec Grueber, dosiadłszy swego konika, ciągnął tonem kramarza zachwalającego towar:

- Nasienie wielorybów, czyli ambra, przepędza neurastenię, nietrzymanie moczu & stolca, egzemę moszny, a u niewiast wzmaga miłosne pożądanie... Chińczycy doprawdy mają z czego czerpać: gdyby im nawet zabrakło wszystkich tych stworzeń, mieliby jeszcze do wyboru wszystko, co chodzi po tym świecie w futrze albo z piórami! Zwierzęta domowe używają w rozmaitych celach do najdrobniejszej, choćby najwstrętniejszej cząsteczki. Dzikim zwierzętom także nie przepuszczają: lwy, tygrysy, lamparty, słonie & mrówkowce służą do sporządzania niezliczonych leków. Róg nosorożca zapobiega halucynacjom, wzmaga krzepkość ciała, leczy migreny & krwawienia z odbytu; opuszki niedźwiedzi łap wzmocniają zdrowie, jego pasożyty leczą żółtą febrę & ślepotę noworodków; jelenie rogi zdolne są pokonać niemal każdą chorobę, łącznie z białymi upławami u dorastających panienek; małpi mózg zmieszany z kwiatem chryzantemy wpływa na wzrost; lisie wargi usuwają ropę; a uryna dzikiego kota wprowadzona do ucha oczyszcza je z insektów...

- Żeby nam jeszcze oszczędziła brzęczenia niezliczonych durniów, którzy swoją głupotą nękają nasze uszy! - rzekł Bernini, wznosząc kielich. - Piję za urynę dzikich kotów!

- Za urynę dzikich kotów! - powtórzyliśmy chórem, po czym zająłem się otwieraniem drugiej butelki.

## **FORTALEZA**

*Jest jeszcze nadzieja dla tego kraju...*

Dotarli do Recife u schyłku dnia po przebyciu kilku tysięcy kilometrów. Na rua do Bom Jesus, gdzie Roetgen znalazł w końcu miejsce do zaparkowania, byli świadkami zadziwiającej metamorfozy: ulokowane w podupadających resztkach kolonialnej świetności banki i sklepy opustoszały w tempie, które zdawało się dorównywać prędkości zachodzenia słońca. Urzędnicy i sprzedawcy w pośpiechu opuszczali to miejsce, samochody błyskawicznie odjeżdżały. O zmierzchu dzielnica była pusta, zupełnie wyludniona. I wtedy nie wiadomo skąd wyłonili się władcy nocy i zaroiło się na chodnikach: marynarze, oprychy wszelkiej maści, prostytutki obojga płci z błyszczącymi oczami, każdy z nożem za pazuchą... cały ten ciemnoskóry pstrokato odziany ludek, który na dzień miasto wyrzucało na przedmieścia, jak niegdyś wyrzucało szaleńców. Słyszeli dobijanie targu, docierały do nich dwuznaczne propozycje. Niczym na pocztówce panoramicznej, której wygląd się zmienia w zależności od tego, jak się ją przechylą, strefa portowa odsłaniała swoją ukrytą naturę. Kolejno zapalały się czerwone latarenki przed burdelami, zza ich zamkniętych okiennic sączyły się dźwięki samby i paso dobie. Zdewastowane sionki odsłaniały schody, na których pijani po swojemu zaznaczyli miejsca postoju, schody zniszczone, lecz pnące się zgodnie ku feerii świateł neonowych.

Weszli na piętro Attili.

Powitała ich szefowa, potężny babizon przystrojony fiołkowymi dżetami, z kokiem naszpikowanym czarnym puchem, spośród którego wywijają się srebrne metalowe macki zakończone fluorescencyjnymi kulkami. Powolna z usposobienia i z konieczności - unikała gwałtownych ruchów, aby nie nadwerżyć

fryzury - imponująca góra ciała starannie przeliczyła banknoty, które wręczył jej Roetgen. Wyobraził sobie gorączkowe godziny poprzedzające wieczór, kiedy kobieta siedziała na trzecim piętrze kamienicy otoczona chmarą półnagich dziwek, które piszcząc z podniecenia, stroiły ją niczym królową matkę na koronację syna. Na stolku barowym siedział lubieżnie obśliniony, z wyraźnie widocznym mongolizmem facet w trudnym do określenia wieku, obserwując osobliwy balet, który rozgrywał się przed jego oczami. Przy nim, tyle że za kontuarem, młoda Mulatka rytmicznie kołysała się w miejscu, serwując napoje. Dziwki bez przerwy kręciły się w tańcu: przebrana na lata trzydzieste z włosami na chłopczycę, w krótkiej zielonej sukience, z przewieszoną przez pierś torebką na pasku; w andaluzyjskiej spódnicy różowej w białe grochy; w pasiastej tęczowej; w przezroczystej workowatej... Moema przetańczyła rzewny kawałek z mumią w peruce, całą w piórkach i wstążkach, którą pożądanie czyniło piękną mimo lekko ironicznego uśmiechu i doskonałej znajomości gry dowodzącej

dużego doświadczenia w tej materii. Rwali dziewczyny i przekazywali je sobie nawzajem, miłosne zmagania przedzielając krótkimi postojami przy barze, by wychylić szklaneczkę dżinu albo kaszasy, z zapalem korzystając z czystej rozkoszy uwodzenia, w czym upatrywali kolejnego świadectwa wspólnoty.

Potem wyruszyli na długą włóczęgę po nabrzeżach, polowanie na szczury wśród cum, układanie napisów z lin pod ścianą z kontenerów... O świcie, gdy w całej okazałości ukazał im się las żurawi portowych, zaczęli się gonić w ułożonych w stos potężnych rurach niczym pszczoły w żelaznym plastrze, bawiąc się nasłuchiowaniem echa swoich imion, pokrzykując coraz donośniej.

Znalazł ich tam patrol wojskowy w samym środku najpyszniejszej zabawy. Żołnierze odprowadzili ich do samochodu zostawionego dość daleko od strefy, gdzie był zakaz wstępu: kochali się bowiem na terenie arsenału w Recife. Czuli się, jakby wygrali wojnę.

Po powrocie do Fortalezy bawili się dalej. W dzień spali, a po zapadnięciu nocy wychodzili, aby ugasić trawiące ich pragnienie i znieczulić się. Modne bary, gdzie rozbrzmiewały dźwięki najnowszych utworów Arriga Barnabe, tak rewolucyjnych, że ledwie dawało się ich słuchać; rzewne bossa novy o świtanii; działki trawki i koki z Pablem. Xavierowi tak uderzył do łba karbinol, że skoczył na główkę na asfalt przekonany, że skacze do basenu. Chociaż mocno rozciął sobie czoło, nie chciał iść do szpitala, tak że kurowali go u Thais. Poza tym miał tylko otarcia, lecz strupy na twarzy i rękach trzymały mu się aż do wyjazdu. Albowiem wyjeżdżał.

- Stawiam żagle w niedzielę o ósmej rano - oznajmił ot tak, bez szczególnego powodu.

Postanowienie było nieodwołalne. Wypili sporą część jego zapasu whisky na pokładzie statku zakotwiczonego w basenie jachtklubu; jeśli chodzi o francuskie specjały, nic z tego nie wyszło, tak bardzo jego porąbany pomysł rozśmieszył towarzystwo. Skądś tam przyszedł od jego babki przekaz, który Xavier natychmiast wymienił na zapas trawki przeznaczonej na własny użytek. Planował udać się do Belém albo i dalej, sam jeszcze dokładnie nie wiedział. Jednakże odpływał.

W ostatnią sobotę przed jego wypłynięciem jachtklub akurat organizował jedną z comiesięcznych imprez: turniej tenisowy, zawody pływackie, wieczorem kolację i tańce przy orkiestrze. Roetgen, jako członek klubu od początku swego pobytu w Fortalezie - wprowadził go rektor uniwersytetu i Roetgen drogo płacił za zaszczyt obcowania z klasą, której nie lubił - zaproponował, aby właśnie tam uczcili odjazd Xaviera. Miałby to być swego rodzaju wieczorek pożegnalny, piękne zakończenie niezwykłych wakacji, które spędzili we czwórkę. Tyle że Moema załatwiła sobie u Pabla znaczek kwasu i uraczyła się nim po połowie z Xavierem, co bardzo skomplikowało sprawy, zanim w ogóle cokolwiek się zaczęło.

Ponieważ Andreas wracał dopiero nazajutrz, wylądowali w jego nadmorskim domu. Zgodnie, aczkolwiek z zupełnie różnych przyczyn, Thais i Roetgen zrezygnowali z LSD. Thais dlatego, że wiedziała, jakie jest działanie tego narkotyku, a na wszelki wypadek chciała zachować jasność umysłu; Roetgen dlatego, że czytał gdzieś, iż LSD niszczy neurony i można po nim oszaleć. Roetgen ponadto

wspaniałomyślnie zadeklarował, że zajmie się Xavierem, nie mając pojęcia, na co się porywa. Xavier w chwili, gdy miał zażyć swoją cząstkę różowego znaczka - miał nadruk z Kaczorem Donaldem - przyznał się, że pierwszy raz tego próbuje.

- Nie martw się, dużo ci nie dałam - powiedziała Moema, sadwiąc się na jednym z leżaków ustawionych na werandzie. - Trzeba poczekać dobre pół godziny, zanim coś poczujesz. A potem ty decydujesz. Jak pozwolisz na zły trip, będziesz miał zły trip, a jak wybierzesz cool, będziesz miał cool trip... Cała sztuka w tym, żeby zachować spokój i zmusić się do pozytywnego myślenia.

- Dla mnie nie ma sprawy - oświadczył rozweselony Xavier.

Czuć było jednak wyraźnie, że ten wykład wzmocnił jego obawy.

Roetgen i Thais zasiedli razem z nimi pod baldachimem z zieleni. Przynieśli tacę z białym winem i czymś do przegryzania. Było wczesne popołudnie. Po drugiej stronie ulicy, w odległości około pięćdziesięciu metrów, widzieli Beira Mar i dalej, przez prześwity między pasem gęstych palm kokosowych, zielononiebieski ocean, po którym przemykał żagiel jangady.

- Mam nadzieję, że ten twój kumpel ma zapas wina - rzekła Thais do Roetgena - bo po kwasie pioruńsko człowieka suszy.

- Wina jest pod dostatkiem - odparł Roetgen. - A gdyby zabrakło, dokupię.

- Zobaczysz, to przychodzi falami - mówiła Moema Xavierowi. - Już ci się wydaje, że koniec, a tu zaraz rusza dalej.

- Ile trwa? - zapytał Roetgen.

- Jakaś dobę... mniej więcej. Czemu pytasz? Chyba się nie martwisz, co?

- Trochę. Głównie ze względu na Xaviera.

- Nie przejmuj się mną - uspokoił go mikrus. - Jak nie odcumuję rano, to odcumuję wieczór albo dzień później. Ja tam z morzem jestem ostrożny, nie ma co się narażać.

Roetgen nie odpowiedział. Dość było popatrzeć, jaką łajbą ten facet przepłynął Atlantycką, aby człowiek poważnie zaczął wątpić w ostrożność, którą się afiszował.

- A wiesz, że on na dwa dni wypłynął na jangadzie? - rzuciła Moema.

Roetgen w jej oczach ujrzał, że natychmiast pożałowała, iż wspomniała o tym. Na pytanie Xaviera, czy bardzo było ciężko, odpowiedział chłodno:

- Właściwie nie. Najtrudniej było wrócić na ląd.

Najwyraźniej odpowiedź adresowana była do Moemy, więc mikrus nie drażył tematu. Skoro ci dwoje mają coś do załatwienia między sobą, on nie chciał się do tego mieszać.

Thais wymownie popatrzyła na Roetgena, dając mu do zrozumienia, że lepiej zostawić wszystko własnemu biegowi, zważywszy na sytuację.

- Przepraszam - powiedział trochę później, ujmując dłoń Moemy nad podłokietnikiem leżaka. - Wyrwało mi się. Nie mam do ciebie żalu, słowo.

W odpowiedzi Moema ścisnęła tylko palcami jego dłoń. Z fascynacją wpatrywała się w statek towarowy ledwie widoczny na horyzoncie.

Pierwsze godziny były spokojne, chociaż niejednoznaczne, bezbarwne, dłużyły się jak czas spędzany w szpitalu przy łóżku chorego. Thais i Roetgen rozmawiali ścisłymi głosami, wolno popijając schłodzone białe wino i mając baczenie na towarzyszy wyizolowanych za sprawą LSD. W idealnym ciepełku, otoczeni barwnymi światłami, jak przymurowani tkwili na leżakach.

Rozmowa toczyła się nieskończenie wolno, słowo niespiesznie padało po słowie. Zafascynowana parapsychologią i w ogóle wszystkim, co nie daje się ogarnąć rozumem, Thais znała mnóstwo przykładów ilustrujących jej naiwną wiarę w to co nadnaturalne. Opowiadki zaczerpnięte w większości z relacji przeżytych innych, które snuła śpiewnym głosem i tonem zwierzenia, świadectwa bardziej przykuwającym

uwagę niż sama ich treść.

Roetgen był uszczęśliwiony jej zauroczeniem, szczerością, jaką mu okazywała. To było coś nowego w ich stosunkach. W przeciwieństwie do Moemy, która przy takich okazjach obstawała przy swoim i słyszeć nawet nie chciała o jakimkolwiek odstępstwie od tego, w co wierzyła, Thais wykazywała giętkość, która jak najlepiej o niej świadczyła. Nie żeby dawała się przekonać argumentom wysuwanych przez Roetgena, ale słuchała, ważyła za i przeciw i próbowała bronić swego zdania, nigdy z założenia nie powołując się na to co „nadprzyrodzone” albo na „siły umysłu”, które ją fascynowały. Przegadali zatem spokojnie wszystkie żelazne punkty tej dziedziny - tarota, jasnowidztwo, horoskopy, telepatię, kwiaty wrażliwe na głos i inne współczesne przesady - i Roetgen ani razu się nie zdenerwował, do czego zwykle dochodziło. Ona zwierzyła mu się, że pragnie dziecka. On jej wyznał, że pisze wiersze. Sytuacja zaczynała się robić lekko dwuznaczna, gdy przerwała im Moema.

- Która godzina? - zapytała, nie odrywając wzroku od plamki światła drżącej u jej stóp. - To znaczy, czy Indianie w ogóle o to pytają? Jak oni mierzą upływ czasu? Pytam poważnie, profesorze, nie żartuję...

Roetgen wdał się w obszernie wyjaśnienia, ilustrując je mnóstwem przykładów zaczerpniętych z literatury fachowej. Najdłużej rozwodził się nad kalendarzem wiecznym, nieświadomie zwracając się do Thais, a nie do tej, która oczekiwała wyjaśnień na ten temat.

Potem był fantastyczny zachód słońca nad plażą i wszyscy w skupieniu wypatrywali „zielonego promienia”. W końcu Xavier się podniósł, mówiąc, że ma już dosyć siedzenia i może należałoby pomyśleć o wrzuceniu czegoś na ruszt, jeśli nie chcą wyschnąć na wiór na tych cholernych leżakach...

- Trup - wygłosił z emfazą - to nie wiadomo co, co nie ma nazwy w żadnym języku! Tertulian cytowany przez Bossueta, podręcznik literatury siedemnastego wieku, strona dwieście sześćdziesiąt siedem...

- Co on gada? - spytała Thais.

- Za długo by tłumaczyć - roześmiał się Roetgen. - Mówiąc w skrócie, zmieniamy lokal.

Z Moemą i Xavierem, którzy zachowywali się jak dzieci wabione byle kolorową błyskotką na straganach rozstawionych na brzegu morza albo bez końca pokładali się ze śmiechu, do jachtklubu dotarli dopiero około dziewiątej wieczorem. W pretensjonalnym różowym budynku roiło się od gości, wokół wielkiego basenu rozlegały się ryki kibicujących finałom zawodów pływackich. Nieco dalej w świetle reflektorów starsi Murzyni równali czerwoną ziemię na kortach tenisowych.

Moema koniecznie chciała zatańczyć.

- Ale nie naróbcie obciachu! - żałośnie prosił Roetgen, gdy ciągnęła Xaviera w stronę parkietu. - Znają mnie tutaj.

- Nie ma sprawy, słowo! - obiecała Moema takim tonem, że należało się raczej spodziewać czegoś wręcz przeciwnego.

- Lepiej ich nie zostawiać - poradziła Thais.

Usiedli zatem w końcu przy stoliku, skąd widać było parkiet. Roetgen zamówił pod dostatkiem przekąsek, butelkę wódki i sok pomarańczowy.

Po drugim drinku nikt już dokładnie nie pamiętał kolejności wydarzeń. W pewnym momencie wszyscy czworo wychylili toast za wyjazd Xaviera, potem jeszcze jeden, przy którym kompletnie ululany Roetgen wyznał Thais miłość, i kolejny, dużo później - wtedy spostrzegli, że zostało ich troje.

Wyciągnięta na samym końcu pomostu, którego metalowe filary wychodziły daleko w morze, Moema patrzyła w niebo. Wyolbrzymione przez kwas fale oceanu wprawiały w drżenie chwiejną budowlę. Czują, jak przetaczają się pod nią niczym prężący się kręgosłup lubieżnego tygrysa. Krzyż Południa zaczął oscylować z jednego krają na drugi, potem jego gwiazdy zaczęły się skupiać, pociągając za sobą resztę

zodiaku. Wystraszona Moema ruszyła z powrotem w stronę brzegu. Wiatr od morza chłostał ją gwiazdami.

Omijać żelazne pręty, iść między lukami, w których kłębią się wody oceanu, wyjść z tego obrazu najeżonego pułapkami... Thais i reszta pewnie

jeszcze tańczą w tym gównianym klubie... *Náutico Atlético Cearense*... Sportowy, akurat! Roetgen odkleił się od niej ostatecznie. Słyszała, jak tokuje przed Thais... Pan profesor!... Jakby ją całował słowami. Nie byłoby o co robić szumu, gdyby nie wyczytała w oczach Thais tego oddania, które widywała tylko podczas chwil ich intymności... Nie miało to nic wspólnego z jej zachowaniem, kiedy sypiali we trójkę. A niech sobie tańczą, niech się pieprzą do wypęku! Ona teraz ma to gdzieś. Czy to właśnie oznacza „sięgnąć dna”? Chcieć i już nie chcieć; umierać i nie umierać? Brakowało barier pierwotnej wrażliwości, postrzegania natychmiastowego, zauważania pozorów. Ta wieczna podejrzliwość, nawyk, że nigdy nie pojmuje rzeczy dosłownie, zawsze czegoś więcej się w nich doszukuje! Kiedy otwiera się drzwi, za nimi są następne, a potem jeszcze jedne, i jeszcze, nieskończenie wiele drzwi, które wiecznie odsuwają dalej niezmaconą harmonię istoty i jej imienia. Nagle zyskała pewność, że Indianin nie myślał, nie kombinował, tylko otwierał drzwi, jedne jedyne, i znajdował za nimi coś nagiego, pozbawionego okrycia, które można by zedrzyć. Czyż Aynoré nie otworzył jej oczu na tę oczywistość? Być bardziej cool... Akceptować to, czego żadne prawo nie zakazuje... Dopóki działania danego człowieka nie grożą naruszeniem porządku świata, dozwolone jest wszystko: dlaczego więc swoboda obyczajowa plemion amazońskich nie miałyby być dopuszczalna w naszym społeczeństwie? Miłość w naszym wydaniu, połączona z cierpieniem, zazdrością i urazą, ma w sobie coś z judeochrześcijańskiego melodramatu. Jest równie bezsensowna jak romantyczne nabożeństwo wobec ruin albo patyny pokrywającej posągi...

Wróciwszy na Beira Mar, opustoszała o tej późnej już porze, Moema szła długimi krokami w żółtozłotym blasku latarni. Krzątające się na chodnikach szczury, zajęte swoimi gryzonimi sprawami, ledwie ustępowały jej z drogi.

Wysiać sekwoję... Iść z kieszeniami pełnymi nasion i jakby nigdy nic rzucać je na asfalt, żeby pewnego dnia młode pędy rozsadziły to miasto z siłą kataklizmu... Zagarnąć jak najwięcej płodnych zakątków pośród betonu wielkich miast... Szpara między kamieniami, rozziw między ludźmi, odstęp między kośćmi, który pozwala wprawnemu rzeźnikowi odciąć zwierzęciu łeb, nie szczerbiąc noża. W szczelinie zbawienie... Skończyć z tym,

Jezu! Z globalistycznymi oszustwami Zachodu... Odtworzyć dziewiczość dżungli na tych wybrzeżach splugawionych przez nabrzmiały krzyż jezuickich misjonarzy i konkwistadorów... Niewiarygodne, co oni zrobili z Nowym Światem! Jakby nasrali na trawnik, znalazłszy się w rajcu...

Wielki szczur nie dość szybko ustąpił jej z drogi, udała, że na niego nadeptnie, jak robi się często z gołębiem, mając przekonanie, że odleci, zanim go dotkniemy. Jej stopa opadła jednak na zwierzę; widziała, jak gryzoń kona, z odrazą patrzyła na jego wstrząsane konwulsjami łapy. Palmy kokosowe także się skręcały ogarnięte wężowymi konwulsjami. Ogluszona wzmocnionym nawrotem halucynacji położyła się na chwilę na chodniku, rozbawiona myślą, że ktoś mógłby znaleźć ją w rynsztoku. Podniosła się potem i znów szybkim marszem ruszyła ku północnemu końcowi ulicy.

Wyjść z miasta, wrócić do dżungli faweli... Aynoré powiedział jej, że bywa w Terra e Mar, więc pójdzie aż tam. Cel taki sam jak każdy inny, powód do życia lepszy niż inne. Odnaleźć Aynorégo, kochać się z tym pięknym Indianinem, który w tak naturalny sposób korzysta z wolności, snuć dalej marzenie od miejsca, w którym je przerwała.

Wydawało jej się, że idzie już całymi godzinami. Wąskie uliczki obstawione domami, nierówny teren... Piasek i pył zastąpiły asfalt, nędzne chaty wyrastały bez ładu i składu pośród gór odpadków. Szczury stawały się coraz zuchwalsze.

- To nie miejsce dla ciebie, Królewno Śnieżko...

- Nic ci do tego! Powiedz, jak tam dojść, to dam ci zapalniczkę. Patrz, nowiutka.
- A fajek do niej nie masz, ślicznotko?... No dobra. Idź za torami, a potem w lewo od znaku Zielonego znaku, zobaczysz, albo czerwonego, jak tam mu przypasuje.

Walki bezdomnych kotów, smród ścieków i gnijących ryb. Więzienie pod odkrytym niebem. Mieszkam, mówiła sobie, w przeklętym miejscu, które przysłoniły chmary szarańczy. Zimny pot przylepiał jej do skóry koszulkę bez rękawów... Z jakich podziemnych otchłani, jeszcze czarniejszych, wywodzi się ta rozpacz? Thais zbyt szybko okazała się obca jej, ich wspólnej historii... Ujrzała siebie, jak podnosi szklanekę do ust i kruszy ją zębami, tak jak gryzie się połówkę jajka czekoladowego. Ułomek kryształu

wyglądał niczym błyszczący sztylet. Thais naga pod jedwabną sukienką, perłowy błysk znaczył jej czoło... Spłoszone orły niezgrabnie ścigały jej cień.

Niesiony wiatrem papier przylepił się jej do nogi. Odruchowo pochyliła się, aby go podnieść. Ulotka wyborcza... W blasku księżyca, który okrywał niebieskawym światłem fawelę, litery tańczyły jej przed oczami:

CEARÁ ZASŁUGUJE  
NA DEPUTOWANEGO DEMOKRATĘ

ZŁODZIEJ NAPADAJĄCY Z BRONIĄ W RĘKU  
(*market SEARS, Rio de Janeiro*)

TERRORYSTA  
(*lotnisko Guarapes, PE*)

PIRAT POWIETRZNY  
(*samolot linii Cruzeiro do Sul lecący na Kubę*)

ANGELO SISOES RIBEIRA

Było to jak list wysłany przez ciemności. Kartkę przecinał nadrukowany motyw, sierp i młot na czerwonym tle. Dowód, że ten facet nie kłamie, że nigdy nie kłamał. Jak galony obnosił przed ludem swe przestępcze czyny... Poskładała ulotkę i z uśmiechem wsunęła ją do tylnej kieszeni szortów. Jest jeszcze nadzieja dla tego kraju.

I naraz ujrzała go - wychodził z Terra e Mar wyraźnie podchmielony w towarzystwie paru kumpli. Zauważywszy dziewczynę, trzej natychmiast podeszli bliżej; mieli muskulaturę i elastyczne ruchy ludzi uprawiających capoeirę.

- Patrzcie tylko, co tu mamy... Śliczna laseczka szuka faceta...
- I chyba nie bardzo wie, gdzie jest... Założę się, że pewnie by zajarzała, zanim pójdzie spać.
- A gdzież to wędrujemy, Czerwony Kapturku? W samym środku Pirambú z takimi cycuszkami...

Otoczyli ją. Czują ręce na ramionach, na pośladkach. Jeden z facetów głaskał się po przyrodzeniu, nie odrywając od niej oczu.

- Aynoré!... - jęknęła, z głębi swej rozpaczki nie mogąc więcej wykrztusić.
- Znasz ją, *Indio*?
- Przyssała się jak pijawka - rzekł Indianin, spluwając. - Nie żałujcie se, jest wasza.

Sylwetki, które zabierały Moemę, zostawiały za sobą długie świetliste smugi. Przestrzeń między ciałami zaczęła wibrować, Moema czuła to fizycznie niczym aurę magnetyczną, nieprzebytą osłonę.

Na wyniesieniu, gdzie ją położyli, biała czapła kroczyła pośród odpadków ostrożnie, jakby badała

egipskie hieroglify.

## FAWELA PIRAMBÚ

*Księżniczka Królestwa-gdzie-nikt-nie-dociera...*

Dobry dzień... Ludzie mają wprawdzie węza w kieszeni, ale w końcu zawsze coś tam skapnie. To tylko kwestia cierpliwości i właściwego podejścia. Nelson raz jeszcze przeliczył zwitek banknotów, podzielił je na dwie części i wygrzebał z ziemi żelazną puszkę, w której trzymał oszczędności. Sprawdził, czy wilgoć nie zaszkodziła zawiniętej w plastikowy worek kasie, dołożył dzisiejszą zdobycz i czym prędzej na powrót wszystko ukrył. Sto pięćdziesiąt trzy tysiące cruzeirów... Potrzebuje jeszcze trzysta tysięcy, żeby kupić wymarzony fotel na kółkach. Wspaniałą maszynę, którą trzy lata wcześniej widział w mieście, w dzielnicy bogaczy. Chromowane talerze kół, kierunkowskazy, czterocylindrowy silnik Hondy... To caczusko da się kierować jedną ręką i może osiągnąć nawet czterdzieści na godzinę! Nelson dotąd szukał, aż znalazł sklep, w którym sprzedawano to чудо, i chodził tam od czasu do czasu, by podziwiać je przez szybę i kontrolować cenę: kiedy zaczął oszczędzać tuż po tym, jak po raz pierwszy go zobaczył, fotel kosztował sto czterdzieści pięć tysięcy cruzeirów. Dzisiaj prawie trzy razy tyle. Niedobrze mu się robiło na myśl, że kiedyś mógł go kupić za kasę, którą dzisiaj miał w puszcze... Jakby na złość: im więcej udawało mu się zaoszczędzić, tym bardziej fotel drożał. Można by pomyśleć, że ktoś dba o to, aby był dla niego nieosiągalny. Mimo to wbrew wszelkiej logice

Nelson nie tracił nadziei: pewnego dnia posadzi tyłek na tym cholernym fotelu i pojedzie zebrać jak młody lord. Zé pomoże mu podrasować silnik, tak że będzie jeździł sześćdziesiątką albo i siedemdziesiątką! Wszystko będzie o tyle łatwiejsze... Pod przykryciem nikt nie będzie widział, że zamiast nóg ma pokurczone, pogięte kikuty jak poronione ciele.

Zdenerwowały go te myśli o przyszłych dniach chwały. Postanowił, że popatrzy na przejazd pociągu towarowego. Zawsze go uspokajał widok lokomotywy wyrzucającej w ciemność nocy iskry i mrugające światła.

Wyszedł ze swojej budy, nie zastawiając wejścia kartonową płytą. Świat się taki porobił, że nawet nędzarze okradają się między sobą, lepiej więc zostawić otwarte i zapaloną lampę, żeby się wydawało, że ktoś jest w środku. Tory były jakieś trzysta metrów od niego, szybko posuwał się w ich kierunku, nie bojąc się szcurów, które jego kalekie ciało odstraszało niemal równie skutecznie jak ludzi.

Najlepsze miejsce było tuż za budą Juvenała. Z otaczającego go wału prawie czystego piasku mógł obserwować, jak pociąg nadjeżdża, widział, jak zwalnia przed sygnalizatorem i przejeżdża w odległości niecałych trzech metrów. Juvenał w końcu przywykł do tego łomotu: nic nie było w stanie go obudzić z wyjątkiem zapachu kaszasy. Śnił o trzęsieniach ziemi i całą noc biegał, by uciec przed przepastnymi otchłaniami, które rozwierały się pod jego stopami.

Nelson przeżywał właśnie w myślach swoje zwycięstwa w maratonie: wpada sam na stadion i pośród burzy oklasków przyspiesza na finiszu, gdy z łoskotem metalu pociąg wychynął z mroków nocy. Spalinowy potwór parł przez nieprzenikloną ciemność, jego żółte ślepie badały drogę; koła pożerały szyny, co rusz strzelały snopami czerwonych iskier, wyrzucały fontanny ogni jak przy spawaniu palnikiem...

W tejże chwili Nelson ją zobaczył - podniosła się ze szczytu piaskowego wału i rzuciła na potwora. Kopała, z całych sił waliła w ruchliwą skorupę wagonów, jak oszalała zdzierała sobie pięści. Za każdym razem odrzucała ją do tyłu, chwiała się na nogach, podnosiła ręce i krzycząc przeraźliwie, z pochyloną głową, znowu przypuszczała atak. W ogłuszającym porywie gniewu łoskot pociągu wzmógł się, i jeszcze, i jeszcze. Zmiażdży tę piękną księżniczkę! Nelson jak najszybciej czołgał się w jej stronę, wołając, aby się odsunęła.



Kiedy w piekielnym zgiełku żelastwa, który bez końca rozbrzmiewał aż po horyzont, wyłonił się przed nią ten koszmarny pokurcz, Moemę na moment ogarnął paniczny strach. Chciała uciekać, lecz osunęła się na ziemię bez sił.

Nelson własnym oczom nie wierzył: jego księżniczka szlochała, żalonym głosem wzywała mamę, skulona na ziemi, z rękami wsuniętymi między uda. Z wyjątkiem koszulki rozdartej na całej długości, trzymającej się tylko na obszyciu dekoltu, nie miała na sobie nic, była zupełnie naga, ciało miała zakrwawione, utyłane czymś czarnym, wszędzie, na brzuchu, na twarzy... Duże fioletowoczarne siniaki zdeformowały jej piersi...

Położył się obok, nie dotykając jej, i mówił, długo mówił tylko po to, aby słyszała jego współczujący szept, aby powoli się uspokoiła:

- Nie płacz, wszystko będzie dobrze, zobaczysz... Nazywam się Nelson, taki się urodziłem, z powykręcanyimi rękami i nogami... Nie trza się mnie bać, nic ci nie zrobię... Co za skurwysyn tak cię urządził? Znajdę go, przysięgam, zapłaci za to... Weź moją koszulkę, księżniczko, okryj się. Chodź, poczekasz u mnie do rana... Naprawdę nie możesz tu zostać... Dam znać wujkowi Zé, on wszystko załatwi, słowo... No nie leż tu tak, chodź... Opowiem ci coś, znam mnóstwo historii... „O dzielnym Janie i księżniczce Królestwa-gdzie-nikt-nie-dociera”, „Królowna Śnieżka i żołnierz Legii Cudzoziemskiej”, „Opowieść o tajemniczym pawiu”...

Oddalał się o kilka metrów, namawiając dziewczynę, aby za nim szła, wracał, bełkotliwie wymieniając wszystkie tytuły cordeli, jakie mu przychodziły na myśl, by otułały ją nawiedzonymi obietnicami: „Bogini z Maranhão”, „Historia siedmiu miast i króla zakłęb”, „Marianna i kapitan statku”, „Ronaldo i Zuzanna na rzece Miramar”, „Cierpienia wróżki Alziry”, „Rachela i smok”, „Niezwyczajne losy księżniczki Elizy”, „Historia Pieśni Ognia i jej spuścizny”, „Władczyni Sodomy”, „Róża z Mediolanu i księżniczka Krystyna”, „João Mimoso i przeklęty zamek”, „Książę Oskar i Królowa Wód”, „Lindalva i Indianin Juracy”...

## ROZDZIAŁ XXVI

*W którym relacjonuje się ciąg dalszy powieści  
Johanna Gruebera na temat chińskiej medycyny*

**P**rzy stole rozbrzmiały pełne niesmaku pokrzykiwania, którym towarzyszyło wykrzywanie się ze wstrętem. Bernini zaklinał się na wszystkie świętości, że nigdy nie pojedzie do Chin, gdyby się tam bowiem rozchorował, leczono by go na miejscu. Kircher kręcił głową, przyzywając na świadków Galena & Dioskuryda. Ja zaś prosiłem Pana Boga, aby ten cudowny wieczór nigdy się nie skończył, tak mnie uszczęśliwiała ta pogawędka.

- No to siup w spragniony dziób! - zawołałem & sam się zdziwiłem. - Piję za płynne wydaliny & za zadziwiające właściwości biegunki!

- No to siup w spragniony dziób! - podchwycili moi towarzysze, po czym wychyliliśmy kielichy.

- A co byście powiedzieli, waszmościowie - ciągnął ojciec Grueber - gdybyśmy się skupili teraz na chorobie kości? Nieco zageszczonej uryny trzyletniej dziewczynki w mgnieniu oka jej zaradzi. Cukrzyca?... Podajcie choremu do wypicia filiżankę tejże cieczy, tyle że pobranej z publicznej latryny! Utrata krwi?... Podobnie, ale w ilości pięciu pint! Martwy płód do spędzenia?... Dwie pinty wystarczą. Śmierzący pot?... Oplukiwać pachy kilka razy dziennie...

- Wielki Boże! - jęknął Kircher, zatykając sobie nos.

- Wszystko można wykorzystać, powiadam wam... A to jeszcze nie! Musicie bowiem wiedzieć, że cesarz Tu Sung poświęcił ongiś własne bokobrody, aby wyleczyć swego drogiego Li Szuna, „wielkiego erudyty do

spraw uniesienia w utworach poetyckich”, ponieważ popiół z nich jest dobry na flegmonę... Ukąsał was wąż, a nie macie kamienia *della cobra*, cóż więc począć? Bez obaw: tuzin włosów łonowych należy długo ssać, a to zapobiegnie rozchodzeniu się jadu w żyłach. Małżonka ma trudny poród?... Nic prostszego: niechaj połknie czternaście włosów łonowych wymieszanych z sadłem, a rozwiązanie nastąpi niebawem...

- A cóż nam tutaj opowiadacie? - wykrzyknął Kircher, ocierając łzy śmiechu. - Gdybym nie miał do was takiego zaufania, nie uwierzyłbym w jedno nawet słowo.

- I popełnilibyście błąd, ponieważ jedynie powtarzam to, o czym wie każdy chiński medyk.

- Gdyby ojciec Roth was słyszał!... - parsknął Kircher. Po czym przywołując gniewną minę na oblicze, wycelował w Berniniego oskarżycielsko palec. - O jakąż mądrością wykazali się ci poganie, którzy prawnie zakazali pięćdziesięcioletniemu mężowi korzystać z usług medyka, twierdząc, że to oznaka zbytniego przywiązania do życia! Zarówno pośród Chińczyków, jak & pośród chrześcijan bywają osiemdziesięciolatekowie & starsi, którzy nawet nie chcą słyszeć o tamtym świecie, jakby w ogóle nie pragnęli go oglądać! A czyż nie wiecie, że Kain, najgorszy człowiek, jaki chodził po tej ziemi, otrzymał życie w karze za swą zbrodnię? I wy byście chcieli w życiu widzieć nagrodę?

- Ale przecie trzeba żyć, zobaczyć świat... - podchwycił Bernini podobnie prześmiewczym tonem, udając wszakże, że już resztką sił się broni.

- A czymże jest życie? Człowiek w kółko ubiera się & rozbiera, wstaje, kładzie się spać, je & śpi, bawi się, żartuje, targuje się, sprzedaje, kupuje, muruje, zbija deski, spiera się, naśmiewa, podróżuje & bez ustanku obraca się w kołowrocie ciągle tych samych czynności, & wiecznie jest niewolnikiem ciała, jak jest się niewolnikiem dziecka, chorego czy obłąkanego.

- Zapominacie, ojcze, o czymś nader ważnym, co w zupełności by usprawiedliwiało mój żywot...

- *Vade retro, Satanas!* - huknął Kircher ze wzrokiem roziskrzonym radością. - Trzeba zobaczyć świat, powiadacie, & żyć pośród żywych! A gdybyście cały swój żywot spędzili w więzieniu & ów świat widzieli tylko przez zakratowane okienko, dość byście się go przecie naoglądali! A cóż takiego jest na ulicach? Ludzie, domy, konie, muły, karety...

- I niewiasty, drogi ojcze... Urodziwe gołąbeczki, milutkie turkaweczki, które nadają życiu smak!

- Ladacznice, które zalatują rybą! Rozwiązłe dziewczki, które krążą jak pijane ryby w morzu & częstokroć za jedyną ich zasługę poczytać można, że zarażą was franca & posła na tamten świat! O Panie Boże, jakże próżna jest nasza egzystencja! Zaiste, czyż dla niej ludzie oszukują swego Pana, odchodzą od Niego & starają się przeżyć jak najwięcej lat utkanych przecie z szaleństw, pracy & zgryzoty? Ach, nie czyńcież, bracia chrześcijanie, jak noworodki, które z wrzaskiem wylaniają się z krwi & nieczystości, by ujrzeć światło dnia, niemniej nigdy nie chcą wrócić, skąd przyszły!

- No, nie tak nigdy... - wtrącił Bernini frywolnym tonem.

- Och, błagam!... - szepnąłem czerwony ze wstydu.

Moi trzej współbiednicy jęli sobie ze mnie w przyjaznym tonie pokpiwać.

- Dajże spokój, Casparze - rzekł w końcu mistrz mój - tak sobie tylko gawędzimy & zapewniam cię, że nic w tym nagannego. Szydzi się ze wszystkiego, mawiał biedny Scarron, ponieważ każdy medal ma drugą stronę. Roześmiej się diabłu w twarz, a zaraz zobaczysz, jak zmienia front, bo on przecie wie, że nie ma żadnej władzy nad tymi, co postrzegają groteskową stronę jego natury.

- A skoro przy tym jesteśmy - szepnął Grueber do Berniniego - wyjawię wam, że jest wypróbowany sposób walki ze starzeniem się. Tak przynajmniej twierdził Chińczyk, który mi o tym powiedział. Człowiek jest w powietrzu, zapewniał, a powietrze jest w człowieku. Chciał w ten sposób wyrazić znaczenie życiodajnego oddechu. Ponieważ z wiekiem maleje jego siła, utrzymywał, że należy ją

odnawiać przez dodanie oddechu jeszcze młodego. Systematycznie zatem najmował dziewczątko jakieś albo chłopię, aby nadmiar własnej witalności wdmuchiwało mu przez nozdrza, pępek & przyrodzenie!

- O nieba! Tylko tyle? - wykrzyknął Bernini rozweselony do granic. - No to mogę wam wyznać, że od dawna stosuję to zalecenie, choć nigdy nie zauważył innych skutków prócz większej słabości...

Grueber z Berninim nadal gwarzyli sobie w tym tonie, ja wszakże nieuważniem już słuchał, spostrzegłszy, że mistrz mój ma mętny wzrok & zdaje się dziwnie skupiony. Pomyślałem, że czuje się zmęczony, co o tak późnej

nocnej porze byłoby w pełni uzasadnione. Moje domysły potwierdziły się niebawem, ponieważ wstał od stołu & przeszedł do przyległego pomieszczenia. A że dość długo nie wracał, postanowiłem pójść za nim, co też uczyniłem, idąc ostrożnie z powodu zawrotu głowy, którym poczuł, podnosząc się z miejsca. Mistrz mój stał przy biblioteczkę & wyglądało na to, że porządkuje książki, a kiedy podszedł blisko, ujrzałem, że po prostu skrupulatnie wyrównuje ich grzbiety... Chociaż w głowie mi się mąciło, uderzyło mnie owo niezwykłe zachowanie, ażem się mocno zaniepokoił. Rozejrzałem się po izbie, utwierdzając się w swym przekonaniu: opanowany osobliwą manią Kircher starannie poukładał w porządku malejącym wszystkie przedmioty, z którymi mógł to zrobić: gęsie pióra, kałamarze, pręty wosku, manuskrypty, słowem wszystko, co może się znajdować w pracowni, leżało w takim właśnie porządku - dziwactwo owo zaniepokoiło mnie do głębi. I nie zdziwi cię, Czytelniku, że ogarnęło mnie prawdziwe przerażenie, kiedy mistrz mój wolno się odwrócił & spojrzał na mnie nieruchomym wzrokiem martwej ryby!

- Duch, Casparze - rzekł zgaszonym głosem - duch zawsze będzie panował nad materią... Tak to już musi być, czy się podoba to komu czy nie, aż po wsze czasy! Rozumiesz, prawda? Powiedz, że to rozumiesz...

Byłem tak ożywiony, że w tym stanie, prawdę powiedziawszy, zrozumiałbym znacznie bardziej skomplikowane spostrzeżenia. Toteż czym prędzej zapewniłem Kirchera, że rozumiem, & zacząłem go nakłaniać, aby udał się na spoczynek. Bez oporu pozwolił się ułożyć do snu, ja zaś wróciłem do naszych gości.

- ...że Inkowie, władcy Peru - usłyszałem Gruebera - nadawali szlachectwo, przekłuwając uszy. Nie mam nic do przekłuwania uszu przez niewiasty, ponieważ w każdej epoce & w każdym miejscu robiły to z próżności. Stąd zresztą narzekanie Seneki, że w każdym uchu noszą dwu- albo & trzykrotną wartość swego dziedzictwa. Jakżeby jednak pomstował na niewiasty z ludu Lolo w prowincji Junnan, które przekłuwają sobie koniuszki najintymniejszych części ciała & zawieszają złote kółka zakładane bądź zdejmowane wedle chęci! Co prawda mężczyźni wcale nie są skromniejsi, noszą bowiem dzwoneczki wykonane z różnych metali zamocowane do przyrodzenia albo wsunięte pod napletek & potrząsają nimi, kiedy na ulicy ujrzą niewiastę, która im się podoba. Niektórzy uważają ów wymysł za remedium na sodomie powszechną we wszystkich dzielnicach, choć nie bardzo pojmuję, na czym miałyby polegać działania zapobiegawcze.

Wykorzystałem, że zamilkł, & powiadomiłem kawalera Berniniego & jego rozmówcę o tym, co się przytrafiło mistrzowi mojemu. Grueber nie okazał w ogóle zdziwienia; z uśmiechem na ustach objaśnił mi, że ziele *quei* wywołuje niekiedy takie zaburzenia, lecz to nic poważnego - nazajutrz nie będzie po tym śladu. Obydwaj przeprosili, że tak długo zabawili u nas, po czym pożegnali się, życząc mi dobrej nocy.

Nie spełniły się, niestety, ich życzenia. Przez całą noc bowiem dręczyły mnie takie koszmary, że nawet twardość włosienicy nie przeszkodziła sukubom nawiedzać mnie doprawdy skandalicznie...

Nazajutrz, jak zapowiedział Grueber, mistrz mój wstał świeży & wypoczęty. Napomknął o ziele *quei*, zapewniając, że nie wywarło na nim nijakiego skutku. W każdym razie, powiedział, ten lek, jak & jemu podobne rozpraszają nie tyle smutek, ile umysł; z tego powodu nie znajduje żadnego uzasadnienia dla ich

stosowania zarówno przez ludzi zdrowych na umyśle, którzy powinni starać się powiększać w sobie ową boską jasność, aniżeli ją pomniejszać, jak & przez obłąkanych, którzy już jej zostali pozbawieni. Wspomniałszy iście piekielne sny, co to mnie dręczyły minionej nocy, z całego serca przyklasnął owemu potępieniu.

Wróciliśmy do naszych studiów, nadal spotykając się z ojcami Rothem & Grueberem w celu szczegółowego spisanie ich refleksji na temat Chin.

W przejściu komety, któreśmy obserwowali w styczniu roku 1665 wraz z astronomami Laną-Terzim & Ricciolim, dojrzelśmy przepowiednię wielkiego powodzenia dzieła mojego mistrza oraz strasliwą groźbę dla niewiernych & innych ludów Lewantu: „Mundus Subterraneus” dotarł do nas z Amsterdamu. Księga owa, której uczeni oczekiwali równie niecierpliwie jak ongiś „Oedipus Aegyptiacus”, wzbudziła nadzwyczajny zachwyt.

Potem, w czerwcu, doszło wydanie drukiem pracy o znaczącym tytule „Arithmologia”, którą mistrz mój pisać zaczął zaraz po skończeniu „Polygraphia nova”. Kircher zamieścił w niej obszerną część historyczną poświęconą znaczeniu liczb & stosowaniu ich przez Greków & Egipcjan, następnie zaś jasno & rozstrzygająco wykladał żydowską kabałę, jak się jej nauczył od rabina Naftalego Herza ben Jacoba, z którym wytrwale badał „Sefer Jecira” & Zohar, księgi zawierające tę wiedzę. Biegła znajomość języków hebrajskiego & aramejskiego ułatwiła mu to zadanie, pozostające zupełnie poza zasięgiem moich miernych możliwości, tak żem rad był, iż wreszcie pojmuję, co skrywa w sobie ta wspaniała nauka.

I wreszcie, gdy jeszcze nie ucichł szum wywołany tymi dwoma pracami, ukazała się również „Historia Eustachio Mariana”, w której mistrz mój opowiadał, w jakich okolicznościach odkryliśmy sanktuarium Matki Bożej Mentorellskiej, & krok po kroku udowadniał, że ów kościół bez wątplenia jest miejscem cudownym. Dzięki wsparciu licznych mecenasów, którzy zainteresowali się owym dziełem, prace restauracyjne & porządkowe zakończono jeszcze w tym samym miesiącu. Pragnąc dokonać godnego otwarcia nowego celu pielgrzymek, Kircher zdecydował, że odbędzie się ono w dzień Zesłania Ducha Świętego, uroczyste & w stosownym skupieniu. Ponieważ papież Aleksander VII obiecał, że przybędzie dokonać poświęcenia kościoła & udzielić błogosławieństwa wiernym, całe rzymskie towarzystwo jęło czynić gorączkowe przygotowania do podróży.

## ALCÂNTARA

*Tylko rzeczy, które unoszą się na morzu...*

Jeśli Eleazard miał kiedykolwiek wątpliwości, czy Moreira na pewno nie jest godzien piastować funkcji gubernatora, teraz to, co wyjawiała mu Carlotta, ugruntowało go w przekonaniu, że pułkownik absolutnie na ten urząd nie zasługuje. Brzemie, które przyjął na swoje barki, już mocno mu ciążyło - niekiedy, mówił sobie, istnieje subtelna różnica między zwykłym donosicielem a obrońcą uciśnionych - za bardzo jednak żył się z tym krajem i jego mieszkańcami, za bardzo buntował się przeciwko korupcji i przekrętom, aby coś go powstrzymało. Będzie działał w zgodzie ze swym przekonaniem, beznamiętnie i bez wyrzutów sumienia. Żeby sprawiedliwości stało się zadość... Tak, tylko jak to zrobić? - dumał, maszerując długim krokiem w kierunku hotelu Caravela.

- Mam coś nowego - powiedział do Alfreda, którego spotkał w sieni. - Musimy pogadać we trójkę. Gdzie Loredana?

- W swoim pokoju. O mało nie zemdląła, Socorra mówi, że nic dzisiaj nie jadła.
- Co jej jest?
- Nie wiem. W każdym razie wygląda źle.

W gruncie rzeczy Eleazard nie bardzo wiedział, dlaczego tak bardzo chce ją wtajemniczyć. Czuł, że

Włoszka buntuje się mocniej niż on, aczkolwiek paradoksalnie lepiej nad tym panuje. Postanowił zatem, że mimo wszystko musi ją zobaczyć, i udał się z Alfredem do jej pokoju.

Loredana kończyła makijaż. Ucieszyła się, słysząc głos Eleazarda, i natychmiast zaprosiła go do środka.

- Nietęgo wyglądasz.
- Przesadziłam wczoraj z kaszasa - usprawiedliwiła się - ale już mi lepiej.
- No to trzymaj się mocno - rzekł Eleazard, kładąc na łóżku fotokopie dostarczone przez Carlottę. - Narada wojenna! Jest sposób, żeby obalić Moreirę.

Dwa dni wcześniej Loredana entuzjastycznie powitałaby tę wieść; teraz jednak jej światem tak wstrząsnęło, że bez emocji wysłuchała relacji Eleazarda.

- Co za bagno! - skwitował Alfredo, gdy Eleazard skończył omawiać zawartość otrzymanego dossier.  
- Teraz go mamy! Żeby tylko tego nie spartaczyć.

- Właśnie dlatego chciałbym posłuchać, jakie jest wasze zdanie. Myślę, że to nie będzie proste...

- Starczy iść na policję z tymi kwitami - wpadł mu w słowo Alfredo, który natychmiast się połapał, że palnął głupstwo. - To znaczy, może nie na policję, z nimi nigdy nie wiadomo... Ale gazety, tak... Powie się, że doniosła na niego własna żona, i...

- I co? - zagadnęła uprzejmie Loredana. - Jeżeli sprawa zostanie podana do publicznej wiadomości, będą mieli dość czasu, żeby pozacierać ślady i pyskować, że to wszystko pomówienia.

- Jeżeli nie znajdziemy facetów, którzy popełnili morderstwo, cokolwiek zrobimy, nie zda się na wiele - przyznał Eleazard.

- To już lepiej - zgodziła się Loredana. - Wskazując na morwę, gań szupin.

- Proszę?

- Sztuczka numer dwadzieścia sześć w walce o zagarnięcie terenu... Taki podstęp Chińczyków. Tłumacząc na nasze: dopadniemy gubernatora za pośrednictwem jego adwokata. Trzeba więc zacząć od jego ludzi, a że mniej więcej wiemy, gdzie ich szukać...

- Już ja ich zmuszę do gadania, jeśli o to chodzi - oświadczył z mocą Alfredo.

- Proszę cię, przestań wygadywać bzdury. Nie znacie jakiegoś prokuratora albo sędziego, któremu można zaufać? Chodzi mi o kogoś, kto nie jest na ich usługach. To by nam ułatwiło...

- Jest niejaki Waldemar de Oliveira - powiedział Eleazard. - Młody prokurator z Santa Inês. Parę razy robiłem z nim wywiad w związku ze sprawami, które prowadził. To uczciwy człowiek. Cieszy się opinią nieprzekupnego. Tylko że to nie bardzo leży w jego zakresie działania.

- Ale przynajmniej machina zostanie puszczona w ruch. Proponuję zrobić tak...

Kiedy Alfredo pojechał do São Luís, by uprzedzić swoich maoistowskich kumpli z partii komunistycznej, Eleazard i Loredana wrócili na plac Pelourinho. Przez kilka godzin pracowali nad paroma tekstami mającymi ujawnić tajemnicę. Przedstawiali w nich sporo szczegółów na temat spekulacji Moreiry, obnażali mechanizm, który doprowadził do śmierci rodziny Carneiro i po nazwisku oskarżali Wagnera Cascuda, że ukrywa morderców w swoim domu na wsi. Dziennikarze z radości będą skakali pod sufit!

- Co ci jest? - zapytał Eleazard, gdy skończyli poprawiać na komputerze ostateczną wersję listu do prawnika.

- Nic, jestem zmęczona - odparła Loredana, nalewając sobie kaszasy. - Czarne myśli, to się zdarza... Nie masz dosyć tego kraju?

- W zasadzie nie. Lubię tych ludzi. Z nimi wszystko jest możliwe. Nie dźwigają jak w Europie takiego bagażu na plecach. Bo ileż trwa ich historia? Czteryście, pięćset lat? Pewnie uznasz to za naiwność, ale patrząc na nich, zawsze myślę o książce Zweiga „Brazylia, ziemia przyszłości”. Czytałaś?

- Tak, niezła. Niemniej dziwne mi się wydaje, że facet, który coś takiego napisał o tym kraju,

postanowił tutaj odebrać sobie życie.

- Powodem jego śmierci była właśnie Europa, nie Brazylia. Podobnie było z Walterem Benjaminem. Obydwu potworności faszyzmu doprowadziły do ostateczności. Oni zwątpili w ludzi i w swój kraj tak bardzo, że trudno nam to sobie wyobrazić...

- Jak daleko jesteś z Kircherem?

- Prawie skończyłem. Oczywiście pierwszą wersję. Ale idzie mi coraz ciężiej. Są rzeczy nie do sprawdzenia, do innych znowu brakuje mi materiałów... Najgorsze, że zaczynam się zastanawiać, na co komu ta robota...

W zadumie zaczął przygryzać wewnętrzną stronę policzka.

- Prześnij tak robić - poprosiła Loredana, pokazując, o co jej chodzi. - Wybacz, ale to denerwujące. Jaka robota? Twoja czy biografia Schotta?

- Jedno i drugie - wyjaśnił Eleazard, wytracony z równowagi uwagą Włoszki i własnymi wysiłkami, aby nie zacząć na nowo przygryzać policzka. - To dużo trudniejsze, niż sądziłem. Jak opatrzyć przypisami biografię, zwłaszcza tak mało obiektywną jak ta, nie pisząc drugiej biografii? Jeśli chcę na przykład ustalić, jaka naprawdę była natura stosunków, które łączyły Peiresca i Kirchera, nie mogę się ograniczyć do jednej czy dwóch opinii zaczerpniętych z listów Peiresca do Gassendiego albo Cassiana dal Pozzo. W gruncie rzeczy nie ma przecież powodu, żebym jemu ufał bardziej niż Schottowi czy samemu Kircherowi. Chcąc dojść do tego w miarę obiektywnie, powinienem poznać najdrobniejsze szczegóły ich relacji, przestudiować biografię Peiresca równie dokładnie jak Kirchera, potem Gassendiego, Cassiana i tak dalej, i tak dalej. Robota bez końca!

- W „Zhuangzi” jest opowiadanie, która streszcza to, o czym mówisz. Cesarz rozkazuje, aby narysowano mu bardzo dokładną mapę Chin. Wszyscy kartografowie natychmiast łapią się za pędzelki z wyjątkiem jednego, który spokojnie siedzi sobie w pracowni. Dwa miesiące później, kiedy zostaje zapytany, gdzie jest owoc jego pracy, wskazuje widok za oknem: jego mapa jest tak dokładna, że ma rozmiary cesarstwa, jest samymi Chinami.

- Borges też o tym wspomina - uśmiechnął się Eleazard. - Ładny paradoks, ale co właściwie mówi? Że nie należy nic robić? Że nie można napisać biografii Kirchera, chyba że jest się Kircherem i wszystkimi innymi równocześnie?

- Dla mnie to jasne - powiedziała Loredana, wstając. - Jeżeli w grę wchodzi prawda, to kosztem dokładności. Prawidłowe pytanie brzmi: mapa, biografia czy przypisy do biografii, *perché no*, tylko po co? Mapa, żeby jechać dokąd? Żeby podbić którą prowincję? A jeśli przypisy, to żeby czego dowiedzieć? Że Kircher był nieudacznikiem, geniuszem, albo tylko tego, że ty masz na ten temat wiedzę znacznie szerszą niż ogół ludzi? Wiesz doskonale, że ważna jest nie sama erudycja, tylko to, co wnosi. Liczące kilka zdań objaśnienie może lepiej odkryć sedno niż osiemset stron poświęconych temu samemu...

- Jak zwykle dążysz do efektywności, he? Naprawdę zadziwiasz mnie pod tym względem! Przyznam, że zrobiłaś na mnie przedtem wrażenie: robimy tak i tak, to i tamto... Widziałaś minę Alfreda? Jakby miał przed sobą Evite Perón!

- Ludzie nie są tacy głupi, jak ci się wydaje. Alfreda dość łatwo można owinąć sobie wokół palca, ale osobowość ma dużo bardziej złożoną, niż świadczą pozory. Kiedy to do ciebie dotrze, może będziesz miał mniej problemów z Kircherem... No, wracam do siebie. Padam na twarz... Ty też lepiej połóż się wcześniej, jeśli jutro rano chcesz być w formie. Nie zapominaj, że masz jechać do Santa Inês.

- Na pewno nie chcesz zostać?

Loredana zdjęła rękę Eleazarda ze swojego ramienia, delikatnie» lecz stanowczo.

- Na sto procent, caro... Żle się czuję, rozumiesz?

- Kolejna chińska sztuczka, prawda? - rzekł Eleazard ze smutnym uśmiechem. - Który ma numer?

- Daj spokój, dobrze? Mylisz się... Co do mnie, co do Kirchera, prawie we wszystkim się mylisz... Człowiekowi pozostaje tylko strategia, kiedy etyka zawodzi. A etyka zawodzi, kiedy zabraknie wartości absolutnych. Jeśli wierzysz w jakiegoś boga czy coś w tym rodzaju, wszystko jest łatwiejsze.

- Uważasz, że nie wystarczy wierzyć w ludzi?

- Mówimy o wartościach absolutnych! A wybac, ilu ludzi, tyle definicji człowieczeństwa, i to przez wielkie C. Ostatecznie może być wiara w życie, w ogół wszystkiego, co żywe, ale nie w człowieka, w żadne stworzenie, które jest zdolne zabijać dla przyjemności...

- I zarazem jedyne obdarzone świadomością, tak? Przynajmniej z tego co wiadomo... A co z rozumem?

- Świadomością czego? Siebie? Swej totalnej wolności? Względności dobra i zła? Żadne pojęcie nie wytrzymuje zderzenia z prostym faktem, że musimy umrzeć, a skoro potem nic nie ma i jesteśmy o tym przekonani, wszystko jest dozwolone. Rozum nie stwarza żadnej nadziei, jest tylko w stanie nadać imię rozpaczy...

- Zbyt czarno to widzisz! Jestem pewien, że...

- Już nie mogę - przerwała mu Loredana. - Kiedy indziej, dobrze?

- Wybac. Odprowadzę cię.

W drodze do hotelu Loredana przystanąła na chwilę, by popatrzeć na roje robaczków świętojańskich, które rozjaśniały prostokąty okien w fasadzie otwartej na noc.

- Piękne - powiedziała. - Jakby ktoś zapalił świeczki.

Po powrocie do pokoju w hotelu Loredana wyciągnęła się na nieposłanym dużym łóżu. I niemal natychmiast pożegnała się z nadzieją na sen. Myślała o ruinach Apollonii i o tej chwili sprzed paru miesięcy, kiedy to pragnęła umrzeć, aczkolwiek była w znacznie lepszej formie niż teraz. Pojechała do Cyrenajki w jednym celu: aby po raz ostatni wrócić do krainy swego najwcześniejszego dzieciństwa. Libijczycy, którzy ongiś pracowali z jej ojcem, postarzelisi, owszem, najwyraźniej jednak zmienili się mniej niż ona, ponieważ każdego od razu rozpoznawała, oni natomiast z trudem dostrzegali ruchliwą dziewczynkę w dojrzałej kobiecie niezręcznej jak nastolatka. Położony na wzniesieniu budynek Casa Parisi niknął teraz pod eukaliptusami, których pnie Loredana przyginała w tamtych czasach, aby oglądać drżenie ich koron w słońcu. Szahhat, współczesne miasto, podupadło: można by powiedzieć, że spieszo mu dopasować się do ruin, że jest posłuszne mrocznym głosom Cyreny i tworzącej ją starożytnej nekropoli. To dążenie do upadku szczególnie było widoczne w Marsa Susa, której dzielnica włoska, podniszczona już we wspomnieniach Loredany, wyglądała jak po bombardowaniu. Budynek służb celnych, kapitanat, hotel Italia, kawiarnie i restauracje z ocienionymi tarasami... Tego już nie było albo pozostały nędzne resztki: w wypatroszonych budynkach - czasem dawało się je zidentyfikować tylko po szczątkowych literach szyldu na fasadzie - buszowały stada kóz, grzebiąc w śmieciach. Liczne szkielety samochodów osobowych i ciężarowych, już do połowy przysypane piaskiem, jakby

postanowiły przetrwać dla wątpliwej potomności. W okolicach portu potargane worki plastikowe powiewały na szczątkach łodzi, które białeły na brzegu niczym muzealne megaptery. Podziurawiony jak sito przez rdzę holownik górował nad nabrzeżami ze szczytów swego ostatniego suchego doku. Młodzi Arabowie zabawiali się, skacząc do wody z nadbudówek barki i trzech wielkich transportowców zatopionych w basenie portowym. W porównaniu z tym przerdzewiałym rumowiskiem stanowisko archeologiczne w Apollonii prezentowało się niczym wzorowo utrzymane czyste miasto: widoczne zza cmentarnej bramy zamykającej port, dokładnie u stóp latarni morskiej, strzeliste bizantyjskie kolumny wieściły coś na kształt edenu, do którego miało się ochotę jak najszybciej uciec. Chociaż ojciec najwięcej czasu spędzał w Cyrenie, na placu budowy w rynku, Loredana najchętniej i najserdeczniej wspominała go w tej ostoi spokoju. Co piątek we

trójkę przyjeżdżali tu starą drogą, która wiała się między grobowcami i pomnikami zarosłymi krzakami, na krótko wciniała się między cętkowane zbocza Dżabal Achdar, po czym opadała gwałtownie ku wybrzeżu. Loredana widziała siebie, jak z zapachem świeżego chleba w nozdrzach biegnie potem plażą, ogarnięta bijącą od blasku i słońca radością życia, którą nawoływanie muezina powiększało niekiedy aż do granic wytrzymałości. Jej matka w białym, obcisłym kostiumie kąpielowym, opalona na złoto jak aktorka filmowa, czytała w stożkowatym kapeluszu, a Loredanie wystarczyło podnieść głowę, aby zobaczyć ojca siedzącego na zakopanym do połowy kapitelu lub na klęczkach odsłaniającego jakieś tajemnicze fundamenty, które iście magicznie wylaniały się spod jego łopatki. Profesor Goodchild przychodził się przywitać, pokazywał swemu włoskiemu koledze postępy we własnych pracach archeologicznych, a na koniec zawsze go zapraszał na szklaneczkę bourbona w dawnej reducie służącej za bazę ekipie amerykańskiej.

W gruncie rzeczy nic się nie zmieniło, tyle że nie było tam jej ojca ani Goodchilda, ani innych, co do głębi modyfikowało jej postrzeganie świata. Jedyne ruiny dotrzymały wierności dziecku, którym niegdyś była; wierności bezwarunkowej, jakiej dochowują psy i groby.

Poczekwała do piątku, by wtedy wrócić na teren wykopalisk z tą samą niecierpliwością, z tym samym bolesnym pragnieniem, które ją ongiś ogarniało, kiedy wrzucano jej maskę i pletwy na tył dżipa. Szyny wąskotorówki były jeszcze tu i ówdzie widoczne między kopczykami czerwonej ziemi podnoszonej przez krety. Widziane z daleka rzędy regularnie rozmieszczonych kolumn trój nawowej bazyliki przywołały z odmetów pamięci „klatkę na muchy”.

- Klatka na muchy! - obruszał się profesor Goodchild, marszcząc brwi. - Moja bazylika klatką na muchy! Coś podobnego! *You, good for nothing child, I'll tell it to Miss Reynolds, when she comes, you know, and what will you do, then?*

Samo wspomnienie tego epizodu warte było poniesionych trudów podróży...

Doszedłszy do starożytnego teatru na drugim skraju stanowiska, przysiadła na chwilę na najniższym stopniu widowni, w ulubionym miejscu ojca. Za sceną w dole morze było tak spokojne, tak przejrzyste, że dokładnie widziała kształty podwodnych ruin. Na prawo od orkiestry między skalnymi blokami jakimś cudem wyrosła dorodna palma. Niedaleko Loredany na oślepiająco białym wapieniu przycupnęła małutki kameleon i wpatrywał się w nią ze wzdorną wyższością. Obserwując go, pomyślała, że okoliczności nigdy nie były odpowiedniejsze: właśnie teraz, w samo południe, jest najlepsza pora na pożegnanie. Na otwarcie sobie żył. A potem poczeka grzecznie, aż upodobni się do tego zwierzątka, które zdawało się skupiać w sobie cały żar słońca.

Umrze daleko od swego miasta, daleko od Rzymu tak przyjemnego wiosną, kiedy ciepło nareszcie uwalnia uśpione dotąd ciała. Człowiek nie słyszy wtedy warkotu samochodów jeżdżących wokół Koloseum ani gniewnych gwizdków karabinierów. Niemal w oczach na każdym kroku pączki pojawiają się i rozwijają, mnożą w nieskończoność. Wyrostki handlujące na ulicy upajają się własnym przechodzącym mutacją głosem. Zdziwione ćwierkanie wróbli rozbrzmiewa w wąskich uliczkach.

Na piazza Navona woda szmerze pod posągiem symbolizującym Nil...

Tak, pomyślała, oburącz podpisując się pod najpiękniejszym zdaniem, jakie kiedykolwiek skreślono, właśnie tego chce, chce „umrzeć powoli i w skupieniu, w taki sposób, jak dziecko ssie pierś”.

Potem stado czerwonaków przefrunęło nad wyspami, naprawdę karmazynowa masa tych wielkich niezdarnych ptaków. A nią ten wspaniały widok wstrząsnął do głębi. Na horyzont wychynęło coś, co dobitnie kazało jej się wstrzymać, poczekać, aż się wypełni to wszystko, co przeznaczyło jej życie.

Zamiast więc otworzyć sobie żyły, weszła na scenę i stojąc twarzą do widowni, wyrecytowała jedyny wiersz, jaki znała na pamięć:

*In questo giorno perfetto*

*In cui tutto matura*



*E non l'uva sola s'indora,  
Un raggio di sole è caduto sulla mia vita:  
Ho guardato dietro a me,  
Ho guardato fuori,  
Ne mai ho visto tante et così buone cose in una volta...*

Loredana otworzyła oczy i popatrzyła na zegarek: ponad pięć godzin do świtu. Czuła się winna wobec Eleazarda. Zamierzała się przed nim wytłumaczyć, lecz cofnęła się w ostatniej chwili, za to omal mu nie wyjawiała, że pierwszym samolotem odlatuje do Rzymu. Zastanawiała się, jakie wspomnienie zachowa z jej krótkiej ingerencji w swoje życie. Cztery lata wcześniej spróbowała się z nim związać. Wzbudzał zaufanie, był uczciwy we wszystkim, nawet kiedy wątpił...

Wagner dokładniej przeanalizował treść anonimowego listu, po czym zamknął go w sejfie. Na pozór przesyłka była jedynie przyjacielskim ostrzeżeniem, niemniej kryła się w niej groźba: nad wyraz zaniepokoiło go bowiem, że ktoś tyle wie o jego uwikłaniu w sprawę potrójnego morderstwa, o którym rozpisywały się gazety. Tajemniczy przyjaciel doradzał, aby przedsięwziął odpowiednie kroki, zanim wszyscy się dowiedzą o jego współudziale.

Wagner Cascudo zostawił kancelarię na głowie sekretarki i wskoczył do auta. Przez całą drogę głowił się, co powinien zrobić z najętymi ludźmi, którzy ukrywali się w jego wiejskim domu. Ci dwaj kretyni wpakowali go w gówno, i to po samą szyję! Zimny pot oblewał go na myśl, że policja mogłaby ich znaleźć... Kazał im tylko nastraszyć Carneira, żeby podpisał akt sprzedaży działki; w najgorszym razie grozi mu oskarżenie o współudział. Chyba że te głąby dla ratowania własnej skóry zrzucą wszystko na niego... Musi się ich jak najszybciej pozbyć. Co też mu przyszło do głowy, żeby wysłać ich na wieś? I myślał, że taki jest cwany... Wsadzi ich do pierwszego autobusu do Belém, a potem się zobaczy. Po powrocie do

Fortalezy zadzwoni do gubernatora. Do wszystkich diabłów, Moreira musi zamydlić wszystkim oczy. Może nawet zdoła załatwić, że gazety nie opublikują tego demaskatorskiego artykułu, o którym mówiono w liście...

Kiedy dwie godziny później dojechał do Pitombery, był prawie przekonany, że znów panuje nad sytuacją. Otwierając drzwi wiejskiego domku, który za plecami żony wykorzystywał jedynie podczas miłosnych eskapad, zastał Paula i Manuela siedzących przy stole z butelką.

- Zbierajcie graty - rozkazał. - Jedziemy...

Dopiero kiedy powiedział te słowa przygotowane na ostatnich kilometrach drogi, zauważył ich uciekający wzrok i spostrzegł, że coś tu nie gra. W tej chwili do izby wkroczyli policjanci z bronią w rękę.

Spośród późniejszych wydarzeń Loredana nie przewidziała jedynie losu, jaki mieszkańcy Alcântary zarezerwowali trójce Amerykanów z hotelu Caravela. Kiedy wróciła z São Luís z potwierdzonym przez linie Varig biletem lotniczym, tego samego dnia wraz z Eleazardem i Soledade udała się na pogrzeb rodziny Carneiro. Dzień był deszczowy, co jeszcze pogłębiało smutek towarzyszący ceremonii. Setki osób szły w kondukcje zorganizowanym z inicjatywy proboszcza Alcântary. W mijanych domach otwierano okna i drzwi, aby dusze zmarłych miały wolny wstęp.

- Wieczny odpoczynek racz im dać, Panie! - wołano. - A światłość wiekuista niechaj im świeci! Niechaj odejdą w spokoju!

I rzucano wszelkie zajęcia, aby się przyłączyć do konduktu.

- Chodź, bracie dusz! - witał tłum nowo przybyłego.

Nikt nie płakał, aby nie zamoczyć skrzydeł małego aniołka, który mógłby nie dostać się do raju.

Nicanor! Gilda! Egon! Wzywano zmarłych po imieniu, żeby lżej im było w trumnach z białego drewna. Dbano o to, aby pomóc zmarłemu odejść, opiewano godzinę śmierci i chwilę, gdy kogut zapiał po raz ostatni, i świt, kiedy wymieniano części nieruchomego ciała i jego odzienie: lamentacje i litanie odzywały się jękliwą skargą, która echem niosła się pośród zrujnowanych fasad miasta. Przeciągły jęk koloru ochry, rdza znacząca stalowe niebo. Ludzie się upajali, werbel przyzywał deszcz.

Eleazard żywił podejrzenia, że Alfredo był inicjatorem tego, co się stało po powrocie z cmentarza. Z ust do ust coś sobie przekazywano, rosło podniecenie. Niczym lawica ryb, którą w pełni włada osobliwy jakiś magnetyzm, cały tłum znalazł się na placu przed hotelem Caravela. „Wyłazić, jankesi! Śmierć CIA!”. Niemal mistyczny gniew wykrzywił twarze, kazał unosić zaciśnięte pięści. Myślano, że Amerykanie zabarykadowali się w swoim pokoju, lecz Alfredo ich zauważył, gdy wyszli z baru i zbliżali się do zgromadzonych, nie rozumiejąc, że są przyczyną całego tumultu. Poleciał najpierw jeden kamień, a za nim dziesiątki następnych. Mężczyzna podniósł rękę do twarzy, z niedowierzaniem patrzył na krew na swoich palcach. Lud Alcântary, ledwie hamowany przez księdza, który nawoływał do spokoju, podchodził coraz bliżej do obiektów swego gniewu. Amerykanie odruchowo zaczęli się cofać, potem w panice ruszyli biegiem w kierunku przystani. „Dragão do mar” właśnie miał odbić od brzegu, tak że pozwolono im schronić się na pokładzie, nie ścigając dalej. Ci co wdarli się do hotelu, wracali w pośpiechu z bagażami cudzoziemców - walizki poleciały w stronę statku, były jednak niedokładnie pozamykane, otworzyły się więc, zanim dotarły do celu. Morze pokryło się odzieżą i damską bielizną i gruchnęła śmiech dzieciarni uwieszona na nabrzeżu.

Z twarzą zwróconą w stronę oddalającego się promu Loredana skomentowała z rezygnacją pełną zadumy:

- Zakładam, że tak właśnie miało się to skończyć...
- Ale miło to oglądać - rzekł Eleazard, źle zrozumiawszy znaczenie jej słów. - W każdym razie mieli szczęście. Widziałaś te majtki?
- Widziałam - uśmiechnęła się. - Prawdę mówiąc, wcale nie miałam na myśli tych pajaców.

Eleazard spojrział na nią lekko zaskoczony. Na jej twarzy widniało zakłopotanie pomieszane z obawą i przejęciem, które poprzedzają spowiedź. Później, kiedy będzie drążył wspomnienia, pożałuje, że właśnie w tej chwili jej nie pocałował. Bez wątplenia zmieniłoby to bieg rzeczy.

- Więc co miałaś na myśli? - zapytał miękko.
- To przez te walizki - odparła enigmatycznie. - Niewiele zostaje z opowieści, kiedy dobiegnie końca.

Tylko rzeczy, które unoszą się na morzu, jak po zatonięciu statku...

Nadal nie patrząc na niego, poszukała jego dłoni i ujęła ją naturalnym gestem.

- Jestem twoją przyjaciółką, prawda?
- Kimś więcej - odparł Eleazard, próbując ukryć wzruszenie. - Dobrze wiesz...
- Jeżeli będę cię kiedyś potrzebowała... to znaczy, jeżeli wezwę cię na pomoc, choćby z bardzo daleka... przybędziesz?

Tę dziwną prośbę Eleazard przyjął z należytą powagą. Ścisnął mocniej dłoń Loredany, dając do zrozumienia, że cokolwiek będzie się działo, odpowie na jej wezwanie. Uszczęśliwiony, że nareszcie zrzuciła pancerz, nie pojął, iż właśnie w tej chwili go potrzebowała. Być może z jego strony wystarczyłby ten jeden przeblysłk wrażliwości, a zdołałby ją zatrzymać, nie dopuściłby, żeby milezący postój na deskach przystani przeobraziła w pożegnanie. Choć może wcale by nie zmieniła decyzji? Kto to wie? A on się bał, że ją obrazi, próbując wziąć w ramiona, że będzie niedyskretny, pytając, dlaczego jest taka smutna, że sprawi jej przykrość, mówiąc, iż jej lęki nie są warte zachodu - ma przecież przed sobą życie, a on ją kocha.

Czekali razem, aż noc zapadła nad morzem. Potem Loredanie zrobiło się zimno z powodu mżącego deszczu i poprosiła, aby wracali. Trzymając się za rękę, poszli w kierunku hotelu. Żadne nie wymówiło

ani słowa, tak bardzo ścisnęła im gardła pewnością, że wybuchnąliby szlochami. W chwili rozstania pocałowała go w usta. Eleazard patrzył za nią, gdy wchodziła do hotelu, nie domyślając się ani przez moment, że więcej jej nie ujrzy.

## SÃO LUÍS

*Odrobi wszystko w Manaus, i to raz-dwa...*

Idąc po schodach pałacu gubernatorskiego, pułkownik José Moreira da Rocha odnotował stropione miny odzwierciedlonych, którzy wyprężyli się na powitanie. Wszyscy już wiedzą... Szczury! Chyba jednak nie myślą, że będzie siedział z założonymi rękami i czekał? Wiecznie narzekali i skarżyli się na biedę, ale jak przyszło stanąć w obronie szefa, nikt palcem nie kiwnął. W porządku, takie są zasady gry, on zna je najlepiej. Pokażę im, mówił sobie, śląc wymuszone uśmiechy na wszystkie strony, że nikt bezkarnie nie staje mi na drodze! Kiedy wszedł do biura z aktówką pod pachą, pozwolił sobie nawet znacząco otrzeć się biodrem o Anitę. I tak całe szczęście, że przejrzał gazety, zanim przyszedł do siedziby gubernatora! Przynajmniej

pierwszy cios otrzymał w samotności, na tylnej kanapie samochodu, i nie musiał przed tymi hienami panować nad twarzą. Miał też aż nadto czasu, aby opracować plan kontrataku. Nawiasem mówiąc, te gnojki, które przygotowały materiał na niego, wykonały świetną robotę. Pewne szczegóły znały naprawdę pojedyncze osoby, nie mogły więc wyjść na jaw bez współudziału najbliższych współpracowników. Nikomu nie można dzisiaj ufać... Ten kto mu to zrobił, gorzko pożałuje dnia, w którym przyszedł na świat.

- Przegląd prasy jest na biurku, panie gubernatorze - powiedziała sekretarka tonem, który miał być profesjonalny, niemniej przebijała w nim nutka triumfu. - Dzwonił minister Edson Barbosa Junior, prosił o pilny kontakt. Jest też ekipa z wiadomości TV Globo, chcą przeprowadzić wywiad... Wizytówkę dziennikarza włożyłam do kalendarza.

- Dziękuję, Anito - odparł, kładąc płasko dłonie na biurku. - Odwołaj wszystkie przedpołudniowe spotkania, nie chcę nikogo widzieć. Niech Jodinha i Santos przyjdą tu, jak tylko się zjawią.

- Już są.

- Świetnie. - Moreira popatrzył na zegarek. Coś podobnego: ci dwaj przyszli dzisiaj przed czasem. - Mają być u mnie o dziesiątej, muszę najpierw zadzwonić do paru osób. Niech mi nikt nie przeszkadza. Ze wszystkim, co nie dotyczy bezpośrednio administracji... rozumiemy się, prawda?... odsyłaj do rzecznika prasowego.

- Co mam powiedzieć tym z telewizji?

Gdyby poszedł za pierwszym odruchem, odprawiłby ich z kwitkiem, pomyślał jednak, że to świetna okazja, aby oficjalnie zdementować oskarżenia, które nań rzucono.

- O jedenastej, po naradzie. Mogą się porozkładać w sali konferencyjnej, jeśli chcą.

Gubernator poczekał, aż Anita zamknęła drzwi za sobą, po czym wybrał pierwszy numer: do Wydziału Porządku Publicznego.

- Halo? Komisarz Frazão? Mówi Moreira da Rocha... Tak, komisarzu, tak... Co więcej, dowiedziałem się jako jeden z ostatnich, co niezbyt mi się podoba. Jak ktoś mógł strzelić takiego byka? Jeśli dobrze pamiętam, mam powody, żeby liczyć na pańską uprzejmość... Nie, nie, nie chcę przeprosin: fakty, komisarzu, chcę faktów! Kto odpowiada za ten burdel?... Jak pan

mówi?... Waldemar de Oliveira... - Zanotował nazwisko, aby go nie zapomnieć. - A cóż to za jeden?... Dobrze, dobrze, zrozumiałem... A mecenas Wagner Cascudo?... A cóż pan chce, żebym powiedział, na Boga? On nie ma sobie absolutnie nic do zarzucenia... Ile wynosi kaucja? Dwieście tysięcy? Tak, słucham pana, słucham... Załatwię co trzeba. Ale oczywiście liczę na pana, komisarzu, a w pańskim interesie leży

informować mnie na bieżąco o wszystkim... Posadziłem pana na tym stołku, komisarzy, i mogę pana z niego zrzucić. Kiedy mi się spodoba, Frazão, proszę o tym pamiętać!

Z trzaskiem odłożył słuchawkę i zapalił papierosa. Ten kto to wszystko uknuł, mocno się postarał. I jak się uwinął!... Niech to szlag... Nie do wiary... Trzeba wyciągnąć Wagnera z pierdła, zanim ten palant wyśpiewa, co wie...

Zadzwoił do Vicentego Biluquinhi, młodego adwokata, który oprócz różnych prezentów zawdzięczał mu członkostwo w Lions Club.

- Dzień dobry, mecenasie... Tak, piękny numer wyborczy. Żyły z siebie wypruli, wypstrykali się do cna, ale nic im to nie da... A właśnie, czy mógłby pan się zająć naszym przyjacielem Wagnerem Cascudem? Oddałby mi pan ogromną przysługę, mecenasie. Ma pan moje pełne zaufanie, wie pan doskonale... Tak... Pieniądze na kaucję zaraz panu dostarczy posłaniec... Właśnie, właśnie... Proszę zadzwonić, jak tylko go wypuszczą, i trzymać z dala od tego wszystkiego. Niech mu pan powie, że zajmuję się wszystkim, nie musi się martwić... Tysiącrotne dzięki, Vicente, zrewanżuję się... Z przyjemnością, oczywiście. Pomówię z żoną i dam panu znać... No to do widzenia, Vicente, cześć, cześć... Ukłony dla małżonki.

Zaledwie się rozłączył, telefon zadzwonił, aż przeszedł go dreszcz.

- Halo?.. A, to ty, Edson... Miałem właśnie do ciebie dzwonić... Wiem, dobrze wiem, ale nic na mnie nie mają. To blef naszych przeciwników politycznych. Zobaczysz, że za kilka dni ten balon sam z siebie oklapnie... Nie przejmuj się, mówię. Panuję nad sytuacją. Za chwilę wystąpię w stacji Globo i wszystko przedstawię jak trzeba... Ależ nic a nic, zapewniam cię. To spisek ukartowany od początku do końca. Znasz mnie przecież, czegoś takiego nie mógłbym zrobić... Spekulacja? No pewnie, że istnieje, Edson. Z tego co wiem, w tym kraju jeszcze nie ma zakazu osiągnięcia korzyści, nie? A jeśli o to chodzi, wybaczyć, że ci przypomnę: nie masz prawa nikomu

prawić morałów... Nie to chciałem powiedzieć, Edson, ale kto szuka, ten znajduje, dobrze wiesz. Ani ty, ani ja, ani partia niczego nie zyskujemy na tym zamieszaniu. Nie zapominaj, że wybory za trzy tygodnie, więc gdybyś był łaskaw poniuchać tu i ówdzie, bardzo byś mi pomógł. To w interesie nas wszystkich, zdajesz sobie sprawę... Tak... De Oliveira, Waldemar de Oliveira... Jakiś prawniczyna z Santa Inês. Nie wiem, jak to zrobił, ale udało mu się przeniknąć do wszystkich moich służb... Tak by było idealnie, Edson. Ogromnie się cieszę, że mówimy tym samym językiem... Dobra. Zajmę się tym i będę cię informował...

Moreira rozparł się w fotelu, wydmuchując powietrze z płuc. Z uśmiechem na ustach odetchnął głęboko, jak sportowiec po wielkim wysiłku. Po wodzowsku poradził sobie ze wszystkim! Skoro sam minister porządku publicznego wejrzy w sprawę, on nie dałby wiele za tego Oliveirę... Odrobi wszystko w Manaus, i to raz-dwa! Kontrofensywa ruszyła, pozostaje tylko pozrywać związki z Wagnerem i umieścić w bezpiecznym miejscu kompromitujące papiery. W planach kompleksu wypoczynkowego nie ma nic, do czego można by się przyczepić. Z czystej dyplomacji utrzymywał dotąd wszystko w tajemnicy. Priorytetowym celem jest zapanowanie nad mediami. Niemaló rąk będzie musiał jeszcze posmarować, może jednak użyć zaskórniaków odłożonych specjalnie na takie cele. Ze dwa zmyślnie ułożone wstępniaki w gazetach, prokuratorowi przyszyć jakąś aferę obyczajową - musi o tym pogadać z Santosem i Jodiną: jego doradcy na pewno znajdą jakiegoś ćpuna, który przysięgnie, że Oliveira lubi się zabawiać z małymi chłopaczkami - trochę czasu, żeby się oczyścić z kalumnii, i będzie mógł ruszyć z kopyta... Gubernator czuł, jak odrastają mu pazury. Po raz pierwszy tego dnia znowu widział przyszłość w różowych barwach.

Zadzwoił telefon.

- Moreira... A, to ty, kochanie... - Poczł nagle, że fala gorąca spłynęła mu na kark. - Nie wierzysz chyba w to, co wypisują w gazetach? No nie... Przysięgam, że nie mam z tym... Carlotta! Nie ma mowy,

nie zgadzam się, słyszysz? Ja... Carlotta! Carlotta?...

W pierwszej chwili chciał natychmiast oddzwonić, lecz zawahał się. Lepiej dać jej czas, żeby się uspokoiła. Zobaczysz wieczorem, w domu. Jeszcze tylko tego brakowało, żeby i ona była przeciwko niemu!

Kompletnie

oszałała przez to, że Maura nie ma... Jednakże ukłucie w okolicach mostka podszeptało mu, że raczej nie zdoła jej skłonić, by zmieniła zdanie. Nie tym razem. Na moment wyobraził sobie życie bez Carlotty, lecz zaraz odgonił tę myśl, tak obelżywa była dla jego poczucia porządku i symetrii.

## ROZDZIAŁ XXVII

*O tym, jak zapadła decyzja o wzniesieniu nowego obelisku, & o wynikłej stąd dyskusji na temat wyboru właściwego zwierzęcia*

**W** przypadające na poniedziałek Zesłanie Ducha Świętego niczego nie brakowało, aby stosownie uczcić ten dzień. Przy tej okazji Najwyższy Kapłan wyraźnie oświadczył, że pragnie wznieść obelisk, a dokładnie ten, który wykopano podczas prac zarządzonych przez dominikanów przy kościele Santa Maria sopra Minerva. Kircher wraz ze swym przyjacielem rzeźbiarzem miał pracować przy projektowaniu posągu godnego cennej starożytności, ale także całego placu Minerwy, którego miał stanowić centralną ozdobę.

Kawaler Bernini na wezwanie Ludwika XIV udał się do Paryża, aby sporządzić plany przebudowy Luwru, królewskiego pałacu, & wyrzeźbić jego popiersie jako naczelnego wodza wojsk francuskich. Ponieważ artysta nie mógł ścierpieć ani dworzan, ani posępnego klimatu tego miasta, wrócił do Rzymu pod koniec października, bogatszy o trzy tysiące liwów w złocie & dekret królewski opiewający na dwanaście tysięcy liwów renty tytułem wynagrodzenia za swe dzieło. Kiedy zjawił się w kolegium, aby przedstawić swoje pomysły w związku z pomnikiem na placu Minerwy, Kircher & ja siedzieliśmy akurat z ojcem Grueberem, spisując jego wspomnienia z pobytu w Chinach.

- No, głowa do góry! - rzekł Kircher z uśmiechem. - Nie od razu Rzym zbudowano, a z Bożą pomocą z całą pewnością uda nam się odtworzyć pierwotną starożytną mądrość. A skorośmy już ten temat w stosownej chwili poruszyli, powiedzcie, Lorenzo, coście zamierzali umieścić na placu Minerwy.

- Zważywszy na małe rozmiary obelisku, nie wydaje mi się, żeby można do niego dopasować monument porównywalny wielkością do fontanny Pamphilego. Pomyślałem zatem, żeby postawić go po prostu na grzbiecie zwierzęcia, którego symbolika byłaby zgodna z symboliką hieroglifów. A żem dotąd nie znał treści napisów, wstrzymałem się z ciągiem dalszym, tym bardziej że niektóre stworzenia, jak żółw & pancernik, fascynują mnie z artystycznego punktu widzenia tak bardzo, żem już zdążył przygotować trochę rysunków.

Kircher skrzywił się z powątpiewaniem.

- Nad wyborem zwierzęcia zastanowimy się później - oświadczył. - Nie tyle zresztą ważne, żeby współgrało z przesłaniem hieroglifów wyrytych na obelisku, ile żeby odpowiadało nauczaniu Kościoła & Najwyższego Kapłana, który jest jego symbolem dla świata. Abyście jednak znali wszystkie potrzebne wam elementy, przedstawię wam tłumaczenie tekstu z obelisku.

Atanazy wziął kartkę ze stołu & odchrząknąwszy, zaczął czytać:

*Mophta, najwyższy duch & praobraz, przelewa swe cnoty w duszę świata gwiazdnego, czyli w ducha słonecznego jemu podporządkowanego. Stąd pochodzi ruch witalny w świecie materialnym*

*albo elementarnym; & stąd wiedzie się obfitość rzeczy wszelkich, jak & rozmaitość gatunków.*

*Z płodności czary Ozyrysa wypływa bez ustanku, wabiony przez jakowąś sympatię cudowną & potężny mocą ukrytą w jego osobie o dwóch obliczach.*

*O jasnowidzący Szenozyrysie, strażniku świętych kanałów, symboli wodnistej natury, na jakiej zasadza się życie wszelakie!*

*Z woli Ofionusa, ducha odpowiedzialnego za otrzymywanie łask & szerzenie życia, którym to zasadom tabliczka owa jest poświęcona, & przy wsparciu wilgotnego Agathodemonu boskiego Ozyrysa, siedem wież niebieskich chronione jest przed jakąkolwiek szkodą. Dlatego wizerunek Tegoż Samego winien być ukazywany naokoło podczas ofiar & ceremonii.*

*Lewa ręka Natury albo źródło Hekate, czyli ów obrót, który jest oddechem wszechświata, przywoływana jest przez ofiary & wabiona*

*przez to, w czym demon Polimorf poczyna szczerą rozmaitość rzeczy pośród świata czterodzielnego.*

*Zwodnicze sztuczki Tyfona są unicestwione, przez co ratunek jest dla życia niewinnego; do tego wiedzą powyższe pentakle & amulety z racji mistycznych fundamentów, na których zostały wzniesione. Dlatego są w mocy pozyskać wszystko co dobre do czarodziejskiego życia...*

- Na rany Chrystusa! - zawołał Bernini. - Tyle samo bym zrozumiał, gdybyście przemawiali po indiańsku! Ci egipscy kapłani lepiej niż ktokolwiek znali się na tym, jak zamącić w tych swoich kazaniach...

- Mieli po temu dwa słuszne powody: po pierwsze, głębię tajemnic, które wyrażali; po drugie zaś, z ostrożności, aby nieopatrnie nie wyjawić nieuczonym prostaczkom wiedzy tak zazdrośnie strzeżonej. Zwyczajna sztuka, jak muzyka czy malarstwo, wymaga długiej nauki; znacznie dłuższej & bardziej wytężonej pracy wymaga poznanie. Pitagoras, o czym nie wolno zapominać, nakłaniał swych uczniów do milczenia, aby nie zdradzali tajemnic misterii, ponieważ nauczyć się można jedynie rozmyślając, nie zaś mówiąc.

- A zatem & ja - rzekł Bernini lekko urażony - mam poprzestać na samej sztuce & nie próbować pojąć tak cennych alegorii.

- Ależ przyjacielu, jesteście w błędzie. Poznanie wymaga jedynie zaangażowania, a wy swoje zaangażowanie znakomicie wykorzystujecie w dziedzinie, w której celujecie. Życie jest zbyt krótkie, niestety, żeby człowiek mógł się w pełni oddać więcej niż jednej dziedzinie sztuki. Sokrates był miernym rzeźbiarzem, zanim został Sokratesem. Fidiasz natomiast, twórca boskich wizerunków, równie dobrze mógł być niemy, tak niewiele miał do powiedzenia w kwestiach filozoficznych... Jeden formował dusze, drugi kamień, ot co!

- No proszę! - zaśmiał się Bernini. - Jakże miałbym wam nie uwierzyć, skoro mnie porównujecie do takiego mistrza?

- O sobie też nie zapomniałem - dodał Kircher równie żartobliwie - ale jedynie dla potrzeb porównania, bo z trudem mógłbym rywalizować z Sokratesem. O ile wy jesteście bezsprzecznie największym rzeźbiarzem naszego stulecia, o tyle ja jestem jedynie skromnym wyrobnikiem poznania.

Nic innego nie mam do roboty, dysponuję całym swoim czasem, toteż mogę sobie pozwolić na to, aby się długo skupiać na jednym. I na tym właśnie polega mój talent. Długie doświadczenie nauczyło mnie, ile czasu wymaga tak absorbująca praca myślowa & do jakiego stopnia należy wyzwoić umysł od wszystkiego, co go rozprasza, aby ją dobrze wykonać... Wróćmy jednak, proszę, do naszego obelisku. Jakaście niechybnie zgadli, choć wyrzekaliście na pozorną niejasność tego tekstu, jest w nim zawarta egipska doktryna odnosząca się do podstawowych zasad, które rządzą światem. Jeśli zastąpicie Mophtę Bogiem, Ozyrysa Słońcem, a siedem wież niebios przez siedem planet, zobaczycie, że ta doktryna różni

się od nauczania naszego Kościoła jedynie drobnymi szczegółami. W związku z tym przyznacie, mniemam, że żółw czy pancernik nie są bynajmniej symbolami mogącymi wyobrażać system tak złożony.

- Oczywiście, że przyznaję, skoro tak mówicie - odparł Bernini, marszcząc brew. - Ale pewnie możecie jakieś inne zwierzę zaproponować?

- Prawdę powiedziawszy, jeszcze o tym nie myślałem. Wydaje mi się wszakże, że byk albo nosorożec doskonale by pasowały. Byk dlatego, że ogrzał swoim oddechem Pana Jezusa, ale też dlatego, że Grecy czcili w nim Słońce & Księżyc pod imieniem Epafos, Egipcjanie zaś duszę Ozyrysa & Mophty pod imieniem Apisa. Nosorożec natomiast...

- Nosorożec wykluczony - przerwał mu Bernini, kręcąc głową. - Francuzi już go w ten sposób wykorzystali przy okazji wjazdu Katarzyny Medycejskiej do Paryża. Byk natomiast to ciekawy symbol, ale już słyszę komentarze rzymian. Ani chybi zaraz wymyślą setki nieprzyzwoitych żartów na temat jego rogów albo genitaliów & wątpię, żeby się to spodobało Jego Świątobliwości.

- Słusznie, słusznie... Nie można zapominać o tym aspekcie problemu.

Grueber, który dotąd z szacunkiem tylko przysłuchiwał się rozmowie, naraz zabrał głos:

- A co byście powiedzieli, waszmościowie, na słonia?

- Słoń?... - zastanowił się Bernini.

- No jasne! - zawołał mój mistrz, łapiąc rzeźbiarza za ramiona.

- *Cerebrum in capite!*... Mózg jest w głowie! Rozumiecie, Lorenzo?

„Hypnerotomachia” & jej tajemnica obsydianu... Żem też wcześniej o tym nie pomyślałem! Mamy nasz symbol, bo przecie żadne zwierzę nie jest mądrzejsze od słonia.

Stropiony Bernini minę miał niewyraźną jak kot, któremu mysz uciekła do nory.

- Hm!... mruknął w końcu, przyparty do muru.

## **MATO GROSSO**

*Jak strzały przenoszące sny...*

Elaine potwornie martwiła się o Maura, gdy wyszedł z chaty. Wrócił wstrząśnięty tym, co zobaczył, i kiedy wszystko im opowiadał, nie zdołał powstrzymać szlochów. Rada była, że może go pocieszać, gdy ukrył twarz na jej piersiach. Czuła szczerą smutek, lecz mieszał się z nim podświadomy strach, który przykuwał ją do miejsca. W głowie rozlegał się ogłuszający dzwonek alarmowy.

Wraz z ciemnością pojawiły się komary.

- Jak pomyślę, że wyrzucił magazynek... - wymamrotał Petersen.

Wyrażał na głos myśli, a ponieważ te oderwane fragmenty zdań świadczyły, że znaleźli się w położeniu bez wyjścia, ciemności jakby się jeszcze pogłębiały.

Dietlev ocknął się z imieniem Elaine na ustach. Zaraz też do niego podbiegła. Przemysławiając mu ranę bardziej po to, aby zagłuszyć swój niepokój, niż z rzeczywistej potrzeby, postanowiła, że ukryje przed nim śmierć Yurupiga. Zakażenie rozwijało się alarmująco szybko, będzie potrzebował wszystkich sił, aby mu się oprzeć. Indianie oddali plecak... Jutro ruszamy... Trzeba wytrzymać... Kiedy mówiła, w głowie te pobożne życzenia przybierały postać okrutnej szczerzej prawdy: Dietlev nie wytrzyma już długo, może nigdy nie opuszczą tej polany. Niepewność i obawy powodowały, że pod pachami pot sływał jej ciurkiem.

- Brakowało czegoś w plecaku? - zapytał Dietlev zduszonym głosem.

- Nie - odparła Elaine. - To znaczy, tak... Zniknęły próbki skamieniałości. Pewnie myśleli, że to zwyczajne kamienie, i wszystko wyrzucili.

Z mroku dobiegło ich głośnie pociąganie nosem.

- Ten Petersen! Znowu wacha kokę! - mruknął ze złością Dietlev.

- Nie zwracaj na to uwagi. Spróbuj zasnąć.

Indianie podpalili ułożony stos. Czerwony blask ognia rozświetlił wnętrze chaty, znacząc twarze nieregularnymi znakami. Przenikliwa monotonna melodia wezbrała nagle wraz ze światłem; płaczliwym tonem towarzyszył ostry dźwięk fujarek: całe plemię rytmicznie cicho zawodziło, w nieregularnych odstępach głosy nabierały mocy albo niemal zupełnie zamierały w gardłach.

Ktoś podniósł matę u wejścia i ci sami Indianie, którzy przynieśli im jedzenie, gestem zaprosili, by wyszli na zewnątrz. Nie dano im czasu do zastanowienia - poprowadzono ich wprost do olbrzymiego, iście świętojańskiego ogniska, które płonęło pośrodku wioski. Dookoła ustawiono niskie ławki do siedzenia, misy pełne potraw, tykwy napełnione piwem. Przyjmowano ich jak znacznych gości, toteż w Elaine odżyła nadzieja.

Kilku Indian pomalowanych czerwoną farbą, o skórze lśniącej, jakby dopiero co wyszli z wody, krążyło już tanecznie wokół ognia. Długie pióra z ogonów ar spływały z żółtych pióropuszy, które mieli zamocowane na opaskach na ramieniu. Z włosami oproszonymi białym puchem, z piórem zimorodka zwisającym z ucha, wykonywali ruchy osobliwie pierwotne, zwierzęce. Elaine cofnęła się odruchowo, gdy stanął przed nimi szaman. Czarny lepki śluz wyciekał mu z nozdrzy, miał nim pochłapaną całą chudą pierś. Taki osmarkany wyglądał na jeszcze starszego i jakby niespełna rozumu. Na dzikszego, pomyślała Elaine z odrazą, gdy zaintonował długą, osobliwie melodyjną przemowę:

*To święto ku czci Qüyririche, święto, na które dla Posłańca i jego boskich krewniaków przygotowali całą żywność, jaką mieli. Piwo z manioku nabrało mocy, będą wdychać dużo epeny, całe chmury magicznego proszku, jeszcze i jeszcze, aż osiągną niewidzialnych obłoków, na których snuje się przeznaczenie światów. On, Raypoty, potrafił odczytać znaki: zna źródło, z którego pochodzą ryby kamienie! Przez długie lata gdzie indziej szukał wejścia do wszechświata, tej tajemnej szczeliny, przez którą jego lud mógłby się wreszcie wyrwać niczym wydalony nagle ze śmiercionośnych trzewi lasu. Lecz oto przybył bóg we własnej osobie, aby otworzyć im oczy. Nie muszą już niczego uprawiać, nie muszą polować. O świcie wyruszą, zostawiając wszystko, co mogłoby ich obciążyć i przeszkodzić w ostatecznym wzleceniu ku Ziemi bez Zła.*

Zakończył kilkoma magicznymi słowami mającymi zapewnić im przychylność Posłańca, aby nadal prowadził jego i jego lud.

- „Baranku Boży, który gładzisz grzechy świata” - przetłumaczył natychmiast Mauro - „wybacz nam, Panie”. Kompletnie porąbane! Jeśli wyjdziemy z tego cało, przez resztę życia będę wymyślał jakiś uniwersalny język. Ten facet jakby postanowił nie rozumieć niczego, co mówimy. Jeśli on nie postara się choć trochę, w życiu się z nim nie dogadamy. Bez sensu, naprawdę!

- To nie tak - odezwał się Dietlev głosem urywanym z powodu gorączki. - On raczej jest przekonany, że my go rozumiemy... Trzeba by pogadać z kim innym.

- Trzeba by stąd wiać - burknął Petersen. - Nie widzą mi się ci tutaj...

Szaman wziął długą rurkę z kory grubości dmuchawki i nasypał nieco czarnego proszku do jej końca, który podsunął jednemu z kucających Indian. Sam również przykucnął i drugi koniec przystawił sobie do nosa. Indianin ujął rurkę między palec wskazujący i wielki, nabrał powietrza w płuca i mocno dmuchnął, tak że do nozdrzy szamana poleciała porcja epeny.

- Widzicie? Nie jestem sam! - ucieszył się Petersen.

Oglądał już coś takiego u Indian Yanomami, toteż wiedział, że asystują teraz przy rytualnym zażywaniu narkotyku.

Z zamkniętymi oczami, twarzą boleśnie wykrzywioną, szaman przygotował rurkę i wdmuchnął proszek do nozdrzy temu, który przed chwilą jemu pomógł. Indianin zastygł, przysiadłszy na piętach, i wyglądał, jakby nieznośnie cierpiał. Z nosa aż na brodę wypłynęły mu czarne soki, kręte strużki śluzu, który naraz rzygnął mocno, gdy Indianin zrobił mocny wydech. W ten sposób opryskała go krew



prawdziwego świata, rysując na jego piersi przepowiednię, którą tylko szaman będzie mógł odczytać.

Był to jakby znak - teraz wszyscy członkowie plemienia zaczęli wdychać magiczną substancję. Między jednym a drugim zażyciem popijali piwo i z mlaskaniem zjadali to, co mieli w zasięgu ręki. Po trzecim albo

czwartym wdechu człowiek zaczynał krzyczeć, wymachiwać rękami, później podnosił się na nogi i tańczył w miejscu, podrygując, jakby go ze skóry obdzierali. Na koniec padał bez zmysłów przytłoczony wizjami. Kobiety odciągały go na bok, a tymczasem pozostali nadal wdychali proszek, pomagając sobie nawzajem.

Po godzinie większość mężczyzn leżała na ziemi jeden koło drugiego niczym oczekujące pochówku zwłoki.

*Strażnicy marzenia* - mówił szaman, odczytując znaki wypisane śluzem na torsach - *żywe schronienia prawdziwej duszy, wasze serca nie kłamią. Widzę na nich anakondę i jaguara, żółwia wodnego i kolibra. Jesteście jak strzały przenoszące sny, jak wielkie ptaki, których ogniste skrzydła płoną na niebie. Bliski jest koniec wszelkich waszych trosk, bo Posłaniec powiedzie nas wkrótce ku górze, z której wizje wypływają nieprzerwanym strumieniem. Wasze torsy dużo mówią: zapowiadają powrót do ziemi rodzinnej, do radosnego szczęścia nowo narodzonych.*

Szaman krążył pośród nieruchomych śpiących, uwalniając z więzów ich prącia nabrzmiałe pod wpływem zmysłowych marzeń sennych, plujące magicznymi strzałami w niewidzialnych wrogów, którzy krążyli wokół nich jak muchy. Podniecony, bliski transu, zatrzymał się w końcu przed Dietlevem, gestykulując. Petersen pierwszy zrozumiał, o co mu chodzi.

- On chce mu wdmuchnąć to świństwo - powiedział zrędliwie. - Nie ma rady, *amigo*...

Przeżona Elaine obróciła się do Dietleva.

- Nie rób tego! - poprosiła. - Widziałeś, do jakiego stanu ich to doprowadza.

- Ale czy zaszkodzi w moim stanie?... Poza tym nie wiadomo, co by się stało, gdybym odmówił. To najlepszy sposób, żeby podnieść nasze notowania... Tak długi, Carter! Opowiem ci...

Wsunął woskową końcówkę do dziurki od nosa. Szaman dmuchnął, a Dietleva aż odrzuciło na nosze. Przez kilka sekund w zatokach paliło go żywym ogniem, po czym doznał przemożnego uczucia, że prawa połowa jego mózgu zamara bez nadziei na rozmrożenie. Otworzył oczy i ze strachem ujrzał las w kolorach sepii: harmonia starej fotografii nieoczekiwanie rozdzielana błyskami odsłaniającymi cudowne widoki, w których kolory

bursztynowy i fioletowy przeplatały się w nieskończoność. Szaleństwo Piranesiego, architektoniczny nowotwór rozrastający się bez chwili przerwy. Słyszał rozwlekłe trzeszczenie lodowców, dudnienie podziemnych płyt. W oddali potężne wiry zaczynały zagarniać przestrzeń swoimi chmurami, ziemia pękała, otwierała się niczym okrągły bochen chleba pod niepowstrzymanym parciem gór. Skały się podnosiły! Zanim stracił świadomość, Dietlev pojął, że jest świadkiem czegoś niebywałego, wydarzenia, w którym miesza się początek światów i ich apokalipsa.

Nazajutrz wczesnym rankiem Elaine obudził gwar głosów przerywanych płaczem dzieci. W pierwszym rzędzie zerknęła na Dietleva: spał nadal i wydawało się, że oddycha normalnie. Wyszła zatem z hamaka, by wyjrzeć na zewnątrz. Indianie się pakowali, wszyscy bez wyjątku... Obudziła Maura i Petersena, którzy podeszli do maty zasłaniającej wejście.

- Wygląda na to, że odchodzą - rzeki student z lekkim niepokojem.

- I zabierają nas ze sobą - uzupełnił Petersen, gdy zobaczył zmierzającą w ich kierunku grupkę Indian.

Kiedy weszli do chaty, dwaj z nich, których już znali, na migi kazali im zabrać plecaki i iść za sobą, po czym z szacunkiem podnieśli nosze. Tymczasem pozostali Indianie zdejmowali z głównego słupa

rozmaite pierzaste ozdoby.

Twarz Elaine pojaśniała: wreszcie zrozumieli, zabierają ich w jakieś cywilizowane miejsce, gdzie Dietlev otrzyma pomoc medyczną. Ta perspektywa dodała też otuchy Maurowi, który odwzajemnił jej uśmiech. Petersen miał podkrążone oczy, szarą cerę i twardą twarz. Pokręcił tylko głową na widok milczącej radości tych dwojga.

Całe plemię ruszyło w las. Indianie porzucali swoją wioskę z doprawdy zdumiewającą obojętnością. Zabrali ze sobą tylko to co niezbędne: sakwy z małpiej skóry, prasowany tytoń do żucia, łuki, strzały i dmuchawki. Kobiety w koszach zawieszonych na opaskach na czole niosły na plecach pojedyncze maty, hamaki i naczynia; wzięły także żar z ogniska, żadna jednak nie zainteresowała się pozostałościami z uczy, które walały się dokoła dymiącego jeszcze stosu. Niemowlęta w nosidełkach ssały piersi matek. Uciekinierzy udający się na wygnanie, pomyślała Elaine, nie zastanawiając się dłużej nad tym spostrzeżeniem. Dopadło ją poczucie winy, że odzyskała nadzieję: śmierć Yurupiga, chociaż tak straszna i niedająca o sobie zapomnieć, bładła wobec nieodległego już ratunku. Mauro, którego prześladował widok obciętej głowy nieszczęśnika, posunął się do tego, że w ogóle wyrzucił z myśli imię Indianina. Petersen natomiast miał go dopiero wspomnieć, dużo później, kiedy sobie wyrzucił, że nie pomyślał o tym, aby zabrać kompas.

Wyglądało na to, że szaman dokładnie wie, dokąd zmierzają. Długi szereg dość szybko posuwał się pośród nieprzyjaznego poszycia dżungli. Dietlev nadal spał, choć Elaine bardzo się starała obudzić go. Niepokoiło ją to mocno, choć nie potrafiła powiedzieć, czy to skutek postępującej gangreny czy też wymuszonej przez szamana inicjacji z narkotykiem. Indianie dosyć łatwo się pozbięrali, lecz Dietlev nie był przyzwyczajony, co z pewnością usprawiedliwiało tak długie dochodzenie do siebie.

- Co on wczoraj miał na myśli? - zapytał Mauro, gdy napotkał niespokojne spojrzenie Elaine. - Mówił o jakimś Carverze czy Carterze...

Elaine się uśmiechnęła.

- O Carterze - uściśliła. - To stara historia... Nie wiem, czy czytałeś „Demony i cuda” Lovecrafta. Opowieść zaczyna się od eskapady pewnego faceta na nieznaną dotąd cmentarz, który ten facet odkrył. Zabiera ze sobą kumpla, niejakiego Cartera. Podnoszą płytę nagrobną i znajdują pod nią schody. Facet wie, że przyjdzie mu się bić z „czymś”, jakąś diabelską istotą przybyłą z otchłani wieków i tak dalej. Jak to u Lovecrafta... W skrócie: facet zostawia Cartera na powierzchni, a sam schodzi do podziemi. Ponieważ zabrali ze sobą telefon polowy, Carter jest w kontakcie z przyjacielem. Słyszy, jak tamten wpada w przerażenie, potem coś się dzieje, aż staje się jasne, że facet nigdy nie wyjdzie na powierzchnię. Pod koniec pierwszego rozdziału każe więc Carterowi zasunąć płytę i udaje mu się jeszcze powiedzieć na koniec: „Tak długi, Carter. Więcej cię nie zobaczę...”. Jak to przeczytałam, coś mi nie pasowało, ale nie zastanawiałam się specjalnie. „Tak długi”. Co mogło być tak długie? Ale u Lovecrafta można się spodziewać wszystkiego, więc przyzwyczaiłam się do tej tajemnicy. Dopiero Dietlev kiedyś zwrócił mi uwagę, że to błąd w przekładzie. W oryginale stoi jak byk: „So long, Carter”. Ciąg dalszy jest nieistotny, ale to zdanie w tłumaczeniu powinno brzmieć: „Żegnaj, Carter. Więcej cię nie zobaczę”... Znasz

Dietleva i jego poczucie humoru. Tak mnie wtedy rozśmieszył, żeśmy się potem zawsze tak żegnali. Z przymrużeniem oka...

- No tak, teraz rozumiem - rzekł Mauro.

Po dwóch godzinach od wymarszu Petersen przerwał milczenie, w którym uparcie trwał, odkąd wyszli z wioski.

- Mamy zagwozdkę - oświadczył krótko.
- Mianowicie? - spytała Elaine.
- Mianowicie oddaliśmy się od rzeki. Popatrzcie na mech na pniach drzew.

- Nic innego nie robię - powiedział Mauro odrobinę niecierpliwie.
- Rośnie w stronę słońca, więc wskazuje południe... - Aleś się popisał, bratku! Jest dokładnie na odwrót. Od początku idziemy na północny zachód. Nie mówiłem wam dotąd, bo chciałem się upewnić.
- I co z tego? - obruszył się Mauro. - Ważne, że gdzieś nas prowadzą. Nieważne dokąd, byle był tam jakiś lekarz albo możliwość wezwania pomocy.
- Na północny zachód, powiada pan? - upewniła się Elaine.
- Tak, *senhora*. I nie zbaczamy ani o włos.

Elaine bezskutecznie próbowała wyobrazić sobie mapę. Jeden Dietlev mógłby powiedzieć, co jest w tamtym kierunku.

- A wie pan, czego możemy się tam spodziewać?
- Nie mam pojęcia - odparł Herman, wzruszając ramionami.
- Jedno wiem: im dalej na północny zachód, tym głębiej w dżungłę, koniec, kropka. W tamtych stronach nigdy nic nie było i nie będzie. Biała plama na mapie. Jeszcze trochę ich tu zostało...

Elaine istotnie pamiętała białe plamy, które tak bardzo ją wabiły. Marzyła o nich, przygotowując z Dietlevem wyprawę, i oto ich poblizko wyciskało jej z oczu łzy.

Mauro ze wszystkich sił walczył ze zwątpieniem.

- Zakładając, że to prawda - podjął już nie tak napastliwie - zastanawia mnie, dlaczego niby zabieraliby nas w głąb dżungli? To kwestia logiki: przecież nie porzucili swojej wioski dla przyjemności, prawda? Jakoś nie trzyma się kupy to, co sugerujesz...

- A Yurupig? - przypomniał Petersen. - Czemu go załatwili? Wiesz, co im łązi po głowie? Gdybym miał kompas, przysięgam, że próbowałbym się od nich uwolnić. I to jak najszybciej.

- A cóż stoi na przeszkodzie, skoro tak dobrze wiesz, gdzie idziemy? No już, nie krępuj się!...

Petersen puścił ironię mimo uszu. Miał świadomość, że niepodobna iść przez dżungłę bez maczety i reszty ekwipunku, poza tym czuł się kompletnie wyczerpany. Mechanizm zaczynał szwankować. Przez kilka pierwszych dni kokaina pozwalała mu dużo znieść, teraz jednak wyraźnie bardziej mu szkodziła, niż pomagała. Kiedy jej działanie ustępowało, Hermana dopadała taka słabość i nerwowe drżenie, że musiał znowu wciągać proszek, coraz częściej i coraz więcej.

- Jeszcze o tym pogadamy - rzekł w końcu. - Możecie mnie powiesić, jeżeli w tych stronach zobaczymy choćby cień białego człowieka!

Elaine wiedziała, że nie jest w stanie zawrócić w stronę rzeki. Dokądkolwiek Indianie zmierzali, należało im zaufać albo uważać się - co naraz sobie uświadomiła - za ich więźniów. Chociaż jednak Yurupigowi zgotowali taki los, jaki zgotowali, ona nie czuła się wśród nich zagrożona. Wszyscy członkowie plemienia bez ustanku okazywali im niezwykle szacunek. Co rusz ktoś podchodził do nich i dotykał noszy Dietleva gestem wyraźnie współczującym. Elaine za każdym razem mówiła do nich coś miłego, przywoływała na twarz zainteresowanie. Indianie byli jednak zbyt przejęci - uśmiechem odpowiedziała jej tylko mała dziewczynka.

Około czwartej po południu wreszcie się zatrzymali. Całe plemię z radością zakrzętało się około wyszukania miejsca na popas. W zdumiewającym tempie powstały jakby zadaszania - cztery żerdki podtrzymujące prowizoryczny daszek z liści palmowych, pod którym każda rodzina czym prędzej rozkładała maty i rozwieszała hamaki. Dmuchając w przyniesiony żar, mężczyźni pośrodku tych schronień rozpalali ogniska. Z łuku ustrzelono trzy wyjce i jednego koati; spróchniały pień dostarczył w obfitości tłustych larw; dziewczynki przyniosły słodkie mrówki, miód i mięszs młodych palm rozłupanych przez dorosłych. Jak wyczarowane pojawiły się skądś dzikie pomarańcze...

Dietlev wciąż spał. Elaine jak mogła, tak przemyśla mu kikut, po czym poddała się znużeniu. Mauro i

Petersen także padli przy ognisku wykończeni całodzienną wędrówką przez dżunglę. Bardzo dokuczają im owady, których dym na razie nie odstraszał, w milczeniu posilili się fasolą z puszki, nie odważywszy się sięgnąć po jedzenie dostarczone im na polecenie szamana. Mauro skosztował pomarańczy, były jednak tak gorzkie, aż zebrało na wymioty. Miód miał posłużyć jako lepiszcze w papce, której sam widok wywoływał identyczny efekt - składały się na nią żywe jeszcze robaki.

Indianie obserwowali ich z dyskrecją odwrotnie proporcjonalną do zaciekawienia: im więcej cudownych przedmiotów wyciągali obcy - konserwy, noże czy zapalki, rzeczy iście bajkowe, które trafiały w ich pole widzenia niczym przerażające komety - tym większy brak zainteresowania udawali. Ci-którzy-przybyli-z-nocy nie onieśmielali ich, po prostu elementarna uprzejmość wobec przybyszów, choćby byli istotami niezemskimi, nakazywała zachowanie takiej przyjaznej rezerwy. Spojrzenie kobiecie w oczy znaczyło tyle co przespanie się z nią; utkwienie wzroku w mężczyźnie czyniło zeń śmiertelnego wroga; między urzeczeniem a walką nie było miejsca na inne uczucia, chyba że chciało się naruszyć porządek świata.

Elaine zauważyła tę udawaną obojętność, aczkolwiek nie rozumiała jej przyczyn. Zbyt zmęczona, aby się zastanawiać, czując się nieswojo pod ostrzałem ukradkowych spojrzeń, poddała się wspomnieniom, w których mgliste wyobrażenie Eleazarda mieszało się z obrazem córki. Mauro, słuchając z walkmana Caetana Velosa, obserwował ją pogrążoną w marzeniach: umorusana błotem twarz, splątane brudne wilgotne włosy, podkrążone ze zmęczenia oczy czyniły Elaine jeszcze piękniejszą, jeszcze bardziej pociągającą. Zazdrościł Dietlevowi, że trzymał tę kobietę w ramionach, i równocześnie zadawał sobie pytanie, co też ją mogło pociągać w człowieku tak mało urodziwym. A ponieważ nie potrafił ich sobie bez odrazy wyobrazić w łóżku, złościł się, chociaż miał świadomość, że nie ma prawa gniewać się na nią, że zachowuje się jak dzieciuch.

Petersen spał albo udawał, że śpi.

W ostatnich blaskach dnia, który zamierał między drzewami, stado papug krzykliwymi barwami upierzenia rozpalilo powietrze nad nimi.

Zbliżył się do nich chłopczyk zafascynowany walkmanem. Mauro nałożył mu słuchawki na uszy - malec najpierw przeraził się okrutnie, zaraz jednak zaśmiał radośnie. Jego ojciec podszedł, aby zabronić mu przeszkadzania obcym, ciekawość wzięła jednak górę i nie oparł się jej, kiedy syn chciał się z nim podzielić swoim odkryciem. Niezgrabnie nałożył słuchawki i natychmiast cisnął nimi o ziemię, dziecko uderzył pięścią w głowę i wyraźnie się wściekł. Przestraszony jego gwałtowną reakcją Mauro skulił się: Indianin groźnie wymachiwał nad nim łukiem i niewątpliwie uczyniłby z niego użytek, gdyby nie powstrzymał go szaman, którego zaalarmowały jego pokrzykiwania. Starzec widocznie znalazł właściwe słowa na wyjaśnienie tych czarów, Indianin bowiem zaraz się opamiętał. Nadbiegła jego kobieta; uspokoiła go do reszty, masując mu szyję i ramiona, podczas gdy on z uporem dłużył w uszach, aby pozbyć się głosów, które skaziły mu głowę.

Elaine przebudziła się w nocy. Ogniska ledwie się zarzyły, a obok siebie zobaczyła halo zimnego światła: niewyraźny, zmieniony nie do poznania pod fosforyzującym nimbem, który emanował z niego, Dietlev lśnił jak lustro w słońcu!

Chociaż ten oniryczny widok był zupełnie nieprawdopodobny, wydawał się tak rzeczywisty, że Elaine wyciągnęła rękę ku światłu. Mrowie świetlików uleciało od trupa, tnąc nocne ciemności tysiącami błysków.

*Z notatnika Eleazarda*

LOREDANA o Moreirze: „Wygląda jak pół dupy z za krzaka”... Jak wyjęte z „Zhuangzi”!

KIRCHER SPOTYKAŁ SIĘ z Poussinem, Rubensem, Berninim... Czy człowiek, którego ci wybitni artyści uważali za swego mistrza i przyjaciela, mógł być ograniczony albo po prostu przeciętny?

NEWTON poświęcał się alchemii, Kepler spekulował na temat muzyki sfer...

„MOIM ZAMIAREM jest odtworzenie zbiorów zgromadzonych przez jezuitę Atanazego Kirchera, autora «Ars magna lucis et umbrae» (1646) i

wynalazcę «teatru polidyptrycznego», dużej skrzyni, której wewnątrz wyłożone jest sześćdziesięcioma zwierciadłami zdolnymi przemienić jedną gałąź w cały las, ołowianego żołnierzyka w wojsko, skromną książeczkę w bibliotekę. [...] Gdybym się nie obawiał, że zostanę źle zrozumiany, nie miałbym nic przeciwko temu, aby odtworzyć we własnym domu komnatę według projektu Kirchera, komnatę wyłożoną lustrami, w której widziałbym siebie chodzącego po suficie głową w dół i ulatującego ku górze z nizin podłogi”. (Italo Calvino, „Jeśli zimową nocą podróżny”).

WSZYSTKO UŁOŻONE jest na tym świecie tak, by maksymalnie wyeliminować słowo. Samotność wszystkich pośród wszystkich: lokale naszej nocy. Praktykowanie epilepsji jako alternatywa dla rozpacz. Wszechobecne lustra pozwalają każdemu tańczyć samemu ze sobą. Parady mniejszości, anonimy, narcystyczny urok odbicia. Cztery godziny chwały tygodniowo, a reszta czasu to odwiekanie samobójstwa.

TRZY WIERSZE z dwustustronicowego manuskryptu Voynicha:

BSOOM.FZCO.FSO9.SOBS9.8OE82.8EO8  
SO.ZO.SAM.ZAM.8AM.4O8AM.O.AR.AJ

OE.SC9.S9.Q9.SFSOR.ZCO.SCOR9.SOE89

Co komuś strzeliło do głowy, by własne pisma tak zaszyfrować, że stały się nieczytelne dla wszystkich oprócz niego? Przemozna potrzeba tajemnicy. Jakże racje mogły przemawiać za tym, żeby tak bardzo ukrywać treść? Strach przed śmiercią lub przed rabunkiem. W XIII wieku różne były sposoby narażania życia, niewątpliwie jednak najpewniejszym była herezja. A jeśli chodzi o czyhanie na skarb, to facet musiał przynajmniej dokonać transmutacji ołowiu w złoto albo wynaleźć eliksir nieśmiertelności. Heretycka kosmogonia? Traktat alchemiczny? W pierwszym wypadku mamy do czynienia z tchórzem; w drugim z kutwą; w obu wypadkach z durniem.

Czy przynajmniej potrafił odczytać, co zaszyfrował?

PROSTACTWO. Nie byłem szczery: uśmiechałem się do Alfreda tylko po to, aby mój uśmiech rykoszetem poszedł do Loredany. Pospolity uśmiech porozumiewawczy mający wzmacnić moją wyższość.

NAWET ROGER CAILLOIS znajduje w pismach Kirchera materię stymulującą wyobraźnię: „Z tych samych powodów szczególnie sobie cenię «Arkę Noego», jedno z licznych dzieł ojca Atanazego Kirchera, wielkiego zapoznanego mistrza królestwa niesamowitości. Przed unoszącą się na falach arką, pośród końskich zadów i ludzkich szczątków, dogorywają monstrialne dwugłowe ryby o oczach obrzeżonych płatkami w kształcie krzyża; zalewają je wzbierające wody, ryby giną od nadmiaru własnego żywiołu. Straszne jest to, że ulewa je oszczędza: ściana deszczu lejącego się z groźnie skłębionych chmur zatrzymuje się tajemniczo przed zalęknioną grupą rozbitków. Nie przychodziło nam do głowy, że potop

musiał przecież unicestwić nawet istoty wodne”. („W sercu fantastyki”).

FLAUBERT, CALVINO, CAILLOIS...

W KIRCHERZE POLUBIŁEM chyba to, co i jego fascynowało: pstrokaciznę świata, jego nieskończoną zdolność do fabrykowania bajek. *Wunderkammer*: gabinet cudów, gabinet wróżek... Strych, komórka, pudło z zabawkami - miejsca, gdzie przycupnęły nasze pierwsze zadziwienia, drobne przeżycia odkrywców.

„EFEKT KIRCHERA”: barokowość. Albo jak pisał Flaubert, rozpaczliwa potrzeba wyrażenia tego, czego nie można wyrazić...

GŁOŚNO LAMENTUJĄC przed drzwiami konającego, wyrostki piłują drewno - na jego trumnę - aby mu pomóc szybciej umrzeć. Piłują starego.

WSZYSTKO PRZEGRAŁEM przez to, że uczestniczyłem w życiu świata...

NAJWYŻSZA PORA zastanowić się, czego oczekuję po pracy nad tym manuskrytem... Schott jest prawie komiczny przez to swoje hagiograficzne podejście; prawdopodobnie ja jestem równie komiczny z powodu swego krytycyzmu.

JEDYNA MOŻLIWA TRANSCENDENCJA to ta, w której człowiek przechodzi samego siebie, aby znaleźć w sobie bądź w innych więcej człowieczeństwa.

LOREDANA się myli. Choć raz...

O INDIANACH, którzy co dzień zmuszają słońce, aby się pokazało: najważniejsza jest pogodna równowaga ducha istoty, przekonanie, że za jej sprawą dzień wstaje dla innych, podczas gdy tamci są przeświadczeni, że ten dzień wstaje sam. Ogłosić świt; na przekór wiatrom, przypluwom i odpływom przywołać poranek, kiedy ludzie jeszcze śpią.

## ROZDZIAŁ XXVIII

*W którym Kircher objaśnia symbolikę słonia,  
otrzymuje alarmujące wieści z Chin & drży  
o swoje zbiory z winy króla Hiszpanii...*

**Ż**adne zwierzę nie jest mądrzejsze od słonia! - powtórzył Kircher. - Ale też nie ma na Ziemi zwierzęcia mocniejszego, ponieważ nawet tygrys się cofa przed jego siłą & groźnymi kłami. A przecież ten zwierz żywi się wyłącznie roślinami, taką ma zaś szlachetną naturę, że jeśli już atakuje, to pragnąc ukarać tego, kto ośmielił się z chęci dokuczania albo ignorancji naruszyć spokój jego dziedziny. Słoń robi to zresztą nadzwyczaj ostrożnie, jak każdy prawdziwy monarcha świadom, że należy ważyć słowa & czyny, nie ufać nikomu & zważać na własne bezpieczeństwo w równym stopniu jak na bezpieczeństwo poddanych. Juliusz Cezar znakomicie to pojmował, skoro na swoich medalach zamiast własnej podobizny kazał ryc wizerunek egipskiego olbrzyma. Symbol ten wiele więcej zresztą oznaczał, ponieważ wedle Serwiusza w języku punickim na słonia mówiono „kajzar”... Co się tyczy Pliniusza, to uważa owo zwierzę za egipski

symbol pobożności Utrzymuje bowiem z całym przekonaniem, że słonie, działając pod wpływem tajemniczej wrodzonej inteligencji, zabierają świeżo ułamane gałęzie z lasu, w którym się pasą, podnoszą je trąbą & wpatrzone w niebo, gdy księżyc jest w nowiu, łagodnie nimi kołyszą, jakby zносиły modły do bogini Izydy, prosząc o łaskawość & przychyłność.

- A nie można też zapominać - podchwycił Grueber - co mi właśnie przyświecało, kiedyś pozwolił sobie wtrącić się, o tym, jakie zalety przypisują mu mieszkańcy Azji. Powiadają bowiem, że słoń jak Atlas podtrzymuje

świat: jego łapy są dla reszty ciała niczym cztery kolumny dźwigające sferę niebieską. Brahmani & Tybetańczycy czczą go jako Ganeśa, a Chińczycy w opowieści o swoim pochodzeniu każą mu dać na świat boga Fo-hi... W związku z tym jeżeli waszmościowie postawią mu na grzbiecie obelisk, jak widać na ilustracji w „Hypnerotomachia Poliphili”...

- Otrzymamy - podjął mój mistrz z ożywieniem - stosowny znak, mianowicie rozum, siłę, ostrożność & pobożność wspierające kosmiczny świat, lecz mające nad sobą boską wszechwiedzę. Czyli jako podpora Boga Kościół, a nawet sam Najwyższy Kapłan, który swoimi cnotami & szczodrością pozwala wreszcie odbudować starożytną mądrość! I żaden symbol nie uhonoruje lepiej Minerwy, której ten plac jest poświęcony!

- Cudownie! - zawołał Bernini. - Tylko gdzie ja w Rzymie znajdę słonia?

- W Koloseum - odparł Grueber, jakby chodziło o pierwszy lepszy przedmiot. A na widok stropionej miny rzeźbiarza wyjaśnił: - Cygańska trupa za parę miedziaków pokazuje tam dzikie zwierzęta. Obejrzyjcie & to, które wam potrzebne.

- W takim razie już tam biegnę - oświadczył rzeźbiarz bez zastanowienia. - Spieszno mi zabrać się do pracy!

Po odejściu Berniniego mistrz mój szczerze pogratulował ojcu Grueberowi przytomności umysłu. Im dłużej o tym myślał, tym wybrane zwierzę wydawało mu się bogatsze w symbolikę. Wychodząc od wymienionych trzech pierwszych znaczeń, doszukiwał się kolejnych, nie tak oczywistych, niemniej równie nieodpartych, nacisk kładąc na analogie pomiędzy papieskim urzędem a wpływem Mophty, najwyższego ducha, na nasz podksiężycowy świat.

- Gdybym nie miał pewności, że urażę Aleksandra z natury swej skromnego - wyznał nam na zakończenie - nazwałbym ten pomnik „Ozyrys ożywiony”, & w tym jednym wyrazistym skrótce wszystko by się zawarło...

Dwie niedziele później kawaler Bernini miał dość szkiców słoni, aby można projekt przedstawić Najwyższemu Kapłanowi. Papież przyjął go bez zastrzeżeń, toteż nasz artysta niezwłocznie przystąpił do poszukiwania odpowiedniego bloku marmuru we florentyńskich kamieniołomach. Co się zaś tyczy mojego mistrza, to znów odrobinę skrócił swój nocny wypoczynek, aby napisać pracę, którą zamierzył wydać drukiem równo z odsłonięciem pomnika.

I tak w lutym 1666 roku, kiedy oczom rzymian pokazano wspaniałe dzieło Berniniego, ukazał się „Obeliscus Alexandrinus”, nieduża książka, w której mistrz mój raz jeszcze dowodził swej dogłębnej znajomości Egiptu & hieroglifów. Zapoznać się w niej można było oczywiście z opatrzonym komentarzem tłumaczeniem tekstu egipskiego, lecz zawierała także wierną rekonstrukcję wielkiej świątyni Izydy w Rzymie, budowli, do której ów obelisk pierwotnie należał. Nie chcąc powtarzać tego, co już wyczerpująco omówił w „Obeliscus Pamphilius” & „Oedipus Aegyptiacus”, tutaj Kircher ograniczył się do odtworzenia & zinterpretowania licznych przedmiotów znajdujących się w jego muzeum albo w innych zbiorach, podkreślał także znaczenie kultów egipskich w starożytnym Rzymie. Na koniec obszernie się rozwodził nad symboliką samego pomnika, zaznaczając, iż światu całemu odślania zasługi Najwyższego Kapłana w dziele obrony & szerzenia wiary chrześcijańskiej. „Niechaj ów obelisk antycznych mędrców - pisał mistrz mój - wzniesiony dla okrycia chwałą twojego imienia, zasłynie w

czterech świata stronach & przypomina wszystkim o Aleksandrze, pod którego auspicjami ożył na nowo!”.

Dzięki wikariuszowi Chrystusowemu & jego misjonarzom Rzym jaśniał wówczas w świecie całym jak ongiś Heliopolis... I ręczę słowem, drogi Czytelniku, że oddanie & geniusz Atanazego wielce się do tego przyczyniły.

Kiedy opuścił nas Grueber, który wrócił do Austrii, Kircher kontynuował opracowywanie swej książki o Chinach. Okazało się, że ojciec Heinrich Roth posiada cenną znajomość Indii & hanskrytu, języka brahmanów, szybko wszakże mistrz mój przyznał, iż z powodu sztywnych z nim rozmów z każdym dniem bardziej mu brakuje obecności młodego Gruebera.

W tym właśnie czasie dotarł do nas mocno alarmujący list od ojca Ferdinanda Verbiesta, najbliższego współpracownika Adama Schalla w naszej misji w Pekinie.

Kircher bardzo się przejął otrzymanymi złymi wieściami. Odejście Adama Schalla, starego przyjaciela, któremu w młodości szczerze pragnął towarzyszyć w podróży do Chin, nieraz wyciskało mu łzy z oczu. Łzy smutku, a przecie powodujące czasami, że gniewał się okrutnie.

- Czy zdajesz sobie sprawę, Casparze? - wołał wtedy. - Nasi najszacowniejsi bracia, ludzie, którzy jak nikt inny przynoszą zaszczyt wierze & najtrudniejszym dziedzinom nauki; ludzie, którzy nigdy się nie uginają pod brzemieniem nałożonym na nich przez piekielną ignorancję pogan; którzy z uśmiechem znoszą najstraszliwsze tortury gotowi umrzeć za wiarę & przyszłość świata... & jakiejże mogą się spodziewać za to nagrody? Zapomnienie, tak przecież dojmujące, już byłoby mocno niesprawiedliwe, lecz dodawać do tego potwarz, kalumnie!... Jakże się nie oburzać, kiedy janseniści, dominikanie, a nawet franciszkanie, zupełnie nieznający chińskich obrzędów & obyczajów, oskarżają naszych braci o szerzenie bałwochwalstwa & tkwiąc w owej wygodnej niewiedzy, zaczynają piętnować prawdziwych apostołów wiary! Skoro ludzie otrzymali religię, aby dostąpić zbawienia, trzeba ją uczynić przyjazną...

Czy tacy jak Arnauld, Pascal & inni Katoni z bożej łaski uratowali kiedykolwiek choćby jedną duszę ze szponów szatana? A gdzieżby!... Są bowiem jak natrętne muchy, które unoszą się nad tym co brudne, próbując przysłonić blask tego co najdoskonalsze & najszczerze, & ustawicznie obraźliwymi przemowami & plugawymi oszczerstwami brukają to, co jest czyste & piękne! Jak długo przyjdzie nam jeszcze znosić pełną wzgardy butę tych błaznów?

Uspokajał się potem, wspomniawszy znowu przyjaciela, & od nowa ze zmarszczoną brwią czytał tragiczną opowieść ojca Verbiesta.

Powiadomiony o tym, co się stało w misji pekińskiej, ojciec Paolo Oliva, jedenasty generał naszego zakonu, natychmiast wyznaczył ojca Verbiesta na następcę nieodżałowanego Adama Schalla. Jak później się przekonamy, nie musiał ani przez chwilę żałować tak znakomitej decyzji.

Upłynęło kilka dni, doprawdy nader ponurych, a nie wyglądało na to, aby mistrz mój zaznał niejakiej choćby pociechy. Zdawało mi się, że zupełnie go nie obchodzi rozpoczęte prace, poświęcał się natomiast modlitwie & medytacji. Już zaczynałem żywić jak najpoważniejsze obawy o jego zdrowie, gdy pewnego pięknego poranka ujrzał go z uśmiechem na ustach & jak odrodzonego.

- Chwała Bogu! - zawołałem, składając ręce & nie posiadając się z radości, że go ujrzałem w takiej dyspozycji.

- A chwała, chwała... Bo niczym jesteśmy bez Niego & z pewnością uznać należy, że taka była Jego wola, kiedy mnie zniemacka oświeciło.

I już się szykowałem, aby podzielić się ze mną naturą owego oświecenia, gdy zapowiedziano naraz nieoczekiwane przybycie młodego króla Karola

II Hiszpańskiego, liczącego zaledwie pięć lat, oraz jego matki, Marianny Austriackiej, wdowy po Filipie IV, która do czasu, aż jej dostojny syn osiągnie wiek męski, sprawowała rządy w królestwie. Chociażemy



wiedzieli, że przebywają w Rzymie, małe królewiątka bowiem miało zostać przedstawione Najwyższemu Kapłanowi, ani w głowie nam nie powstało, że zechcą nas odwiedzić. Mistrz mój wszakże nie zdziwił się nadmiernie, albowiem jego muzeum taką się cieszyło reputacją, że przyciągało nawet koronowane głowy.

Zjawili się w towarzystwie kilku dworak w bogatych strojach, jezuita ojca Nitharda, niedawno za wstawiennictwem królowej matki mianowanego naczelnym inkwizytorem & pierwszym ministrem Rady Regencyjnej, oraz jego siostrzeńca, don Luisa Camacho. Ten ostatni liczył sobie ledwie trzynaście wiosen, błyszczał jednak wyjątkową dojrzałością & bystrością umysłu, co słusznie napawało dumą jego wuja.

Kircher nie pomylił się co do przyczyn ich przybycia do kolegium, toteż pod jego przewodnictwem cały ten orszak długo przemierzał galerie muzeum. Młody król nadzwyczaj śmiało zabawiał się szkieletami, mumiami & wypchanymi zwierzętami, cokolwiek znalazło się w zasięgu rąk, chwycił to nerwowo & nikt ze świty nie pomyślał, aby zwrócić mu uwagę, tak że omal nie zniszczył kilku bezcennych eksponatów. Mistrz mój, widziałem, gotował się w środku, ogromnie też był wdzięczny don Luisowi Camacho, że delikatnie odciągał małego łobuziaka, ilekroć zanosilo się na nieodwracalne szkody.

Nieco później, kiedyśmy zasiedli w głównej galerii na przygotowany spieszenie poczęstunek, naczelnik inkwizycji zapytał Kirchera o szczegóły dotyczące ostatnich nieszczęść, jakie spadły na naszą misję w Chinach.

Atanazy dał mu do przeczytania list ojca Verbiesta & wkrótce rozmowa zesłała na temat bałwochwalstwa, po czym na te punkty doktryny, które krytykowali Chińczycy.

- Doskonale - rzekł ojciec Nithard - ośmielę się wszakże prosić was, abyście z łaski swojej wyświadczyli mi przysługę: mianowicie ten oto młodzieniec, będący moim siostrzeńcem, nie ma okazji zmierzyć swojej wiedzy w starciu z rozumem takim jak wasz, toteż byłbym wdzięczny, gdybyście zechcieli stawić mu czoło w tej kwestii. Jakkolwiek rozmowa przebiegnie, będzie to dla niego nader przydatna lekcja pokory & nie wątpię, że potrafi z niej wyciągnąć pouczające wnioski.

- Ależ z największą przyjemnością, ojczec... Trochę go obserwowałem & mam wysokie mniemanie o jego zdolnościach. No cóż - rzekł, zwracając się do don Luisa Camacho - pozwól, młodzieńcze, że postąpię jak Sokrates z Fedonem & doprowadzę do tego, abyś wygłosił prawdę, którą znasz, choć o tym nie wiesz. Zapewniam, że nie powoduje mną kaprys, lecz przykład czy doświadczenie tego, co raduje moje serce, odkąd Pan Bóg mnie tym obdarzył.

Chłopiec, dotąd z uwagą przysłuchujący się starszemu, chętnie wyraził zgodę & w rozmowie, którą przeprowadzili, starał się jak najdokładniej spełniać oczekiwania mistrza swojego.

## **FAWELA PIRAMBÚ**

*Póki wszystko jeszcze jest możliwe...*

Kiedy Moema się obudziła w dusznym półmroku budy, obcość miejsca jeszcze przedłużyła oszołomienie, z którego próbowała się otrząsnąć. Przez rzęsy zobaczyła duże czerwone litery napisu na kartonach tworzących sufit - GÓRA DÓŁ - i rozbity kieliszek, który bez uciekania się do jakiegokolwiek języka informował, że zawartość jest bardzo delikatna. Zobaczyła ciało, swoje ciało, ubrane w strój piłkarski, koszulkę i spodenki w barwach drużyny brazylijskiej. Pochylony nad nią anioł ocierał jej czoło, młody mężczyzna o chmurnej twarzy, dużych smutnych oczach, sypiącym się dopiero rzadkim zaroście, jeden z tych neapolitańskich *ragazzi*, których można oglądać na fajumskich malowidłach enakustycznych z okresu rzymskiego. Zamknęła oczy. Leżeć bez ruchu, nic nie mówić, udawać nieżywą, aby uniknąć razów... Anioł mówił bez przerwy cichym głosem, zdanie przewijało się po zdaniu jak przesuwane w palcach paciorki różańca. Słowo „księżniczka” bez ustanku się powtarzało, wydzielalo się z niego dodające otuchy ciepło. Moema pamiętała, że szła za tym współczującym głosem, który wabił ją i pociągał, że była niczym tonący statek kuszony obietnicą spokojnych wód. Wcześniej był kwas u

Andreas, potem ta impreza, kiedy czuła się taka odtrącona, potem szczury i zaułki faweli... Sznureczek wspomnień mówiących, że była przeraźliwie, jak nigdy dotąd nieszczęśliwa. Spośród wszystkich chwil, które wylaniały się z mroków niepamięci, jedna wyodrębniła się szczególnie wyraźnie: ta, gdy biała czapla rozbiła

tarczę chroniącą Moemę przed światem. Widziała twarz każdego z lajdaków, którzy ją zgwałcili, słyszała każdą obelgę, czuła każdą torturę, jaką jej zadali, śmiejąc się z jej błagań. Działanie LSD jeszcze niezupełnie ustało; resztki jego wpływu, niemal niezauważalne, wzmacniały tylko pojedyncze wspomnienia potworności przeżytych ostatniej nocy. Do oczu znowu napłynęły jej łzy. Trzymając się za głowę, starała się jak najbardziej skurczyć, za wszelką cenę pozbierać rozproszone kawałki tego, co wilcza wataha zniszczyła w niej.

Znowu zasnęła.

Kiedy się później przebudziła, stwierdziła, że jest sama, skorzystała więc z tego, by ulżyć pęcherzowi w kącie budy. Leżąc na boku, długo wpatrywała się w owalną plamę światła, które padało na piasek przez dziurę w dachu. Widziała przez nią przepływające wolno chmury. Przerazenie ogarniało ją na myśl o „dworze” tuż obok, zaraz za dającymi schronienie ścinkami z dykty i kartonu. Potem oglądała czarno-białe zdjęcia z gazet, którymi wytapetowana była ściana w pobliżu jej głowy: w większości wizerunki Lampião, ale także kilka podobizn człowieka z oczami wydłubanymi końcem noża. Pod zdjęciem uśmiechniętej malutkiej Amerykanki, która w łóżeczku z baldachimem siedziała z wiertarką na kolanach - przy dziewczynce widniał stos żelastwa, a na samym wierzchu widać było gumową laleczkę podziurawioną jak przetak - można było przeczytać:

*Instynkt destrukcji. Dwuletnia zaledwie Robin Hawkins jest już uważana przez psychoanalityków za przykład modelowy. Jedną z jej ulubionych zabawek jest ta oto wiertarka, której dziewczynka broni zębami i pazurami, gdy ktoś próbuje ją zabrać. W ostatnich tygodniach uroczą milusińska zniszczyła mnóstwo rzeczy (między innymi telewizor, lodówkę, pralkę...) wartych około 2000 dolarów. Państwo Hawkins, dumni, że ich córeczka tak szybko się rozwija, zachęcają Robin do praktykowania tej nowej formy wyrazu. Tymczasem obili jedynie blachą drzwi do swojej sypialni.*

Moemy ani nie rozbawiła, ani nie zasmuciła ta wzmianka. Po prostu zapoznała się z nią i tyle. Przed oczy natrętnie wciskały jej się widoki tego, co było na zewnątrz. Poniżona tak, że naruszyło to nawet jej stosunek do przedmiotów, czuła się nieczysta, zbrukana, jak omdlała mucha unosząca się na powierzchni mleka. Najchętniej dałaby się uspić na najbliższe dni, wiedziała bowiem, że nie zdoła ich przeżyć, pragnęła zasnąć i spać przez rok, dwa lata, choć nie miała pojęcia, czy to wystarczy, aby wyzdrowiała. Ale może po przebudzeniu nie czułaby już w sobie tej nienawiści do mężczyzn, od której drętwiały jej uda, tego obrzydzenia, w którym pomieszani Aynoré, Roetgen i wszyscy inni warci byli tyle samo.

Anioł wrócił i tym razem zobaczyła jego ułomność, z powodu której aby iść, musiał się podparć rękami o ziemię. „Olbrzymie skrzydła nie pozwalają mu chodzić”, pomyślała beznamiętnie, jakby takiej metafory - zaczerpniętej, jak zapewniała Thais, z „Mewy” - powszechnie używano. Na ustach cherubina bez ustanku widniał rozczulający uśmiech, rzekłbyś, że to postać z filmu niemego, tak dobitnie wyrażał oczarowanie. Pozwoliła, by jodyną przemył rany widoczne na jej ciele. Płyn trochę szczypał w miejscach zadrapań, śledząc jednak wzrokiem gesty anioła, stwierdziła, że nie ma poważniejszych obrażeń. Przelknęła potem parę kęsów kanapki, którą jej podał, napiła się wody mineralnej z butelki, którą niezgrabnie otworzył, i obserwowała jego stwardniałe dłonie, gdy nacierał sobie ramiona i tors jakąś maścią z tubki.

Leżąc na plecach, słuchała go. Jego głos kreślił pod jej powiekami arabeski bez końca, kaligrafował

melodyjne znaki - i wystarczyło tylko iść za nimi, aby o niczym nie myśleć.

Potem anioła znowu nie było. Taki widać jego anielski przywilej, zaczynała do tego przywykać. Zostawił obok niej nowe ubrania, T-shirt z reklamą szwajcarskiej śmietany i beżowe szorty, poskładane w przezroczystym opakowaniu foliowym. Było też śliczne różowo-złote mydelko i nowy ręcznik.

Wejść pod prysznic, oczyścić każdy załomek ciała, zdezynfekować je jak muszlę w toalecie... Bez choćby sekundy wahania wśliznęła się do kabiny pod otwartym niebem, oddzielonej od budy przezroczystą plastikową płytą. Trzy palety wkopane pionowo w piasek, zardzewiała beczka napelniona wodą, puszka po konserwie... Przyzwyczajona do spartańskich warunków w Canoi zrzuciła ubranie i przykucnęła.

Dopiero skurcze mięśni nóg zmusiły ją do zakończenia maniackiego obmywania ciała.

Wróciwszy do izby, naciągnęła ciuchy przygotowane przez anioła stróża, nie zapomniawszy posmarować się maścią z arniką, jak jej poradził. Na skrzynce leżało lusterko w jasnozielonych plastikowych ramkach, machinalnie wzięła je do ręki. Oczy miała zapuchnięte, na dolnej wardze lekkie skaleczenie, lecz poza tym jej twarz nie ucierpiała. Fryzurę za to jak u wypłoszą... Odsunęła rękę z lusterkiem, aby obejrzeć się w całości.

Nata Suiça Nata  
Suiça Nata Suiça  
Nata Suiça Nata  
**GLORIA**  
Suiça Nata Suiça  
Nata Suiça Nata  
Suiça Nata Suiça

Serce skoczyło jej w piersi. Odbity w lusterku napis na T-shircie był przesłaniem adresowanym niewątpliwie do niej: Atanaçius, Atanazy... Jakże nazywał się ten facet, o którym swego czasu ojciec bez przerwy opowiadał?... Karcher?... Kitchener?... Sympatyczny raczej księżulo, niegdyś wyobrażała go sobie z twarzą Fernandela w roli Don Camilla. Kocie organy, magiczna latarnia, wszystkie cudowne zabawki, które wymyślał dla niej noc po nocy, zapłonęły naraz od nowa świetlistymi barwami dzieciństwa. W jej dziecięcych wyobrażeniach Atanazy był tak samo żywy, tak samo cudownie rzeczywisty jak baron Münchhausen, Robinson Cruzoe czy kapitan Nemo. Chociaż widziany w lusterku napis niezupełnie zgadzał się z właściwą pisownią imienia, ten zbieg okoliczności poruszył Moemę ponad miarę. Nawet nazwa firmy - „Gloria” - przeobrażała się w tym kontekście w hieroglif czekający na właściwe odczytanie.

Bez wątpienia na drodze skojarzeń przypomniła sobie anegdotę, którą opowiadał jej ojciec, ilekroć rozmowa schodziła, jak często bywa po wypiciu, na znaki losu. Pewien pisarz, którego nazwisko wyleciało jej z głowy, miał kiedyś wsiąść na parowiec „General Lamauricière”, aż tu ogarnęło go jakieś dziwne przeczucie: mianowicie zamiast „Lamauricière” na moment z przerażeniem zobaczył, w chwili przeblysku, słowa: „La mort ici erre”, „Śmierć tutaj błędzi”. Wstrząśnięty tym, co ujrzał, postanowił zaczekać na następny statek. Tydzień później przysłała wiadomość, że „General Lamauricière” podczas rejsu zatonął... Skończywszy, ojciec czekał chwilę, aż słuchacze w pełni uświadomią sobie wagę opowieści, po czym dodawał, że coś podobnego przydarzyło się Samuelowi Beckettowi: „Kapitan Godot wita państwa na pokładzie”, usłyszał z głośników, siedząc w samolocie, który właśnie kołował na pas startowy. Beckett spanikował, dostał ataku nerwowego. Dotąd się awanturował, aż zmusił załogę, aby go wysadzono z maszyny, która mogła stać się jego trumną. Tym razem jednak nie było wypadku, co

zdaniem Becketta dowodziło - tak przemożne niekiedy odnosimy wrażenie, żeśmy przeniknęli zamiary jakiejś tajemnej siły sprawczej kierującej naszym losem, i tak silna tkwi w nas potrzeba uwiarygodnienia tego ostrzegawczego przecucia - nie tego, że jego strach był bezprzedmiotowy, lecz że wysiadając z samolotu, zmienił przeznaczenie i w ostatniej chwili uratował życie pozostałym pasażerom.

Jeśli zatem napis widoczny w lusterku jest tego rodzaju fenomenem, przed czym ją ostrzeża? Jakie zagrożenie zwiastuje? Moema położyła się znowu. Ogarnięta niepokojem odplynęła ku mrocznym głębiom, w których migotała zagadka odsłonięta przez T-shirt. Konstelacje gwiazd ogniście wybuchły jej w głowie, potem wolno zaczęły się przenikać różne obrazy, a na koniec pojawiła się twarz Eleazarda. Ten obraz coś mówił, starała się więc odczytać jego przesłanie: to był krzyk, wezwanie, od którego tak bardzo ścisnęło jej się serce, że z trudem oddychała. Kiedy rodzice się rozeszli, natychmiast stanęła po stronie Elaine, w ogóle się nie zastanawiając, co czuje ojciec. Nie próbowała mu pomóc czy choćby tylko zrozumieć go. „Musisz zacząć własne życie, Moemo - tłumaczyła jej matka, nie godząc się zabrać ją ze sobą do Brasillii - musisz przeciąć pępowinę. Niedobrze będzie dla ciebie, jeśli będziesz się trzymała mojej spódnicy. Zostaniemy przyjaciółkami, zobaczysz, dorosłymi przyjaciółkami. Ale musisz zrobić jak ja, musisz się uwolnić, musisz żyć...” Problem w tym, z czego Moema właśnie teraz dopiero zdała sobie sprawę, że ona wcale nie czuła się dorosła, ona chciała mieć ojca, chciała mieć matkę, a nie „przyjaciół”! To, że Elaine takich bzdur jej nagadała, wydało jej się nagle potwornie egoistyczne.

W tym świetle wszystko stawało się podejrzanym, łącznie z naleganiem, aby mówiła jej po imieniu, jakby się wstydziała, że jest jej matką... Ona, Moema, także w tej sytuacji nie była bez winy, ponieważ równie lekkomyślnie zdradziła miłość ojca - miłość, której przecież ani jej kaprysy, ani niewdzięczność nie zdołały nadważyć! Może jednak nie jest za późno, aby wszystko naprawić, aby powiedzieć mu to, co powinien był usłyszeć pół roku temu. Pojedzie do niego do Alcântary. On potrafi ją sprowadzić na właściwą drogę, uporządkuje miszmasz, jakim stało się jej życie. Studia... trudno, i tak ten rok ma stracony. Musi do niego jak najszybciej napisać, powiadomić go o przełomie, jaki się w niej dokonał. W swoim zagubieniu miała wrażenie, że znalazła rozwiązanie, i uczepiła się go jak koła ratunkowego. „Kochany Tatusiu, jeśli nadal chcesz, chętnie zamieszkać z Tobą. Trudno jest pisać do ojca, kiedy nie ma o co go poprosić, ale wszystko niedługo Ci wyjaśnię. Tym razem błagam tylko, abys mi wybaczył. Całuję Cię mocno...”

- Moema.

- Ja jestem Nelson - odpowiedział anioł. - Wiesz? Myślałem, że jesteś niemową... Wujek Zé dopiero jutro będzie mógł przyjść, ale jakoś sobie poradzimy.

Zapadła noc, w budzie paliła się mała lampka naftowa. Moema przeprosiła tego, który od wielu godzin próbował z niej wyciągnąć, jak się nazywa. Otarła łzy i kazała sobie opowiedzieć wszystko od początku.

Thais i Roetgen zaczęli się martwić dopiero dwa dni po imprezie w jachtklubie. Wpadli do Moemy nazajutrz koło południa, potem znowu wieczorem, lecz niezbyt się niepokoiłi, przekonani, że trzeźwieje po LSD. Następnego dnia znowu przyszli, tuż po odplynięciu Xaviera. Ponieważ drzwi nadal były zamknięte, przyszło im do głowy, że Moema może nie jest w stanie im otworzyć. Podpytali w końcu sąsiada z piętra i postanowili z jego balkonu dostać się do mieszkania Moemy. W ten sposób ustalili, że Moemy nie ma w domu. Co więcej, wszystko wskazywało na to, że w ogóle nie wróciła od tamtego wieczoru.

- Trochę mnie to uspokaja - powiedziała Thais. - Nie pierwszy raz znika bez słowa.

- I gdzie się wtedy podziewa?

- Kto to wie? Może w jakimś hotelu, żeby nikt jej nie znalazł. Albo wróciła do Canoi... Trudno powiedzieć. Ale nie musimy się martwić, ma przy sobie kasę.

Obydwoje czuli się winni wobec Moemy, dlatego tym większe mieli do niej pretensje, że tak

lekkomyślnie postąpiła.

- Powinna wiedzieć, że będziemy się gryźli - mówiła Thais.
- No, niefajnie zrobiła. Mogła przynajmniej dać znać.

Po odrętwieniu, w którym trwała pierwszego dnia, Moema popadła w równie niezdrową euforię. Czuła, że odżywa. Podniecona postanowieniem, że wyjedzie z Fortalezy, aby wrócić do ojca, zrzuciła dawną skórę z gorliwością osoby przywróconej do życia. Bolesne przeżycia wywoływały jeszcze przerażające wizje, jak tę, w której mieszała ludzkie szczątki w olbrzymim kotle śmierdzącym rozgrzanym tłuszczem i trupem. Próbując wytłumaczyć Nelsonowi, co jej się przydarzyło, Moema ze zdziwieniem spostrzegła, że ma z tym problem. Pamiętała bowiem jedynie jakieś obrazy oderwane i paradoksalnie całkowicie pozbawione przemocy - czapła, złoty ząb, etykieta na butelce piwa - obrazy koszmarnego snu, który powinien był się zapisać w pamięci, tymczasem po przebudzeniu niepodobna odtworzyć go w całości.

Teraz była na siebie zła, że chciała znów zobaczyć Aynorégo, że uważała się za dość twardą, aby nocą zapuścić się w niebezpieczny labirynt uliczek faweli. Kara oczywiście była nieproporcjonalna do przewinienia, w sumie jednak należała jej się, podobnie jak zła ocena należy się za byle jak napisane wypracowanie. Ledwie dopuszczała do siebie myśl, że kiedyś będzie musiała wychynąć na światło dnia z cienistego, przyjemnego ukrycia, w którym się zagrzebała instynktownie niczym zwierzątko. Aby tę konieczność jak najbardziej odsunąć, skrupulatnie unikała wszelkich pytań na temat swojego adresu albo nazwiska. Dla niej istniał bowiem świat „przedtem” i „potem”. O pierwszym nie chciała nawet słyszeć, drugiemu nie była jeszcze gotowa stawić czoła.

Rozmowa z wujkiem Zé okazała się przełomowa na drodze jej metamorfozy. Zjawił się u Nelsona późnym popołudniem i spędził z nimi cały wieczór.

- Cześć, księżniczko! - przywitał ją. - Wygląda na to, że miałaś szczęście...

Moema od pierwszej chwili dostrzegła jego dobroć. Od Nelsona już trochę o nim wiedziała, teraz szacunek przeobraził się w szczery podziw. Głównie dzięki niemu zdołała nazwać po imieniu to, co ją gnębiło. W prostych słowach, ani na moment nie wyzbywając się łagodności wymowniejszej niż wyraźny bunt, odsłonił przed nią prawdę o fawelach. Ten zepchnięty na margines świat, nad którego istnieniem ubolewała, świat ponury, niegodny człowieka, zobaczyła do samego dna, aż wyrył się w materii rzeczywistości, i wtedy rozpadło się jej niegdysiejsze dobre samopoczucie. To co Nelson jej pokazywał samym swoim żebraczym istnieniem, Zé uwypuklił takimi liczbami, że poczuła się w mniejszości we własnym mieście. W samej tylko Fortalezie na piaskach, na szkodliwych dla zdrowia ruchomych wydmach żyło ponad osiemset tysięcy ludzi. Skazane na piekło lazuru nieba tropików, skażone nędzą slumsy bez ustanku gorliwie mnożyły nieszczęście: dziecięce burdele, kazirodztwo, choroby endemiczne - i to te rzekomo zwalczone! - głód, który zmuszał ludzi do łapania szczurów albo jedzenia suchej ziemi z kolein, niewiarygodne poświęcenie i odejmowanie sobie od ust, aby kupić odpowiednią liczbę dachówek niezbędnych rodzinie do przeżycia: „Kiedy ma się prawdziwy dach - uświadomił jej wujek Zé - trzeba urzędowo pół roku, żeby zrównać z ziemią nielegalnie postawiony dom, bez dachu wystarczy przysłać buldożer”. Maszyny nadciągały bez uprzedzenia, jak kolka albo skręt kiszek, i pożerały wszystko na swojej drodze, aby oddać wydmę we władanie inwestorom, którzy budowali ciąg dalszy betonowej bariery wznoszonej na brzegu morza. Szept niezadowolenia? Protest? Natychmiast strzelano do tłumu z taką samą obojętnością, z jaką strzela się do stada wróbli. Jakby tego było mało, ciągle wybuchały awantury między nędzarcami, był alkohol, heroina, zmarli grzebani na siedząco - czasami człowiek potykał się o głowę, idąc się odlać na uboczu! - mnóstwo wariatów, papier toaletowy, na którym oprychy samozwańczo uważające się za właścicieli twojej budy wypisywały rachunek za wynajem, noworodki sprzedawane ludziom nadzianym i każdemu, kto cierpiał z powodu braku potomstwa, plaża harpunników, gdzie na oczach wszystkich spuszczano portki, aby załatwić potrzebę,

chłopcy i dziewczynki do ósmego roku życia biegające nago, dzieci, które gasły znieca z wyдутым brzuchem, nie pomogły im bowiem ćwiczienia joginów... dziewięćdziesiąt milionów mizeraków bez aktu urodzenia i dowodu tożsamości, ponad połowa mieszkańców Brazylii skazana na życie w nędzy.

- To mniej niż niewolnicy - mówił wujek Zé - ledwie można powiedzieć, że ludzie, ale jednak ludzie... To jest Brazylia, księżniczko. Nie to co widzisz ze swojego okna.

- Ostatni raz jak przysłali buldożery - dodał Nelson - wszyscyśmy myśleli, że przyjeżdżają po śmiecie. Ale śmiecie to byliśmy my, rozumiesz?

A ona myślała, że szczytem biedy jest to, co widziała u rybaków w Canoi! Teraz wydawało jej się, że tamci żyją w pozadzroszczenia godnym luksusie nieosiągalnym dla ludzi w fawelach.

Zaczynał się jednak rodzić cień oporu. Dzięki pracy kilku nawiedzonych - świętych ludzi, księżniczko, prawdziwych świętych! - którzy ulokowali się w samym sercu faweli i dzielili nędzę jej mieszkańców, powstawały punkty, było nie było, pomocowe, załóżki przychodni, gdzie można było zasięgnąć darmowej porady lekarskiej, zebrać się, pogadać. Stowarzyszenia takie, jak: Dziura w Niebie, Matki Boskiej Łaskawej czy Wspólnota Guajawa, podejmowały uczenie dzieci czytania i pisania, rozdawały żywność rodzinom, które co dnia przybywały na wydmy z różnych zakątków Nordeste, wypędzone z domów suszą w Sertão albo chciwością właścicieli ziemskich. Pomagano im wznieść prowizoryczne schronienia, aby zajęli dla siebie kawałek ziemi. Powoli ludzie z Pirambú na nowo odkrywali solidarność, siłę w jedności. Litościwe dusze dawały żywność, leki, wielkie worki foliowe, które kładziono na dachy albo rozpinano między czterema żerdkami, by utworzyły kolejną budę. W faweli Cuatro-Varas powołano radę, pierwszy twór tego rodzaju: złożona z kilku wybranych osób grupka rozstrzygała problemy wewnętrzne i broniła interesów dzielnicy przed władzą publiczną. Wiele to nie jest, ale przynajmniej coś drgnęło.

- To on mi zbudował dom. A czasem w magazynie zwędzi trochę dachówek z jakiejś ciężarówki. Nie dla siebie, zwyczajnie, dla innych... Nawet odpala jakiś grosz Manoelzinho, żeby codziennie napełniał mi beczkę wodą!

Zażenowany wujek Zé dał znak Nelsonowi, żeby przestał gadać, i zmienił temat. Taka jednak jest prawda. Pośród wariatów, którym losy świata

nie są obojętne, są tacy, którzy w taki czy inny sposób angażują się, by zmienić stan rzeczy, i tacy, którzy zadowolają się wprowadzaniem zmian wokół siebie, krok po kroku, po swojemu. Obydwie postawy prawdopodobnie uzupełniają się nawzajem, z czego Moema zdawała sobie teraz sprawę; ona nie przyjęła ani jednej, ani drugiej - i za to również będzie musiała kiedyś przeprosić. Tak chętnie na przykład wytykała wymordowanie Indian, a cóż zrobiła dla nich? Byli jedynie narzędziem, które wykorzystywała, by poprawić sobie samopoczucie i wygłaszać jałowe tyrady. Czy na swój plus mogła coś zapisać, najdrobniejszy chociaż czyn, aby mieć prawo do zabierania głosu i korzystać z niego z minimum przyzwoitości?

- Dobry Boże, jak to możliwe? - mówił wujek Zé. - Zaraz będzie rok dwutysięczny, a trzy czwarte ludzi na ziemi ciągle przymiera głodem! I co nam da ten rok dwutysięczny, no powiedz? To wszystko źle się skończy, księżniczko, gorzej, niż im wszystkim się wydaje. Nie posuwamy się ani o włos. Dlatego nie ma rady, to wszystko się zawali...

Nie tylko Janomamowie czy Kadiwéu, ale też niezliczone inne plemiona rozbrzmiewały zbuntowanym chórem w głowie Moemy, przybitej poczuciem winy. Jej zadanie wyraźnie się krystalizowało: za wszelką cenę trzeba uchronić to, co ludzkiego pozostało w nas i na całej ziemi, aby w przyszłości nikt nie mógł nam zarzucić, że nie zrobiliśmy nic, póki wszystko jeszcze było możliwe.

- Wylali nawet ojca Leonarda... A przecie to prawdziwy franciszkanin! Ten bałwan papież... wybac, księżniczko...jaja bym mu obciął za to, co zrobił! To zbrodniarz... Tysiące, miliony ludzi przez niego

umarły!

Moema nie przestawała szeroko otwierać oczu, poczuwała się do winy za swą bezduszną, za zbrodnicze wręcz zaniechanie. Jednakże wujek Zé w miły sposób wyperswadował jej tę skłonność do samobiczowania:

- Jak stłuczesz szklanę, księżniczko, daremnie posklejasz kawałki: szklanka nadal będzie rozbita. Najlepiej wtedy kupić nową szklanę, jeśli rozumiesz, co mam na myśli.

Rozumiała. Naprawienie swego życia - swej iluzji życia! - oznaczało zbudowanie czegoś nowego, zmienienie od początku do końca swojego stosunku do innych. Jak? To jeszcze się jej w głowie nie wyklarowało, ale zaczęła od powrotu do ojca, do domu. Potem zgłosiła się do pracy w tej faweli albo w innej, będzie pracowała dla FUNAI wśród Indian w rezerwacie Xingu. Może dla organizacji pozarządowych, dla UNESCO, ONZ? „W głowie się nie mieści, jakie gówno nam przysyłają: buty bez pary, pluszowe misie, okulary stare jak świat... Wszystko, co już im się nie przyda! A czemu niby nam miałyby się przydać, hę? A jak dają kasę, czek oglądamy tylko w gazetach...” Jest przecież mnóstwo sposobów, żeby być użyteczną. I dodawała w duchu: „żeby prosić o wybaczenie”, nie zauważając, że w pierwszym rzędzie sama sobie powinna wybaczyć, że jej chwalebne postanowienia nigdy nie dadzą efektu, nigdy nie będą miały sensu, jeżeli nie dopełni tej podstawowej powinności.

Samo przyodzianie się w prestiżowy mundur bojowniczkę o prawa człowieka niosło jej odkupienie. Potężniał w niej entuzjazm. Wyrażenia takie, jak: „wrócić do punktu wyjścia” czy „zacząć od zera”, tłukły jej się po głowie równie uporczywie jak dojmujące poczucie odpowiedzialności. Kiedy Zé powiedział jej o święcie Yemanjy i o kłopotach ze znalezieniem dziewczyny godnej wyobrazić boginię, Moema natychmiast zaoferowała pomoc. Wujek Zé uprzedził ją, do czego się zobowiązuje, i wyznaczył jej spotkanie za dwa dni w terreirze Mata Escura.

## **FAWELA PIRAMBÚ**

*Widziałem ją i nie widziałem...*

Kiedy wujek Zé zabrał Moemę do miasta, Nelson skulił się w hamaku. Mógł skorzystać i ciężarówką pojechać na żebry nad samym morzem, ale odejście księżniczki kompletnie go zaskoczyło. „Jestem jak wilkołak przy pełni księżyca, myślał stropiony, sam ze sobą nie mogę sobie poradzić...” Wszystko w budzie przypominało mu dziewczynę, drobne zmiany, nieliczne przedmioty, których starał się nie ruszać, aby jak najbardziej przedłużyć czar jej obecności. Ze zmarszczonymi brwiami, zapatrzony w sufit, próbował podsumować minione szczęście, wyobraził sobie ze dwie, trzy sceny; lecz wszystkie te dni ostatecznie zasadzały się na poczuciu, że na krótko jego świat zapłonął jasnym światłem, a teraz na powrót wzięła go we władanie ciemność. Nie, no, pamięć nie może mu wycinać takich numerów, tego nie wolno mu zapomnieć! Wiercił się w hamaku, przewracał. No a jak by się wytłumaczył, gdyby policja uparła się go przesłuchać, hę? Nie starczy,

jak im będzie wciskał tych parę wspomnień, które zostały mu we łbie: raz jasno, raz ciemno...

Gliniarz zaraz by mu przysunął w ryło, to pewne. I drugi raz po to, żeby mu się pod powalą rozjaśniło.

- I jak, coś ci świta, wypierdku? Jaśniej teraz widzisz? Czego szukała u ciebie taka laska?  
- Poszłem popatrzeć na pociąg, a ona tam była i z kimś się biła, ale nikogo nie było. Od razu było widać, że ktoś ją paskudnie przeczłgał.

- Po czym żeś to poznał?

- Prawie nic na sobie nie miała i płakała. Jakby jej odwalilo...

- I pewnie sobie na niej poużywał...

- Przysięgam, że nie, panie oficerze! Dla mnie ona jakby była wystrojona w niebieską suknię z ałtasu

z falbanami... Królewska córka, piękna, aż oczy bolały... Za nic w świecie bym jej nie tknął! Nie miała się dobrze, o nie, a nawet całkiem źle się miała. No to zem zabrał ją do siebie, żeby ją chronić przed smokiem...

Plask! Znowu oberwał w ryło... I słusznie, należało mu się. Bo ten pieprzony gliniarz nie mógł przecie zrozumieć, że ona przysła z cordelu, że jest księżniczką Królestwa-gdzie-nikt-nie-dociera. Chociaż on wiedział, że to nie ona, taki głupi nie jest. I nawet przez myśl mu nie przeszło, że ona jest z Pirambú: od razu było widać, mimo że była goła, że to dziewczyna z *soçaité*, z wyższych sfer...

- Która była godzina?

- Bo ja wiem?... Trzecia, czwarta rano... Nie mogłem jej tam zostawić... W każdym razie nawet zem jej nie dotknął, nawet zem nie popatrzył. Dałem jej wszystkie swoje rzeczy prócz tego, com miał na sobie, stroju strzelca z numerem Zica. A jak się zrobiło jasno, poszedłem do miasta, żeby jej kupić wszystko co najlepsze! W życiu tyle naraz nie wydałem, panie oficerze! T-shirt był prawie darmo, z Ligi Zwalczenia Biegunki Dziecięcej, ale spodenki, ręcznik... *Puxa!* Było nawet mydło różane. Luksusowe, wyprodukowane według receptury angielskiej, specjalność przemysłu państwowego. Ulubione mydło osób wyrafinowanych, tak tam pisało, otacza ciało aureolą dystynkcji. Aureolą, panie oficerze, sam bym tego nie wymyślił! Nieodzwonne osobom wytwornym, nic nie zmyślam!

Nelsonowi przyszło nagle coś do głowy - poszedł po mydło i wrócił do sprzyjającej rozmyślaniom przytulności hamaka. Wąchając przezroczyście kostkę mydła i ręcznik, którego używała Moema, czym prędzej wrócił do fantazjowania.

- Teraz lepiej sobie przypomnę, naprawdę.

- Co potem zrobiłeś?

- Opatrzyłem ją, jak mogłem, i przyglądałem się, jak śpi. A jak się obudziła, pokazałem, gdzie może się umyć. Powiedziałem, żeby posmarowała sobie maścią te wszystkie siniaki, ja tego nie zrobiłem z szacunku, no, rozumie pan... A ona ani słowem się nie odzywała. Patrzyła tak przeze mnie, jakbym był przezroczyście, jak szyba. I po tym poznałem, że ma *encosto*. Była opętana, chora... Myślałem nawet, że wcale nie umie mówić... No to gadałem za dwoje. Stawiałem pytania i odpowiadałem, a potem opowiedziałem jej wszystkie historie, które obiecałem... I ani chybi to pomogło, bo doszła do siebie. Jak ci na imię, księżniczko? Gdzie jest twoje królestwo? I takie tam... Otwierała oczy, a potem usypiała znowu. Tak mi się widzi, że paru sobie na niej pożywało...

- Taaak?... A czemuś nie zawiadomił policji?

- Z całym szacunkiem, panie oficerze, ale jak to mówią: im rzadziej widzisz policjanta, tym lepiej się masz. I tak by zresztą policja nie przysła, bo to baranie łby... - Tym razem uchyliłby się we właściwej chwili i kolejny policzek by go nie dosięgnął! - Zadzwoiłem do wujka Zé z budki. Szczęście, że akurat był w magazynie. Mogę wpaść dopiero jutro wieczór, tak powiedział, mam kurs dla João Pessoy. Zaopiekuj się nią do tego czasu... No to zem raz-dwa wrócił do domu, od tyłu, bo to bliżej. I zobaczyłem, że ona akurat się myje: co rusz wystawiała rękę, żeby nabrać wody z beczki... Przez palety trochę widać, jak się dobrze przyjrzeć...

- Podglądałeś, *viado!*

- A gdzie tam, panie oficerze. Inaczej było niż za pierwszym razem... Widziałem ją i nie widziałem... No nie wiem, jak to powiedzieć... Ona myła się i myła, i na nic nie zwracała uwagi... Ale ja widziałem tylko jakies okruszki, a wrócić nie mogłem z powodu zasłonki. Nie chciałem, żeby myślała, że na nią patrzyłem...

- Ale stanął ci, co, gnoju?

No, tego już nie mogłem zdzierżyć i wypruwał flaki temu kretynowi! Na takie gadanie nie można pozwalać... Po prawdzie podziałało na niego, kiedy ją tak oglądał. Ale nie tak jak przy tym samolocie VASP-u. Poczul się



mężczyzną... jak by to ująć? ...mężczyzną, który nad sobą panuje... Zé mu powiedział, że coś podobnego raz mu się zdarzyło przed posągiem Matki Boskiej. No i właśnie to było coś w tym guście. Uczucie po prostu... Cholera! Flaki gliniarza w hamaku przeszkadzały mu myśleć... Ten trup zajmuje całe miejsce... Trza go postawić na nogi z nożem w brzuchu jakby nigdy nic...

- Założmy... I w końcu ta twoja bogini skończyła się myć, co?

- Tak, ale jeszcze odczekałem. Nawet dość długo, żeby się ubrała i żeby nie wyjść na jakiegoś tępego gamonia... I w ogóle... Jak wróciłem, znowu leżała. Tak jak przedtem, tyle że jak ona pachniała, *meu Deus!* Jak czyściutkie niemowlę, mydłem, arniką... Ale dalej ją trzymało, nie widziała mnie. No to znów do niej mówiłem i mówiłem, i mówiłem, do samego wieczoru. Aż nagle się odezwała: Moema... Imię swoje powiedziała, jeszcze lepsze niż Alzira czy Teodora. Prawie nic nie pamiętała. No to jej opowiedziałem, co wiedziałem, jak ją znalazłem, i to co panu oficerowi teraz mówiłem. Ale ją kompletnie przymurowało. Chciała po prostu zostać tutaj. Bała się wyjść, bała się, że ją znajdą... Jak chore zwierzątko. Chciała, żebym opowiadał, no to opowiadałem. Wszystko. O tacie, który po śmierci zamienił się w stalową sztabę, o oszczędzaniu na fotel, nawet pokazałem jej schowek, żeby wiedziała, że jej ufam...

- A o pistolecie? Powiedziałeś jej o pistolecie?

Nie, no, bez pojęcia, ten tłusty wieprz o tym nie może wiedzieć!... W każdym razie o pistolecie nie pisał jej ani słowem. No bo co ona by sobie pomyślała? Nie żeby koniecznie chciał to przed nią ukryć, po prostu nie chciał jej przestraszyć...

- Dobra, a jak już skończyłeś jej opowiadać swoje życie?

- Akurat przyjechał wujek Zé. Wszystko to jego zasługa... To znaczy, on jest trochę *poi de santo*, radzi sobie z tym, co kto ma w głowie. Zaczął jej mówić o Pirambú, o nas wszystkich, którzy tu żyjemy. I nie wiedzieć jak zabrał jej chorobę. Stale powtarzała, że tu wróci, że znalazła sposób na swoje życie. Znam Zé, widać było, że nie bardzo jej wierzy, pewnie tak było dla niej dobrze, bo nic na to nie odpowiadał, ale ja tam wiem na pewno, że nie kłamała. I tyle... Dziś rano przyszedł po nią. Zanim poszła, powiedziała, że odda mi ciuchy, które jej kupiłem. To był prezent ode mnie, ale nic nie powiedziałem, żeby mieć pewność, że tu wróci...

Ryk megafonu zakłócił tok jego myśli. Chyba nie postanowili dzisiaj wszystkiego zrównać z ziemią?! Nelson pospieszył zasięgnąć wieści: to tylko przedstawiciel sztabu wyborczego przyjechał wciskać ludziom kit. Wiedząc, że przy takiej okazji zawsze można liczyć na bogate prezenty, ludzie tłoczyli się wokół furgonetki.

- Kto załatwił wybudowanie przystanku z wiatą w Goiaverze? - mówił facet z dziobami po ospie na policzkach. - Edson Barbosa Junior! Kto od czterech lat walczy o kanalizację w Pirambú? Edson Barbosa Junior! Kto dał zezwolenie na budowę Publicznego Ośrodka Zdrowia? Edson Barbosa Junior! Kto rozmawiał o waszym położeniu z papieżem, i to w cztery oczy, proszę państwa? Także Edson Barbosa Junior! Inni kandydaci dużo obiecują, ale nic nie robią. Tylko gubernator Barbosa naprawdę się stara, żeby żyło wam się lepiej! A teraz ma wam do zakomunikowania nowinę, wielką nowinę. Jeśli chcecie ją poznać, przyjdźcie na wielki mityng, który odbędzie się jutro na Praia do Futuro! Ręczę, że nie będziecie rozczarowani! Każdy kto przyjdzie w takiej jak ta czapce albo w takiej koszulce, dostanie koszyk żywności! Oto właśnie Edson Barbosa Junior! Chodząca hojność! Głosujcie na niego, namawiajcie, żeby inni na niego głosowali, a rozmnożą się koszyki z żywnością! Nie będziecie wiedzieli, co robić z jedzeniem, tyle go będzie! Przyjdźcie wszyscy na mityng Edsona Barbosy Juniora podczas święta Yemanjy, patronki Pirambú! Będzie nawet gubernator Maranhão we własnej osobie! Wyobrażacie sobie? Jego Ekscelencja José Moreira da Rocha przybędzie osobiście, aby wesprzeć waszego kandydata! Przemysłowiec José Moreira da Rocha, miliarder, który rozmawia z naszym kochanym prezydentem jak ja z wami! Ten, którego nazwano Dobroczyńcą, ponieważ zlikwidował fawełę w São Luís! To szczerza prawda! Jedźcie sami zobaczyć, jeśli chcecie: nie ma tam żadnej biedoty, żadnych bud jak wasze! Niech

Pan Bóg ześle na mnie cholere, jeśli nie mówię prawdy! Wszystkich nędzarzy przeniesiono do murowanych bloków, każdy dostaje pensję, wszyscy jedzą do syta! I ten właśnie człowiek będzie radził naszemu gubernatorowi, jak zrobić to samo w Fortalezie! José Moreira da Rocha i Edson Barbosa Junior na Plaży Przyszłości, waszej przyszłości, moi drodzy! Już jutro...

Nelson nawet nie starał się dopchać do czapek, które dziobaty facet rozdawał tłumowi. Uciekł do swojej budy rozdygotany z podniecenia. Moreira da Rocha... Sprawdziło się, co napisali w almanachu... *Laudato seja Deus!* Koło jego losu poszło właśnie w ruch, jakby ktoś wrzucił bieg! Upajała go potężna radość, w głowie wrzało mu niczym w kotle, gdy próbował się uspokoić, targając na strzepy zdjęcia gubernatora.

- Skoro komunistom nie wyszło w ZSRR - powiedział nie dalej jak wczoraj wujek Zé - czy to znaczy, że należy opluć marksizm, odrzucić walkę z uciskiem, nadzieję Wielkiego Dnia? Nie, księżniczko, zbyt wielu ludziom byłoby to na rękę. A to wcale nie jest takie oczywiste. Dzisiaj się chełpią, ale jeśli chcesz znać moje zdanie, udało im się tylko zacofanie rozwinąć. Nawet pomoc Trzeciemu Światu... Wiesz, jak to działa? Biorą kasę od biedaków z krajów bogatych i dają bogaczom z krajów biednych... I tak to się kręci... Ja tam komunistą nie jestem, ale wiem jedno: dla muchy jedyna polityka to odklejenie się od lepu na muchy...

Ja tam też komunistą nie jestem, mówił sobie Nelson, w ogóle nic nie znacząc... Jestem niczym, nawet nie jestem muchą... Jestem karaluchem. Ale pokażę im, jak karaluch sobie radzi! Jak się odkleja od lepu na karaluchy!

Przyszły mu na myśl słowa jedynej piosenki, jaką ułożył Lampião: „*Ole, Mulher Rendeira, olé Mulher renda! Tu me ensinas afazer renda, que eu te ensino a namorar...*”.

Praia do Futuro? On, Nelson, na pewno tam będzie!

## ROZDZIAŁ XXIX

*Gdzie jest pokazane, jak Kircher wydobywa  
z młodego don Luisa Camacho kilka  
fundamentalnych prawd, które młodzieniec  
znał, choć o tym nie wiedział*

**N**ie mógłbym zacząć inaczej - powiedział Kircher po krótkim zastanowieniu - jak od postawienia ci, młodzieńcze, pytania bardzo prostego: jakie jest zadanie profesora w twoim mniemaniu? Postaraj się odpowiedzieć wedle własnego rozumienia, korzystając jedynie ze zdrowego rozsądku.

- Nie pomyłę się chyba - odrzekł z powagą don Luis Camacho - jeśli powiem, że jego zadaniem jest nauczanie, nieprawdaż?

- Znakomicie. A nauczanie czego?

- Wiedzy... jakiegokolwiek... a przynajmniej tej, w której uważa się za mistrza.

- Niewątpliwie. I jak mi się zdaje, dotąd nie można nam zarzucić żadnego błędu. Wszelako wiedza dzieli się na niezliczone dziedziny & pewnie zgodzisz się ze mną, młodzieńcze, że nie wszystkie są jednakowo ważne. Ktoś posiadał sztukę produkowania zwiercadeł, kto inny skrojenia pięknego stroju albo ukręcenia maści pomocnej na ból stawów... Które zatem dziedziny w twoim mniemaniu ważne są dla ucznia zdobywającego wiedzę?

- Dla tego, kto pragnie się nauczyć rzemiosła, ważna będzie wiedza krojczego, optyka czy aptekarza. Ale jeśli ktoś chce osiąść wiedzę uniwersalną & poznać, że tak powiem, źródło, z którego wypływają

owe rzeki & ich niezliczone dopływy, powinien zgłębiać nauki...

- Doskonały wywód, don Luisie! Co jednak rozumiemy przez „nauki”?

Masz może na myśli alchemię, magię albo sztukę przewidywania przyszłości?

- Oczywiście, że nie. Chodzi mi o nauki spekulatywne, te, które można zweryfikować doświadczalnie lub na drodze rozumowania & w które nikt nie powątpiewa, jak matematyka, logika, fizyka, mechanika...

- Ha! I słusznie! Aby wszakże nie narazić się na krytykę, należałoby sprecyzować, co znaczy: „zweryfikować doświadczalnie lub na drodze rozumowania”.

- Wrócić od skutku do przyczyny, ażeby poznać prawdziwe zasady rządzące światem. Powtarzam tylko, com słyszał, lecz wydaje mi się to słuszne.

- I jest słuszne, moje dziecko! Trudno by podać lepszą definicję nauki, niż tyś zrobił. Wydobywając świat z chaosu, Bóg stworzył zarazem niezbędne zasady, które utrzymują ten świat & harmonijnie regulują jego bieg. Czy zatem ów profesor nie popełni błędu, jeśli zatrzyma się w pewnej chwili, nie sięgając do niebiańskiego pochodzenia zasad?

Czy nie powinien, przeciwnie, starać się udowodnić, w jaki sposób prawa fizyki, podobnie jak innych nauk, zasadzają się ostatecznie wyłącznie na woli Stwórcy?

- W rzeczy samej...

- Któż zatem naucza nas owej prawdy świętej, bardziej fundamentalnej niż wszystkie inne? Czy mahometanie, bonzowie albo chińscy brahmani?

- Naturalnie, że nie! Wszak jedynie Pismo Święte wraz z Ewangelią zawiera słowo Boże, a Kościół, jako główna podpora wiary chrześcijańskiej, oraz jego teologowie, którzy lepsze niż ktokolwiek mają narzędzia do zrozumienia tajemnic...

- Otóż właśnie, chłopcze, w samo sedno utrafiłeś, określając zadania profesora: mistrz godny tego miana jest nie tylko tym, który uczniom przekazuje wiedzę prawdziwą, lecz powinien także nauczać ich o prawdziwej wierze, leżącej przecie u podstaw praw & zasad natury. Wyobraźmy sobie teraz, żeś jest jednym z naszych misjonarzy. Przebywasz w Pekinie, a twoim zadaniem jest wpajać wiedzę z zakresu prawdziwej nauki, jaką jest astronomia, & samemu ją uprawiać. I oto jeden z twoich chińskich uczniów myli się, wyliczając zaćmienie Księżyca. Czego w tej sytuacji powinieneś go nauczyć?

- Poprawnego sposobu korzystania z wiedzy astronomicznej. Czyli praw, które rządzą ruchem planet & pozwalają przewidzieć ich bieg.

- Świetnie. Czy to jednak wystarczy? Czy twój uczeń nie dopuści się błędu, jeżeli później poprawnie wyliczywszy kolejne zaćmienie, za nadrzędnego sprawcę owego fenomenu uzna jakąś tajemną moc bożka Fo-hi?

- Rozumie się, że popełni błąd. Moje zadanie będzie wtedy polegało na tym, aby mu uzmysłowić, że źle czyni, wierząc w fałszywego bożka, tak jak źle czynił, nie znając praw obowiązujących w astronomii.

- Bardzo dobrze. A jakże mu to uprzytomnić lepiej, niż korzystając z tej samej zasady powrotu do źródła, do przyczyn wszystkiego? Co bowiem słuszne jest w nauce, słuszne jest także w teologii. W związku z tym jak byś postąpił, aby mu wyjaśnić, gdzie zblądził?

- Myślę, że cofnąłbym się w czasie & dziejach świata aż do chwili, gdy Pan Bóg go stwarzał, aby uczniowi za pomocą prawd oczywistych wykazać, że jego bożek Fo-hi to późniejszy wymysł & że powstał & istniał jedynie w wyobraźni ignorantów.

- No tak. Czy jednak mówimy tu o dziejach takich, jak je rozumieli Herodot czy Pauzaniusz, to znaczy o historiach prawdziwych, ale w sumie nieodległych w czasie? Nie. Nam potrzeba, jak sam widzisz, młodzieńcze, sięgnąć do źródeł wiedzy, czyli mówiąc z grecka, do archeologii! I do czegoż to sięgniemy, aby zaczerpnąć owej wiedzy o prapoczątkach?

- Do Pisma Świętego, a ściślej do rozdziału Księgi Rodzaju, który o tych kwestiach traktuje.

- Znowu znakomicie. Musimy jednak kontynuować & zadać sobie pytanie, jakie też w Księdze Rodzaju są owe kluczowe momenty, które dały początek całej reszcie?

Don Luis Camacho zastanawiał się długo w skupieniu, odliczając na palcach punkty, które mu przychodziły na pamięć.

- Jest ich pięć - rzekł wreszcie z pewnością właściwą dla młodego wieku. - Stworzenie człowieka przez Pana Boga, popełnienie grzechu pierworodnego, zabójstwo Abla przez Kaina, potop & pomieszanie języków po upadku wieży Babel.

- Brawo, chłopcze! To odpowiedź godna najwybitniejszego teologa. A czy pośród tych momentów nie dostrzegasz takiego, który moglibyśmy udowodnić z wszelkimi oznakami pewności, to znaczy, że byłby równie niewątpliwy jak to, co uwiarygodnia opowieści Herodota, skoro dzisiaj nawet oglądamy zwierzęta czy budowle opisane przezeń czterysta czterdzieści pięć lat przed narodzeniem Chrystusa?

- Przyznać muszę, że nie. W głowie mi się już mąci &...

Urodziwa twarzyczka don Luisa Camacho spąsowiwała, świadcząc o zmieszaniu, w jakie wprawiła go niewiedza.

Kircher zerwał się & czegoś szukając, pewnym krokiem pochodził po galerii, gdzieśmy przebywali. Wrócił do stołu z naręczem rozmaitych eksponatów, które ułożył na blacie.

- Proszę - rzekł mistrz mój, pokazując don Luisowi, co przyniósł spośród przedmiotów zgromadzonych w muzeum - oto kilka rzeczy, które powinny ci pomóc, młodzieńcze, rozwiązać postawiony problem. Czy te kamienne ryby & muszle nie wydają ci się wyryte przez artystę, który posiadał nadzwyczajną biegłość w przedstawianiu tego typu stworzeń?

- Jakżeby nie!... - odparł chłopiec z zachwytem. - Nigdy nie widział tak znakomicie przedstawionych!

- I nic dziwnego - odparł Kircher z uśmiechem. - Ponieważ to są prawdziwe stworzenia morskie, które przywieźli mi przyjaciele misjonarze. Znalezione je uwięzione w kamieniu na szczytach najwyższych gór na ziemi w Azji, Afryce & obu Amerykach. Jakże wytłumaczysz ich obecność tak daleko od ich naturalnego środowiska?

- Nie potrafię... Pewnie z jakiegoś powodu przeniesiono je tak daleko... albo morze, kiedyś, dawno temu, było dużo głębsze &... Mój Boże, chyba już wiem! Czy chodzi o potop?

- No nareszcie! Czy nie zapowiedziałem, że sam znajdziesz odpowiedź pod warunkiem, że będziesz miał do dyspozycji materiał, który wpłynie na twoje myślenie? W rzeczy samej, chodzi o potop. Niepodobna bowiem inaczej wyjaśnić, jak na szczytach gór znalazło się tak wiele zwierząt żyjących w wodzie. Zauważamy tu oczywisty związek przyczyny & skutku weryfikujący tekst Biblii, ale także wszystkie późniejsze teksty, w których przetrwała pamięć o tym kataklizmie. Mam oczywiście na myśli Platona, który w swoich dialogach, w „Kritiaszu” & „Timajosie”, opisuje pochłonięcie Atlantydy przez wodę, lecz zapominać nie można także o wielu innych tradycjach opowiadających o tym samym potopie, aczkolwiek nie bez niejakich zniekształceń: brahmani, z tego co mówi ojciec Roth, nawiązują do niego w swoich obrzędach; podobnie czynią kapłani Zaratustry w królestwie perskim; ojciec Walter Sonnenberg, przebywający w

Manili, twierdzi, że podobnie jest wśród ludów zamieszkujących wyspy należące do Azji; to samo mówi święty Franciszek Ksawery o czarnoskórych z Malakki; Walenty Stansel o brazylijskich Topinambu; Alejandro Fabian o Meksykanach; Lejeune & Sagard o kanadyjskich Huronach... Albowiem Pan Bóg chciał, aby wszystkie te ludy, chociaż cześć oddają bożkom, zachowały pamięć o karze, jaką wymierzył ludziom za nieposłuszeństwo. Te dowody są w zupełności wystarczające, gdyby wszakże & tego było mało, oto coś, co przemówiłoby do największych nawet niedowiarków...

Kircher otworzył wieko cennej szkatułki & ostrożnie odwinąwszy tkaninę, która chroniła zawartość,

odsłonił kawałek wyraźnie starego drewna.

- Ten kawałek cedru, na pierwszy rzut oka niezbyt interesujący, ojciec Boym ułamał podczas podróży do Armenii z bardzo starego wraku statku, który odkrył na szczycie góry nazywanej Ararat przez tamtejszy lud...

- Góra Ararat?!... Czy chcecie powiedzieć, ojcze, że to...

- Kawałek prawdziwej arki Noego! Tak, moje dziecko. Tej arki będącej cudem świata, zagęszczeniem kosmosu, zgromadzeniem całej natury żyjącej & czującej, schronieniem dla świata, który miał szczeznąć, & szczęśliwym auspicjum dla świata, który miał się odrodzić. Przypomnę: była dziesięciokrotnie większa na długość niż na wysokość, a to dokładnie proporcje ludzkiego ciała o rozłożonych ramionach, ściślej zaś mówiąc: ciała ukrzyżowanego! Drewno arki porównywalne jest z drewnem krzyża: tak dla Noego, jak & dla Chrystusa było narzędziem zbawienia, odkupienia ofiarowanego rodzajowi ludzkiemu... Arką zaś, poza którą nie ma zbawienia, jest Święty Kościół! Niczym krucha łupina łodzi wstrząsany pośród zamętu wieków & herezji, obciążony ludźmi, którzy po prawdzie noszą w sobie lwią drapieżność, wilczą łapczywość, lisią chytrą, żarłoczni są jak wieprze & niczym psy popędliwi, Kościół stawia odpór potopowi namiętności & dzięki Bogu, wciąż trwa wolny, nienaruszony & niepokonany...

- Wspaniale, doprawdy wspaniale! - wykrzyknął ojciec Nithard. - Jakże się wam wydaje, miłościwa pani?

Królowa matka - choć nie wiem, czy dość dobrze rozumiała łacinę, by wychwycić całą finezję tego wywodu - przytaknęła, z powagą kiwając głową.

- Idźmy dalej... Jeżeli zatem dowiedzimy, com właśnie uczynił, że potop istotnie miał miejsce, czyli że wszystkie ziemie znalazły się pod wodą & ludzkość zniknęła z całym dobytkiem na rok, z wyjątkiem, oczywiście, Noego & jego rodziny, to czy nie należałoby uznać, że historia świata tak naprawdę zaczyna się od tej właśnie chwili, to znaczy, wedle moich wyliczeń, od roku tysiąc sześćset pięćdziesiątego siódmego po stworzeniu, czyli dwa tysiące trzysta dziewięćdziesiątego szóstego przed narodzeniem Pana Jezusa?

- Tak mi się wydaje...

- Podobny dowód możemy przeprowadzić na podstawie ruin wieży Babel: oto pochodzący z niej okruch kamienia, który imię Piętro delia Valle przywiózł mi jako świadectwo swojego odkrycia... Jeśli się dowiedzie, że wieża Babel naprawdę istniała, wykaże się zarazem, iż prawdę zawierają księgi biblijne w tym, co było przedtem & potem! Archeologia w stopniu znacznie większym niż jakakolwiek inna dziedzina nauki zmieni oblicze świata, odtwarzając zaginioną jednię, raj pierwotny. Oto com zrozumiał ostatniej nocy, kiedym się pogrążył w najstraszliwszym wątpieniu...

- Wybaczcie, że wejdę w słowo - ośmielił się wtrącić ojciec Nithard - ale jakże zdołacie równie nieodparcie dowieść, że wieża Babel rzeczywiście istniała? Zwykły kamień przecie, choćby najbardziej bezsporny, nie wystarczy, jak wiecie, by przekonać niedowiarków.

- A słusznie, słusznie! I chylę czoło wobec waszej przenikliwości. Jeżeli wszakże, wychodząc od współczesnej różnorodności & nadzwyczajnej mnogości języków... a naliczyłem ich tysiąc siedemdziesiąt!... jeżeli zatem zdołam dowieść, że wszystkie się wywodzą z pięciu korzeni przekazanych nam przez aniołów po zburzeniu wieży, mianowicie z hebrajskiego, grecki, łaciny, germańskiego & ilyryjskiego, wywodzą się z kolei z języka Adamowego, tego, którym posługiwał się jeszcze Noe & jego potomkowie, to czyż nie wykażę, iż historycznie prawdziwe było pomieszanie języków? A czyż w związku z tym, że rodziny się rozproszyły dlatego, iż ze ich członkowie nie mogli się nagle sobą porozumieć, nie dowiodę zarazem rozproszenia ludów, które nastąpiło potem & przez to łatwiej doprowadziło do wyparcia z dusz & umysłów Pana Boga & Pisma Świętego?

- W to chyba nikt nie ośmieli się wątpić, wielbny ojcze!

- W związku z powyższym, & aby na solidnych podstawach osadzić część historyczną mojej pracy o Chinach, postanowiłem w ostatnich latach życia oddać się dwóm księgom z dziedziny archeologii biblijnej, które zamkną usta najzawziętym nawet bałwochwalcom: jedna poświęcona będzie arce Noego, a druga wieży Babel. Owe księgi będą niczym kamienie probiercze całego mojego dzieła... - Kircher zwrócił się do królowej Marianny Austriackiej: - A jeżeli raczycie wyrazić zgodę, miłościwa pani, zadedykuję obydwie jego wysokości waszemu synowi.

W imieniu syna królowa oznajmiła, że oboje będą zaszczyceni takim hołdem. Serdecznie podziękowała mistrzowi mojemu & obiecała, że każe nabyć owe prace, kiedy tylko ukażą się drukiem. Kircher gorąco powińszował don Luisowi Camacho znakomitej znajomości dialektyki. Na pamiątkę tej rozmowy podarował mu jedną ze skamieniałych ryb, mając przekonanie, że chłopiec potrafi docenić jej wartość, zachęcił go także do zgłębiania nauk przyrodniczych.

Z końcem października zaczęły rytmicznie spływać korekty „China Illustrata”. Kircher poświęcał na nie dni, równocześnie przygotowując materiały do „Arki Noego” & „Wieży Babel”. Nigdy nie widział, żeby z taką przyjemnością obmyślał któreś z wcześniejszych pism swoich, & nie myliłem się, wieszcząc, ile radości sprawią kilka lat później czytelnikom jego.

Rok następny wyróżnił się pod wieloma względami. Akurat w chwili gdy „China Illustrata” wychodziła spod pras drukarskich, Aleksander VII, nasz Ojciec Święty, oddał ducha swego Bogu z gotowością & posłuszeństwem godnymi najwyższej pochwały. Wielki zapanował smutek w jego rodzinie, a osobliwie cierpiał kardynał Orlando Chigi, brat jego ukochany. Pamiętam, jak piękne słowa pociechy mistrz skierował do niego w tych trudnych okolicznościach: „Ponieśliście wielką stratę - napisał - przyznaję, a Kościół większą jeszcze, jakim wszakże prawem mielibyście żywić nadzieję, iż nigdy Was nie dotknie? Dochodziły mnie słuchy o osobach, które Opatrzność obdarowała niebywale, nigdy wszakże nie słyszał, aby Pan Bóg dał im pewność, że nigdy nie umrą. Usilnie upraszam, Eminencjo, abyście w imaginacji przejrzeni wszystkie znajome rody, a przekonacie się, że niczyje oczy nie pozostały suche z powodu, który & Wam wyciska łzy. Istnieją sondy badające morskie otchłanie, niepodobna wszakże zbadać tajemnice Boże, toteż nie starajcie się ich przeniknąć. Z pokorą przyjmijcie, co na Was spadło, a ukoicie zamęt, który w Was zapanował. Cokolwiek tutaj wyrażę, lepiej niżli ja to pojmujecie, jednakże dowody szacunku, których zawszem z Waszej strony doświadczał, skłaniają mnie, aby jak najbardziej w bólu Wam ulżyć & zapewnić, żem sługa Wasz wdzięczny & uniżony etc.”.

Dwudziestego czerwca roku 1667 konklawe wybrało nowego papieża, Jego Eminencję kardynała Giulia Rospigliosiego, który przyjął imię Klemensa IX. Sędziwy wiek jego kazał się wszakże obawiać, że niedługo będzie zasiadał na tronie Piotrowym.

Oprócz „China Illustrata” - księgi, do której mistrz mój dodał pierwszy w świecie zachodnim słownik łacińsko-chiński, niezwykle pomocny naszym braciom wyruszającym do Chin - Kircher przedłożył ludziom oświeconym „Magneticum Naturae Regnum”, pracę nader oryginalną, aczkolwiek zwięzłą. Zgromadził w niej dla celów pedagogicznych wszelkie możliwe doświadczenia odnoszące się do przyciągania rzeczy między sobą, książka zaś odniosła olbrzymi sukces z racji swej prostoty, która zarówno neofitom, jak & uczonym pozwalała zagłębić się w tej dziedzinie wiedzy bez dodatkowych studiów.

## ALCÂNTARA

*Szedł, zataczając się, czasami rzuciło  
nim na bok, aż sam się z tego śmiał...*

Eleazard śleczął nad notatkami aż do drugiej nad ranem, toteż wstał później niż zwykle, za to z poczuciem, że przekroczył pewną granicę: przetrawił mianowicie dzieło Atanazego Kirchera, przemyślał

samą jego postać i jak na dłoni ujrzał, że dotąd wszystko karykaturyzował. Tę przemianę w dużym stopniu zawdzięczał doktorowi Euclidesowi, a jeszcze bardziej spontaniczności Loredany - potrafiła zadać właściwe pytania, te, które podawały w wątpliwość jego stosunek do Kirchera, a nie geniusz czy domniemaną hipokryzję niemieckiego jezuitę. Spieszno mu teraz było pomówić z nią, chciał jak najszybciej posunąć się dalej w tej swoistej miłosnej intymności, na jakiej zatrzymały się ich relacje.

Śniadanie zjadł w kuchni. Sprawa Carneirów wciąż zajmowała pierwsze strony gazet: jeden z dwóch ludzi podejrzewanych o zabójstwo wyznał w końcu, że przebywał na miejscu zbrodni w chwili, kiedy ją popełniano. Winą obciążał swego kompana w nadziei, że oczyści siebie, przyznając zarazem, że posłał ich Wagner Cascudo, aby nakłonili ofiarę do sprzedaży swojej ziemi. Adwokat tymczasem wyszedł na wolność za kaucję, obstając, że jest niewinny. Trzymał się własnej wersji wydarzeń, tej mianowicie, że w życiu tych dwóch ludzi nie widział na oczy, a całą historię wyreżyserowała policja. Gubernator natomiast szedł w zaparte, w telewizji powtarzano obszernie fragmenty jego oburzonego dementi: ten podły spisek uknuto na potrzeby kampanii wyborczej, wyłącznie w celu zdyskredytowania partii rządzącej. Jeśli prasa zaczyna rzucać podejrzenia na wszystkich uczciwych ludzi w tym kraju, to nieuchronnie czeka nas katastrofa. Zna Wagnera Cascuda od lat, to nie tylko niezrównany adwokat, ale także przyjaciel, człowiek z całą pewnością niezdolny popełnić zarzucanych mu czynów.

I nigdzie ani słowa na temat jego machlojek!

Jako stary wyga, Eleazard wyczuł, co się święci: za pomocą zręcznej manipulacji przeciwnik usiłował obrócić wszystko na swoją korzyść. Mimo wszystko starał się zachować spokój - prokurator z Santa Inês nie popuści, zwłaszcza po zeznaniach, w których padało nazwisko Wagnera Cascuda.

Szykował się do wyjścia, wybierając się do Loredany, gdy znaczące klaśnięcie zapowiedziało przybycie Alfreda.

- Ho, ho! Ale masz minę! Co się znowu stało?

- Wyjechała...

- Kto? - wpadł mu w słowo Eleazard, czując, jak żołądek mu się skręca.

- Loredana... Dziś rano pierwszym promem. Tylko Socorra ją widziała. Uregulowała rachunek i wyjechała...

Eleazard usiadł. Serce chciało mu wyskoczyć z piersi.

- Nawet się nie pożegnała - zauważył z głupia frant.

- Socorra to samo jej mówiła... Ale powiedziała, że tak będzie lepiej, a poza tym i tak ledwie zdąży na samolot. Zostawiła ci list. Masz, czytaj...

Wiedziała, że dzisiaj wyjedzie, powtarzał sobie Eleazard, patrząc na dużą kopertę, którą podawał mu Alfredo, wiedziała i słówka nie pisnęła...

- Ale co ją napadło, na Boga? - wybuchnął nagle. - No nie, to nie do pomyślenia!

- Wiem tyle co ty, Lazardinho... Mnie zostawiła liścik z przeprosinami. Napisała, że musi wracać do Włoch. Też mi jakoś łyso.

Eleazard wskazał plik wycinków prasowych, które zamierzał posegregować.

- Nalej sobie coś do picia i zerknij na to, ja tymczasem przeczytam list, dobrze?

- Nie mam nic innego do roboty - rzekł zgnębiony Alfredo. - Hotel i tak jest pusty, więc...

Koperta zawierała grupy plik kartek oraz list po włosku napisany dużym okrągłym pismem, które wyglądało, jakby za wszelką cenę chciało pokryć każdy wolny skrawek kartki.

*Eleazardzie, będziesz z pewnością zaskoczony - i zasmucony, wiem - kiedy się dowiesz, że wyjechałam, nie mam już jednak ani odwagi, ani siły, by powiedzieć Ci to twarzą w twarz. Otóż tak się składa, że jestem chora, to odmiana raka krwi, lekarze niewiele potrafią o niej powiedzieć. W*

*każdym razie to choroba zakaźna, która zaczyna robić spustoszenia, tak szybko się rozwija. Zostało mi jeszcze kilka miesięcy, może rok albo nawet dwa, jeżeli ciało wytrzyma, co podobno czasem się zdarza... O dziwo, najwięcej problemów nastęrcza nie to, że niedługo przyjdzie mi umrzeć - ta świadomość jest tak trudna do zniesienia, że umysł uparcie ją odsuwa. Wygląda to tak, jakby mózg produkował endorfiny nadziei, oszukując siebie i pozwalając człowiekowi udawać aż do kolejnej takiej myśli. Nie, najgorsza, co z całą wyrazistością dostrzegłam dopiero tutaj, jest iluzja, że mimo wszystko człowiek będzie żył. Daruję Ci idące za tym szczegóły związane ze skupianiem się na sobie, nostalgią, strachem, pragnieniem, by przeżyć jak najwięcej, by nadal istnieć... Ale basta.*

*Zostawiam Ci także książkę, którą czytuję do poduszki. Z niej czerpię całą swoją wiedzę na temat sztuczek. Tłumaczem był mój kolega, mam nadzieję, że przypadnie Ci do gustu jego pseudonim...*

*To tyle. Nie wiem, co więcej mogłabym Ci powiedzieć, chyba jedynie błagać, żebyś się nie gniewał. Odpuść sobie na trochę Kirchera, ucałuj ode mnie Soledade i daj popalić Moreirze.*

*Całuję Cię jak przed chwilą, kiedyśmy się rozstawali.*

*Loredana.*

- I co? - zapytał Alfredo, który przez cały czas nie odrywał odeń oczu.
- Wiedziałeś?
- O czym?
- Że jest ciężko chora.
- Co ty gadasz? Nie miałem pojęcia, słowo...

Eleazard podał mu list, żeby sam przeczytał.

- Przepraszam - rzekł Alfredo, zerknąwszy na kartkę - ale to pewnie po włosku, a ja z włoskim... no wiesz, nie bardzo.

Eleazard oburącz przyglądał sobie włosy. Nie zorientował się nawet, że znowu przygryza wewnętrzną stronę policzka.

- Nie zostawiła dla mnie czegoś?

- Aj, byłbym zapomniał! - sumitował się Alfredo, wyciągając z teczki czarno-czerwona książkę. - Gdzie ja mam głowę?...

Eleazard zajrzał na stronę tytułową:

*36 chytrych sztuczek*

*Tajny traktat na temat chińskiej strategii*

*Przełożył i opatrzył komentarzem*

*François Kircher.*

- Ja też chyba się napiję... - powiedział bezbarwnym głosem.

Po odejściu Alfreda dolewał sobie do szklaneczki, ilekroć ujrzał w niej dno. W stanie granicznym z ośpieniem wciąż wracał do listu Loredany, roztrząsając każde sformułowanie, jakby któreś mogło wyjaśnić mu tajemnicę jej zniknięcia. Im głębiej jednak wczytywał się w słowa, tym mocniej uświadamiał sobie ich czczość.

Kartkował machinalnie książkę, którą mu zostawiła. Tu i ówdzie zaznaczono fragmenty klamrami, lecz nic nie pozwalało sądzić, jak przez chwilę się łudził, że zostały zakreślone, aby on zwrócił na nie uwagę. Różne odcienie atramentu dowodziły lektury w pewnych odstępach czasu oraz odmiennych zainteresowań. Nie szukając, Eleazard natrafił na sztuczkę, którą zaproponowała Loredana, aby przypuścić atak na gubernatora Maranhão: „Jeśli atakujemy wroga armią, której zaufania jeszcze



sobie nie pozyskaliśmy, trudno będzie nam dowodzić, a obietnice nagród spotęgują tylko niepewność wśród żołnierzy. Dlatego też trzeba popełnić jakiś błąd, a winą obarczyć kogoś innego...”. Trzydziesta szósta sztuczka, „Najlepszą zagrywką jest ucieczka”, jako jedyna była ujęta w ramkę. Eleazard był pewien, że Loredana zaznaczyła ją przy powtórnej lekturze, w hotelowym pokoju w ostatnich dniach. „Jeśli potencjał bitewny wroga gwarantuje mu zwycięstwo - czytał ze ściśniętym sercem - nie można z nim walczyć. Zostaje nam do wyboru: poddać się, pertraktować lub uciec. Poddanie się to kompletna porażka. Pertraktacje to przegrana połowiczna. Ucieczka zaś nie jest w ogóle porażką”.

Miał już dość tego kręcenia się w kółko, poszukał zatem Soledade, aby ją wziąć na spytki. Siedziała na podłodze w najdalszym kąciku werandy z nogami zwieszonymi na zewnątrz między kolumnkami.

Odpowiedziała, kiedy ją zawołał, nie odwracając się. Po głosie poznał, że płacze.

- Co ci jest? - zapytał, siadając obok. - Wiesz o Loredanie?

Widział z boku, jak wierzchem dłoni ociera oczy i głęboko nabiera powietrza, aby panować nad oddechem.

- Wiem - odparła po chwili. - Alfredo mi powiedział, jak tu przyszedł.

- I dlatego płaczesz?

Pokręciła głową i przystawiła twarz w prześwit między kolumnkami.

- No to dlaczego? - nalegał Eleazard. - Jesteś nieszczęśliwa? Nie czujesz się tu dobrze?

- Ja też wyjadę...

- Co ty wygadujesz? Chyba nie zostawisz mnie samego, co?

Eleazard przywykł do jej napadów chandry. Soledade nigdy nie spełniała swoich gróźb, toteż nie traktował ich poważnie.

- Brazylia przegrała... - skrzywiła się. - Przrzekłam, że wyjadę, jeśli nie wejdziemy do finału. Dlatego wracam do Quixady, do rodziców. Powiedz, czy... czy mogę zabrać telewizor?

- Daj spokój, Soledade! Możesz zabrać, co chcesz, ale nie w tym rzecz. Proszę cię, żebyś została ze mną, rozumiesz?

- Taaa... - zaczęła naśladować jego akcent. - Kto mi będzie prał, robił zakupy i gotował, przynosił mi kajpirinie? Tylko do tego jestem ci potrzebna! A kochasz ją...

- To nie to samo. Ciebie też bardzo lubię, dobrze wiesz. Ona i tak przecież wyjechała, więc... Nic się nie zmieniło. Wszystko jest jak przedtem...

Soledade znowu się rozszlochała.

- Tylko że ona też cię kocha... - wyrzuciła między jednym a drugim spazmem płaczu. - Powiedziała mi.

- Nie wierzę ci - rzekł, nie wiedząc, czy to wyznanie koi odrobinę jego smutek czy przeciwnie, powiększa go. - To bez sensu... Co dokładnie ci powiedziała?

- Że jesteś wrednym francuskim wyzyskiwaczem i że... że nienawidzi cię!

Okraśliła te słowa tak żalną miną, że od razu było widać, iż kłamie.

- Serio mów, Soledade. To dla mnie ważne...

- Powiedziała, że cię kocha, ale niedługo umrze i nie warto zaprzętać sobie tym głowy. - Kiedy to mówiła, łzy płynęły jej ciurkiem z oczu. - A ja jej powiedziałam, że wszyscy umrzemy... Ale to dlatego, że byłam zazdrosna, rozumiesz? A teraz wyjechała, i to przeze mnie...

- Ależ nie - próbował ją pocieszyć. - Nie da się zgadnąć, co komu chodzi po głowie. Loredana się bała, że przez nią będziemy cierpieć... - Mówiąc to, Eleazard poczuł, że nareszcie przybliży się do prawdy. - Bała się, że zarazi nas swoim cierpieniem. Zauważyła, że próbuje negocjować ze swoją chorobą, więc z dumy wycofała się z tego, żeby lepiej walczyć...

- To moja wina - łkała Soledade. - Zaprowadziłam ją do terreira... Papuga się jej nie bała, rozumiesz, to był znak... I Omulu ją wybrał... ją, nie mnie...

Eleazard już nic z tego nie rozumiał.

- Co to za historia z terreirem?

Soledade zakryła usta dłonią, przewracając ze strachem oczami.

- No mów - nalegał Eleazard. - Proszę...

W odpowiedzi Soledade poderwała się na nogi i uciekła do swojego pokoju.

Eleazard bardzo by chciał popłakać sobie jak ona, oczyścić umysł. Został na tarasie z suchymi oczami, z butelką w zasięgu ręki. Ani drgnął, gdy nieco później zadzwonił telefon i doktor Euclides nagrał się na sekretarkę.

Kiedy zaczęły latać komary, schronił się w salonie; szedł, zataczając się, czasami rzucało nim na bok, aż sam się z tego śmiał.

Następnego ranka wydarło go z łóżka znacznie wcześniej, niżby należało. Po wypitej kaszasie na głowie zaciskała mu się żelazna obręcz, a perspektywa wyjazdu do São Luís na wezwanie doktora Euclidesa wcale mu się nie uśmiechała. Tyle że starszy pan nie wybaczał najdrobniejszego choćby uchybienia w kwestii dobrych obyczajów: kto chociaż raz wystawił go do wiatru, już nigdy nie mógł się pochwalić, że później jeszcze go widział.

Całą drogę spędził na pokładzie promu, tak że morska bryza odrobinę złagodziła ból głowy. Wsiadłszy w São Luís, kupił „Kuriera Maranhão” i pozwolił sobie na kawę. Sprawa Carneirów zajmowała jeszcze dużą część trzeciej kolumny - dziennikarz znany z reakcyjnych poglądów dawał upust złości. Władze, pisał, otrzymały formalny dowód, że chodzi o spisek mający zbrukać. Prokurator Waldemar de Oliveira przekroczył granice swojej jurysdykcji: skoro sprawa dotyczy Alcântary, organem właściwym jest sąd w São Luís, a nie w Santa Inês. Znane są komunistyczne sympatie tego człowieka, nie mówiąc o skłonnościach homoseksualnych... Przeciuki z oficjalnych źródeł mówiły o przeniesieniu dyscyplinarnym, a nawet o rychłym wszczęciu dochodzenia pod zarzutem pedofilii. Gubernatora stanu obrzucono kalumniami tym wstrętniejszymi, że jego syna uznano właśnie za zaginionego w Mato Grosso, prawdopodobnie oddał życie w imię nauki i za honor ojczyzny!

Moreirę słono musiało to kosztować, obrona była przekonywająca i niewątpliwie wywrze zamierzony efekt. I proszę, dumiał Eleazard, wszystko po raz kolejny rozejdzie się po kościach. Moreira odniesie nawet wyborcze korzyści. W sumie drogie Loredanie sztuczki wcale tak dobrze się nie sprawdzały. Bieżące okoliczności dowodziły, że szupin nie tylko przygotowuje uniewinnienie drzewa morwowego, ale też zamierza rozgnieść wszystkie jedwabniki, jakie spotka na swej drodze.

- No, no, ale pan narozrabiał... - rzekł doktor Euclides na przywitaniu.

Eleazard poczuł zapach perfum hrabiny Carlotty, zanim ją dostrzegł w salonie. Przywitał się z nią i zajął miejsce naprzeciwko.

- Powiedziała mu pani? - spytał.

Skinęła głową twierdząco.

- I tak na niewiele się to zdało. Czytali państwo dzisiejsze gazety? Uda mu się zdusić całą sprawę, to widać jak na dłoni...

- A pan ciągle w defetystycznym nastroju, co? - rzekł Euclides, pocierając brodę. - Proszę mi wierzyć, do rozstrzygnięcia jeszcze daleko. Pułkownik się szamocze, i trudno się dziwić, musi walczyć. Ale jeśli sama Carlotta go obciąży, jego kariera będzie skończona.

- Ale zeznania Carlotty nie będą miały żadnej wartości procesowej, prawda? Będzie jej słowo przeciwko jego słowu...

- I owszem, tylko że bez wątplenia przegra wybory. Zwolennicy polityczni po kolei będą go opuszczać.

- Jest pani gotowa to zrobić? - zapytał Eleazard hrabinę.

Carlotta wydawała się u kresu wytrzymałości, niemniej pewność w głosie świadczyła o nieodwołalnym postanowieniu.

- Jeśli będzie trzeba, oskarżę go. Wie pan, niewiele mam już do stracenia.
- O wyprawie nadal nic nie wiadomo? - spytał Eleazard z taką obojętnością, aż sam się zdumiał.
- Żyją - powiedział doktor Euclides. - Ze śmigłowca wypatrzone ich statek. Najwyraźniej mieli jakąś awarię i opuścili pokład. Uważa się, że poszli przez dżunglę, na razie tyle wiadomo. Upłynę tygodnie, zanim skompletuje się ekipę ratunkową.

- A nie mówiłem, że Dietlevowi można zaufać? Mimo wszystko to dobra nowina, prawda?
- Czy ja wiem?... - westchnęła Carlotta. - Nikt nie potrafi wyjaśnić, czemu nie zostali w pobliżu statku, dlatego jakoś czarno to widzę. Na pewno rozumie pan moje obawy, bo przecież pan jest w podobnej sytuacji... Ale nie mówmy już o tym, dobrze?

Eleazard przez kilka chwil siedział w milczeniu - docierało bowiem do niego, że zanim Elaine zaginęła w Mato Grosso, dużo wcześniej zniknęła z jego życia. Wydawało mu się zatem, że gdyby oficjalnie powiadomiono go

o jej śmierci, z całą pewnością zdobyłby się jedynie na stosowne do okoliczności słowa.

- Loredana wróciła do Włoch - powiedział, nie zauważając swej niedelikatności.
- Wiemy - krótko skwitował to doktor Euclides. - Właśnie dlatego tak wcześniej dzisiaj ściągnąłem tu pana. Chyba zbyt wcześnie, sądząc po tym, co czuję: zajeżdża od pana gorzała aż strach...
- Niechże mu pan da spokój! - wtrąciła się Carlotta. - To nieprawda, panie von Wogau, zapewniam.
- Przywykłem... - rzekł Eleazard, rumieniąc się mimowolnie. - Jak się pan dowiedział?
- Przed wylotem wpadła tu pożegnać się. To miła dziewczyna... Proszę jej nie potępiać. Czasami trzeba więcej odwagi, żeby wyjść z gry, niż żeby w niej zostać.
- Powiedziała panu o wszystkim?
- Jeśli mówiąc „o wszystkim”, ma pan na myśli jej chorobę, to tak, owszem...
- Sądzi pan, że...
- Nie - przerwał mu Euclides. - Wiem, o czym pan myśli, ale to wykluczone. Trzeba uszanować jej decyzję, bo ona oznacza, że Loredana nie życzy sobie łudzić się i zwodzić innych. A w konsekwencji nie życzy sobie oglądać pana. Wie pan, to nie była pochopna decyzja.
- Rozumiem - powiedział Eleazard ze smutkiem - ale nie mogę się z tym pogodzić.
- W takim razie zupełnie nic pan nie rozumie - stwierdził sucho Euclides.

## SÃO LUÍS

*Jakiś sposób prosty, sensowny...*

- Setki razy mu powtarzałem: skończ studia, potem będziesz robił, co zechcesz... Ale wie pan, jak to jest, zwłaszcza w tym wieku: walenie grochem o ścianę. I na wszystko się wypinał, jak to się nieładnie mówi... Nie zjawiał się nawet na egzaminie licencjackim!... Aj, jaj, jaj! Widzę, że nadal dużo pan pali... Zejdzie nam dobre pół godziny. Wolałbym podzielić to na dwa razy, ale niech będzie. Tyle że może trochę boleć. Proszę dać znać, jeśli będzie pan chciał, żeby na chwilę przerwać. Katiu, odsysacz proszę... Elektryczna gitara, tylko to go interesuje. Aczkolwiek zdaje mi się, że ma do tego dryg, i to niewąski. Nie bardzo się na tym znam, ale jak gra, ciary człowiekowi latają po grzbiecie... Szarpnęliśmy się i dostał gibsona, to nie byle jaki instrument. Nigdy by pan nie zgadł, ile takie coś może kosztować! Między nami mówiąc, wyszło mnie taniej, bo poprosiłem przyjaciela, żeby ją kupił w Hongkongu... A teraz aż mnie skręca, jak pomyślę, że nie przyjęli go do konserwatorium! Wyobraża pan sobie?

Leżąc wygodnie na plecach z rękami założonymi na piersi, Moreira wpatrywał się w szklano-chromowe słońce nad sobą. Ten fotel był niewątpliwie jedynym miejscem na świecie, gdzie mógł nie odpowiadać na pytania durnowatego faceta. Szmer jego głosu w połączeniu ze świetlistą plamą widoczną za matowym szkłem wprawiały gubernatora w senność graniczącą z hipnozą. Zamknął oczy. Idealna sytuacja, aby porozmyślać w absolutnym spokoju.

Dobra nowina dnia zawierała się w jednym słowie: Petrópolis. „Załatwione - powiedział Barbosa przez telefon. - Nie było łatwo, ale oficjalnie odebrano mu tę sprawę i przeniesiono go do Petrópolis. Kopniak w górę, bo przy okazji dostał awans... Przez ciebie mam na karku związki zawodowe pracowników administracji”. Uziemiłem ich, powtarzał sobie Moreira z niewysłowioną satysfakcją, uziemiłem na wieki wieków! Wbrew swoim zwyczajom mecenas Biluquinha wyraził kategoriyczny sprzeciw: sprawa w ogóle nie będzie rozpatrywana, ponieważ doszło do uchybień proceduralnych podczas aresztowania. Umorzenie było tuż-tuż. Z całą pewnością w odniesieniu do Wagnera, a jego dwaj najemnicy spore mieli na to szanse, pod warunkiem że ten, który złożył zeznania obciążające, wycofa je, oświadczając, że groźbami został do nich zmuszony.

Ten szczywany lis Edson nie czekał długo z prośbą o pierwszą przysługę. Sondaże dawały mu wprawdzie prowadzenie w stanie Ceará, lecz z przewagą zbyt nikłą, aby mógł być pewien wygranej. Będzie musiał go zatem wesprzeć w jego okręgu wyborczym, by przeciągnąć na jego stronę niezdecydowanych. Niezbyt mu się uśmiechał wyjazd do Fortalezy, jednakże był mu to winien. Przy czym było to z jego strony naprawdę niewielkie poświęcenie w zamian za uratowanie tyłka przez Barbozę.

Moreira na ułamek sekundy aż stęzał z bólu. I od razu przyszła mu na myśl Carlotta, zniecka, brutalnie. Carlotta... Im lepiej sprawy się układały, tym bardziej upierała się przy rozwodzie. Ubiegłego wieczoru próbował ją udobruchać, lecz żadne argumenty do niej nie przemawiały. Siedziała milcząca, zamknięta na klucz w swoim pokoju, aż w końcu naprawdę się wkurzył. Kiedy próbował wyważyć drzwi, jaguar zaczął ryczeć, przypadłszy nisko do ziemi, jakby otwarcie występował przeciwko swojemu panu. Sukinkot! I musiał w końcu dać sobie na wstrzymanie... W życiu nie podejrzewałby żony o taką siłę woli. Odezwała się w końcu do niego, oświadczając jedynie, że adwokat, jej adwokat!, skontaktuje się wkrótce z jego prawnikiem. W osłupienie go wprawiło, że już się zdążyła porozumieć z kauzyperdą. Ona, która nie potrafiła wypełnić nawet zeznania podatkowego! Niewiarygodne...

Głębokie poczucie niesprawiedliwości ścisnęło mu gardło. Nie po to jak wyrobnik harował całe życie, żeby tak skończyć! Wpadła w dołek, rozmyślał, szaleje ze strachu o Maura... Jak tylko smarkacz wróci z tej zafajdanej wyprawy, wszystko się poukłada. Jednakże cierpki głosik przypominał mu do znudzenia, że biorąc ślub, nalegał na rozdzielną majątkową. Ta wielkoduszność może go teraz drogo kosztować - gotów, przecież zostać bez grosza przy duszy. Jeżeli Carlotta nie zmieni zdania, prawdziwe kłopoty dopiero się zaczną. Od strony uczuciowej rozwód niespecjalnie mu się podobał, aczkolwiek zdołałby się z nim pogodzić, może nawet rozstanie z żoną i odzyskanie wolności dobrze by mu zrobiło; od strony politycznej - zwiastował problemy; od strony finansowej - był nie do przyjęcia. Musi być jakiś sposób, żeby temu zaradzić, myślał, zaciskając palce na brzuchu, jakiś sposób prosty, sensowny...

- Posada sekretarza czy nawet woźnego... Obojętne co, byle był urzędnikiem państwowym. Rozumie pan, prawda? Pensyjka nieduża, za to regularna... Ręczę, że nie sprawi panu żadnych kłopotów... No, gotowe. Można wypluć usta.

Moreira nabrał do ust wody z plastikowego kubeczka, przepłukał, wypluł do spluwaczki. Poruszył zdrętwiałą zuchwą, przejechał językiem po zębach świeżo oczyszczonych z osadu.

- Niech mi prześle swoje CV - powiedział, gdy oparcie fotela podnosiło się z cichym szumem silniczka. - Zobaczą, co da się zrobić. Ale do wyborów proszę na nic nie liczyć.

## ROZDZIAŁ XXX

*O tym, jak z gorączki może zrodzić się książka. W którym przedstawia się także machinę do myślenia nader godną pochwały*

Niedługo po Nowym Roku mistrz mój zapadł na złośliwą gorączkę, tak że omal nie zszedł z tego świata. Pewnego poranka otóż obudził się całkiem bez sił, choć żadna wcześniejsza niedyspozycja nie usprawiedliwiała słabości takiej. Kiedym go po raz pierwszy w życiu ujrzał złożonego niemocą, żalność mnie ogarnęła z powodu oblicza jego, wynędzniałego & bladego, mniejsza wszakże niżli widok niebywałej zmiany w zachowaniu: wyraźnie zdziwiony, jakby pogrążony w rozmarzeniu & głuchy na wszystko, zdawał się czymś pochłonięty całkowicie, mimo że przecie nie miał prawa choćby skądnie myśleć. Przez twarz przebiegały mu co rusz konwulsyjne skurcze mięśni, ale także przez ramiona & dłonie, tak że zdawało się, iż ogania się od much...

Wezwany niezwłocznie ojciec Ramón de Adra, nasz kolegiálny medyk, stwierdził mętność moczu, napięcie w podbrzuszu & język obłożony jasnobrażowym nalotem, puls znacznie przyspieszony & dość nierówny. Zalecił w związku z tym dietę bezcukrową & lekko strawną, na bazie bulionów zaprawionych mąką. Można też było podawać sok szczawiowy albo cytrynowy, wiśnie & granaty. Ojciec Ramón zaordynował również zapobiegawczo & przeprowadził upuszczanie krwi, uspokajając mnie, że wszystko skończy się dobrze.

Do następnego dnia Kircherowi ani trochę się nie polepszyło, wręcz przeciwnie: w ustach, na wargach, a także na gruczołach, które są w pachwinach & pod pachami, wystąpiły przejrzyste czerwone owrzodzenia, twarde w dotyku. Doszła do tego czarna cuchnąca biegunka, wprawiając chorego w takie przygnębienie, że nic innego już nie czuł prócz straszliwego bólu głowy, jakby mu na czole kto obręcz zaciskał. Na widok tych nowych objawów, charakterystycznych dla złośliwej gorączki, ojciec Ramon nie zdołał ukryć przede mną obaw. Jeśli ojciec Kircher, powiedział mi, przeżyje najbliższy tydzień, będzie niejaka nadzieja, że wyzdrowieje. Choć lekarstwa na tę chorobę nie było, zaordynował jednak niewielkie dawki tartarusu zmieszanego z ipekakuaną - aby powstrzymać kolki & ułatwić pocenie - na zmianę co dwie godziny z półdrachmą kłącza wężownika & dziesięcioma ziarnami kamfory dla wzmocnienia. Nie zważając na koszty, dał mi także uncję najlepszej kiny utartej na bardzo drobny proszek oraz kilka główek maku do stosowania w niewielkich dawkach w trakcie napadów gorączki. Przed odejściem nie zapomniał polecić, abym dbał o świeże powietrze w pokoju, trzymając okno stale otwarte, & oczyszczał je, paląc bez ustanku ocet.

Siódmego dnia, jako że nie było żadnej poprawy, ojciec Ramón upoważnił mnie do wypróbowania remedium, któremu Atanazy zawsze był przeciwny, jednakowoż w pełni usprawiedliwiała jego zastosowanie coraz gorsza kondycja mistrza mojego & być może nieuchronny rychły koniec. Kazałem zatem sprowadzić żywego barana, któregośmy uwiązali w nogach łoża... I dobrzem uczynił, albowiem dziewiątego dnia, czy to dlatego, że zwierzę wchłonęło truciznę, którą wydzielało ciało Kirchera, czy to szczęśliwym zbiegiem okoliczności, zastaliśmy barana martwego, Atanazy natomiast wyraźnie zaczął zdrowieć.

Nie minął kolejny tydzień, a już zaczął przemyślać o powrocie do pracy! Ojciec Ramón stanowczo go od tego odwodził, argumentując, że złośliwe gorączki w pierwszym rzędzie biorą się z braku świeżego powietrza & z nazbyt wyteżonej pracy myślowej. Z tego też powodu zalecił mu częste spacerowanie za miastem, a także tryb życia zdrowy & regulowany słońcem.

Wszelako już przy pierwszej wyprawie, kiedy mi przedstawił, nader pochlebnie się o nim wyrażając,

Agapitusa Bernardinisa, młodego rytownika mającego nam towarzyszyć za mury miejskie, pojąłem natychmiast, że mistrz mój pragnie przy jednym ogniu dwie pieczenie upiec & poddał się zaleceniom tylko po to, by jak najlepiej wykorzystać beczynność, którą narzuciła mu medycyna. Kiedym go o to zapytał, bez oporu wyznał, jaki cel mu przyświeca: otóż opętany myślą, by jak najszybciej zrealizować swe archeologiczne zamierzenia, postanowił przemierzyć dawne Lacjum, aby odtworzyć obraz starożytnego Rzymu & dowieść doskonałej zgodności historii rzymskiej z tym, co podaje Pismo Święte. Chociażem niepokoił się bardzo, jak mogą się odbić te działania na jego zdrowiu, starałem się ze wszystkich sił wspomagać go w tym przedsięwzięciu.

Aż do maja przemierzaliśmy zatem ruiny miasta, zarówno w obrębie murów miejskich, jak & poza nimi, sporządzając mapy & plany wszystkich miejsc bądź budowli, które można zaliczyć do starożytnych. Nic nie umykało drobiazgowej ciekawości mistrza mojego: ani wspaniałe pozostałości Domus Aurea, ani skromniejsze, choć także stare, świątyni Sybilli Tyburtyńskiej, której wieszczanie nadaremno zapowiadało cesarowi nadejście Zbawiciela. W Tusculum, gdzie Tyberiusz & Lukullus schronili się ongiś przed zepsutym powietrzem miasta, odwiedziliśmy wiele pałaców wzniesionych tamże przez różne rody naszych czasów. Kirchera wszędzie przyjmowano z honorami & każdy uprzejmie dokładał wszelkich starań, aby ułatwić mu poszukiwania. Nikt wszakże nie potraktował nas równie miło jak stary kardynał Barberini. Ponieważ jego pałac postawiono na ruinach świątyni Fortuny, Atanazy mógł wiernie odtworzyć wygląd owej budowli, najbardziej imponującej & udanej spośród budowli rzymskich. W piwnicach kazał nawet Agapitusowi odrysować oryginalną mozaikę, która szczegółowo opisywała dobrodziejstwa bogini w formie zaiste pięknej sceny nilotycznej. Pracowite owe spaceracje zakończyliśmy wycieczką na zbocza góry Gennaro, ażeby przyjrzeć się zbiorom manny, styraksu & żywicy terebintowej.

Kiedysmy wrócili do Collegium Romanum, Agapitus dźwigał teki pełne szkiców, mistrz mój zaś notatki wystarczająco obszerne, aby napisać dziesięć ksiąg na temat Lacjum. Choć wszakże badania Kirchera tak cenne były dla poznania historii Rzymu, stosownej głębi nabrały dopiero dzięki wnikliwym konkluzjom, które podyktował mu geniusz jego: plemię Noego, na co wszystko wskazywało, było pierwszym ludem osiadłym w Italii wkrótce po upadku wieży Babel; co się tyczy rzymskich bogów, to byli awatarami samego Noego, świętego męża, o którym pamięć, przeinaczona przez legendy & mity, przetrwała pod najrozmaitszymi postaciami w doprawdy cudacznym panteonie.

- Saturn - rzekł mi Kircher pewnego wieczoru, kiedysmy przemierzali Kapitol, gawędząc - bóg, który dał swoje imię Lacjum, gdy Italię zwano jeszcze Ausonią... otóż Saturn był czczony za złoty wiek, który jego rządy sprawiedliwe & w pokoju ofiarowały aborygenom, to jest ludzkości. Ów złoty wiek odpowiada, rozumie się, erze obfitości, która zapanowała dzięki Noemu po opuszczeniu arki. I jak Cham, syn Noego, objawił swego ducha buntowniczego, gdy nie okrył nagości ojca owej nocy, kiedy ów upił się winem po raz pierwszy, tak Jowisz, syn Saturna, okaleczył przyrodzenie swego ojca, tym bezsensownym czynem kładąc kres pierwotnej szczęśliwości... Pogańscy bogowie, pamiętaj o tym, Casparze, są tylko ludźmi przewyższającymi cnotami bądź słabościami ogół śmiertelników, których ignorancja doprowadziła do wyniesienia tamtych do rangi bóstwa. Inni dwaj synowie Saturna, Neptun & Pluton, są zatem wyobrażeniem Sema & Jafeta, analogia ta zaś rozciąga się na wszystkie wielkie postacie pojawiające się w Piśmie Świętym & na wszystkich bożków, przeszłych & obecnych, czczonych przez ludy tej ziemi.

Gorączka, która tak zmogła mistrza mojego, ustąpiła całkowicie & była jedynie odległym wspomnieniem, o czym się szczęśliwie przekonamy...

Siedemdziesiąte swoje urodziny Kircher świętował w kolegium & przy tej okazji zadziwił wszystkich odzyskanym wigorem. Ogorzały od częstego przebywania na powietrzu & słońcu rzymskiej wsi, krzepki jak nigdy na ciele & umyśle, bez ustanku życzliwie żartował ze słabej konstytucji naszych nowicjuszy, nie żalując sobie białego wina, które nakazywał mu pić ojciec Ramón, aby wspomogło całkowite wyzdrowienie & zapobiegło ewentualnemu nawrotowi choroby.

Wyzwany do mocowania na rękę przez najsilniejszych spośród nas, rozkładał po kolei przeciwników & nic nie świadczyło o tym, żeby jakkolwiek odczuł taki wysiłek! Szczęśliwym był tak bardzo, widząc go w znakomitej dyspozycji, że przez noc całą dziękował Bogu, aż do białego rana.

Po rozwiązaniu tajemnicy zatrucia fontanny Pamphilego & wynalezieniu „trikometru”, aby po raz wtóry do tego nie doszło, mistrz mój na powrót pogrążył się w pracy. Wraz z „Arką Noego” umyślił sobie napisać apologię austriackiego domu Habsburgów. Oddając się ponownej lekturze obfitej korespondencji, którą prowadził z kilkoma wysoko postawionymi przedstawicielami rodu, natrafił na list świętej pamięci cesarza Ferdynanda

III, który był wiernym jego mecenasem & przyjacielem. Jeden z ustępów rzeczzonego pisma podzielał na mojego mistrza jak grom z jasnego nieba.

- Słuszność miał całkowitą - mruknął, odkładając list na stół zarzucony otwartymi księgami & papierami. - Jakżem mógł wcześniej tego nie dostrzec!

Zaintrygowany konsternacją mistrza ośmieliłem się poprosić, aby wyjaśnił mnie, w czym rzecz.

- Myślałem o S z t u c e , Casparze, & o niewiarygodnej wprost intuicji tego, który ją wynalazł: *Ars Magna*, Wielka Sztuka, pozwalająca łączyć zarówno rzeczy, jak & idee dzięki trzem boskim narzędziom: syntezie, analizie & analogii. Dzięki syntezie mogę sprowadzić mnogość do jedności; dzięki analizie przechodzę od jedności do mnogości; a dzięki analogii poznaję nie tylko Pierwotną Jednię, boską & metafizyczną świata, ale także jednię wiedzy, albowiem odkrywam cudowną zgodność sił & właściwości, które ją stanowią! „Sztuka” Rajmunda Lullusa jest niedoskonała, dlatego jego odkrycie okazało się nieużyteczne... Wszelako ja twierdzę, że ta sztuka jest możliwa. Dawnom już przecie przejrzał jej zasady & praktycznie korzystam z nich każdego dnia. Pilnie wszakże trzeba, com naraz pojął, czytając list nieodżałowanego Ferdynanda Trzeciego, zaspokoić apetyt mniej uprzywilejowanych spośród nas & dostarczyć najmędrszym ów nieomyślny sposób dociekania prawdy. Każdy w miarę rozumny człowiek, twierdzę, jest zdolny osiągnąć w krótkim czasie prawdziwy, aczkolwiek niepełny obraz całości wiedzy! Jestem stary, Casparze, te dni jednak, które Pan Bóg raczy mi jeszcze darować, spożytkuję na zbudowanie czegoś, o czym nikt dotąd nie pomyślał: maszyny do myślenia! W dziedzinie pojęć odpowiednika tego muzeum, które nosi moje imię, a jest przecie tylko encyklopedią, gramatyką widzialną & że tak powiem, namacalną uniwersalnej rzeczywistości!

W osłupienie wprowadził mnie zaraźliwy entuzjazm mistrza mojego oraz to, co by oznaczało pomyślnie zakończenie jego zamierzenia. Pragnąc jak najspieszniej przystąpić do pracy nad odnowieniem „Ars Magna” Rajmunda Lullusa, Kircher mnie powierzył ostatnie poprawki w „Arce Noego” & „Archetypon Politicum”, sam zaś oddał się bez reszty pisaniu nowej pracy. Trzeba mu było zorganizować całą ludzką wiedzę wedle pewnego porządku, za wzór mającego porządek boski, po czym opracować reguły analogiczne &

system kombinacji, które by każdemu pozwoliły korzystać z maszyny na własny użytek. Zadanie doprawdy ogromne, mistrz mój wszelako radził sobie z nim niewiarygodnie łatwo, ani chwili nie chwiejąc się w powziętym postanowieniu.

Na samym początku roku 1669, gdy Atanazy stopniowo, w miarę pisania, dostarczał drukarzowi kolejne strony przyszłej „Ars Magna Sciendi”,<sup>1</sup> wynikła pewna kontrowersja równie obrzydliwa jak gorsząca. Kircherowi mianowicie przysłał dwa listy ojciec Franciszek Travigno z Padwy, jego przyjaciel & jak on uczonec: pierwszy dotyczył książki Valeriana Bonvicina, profesora fizyki wykładającego na tym samym uniwersytecie co ojciec Travigno, drugi zaś zawierał kopię pamfletu, za którym stali pewni członkowie Towarzystwa Królewskiego w Londynie, a podpisał go... Salomon Blauenstein!

<sup>1</sup> Wielka sztuka poznania.

W swojej „Lanx Peripatetica”<sup>2</sup> Bonvicino potępiał w czambuł Atanazego rozdział XI „Świata podziemnego” - w którym Kircher, jak pamiętamy, oplwał alchemię transmutacyjną - utrzymując, że

osobiście od dawna już wytwarza złoto w swoim domu w Padwie. Co się tyczy Salomona Blauensteina, to ów skończony oszust, który ongiś omal nie zrujnował naiwnego Sinibaldusa, nawypisywał podobnych zniewag pod adresem mistrza mojego, w formę wszakże ujmując je zjadliwie ironiczną & pełną złości niegodnej człowieka nauki...

<sup>2</sup> Szala perypatetyczna.

Choć były niesłuszne, ataki te dotknęły Kirchera do żywego. Przez kilka dni nie posiadał się z gniewu, aż Boża sprawiedliwość dosięgła jednego z oszczerców & ze wszystkich stron zaczęły napływać od najszacowniejszych uczonych listy zawierające słowa poparcia.

Atanazy nie zasypiał swej pracy, tak że jego „Ars Magna Sciendi” & „Archetypon Politicum” ukazały się drukiem równocześnie jeszcze tej jesieni, wzbudzając falę zachwytu, która przetoczyła się przez Europę przyzwoitych ludzi.

Nieporównywalny z niczym sukces tych prac zmaćniło wszakże podwójne nieszczęście, które rozbrzmiało w całym świecie chrześcijańskim niczym Boże ostrzeżenie, by ani przez chwilę nie lekceważyć diabelskich knowań bałwochwalców...

## **MATO GROSSO**

*Anioły spadały...*

Straciwszy rachubę nocy i dni, straciwszy świadomość wszystkiego, co nie było mechanicznym powtarzaniem tych samych czynności i gestów, posuwali się przez zieloną gęstwę dżungli. W dużej części przyczyną tego zrezygnowania była śmierć Dietleva: odszedł ich szef, przyjaciel, ale zarazem jedyny powód, który sprawiał, że ożywiała ich nadzieja. Zwłaszcza Elaine nie mogła się pozbierać. Z niepojętego dla wszystkich powodu szaman nie pozwolił pogrzebać ciała i z uporem wygłaszał do nich płomienne przemowy. Zwłoki nadal transportowano na noszach, choć niebawem zaczęły wydzielać woń rozkładu - do szaleństwa dołączyła się zgroza. Towarzyszył im bez ustanku dowód śmierci Dietleva, a przecież samą śmierć jakby negowano, co dla Elaine było nieustającą udawką. Prześladował ją ów zmarły, który już nie był tamtym bliskim kolegą i przyjacielem, a jeszcze nie stał się tym, którego pamięć mogłaby czcić - dopiero teraz zaczynała pojmować, dlaczego tak szybko pozbywamy się zwłok: pochówek bowiem ma na celu ukryć procesy gnicia, zapobiec namacalnemu nieludzkiemu strachowi, że oto kała się świat żywych. Bez grobu będącego realnym dowodem, że te istoty odeszły na zawsze, zmarli powracają.

Rankiem tego dnia, gdy od godziny byli w drodze, otuleni jeszcze snem i lodowatą mgłą, przez kolumnę przebiegł rosnący szmer. Wszyscy przystanęli. Zaintrygowany Mauro wysforował się na czoło kolumny i zobaczył ścianę z czarnej skały tarasującą ścieżkę wyciętą w dżungli. Szaman zaintonował przed nią jakieś swoje donośne śpiewy, po czym ruszył dalej. Podążył wzdłuż skały aż do szczeliny, o której wiedział - choć częściowo zarośniętej roślinnością, otwierało się tam strome przejście, miejscami nawet zabezpieczone dla ułatwienia wspinaczki. Kolumna podążyła za szamanem, który przyspieszył kroku, wyraźnie pragnąc jak najszybciej dotrzeć do jakiegoś celu.

Wiele ich kosztowało wysiłku, nim dotarli na wysokość najpotężniejszych drzew. I wtedy przed ich oczami odsłonił się widok zapierający dech w piersiach. Jak na obrazie flamandzkiego mistrza na tle czystego nieba odcinała się góra w kształcie głowy cukru: naga, czarniawa, pocięta białymi smugami, zwieńczona jednak na samym szczycie koroną zieleni wyrastającej pomiędzy najdrobniejszych załomków skał. Poniżej jak okiem sięgnąć rozciągała się dżungla, którą od tyłu dni przemierzali. Ciemna, skłębiona, nieskończona, nieprzenikniona jak powierzchnia oceanu.

- Ostaniec!... - wyszeptała Elaine zaskoczona kontrastem między nagimi zboczami góry i bujną roślinnością szczytu.



- Jak wyspa... - zawtórował jej zdziwiony Petersen. - W życiu o czymś takim nie słyszałem...

Mrużąc oczy, Elaine westchnęła.

- Rzeki nawet nie widać.

- Ale wreszcie można się zorientować co do kierunków świata - zauważył Herman wpatrzony w swój zegarek. Ustawił przegub tak, żeby dwunastka zwrócona była do słońca, i poprowadził wyimaginowaną prostą od tej liczby do wskazówki godzinowej. - Północ jest tam, co oznacza, że rzeka Paragwaj powinna być mniej więcej w tamtym kierunku. - Wskazał palcem linię listowia zaledwie odrobinę ciemniejszą, bardzo daleko na południowym wschodzie. - Na czuja - podjął - powiedziałbym, że jesteśmy na zachód od Cáceres. I niekoniecznie nadal w granicach Brazylii.

- Miałeś rację - rzekł Mauro, rozejrzawszy się bacznie dokoła. - Gdyby gdzieś tu była jakaś misja, zobaczylibyśmy przynajmniej dym, cokolwiek... Bóg wie, gdzie oni nas prowadzą...

Nie oczekiwał odpowiedzi na tę uwagę - i nie otrzymał żadnej; w niebieskich oczach starego Niemca wyczytał tylko tę, która sama się narzucała: pewno nawet Bóg tego nie wie.

Wspinali się dalej stromym zboczem góry. Sznur ludzi podązał zygzakiem niczym pochylniami wieży Babel. Elaine zafascynowana patrzyła na coraz rozleglejsze morze roślinności w dole. Istotnie znajdowali się na umieszczonej pośród lasu wyspie, która była anomalią geograficzną być może wypatrzoną przez satelity, jednakże - czego teraz była już całkowicie pewna - niezbadaną dotąd przez człowieka Zachodu.

Po trzech godzinach męczącej wspinaczki weszli w porastającą szczyt dżunglę i na nowo stracili rozeznanie w stronach świata. Elaine żałowała, że tak krótko przebywali na terenie bezleśnym, gdzie docierał blask słońca. Mauro zaś pierwszy zwrócił uwagę, że ten las różni się od tego w dole: bujnie pieniała się dokoła nieznaną florą, istny ogród botaniczny dający schronienie mnóstwu osobliwych owadów i zwierząt. Szkarłatne grzyby, pstrokate żaby przypominające ryby akwariowe, drzewiaste paprocie, których pierzaste liście wyrastały wysoko nad ich głowami... Właściwie wszystko co teraz oglądali, różniło się od tego, co widzieli dotąd. Przywołując całą swoją wiedzę w tej dziedzinie, Elaine wytłumaczyła ów fenomen:

- To samo jest w Gujanie Francuskiej: wysoki szczyt jest na tyle odizolowany, że ma własny ekosystem. Na podstawie czegoś takiego Darwin weryfikował swoją teorię. Dobór naturalny oczywiście tu także się odbywał, ale ewolucja przebiegała w odosobnieniu, mniej więcej tak samo jak na atolu. Pewne gatunki lasów deszczowych mogły tutaj wyewoluować inaczej, ponieważ nie były poddawane wpływowi, jakim ulegały gatunki na równinach...

Mówiła, żeby wyobrazili sobie arkę Noego, która przez tysiące lat pływała, nie przybijając do stałego lądu. Gatunki zamieszkujące ów statek widmo byłyby mniej więcej podobne do tych, które zabrano, część jednak przeobraziłaby się nieco, aby lepiej się przystosować do życia na statku, inne w ogóle by nie przeżyły.

- Wspaniały! - rzekł Mauro, podnosząc olbrzymiego rogatego chrząszcza. - Istny raj na ziemi...

- Będziecie mieli dużo czasu, żeby się zachwycać tym paskudztwem - powiedział wzgardliwie Petersen. - Jesteśmy na miejscu.

Istotnie, plemię rozkładało się obozowiskiem na skraju zarośli, na odkrytej platformie, która z jednej strony przylegała do granitowego wyniesienia, z drugiej zaś otwierała się na przepaść przyprawiającą o zawrót głowy. Tym razem, w odróżnieniu od wcześniejszych popasów, Indianie starannie budowali obóz. Kobiety najpierw nanosiły wody, nazbierały larw i innych owoców lasu, naszykowały mięszu palmowego, po czym zaczęły tłuc maniok w dużych wywoskowanych koszach, w których warzono piwo. Grupa młodych wojowników wyprawiła się na polowanie, naręczami znoszono chrust na ogniska. Wszystko wskazywało na to, że postój na szczycie ostańca nie jest zwyczajnym odpoczynkiem, lecz końcem ich wyprawy.

- Ale chyba tu nie zostaniemy? - odezwał się Mauro tonem, w którym pobrzmiwała obawa.
- Możesz ich zapytać, jeśli chcesz - odparł Petersen, odpinając pas z kokainą.

Elaine usiadła na hamaku. Pośród wszechobejmującego zmęczenia postrzegała jeden tylko pewnik: nic, łącznie z biernym oczekiwaniem, nie było już w stanie wpłynąć na przebieg wydarzeń. Bez ustanku wracało do niej wspomnienie zwłok Dietleva, gdy ujrzała je majestatyczne, otoczone nimbem światła. Śmierć przyjaciela wrastała powoli w tę część jej jestestwa, gdzie rana po ranie życie tka własne odejście. Elaine już się nie bała.

Szaman bez ruchu, zwrócony twarzą do góry, czekał, aż Indianie zbudują mu szałas. Na krótko wszedł później do niego, aby ukryć przed wzrokiem związane ze swą funkcją przybory. Następnie wygłosił do pobratymców bardzo długą mowę, po czym samotnie wyruszył na szczyt. Indianie odprowadzali go wzrokiem, a kiedy znikł, wrócili do swoich zajęć.

- Przygotowują ucztę z okazji powrotu - zauważył Petersen.

Jego spostrzeżenie - trafne, jak się później okazało - przeszło bez komentarza. *Professora* von Wogau siedziała skulona, z niewidzącym wzrokiem. Mauro natomiast rozplątywał się w zachwytach nad coraz to nowymi stworzonkami, które odkrywał. Herman wciągnął niuch proszku i leżał wygodnie, żeby pomyśleć. W głowie wyła mu syrena alarmowa, wzywała go, aby wiał gdzie pieprz rośnie, jak najdalej od tych nieprzewidywalnych dzikusów. Nawet gdyby udało mu się niepostrzeżenie zniknąć nocą - i zyskać wystarczająco dużą przewagę nad Indianami - prawdopodobieństwo, że przeżyje w dżungli, było bliskie zera. Pora deszczowa zbliżała się nieubłaganie; czas działał na jego niekorzyść - im później wyruszy, tym trudniej będzie wyżyć się w dżungli. Zakładając, że poradzi sobie bez kompasu, musiał się nastawić na dni, a nawet tygodnie przedzierania się przez dżunglę, tymczasem utrudzone nogi bolały go tak, że omal nie krzyczał... Herman był wściekły na siebie, że jak inni uległ nadziei. Powinien był zwać, jak tylko pojawili się Indianie, zamiast liczyć, że ci ludożercy doprowadzą ich w jakieś cywilizowane miejsce. Na myśl o Dietlevie i bezużytecznym dzięki niemu karabinie zaciskał pięści, leżąc w hamaku.

Dotarłszy do najwyższej położonego miejsca szczytu, szaman plemienia Apapokuwa usiadł ze skrzyżowanymi nogami na płaskiej skale i czekał. Nic

z tego, co go otaczało, nie umniejszało jego lęku: ani źródło świętych kamieni - macierz, którą tylko on znał, tajemne łono, w którym dojrzewały zarodki wszystkiego, co powołane zostanie kiedyś do życia - ani piękno rozpościerającego się przed nim widoku. Dusza Qüyririche unosiła się wokół niego, ciężkie uderzenia jej skrzydeł wypełniały przestrzeń, uparcie nie chciała jednak do niego przemówić. *Zebrałem twój lud tam, gdzie znaki nakazywały, nie zważałem na kobiety, mięso aguti, ani wielkiego mrówkojada. Odkąd opuściłaś swoje ciało, każdej nocy mu towarzyszyłem, nie szczędząc śpiewu ani śliny. Qüyririche, Qüyriri cherub! Dlaczego odmawiasz mi pomocy swojego słowa?* On był posłuszny, tymczasem bóg o białej skórze trwał w milczeniu! Niewidzialny pancernik wśliznął się do jego brzucha niczym do ziemnej nory i teraz szaman czuł się chory, słaby. Zwierzę zżerało go od środka, ścinało mu krew w żyłach.

Ongiś, w młodych latach, omal nie umarł na tę samą chorobę. Jego ojciec oddał ducha, a niewidzialny pancernik przeniósł się do trzewi jego syna. Ojca usadowiono na jego miejscu w chacie, usadowiono go prosto, z łukiem i strzałami, z tykwą piwa i gwizdawką na tukany. Potem mężczyźni wzniesli wokół niego drugą chatę, gęstą palisadę z młodych kauczukowców, zostawiając otwór na wysokości pępka. Przez ten otwór wsunęli dmuchawkę ojca i pchali, aż weszła w jego brzuch. I on, Raypoty, został sam w lesie, nie pijąc, nie jedząc, nie mając odwagi się zbliżyć... W połowie trzeciej nocy niewidzialny pancernik ugryzł go w serce tak mocno, aż myślał, że umrze. I wtedy uległ... Prerażony gęstymi ciemnościami, błagając o łaskę zagubione dusze, które dyszały mu prosto w uszy, poszedł do domu ojca. Nie widząc nawet własnej dłoni wyciągniętej przed oczami, wszedł do środka. I po omacku znalazł w końcu dmuchawkę, i mając ją za przewodnika, dotknął palcem brzucha, w którym tkwiła. W tej samej chwili powiedział: „Ojcze, jestem

twoim synem!”, i serce zaczęło mu walić mocno niczym po pościgu za rannym jaguarem, i ognista kula przetoczyła mu się przez głowę, i niewidzialny pancernik opuścił jego trzewia.

Upłynął czas potrzebny, aby dojrzał pęk bananów, i wąż surukuku ukąsił go w nogę, ale nie udało mu się pozbawić go życia, co dowiodło, że jest *pajé*, dziedzicem tajemnej mocy swego ojca, godnym być jego następcą.

Raypoty wiedział, co powinien zrobić: pościć, żuć daturę i czekać tu, na tej skale, aż objawi się ognista kula. *Qüyririche* przemówi doń znowu, powie mu wreszcie, jak dotrzeć do Ziemi bez Zła. Raczej umrze, niż przyzna wobec plemienia, że poniósł życiową porażkę! *Qüyririche, Qüyriri-cherub!* Posłańcu Tupana, Wielki Sępie!

Mimo szamańskiego doświadczenia i zapasu magicznych strzałek doznawał takiego samego strachu jak w młodych latach. Czuł, że nie ma w nim odwagi, ani krzty odwagi...

Głosem cichym, aczkolwiek drżącym ze wzruszenia, Mauro oznajmił jej nowinę: pogrzebali Dietleva... Przez moment Elaine sprawiała wrażenie osoby szalonej: wzrok miała rozbiegany, nie mogła na niczym go skupić.

- Jak... jak to zrobili? - wykrztusiła w końcu przez ściśnięte gardło.

Mauro przytulił ją. Jemu także chciało się płakać, tak bardzo ciążyło mu jeszcze wspomnienie pochówku. Ciało ułożone w pozycji płodowej, skulone na dnie grobu niczym zwierzę w klatce, gałąź przeciągnięta pod pachami tak, aby dłonie znalazły się po obu stronach twarzy, maty, na nich czarna ziemia i wieniec z gałązek o cierniach tak drobnych, tak ostrych, że przypominały pułapkę zastawioną na jakiegoś groźnego drapieżcę... Indianie uwinęli się z tym szybko, jak najdelikatniej z powodu smrodu i daleko posuniętego rozkładu.

- Już po wszystkim, Elaine, po wszystkim... - mówił Mauro, kołysząc ją w objęciach.

Tej nocy wszedł do jej hamaka i kochali się - ze strachu przed śmiercią, aby nawzajem dodać sobie otuchy. Petersen śnił jakieś koszmary.

Usłyszeli kilka razy, jak tuż obok jęczy przez sen.

Pod wieczór trzeciego dnia szaman pojawił się na zboczu góry. Schodził pochyłością, dźwigając jakieś kamienie, co jego pobratymcy z niejakim rozbawieniem powitali. Znalazłszy się w obozowisku, podszedł do grupki ludzi o białej skórze i złożył przed nimi swe osobliwe brzemie. Nakazującym gestem zachęcał, aby obejrzeni dziwne grudy, które wydała na świat matka wszystkich gór. Pośród rozmaitych skamieniałości ptaków i ryb Elaine rozpoznała próbki, które Dietlev zabrał na wyprawę. Kiedy podniosła bardziej niż inne spłaszczoną skałę, padła na kolana z okrzykiem zaskoczenia - było tam to, po co przyjechali do Mato Grosso: doskonale zachowane całe egzemplarze skamieniałości starszej niż korumbela!

- O to właśnie nam chodziło! - mówiła z twarzą promieniejącą szczęściem. - Taki sam pień, ale dużo więcej polipów z pokolenia potomnego. Szkielet wapienny jest inny, grubszy... I zobacz, jaką strukturę ma sklerenchyma... Trzeba się nauczyć ich języka i wydostać się stąd, Mauro! Masz pojęcie, cośmy znaleźli?

I już myślała, jak nazwie odcisk w skale, po którym przebiegała palcami. Ta skamieniałość będzie nagrobkiem ku pamięci Dietleva... A jutro pójdą na sam szczyt, bardzo prawdopodobne, że znajdą tam jeszcze inne nieznanne dotąd okazy. W paleontologii będzie to skok, który pozwoli się posunąć o tysiące lat bliżej początków życia!

- A więc te kamyki warte są taką kasę? - mruknął Petersen przejęty naraz obrotem, jaki przybrały sprawy. Na pewno jakoś się uda, pomyślał, nakłonić Indian, żeby przenieśli jak najwięcej tego gruzu przez las...

Zadowolony z ich reakcji Raypoty przywołał na twarz coś na kształt uśmiechu. Dobrze odczytał znaki, towarzyska boga była rada. Objawił mu się Qüyririche, gdy na szczycie brał do rąk święte kamienie, identyczne jak te, które można było zobaczyć w *aracanóa* przekazanej przez przodków. Ognista kula pojawiła się jak w jego młodych latach, a Posłaniec przemówił wyraźnie w jego głowie: *Maëperese-kar?* Czego szukasz? *Marapereico?* O co prosisz? *Ageroure omano toupan?* Pytam: jak to się stało, że bóg nie żyje? Kiedy wlecimy tak wysoko jak urubu? Co trzeba powiedzieć jaguarowi, aby przestał sikać w lesie? I Qüyririche jasno odpowiedział na każde pytanie... Niewidzialny pancernik więcej nie wróci. Porządek rzeczy jest właściwy, każdy przedmiot, każde stworzenie jest na należnym mu miejscu. Tej nocy ulecą ku Ziemi bez Zła, dotrą nareszcie do mrocznego jądra, gdzie świat się zawija, zamyka w sobie jak skorupa pancernika. Qüyririche ich poprzedził, aby przygotować tam dla nich matę pod wielkim dachem nieba. Czeka na nich. Życie szamana nie było daremne; jego lud nareszcie wyjdzie z tego kręgu cierpień i samotności, w którym zamknęła go historia. Potrafił prawidłowo wezwać boga, zmusił go, aby doń przemówił.

Jeszcze tego wieczoru plemię Apapokuwa wróci do prapoczątków, do chwili, gdy wszystko wszystkiemu jest równe, ponieważ wszystko jest jednako możliwe, i o boże! będą mogli wybrać, żeby nie być tymi, którymi byli...

- *Etegesi xalta* - rzekł do Elaine - *fuera terrominia tramad mipisom!*

Mauro podniósł brwi, rozpoznawszy kościelną intonację szamana. Po chwili skupienia, gdy oddzielał sylaby i ustawiał je we właściwym porządku, przetłumaczył:

- „A ja, gdy zostanę nad ziemię wywyższony, przyciągnę wszystkich do siebie”... Skąd on to wziął, do licha? Nie mam pojęcia...

- Niesamowite - powiedziała Elaine, patrząc za oddalającym się szamanem. - W głowie się nie mieści... Jesteśmy gdzieś na końcu świata z facetami, którzy latają na golasa, nigdy nie widzieli białego, mówią po łacinie i ofiarowują nam skamieniałości, po które jechaliśmy tutaj... Boki można zrywać ze śmiechu!

- Chwila raczej nie jest odpowiednia - zauważył Mauro, również hamując rozweselenie.

Uśmiechał się nawet Petersen pogrążony w marzeniach o bogactwie.

Szaman wrócił do nich, tym razem towarzyszyło mu kilku Indian. Wyglądał strasznie, czarny śluz ściekał mu z nosa na piersi, co dowodziło, że właśnie zażył epenę. Nieznoszącym sprzeciwu gestem wetknął w dłonie Maura i Petersena końce rurek służących do rytualnego wdychania proszku. Herman pokręcił przecząco głową, szaman jednak wydał się bardzo z tego niezadowolony, toteż Niemiec szybko zmienił zdanie. Mauro, który nadal ledwie powstrzymywał śmiech, nawet się nie zastanawiał - postanowił, że posunie się do samego końca tego absurdu i zgodzi na wszystko. Przysługiwało im po jednej porcji na każdą dziurkę. Gwałtowność działania proszku dosłownie ich ogłuszyła. Ściskając głowę rękami, jęczeli, w zatokach paliło ich żywym ogniem, w głowie rozbłyskiwały świetliste wybuchy.

Elaine się ucieszyła, że ominął ją zaszczyt, jaki przypadł w udziale jej towarzyszom. Fujarki wznowiły żalodne piszczenie, w zapadającej ciemności rozpalano żywiczne pochodnie.

- Ale odjazd! - rzekł Mauro, ocierając gęsty śluz, który spływał mu na wargi. - Na maksa!

Narkotyki spowodowały zaburzenia widzenia. Wszystko wokół widział lekko rozmazane, a to wzmacniało działanie proszku w najgłębiej położonych komórkach mózgu. Tak jakby w głowie nałożono mu dwukolorowe okulary, próbował wytłumaczyć Elaine, takie, jakich używa się do oglądania anafilów... Wszystko było zielono-czerwone, powykrzywiane, podrygujące. Ze śmiechem komentował to, co ogląda. Taka sama euforia ogarnęła Petersena. Nie przejawiał takiej jak Mauro wylewności, toteż śmiał się do siebie, po cichu, długimi napadami.

- A na dokładkę staje mi! - zawołał Mauro, kładąc sobie dłoń Elaine w krocze gestem tak naturalnym, jakim pokazuje się guz. - Wierz mi, powinnaś spróbować!

Elaine gwałtownie cofnęła rękę. Mauro tracił wszelkie zahamowania, zaczynał się zachowywać groteskowo. Mięśnie twarzy wykrzywiały mu nieopanowane skurcze, stawał się coraz bardziej natarczywy, koniecznie chciał ją złapać za piersi. Ucieszyła się, kiedy szaman znowu się odezwał.

- Dołączyć do ptaków - mówił, potrząsając skórami tukanów i zimorodków. - Lżejsze ciało, lżejszy umysł...

Kiedy Mauro zrozumiał, że Indianie chcą, aby upodobił się do nich, bez skrepowania rozebrał się do naga i pozwolił, aby pomalowali mu ciało najpierw sokiem z urucu, a potem z genipy. Przymocowali mu długie pęki piór do ramion, włosy nasmarowali lepiszczem i posypali białym puchem. Na koniec tasiemką z kory związano mu napletek i przytroczono do podbrzusza. Petersen, który czuł w członkach odrętwienie, niezdolny myśleć czy jakkolwiek reagować, bez oporu także dał się przebrać. Zupełnie bezwolny w ich rękach, bez cienia emocji patrzył, jak rozsypuje się jedna z jego paczek kokainy pod nogami Indianina, który go przystrajał.

- Zajebście! - zawołał Mauro, kiedy dobiegła końca krzątanina przy Petersenie. - Wyglądasz jak stara papuga, Herman! Stara oskubana ara!

I klepał się po udach z uciechy, że tak mu się udało porównanie.

Szaman złożył u stóp Elaine sporą paczkę owiniętą w plecionkę z traw. Przez kilka minut coś do niej z powagą mówił, przeplatając przemowę jakimiś śpiewami, pokrzykiwaniami i cuchnącymi westchnieniami.

Przekazywał jej oto *aracanóa*, marzenie wysuszone, słowo uwędzone, dowód, gwarancję Tamtego Świata. Materia *aracanóa* jest tajemna i powszechnie wiadomo, jak bardzo stara. Jakimś cudem, który znał jedynie Tupan, przedstawiony jest w niej calusienki wszechświat. Nie pominięto ani jednej trawki, ani jednego owada. Wszystko jest w niej niezrozumiałe z wyjątkiem kamiennych jaj czekających na porę deszczową, aby się wylęgnąć w rzekach. Ona, starsza siostra Qüyririche, ma teraz zabrać *aracanóa*. Niechaj zobaczy, jak o nią dbali jego ojcowie i on. Mnóstwo, wielkie mnóstwo ludzi oddało życie, aby przetrwał ten cudowny przedmiot. Niechaj zatem wie, niech sama to sobie uświadomi.

Po czym odwrócił się i odszedł, zabierając Maura i Petersena. Elaine została sama. Widziała jeszcze, jak znowu wdychają epenę i zaczynają się miotać wokół ogniska, którego wysoki płomień buzował dość daleko od miejsca, gdzie siedziała. Niebawem całe plemię płaśało w blasku ognia, nad którym polatywały owady i unosiły się rozżarzone popioły. Tanecznym krokiem ludzie posuwali się do przodu, cofali, podnosząc i opuszczając ręce. Po niezgrabnych ruchach rozpoznawała Maura i Petersena. Piwo lało się strumieniami. Nawet kobiety i - co straszniejsze - dzieci wzięły się do wdychania narkotyku...

Zmiana rytmu muzyki sprawiła, że Elaine skupiła wzrok na czerwieni ognia. Ujrzała, że szaman opuszcza szeregi tancerzy i rusza w jej kierunku w towarzystwie trzech Indian z pochodniami. Przeraziła ją myśl, że może będą chcieli ją zmusić do uczestnictwa w tym barbarzyńskim obrzędzie. Korzystając z ciemności, ukryła się więc w zaroślach rosnących na skraju przepaści. Szamana wcale nie zdziwiło, że jej nie ma. Nawet się za nią nie rozglądał: Posłańczyni dołączyła do Qüyririche. Spodziewał się jej odejścia, toteż wznosił teraz ręce ku niebu, aby jej podziękować. Jej synowie powiodą jego i jego lud. Nadeszła ta chwila.

Elaine zobaczyła, że wracają na środek polany. Muzyka naraz ucichła, ludzie znieruchomieli w blasku płomieni. Szaman uroczyście przemówił do swego plemienia, po czym ukląkł, aby ucałować ziemię.

Następnie wyjął z ognia płonące bierwiono, podał je Maurowi i drugie Petersenowi, po czym stanął między nimi, a z drugiej strony każdego zaraz stanął Indianin. Kiedy Indianie ruszyli biegiem, Mauro i Petersen zawahali się na moment, lecz złapano ich za ręce i musieli pobiec z innymi. Rozbawiony Mauro wyswobodził się i postanowił, że wyprzedzi wszystkich. Elaine myślała, że przebiegną przed nią; z uśmiechem patrzyła na piękne w ciemności smugi blasku, które zostawiały za sobą pochodnie. I naraz pochodnia Maura się zachwiała, obniżyła, po czym lecąc łukiem, zniknęła przy akompaniamencie

żałosnego jęku. Biegący z nim wcale nie zwolnili - przeciwnie, zdecydowanie wstąpili w przepaść, pociągając za sobą Petersena. Szaman w chwili gdy stracił grunt pod nogami, zamachał rękami, jakby chciał się wzbić w powietrze! Teraz pozostali Indianie całą chmarą runęli ku otchłani. Płomienie wzbijały się w noc, pochodnie kreśliły spirale, trzeszczały, pogrążały się w niewidocznej dżungli, gdzie jeszcze przez chwilę świeciły niczym race fosforowe pod powierzchnią morza. Przystrojone w pióra ciała unosiły się krótko otoczone świetlistą poświatą, iskrami i puchem... Anioły spadały z nieba.

*Z notatnika Eleazarda*

CEL CHRZEŚCIJAŃSKIEGO PROFESORA: poprowadzić ucznia w odległe czasy, aby dojrzał prawdziwe źródła swej fałszywej wiary. Bliskie platońskiej anamnezie.

GLOSOLALIA... Wszystko się zaczyna od mitu zielonoświątkowego: Duch Święty zstąpił na apostołów i zesłał im dar języków, żeby lepiej nawracali niewiernych. Sprowadzając rzecz do wydajności, skuteczności retorycznej: mówienie wszystkimi językami albo sprowadzenie wszystkich języków do jednego - na jedno wychodzi.

„ITE ET INFLAMMATE!”. Idźcie i palcie! rozkazuje Ignacy Loyola członkom Towarzystwa Jezusowego. Bądźcie rozmowni i wypalajcie każde narzecze: nic tak dobrze nie wypala jak język propagandy.

„CHINA ILLUSTRATA” jest jedną z najpiękniejszych ksiązek, jakie dane mi było trzymać w rękach. Podobnie jak w „Oedipus Aegyptiacus”, typograficznie Kircher wykazuje się odwagą budzącą szacunek.

KIEDY JUŻ WYNALEZIONO ZEGAR, nikt nigdy nie wrócił do klepsydry, chyba że gotując jajko na miękko. Nie ma alternatywy: musimy zdecydowanie brać pod uwagę święty charakter osamotnienia człowieka i jego walki. Etyka ma sens jedynie wewnątrz tego zamkniętego pola. To pozbawiona rozpaczy świadomość, wyzwolona jednak z fałszywych nadziei transcendencji.

OBRACAJĄC SIĘ TYŁEM do źródła jak tygrysy bengalskie...

ARCHEOLOGIA WIEDZY. Kircher pisze bezwiednie encyklopedię wszystkiego, co zniknie po nim albo zostanie obalone. W tym sensie w znacznie większym stopniu jest konserwatorem wiedzy znumifikowanej już za jego życia niż pierwszego muzeum godnego tego miana. Rewolucja kopernikańska, potem galileuszowska w astronomii, nagłe poszerzenie chronologii ziemskiej wstrząsają ustalonymi poglądami z gwałtownością tsunami. Kircher dokonuje wyboru: nie zawraca sobie głowy nowym poglądem na świat, tylko za wszelką cenę dąży do uchronienia starego. To Noe swoich czasów. Jego dzieło jest arką zalanego świata.

PTASZNIK POKRYŁ SIĘ cieniutką pajęczyną. Ciekawe. Taka redundancja: pułapka na muchy zastawiona na pułapce na muchy.

„SKĄD BIERZE SIĘ ZATEM rzecz, jeśli nie jest od dawna już gotowa?” Ojciec Kircher, powiada Goethe, pojawia się zawsze w chwili, kiedy najmniej się go spodziewamy. To pośrednik, pozwala nam jak dzieciom dotknąć palcem tego, co stwarza problem.

„MACHINY DO MYŚLENIA” Lullusa, Kirchera czy u Jonathana Swifta w rozdziale poświęconym

akademikom z Laputy. To samo pragnienie automatycznego łączenia słów albo pojęć, czerpania z ogromnego rezerwuaru ich możliwości. Gdyby Kirchera wyposażyć w komputer, pewnie wykorzystywałby go do gry w szachy, produkowania sonetów, kantat albo mieszania w nieskończoność liter zawartych w Torze. Doprowadzałby liczby do mdłości w nadziei, że szybciej wyrzygają to, co jest wartościowe pośród rzeczy możliwych.

JESLI CZŁOWIEK ZABIERA SIĘ za biografię, musi się pogodzić z rolą Sancho Pansy.

NIGDY NIE PATRZEĆ NA RZECZY EN FACE, ale zawsze z ukosa, to jedyny sposób, by uwypuklone zostało ich piękno albo niedoskonałości. To nauka Heideggera. Papuga, nic innego. Chociaż...

KONTYNUUJĘ, to postanowione, nie wiedząc, czy obrana droga oddała mnie od tego co najistotniejsze, czy do tego przybliżyła, nie wiedząc nawet, czy to właściwa droga.

PŁOMIENIOWANIE KAMIENIA: sposób obróbki, który polega na ogrzaniu ogniem powierzchni kamienia i zlanu go wodą, aby pękł. Loredana... Rozprasza mnie.

ALFREDO, PRÓBUJĄC mnie pocieszyć: Życie to stanik, wsadź w niego cycki! *La vida é um soutien, meta ospeitos!*

CHYTRA SZTUCZKA numer 36. Doradzana przez Kirchera, tego prawdziwego, jako sposób na dzumę stosowany w ostateczności...

PRZEZ JEDNĄ KSIĄŻKĘ przepadła cała pewność i wypaczony został związek między rzeczami a nami, przez inną książkę ten związek jest odbudowywany. Tak często lekceważymy tę oczywistość i z tak dużą dozą złej wiary, że musimy być ślepi - albo zaślepieni zwierzęcym szczęściem w porzuceniu.

NA STATECZKU, którym płynę do São Luís, wywieszka: „Człowiek w wodzie: jeśli widać, że ktoś wpada do wody albo już jest w wodzie, krzyknąć: «Człowiek za sterburtą»”. Widocznie trafiłem na bakburtę.

„KAMIEŃ JEST BOGIEM, ale nie wie, że nim jest, i właśnie to, że o tym nie wie, determinuje go jako kamień”. Mistrz Eckhart. Zbieżne z Lichtenbergiem i snami pijanych słoni: „Być może psu albo pijanemu słoniowi tuż przed zaśnięciem przychodzą do głowy myśli, które nie byłyby niegodne mistrza filozofii; dla nich są jednak bezużyteczne i natychmiast zostają wymazane przez nadzwyczaj pobudliwe narzędzia zmysłowe”.

DEPESZA AGENCYJNA: W Australii u sześciu mężczyzn wystąpiła amnezja po zjedzeniu małży...

## ROZDZIAŁ XXXI

*O rozmowie, jaką przeprowadził Atanazy  
z Murzynem Chusem & o niezwykłych  
konkluzjach z niej wyciągniętych*

**C**hociaż zdziesiątkowane w roku 1664 na Przełęczu Świętego Gotarda, wojska Mehmeda IV odnosiły

potem jedno zwycięstwo po drugim. Ahmed pasza, syn sułtana, najpierw odebrał Wenecjanom wyspy Tenedos & Lemnos, później zaś kolejno zagarnął Galicję & Podole. Oblegana od kilku miesięcy Kreta dzielnie stawiała opór watahom niewiernych; jednakże zimą roku 1669 ogarnęła nas rozpacz na wieść, że wzięta została Kandia, a żołnierze prawdziwej wiary złożyli broń. *Post hoc, sed propter hoc* <sup>1</sup> Kościół nieoczekiwanie stracił swojego najżarliwszego obrońcę w osobie papieża Klemensa IX, który umarł ze zgrzyoty, kiedy się o tym dowiedział.

<sup>1</sup> Potem, lecz właśnie dlatego.

Jego miejsce zajął kardynał Emilio Altieri, a przyjął imię Klemensa X.

Wydane drukiem w roku 1671 „Latium” przyniosło Kircherowi mnóstwo zgodnie brzmiących pochwał. Doprawdy piękne były tablice zawarte w tym dziele, toteż w krótkim czasie nakład został wyczerpany. Mistrz tymczasem często napomykał, że chciałby dopisać ciąg dalszy, tyle że bardziej naukowy, zatytułowany „Podróż do kraju Etrusków”, lecz ta praca pozostała tylko w zamierzeniach.

Od tego właśnie roku Atanazy zaczął każdej jesieni wyjeżdżać do Mentorelli. Znajdował tam dobre powietrze zalecane przez medyków & spokój sprzyjający skupieniu. Choć wszakże tak daleko przebywał od próżnych niepokojów świata, ludzie nawet tam nie przestawali go nękać, czasami wręcz okrutnie.

I tak nowa kontrowersja, poważniejsza niż poprzednia, naruszyła jego spokój nawet w tym ustroniu. W styczniu roku 1672 w biuletynie Towarzystwa Królewskiego w Londynie przeczytał artykuł zatytułowany następująco: „Résumé o Gadającej Trąbce, jako wymyślona została przez Sir Samuela Morlanda & zademonstrowana jego wysokości królowi Karolowi II Angielskiemu”. Trąbka owa, bądź „tuba mekologiczna”, opisana została jako instrument zdolny przenosić ludzki głos nawet na odległość dwóch albo trzech mil & „użyteczny na morzu, jako & na ziemi”. Simon Beale, królewski pierwszy trębacz, wykonał ją wedle planów baroneta sir Samuela Morlanda & już sprzedawał z wielkim zyskiem w cenie trzy funty za sztukę..

Anglicy, jak zwykle niemający pojęcia o tym, co się dzieje poza granicami ich kraju, przypisali sobie zatem wynalezienie megafonu, jednego z najbardziej udanych wynalazków Kirchera; & nie dość, że do kradzieży dołączyli arogancję, jeszcze oto chcieli ciągnąć zyski z tak niegodnego łupiestwa!

Ponieważ sprawa była ważna, namówiłem Atanazego, aby niezwłocznie zaprotestował przeciw takiej nieprawości. Kircher zasięgnął rady znajomych & przyjaciół, którzy zdecydowanie go poparli, zdecydował zatem, że nie poprzestanie na zwykłym domaganiu się prawa pierwszeństwa, ale że opublikuje ponadto pracę na temat megafonu, dowodząc tym samym lepszej znajomości rzeczy w teorii & praktyce.

W maju roku 1675, Roku Jubileuszowego, Kircher nareszcie się zdecydował wydać drukiem „Arkę Noego”. Zgodnie z pierwotnym zamierzeniem omawiał w niej historię ludzkości od popełnienia grzechu pierworodnego aż do zbudowania arki, dalej okoliczności potopu, czynów Noego oraz jego potomków po karze zesłanej przez Pana Boga na rodzaj ludzki. Pracę kończył szczegółowy wykład początków nauki hermetycznej. Mistrz mój wielką wagę przykładał do jakości rycin ilustrujących tekst, toteż cały świat zgodnie uhonorował wydanie tak wspaniałej książki. Młody władca Hiszpanii, liczący wówczas lat dwanaście, raczył wysoko ocenić dzieło zadedykowane mu przez autora; do najszczerzych powinszowań dołączając szczodroblivość, polecił, aby Korona wzięła na siebie koszty druku „Wieży Babel”, pracy, która miała uzupełnić „Arkę Noego” & której cały uczony świat nie mógł się wprost doczekać.

Jako że praca na temat egipskich grobowców już była w drukarni, Kircher mógłby się poświęcić wyłącznie „Wieży Babel”, uniemożliwiały to wszakże jego wielka życzliwość & gościnność. „Gdybyście znali ciężar moich codziennych obowiązków - pisał do Prowansalczyka Gaffarela w odpowiedzi na list, w którym ów wyrzucał mu epistolarnie milczenie - nie czynilibyście mi takich wyrzutów. W niniejszym Roku Jubileuszowym mrowie gości, wysoko postawionych osobistości oraz uczonych, przybywa bez



ustanku, aby zwiedzić moje muzeum. I tak bardzo mnie absorbują, że czasu zupełnie mi brakuje nie tylko na badania, ale nawet na najzwyczajniejsze obowiązki duchowne...”

W związku z tym ze zrozumiałą radością przyjął Atanazy nadejście jesieni, a wraz z nią perspektywę ucieczki do Mentorelli. Przemysłiwaliśmy już nad przenosinami, gdy nieoczekiwane wydarzenie raz jeszcze dało mistrzowi mojemu okazję, aby się wyróżnić.

Powracający z Ameryki portugalski statek przywiózł mianowicie do Italii nader osobliwego dzikiego. Nie tyle z racji barwy skóry czarnej jak węgiel - do tego dziwa jużśmy zdążyli w ostatnich latach przywyknąć - ile z powodu zagadkowego jego języka & pochodzenia. Wedle słów kapitana Murzyna znaleziono na pełnym morzu na wysokości wybrzeży Gwinei, ledwie żywego z głodu w łódeczce sporządzonej z wydrążonego pnia drzewa. Odzyskawszy siły, człek ów okazał taką niewdzięczność & niechęć do nauczenia się języka swoich wybawców, że marynarze chcieli zostawić go na wodzie, karząc za takie barbarzyństwo. Szczęśliwie dla niego na pokładzie znajdował się jezuicki uczonec, ojciec Grzegorz de Domazan; spostrzegłszy u Murzyna oznaki dumy & szlachetności, uratował go od niechybnej śmierci. Po wylądowaniu w Wenecji wziął rozbitka pod swoją pieczę & zainteresował się dziwnym jego językiem: okazało się bowiem, że chociaż człowiek ów potrafi pisać po arabsku z łatwością, która jasno dowodziła jego biegłości w tym języku, to w mowie nie zna ani słowa w języku niewiernych, posługuje się natomiast jakimś dialektem nieznanym nikomu z tych, co go słuchali. Co więcej, kiedy ojciec Grzegorz pokazał kartki zapisane przez dzikusa kilku uczonym w językach wschodnich, stwierdzono, że teksty owe nic nie znaczą.

Pewne okoliczności, które tutaj przemilczę, aby nie nużyć szanownego Czytelnika, sprawiły, że postanowiono Murzyna Chusa - nazywanego tak ze względu na barwę skóry - przywieźć do Rzymu, aby zajął się nim Atanazy Kircher.

I oto pewnego pięknego poranka powitaliśmy w Collegium Romanum doktora Albana Gibbsa w towarzystwie Friedricha Ulricha Calixtusa, profesora języków wschodnich na uniwersytecie & wydelegowanego przy tej okazji przez *Accademia dei Lincei*. Mający sześć stóp wzrostu, o obliczu zadziwiająco delikatnym & regularnych rysach, Murzyn Chus siedł z kajdanami na rękach między dwoma eskortującymi go strażnikami; to zabezpieczenie uzasadniały liczne jego próby ucieczki przed ciekawością porządných ludzi. Kircher przyjął gości w wielkiej galerii swojego muzeum. W pierwszym rzędzie polecił rozkuć więźnia, & to pomimo wielokrotnie powtarzanych ostrzeżeń Calixtusa. Zdziwiony, aczkolwiek wyraźnie rad z tego, Chus skłonił się przed mistrzem moim, po czym obrócił się do Calixtusa.

- *Ko goóga* - rzekł ze wzgardą głębokim głosem – *ó ó maudo no bur ma 'aldude!*<sup>1</sup>

<sup>1</sup> Naprawdę ten wielmoża jest bogatszy niż ty!

Zagadnięty cofnął się ze strachem wobec złowrogiej gwałtowności tych słów, lecz Murzyn zaraz się uspokoił. Oczarowany, jak się wydawało, widokiem otaczających go zbiorów, bez ustanku wodził swym przerażającym wzrokiem od jednego przedmiotu do drugiego. Kircher gestem zaprosił go, aby usiadł, lecz Chus z uśmiechem powiedział:

- *Si mi dyodike, mi danoto...*<sup>2</sup> - I wskazując księgi ustawione w jednej z szaf bibliotecznych, dodał: - *Miñ mi fota yidi wiñdugol defte.*<sup>3</sup>

<sup>2</sup> Zasnę, jeśli usiądę...

<sup>3</sup> Ja też lubię pisać księgi.

Kircher okazał wielkie zadowolenie.

- *Libri!* - rzekł po łacinie, do słów dołączając gest. - Księgi.

- *Libi, libi?* - powtórzył Murzyn zdziwiony.

- *Li-bri* - powtórzył z naciskiem mistrz mój, dzieląc słowo na sylaby.

- *Li-bi-li... Libilibiru!*<sup>4</sup> - wykrzyknął, nie posiadając się z radości, że zdołał zrozumieć słowo tak trudne.

<sup>4</sup> Śpiew jaskółki.

- Właśnie! - pochwalił mistrz gościa. - *Libri*, księgi. Chyba zaczynamy się rozumieć. A teraz coś trudniejszego: *millia librorum*, tysiące ksiąg.

- Mi ya libilibiru?... *Mi yadii libilibiru!* <sup>1</sup> - powtórzył, klepiąc się po udach z uciechy. Po czym współczująco pokręcił głową. - *Lorra 'alaa... Ha'&fetudo no'àndi bu'ataake e dyalirde.* <sup>2</sup>

<sup>1</sup> Towarzyszyłem śpiewowi jaskółki.

<sup>2</sup> Jak zechcesz... Nawet głupiec wie, że w meczecie się nie paskudzi.

- Dobrzeście uczynili, przywołając do mnie tego człowieka - rzekł Kircher do Gibbsa. - Nie znam jego narzecza, mimo wszystko jednak chyba zauważam niejaki podobieństwa do starych języków. Ale po kolei... Mówiliście, że zna pismo arabskie, & bez wątpienia tą drogą będziemy szukali porozumienia. Casparze, bądź tak dobry, przygotuj przybory do pisania & papier.

Kiedy ja się krzątałem, Chus zastygł przed wypchaną hieną, po czym z radości znów zaczął pokrzykiwać & klepać się po udach.

- *Hej, Bonom! Ko dyude hombo sodu da?* <sup>3</sup>

<sup>3</sup> Hejże, hiena! Od kogo ją kupiłeś?

- Widzicie? - skomentował to zaraz Kircher. - Rozpoznał zwierzę ze swoich stron... I proszę, jakie użyteczne okazują się moje zbiory! Pewien jestem, że każdy, z jakiegokolwiek wywodziłby się ludu, znalazłby tutaj coś bliskiego swemu sercu, albowiem niezbitą prawdą jest, że natura to nasza jedyna ojczyzna...

Mistrz mój podszedł do Chusa & podając mu przybory do pisania, dał gestami do zrozumienia, że pragnie, aby opisał zwierzę, którego widok taką w nim radość wzbudził. Murzyn wydał się rad z prośby. Przez chwilę trwał w skupieniu, po czym usiadł na ziemi & napisał kilka wersów w języku nadzwyczaj przypominającym arabski. Podał następnie swe dzieło Atanazemu z oczywistym zadowoleniem na obliczu.

تند فح بتور عره تو يمتب نهريس تي د روع هكبرهش بو روع همكتا  
سيوتا بتور دن لمتب تايم تب هرد و هالي فح بتور دن سيليه بيكا  
د روع كن سيليه ها بيه تب هروغالي فح ميهيتي بو روع ههيتي د  
روع هح طابا برتقل تاره سيوتا تب روع كتب هيكند بو ديد  
هابن جبط نيب بوند

- Mielicie ślusność - ciągnął mistrz mój, przebiegłszy wzrokiem tekst. - To tekst napisany, owszem, arabskimi znakami, lecz po arabsku nic nie znaczy. Wiem, co mówię, albowiem oprócz syryjskiego, koptyjskiego & perskiego szczyć się również znajomością wszystkich dialektów, które posługują się tymi znakami. Spróbujmy zatem coś odwrotnego... Casparze, skup się & zapisuj dokładnie wszystko, co on teraz powie.

Pokazując gestami, Kircher poprosił Chusa o przeczytanie na głos tego, co był napisał.

- *Gnyande go'o bonom* - zaczął Murzyn, gdy tylko pojawił, czego się po nim oczekuje - *'arii tawi yimbe no hirsi nagge* <sup>1</sup>. - W tym miejscu Chus zmienił głos, zaczął mówić piskliwie, do słów dołączając gesty osoby proszącej o pożywienie. - *'Okkore lan tewu!* <sup>2</sup> - I normalnym swym głosem: - *Be wi'& be 'okkataa si wonaa bonorudiin limana be ha timma sappo, hara du wi'aali go'o...* <sup>3</sup>

<sup>1</sup> Zdarzyło się pewnego dnia, że hiena znalazła się w obliczu ludzi, którzy zarzynali wołu. Powiedziała im:

<sup>2</sup> Dajciez mi kawałek!

<sup>3</sup> Odpowiedzieli: „Poczęstujemy cię, jeżeli policzysz dla nas do dziesięciu, nie wymawiając jeden”.

- Znakomicie - przerwał mu Kircher. - Wszystko zdaje się wskazywać, że chodzi tu o oryginalny

sposób przekładania za pośrednictwem zapożyczonego pisma dźwięków języka, który własnego pisma nie posiada. To niejako steganografia porównywalna do...

- *Mi lannaali wulande ma!*<sup>4</sup> - krzyknął Chus, wpadając mojemu mistrzowi w słowo. - *Wota darufuddode, daru timmode!*<sup>5</sup>

<sup>4</sup> Nie skończyłem do ciebie mówić!

<sup>5</sup> Nie patrz na początek, patrz na koniec!

W oniemiaeniu wprawił nas ten nagły wybuch gniewu, przez co gość nasz mógł bez przeszkód kontynuować lekturę:

- *Bonorudiin midyii seda du wi&: Kono si mi limii ha yonii sappo hara mi wi'aaligo'o mi hebai eèwu? Be wi&: 'a hebai. Du wi&: Be'&didi e gertogal dare si wonaa sappo be wi& ko sappo. Be 'okkidu tewu, duffeddyi.*<sup>6</sup>

<sup>6</sup> Hiena zastanawiała się przez chwilę, po czym rzekła: „A jeśli się zdarzy, że policzę do dziesięciu, nie mówiąc jeden, czy dostanę mięsa?”. - „Dostaniesz”. - „Ha! No to powiedzcie, czy dwie kozy & kura to nie jest razem dziesięć...” - „Słusznie - przyznali - razem to daje dziesięć!” Rzekli to & dali mięsa hienie, która odeszła.

- Uczynił pauzę, po czym jakby nam zawierzał jakiś sekret, dodał: - *Haden dyoido, no mettifo lude .!*<sup>1</sup> - I pokazał zęby w szerokim uśmiechu.

<sup>1</sup> Człowiek rozumny zawsze sobie poradzi.

- Nie skłamano także - podjął Kircher - donosząc mi, że to dumny człowiek. Jasne jest, że nie spodobało mu się, kiedym mu przerwał... Wracając zatem do tego, com mówił, gdy odplacił mi pięknym za nadobne: język ten ma się do arabskiego tak samo jak melodia do jakiegokolwiek systemu notacji muzycznej. Podam przykład: brazylijscy Topinambu nie umieli zapisywać swojego języka, kiedyśmy się z nimi pierwszy raz spotkali. Jednakże nasi ojcowie nauczyli ich korzystania z alfabetu łacińskiego do zapisywania dźwięków ich mowy, tak że ci spośród dzikich, którzy stosownie się postarali, są dzisiaj w stanie zapisywać słowa w języku swojego ludu. Gdyby zamiast Portugalczyków w Brazylii wylądowali mahometanie, Topinambu zapisywaliby dzisiaj swój język po arabsku, jak czyni ten tu Murzyn...

Odruchowo obróciliśmy wszyscy głowy ku Chusowi; wsparty łokciami o parapet okienny, zupełnie nie zwracał na nas uwagi - wpatrywał się w niebo & zdawał się zasmucony, że widzi na nim jedynie ciężkie ołowiane chmury wieszczące rychłą burzę.

Kircher wziął do ręki zapis fonetyczny, który sporządzałem, kiedy Chus odczytywał swój tekst. Długo wpatrywał się w kartkę, po czym podkreślił kilka słów, które widać zwróciły jego uwagę.

- Możliwe, że... - mruknął do siebie. - Wykluczyć się nie da... Mój Boże, jestem w Twoich rękach!

- Czyżbyście odkryli, w jakim języku mówi ten człowiek? - zagadnął Gibbs z zaciekawieniem.

- Być może, lecz hipoteza to tak szalona, że przedtem objaśnię, jakim sposobem zdołałem ją sformułować. Spójrzcie, proszę, na słowa, którym tu podkreślił: dzieląc „*bonom*”, otrzymuję „*bono*” & „*ru*”, czyli przymiotnik „dobry” po włosku oraz słowo „tchnienie” albo „duch”, jak się je mówi w języku hebrajskim. Co aż się prosi, żeby przetłumaczyć jako „dobry duch”, a jeszcze lepiej „duch święty”...

- No przecie! - przytaknął Calixtus z podziwem. - Wygląda na to, że język ten składa się z niesamowitej mieszanki zaczerpniętej ze wszystkich innych języków & trzeba było waszej wyjątkowej wszechstronnej wiedzy,

aby tak szybko to zauważyć... A jakie z tego wnioski wysnuwacie, ojcze?

- Domyślam się jego pochodzenia, mój drogi, a przynajmniej tak sędzę & z każdą chwilą zdaje mi się to coraz bardziej prawdopodobne. Jako że logika nie pozwala założyć, że język ów uformował się w kontakcie ze wszystkimi innymi językami, co by sugerowało, że używający go lud przemierzył cały świat, nie umiając mówić, należy zatem przyjąć jego preegzystencję: czy aby nie jest to ów pierwotny język, z którego aniołowie stworzyli pięć języków narzuconych ludziom po upadku wieży Babel?

- Sugerujecie, że język, którym się ten człowiek posługuje, to *lingua Adamica*? - zdumiał się

Calixtus.

- I owszem, profesorze, językiem Adamowym, tym, którym Pan Bóg obdarzył pierwszego człowieka, tym, którym mówiono na całym świecie, póki ludzka pycha nie sprawiła, że w ruinie legło narzędzie porozumienia...

Potężny grzmot zawtórował słowom Kirchera, a gruchnął tak niespodzianie, że wszystkim nam przyszło na myśl, iż oto Wszechmocny dobitnie mu przytakuje. Stojący wciąż przy oknie Chus odwrócił wzrok od deszczowej zasłony, która osnuwała dzień.

- *Diyan dan fusude* - powiedział ze smutkiem - *doi doi...*<sup>1</sup>

<sup>1</sup> Pada wolno, wolno...

I chociaż była dopiero trzecia po południu, Kircher polecał zapalić światła.

- Będzie mi trzeba kilku tygodni pracy, aby zyskać niezbita pewność, już teraz wszakże powiedzieć mogę, że język tego człowieka, choćby nawet nie był macierzą wszystkich innych, jest starszy jeszcze niżli chiński, będący przecie najstarszą znaną formą języka Chama. I wcale bym się nie zdziwił, gdyby udało się odkryć bezpośrednie związki między tymi dwoma językami.

Spostrzegłszy, że mistrz mój podnosi rękę do czoła & na moment przymyka oczy, zgadłem, że znowu wrócił ból głowy, który w ostatnich miesiącach coraz częściej go nękał. Grzecznie zatem poprosiłem gości, aby zechcieli zakończyć rozmowę & pozwolili gospodarzowi odpocząć. Jednakże Kircher, przyznając, że istotnie czuje się znużony, & prosząc Gibbsa &

Calixtusa o wybaczenie, ogromnie chciał dokonać jeszcze jednej próby. Wziął w rękę drugi tom „Oedipus Aegyptiacus” & otworzył go w miejscu zaznaczonym paskiem papieru.

- Ta figura w kształcie słońca - wyjaśnił Calixtusowi - zawiera siedemdziesiąt dwa imiona Boga, którym rozmieścił wedle zasad kabały, a także to, w jaki sposób siedemdziesiąt dwa ludy nazywają boskość. I chociaż na tym kręgu nie zostały przedstawione wszystkie języki świata, to w każdym razie są tutaj najważniejsze rdzenie, bez których imienia Boga niepodobna wyrazić.

Powiedziawszy to, mistrz mój wolnym krokiem skierował się do Chusa. Ów z widoczną fascynacją przypatrywał się burzy, która nie chciała osłabnąć, lecz słysząc kroki Kirchera, obrócił się ku niemu. Białka jego oczu jaśniały w półmroku, a imponująca postać, wyraźnie odcinająca się na tle nieba przecinanego błyskawicami, wydała mi się postacią olbrzyma żywcem wyjętego z Księgi Rodzaju.

- *Ko hondu fala da?*<sup>1</sup> - zapytał surowo.

<sup>1</sup> Czego chcesz?

Kircher spuścił wzrok na trzymaną w rękę księgę.

- Bóg! - zawołał z mocą & wymieniał dalej, po każdym słowie czyniąc krótką pauzę: - Jahwe! *Theos!* *Gott!* *Dieu!* *God!* *Adad!* *Zimü Dio!* *Amadu!*...

Po ostatnim słowie stało się coś nadzwyczajnego: z okrzykiem, który zmroził mi krew w żyłach, Murzyn Chus wznosił ręce do nieba, po czym opadł na kolana.

- *Mignagima, Ahmadul*<sup>2</sup> - zawołał, chyląc czoło z wszelkimi oznakami najgłębszej czci. - *Kala dyidu gon yeso hisnoye. Mi yarne diyan begedyi makko, mi hurtine hilmpawo gilledyi ha-amada!*<sup>3</sup>

<sup>2</sup> Prosiłem cię, Mahomecie!

<sup>3</sup> Którzy ujrzeni to oblicze, będą chronieni. Zostanę napojony wodą z jego jezior; dołączę się & zaszczyt będę miał zaliczać się do wiernych Mahometa!

Ucałował po trzykroć ziemię, podniósł się & ze wzgardą popatrzył na mistrza mojego, kręcąc głową z lewa na prawo. Kircher wrócił do nas; uśmiech tryumfu rozjaśniał jego oblicze ściągnięte zmęczeniem.

- Amadu albo Amida. Pod takim imieniem Japończycy adorują boga Pusa! Ów stał się Amitabhą u Indostańczyków, a jest ni mniej, ni więcej

tylko owym Fo-hi, z którego Chińczycy uczynili swoje bóstwo, nie wiedząc, że jest tym samym co Hermes & Ozyrys. Jeżeli wspomnimy, że „Chiny” mówi się „Szenzu”, czyli „Królestwo Boże”, stanie się

oczywiste, że nasz Chus czci jednego z najbliższych awatarów Jahwe, czyli Jehowy. I wcale bym się nie zmartwił, gdybym rychło się dowiedział, że słownictwo religijne nie dość, że jest mu znane, to jeszcze droższe znacznie niżli miano Amida... I dlatego właśnie uprzejmie proszę, abyście zechcieli przyjść znowu jutro o tej samej porze, jeśli waszmościom ta godzina odpowiada. Przedsięwzięmę szczegółowe badanie tego języka & z Bożą pomocą otworzymy nowe ścieżki wiodące do prapoczątków...

Kiedy goście się pożegnali, Atanazy zamknął się w pracowni, nie zapominając zabrać ze sobą zapisków z rozmowy z Chusem. Mimo bładości oblicza oczy błyszczały mu podnieceniem, nie musiałem zatem pytać, jakie nadzieje pokłada w przyszłych spotkaniach z Murzynem.

Tymczasem smutne wydarzenie pokrzyżowało, niestety, nasze zamiary. A jeśli chcesz się dowiedzieć, Czytelniku, co się stało z Murzynem Chusem, musisz zajrzeć do następnego rozdziału, gdzie wszystko będzie opowiedziane...

## **FORTALEZA**

*Jak na starym filmie o wyblakłych kolorach...*

Po powrocie do domu Moema znalazła liścik, który zostawili Thais i Roetgen, aby się jej przypomnieć. Przeczytała tylko podpisy i wyrzuciła go do kosza. Uraza, jaką do nich czuła, jeszcze wzrosła i nabrała tym większego posmaku goryczy, że wydawała się teraz raczej nieuzasadniona. Zostali w tyle, daleko za nią, za daleko po tym, co przeszła w ostatnich dniach. Więcej ich nie zobaczy.

W pierwszej kolejności przygotowała sobie kąpiel. Wkładając do pralki ubrania, które kupił jej Nelson, postanowiła je zachować na pamiątkę pobytu w Pirambú: T-shirt „Gloria” nabrał cech relikwii, świadczył o zwrocie, który odmienił jej życie. Odda temu chłopcu nowe ubrania, a potem poprosi ojca, żeby mu kupił wymarzony fotel. Przynajmniej tyle może zrobić w podzięce za to, co on uczynił dla niej.

Zanurzona po samą brodę w pianie wyobraziła sobie naraz, jak idzie z Nelsonem do sklepu ze sprzętem ortopedycznym. Załatwi to tak, żeby nie przy nim uregulować rachunek, a on będzie miał niespodziankę, gdy odjedzie na fotelu. W każdym razie nie zostawi go samemu sobie. Zajmie się nim. Eleazard postara się znaleźć mu jakąś pracę, może nawet sprowadzi go do Alcântary.

Im więcej przyjemnych obrazów przywoływała przed oczy, tym mocniej czuła się osaczana przez zamieszkujące ją upiory. Te gnoje mogły mnie zarazić jakąś chorobą, myślała z lekkim niepokojem. A jeśli zaszłam w ciążę? Przemknęło jej przez głowę, że mogłaby wnieść oskarżenie przeciwko napastnikom, lecz odrzuciła tę myśl, tak straszne wydało jej się, że musiałyby stanąć przed sądem, poza tym miała pewność, że żaden werdykt nie zdoła złagodzić tkwiącego w niej poczucia upodlenia. Do lekarza jednak pójdzie; później, przy najdrobniejszej podejrzanym oznace.

W płaszczu kąpielowym, z włosami zawiniętymi w biały ręcznik, wyciągnęła się na łóżku. Jutro jest święto Yemanjy. Wujek Zé dokładnie jej wytłumaczył, jak dotrzeć do terreira, trafi tam bez problemu. Przy odrobinie szczęścia pieniądze, które co miesiąc wypłacał jej ojciec, przyjdą w najbliższy poniedziałek albo wtorek. Do tego czasu z biedą, ale jakoś wystarczy jej kasy, a potem... wiadomo: autobus do São Luís! Będzie tam za trzy dni, może nawet wcześniej. Nie ma sensu pisać do niego, zjawi się u ojca przed listem.

Na stoliku nocnym leżały dwie strzykawki, których użyły z Thais w przeddzień spotkania u Andreasa. Odżyło w niej poczucie, jaka jest nieszczęśliwa. Równocześnie ogarnęło ją nieodparte przekonanie właściwe rozwiązaniom pozornym - takim, które tylko powiększają problem, zamiast pomagać w uporaniu się z nim - że ukojenie dałaby jej kreseczka koki albo chociaż zwykły skręt. Uzależnienie psychiczne, pomyślała szydlerczo. Nie była narkomanką, nie czuła żadnych dolegliwości fizycznych związanych z głodem; naraz po prostu jej zabrakło, i to potężnie, poczucia, że jest ponad wszystkim, że doskonale panuje nad swoim ciałem i umysłem. Ilekroć coś takiego ją dopadało, natychmiast ulegała i

zaspokajała potrzebę, tak jak zaspokaja się niewinną chęć na papierosa czy kawałek czekolady. W najgorszym razie szła do Paca i po sprawie. Dzisiaj nie było to takie proste... Wstała z łóżka i przetrząsnęła wszystkie zakamarki, w których zwykle ukrywała narkotyki. Nie zostało nic, wiedziała, coś jednak pchało ją, by

sprawdzić, czy aby na pewno tak jest, jakby przez samo szukanie miała się pojawić gdzieś okruszyna haszu albo zapomniana szczypta trawki. W porywie rozpacz, przejęta jak w chwili, gdy mamy przecucie, że nareszcie wkładamy do zamka właściwy klucz, zdjęła lustro, które służyło do wydzielania porcji koki: została na nim odrobina pyłku z kryształków, w sam raz tyle, żeby wetrzeć w dziąsła i jeszcze zwiększyć niecierpliwość. Raptem potrzeba spotężniała: koniecznie, bezwzględnie musi zdobyć to, czego tak bardzo jej brakuje. Na próżno usiłowała przemówić sobie do rozsądku - dręczące ją pragnienie było silniejsze. Nie może się zwrócić do Roetgena, jedyne spośród jej znajomych mogącego ewentualnie pożyczyć jej kasę, o tym nie ma mowy. Poprosić Paca o kredyt? Nierealne, on doskonale wie, jacy są jego klienci... Moema wymyślała najbardziej absurdalne transakcje, gdy przypominała sobie naraz oszczędności Nelsona. Była pewna, że nie odmówi jej takiej przysługi.

Trudno, musi wyjść z domu, musi zająć czymś głowę.

Wciągnęła dzinsy, koszulkę, którą wybrała nie tyle ze względu na jej urodę, ile z powodu nieprzezroczystości tkaniny, po czym przetrząsnęła rozgrzebaną szufladę, aż znalazła malutki pojemnik z gazem łzawiącym, który ojciec wcisnął jej na pożegnanie. Wsunęła go do kieszeni i szybkim krokiem wyszła z mieszkania.

Blisko godzinę zajęło dojechanie autobusem do Pirambú. Przed budą Nelsona klasnęła kilka razy, lecz nie uzyskała odpowiedzi, weszła więc do środka, zdecydowana na niego poczekać. Mydło i ręcznik zostawione w hamaku, obszarpane zdjęcia, piasek zryty bruzdami, jakby wielki wąż spenetrował pomieszczenie - paskudne jej się to wszystko wydało, a skutek miało taki, że tylko zwiększyło zdenerwowanie. Pierwsze pięć minut ciągnęło się w nieskończoność; zmęczenie dokonało reszty. Tylko odrobinę drażył ją niepokój, co by było, gdyby Nelson ją tu naszedł, kiedy pogrzebała w miejscu, które sam jej wskazał, i wydobyła worek foliowy. Zdziwiła się, ujrawszy broń, ale nie ruszyła jej, wzięła tylko zwitek banknotów, zasypała dołek, szybko wyrównała piasek i uciekła.

Odda wszystko, jak tylko przyjdzie czek od ojca. Tymczasem może raczej liczyć na to, że Nelson w ogóle się nie spostrzeże, iż pożyczyła od niego kasę. Była to bowiem pożyczka, nie żadna kradzież, co to, to nie. Przypadek działania siły wyższej. A ostatecznie tych pieniędzy w ogóle nie będzie potrzebował, skoro postanowiła mu podarować fotel inwalidzki.

Mimo wszelkich tłumaczeń, jakie jej podsuwało nieczyste sumienie, uspokoiła się, dopiero gdy Pirambú zostawiła za sobą. Jeżeli Nelson nie ściemniał, była w posiadaniu stu pięćdziesięciu tysięcy cruzeirów, kwoty wystarczającej, aby uroczyście pogrzebać dawne życie i skończyć z dragami. Po święcie Yemanjy niczego więcej nie tknie, choćby się paliło, waliło. Jeżeli ojciec zażąda, pójdzie nawet na detoks. Ale to nie będzie potrzebne, czuła się bowiem silna, czuła się panią swojej przyszłości i własnej woli. Z koką posunie jak najdalej, maksymalnie daleko, aby pokazać, że sięgnęła dna. A potem wynurzy się na powierzchnię świeża, odrodzona, oczyszczona z grzechu, który na zawsze zniknie w mrokach błędów młodości.

W drodze powrotnej wstąpiła do Paca, aby złożyć zamówienie. Godzinę później pierwsza działka wreszcie zdołała z grubsza połatać jej sponiewierane jestestwo.

Było już ciemno, gdy usłyszała stukanie do drzwi.

- *Carinha?*... To my - rozległ się głos Thais. - Otwórz, wiemy, że jesteś.

Poczuła się schwytna w pułapkę. Leżeć bez ruchu, udawać nieżywą. Jedno słowo i wszystko diabli

wezmą, otworzy im.

- Wpuść nas, proszę - rzekł Roetgen z naleganiem w głosie. - Widzieliśmy światło... Musimy sobie we trójkę wyjaśnić to i owo, nie trzymaj nas tutaj...

Światło... Powinna była przewidzieć, że je zobaczą. Oni czy ktokolwiek inny... Nie chciała, za nic nie chciała więcej o tym słuchać! To jej noc, czuwanie w samotności przed rychłymi zaślubinami z życiem. Mało im, że ją zdradzili, zostawili pośród góry śmieci?

- Moema - nalegała Thais - no co ty? Byliśmy zawiani, chyba możesz to zrozumieć, nie?... Wiem, co sobie ubzdurałaś, ale to gówno prawda. Nie bądź głupia, otwórz... Zapraszamy cię na drinka na plaży...

W głowie wezbrał jej potężny wir, zbierając wszystko na swej drodze. Głos Thais, uśmiech Thais, ciało Thais... To jej siostra, kochanka, jedyna przyjazna dusza, która potrafiła dzielić jej nadzieje i obawy. Czy powinna wybaczyć, by nie budować nowego życia na nieprzejednanym gniewie?

- No otwórz... - błagalnie mówił Roetgen. - Martwiliśmy się o ciebie.

Kretyn! Gdyby jego tam nie było, uchyliłaby przynajmniej drzwi, odrobinę, tyle, by z oczu Thais wyczytać prawdę... Ten facet ją wkurzał! Wykorzystał je oboje jak ostatni drań... Powie mu to. Powie mu, że wszyscy faceci to egoistyczne gnojki, które myślą tylko o pieprzeniu, gdy świat wokół nich się wali... Tak, otworzy drzwi, jego pośle na drzewo, a wpuści samą Thais...

Odetchnęła głęboko kilka razy, zerknęła do lustra, czy może się pokazać, i otworzyła drzwi z zamiarem, że zrobi, jak postanowiła. Nie było nikogo. Matoły, znudziło im się czekanie... I bardzo dobrze!

- Niech ich szlag trafi! - powiedziała na głos, czując, że do oczu napływają jej łzy. - Niech ich jasny szlag trafi!

Od rana w dniu święta Yemanjy tysiące ludzi ciągnęły na Praia do Futuro, Plażę Przyszłości, aby oddać cześć bogini morza. Na ciężarówkach i wózkach terreira Fortalezy masowo się przenosiły, wraz z nimi za przywódcami duchowymi podążała całość wiernych. Raz w roku ceremonia ta gromadziła wszystkie obrządki umbandy i candomble, jednocząc je w żarliwości. Aby dotrzeć do miejsca spotkania, Moema musiała iść pod prąd ludzkiej ciżby, która się przetaczała wzdłuż wybrzeża. Wystrojone tłumy tłoczyły się już na chodnikach, istna wędrówka ludów - w większości mieszkańców faweli - w długim pochodzie do miejsca uroczystości.

Terreiro Dady Cotinhi przypominało statek szaleńców. Nie szczędząc sił, muzykanci w karnawałowych strojach sprawdzali swoje bębny, rojno było od Mulatek w błękitnych sukienkach, wszędzie stały liczne kartony z kaszasa, bukietami róż i goździków, rozlegały się krzyki i płacze, mocno gestykulowano... Weselne zamieszanie wstrząsało domostwem od posad po dach. Wujek Zé przebrany za księcia Rolanda, w hełmie z pióropuszem i w czerwonej pelerynie, donośnym głosem dyrygował załadunkiem swojej ciężarówki.

- A, jesteś, księżniczko! - zawołał, kiedy spostrzegł Moemę. Na jego twarzy malowała się ulga i miłe zdziwienie człowieka, którego najgorsze przewidywania się nie spełniły. - Jak się masz? Mam nadzieję, żeś dobrze się wyspała, bo dzień będzie ciężki.

Moema spędziła bezsenną noc w całości poświęconą przeżywaniu wątpliwych cudów, jakich dostarcza koka. Na nosie miała ciemne okulary, przepełniała ją jednak pełna napięcia, niemal bolesna energia.

- Chodź, przedstawię cię. Dada obiecała, że sama cię przygotowuje.

Przecisnęli się do pokoiku, gdzie starsze kobiety krzątały się przy kilkuletnich dziewczynkach, strojąc je. Dada Cotinha, rozłożysta pogodna babcia o wyglądzie piastunki generalskiego potomka, pochwaliła wujka Zé za wybór, po czym uprzejmie go wyprosiła. Czas nagli, a dziewczynę trzeba ubrać...

Moema ani mrugnęła, przywdziewając kostium pośród gromady gestykulujących kobiet. Najpierw naciągnęła cielisty, doskonale przylegający do ciała kostium pływacki. Dwie kauczukowe brodawki, wszyte

we właściwym miejscu, uwypuklały czubki jej piersi. Spiekła raka, kiedy staruszki zaczęły się zachwycać jej obfitym biustem. Następnie włożyła spodnie ze srebrnej lamy, która udawała rybią łuskę. Kiedy stuliła w nich nogi, dwa trójkąty obciążone tą samą materią układały się w okolicy kostek w rybi ogon.

- Pewnie miała piękne włosy - z wyrzutem zauważyła Dada Cotinha. - Szkoda, żeś je tak wystrzygła... Gdybym dostała w swoje ręce patałacha, który zrobił z ciebie ananas!...

- Chciałam jakiejś zmiany - wyjaśniła Moema, krzywiąc się - ale zwróciłam się z tym do nieodpowiedniej osoby... Naprawdę tak strasznie wyglądam?

- Nie przejmuj się, dziecko, poradzimy sobie z tym, zobaczysz.

Z kartonu, z którego wyciągała poszczególne elementy stroju, Dada wydobyła bardzo długą czarną perukę i nałożyła ją Moemie na głowę.

- To prawdziwe włosy, włosy Fatinhi... Jej sięgały do pięt! Naprawdę się poświęciła, że je oddała...

Szpilki, tusz, puder ryżowy, róż na policzki, szminka - kiedy kobiety skończyły i Moema weszła do głównej sali eskortowana przez stare wróżki, gruchnęły okrzyki i głośnie bębnienie:

*Yayá, Yemanjá! Odó Iyá!*

*Saia do mar,*

*Minha sereia!*

*Saia do mar*

*E venha brincar na areia!*

Dla wszystkich była teraz Yemanjá, syreną o dużych piersiach, tą, która jeszcze dzisiaj wyłoni się z morskich głębin. Dada Cotinha musiała interweniować, aby najgorliwsi wyznawcy jej nie dotykali. Na znak Dady wujek Zé dał rozkaz wyjazdu.

- A Nelson? - zapytała Moema. - Nie jedzie?

- Nie wiem, co on kombinuje - rzeki Zé ze złością. - Już dawno powinien tu być. Nie możemy dłużej czekać. On wie, gdzie to jest, więc trafi sam...

Odkrył, że pożyczyłam od niego kasę! - przeraziła się Moema. Niemożliwe, zaraz sama siebie uspokoiła. Gdyby tak było, zaraz by tu przydrałował, żeby się poskarżyć przyjacielowi. Niepotrzebnie się przejmuję...

- Trzeba jechać, księżniczko - powiedział Zé, pomagając jej wsiąść na pakę ciężarówki, z której na tę okazję zdjął plandekę.

- Wiesz, że on ma pistolet? - spytała Moema, nic złego nie mając na myśli.

- Pistolet? Prawdziwy pistolet?

- No... Nie znam się na tym, ale wygląda mi na broń policyjną.

- Skąd o nim wiesz? Powiedział ci?

Już żałowała swoich słów. Zapomniała się i teraz stąpała po grząskim gruncie.

- Nie, ukrył go. Nie wie, że go widziałam.

- Załatwimy to później - uciał wujek Zé z nieodgadnioną twarzą, kierując się do szoferki.

Ciężarówek takich jak ich były setki, najrozmaitszej wielkości, wszelkich barw. Toczyły się drogami długim sznurem. Pośród niewyobrażalnej liczby pasażerów ściśnięte na samym tyle paki orkiestry samby zagłuszały warkot silników. Mężczyźni i kobiety podrygiwali w rytm melodii granych na akordeonach i marimbach; uczeni burt ludzie śmiali się, śpiewali, pokrzykiwali: „Yayá, Yemanjá! Niech was błogosławi! Niech spełni wasze prośby”. Moema napatrzeć się nie mogła. Siłę tego ludu, jego zaraźliwą radość, ale też zuchwałość, cynizm wynikający z rozczarowania, które rodzi nędza, odczytywała z napisów zdobiących ciężarówki. Przez całą drogę te gry słów i maksymy przesuwwały się przed jej oczami



niczym w wielkiej księdze: „Cztery nadmuchane opony za jedno puste serce...”;

„Przyjacieli nocy, towarzyszu gwiazd...”; „Smutek to rdza zżerająca duszę...”; „Od Amazonii po Piaui staję tylko na si...”; „Widziałem piersi melancholii w dekolcie odległości...”; „Pocałunek dziewczyny to same witaminy...”; „Milionerze, twój bóg jest też moim bogiem...”; „Adam to szczęściarz: nie miał ani teściowej, ani szczoteczki do zębów...”; „Żeby biedacy poszli naprzód, policja musi im deptać po piętach...”; „Parkuję w garażu samotności...”; „Jeśli moja matka zapyta cię, co u mnie, powiedz jej, że jestem szczęśliwy...”; „Że twój ojciec jest biedny, to pech; ale że teść także, znaczy, że z ciebie kiep...”; „Gdyby świat był doskonały, jego stwórca by w nim żył...”; „Światło moich oczu...”; „Dobre życie to życie innych...”; „Ganiając w tę i nazad, tylko Pelé zarobił kasę...”.

„Dziś jest pierwszy dzień mojego życia!” - obwieszczała tablica, przy której wreszcie stanęła ich ciężarówka. I w Moemie odżyła pewność siebie. Zewsząd płynęły znaki, znaki adresowane do niej, że oto nastąpi odrodzenie.

Tysiące ludzi - wiernych z terreirów, rozmiłowanych w folklorze mieszkańców miast, turystów bądź bezrobotnej młodzieży - krążyło po Plaży Przyszłości. Całe wybrzeże podzielone na niezliczone parcele otoczone prowizorycznymi ogrodzeniami, nad które wystawały wzniesione na tę okazję ołtarze, pokrywała wibrująca bez ustanku ludzka ciżba. Z drogi, na której Zé właśnie zaparkował ciężarówkę, wyglądało to, jakby gigantyczną jakąś manifestację wpędzono w szeroki korytarz oddzielający wydmy od morza. Oświetlone blaskiem słońca, które z każdą chwilą zdawało się prażyć mocniej, skłębione hałaśliwe tłumy kontrastowały z jasnozieloną barwą oceanu. W tę grzmiącą magmę bez ustanku wlewały się kolejne strumienie ludzi. Wciągnięte na maszty flagi łopotwały na wietrze niczym żagle karaweli; płócienne zadaszzenia trzepotały potężnie, grożąc, że lada chwila ulecą. Wielkie polakierowane chorągwie, przypominające reklamy kawy na rozpromienionym niebie, powiewały trzema barwami Brazylii.

Nowo przybyli przeciskali się ku miejscu, które dwa dni wcześniej wybrała Dada Cotinha. Otoczona przez kobiety dźwigające kwiaty i girlandy, przez dziewczynki z powagą kroczące w nieskalanych sukienkach - bez przerwy poprawiały na głowach białe pszenty - przez mężczyzn wreszcie obładowanych torbami i koszami, Moema-Yemanjá szła z wysoko podniesioną głową.

Niczym odbicie w oszlifowanym kryształach mającym wiele faset boska syrena wszędzie była widoczna: dziewczęta przebrane z lepszym lub gorszym skutkiem, olbrzymy wykonane z papieru maché albo skromne posążki wotywnie. Każde bóstwo gromadziło wokół siebie własnych wyznawców. I wszędzie widniał skłębiony tłumek, zewsząd dobiegała synkopowa muzyka, błogosławieństwa, śmiechy, które się zderzały, lecz nie rozbrzmiewały dysonansem. Wywodząca się z tradycji cordeli i z *congadas* armia Karola Wielkiego pyszniła się swymi bogactwami z masy papierowej. Na plaży gęsto było od jarmarcznych pióropuszy i teatralnych szabli, które obnosili przebrani za Rolanda, jak wujek Zé, za Oliwiera, za Gwidona z Burgundii, ale także za Saracenów z Fierabrasem na czele, a nawet za Galalão, czyli Ganelona ze średniowiecznej pieśni rycerskiej - tym ostatnim, jak się wydaje, wcale nie przeszkadzała rola zdrajców mających otrzymać karę, udawali za to, że atakują widzów, aby pobożni rycerze mogli się wykazać dzielnością. Te korowody prowadziły do pojedynków, do utrzymanych w stylistyce *opera dei pupi* marionetkowych ataków, w trakcie których cherlawi paladyni dusili się nawzajem dla hecy, zanim padli na ziemię. Nieco przestraszeni mimo wszystko nieliczni jasnowłosi turyści o mocno zaczerwienionej skórze uśmiechali się głupio, jedną rękę trzymając na suwaku paska, w drugiej ściskając rzemień od aparatu fotograficznego lub kamery.

Kiedy ludzie Dady Cotinhi dotarli do grupki, która oczekiwała ich przez całą noc na plaży - zaufani ludzie zobowiązani wzdłuż całego brzegu palić świeczki ku czci Yemanjy - czym prędzej zaczęli rozkładać sprzęt. Moema zasiadła na wysokim stołku, z którego górowała nad tłumem. Stopnie udekorowano kwiatami i wstążkami, potem u jej stóp złożono wielki kosz.

*Yeyé Omoejá*  
*o matko, której synowie są rybami!*  
*Yemanjá!*  
*Janáína, Yemanjá!*

Powstało nowe centrum świata, niby podobne do wszystkich zapełniających plażę, a jednak odmienne, jedyne w swoim rodzaju, nie do zastąpienia przez żadne inne.

Siedząc twarzą do morza, które w odległości trzydziestu metrów od niej toczyło fale, Moema pełnią płuc wdychała wilgoć niesioną przez wiatr. Pierś jej nabrzmiała z podniecenia, gwiazda wieńcząca diadem olśniewała. Wyklęci tej ziemi kolejno składali do kosza swoje dary. Godzinami całymi wznosili załzawione oczy ku tej, która uosabiała nadzieję i miłosierdzie.

Wzruszona, świadoma swego zadania, wysłuchiwała błagań ludzi:

- *Yemanjá Lemonô*, o najstarsze, najbogatsze, najodleglejsze z mórz! Spraw, żeby moje dzieci zawsze miały co jeść. Daję ci tę próbkę perfum, żebyś pięknie pachniała...

- *Yemanjá Iamassê*, o potężna niebieskooka, ty, która żyjesz na podwodnych skalach! Spraw, żeby mój mąż znalazł pracę i przestał spuszczać mi cięgi. Ofiarowuję ci sól i cebulę, bo nie stać mnie na kaczkę...

- *Yemanjá Yewa*, o potulna! Spraw, żeby Geralda przyjęła moje zaloty. Oto grzebień do twoich długich włosów i szminka do ust...

- *Yemanjá Ollossá*, ty, której spojrzenia nie da się wytrzymać, ty, która zawsze stoisz bokiem, by jak najszybciej odwrócić się od brzydoty świata! Spraw, żeby moja córka odzyskała wzrok. Przynoszę ci od niej jej jedyną lalkę, żebyś ją rozpoznała. Nie martw się, zrobię jej drugą...

- *Yemanjá Assabá*, ty, która żyjesz w fali przyboju na plaży odziana w szlam i czerwone wodorosty! Spraw, żebym wygrał na loterii i mógł wrócić z rodziną do Sertão. Zostawiam ci mydło i piękną bransoletkę...

- *Yemanjá Ogunté*, opiekunko chorych, która znasz leki! Wylecz mojego męża z kaszasy albo spraw, żeby umarł, bo dłużej nie możemy tak żyć. Przynoszę ci ten kupon materiału, żebyś uszyła sobie sukienkę czy co tam chcesz...

- *Yemanjá Assessu*, która żyjesz wśród spiętrzonych fal! Ofiarowuję ci tę pocztówkę z kaczką, bo wiem, że lubisz kaczkę. Spraw, żeby to się zmieniło, błagam! Wiesz, o co mi chodzi... Daję ci też moje dzisiejsze śniadanie i ten naszyjnik z muszelek...

Inni zostawiali prośby wypisane na złożonych we czworo karteluszka, wrzucali do kosza naręcza róż lub bugenwilli, wstążki, koronki i lusterka, wszystko to, co mogło się spodobać bogini siedmiu dróg i zapewnić jej przychyłność.

Od czasu do czasu wujek Zé przychodził zerknąć, jak Moema sobie radzi, przynosił jej butelkę po wodzie sodowej napełnioną kaszasa. Odchodził

usatysfakcjonowany: dziewczyna wspaniale prezentowała się na tronie, wyglądała na szczęśliwą. Ponieważ Nelson dotąd się nie zjawił, z rosnącym niepokojem wypytywał o niego wszystkich dokoła. Kiedy Zé nie patrzył, Moema ze swej płóciennej torby brała po szczypcie proszku, który wciągała nosem, udając, że go wyciera. Z posmakiem goryczki w gardle niestrudzenie oglądała ludzką ciżbę, czuła wzbierające w tłumie coś na kształt zdenerwowania, zaraźliwego zmysłowego napięcia. Dada Cotinha błogosławiła wiernych, każąc im przechodzić pod swoim ramieniem. Młody mężczyzna - wystrojony w żółtą satynową koszulę i turban maharadży przybrany niesamowitym strusim piórem - tańczył w miejscu, konwulsyjnie podrygując. Z wyciągniętymi rękami, dłońmi zwróconymi wnętrzem do góry, wywracał oczami męczennika. Z przynoszącą szczęście przepaską ze wstążki na czole, rozpuszczonymi długimi włosami grube kobiety obracały się w kółko z absolutną obojętnością. Wspaniale zbudowane plażowiczki

kręciły jędrnymi opalonymi na ciemnobrązowo biodrami w skrzącym się w słońcu skąpym bikini. Rybacy o wypłowiałych kręconych włosach upijali się metodycznie, przechodzili starcy, prowadząc swego osła albo rower, ktoś tam modlił się na stojąco z głową w rękach, jakby dopadł go niewiadomego pochodzenia ból głowy. Z nagle, niczym odpalone niewidzialne fajerwerki, wybuchło jakieś zamieszanie, święty Jerzy w czerwonej pelerynie ozdobionej gwiazdkami i pajetkami wypatrywał czegoś w oddali, osłaniając dłonią oczy. Jakaś chudzina potrząsała dużymi dwukolorowymi marakasami, dzieci taplały się w morzu, skacząc na fale. Zmysłowe ciała w wyuzdany sposób poruszały się w rytm samby, Murzyni z trudem trzymali się na nogach...

Od gęstego tłumu biła wyraźna woń dzikiego zwierza i taniej wody kolońskiej.

Moema wystraszyła się nagle, że w ciżbie dostrzeże tych, którzy ją skrzywdzili. Kiedy poprzedniego dnia wracała do faweli, nie przyszło jej to do głowy, tak skoncentrowana była na bezwzględnie potrzebnych jej prochach. Teraz z drzeniem o tym myślała. Co wtedy powinna zrobić?

Wydać ich wujkowi Zé, skazując tym samym na bardzo prawdopodobne zlinczowanie? Niczego by to nie rozwiązało, zdawała sobie sprawę w głębi ducha. Była w niej jednak ciągle żądza zemsty, i to przemożna. Wbrew woli

Moemy jakaś nieznaną instancją domagała się wymierzenia sprawiedliwości, ten paradoks wzbudzał w niej niepokój.

Upał stawał się nieznośny, Moema spływała potem pod peruką i przebraniem. Wujek Zé gdzieś zniknął, toteż przywołała mężczyznę, z którym kilka minut wcześniej rozmawiał.

- Widziałeś Zé? - spytała.

- Właśnie poszedł.

- Gdzie?

- A ja wiem?... Może na mityng z gubernatorem z drugiej strony plaży... Powiedziałem mu, że widziałem z rana Nelsona. Chciał okazją podjechać tutaj. Pan Zé powiedział, że poszuka chłopaka i zaraz wraca.

Moema doskonale wiedziała, na czym zasadza się problem, ani na moment jednak nie przyszło jej do głowy, żeby powiązać go z nieoczekiwanym zniknięciem Zé. Cieszyła się po prostu, że wkrótce zobaczy swojego anioła stróża.

Nie wiadomo skąd przypłynęła flotyła jangad, które w niewielkiej odległości sunęły wzdłuż wybrzeża. W równych odstępach czasu jedna odrywała się od grupy i po mistrzowsku ślizgając się na falach, dopływała do samej plaży. Nadeszła najważniejsza chwila uroczystości. Grający sambę muzykanci oraz *viroleiros* wzmogli wysiłki. Pośród tłumu otworzyły się korytarze, którymi ruszyły orszaki „córek bogów” niosących kosze z darami na pokład żaglowców. Dada Cotinha, która zdołała się wyrwać z potężnej ciżby, wdrapała się na pokład upatrzonej wcześniej łodzi: jak każdy przywódca duchowy na tej plaży miała obowiązek do samego końca czuwać nad koszem swojego *terreira*. Chociaż nikt nie wiedział, jakiemu sygnałowi jangady są posłuszne, wszystkie równocześnie pięknym szeregiem wypłynęły na morze, a towarzyszyły im w wodzie tłumy ludzi ogarniętych uniesieniem. Łodzie zmierzały na pełne morze, na spotkanie z Yemanją. Tam, gdzieś daleko pośród fal, złożone będą skromne dary wiernych; i jeżeli nazajutrz żaden nie zostanie znaleziony na plaży, wiadomo będzie, że władczyni mórz przyjęła wszystkie i że wszystkie prośby zostaną wysłuchane.

Moema wyciągnęła strzykawkę, którą przewidująco przygotowała sobie z rana: dawka koki, ostatnia, za to naprawdę porządna, aby uczcić zerwanie z narkotykami. Trudno by o lepszą chwilę - wszyscy stali tyłem do niej,

śledząc wzrokiem odpływające jangady. Plaża przypominała brzegi Gangesu w okresie napływu wiernych na uroczystości. Morze, ludzie - wszystko tchnęło potężną mocą świętości. Być w zgodzie ze światem, pomyślała Moema, wtłaczając sobie w żyły zawartość strzykawki. Spraw, żeby mi się udało, Yemanjo!

Żeby odnalazła smak życia, żeby się odrodziła dla samej przyjemności istnienia...

Ledwie zdążyła nazwać swoje odczucia: że naga zanurza się w górskim strumieniu, że krew zdaje się zamarzać jej w żyłach. Obrazy zaczęły migotać jak na starym filmie o wyblakłych kolorach. Ktoś ze śmiechem pił morską wodę. Fale przynosiły suknie ślubne, na brzegach pojawiały się pomarańczowe światelka. Potem film nagle się urwał i widziała tylko jakby upstrzone jaskółkami białe niebo, które coraz szybciej przecinał początek taśmy ze szpuli. W głowie miała kompletną pustkę, nie było w niej ani jednego słowa, żadnego obrazu bądź wspomnienia, tylko uczucie, że przegapiła okazję. Przez sekundę miała świadomość, że potrzebuje pomocy, chciała krzyknąć, lecz jakaś żelazna ręka z taką siłą zacisnęła się jej na ustach, aż omal kości nie popękały.

Zstępowało na nią coś potwornie precyzyjnego.

## **FAWELA PIRAMBÚ**

*Chłód metalu, jego ciężar obrzmiałego organu...*

Nelson spędził popołudnie w barra do rio Ceará - bagnistym estuarium rzeki Ceará - na brzegu zatoczki, gdzie kobiety z Pirambú przychodziły prać pościel, jeśli ktoś zechciał im ją powierzyć. Stojąc w wodzie do połowy ud, praczki mocno waliły kijankami w czerwone płachty. Przemoczone sukienki oblepiały im pośladki, które wypinały w jego stronę. Nieco dalej naga dzieciarnia grała w nogę puszką po konserwie. Nelson nie widział ani leżącej na piasku zdechłej świni wzdętej jak beka, ani kilka metrów od niej kobiet, które czerpały wodę do gotowania, ani much, ani ponurego wyglądu bagniska, gdzie śmierć rządziła na każdym kroku. To było życie takie, jakie znał, odkąd pamiętał, i żałował, że je porzuci, chociaż tak było niegodne człowieka. Rozczulenie ogarniało go też na wspomnienie Moemy. Do szaleństwa zakochał się w tej księżniczce przybyłej znikąd i bez ustanku wyobrażał sobie chwilę, gdy znowu ją zobaczy.

Kiedy o zachodzie słońca wrócił do swojej budy, wystarczyłoby jedno słowo wujka Zé albo dziewczyny, a natychmiast by zrezygnował. Czuł się potwornie osamotniony, przemawiał do mydła albo do żelaznej sztaby, licząc na jakiś znak, który raz na zawsze przechyli szalę. Z braku innego zajęcia i aby lepiej roztrząsać swój dylemat, wygrzebał z piasku worek foliowy.

Nie przejął się zniknięciem oszczędności. Ani przez moment się nie zastanawiał, kto mu to zrobił. Szukał znaku i oto go otrzymał. Ktoś za niego podjął decyzję i przypieczętował los Moreiry. Nawet przez myśl mu nie przeszło, że mógłby od nowa zacząć oszczędzać. Niewiarygodne zmęczenie, obecne w najodleglejszych zakamarkach jego jestestwa, mówiło mu, że zbyt trudno byłoby zaczynać wszystko od nowa. Tak jakby pułkownik osobiście zagarnął jego fotel na kółkach, pozbawił go - po ojcu - jedyne go powodu, który trzymał go przy życiu. Pójdzie na mityng, spełni swój synowski obowiązek i więcej o tym nie będzie mowy.

Raz jeszcze wyjąć magazynek i sprawdzić mechanizm, wyczyścić pociski, a potem znowu i jeszcze raz... Ta noc będzie czuwaniem pod bronią w całości poświęconym różnym rodzajom śmierci gubernatora.

Następnego ranka Nelson wyruszył w kierunku wybrzeża. Począł na poboczu szosy i zabrał się ciężarówką, którą pokonał jedną trzecią odległości do Plaży Przyszłości. Tam właśnie spotkał Laurę, który wspiął się na wydmy, gdzie czekał na Dadę Cotinhę. Na szczęście nikogo więcej jeszcze nie było. Nelsona oblewał pot na samą myśl, że mógłby spotkać wujka Zé albo Moemę. Bał się, że spojrzenie starego odwiedzie go od postanowienia, bał się, że we wzroku Moemy wyczyta wyznanie, którego się lękał. Wymijająco odpowiedział na pytania Laurę, po czym złapał znowu okazję na dalszy ciąg trasy.

Znalazłszy się na wysokości tablic zapowiadających mityng gubernatora, był jeszcze kilometr od trybuny. Kierując się do niej, nie spuszczał z niej oczu, aby jak najmniej nadkładać drogi. Potem jednak

dotarł do tłumu i las nóg przesłonił mu widok. Mozolnie torował sobie drogę, bez ustanku wołając, aby go przepuszczono, obawiał się bowiem, że go zadepczą. Za każdym razem usuwała się jedna, dwie osoby, po czym znowu musiał prosić o przejście. Najtrudniejsze było pilnowanie, żeby przepychając się między ludźmi, nie dotykał ich łydek: takie dotknięcie sprawiało, że człowiek instynktownie odsuwał nogę, co owocowało kopniakiem. Nelson kierował się dźwiękiem potężnych głośników, z których na razie dobywały się dźwięki samby, póki politycy nie dorwą się do mikrofonów. Koszulkę „à la Platini” zostawił wypuszczoną na wierzch, aby nikt nie spostrzegł, że ma pod nią ukrytą broń. Wciśnięty za pasek szortów pistolet przy każdym ruchu wgniatał mu się w ciało. Chłód metalu, jego ciężar obrzmiałego organu zmniejszały w nim ból samego istnienia.

Ludzie wokół zaczęli tańczyć, co groziło, że go zadepczą. Ponieważ nigdy dotąd sam nie znalazł się w takim tłumie, teraz wpadł w panikę. Muzyka zdawała się dochodzić ze wszystkich stron, stale trącały go nogi, piasek wlaził mu do nosa i ust. Jakaś kobieta cofnęła się, potknęła o niego i runęła nań, omal nie miażdżąc mu żeber...

- A gdzie to idziemy? - usłyszał pewny siebie obcy głos.

Podniósłszy głowę, Nelson ujrzał wysokiego muskularnego Murzyna o bicepsach wielkich jak jego głowa.

- Na mityng - wydyszał. - Chcę iść na mityng.

- No to wskakuj. Zanioś cię na ten mityng.

Murzyn wziął Nelsona na ręce tak łatwo, jakby wyjmował koszulkę z wirówki.

- Po co tam leżysz? Jeszcześ nie zrozumiał, że ci wszyscy politycy to kłamcy? Chyba nie będziesz głosował na tych gnojów?

- Nie. Chcę tylko T-shirt - wyjaśnił Nelson. - Mówili też, że będą rozdawać żarcie.

- Załatwię ci to - obiecał Murzyn, ze smutkiem kręcąc głową. - Będziesz miał ten swój T-shirt, jakem Walmir da Silva!

Rozpychając się łokciami, Walmir szybko dotarł pod samą trybunę, duże podwyższenie, nad którym rozbito wypożyczony namiot - taki, jakich używa się, gdy bogacze biorą ślub gdzieś na wsi. Rozstawione wokół parkietu wzmocniacze aż wibrowały od łomotu muzyki. Był tam też mikrofon na statywie, kwiaty i dumnie łopoczące flagi z nazwiskiem gubernatora. Pod namiotem ekipa sztabu wyborczego krzątała się około sterty kartonów. Wszyscy byli odziani na biało i nosili T-shirty z nazwiskiem Edsona Barbosy Juniora. Na froncie podwyższenia czterej porządkowi, osiłki jeden w drugiego, pilnowali najbliższej okolicy trybuny i prowadzących na nią drewnianych schodów. Widać było, że są niespokojni, że nie spodziewali

się tylu nędzarzy domagających się rozdania tego, co im obiecano.

Rosły Walmir przepchnął się do samych schodków, lekko wbiegł po kilku stopniach i znalazł się na podwyższeniu. Postawił Nelsona, po czym odwrócił się do ochroniarzy, którzy natychmiast ruszyli w jego kierunku.

- Tu nie wolno wchodzić! No już, zjeżdżaj. Jak przyjdzie pora, dowiedzie się wszyscy.

- Chłopak chce koszulkę i swoją część żarcia - rzekł Murzyn spokojnie. - Jak zostanie na dole, rozdepczą go.

Walmir górował nad wszystkimi o dobre dwadzieścia centymetrów. Rękę niedbale trzymał na rękojeści długiego noża wsuniętego za pas.

- Skocz po szefa - polecił koledze jeden z porządkowych, przeczuwając, że może dojść do awantury, z której niekoniecznie ochrona wyjdzie zwycięsko. - A ty, *compadre*, bądź grzeczny... Zejdz z trybuny albo to się źle skończy.

- Daj spokój, Walmir - wtrącił Nelson - chcę tylko popatrzeć... Poczekam na dole, nie ma sprawy.

- No już, rób, co ci kazał - włączył się drugi porządkowy, podchodząc bliżej z miną niewróżącą nic

dobrego.

Murzyn w odpowiedzi przeraźliwie wrzasnął, wydał z siebie istny ryk, który osadził w miejscu porządkowych.

- Spokojnie, kochani, spokojnie! O co chodzi? - zagadnął jakiś mikrus nadchodzący drobnym kocim kroczeniem, łysielec w garniturze, spocony, ze skrzywioną twarzą kucharza w porze, gdy wygasza się piec.

Gdy Walmir znowu tłumaczył, o co im chodzi, szef w mgnieniu oka ocenił sytuację: dostrzegł nóż Walmira, niepokój swoich ludzi i pojął, że kaleka może wzbogacić wizerunek gubernatora.

- Zaraz to załatwimy - obiecał miłym tonem i z uśmiechem, który po latach praktyki można uczynić niemal przekonywującym. - Tonho, przyniesz dwa T-shirty... Jak się nazywasz, chłopcze?

- Nelson.

- Posłuchaj, Nelson: koszyków z jedzeniem nie mogę teraz ruszyć. Gdybyś ty dostał, a inni nie, zrobiłaby się ruchawka, rozumiesz, nie? Ale daję ci słowo, że dostaniesz koszyk. Odłożę jeden na bok o-so-biś-cie... Nie, jeszcze lepiej - poprawił się i twarz mu się rozpromieniła - sam pan gubernator ci go wręczy. Rozumiesz? Sam pan gubernator!

Wrócił Tonho z dwiema koszulkami.

- Proszę, T-shirt dla ciebie. Nałóż go i znajdź sobie miejsce gdzieś tu blisko wzmocniaczy. Jeżeli obiecasz, że będziesz grzeczny, nikt cię nie przegoni i będziesz miał miejsce w pierwszym rzędzie... A to dla ciebie - ciągnął, podając drugą koszulkę Walmirowi - plus dwie stowy na rękę, jeśli zostaniesz tu i będziesz pilnował, żeby ludzie nie włązili na podwyższenie. Zgoda?

Bez słowa Walmir położył swój T-shirt u stóp Nelsona i zmierzwił mu pieszczotliwie włosy.

- No to na razie, mały.

Organizator wiecu wzruszył ramionami, gdy Walmir zbiegł po schodkach i zniknął w tłumie.

- Dość tego, do roboty! - zawołał ze złością do swych pomocników. - A jeśli jeszcze któryś z tych zasańców wejdzie na podwyższenie, możecie się pożegnać z kasą, obiecuję!

## ROZDZIAŁ XXXII

*O tym, co się stało z Murzynem Chusem*

Nazajutrz, opowiedział nam później Ulrich Calixtus, kiedy strażnicy weszli do celi Murzyna Chusa, znaleźli go powieszzonego na kratkach w oknie... Ze skaleczenia, które zrobił sobie na przedramieniu kłamrą pasa, nieszczęśnik wycisnął dość krwi, aby na ścianach nagryzmolić w tajemniczym języku ostatnie swoje słowa.

Usłyszawszy to, Kircher wpadł w gniew.

- Z winy waszego niewiarygodnego niedbalstwa, mości panie, nie tylko umarł człowiek, ale też język... JEZYK, mój panie! Oby ku waszemu & całej ludzkości zbawieniu niebiosa sprawiły, że gdzieś na świecie znajdzie się jeszcze ktoś z tego pierwotnego plemienia! W przeciwnym razie na zawsze możemy się pożegnać z nadzieją nawiązania do źródeł, w czym przyjdzie nam się dopatrywać znaku niechybnego nas wszystkich potępienia...

Calixtus nawet nie próbował się usprawiedliwiać, z załosną tylko miną podał Kircherowi kartkę z przepisanymi kilkoma słowami, które na ścianie zostawił Chus.

- *Tyerno aliu de fugumba. Gorko mo waru don...*<sup>1</sup> - z zainteresowaniem przeczytał Atanazy. - Ciekawe, bardzo ciekawe...

<sup>1</sup>Tyerno aliu de fugumba. Człowiek, któregoście zabili.

Długo w skupieniu wpatrywał się w te słowa, podczas gdy profesor błagał mnie wzrokiem, abym się za nim wstawił. Chętnie bym to uczynił, niezmiernie bowiem przykro mi było, że niedbalstwo w takim go położeniu, okazało się to jednak niepotrzebne, gdyż rychło oblicze Kirchera rozjaśnił pocieszający uśmiech.

- No, mój drogi, głowa do góry... Te słowa dowodzą jasno, że nie ma tu żadnej waszej winy & że jedynie Boża wola ponosi odpowiedzialność za to, com w pierwszej chwili uznał za przygniatające ogromem nieszczęście. Czas jeszcze nie nadszedł. Tak postanowił ten, który miłosiernie sprawuje rządy nad naszymi losami. Słowa, które nasz Pan w swej nieskończonej dobroci raczył nam przekazać... te słowa, musicie wiedzieć, mówią o nadziei & zachęcają do cierpliwości. A zatem uzbrojmy się w cierpliwość. I nie lękajcie się: nieodległy jest dzień pojednania. Co jest zróżnicowane & rozproszone, już wkrótce odzyska pierwotną jedność. Pan Bóg tak zdecydował. Podobnie jak ten Murzyn, Chus, jesteśmy w rękach Pana tylko bezwolnym narzędziem Jego najwyższej woli.

Pocieszające owe słowa zamknęły zdumiewający epizod w naszym życiu, aczkolwiek mistrz mój, ma się rozumieć, nie odstąpił od swego zamiaru, tego mianowicie, aby w pełni odtworzyć „język Adamowy”, którego istnienie wszak tylko przeczuwał.

Rok 1676 był rokiem ogłoszenia drukiem księgi „Sphynx Mystagoga”, ostatniej pracy Kirchera poświęconej Egypci & hieroglifom. Po raz pierwszy przedstawił w niej wierny obraz piramid & podziemnych cmentarzysk, które występują w rejonie Memfis.

Atanazemu mocno pogorszył się słuch, cierpiał na bezsenność & coraz częstsze bóle głowy - gniewało go czasem, że ubywa mu sił. Ręka zaczęła mu drżeć tak mocno, że z najwyższym trudem mógł pisać, kreśląc nieforemne lub niedokończone litery, a nierówne linie, skreślenia, nawet kleksy z atramentu znaczyły teraz jego tak schludne niegdyś rękopisy. Mimo wszystko z anielską zgoła cierpliwością znosił te przypadłości, dziękując Panu Bogu, że pozwala mu dokończyć, co sobie zamierzył.

Gdy nadeszło lato, jak co roku udaliśmy się do Mentorelli. Kircher w tym wyjeździe pokładał wielkie nadzieje, licząc, że jego zdrowie na tym zyska, lecz przyszły tak potężne upały, że dolegliwości jeszcze się nasiliły. Nękany migrenami, cierpiący z powodu ataku podagry nieustępującego przez kilka miesięcy, mistrz mój nie mógł odbywać przechadzek po wiejskiej okolicy, które tak bardzo go wzmacniały zarówno na ciele, jak & na umyśle. Z czołem płonącym gorączką, nogami potwornie spuchniętymi, nocami całymi modlił się tylko, póki zmęczenie & opium, które zażywał w coraz większych dawkach, nie pozwoliły na kilka godzin odpoczynku. Ilekroć zaś dolegliwości nieco ustępowały, poświęcał czas pielgrzymom & gościom, przyjmując wszystkich z uśmiechem & życzliwością, które z dnia na dzień zdawały się wzrastać jakby na przekór również rosnącym cierpieniom fizycznym.

Jesienią roku 1677, ledwieśmy wrócili do Rzymu, mistrz mój podzielił się ze mną wynalazkiem obmyśloną podczas bezsennych nocy. Postanowił otóż walczyć z osłabieniem fizycznym & w tym celu opracował niezwykle fotel mogący poruszać kończynami bez pomocy mięśni. Osadzona na sprężynach śrubowych mających pionowo wstrząsać zeszywniałymi nerwami, machina owa, czyli „kiwacz”, była wprowadzana w ruch przez mechanizm zegarowy, który poruszał rękami & nogami na przemian w rytmie szybkiego marszu. Niezwłocznie przystąpiłem do dzieła & kilka tygodni później urządzenie było gotowe, tak że odtąd Kircher mógł zażywać ruchu, nie opuszczając swej izby. I doprawdy nadzwyczaj osobliwy był to widok, kiedy tak na siedząco machał rękami & fikał nogami, podczas gdy jeden z nowicjuszy czytał mu świętego Augustyna... Niemniej przyznać należy, że owa gimnastyka dobrze zrobiła mu nie tylko na głowę, albowiem w okolicy Bożego Narodzenia na powrót zaczął chodzić normalnie.

Kircher wszakże zbyt miał umysł wyrafinowany, aby zapominać, że zdrowie ciała, choć oczywiście ważne, jest niczym w porównaniu z dyspozycją ducha. Wierny zatem świętemu Ignacemu & regułom

naszej kongregacji całym sercem oddawał się - jak sądził, po raz ostatni - praktykowaniu „Ćwiczeń duchownych”. Dokonując pełnego rozrachunku, aby jak najlepiej przygotować swą duszę do stawienia się przed Bogiem, uznał za konieczne wejrzeć w każdy szczegół swego życia, w sumieniu przepatrując godziną po godzinie, dzień po dniu wszystkie swoje myśli, słowa & uczynki. Aby święte owo przedsięwzięcie wspomóc, zaczął - mimo że z wielkim trudem przychodziło mu teraz pisanie - osobiście przelewać na papier dzieje swego życia. Czym raz jeszcze wprawił mnie w podziw ogromny siłą swojej woli.

Pierwszego dnia roku 1678 nałożył włosienicę, zaczął regularnie pościć, potem zapuścił brodę & włosy na znak skruchy. Na próżno go przestrzegał przed niebezpieczeństwami takich wyrzeczeń nieodpowiednich dla

jego sędziwego wieku - twardo przestrzegał tej dyscypliny, stosując na przemian umartwienia & ćwiczenia na „kiwaczu”, korząc się każdej nocy w chłodzie & modlitwie, a równocześnie bez ustanku przyjmując gości & przyjaciół z takim oddaniem & serdecznością, że najtwardszym nawet lzy stawały w oczach.

W listopadzie roku 1678, gdy kolejny rok chylił się ku końcowi, mistrz mój skończył spisywanie pamiętników. Jego życzeniem było, by opublikowane zostały dopiero po jego śmierci, w dowód wszakże przyjaźni, czym niebywale mnie wzruszył, zgodził się, abym jako pierwszy je przeczytał. Ci z Czytelników, którzy mieli okazję zapoznać się z owymi wspaniałymi kartami, bez trudu wyobrażą sobie, jaki ogarnął mnie zachwyty. Widoczny jest na nich w pełni szlachetny styl Kirchera, który z powodzeniem naśladował autorów starożytnych w tym, co najbardziej u nich cenimy, mianowicie w prostocie tonu & rytmu. Wszelako bardziej niż doskonałość literacka zachwyca & o wartości tych stronici stanowi wyczuwalna szczerłość, forma prawdziwie natchnionej spowiedzi. Kircher otwiera serce przed Bogiem, mówi, co widział & co czynił, lecz mówi z prostotą, zapałem & serdecznością. Tak wielkie trwa w nim umiłowanie prawdy, że w obawie, iż mogłby ją zniekształcić, rezygnuje z wszelakich upiększeń. Kokieteria, jak wiadomo, nigdy nie zaliczała się do jego wad. Mistrz mój przygląda się swemu życiu wnikliwie, bez fałszywego wstydu ni udawania; a jeśli objawia się w nim niekiedy uzasadniona duma - duma z tego, że był narzędziem, za którego pośrednictwem Pan Bóg pozwolił odczytać hieroglify - uwagę naszą zwraca głęboka pokora przebijająca z tego tekstu. Nie znam nic piękniejszego nad te wyznania, nad wielokrotnie powtarzane umiłowanie Najświętszej Panienki, nie znam nic bardziej wzruszającego nad ów spokojny powrót do lat młodości & wieku męskiego człowieka, który stanął u wrót śmierci...

Ci, co czytali tę spowiedź, powtarzam, z pewnością zgodzą się, że niczego tu nie ukraszam; znają wzniosłą modlitwę zamieszczoną na końcu & bez wątpienia zaliczają ją do najpiękniejszych słów, jakie kiedykolwiek wypowiedziano ku czci Matki Bożej. Nie mogą natomiast wiedzieć, że owo wyznanie wiary Kircher napisał własną krwią, aby po jego śmierci zawieszono je na figurze Matki Bożej z Mentorelli w dowód miłości & wdzięczności... Padnijcie na kolana, jako & ja czynię, patrząc na te wiersze skreślone purpurą! I niechaj krew wylana przez mistrza mojego na dowód wiary będzie przykładem dla mało gorliwych, dla wszystkich, którym serce z czasem wystygło, jak stygnie lava wypływająca z wulkanu.

Z początkiem roku 1679 wreszcie ukazało się w Amsterdamie ostatnie dzieło Atanazego, „Wieża Babel”. Wierny pierwotnym zamierzeniom Kircher kontynuował w tej księdze rozległe studia rozpoczęte w „Arce Noego”. Po raz pierwszy zamieścił liczne ryciny przedstawiające cuda architektury świata starożytnego & matematycznie dowodził, że wieża Babel nigdy nie zdołałaby sięgnąć Księżyca, zaświadczać zarazem, że jej zburzenie było skutkiem raczej szaleństwa, które kierowało tym przedsięwzięciem, niżli woli Bożej.

Po długiej dyspacie prowadzonej listownie z Francuzem Jacobem Sponem na temat słowa, którym powinno się nazywać naukę o historii początków, Kircher zdecydował się posługiwać terminem



„archontologia”; Jacob Spon opowiadał się za „archeologią”, lecz mistrz mój twierdził, & słusznie, że słowo to nie odnosi się nijak do historii politycznej ani religijnej, nie ma zatem żadnych szans, aby używano go w przyszłości.

W czasie gdy wydanie „Wieży Babel” wywoływało zgodny podziw, zdrowie Atanazego raptownie się pogorszyło. Ciało miał zawsze krzepkie & na jarzmo wieku dosyć odporne, wszelako na bóle głowy, coraz częstsze, coraz trudniejsze do zniesienia, medykamenty wiedzy nie stawało.

- Jakby myśl zżerała mi mózg od środka - wyznał mi Kircher pewnego wieczoru, kiedy wezwał mnie do swego wezglowia. - Rozumiesz, Casparze? Myśl! Moja myśl! Moja dusza! Jest dzisiaj niczym uwięzione zwierzątko, które przegryza pręty krat, starając się zniszczyć to, co je niewoli & nie pozwala natychmiast odzyskać swobody. Moją myśl przestała obchodzić teraźniejszość, zapomniała także o dniach minionych, a po tych nadchodzących oczekuje tylko, że jak najszybciej uda się na spotkanie Pana...

Wystraszyło mnie, że mistrz mój tak poważnie zdaje się brać owo porównanie, próbowałem go zatem pocieszyć, sprowadzając jego cierpienie do zwyczajnych przyczyn fizycznych: dusza z natury swojej jest bezcielesna, ulotna & niewidzialna jak Duch, od którego pochodzi, nie może w związku z tym tak bezpośrednio wpływać na ciało.

- Czyż tego istotnie pewien? - rzekł na to z niejaką goryczą. - Jesteśmy stworzeniami Bożymi, co sprawia, żeśmy tylko podobni do boskiej esencji. Podobni, Casparze! W nasieniu, z któregośmy zrodzeni, jest coś z nasienia

uniwersalnego, z owej panspermii ożywiającej świat, tajemnica ta wszakże, choć niematerialna, potrzebuje odrobiny materii, aby istnieć... Uniwersalne nasienie, które chętnie nazwę *Primigenia lux*, „pierwotna światłość zapłodniona”, ma właściwości życiodajne & magnetyczne. Zależnie od rozmieszczenia & nieskończonych odmian swojej materii organizuje wszystko, nadaje formę rzeczom, ożywia, karmi, podtrzymuje życie, chroni wszystko. W kamieniu jest kamieniem, w roślinie rośliną, w zwierzęciu zwierzęciem, żywiołem w żywiołach, niebem w niebiosach, gwiazdą w gwiazdach. Jest wszystkim wedle właściwego każdej rzeczy wzoru, a na wyższym poziomie jest człowiekiem w człowieku, aniołem w aniołach, wreszcie w Bogu, że tak powiem, jest samym Bogiem.

A żem pojąć nie potrafił, jakże owa życiodajna światłość może wnikać w ciała & działać na nie, mistrz mój wyjaśnił:

- Ależ przez duszę, Casparze! - Uśmiechnął się. - W każdym razie gdy idzie o człowieka, ponieważ on jeden spośród wszystkich stworzeń ma duszę. A co się tyczy innych, to przez sól, pramaterię wszystkich stworzonych ciał. Albowiem sól właśnie jest podstawowym ciałem w naturze, jest mocą, żywotnością, siłą Ziemi, jest sumą wszystkich ziemskich cnót, podmiotem wszelkich zasad natury. Od jej wewnętrznej esencji zależy wiedza & absolutne poznanie całej natury; sól jest materią, z której wszystkie rzeczy są zbudowane & na którą się rozkładają, kiedy ulegną zniszczeniu. Jest początkiem & końcem, alfą & omegą ciał złożonych, krynicą natury & jak zaświadcza Homer, czymś niemal boskim! Ziemia, czyli centrum & macierz wszech rzeczy, miejsce, gdzie żywioły wyrzucają swoje nasienie, które Ziemia ogrzewa, spieka & trawi w swoim łonie, nie jest niczym innym jak solą zastygłą za sprawą nasienia uniwersalnego; solą w swym wnętrzu skrywającą owego ducha, który swoją mocą formuje, zagęszcza & ożywia wszystko, tak że można o nim śmiało powiedzieć, iż jest duszą Ziemi...

Nigdy Kircher nie wspiął się na takie wyżyny & chociażem mile był połączony, iż uznał, żem godny na nie wstąpić razem z nim, wyznałem szczerze, jaki mętlik zapanował w mej głowie. Dusza - czyli pierwotny przedmiot naszej rozmowy - już dawno gdzieś nam się straciła, toteż próbowałem do niej wrócić.

- Człowiecze małej wiary! - zbeształ mnie dobrotliwie Kircher. - Nie ufasz już zatem w moje zdolności? Wbrew temu, co sugerują twoje pytania, musisz wiedzieć, że nigdyśmy tak blisko nie byli tego, co cię interesuje, albowiem to co mówiłem o

gwiazdach, Ziemi czy roślinach, możesz teraz odnieść do człowieka. Powszechnie wiadomo, że niebieski siewca zostawił w naszym mózgu przy urodzeniu ziarna życia, które skupione są w gruczole szyszynkowym & zlewają się z tym, cośmy zwykli nazywać duszą. Zależnie od tego, jakie to ziarno będzie uprawiał, takie będzie wzrastać. Jeśli uprawiane będą nasiona roślinne, człowiek stanie się rośliną; jeśli nasiona zmysłowe, stanie się dzikusiem; jeśli rozumowe, stanie się żywym bóstwem; jeśli umysłowe, stanie się aniołem & tak dalej. Jeśli wszakże niezadowolony z całego stworzenia człowiek skupi się w centrum swojej jedni, aż stanie się jednym duchem z Bogiem w samotnej ciemni ojca, wtedy przewyższy wszystko. Tak że we wszechświecie nie ma nic, czego nie można by znaleźć w człowieku, synu świata, dla którego wszystko zostało uczynione...

Wydało mi się, że wreszcie zaczynam pojmować, do czego mistrz mój zmierza: skoro dusza ludzka, mimo boskiej swej natury, posiada cielesność podobną do ognia, jeśli chodzi o gwiazdy, albo do soli, jeśli chodzi o Ziemię, to tak jak & ona podlega mutacjom.

- Owszem, Casparze, mutacjom, lecz także fermentacjom, koagulacjom & innym przemianom właściwym materii, kiedy osiąga ten poziom rozrzedzenia... Pomyśl o alchemii, a zobaczysz, że to co dzieje się w naszej duszy, porównywalne jest z tajemniczymi transmutacjami, które się dokonują niekiedy w tyglu. Wielem rozmyślał w ostatnich miesiącach o naturze duszy, zbadałem wszystkie doktryny powstałe dotąd & Pan Bóg raczył mnie wesprzeć swoją światłością: Pitagoras, Demokryt, Platon, Arystoteles & inni... każdy podawał odmienną definicję tego, co nas dzisiaj zajmuje, & chociaż każdy inaczej przybliżył się do prawdy, to przecie wszyscy się mylili z powodu ograniczonego spojrzenia. Dusza bowiem nie jest ani liczbą, ani tchnieniem, ani iskrą boskiego ognia; nie jest też zbiorem rozproszonych atomów ani niematerialną trójcą uczuć, woli & rozumu; nie jest także formą ciała ani czystą myślą, lecz wszystkim tym naraz! Tak, Casparze, wszystkim bez wyjątku! I nigdy nie zdołałem dość podziękować się Panu Bogu, że pozwolił mi pojąć tę najwyższą prawdę, chociaż tak późno się to stało, u kresu życia...

- Ale jakże to możliwe, żeby coś było śmiertelne & nieśmiertelne zarazem, materialne & niematerialne? - odważyłem się wyrazić swoje wątpliwości, strach mnie zdjął bowiem wobec tak skomplikowanej teorii. - Czyż nie ma tu sprzeczności?

- Tylko na pozór - odparł mistrz mój z oczyma błyszczącymi z podniecenia. - Śmierć nie jest mniej tajemnicza niż narodziny & podlega tym samym zasadom. Dlaczego z dwóch ludzi, którzy zapadają na dżumę & są w takim samym stanie, jeden potem umiera, a drugi nie?

- Bo taka była wola Boża.

- Właśnie. Zarazem jednak przyznajesz, że ta sama przyczyna fizyczna może nie wywołać takiego samego skutku w określonych okolicznościach. A skoro dżuma nie zdołała zabrać jednego z tych dwóch ludzi, należy także przyjąć, że nie ona zabrała drugiego! Czymże jest zatem śmierć, Casparze, jeśli nie pozbawieniem duszy z woli wyłącznie Bożej? Albowiem ani dżuma, ani cholera nie zdołałyby zabić człowieka, którego Pan zdecydował zachować przy życiu, podobnie jak nic nie zdołałoby uratować tego, którego chce zabrać z naszego świata. A w tym procesie narzędziem Bożym, tym, na co & przez co Pan działa, nie jest bynajmniej choroba, lecz dusza, owa cząstka uniwersalnego nasienia, którą Pan złożył w nas. Nie jesteśmy niematerialnymi aniołami, jak wiesz, w związku z czym dusza musi mieć formę & substancję, aby w nas istnieć, podobnie jak w Ziemi bądź w metalu, o którym mówiłem wcześniej. Trzeba także, aby była ulokowana w jakimś miejscu naszego ciała realnie, na podobieństwo papugi albo wiewiórki w klatce... Arystoteles powiada, że to miejsce jest w sercu, inni proponują wątrobę albo śledzionę, lecz ja, podobnie jak pan Kartezjusz, twierdzą, że może się znajdować wyłącznie w głowie, akropoli ciała, a dokładnie w gruczole szyszynkowym ulokowanym w jej tylnej części. Wspomnij Pietra delia Valle: czyś zauważył ową osobliwość, którą nosił na palcu? To gruczoł szyszynkowy jego żony, Sitti Maani! Kazał go umieścić w oprawie złotego pierścienia, z którym przez resztę życia się nie rozstawał & zabrał go ze sobą do grobu... Takie postępowanie jest naganne o tyle, że daremne jest przywiązywanie się

do powłoki duszy pozbawionej ziarna, dowodzi wszakże słuszności poglądu na naturę & funkcje tej niewielkiej części naszego mózgu. Śmiertelna & materialna jest powłoka skrywająca naszą duszę & pozwala jej wpływać na nasze ciało; nieśmiertelna & niematerialna jest sama dusza, owa siła spermatyczna, owo technienie, które jest w nas niczym anielskie muśnięcie... Czyż nie mówi się: „oddać ostatnie technienie”? Czyż Egipcjanie & Grecy nie przedstawiali duszy pod postacią ptaka ulatującego z ust umierających? Powiadam ci, Casparze: jest w owym gruczole coś, czego po śmierci już nie ma. I chociaż nic nie możemy powiedzieć o prawdziwej naturze tego czegoś, wolno nam przynajmniej zakładać, że ma masę, choćby niewielką, a zatem możemy ją zmierzyć...

- Zmierzyć duszę! - zawołałem niebotycznie zdumiony.

- Właściwie zważyć, Casparze. Nie zapominaj, że Chrystus nie inaczej będzie czynił, kiedy przyjdzie do ważenia na szali naszych grzechów... Jeśli o mnie chodzi, jestem pewien, że duszę ludzką da się zważyć, póki przebywa w naszym ciele & jest częścią świata, w którym nic nie może się wymykać prawom fizyki ustanowionym przez Pana Boga. Nie da się zważyć, co zrozumiałe, ciężaru grzechów w przeciwieństwie do materii zamieszkującej ludzkie ciało... I to mogę zweryfikować z twoją pomocą. Niedługo umrę, Casparze, z każdym dniem jestem o tym mocniej przekonany. Dlatego kiedy przyjdzie ta chwila, musisz... po...łożyć...

Tutaj mistrz mój urwał nagle, jakby chciał zebrać myśli. Ja wszakże ażem skamieniał z przerażenia, dostrzegłszy lęk w jego oczach wpatrzonych we mnie.

- Moja głowa! - krzyknął naraz strasznym głosem, próbując dosięgnąć rękoma czoła.

Urwał gest w pół drogi, do twarzy napłynęła mu krew, po czym opadł na poduszki... Zaczął rzezić, palcami szarpał prześcieradło. Wypadłem z izby, szukając pomocy. Obudziłem ojca Ramona de Adrę, który pierwszy przybiegł do Atanazego. Zmierzywszy mu puls, stwierdził, że to atak apopleksji, po czym ze łzami w oczach dał mi do zrozumienia, że należałoby jak najrychlej udzielić mu ostatnich sakramentów.

*Z notatnika Eleazarda*

PRZEBUDZENIE Z MYŚLAMI niegodnymi psa czy słonia...

ŻE OGIEŃ MOŻE SIĘ NADAL PALIĆ, kiedy na niego nie patrzymy, wydało mi się naraz czymś dosłownie cudownym.

INNA DROGA? Możliwy inny świat?

CIAĞ DALSZY CYTATU Z ZAPISKÓW FLAUBERTA: „Sztuka jest poszukiwaniem tego co niepotrzebne, w spekulacji jest tym, czym heroizm jest w moralności”. Nic nie rozumiałem... Kircher przypomina Bouvarda i Pécucheta z racji swoich heroicznych, rozpaczliwych prób zharmonizowania świata.

TYLE PRACY po to tylko, żeby w końcu się okazało, że nie był ani lepszy, ani gorszy od innych? Taki sam jak każdy z nas w swoim sposobie organizowania sobie życia, przeżywania go. Człowiek?

KIRCHER: „Soli obfitość jest w miejscach nieprzyjemnych, a szczególnie w ustępach. Wszystko pochodzi od soli i Słońca”. *In sole et sale sunt omnia* („Mundus subterraneus”, II, s. 351).

Rimbaud: „Ach, odurzony giez w pisuarze gospody, zakochany w ogóreczniku i roztopiony w promieniu!”.

UCZUCIE, że jestem blisko celu, że lada chwila „uniosę zasłonę”...

TAKA PLEŚŃ chwyciła się książek Heideggera, że musiałem je suszyć na słońcu, oczyścić szczotką, a na koniec za radą Euclidesa spryskać kwasem mrówkowym. Zostały jakieś podejrzane zrudzenia, jak przebarwienia na skórze u starszych osób; „rogowacenie starcze”, jak to nazywają w żargonie lekarskim.

DYZARTRIA, drzenie wargowo-językowe, objaw Argylla Robertsona, przejściowa afazja, zaburzenia umysłowe, objawy amnezji, paraliż ogólny i w jednej trzeciej przypadków udar mózgowy. Diagnoza doktora Euclidesa jest jednoznaczna: Kircher był w ostatnim stadium kiły układu nerwowego. „Zespoły objawów psychicznych i neurologicznych przywodzą mi na myśl tę chorobę opisaną przez Bayle'a. Jestem przekonany, że miałby dodatni odczyn Wassermann'a, ale... Dziedziczna albo nabyta kiła mózgowo-rdzeniowa, dałbym sobie rękę uciąć. Może pan wybrać”.

TREPONEMA: *trepo*, kręcę się, *nema*, nitka. Kircher znalazł się w spirali regresji; jest chory na początki.

U ZARANIA? Kircher jest współczesny Noemu: żyje w czasie nieokreślonym, w którym terażniejszość i przeszłość przeplatają się. Krytykowanie go w imieniu nowoczesnej nauki absolutnie nic nie daje. Jego batalie przeciwko wojnie, rozproszeniu, zapomnieniu są ważniejsze niż rozwiązania, które proponuje.

DELACROIX: „Genialnym nie czynią człowieka nowe idee, tylko obsesyjna idea, że tego, co zostało powiedziane, nie powiedziano dość mocno”.

O PIEMONTCZYKU, kawalerze de Revel, który w Hadze pełnił wówczas funkcję wysłannika Sardynii: „Twierdzi, że Bóg, to znaczy stwórca nas i tego, co nas otacza, umarł, zanim dokończył swoje dzieło, że w odniesieniu do świata miał najpiękniejsze plany i największe możliwości; że część tych możliwości zaczął wykorzystywać, tak jak stawia się rusztowania na budowie, i w połowie pracy umarł; że w tej chwili wszystko, jak się okazuje, istnieje w niewiadomym celu, a szczególnie my, ludzie, czujemy, że naszym przeznaczeniem jest coś, o czym nie mamy pojęcia; jesteśmy jak pozbawione cyferblatu zegarki, w których obdarzone inteligencją kółka obracają się, póki się nie zużyją, nie wiedząc, dlaczego to robią, i powtarzając sobie ustawicznie: Skoro się obracam, znaczy, że mam cel. Ta myśl wydaje mi się najwznieśliwszym i najgłębszym nonsensem, jaki kiedykolwiek usłyszałem, znacznie ciekawszym niż nonsensy chrześcijańskie, muzułmańskie czy filozoficzne z pierwszego, ósmego i osiemnastego wieku naszej ery”. (Benjamin Constant, list z 4 czerwca 1780 roku, „Revue des deux Mondes”, 15 kwietnia 1844).

NIE CHODZI ani o negowanie, ani o potwierdzanie boskości, tylko o zwątpienie w nią. Nie tykać nierozstrzygalnego, nie przejmować się tym, tak jak nikogo nie obchodzi dokładna liczba roztoczy, które się żywią naszym złuszczonego naskórkiem.

KAŻDA NOWOCZESNOŚĆ, kiedy dopadną ją cierpienia metamorfozy i zaczyna stawiać pytania na własny temat, potrzebuje znaleźć sobie starszego brata w minionych wiekach, identyfikować się z nim. Ten złoty wiek niespodzianie staje się prekursorem naszego, a nawet jego fundatorem, zależnie od retorycznej sprawności tego, kto podejmuje się przeprowadzić tego typu dowód. Jakby bezwzględnie potrzebne było poszukiwanie przyczyn choroby albo dobrego samopoczucia, żeby można chorobę leczyć, a dobre samopoczucie zrozumieć. Taki powrót do źródeł jest symptomatyczny dla naszych społeczeństw, symptomatyczny dla Kirchera. Tyle że niczego nie wyjaśnia. Dowiedzieć się, gdzie wszystko zaczęło przybierać zły obrót: tylko to fascynuje tych, którym się nie wiedzie.

KIRCHER BĘDZIE moim złotym runem, moim poszukiwaniem źródła.

„TO COŚ, CO MOGĘ UDOWODNIĆ - przyznaje Alvaro de Rujula - ale nie mogę wytłumaczyć. To jedna z tych rzeczy mających głębię, których nie można naprawdę zbadać do samego dna”. Stało się niemożliwe, również dla fizyków, wyobrazenie sobie świata inaczej niż za pomocą liczb, to znaczy za pomocą sztuczki, która dopuszcza, cokolwiek się zechce, z wyjątkiem zobaczenia, ogarnięcia rzeczywistości zmysłami albo rozumem. Do czasu ogłoszenia teorii względności każdy mógł sobie wyobrażać rzeczywistość, pojmować ją mniej lub bardziej klarownie. Wizja świata Éliségo Reclusa bądź Arystotelesa niewiele się różniła od wizji świata marynarza albo wieśniaka żyjącego w ich czasach. Nawet jeśli była „fałszywa”, miała tę przewagę, że była precyzyjna, że stwarzała obraz w ludzkiej głowie. Nasza znajomość wszechświata jest z pewnością znacznie bliższa „prawdy”, ale musimy się zadowolić wiarą w to, co twierdzi kilku wybrańców, którzy panują nad równaniami budującymi tę pewność. Po głowach pęta nam się tylko garść infantylnych historyjek o Wielkim Wybuchu, o kosmonautach odmłodzonych lub postarzałych w czasie pobytu w przestrzeni kosmicznej, o oszalałych windach, o wędkach, które się kurczą, kiedy je skierować ku północy, o uderzeniach pięścią, które nie sięgają celu, o gwiazdach, z których nawet światło nie może się wydostać - i o których nie wiemy dosłownie nic prócz tego, że może w nich być wszystko, nawet dzieła zebrane Prousta... Całe nasze pojmowanie świata sprowadza się do serwowanych nam bajeczek, które naukowcy od czasu do czasu ogłaszają, aby nam jak dzieciom wytłumaczyć, że wyniki ich pracy przerastają nasze zdolności pojmowania. Kircher, Kartezjusz czy Pascal byli jeszcze w stanie ogarnąć wiedzę swoich czasów, zniekształcać osobiście jedne hipotezy naukowe, formułować inne. A kto może się pochwalić, że wystarczająco ogarnął stan współczesnej wiedzy, żeby wyobrazić sobie wszechświat, który nauka opisuje? Co powiedzieć o ludzkości niezdolnej zbudować sobie wizję świata? Chyba tylko to, że pędzi ku własnej zgubie z powodu braku punktów odniesienia, wsparcia. Brak rzeczywistości... Czy to, jak dzisiaj świat opiera się naszym próbom wyobrażenia go sobie, z jaką złośliwością nam się wymyka, nie jest objawem tego, żeśmy go już stracili? Stracić świat z widoku - czy nie oznacza to początku radości z jego zniknięcia?

ŚWIAT MAMY dokładnie taki, na jaki zasługujemy, a przynajmniej taki, na jaki zasługuje nasza kosmologia. Czegóż możemy się spodziewać po wszechświecie, w którym gęsto od czarnych dziur, antimaterii i katastrof?

SŁUŻYĆ JAKO telewizor, kalkulator, kalendarz, księga rachunkowa, katalog handlowy, budzik, telefon albo symulator samochodowy - to najgorsze, co mogło się komputerowi przytrafić. A przecież Ernst Jünger przestrzegał: „Znaczenie robotów - pisał w roku 1945 - będzie rosło, w miarę jak będą się mnożyli pedanci, a więc niewyobrażalnie”.

PODNOSZĄC PTASZNIKA, żeby go oczyścić, uwolniłem jego kłopotliwą progéniture. Miliony maciupęńkich pajęczków rozpierzchnęły się po domu, zanim zdałem sobie sprawę, na jakie domowe piekło naraża mnie ich ucieczka. Soledade już się pakuje...

## W DRODZE DO FORTALEZY

*Lifejacket is under your seat...*

- Śpi pan, gubernatorze? - zapytał Santos, przechylając się nad oparciem fotela, które miał przed sobą. - Mogę coś powiedzieć?

Moreira zmęczonym wzrokiem popatrzył na swego asystenta. Twarz miał strapioną, gotów był jednak

porozmawiać, byle nie za długo.

- Program pobytu... Może pan zerknąć?
- Oczywiście... Niech pan usiądzie tu, koło mnie.

Santos przesiadł się, rozłożył stolik i swoje notatki na nim.

- Łądowanie w Fortalezie o dziesiątej trzydziści - zaczął, poprawiając na nosie okrągłe okulary - i przejazd do hotelu Colonial. O trzynastej lunch

w ratuszu z burmistrzem, tu jest streszczenie fiszek, o które pan prosił. O szesnastej wręczenie dyplomu doktora honoris causa Jorgemu Amado w obecności Edsona Barbosy, potem przyjęcie w rektoracie. Przygotowałem panu krótki spicz, ale decyzja należy do pana...

- O czym ten spicz?

- Literatura i realizm ludowy. Proste, ale dość wymowne. W stylu: intelektualiści i politycy powinni iść ręką w rękę, żeby wydobyć kraj z nędzy i tym podobne.

- Mam do pana zaufanie, Santos. Świetnie panu wychodzą tego typu przemówienia... Telewizja będzie?

- Tylko regionalna.

- To nic, wystąpię. Nigdy nie wiadomo, czy w krajowych wiadomościach tego nie puszcza.

- Zapisuję... Teraz dalej... Pojutrze o siódmej robocze śniadanie z ministrem, po nim zebranie z delegatami PDS i paroma lokalnymi pracodawcami. Temat: inwestycje i Nordeste. Przemawia pan o dziesiątej. Telewizja, dziennikarze, duża sprawa...

Gubernator pokiwał głową, wydymając wargi z miną człowieka doskonale świadomego odpowiedzialności.

- Dalej lunch w pałacu gubernatorskim z ministrem i sekretarzem stanu w Ministerstwie Edukacji. Stamtąd razem panowie jadą na otwarcie regat jangadowych i już nie rozstajecie się do samego mityngu. Ma się odbyć na powietrzu, tak przynajmniej mi mówił szef protokołu. Ponieważ będzie telewizja, zaplanowali to z wszelkimi szykanami: przejście wśród tłumu, rozdawanie prezentów... pełna gama... Ochrona będzie odpowiednia do okoliczności.

- Moje przemówienie gotowe?

- Jodinha je dopieszcza, dostanie je pan wieczorem. Po mityngu kolacja z tańcami w jachtklubie z całą śmietanką Fortalezy i powrót do São Luís następnego ranka o ósmej pięć...

- Lot potwierdzony? O jedenastej mam bardzo ważne spotkanie.

- Wszystko gra, panie gubernatorze. Osobiście dzwoniłem do VASP-u...

- Ech! - westchnął Moreira. - Na brak zajęć nie mogę narzekać.

- Raczej nie - zgodził się Santos z uśmiechem. - Nie chciałbym być na pana miejscu.

Moreira zgodnie z oczekiwaniami rozmówcy wznosił oczy do nieba. Od czasu do czasu pozwalał się nad sobą poużalać, aby zacieśnić więzy z podwładnymi.

- Wybacz pan, Santos, że zawrócę głowę - podjął - wolałbym jednak wyjechać wieczorem po mityngu. Godzina obojętna. Nie chcę ryzykować, że spóźnię się do São Luís... Będzie pan tak dobry i załatwi co trzeba?

- Oczywiście - zapewnił Santos uspokajającym tonem - proszę sobie tym nie zaprzętać głowy...

Podeszła do nich stewardesa, którą posłano do Moreiry, zanim zaczęto obsługiwać resztę pasażerów. Bez wątpienia była najśliczniejszą dziewczyną z całej załogi.

- Podać coś do picia, panie gubernatorze? - spytała z uśmiechem dziewczyny z okładki. - Kawa, sok owocowy, drink?

- Szklanekę wody poproszę - odpowiedział, biorąc gorący mokry ręczniczek, który podawała mu szczypcami.

- A dla pana?

- To samo... - mruknął zawiedziony Santos.

Lecieć pierwszą klasą i pić wodę! Tylko bogacze mogą sobie pozwolić na taki kaprys.

Moreira odchylił oparcie swojego fotela i otarł czoło ręcznikiem.

- Spróbuję się zdrzemnąć.

- No to tymczasem - rzekł Santos, podnosząc się, aby wrócić na swoje miejsce. - Obudzę pana pięć minut przed lądowaniem.

- Dziękuję, Santos...

Czerwona tabliczka zamocowana na wysokości jego oczu spowodowała znowu przyływ wyrzutów sumienia: *Lifejacket is under your seat...* To co zamierzał zrobić w poniedziałek, łamało mu serce, była to jednak dla niego kwestia przetrwania, krok ostateczny, który zapobiegnie pewnej klęsce. Oto bowiem gdy kończył naprawiać szkody wyrządzone przez zabójstwo Carneirów, powstała nowa wyrwa, która mogła go pochłoniąć. Amerykanie mianowicie zaczęli się niepokoić: naciski brazylijskich ekologów - sterowanych przez tych palantów z Partii Pracujących, co było ewidentne -

morderstwa, zamieszki w terenie, pogłoski o spekulacji ziemią... Taki kontekst przestawał sprzyjać ich planom. Powoływano komisję śledczą mającą wydać raport niekorzystny dla Waszyngtonu. „Paskudnie się robi - wyjawiał mu jego człowiek z Ministerstwa Obrony. - Wiesz, niewiele brakuje, żeby się zdecydowali na inną lokalizację. Chile się włącza do współzawodnictwa i wszystko może się błyskawicznie potoczyć. We własnym interesie miej się na baczności: to mogła być dojna krowa, prezydent nie przestaje się pieniść...” To było najgorsze, co mogło go spotkać, ewentualność, której nigdy nie brał pod uwagę, nawet w najgorszych koszmarach. Ruina, kompletna osobista ruina... Nawet wygrana w wyborach na kolejną kadencję niczego by nie zmieniła. Bez zwyczajki wartości ziemi, na co przecież liczył, waliła się cała misterna konstrukcja. Banki zagraniczne rzucą się na niego jak piranie, żeby odzyskać, co włożyły. A jego dobra osobiste w żadnym razie nie wystarczą na pokrycie zobowiązań...

- Wszystko zajmą - rzekł Wagner, spuszczać wzrok. - Fazendę, meble, samochody... Oczywiście chyba że będzie pan nadal zarządzał majątkiem żony... Ale do tego trzeba by... no... Nie, to nie wchodzi w grę...

- Czego by trzeba, Wagner?... Niechże pan przestanie owijać w bawełnę.

Otóż, podszeptał mu prawnik, trzeba by uznać Carlottę za niepoczytalną. Opinia lekarska z diagnozą, zamknięcie - nie u czubków, naturalnie, o tym nie ma mowy, tylko w jakiejś klinice albo domu opieki - anulowanie pozwu o rozwód i będzie miał nie tylko prawo, ale wręcz obowiązek zarządzać dobrami żony w oczekiwaniu, aż wyzdrowieje.

W poniedziałek o jedenastej... Musi być w domu, gdy przyjadą dwaj psychiatrzy... Nie posiadał się ze zdumienia, że Wagner tak szybko zdołał znaleźć tych dyspozycyjnych jegomościów. Ale na pewno nie będzie jej długo trzymał w szpitalu, tylko dopóki nie uporządkuje swoich spraw, powtarzał sobie, aby stłumić wstręt do siebie, który palił go żywym ogniem. Podniósł rękę, by ustawić nawiew na twarz. Krótka kuracja snem na pewno jej nie zaszkodzi, będzie miała czas na przemyślenia. Może nawet wycofa się ze swej decyzji... To jedyny sposób, żeby się wykaraskać, pomyślał, odwracając głowę do iluminatora, jedyny...

Samolot przelatywał przez sznurek drobnych chmur, które raziły na błękitnym niebie jak odłamki pocisku.

## SMUTNY EPILOG

*Jak jego tytuł, niestety, wskazuje...*

Zbyt dobrze wiem, co zawdzięczam Kircherowi, a zaraz po Panu Bogu jemu zawdzięczam wszystko, by nie lękać się zadania, które przypada mi teraz w udziale, trudno zaś znaleźć by człeka bardziej przejętego, niżem jest w chwili, gdy wspomnieć mi przyjdzie okoliczności jego śmierci. Trzeba wszakże krzyż swój dźwigać niczym skarb, albowiem dzięki niemu stajemy się godni naszego Pana & postępujemy, jak nakazał.

Ani kwadrans nie upłynął od chwili ataku, który dosięgnął mistrza mojego, a juzem udzielał mu ostatnich sakramentów, zbolały & zasmucony niebotycznie. Ojciec Ramón nigdy się nie poddawał, toteż mimo swych złych przewidywań upuścił z ramienia Kirchera półtorej pinty krwi, aby na tyle, na ile się dało, oczyścić mózg z humorów. Umieściwszy mu w rękach niewielki krucyfiks z kości słoniowej, zacząłem się modlić pospołu z medykiem, a & w całym kolegium rozbrzmiewały modły naszych braci & nowicjuszy.

O świtaniu coraz rzadziej rozlegało się rżenie mistrza mojego, w końcu ucichło zupełnie, po czym Atanazy zamknął oczy, palce mu zwiotczały & ujrzałem, że wypuszcza z nich krucyfiks, który dotąd ścisnął. Wybuchnąłem płaczem przekonany, że oto asystował przy jego ostatnim tchnieniu; & szkoda, że Pan Bóg nie pozwolił, aby tak było... Wszelako ojciec Ramón, natychmiast pochyliwszy się nad nim, rychło wydobyl mnie z rozpaczy, w której juzem się pogrążył: Kircher zasnął! Jego puls, chociaż słaby & nierówny, co jest normalne u starców, przestał być konwulsyjny - wbrew wszelkim oczekiwaniom pozwalało to żywić nadzieję na ozdrowienie.

Pan Bóg zesłał na swego najwierniejszego sługę najgorsze doświadczenie - Kircher co prawda nie umarł, ale też nie wrócił do życia. Πουδελπικς; - słusznie powiadają. – δη ιση. <sup>1</sup> Po przebudzeniu, kiedy otworzył oczy & popatrzył na mnie, z przerażeniem zdałem sobie sprawę, że nie może się ruszać ani nawet mówić. Sparaliżowany! Mistrz mój był sparaliżowany...

<sup>1</sup> Gdzież jest nadzieja? Zaprawdę módl się.

Przez całą następną niedzielę przyszło mi zmagać się z tym, co najmocniej doskwierało: z bezsilnością wobec jego wzroku na przemian wystraszonego, gniewnego, błagalnego. Zdawało mi się, że widzę, jak Kircher wyteża całą swoją wolę, by wyrwać się z potwornego jarzma milczenia & bezruchu, słyszałem, jak godzinami całymi jęczy niczym niemowlę, cokolwiek wszakże robił, jakkolwiek się wysiłał, nie zdołał ani razu wymówić nic więcej prócz tych oto słów: „Do kroćset!”. A ilekroć słyszał, jak wbrew sobie wypowiada owo złorzeczenie tak niebywałe w jego ustach, łzy spływały mu po policzkach...

Jako że spostrzegłem, iż powieki poddają się jeszcze jego woli, wpadłem na myśl, aby za ich pośrednictwem porozumiewać się z mistrzem: jedno mrugnięcie oznaczało „tak”, dwa „nie” & konieczna ich liczba, by wskazać miejsce konkretnej litery w alfabecie. Choć nie było to łatwe & wymagało czasu, stwierdziłem przy tej okazji, że mistrz mój wciąż zachowuje jasność myśli, co tym tragiczniejszym czyniło jego nieszczęście. Pierwsze słowo, które mi tym sposobem przekazał, to „kiwacz”. Pojąłem, iż pragnie używać tej maszyny, toteż ułożyłem go na niej. Przez to zmuszał swe bezwładne ciało do wykonywania ruchu ku niewyobrażalnej wściekłości chirurgów, wieszczyli bowiem jak najgorsze skutki tego ćwiczenia. Ponieważ jednak ojciec Ramón, którego poparł doktor Alban Gibbs, orzekł, iż taka metoda leczenia raczej poprawy nie przyniesie, ale niczym także nie grozi, utwierdziłem się w postanowieniu, że za wszelką cenę będę spełniał życzenia Atanazego..I dobrzem uczynił, ponieważ ledwie trzy niedziele po tym, jakżeśmy przedsięwzięli ową poranną gimnastykę, mistrz mój sprawił mi największą chyba radość, jakiej udało mi się w życiu zaznać: pewnego popołudnia, kiedym czytał mu na głos, nie zważając na słowa „Do kroćset”, które od czasu do czasu rozbrzmiewały w izbie, Kircher wymówił wyraźnie moje imię! Powtórzył je zaraz kilkakrotnie, coraz donośniej, niczym marynarz, który po długim niebezpiecznym rejsie dostrzega ląd. I jakby to jedno słowo zdjęło urok wiążący mu usta, wyciągnął do mnie rękę & głosem drżącym, zacinając się & poprawiając, powiedział:



- Myślałem... myślałem o nobie... nowym sposobie zwania... zdo... bywania fortec. Wyczy... wystarczy je otoczyć mu... murem wysokości najszej... najwyższej bu... do kroć... budowli & poszyć... postraszyć oblanych... obleganych, że się peł... peł... napelni je wodą...

Niezwłocznie nakazałem mu zamilknąć, aby oszczędzał siły, w duchu podziw czując dla potęgi jego geniuszu, który nie ustawał w działaniu nawet w obliczu tak trudnego doświadczenia, jakim była jego choroba.

Było to pierwszego września roku 1679. Od tej chwili stan zdrowia Kirchera ustawicznie ulegał poprawie. W październiku po raz pierwszy wstał z łóżka, a niebawem na nowo poruszał się tak samo jak przedtem. Nie w pełni natomiast, niestety, odzyskał sprawność w mowie, została mu bowiem niejaka sztywność języka, tak że do samego już końca mówił urywanie, a niekiedy, choć znacznie rzadziej, przekręcał słowa. O pisaniu czy wykonywaniu jakiegokolwiek pracy nie było rzecz jasna mowy, tak bardzo był osłabiony. Wszelako żył, myślał, mówił! Jakżem nie miał Panu Bogu każdego dnia dziękować, że takiej dostąpiłem pociechy?

Muszę zaznaczyć wszakże, że dokonywały się w nim drobne zmiany, przeobrażenia zrazu zgoła niewidoczne, później wszakże zauważalne wyraźnie. Kircher okazywał taką samą dobroduszość jak przed atakiem apopleksji, a może & większą, w wyglądzie fizycznym zaś widoczne były jedynie ślady długotrwałego przebywania w zamknięciu. Był błydy, zęby mu się chwiały & wypadały jeden po drugim, zarost & włosy, dawno już od studiów posiwiiałe, teraz pojaśniały. Wszystko to, ma się rozumieć, właściwe jest ludziom w jego wieku, a nawet młodszym. Tymczasem niepostrzeżenie, w miarę dochodzenia do siebie, zmieniało się jego zachowanie. Dwie niedziele przed Bożym Narodzeniem, gdy kończył mi objaśniać, jak zrobić fajkę wodną jego pomysłu, mającą oczyszczać dym opiumowy & nadawać mu zapach wedle jego gustu, zaczął naraz, mówiąc o sobie, używać formy trzeciej osoby.

- Życzy sobie zatem - rzekł z powagą - abys jak najrychlej kazał wykonać to narzędzie, którego jego organizm tak bardzo potrzebuje dla podźwignięcia się ze słabości.

Oniemiałem na moment & omal nie zapytałem, kto mu nakazał przerobić ów przyrząd znany przecie od niepamiętnych czasów... Udał, że nie dostrzega mojego zdumienia, & mówił dalej, niejako mimochodem wyjaśniając, czym to jest spowodowane:

- Albowiem który został, nie jest już ten sam... „Ja” umarło w sierpniu, Casparze, a „on” będzie potrzebował wszelkich pomocnych sztuczek, by żywić nadzieję, że kiedyś stanie się taki jak tamten.

Nowa ta fanaberia, dowodząca zarazem, jak bardzo świadom jest swojego stanu, sprawiła, że ciarki przeszły mi po grzbiecie. Szczęściem mistrz mój zaraz na powrót zaczął normalnie się wyrażać, trzeciej osoby zaś używał później rzadko, ilekroć pragnął mianowicie podkreślić, jak bardzo się różni od człowieka, którym był ongi.

W tejże kategorii zmian odnotowałem także u mistrza mojego zgoła nową skłonność do rozwodzenia się nad rychłą swoją śmiercią. Oczywista słusznie się jej spodziewał, jako że wiek jego & choroba kazały istotnie liczyć się z nadejściem tego nieszczęsnego dnia, zdumiewające natomiast było to, jak o niej rozprawiał: po swojemu z uśmiechem opisywał mi drobiazgowo, z mnóstwem makabrycznych szczegółów, co się stanie z jego ciałem, gdy zaczną je zjadać robaki, z osobliwym jakby upodobaniem rozwodząc się nad tym, że będą się kłębiły w gnijących jego szczątkach.

Przy takiej właśnie okazji mistrz mój dokończył to, o czym mówił, kiedy atak tak nie w porę zamknął mu usta. Jego pomysł polegał na tym, aby ustawicznie ważyć ciało umierającego, co pozwoli sprawdzić, czy oddanie ducha zmniejsza ciężar ciała, a jeśli tak, to o ile. Jako że doświadczenie było osobliwe, by nie rzec, niestosowne, umyślił sobie, że wykonane zostanie na nim, pewien był bowiem mojej przyjaźni & pomocy.

- Będzie to mój ostatni wkład w naukę - dodał z powagą - & zobowiązuję cię, abys zanotował wszelkie wnioski & upowszechnił je po moim zgonie...

Wedle wskazówek Atanazego zacząłem tedy wraz z ojcem Frederickiem Ampringerem budować wagę odpowiednią do takiego użycia. Geniusz Kirchera wciąż nie miał sobie równych - & oto udało nam się zamontować w jego izbie system bloczków zdolnych utrzymać łóżko & sprawdzać wagę za pomocą pewnej liczby bezmianów rozmieszczonych w tym celu. Na wypadek gdyby miał zejść nocą, mistrz mój polecił mi ustawiać dokładnie wagę co wieczór, kiedy już leżał na spoczynek; gdybym zaś znalazł go rankiem martwego, dość będzie uzupełnić brakujący ciężar, aby poznać dokładną wagę duszy. Albowiem przez chwilę jedną nawet nie wątpił, że urządzenie wykaże jakąś różnicę.

Styczeń jeszcze się nie skończył, gdy wróciły bóle głowy, tyle że silniejsze niż wcześniej. Kircher nie rozstawał się z fajką, w której palił opium, jedyny lek na jego cierpienia; błędził myślami pośród marzeń wywołanych tym dymem & choć niekiedy smutkiem napawało mnie jego nieobecne spojrzenie & obojętność, z jaką odnosił się do mnie & mojego pragnienia, aby jak najlepiej mu służyć, tom przynajmniej wiedział, że nie trawi go ból.

18 lutego jeden z naszych najmłodszych nowicjuszy wrócił z przechadzki ulicami Rzymu z dosyć zabawnym drobiazgiem, nabytym raptem za liwra od handlarza z Augsburga, który sprytnie się bogacił, wykorzystując ludzkie upodobanie do osobliwości. Chodziło o pchłę, której na szyję nałożono stalowy łańcuszek. Kiedy pokazano ją Kircherowi, ów tak się pchłą zachwyił & tak bardzo zapragnął mieć taką samą, że nowicjusz z chęcią mu ją podarował. Odtąd mistrz mój nie rozstawał się z tą jakże niewielką towarzyszką. Długie godziny spędzał, obserwując ją pod mikroskopem, zafascynowany zarówno doskonałością samego owada, jak & cudowną zręcznością tego, kto zdołał zakuć go w łańcuch. Przez resztę czasu trzymał ją pod koszulą, na własnej piersi, łańcuszek mocując wtedy do dziurki od guzika. Jeśli idzie o żywienie, pozwalał jej „paść się”, jak powiadał, na najbogatszych łakach swego ciała, czyli na otwartych ranach, które zostawia włosienica każdemu, kto nosi ją jak należy.

- Chodź, skarbenko - mówił do niej czule. - Chodź się pożywić najlepszym nektarem na świecie. Masz tu zapasy, którymi mogłyby się nasycić tysiące tobie podobnych, używaj sobie do woli, albowiem każde twoje ukąszenie przybliży mnie odrobinę do raju...

Pewnego dnia, gdy tak prawił w obecności ojca Ampringera przybyłego z wizytą, ów nie zdołał się pohamować & okazał powątpiewanie co do zasadności takiego postępowania. Mistrz mój spostrzegł to na nieszczęście biednego braciszka, który człowiekiem był poczciwości wielkiej & później bardzo sobie wyrzucił, że przeszkodził Kircherowi w jego podziw godnych wysiłkach mających przywrócić mu zdrowie.

- Pozwólcie, że opowiem wam historię o mnichu Lanzu - zaczął mój mistrz dość spokojnie - którą znam od holenderskiego podróżnika godnego zaufania & szacunku. Ów Lanzu, wedle starej chińskiej tradycji, uchodził osiemset lat temu za najdoskonalszy przykład wcielenia wszelkich cnót. Wcześniej porzucił miejski rozgwar na rzecz najciemniejszych cel przełomu Nanhua. Mięsiwo & napitki nie miały dla niego żadnego smaku, sen nie miał wypoczynku. Tak okrutnie brzydził się nieskromnością, a tak ukochał skrucę, umartwienie ciała, przyodziewek sztywny & szorstki, że kazał sobie zrobić żelazny łańcuch, który nosił na barkach aż do śmierci. Ciało swoje uważał za więzienie nieśmiertelnego ducha & był zdania, że dogadzając mu, dusi to, co ma w sobie najlepsze, a co zasada się na zrozumieniu. Kiedy zatem widział robaki spadające ze swego ciała, które gniło od ran zadanych przez łańcuch, podnosił je delikatnie & czynił im wymówki: „Drogie robaczki, mówił, czemuż to uciekacie tak ode mnie, skoro możecie się jeszcze pożywiać do woli? Wracajcie na miejsce, błagam, wracajcie & jeśli wierność jest podstawą prawdziwej przyjaźni, bądźcie mi wierne aż do śmierci & pożywajcie do woli to, co od narodzin jest wam & waszym braciom przeznaczone!”

Poruszony mocno swoim wywodem Kircher dostał takiego uderzenia krwi, że czym prędzej trzeba było sprowadzić chirurga. Ów w kilku miejscach upuściwszy mu krwi, nakazał, aby nigdy więcej

mistrzowi mojemu się nie sprzeciwiać, jeśli chcemy, aby żył jak najdłużej. Bardzo sobie to zalecenie wziął do serca & później zawsze już czuwał, aby nikt z niewiedzy bądź przez pomyłkę nie spowodował pogorszenia jego stanu.

Kircher dobrze się miewał przez następne trzy niedziele & nic nie zapowiadało drugiego ataku, który miał, niestety, ostrzejszy przebieg & jego skutki dłużej trwały: rankiem 12 marca, kiedy przyszedł rozpalić u niego ogień, zastałem go siedzącego na łóżku &... mój Boże, o wybaczenie proszę, ale obiecał wszystko tu powiedzieć... kręcącego kulki z własnych ekskrementów...

- Nie wolno tracić, Casparze... - rzekł z niewinnym uśmiechem. - Wysznie, zastąpić drewno w kominku! Stała oszczędność w dobroczynnym celu...

Próbowałem, ma się rozumieć, przemówić mu do rozsądku & różnym podstępami stosowałem, wszystko na nic, szybko się bowiem spostrzegł, że Atanazy zupełnie ogłuchł.

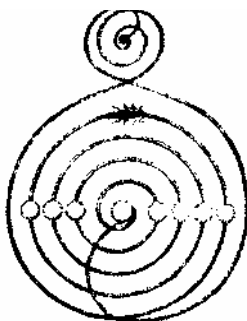
Jakżem był zgnębiony!... Ojciec Ramón, któremu zaraz wezwał, nie krył smutku wobec tak żalnego widoku. Od tego dnia poczynając, uciekał się do wszelkich sposobów sztuki medycznej, by poprawić stan mistrza mojego - niestety bezskutecznie. Konsekwentny w swoich nowych upodobaniach Kircher niebawem stanowczo odmówił wykonywania toalety, a kiedy próbowałem go zmusić do mycia albo doprowadzić jako tako do porządku, wpadał w gniew tak straszny, że w końcu zaniechał wysiłków w tej materii. Co rano, spędziwszy czas jakiś na „kiwaczu”, oddawał mocz do dużego glinianego naczynia, które kategorycznie zakazał opróżniać, tak że w końcu utworzyła się na wierzchu gruba warstwa cuchnącej piany.

- Najlepsze mydło do długich włosów, jak czynią Inkowie w Cuzco! - rzekł mi konfidenicznym tonem pewnego dnia, gdy się rozplakał, ujrawszy, że zanurza ręce w tej kloace, aby sprawdzić konsystencję zawartości...

W kilka niedziel jego ciało opanowało robactwo. Kircher wszakże & tę przypadłość wykorzystał, wymyślając sobie nowe zajęcie: wbił sobie mianowicie do głowy, że te stworzonka to nic innego jak atomy grzechu uciekające z jego ciała na podobieństwo szczurów, które opuszczają statek mający zatonać. Naśladując Indian Uros, liczył zatem starannie pchły & inne insekty złapane na sobie, po czym umieszczał je w bambusowych rurkach, którym następnie musiał pieczętować gorącym woskiem; miało to stanowić środek zapobiegawczy, aby „dokuczliwe monady” nie przeszły na innych.

Niebiosa, niechybnie ustępując wobec jego cierpień, pozwoliły na to, aby pewnego dnia, kiedyśmy słuchali mszy u Świętego Jana na Lateranie, Kircher wymknął się spod mojej opieki & wypróżnił się na krześle z wyciętym w siedzeniu otworem, które ongiś służyło do sprawdzania płci papieży!

Długo by wymieniać jeszcze jego nieprzemyślane postęпки, lecz nie chciałbym kilkoma zdaniem rzucić cienia na wizerunek człowieka, który przez całe życie wiedzą & umiarkowaniem w działaniach zaświadczał o należytej mu sławie. Nie mogę wszakże pominąć milczeniem pewnej fanaberii, którą tutaj przytoczę, a to z racji podejrzeń, jakie we mnie wzbudziła. Otóż pewnego popołudnia, kiedy zabawiłem w refektarzu dłużej niż zwykle, zastałem mistrza w takiej pozycji, że omal się nie przewrócił: był golusienki, a na ciele poprzylepiał sobie pióra wyrwane wypchanemu łabędziowi, który porozszarpywany leżał obok. Klęcząc na ziemi, Kircher wpatrywał się w spiralną figurę ułożoną ze sznurka. Abyś nie pogubił się, Czytelniku, w mętnych moich objaśnieniach, przedstawiam poniżej rysunek owego labiryntu. Na szkicu tym kółeczka wyobrażają połówki pomarańczy, które mistrz mój umieścił w pewnych miejscach...



Ustawiona na drodze, którą wytoczył sznurek, uwieczona pchła szła ostrożnie, ciągnąc za sobą łańcuszek...

Chociażem wszystko to w jednej zobaczył chwili, przyznać muszę, że większej uwagi nie zwrócił, pod takim byłem wrażeniem krotocwilnego przebrania Kirchera. Kiedym się do niego zbliżał, usłyszałem, jak szeptem mówi do insekta:

- Tak to już bowiem jest, że cały wszechświat wyszedł z jedyne go światła, po czym kiedyś znajdzie się tam z powrotem, jak pokazuje ta cudowna spirala...

Mistrz mój mówił bez błędów & przeinaczeń! Niewiele brakowało, a byłbym się rzucił ścisnąć go z radości.

- Dusza świata taka już jest, przyjacielu... - ciągnął, zwracając się teraz do siebie. - O to przywdział odświętny strój anielski, by przygotować ów powrót jak należy. Ziemia jest bowiem najbliższym źródła... I wiodę cię, duszo, krętymi ścieżkami ku jedyne mu schronieniu, jakie kiedykolwiek istniało, ku kolebce, przy której czuwają aniołowie domu. Rozlana w duszach świata mądrość porusza całą jego masę & mieszają z wielkością wszystkiego: dostrzegam już jej niewysłowioną światłość. Odwagi, duszo moja, cel już niedaleko. Radość, radość, radość!

W tejże chwili ojciec Ampringer jak burza wpadł do pokoju, a że stał na uboczu, zasłonięty drzwiami, to & nie zdążył go zatrzymać. Spozregłszy mistrza mojego, rzucił się ku niemu, przyzywając Pana Boga & wszystkich Jego świętych... Czar prysł: zobaczyłem, że Kircherowi oblicze wyraźnie pochmurnieje, zaraz też zaczął pojękiwać, gdy ojciec Ampringer dźwigał go na nogi, mnie przyzywając na pomoc. Udałem, że dopiero co przyszedł.

- Takie nieszczęście, Boże drogi, takie nieszczęście! - powtarzał Ampringer. - No, bracie, pomóż mi go umyć... Te pióra... Boże, wybaczone... Ale co też mu przyszło do głowy? Jakże okrutna jest starość!

Nasz ojczulek zdzieciniał. Trzeba teraz będzie lepiej na niego baczyć niżli dotąd...

Ojciec Ampringer ośmielił się na głos wyrazić to, o czym poszeptowano w kolegium od kilku już niedziel. Ja jednak nie chciałem przyjąć tego do wiadomości, zwłaszcza po scenie, której byłem świadkiem!

Kircher rozum miał w pełni sprawny, nawet jeżeli z niejasnych przyczyn dążył do tego, aby uważano inaczej.

Trzeba nam było kilku godzin, aby mistrz mój w miarę dobrze się prezentował, za nic w świecie jednak nie chciał się zgodzić, aby mu obciąć włosy & paznokcie, tak że chociażemy go oporzadzili, wciąż był nie do poznania. Kiedyśmy zostali wreszcie we dwóch, napisałem na kartce te oto kilka słów: „Jestem z Wami, Wielebny Ojcze, & potrafię dochować Waszego sekretu. Ale na litość boską, mówcie! Mówcie do mnie jeszcze, jakieście mówili przedtem do tego insekta...”. Przeczytawszy, Kircher zmiął kartkę w drżących dłoniach & popatrzył na mnie z przeogromnym smutkiem.

- Nie... nie wiem... Caspar... nie... wiem...

Miał zrozpaczoną minę człowieka, który szczerze, choć daremnie pragnie spełnić życzenie drugiego. A

że zaczął się bawić tą swoją pchłą, obojętny na moją obecność, ogarnęła mnie rozpacz, której długo modlitwa nie mogła zmniejszyć.

Wieczorem owego brzemiennego w wydarzenia dnia, 18 września, wypowiadałem się przed ojcem Ramónem z tego, com zaobserwował u mistrza

mojego, & podzieliłem się z nim swymi przypuszczeniami co do rzeczywistego jego stanu.

- Chciałbym się mylić - odparł łagodnie - muszę jednak rozwiać wasze nadzieje, bracie, nie są bowiem niczym uzasadnione. Tego rodzaju ustępowanie objawów, com widział u innych chorych, jest tylko pozorne. I wcale nie zapowiada możliwego wyzdrowienia, a przeciwnie, sygnalizuje pogłębianie się choroby & w rzeczywistości jest łabędzim śpiewem pacjenta. Koniec jest nieodległy, bracie. Pogódźcie się z tą myślą, dzięki temu będziecie bowiem lepiej się modlić za duszę naszego przyjaciela...

Bieg wydarzeń dowiódł, że słuszność miał ojciec Ramón. Kircher nigdy więcej nie wypowiedział słowa oprócz bezsensownych czy zniekształconych złorzeczeń, którymi do samego końca mnie zasmucał. Jeśli wszakże głos, jak utrzymuje Arystoteles, jest luksusem, bez którego można żyć, jakże żalosne były ostatnie miesiące życia mistrza mojego! Był teraz słabowitym zaniedbanym starcem ginącym w przydużym odzieniu; potwornie wychudzony, z włosiem skołtunionym, całymi dniami liczył oddziały wszy maszerujących po jego butach. Choć nadal był uprzejmy, odstręczał ludzi warstwą brudu, którą nosił na sobie niczym drugą skórę. Moje uczucia wobec niego mimo wszystko wcale się nie zmieniły, świadom bowiem byłem, że nie odpowiada teraz za swoje czyny, niewyobrażalnie wiele mnie wszakże kosztowało patrzeć, jak co dzień bardziej podupada na ciele & umyśle.

Aż nadszedł dzień, & to szybciej, niżlim się spodziewałem, kiedy mistrz mój położył się do łóżka & więcej nie wstał. 11 listopada tegoż roku 1680 słabość go taka opadła, że nogi odmówiły mu posłuszeństwa. Jako że jelita mu się zwężyły & przestały spełniać swoją funkcję, przez ponad niedzielę nic nie jadł; po tym ścisłym poście wystąpiła wysoka gorączka. Zrozumiałem, że Atanazy niedługo umrze.

W dzień świętego Seweryna, dwudziesty siódmy dzień listopada, jego stan zauważalnie się pogorszył, toteż mistrz mój przyjął ostatnie sakramenty z żarliwością doprawdy wzorową. I nie wątpię, iż czuł się szczęśliwy, że śmierć zabierze go w dniu, gdy skołał ów święty pustelnik.

Pod wieczór zaczęła się agonia & chociażśmy od kilku miesięcy przygotowani byli na nieuchronny koniec Kirchera, we trzech, ojciec Ramón, Ampringer & ja, szlochaliśmy u jego wezgłowia. Około jedenastej w nocy,

kiedym już nie miał żadnej nadziei, że jeszcze otworzy oczy, mistrz mój skierował na mnie wzrok & wypowiedział ostatnie słowa.

- Casparze... waga? - zapytał

Ujawszy jego dłoń w swoją, pokiwałem głową, aby go uspokoić: skrupulatnie wypełniałem jego polecenie, urządzenie było wyważone.

Wtedy uśmiechnął się, zamknął oczy & zgasł. Ziemia nosiła go siedemdziesiąt osiem lat, dziesięć miesięcy & dwadzieścia siedem dni... W tejże sekundzie, zgodnie z jego przewidywaniami, usłyszeliśmy dźwięk dzwonka, który sygnalizował najdrobniejszą zmianę ciężaru na wadze! Ku niebotycznemu zdumieniu osób obecnych w pokoju stwierdzono, że dusza Kirchera ważyła dokładnie pół skrupułu.

Śmierć mistrza przybiła mnie bardziej, niżlim przypuszczał. Choć w ostatnim czasie życie mu ciążyło & przysparzało tylko trudów & boleści, po jego odejściu byłem niepokieszony. Jego wiedza, pobożność, mądrość wzbudzały szacunek każdego, kto miał szczęście go znać, & za to także przede wszystkim go miłowano. Żaden człowiek bardziej nie zasłużył na podziw współczesnych. Był bowiem niczym mędrzec starożytny godzien czci & honor przynoszący nauce. Wszelako kto by mu życzył dłuższego życia w stanie, w jakim był w ostatnim czasie, uczyniłby mu krzywdę. Jego umysł nigdy się nie stepił, od pewnego czasu jedynie odmawiał posłuszeństwa z powodu osłabienia zmysłów, które stopniowo zamierały; toteż nie mogąc dłużej uczestniczyć w sprawach tego świata, musiał odejść do tamtego, aby

tam dostąpić zbawienia & wiecznego spoczynku duszy.

Wspaniały był pogrzeb Kirchera; z wielką pompą przewieziono zwłoki do kościoła Il Gesu, w kondukcje znaleźli się niezliczeni jego admiratorzy & przyjaciele. Pogrążeni w żalu towarzyszyli mu mnisi z Trinita dei Monti, dominikanie, księża & zakonnicy wszelakich reguł; biskupi, kardynałowie, książęta, nawet królowa Krystyna Szwedzka, którą odejście Atanazego szczególnym smutkiem przejęło. Najbardziej wszakże mistrza mojego uszczęśliwiłby hołd, jaki złożyły mu tłumy studentów idących w kondukcje - studentów przybyłych z kolegów niemieckich, szkockich, francuskich... Wszyscy, którzy kiedyś słuchali wykładów Kirchera, łzami zegnali magistra nazywanego „mistrzem stu sztuk”! Przeniknięta cudownym skupieniem była msza żałobna w całości odśpiewana przez wszystkich jezuitów z *Collegium Romanum*. Po niej odegrano „Lekcje ciemności” Couperina - muzyki tej piękno nadzwyczajnie pasowało do człowieka, który przez całe życie piętnował ciemność, aby w niebiesiech rozkoszować się chwałą światłości...

Dobiega końca moje zadanie wraz z odejściem tego, któremu je poświęciłem. Zgodnie z życzeniem Kirchera jego serce pochowano u stóp Matki Bożej Mentorellskiej. Jestem dziś w wieku mistrza mojego, kiedy nas opuszczał, & rozliczne dolegliwością napawają mnie nadzieją, że już niebawem do niego dołączę. Proszę Cię zatem, Czytelniku, dołącz swe modlitwy do moich, aby Pan Bóg nareszcie łaskawie powołał mnie do siebie, & pochyl się choć czasem nad słowami, których mój mistrz ukochany nie bał się wypisać własną krwią:

*O Święta Boża Rodzicielko! O Panno Niepokalana! Ja, niegodny Twój sługa, chylę oto przed Tobą czoło & w pamięci mając dobrodziejstwa, jakimiś mnie obsypywała od lat pacholących, ofiarowuję Ci siebie, o Matko Łaskawa, ofiarowuję Ci życie swoje, duszę, wszelkie czyny & całe dzieło moje. Z głębi serca zanoszę najskrytsze błagania przed Twój ołtarz ustawiony w miejscu, gdzieś cudownie natchnęła mnie myślą, aby odbudować miejsce poświęcone Tobie & świętemu Eustachemu; & niechaj potomni moi wiedzą, że chociażem wielką wiedzę dotąd posiadał, chociażem wiele dobrego napisał, zasługa to nie pracowitości & siły umysłu, Wspomożycielko Wiernych, lecz łaski Twojej osobliwej, miłosiernie na mnie spływającej za sprawą światła Mądrości Odwiecznej. I co krwią własną potwierdzam, z Twoich czynów sprawę zdając, wstrzymawszy pióro, wszystkim leguję, Jezusie, Maryjo, Józefie Święty, jako jedyne moje prawdziwe mienie.*

*Ja, ubogi & pokorny niegodny Twój sługa, Atanazy Kircher, modły zanoszę, abys prośby moje spełniła. W imię Ojca & Syna, & Ducha Świętego. Amen.*

*Ku większej chwale Bożej.*

## **MATO GROSSO**

*Jeden rodzaj jest śmiertelnie jadowity, drugi niebezpieczny, a trzeci zupełnie niegroźny...*

Elaine nie potrafiła ustalić, ile godzin upłynęło od tego, co oglądała sparaliżowana prerażeniem. Odzyskała świadomość własnego istnienia i otaczającego ją świata pośrodku polanki, stojąc nad wystygłymi popiołami ogniska. Było jasno, czuła głód, dżungla dookoła rozbrzmiewała wielorakimi głosami jak woliera w zoo. Tam gdzie przedtem było coś, teraz nie było niczego. Ziemia usłana była przedmiotami przyniesionymi tu przez Indian: matami, tykwami, pękami piór i strzał, które już bladły, pokornie zaczynały się zlewać z barwami lasu. Długie kolumny mrówek przemierzały obozowisko, rzymskie legiony najeżone sztandarami i trofeami. Na liściu przycupnęła żaba o czerwonej głowie i ze wzgardą obserwowała te rzesze stworzonek.

Elaine podeszła na skraj przepaści. Chmara sępów przysłańiała szczyty drzew w dole, widziane jednak z

góry ptaki przypominały muchy, które obsiadły padlinę i uczują, nie zapominając o żadnej drobince ściierwa. Mauro, Petersen, całe indiańskie plemię - wszyscy leżeli gdzieś tam, w dole... Nikt bowiem nie mógł przeżyć takiego upadku. Była sama na szczycie tej góry nieznanego świata. Jak Robinson na wyspie, zauważyła i zaraz mgliście przemknęło jej przez myśl, że to spostrzeżenie, niemal żartobliwe, jest chyba nie na miejscu. W głowie czuła zamęt, w ośpieniu z trudem trzymała się na nogach i zastanawiała, jakim cudem nie postradała jeszcze rozumu.

Burczenie w brzuchu powiodło ją na powrót do obozowiska. Chwiejnym krokiem chodziła, rozglądając się za jedzeniem. Jej uwagę zwrócił w pierwszej kolejności walkman Maura: był w przezroczystym plastikowym etui, do którego chłopak go wkładał, kiedy już musiał się z nim rozstać. Potem zauważyła ubrania jego i Petersena rzucone na splamioną farbami ziemię. Dlaczego zgodzili się zażyć proszek szamana? Wracają do niej pojedyncze obrazy miejscami zabarwione na czerwono. Krzyczeli, spadając, co dowodzi, że w ostatniej chwili uświadomili sobie, co czynią. I wszyscy inni, mój Boże, kobiety i dzieci... Wszystkie te pióra, które rozpaczliwie były powietrze...

Oprzytomniała znowu nieco później, z przerażeniem stwierdzając, że siedzi z puszką fasoli w rękach. Tracąc kontakt z rzeczywistością, pomyślała ze strachem. Miała luki w pamięci - w tym czasie jej ciało żyło i poruszało się, lecz ona nie była tego świadoma... Niedobrze jej się robiło na myśl o zawartości konserwy, zmusiła się jednak do przełknięcia kilku kęsów. Wodziła oczami po polanie, omiatając wzrokiem nieistotne ślady, przemykając po nich, lecz nie widząc ich. Po brodzie ściekała jej strużka śliny. Ze zwieszonymi nieruchomo rękami wpatrywała się w nieforemny kształt, jaki powoli, skręcając swe ciało, przybierał wąż - na skórze miał czerwone i czarne pierścienie z cieniutką białą obwódka. „Są trzy rodzaje węży koralowych - przypomniła sobie obojętnie. - Wszystkie trzy są bardzo do siebie podobne maścią i innymi cechami fizycznymi: jeden rodzaj jest śmiertelnie jadowity, drugi niebezpieczny, a trzeci zupełnie niegroźny. Który powstał pierwszy w toku ewolucji?” Takie pytanie otrzymała kiedyś na egzaminie z mimetyzmu zwierząt. Nie знаła wtedy odpowiedzi, lecz zapamiętała wyjaśnienie egzaminatora:

- Jest pani ptakiem żywiącym się gadami - powiedział - i zjada pani pierwszego z tych węży. Co się dzieje? Umiera pani, nie rozumiejąc, co się stało, i nie zdążywszy uprzedzić swoich pobratymców o niebezpieczeństwie. W dłuższej bądź krótszej perspektywie czasowej skutek jest taki, że wyeliminowany zostaje z natury gatunek drapieżnych ptaków żywiących się gadami. Podobnie jest z trzecim rodzajem: zjada pani węża, a ponieważ nic się nie dzieje, dedukuje pani, że węże koralowe są jedynym dostępnym dla pani jadem. Wymiera więc pani gatunek, kiedy te węże stają się jadowite. Jeśli ugryzie panią wąż drugiego rodzaju, jadowitego, ale nie śmiertelnie, cierpi pani przez jakiś czas, po czym przekazuje informację: zjedzenie węża w czarno-czerwone obręcze jest bardzo niebezpieczne, lepiej zatem unikać wszelkich węży mniej więcej do nich podobnych. Wniosek stąd, że ten właśnie wąż wyewoluował pierwszy. Bezwzględnie. Ponieważ jego wróg, drapieżne ptaki, zostawiał go w spokoju, nasz wąż koralowy mógł rozwinąć inne odmiany, skuteczniej potrafiące polować dla własnych celów, aż doprowadziło to do powstania rolls-royse'a gatunku, czyli tego, którego ukąszenie nie daje szans na przeżycie. Jeśli chodzi o trzeci rodzaj, niewątpliwie najsprytniejszy, to z tamtymi dwoma niewiele ma wspólnego, tyle że stroi się w barwy węża koralowego, żeby najmniejszym kosztem mieć święty spokój... A swoją drogą - dodał nie bez ironii - naturalna odporność na jad, którą przejawiają pewni drapieżcy żywiący się gadami, w tym kilka gatunków ptaków, jest pasjonującym problemem do dzisiaj nierozwiązanym...

Teraz Elaine się zastanawiała, która z trzech odmian węży wije się przed nią. Kiedy gad zniknął, przed oczami stanął jej obraz szamana składającego u jej stóp osobliwy pakunek tuż przed tym, zanim groza zaczęła tknąć swoją sieć. Z pustką w głowie podeszła do paczki, końcami palców rozwinęła plecionkę z traw. Mimo zielonkawych wybrzuszeń, które zniekształcały wierzch pokryty starą skórą,

poznała, że to książka. Tom in folio. Pospiesznie wydobyła go z opakowania i otworzyła na karcie tytułowej. Ten odruchowy gest przyniósł jej odpowiedź: „Athanasii Kircherii è Soc. Jesu Arca Noe, in Tres Libros Digesta”...

„Arka Noego”! Szaman oddał w jej ręce jedno z ulubionych dzieł Eleazarda... Mniej dziwił ją ten zbieg okoliczności niż to, że ujrzała oto swego męża w martwym polu chaosu, jakby przybył jej towarzyszyć, z dala dodać jej odwagi, pomóc wziąć się w garść. Ta księga potwierdzała, że Eleazard jest przy niej, a zarazem równie tajemniczo uzasadniała jego bzika na punkcie Atanazego Kirchera. Emanowała z niej jakaś podejrzana magia, przesadnie duże napięcie. Elaine kartkowała wilgotne, naznaczone rudymi plamami karty. Po „Arce Noego” włączono do niej ilustracje wzięte ze „Sztuki światła i cienia” oraz ze „Świata podziemnego”; na kilku wakujących stronach odręczne notatki tworzyły załączek słownika, raczej leksykonu, jaki zwykli spisywać misjonarze, gdy natykali się na nieznane ludy. Leksykon podawał odpowiedniki łacińskich pojęć w języku tubylców, spisany został gęsim piórem, a ponadto styl i sposób stawiania liter dowodziły, że dzieło Kirchera należało do jednego z pierwszych zachodnich eksploratorów Nowego Świata. Do tych wskazówek dołączając okoliczności, w jakich sama się zetknęła z Indianami, Elaine stwierdzała, że z dość dużym prawdopodobieństwem może zrekonstruować historię. Ktoś, niechybnie osoba duchowna, zapuszcza się pewnego dnia w dżunglę ze skromnym bagażem każdego kandydata na męczennika: z Biblią, niewielkim zapasem paciorków i lusterek oraz z bogato ilustrowanym podręcznikiem, w którym Kircher lepiej niż ktokolwiek dowodził wyższości wiary chrześcijańskiej. Jezuita misjonarz, jak uświadomił jej kiedyś Eleazard, siadali czasami po prostu gdzieś w głębi lasu i grali na flecie albo na skrzypcach, póki nie

pojawił się Indianie. Ci Orfeusze ery nowożytnej polowali na dusze, oddając się na przemian muzyce i modlitwie. Zakonnik, który wykazał się wystarczającą wytrwałością i zdołał uratować życie, zamieszkiwał z plemieniem i zaczynał poznawać jego język. Rośliny, drzewa, zwierzęta - należało cierpliwie palcem pokazywać wszelkie stworzenia w księdze Kirchera i jedno po drugim opatrywać je nazwami. Dopiero wtedy można było poruszyć kwestie nadprzyrodzone, poznać wierzenia dzikich i przedsięwziąć dzieło ich nawracania. Parę kuglarskich sztuczek, duża doza dyplomacji i oto ojczulek - nadzwyczaj rad, że poradził sobie tak tanim kosztem - czynił z szamana swego pomocnika i ucznia. Misjonarz mówił, a raczej wydawało mu się, że mówi, językiem swoich owieczek, udawało mu się chrzczyć dzieci, a nawet zaadaptować niektóre pieśni; szaman natomiast uczył się na pamięć całych tyrad po łacinie i kaleczył mowę swego nauczyciela w sposób pozwalający żywić wielkie nadzieje... Po czym niedożywienie, malaria czy jakaś wstrętna zemsta kładła kres działaniom pocziwego mnicha. Plemię wracało do swego sposobu życia. A szaman, otoczony nimbem nowej mocy, zagarniał Księgi i podążał dalej drogą, która tak świetnie służyła jego koledze po fachu. Niestrudzenie powtarzał wyuczone takim nakładem sił łacińskie zdania, tłumaczył wszystkim, że jeden prorok już do nich przybył, ale zjawi się kiedyś inny, brodaty jak na grawiurze przedstawiającej Kirchera na początku księgi, i ten prorok powie im do jakiegoś raj. Potem szaman umierał, przekazawszy synowi całą swoją wiedzę, i tak się działo przez ponad czterysta lat. Przy każdym przekazaniu oryginalnego przesłania coś ginęło, coś dopowiadano, tak że w końcu ci ludzie zaczęli czcić samego Kirchera: *Qüyririche*, jak podawało hasło w leksykonie... Ujrzawszy Dietleva, Indianie natychmiast uznali go za mesjasza z pierwotnych przekazów. Nawet skamieniałości odegrały swoją rolę w tym niewiarygodnym nieporozumieniu: kilka z nich przedstawiono w księdze, przybysze mieli je w bagażach, a na górze znajdowały się w wielkiej obfitości... To wszystko były znaki, szaman je w taki czy inny sposób połączył i utwierdził się w przekonaniu, że nieuchronnie nadszedł koniec świata...

Choć brzmiało to strasznie, tylko takie wytłumaczenie pozwalało logicznie uzasadnić tę potworność, która się stała. Nieporozumienie, koszmarnie nieporozumienie tysiąclecia. Całe plemię przypłaciło je



życiem... Elaine bolała, że nie ma się z kim podzielić tym odkryciem. Biblia gdzieś się pewnie zapodziała, lecz księga otwarta na jej kolanach - *aracanóa* szamana! - symbolizowała świętość dla wielu pokoleń ludzi, aż ich potomków powiodła do przepaści... Eleazard i Moema skakaliby pod sufit! Biedny Dietlev zresztą też; tyle że on niewątpliwie mniej by się interesował żywymi skamieniałościami niż tymi, które przyniósł starzec ze szczytu.

Elaine znowu popatrzyła na siebie z zewnątrz i stwierdziła, że wspięła się na sam szczyt ostańca. Księgi ze sobą nie miała; pewnie została gdzieś po drodze. Mimo zdziwienia i strachu, jakim napawały ją te czarne dziury, w których coraz częściej chronił się jej umysł, była szczęśliwa, że znalazła się na otwartej przestrzeni, na wolnym powietrzu. Wokół niej skalisty wierzchołek był jednym wielkim nagromadzeniem odcisniętych w kamieniu form. *Tribrachidium? Archeocyatha? Parvancorina?* Z wahaniem odnajdywała w pamięci nazwy odnoszące się do kamieni, które kaskadą wypływały z tego zdumiewającego źródła: jedyny na świecie tygiel zawierający takie wodorosty i bezkręgowce, odprysk czasu, odprysk początków czasu, gdy całą Ziemię pokrywał okrutny pozbawiony życia ocean. Na tej płyciźnie sześćset milionów lat wcześniej dokonał się cud - w morzu zrodziło się życie. Nieprzerwana nić wiązała ją z tymi ślepyimi, jakże skromnie wyposażonymi stworzeniami, łączyła z przeznaczonym im losem odcisków pierwotnego życia w skale. Znalazłszy się w oku cyklonu, w samym środku wiru, który poruszał czarnymi wodami dżungli, Elaine zrozumiała, że wreszcie będzie mogła odpocząć. Eleazard, Moema... Odnajdywała oboje tu i teraz, przebyła bowiem do nich tak długą drogę. Niczym słoneczne zwierciadło odbijające olśniewający wszechświat, przez moment widziała absolutną jedność wszystkiego, co istnieje. Miejsce, które nie miało prawa istnieć, nieruchome centrum, które otaczała delikatna skorupka życia - doświadczała go teraz całą sobą, zajmowała je aż do najmniejszego skrawka.

Wyzwolona z nadziei, uśmiechnięta, czuła się jak opuszczona arka.

*Z notatnika Eleazarda*

CIEŻAR DUSZY. Euclides jak zwykle chłodny: „Powietrze, po prostu powietrze... Proszę sobie wyobrazić, że powietrze w naszych płucach też coś waży. Pański Kircher zważył swój ostatni oddech. To chyba ciut za daleko posunięta introspekcja, nie sądzi pan?”

NOVALIS sporządził „Katalog rozumowany czynności, którymi człowiek w sposób ciągły dysponuje”: wymienia ślinienie się, oddawanie moczu, wytrysk nasienia, możliwość włożenia palca do gardła, aby sprowokować wymioty, wstrzymania oddechu, zmiany pozycji, zamykania oczu itd. Przy okazji zastanawia się, czy nie można by jakoś wykorzystywać ekskrementów. Marcel Duchamp doda jeszcze do tego nadmierny nacisk na włącznik elektryczny, wzrost włosów na głowie i ciele oraz paznokci, przyplwy strachu albo zdziwienia, śmiech, ziewanie, kichanie, tiki, twarde spojrzenia, omdlenie. I zasugeruje także zbudowanie „transformatora przeznaczonego do wykorzystania [wszystkich] tych daremnie traconych drobnych dawek energii”.

SZEŚĆ GRAMÓW duszy... Pół skrupułu!

NIE WIEM, dlaczego odnoszę wrażenie, że Atanazy Kircher należy teraz do mojej rodziny. Mógłby siedzieć tuż obok mnie, w bircie na bakier, i chłodzić sobie nogi, wachlując je połami sutanny. Ktoś bliski, miewający niekiedy przebłycki geniuszu, ale przez większość czasu w sumie pospolity. Marzyciel lubiący używać życia, brat, przyjaciel...

Piątek, godzina 10 rano: list od Malbois

*Drogi Eleazardzie,*

*wybacz, że dopiero teraz odpowiadam na Twoje pytania. Zadanie łatwe nie było, kosztowało mnie sporo pracy, a rezultat... cóż, obawiam się, że może Ci się nie spodobać...*

*Najpierw fragmentów Twoim zdaniem podejrzanych szukałem w pracach Mersenne'a, La Mothe'a Le Vayera i paru innych, których tytuły pamiętałeś. Podejrzenia były uzasadnione: znalazłem wiele podobieństw niepokojących, a nawet bardziej niż niepokojących, choć trudno rozstrzygnąć, kto z kogo popełniał plagiat; jak wiesz, w tamtych czasach była to powszechna praktyka, nikt z tego powodu nie ponosił konsekwencji. Nie będę Ci szczegółowo opisywał tych poszukiwań, bo nie będą Ci potrzebne. Zaraz zrozumiesz dłaczego: otóż kiedy przeszedłem do drugiego z Twoich pytań, dotyczącego roku urodzenia i śmierci Caspara Schotta, cała konstrukcja się zachwiała. 1608-1666! (potwierdzone w kilku różnych źródłach). Ponieważ cnotliwy Caspar zszedł czternaście lat przed swoim mistrzem, stało się oczywiste, że cała część tekstu poświęconego biografii Kirchera po roku 1666 jest apokryfem. Istniała jeszcze możliwość, że ktoś inny, kto w ostatnich latach żył blisko Kirchera, pociągnął dalej pracę Schotta, wystarczająco zręcznie naśladowując jego „styl”...*

*Coś mnie tknęło, żeby zbadać bliżej pewne szczegóły, które wzbudziły moją nieufność podczas pierwszego czytania: pałac palagoński, jak go opisywał Schott, powstał dopiero w XVIII wieku - między rokiem 1750 a 1760. Jeśli chodzi o Désert de Retz, to nawet jeśli widać tam inspirację miniaturowymi pejzażami Kirchera, park powstał dopiero w roku 1785!*

*W tym miejscu mojego śledztwa stało się oczywiste, że nie tylko ani jedno zdanie manuskryptu nie mogło wyjść spod pióra C. Schotta, ale jeszcze wszystko zostało napisane w najlepszym razie po roku 1780, a więc sto lat po śmierci Kirchera!*

*Jak pewnie sobie wyobrażasz, to odkrycie posiadało wątpliwość co do reszty, więc metodycznie zacząłem wyszukiwać szczegóły, które wydawały mi się podejrzane. Znalazłem ich całkiem sporo (zidentyfikowałem nawet maksymę Chamforta!), w większości nie do zweryfikowania, i już miałem podzielić się z Tobą wnioskami, kiedy raz jeszcze wpadł mi w oko ten koszmarny wiersz von Speego. Nawet wziąwszy pod uwagę, że to przekład z łaciny - i że siedemnastowieczna poezja to naprawdę nie moja broszka - te strofy wydały mi się dziwnie anachroniczne i pozbawione sensu. Przypadkiem, a może dlatego, że*

*zaraziłem się grammi językowymi, w których tak się lubował Kircher, spojrzałem na „Bałwochwalcę” jak na tekst zaszyfrowany. Przyznaję, że rozwiązanie (rodzaj dość wyrafinowanego akrostychu) znalazłem w miarę szybko. Zostawiam Ci przyjemność dojścia do tego samemu, ale to jasne, że ktoś piramidalnie wpuścił Gę w maliny. Mam tylko nadzieje, że niezbyt zdążyłeś zaawansować pracę...*

*Podejdz do tego z humorem, jeśli zdołasz, i informuj mnie na bieżąco. Zakładając, że odkryjesz, kto tak Cię wrobił, chętnie poznałbym winnego, zanim go udusisz.*

*Do rychłego,*

*C. Malbois.*

GODZINA 13. Podchodzę do tego raczej chłodno, chociaż nie z humorem... Nie mogę złapać Wenera w Berlinie.

GODZINA 19. Łaziłem, gdzie mnie oczy niosły, przez całe popołudnie. Oczywiście miłość własna... Minęła pierwsza złość, że niepotrzebnie marnowałem czas na ten manuskrypt, ale dręczy mnie cholernie świadomość, że sam nie odkryłem mistyfikacji.

PROBLEMEM nie jest to, aby wiedzieć, że taki to a taki naprawdę powiedział, co kazano mu powiedzieć,

lecz dokonanie oceny, czy udało się zmusić go, by powiedział to w sposób koherentny. Czyż prawda nie jest tym, co w końcu zaczyna nam odpowiadać na tyle, że akceptujemy ją jako taką? „Przypadek szczytu satysfakcji”, mówił W. V. Quine. Ten kto wypiczył to oszustwo - Werner czy ktokolwiek to był - jest bliżej tego szczytu, niż ja śmiałym marzyć...

POPŁYNAĆ W DÓŁ RZEKI aż do Montevideo, wrócić do Lautréamonta (Woltera?), jak żółwie morskie wracają, aby znieść jaja na plaży, na której same przyszły na świat.

„KRÓTKO MÓWIĄC - konkluduje Kircher na końcu swojej pracy na temat anamorfozy - nie ma takiego monstrum, pod którego postacią nie mógłbyś się ujrzyć w lustrze mającym odpowiednio skombinowane powierzchnie płaskie i zakrzywione”.

KOMU SIĘ CHCIAŁO marnować czas na to, żeby sprokurować takie krzywe zwierciadło? Zrobiono to w nadziei, że dam się wpuścić w maliny, czy po to, żeby stało się to, co się stało? Nie chce mi się wierzyć, żeby ten dokument przygotowano wyłącznie z myślą o mnie, jestem też pewien, że nieprzypadkowo powierzono mi opracowanie go. Ktoś wykorzystał Wernera, bo on na pewno w dobrej wierze zlecił mi tę pracę. Swoją drogą autorstwo tekstu w ogóle nie ma znaczenia, ważne jest pytanie, kto tak bardzo mnie lubi, żeby tak mocno mi dokopać? Malbois?

Była jedna szansa na milion, że natrafi na ten akrostych...

„BIOLUMINESCENCJA powstaje, kiedy substancja znana jako lucyferyna (z łacińskiego *lucifer*, „niosący światło”) utlenia się w obecności enzymu zwanego lucyferazą. Istnieje reakcja chemiczna, która uwalnia energię pod postacią światła” (D. L. Allen).

MOŻE TO ROZWIĄZANIE? Ani mrok, ani jasność, ani półmrok, tylko usianie gwiazdami. Świetliki, żywe, przypadkowo rozbłyskujące powidy w pełni nocy.

NA GNOMONIE spostrzeżona przez Leona Bloy maksyma: „Jest później, niżli sądzisz”.

## ALCÂNTARA

*Czy na pewno chcesz jeść małże?*

W sumie, dumiał Eleazard, czy nie byłoby rozsądnie uznać, że cała biografia Atanazego Kirchera, podobnie jak sama jego postać, to tylko jedno wielkie oszustwo? Część fikcyjna zawarta w przypisywanych Casparowi Schottowi pracach tłumaczy lepiej niż najlepsza rozprawa naukowa przeraźliwie chory upór, z jakim staramy się ubarwiać naszą egzystencję. Przesłanie, jeśli w ogóle jakieś jest, sprowadza się do tego: odbicie zawsze przewyższa obiekt odbijany, anamorfoza potęgą prawdy przerasta to, co na

pierwszy rzut oka zniekształciła i przeobraziła. Czy najważniejszym celem Schotta nie było połączenie tego co realne z fikcją, by stworzyć nową rzeczywistość, przestrzeń stereoskopową?

Eleazard zamknął plik z opracowaniem tekstu i kliknął na ikonę zarządzania plikami. W oknie „Moje dokumenty” zaznaczył plik zawierający całość jego pracy i wybrał usuwanie.

Czy na pewno chcesz umieścić plik „Kircher.doc” w koszu?

Tak Nie

Z palcem na lewym przycisku myszy Eleazard zawahał się nagle wobec nieuchronności, jaką niosło pytanie. Nie istniała żadna kopia jego pracy, wszystko nieodwołalnie przypadnie. „Zapomnij o Kircherze”, powiedziała Loredana. A on teraz słyszał: Zajmij się córką, wystrzegaj się powrotu, wystrzegaj się wszystkich powrotów jak ognia... Zajmij się życiem! Serce zabiło mu szybciej. Czy na pewno chcesz jeść małże? Tak bardzo pragniesz rozkoszy zapomnienia? Wzruszywszy ramionami, przeczuwając, że nic mu później nie zostanie oszczędzone, Eleazard kliknął na „Tak”. Zamiast kursora pojawiła się klepsydra. Twardy dysk, wyczyściwszy klaster po klastrze z zupełnie mu obojętnych danych, potwierdził wybór Eleazarda kilkoma cichutkimi czknięciami. Po zakończeniu pojawiło się kolejne okno:

Czy chcesz usunąć inny plik?

Tak Nie

Eleazard, wpatrując się jak zahipnotyzowany w ekran, zaczął się bawić piłeczkami pingpongowymi. A one, malutkie ślepe planety, obracały się z powagą. Mleczne, pozbawione orbity.

## **FORTALEZA, PLAŻA PRZYSZŁOŚCI**

*Bri-gi-te Bardot, Bar-dooo!...*

Nelson naciągnął wyborczy T-shirt na koszulkę środkowego napastnika. Pocił się zarówno z gorąca, jak i ze strachu. Od dwóch godzin czekał z

boku podwyższenia i w tym czasie ze stu dobrych powodów mógł zrezygnować ze swojego zamierzenia, tyle samo równie dobrych jeszcze go do tego zachęcało. Ogłuszony bliskością wzmacniaczy, oddawał się marzeniom bolesnym i niecierpliwym. Ponieważ siedział nieco w tyle, jego pole widzenia ograniczało się do ukośnych linii desek podwyższenia i ciągnącego się jak okiem sięgnąć pasa brzegu. Bardzo daleko zawieszona na horyzoncie warstwa chmur obrysowywała niebieskawe kontury nieznanego brzegu, świata, który czekał na odkrycie.

Skończył się kolejny kawałek muzyczny, znowu zatem przedstawiciel sztabu wyborczego wypróbował mikrofon i podgrzewał atmosferę. Z krótkofalówką przypiętą do paska wyrzucał z siebie rzekę słów, wśród których bez ustanku powracały nazwiska Barbosy Juniora i Moreiry: już ich zapowiadał, już nadjeżdżali! W czasie tej przemowy pomocnicy na zmianę dziesiątkami rzucali w tłum koszulki. Wszczęło się zamieszanie, po czym w okolicach podwyższenia zrobiło się białe.

Naraz dźwięki kilku syren zagłuszyły harmider na plaży. Na szczycie wzniesienia na wprost trybuny zatrzymały się trzy czarne limuzyny otoczone radiowozami, z których wysypała się chmara policjantów. Zajęli pozycje wzdłuż zbocza, by chronić przemarsz dostojników. Otoczeni osobistą ochroną dwaj gubernatorzy ruszyli w dół wydmy, bez przerwy filmowani przez niedużą ekipę telewizyjną. W dole z głośników huknął hymn państwowy, zmuszając do znieruchomienia w postawie zasadniczej tych, do których docierały jego dźwięki.

Nelsonowi mąciło się w głowie. Półgłosem wypowiadał słowa hymnu. Aby uspokoić drzenie prawej ręki, złapał pod koszulką kolbę pistoletu, z całych sił starając się przywołać wizerunek Lampião. Był bliski utraty przytomności.

Uśmiechnięci, swobodni w lekkich kremowych garniturach Barbosa Junior i Moreira udawali, że służby porządkowe bronią im dostępu do tłumy. Im bliżej byli trybuny, tym bardziej udawali, że siłą rozsuwają ustawionych w szeregu policjantów, aby ucisnąć czyjaś wyciągniętą dłoń albo pocałować umorusany policzek dziecka. Jak tylko Nelson dojrzał Moreirę, nie odrywał odeń oczu. Gubernator wyglądał na starszego niż na zdjęciach z gazet, lecz na pewno był to człowiek, którego nienawidził od lat:

morderca jego ojca, gnój, który ukradł willysa wujkowi Zé...

Nelson odbezpieczył pistolet. Otoczyła go głęboka cisza. Nie słyszał ani hałaśliwej muzyki, ani prowadzącego mityng, który przy mikrofonie wciąż zagrzewał zgromadzonych. Bliżej, powtarzał sobie z uporem, trzeba czekać, aż będzie całkiem blisko...

Kiedy gubernatorowie doszli do stóp schodków, zniknęli Nelsonowi z oczu. Po raz ostatni przystanęli, aby przed kamerami poudawać miłość do ludu, co zachęci pewną grupę wyborców do głosowania na nich. Oczywiście spośród tych mizeraków nikt nigdy nie wrzuci karty do urny, z doświadczenia jednak wiedzieli, że ten obrazek podziela na litościwe duszyczki, które będą oglądać wiadomości w telewizji.

Jeden z kamerzystów, Oswald, wskoczył na podwyższenie, za nim dźwiękowiec. Prowadzący dał im znak, aby się nieco cofnęli, tak by Nelson znalazł się w polu widzenia kamery. Nawykły do różnych kruczków medialnych Oswald zrozumiał, w czym rzecz, i ustawił się odpowiednio. Słońce miał za plecami, wyjdzie świetne ujęcie.

Tych zabiegów Nelson nie zauważył. Powtarzając w myślach jeden tylko gest, stęzał w oczekiwaniu zapatrzony w skrawek nieba, gdzie miał się pojawić człowiek, którego chciał zabić.

Policjanci rozstawili się dokoła podwyższenia, ochroniarze bronili dostępu do niego. Gubernatorowie weszli na schodki. Barbosa Junior pokazał się pierwszy. Rzut oka na operatora uzmysłowił mu, czego od niego oczekują, toteż z niebudzącą podejrzeń naturalnością skierował się ku Nelsonowi.

Oswald wykadrował scenę, lekko ugiął kolana, aby niczego nie stracić z pierwszego gestu. Kaleka miał na twarzy przerażenie, minęło kilka sekund, zanim wyciągnął lewą rękę do gubernatora. A więc na dodatek sparaliżowany na jedno ramię! Świetne, kapitalne... Barbosa szepnął mu parę słów współczucia i odszedł do mikrofonu. Zbliżenie na gubernatora Maranhão: rozluźniona twarz, triumfalne faworyty. José Moreira da Rocha podchodził do młodego kaleki. Naraz uśmiech znikł, Moreira dziwnie otworzył usta. Oswald odruchowo zmienił ogniskową i zobaczył chłopaka z bronią w wyciągniętej ręce, potem ruch dłoni poprawiającej ułożenie kolby. Własnym oczom nie wierzył - oderwał oko od obiektywu i padł na brzuch.

Detonacje, szybkie uderzenia zegara wybijającego szóstą, zatrzymały naraz biegnącego Zé. W następnych sekundach zarejestrował wrzask tłumu i dopływającą do niego falę paniki. Dwie krótkie serie z pistoletu maszynowego sprawiły, że znowu runął w kierunku trybuny. Zrobił to, pomyślał w oszłomieniu.

Z głośników znowu popłynęła muzyka - modna ostatnio samba:

*Bri-gi-te Bardot*

*Bar-dooo!*

*Bri-gi-te Beijo*

*Bei-jooo!*

Usta Zé pobierały z gniewu, z wściekłości nieludzkiej potężniejszej proporcjonalnie do niedorzeczności, pod którą skrywa się zwykle zbrodnicza głupota ludzi.

sub aaa()

```
Selection.Find.ClearFormatting
Selection.Find.Replacement.ClearFormatting
With Selection.Find
.Text = "^p^#^#^#^p"
.Replacement.Text = "^p"
.Forward = True
.Wrap = wdFindContinue
.Format = False
.MatchCase = True
.MatchWholeWord = False
.MatchWildcards = False
```

```
.MatchSoundsLike = False
.MatchAllWordForms = False
End With
Selection.Find.Execute Replace:=wdReplaceAll
Selection.EscapeKey
```

```
Selection.Find.ClearFormatting
Selection.Find.Replacement.ClearFormatting
With Selection.Find
.Text = "^p^#^p"
.Replacement.Text = "^p"
.Forward = True
.Wrap = wdFindContinue
.Format = False
.MatchCase = True
.MatchWholeWord = False
.MatchWildcards = False
.MatchSoundsLike = False
.MatchAllWordForms = False
End With
Selection.Find.Execute Replace:=wdReplaceAll
Selection.EscapeKey
```

```
Selection.Find.ClearFormatting
Selection.Find.Replacement.ClearFormatting
With Selection.Find
.Text = "^p^#^p"
.Replacement.Text = "^p"
.Forward = True
.Wrap = wdFindContinue
.Format = False
.MatchCase = True
.MatchWholeWord = False
.MatchWildcards = False
.MatchSoundsLike = False
.MatchAllWordForms = False
End With
Selection.Find.Execute Replace:=wdReplaceAll
Selection.EscapeKey
```

## NOTA TŁUMACZKI

Autor cytuje w powieści fragmenty wielu utworów, nie wszystkie jednak tłumaczone były na polski, nie zawsze też istniejący przekład pasował do kontekstu. Ostatecznie skorzystałam z poniższych przekładów:

św. Augustyn, *O Państwie Bożym*, przeł. W. Kornatowski.

R. Caillois, *W sercu fantastyki*, przeł. M. Ochab.

U. Eco, *W poszukiwaniu języka uniwersalnego*, przeł. W. Soliński.

J. W. Goethe, *Powinowactwa z wyboru*, przeł. W. Markowska.

A. Rimbaud, *Sezon w piekle*, przeł. A. Międzyrzecki.

A. de Villiers de l'Isle-Adam, *Opowieści okrutne i inne utwory*, przeł. W. Rogowicz.

Wilhelm z Lorris, Jean z Meun, *Powieść o Róży*, przeł. M. Frankowska-Terlecka, T. Giermak-Zielińska.

Cytaty z Pisma Świętego podałam za Biblią Tysiąclecia.

Tekst modlitwy *Anima Christi* zaczerpnęłam ze śpiewnika ks. F. X. Głodkiewicza.

## SPIS TREŚCI

<b>PROLOG</b>	9
ALCÂNTARA, <i>Plac Pręgięrza</i>	
<b>ROZDZIAŁ I</b>	15
<i>Gdzie mowa jest o narodzinach &amp; młodych latach Atanazego Kirchera, bohatera niniejszej opowieści</i>	
W DRODZE DO CORUMBY, „Pociąg śmierci”	21
FORTALEZA, <i>Avenida Tibúrcio Cavalcante</i>	25
FAWELA PIRAMBÚ, <i>Aleijadinho</i>	28
<b>ROZDZIAŁ II</b>	33
<i>O wojnie straszliwej, co lat trzydzieści trwała &amp; wstrząsnęła królestwami Europy. Gdzie Atanazy daje dowód rzadkiej odwagi wobec zdarzenia, które źle bardzo zakończyć się mogło...</i>	
ALCÂNTARA, <i>Inteligentny tyleczek, tyleczek bardzo inteligentny</i>	39
SÃO LUÍS, <i>Wargi nabrzmiałe, miękki owoc mango</i>	52
<b>ROZDZIAŁ III</b>	57
<i>O tym, jak szczęśliwym zbiegiem okoliczności Kircher trafia do Prowansji; kogo tam spotyka &amp; jak odnosi pierwsze sukcesy</i>	
CORUMBÁ, <i>Plotka, drobna plotka</i>	62
<i>Z notatnika Eleazarda</i>	73
<b>ROZDZIAŁ IV</b>	77
<i>Gdzie jest opowiedziane, jak Kircher poznał Italczyka, który zwłoki swej żony woził cztery lata...</i>	
FORTALEZA, „Indianin to nie zwierzę”.	82
FAWELA PIRAMBÚ, <i>Życie to hamak, którym kołysze los</i>	93
<b>ROZDZIAŁ V</b>	97
<i>Podróż do Italii: o czarodziejce Morganie, Atlantydzie &amp; humorach góry Etna</i>	
ALCÂNTARA, <i>Ptak wzbija się w powietrze, krzyk zostaje za nim</i>	104
SÃO LUÍS, FAZENDA DO BOI, <i>Nic prócz chwili obecnej</i>	117
<b>ROZDZIAŁ VI</b>	123
<i>Ciąg dalszy podróży po Italii: gdzie Kircher bada ogień centralny &amp; rywalizuje z Archimedesem</i>	
CORUMBÁ, <i>Podwójny chrapliwy ryk kajmanów</i>	130
<i>Z notatnika Eleazarda</i>	141
<b>ROZDZIAŁ VII</b>	145
<i>W którym Kircher oswaja mieczniki &amp; o wzburzeniu z tego wynikłym...</i>	
CANOA QUEBRADA, <i>Marzenie astronoma śniącego o spustoszonej obcej planecie</i>	148
FAWELA PIRAMBÚ, <i>Twarz poraniona, szeroko rozwarte usta pełne krwi...</i>	160
<b>ROZDZIAŁ VIII</b>	163
<i>Ciąg dalszy wyznań Atanazego Kirchera. Gdzie opisuje się następnie pałac księcia Palagonii, jego tajemnice &amp; osobliwych właścicieli</i>	
ALCÂNTARA, <i>Euclides przy pianinie regulujący spowolnienie gwiazd</i>	173
FAZENDA DO BOI, <i>Alcântara International Resort</i>	182
<b>ROZDZIAŁ IX</b>	189

<i>Noc Bożego Narodzenia &amp; tajemnice ciemnej komnaty...</i>	
NA RZECE PARAGWAJ, <i>Z dziką rozkoszą między brzegami najeżonymi soczyście zieloną dżunglą</i>	198
<i>Z notatnika Eleazarda</i>	207
<b>ROZDZIAŁ X</b>	211
<i>Gdzie słowo w słowo przytoczone są gorszące konwersacje gości księcia &amp; rozmaite sprośności, które wystawiły Caspara Schotta na groźbę potępienia...</i>	
CANOA QUEBRADA, <i>Niczym zaporą przed szaleństwem świata</i>	218
SERRA DE ARATANHA, <i>Samolot linii VASP</i>	230
<b>ROZDZIAŁ XI</b>	235
<i>W którym ostatecznie się kończy, ad majorem Dei gloriam, opowieść o wydarzeniach w palagońskim pałacu</i>	
SÃO LUIS. <i>Wszędzie błyszcząły podkrążone tępe oczka</i>	241
<b>ROZDZIAŁ XII</b>	257
<i>W którym jest mowa o Museum Kircherianum &amp; o wyroczni magnetycznej</i>	
NA RZECE PARAGWAJ, <i>Przez chwilę wydawało jej się, że las ją przyzywa...</i>	264
<i>Z notatnika Eleazarda</i>	272
<b>ROZDZIAŁ XIII</b>	277
<i>W którym jest pokazane, jak Kircher przewyższył Leonarda da Vinci &amp; zmusił koci rodzaj do wykonania najwspanialszego koncertu</i>	
CANOA QUEBRADA, <i>Za jedyne narzędzie mając ogień i krzemień</i>	283
SERRA DA ARATANHA, <i>Ludzki tłuszcz, żeby chronić promy kosmiczne przed promieniowaniem</i>	296
<b>ROZDZIAŁ XIV</b>	299
<i>Fontanna Czterech Rzek: jak Kircher zmusił potwarców, aby się poddali.</i>	
<i>W którym mówi się także o symbolice cienia &amp; światła</i>	
FAZENDA DO BOI, <i>Fura podrywacza</i>	304
<b>ROZDZIAŁ XV</b>	319
<i>Który jest ciągiem dalszym poprzedniego &amp; w którym Kircher sprawnia Casparowi Schottowi zaskakującą niespodziankę pedagogiczną</i>	
NA RZECE PARAGWAJ, <i>Nagły plusk, chlupotanie, leniwe mlaskanie błota...</i>	325
<i>Z notatnika Eleazarda</i>	333
<b>ROZDZIAŁ XVI</b>	337
<i>W którym zaczyna się opowieść o Janie Benedyckie Sinibaldusie &amp; żalonym alchemiku Salomonie Blauensteinie</i>	
CANOA QUEBRADA, <i>Każda rzecz wyrwana ze swojego otoczenia, napelniona nowym znaczeniem</i>	345
FORTALEZA, <i>Nie jestem wężem, ale pełno we mnie jadu</i>	352
<b>ROZDZIAŁ XVII</b>	357
<i>O tym, jak Kircher obnażył szalbierstwa Blauensteina</i>	
ALCÂNTARA, <i>Pamięci Jima Bowiego i Davy 'ego Crocketta</i>	364
SÃO LUÍS, <i>Bankowa formalność i kwestia papierkowa</i>	373
<b>ROZDZIAŁ XVIII</b>	377



<i>W którym jest mowa o odsłonięciu fontanny Pamphilich oraz o przyjemnej na ten temat rozmowie Atanazego z Berninim</i>	
MATO GROSSO, <i>Co w nocy dobija się do moskitiery</i>	384
<i>Z notatnika Eleazarda</i>	392
<b>ROZDZIAŁ XIX</b>	397
<i>W którym dowiadujemy się o niespodziewanym nawróceniu królowej Krystyny</i>	
CANOA QUEBRADA, <i>Popić sobie to żaden grzech</i>	403
FORTALEZA, FAWELA PIRAMBÚ, <i>Angicos, rok 1938</i>	412
<b>ROZDZIAŁ XX</b>	415
<i>O tym, jak Kircher musiał opowiedzieć królowej Krystynie gorszącą historię, którą wolałby zachować wyłącznie dla siebie</i>	
ALCANTARA, <i>Coś strasznego i mrocznego</i>	422
ALCÂNTARA, <i>U Nicanora Carneira</i>	433
SÃO LUÍS, FAWELA DO BOI, <i>jutro będą o tym pisali w gazetach, pułkowniku</i>	435
<b>ROZDZIAŁ XXI</b>	439
<i>Mistyczna noc Kirchera: jak ojciec Atanazy podróżował po niebiesiech, nie opuszczając wszakże swej izby. Vermiszelki dżumy &amp; historia hrabiego Karnickiego</i>	
MATO GROSSO, <i>Świadomie wybrać inną drogę</i>	449
<i>Z notatnika Eleazarda</i>	457
<b>ROZDZIAŁ XXII</b>	461
<i>W którym się opowiada o trumnach z rurą</i>	
FORTALEZA, <i>jak w Lourdes albo w Benaresie</i>	464
FAWELA PIRAMBÚ, <i>W nocy byłoby widać, jak leci wśród gwiazd</i>	473
<b>ROZDZIAŁ XXIII</b>	477
<i>W którym jest mowa o uniwersalnym języku &amp; o niezrozumiałej tajemnej wiadomości</i>	
SÃO LUÍS, <i>„Piec żarowy «Idéal»„ z kominem 481</i>	
ALCÂNTARA	
<i>Chcę, żeby sprawiedliwości stało się zadość, panie von Wogau!</i>	491
<b>ROZDZIAŁ XXIV</b>	495
<i>O tym, jak nieoczekiwanie Kircher zdołał rozszyfrować sybillińskie pismo Francuzów.</i>	
<i>W którym przedstawia się Johanna Gruebera &amp; Henry'ego Rotha wracających z Chin oraz ich spor na temat stanu lego cesarstwa</i>	
MATO GROSSO, <i>Do martwych ust</i>	503
<i>Z notatnika Eleazarda</i>	511
<b>ROZDZIAŁ XXV</b>	515
<i>O piramidzie jawańskiej, zielu quei &amp; co z tego wynikło...</i>	
FORTALEZA, <i>jest jeszcze nadzieja dla tego kraju</i>	521
FAWELA PIRAMBÚ, <i>Księżniczka Królestwa-gdzie-nikt-nie-dociera</i>	531
<b>ROZDZIAŁ XXVI</b>	535
<i>W którym relacjonuje się ciąg dalszy opowieści Johanna Gruebera na temat chińskiej medycyny</i>	
ALCÂNTARA, <i>Tylko rzeczy, które unoszą się na morzu</i>	540
SÃO LUÍS, <i>Odrobi wszystko w Manaus, i to raz-dwa</i>	551

<b>ROZDZIAŁ XXVII</b>	557
<i>O tym, jak zapadła decyzja o wzniesieniu nowego obelisku, &amp; o wynikłej stąd dyskusji na temat wyboru właściwego zwierzęcia</i>	
MATO GROSSO, <i>jak strzały przenoszące sny</i>	567
<i>Z notatnika Eleazarda</i>	570
<b>ROZDZIAŁ XXVIII</b>	575
<i>W którym Kircher objaśnia symbolikę słonia, otrzymuje alarmujące wieści z Chin &amp; drży o swoje zbiory z winy króla Hiszpanii...</i>	
FAWELA PIRAMBÚ, <i>Póki wszystko jeszcze jest możliwe</i>	580
FAWELA PIRAMBÚ, <i>Widziałem ją i nie widziałem</i>	590
<b>ROZDZIAŁ XXIX</b>	597
<i>Gdzie jest pokazane, jak Kircher wydobywa z młodego don Luisa Camacho kilka fundamentalnych prawd, które młodzieniec znał, choć o tym nie wiedział</i>	
ALCÂNTARA, <i>Szedł, zataczając się, czasami rzucało nim na bok, aż sam się z tego śmiał</i>	604
SÃO LUÍS, <i>jakiś sposób prosty, sensowny</i>	612
<b>ROZDZIAŁ XXX</b>	615
<i>O tym, jak z gorączki może zrodzić się książka. W którym przedstawia się także machinę do myślenia nader godną pochwały</i>	
MATO GROSSO, <i>Anioły spadały</i>	621
<i>Z notatnika Eleazarda</i>	631
<b>ROZDZIAŁ XXXI</b>	635
<i>O rozmowie, jaką przeprowadził Atanazy z Murzynem Chusem &amp; o niezwykłych konkluzjach z niej wyciągniętych</i>	
FORTALEZA, <i>jak na starym filmie o wyblakłych kolorach</i>	644
FAWELA PIRAMBÚ, <i>Chłód metalu, jego ciężar obrzmiałego organu</i>	656
<b>ROZDZIAŁ XXXII</b>	661
<i>O tym, co się stało z Murzynem Chusem</i>	
<i>Z notatnika Eleazarda</i>	669
W DRODZE DO FORTALEZY, <i>Lifejacket is under your seat</i>	673
<b>SMUTNY EPILOG</b>	677
<i>Jak jego tytuł, niestety, wskazuje...</i>	
MATO GROSSO, <i>Jeden rodzaj jest śmiertelnie jadowity, drugi niebezpieczny, a trzeci zupełnie niegroźny</i>	689
<i>Z notatnika Eleazarda</i>	693
ALCANTARA, <i>Czy na pewno chcesz jeść małże?</i>	697
FORTALEZA, <i>PLAŻA PRZYSZŁOŚCI, Bri-gi-te Bardot, Bar-dooo!</i>	698
<b>NOTA TŁUMACZKI</b>	703